

Paukšta Eugeniusz

Przejasnia się niebo

ROZDZIAŁ I

1.

WPOPRZEK rumowisk słały się długie poranne cienie, miejscami tylko ustępując płatom intensywniejszego światła. Nad cielskiem zwykłej, zadręczonej chabety bzykającym kręgiem unosiły się złotawe muchy, opadając ku wzdętej bani końskiego brzucha. Wiatr niósł falę swądu, mdły zapach palonego cukru; tliły się jakieś magazyny i nie tylko magazyny, smużki dymu żywe, choć przyduszone zwałami kamienia, cegły i szkła wykwiwały gęsto nad gruzowiskami.

Rudy kocur, tłusty, o lśniącej sierści stanął w prostokącie rozjaśnionym aż do białości słońcem, podniósł łapę, lizał ją niespiesznie, z kolei ocierając o nią swój pysk. Potem nagle znieruchomiał, nastawił uszy, wreszcie - powoli, jakby w zdumieniu obrócił łeb na pół ślepcą; — wokoło pokiereszowanego oczodołu czerniły się jeszcze grupki zastygłej krwi — zaraz potem miauknął dziwacznie, zawrócił jednym skokiem i zniknął w ciemnej norze przysypanego piwnicznego okna.

Gruz zaścilał całą jezdnię, wyrzuszała się garbami, zdając się oddychać jak pierś potężnego stwora. Frontony niektórych kamienic leżały rozesełane na bruku splątana warstwą, inne, wypalone i wyburzone, chichotały pustymi otworami okiennymi. Uczepiona przypadkowego haka zwisała z rozbebeszonego pięterka stara kołdra, zetlała w barwie, upstrzona plamami, zasikiwana przez lata.

Z wysokiego pagóra — dwa przeciwległe domy runęły na siebie, wspierając się fragmentami żelbetu i złączonej cementem cegły — można było wejrzeć głębiej w miasto. Morze ruin, dymy, odleglejsza tylko dzielnica zdawała się z tej perspektywy bardziej cała, jakby ją ominęły pociski. Komin niedalekiego domostwa zarwał się nagle, runął, niecąc obłoki czerwonego kurzu. Rumor, gruchot.

.Drgnął; przedtem nie. uświadamiał sobie tej przenikającej ciszy, w której brzęczenie much nad wezbrany bruchem końskim wydawało się donośnym sygnałem. Więc tutaj aż tak głucho i' pusto? Wymarłe, zabite miasto. Nie tylko luda można zabijać, także miasta, domy, drzewa, wszystko. Cisza i pustka. Ten jeden kot z zastygłym we krwi, nie istniejącym okiem, jest niejako symboliczny.

— Heil Hitler, Heil Hitler, Heil...

Znów nie ma ciszy, albo jest właśnie, zolbrzymiona tym wołaniem, nienawistnym, codziennym przez tyle dni i miesięcy, i lat; wstawało się słysząc Heil Hitler, Heil Hitler towarzyszyło układaniu się do snu... Taki chropawy głos miał Schulmowsky, jakże natrętnie wdzierał się tam w uszy jego krzyk, jak drażnił, wywołując gwałtowny rytm serca, strach i nienawiść, a teraz znów tu, może on sam, prawda, przecież mówił, że z tego miasta pochodzi, stąd właśnie, chwalił się, jak to oni tu poczynali w trzydziestym trzecim, ich własna, mała, ale równie podła noc długich noży, Schulmowsky, on go tu

chyba przywiódł, bo skądże inaczej znalazłby się właśnie w tym mieście zabitym, nic go tutaj nie gnało, setki innych szlaków mogły być równie dobre, więc czemu tutaj i skąd tu jest również Schulmowsky... On? Jego głos?

Papuga trzepotała się w oknie domu mniej zniszczonego ód innych, w ocalałej połówce szyby odbijał się kształt ptaszyska, nastroszonego a mimo to chudćgo, drącego się w jego stronę swym parszywym Heil Hitler. Pewnie głodna, zdycha, diabli wiedzą,, jak długo tkwi już na uwięzi w tym oknie, wystawipna na chłód.

- Kawał cegły furknął ku framudze, nie dotarł opadł na usypisko. Dopiero mniejszy ułamek trafił, prosto w łeb, bajecznie kolorowy łeb. Papuga zwiśla z okna na swym łańcuszu, falsetem zaniosło się nie dokończone teraz Heil Hi... Jeszcze skrzydła załopotwały, zatrzepotały, zdrzżały, zawsze tak z ptakami, jakwuj na wsi zabijał kurę czy gęś, czy; Kaczkę, tak samo, często bez głowy już, przebierały nogami, rzucały się w konwulsyjnych podrygach, bał się tego, odwracał głowę, wuj tylko się śmiał, ale zaraz spluwał pa stronę, i jego musiało to drażnić. Kury, papugi, gęsi?

A bo to ludzie inaczej? Jak wtedy z pancerfausta rąbnęło Wieśka, przy barykadzie, to też biegł kilka metrów z urwaną na pół głową, sikał posoką, zdawało się im nawet, że krzyczy coś jeszcze, a to był krzyk, który w nim już zastygł, który brzmiał tylko echem, dłuższym niż struny głosowe, wytrwalszym. Teraz znów ta cholerna, hitlerowska papuga...

Wraz z wiatrem od nowa wionęło zaduchem, smrodem, spalenizną, kloaką. Wzdrygnął się, potrząsnął głową. Dłoń leniwie, bezwolnie nieomal sięgnęła ku czołu, ścierając zeń lepką warstwę. Stał na słońcu, pocił się, było mu zarazem zimno.

Ktoś w tyle ulicy, za którąś przegrodą z gruzu zagadał nabrzmiętym grozą głosem. Potem zobaczył dwie kobiety z wózkim, na nim toboły i dziecko, gapiły się na rozwalony dom, iriein Gott, mein Gott, tylko tyle umiały powiedzieć, usta rozwarte, zachłyśnięte tą ich trwogą, nic więcej... A dalej jeszcze jakaś grupka podobnych postaci,, nie ma już ciszy, nie ma pustki w zabitym mieście.

Poczłapał znów wąwozami i szczytami, miał co dopiero całe martwe miasto dla siebie, tylko dla siebie, i już nic z tego, znów biedak, nędzota, więc iść jak we wszystkie tamte noce, potem i dni, a w majakach ten .Schulmowsky, musiał go zobaczyć nawet'w papudze, w jego mieście przecież mówił, a teraz on jego śladami do tego samego miasta, by zobaczyć, jak ońo nie żyją jak nie będzie więcej rodzić podobnych tamtemu, cała pociecha, nawet papudze się należało, czemu wyrzaskiwała, wychrapywała to swoje Heil Hitler, HeU Hitler...

— O, du verfluchter...

Starucha — zgarbiona wpół, jedwbna, czarna chusta jak u żałobnicy — groziła mu pięścią, długimi, pokracznymi, zakrzywionymi palcami, — stawy pewnie nie chciały już słuchać... A potem nie zwracając już na niego uwagi, mrużąc do siebie, zaczęła odrzucać cegły, kamienie, kawały zastygłego cementu, jakieś skrawki drewna, szmaty, -cakołwidE tylko w kłębowisku rozwalonych ludzkich siedlisk mogło się znaleźć. Od dawna musiała tu tkwić, stos utworzony przez nią rozrastał się, niewspółmierny wszakże do góry, którą pragnęła przerzucić, szukając pod rumowiskiem czegoś czy kogoś, tylko tym zajęta, obojętna na resztę, nawet na niego, bo skoro już nie heilował pod nosem, stawał się nieważny, cień, powietrze...

Znów szedł, góry cegieł jakby się zmniejszały, wyglądał spęd nich bruk, kocie łby, wszystkie bez oczu, tamten kot nie miał tylko jednego, spasiony, rudy kot. . Bruk, kode łby, domy powypalane, ale niektóre całe, bez szyb, drzwi porozwierane, widać jakieś meble, znów kotisko jakieś się przesunęło, skądże te koty tutaj się biorą, eo robią... Wiadomo, już wiadomo, w otwartym wnętrzu dws trupy, na krzyż zrzucone na siebie, cywile. Ale są nie opodal na ulicy i wojskowi — feldgrau mundury, a któregoś — czapka na twarzy, sam ją sobie naciągnął, czy znalazł się jeszcze ktoś litośdwy? Ten walter, warto go brać, a może to niepotrzebne, ech, broń, zawsze się przyda, jakie w tej wędrowce brakło czegoś takiego w garści, nigdy o dziewczynie w szczeniących latach tak gorączkowo Die marzył... Musiała tu być niezgorsza masakra, bo i drugi, trzeci, dziesiąty, za parę dni przejść tędy nie będzie można, wiadomo, jak to bywa z trupami, a w dodatku słońce, już wiosenne, we dnie operuje tak ostro...

Gorąco, a po plecach chłód wciąż przedąga. Zasnąć, zjeść coś przedtem, niech diabli wezmą to miasto, byle wrócić do sił, iść dalej, dokądkolwiek, bo nie do swoich, ich już nie ma, ale jak nie do nich, to do miejsc, gdzie byli rasem, albo jeszcze dalej, gdzie bądź.

Tutaj domy mało zniszczone, zapraszają, diabli wiedzą, co za takimi drzwiami się czai, wszystko jedno, byle coś zjeść, mogą być konfitury, skąd mu konfitury na myśli, ach, tu przed progiem cały ich słój rozbity, że i konfiturom też wojna zagraża, już bzy zaczynają rozpękać, tydzień, dwa może, rozkwitną. Ale smrodu wokoło nie zagłuszą smród będzie narastać, trupi smród, ludzi, miasta, które też jest zabite, a skoro zabite, musi cuchnąć, musi się rozkładać... Cała uliczka, prawie cała, po cholere ta ścijsłość, skorzystać, odpocząć, znajdzie się jakieś wyrko, drzwi piszczą, nie oliwione, spaczyły się. Bałagan, ale wszystko całe, może tu jeszcze jest ktoś, tkwi schowany, ach, ma tę spluwę, byłyby zatem równe siły, nie, sił nie ma, zupełnie nie ma, gorączka tylko, jakiś kredens, a tam łóżko, nie, rozbebeszone, jak dobrze, jak dziwnie, więc w ogóle posłane łóżko może istnieć na świecie? Karty rozrzucone na stole, stawał ktoś kabałę, nawet talii nie zebrał, kurz, pył, nikogo tu nie ma, on tylko, kredens, łóżko, posłane łózkó, kocur miał jedno oko, to nie Schulmowsky, to była tylko partyjna papuga, dynda teraz na swoim łańcuchu, wiatr nią powiewa, kolorowym, barwnym symbolem.

Jednostajny rumor, turkot kół pędzącego pociągu na spojeniach . szyn... Strzały, coraz gęstsze, ostrzejsze. Kolejny z więźniów do pół wysunięty przez otwór w wyrwanych deskach towarowego wagonu cofa się, gwałtownie odsuwa od połyskującej na zewnątrz czerni otwierającej drogę ku Wolności.

— Nakryli, wałą w nich...

Palba olbrzymieje, poza zaślanianą teraz niezdarnie dziurą, jaśniejsze rozbłyski, z dachów wagonów na pola i lasy reflektory sieją światłami, pociąg zwalnia, koła nie stukają już o spojenia, toczą się jednostajnie, szczekanie psów, przeklętych alzackich owczarków... Otwór w ścianie wagonu matowieje, rozszerza się, psy ujadają, powietrze drga od sprężen przygotowanego do skoku, cielska, już nie ma otworu, jest półmrok wieczornej szarzyzny, czworobok więźniów kulących się przed oczyma esesmanów, tamci trzej, nieszczęśni, skatowani, skrwawieni, wiodą ich do środka, komendant z wysuniętą do przodu wargą mówi coś, gfozi, śmieje się zjadliwie. A teraz ci trzej, trochę na boku, Schulmowsky, on, zawsze on przy takich okazjach, przysięgły kat, każe im po kolei iść przed siebie, strzela z tyłu, jednym podrzutem pistoletu, zda się, nie celuje zupełnie, suchy trzask, osobliwe, że przy strzale w tył głowy trzask zawsze jest suchy. Skazaniec podskakuje, śmiesznie, przerażająco

śmiesznie, robi krok jeszcze, znów podskakuje, dopiero wali się całym impetem ciała. Drugi trzask, znów podskok, trzeci, to samo...

Tak jeszcze niedawno swym jadowitym półszepcem, pół głosem, galrliął się tenże Schulmowsky, że sam ich wybije co do jednego, zakatuje powoli, oni wszystkiemu winni, Polacy, tylko oni, przez nich wojna, teraz idą razem z komunistami, może po jego miasto, w Pommern, takie echt nacionalsocjalistyczne miasto, tak wybije ich, wykasuje, o, jak tego chociażby, chciał uciekać, nicht wahr, Menach, uciekać chciałeś, nicht, wahr, kornm zatem, tu, bliżej... Struchlały, blady, jaki strach w oczach zaszczutego, skatowanego zwierzęcia. I zaraz ciosy długiej lachy, specjalnie wymyślonej na takie okazje, ciosy, ciosy, aż jak szmata wali się kłęb czegoś, co jeszcze być chciało człowiekiem, lacha wędruje na gardło, wahadłowym ruchem przegina się na niej Schulmowsky, jak tancerka w makabrycznym balecie, tamten rzezi, charczy, krwią sika i już nic, już nic.. A wysoki drab rechoce, wyciąga palec, wskazuje nim po kolei, zapowiada to samo, verfluchte Polen...

O, a teraz idzie do niego, przystaje przy nim, szepcze coś, zaraz ruszy w ruch pałka... Nie, nie, nie to, ja chcę żyć, nasze role muszą się zmienić. Ale już pałka uderza o ramię...

I nagle ocknienie, ból w ramieniu, które z siłą uderzyło o poręcz żelaznego łóżka. Oczy jeszcze zamknięte, ale świadomość, ciężka, ledwie kojarząca fakty, uprzytamnia, to nie ucieczka, odkryta przedwcześnie, nie obóz i egzekucja, nie Schulmowsky, to jakieś zabite miasto, ruiny, papuga wzywająca upiornym chrypem Hitlera, kot z jednym okiem, starucha w czarnej jedwabnej chuście grzebiąca wśród gruzów, dzielnica niewielkich domów ocalałych trafem z ogólnego zniszczenia, rozbity słoje konfitur, jakieś suchary, sok kwaśny w butelkach, miękkie, posłane łóżko. Tak było, dziś albo wczoraj, a może jeszcze dawniej, gorączkę miał, nie wie, jak długo tak leży w tym łóżku. Oczy jedynie otworzyć, zobaczyć to wnętrze z porozbijanymi szafami, Z wyrzuconą zawartością szuflad, przed nim ktoś tu musiał grasować.

Przed oczyma półmrok, mającą w nim sylwetki dwóch kobiet. To któraś z nich musiała coś mówić o przeklętym Polaku... Skąd te Niemki, co się z nim dzieje, co prawdą, co snem?... Podrzutem opuścił nogi z łóżka, wparł się nimf w podłogę, wzrok wlepiając w dwie postaci, które się teraz cofnęły o krok, ale nadal stoją, patrzą, oczy tylko im błyszczą, a on siedzi naprzeciw nich, nie ma siły wstać, przepędzić te babska, a chciałby znów zostać sam, tylko sam, choćby zdechnąć miał w tym łóżku samotnie. Gdzieś jest broń, wziął wszak ze sobą tego waltera, może pod poduszką, może na kołdrze, dłoń ciężko, z wysiłkiem suwa się po pościeli. Tamte patrzą, wreszcie któraś mówi, żeby był spokojny, pewnie musi być chory, leży tutaj, majączy, myślały, że umiera w ich domu. Właśnie w ich domu... W głosie narasta złość, o ten dom, o łóżko, o zagrożenie świętego prawa własności.

Niewiele rozumie, wciąż tylko spogląda na nie. Jedna jest starsza, mocno starsza, druga młoda, bardzo młoda dziewczyna, od początku milczy, tylko patrzy ze złością. Ona to pewnie mówiła verfluchter Pole... Że się to nic nie zmienia, front przecież przetoczył się tędy dalej, na zachód, w ogóle jakim cudem przedostał się przez linię walk, nie napastowany, nie niepokojony, raz tylko ta grupa radzieckich motocyklistów, jeść trochę mu dali, klepali po ramionach, idzi galubczyk, idzi, za nami uże swaboda, ale to okazuje się nieprawda, jeżeli ta gówniara może tak mówić, przysięgłby, ona to mówiła, nie Schulmowsky, tamto minęło, jest coś innego, choć tak podobne...

Z daleka niesie się zza szyb strzał, drugi, jeszcze dalsze. Dziewczyna, która dopiero co gorączkowo zaczęła coś szeptać do starszej, milknie, zaciska wargi, jedna kreseczka, cieniutka, zupełnie się rozplywająca w półmroku, coraz gęstsza warstwą wyłazającym z kątów, ze ścian.

Pot znów na czole, zimny, gorący, zimny pot, w głowie Wiruje, wargi spieczone, zrgubiale jak u Murzyna, czuje jak ' Opada z sił, mogą go zabić te Niemki, rozćwiartować, nawet by się ni* bronił, donno, nic już nie widać, tylko prostokąt okna, jak tamta dziura w wagonie, nie wykorzystana, złudna nadzieja udeczki, słysząc jedynie oddechy, mocniejszy jakby nasycony był złością, pewnie tej młodej, co to szczekała verfluchter Pole. Musiały go słyszeć, gadał przez sen, majaczył, krzyczał coś może, jakieś zjawy prześladowały go, obóz, Schulmowsky, czemu dągle musi to wracać, wracać będzie pewnie przez całe już życie. A tamte nic, stoją nrstygłe, coś się kotłuje w czaszkach, taki Geschenk w ich domu; ledwie zipiący Polak, pod ubraniem obozowe pasiaki, nawet broni nie ma, diabli wiedzą, gdzie położył, może te Nianry ją wzięły, wszystko jedno, Boże, jak pali, wargi bołą, żeby coś wypić, w kranie, pamięta, nie było wody, pił jakiś sok, kwaśny sok, który nie mógł zastąpić zwyczajnej wody...

Musiał zajęczeć coś o tej wodzie, może same się domyśliły, podały garnuszek, zimna, płyn trochę jakby mułem pachnący, nic, jakaż ulga, ochłoda. A teraz spać, niech się dzieje, čo chce, spać. Wszystko nieważne, wagon, Schulmowsky, obóz, podąg z transportem więźniów, ich karny wagon, odłączony potem, skierowany w innym kierunku, za tę Udeczkę, i tak, mówiono, mają szczęście, powinni zostać rozstrzelani, a tu jedynie kacet, szansa żyda, przeżycia, albo jeszcze plugawszej śmierd, z lagą na gardle, z kulą w tył czaszki, cyrkowy, idiotyczny podskok ciała, z którego uchodzi żyde... Spać, nic więcej, Niemki nie Niańki, może nikogo tu nie ma, broni też nie ma, strzelają, to w obozie, ach nie, w zabitym mieście. Jeżeli strzelają, to miasto żyje, Schulmowsky'ego miasto, czemu się dziwić, spać, łóżko prawdziwe to dziw największy, woda zimna, choć mułem śmierdzi...

Czas mijał, znów nawroty jakichś majaczeń, zwidzeń, gęstwą wyrastających z przeszłości, plątały się z chwilami odzyskiwanej przytomność, w których trzeźwo zdawał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazł.

Oto leży w niemieckim domu, jednym z nielicznych ocalałych domów wielkiego zabitego miasta, w którym resztki żjrcib tliły się po dalekich peryferiach. Dom był pusty, za-' praszały do wejścia szeroko rozwarte drzwi, za nimi czyste, posłane łóżko. Skądś pojawiła się ta Niemka wraz z córką, bąkała, że to wraca część ewakuowanej ludności, że bieda, brak światła, gazu i wody, mógł tylko domyślać się, iż na dodatek jeszcze on, chory, więzień, pewnie jakiś przestępca, na karku. To dla starej, dla matki... Dla młodej, tej gówniary ze wściekłymi oczyma wszystko rysowało się prościej i jaśniej: verfluchter Pole...

Ale muszą znosić jego obecność, musi ta starsza podawać mu postne zupki, mało lepsze od obozowych, jakąś kaszę, suchary, o chlebie podobno nie ma nawet w całym mieście co marzyć. Musi podawać wodę, zimną, gorącą aż usta parzy. Patrzy przy tym oczyma, w których nie nienawisć jest, ale rezygnacja, zgoda na każdą sytuację, w jaką ją wpędzi los pokonanych. Drażniła go momentami ta służalczość zbitego psa, zaprzestawał jednak rozważań, uświadamiając sobie, iż jest chory, jakakolwiek dalsza tułaczka równałaby się wyrokowi śmierci, nie po to wszakże wyrwał się z obozu, z czworoboków osaczających ze wszystkich stron, skazańców, spod duszącej gardło laski Schulmowsky'ego, spod tysięcy niebezpieczeństw na drodze długiej i nużącej włóczęgi. Tu można coś zjeść, jest łóżko,, ciepło, spokojnie, nie ma wiatru, i smrodu, i głodu, cóż, że Niemka, że patrzy tak lub inaczej, że go w duchu najpewniej wyklina z całego serca.

Gówniara nie pokazywała się od tego pierwszego wieczoru. Z przyległych pomieszczeń z rzadka tylko docierał do jego łóżka jej piskliwy, zacinający dyszkantem głos, gdy atakowała matkę, o coś się z nią spierała, odnosił wtedy wrażenie, że o nim mówią, co go zresztą nie bardzo obchodziło...

Mimo to raczej odczuwalna niż zauważalna obecność dziewczyny drażniła go i niepokoiła. Jak gdyby rozsiewała wokoło znamię swej obecności, czuło się to w atmosferze, w sprzętach, nawet w tym nędznym pożywieniu, które stawiano przed nim. Uświadamiał sobie obecność młodej

15

Niemki w tym domu, emanowanie jej nienawiści — taka nienawiść musi ucieleśniać się w skutkach, w działaniu, co zatem knuje ta mała, czego chce, od niego, od siebie? Lepiej nie myśleć, nie rozszczępiać włosa na czworo, nie szukać wymaginowanych niebezpieczeństw. Pamięć minionego koszmaru przeżyć działa na wyobraźnię, ta zaś nastraja się na ton samoobrony, przesada, nic się za tymi ścianami nie kryje, nikt niczego przeciw niemu nie knuje, należy odrzucić od siebie lęki, strach, złość i niechęć, korzystać z łóżka, ze snu spokojnego, z tej szczypty jedzenia...

A jednak... Na czwartą chyba noc, odkąd ostatkiem sił dowlókt się w jasne południe do tego domu, Niemka zbudziła go gwałtownie, nerwowo, kazała wstawać, ubierać się, dygotała, drżały jej dotykające go ręce, głos płątał się i łamał. Niech wstaje, niech ucieka, niedobrze, zupełnie źle, lada chwila tu będą, a ona nie chce, aby w jej domu, „teraz jest nowe prawo, russisches Recht, chce być w porządku, ale młodym tego nie wytłumaczysz. Schnell, Mensch, schnell... Zupełnie jak w obozie, schnell, Mensch, raus, schnell und schnell. Jeszczemu tego potrzeba, niech się ta Niemra odpieprzy, niech go zostawi w spokoju. Znów gada, trzęsie, wyciąga na siłę z łóżka, olaboga, taki jest słaby, że ta chuda, koścista baba musi go sama zwlec, stawia na nogi, on zaś chwieje się i dygoce. Czego znów chce tą jęzda? Co tam jazgoce? Że ma uciekać, zaraz, bo wszystko może się stać. Przewiał po nim lęk, głos starej brzmiał trwogą, chrypiał i łamał się. Ona naprawdę czegoś się boi, czegoś, co się czai za drzwiami, może na ulicy, może za tamtą już ścianą.

Ciągnie go, charkocze, syczy, słów zrozumieć nie można, jakby wyklinała kogoś, jakby na własną córkę rzucała gromy. Pcha, napiera, wyrzuca siłą z pokoju, korytarz, inny pokój, szerokie okno, otwiera się z piskiem, ręka kobiety ledwie widoczna w ciemności, leciutko rozjaśnionej księżycem, błakającym się między chmurami. Niemka szepce przenikliwie, aby przez okno, potem ogrodem, płot, dalej znów opłotkami, jedyna szansa, inaczej zginie. Głupią, jakże on poradzi przez te ogrody, opłotki, gdy sił mu

ie

braknie, by ustać, gdy w głowie wiruje, płacze się prawda z nieprawdą, to co się dzieje w tej chwili pomiędzy nimi z tym, co działo się kiedy indziej między zupełnie innymi osobami.

;— Nie chcę, proszę iść precz... — syczy, a może woła, a może mówi spokojnie, skąd może wiedzieć, zdawać sobie sprawę z własnej reakcji, gdy młoty pod czaszką, uczucie mdłości przy sercu, mgła przed oczyma, aż robi się ciemno jak w nocy.

I wtedy właśnie dobiegają aż tutaj jakieś odgłosy, ciche kroki kilku ludzi. O Boże, o mój Boże, szepcze, modli się Niemka, zdecydowanym, dramatycznym ruchem chwyta go przez pól, upomina, aby przez ogrody, choćby resztkami sił, zsuwa poprzez parapet, leci na głowę, tak wysoko, a może tak nisko, wilgotna ziemia przyjmuje łagodnie. Za nim skrzyyp zawias zamykanego pospiesznie okna.

Skądś znajdują się siły, zrywa się, schylony rwie przez ogród, kalecząc się na płocie wzmocnionym drutem, przewala się na drugą stronę. Ciężko mu wstać, więc czołga się, wspiera rękami i kolanami o ziemię, wtedy znów ten skrzyp okna, zaraz potem wołanie, strzały, przechodzą mimo, zna ten syczący świst, biegnie, potyka się, podpira rękami, znowu płot, zatacza się, pada, wstaje, gorąco i zimno, pot na czole, przed oczyma czerwone, krwawe płaty, biegnie nieswoimi nogami, przystaje, już ostatecznie brak sił, serce szarpie się nieprzytomnie, głupie serce. Ciemność, miasto zabite, które się teraz mści, na nim, na wszystkich będzie się mścić, którzy tu zawitają, obce, wrogie, nieznanne miasto, Schulmowsky'ego rodzinne strony, chwalił się nimi i pysznił, zostawił babę młodą, niewystygłą, bał się o nią, więc jeszcze silniej w pasji katował więźniów, mordował z ochotą, bo przez nich jest tutaj, cóż, że zbija kokosy, że okrada nowe transporty z cudem uchowanych resztek, otóż to jego miasto, zabite miasto, które raptem ożyło, z hitlerowcami jak szczury pastwiącymi się nad ścierwem, nad jadłem, nad byle pierwszym z brzegu verfluchter Pole, który się tutaj bezprawnie pojawił...

Tam jeszcze słyhać gwałt, ktoś się jego śladami prze-

» Przejaśnia się nteb^Wij ł'« fc' «

dzierał, więc cóż, że serce, że kolana ugięte, że nogi nie radzą, że pot i rezygnacja, chyba instynkt go niesie, każe wstawać, pchać się przez ciemność w nieznanne, do przodu, gdzie szansa, gdzie może nareszcie spokój.

Skąd tutaj same płoty, wiele już ich przesadził, przełazi, przedrapał się okrakiem, przeczołgał. I jeszcze jeden, wysoki, sztachety i drut kolczasty, czyżby już całe życie miało upływać pod znakiem drutów kolczastych? A wieleż zostaje mu tego życia? Może już go dogonią za chwilę, słabego, cherlawego, plującego śliną gęstą jak chleb. Drut orze dłoń, ale nie można go puścić, drugi raz się nie we-spnie, nie dokona tej sztuki... Już jest na górze, jeszcze nogę przesadzić, zsunąć się, jak ciemno, dobrze, że ciemno, tam za nim ucichło, a może tylko nie słyszy, Boże, jak serce wali, dudni, kanonadę zagłuszy, serce, kto by pomyślał, że tyle jeszcze w nim siły. Ramię boli, noga też piecze i rwie, czyżby ranili go, dosięgły strzały, więc niepotrzebny byłby ten morderczy wysiłek, gdy i tak wszystko się przesądziło.

Czerwono przed oczyma, płaty, ból, w całym ciele, tkwi na płocie, śmiesznie musi wyglądać, chwije się, ramiona drżą jak ciało kolorowej, tragicznie śmiesznej papugi dyndającej na łańcuszku pod oknem. Ręce dłużej nie utrzymują, byle więc na tę stronę, gdzie dalej od prześladowców, choćby na głowę, z całym impetem, raz jeszcze postawić na swoim, znaleźć się po tamtej, Ja nie po tej strojnie...

Ledwie świt, brzask raczej, więc prawie noc, jasna, kwietniowa noc, inaczej pachnie w powietrzu, naprawdę już wiosna, nie ma pogorzeli, sączących się dymów. Ale ulica tak samo zasłana gruzami, tam dalej, wzrok ledwie przebija przestrzeń, gruzy te zdają się rosnać i pęcznieć. Jest więc najpewniej wszystko tak samo, słońce wszędzie, znów będzie smród, trupi odór, zgnilizna. Zabite miasto. Cóż a. tego, że ludzie w nim żyją, że są ci Niemcy, coraz ich więcej, widywał wszak z okna, snuli się podobni do zjaw, może mu * się tak zresztą zdawało, chyba już

18

gję potrafi patrzeć na świat normalnie, żyć normalnie, my-Otć normalnie. I zawsze będzie uciekał. v£.

Jak teraz. Jedna jeszcze ucieczka. Już nie od papugi wołającej ochryple Heil Hitler, nie od cienia Schulmowsky'ego ani od jakiejś hałastry czającej się na niego, o której bełkotała stara Niemka, matka

tej gówniary, co to wyrwała go ze snu wyzwaniem od verflüchter Pole... Ucieka teraz od siebie, od tej kobiety, z przeklętego domu, gdzie spodlił się, zbeszcześcił swoje przysięgi pomsty, zapomniał o kolegach, których imię chciał w sobie ocalić... Teraz też płaty przed oczyma, czerwone albo mętne, że ledwie widać przez nie budzący się rankiem do życia świat. Schulmow-ky znowu się mści, po swojemu rechoce, to przecież to samo, jakby lał pałką do nieprzytomności, na śmierć. , Kroki odbijają dudniącym echem pośród domów, okolonych ogródkami, gdzieniegdzie przetkanych ruinami. Ruin coraz więcej, jak wtedy, pierwszego dnia, gdy tu przybył, gdy dziwił mu się, ten kot z jednym okiem, tłusty, spasiony... Na pewno czyjeś oczy śledzą go zza firanek, dyskretne, ostrożne, może ktoś inny szykuje broń, padną strzały, ciągle przecież dychać palbą po nocach...

Sama się garnęła, chyba już od pierwszego dnia, od takiego samego_świtu; gdy trzęsa nim leżącym pod płodem ogródka, zmarzniętym, na pół przytomnym, krwawiącym z przestrzelonego ramienia... Schylała się potem przy opatrunkach, przy podawaniu jedzenia, guzik u sukni czy bluz- * ki zawsze był nie dopięty. Ciemniał mocniejszą rysą przedział między piersiami, w oczach jej odczytywał zachdę, nie od razu to pojął, może nie chciał pojmować, poddają się bezwolnie opiece, innej zupełnie niż w tamtym domu, z którego uciekał wyrzucany starczymi ramionami przez okno. Ta nazywała się Erna, młoda, nie wyglądała na matkę- swoich dzieciaków, starsze miało już chyba pięć lat, brzydki chłopak. To on się wyrwał zaraz na drugi dzień, ■że wszystkich Polaków trzeba pif paf, strasznie oberwał \$d matki, a i ta mała także, gdy powtarzała za bratem |o cholerne pif paf... Potem zapomniał, nie chciał pamiętać ljr^jetoasraęzoych dziecięcych słówek, wołał narzucać

sobie spokój w tym domu, ciszę nocy i ciszę dni. Parę razy „wyjrzał przez okno, wtedy widział tych snujących się Niemców, więcej już go nie rwało ku szybom, po co, za nimi zjawiał się jakiś inny świat, tu było zacisze, ustawała kotłowanina myśli, wrażeń, majaków. Tylko we śnie nawiedzały go dawne lęki. Tylko nocy ciągle się bał, skupiających w sobie całe zło, całą straszliwą pamięć. W dzień taskawie i chętnie przyjmował troskliwość Erny. Nie szczędziła posług, opatrywała ramię, kula przeszła na wyłot przez mięśnie, rana szybko zaczęła się goić choć doskwierała...

I teraz doskwiera. W natłoku myśli rozbudzonych pamięcią tego, co się dopiero zdarzyło, tej nocy, niedawno, może gdzieś krótko przed brzaskiem, w tym, natłoku myśli i wspomnień, i pasji, zbyt gorliwie jął wymachiwać ramionami, nie zasklepiona do reszty rana ostrym bólem dała o sobie znać. Przystanął. Szarzyzna brzasku przechodziła w intensywną jasność świtania. Cienie stały się długie, wyolbrzymione, powietrze jarzyło się i migotało, trwała cisza wyczekiwania. Pamiętał takie chwile nadrannej ciszy. W lesie, nad wodami, jakież to dalekie, klimat dzieciństwa... Ustawały nocne poszumy wiatru, nieruchomiały gałęzie drzew, milkły ptaki. Potem wyskakiwało słońce, jeszcze moment spokoju, jakby zadziwienia tym cudem, dopiero ożywało wszystko harmidrem, gwałtem, spazmem po prostu radości i zachwytu. W mieście nigdy nie zaznawał podobnych wzruszeń. Dopiero dzisiaj najnieoczekiwanie] tu znajduje upojne zasłuchanie wszystkiego, co żyje w obliczu codziennego cudu natury. W zabitym, zatrutym mieście, gdzie trucizna ciągle się nadal rozlewa, ogarnęła przecież i jego, jak na ironię, jak w bolesnej kpinie, styka się z aktem przyrody, któremu tyle razy swą obecnością przyświadczał kiedyś w najszcześniejszych swych latach. Czy to także dopełniać ma sumy jego udręki?

Nie ma już domków z ogródkami, gruzy, jakaś ledwie przetarta pośród nich ścieżka, usypiska, zwały cegieł, kamieni, cementu, kominy sterczące jak tragiczne wyrzuty sumienia, puste oczodoły okien, zwisające pośród żelbetu

strzęp jakiego materiału. Nic z tamtych zapachów odżywającej ziemi, powietrze ciężkie, nasączone osadem pyłu i mdlącego zaduchu.

Używała delikatnej wody kolońskiej, skądże ją jeszcze miała, kędyś w dalekiej pamięci migąło wspomnienie podobnego zapachu, tak płynne, naskórkowe, że nie umiał osadzić go w żadnym konkretnym. Nie dręczył się przypomnianiem, wystarczał mu ten zapach, gdy poprawiała opatrunki, gdy schylała się, troskliwie przysuwając jedzenie. Uważał to za należne sobie, dziwne, że właśnie tutaj, w tym domu, przy tej kobiecie nie miał żadnych oporów, nie odczuwał żadnych wstrętów wobec takiego płaszczenia się, przymilnej służalczości. Bo i tu nie mógł panować kiedyś inny klimat, skoro dzieci mówiły o Polakach, że ich trzeba pif paf, ale w tej wygodzie uciekał od podobnych skojarzeń, nie chciał ich... Wolał tę troskę, czułość, zarys ciemnej linii między piersiami, zapach coś miłego przywołujący z zagasłej pamięci, ciemne oczy z osnuwającą je delikatną, wiotką mgiełką. Wolał... Cóż z tego, że nie on sprowokował to, co ostatecznie się stało, że nie wzywał jej, nie szukał, kiedy nie potrafił odsunąć od siebie, na odwrót, przytulił garnące się ciało. Niemcy nazywali to Rassenschande, śmieszne, on zdaje się teraz myśleć podobnie, bzdura, gdzie indziej sens, bolesny, nadpływający przed oczy płatami rozjuszenia i nienawiści do samego siebie, do niej, do świata, razem z tym miastem, z gruzami, z Schulmowsky'm, żywym czy umartym, z kotem o jednym oku, ze staruchą w czarnej, jedwabnej chuście. Więc tyle jest wart, tyle znaczą jego przysięgi, zaciekłość, wola, przeszłość i dzień jutrzejszy.

Po co się znalazł w tym obcym, nieznanym, zabitym mieście, kiedy tyle szlaków wiodło gdzie indziej, prościej i pewniej. Chory, w gorączce, rwał na pół świadomie właśnie tutaj, jakimś symbolem stał się ten przeklęty esesman Schulmowsky. Symbolem wszystkiego co nienawidzi, wrogości, którą żył, a którą teraz rozmienił w ten oto sposób, wyręczając w posługach jakiegoś Hansa czy Paula, najpewniej gryzącego ziemię kędyś na wschodzie. Rassen-

schartde, to już się staje samą ironią: W obozie gadało się o tym że zgrozą, byłablokowa, rosła: babą, nie starczali jej esesmani, lubiła mieć innych, spośród niewolników, pada ich, tuczyła, by sil. nabrali, by stawali się jurni, i męscy. Głupcy, bydłęta, ze zwariowanego pragnienia przeżycia, nie patrząc na cenę, spełniali dla. blokowej wymagane posługi. A potem ginęli z jej ręki, sama ich ukatrupiała, łatwo było o pretekst, w ogóle nie był potrzebny...

A teraz sam stał się podobny tamtym, nieważny wszak odmienny pejzaż dokoła, spał, gził się z jakąś Niemką, nie mogąca doczekać się swojego łajdaka z Wehrmachtu czy może innej specjalnej jednostki. Po tym wszystkim, co przeżył, co widział, przeciw czemu zaprzysiął się na wszystko co święte.

Jeszcze jedna ucieczka, nie od Emy, nie od wygody w cichym domku, od siebie, tylko od siebie. Jurny, gorliwy, gotowy do posług...

Słońce czerwone, ślepi wprost w oczy. Wstyd przed tym słońcem, przed dniem jasnym, przed pamięcią tego, co było, tych nade wszystko, co byli. Wstyd przed sobą,, za siebie, znowu te krwawe płaty, od rozblasków słońca, od nienawiści dla samego siebie, od beznadziei tej ucieczki, gorzej niż inne zapierającej oddech, wysysającej resztę krwi z żył, trującej jak całe to zabite dokoła miasto...

— Stój i Ruki w wierch... Ty kto?

2.

Chłopiec przeciągnął się, ziewnął, obejrzał dokładnie nie domyte ręce, wreszcie bez szczególnego zainteresowania przeniósł spojrzenie na dziewczynę spoczywającą na przyległym łóżku. Przeciętna była, ani ładna, ani też brzydka. Twarz okrągława, z czerwonymi plamami na policzkach, musiała ją kiedyś odmrozić, nos trochę zadarty, tylko oczy duże, ciemnobłękitne, głębokie, naprawdę ładne, tak ładne, że nie pasowały do reszty twarzy.

22

^Ro&eśmiał się, przeciągną ponownie.

— Pycha spanie na tych małżeńskich łóżach. Kurczę, i^by tak jeszcze było co zreć, jak myślisz. Ziotka?

Przedtem rumieniła się pod jego wejrzeniem. Rozmowa zwrócona na konkret przywróciła jej rezon.

— Ostatnie kartofle wczoraj Ugotowaliśmy i zjedliśmy ostatni słoik śliwkowego kompotu. Pełno w tej dziurawej chałupie wszystkiego, tylko nie żarcia.

Medytował przez chwilę, wreszcie zdecydowanie zsunął stopy na ziemię.

— Nie ma co, s&ieraj się, trzeba w te ruiny, może co saiajdziemy na ząb... Że też tu tyle Niemiachów zostało, przecież była ewakuacja, jechali koło nas, czym który mógł, graty tylko zostawiali po drodze. Pycha było patrzeć, mówię ci. No, zrywaj się. Ziotka, nie ma co dłużej gnić w betach... —przyjrzał się jej uważnie, wybuchnął śmiechem. — Co ty, wstydzisz się? W nocy nic ci nie było do wstydu...

Wciągał ubranie, pokręcił nosem nad jakąś dziurą, wzuł buty i pomaszerował ku drzwiom.

— Nie będę patrzył, jakeS taka wstydliva... Tu cały sufit zarwany, połowy chałupy brakuje. Może dlatego te szkiebry dali nam spokój, pamiętasz, jak nas odprowadzali

' wieczorem spojrzeniem? Niby nastraszeni, a rządzą się po swojemu. Janek... — urwał, skrzywił się.

Dziewczyna usłyszała, zrozumiała od razu. Żeby nie tamto, może by tak się nie tuliła do tego dopiero niedawno poznanego człowieka. Ale tamto ją wciąż napastowało nawrotami świeżej, pamięci.

— Oni pewnie wszyscy nie żyją, prawda? Janek pierwszy upadł, nawet nie krzyknął w samą głowę, widziałam, taka. niewielka dziurka, krwi nawet nie było. A może była, nie wiem, zaczęłam uciekać... Jak ty, jak wszyscy.

— Żyją, nie żyją, kto to wie. Niemców nie było w tym wieła, dwóch, może trzech, inaczej by pognali za nami.

<2hoferą, trzeba nam było śpiewać. Janek właśnie dał się ijajwięcój... A i ty za nim...

Gdzieś z zewnątrz dobiegł ich obcy, drażniący charkot niemiecki. Głosy były mocne, swobodne.

. Nasłuchiwali. Cienie przelatwały po ich twarzach, coś gasło i zapalało się w oczach. Splunął z odrazą.

— Zupełnie jakby tego wszystkiego nie było wokoło.

— Władek, wracajmy prędzej do Polski...

— Głupia. Tu jednak jest miasto, czy jakaś tam jego resztką. Sama widziałaś przedwczoraj, jak jest na drodze. Ani byśmy nie doszli. Zastrzeliliby jak Janka, jak tamtych...

Opart się o framugę, zamyślił. To się wydarzyło przedwczoraj. Dawno i niedawno, ten czas ma obecnie inne wymiary. Ze też się im udało. Jemu i tej Ziutce z wielkimi oczyma... W piątkę się zebrali, nie wszyscy się nawet znali, najwyżej dyszeli o sobie, wiedziało się na ogół którzy, bauerzy przyjęli do pracy Polaków... Gdy tylko się front przetoczył i zabrakło Niemców, zbiegli się jak spłoszone wróble, niepewni, zagubieni w tym wszystkim, tak zagubieni, że chwilowo nie uświadamiali sobie całej radości z faktu, że nareszcie są wolni, nikt już nie pogoni do roboty, nie będzie pomiatał, rzucał żarcie jak ochłap dla psa... W okolicy było niebezpiecznie, dziewczyny zwłaszcza najbardziej się bały. Ruszyli zgrabną furką, ledwie wjechali w las, jacyś z bronią zabrali konia, ich samych przegnali precz. Mogło być gorzej. Nie przejęli się, wiosna, można piechotą. Wesoło im było, słońce, nareszcie intensywniej odczuwane poczucie swobody. Janek, dryblas, najwięcej się cieszył, śmiał się. i żartował. On dał hasło do śpiewu. „Idzie żołnierz borem, lasem...” „Góralu, czy ci nie żal...” Dobrze się szło. Las się kończył, tylko zagaje wykwiwały jeszcze przy drodze. I wtedy w nich rąbnęli, w gąszczu młodej świerczyny mignęło parę postaci, te błękitnawe szy- nele... Janek wspiął się na palce, zachwiał się i z ustami rozwartymi, jakby dalej chciał śpiewać, runął na wznak. Ziutka przypadła wtedy ku niemu, znali się chyba już dawniej... Ale zaraz pobiegła przed siebie, wszyscy rozbiegli się w panice.

Długo potem, we dwójkę już tylko, leżeli w rowie, czołgali się nim, choć zagaje i lasy stały znów ciche i spokojne.

24

przepełnione było blaskiem słońca a od ziemi ostry, wiosenny zapach. Tak dobrnęli do miasta. yr paru ocalałych domach spotkali Niemców, patrzących Ha nich ze strachem, ponuro. Aż się natknęli na to do pół rozwalone domostwo. Tutaj zlegli, nieźle, żeby tylko było co zjeść...

Usłyszał cichy szloch. Tego jeszcze brakowało. Obrócił się. Ziutka siedziała na brzegu łóżka, patrzyła w przestrzeń, z dużych jej oczu, ciemnoniebieskich, lały się łzy, gardłem wydobywał się szloch, cichy, duszony, jak u przestraszonego psiatka. Żal mu się jej zrobiło. A jeszcze z ulicy doniósł się znów jazgotliwy dyszkant kobiecy, jakaś Niemka wyklinała na wszystkie sposoby nie wiedzieć kogo i za co. Na ten głos dziewczyna wtuliła głowę w ramiona, zmałała, jakby chciała wtłoczyć się w rozbabraną pościel, schować się w niej.

— No, Ziutka, no...

— Ja się ich boję... Władek, w tym mieście też strasznie. Ruiny, smród, i ci Niemcy, tylu Niemców, a przecież była ta wakuacja...

— Ewakuacja — poprawił. — Guzik, już oni bez kłóć, nie ma się czego bać. Po lasach, pewnie, jeszcze tydzień temu szły walki, niejedno się kryje, ale tu, w tych ruinach, bo miasta pra&ie jakby nie było, nic nam nie mogą zrobić.

— To co, wiecznie będziemy tu siedzieć?

— Wiecznie, nie wiecznie. Niech trochę się uspokoi.

A i tu jakieś władze muszą być. Sowieni kogoś ze swoich

zostawia, trzeba pilnować zdobyczy, bo znów się rumor podniesie. Znają Niemców niegorzej od nas.

— Zastanawiał się chwilę. — A w ogóle to też głównie wiem. Coś Janek gadał, słuchał radia u gospodarza, że tt wszędzie ma teraz być Polska, ale coś mi się to nie widzi. Niech się tylko uspokoi, pójdziemy czy pojedziemy do swoich. Ty, Ziotka, z jakich stron? — zainteresował się nagle.

-p- Spod Gostynia. To Poznańskie.

— Aha, mnie dalej ó > domu. Aż pod Mławę. Diabli

^ fi

wiedzą, czy żywy jeszcze kto w domu. Stary był aresztowany, jak mnie zabierali, brat w lesie, matką sama została... Taki los.

No, widzisz. I nie wiadomo, co będzie.

Rozzłościł się nagle, na nią, na siebie. Cholera, wojna się kończy, a oni będą tu wyplakiwać jak na pogrzebie.

- Chodź, żreć trzeba, ot co. Brzuch aż skwirczy. Mamy czas, nikt nas teraz do roboty nie goni.

— A pewnie — zgodziła się potulnie. — Ale ty, Władek, mnie nie zostawisz?

— Głupia — zachnął się. Pomyślał przy tym, że tak samo nie chciałby, aby ona zostawiła jego. Zawsze we dwoje różnie. Już nie chodzi nawet o spanie razem. Z Gertą miał dosyć tej przyjemności.

Wzdrygnął, się na wspomnienie tego imienia. Same trupy psiakrew, dokoła, o kim nie wspomnisz.

Ujął Ziotkę pod ramię, przytulił się, potrzebne mu było w tej chwili bardzo to żywe ciepło, zalękniona serdeczność dziewczyny. Dopiero zauważył, że nozdrza Ziotki drgają jak u zająca. Zaśmiał się nagle, takie mu to wydało się swojskie, wesołe. Pal diabli wszystko, co było. Ot, byle teraz jakoś przetrwać niepewny czas, potem się zobaczy, co dalej...

Zagwizdał pod nosem, dziewczyna przygarnęła się tklawiej, dodał jej tym gwizdem wyraźnej otuchy.

Pies znad ścierwa jakiegoś ptaka wyszczerzył na nich zęby, zawarczał, najeżył się. Wychudły był, ze ślepiami nabiegłymi krwią, z zapadniętymi bokami. Ominęli go wielkim łukiem. Władek rozglądał się za jakimś poręcznym kamieniem, już się po niego schylał, nagle mu się odechciało, wzruszył ramionami, będzie tam z kundlem wojował.

Uliczka zachowała swój dawny wygląd, tylko niektóre parterowe domki rozsypały się, zległy niekształtną płataniną drzewa i cegły, w innych ocalałe gdzieniegdzie szyby odbijały poblaskami wysokiego już słońca. W jednym tylko miejscu piętrzyło się potężne gruzowisko, z nagła tutaj wyrosła budynek jakiejś fabryki czy magazynów

26

i

stanowisko niemieckiej obrony, pogruchotane teraz artylerii czy ciężkich czołgów. Frasobliwie szukając przez usypisko, natknęli się wzrokiem na nie-tabliczkę z niezgrabnie wypisanym ostrzeżeniem: g, Minen! Musieli przedzierać się dalekim kręgiem przez jakieś ogrody i podwórza, gdzie dopiero zaczynała Strzelać świeża trawa jasnymi płatami.

Wtedy minęli ten skulony w samoobronie trup kobiety. Bokami osłaniała głowę, spod spódnicy wyzierała stopa w pretensjonalnym, nie pasującym do tej pory roku pantoflu. Twarzy nie było widać, trudno było wnioskować, młoda byś czy stara. Tylko że leżała podobnie jak Gerta, w podobnej pozycji.

Nachmurzył się, splunął, nie mógł odegnąć od siebie tamtego obrazu...

' Nigdy by o to Birkego nie podejrzewał. Wariat był, po-popędliwy, pyszałek, ale żeby własną córkę mordować?

Diabli wiedzą, o co mu poszło. Od śmierci żony tak zdur-niał. Sam ją przecież wykończył, skatował, zaniemogła od tego czasu, kwękała, wyśmiewał wołanie o lekarza. Ale za tranmą, gdy szedł — styczeń był, zaraz po Nowym Roku, mróz trzaskał, grabarze na cmentarzu płytko kopali, klnąc W głos — to płakał nad grobem, padł na kolana, ręce łamał, gadał do siebie. Wrócił już jakby odmieniony. Niby ale inny.

Bo nawet na ich romans patrzył teraz przez palce. "Wiedział od dawna, jeszcze za życia żony, jesienią to było, przyłapał ich pierwszy raz, nad drewnią. Zszedł na gorącym, Gerta, rozkładała się bezwstydnie, on sam, Władek, stał bez portek. Birke nie krzyczał, nie narobił wrzasku na całą okolicę. Dziewusze kazał iść do domu, do niego rzucił krótko, aby się ubrał, a później bez słowa raz i drugi ętrae&ł w zęby, twardą miał łapę, kościstą. Tak sanjo milcząco dołożył trzeci raz, aż pchnięty tym uderzeniem Władek poleciał na'drągi stanowiące pokrycie stryszku. Wtedy Tjgtstde stary zagadał, że następnym razem to go po pro-icze... W chałupie jeszcze rozprawił się z Gertą, drugi dzień dziewczucha nie mogła...

27

Nawet się po tym nie zrobił ostrzejszy w robocie. Może dlatego, że sam stracił do niej ochotę. Wiezorami długo kręcił gałką przy aparacie radiowym. Greta mówiła, że szuka stacji francuskich, znał trochę ten język z poprzedniej wojny. Musiało mu się nie widzieć to wszystko. Po trosze obojętniał do roboty i do spraw ogólniejszych. Szczególnie od śmierci żony. Siedział, że młodzi dalej żyją ze sobą. On, Władek, może by już i nie chciał tych rozkoszy, ale bo to z Gertą można było cokolwiek poradzić? Paliła się bezwstydnie, ledwie go zobaczyła, zaczynała się na przemian rumienić i blednąć, oddech jej

stawał się krótki, ciągnęła go w pierwsze jako tako ukryte miejsce. W końcu nie była ani brzydka, ani klocowata. Ta Ziutka ani się może do niej umywać...

Inni w wiosce też czekali nie wiedząc na co. Robili zapasy, chowając je przemyślnie po ukrytych loszkach, w diabły szła dyscyplina i ślepy posłuch sprzed paru jeszcze tygodni, roboty nikt już ani myślał pilnować. Inaczej Birke. Bez zapału, ale do ostatniej chwili musiało u niego iść jak w zegarku. Aż do nakazu ewakuacji. Na pierwszą wiadomość zaśmiał się tylko, kazał córce i Władkowi iść do normalnej pracy. Sam zaś stał przed bramą swej bogatej chałupy, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach patrzył na odjeżdżające fury zawałone wszelkim dobrem, betami, babami i dziećmi. Na złośliwe pożegnania nie odpowiadał w ogóle, jakby pogardzał tamtymi wszystkimi. Ktoś ze starszych mieszkańców nie wytrzymał, zawołał do niego:

— Zostaniesz, by czekać na Polaków? To sobie ten krzyż za dziewiętnasty rok powieś jeszcze na piersi, ty durniu!

Wtedy chyba trzasło coś w Birkem do reszty. Uciekł chyłkiem sprzed bramy, cały dzień przesiedział w chałupie, rozłożył na stole odznaczenia i pamiątki wojenne. Gdy zaszedł go na tym, stary Niemiec wyciągnął spośród innego żelastwa stylizowany krzyż, wskazał nań palcem.

— Jak było to wasze Aufstand, wtedy to zarobiłem... Na gewehrze miałem osiem karbów, słyngąłem jako strzelec, twoich tak notowałem. Co się patrzysz? Najgorsze są polskie gnidy...

28

dłuższej chwili, tej chwili, kiedy mu tak świerzbiały by rzucić się na starego, złapać za gardło i dusić, na raty, osiem razy, tyle, ile karbów było na tej jego po tej dla obu ciężkiej chwili, Birke dorzucił nagle spokojnym, łagodnym głosem:

. — Gerta śpi pod moim dachem z Polakiem, gzi się jak ostatni wycirus. Do czego to -doszły Wielkie Niemcy.

Tej nocy spał czujnie, zamknął się w swoim pokoiku, próżno Gerta nachalnie się dobijała. Ogarnął go przeraźliwy strach przed starym Niemcem, nie mógł zasnąć, zlewał się potem. Czemu wtedy nie uciekł?

Następnego dnia oddział żandarmerii przeszukiwał wioskę. Kilka rodzin nie usłuchało nakazu ewakuacji. Krzyki i groźby, dano im jedną godzinę czasu, jeden tylko Burkę nie lamentował, bąknął, że godzina czasu to aż za wiele.

Żandarmi odjechali, zapowiadając rozstrzelanie, jeśli po godzinie zastaną kogoś na miejscu. Stary przytaknął ruchem głowy. ,

Nie podobały mu się wtedy oczy Birkego. Niby te same, płowe, skryte pod rozrostłymi brwiami, ale i jakieś inne, twardsze z dziwnymi błyskami. Gerta lamentowała, jakże, opuszczać wszystko, już lepiej nie żyć, garnęła się do ojca, gdy zaś ten odpowiadał obojętnością, niemal jawnie tuliła się do Polaka. Ucieszył się, gdy Birke kazał mu iść do stajni, zaprzęgać oba konie do najmocniejszej fury. Więc jednak naprawdę chce jechać, cholera, trzeba będzie się urwać w drodze, nie będzie pchał się w głąb Reichu, nie tędy mu droga...

. Właściwie nie słyszał nic. Ale niepokój w nim narastał, podrażniało mocowanie się z koniem, spoglądał co raz ku rozwartym szeroko drzwiom. I wtedy ten głuchy cios, pisk człowieka, nie człowieka. Przypadł ku wyjściu.

Gerta rozłożywszy ramiona, skrwawiona — cios siekiery musiał ominąć głowę, rąbnął ją w kark — biegła, a właściwie sunęła nieswoimi, podrygującymi skokami do przodu, aż zwała się głucho pod płotem, osłaniając rękami głowę, kuląc się cała...

. Z wozowni wiodła na przeciwległą stronę od wejścia

29

maleńka furtka. Runąłw nią, nie tyle widząc, ile przeczując, dokąd teraz skieruje Birke swe kroki. Dobrze wyczuł, od furtki, gdy biegł co sił w stronę gęstej łożyny nad pobliskim strumieniem, dobiegło go głuche przekleństwo. Birke. Nawet nie próbował pogoni.

Wymarzył wtedy nad strumieniem, leżąc na wilgotnej ziemi, bojąc się własnego oddechu. Zandarmii musieli przejeżdżać przez wioskę, słyszał ich głosy, klątwy, strzał jeden i drugi. Potem zaległa cisza, tylko wiatr przeciągał pomiędzy witkami łoży pokrytymi cieniutkim, jeszcze nie wyklutym listowiem. Zbierało się na wieczór, gdy odważył się przekraść w stronę chałupy. Na ganku wisiał Birke, z nic nie zmienioną, tak samo ponurą twarzą. Pod płotem kuliła się Gerta. W kuchni na stole wśród innych żelazideł czerniał krzyż za zasługi w walce z polskim powstaniem dziewiętnastego roku. Ten jeden, jedyny strach, strach przed Polską, zwyciężył Birkego.

Jak nieprzytomny chwycił swój węzełek z rzeczami, nie patrząc, są gdzieś jacyś Niemcy czy ich nie ma, przez pola pognął do niedalekiej kolonii, gdzie tak jak on niewolniczą pracę spełniał u jakiegoś bauera długi Janek, ten, którego esesowcy czy inni łazicy niemieccy zastrzelili przedwczoraj, o krok jeden zaledwie od pełnej wolności...

& teraz ta kobieta, może dziewczyna, tak samo jak Gerta. Jakby ona, również pod płotem, w tym samym przeraźliwym, mocniejszym nad wszystko strachu kuląca się przed oczekiwanymi ciosami.

Władek, Władek, co z tobą, czemu tak stoisz i patrzysz na tego trupa? Władek, ty znałeś ją może! Znałeś?

— Nie... ją może znałem, nie wiem. Tam była inna...

Schmurzył się, splunął.

— Idziemy, Ziutka... Diabli nadali tego trupa...

Dziewczyna drżała, choć W słońcu było ciepło, wokóło

jaśniało, od ogrodów niosły się świeże zapachy wiosenne, tłumiące często o wiele ostrzejszym zaduchem i smrodem, które napływało od zburzonego centrum miasta. Wziął ją pod ramię. Spojrzała na niego Z wdzięcznością, znów się musiał. uśmiechnąć do drgających zajęczo nozdrzy.

30

tjptzyby wało coraz bardziej piętrzonych. I o dziwo, nici też b[^]ło coraz to więcej. Mijali ich, ogłą- uważnie i sami równie czujnie tropiący obce ruchy Słowa były niemieckie, ciągle tylko niemieckie. Sp Czyjeś ręce musiały już pracować w iym mieście. Wy-4eptane ścieżki wiodły gdzieniegdzie przez usypiska, od-"neucony gruz otwierał w paru miejscach szersze przej-ida. W takim przejściu minęli starszą wiekiem Niemkę. Ha usłyszane polskie słowa przystanęła, skurczyła się, •kłoniła im nisko, bardzo nisko.

— Ma baba stracha — zaśmiał się Władek, zarazem podrażniła go ta osobliwa pokora. — Gotowi teraz człowieka po rękach całować, cholery.

Nie wszyscy byli tak pokorni. Spotykali inne spojrzenia, spod nasuniętych powiek, jakby kryjących uczucia, których lepiej nie ujawniać przed światem.

— Teraz,. Ziotka, ważne, aby załapać coś do żarcia. Patrz po sklepach. Porozbijane wszystko, ale może coś się jeszcze znajdzie i dla nas. Łajdusy, już tu robią jakieś porządki. Deskami poprzegradzane wejścia, przecież tego, kiedy wchodziliśmy, nigdzie nie było. Przedwczoraj. Co chcesz od tegoge[^]ba?

Dziewczyna zatrzymała starszego wiekiem Niemca, pytała o miejsce, gdzie można by kupić jakieś jedzenie. Tylko głową potrząsnął, zamachał w przeczeniu rękami. Nichts, nfchts, nigdzie :nic nie ma, głodno, głodno... I tak machając wyschłymi dłońmi, oddalał się od nich czym prędzej.

— Daj im spokój, sami potrafimy sobie poradzić... Tu jakieś artykuły chemiczne, farby, takie gówna... Szukajmy dalej.

Dopiero w poprzecznej ulicy, w którą teraz skręcili, znaleźli szczątki czegoś, co musiało być sklepem spożywczym. Zapadnięty strop, wyrwane z framug drzwi, resztki okna. J dwie świeże deski zbite na krzyż właśnie w dziurze aa miejscu drzwi. Odsunął ze śmiechem deskę, też pomysł, «ł*wia£ takie zapory... W sklepie niewiele było. Jakieś z kostkami, Ersatz kawy, rozwalone słoje z bura-marmoladą, prasowana herbata z ziółek, coś w ro-

31

dzaju mydła. Władek skrzywił się, rozglądając się uważnie wokoło. Ara paczki papierosów, ani czegoś konkretnego na ząb. Żeby jakieś suchary, konserwy. Stuknął się w głowę. Pewnie, tu były jedynie przydziały, ale na zapleczu sklepikarz mógł mieć także i coś lepszego... Przez gruzy szaf i lad przedierał się głębiej w rozwalone wnętrze. Jakieś drzwiczki zwiślały smętnie na zawiasach. Pchnął je, pusta komórka. Większe drzwi przedziurawione dużym odłamkiem wiodły na prawo. Napał na deski ramieniem, zakurzyło się, opadła jedna i druga cegła. Ziotka zakrzy-czała, żeby uważał, jeszcze się im wszystko zwali na łeb. W tej samej chwili mocny krzyk: Hande hoch poderwał ich, kazał odwrócić się w kierunku wejścia od strony ulicy. Czterech mężczyzn, od razu zobaczyli, nie uzbrojonych, z jakimiś opaskami na rękawach, wzywało ich do siebie. Uciekać nie było dokąd, jedyne wyjście wiodło na ulicę, prosto w objęcia tych jegomościów, trzech podeszłych wiekiem, jednego szczeniaka, tylko go kopnąć, zatoczyłby się.

— Was machen Sie hier? Rauberei, nicht wahr?

Nie od razu zorientowali się, że mają do czynienia z Polakami. Wtedy dopiero ożywili się jeszcze bardziej, stali się nagle bardzo buńczuczni i ważni. Chwila, przyszedł im z pomocą drugi podobny patrol, też z opaskami.

— Rabusie, złodzieje, już wam burmistrz pokaże...

Burmistrz? Dziewczyna i chłopiec spojrzeli po sobie zdumieni i przerażeni. Burmistrz? Zatem jest jakaś władza, wyraźnie niemiecka. Co się dzieje, co jest z tym miastem, co z tym gadaniem Jankowym, że tu powstać ma Polska? Niemcy gotowi teraz się na nich odkuć. Uciec nie bardzo jest jak, tamtych siedmiu, otaczają ciasno, prowadzą...

— To pewnie ich jakaś policja czy straż, jak myślisz, Ziutka?

— Nicht sprechen, Maul halten — zawarczał któryś chrapliwie.

Umilkli przerażeni. Dobrze Ziutka mówiła, trzeba było wiać z tego zrujnowanego miasta, które nagle odżywa niemczyzną. Burmistrz każe ich pewnie aresztować, może

32

czyżby coś &ię zmieniło na froncie, wstrzymali albo nawet odparli ofensywę sowiecką? ocalałym, tylko pozbawionym szyb budynku kłę-się od Niemców,' starych i młodych, kobiet i męż-zaaferowanych, przejętych sobą, zdziwionych wi-pary aresztantów, wiedzionych z takim triumfem, byli nie wiedzieć jak poszukiwanymi przestępcami. Któryś z eskortujących z dumą rzucił w tłum słówko o polskich rabusiach, powiało po. korytarzu zduszonym, pełnym satysfakcji aaa, zaraz potem jedne drzwi, jakaś relacja, drugie, za biurkiem brodaty jegomość, który spojrział na nich zdziwionymi oczyma.

— Verzeihew Sie, Herr Burgermeister... Melde gehorsam, polnische Banditen...

— Ej ty, zaćpany pysku. Tylko nie Banditen — zach--hął się Władek, mając już dosyć tej szopki, z której niczego nie mógł zrozumieć.

— Stfite...

Głos hrodacza uciszył i Władka, i hałaśliwych gości z opaskami na rękawach. Spokojniej już wyłożyli, że oto złapali tę polską parę na gorącym uczynku rabunku sklepów. Burmistrz słuchał z niepokojem, choć i z nutką pewnego zadowolenia. Zwrócił się do Władka, pytając ,kim są i czy to prawda.

— Gówno prawda, to jest guzik... — dopiero spostrzegł •ię, że w zdenerwowaniu odpowiada po polsku. Więc już po niemiecku tłumaczył, że pracowali u bauerów, że po ewakuacji .wioski chcą wrócić do swoich rodzin, głodni, myśleli, znajdą w sklepie coś do zjedzenia, nie chodziło im o żaden rabunek, zresztą przecież wszystko rozbite i w ogóle, czego się ich czepiają..

Brodacz przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki, oznaj-n^ł, że niezależnie od wojny, od frontu, porządek musi być tS^oymany. Dlatego Utworzone są tymczasowe władze, jest |»rządkowa, urzęduje on, burmistrz. Ich zaś, złana uczynku burzenia porządku, przekaże jed-i. radzieckiej.

, 'l

Jafia się niebo t. I

33

Żeaz eoś piipfan* na' skrawku papieru, przybił dziWaczną w kształcie' pieczętkę, wręczył jednemu z ludzi z ópaską.

-i. Zur rttssUehen Kommandantut...

— Władek,' żeby oni tym ruskim nie powiedzieli czegoś złego, wiesz sam; jest wojna, nikt się długo nie zastanawia.

—'E, tom już się dogadamy. Cholera, żeby. te sukinsyny miały mnie teraz , aresztować, mało to przez całą wojnę człowiek się od nich wyderpiał^.

.Przed budynkiem zajęтым przez komendanturę " miasta wartownik przegroda! im wejście pepeszą.

— Voni Biirgermeister, mit zwęi.Arrestanten —0uma-c^płNiemiec.

— Ach że ty mordo hitlerowska! — niewytrzymałWła-dek. ,

Spokojno, spokojno, _ Tebiatiszki — gniewnie zamruczał żołnierz, alę w oczach jego było raczej, rozbawienie i zwykła ciekawość. Pepeszą wskazał ha drzwi wejściowe.

Na korytarzu dogonił ich jego głos:

— Wy Polak, rebiata?

-r Pólałei...

— Tagda nie biespafcojtieś.,.

<— Aha, dobrze ci tak gadać zamruczał Władek.

0.

Każdego dioia oczekiwali teraz jej powrotu z niecierpliwością. Zajął pierwsze miejsce w domu, ona jedna umiała wprowadzić tu jakiś ład, minimum poczucia spokoju i porządku w nerwowe, wywrócone do góry nogami życie. Z jej nastrojów przejmowali smutek czy nadzieję. I jakby się. jej bali zarazem.

Wiktor śledził córkę ukradkowymi spojrzeniami rzucanymi ze swego kąta spod pieca. Gdy zwracała twarz w jego stronę, kierował wzrok na podłogę, jakby spodziewał się tam znaleźć coś szczególnie ciekawego. Dzieci wyniosły się cichutko do łóżek, nigdy nie łączyła ich z ciotką specjalna

34

również zwijała się cicho, na palcach, sta-Btół liche, tyle że gorące jedzenie. Jedna Chri-zwracała uwagi na siostrę, przynajmniej takie wrażenie. Mozolnie zwijała w Kłębek nici ze starego, ;o swetra, wiązała je w supelki, przesuwiała długimi palcami o przeświecających niebieskawo

od samego rana był ponury i wietrzny, W jednej dbw&l jakby zniknęła wiosna, natrętnie każdego dnia Wc&erajęca się dotychczas do okien. CMI północy dął wiatr, co jakiś czas zrywał ostrymi porywami,

nawilgłe śmieci powijając wtedy z ziemi. Po szybach ściekały brudne strużki wody. Do mieszkania wkradał się przenikliwy ziąb. Smórczowiek skulił się, zatarł ręce, pomyślał, że warto by jałósie napalić jeszcze raz w piecu, trochę węgla zostało. W komórce, co tam w końcu żałować. Może w ogóle trzeba będzie aię stąd wynosić? Wiadomości przynoszone przez (teldft nie były pocieszające. Czemu dziś ona tak bardzo ponura, ani słowem się nie odezwie znad żarcia; ale nie odbiera Jej ten zły nastrój apetytu, je systematycznie, po- woł, widać każdy ruch dokładnie żującej szczęki, drganie gardzi&i przełykającej kę^r. We wsaystkim. jest równie dokładna, typowo niemiecka cecha, w niej jednej tak wy-9*4OS, w odróżnieniu od całej rodziny. Żeby choć odez-wtffc fltę słowem, wie wężakże więcej odlnnych. Przy-tóę jej ten język rosyjski z kursu Bund Deutscher Mfi-r-<M» przydaje się teraz całej rodzinie, (tyjftby już te przywiały jedzenia, sam. tylko chleb, który przynosi, woj-■kowyt dobry chleb, choć może 2j>ył zwarty, jak dobrze V^tta glina, nic w. nim pulchność wyrobów Stolzego. IgS-ina Stolzego, nie ma jego piekarni. Zostały tylko ruiny, podobno zginął pod nimi, przysypany gruzamł jak się obojętnie myśli dziś o tych sprawach^ *" kończy nareszde jeść, skórką chleba dokałdnie wyraż obrzydliwie patrzeć.

i ta córka, niby, jak mówią sąsiedzi, naj-udana z całej rodziny, a taka zarazem inna, obca, io przeniknienia. Z nagłą urazą patrzy na nią, jak

35

wysoka, zgrabna, trzymająca się prosto, wstaje z niezwykłą u siebie gwałtownością od stołu i podchodzi do okna, za którym znów rozdeszczyło się, rozszamotał wiatr, tnie bryzgami o szyby, aż dźwięczą cienko i przenikliwie.

W kuchni panuje cisza, poruszają się gorliwie palce Christine, wiążące starą, dwakroć już przerabianą włóczkę, ciężko wzdycha pod ziębnącym już piecem zestarzały w ęstatnim roku Wiktor. Gizelda wyprostowana jak struna tkwi przy oknie i zdaje się wypatrywać czegoś za nim pośród szarugi. Szyby wciąż odzywają się ostrym, przykrym dźwiękiem.

I wtedy Gizelda, nie odwracając się, mówi głośno, ale jakby tylko do siebie:

— Czyż możliwe, żeby to już był koniec? Ist alles wir-klich schon aus?

Nie rozumieją, choć zwracają wyczulone nagle twarze w jej stronę. Nie uważa za wskazane wprowadzać ich w tok swych myśli. Wysokie czoło przytyka na moment do zimnej tafli szkła, odczucie chłodu przywraca ją rzeczywistości. Odwraca się gwałtownie, przesuając po rodzinie obojętnym, lekko wzgardliwym spojrzeniem, cedzi wolno, jakby każdym słowem zadawała sobie przymus: — Komendant powiedział dzisiaj, iż wiadomo już nieodwołalnie, że na te ziemie przyjdą Polacy. Po samą Odrę. Tylko ich patrzeć, każdego dnia mogą się zjawić... Cieszył się z tego, nareszcie, mówił, odpadną mu kłopoty z utrzymywaniem porządków w mieście.

Krążyły uparcie takie pogłoski wśród Niemców, nadpływały na falach radiowych, nikt nie chciał im wierzyć, nie takie wersje rodziły się i kursowały przez cały czas wojny, cóż dopiero, gdy przyjęła tak nieoczekiwany obrót. Teraz też patrzą na Gizeldę, pojmują słowa, ale treść ich dociera do nich wolno, z uporem i wzdraganiami.

— Polacy? A z nami co będzie?

Ojciec mówi to dziwnie obojętnie, udaje, czy naprawdę tak zobojętniał na Wszystko?

— Z nami? — machinalnie powtarza Gizelda, potrząsa głową, nagle coś ją podrażnia w tonie ojca
— Z nami?

36

raz jeszcze ręką zgarniając od czoła jasne jakaś ponura, pełna Wewnętrznego napięcia. iUę. — Nie ma nic nieodwołalnego. Wojna trwa Przyszli Rosjanie, mogą przyjść i Polacy. Biją się ich wojska razem z bolszewikami. Niech sobie Nas stąd nie wyrzucają, tylu milionów ludzi ^;można Wyrzucić, byłoby to za proste. Będziemy nadal tkwili na miejscu czekając...

u- Na co? Na głód, na biedę, na śmierć? biadoli Chri-stłfte, z każdym dniem mniej teraz odporna. Od śmierci Wfflego coś się W niej załamało, osypuje się jak zł a farba to, co uważali za jej właściwą naturę.

Gizelda śmieje się dćhym, niedobrym śmiechem.

— Wojna trwa. Niemcy się biją. Jeszcze nieraz mogą zachodzić przesunięcia frontów czy granic. Każdej sekundy może «astąpić atak nowej Wunderwaffe, o której mówili F&hrer i* Reichaminister... Każdej sekundy, rozumiecie? Wtedy źle byłoby * Rosjanami i Polakami...

Wiktor niecierpliwie porusza się na swym krześle pod wyiębłym piecem. Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale Gtoel&ł gwałtownie obraca się znowu ku oknu, nasłuchuje uważnie. Poprzez mrok i szarugę dodera jazgotliwy, ostry trzask broni automatycznej. Przygasa i znów rozszcze-kuje się ze wzmożoną siłą.

%- Od Starego Młyna.

W głosie dziewczyny znać zanik napięda. Obojętnie słucha słów ojca, odpowiada spokojnie.

— Nie mogłaś więcej dowiedzieć się od tego swojego komendanta? .

Nie. ja ich o nic nie pytam.

—" Mogłabyś dużo wiedzieć.

Nić chcę nic wiedzieć.

I znów uśmiecha się tylko do siebie. Christine patrzy na' siostrę, aż czoło marszczy w intensywnym myśleniu. : ffoże tak i najlepiej. Z nimi tak tylko trzeba. Praca 2NT\$ea, choć niektórzy z sąsiadów i na to źle patrzą, wyrwał się dzisiaj, że to nieomal zdrada... W każdym Żadnej komitywy, nic bliższego... — ojciec wymru-

37

kuje te słowa, brzmią tak, jakby za każdym z nich stawiał pytajnik, kwestionujący słuszność wypowiedzianych sądów.

Christine ciągle badawczo patrzy na siostrę usiłując ją przeniknąć. I nagle uśmiecha się także i ona, drwiąco, zjadliwie. Gizelda napotyka ten uśmiech, krzywi się. Zdaje sobie sprawę, że siostra wie. Musi

wiedzieć, odkryła to przedwczoraj. Wracała wtedy później niż kiedykolwiek, zaopatrzona w przepustkę, dawno już było po policyjnej godzinie. Christine spotkała ją, wysoko uniosła w górę lampkę karbidową, w tym jasnym, przenikliwym świetle przyjrzała się jej, poznała po wyrazie twarzy, może po oczach. Dziwnie, że właśnie oczy zawsze to potem zdradzają. Tylko w oczach długo, długo jeszcze tają się przeżyte uniesienia, tego nie można w nich zgasić, w źrenicach tkwi przyznanie się do winy... Winy? Jakaż tu wina?

Gizelda wytrzymuje ironiczny uśmiech starszej siostry. Słabą jest ta świadomość Christine, szczątkową. Nie wie ani kto to był, ani dlaczego tak się stało, ani co będzie dalej. A Saszy już nie ma, znów gdzieś pojechał, wróci najwcześniej za tydzień, tak obiecywał, mogą zresztą i dłużej go przetrzymać przy sztapie. Sasza, ładny chłopiec, tyle że nieokrzesany, te jego owijacze śmierdzą, choć stara się je przepierać co dnia. Wszyscy oni podobni od zewnątrz. Sasza, wiele z nim rozmawiała.

— A jeżeli każą Niemcom wyjeżdżać? — rzuca nagle pełne niepokoju pytanie milcząca dotychczas matka.

— Też może tak być... Mogą znów kazać optować... — Wiktor krzywi się na to słowo, na kojarzące się z nim wspomnienia. W tym skrzywieniu jest niechęć, żal do losu, powracająca bolesna niepewność. Znów optować? Tak bo to wtedy się nazywało, w dwudziestym roku. Długo nie mógł się zdecydować... Józef, brat, starszy o blisko piętnaście lat, został... A teraz znów może być to samo. Dziwne, jak się powtarzają podobne sprawy. Znów, tu czy tam, gdziekolwiek, będzie źle, wyłoni się jakaś próżnia, ani przy ziemi, ani przy niebie...

— ■ Co tam teraz sobie niewiadomym głowę zawracać. Gizelda przyniosła kartofli, głodno nie będzie. Strach,

38

Śiędzi«je, ani chleba, ani niczego... Chri-

kpewnie już śpią? I nam czas, co tu wysiady-

f? ■ ' '

i Christine skinieniem głowy przytakują słowo-ale żadne z nich nawet nie drgnęło z miejsca, łba spoglądają na Gizeldę. Wciąż tkwi przy oknie, siada, smukła, wyprostowana, nie widzą jej twarzy, ' . | wt6Ćpna jest do nich plecami/Wiatr uciszył się, nie tłucze o sayby. Tym donośniej przetoczy się czasem jeden czy drugi strzał, nie pozwalając przygasnąć ani na moment świadomości czasu, w jakim żyją czy wegetują.

Głucha detonacja wstrząsnęła z nagłą ścianami domu, faluje płomień karbidówki, z sufitu opada płat tynku. Wybuch jest długi, przewala się grzmiotem- Wiktor zrywa się z miejsca, Christine nieruchomieje jak posąg, tylko matka terkoce. półgłosem, pośpiesznie: — Vater umer, der du bist hnBimmel!*,.- / .

■ —5<f8e syczy Gizelda, ciągle przy oknie, ciągle tak samo skupiona, % tyłu widzę lekkie drganie jej ramion, poblasfcpc&oinyka lampki skaczący po włosach. Kolejny wybuch, długi, przewalający się echem. I wieszde nagła, zaskakująca teraz cisza. — To me był artyleryjski strzał, to było coś innego...

— mówi Wiktor, nie kończy zdania, bo oto Gizelda odwraca się spokojna, zgasło to przycażone napięcie w jej twarzy, w wyrazie całej sylwetki. Mówi półgłosem, tłumiąc ziewanie: r* MutU łna^Scję, nam też czas już do snu. I przymyka powieki, widzi, Christine pilnie śledzi za wyrazem jej oczu, może dostrzec, że nic w nich senności, ie są ożywione i błyszczące. Że też te jej oczy zawsze są tak bardzo wymowne. Sasza także to mówił, on też coś w nich tfofftcsMńf.

• JR! V -

fjybgŚKz siecze o okno tak samo jak przedtem.

3

iP*1* za stołem, w pokoju już, jakże bo to w kuchni P^owaG gościa, zjeżdżającego z zapowiedzią nadziei,

39

choć co prawda, nadzieja to i niepewna, i dziwna, niezwykajna, wszystko jeszcze może się za nią czaić.

Wiktor jest najbardziej zadowolony. Tym razem przełamał upór kobiet, w piecu huczało, przyjemne ciepło rozchodzi się po całym pokoju. Mokry, zimny nagle się zrobił ten kwiecień.

To zadowolenie z ciepła, jeszcze pogłębianego paru kieliszkami wódki przywiezionej przez gościa, tkwiącym w ustach smakiem dobrej kiełbasy, z Polski, jak mówii ten Josef, otóż to zadowolenie ogarnia w odczuciach Wiktora także sylwetkę bratanka, który zjawił się tak bardzo nieoczekiwanie, wnosząc w dom zupełnie nowe nastroje. Niegłupi on jest, ten Josef, myśli Wiktor, przymykając na chwilę powieki. Ojca swojego, też Josefa, prześcignął. Tamten znał się tylko na robocie, od rana po noc, a już o jakiejś polityce nigdy nie miał pojęcia. Jak wtedy, z optowaniem. Otrząsnął się z namów jak pies z nagłej kąpieli. On nie pojedzie, i w Polsce też znajdzie się miejsce dla niego. Żonę ma Polkę, wszystko mu jedno, gdzie będzie mieszkał. Co się ma poniewierać po obcych światach. Może wygrał, na ten przynajmniej czas, który przerwała wojna wypowiedziana przez krzykliwego matoła, Hitlera. Bo potem i Josefowi przestało się wieść w Polsce, aż wreszcie zmarło się braciszkwowi. Pisali, wywiadywali się, odpowiedzi nie było, a że i wcześniej kontakty pomiędzy nimi były rozluźnione, dali spokój. Dość było własnych utrapień. A teraz ten jego syn, młodszy Josef, podobny do ojca jak dwa jabłka z tej samej gałęzi, tyle że z oczyma niespokojnymi, z chytrawą, lekko obrzękłą twarzą. Ciekawe te wieści, z którymi przyjechał. A myśli też śmiało...

Christine, przez cały wieczór nie wiedząca, co począć z rękami, zawsze zajętymi włóczką, śmieje się teraz cichym, nieco schrypniętym głosem, tak mało wypita, dwa kieliszki najwyżej, a znać to już po niej.

— Ja już nic prawie po polsku nie pamiętam. Dżendobry. piniondz, ociec, niek żyje...

Gość śmieje się rehotliwie, ale przyjemnie, klepie Christine po ramieniu.

40

poradzisz sobie — mówi po polsku, niego przez chwilę, kiwa potakująco głową. widzisz, rozumiałaś. Prędko się poduczysz. Bo ció-rpewno dobrze jeszcze pamięta, prawda? Cioci matka, za Niemca, pamiętam...

— Kubjack jej było po pannie.

Kubiak, to wiem, już to samo wystarczy... No, wypoćmy jeszcze. Coś Gizelda długo nie nadchodzi. Co ona tttbi u tych Rusków po nocach?

— Pewnie uczy ich niemieckiego...

Nie zwrócił uwagi na złośliwy chichot Christine. Żrą się siostrzyczki pomiędzy sobą, niech żrą, nie szkodzi. Od-stawił kieliszek, odwrócił się do Wiktora.

Ja ga parć dni znowu wrócę i jużr tymczasem tu u was zostanę. Będziemy razem czekać, aż zjawi się jakaś polska władsta. Rozejrzę się przez ten czas. Wiesz, stryjek, rau-pooglądać to i tamto, żeby nam spod nosa nie chapnęlięo lepsze. Jak się bowiem ruszy tu wszystko z Polaki, dopierosię zacznie. Wygłodniałe tam to, łakome na wszystko... Dlatego lepiej być pierwszym... Wy też musicie pemy&eć o sobie. Gizelda mogłaby tutaj wiele dopomóc, ma tych ruskich oficerów, oni nie będą się inte-nitowali, eo u kogo się znajdzie. Muszę z nią pogadać...

Otta kręci nosem na to wszystko, Josef.

Przestanie, już ja znajdę z nią wspólny język. To nie-głupia dziewczyna. Tylko czemu nie wraca?

^■"Cały już tydzień trzymają ją tam do późna. Od tych beffi^b, które podłożył ktoś pod magazyny wojskowe. Oltnwj od razu jest w mieście, przesunęli godzinę poli-aa wcześniejszą, burmistrza wezwali, zagrozili, będzie ^Wwlgj jeżeli znów coś podobnego się zdarzy.

z tymi bombami. Tego, co się stało, i tysiącem nie ^Odwróci. Pokorne ciele dwie matki ssie, jak pFolacy... jak my mówimy... Otóż jak tylko zjawią się Władze^ zgłosicie się do nich. Z tymi dokumentami, \matfca nazywała się Kubiak, że w ogóle jesteście przyjechaliście wtedy, bo rodzina, ale tutaj nie było Niemcy' nie uważali was za swoich. Czu-

41

jecie się Polakami, jeszcze język pamiętacie, nawet dzieci* czy wnuki wasze umieją, tych parę słów zdążą się poduczyc...

— Uwierzą?

— Uwierzą. Jeszcze będą cieszyć się z tego, że tutaj są polskie rodziny... W gazetach polskich pełno o Ślązakach czy Mazurach, że tacy dzielni, przetrwali pod Niemcem, zachowali mowę, ot, gadanie. Widzicie, oni zabierając te ziemie, muszą to jakoś i przed samymi sobą i przed innymi tłumaczyć, że kiedyś tu byli, ale potem Niemcy ich wyrzucili. Tylko niektórzy przetrwali. Jak wy tutaj.

— Sąsiedzi powiedzą, że to nieprawda.

— Przed sąsiadami też się musieliście ukrywać. Nawet na gestapo was kiedyś wzywano, nigdy nie obdarzono zaufaniem. Baliście się listy pisywać do rodziny w Polsce, ot, choćby do mnie. A ja przy

okazji też swoje powiem. Szkoda tylko, że nie mamy polskiego nazwiska, jak matka cioci, jak moja babka. Mittwoch — to ani tak, ani siak, że musieliście zmienić nazwisko. Nazywaliście się po prostu chyba... — uderzył się w czoło. — Można powiedzieć, Środa, np, może nie wy, jeszcze kiedyś tam wasi dziadowie, potem to się zmieniło, przez tłumaczenie. Środa. Wiktor Środa, Matylda Środa, Krystyna Środa, Gizelda... Z Gi-zeldą trochę już gorzej, ale w końcu czemu jedna Sro-dówna nie może być Gizeldą?

— Ja to nie, Josef, po Willim mam Schirmer...

— To masz po chłopie, ale z panny jesteś Srodówna. Krysia Srodówna.

Wiktor słysząc ostatnie dwa słowa wypowiedziane po polsku, zerknął na starszą córkę i nie mógł powstrzymać śmiechu. Józef spojrział zaskoczony, ale zaraz zrozumiał, i też zaczął rechotać cichutko, spod oka przyglądając się chudej, poważnej Christine, w żaden sposób nie pasującej do obrazu, jaki wyłaniał się przy nazwisku Krysi Sro-dówny. Stanowczo znacznie bardziej jest tu na miejscu Christine Schirmer...

— No tak — gość ociężale przeciągnął się za stołem. — Od jutra zaczniecie mówić po polsku. Za parę dni wrócę.

42

przepytował. Dzieci też Ucz, Krystyno, najlepiej iczyć, że to rodzinny język babki i dziadka, pwuIy. Gówniarze jeszcze, uwierzą. I sąsiadom będzie powiedzieć, jak jest naprawdę, że wy jeste-f-JPolacy...

Nie uwierzą, albo uznają za zdrajców. » Zobaczysz, Wiktor, że nie, zaczną do was się łąsić. _f0ja znam ludzi. Znam Niemców. -.Wiktor spojrział na niego zdziwiony. Gość wytrzymał t##ojrzenie, nie zmrzył powiek.

-risU Tak. Wszystko już zatem wiadome. Gdy stąd wyjadę, a pytałby się kto o mnie, mówcie, że był wasz krewny, JÓOCjff Środa. Od razu opowiedzcie wtedy o tej zamianie jiiigtiska. Ze też byliście Środa. Łatwiej uwierzą... Późno, nfe ma co czekać na Gizeldę. Idźcie spać. Jak wróci, niech zajrzy do mnie, będę spał, to mnie zbudzi. Od niej najwięcej ty może zależy.

Christine ledwie, ledwie dostrzegalnie potrząsnęła W przeczeniu głową. Nikt tego nie zauważył. Gdzieś z od-d&i, zza miasta, rozległa się strzelanina. Jak każdej nocy. Nasłuchiwali długo.

xWiktor podszedł do bratanka, położył mu rękę na ramieniu. W głosie jego znać było niepewność, ledwie skrywany niepokój.

Myślisz, że naprawdę będzie tak dobrze? Udawać Polaki? Nie lepiej byłoby wyjechać, będzie chyba okazja, mfeOSŚ znów optowanie, coś takiego... Drugi raz, na starość tyto razem. Czy sił tylko starczy zaczynać od nowa? Tu jt& się człowiek zasiedział...

'W Mądrze powiedziane. Ani sił nie starczy, ani łatwo nabędzie w Niemczech zwyciężonych w wojnie. Strach, flWp&tólttio wypisują w polskich gazetach. A jeszcze wojna Skończyła... Może Polacy wszystkich Niemców zatrzy-ffŚP lako niewolników. I co wtedy? Dobrze radzę, już so-'li^Wno to obmyśliłem, gdy tylko ogłosili w Lublinie te* ' komunistyczne w Polsce. Czekałem potem chwili, aż IJKŚŚjł do was dojechać. Od razu ruszyłem, choć woko-prawie że front. Ale kto pierwszy, ten lepszy...

ROZDZIAŁ II

1.

B YLIBYSMY ich, cholery, wystrzelali, żeby nie wasz zakaz — człowiek w kolejarskim mundurze, łyskając ze spoconej twarzy złymi oczyma, patrzył na swojego rozmówcę i z każdym słowem zdaiwał się zapalać coraz to bardziej: — Bo jak to jest, kurcze blade, tydzień tutaj siedzimy, a gównu właściwie zrobiliśmy. W nocy jak za zasiekami. Szkopy, tymczasem jakby nie wiedzieli o niczym. Dwie władze, czy jak? A Ruski co? Nic tamtym nie powiedzieli?

— Powiedzieli, powiedzieli. Porozumiem się jeszcze raz z komendantem... Gadaj tymczasem od początku, co było? A ze strzelaniem ostrożnie, bo do pierdła zapakuję, gdyby co, że do sądnego dnia stamtąd nie wyjdiesz...

— Strachy to nie na mnie. Wy ze mną tak nie próbujcie, mocniejszych widziałem!

:— Jezierski!

— No co? Krzykiem? Ech, dola, obcy krzyczą, swoi krzyczą, a ja pieprzę taki porządek. Albo dajcie mi coś spokojniejszego. Jak mam aprowizować naszą grupę, kiedy byle Niemiec ma mi prawo przeszkadzać?

— Gdzie? Co? Uspokoifeś się, to zacznij po ludzku. Szkoda czasu.

— No więc poszliśmy do tych magazynów, co to je Waluś przewąchał. Są, nawet nie uszkodzone, tyle że nie czekając na nas ktoś je już dobrze podczyścił... Pchamy się do wnętrza, a tu raptem kupa Niemców, z tej straży porządkowej. Niby nie było widać, ale cholera wie, czy broni nie mieli. Ze nie wolno, burmistrz zakazał. Mówię, gdzie mam ich burmistrza, tu tylko polska władza może coś ka-

44

s swoje. Więc już szarpnąłem pepeszkę z grzbietu, łś i ten drugi wstrzymali mnie. Że wasz zakaz, tam, pilnują, jeszcze by Niemcy pochowali co lep-przyleciałem z językiem na brodzie, a wy zamiast po-*ć, za opierdol się od razu bierzecie. Bo w końcu, py-' się, kto tu władza? Polacy, Niemcy, Rosjanie, czy Mfgpyscy razem? Ja w tym bajzlu niczego już nie pojmuję.

Nie bzdurcie. Wiadomo! Ale od strzelania zaczynać ule będziemy. Niemcom nie trzeba się dziwić, nie mogą się Z tym poogdzić, że będzie tu Polska. Chcą utrzymać swój tymczasowy zarząd...

— Nie na mój to rozum.

— Prosta rzecz. W komendanturze wyraźnie im oświadczone, że władzę w mieście i w całym powiecie my przejmujemy. Żeby jednak bałaganu nie było, przecież do cholery, wojna trwa jeszcze, a jest tych szkopów u nas z parę tysięcy, zezwolono, za moją zgodą, na coś w rodzaju samorządu wewnętrznego, przedstawicielstwa. Oni, oczywiście próbują, to poszerzyć. Na wczoraj wezwałem tego, jak się on tam mianuje, burmistrza, nie raczył się zjawić. Bojkot. Damy z tym radę... Halina! Halina...

Piegowata była jak nieszczęście, ale przyjemna, z roześmianą twarzą, nawet niebrzydka, nazbyt tylko może okrągła w policzkach. Jezierski beczelnie ogarnął wzrokiem jej młocną figurę. Nie spieszyła się, zakręciła kuprem.

*r-rTak, panie pełnomocniku?

dostań tutaj, masz spluwę, jakby co... Ja z Jezierskim [>do radzieckiej komendantury. Trzeba wyjaśnić tę do końca. Za godzinę najdalej będziemy z powro-terij. Jak wrócą chłopcy z elektrowni, niech zaczekają.

Obiad niedługo... - Tu ważniejsze rzeczy... choć żreć, co prawda, moc-chce. Nic, zdążymy... Jezierski, idziemy... ^ ulicy i korytarzu nagły tupot wielu par nóg, rumor, Vto wszystko przebijający, pełną gębą wyrzeszczany

finde hoch, taka wasza mać! Ja wam pokażę! Mordy

45

do ścianyl Nie rozumiecie? A, dobrze, dobrze. Ty ich, bra cie, trzymaj na muszce, ja lecę do szefa.

— Co tam znowu się dzieje? f

Jezierski rozjaśnił nagle uśmiechem całą gębę. t

— To Waluś nie wytrzymał nerwowo, Niemiachów za coj; opieprza.

W drzwiach zderzyli się z młodym człowiekiem w poniemieckim płaszczu. Rozognione oczy, gęba w czerwieni, zadyszany, zachłystujący się każdym słowem!

— Szefie! Takie syny, za spluwę jeden się złapał, z kieszeni wyciągnął. Nie strzelaliśmy, choć w obronie własnej byłoby wytłumaczenie, no nie? Kolbką dostał przez łapę, pewnie wszystkie paluchy ma przetrącone. O, dowód rzeczowy, jak to się mówi — na stół z trzaskiem zleciał pistolet. — Dopiero seryjkę puściliśmy w niebo, mało się nie posiusiali ze strachu, jednego nawet trochę czuć było, zaraz ręce do góry i całą szóstkę przygnaliśmy tutaj. Are-sztanty — zafrasował się nagle — tylko taka mać, aresztu u nas jeszcze nie ma... Ten dziabdziaak Władek ich pilnuje, co to był u bauerów.

— A magazyn?

— Magazyn został, już tam będą się bali..

Pełnomocnik tarł młode czoło, zaskoczony całą tą hecą

— Cholera, co ja z nimi zrobię? Puścić, prawda, nie można, ale gdzie trzymać? Wy, Waluś, razem z waszym kumplem walcie zaraz do magazynu. Nie można zostawić go bez opieki. Pamiętajcie, nie mamy żadnych zapasów żywności, a ludności niemieckiej też się nie przelewa. Gnajcie w te pędy z powrotem...

— A szkopy na dole?

— Ja ich dopilnuję — ofiarowała się Halina

— Córuchna, w każdego piega pięć razy cię ucałuję — rozpromienił się Waluś.

— Nie poradzę. To majster robił, nie partacz Wiedział, co wymontować, drobne części, śruby, platynki czort nie dojdzie, gdzie i jak.

46

t biadolącego wpadł w gniewny ton. Spojrzał

gsljłretensją.

iy dalej łątać. Jak szukano do ekip operacyj-rków, powiedziano nam: wasze zadanie przy-pracę elektrowniom. Po to przyjechałem na to za-Cbolera, brudny człowiek, głodny, daleko od ro-tu jeszcze taka historia... Oni to musieli zdemon-toW*ćjuż po przejściu frontu. Wyraźny sabotaż. Mówiłem Ziemiakowi.

I 00?

^ Rozłożył ręce. A co miał zrobić. Kogo tu brać za dupę? prawda... Tyle luda. I co dnia skądys więcej się tu ic|j_5Slazi, O, ten stary znowu tu jest. Trzeci raz tak podchodzi, podgląda, głową kręci, nie podoba mi się, trzeba go chyba popędzić w diabły?

— Zostaw. Gruchot, on już tu nie zaszkodzi, niech sobie się gapi... Będziemy wymontowywać teraz tuleję.

— Kurczę, żeby tak coś na ząb. Głodówka. Od niemieckich kompotów człowiek ma sraczkę. Tylko tego jednego pełno Po+wsasystkich piwnicach. Słoje i słoje, jak wojsko, je\$9m.taIrgładko poustawiane.

■«-? Ffzynios* nam obiad. Tutaj, żeby nie przerywać ro-b,

^~Crówno z niej. Sami mówicie, głupi tego nie chrzanił.

^ Alą i nie głupi przyszedł naprawiać — -odciął się Prayfcyła, ale w głosie jego nie wyczuwało się pewności.

"Opitej, szefie, jestcośdla was. Pomóżcie, bo ciężkie...

-"-■Ó, pasy transmisyjne, nowiutkie! Bałem się, że bę-jeszczetótać starocią. Gdzie je znaleźliście? szopie, pod węglem: sprytnie schowane...

to może poszukać tam tych śrub czy platy-leż ich nie wynieśli? ■Pamiętaj, nie gdacz — usadził młodzika starszy z trój-ijącej się ze zwojami pasów transmisyjnych.

rozjaśniał się patrząc na pasy. Zaprzętał sobie fo bez nich poczną, ze starymi gra mogła być ry-

47

Zasapani przysiedli wreszcie całą piątką. Mężczyzna z przepaską na rękawie spapranego garnituru, na której widniały litery MO, odstawił na bok pepeszę, położył za sobą granaty. Nie on jeden był uzbrojony. W mieście nie było, bezpiecznie, na domiar z każdym dniem robiło się coraz gorzej. Patrole jednostki radzieckiej mniej już uwagi zwracały na porządek w okolicy, szykując się do odjazdu

w pobliżu frontu. Z momentem przybycia ekipy polskiej od razu ochoczo przekazano jej władzę cywilną. Dość mieli swoich kłopotów.

- Rany, jak mi się chce jeść. Może skoczę podpedzić z obiadem? Mogli o nas zapomnieć...
- Guten Tag, Mittagessen — jakby w odpowiedzi wpadły głosy Niemek od rozwartych drzwi hali. Na wózku, który przyciągnęły ze sobą, dymił smakowicie gar okazałych rozmiarów. Heute gibfs gute Suppe, sekr gute...
- A widzisz? — Przybyła ciepło spojrział na Felka. Co dziwnego, chłopak ma osiemnaście lat, rośnie to jeszcze, pracowity jest, hara za dwóch, musi jeść.
- O rany, samo mięcho!
- W dechę zupa. Żeby tak jeszcze z pół łokcia chleba.
- Kein Brot — któraś z Niemek szeroko rozłożyła ręce.
- Brr, ciągle się boję, żeby te cholery nas nie potruły. — Milicjant skrzywił się. Nie w smak mu była niemiecka obsługa w stołówce Pełnomocnika Grupy Operacyjnej.
- Jakiś z naszych krząta się już przy młynie pod miastem. Podobno stary fachowiec.
- Środa, krewniak tej rodzinki, niby polskiej, ale mnie się to jakoś nie widzi.
- Już tam pełnomocnik wie lepiej. Ucieszył się, kazał być w stosunku do nich jak najbardziej serdecznym — Pędzik zezował na swoją pepeszkę, czy nie leży nazbyt daleko. — Bo nasz komendant chyba inaczej to widzi. Kazał przyjść temu staremu do siebie na jutro.
- Na komendanta milicji to on pasuje. Od razu odżył-A to chodził, jakby nie z tego świata. Nie dziwota, po obozie mogą się wszystkie klepki pomieszać. Zawzięty na Niemców, że strach — wtrącił się Felek Ferycki.

48

I gó tak dobrze znasz?

obok niego, słuchałem, co gadał. On tu chce fesesmana wytropić. Z tego miasta podobno... i/4zaj, nie paplaj — milicjant trącił go w bok, aż wylała z łyżki, ja z Niemek stojąc tuż koło jedzących nasłuchiwała

".Gównno, nie zna przecież polskiego.

uważać, braciszku. Daj jeszcze zupy. To pew-świni, co to ją wieczorem złapali nasi za miastem. I chuda, ale wagę miała. Dziś mieli znów jechać już się wystarali o konia, może poUłapią jakiego Pełnomocnik mówi, nie wolno, ale przymyka też mu się chce.

ten truposz znów się wygapia, aż mu grdyka i otgtf święcą. Pewnie do żarcia.

obejrzał się. Stary -Niemiec, który uparcie tb-t ich robocie już trzeci dzień, przysunął się bli-oczyma wpatrywał się w zupę parującą z talerzju^J^ł * - .

..^ł^ęi^ł' zerknął do garnka. Było jeszcze tam co nieco g^ł-chłappy już nie kwapili się do jedzenia, machnęli f po parę porcji. Niemki zaczynały zbierać naczynia. ;mu chyba. Stary, głodny, .mu dał, ale pomiędzy oczy — powiedział ktoś

^Człowiek, można ich nie kochać ale nie dać głod-* na dodatek sporo zostało? łie, można dać, człowiek gada, bo ciągle nie może cą oni z nami robili.

Zwracać wzrok, widok nie był przyjemny. Po-| 'pRsewracając oczyma Niemiec łapczywie rzucił się pipeę, jadł szybko, krztusząc się, czkając, ście-spO brodzie, po palcach. Próbował jeszcze mam-jednym tykiem a drugim, aż któraś z Niemu coś półgłosem. Spojrzał na nią, ucichł, szybko, ale już nie tak zachłannie. Wypróbnął i, czknął ze starego gardła, kłaniając się w po-

i rią niebo t. l

49

dziecie zaczął się wycofywać aż po swój punkt obserwacyjny przy bramie hali.

Widok Niemca zważył dobre humory. Z jakąś niechęcią] spojrzeli na maszynę, stawiającą im opór.

— Tam jest tokarka, można by coś wytoczyć z detali, widziałem kawał mosiądzu, ale bez prądu ani rusz. Ślepe koło — zachnął się Przybyła, zaraz jednak zakrzyknął} przegłuszając rumor robiony naczyniami przez odjeżdżające Niemki. — Felek, do tulei! Kolego Pędzik, pomóście. Swoją pepeszkę postawcie gdzieś z boku, nikt jej nie ruszy.

— Nie podoba mi się ten stary żartok — mruknął milicjant, ale usłuchał majstra.

Przybyła obejrzał się. Wychudły Niemiec stał ciągle w tym samym miejscu. Na wejrzenie Przybyły odpowiedział dyskretnym kiwnięciem głowy, wzywającym do siebie. Oglądał się przy tym za Niemkami, toczącymi swój wózek poprzez dziedziniec. W przywołaniu jego było coś; naglącego i natarczywego. Przybyła postanowił usłuchać! wezwania. Niemiec, wciąż jakiś strwożony i tajemniczy,* odprowadził go aż na drugi koniec hali, tam zaczął coś? szeptać. Elektryk słuchał, kiwnął głową, wypytywał o coś,-gorączkowo, wreszcie zakrzyknął do swoich. -

— Chłopaki, ważna rzecz! Ja zaraz przyjdę. Róbcie,* swoje.

— Może pójść z wami? Z tym? — Pędzik wymownie' ukazał pepeszę.

Przybyła tylko się zaśmiał. Gadając półszepetem z Niem-, cem wyszedł z nim razem z hali.

Wrócił po pół godzinie. Był niezwyczajnie podniecony. Niósł całą skrzynię jakichś metalowych detali. Niby się cieszył, ale zarazem był zatroskany. Skinął na swoich. j

— Widzicie, jak się opłacił nam talerz zupy? — wskazały ręką na części. — Prawie wszystkie brakujące detale. Mówiłem, to robił specjalista. Jeszcze przez tydzień bym się nie połapał, czego tutaj brakuje... Dobrze to mieli scho-% wane. Stary, widzicie, był portierem w elektrowni. Przez? całe życie. No i żyć bez niej nie mógł. Dlatego tu przy-{-

50

o; Tr w

PO

UT

»

«

nas. Musiały się w nim mocno kłócić elektrowni z poczuciem Niemca. Zupa zade-»Felek! Zupa, kolego Pędzik! wy mi tu wygarniade, jakbym serca nie miał... sami wiecie, jak to z Niemcami. Powie się cza- Sprędzaj, niż się pomyśli...

dobra, w każdym razie za parę dni ruszymy. Wam, teraz już pójdzie — cieszył się jak dziecko, prawda, paru rzeczy jeszcze brak i stary nie wie, Śjkiti zrobili, ale tamto mniej ważne, jakoś połatamy .vjjSpeeątek... — Uśmiech zadowolenia znikł teraz z jego

fi*:.!'

«« J&t druga sprawa, poważna. Siedzieliśmy jak na be-. Saperzy radzieccy rozbroili miny, które za-tu wojsko. Ale w dwóch miejscach sąinne ładunki, nich wprowadzie przerwane, gdyby jednak ktoś tyra wiedział, nie byłóhy mu trudno... Stary mi pokazał, ząsł się Ze-AtrMflw, oglądał się, ale pokazał. Coś się dzieje tym tafi^d^ o czym my jeszcze nie wiemy. Inaczej by ł portier.taknie dygotał, on się bał czegoś, co jest, było, pojmujecie ?

go w krzyżowy ogień, niech wskaże, co i kto — lig Pędzik, śdszkając pepeszę.

powie, może sam wie niewiele, my zaś stra-ika. Bo wiecie, o co mnie prosił? Żeby, jak elektrownię, mógł przy niej pracować. I lal Jeszcze czego! |a mu obiecałem — przerwał gwałtownie Przyby-

trochę ludzi, Felek, i wiem, co robię. >z tymi minami? — uświadomili sobie niebezpieczny, ładunki wybuchowe, to coś trochę innego. 1-1 "kj co prawda, ten sam... Pędzik, walcie do jed-eieckiej, niech zaraz przyślą swych specjalistów. |Jtównież elektrownia ważna, dopóki tu będą. Zre-t Chyba nie wszyscy odjadą, wojna trwa, zaplecza ^Strzec.

51

— Dobra jest... — Pędzik zawahał się. — Ale wy sami tu zostanieie? Miałem rozkaz osłaniać obiekt.

— Poradzimy, teraz jak najszybciej należy usunąć la.] dunki.

— A gdzie ten stary?

— Poszedł do domu, mówił, jutro znów przyjdzie. Mie-l szka tu niedaleko, taki domek kryty jasną dachówką o tam...

— Cholera, ja bym go tak łatwo z oka nie spuszczał zarzucając pepeszę na ramię milicjant pokręcił głową.

— A my do roboty. Pójdzie piorunem. Dobrze wiedzia-łem, że coś z tuleją, tu jest klin od niej, dlatego był luz. Ech, udało się nam, chłopaki, prąd niedługo będzie na cacy.

Stanęły onieśmiałe. Ale już szedł ku nim. Wyciągną) dłonie w serdecznym powitaniu.

— Proszę, proszę, siadajcie. Skąd, można wiedzieć?

— Od samej Odry. Tam teraz front, strach, co się dzieje, j Dopiero tu pierwsza okolica spokojniejsza. Podwieźli nas Ruscy . samochodem, mówili, samym nie iść, pełno hitle-i rowców w lasach. Prawda, czego się to nie widziało po rowach. ' !

Wysoka, wychudzona dziewczyna rękami zakryła zmęczoną twarz. Towarzyszka szarpnęła ją za ramię.

— Gienia, nie becz... Tu już swoi. A to wstyd robisz przed panem starostą...

— Pełnomocnik, nie żaden starosta... Skąd wywieźli wasi na roboty?

— My spod Krasnegostawu. Już trzy lata. Miałam pięć-|. naście, jak mnie zabrali — niższa była rezolutniej sza: Śmiało patrzyła na młodego człowieka, oczy jej biegały żywo, ciekawie. — To proszę pana, naprawdę będzie t«j Polska, czy takie tylko gadanie?

— Już jest, nie będzie! Widzicie?

Pobiegły spojrzeniem za jego ręką. Na ścianie wisiał orzeł, niezbyt misternie namalowany przez milicjanta Pi dzika. Widok ten musiał je uspokoić. Usiadły.

52

• t>-

m

adę dalej robić? by wracać do swoich. Tyle, że straszno po-

drogach, a kolej nie chodzi... Więc chyba po-j?

wam poradzę. Pojechać do swoich zawsze będzie tu macie szanse na osiedlenie. Każdy Polak na wagę złota. Roboty dla każdego wyżej . uszu. ię się uspokoi, Rosjanie obiecali przeczysdć oko-trzeba będzie obsadzać wioski. Wiosna, ziemia u.. A potem swoich tu sprowadzicie. No jak? ej błyszcząły oczy. |jłas ziemi tyle, co ręką zagarnąć. A tu jak, całą go-i można brać? i zechcecie...

tylko znak swoim przestać, tam nic nie wiedzą.

poczta nie działa. Ale i z tym ruszemy. Ina-iiśmy parę dni temu. Już dużo lepiej. I wię-r to jak?

" i chuda spojrzała na niego z ufnością.

5a zostaniemy tymczasem, prawda, Jaśka? aję — uśmiechnęła się do przedstawiciela wła-

Zgoda. Witam was jako nowe mieszkanki mia-owadzał je do drzwi, otwierał z elegancją. — ny nowe obywatelki, które to już numery? ;ści dwa i trzydzieści trzy... zameldujcie się, panny, u tej panienci, powie jak macie robić, gdzie mieszkać, otrzymacie bony stołówki. A jutro pogadamy o robocie. Nie mamy (marudzenie... jściu chwilę stał pośrodku pokoju, bał się użyć et", gdzież, przy tym lichym umeblowaniu, łych ścianach i od dawna nie mytym oknie. Wła-la by tu jakoś inaczej urządzić, ludziom przy-! innego klimatu władzy...

Śmiesznie to brzmi. On pełnomocnikiem. Żeby temu usłyszał podobną przepowiednię, wy-

53

"ś

kpiłby takiego wieszczka. A tymczasem... Pełnomoc jakby starosta. Powiat pod sobą. Raptem polskich dzieci trzy dusz. I tak zresztą jakoś ich przybywa k dego dnia, ściąga bractwo nie wiedzieć skąd. Ekipa o racyjna liczyła osiem osób. Trochę swoich zastali na mi scu, inni napływają niewiadomymi drogami. Nowi lu" nieznan, każdy ma jakąś tam swoją przeszłość, taje nice, nie wiedzieć, co komu patrzy z oczu. Ale to w koń nieważne. Każde ręce potrzebne... Trzydzieści dwa i tr dzieci trzy, numery ewidencyjne tych dziewcząt. Ta m ładniutka i rezolutna. Gdyby się trochę lepiej ubrała, A Niemców wielu? Sami siebie szacują na z górą dwa siące. Wciąż pojawiają si% dalsi, całymi gromadami. N! łatwa sprawa utrzymać ich w karbach. Na dodatek za pa dni odchodzi na front jednostka radziecka. Zostanie ty mała grupka gospodarcza w majątku pod samym miast Będzie jeszcze trudniej. Jak to wszystko utrzymać w zach? Miasto nie miasto, jedna wielka ruina, ludzie gnieźdzą jak szczury. Trupy nie wszystkie uprzątnię smród bije od ruin, Niemcy się za wolno krzątają. Mili cały oddział tutaj nie starczyłby. Tymczasem wielu ich j u Lisiewicza? Pięciu. Z tego dwóch stale przy linii napię którą ktoś niszczy przemyślnie. Przybyła klnie, opóźnia włączenie prądu. W samej elektrowni też się nie upo do końca ze wszystkim. Byłoby światło, symbol odmia a tymczasem właściwie nic...

I nic i wiele, myślał dalej, wspierając głowę na niach. Łokcie mocno wparty się w przykryty szkłem b biurka, od blatu tego szedł ostry, rzeźwiący chłód. I i wiele... Przed wszystkim uporali się z samozwańcz burmistrzem. No, niezupełnie samozwańczym, do przyby ich grupy operacyjnej władze radzieckie musiały stwor jakiś organ porządku w mieście. Tylko że tamci nie chci potem ustąpić... Właściwie działają do dziś, niby to j przedstawicielstwo ludności niemieckiej. Potrzebne, t że niebezpieczne. Z tym także trzeba coś zrobić, ina kierować tą masą ludzką, pełniej wykorzystywać ją

54

pch. Czemu ten Idsiewicz nie przychodzi, tu być. Dziwny facet, właściwie to ciągle ^myśлами w obozie...

gołego!

f, Lisiewicz, musimy niejedno obgadać. Niemra-

. Uruchomiłem areszt. Niemcy sami urządzili łowili solidne zamki. Pierwszych pięciu łobuzów a. Dwóch za broń, gówniarze zresztą... &j, ale ja im przydziału żywności nie dam. Sami „co jeść. Więc się tak nie rozpędzaj z aresztowali opór, co miałem zrobić?... A z żarciem nie ma łem temu eksburmistrzowi zorganizować do-itów. Niech ich samych głowa o to boli. zaśmiał się. Potem długo zaglądał w ciem-tóoczy Lisiewicza, w twarz chudą, momentami to znów zapalającą się gorączkowymi nie tylko oczy, wszystko bowiem w niej jiyip&iiczki, nos, każda zmarszczka. W tym czło-już wyłącznie same nerwy. Mówił powoli, jierając wyrazy, zdawało się, że wysławianie fcMKU trudność.

Wprawy w tych rzeczach. Ostatnie, co bym iyś o sobie, to że będę milicjantem... l1",® nas nie myślał o takim lub innym swym

teraz mi ta funkcja wyjątkowo od-swoje plany... Nie przerażaj się, Julek, jeśli ' COŚ Zdziałać samopas, przedtem poproszę cię Nie podoba mi się w tym mieście. Nas mało, Wiemy. Tymczasem coś się tu knuje, coś czai. o tym, czegtf doświadczyłem na sobie, gdy nie było! Ci Niemcy są zorganizowani. Nie- j. Jak z ewidencją? jkffJr* | »3 przyspieszyć. Nie uśmiecha się im to. najszybciej ukończą. Albo ja może po-

55

gadam z tym przedstawicielem, co? Bo widzisz, dziś s) stało coś niedobrego — przechyła się nad biurkiem. -tato w nocy tego starego Niemca z elektrowni, portiern który wskazał Przybyłe ukryte części. Zastano go w dony z poderżniętym gardłem. To nie przypadek, ale zemsta. Ld dzi mało, a trzeba by mocniej elektrownię obstawić, wił Pędzik, że jacyś koło niej się kręcą. j

— Zabito tego starego? \

— Mieszkamy jak w oblężeniu. Wszyscy w kupie, z war. tami nocnymi. Jedni Srodowie zostają w mieście.

— Żeby im też ktokolwiek czegoś złego nie zrobił...

— Chyba nie... Nie nazbyt mi się podobają. I ta jeg(córka, która pracuje w radzieckiej komendanturze jakc ■ tłumaczka. Chętnie bym ją przesłuchał, ale nie chcę in Wchodzić w paradę. Słuchaj, stary, daj mi jeszcze ze dwóch trzech ludzi.

— Skąd ci ich wezmę? I tak dzieli się każdy na czwór® , — Cholera, radio gada, że gdzie inteiej nasi przyje-i dżają masowo, a tutaj jak na zapowietrzonym odcinku mało nas, zbieranina w dodatku... Tyle że i jak tutaj si dostać? Piechotę? Kolej nie działa, węzeł rozwalony.

Pomyślał, że Lisiewicz ma rację. Choćby on sam, wię zień z kaęetu, z kompleksami, nie wiadomo, co się kryj! pod wyłysiałym czołem.

Komendant milicji domyślił się tych rozważań.

— Ja też, zgadza się, należę do takich... Dobra, bęc sobie radził, ale gdy kogoś zwerbuję, nie sprzeciwi aj si^ dobrze? I jeszcze jedno, prędziej z tą ewidencją... Mai w tym także i własną, prywatną sprawę. Szukam kog1 rozumiesz, kogoś, kto pochodzi z tego miasta, może san nawet tu jest, bywają różne powroty.

Daleki mocny wybuch wtargnął przez uchylone okna słońce zaczynało przygrzewać.

— Pewnie znów mina. Pełno tego, strach krok zrobić stronę...

Nastuchiwali. Wybuchów więcej nie było. Ptak tylko jak! zaćwierkał za oknem. Nie dotarło to do nich.

i

6

2.

. ogień, rozejrzał się, błysnął zębami, finam coś tutaj dla ciebie. Może kiedy na ja-tylko przedtem
pewnie trzeba by ci założyć? Ale w piega dasz mi się chyba

dę, śmiejąc się do sporego półcia sło-brudny kawał papieru. Śmiała się i do było nie czuć sympatii do
tego obwiesia. > masz? Jezierski mówił, wszystko do współ-

- wypcha, aprowizator, kurza twarz; Zeby kaszy postnej byście zostali i na fasoli. IT organizuje? Przez
to wczorajsze chude wyleciałem. Tyle że drugie krów-t był, mówię ci, ani było co zbierać • moja
własna organizacja, ma się te nie takim czymś cię uraczę... się do mnie? Co ci po tym koł-

i mucha?.. Ale księdza nie ma. Więc ... O raju, twój pełno-przyuwały do-jakiej eprowadzasz się? SiM^
• £ " "

się nie boją, chwałą sobie, smak, bo się zgadać

xx ? •

to Lisiewicz usłyszał. Jak to wdawać z Niemcami... ; V I^ł«neźkach mowy nie było. Są Halinka, mówię
d... O, pan- starosta, lfcseba organizować, bo się nasza spół-

już, tylko kurz został, machnął więc

57

— Rzykant... Że mu się chce tak mieszkać samemu.

— Rzykant — powtórzyła piegowata Halina, westch ła, oglądnęła się zarazem za swoim szefem,
westch po raz drugi widząc, że nie zwrócił na jej spojrzenie nej uwagi. A tak by chciała, żeby było
inaczej...

Trzasnęły drzwi. Pękaty, zwałisty Środa naparł na s* lik, za którym urzędowała. Podsunął zarazem pac
lepkich cukierków. Pomyślała, dobry jakiś dzień, k* z czymś tu przychodzi.

Ciepło to się kleją... Pełnomocnik jest? Można niego?

— Dziękuję. Niech pan idzie...

— A, obywatel Środa... Już z powrotem?

— Wróciłem. Wczoraj wróciłem... Pociągami, sam dami, naszymi, ruskimi, jak się dało. Cała
przepraw Tam w Polsce to inne życie, normalne, z pieniędzmi, w* stko można już za nie kupić. Kina
są, teatry, spokój chodzi się po ulicach, choć pewnie, bieda też jest... Ale czej, inaczej... Coś mam tu
dla pełnomocnika. Sucha basa i flaszeczka monopolowej, lepsza od tego gorzelnia cholernie
śmierdzi...

— Nie mogę, czym ja panu zapłacę?

— Dojadą i do nas pieniądze. A pensji to co, je nie macie czym płacić? Dla ciekawości pytam, jak
mię swoimi, mało nas, musimy sobie pomagać...

— Panie Środa, co z młynem?

- Będzie, przywiozłem trochę części, ruszemy. Ja się młynach znam, byle nie zbrakło ziarna.
- Nieco ziarna już jest, towarzysze radzieccy obi pomóc, też czekają na wasz młyn.
- To dobrze. Parę dni i zagra na fest... Kupa robot Ale ja tutaj z inną prośbą. To taka przykra sprawa.
- Gadajcie, Środa.

i— Wedle mojego krewniaka, stryja Wiktora... W stra
jest.

- Co, Niemcy mu nie dają spokoju?
- E tam, Niemcy sami wszystkiego się boją.

58

--

^coś innego— No nic, gadajcie, czego się

Misiewicz, coś się wziął na niego, kazał siebie, wypytywał się bardzo, co i jak,

___podawał się za Niemca, jakby to można

i tak mu szkodziło to polskie pochodzenie, j czemu rodzina, córki tak źle mówią po pol-takie rzeczy. Jakby nie wierzył. Stryj zmar-r tak dobrze dla Polski, a tymczasem... Więc at dat spokój, czym innym lepiej się

z Lisiewiczem. Jeszcze coś? i... Stryj dobry stolarz, własnego warszta-wiaśnie za te polskie rodzinne sprawy, Ale teraz chciałby na swoim. Więc żeby Ł oa Własność taką tu jedną stolarnię. Maszyn by stryj rozkręcił robotę. Inaczej

ri

się. Niech tutaj przyjdzie, wy-i to jesteśmy.

serdecznie dziękuję... To może by fia fnłyn? Żeby wieddał jak stoję. Si-. Można prosić?

spojrzeli po sobie. Chociaż sen motta propozycja. Już'by to mieliza sobą, a jaka Można i w nocy, chłodniej, a to-iptóglą Jak w lipcu. Klimat tu taki, czy też

r^rtseba- było zatrzymać, niechby także tyrali

* ¥ 'F^ckL —. Odbębniąją swoje godziny jny orzemy za nich i za siebie. gP»l_ale; mieć przy sobie... Pracują nie-\$. te miny... Wolę już sam razem z wa-PÓ cholerę odkładać do jutra.

m nagle rozjaśni, dopiero będzie na tę chwilę któryś zejdzie się

59

ii jaką naszą dziewczuchą — Felek delectował się już ow obrazem.

— Młody, a taki zepsuty — bez przygany odezwał Pędzik. — Nie dziw, cni się chłopcu. Jak w kozzara dzień i noc ta buda, mało, że trzeba robić, jeszcze piln wać.

— Już wy się nie wysilacie, cwaniaki.

— Aha, ale bez nas to znów by słupy i przewody leża zwalone i zerwane. Jednej nocy nas tylko nie było — o ciął się Pędzik.

Oponent zamilkł. Pewnie, trzech milicjantów też był mało dla ochrony elektrowni. Linia ciągnęła się blisko ki lometr, było przy czym chodzić. Któregoś ranka mało si nie popłakali ze złości, znajdując dwa słupy zwalon a przewody pocięte na drobne kawałki. Teraz pilnowa tego jak oka w głowie. Jedna linia, dó budynku pełnomo, nika i siedziby mieszkalnej całej prawie grupy polskiej bo tylko Środowie, Waluś, Włodek Wiśniewski razei ze swoją Ziutką, no i oni w tej elektrowni mieszkali osob* no. Reszta dla bezpieczeństwa trzymała się. w kupie. Noci nadal nie były bezpieczne, raz wraz zrywała się strzelanina, diabli wiedzieli w końcu, kto i do kogo strzelał.

Przybyła zatarł ręce.

— Dobra, chłopaki. Pół godziny odpoczynku i zrywam na całego. Przyśpieszymy naprawę o cały dzień...

— A potem?

— Potem jeszcze parę linii, trochę porządku tuta w hali, i cześć.

— Jak to cześć?

Teraz majster się zdziwił.

Tak to! Myślisz, wiekował tu będę? Szukali specjał1 stów, to się zgodziłem. Trzeba pomóc. Ale zostawać tu n! myślę, rodzina w Łodzi, roboty tam dla mnie dość, po ch lerę mam mieszkać w tych zasmrodzonych ruinach?

— To zwijacie, Przybyła, manatki? — Budniak, ma! krępy roboęiarz zasepił się. — Myślałem, że się przy w poduczę nowego fachu. A tymczasem...

— Malec też elektryk, da sobie radę. u niego się p

60

Pj^ ylt • » .

• jfipesztą będziemy rozważać, jak bę-ćf daWaj' szklanki. Dostałem od Rusków <ft żeby nas grzało w robocie. _ \ gorzelni, ani dostąpić. Próbowaliśmy, to jak yLu

, mają nam oddać gorzelnię.

jej" będzie pilnował? — obruszył się Pę-jak ziarna w otrębach, a roboty przy-ll/tii"wreszcie podeślą ludzi? Już to trafiliśmy

cholera, lasze zadupie!

£, się humory. Gorzałka była mocna, u Bud-się i kawałek kiełbasy, podejrzenie czcr-fc. samą saletrą nadzianej, ale kto by zwracał uwagę. Ochoczo podnieśli się do roboty. ^Z'- jednym milicjantem ruszył na obchód linii, rok chmurnej nocy. na odmianę pogody, niebo zaciągało się ||jf, chmurami, po parnej spiekocie potrzebny milicjant odstawił automat, doszulsował

ś ?klucze, szczękały narzędzia. Wszystkie części Holi wionę, sprawdzone po dziesięć razy, świeciły metalu. Przybyła jeszcze raz sprawdzał montował, dokręcał, zaciskał. Biegał do ko-iwął na mostek nad rzeczką, popatrywał (Ość w stronę kolejowego, martwego nasypu, tani ruszał Jezierski z niemieckimi robotni-mogli nocami podgonić, wracał do hali, zwi-itby nagle zabrakło mu czasu. Ożywiony był, -Sam już nie wiedział, czy tym, że za chwilę Ulrt jego umiejętności, zabłyśnie światło, czy niedługiego powrotu do swoich, do normal-eów, dość miał koczowania i wysiłków nad

irać zaczął, a Ferycki szturchał na to Bud-c, zanosił się śmieszkciem. , zagra nam?

61

— Musi...

Ale naprawdę nie był tak bez reszty pewien swojego A jeśli nie zagra? Wstyd byłoby oczy pokazać chłopako Więc sprawdzał od nowa, przymierzał, dopasowywał, wy tężał umysł przypominając sobie, czy czegoś nie przegap! Ci niemieccy pomagierzy robili dziwne miny, patrzą na turbinę, na komplet części, kto wie, może któryś z nic brał udział w demontażu, mścił się potem za zdradę na sta rym Niemcu? Głupia śmierć, z poderżniętym gardłem, j kura... Od tamtego dnia dodał im komendant Lisiewicz j szcze dwóch milicjantów poza Pędzikiem. A mimo to paw nego ranka zastali linię uszkodzoną... Więc może i tuta jest jakiś błąd, może Niemcy znowu coś nabroili, można si po nich wiele złego spodziewać.

Godziny miały jedna po drugiej, zmęczeni ludzie cor częściej pytająco spoglądali w stronę Przybyły. Czy nie pospieszył majster zanadto, czy się w czymś nie pi liczył?

Duszno było, parno, choć noc ciemna, że oko wyk Z pobliza poniosła się krótka seria. Wiedzieli, Pędzik kog płoszy, zawsze to bezpieczniej, jakieś łobuzy mogą się wy straszyć, nie będą próbowali sabotażu na linii.

Ocierali pot rękawami, przemywali czasami czoła na wielką beką z wodą, by znów kręcić, przeciągać, smar; wać, oliwić. Lampy karbidowe wydzielały nieprzyjem woń, rozsiewając dokoła niemiłe światło. Od palenisk k tłowni pełzł żar, potęgując duehotę.

Ochryplym, nieswoim głosem, jakby mu się łamał gdzi w krtani, odezwał się nagle Przybyła, a słowa jego na brzmiały mocą w odbiciu o ściany hali:

— Gotowe, chłopaki! Dziej się wola Boża. Ruszamy.

Podszedł do tablicy z rączkami i guzikami, dłoń je

przez moment się zawahała, wreszcie odciągnął w b dźwignię. Szum się poniósł po hali, cichy zgrzyt, zama wszyscy, w porządku, ruszyła, pracuje turbina. Hurr: Czemu Przybyła nie przekręca drugiej

dźwigni, na prąd żarówki u stropu, u ścian hali czekają, wciąż ciemne, P" nure, choć je odczyścili tak ładnie z kurzu i sadzy. Praw *

62

trpcię odczekać, wiele to, piętnaście mi-potem, gdy turbina osiągnie już pełne drugą dźwignię, nacisnąć, dopiero patrzeć... jftę elektryczny wielki zegar, ruszyły w^ka-dotychczas nieruchome. Na manome-ich też drgały strzałki, wędrowały powoli, po hali, wydawał się im czymś przepięk-f^dczuli dumę, jakby byli stwórcami świata, jak-

[Od nowa do życia... tłącemu z oczyma wlepionymi w zegary przy-ś na myśl stary, zamordowany Niemiec. Były ijttni; z nią związany bardziej niżeli z czym-Tak pragnął, aby turbiny znów pracowały, prąd, by wokoło było jasno, a on mógł jak portierce i witać przychodzącą do pra-Jak kura, z podeźniętym gard-

dłoń uniósł ku dźwigni, ale jeszcze i CSłęfca!....

riwanie w tej chwili, roz-e, dobiegł ich głos ostrze-g | \$Eyjes tupotania, nagły wy-'blasków rzucanych przez bramie wejściowej bifig-i-jEai swój automat, pozo-nie dla wszy-6w, pobiegł

porę, nie bpodal wy-dobrze, jak dobrze, pórwał karbidówki, ;ńa- kule, rwał z nimi, byle byie ją ostonić ciemnością. #«WJWczy, trzask zawieranej bra-jpZ w ciemność podwórza, ktoś się ostry, drażniący zapach W bramę wali wiązka granatów,

63

sypią się trzaski, odłamki, znów granaty, serie z automatów, kanonada...

— Chłopcy, uważać na bramę... Ich cała gromada.

To Pędzik krzyczy, sam strzela, przyparty do okna, tylko błyski migocącą linią wysnuwają się z lufy. Brama, pewnie, ale jak jej pilnować, jak strzec, kiedy w nią rąbią granaty, tamci mają ich ładny zapas, chwila, a wedrą się wywalonym przejściem.

— Ach wy, takie syny! — ryczy Przybyła, pasja, złość, gniew, rozpacz niemal w tym krzyku! A turbina wiruje, jest już na pełnych obrotach.

Jęk bólu, ktoś pada, to ten nowy, młody milicjant. Tamci już nie rzucają granatami, rwą pod bramę, bokiem się podsunęli, Pędzik i inni nie mogą dosięgnąć ich z okien...

Co znowu? Motory, krzyk hurra, swoi, obcy, napastnicy czy ratunek nadchodzi? Rosjanie? Tak, to oni.

— Hurra, hurra, nasza górą! — wrzeszczy Pędzik.

Przybyła na nic niepomny gna ku turbinie, wirującej

z cichym, pogodnym szmerem. Po omacku szukał rączki dźwigni. Naciska. I z nagłą u pułapu, u ścian, na podwórzu, na .co trzecim słupie wzdłuż linii zapalają się światła, staje się jasno, okropnie jasno, przenikliwie jasno. I nic już nie istnieje dla Adama Przybyły, tylko ta wielka, przeogromna jasność. Na zewnątrz strzały, krzyki, bieganina, już Pędzik i inni wyrwali na dwór, tylko on jeden, Przybyła, stoi przy tablicy rozdzielczej, patrzy, zewsząd osacza go światło, jego światło.

I wie, w tej chwili wie, że nie mówił Budniakowi prawdy, lub może prawda ta teraz się odmieniła. Przez to światło, przez ten nagły napad niemiecki. Jego światło, cały milion Niemców tu nie poradzi, nie zmoże jasności, którą on, Przybyła, wyczarował własnymi rękami, doprowadził do zmartwychwstania. Zabitemu miastu przywrócił pierwszy . nerw życia. Tak, pojedzie do Łodzi, ale po to jedynie, żeby zabrać swoich i wracać.

Majstra opanowała nagła radość, i spokój, i dopiero jęk rannego milicjanta przywrócił go do rzeczywistości.

64

dzień jasny, rozśoneczniony, pogoda zdaje się uspokajać napięte nerwy. W ruinach miasta, powstającego z ziemi całymi smugami czar-•pyłu przy byle podmuchu, wśród ludzi poruszają- niechętnie czai się jakiś nieuchwytny, a mimo to ay nieomal fizycznie niepokój, lekich lasów niesie się strzelanina, obok broni ej palba artyleryjska, przygłuszająca dudnienie , Spojrzenia bezwiednie kierują się w tamtą stronę. Naprawdę się dzieje? ja zgłiszcza dwóch podpalonych minionej nocy, się jeszcze do użytkowania budynków. Piętro-lidnych, teraz cuchnących zgorzelą. Warkoce je-jompa, na wypalone mury wysokim łukiem ja wody; syk, ciężki, snujący się dym. Gromada łopatami i kilofami rozgrzebuje gruzowisko, zaga-się jeszcze rozpalić ogniska. I óni też popa-fltrone, skąd nadbiegają pogłosy walki. Twarze .b|ade, usta zaciśnięte kurczowo.

na kolei, gdzie Jezierski, z trudem dobierając ieckie, przywraca porządek na pozrywanych 'e może sobie dzisiaj z tą czeredą poradzić. Niby ale ślamazarnie im idzie, guzdrzą się, wycze-

cholera, tam nie tak łatwo — mruży kolejarz ociera pot z czoła, ze wzbierającą pasją zaczyna lgrupe dźwigającą podkłady. _ie elektrowni krzątania bez wczorajszego tem-,radosnej energii. Milicjant Sypczak ciężko rango ambulans radzieckiej jednostki. Lekarz mó-żył, ale pokuruje się długo... Przybyła oberwał odłamkiem granatu, niegroźnie, ale wykrwawił się o tym nie wiedział spostrzegł się dobrą godzinę Sgdy zacichły już ostatnie echa niemieckiego ataku 'ej odsiecz.

twarz — przeżuwa po raz tysięczny nocne wy-* błady ze zmęczenia i niewyspania Pędzik. — Ku-, zgnietliby nas wszystkich, trzykroć ich tyle

się niebo t. l

65

było... Uzbrojeni po zęby. Mieli trotyl ze sobą, zamierzali pewnie wysadzić turbiny...

Przybyła wstrząsa dreszcz. Boże drogi, jego turbiny! I jakby dla upewnienia się podchodzi do najbliższego kontaktu, włącza światło, mruży oczy przed blaskiem żarówki.

— Dobra jest, majster... Na nasze wyszło. Ale mieliśmy szczęście. — Pędzik ożywia się, zatrzymuje przechodzącego Felka. — Gdyby wczoraj Ruscy nie szykowali obławy na lasy i nie byli w pogotowiu, zostałyby z nas sama rąbanka. A tak tylko wskoczyli w ZIS-y i już byli na miejscu...

— Ci Niemcy, którzy grzebali swojego zabitego, głowami tylko kręcili, żeby który choć słowo powiedział. Musiało się im to nie podobać, że wyszło na nasze. Że to do ostatniego nie zwiali za Odrę cackaj się teraz z nimi — naczupurzył się Ferycki.

— Znajdzie się na nich rada, nie bój się, niech tylko cała ta nawałanka się skończy... Ale tam jeszcze rwą do Berlina, a tutaj też kupa roboty. Słyszycie? Moździerze. Cholera, musi tam być gorąco.

Budniak przystanął, zrzucił z pleców zwój drutu, odsapnął. A potem zastuchał się w daleką strzelaninę, wybuchającą zrywami, z nagłą przycichającą, by zaraz znów się rozszaleć jeszcze gwałtowniej. Nagle zwrócił się do Przybyły.

— Majster, dziś my wiele nie zwojujemy. Nie idzie robota. Jasny gwint z tymi Niemcami... Wielu ich tam siedzi po lasach?

— Podobno przedwczoraj most wysadzili przez szosę...

— Pędzik, coś ty gadał, że tam się kryje esesmański batalion?

— Nie drzyj się, obito mi się coś takiego o uszy...

— Wy zaraz z wszystkiego robicie tajemnicę. Tymczasem nas tu mało, ledwie dociąga do czterdziestu, otoczeni szwabami jak na jakiej dziwacznej wyspie. Czort wie, co się może każdej chwili wydarzyć. Czasem na ulicy takie cię odprowadzają spojrzenia...

— Jezierski mówił, że przedwczoraj, gdy przetaczali wagon z bocznicą, a on skrzyczał jakiegoś markującego ro-

66

..fca, ten się zamachnął, mało, a byłby też szpa-ińrał kolejarzowi... Uchylił się, zdzielił tamtego, i się nakrył. Czekał tylko, aż ta cała gromada, i razem, ruszy na niego. Ale nic, choć sam był, (pokornie, dopiero zabrali się do roboty, sił im było...

wierzę w tę ich pokorę. Czasami pod spodem siedzi > to niesie? Halinka?

zasapana z niedooliwionego roweru, wygrzeba-jakiejś piwnicy, machała ku nim dłońmi, lego Pędzik! Komendant przysła, żebyście zaraz razem z tym drugim. Tam was koniecznie po-A tutaj -<- obejrzała się na Przybyły — macie ie radzić... Broń macie?

my, ale co tam u was, Halina, niedobrze, Niemcy? rlie, że nie Chińczycy. Granda, ten ich burmistrz ny i reszta zarządu. Lisiewicz miota się, Niemcy zleciało się ich z parę setek, bab najwięcej i szcze-

Raban podnoszą. ?

, potem się dowiecie, Halina, dawaj rower, wy, 'adajcie na ramę, tak będzie prędzej — podgonił

ł, aż krewki milicjant odpedałował trochę, oto-czynę ciasną gromadą.

, zaraz, sama nie wszystko wiem... Waluś coś wał, pokrzykiwał, że nie próżno poszedł z naszego na własny wikt. Jakoś się wywiędział o tym burze to hitlerowiec, a i reszta przy nim podobna, Lisiewicz zaraz ich wziął za gębę, zaczęli się mówić wam, do oczu ma skakali. Heca na całego... jacyś tam na nas wszystkich się szykowali, wczó-ftpcy, razem to miało nastąpić... elektrownia, po-«\d na nasz dom, tyle że nie zdążyli, zaskoczyła »tka radziecka. Mogło z nami być krucho. (" :tuż łyie Lisiewicz z nich wyciągnął? /nasi znaleźli magazyn broni. Cholera wie, czego

tam nie było. Aha, jeszcze te spisy Niemców, które robili, były fałszywe, dlatego tak wolno to szło.

Jakie spisy?

— No, kto z Niemców pozostał w mieście...

— W gruzach, jakie tam miasto? Może było, teraz rumowiska i smród... Więc jak to z tymi spisami?

— Potem się dowiecie. Ja muszę wracać, tam jest dużo roboty...

— Ja myślę. Ganiaj, Halina...

Patrzyli za nią, jak biegiem niemal ruszyła w powrotną drogę. Przybyła podszedł ku bramie hali, wsunął za nią rękę, namacał kontakt, przekręcił. Paliło się, turbina pracowała, cicho, z jednostajnym szumem. Dopiero wrócił do swoich.

---Majster sam sobie nie wierzy — zaśmiał się Felek.

. — Nie sobie, nie sobie... Nie wierzę temu wszystkiemu dokoła. Słyszycie?

Palba od lasów narastała, przesuwiała się jakby, walki trwały, nie słabły. Pokręcili głowami, stali, nasłuchiwali. Co się tam dzieje?

Wszyscy tak nasłuchiwali. Niemcy, Polacy. Nasłuchiwał Jezierski na stacji kolejowej, grupy kobiet, uprzątające przejścia wśród gruzów, układające cegły w wysokie szta-ple, wielka gromada zebrana przed budynkiem zajmowanym przez polskie władze, ludzie w pokojach wydzielonych na pomieszczenia milicji.

Lisiewicz z trudem odwrócił spojrzenie od otwartego okna, od niosących się stamtąd huków, przyjrzał się siedzącemu przed sobą starszemu wiekiem mężczyźnie, podniósł do góry fotografię leżącą na biurku.

— Kto to? — warknął.

Niemiec wzruszył ramionami. Początkowo udzielał odpowiedzi na stawiane pytania, potem z nagłą zaczepu-rzył się w kompletnym milczeniu.

— Znalaziono to u was w domu, schowane pod szafą. Razem z innymi zdjęciami. Czemu w waszym życiorysie

słowa o tym, że należeliście do partii hitler- byliście w miejscowych jej władzach? wzruszenie ramion, drwiący uśmiech na zaci-®ach. Siedzący z boku biurka pełnomocnik się, chciał coś powiedzieć, ale Lisiewicz wstrzy-tiem dłoni.

jeszcze gadał, już ja ich znam, bohaterów, go, niech się wysiedzi w piwnicy, do jutra zmięknie...

odprowadzanym aresztantem zamknęły się drzwi, znużonym spojrzeniem przewinął po twarzy peł-

'sz, miałem rację. Siedzimy tu jak na dynamicie, a oni nie stracili tupetu... Nie zawsze znajdzie się co potrafi sprawę wytropić, ani nie obruszy się dziewucha na swojego chłopca i nie wysypie hi-dnie mogliśmy wczoraj wyglądać. " to prawda. Tego chłopaka nie można odna-

"e, miał na nas czekać... Chyba prawda, dziew-klele wiedziała, o elektrowni, o pożarach, o dy-dawna wyczuwałem, że tu działa organizacja Jeszcze gdy byłem w tym trupim mieście sam, Się z nią. Chorowałem wtedy, działa się to we śnie. Niestety, to nie był sen, tamta moja potem jeszcze jedna ucieczka... w naszym mieście? Nic nie mówiłeś?

że mam już własne porachunki z tym mia-. inaczej, z ludźmi w tym zrujnowanym mie-tu nawet papuga darła się z okna na cześć Hi-który przypominał mi inny głos, ten, któ-

I głos stąd pochodzi...

tajemniczo... Może zresztą masz rację, może f Każdy z nas ma sekrety, które musi przetra-,nie znoszą obcego wścibstwa. Wracając do in-4rprzydał się ten nasz Waluś ?

69

— Przydał. Wywęszył, podsłuchał, miał odwagę wałęsać się wśród tych ruin nocą... Chojrak, mówiło się u nas w Warszawie o takich.

—■ Patrz, buszuje tam znowu. •< Waluś ani patrzył w ich stronę, przejęty, pomagał Pę-dzikowi i pozostałym milicjantom w usuwaniu zbiegowiska kobiet i dzieci sprzed budynku pełnomocnika rządu. Niemcy usuwali się niechętnie, ale bez buntowniczych oznak, gaśli jakby, kulili się.

— Ot i masz, zanosilo się na rumor, tymczasem..,

— Nic nie jest pewne. Musimy być bardzo ostrożni. «Mogą prób&wać rozwalać od nowa to wszystko, co w takina

trudzie zaczynamy montować...

Waluś zobaczył Halinę, zziąjaną, czerwoną ze zmęczenia i spiekoty. Przypadł do niej:

— Jak się masz, Piegulinko moja kochana... No jak, przydał się Waluś? Inaczej może zbierałbym kwiatki iia twój grobek... Przeniesiesz się do mnie? Dalibóg, żeby był tutaj ksiądz, zaraz bym się z tobą ożenił. Ale skoro nie ma, to może...

Urwał przekomarzenia, zresztą nie była pewna, czy tylko się przekomarza, w oczach jego błyskało momentami coś bardzo serio. Odgłosy walki za miastem znów przybrały na sile.

— Jasny gwint, ależ się naporzają... że to nie można być z nimi razem. Dopiero bym draniom przygrzał, popamiętałiby warszawiaka... '

Powietrze drżało dudnieniem. Niemcy podnosili głowy, słuchali, oblicza ich były nieme, nie zdradzały wewnętrznych uczuć.

Twarze mieli zszarzałe od kurzu i zmęczenia. W sześć wozów skupili się gromadą przed budynkiem pełnomocnika, patrzyli w milczeniu. Kobiety od razu zaczęły rozstawiać na ziemi jakieś sagany, z

wiadrami w rękach rozglądały się za wodą. Dzieciaki senne i rozmamłane osowiałyimi oczyma spoglądały po dookolnych ruinach. Leżąca na jednym z wozów kobieta pojękiwała cicho. Przybliżał się

70

:y : / .

niej kulejący mężczyzna, podawał kubek, piła choć nie zdawało się to gasić jej pragnienia.

kobiet niemieckich skupiła się nie opodal, cie-z wyraźnym lekceważeniem przyglądając się przy-
taksując ich nędzny dobytek. Zmęczone krowy, włokące się za furami, pokładały się na zie-ludzony do
ostatka wieprzek w drewnianej skrzy-rozpaczliwie, cienkim pianem sekundował mu kokoszący się
obok gromadki kur w plecionym

wybiegali już piegowata Halina, któryś z mi-sr, jeszcze ktoś z dawniej przybyłych. b, skąd wy, ktoście?

ponuro powiedział zarośnięty na czarno pnął nieufnym wejrzeniem. •— Z Kieleckiego... ■ jiaaka nasza
władza, bo przez ostatni dzień to same ice po drodze.

pełnomocnik, w mieście teraz, patrzeć, a się poczym wam pomóc, jeść chcecie, pić, odpocząc nasz
dom, razem tymczasem mieszkamy, wia-cze nietatwo — roztrajkotała się Halina, prze-. znużeniem
przybyłych, siego, siły opadły... Żeby siana czy słomy, by-l pić. Z wodą źle tutaj, po studniach pełno i
świństwa; a bywają i trupy, to złażcie z wozów, odprzegajcie konie, zaraz bę-radzić, choć i u nas
cienko — zafrasował się mi-• Z nami tu zostanieie?

dalej, nad Odrę, tak nam gadali... Icu, tam jeszcze się biją, wojna, musicie pogadali — powtórzył chłop
z uporem, wyglądał fródcę, gromady. — Ale nie poradzi, zległa jedna, tutaj ostawać. — I zaraz się
zastrzegł: — Ino de nam śpieszno do gospodarek. It tego, tylko że niebezpieczne. Słyszycie? Wczoraj
<fa w lasach była, dziś dobijają już tylko resztki

71

Chłop z uporem wzruszył ramionami. Zatoczył ręką.

— Nam na pole ostatni czas. Siac. Zboże wieziemy ze *Mbę, mało, ale żeby na początek było...

— Dostaniecie od pełnomocnika, jest trochę zapasu, w młynie i gdzie indziej... Panie
komendancie — milicjant spostrzegł Lisiewicza — melduję, z Kieleckiego osadnicy. Głodni, zmęczeni,
na wieś chcą.

— Witajcie, sercem, sercem... Na wieś, ale nie zaraz. Odpocząc musicie. Pomyślmy o wszystkim.
Zjedźcie gdzie na bok, najlepiej na podwórze naszego domu, jest tam jakaś szopa... Kto tu jeszcze z
naszych, trzeba im pomóc. I te Niemki niechże się ruszą, podgońcie je, niech pomogą...

—r Panie władza, już bez tych Niemków lepiej będzie... Wiadomo, szkiebry, pokradną dobytek. Do
Lisieckiego przysunął się jej mąż.

— Zle z nią... Czy doctora tu nie ma jakiego?

" — U nas nie... ale w jednostce radzieckiej. Poprosimy. Halina, siadaj na swój rower, odwiozą cię
łazikiem.

— Kancelaria, starosty nie.ma — zastrzegła się. - — Wiem, sami dopilnujemy — zniecierpliwiał się.

Czarny, ponury chłop słuchał, oglądał się wkoło. Patrzył na krzywy napis nad budynkiem, jeden, że Urząd Pełnomocnika Rządu, drugi, że Komenda Milicji. Na cegłą i wapnem wyłożone staraniem Pędzika godło na skrawku dawnego klombu. Na twarze otaczających go ludzi, bliskie, życzliwe. Wtedy zdecydował.

— Jedziemy na to podwórze. Odpocząć mus. A jutro na wieś, domy zajmować, gospodarki, orać, zboże siać. Ostatni czas. Bo dotąd nas bieda nie zżarła, ale jak nie zasiejemy, to żeżre...

I jakby z niepokojem obejrzał się na piekące słońce.

Kto?

— Mówią, delegacja ludności niemieckiej w ważnych sprawach. Chcą rozmawiać z polskimi władzami. Czterech ich. Starsi. Tacy jacyś uroczyści i zastraszeni zarazem...

72

^fekieś

iuj, Halina... Niech zaczekają, posadź ich, iś krzesła. Lisiewicz niech przyjdzie. Poproś Kędrzyka, on jeden z nas zna się na admi-w ogóle na takich tam urzędowych duperelach, czego tamci mogą chcieć, la, rękawem marynarki stał kurz z biurka, niej poniewierające się na nim papiery, jgkoś dostojniej trochę tu wyglądało, porządniej, u licha, autorytet władzy także i w tych akce-lętrznym.

się po pokoju, skrzywił się, rozzłościł. Podłoga jna, kurz wszędzie, bałagan, zmięta firanka Do jasnej Anielki, tyle tych Niemek, mogłoby iek. Lisiewicz miał rację z ewidencją, należy jgatrudniać tych ludzi. Przychodzą żebrać o je-mogliby na nie zapracować... W ogóle jakoś = tutaj to wszystko. Z łodzi ani w ogóle znikąd sami tkwią na tym zadupiu, po lasach es-|T®ddziały, w samym mieście wśród ruin także l a człowiek nawet głupiego telefonu nie ma, tyle, ' z Lisiewiczem się zgadać. Przybyła obiecuje B tymczasem babrze się z drugą linią... Rosjanie , własną do siebie od elektrowni. Mogliby i w tej nóc, trzeba będzie zaprosić się do komen-lowę, niech tylko wrócą oddziały z lasu. Ten (fleka się, może zostaną tu dłużej. Według ra-pWywnioskować, że to już koniec, każdej chwili "Wszystko. Berlin się podda, nie trzeba będzie i nowych jednostek, wszedł swoim nieodmiennie znużonym, roz-ciem. rdelegacja?

Powinniśmy ich przyjąć, zeba szczególnie uważać, czterech moich po-ai chłopami, mają wybrać wioskę i zająć go-Waluś też pojechał. On jeden trochę zna bliższą awizator...

'przecież Władek Wiśniewski ze swoją dziew-

73

czyną. I tamte dwie dziewczuchy, Genia i Jaśka. Byli na robotach w tych stronach.

— Dalej nieco. Tych zaś trzeba osiedlić jak najbliżej. Sami zostaną, nie wiem, czy w ogóle dobrze robimy, mogą po prostu ich wymordować i tyle.

Pełnomocnik zajął mu w oczy.

— Słuchaj, Gierek, nas też mogą. I co, będziemy robić swoje. Tu nie sielanka, stary,

— Wiem. Ale dość gadania, nie strójmy z siebie dygnitarzy, nie każmy im czekać za długo, choć to Niemcy i nie zaszkodzą, gdyby sobie powycierali podłogi w urzędach. O, jest kolega Kędrzyk, jak Bożię kocham, w zarękwkach... Niechże was kule biją.

— Jedno ubranie mam z sobą, trzeba szanować — obruszył się stary buchalter.

— Pełno ich po zburzonych domach, wybierzcie choćby i z tuzin...

— Po szwabach nie będę szmat nosił — nadął się łysawy, korpulentny jegomość.

■ — Bitte — Halina otworzyła drzwi.

Weszli, zawahali się przez chwilę, wreszcie najstarszy podszedł do biurka, wyciągnął rękę, przedstawił się. Po nim dokonali prezentacji pozostali. Radca jakiś, inżynier emeryt, majster fabryczny, czwarty nie podał zawodu.

Usiedli na wskazanych krzesłach.

— My, proszę panów — mówił radca powoli, akcentując każde słowo, aby w pełni stawało się zrozumiałe; może dlatego upewnił się przedtem, czy gospodarze znają język niemiecki — zostaliśmy oddelegowani przez część ludności do przeprowadzenia rozmów z panami jako reprezentantami polskiej władzy — trudno mu przeszły te słowa przez usta — polskiej władzy — powtórzył — dla zgłoszenia gotowości pełnej współpracy przy wprowadzeniu porządku w mieście...

— Sami... — wtrącił Lisiewicz, ale zaraz umilkł.

— Wiemy, że w mieście źle się dzieje.

— Nie z naszej winy, panowie... — przerwał Kędrzyk, ale też urwał, nie skończył.

74

*3K

nie z panów winy, ale i nie z naszej. Więk-stałej tu, cudem ocalałej ludności niemieckiej tjdko spokoju, chleba, pracy, porządku. Panowie iście ostatniego burmistrza i jego zarząd, za-6ny tymczasowo przez wojska rosyjskie, a potem dony przez was jako instytucja dla spraw niemiec-ataliśmy bez swojego przedstawiciela...

macie wybierać takich samych łobuzów, to się bez waszego przedstawiciela. Poradzimy . .Wami i bez tego. Porządek w mieście będzie — łó^iedział Lisiewicz, nie zwracając uwagi na na-; mu spokój spojrzenia Zielniaka. ^skinął głową, obejrzał się na towarzysza. Ten pod-feZgiął w ukłonie, stojąc już mówił: t>wie zechcą nas łaskawie wysłuchać... Znajdu-słuszne powody, dla których mogą panowie nie snia do ludności niemieckiej. Ośmielamy się że były burmistrz i cały urząd byli mianowani Ul trwania

władzy hitlerowskiej... Potem były tylko ja. Nie my zatem ich wybieraliśmy. Więcej, ||L,ich zdegradowania przez panów nie zawsze mie-ifagę wypowiadać o nich swoje zdanie. Proszę się ?ać, ale panowie jeszcze nie reprezentujecie tu ; Zaś siłę mieli. Niejednemu z nas mogli na różny łodzić. Istniał z ich strony cichy zakaz udzie-jom informacji o sprawach związanych z miastem. \$ niektórych magazynach wojennych, fez zacisnął ręce na blacie biurka, ^chodzimy tutaj z wyraźną gotowością podporząd-się panom i z chęcią dopomożenia w przywró-irządku w mieście... Nam samym nie mniej na tym * niż panom.

jowie mogą sprawdzić, wybadać, jesteśmy na miej-den z nas czterech nie był członkiem partii ani na ób nie reprezentował władz nie-nieckich. Byliśmy poza nawiasem. Dlatego mogliśmy zgłosić się - rozmowę, jak też możemy podjąć się z nominacji regulowania spraw niemieckich w ich imieniu.

75

Pełnomocnik uważnie przyjrzał się mówiącemu, po czym powiódł wzrokiem pt> pozostałych Niemcach. Przejęci byli, zaniepokojeni, rozmowa nie zdawała się przybierać pomyślnego dla nich obrotu. Wzdrygnęli się wyraźnie na pytanie, jakie padło teraz z ust Zielniaka.

W mieście kryje się jakaś organizacja hitlerowska. Mamy na to dowody. Panowie wiedzą j tym coś bliższego?

Możemy się tylko domyślać, że organizacja podobna czy podobne istnieją. Jedynie tyle. Działają w ukryciu.

Poprzedni wasz przedstawiciel był z nimi związany?

Wzruszyli ramionami. Skąd mogą wiedzieć?

Zielniak wstał, przeszedł się po pokoju. Porozumiał się wzrokiem z Lisiewiczem.

Zatrzymał się teraz przed Niemcami.

Przyjmuję propozycję panów. Z pewnymi zmianami. Panowie nie będą tworzyć żadnego urzędu. Będziecie jedynie prowadzić odpowiednią komórkę naszego urzędu dla spraw niemieckich. Po tej rozmowie przedstawiać panowie swoje dowody, adresy i inne dane. Kierownikiem wzmiankowanej komórki mianuję pana radcę, zastępcą pana... — wskazał na majstra.

— Blincke.

— ...pana Blincke. Resztą funkcji podzielą się panowie sami. Czego żądamy od was? Po prostu pośrednictwa i pomocy w kontaktach z ludnością niemiecką. Za dwa dni mamy otrzymać pełną, wraz z adresami, ewidencję ludności niemieckiej pozostającej w mieście. Bez żadnych opuszczeń i fałszerstw. Z góry przestrzegam przed konsekwencjami. Tak samo żądamy listy fachowców. Z kolei listy zdolnych do pracy. I chętnych. Zmuszać do niej nie 7amie-rzamy nikogo, z wyjątkiem akcji ogólnych, jak odgruzowanie niektórych ulic czy prace porządkowe. W miarę napływu środków będziemy tę pracę wynagradzali. Żądamy też ujawnienia wszelkich większych zapasów żywności i wszelkiego surowca... Kolego Kędrzyk, przekazemy panom dawne pomieszczenia po ich aresztowanym burmi-

76 .

ejmie pieczę nad tą komórką. To wszystko. ^ jeszcze jakieś życzenia? ^Starosto, chcieliśmy podkreślić naszą najlepszą W sytuacji, gdy odejdzie stąd na front iecka, z naszą pomocą będzie panom na pew-• Ale prosimy także o jedno...

a skąd ta informacja o odjeździe wojsk ra-

tam sporo naszych ludzi pracuje. Płacą jęto ważne, w mieście zaczyna panować głód... także o jedno, aby i lojalna ludność nie-być pewna życia i mienia, nie niepokojna

się zapomina? Były takie fakty? panie starosto. Przed paru dniami, rabunek iy panu dostarczyć bliższych dahych.

o nie. Będziemy przestrzegać porządku ,ch i karać za jego naruszenie też wszyst-

zadowoleni wyraźnie przejęci i swą misją, i jej Trójka Polaków stała, odprowadzając ich z mie-Sąciami.

jfi się za nimi zamknęły, Lisiewicz wzruszył ra-

ptt się z twoją decyzją, inaczej naprawdę chwile poradzimy, ale zarazem i nie wygląda mi fasystko... Oni za dużo wiedzą. I o tym, co za-ftestka radziecka, i o organizacjach niemieckich, (' poczynaniach, a przede wszystkim o naszej sła-

cholera z tym rabunkiem i gwałtem? Jeżeli za-tworządnie, nie wolno zezwalać na takie hi-

ręką, panie pełnomocniku. Poniosło któ-co się tam dziwić, tyleśmy wycierpieli od szkie-Kędrzyk.

kolego, myśmy przyjechali tu nie w pry-ch. Panu, mnie i innym zlecono zorgani-

77

•j

zowanie władzy polskiej w tym mieście. Władza, to zna. czy wprowadzenie porządku, przywrócenie życia temu mia, stu, w gruzach, z niemieckim podziemiem, z niemiecką ludnością...

— Zabitemu miastu.

— Tak, Lisiewicz, zabitemu, ale my je wrócimy do życia ...

— Miasto, zgoda, ale sami siebie czy możemy jeszcze wszyscy wrócić do życia?

W głosie jego zabrzmiało coś męką. Ale już przecierał czoło dłonią, jakby ruchem tym zmyść chciał kłębiące się pod nim myśli, zaczął mówić o realnych sprawach.

— Nie możemy odszukać tej niemieckiej dziewczyny, która nas powiadomiła o hitlerowskim podziemi... Byliśmy u niej w domu. Matka rozpacza, że od wczoraj wieczora nie wie, co dzieje się z córką...

— Przypomina ci się portier z elektrowni?

— Tak.

3.

Zdziwili się najwyraźniej, widząc ją wracającą o tak wczesnej porze. Co więcej, odniosła wrażenie, że nie jest już mile oczekiwanym gościem, jedyną podporą rodziny, jak jeszcze przed paru zaledwie tygodniami. Zaczęli się dobrze już czuć w nowym układzie, już im nie była potrzebna, Głupcy.

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Jesteś? — obojętnie stwierdził ojciec, majstrując koło okien.

— Tak. Przyszłam, żeby się z wami pożegnać, nacieszyć jeszcze rodzinnym ciepłem — powiedziała zjadliwie, obserwując, jakie wrażenie uczynią jej słowa.

Matka klasnęła w ręce.

— Gott im Himmel... Kiedy, gdzie, dlaczego? Co ty gadasz, Gizeldo?

78

xn z wojskiem. Idą na front, pewnie może gdzie indziej. Nie informowali bli-^ mnie że sobą jako tłumaczkę, ją? przymusem?

nie stawiałam oporu, matka załamywała ręce, bezradna, nagle ogromu tej wieści, stine milczała, zajęta swym wyszywaniem, ślepiała za siostrą nieżyczliwym spojrzeniem, ich oczy, zetknęły jedna i druga nienawiść, lin! Razem z bolszewikami! Ty! — tym razem potrafiła się powstrzymać, splunęła na pod-

drugiemu równe. Ty z Polakami, ja z Rosjami Krysiu? — zakpiła, po polsku wymawiając

*r zagrzmiął nie po swojemu vWiktor. — Mów, rzeczy, co to oznacza? Mają prawo mobilizo-B? Rozkaz jakiś?

było iść na tę tłumaczkę. Czuła moja dusza, tego nieszczęście...

; chleb przynosiłam i słoninę, jak mieliście mamie nic dusza nie czuła? Mogłam zwolnić chcę. Wolę iść z nimi, niż zostawać tu-rkogoś innego, niż jestem, łamać język na pol-, robić z siebie jakąś Srodównę. Jedna z was och i nią będę do końca... wyjdiesz za któregoś ze swoich szefów. 38 nosiła rosyjskie nazwisko — sapnęła znad ranku Christine. — Tylko, czy który cię ze-;?• Co innego... — ściągnęła wargi, nie dopo-

cisz... Na ciebie nikt nie poleci, nawet po

"I— Wiktor był zagniewany, dawno go takim Nawet Gizelda przycichła, niepewnie spoj-— Nigdzie, Gizelda, nie pojedziesz! Nie poz-ita włożyła się za obcymi wojskami.

79

— Wolałbyś polskie?

— Choćby już to, w każdym razie jest w tobie trochę krwi polskiej. Powiedziałem, nie pojedziesz; Zrozum, że t nie los dla ciebie. Zostaniesz z nami, jakoś się urządzimy, potrafimy żyć i w Polsce, jeżeli

ona naprawdę już tutaj będzie... Patrz, stolarnia, całe życie mogłem tylko marzyć o takiej. A teraz ja tu panem.

— Kromppe może gdzieś żyje. A jeżeli zechce ci ją odebrać?

— Kromppe tutaj nie wróci. Tu... — zaciął się.

— Tu będzie Polska, chciałeś powiedzieć. Więc jednak... A ja pojedę, twój opór na nic się nie zda. Zjawią się po mnie z komendantury i nikt na ciebie nawet nie spojrzy... Lepiej porozmawiajmy, jest tyle spraw... Wojna trwa, choć wygląda, że naprawdę niedługo się skończy. Przez złych generałów przegraliśmy...

— Przez tego cholernego hycla, Hitlera...

5— Ojciec tak jeszcze niedawno inaczej mówił... Dość, że przegraliśmy. Ale nie przegrały Niemcy. To tylko krótka przerwa. Będziemy jeszcze nieodzowni. I wtedy wrócimy. Także do państwa Srodów, właścicieli stolarni, mechanicznej, a jakże. Wróci pan Kromppe. Czemu ojciec nagle zbladł, patrzy dziwnie, wargi ma szare? Może przecież się tak zdarzyć. I wtedy dobrze byłoby, aby był ktoś w naszej rodzinie, kto potrafi właściwie wyjaśnić sprawę. Uratować, już nie stolarnię, ale dobre imię Mittwochów.

— Głupia jesteś. To, co się stało, to koniec, a nie początek, czy przerwa, jak chcesz.

— O jakim końcu wuj mówi? Dzień dobry. O, i Gizelda jest, wcześniej coś dzisiaj... Zajrzałem do was, mniej mam: roboty. Okazuje się, trafiam na zasadnicze rozważania. Pewnie o wojnie? Lada dzień Berlin padnie. Rosjanie zajmą go i Polacy. I Polacy, słyszycie? No jak, miał Józef rację, czy nie miał, dobrze wam radził, czy nie?

Siadał za stołem, pękaty, zadowolony z siebie i z życia.

— Gizelda wyjeżdża — oznajmiła bez wstępów matka.

— Chce wyjeżdżać. Ja zabraniam. Jak ty to widzisz, Josef?

80

'o co najwyżej. Josefów dawno ziemia po-Zaraz spowaźniał. — Z wojskiem? Zabie-tłumaczkę? Można się było tego spodziewać... to nawet dobrze. Będziesz miała czyściutki gi dla komunistów, oni umieją dobrze płacić, nie podnosząc oczu znad swej robótki parsknę-śmiechem.

-ju'— rozważał nadal Józef — ja myślę, że Gi-robi. Tutaj jej nie zostawać. Wcześniej czy by źle... Co mogła nam pomóc, to już pomogła, "ę rewanżowałem, prawda, Gizeldo? Tą mąką... dawaj znaków, oni i tak niczego nie zrozu-że znikasz, pewnie lepiej. Tam sobie po-okazja, na aliancką stronę jeden krok i już jharechotał. — A my będziemy wskrzeszać Foliach Piastów? Ładnie, co? Srodowie, którzy rwali, już się nauczyłem z radia, słuchając lego. My pierwsi. Dlatego młyn mamy, sto-opinię, nawet ten zwariowany komendant mi-koit...

odkąd nam się dobrze zaczyna układać, ona iża? — zacudował się ojciec. — Józef, ja nie iiem, co ty gadasz, co mówi Gizelda. Czy ona

nie tak mnie stryj zrozumiał. Prowadź Gi-

całą rodzinę ironicznie. Naiwny ten ojciec, wi? Odkąd się im zaczęło dobrze układać... iele w tym jej zasługi. Krzywi się, że sąsiad się mu kłaniać, uważając za zdrajcę, który ubił Polakiem. Spack, jeszcze inni. Cieszy się, io umizgi tych, którzy łaszą się, nadskakują, ęcoś tym u Środy zyskają... Głupi, naiwny oj-.gniewać się na niego nie można. On w końcu Wierzy, że jest Polakiem... Tylko dla niej to że zostawili ich rodzinę w spokoju. Także \ Tyle, że musiał mąkę przydzielać. Na szczę-nie żądali bardzo dokładnych rozliczeń

Błę niebo t. I

81

z przekazywanego zboża. Dawał, nie bardzo wie naw dla kogo, tyle, że się chyba domyśla... Zostawia jej dzinę w spokoju także i potem? A jeżeli nie, trudno, nie poradzi... Jechać musi. Dla wielu powodów.

— Więc jak, Józef? Ma jechać Gizelda?

— Po mojemu niech jedzie... Kiedy to nastąpi?

— Pojutrze. Tu zostanie tylko mały oddział gospoda C2y, pod miastem. Zasiłi, chcą zbierać... Dzisiaj dowód poprosił Polaków, starostę, komendanta, jeszcze innyc Piją, całują się. Zostawia im dwa samochody ciężarów osobowy, jakieś maszyny, zapasy... Łaskawiec, wszystko t poniemieckie, z cudzego najłatwiej dawać. Dlatego przy szłam dziś wcześniej, nie chciałam być tam razem. Ja po' skiego nie znam i znać nie będę, Christine się nauc za mnie i za siebie.

— Pojutrze... — zamruczał Józef. — Zostaną na miejs tylko polskie władze.

— Władze... nie ma ich setki, Polaków, a nas parę ty sięcy...

■— Nie nas, Gizeldo. Srodowie też należą do tamtej set' — zaśmiał się Józef, wyciągnął nogi przed siebie. — Tr ba odpocząć, kawałek drogi do tego młyna, a zostawić g na noc samego nie mogę. Pełno różnych takich się włócz jeszcze by...

— Chyba oni zostawiają ciebie, Józef, w spokoju, wiedz czemu, nieprawda?

Tym razem spojrzenia obu siostr zetknęły się we wr jemnym zrozumieniu.

Jedynie obydwójce starzy byli w tym wszystkim p" ważni, zmartwieni, niepewni, nie rozumiejący do końc co się wokół nich dzieje.

Obie dziewczyny przyleciały razem, znów w całkowif zgodzie z sobą. Ostatnio nre rozmawiały, boczyły s: odkąd Jaśka zamieszkała razem z Felkiem od elektryko Przybyły. Waluś go namówił, by zajął mieszkanie w dom

82

"te--

g&zęśliwie, mało uszkodzonym przez woj-ał się niżej, Jaśka nie wiedzieć, kiedy po-łocum, zostawiając osamotnioną przyjaciółkę Gienia wzięła na ambit, też zajęła miesz-

v__samym piętrze, dokładnie naprzeciw, skąd

Hartem spoglądała na zaloty młodej pary. Waluś

to ze zwykłej zazdrości... ygy zapłakane, przejęte, z trudem wiązały słowa, ph tkwiły zgroza i strach, zwyczajny strach. 4 jak ci huknęło, myślałam, dom się przewróci, stko ze stołu, zakurzyło, zatrzęsło... dobra, ale gadajcie, co z Wałkiem?

tylko ucichło, zerwałam się i w te pędy Geni. A ona już do mnie gnała... Stanęłyśmy przytulone, kurz wkoło, szaro jakoś, choć jr jāsne. Bałyśmy się. co Waluś?

| na kawałeczki, zupełnie na kawałeczki strach

ia zakryła oczy rękami, tmówcie? — huknął ktoś. rozzłoszczony tymi

przy domu... W takim miejscu, gdzie wczógałam konwalie. Felek je bardzo lubi — _ ała się Jaśka, pjggował dziewczyny, ale nietęgo mu szło. Be-Kilowo trzeba z nich było wyciskać. Wreszcie przywołał któregoś z kolegów, ruszyli sami p\$ŝce wypadku. Na odchodnym zlecił, aby i\ przywołać Felka. Może on będzie wiedział

konwalie tam wczoraj zbierały... To się na-szczęście. Jeden depce po tej minie i nic, ieprza w kawałki. If^o rankiem poniosło w ogród? Przecież nie t zbierać? Ty, on sam mieszkał? * jego gadania o Niemkach, z którymi sypiał, na początku coś było, ale teraz nic. Przecież

83

on był zadurzony po uszy w Halinie, nic mu w glonie pozostało poza jej piegami. Z myślą o niej wystarał o to mieszkanie, urządził się tam jak mógł...

— A jej tylko pełnomocnik się widzi...

— Teraz beczy nie gorzej jak te sikuchy. Póniewcz się obejrzała. Zawsze tak jest z babami.

— Skręcamy, trzeci dom w tej ulicy.

Pusto tu było, Niemcy jakoś nie trzymali się tej dzi

nicy. Kroki ich dudniły pomiędzy zrujnowanymi ścian* domów. Zatrzymali się przed domem okupowanym p; Walusia i jego podopiecznych. Piętrowy, z czerwonej ce budynek, pokryty tu i ówdzie liszajami tynku, w sło;* wyglądał pogodnie, niemal wesoło, Musiał ich. uderzyć t kontrast, dłuższy moment trwało, nim zanurzyli się- w pr strzeń klatki schodowej...

Gdy niedługo później opuszczali budynek, w spojrzenia ich pojawiło się coś nowego. Do poprzedniej, doprawion smutkiem goryczy dołączyła się ponura zawziętość. Pęd ' meldował Lisiewiczowi, z największym wysiłkiem ham jąc pasję:

— -Gówna mina, to się tym sikuchom tak zdaje... Po m jemu tę minę musieli tam przytaskać już razem z trupę Walusia. Machnęli nim na nią i sami w nogi. Myśl że tym sposobem zakryją ślady. Głupie to nie było. Nie chwalać się, że bym nie obejrzał dobrze tych kawałów... Trzy kule dostał na pewno. Równiutkie otwor" przydymiony jeden i drugi, nie fatygowali się, kropnęli g z bliska.

— Jesteś pewien?

— A jestem... Można go obejrzeć, Środa trumny dotą "nie przywiózł, leżą resztki Walusia pod prześcieradłem. Cholerny gwint, a tak się chłopak cieszył tym domem, in blami...

— Ferycki i dziewczyny zgodnie mówią, że nocą blis nich żadnych strzałów nie było. Najwyżej gdzieś dal ale to normalne, nocami u nas wali, kto chce, a my ci nie możemy z tym sobie poradzić. Prosiłem o posiłki z dzi, oni mają tam inne życie niż my, gdzie tam, zahuczę

84

. nie starfca. Nic, poradzimy sobie — jakby do-się, że mówi do podkomendnego o wcale x sprawach, Lisiewicz otrząsnął się z, mino-

chłopa gdzieś dalej, potem przynieśli. Dia-ich dojrzał. Te trzy nasze patrole nie obejmą Cienie tylko jakieś smykają, machnie się rjką i tyle. Głównie dla postrachu. Panie ko-a Waluś o której wrócił wczoraj do domu? wie. Nie słyszeli. Często zjawiał się późno, bał się tego miasta, znał je lepiej od innych, wywęszyć niejedno. Może za to oberwał... go ich burmistrza, który uciekł z mamra, led-srLL..

• ną wspomnienie tej historii zacisnął dłonie, za to — powiedział ponuro. Pędzika dłuższą chwilę siedział z głową wtu-aa. Poczul się nagle bezradny. Nie mogą opa-. .miasta, za mało.ich, jeszcze się nie wgrzyźli sr, które intensywnie żyją wśród ruin, czają się .potulnymi twarzami. Próżno wszystkimi dogami wołają o transporty osiedleńców. Po-że już, że niedługo, ale tymczasem płyną one docierają jakieś najwyżej niedobitki, typy |ego zdarzenia...

kazał po kolei przywoływać obie dziew-I Jaśka, i Gienia już się nieco uspokoiły, sposób, zdawało się im nawet imponować /anie ich osobami. Odpowiadały śmie-6j. Nic z nich jednak nie potrafił wyciągnąć riedziały poprzednio. W końcu odprawił je

zacięty. Jego młodziutka twarz ściągnęła się, dojrzała. Zastanawiał się nad każdym pyta-r Ważył słowa, zainteresowałem się wczoraj wieczorem; czy ; wrócił. Nie krępował się, gdy wracał choćby ie. Stukał, trzaskał, przesuwiał meble, wy-

85

śpiewywał... Zdarzało się,.do nas zapukał, wypiliśmy kiedy kielicha, coś nam podrzucił do żarcia, on tam zawiniał jakieś frykasy pod ręką. Wczoraj było cicho. Myś" ton, zanocował gdzieś na wiosce albo w naszym kołch czy w elektrowni, zdarzało się i tak. Miał swe wła drogi, nawet nie lubił, jak się go o nie podpytywało,

— Gdy wychodziliście rano, nic nie słyszeliście?

— Nic. Bano wstałem, Przybyła nas goni, chce no-linię podciągnąć, siłę doprowadzić do tej fabryczki... Cic było. Jaśka została w łóżku, jej tak bardzo nie śpiesz a co z Gienią, to nie wiem, drzwi naprzeciwko były za knięte, ona lubi spać, chuda taka, zmarniała, może d tego.

— A w ogóle nikt się tam koło was nie kręcił? Niem

— We dnie to ich niemało bywa. Jak wszędzie. Bobru* po ruinach jak szczury. Nie dziwota, żarcia szukają, ślad' po swoich. Cholera, kto się wyzna, co w którym siedzi...

— A, Felek, ten ogród?

— Panie komendancie! Tam min przedtem nie mog! być. Waluś przecie kazał, skopaliśmy ładny kawałek, prz .sadziliśmy kwiatki. Po tych konwaliach też się łąziło. Ws~ dzie. Ta historia mnie nic a nic tutaj nie siedzi... Chy że jakieś cholerne szczęście.

Spojrzał na ściągniętą twarz chłopca.

— Nie ma co, rozejrzyj się za miejscem w tym naszym kołchodzie. Chyba już mieszkać tam nie będziecie. Wal został zamordowany...

— Wiem już. Słyszałem... A co do kołchozu, to mc inaczej. Ja bym prosił o jaki automat. Bo ta spluwa, co ma z przydziału dla ochrony elektrowni, to nie na takie rze czy...

— Nie ma gadania. Wróćcie do wspólnego domu. Tylko tam mogę zagwarantować bezpieczeństwo polskiej lud ności. Wszyscy inni mieszkający na mieście zrobią to saffi< Trudno, zaczekamy, będzie nas więcej, zdołamy. zapewni zupełny spokój, dopiero obejmiemy miasto.

Felek ściągnął wargi. Spojrzał Lisiewiczowi prosi w oczy, powiedział jakoś tak nie po swojemu, twardo:

86

łendancie, jak zwiąłem z domu, kartkę tylko tdo starych, to po to, żeby coś dopomóc, coś upie na pewno miałem lepiej jak tu... Niemcy go brata, siostra zginęła w obozie. Ja byłem na konspirację, choć też pomagałem w harcer-? mogłem- I tu również przed Niemcami nie będę tylko o automat, zostanę w domu Wato będzie, gdy tak zaczniemy się pietrać? Aż I? To może za tydzień jeszcze, albo za mie-i? I co, my zamiast naprzód, będziemy się nastanie wśród szkiebrów uciecha... Po mo-, tak, komendancie... w oczy, słuchał twardo wymawianych żarli-ISaczął się wahać. Felek ma rację, nie można się nożna. Ale z drugiej strony jego sprawą jest bezpieczeństwa wszystkim Polakom. A jeśli ifjłtać go na to? Więc co, romantyka czy roz-

zdecydował. Wstał, poklepał Felka po ra~

śr Zostawaj. Automat dostaniesz. A teraz chodź ly, zobaczmy na miejscu, jak to wygląda... ądzi się wielki pogrzeb, zasłużył Waluś na to.

jak, pomógł nam w niejednym. Tym więk-> zginął...

f ittie powiedział, całą siłą zacisnął na moment jciły mu się w oczach zgoła niemęskie łzy. zcie zduszonym głosem: |komendancie... A czy by tak tej ulicy nie naz-zmarłego? Ciągle się ona tak głupio po nie-?a? Zostałaby pamięć po nim, wiedziano by ' był Waluś Florczak.

ti na świstku papieru, skreślał, znowu coś łdkiem jakby tylko zerkał chwilami arkuszy maszynopisu, pokrytych gęsto czar-

87

aymi linijkami. Przyciąga! go ten maszynopis i zara odpychał od siebie. Zbyt mocno wraz z nim wracała p szłość. tamta obozowa i ta. gdy kto wie. może był pie szym polskim obywatelem w tym mieście.

Pragnął najpierw ukończyć normalne służbowe zapisy' Od trzech dni ich nie robił, w tym urzędzie i na tej funk niedopuszczalna sprawa. A poza tym jeszcze te lakonicz krótkie zapiski stwarzały dokument, najogólniejsze choć świadectwo, jak naprawdę trzeba było budzić od now życie w zabitym mieście...

„Przed pięciu dniami zginął Waluś... Pogrzeb był ur czysty z przemówieniem pełnomocnika. Znalazły się ta ostre akcenty skierowane do Niemców, którzy, choć ni zwoływani, nie wiedzieć czemu sporą gromadą stłoczyli s! na cmentarzu. Niektórzy z nich na pewno nie mało wi dzieli...” Była także wzmianka o przemianowaniu ulic; Projekt Felka poszerzono, nad planem miasta zasiadł z spół powołany do opracowania nowych nazw... Pracuj gorliwie, choć zapas pomysłów się wyczerpuje. Tyle tyc ulic...

„Pięć dni i znów tyle w tym krótkim czasie Się wyda rzyło. Mają już nareszcie łączność kolejową. A właścivi prawie że mają. Jeszcze tam na linii sporo roboty, musi t przyjechać jakaś komisja z Łodzi albo z Poznania, zbada stan techniczny, zatwierdzić. Żeby nie przeciągnęli sprawy.. W każdym razie Jezierski z paru swoimi jakąś starą ręczn* drezyną dotarł o pięćdziesiąt kilometrów do sąsiednieg miasta. Kilka razy musieli przenosić swój wehikuł prz niektóre odcinki torów... Dwa razy w czasie tej drogi, ch było to w biały dzień, ostrzelano ich...

„Przedwczoraj nocą był napad na wioskę, w której osi dli chłopi z Kieleckiego. Przydzielił im dwu milicjantów dał broń, przydało się. Bronili się zażarcie, zabili jedneg z Niemców, miał pod pachą tatuaż, pewnie któryś z ni dobitków tej wielkiej grupy rozbitej przez jednostkę ra dziecką... Udało się jednak zbójom spalić trzy domy, nie za jęte na szczęście przez osadników. Milicjant i jeden z chł pów zostali ranni.

88

nocnym patrolu strzelał ktoś do milicjancie był tam Pędząc, ten wie, jak się zachować. Niemców też dzieją się dziwne rzeczy. Zda-zagadkowych mordów. Rada pomocnicza g melduje, prosi o pomoc, ale ściślej, przed kim. ie precyzują. Wyglądają na piekielnie zastraszo-

fo zerwanie wewnętrznego kabla telefonicznego go dopiero przed paru dniami. Przybyła pręd-miejsce, ale stwierdził, że uszkodzić to musiał Po lasach krążą podobno spore grupy Niem-ri, że nocami przedzierają się bocznymi do miasta. Zostają w nim, czy wracają do la-

! igłową, odłożył ołówek. Za wiele tego. Mówił w sąsiednim mieście, prawda że większym fegót, może najwyżej w pięćdziesięciu procen-iyim, jest inaczej, tam się już życie normali-znalazło się blisko pół tysiąca, choć Niem-- nie mało... A oni tutaj. Świat deskami zabity. | «ruchomi się szlak kolejowy, to przecież i tak lie boczna, okrężna linia, długo jeszcze ru-wielkiego nie będzie. Tyle że byłoby łatwiej a najważniejsze, mogliby zjeżdżać tu osie-cbby jeno byli, są te dwa wozy ciężarowe, moż-'ludzi podwozić. Benzynę dostanie się w góspo-Seckim..

' sobie słowa młodego Feryckiego w ten dzień. Ii0 trupa zamordowanego w perfidny sposób i Ze nie można się cofać, nie wolno załamywać Świlę..

?ie odsunął kartkę z notatkami. Wieczorem księgi raportów Teraz ten wykaz ewiden-niemieckiej. Prawie dwa tysiące osób. jrsfkich podany zawód, mimo że takie było niemiecka tłumaczy się, że nie zawsze to b. ' Ohne Beruf prawie przy co drugim naz-aiennie zrobione, dzielnicami, ulicami, poru-

89

brykowane, poszatkowane. Inna rzecz, że nazbyt p rzyste to nie jest... Tysiąc dziewięćset trzynaście Dużo i zarazem niewiele. Miasto miało ponad dwadzi= pięć tysięcy mieszkańców. Pozostał w nim zatem co dv nasty Niemiec... Polaków jest wielu? Dociągają do se" Jeden na dwudziestu.

Wyciągnął stary niemiecki formularz, notował. Leka podanych jest czterech, sami starcy. Na wezwanie zgł siło się tylko dwóch, otrzymali zadanie uruchomienia sr tała. Sto Niemek pomaga w uprzątaniu. Kto to mówi? Pędzik, ten wszędzie zajrzy, wszystko obejrzy, niezmor" wany, wspomniął też, że jeden z tych lekarzy poczy sobie w pruskim drylu. Niemki latają przy robocie galope aż furczy! Słusznie, niech naprawiają sami, co uszkodz" Tydzień, będzie i szpital. Tamtych lekarzy należy ści-nąć, nakazać podjęcie pracy... Nie tylko im... Mówił Zi niak, będą wkrótce gotowe formularze tymczasowych świadczeń dla ludności niemieckiej. Ta mała drukaren jej zabezpieczenie, to także zasługa nie żyjącego Waluś Niemiec, zecer, stary emeryt, składa teraz mozolnie te' w obcym języku, brakuje mu jakichś czcionek. Aż t dziewczyny go tam pilnują, liczą, żeby żadnego szwin nie było, żeby nie pojawiły się potem z nagła lewe wody... W ogóle dwustu ludzi przydałoby się na samo nowanie... Hoaerwać się można...

Kolejarze. Jezierski musi sprawdzić, czy się wszy do niego zgłosili. Elektryk tylko jeden. Stary. Niepraw podobne Po wydarzeniach z elektrownią, po tajemni śmierci starego portiera, który ujawnił miejsce schowa podstawowych części, po awariach na linii jasno wi że speców, i to na pewno młodszych, jest w mieście zna nie więcej... Teraz będzie można jakoś się zoriento wprowadzić ład. Sami Niemcy, ta osobliwa rada, też z t zadowoleni. Zamiłowanie do porządku wrodzone, względu na sytuację. Inni próbują ten porządek bur tu chyba płaszczyzna podziału, tych kapturowych mord wśród samych Niemców, tego zastraszenia Blinckego i nych... Osobliwa społeczność, niech ją szlag trafi...

00

coraz pobieżniej, to robota na długo. 3% będzie zacząć z chwilą rozpoczęcia wy-wych zaświadczeń... Trzeba będzie mocno właściwych ludzi. Ba, ale spośród kogo. już aż nadto na głowie, w dodatku coraz takich, co zaczynają się oglądać tylko za W areście siedzi już trzech Polaków za za niszczenie dobra społecznego - Co bę-zjeżdzać większe gromady?

przy literze S... Odganiane z wysiłkiem dptynęły skłębioną, dławiającą masą. Sehul-trafi na jego trop? A może to wszystko anego, skołowanego obozowym życiem Schulmowsky mówił o tym właśnie mie-rlhnym...

zalewa mu serce gwałtownym potopem, gi zawirowały przed oczyma. Dłońmi biurka. Zacisnął zęby. Spokoju, na miłość I To było do przewidzenia, musiało tak być. tał, po prostu musiał natrafić... cy Erna. Blumenstrasse 6 — przeczytał potem drugi, jakby ciągle nie dowierzając

d tekstem. Maczek czarnych maszynowych i gęstniał. A więc jest ślad, zatem nie na *e i malignie ciągnął do tego obcego, nie-"ta, którym tak się pysznił Schulmowsky, więc zaczyna się spełniać jego los, los więź-jedno tylko w pamięci, przez to jedno prag-siebie... Erna Schulmowsky lat 28, Blu-Schulmowsky Hans, lat 5, Schulmowsky 3. Na tym zamykała się lista ludzi o naz-•cznie już wrosłym w jego pamięć, wrogo samego.

się, co się miało wypełnić. Łudził się jakiś daleko, bardzo w głębi był nawet rad, się sporządzenie list ewidencyjnych nie-gdy nawał pracy odpowiedzialnej, nad

91

siły, jakby odsuwał tamto w przestrzeń, osłaniał jaką; mgłą nie zapomnienia, to w ogóle nie było możliwe, ale przestoną, poza którą pamięć stawała się mniej bolesna. Teraz wszystko odżywa. Wszystko tam, w obozie, i wszystko tutaj, w tym mieście, krzyżującym wynędzniałą papugą, chrypiącym głosem czarno okutanej staruchy grzebiącej pośród ruin, jaśniejącym tamtym rankiem, gdy znów Uciekał, przed sobą, przed nią, przed tamtą niemiecką Erną...

Erną, też Erną, jak i Schulmowsky... Że też nigdy nie zajął do tamtej dzielnicy, gdzie spędził te dni, w chorobie i nie tylko w chorobie. Nie próbował odszukać tamtego domu ani tamtej kobiety... Pamiętał, ale to wspomnienie jakoś inaczej się zacierało, jakby już stale miało blaknąć, aż zetleje zupełnie, da się wykreślić z pamięci... Inni też żyli z Niemkami, nie robili z tego problemów, nie stawiali sprawy w kategoriach etycznych. On jeden. Pewnie, miał własne powody, żyła pamięć tamtej auf-zeherki w obozie były jakieś przyrzeczenia, istniał obmierzły wstręt, poczucie brukania siebie, pamięci wszystkich polskich kobiet i wszystkich mężczyzn, którzy zginęli... Dlatego uciekał owego ranka, gdy zatrzymali go na koniec radzieccy żołnierze.

Z wolna, jak ostrze igły wbijanej z premedytacją, bardzo, bardzo powoli, sączyć się zaczęła w umysł nowa, przeraź-•liwa myśl. Jeszcze jej sobie nie uświadamiał, jeszcze nie nazywał przed samym sobą do końca, nie mógł, nie miał odwagi, to byłoby zbyt okrutne, zbyt makabrycznie ponure...

Warcząc, wyjął —• łazik był mocno sfatygowany, okrężną drogą, gruzy w samym śródmieściu nie zezwalały jeszcze na swobodne poruszanie samochodem — jechali ku dzielnicy, która najbardziej obronną ręką wyszła z wojennej pożogi-Blumenstrasse. Już ją przemianowała komisja nazewnictwa na Kwiatową. Nie ma znaczenia...

Ślepił uważnie, zmęczonymi nagle, mrużącymi się p poblaskami słońca oczyma. Domy podobne do siebie*

92

^ uciekał przez takie ogródki, stara Niemka go wtedy przez okno, sypały się za nim je. rozpoznałby nigdy tamtego domu, chyba idąc jżnugi, dynda gdzieś może jeszcze przegniłe jej t .ozdobnym łańcuszku, starucha w chuście czar-grzebie może nadal wśród ruin... se... Takie same domy, podobne, mniej lub Mie. Był wtedy tutaj, na tej samej ulicy, albo fjpodobnej, bo może ulega złudzeniu, sugestia tej liającej go teraz straszliwej myśli może lożliwe, to byłoby aż nazbyt okrutne, -rzadki* jakaś postać pojawi -się przed domkiem, Iflazika przezornie się kryje we wnętrzu. Gro-ciaków sfruwa spłoszona jak stadko wróbla, i.^.. Kierowca jedzie wolno, wolniutko, nie wie, 'komendantowi, czego tu szuka...

Numer sześć. |e, podobny, może ten sam, ale nie ten, na pew-t. Wszystko w nim krzyczy, że nie ten dom, że ay...

uchylają, w progu staje kobieta. Patrzy pod Jania oczy dłonią. I on patrzy... Stykają się ia. Kobieta czyni nagły ruch, jakby chciała się ;fazikowi, ale nagle cofa się, zatraskuje drzwi htm ten ogłoś olbrzymieje, narasta, staje się iicą, w której ztraca się reszta nadziei, aj, Józek — mówi nieswoim głosem, Inic nie pojmuje, i jego ogarnia płochliwy na-czemu, zakręca, dodaje gazu, dosyć ma tej ^jazdy...

f g komendant samotnie tkwi potem w swym ga-bez żadnych ozdób, bez niczego poza jszymi sprzętami. Gdy wreszcie wzywa Pę-t już zimny, spokojny.

ie jeszcze dzisiaj z ulicy Blumenstrasse 6 nie-aowską Ernę. Przesłuchacie ją, chodzi o jej la z obozu koncentracyjnego. Zdacie mi póź-rą relację.

— mówi Pędzik i nie odchodzi, wgapiony

93

w twarz komendanta, tą samą niby a zarazem zup inną. Twarz czymś straszliwie zaszczutego człowieka.

— Zrozumieście, Pędzik?

Dopiero przytomnieje. Głośniej niż trzeba trfcaska 0 casami.

Zaraz potem podnosi się zza biurka komendant. Ciężk" krokiem idzie do drzwi, przemierza korytarz, na dwo nie mrużąc oczu zdaje się patrzeć prosto w jasne, ośl piałące słońce, nikt nie wreszcie w budynku szumnie zw nym starostwem.

W chwilę później sekretarka Halina truchleje, słys przez cieńkie drzwi słowa o jakiejś dymisji, a potem ostry przejęty głos pełnomocnika:

— Nie zgadzam się. W każdym razie nie teraz. To byłaby Lisiewicz, dezercja... Jutro przybywa nareszcie pierws transport repatriancki, może ruszy coś u nas mocniej, a w tym czasie, właśnie w tym czasie chcesz nas zostaw1 samych? Nie zgadzam się!...

Potem głosy cichną, muszą rozmawiać szeptem, do Ha liny nic nie dociera. Ale i ona oddycha z ulgą, gdy w pew nej chwili słyszy spokojniejszym już głosem wypowiedzią słowa Zielniaka:

— Czasem trudno jest być samemu... Zajrzę dziś p wieczór do ciebie. Potrzebne nam obu parę godzin s-koju. Zechcesz, zwierzysz się, naradzimy się wspólnie. N zechcesz, to milcząc przesiedzimy ten czas obok siebie, j ludzie bliscy... Tak lub inaczej złamać trzeba tę piekie" samotność. Rozumiesz mnie?

Odpowiedzi Lisiewicza piegowata Halina nie dosłyszają do kancelarii z rumorem zwałił się ktoś z interesantów.

4.

Może byłoby to dla kogoś nawet i śmieszne, taki wany patos, ale dla nich wiele ważyły knęwy litery pisu: „Witamy was, Rodacy", ale oni starannie przestani

złożone stertą w pokoju, rwane o świcie " -wielkie bukiety kwiatów. W stołówce pich-nowy zarządzający poganiał swą babską ob-i doskakiwał do kotłów, niósł łychę zupy do ust, rał soli czy pieprzu, którego dwa worki za przepierzeniem rozbitego sklepu, stko było potrzebne. Więcej, konieczne. Mieli oto kończy się okres łataniny, zwariowanej ^diabli wiedzą, jak sobie w ogóle radzili przez Przyjeżdża transport osiedleńczy. Około ją zjawić się pierwsze ciężarówki. Nie podano podobno powyżej setki. A zatem podwoi się w miasteczku. Co to będą za ludzie? Jak stosunki? Myśląc o tym, odczuwali jakieś zazdrości. To ich miasto, oni pierwsi za-ić jego dogasający puls. Mają prawo

ty, zgarbiony, konferował z Pędzikiem jantami. Jeszcze nie istniały powody do nie-ta nieobecność była zastanawiająca. Brakło riego, zapodział się Felek Ferycki i dwóch ^ochrony elektrowni. Niemcy na dworcu koali ramionami. Nic nie wiedzą. Któryś sał, że dreżyny też nie ma, a w nocy słyszał okno swojego domku, mieszka tu niedaleko, niby dreżyna toczyło się zgrzytając po szy-

rało nic innego, należało czekać. W którymś zajętego przez radę niemiecką, radio triumfalnym, spiker obwieszczał coś do-l zaraz potem wypadł przez drzwi stary ianymi połami marynarki gnał do polskiej wrzeszcząc nieswoim głosem, z przejęcia 3ę z radości: t Jut geendigt... Schon beendet. itt beendet ■ — poniosło się jakimś zasko-pośród krzątających się po budynku Itacasek.

— Co on plecie? Wojna skończona? — Zielniak z ma szczył czoło. — Jakąś prowokację chcą zrobić? Halina, na staw radio...

Nim odnalazła właściwą stację, strzałka błędziła wzdłuż skali, zewsząd wybuchały radosne marsze, mocne słowa tak, to było jasne, wojna naprawdę skończona, Niemcy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji. Prędeż, prędeż dawaj Warszawę... Jest, drżący wzruszeniem, uroczysty s głos. Wojna naprawdę skończona...

Zamarli na chwilę. W każdym przewalało się coś tysiącem wspomnień, lata okupacyjne od września tamtego pamiętnego roku odżywały w pamięci, nawarstwiała się suma przeżyć i ciągłe poczekanie tą jedyną nadzieją, że wszystko się skończy, że zło nie może trwać wiecznie, że przyj- • dzie dzień końca wojny, końca pogardy, śmierci, zbrodni, że skończy się także walka, która najbardziej może krzepiła...

Każdy żył oczekiwaniem tej chwili. Jeszcze i teraz, gdy Polska była już wolna, gdy w przesuniętych na zachód granicach zaczynał się proces stawiania tej polskości od nowa, gdy i oni tutaj, w tym zabitym, jak mówi! Lisiewicz, mieście improwizowali, gubili się i odnajdywali w chaosie zastanym pośród ruin usianych minami i buchających smrodem trupów zasypanych w piwnicach. A przecież, gdy tamto oczekiwanie, wielkie marzenie stało się faktem, gdy dotarli nieco wcześniej wieści, iż obok radzieckiej flaga polska załopotąła nad ruinami Reichstagu, gdy dziś wreszcie słyszą sami o bezwarunkowej kapitulacji, o tym, że są zwycięzcami obok potężnych aliantów, zdawali się teraz nie dowierzać samym sobie. Jakby bajka stawała się nagle rzeczywistością. Jakby zaskoczeni byli tym, że wojna, taka wojna, naprawdę mogła się skończyć.

Odetchnęli jak jeden, gdy nie wiedząc kto łamiącym się głosem rozpoczął: „Jeszcze Polska...” Sprężyli się, odzyskali poczucie rzeczywistości, tej nowej, jakże realnej. Ale śpiewać było trudno. Głos się załamywał jednemu, drugi nie wstydził się łez, trzeci krył twarz w dłoniach.

96

ch, nagle nie wiedząc skąd zbiegłych nieżyjących w mieście Polaków, wystąpił Ziel-przemówić, ale na próżno ścisnął dłonie, prze-wreszcie machnął ręką, zawołał jakoś dziwnie skliwie: żyje!

^odwrócił się, jasny gwint, cholera, co to z czło-dzieje...

feafzysunął się do komendanta: jge podskoczmy łazikiem do sąsiadów, pięćdziesiąt 6 godzinka i będziemy na miejscu... Że też się igzarówka musiała zepsuć. Myślałem, byłoby czym pych rozwozić, z fasonem... Mnie bo o Jezierskiego lelka, o resztę... Gdyby ich tam nie było... Bierny tu czekać. Mamy przyjąć osadników, reszta

i^obywatel komendant uważa, pżam, uważam...

dał Pędzikowi półgębkiem. Wpatrywał się grupkę Niemców, ściągających samorzutnie gptkich stron. Nie byli groźni, zwłaszcza we dnie cisi, potulni. Tylko niektórzy czasem mrużyli skryć złe blaski w nich pełgające. Przejęci byli, śjjzeptali głośno. Ich także zaskoczyło zakończenie eszcze przed paru dniami radiostacje niemieckie, głosikiem, o słabej już mocy, zastępcze, piał paej broni, o wspólnym pochodzie z zachodnimi przeciw czerwonej Rosji i krwiożerczym Polakom, le, sam wszakże to słyszał... Musiały być jeszcze pUa podtrzymujące nadzieję. A teraz krach, osta-

ist kaputt. Alles... 'chland ist verloren.

ily niekiedy raz jeszcze wypowiedane potwier-inie. Jakby dla podkreślenia, że nie ma żadnych żadnych wątpliwości... Ale inne słowa nie dobie-szepty przycichały. Bali się siebie, swoich opinii,

ia się niebo t. I

97-

rozradowanych Polaków, bali się tych nowych, którzy mają przyjechać na ich miejsca, na ich zagrzane miejs nic nawet, że pośród ruin. Jak teraz będzie, co dalej?

Patrzył po twarzach przed sobą, z rzadka upstrzony obliczami starszych mężczyzn, przeważnie były tu kobie*-Dzieciaki też przycichły, trzymały się w pobliżu mate Dużo było tych niemieckich dzieciaków... Podświadon wyczuwał, zdawał sobie z tego wyraźnie sprawę, że co in nego interesuje go jednak najbardziej w tym tłumie-Że wypatruje tam Erny. Erny Schulmowskiej. Pędziko przy przesłuchaniu słowem nie wspomniła, że zna komea danta. Gdy ją spotkał wychodzącą z komendy, też udał-że go nie poznaje. O mężu nic nie wiedziała, rozkładała? ręce. Nie wrócił. Nie pisał już dawno, paczek nie przysyłał,, nic nie wie. Może nie żyje.

Nie, twarzy Erny w niemieckim tłumie na placyk nie widział. Dobrze to czy źle? Czemu ciągle myśleć musi

0 tej kobiecie, od nowa przeżywać tamten czas, a wraz z tamtym czas jeszcze dawniejszy, kiedy chodził w pasiakach, kiedy Schulmowsky mordował, krzyczał, groził, bił

1 katował? Czy widok tej Niemki pomnożyłby siłę rozpa- "miętywań, czy też może by je ugasił? Albo też ani jedno, ani drugie. Takie sprawy niezależnie od wszystkiego na zewnątrz muszą się przepalać, przetrwać w sobie samym. Czy się przepalą?

— Słuchaj... Coś musimy zrobić, zbiegło się jedno z drugim...

Zielniak nie dokończył. Zastygł z otwartymi ustami. Tak jak wszyscy, Niemcy, Polacy. Oto z oddali rozległ się donośny gwizd lokomotywy. I zaraz po nim drugi. Spojrzeli po sobie, zaskoczeni, zdziwieni. Pociąg, tutaj, do nich? Przecież szlak jeszcze nie był gotowy, nie sprawdzony, ryzykiem było puszczać na niego lokomotywę...

— Już pojmuje. To Jezierski, cholera, wywinął... Nocą wyrwał drezyną, musiał tam kogoś przekonać, zezwolili. Hurra, brawo Jezierszczak!

Pędzik darł się, jakby go obdzierali ze skóry, automatem z uciechy wywijał nad głową, niedaleko stojące Niemki

98

ifać w popłochu, kto wie, co taki milicjant bić z radości.

t Burgermeister, gdzie jest tekst tej odezwy? — rai się do najwyższej władzy, upominając się

oświadczenie z okazji końca wojny, ie odepchnęła go energiczna ręka. Starosta ^wszystkimi co sił w nogach ruszył w kierunku icy, Niemcy, dzieci i starzy, kobiety i mąż-szaleni gnali w tamtym kierunku. A pociąg, ly za zakrętem wsiąkającym w las, gwizdał radosnym tonem. Jezierski dawał sygnały, i robi.

]Dobłą chwilę jeszcze czekali. Halina przemyślnie sobą tackę z chlebem i solą, jakże, po staro-i przywitać nowych towarzyszy. : wreszcie parowóz. Sapał, ział kłębkami dymu, 30 kiszącego się w martwym, ciepłym powie-dziewiątego maja. Rósł parowóz, wyłaniał się wagonów, towarowych i osobowych, wyglą-" ciekawe twarze. Już pociąg zaczynał hamować, oliwione najpewniej osie, syczało... z niedaleka, rozległ się naraz potworny huk. Etc było dym i kurz, które się podniosły od stro-Lisiewicz struchlał. No tak, wszyscy mili-itaj. Tam wszystko otwarte, oddane na pastwę som. Ładny koniec wojny. Chyba nie dla nich. bierz ludzi, ganiaj co sił! komendancie! nic, rób swoje, Zielniak, nie trzeba straszyć, siewicz odwrócił się ku struchlałemu staroście, też słyszeli, są niespokojni... — wskazał ną -iągu.

ł. Od lokomotywy biegł zziąjany Jezierski,, t gębie, umorusany sadzą. . Transport osiedleńców. Dwieście siedem kiem i bez. Różni, ski, daj pyska!

99

— Polem się będziecie całować, trzeba do ludzi, staros — przedzieliła ich sobą Halina.

Sypali się z wagonów, patrzyli, niepewni, oszołomień' zaskoczeni, że to już, że tutaj będą zaczynać od nowa s\ v życie. Niewielka grupka szła w tę stronę.

— Kierownik transportu. Jakaś ekipa z PUR-u, czy ja-ich tam zwą. Jeszcze jakiś ważny — gorączkowo szeptał Jezierski.

A potem, gdy przybyli witali się z miejscowymi, nachylił się do ucha Haliny:

— Wiesz, za ile maszynista zgodził się jechać? Za pięć litrów czystego spirytusu... Cholera, cały majątek! Ale warto było, co?

— Warto — odszepnęła i położyła palec na ustach, oczy* ma wskazując Zielniaka.

Z dworcowej ławki zaczynał pierwszą przemowę do tych, ■co przyjeżdżali zasiedlać ich miasto i okoliczne wioski...

— Drodzy Rodacy...

ROZDZIAŁ III

1.

dłonią o dno butelki. Korek wyskoczył wy-sufit, nieco płynu chlusnęło na ziemię.

pan swoje, panie Paluch. Może to i ciekawe, 'erskie...

ta rękawem, pokręcił głową, sięgnął widelcem -wany ogórek, ostatni na talerzyku. Wiśniewski zaklaskał w ręce, zakrzyknął jeszcze dla wszel-

j komm hier. A

Niemka stanęła w drzwiach w tejże niemal se-ebry wyczarowana spod ziemi. Wskazał jej dło-

Gurken. Und Butter...

prowadzał dziewczynę pożądliwym spojrzeniem, ^można powiedzieć, dobra do łóżka. Już to wiedzie
dziedzicowi, .czaruj pan, panie Paluch. Mów pan swoje...

już nie zostaje. O transport legalny postarają się arszawie. Taki tam papierek jeden i drugi z wielbami. Jeszcze można coś takiego załatwić, ba-tko w organizacji, każdy ciągnie do siebie, ludzie, każda władza. Meble, dywany, obrazy, 3y minister i każdy dyrektor... Rzecz w tym, ko działać, póki jeszcze pustawo po wioskach. -Zaczyna się różnych kręcić, pewnie, taka Kanada, wystać. Na wsi lepiej jak w miastach. Po bogato się można obłowić. Maszyny różne, radia, py, fortepiany też, bywa, się znajdują...

101

— Fachowiec z pana..:

— Ano, robiło się już trochę we Wschowskiem, bliżej starej granicy. Ale tam już nastał porządek, zresztą i nłe ma bardzo czym się pożywić. Luzem zostały ochłapy, co kto chwycił, to trzyma.

Zabulgotała wódka. Krzywiąc się, źle była oczyszczona, przelali w gardła zawartość szklanek. Cicho wsunęła się Klara niosąc ogórki i kopiastrą bryłę masła na ozdobnym talerzu. Obrzękły na twarzy, otyły Paluch aż się na krześle obrócił, gapiąc się na dziewczynę. Spróbował ją nawet uszczypnąć, odsunęła się z cichym piskiem.

— Zostaw pan ją. Tu nie burdel, a porządny państwowy majątek. Tysiąc sto hektarów, tyle że zapuszczonych. Obiecywali, wojsko przyjedzie, pomoże w siewach, ani ich widać. Na tymczasem radzę Niemcami, ale że po większości to baby, więc daleko się nie ujedzie...

— Nie burdel, mówisz pan, a państwowy majątek... Pan umie mówić do śmiechu, panie Wiśniewski. Nie burdel, cha, cha...

■— Dobra jest. Mnie czeka robota. Więc najpierw załatw pan wszystko, wtedy pogadamy. Bo na same piękne słowa to ja nie pójdę. Sam też potrafię sobie poradzić.

— Za parę dni zamelduję się z powrotem. Może się już jaką ciężaróweczką przyjedzie. Jak się ta miejscowość na-

, żywa? Masz pan mapę?

— Idź pan już spać, panie Paluch. Robotę mam.

— Teraz, na wieczór? Ach, prawda, rozumiem, tu nie burdel, a porządny państwowy majątek. Masz pan gadkę do śmiechu, panie Wiśniewski. Dawaj pan grabę, przebi-

-jemy na naszą spótkę.

Przebiecie zapili jeszcze gorzałką. I jakby z tą chwilą opuściła ich werwa. Kopcąc papierosy, tępo spoglądali po cieniach, przemieszczających się po olbrzymim pokoju wraz z każdym wachnięciem płomienia wielkiej naftowej lampy. Dynamo jeszcze nie pracowało, musiałby się tu zjawić któryś z miejskich elektryków.

Kilka przyziemnych portretów wisiało na ścianach. Jeden miał przestrelone oczy, inny wyciętą (Murę, naj-

102

netem: W dyskretnym złocistym tonie Utrzy-popstrzone były w dolnych partiach pła-tpian i meble razily liszajami złączającej polityry, frontowe surowo obeszły się z junkierską sie-

s

z zaciekawieniem przyglądał się wszystkiemu: 'brew sobie z osobliwą demonstracją strącił popiół daną różnymi gatunkami drzewa moizaikową po-

> rozszabrowali jakoś tego dworu? ostatniej chwili kwaterował tu oddział esesowski. tak, że nie zdążyli nawet podpalić... Tak opowia-pracownię, którzy tutaj zostali. Bo dziedzic stąd jeszcze jesienią, rządca też długo nie wysie— westdinął— wiodło się, kurza twarz, nie-Chwilami żal patrzeć, jak to marnieje, zi w tamten czas się nie żałowało, co mówić; o gra-itencjonalnie powiedział Paluch, reki rozlał resztę wódki do szklanek. Spod przy-powiek obserwował swojego gościa. Coś mii jdzalo w nabraniu do niego zaufania. Diabli wiedzą, r końcu za jeden? Do miasta zaczęło ostatnio więcej jrbywać. Skupowali u Niemców futra i inne do-owali po oburzonych czy też opuszczonych domo-; wężyli za tanim, łatwym zarobkiem. Milicja przy-ich, przetrzymywała w areszcie, często jednak pa-

palce, w końcu nie było wiadomo, co robić-Lisiewicz zarządził wreszcie konfiskowanie zna-przy nich rzeczy, pochodzących z rabunku. To ośmielało, ryzyko nie było wielkie, zaraz ruszali i poszukiwania... Paluch był trochę inny, przy-różnymi papierami, odstawiał w starostwie inspek-ejs władzy, wypytywał się, wywiadywał, skądś wywęszył wódkę, częstował na prawo i na lewo. zetknęli ze sobą. Paluch bardzo zainteresował się przejmowanym w zarząd przez Wiśniewskiego, ftj przypedałował rowerem, bodarz pokręcił głową w szczerym podziwieniu. Albo

103

wariat, albo tylko cholerny ryzykant mógł się puszyć* na rowerze samopas za miasto. Osadnicy po wsiach tkwią jak w warownych obozach. Niemcy, dekonownicy, marudę-rzy, dezserterzy, diabli wiedzą kto jeszcze, kryli się po la-sach. Zdarzały się napady. Taki wyjazd, to jak wkładanie głowy w pętlę... A jednak przyjechał. Proponuje interes na wielką skalę. Byłyby grube tysiące, nawet przy nie. wielkim zachodzie. Nie mówił gościowi, po co, ale w samym tym domu, zwanym przez starą służbę pałacem, znajdzie się towaru na parę wagonów. Choćby te czerepy, porcelana, od cholery jej i trochę w wielkiej sali na dole. Część wytłuczona, to prawda, nie dziw, skoro wojsko tu koczowało, ale starczy jeszcze i tak na dobrą kompanię... Facet jednak coś węszy... Trzeba uważać.

Trącił o szklankę gościa. Cienkie, rzezane szkło zadzwoniło cieniutko.

— No, golmy, nie lubię, jak zostaje w butelce na dnie. Wtedy czuję się nie dopity.

Paluch wylał w siebie zawartość szklanki, skrzywił się, łapał przez moment oddech.

— Ja mam dość. To gdzie będę spał, dyrektorze? Zaprowadzi mnie ta dziewczucha?

— Sam panu pokażę. Dam panu latarkę elektryczną, musi pan sobie radzić. Światła jeszcze tutaj nie mamy...

— Niech będzie..., A pan ma jeszcze robotę? Mówił pan... Ona będzie pewnie pomagać?

Zatrzymał się u podestu wewnętrznych schodów, na które prowadzi gościa.

— Powiem coś panu. Krótko. Interesy możemy robić, jeśli czegoś tutaj pan nie załgiwał. Ale moich spraw nazbyt pan, panie Paluch, nie pilnuj. Bo tego nie lubię. Młody jestem, grubo młodszy od pana, ale niejedno wiem: to na przykład, że w taki czas jak dzisiejszy lepiej nie zaglądać komu do garnka.

— Co pan, panie Władku, żarty, cholera w bok z tą Niemką. Mało to bab, które aż skowyczą za chłopem? Buszuję ńa tym naszym kochanym zachodzie od lutego,

104

Paluch mitygował gospodarza, uspokajał, t nie mógł się jednak powstrzymać, żeby mu nie .— Pan masz ten swój państwowy burdel, ma-em powiedzieć, mnie nic do tego... Pociesz się jej. Bez trudu. Dobranoc, ranoc.

do salonu, w którym przyjmował Palucha. Klara tała się, zbierając nakrycie. Spojrzał na nią z jakąś Czemuś przypomniała mu się osobliwym wyrzucenia pozostawiona w mieście Ziutka. Niczego jej e nie obiecywał, ot, pobąkiwał czasami o tym ale przeszli razem najcięższy czas... Chciała jechać

wytłumaczył, że niebezpiecznie, dopiero jak się jak w okolicy trochę ładu nastanie. Myśli tam ;o nim... Ech, co tu sobie głowę zawracać babskimi Wszystkie one takie same. Przedtem była Gerta, utka, tutaj jest Klara, ta najładniejsza, zgrabna, do rzeczy. Sama się zgłosiła, skądś się dowiedzie jak jedzie przejmować majątek. Z miasta jest, wsi *e widziała, a jak sobie umiała poradzić od pierw-"a ze spiżarnią, z porządkiem w tym wielkim domu. Jak prawdziwa gospodyni... Na tymczasem wygod-tym, potem będzie się można rozejrzeć. Ziutki tu »adzi. Co mu po niej? Szkoda może jej trochę, 10, nie będzie się przecież żenił. Jemu co innego Paluch może cwaniak, ale tym lepiej. Przy takim się będzie obłowił. Otworzył mu oczy. Inaczej w tym mieście albo i tutaj na wsi, zabijał się ro-racał gruzy do życia, jak to powiedział staro-10, niech inni to robią. Tyle lat harania, przedtem ' j chałupie, przy ojcu, potem u tego przekłętą pora wreszcie, aby się odkuć. Głupi niech tyrają, ją, harują za samo dziękuję... Paluch prawdę 'trzeba umieć żyć, nie przegapić najlepszego mo-

poszumem przeciągnął za oknami, gałąź drzewa o okiennicę. Wzdrygnął się, że też musiał przy-sobie Birkego, wisielca. I Gertę, jak leżała pod

105

plotem, zimna już, z rękami osłaniającymi głowę. Choler śnić się mu będą po nocach.

— Klara.

— Ich bin da —: zjawiała się momentalnie.

— Ist schon Zeit schlafen gehen... Skinęła głową, uśmiechnęła się. Gdy otworzyła drzwi

przyległego pokoju, zobaczył, że i tam już się pali na-f-tówka, że szerokie, miękkie łóżko zaprasza bielą pościeli.

Objął dziewczynę w pól. Jeszcze się zatrzymała, zgasiła lampę, a wtedy przed nimi rozjaśniał prostokąt zapraszających drzwi sypialni.

Przytuliła się mocniej. Czuł jej młode, gorące ciało. Poza nim niczego w tej chwili nie pragnął.

Trzęsło, kurzyło, łązik podskakiwał na wybojach niemiłosiernie. Nie zwracali na to uwagi. I tak mieli szczęście, że dzień wyjątkowo wstał chmurny, zanosilo się na deszcz, nie było tej normalnej ostatnio szalonej spiekoty.

Zielniak, Wychudły teraz, przekrzykując pracę motoru, tłumaczył kapitanowi, aż za ramię go ścisnął w przejęciu:

— Nie wiedziałem, co począć... Raz po raz sły ponaglenia: najważniejsze to siewy, siewy i jeszcze raz siewy. Cały wysiłek na osadnictwo wiejskie... Gdy od wojewody przyszła oficjalna nominacja na starostę, razem z gratulacjami znów to ponaglenie, prawie że groźba...; Wasz przyjazd przeciągał się, ba, my sami nie mieliśmy na domiar pełnego rozeznania w terenie. Tkwimy na uboczu, lasy, wody, bandy niemieckie dłużej się tu niż gdzie indziej trzymają, ludzie wolniej też napływali...

— Za to przydzielono wam całą kompanię... Gdzie indziej marzyliby o takiej ilości luda...

— Cholera, kiedy na wieś mniej się pchają, całe tałałajstwo buszuje po mieście. Szabruje. No, nie wszyscy ale różnych podejrzanych ptaszków namnożyło się u nas teraz sporo... — wtrącił Lisiewicz.

Siedzący obok kierowcy Pędzik odwrócił głowę:

— Melduję, panie komendancie, wczoraj zlikwidowaliśmy niezły transporcik dywanów. Jakaś ciężarówka za-

106

z samej Warszawy. Puściliśmy, ale dy~ ty. Można będzie biura ozdobić... Cwaniacy, śli, że do samego Bieruta pójda ze skargą. Po-żeby się pospieszyli... prosto walimy? byłoby dobrze skrócić tę boczną żuźłówką na Tam jest wioska, gdzie to szli całą procesją, ze z kościelnymi sztandarami... — znów wszędobylski

to? — zainteresował się kapitan Wlazło, 'eń temu to było... Nawet na swój sposób wzru-llistoria. Przyjęliśmy nowy transport. Repatrianci , z Wileńszczyzny.

ogrodzkie, pozwolę sobie wyjaśnić...

Pędzik, ostatecznie nie takie ważne... Przy-teńka wieś, trzystu ludzi z groszami... Podobno tam nie pozostał. Na czele repatriantów stał ijboszcz, czerwony, pełny na gębie, taki prawdzi-arz. On podobno kierował całą akcją wyjazdu No i przywiódł ich aż tutaj. Jechali grupą, mą-i sporo dobra mieli ze sobą. Konie, krowy, świ-et kojce z kurami. Także gospodarskie narzędzia, na siew. Prosilili tylko o przydział ziemniaków, sije w drodze, ta procesja to co? lowali u nas. Po naradzie przydzielili im chcieli bowiem nadal zostawać w całej gro-ohenlinden nazywa się ta miejscowość. Blisko sto tw, mały kościółek, młyn, coś tam jeszcze. Jakimś alało to wszystko... Dzień odczekali i potem z sa-odstawili tę całą historię. Zbudził nas śpiew, 'tało. Patrzymy, wozy ustrojone zielenią, kwia-.et koniom pozatykali wstążki za te duhy czy jak r a, w innych stronach tak koni się nie zaprzęga... 1e ksiądz w stule, z krzyżem w rękach, na nawozie paramenta kościelne. Jadą i śpiewają... 'tu gadać, człowiek niby się to zadziwił, ale łzy ach.

107

— Ja tam nie jestem wierzący — burknął kapitan.

— Nie o to chodzi. Ale o ten stosunek do...

Wlazło obruszył się.

— Słuchajcie, starosto, za cóż mnie macie? Opowiadani* słucham, a już chwyta za gardło...

— O, widać ją, tę wiochę — Pędzik wskazał paluchem przed siebie, potem dał znak jadącym za nimi na ciężą, rówce wojskowym, aby zwolnili.

— Zaraz, zaraz, stójcie, kolego! — zawołał Lisiewicz im kierowcę.

Zatrzymali się przed tablicą u wylotu do wsi. Napis był wyprowadzony starannie na białym tle: Małyniszki.

— Przechrzcili już po swojemu. Oni właśnie są z Mały. niszek.

Od prawej, z pół nosiły się kłęby dymu. I nagle roze-brzmiąta kanonada, wybuchy powtarzały się jeden po drugim. Kapitan zeskoczył z łazika, wyciągnął pistolet, krzyczał coś do żołnierzy wyskakujących z ciężarówki na drogę, zajmujących stanowiska przy rowach.

— Napad niemiecki? — dziwił się Zielniak, padając na ziemię.

I nagle nad cały ten harmider wybił się śmiech Pędzika. Milicjant ryczał, aż się przeginał w pół, aż mu z oczu łzami kapąło. Śmiech ten był tak donośny, że nawet kanonadę przygłuszał.

— O, kurza twarz, o kurza twarz — powtarzał tyłw krztusząc się nadal.

Kapitan, zdezorientowany tym wszystkim, doskoczył do niego, trząś za ramię.

— Co tu się dzieje? Co wam?

Ale już i żołnierze zaczęli się orientować, trochę zawstydzeni też wybuchali śmiechem.

— Chwasty wypalają, trawę, wybucha amunicja, miny-

Wlazło sczerwieniął, zbladł, znów sczerwieniął, niepewnie

spojrzał na starostę, na Lisiewicza, na ryczącego wciąż bez zachowania należytej subordynacji ekskssierzanta Pędzika, na roześmianych żołnierzy. Już otwierał usta, aby ostro zareagować, ale właśnie nowy wybuch poniósł się od pół-

108

Skapitulował, jeszcze przez moment pragnął ^powagę, wreszcie zaczął śmiać się razem z in-
spokój, delegacja ze wsi — pierwszy zauważył

to delegacja, kilku mieszkańców wioski zauwa- i polskie mundury, zbliżało się więc z zacieka-
ąh będzie pochwalony — ściągali czapki.

ień dobry, dzień dobry. Co to u was za strzela-

— machnął jeden ręką. — Zamiast robić, trzeba

0 niszczyć. Pierwszego dnia nie wiedzieliśmy, ł się pogrzeb. Bydląt parę też poszło... Witamy
h to się ludzie ucieszą...

z przybyłych szeptał coś gorączkowo najmłod-ł gromadce. Ten momentalnie zawrócił i biegiem
wioski, co znów? ć niechaj da, nie przygotowani my... dał znać. Nim się znów wpakowali do wozów,
rozległy się dzwony. Ze wszystkich stron zbie-dzie, z nagła zaroilo się koło domów, rynek, tam będzie
najlepiej... ali się przed schludnym budynkiem. Nad gan-ttała polska chorągiew, niżej przybity'był
napis, inny. Wieś Małyniszki". Tuż obok orzeł, roną — zauważył kapitan.

to tabliczka z tamtych jeszcze Małyniszek. Cho-ją przez całą wojnę — wyjaśnił któryś z gospo-

I -

.-z •— trącił Lisiewicza starosta, pokazując prze- budynek. Tam znaczył się inny napis: „Szkola”.

1 po sobie. Nie bardzo wierzyli oczom. Trafiali tak zorganizowaną, jak by to nie był początek a, ale dawno zagospodarowana, zadomowiona

krokami walił ksiądz, za nim toczył się pękaty,

109

czerstwy jegomość, dopędzał ich ^ wychudły człeczyna niego wieku.

— Imieniem władzy naszej gminy witamy pana staros pana komendanta i pana kapitana na czele wojsk polskie — jeszcze z za księdza grzmiał pękaty, czerstwy jegomc

— Parafia Małyniszki wychodzi naprzeciw z chleb i solą — nie dawał się prześcignąć proboszcz, oglądał jrzy tym gorączkowo za siebie. Ulga odmalowała

jego twarzy. Rwał jak wichur, dopędził ich jakiś go~ liwiec, trzymając przed sobą tacę przykrytą białą wetką. Zakrystian pewnie czy organista. A probosz już sięgał po tacę, podsuwał ją niemal pod nosy przybyły Chleb i sól..

— Cieszę się, że towarzysze do nas przybyli. Wit • przedstawicieli władzy ludowej — wyrwał się wresz

głosem trzeci z tej tró^kiT wychudły mężczyzna. — M-duję zarazem, że szkoła w Małyniszkach przygotowa "jest na przyjęcie uczniów...

— Tó i nauczyciela przywieźliście? — serdecznie uśmi chnął się Zielniak.

Nikt z naszej wsi nie pozostał. Zbiorowo zameld* waliśmy się władzom Polski Ludowej.

— Pan jest partyjny? — zapytał Wlazło.

*— Nie miałem okazji, ale pragnąłbym dostąpić tego

szczytu.

— A jakże godzicie się z księdzem proboszczem? ceremonia powitania była skończona, wstępując na schód wójtowskiej siedziby żartobliwie zapytywał Lisiewicz.

— Tyle lat żyło się rlaggn, przyzwyczailiśmy się. Naj gorzej tylko, że ten nasz pan Kruszel to straszny bezbo: nik. Od piętnastu lat do kościoła nie chodzi — poska ' się proboszcz.

— Poza starciami światopoglądowymi szukamy zaw wspólnego języka na płaszczyźnie ekonomicznych kor tów — wyjaśnił nuczyciel

Wlazło drugi raz tego dnia walczył ze śmiechem. I raz nie wytrzymał. Za nim buchnęli śmiechem inni, a g

110

ietti trochę, wykrzywiali twarze jedynie dla

nai ich przywitanie podnieśli się starszy je-. jeszcze dziewczyna, lićy gminy — wyjaśnił wójt. — Pan Pęczek, it, i panna Malwińska, .maszynistka. Jeszcze liszek.

i przedtem także był wójtem? — zaniepokoił sja

1CZ.

Boże... Nasz wójt, kapitan rezerwy, jak poszedł na front, to więcej nie wrócił, zmiłuj się ; jego duszą. A potem to już samych hycli nam

• ' . na drugi dzień zrobiliśmy tutaj wybory... — . /ciel. — Bo u nas demokratyczniff. Wprawdzie ^ cz chciał wójta naanować, ale nie zezw<f-

ł- 9 - . *

•

to chciał mianować? — zapytał kapitan, aby też mnie. Na jedno wyszło, tyle że przez apiął się wójt, stając się przez to jesffeze bgr-l nagle, jakby przypominając sobie o obec-f, wyprężył się przed nim. — Melduję, że urząd pisaliśmy gospodarstwa według numerów, tu-podzieliliśmy, podobnie ziarno, było go tro-; nad rzeczką. Na chleb, bo na siew już się nie je nam maszyny do pisania, papieru kannie znam Wysokości pracowniczych pensji... fe.by trzeba zatwierdzić moją nominację...

wybór, obywatelu wójcie — zaakcentował

ądwa, wybór...

aowaliśmy gminy w tej wsi — zastanowił się scalę pójdziemy wam na rękę. Chyba warto? —: na Lisiewicza i kapitana, wpadł Pędzik. W ostatniej chwili opanował |j«ię w postawie zasadniczej, poprosił Lisiewicza

twarz, komendancie, oni: tu mają i posterunek

milicji. Pięciu ludzi. Komendanta nie ma, bo robi w polu, Tylko jeden młodzik na posterunku...

— Ano, mus był — rzekł wójt. — Jakieś paskudy pierwszej nocy strzelały z lasu... To nasi poszli, zatłukli hycla niemieckiego, w mundurze był. Reszta uciekła...

Lisiewicz oczy tylko podniósł ku górze. Imponowała im ta wieś. A zaledwie tydzień minął, kiedy objęli ją w posiadanie.

Ksiądz w imieniu gospodarzy prosił na przegryzkę, odmówili, nie ma czasu, zajechali na chwilę, nie wszędzie tak dobrze jak u nich.

— To może na nocleg. Na kolację? Będziemy czekać choćby do nocy... ^

Wójt dodał, że sporo jest urzędowych spraw. Poparł go nauczyciel.

Trudno, trzeba było obiecać...

Gdy niedługo potem wpakowali się do samochodów, ledwie dotarli za granice wioski, pierwszy odezwał się kapitan:

- Nie do wiary... Cholera, tutaj dopiero się widzi, za co? się wojowało.
- Tak. Ale nie wszędzie będzie podobnie. To piękny wyjątek...
- Wiem. Widziałem już niejedno. Ale taki wyjątek, dziś, jutro może... — nie dokończył, zapachniało mu coś w tym, co pomyślał, tanim patosem.
- Najlepsze to ten ksiądz i nauczyciel. Osobliwy podział rządu dusz — zacudował się raz jeszcze Lisiewicz.

Starosta, patrząc na twarz przyjaciela, pomyślał z ulgą, że coś potrafiło jednak poruszyć tego ponuraka. Pierwszy, raz widział go tak szczerze uśmiechniętego.

- Kurza twarz, ale się urządzili — Pędzik nie mógł się uspokoić.

Spadły pierwsze krople dżdzu.

Obręcze tego osobliwego roweru głucho dudniły po bruku. Leciwa już siwa pani pedałowiała gorliwie, zdawałoby

112

aijszego wysiłku, choć drogą wznosiła się ■ górę, a gruz miejscami leżał jeszcze na jezdni.

ją zdziwionymi i rozbawionymi zarazem przechodnie. Zaraz jednak wracali do swoich i nie tyle się tu działo wokoło znacznie bar-pch rzeczy niż jeżdżenie na rowerze bez opon. ; dotarła wreszcie przed budynek starostwa. Po-wehikuł pod ścianą i mocnym, jakby żołnier-iem weszła do sekretariatu. Serdecznie uśmiech-idziewczyny.

[dobry, kochana pani Halinko. Jest starosta? ' Ma ważną konferencję, wie pani, siewy, masa stkim, kochana, jest kłopot. Z głupstwem bym. łodziła. Lisiewicz nic mi nie chciał poradzić, rdał... piegowata Halina zadziwiła się, aż jej nosek »góry.

mówię wyraźnie... Strzelać przecież i ja Siłam go o milicjanta, żeby posterunek usta-muzeum. Wyśmiał mnie. Gbur. Impertynent. lenia dla spraw kultury. ; właściwie stało? ^historia... Dwie właściwie...

-chanie lubiła takie właśnie historie. Od-maszynę, oparła się łokciami o stół, przy-do pilnego słuchania. Właściwie tę możliwość Wiadomości z pierwszej ręki najbardziej ce-iranej funkcji. No, rzecz-jasna, nie mówiąc kZ samym starostą...

pecha. Drzwi się otworzyły. Zielniak koń-* : się do kapitana:

adzimy kimś ten majątek. Najwyżej poju-|>oradźcie jeszcze przez ten krótki czas sami... || dziękuję raz jeszcze, kapitanie... {Jtfwą panią. Leciutkie skrzywienie przebiegło oną twarz.

I niebo 1.1

— Pani do mnie? Proszę...

Wchodząc stwierdziła z zadowoleniem, że gabinet zos' wreszcie odmalowany i urządzony przyzwoicie. Naw ładny dywan zaścilał podłogę. Znała się na tym, stwiep dżiła na pierwszy rzut oka... oryginalny pers. Fotele t-były dobrane, biurko może należałoby wymienić na inn-ale to już ostatecznie nieważne.

— Proszę siadać... Otrzymała pani już rower? Pewni chciała pani dane do korespondencji, prawda? Ostro nas pani ostatnio odmalowała. Przyznam się, miałem piekie ochotę ustąpić wtedy pani miejsca, stąd te sprawy nie wy. gładają bowiem tak prosto. Zresztą, znalazło się tam i sporo* racji...

— Roweru nie otrzymałam. Ten pański intendent krzyĆ wi się, że nie ma, że jakiś specjalny papierek potrzebny że to i tamto... Ale nie o to chodzi. I nie o korespondencję Nie mam w tej chwili czasu na pisanie. Ważniejsza sprawa. Interwencyjna. Bo nie mogę porozumieć się z komendantem milicji...

— Z Lisiewiczem?

— Az nim. Zupełnie nieużyty człowiek. Zwłaszcza że chodzi o 'sprawę najbardziej społeczną, ogólnonarodową...

— Słucham — westchnął w duchu. Zapowiadała się dłuższa rozmowa, a tyle jeszcze roboty czekało go tego dni

— Trzeba zabezpieczyć muzeum.

—• Wszakże zrobiliśmy to? Otrzymała pani stolarza i ślusarza, naprawili drzwi, wmontowali zamki. Czego więcej potrzeba?

— Stałego posterunku. Dniem i nocą. Zwłaszcza noc We dnie ja tam przebywam, dopilnuję... Zresztą poszłam już na ustępstwa, w zamian prosiłam o przydział bro Mogę zamieszkać w muzeum, sama będę pilnować. Tymc sem Lisiewicz także i tego odmówił, i to w dość przyk sposób.

— Jesteśmy bardzo ostrożni w przydzielaniu broni. Wi pani, najspokojniej na naszym zachodzie nie jest.

Z tym właśnie przychodzę. Otóż, panie sta-j*{Żyła głos, obejrzała się wokoło — stwierdziłam sgeum włamanie i kradzież. Tak. Włamanie i kra-itakcentowała te słowa. j#wi zginęło? Obrazy? Inne eksponaty? aej, albo tak samo źle. Spirytus, panie starosto. I te się przesyssał. Musiała zauważyć jego zdi-

e mówię — była zniecierpliwiona. — Spirytus.

sto albo i więcej litrów, to pani przechowywała w muzeum? eksponaty konserwowane w spirytusie. Wła-dziwna kolekcja, niezgodna z całym charak-wki. Osobna salka, w niej stoje, różne okazy w, kilka

żmij tropikalnych, żaby, żółwie... takie dziwolągi, jak płód dwugłowego cielęcia, iw embrionu ludzkiego w różnych stadiach tecznie, z naukowego punktu widzenia, cie-Podobno kierownik muzeum, lekarz z za-takie osobliwe zainteresowania... Ktoś dostał się powyrzucał eksponaty ze słoje, zabierając ze Wszystko to zaczęło już gnić w tej salce, |fbyłam ze trzy czy cztery dni, dopiero dziś za-tę. Nie wiem nawet dokładnie, kiedy to mo-Mówiła szybko, nerwowo, przejęta, aż wy-pomyślał, że nieźle kontrastują z siwizną ał w pewnej chwili, iście szkoda... komuż mogło zależeć na takim

•r

Temu Młynarkowi, żeby ziemia go pochłonęła, owi? Restauratorowi?

restaurator. Jak dotąd ma tylko wódkę i ja-kiełbasę... Musiał albo sam ukraść, albo odzież muzealny spirytus. Wandal, li to wie?

&j nie wiedziałam, dziś się dopiero zoriento-

■

115

wałam... Brr, obrzydlistwo... Wieczorkiem zaszłam t kieliszek dobrze niekiedy zrobi, nawet kobiecie. Wóje miała dziwny smak, choć czymś ją zabarwił... Na pev nie gorzelanka, pomyślałam. Teraz wiem, to był spiryt z eksponatów.

Jasny gwint, pomyślał z obrzydzeniem. Wczoraj i (przecież wypił z Przybyłą parę wódek u Młynarka. Ładna historia. Trzeba będzie utrzyć nosa facetowi... Zarazem za- ' częła go śmieszyć cała historia. Ostatecznie, niewielka strata z tych konserwowanych eksponatów...

— Świństwo, prawda — przytaknął — ale teraz nie ma już chyba powodu do obaw, skoro najcenniejsza rzecz zaginęła? Jak pani myśli? ■

— Proszę tak nie mówić, bo i pana będę musiała uznać za debila kulturalnego — zachnęła się. — Mimo że nieco podniszczone i przeredzone przez jakichś łobuzów, zbiory muzeum przedstawiają wielką wartość. Choćby łódź wi-kingowska, jak Niemcy ją zwali, zdradzająca wszakże wyraźnie słowiańskie pochodzenie. Komunikowałam się już w tej sprawie z profesorem Lorentzem. Bardzo się zainteresował, błagał, żeby otoczyć łódź opieką. Wie pan, kto to profesor Lorentz? No więc... A poza tym, kochasiu, jest jeszcze jedna sprawa, choć nie mam pewności, trudno przesądzać z góry. Panie starosto! W piwnicach znalazłam skrzynie. W nich obrazy i inne dzieła sztuki. Dotarłam do jednej z tych skrzyń. Tam są cenne wazy... Wydaje mi się, że widziałam je już kiedyś, może na zdjęciach... Kto wie... — zawahała się, nagle zacięła usta. A potem powiedziała z determinacją. — To mogą być rzeczy bezcenne. -1 jeśli co, pan będzie bezpośrednio odpowiedzialny. Ja pana oficjalnie o tym informuję. Zarazem zresztą składam meldunek na piśmie. Proszę. Tu także moja prośba o ochronę muzeum...

Wyjęła spory plik papierzyk, podała. Wziął je machinalnie, niepewny, co. począc. Naprawdę nie ma jak pomóc tej dziwacznej, trudnej, ale żarliwej kobiecie. Spojrzał na telefon — Przybyła dotrzymał słowa i wewnętrzna linia telefoniczna już w mieście działała. Ostatecznie...

6

r>

i? Słuchaj, jest u mnie pani Dzwinarska... Wierni Ale tam, są podobno jakieś zbiory w piwie zapakowane, może coś naprawdę cennego... jednak dopomóc. Przynajmniej na jakiś czas... że zlecisz szczególną uwagę patrolom? Dobrze, dzie-

'wął jeszcze przez chwilę,- zanim odłożył słu-uśmiechnął się. Musiała, odgadnąć treść tego

iwa ze mnie pan komendant milicji.... Ano,-ale koju nie dam... Jeszcze, jedno. Co, z wydziałem ? Czy mam go objąć? tak... Choćby od zaraz...

ale żeby się potem pan nie użalał, bo ja:nie ą urzędniczką. Ostatecznie przyjechałam tutaj by zbijać bąki. Samymi gospodarczymi sprawami 'ć nie będą. Od razu trzeba dać im również strawę

cię jasny piorun strzelił;— kłął w duchu'..— duchowej jej się zachciewa, staremu pudłu! My y kłopot z wyżywieniem ludności, kartki żywno-trzeba wprowadzić, bieda jest z mięsem, z tłuszcz-mąką zaczyna być krucho, a ona proponuje strawę..."

e, dobrze, jakoś się pogodzimy... się wynoszę. Pan, kochasiu, bez przerwy patrzy W takich warunkach nie można rozmawiać... 10 ostatnia rzecz. Uważam, że niezwłocznie^należy ' komisijnego otwarcia tych skrzyń. w piwnicy, rażną podejrzenia, że może to być nie lada od-Więc żeby pan to zarządził, wyznaczył ludzi. Ta-trochę chociaż się znają na sztuce. I jednego z ło-. ego, bo skrzynie solidnie zrobione, rze. Dzisiaj piątek... W niedzielę, kiedy indziej nie się czasu. Sam wezmę udział w tej ceremonii. Za-pani nareszcie? ęła się ciepło, serdecznie.

117

— Wy wszyscy, nawet ten gburowaty, ponury Lisiewicz, jesteście w końcu złote chłopaki — powiedziała — ale nie zawsze umiecie zachować umiar. Nie ma spraw na potem, mniej albo więcej ważnych. Sprawy muzeum czy kultury nie są wcale sprawami z marginesu... Naprawdę...

— Ależ wiem, wiem o tym, pani Cecyljo. Zatem w niedzielę. Może na godzinę dwunastą przyjdziemy do pani, dobrze?

— Zgoda. No to trzymaj się pan, kochasiu... Może jeszcze i będzie z pana kiedyś dobry starosta...

Chciał zakląć w duchu, ale tylko uśmiechnął się. Rozbroiła go ta energiczna kobieta. Żeby wszyscy byli tak pełni życia i poczucia odpowiedzialności... Jak to ona powiedziała? Aha: kochasiu...

2.

Zapalił światło, mrużył przez moment powieki. Oczy bolały, doznawał uczucia, jakby ktoś sychnął w nie piaskiem, litery książki, jaką wzięt do ręki, olbrzymiały, każda jakby stawała się samodzielną, odpychającą istotą.

Na stoliku przy tapczanie jak zazwyczaj stała woda przyprawiona jakimś sokiem, chyba porzeczkowym. Popróbował, ciepła była i mdła.

Przekręcił wyłącznik. Spać i tak jeszcze nie będzie, czytać nie potrafi; można co najwyżej leżeć w ciemności. Będzie się w nim od nowa kotłowało ciągle to samo. Może źle, że nie zaszedł dziś do Młynarka. Ruch u niego, więc pewnie już się skończył ten muzealny spirytus. Brr, musiała mu Dzwinarska naopowiadać podobnych głupstw. Swoją drogą, miewają ludzie pomysły... Ten Młynarek

to prawdziwy talent, choć niekoniecznie w najbardziej pożądanym kierunku. Na drugi dzień po przyjeździe załatwił przydział lokalu na restaurację, na trzeci z gromadą ludzi, nie wiedząc skąd wziętych, bo amatorów na takie roboty nie było, malował, przybijał, ustawiał, pokrzykując przy tym nerwowym, cienkim głosem, a na czwarty po-

118

akąski i wódkę. Tempo. Nawet Pędzikowi z milicji Sińował...

Śo Dzwinarska. Cecylia. Imię w sam raz do niej pa-; Ziemiańska spod Stanisławowa; podobno dziennikarka i tak zarazem, czymś zasłużona, skądby inaczej pi-od ministra kultury, polecając ją bardzo... Jakaś ica 'zapewne, tyle dziwne, że z takim pochodzę-' [...,- Energiczna, gadatliwa, zarazem ofiarą, czuła na które tymczasem nikogo prawie tu nie obcho-■-Z córką zjechała^ taka ani się czym zastraszy, ani nie czymkolwiek. Wie swoje. I ten wygląd: siwe włosy a nie jak u pensjonarki kokardą, różową w dodatku, bez opon. Broni żąda. Spirytus jej kradną z osobli- • pozycji dziwadeł. Grozi niemal, jak to będzie swój : prowadzić...

człowiek, to typ, okaz, że świecą szukaj takiego. Jak siewiż powiedział? Że w pierwszej straży zawsze być sami dziwacy, ryzykanci, typy z kompleksami, najwięcej zrobią, nie mają nic do stracenia, albo iwrót, wszystko chcą stracić. Niby to bałamutnie, ale racja w tym jest. Sam Lisiewicz najlepszym do-;

wstrzymał dłoń, w nerwowym odruchu sięgającą znów (rataktu. Lisiewicz, Dzwinarska, Młynarek, inni, po ko-ich zapamiętał przez dzień, przez tygodnie... Nie przecie tu chodzi, a o niego samego. Tymi rozwa* chce Uciec przed samym sobą, głuży buntujący się własny świat wspomnień, przeżyć, refleksji^ Każdy [tu swoje tajemnice, mówił Eugeniuszowi. Ma i on 2. Zresztą, czy to w ogóle są tajemnice.

tajemnicą jest poczucie zawieszenia, balansowania przeszłością i teraźniejszością, która tamto wszy-f-stare ma wyprzeć, zetrzeć z pamięci? Czy tamten nieznanym innym, najbardziej, jedynie własny, można rólwiek wymazać?. Łatwo teraz się mówi, że należało hojnie szafować krwią, życiem, pamięcią, iż każdy dc będziejotrzebny: niczym nie przekreślił tó faktu* zupełnie czymś innym, już nie rozważą, a zwyk-

119

tym asekuranctwem, więcej nawaś, tchórzostwem była taka postawa jak jego. Stachna rąbnęła mu w oczy tę prawdę bez żadnych osłonek. Wbrew sobie to uczyniła, kochała go wszakże. Odeszła sama. Może to przyspieszyło jej śmierć, może ją nawet spowodowało, nie czuła już w sobie radości życia. Ze Stachną zeszła do grobu jedyna osoba, która znała pełną prawdę poza nim. I matka, która też odeszła, która może pielęgnowała w nim to uczucie, ale ją można było tłumaczyć instynktem rodzicielki, pragnącej zawsze chronić, osłaniać, kryć przed każdym niebezpieczeństwem.

Kiedyż go aresztowało gestapo? W marcu 1941 roku. Przez zwykły przypadek, choć mogło się wydarzyć także inaczej. Należał wszakże do grupy Związku Walki Zbrojnej, szkolił grupę młodych szczeniaków, rwących się do broni, do konspiracji, do walki. Dawało mu to satysfakcję, poczucie własnej wartości w skołatany okupacją społeczeństwie. Próbował nawet kontynuować przerwane przez wojnę studia na pierwszych tajnych kompletach uniwersyteckich...

I ta niedziela marcowa, rozmamłana, jak to zawsze w Warszawie, ni to śnieg, ni to deszcz, na chodnikach kleista maź. Nie zamierzał odwiedzać Zygmunta, dopiero mijając jego dom poczuł taką ochotę. Trafił w kocioł, trzech ich już było, tych pierwszych. Na stole wiele numerów „Biuletynu Informacyjnego”, piękny dowód rzeczowy... Tłumaczył, zaszedł oddać pożyczone kiedyś od gospodarza 500 zł, górala, nie miało się to z prawdą, była taka pożyczka, Zygmunt ją potwierdził.

No cóż, ojciec, stary radca bankowy, dzięki swemu obla-taniu. w Warszawie wykupił go po trzech niespełna miesiącach. Radykalnie, pono nawet akta miały zaginać. Ale te trzy miesiące nie minęły bez śladu. Przesłuchania, łamanie żeber, wieszanie za! ręce, bicie, bicie i bicie... Wyszedł zalekniony, lęk ten przeradzał się w strach, nadeszła wieść o śmierci Zygmunta, to na pewno wzmogło uczucie paniki, a może nie to, może ciągle tylko pamięć tamtego bicia... Do prawdziwych powiązań nie przyznał się, na tyle rozsądku i wytrzymałości było go stać, ale już potem lęku

120

ku, i wreszcie jakiejś paniki nie potrafił w sobie łąć. Drżał na każdy dzwonek, na każdy mocniejszy ^Ópon samochodowych przed domem, na każdy nie-Jiałas. Ojciec byłby go może potrafił wyprowadzić stanu. Ale ojciec potrącony przez samochód żandar-dogorywał właśnie w szpitalu. Gdy roztrzęsiony z pogrzebu, matka już powzięła decyzję. Wychodziła zja naprzeciw jego lękowi. Dosyć już przerażona męża, pamięcią niedawnych trosk o aresztowanego chciała teraz go chronić, marzyła o spokoju w takim tfu, jaki był tylko w tych warunkach możliwy. Niech ^wychodzi z domu, niech w nic się nie wdaje, tkwi od tego wszystkiego. Przecież słyszy i widzi, co dzie-wokoło. Każde życie staje się szczególnie cenne, kto będzie od nowa przywracał życie krajowi, gdy ło się skończy? Romantyka, fanfaronada z pótrzą-szabelką już się skończyły, to nie te czasy... Nie zga-tjSię bez reszty z tymi sądami, ale były one dlań za-wygodne. W organizacji uznany został za spalonego, ly do odwodów. Na wykładach nikt go nie szukał, arów nauki i tak było za wielu... A wokoło kogoś aresztowano, rozstrzeliwano, ktoś ginął w masa-, .inny znać dawał o sobie z obozu... Kulił się w swym P>u jeszcze bardziej, matka coraz mocniej przysłaniała ii skrzydłami.

ące rosły w lata. Dzięki dawnym ojcowskim sto-wyrobił sobie pracę dającą w papierach mocne zaśnie. Starał się jak najmniej przebywać na mie-r Ulice straszły, wieleż razy całym wysiłkiem opano-desperackie drzenie rąk, przysłaniał oczy powie-bo wiedział, że strach tam wyziera ze źrenic nieomal Nie chciał tego lęku okazać przed innymi, wsty-go. Analizował sam siebie, żadne argumenty nie po-to na pewno było obrzydliwe, ale zamiast maleć, pało się, on zaś nie miał dość woli, by przewycię-Uie, matka na domiar czyniła wszystko, w przesadnej l^roskliwościj aby ten lęk w nim mógł jeszcze się polać.

121

Stachna? To. było nagłe, nowe,od razu powiało czynjE świeżym. Zaczęło się na parę miesięcy przed powstaniem," Mieszkała w sąsiednim domu; nawet taką los zsyłał wygodę, nie narażało to uczucie na spaceru po mieście... Jakże taił przed nią prawdę o sobie, otaczał się tajemniczością, niech myśli dziewczyna, że po uszy tkwi w konspiracji; walczy i działa. Bo ona była bardzo aktywna: momenty jednak, w których stawała się skłonna do zwierzeń, gasił, akcentując potrzebę bezwzględnej tajemnicy. Wyglądało to bardzo dojrzałe... Aż krótko przed tamtym sierpniem, gdy nawet do ich odseparowanego domu zaczęło przenikać coś z przygotowań powstańczych, zdradził się przed dziewczyną. Sprowokowała go może, może lęk o nią to spowodował, dosyć że zaczął ostrzegać,

odradzać, tłumaczyć. Tym żarliwiej, im niechętniej to przyjmowała, tym namiętniej, im bardziej pragnął znaleźć dla samego siebie inne wytłumaczenie niż tylko ten zwierzęcy, nieludzki strach. Podniosła się nagle, nie powiedziała nic, cicho, jakby zawstydzona zamknęła za sobą drzwi. Tylko to spojrzenie, pełne zdumienia i pogardy. Może nawet zbyt wielkiej, młoda była, pełna zapału i pasji. A potem, na czwarty coś dzień powstania, zetknęli się raz jeszcze. Była w źle przy krojonym mundurze, na chwilę jedynie wpadła do swoich, zobaczyć czy żyją. Rodzina jej tkwiła w piwnicach sąsiedniej, właśnie ich kamienicy. Tam go poznała, choć pragnął skryć się przed nią, wbrew sercu. Zaskoczona minęła go bez słowa, a gdy wybiegł za nią na schody, rąbnęła: „przeklęty tchórz!” Rozpłakała się zaraz, długo tkwił mu w uszach ten płacz, jeszcze dziś czasami powraca... Zapragnął wtedy przemóc w sobie raz jeszcze ten lęk, gów-niarski strach, ale znów nie potrafił... Matka zginęła, osłaniając go do ostatka, sama się starając o wodę, o jedzenie, zaklinając na wszystko, aby się nie narażał. Ocalał jakimś cudem, może z przekory losu. Ocalał też lęk, a potem ocalała pamięć o nim, coraz bardziej wstydliva, dręcząca i gorzka. I jakieś narastające pragnienie ekspiacji...

Znów przypadek, dziwne, jak nigdy nie umiał sam kierować swoimi losami. Przypadkowo spotkany na ulicy ko-

122

Lolny, jak się okazało, aktywny, wysoko w hierar-tawiony działacz lewicy, zaproponował mu wyjazd - skane Nadodrze. Nie dał nawet czśsu do namysłu, pociągnął za sobą, zaraz potem zmontowano trzon operacyjnej, w Łodzi doszłusowało paru dalszych lu-fuszyli...

-taki jest bohaterski życiorys pana starosty...", skrzy-ji z bolesną kpiną.

iconą w bok dłonią dotknął miękkiego walka tap-Odżyła w nim pamięć urzędzenia pokoju, całego ania, piętra willi, w której zamieszkał. Dom cały, jnowany: umeblowany, nawet z pościelą w szafach, ałami # serwantkach, z szablonowymi oleodrukami itych ramach na ścianach. Tak jak przystoi godności pstarosty... Na dole właścicielka willi, Frau Kosche, dy-owana, dziwaczna, sama jedna, tylko z równie wie-gosposią. Bez sprzeciwu przyjęły wiadomość o za-ich willi. Nawet imponowało im, że jeśli już Polak, starosta, najwyższa władza. Stanowiło to także pew-* abezpieczenie. Dbały, a jakże, one to przygotowywały wodę z sokiem porzeczkowym, usługiwały na wyteż cecha niemiecka, rola tamtych kobiet polega czę-wysługiwaniu się swoim czy nie swoim samcom... i mu zatem sprzyja. Dobra, pogodna młodość w zamoż-fdomu, z pozorów tylko raczej mniej nieco mieszczą-ffcod innych. Cało wyniesiona głowa z okupacji i po-ia. Strata domu, osobistych nawet drobiazgów oku-zaraz tym oto mieszkaniem... Chyba po to, żeby ze bardziej poniżyć we własnych oczach. Lepiej |jsię we wspólnym kołchozie pierwszych tygodni, gdy Pali pospołu, cała polska ludność zrujnowanego mia-

lenie ekspiacji. Za tamto, za parszywy, ohydny Za siedzenie pod piecem, podczas gdy inni... Da-Z siebie wszystkiego. I zarazem ten wstyd, ciągły ucieczka od samego siebie, od pamięci tamtego I jego Jakby zmartwychpowstawanie wciąż od nowa, * Jej chwili samotności, przy byle zamyśleniu, przy

123

urzeniu najmniejszego drobiazgu, który z nagła coś przypominał. Wódka pomagała tylko na krótko. Dziewczęta? Próbował i tego, potem zjawiał się tym silniejszy niesmak, wyłaniało się wspomnienie uczucia łączącego go ze Sta-szką, jej słów: „przeklęty tchórz". Miłostek nie chciał, poważnie chyba już nie potrafi się zaangażować...

Ekspiacja. Dać wszystko temu miastu, które mimo potwornych zniszczeń żyje, zaczyna żyć, musi żyć. W którym wszystko się zmienia jak w kalejdoskopie i wszystko się zmienia za wolno. Za wiele, zbyt wiele czasu zostaje ciągle na wspominki, na samotność, na nawroty ponurej pamięci.

Co tam się dzieje na dole? Stara Frau Kosche znów spać nie może, snuje się jak mara po własnym domu, który przestał być jej domem. Już się sporządzają pierwsze listy na przesiedlenie, podobno niedługo ruszą transporty... Niemka człapie w starych bamboszach po korytarzu, po hallu, .po dwóch pozostawionych jej tymczasowo pokojach. I ona także tkwi całą sobą w minionym. Świat jest tak szeroki, tak ciągle nowj, a tymczasem pamięć nawraca wciąż do przeszłości. Intensywność tych nawrotów zależy jednak chyba od tego, jaka była ta przeszłość... Jego była gów-niarska, podła, tchórzowska. Czy można samemu sobie nakazać pokutę, taką, która w pełni okupi winę, aż przeszłość przestanie się stawać koszmarem?

Frau Kosche i on, każde z nich wiedzie swą myśl innymi szlakami, a zarazem jakoś podobnie...

Zachodnia i południowa strona powiatu upstrzone były połaciami jezior, stawów, rzeczułek, kanałów i przesmyków, łączących się ze sobą zapadliskami torfowisk i bagien gęsto porośniętych turzycą. Z rzadka przytulały się do tych wód wioski, częściej niewielkie osady albo tylko pojedyncze domostwa. Gęstwa łąkowej zieleni panoszyła się na tym terenie, łącząc się z kompleksami lasów.

Łódź była stara, niewielka, dłuższy czas przelażała zatopiona w wodzie. Jezierski odkrył ją przypadkiem, jeszcze w pierwszych tygodniach, gdy wraz z Walusiem wałęsał się

124

lie przy pełnieniu obowiązków generalnego aprówi-polskiej grupy. Żar był, piekło niesamowite, zatrzy-się nad wodą, aby odsapnąć, umyć ręce, twarz spry-Wtedy w promieniach słońca, pod nawisem olch uj-tę łódkę. Zapamiętał miejsce, ciągle mu wracało przed 5, ale w galopie prac związanych z uruchamianiem i przywracaniem do życia szlaku kolejowego nie miał j chwili, aby tu zajrzeć. Dopiero przed tygodniem mu się wyciągnąć starą krypę z dna, osuszyć i scho-w trzcinach, a dzisiaj przygnał tutaj wyszukany ieszczeniach stacyjnych motorem, pierwszy raz za-w wodę prowizorycznie sklecone wędkie, lie, ryzykowna była ta wyprawa, po lasach tłukły się dziwaczne postacie, czasem w wojskowych mundu-częściej w cywilu. Dezerterzy, maruderzy, Niemcy, z esesowskich formacji, którzy jak ognia bali się |o widoku, szukali okazji ucieczki na anglosaską nie wahali się przed niczym, dysponując wielką /. broni, strzelali i mordowali bez pardonu... Trochę chwilami i cierpła mu skóra, pocieszał się wszakże • że wybrał najspokojniejszy, tak się mogło wydawać, k powiatu, niedaleki od miasta. Ryzykowało się swojego czasu więcej, jednej wyprawy po prowiant , by nie spotykały ich strzały.

ó gdy wypłynął na wodę, odczuł jednak tak mu iy spókój. Powietrze nie było tu rozprażone jak egu, przewiewał leciutki wiaterek, powierzchnia .'rozciągniętego jeziora marszczyła się w miejscach »zaślonytych. W trzcinach kokosiły się kaczkę, wio-loty. Po odgłosach można się było domyślać, co gęstwie zielonej się dzieje. Przejęte pokwakiwanie, " rozkochanej pary. A teraz gwałt, awantura, jakiś ^podsuwa się do samicy, może nawet chętnie przez ziany. Prawowity małżonek wybuchu zazdrością, wyzwiskami, z furią rusza na konkurenta. Har-rumor, aż się znowu uspokoiło i tylko ruchliwe, le trzciniaki poćwierkiwały przeskakując z jednej i.na drugą. Przekładając wiosętko z ręki do ręki —

125

dziób łódki, gdy tak siedział na rufie, wynurzał się wyso nad taflę — płynął dłuższy czas wzdłuż pasma mocno już rozrośniętego sitowia. Skusiła go niewielka zatoczka, po, kryta szerokimi liśćmi grążela. Białe kwiaty już tu i ówdzie pyszniły się swą atłasową bielą.

Zapuszczając prowizoryczną kotwicę z kamienia, obejrzał się jeszcze na przeciwległy brzeg. Motor zostawił ukryty wśród krzewów, zamaskowany chrustem i ułamanymi gałęziami. Takiej gratki żaden przecie bandzior kryjący się po lasach na pewno by nie przegapił. Ale i na brzegu panował idealny spokój, w szczytwinach brzoź pokrytych jasnym seledynem liści przeglądało się słońce, ciemniejszymi konturami odbijały od tego tła olchy, nisko nad wodą zwieszały swe gałęzie jarzębiny, niespodziewanym siedliskiem rozparte na sporej połaci brzegu.

Zanurzając wędkę w oko pomiędzy liśćmi grążela, westchnął z odczuciem ulgi. Wieleż to czasu minęło od dnia, gdy po raz ostatni tkwił nad wodą w takim zupełnym spokoju? Chyba przed wojną, bo w okupację, nawet gdy w jej początkach zdarzały się jeszcze okazje wyskoków z wędką, trudno było o odnalezienie w sobie nastroju odprężenia. Cisza natury, jej urok drażniły, stawały się jakby dysonansem, zgrzytem na tle tego, co działo się wokół. a w czym nie było ani krzty spokoju. Dopiero dzisfaj... Spławek leży na wodzie. Zaraz będzie można przygotować i drugą wędkę. Krzywe te leszczyniska, ale nie szkodzi, byle ryby brać chciały... Perkoz wynurzył się nie opodal, zaraz płochliwie fajtnął płetwami, wystawił na moment kuper, znurkował, wychynął daleko, ciągle niespokojny i podniecony niespodziewanym spotkaniem. Człowiek uśmiechnął się cichutko, drgnął w tejże chwili. Spławek zachybotał raz, drugi, zanurzył się lekko, dziwnie na płask potem z nagłą poszedł pod wodę. Odczekał moment, dopiero podciął. Wędzisko wygięło się, zasprężynowało w o-porze. A tam, pod wodą, szarpało coś, rwało w przeciwną stronę, walczyło. Po tych drganiach rozpoznał znacznie wcześniej, nim go zobaczył: leszcz. Wreszcie wydobył go na powierzchnię, umiejętnym ruchem przewrócił na bok.

126

gł już holować dużą rybę, bijącą blaskami roz-czystego srebra, jedynie około grzbietu nabie-patyny.

podchwytywał sporą sztukę, czując jak rozko-serce osobliwą, szczenięcą emocją, gdy z dalszej iy, niewidocznej przez warstwę trzciny, nadbiegły wybuchy. Zaraz się powtórzyły, nieco przygłtu-Jni to granaty, ni coś innego. Wyszarpnęła leszcza ryba rozszalała się tam, tłukąc w podrzutach i całym ciałem o dno. Wybuchy — to ludzie. Co się eje? O ile sobie przypominał, w pobliżu nie było [L-osady. W lesie? Walka, starcie jakieś? Ale ten głu-l? Już pojął, to ktoś polował na ryby, ciskając gra-wodę. Wojenny sposób... Wzruszył ramionami. Pal Inie będzie nikogo pouczał, sami z Walusiem spróbo-tej formy połowu, tego dnia, gdy w stołówce zdu-się niespodziewanym daniem rybnym. Wtedy wyboru, ludziom trzeba było dać jeść... Dzisiaj? Igo jeszcze różni włóczędzy granatami będą walili Ze wspomnień dzieciństwa, osnuwających się ^Wyłaniała się pamięć czasu po pierwszej wojnie świa-l Przez wiele lat utrzymywała się wówczas moda głu-gryb wybuchami granatów czy większych nawet po-£ rzucanych w wodę. Wtedy, po tamtej wojnie, cóż K teraz, gdy co krok to mina, granat, szrapnel arty-Można całą rybę wydusić w ten sposób... na pocieszenie pławek znów zadrgał, inaczej tym Po chwili Jezieiski podciął solidną płoć. Przerwany wybuchami spokój nie chciał już wszakże po-jjfw pełni. Ryba też brać przestała, pławek leżał spo-na wodzie. Drugiej wędki nawet nie próbował roz-

awiał się, jakie to dziwne: tak bardzo pragnął niedawno spokoju, chwili wytchnienia po harówce Pszych tygodni, powoli zaczynających się sumo-miesiące, a teraz, gdy znalazł się z wędkami nad 'z nagła ma dosyć tego wszystkiego. Milszy byłby tymrTozwalonym ich mieście, gdzie każde wy-

127

darzenie jest czymś podniecającym, wszystko bowiem dźwiga się ich wysiłkiem, dzięki zastosowaniu jakichś osobliwych sposobów i chwytów, byle tylko posunąć się o krok dalej. Jak wtedy z tym szlakiem, z pierwszą ryzykancką jazdą wraz z repatrianckim transportem. Szczęście; maszynista był dobry „oliwa”, żaden inny nie zgodziłby się na taki wyczyn. Za pięć litrów gorzały, czystego spirytusu. Jeszcze mu nie oddali tej wódki w starostwie. Ruszył ten pierwszy pociąg, teraz spokojniej już przejeżdżają następne. Odcinek gotowy, bez fuszerek i prowizorek. Komisja z poznańskiej dykcji przyjęła szlak, zatwierdziła dla ruchu. Tylko, że ruchu nie ma, najwyżej jeden, dwa składy dziennie, bez godzin, bez żadnego planu, jak się przydarzy, boczna linia, zadupie... Na stacji robi się nudno. Z tych* nudów odmalowali budynek, otynkowali dziury po pociskach, Królak, nawet kwiaty w gazonach zasadził.

Tyle lat marzył o ładnym mieszkaniu. I, oto ma cztery pokoje, obszerne, można by jeździć po nich rowerem. Ma mieszkanie, a nocuje często w dyżurce zawiadowcy, wspierając głowę na złożonych na stole ramionach.

Bo w tych pokojach pustka, nikt nie przesuwają się między meblami, nie odkurza, nie brzęka w kuchni garnkami. Minęło niby jakiś sen. Wystarczyło, że dwa miesiące przebywał poza domem, bawił się w pioniera, odbudowywał stację, szlak. Ewa przez ten czas dokonała wyboru. Musiało się to zacząć wcześniej, były jakieś historie, nie chciał po prostu ich widzieć. Odeszła. Mieszka teraz z Soleckim w Warszawie, zadekowali się jakby w strachu, że będzie ich szukał. Ani mu w głowie. Da jej rozwód, niech tylko się unormuje, niech zaczną składowiej funkcjonować urzędy. Takich spraw nie można klajstrować, trzeba je przecinać od razu. Ale boli, i głupio, przykro. I ta ambicja męska... Ewa, taka niby przylepka, a za uśmiechami i trzpiotowa-tością kryły się złość, pasja, dokuczliwe kpiny. Zawęzał jej świat, niewiele, jej zdaniem, miał w sobie ambicji, za mało pragnął od życia... Powiedziała mu to kiedyś, już się. znała chyba wtedy z Soleckim. Tamten ukazywał jej inny świat. Czas pokaże, co było pewniejsze. Ale to już własna jej

128

jemu zostały cztery puste pokoje, to wymarzone, j.mieszkanie. Przegrana stawka...

wędkę, pławek ułożył się na nowym miejscu. £ ucichł, uspokoiło się, woda zastygła bez cienia zmar- Otrząsnął się z napływających wspomnień. Prze-Byle tylko znaleźć dla siebie jakąś nową robotę, a, taką w której można się wyżywać bez reszty, łatwiej zapomnieć. Tylko jakże odchodzić z kolei, iów żyć bez niej? A na kolei teraz spokój, jeden ira pociągi na dobę...

iw gdzieś głuszą rybę pociskami. Tym razem daleko Ciekawe, ci sami, czy też inne już towarzystwo? Niby po wioskach jeszcze pusto, na drodze nie widać tteika, zarazem zaś pełno tu pęta się takich, których •-nie siał, a wyrastają jak pokrzywy pod płotem. Pał niech sobie głuszą. Nadejdzie chyba czas, że i na je-nastanie spokój, rybacy będą ciągnąć rybę sieciami, mą się z politowaniem nad ślęczącymi przy brzegu ami.

liwym spojrzeniem przeciągnął przez wodę. Kołysał się jej czubaty perkoz, u przeciwległego pasma trzciny ner-kręciło się stadko kurek wodnych, nad olchami za-jastrząb. Mimo że wiatru nie było, trzciny szeleściły, się, dygotały. To ryba trąciła je gdzieś od spodu, żaba niezdarnie rozchyłała łodygi, przepychając się jsca na miejsce, to maleńkie trzciniaki przesiadały się ła na żdźbło. Tam, bliżej brzegu, kołysze się na wo-potężny pień, wygląda na dębinę, zanurzony głęboko, le tylko wystaje... Jakieś siano, przegniłe już, po-le z trzcina. Może to rozrzucone stare łabędzie gniaz-A tam co znowuż?

cił się niespokojnie. Poznał. Nie pierwszy raz wi-w ostatnim czasie coś podobnego. Ludzkie zwłoki, zmiąte, zsiniałe, szerniałe od przebywania w wodzie, jeszcze od czasu frontu, może późniejsze, kto dzisiaj ae?

!ł wędkę i szerokim zakolem omijając topielca, fiosłowywał dalej. Ze to zawsze coś takiego musi wy-ejaśnła się niebo t. l

129

skoczyć, każe myśleć człowiekowi o wojnie, o wszystkich!' jej okropnościach... Szybciej zamachał wiosłkiem. Byje stąd dalej. Ryba na innym miejscu też może będzie brała lepiej. Pasma trzciny wrzynało się tu głęboko w jeziorną toń. Musiał zatoczyć szeroki łuk. I wtedy, u samego skraju cypla, omal nie zderzył się z wypływającą zza niego łódką. Siedzący w niej człowiek, starszy wiekiem z wyglądu, zdjął kaszkietową czapkę, skłonił się głęboko, po wiejsku.

— Dobry dzień...

— Dzień dobry. Na rybce, co? — przyjaźnie, choć ze zdziwieniem zagadnął Jezierski. Nie znał tego człowieka, a przecież mało kto z mieszkańców miasta i powiatu pozostawał mu obcy. — Pan z tych stron? Tutaj pan mieszka?

— Niedaleczko, panoczku, niedaleczko... Po prawdzie to szukam miejsca, gdzie by się osiedlić. Ja rybak — wskazał dłonią, Jezierski zobaczył złożoną na dnie łodzi drgawicę.

— O takich myślałem, słysząc łobuzów tłukących o wodę czym komu popadnie — ucieszył się.

— A tłuką, różni tacy... Drobnica ginie. Szkoda.

— Z transportu? Repatriant? — z wymowy poznawał osadnika zabużańskiego.

— A tak, tak... — zagadnął tamten, jakby umyślnie przerywając indagacje Jezierskiego. — Pięć dni szukam po okolicy miejsca. Jedno takie już upatrzyłem. W błotach trochę, ale spokojnie. A mnie aby spokój. Jak rybakowi, wiadomo. Zabiorę żonę i dzieciśka, przeniosę się... Aha, panoczku, a trzeba to komu podawać, niby z tym osiedlaniem? Meldować się?

— Trzeba., W starostwie. Przydział dostaniecie. Albo u wójta czy sołtysa, jeżeli są już zamieszkałe wioski w pobliżu.

— Pusto. Nijakich wiosek tam nie ma... A W tej najbliższej też pusto. Paru było, ale już się wynieśli, zabierając co lepsze rzeczy. Pojechali dalej szukać. Niebezpiecznie, mówili, różni chodzą po lasach... To znaczy trzeba zameldować się w mieście? I potem można już mieszkać?

—■ A tak. Można... Powiedzcie mi lepiej, jak ryba? Idzie w sieci? W drgawicę?

130

* pora. Tyle, że jak trzcinkę otoczę, bołem o wodę lę, to jeszcze co wpadnie. Gorączka taka, ryba nie mb/czy dnie siedzi... lar przystaniał daszkiem czapki, przymrużał, Jezierski Medział, kryjąc je przed nim czy tylko przed słońcem, pastrajał go nowy znajomek sympatycznie do siebie. Saże robiła to tylko zarośnięta gęba, przesadna nieśmia-okora w głosie tego człowieka. Chudy, choć w barach f.. Wygląda na zmęczonego, zadręzonego życiem. • to takich po wojnie? Pewnie przeszedł niejedno.

ięć minęła, zrodziła się zwykła życzliwość. £A pan to w mieście? Na kolei?

KŚa kolei, zawiadowcą jestem... Tyle... że dzisiaj nie-M trzeba trochę odpocząć... Ale tu na wodzie też różnie. ipkiś trup poniewiera się przy brzegu... ^',Trup? — zaśmiał się rybak. — Albo to jeden? Miej-usiane nimi. Wojna, nie dziw, tu bitka szła mocna, przegniją, śladu nie zostanie — urwał, zastłuchał się. dasta nadbiegły pogłosy syren. Dwóch, tyle ich dotąd Stało się co? — wskazał dłonią. Izerski też zaniepokoił się w pierwszej chwili. Co u li-C.'Syreny, o tej porze, w niedzielę? I nagle uśmiech-

f

■ł,

•i;

Prawda. Tak miało być. Dzisiaj uruchamiają nową ę. Z gruzów dźwignęli. Stąd uciecha, uroczystość, wolałem wyrwać na wodę... A pewnie, pewnie, spokój, daleko od ludzi. Tak naj-Ja też takie miejsce znalazłem, gdzie diabeł sam ilezie... — rybak urwał, jakby spostrzegł się, że za powiedział. Daleko stąd?

za tym drugim jeziorem, co z tym łączy się rzeczką, przebrnąłem łódką, tak zarośnięta... Tam ostrów . bagnami otoczony i wodą. Rybakówka jakaś była, a Nawet wylęgarnia przy niej niewielka, tyle że podlana. Na własne dynamo szła. Można by naprawić, na-t nodować...

131

— To ja już wiem — Jezierski, przypomniał sobie oglą-dane jeszcze z Walusiem mapy sztabowe okolicy, znaleźli je zostawione przez Niemców. Była tam zaznaczona taka ry-bakówka wraz z wylęgarnią. Dobre miejsce stary znalazł, tylko że głusza tam naprawdę straszliwa.

— Był tam panoczek? — rybak zaniepokoił się.

— Nie, na planie widziałem.

Tamten stracił ochotę na dalszą rozmowę. Uchylił znowuż głęboko czapki, spuszczaając przy tym niziutko głowę.

— To dziękuję za radę. Jutro o to zameldowanie poproszę... Trzeba zacząć żyć jak ludzie... Pora mnie jechać. Wszystkiego dobrego, panoczku...

Energicznie jął robić wiosłem, za łódką zostawała smuga wody, piana nie rozptywała się, stała w miejscu białym pasmem. Gdzieś zza trzciny znow rozległy się wybuchy granatów.

Jezierski zaklął. Zdenerwowało go wszystko. Cholera z takim spokojem. Tutaj granaty, tam pamięć Ewy, rozbitego małżeństwa, znowuż ten zahukany, dziwaczny rybak, a jeszcze nalany, obrzmiały trup kołyszący się na wodzie. Lepiej już byłoby w mieście, na tej uroczystości. Okazja do popicia niegorsza, nic, że później łeb boli, ale na jakiś Czas spokój, weselej.

Zatęsknił do swojej stacji, do izdebki zawiadowcy, do kwiatów posadzonych przez Królaka, do lśniącego szynami szlaku. Tylko o pięknym, obszernym mieszkaniu nie pomyślał. Stało się niepotrzebne, nie było w nim kogo utulić.

- Jesteśmy, pani Cecyljo, obietnic dotrzymujemy. Dzwinarska uśmiechnęła się krzywo.
- Miało być około południa, Kochasiu, a teraz po czwartej... .
- Pani rozumie, fabryka, oficjalne otwarcie. Pierwsza fabryka w naszym mieście...
- Kochasiu, nie gadaj więcej. Sama wiem, byłam, wi-

132

tę odlewnię. Brudno tam, ściany warto by poma-- Ludzie powinni pracować w lepszych warunkach... Ale teraz już zabieramy się do tych skrzyń. Może do-wielkiego odkrycia? — więcej żartobliwości było 'e Zielniaka niż wiary w istotną wartość skarbów, banych przez kustoszkę muzeum y/ jego piwnicach. To się okaże. Kota w worku nie sprzedają... A czemu tak dużo? Dziewięciu. Starczyłoby czterech, pięciu... władza. Starosta, komendant milicji, dyrektor elek-pan Przybyła, ci panowie to wiem, też ze staro-A panowie? Nie znamy się... Dzwinarska jestem. Stefczyk.

ity mężczyzna o wyliniątych brwiach, jasny blon-Wyciągnął rękę.

Kijanek — ten był młody, ale jakiś zmarnowany, twarz ciągnęły się dwie blizny, mówił trochę seple-

Towarzysze są z nowej placówki na naszym terenie.

Bezpieczeństwa — wyjaśnił "Zielniak. " — Pan Stef-jest szefem, pan Kijanek jego zastępcą. Dobra, dobra — gderliwie odezwał się pierwszy z nich. 'e będziemy tu bawić się w cyrk z prezentacjami, te skrzynie?

'Słyszałam już o panach. Hm, nieciekawie... — od-się Dzwinarska. — Skrzynie są. Ale czym je bę-otwierać?

Słyszała obywatelka? Nieciekawie? A kto to tak

Obywatelu Stefczyk, zostawcie... — szepnął starosta.

ylił się mu do ucha. — To złoto kobieta, choć dużo i nie liczy się ze słowami.

się siekiery i łom żelazny. Przyniósł je woźny Zaśmieconymi schodami, Dzwinarska upom-x się przy tej okazji o przysłanie Niemek do uprzą-przeszli do piwnic. Ciągnęły się pod całym budyn-fle oświetlone, ledwie parę żarówek telepało się Na prowizraycznych półkach było sporo ekspo-tuż c>bok stały we wspaniałych ramach, osłaniają-

133

cych słabe przeważnie kicze, jakieś przedmioty, który-^{*} przeznaczenie trudno było odgadnąć. Dzwinarska porui szala się w tym żwawo, kokieteryjna kokardka wpleciona w siwe włosy chybotąła przy każdym kroku; wskazywały na jakieś rupiecie, pogadywała, mruzczała, prowadząc mężczyzn do coraz to nowych pomieszczeń.

— Gdzież, do cholery, te skrzynie? — wzdygając się na widok całej kolekcji zbrakowanych szkieletów i czaszek, zdenerwował się któryś z odkrywców.

— W ostatniej piwnicy, zamurowana była, ale pod moją nieobecność ktoś się tam zaczął dobierać, rozwalił ścianę, szczęściem niczego nie zdołał uszkodzić. Ktoś musiał go spłoszyć. Dopomógł mi tym samym w zrobieniu odkrycia... O, tutaj — odsapnęła, zadyszana z przejęcia.

Przyświecając latarkami, przeciskali się przez »wąski otwór. Pomieszczenie było niewielkie, zavalone kilkunastoma skrzyniami, zbitymi z grubych desek, okutych na kantach.

— Tę mi się udało samej otworzyć. To waza... — nachyliła się, delikatnie uniosła z głębi skrzyni naczynie — etruska. Kto wie, czy w Polsce znajdzie się jeszcze coś podobnego...

— Tu są jakieś napisy na skrzyniach — członkowie odkrywczej ekipy nie okazywali większego zainteresowania wazą. Tyle czerepów, poniewiera się tutaj w każdym domu. Etruskie nie etruskie, mało ważne. — Jasny gwint, patrzcie, skróty literowe, numery, a tutaj kredą zaznaczone wyraźnie. Krakau... Kraków! Rany Julek, krakowskie? Polskie?

— Zaczynajcie od tej krakowskiej! Gdzie to złodzieje przypchali nasze pamiątki...

Głucho dudniły uderzenia łomów i siekier. Dzwinarska, zakurzona, spocona, przestrzegała po stokroć, aby ostrożnie, można uszkodzić...

Przeciągnięta na kablu od najbliższego kontaktu żarówka rozjaśniła mrok piwniczny. Wieko skrzyni, mocno podważone, odskoczyło ze zgrzytem. Ktoś zaklął, gwóźdź rozszarpał mu rękaw. Obrazy. Częściowo w ramach, czę-

134

rulonach. Rozwinęli pierwszy z nich. Portret ko-pjótno z lekka nadbutwiało już w jednym z rogów, z mężczyzną zaburczał lekceważąco. Dzwinarska na-schyliła się gwałtownie, przyglądała się podpisowi obrazu.

Boznańska! — krzyknęła, aż zakołowało echem po ci-piwnicy. Kto?

Boznańska, wybitna malarka. To cenny obraz. Z ga-krakowskiej... Ostrożnie, ostrożnie, z tym trzeba jak !em; Boże drogi, ja to znam wszakże. Obraz mojego stwa. Malczewski... Tutaj Weiss. Same sławy. Bła-; ostrożnie, ostrożnie, panowie. Nie drzyj się pani, tyle szumu o byle obrazki. • To nasze skarby muzealne. Skarby? Dużo by można za takie coś dostać? ^Miliony na pewno. Zresztą te rzeczy nie mają war-Są bezcenne.

Dobra, dobra, dawajcie dalej. Co jest tutaj, w tym lym opakowaniu? Dywan jakiś? Cienki, u byle w chałupie lepsze, grube, mieli też co pakować... 'Głupiś pan, panie Szewczyk, czy jak tam panu... - Stefczyk. A z głupotą pani nie wyłaż. Bo pokażemy

tefce, jak się powinno szanować władzę. Spokojnie, proszę państwa. Tu naprawdę dokonaliśmy go odkrycia. Część narodowych skarbów wywieziono przez hitlerowców — w naszym mieście. Trzeba będzie meldować...

Mają tam inne kłopoty, ważniejsze niż te mazidła elana — Stefczyk nabuńczuczył się, łytał na Dzwino-rozeźlonymi oczyma.

w dwóch skrzyniach były obrazy. Inna mieściła serwis porcelanowy. Dzwinarska zaraz go określiła XVIII wiekiem, pokazała słynną markę u spodu — chciała tłumaczyć bliżej, ale zacisnęła wargi,

mijał, w piwnicy stawało się coraz duszniej. Członkowie komisji umorusali się, zakurzyli, pył wdierał się

135

do płuc, soplili na strony. Rozpieczętowano wreszcie ostatnią skrzynię z kolekcją średniowiecznej broni.

— Nareszcie koniec. Co teraz?

■ — Trzeba zrobić dokładny protokół. Sztuka po sztuce. W kilku kopiach. Wszyscy je podpiszemy — w panią Cecylię od nowa wstąpiła energia.

— Co, każdą sztukę mamy spisywać? Do usranej śmierci stąd nie wyjdziemy — obruszył się któryś z obecnych.

Dzwinarską mocno poparli Zielniak i Lisiewicz. Zwłaszcza ten ostatni, aż się ścięli z komendantem UB. Dopiero taktowniejszy Kijanek załagodził sytuację. On też wraz z woźnym starostwa najgorliwiej pomagał w robieniu protokołu. Z olbrzymią ulgą złożyli na koniec swoje podpisy.

• — A jakiej skrzyni z winem pani tu nie znalazła? Przydałby się!

— Był spirytus, ale ten cymbał Młynarek zabrał. Go i rozprzedał różnym moczymordom.

— Co za Młynarek? Restaurator? Dużo było tego spirytusu?

— Ze sto słoje. Z eksponatami. W największym znajdowało się ciele z dwoma głowami.

— Tfu, głupie żarty trzymają się obywatelki...

Starosta serdecznie pogratulował Dzwinarskiej odkrycia.

Byli znowu na górze, przez okna słońce wpadało szerokimi pasmami, przychyliło się już mocno na wieczór. Nastrój ogólny poprawił się.

— Więc to naprawdę ma taką wartość? Niechże pani coś powie — domagali się mniej zorientowani. Nawet Stefczyk zdawał się być zaciekawiony.

— Ogromną. Kto wie, może po orderze skapnie każdemu z was... Ale teraz musicie panowie załatwić ochronę muzeum. Jakąś straż. Tu nie ma żartów. Ta stara łódź, którą mijaliśmy w piwnicy, to jedna z paru zachowanych łodzi słowiańskich. W Polsce nie posiadaliśmy podobnych egzemplarzy. Trzeba strzec tego jak oka w głowie...

— Straż? A wie pani, że wczoraj zamordowano jednego z naszych osadników? Tuż pod miastem, trzech ich osiadło w wiosce, nie zdołali poradzić z napastnikami... Skąd więc

136

ludzi dla muzeum, jeżeli ich nie mam dla ochrony Obywateli — zatroskał się szczerze Lisiewicz.

jednak nie ustąpię. Albo poproszę o pisemne po-enie odmowy — nie ustępowała. Musisz dać, chłopie — poparł kustoszkę Zielniak. —

tów, to musi znaleźć zabezpieczenie. Postaram się, ale dopiero za parę dni. Ośmiu chłó-poszło do wiosek chronić osadników. Żeby choć woj-•}o, kapitan jakoś tutaj zaradziłby, ale wszyscy w te-j przy siewach. Też potrwa. To broń mi dajcie. Potrafię strzelać. Co ,to, to nie! Tu i tak za wielu chodzi z bronią, ■y z tym zrobić porządek. Z tym mocno poszkapi-komendancie — Stefczyk zwracał się wprost do Liczą.

Nie było was w samych początkach, więc nie wiecie, tu działa. Jesteśmy ostrożni,- ale broń ludziom należy "elać. Osadnicy na wsi dawno by zostali wyrżnięci, tajcie, krył się tu w lasach cały esesmański batalion, /e ich rozbili, poszli w rozsypkę, ale małymi grup-grasują nadal. *

Od tego będzie wojsko, milicja, bezpieczeństwo. Będzie, ale nie jest.

To już ode mnie zależy. Wy, towarzyszu, pilnujcie milicjantów. Kupa tam łobuzów, diabli wiedzą, li przyniosło. Ręczę za nich...

•Panowie, zostawcie. Obejdę się już bez tej broni. Ale, to, ślusarzy mi chociaż przyślijcie. Mogą być Niemcy, zę sobie z nimi. Trzeba zabezpieczyć budynek. Prze-nie wiadomo, jak długo te skrzynie będą tu u nas. damy znać do Krakowa, nim przyjadą stamtąd po od-

żeby to już poczta funkcjonowała. A tak, szukaj tylko

~uż montujemy i pocztę... Raz na tydzień samochodem zić będziemy korespondencję do sąsiedniego miasta, iż ustälili regularną łączność z Warszawą. Pocztcowca

137

też mamy, dopiero przyjechał, ma za zadanie uiuuuami' łączność... Znaczków brakuje, ale mówił, przestempiUj zapas pohitlerowski, kupa tego została — z satysfakcją, jajj zawsze w obliczu każdego nowego kroku naprzód, oznajmi} Zielniak.

— No to pięknie. A skoro już tak się napracowaliście to proszę teraz do pokoiku, który zajmuję na pięterku wraz z córką... Przywiozłam ze sobą literek likieru, prawdziwego Benedyktyna, nie ma go co żałować przy takiej okazji...

Tym razem komisja spojrzała na Dzwinarską z uznaniem i niekłamaną sympatią. Dziwaczka, pyskata, zwariowana baba, ale można z nią w końcu wytrzymać.

— Zatem za nasze odkrycie — wzniosła toast pani Ce. cylia. Poprawiła przy tej okazji kokardkę, diabli wiedzą po co wpięta w siwe, starannie ułożone włosy. Lisiewicz wyobraził sobie, że starsza pani zapewne sypia w papilotach na głowie. Tak jak kiedyś jego ciotka

3.

— Boże, czy to się nigdy nie skończy? Dokąd ty nas, Adam, wiesz? — Przybyłowa opadała z sił. Trzeci dzień trwała już wędrówka z Łodzi do tego wymarzonego mężowskiego miasta, w którym mieli osiąść na stałe.

Pewnie, zgodziła się, tak się już między nimi przyjęło, że mąż zawsze decydował o wszystkim. Skoro zatem uważa, że należy się przeprowadzić, porzucić Łódź, znośne warunki, jakie się tu zarysowały, dobrą pracę, widocznie wie, co robi. Teraz jednak zmęczenie, nieludzkie zmęczenie i wyczerpanie nerwowe zaczęły zdradzać w niej bunt. Mógłby Adam myśleć przynajmniej o dzieciach. Spróbowała przełożyć małego z jednego ramienia na drugie. W tłoku wcale nie było to łatwe. Dzieciak westchnął głośno, zapiszczał cieniutko przez sen.

— Sam widzisz, co się dzieje z małymi. A jak Julcia,

138

m

jej kto na ławce? — obejrzała się poprzez czyjeś

niewiele, jeszcze jedna przesiadka i będziemy jscu. Zobaczysz, jaki domek, duży ogród, drzewa, będzie do syta, pięknie... Teraz tak wszędzie w po-Mania. Gdyby nie ci. złodzieje, już byśmy dawno ; miejscu...

ieszął żonę, ale sam musiał przygryzać wargi. Jedna mordęga. Dobrze radzili znajomi, trzeba się było" (o wagon przesiedleńczy. Nie chciał. Myślał, tych parę i waliz przewiozą jak bądź. Meble, wszystkie ity zostawili na przechowanie w rodzinie. Tam prze-ają ładniejsze. Już to domek wynalazł sobie jak le. Żeby tylko nie ta piekielna podróż.

się w duchu. Wszystko przez tych szoferaków lorów. Uzgodnili w Łodzi, a jakże, dostawią na samo Pięć litrów spirytusu i złotą dwudziestodolarówkę. ■ bo im po drodze, no, niezupełnie, ale zawsze stamtąd icy już bliżej... Nawet grzeczni byli, podjechali !>dom, pomogli władować bagaże, zagadywali do żony. jtbyli na gazie? Wiadomo, w tym czasie samochody jadą iche: dla wozu benzyna, dla kierowcy wódka. Ina-<fc nie może. Zresztą wóz ładnie pruł szosę, rów-musieli miec wprawę. Cholera, pewnie w kanto-„. Ledwie wyrwali poza granicę starych ziem, zaczęli łać. W jednym miasteczku, w drugim, w jednej le, w dziesiątej. Ledwie się wdrapywali potem do swo-iferki. I znów jechali do następnego etapu. Dopiero mieścinnie. Wysadzili ich przy jakimś rynku. Żeby ać, bo sami muszą postarać się o benzynę, a tam może przyłapać, że wiozą pasażerów bez zezwo-J Wysiedli, wiele nie myśląc. Pięć minut nie minęło, jakiś chłopak, że mają zabierać swoje bagaże, azu- pojęli. No, walizki, tłumoki, szoferzy wyrzu-jakimś domem, kazali zawiadomić, dali dwadzie-otych... Sami zaś zawrócili w kierunku na Łódź. pomogły klątwy. Ani Wracać, ani rwać dalej. Zde-

139

cydował w końcu, że wszelkim sposobem trzeba pchać do siebie. Do Łodzi nie było po co wracać, mieszkanie za stępnym zajęli już inni ludzie. Spalili mosty za sobą. Zostawała kolej, teraz mocno

okrężną trasą. Kolej, z tym tło, kiem, z brakiem regularnych rozkładów. Kobieta, bagaże, a głównie, że dwoje dzieci, trzy i czteroletnie.

Trzy dni już to trwało. Przesiadki. Straszliwy tłok, szturmowanie wagonów. Przekupywanie kolejarzy, żeby jakoś władowali ich razem z dziećmi. Dobrze, że było trochę grosza, z tego odstępnego i po sprzedaży gratów. Inaczej w ogóle pewnie nie ruszyliby z miejsca. Najgorsze te noce. PUR trochę ratował, gorące jedzenie, wrzątek, bo w prywatnych przenośnych restauracyjkach na peronach zatruć się było można...

Głęboko odetchnął, przekrwionymi z niewyspania i ze zmęczenia oczyma spoglądając na ostatnie miasto dzielące ich od celu wędrówki. Jeszcze pięćdziesiąt kilometrów, bo-czną linią, którą Jezierski przywrócił do życia. Rozkładowych pociągów nie ma, ale może coś właśnie podleci? Mieli szczęście, montowano skład w tamtym kierunku. Trochę wagonów z jakimiś dostawami pod cywilnym konwojem, osiem z repatriantami i ich dobytkiem, na koniec kilka-niby to osobówek, towosów, jak je nazywano, przerobionych ze zwykłych towarówek. Tu już nie było tak tłoczno, można było odetchnąć. Całą ławkę mieli dla siebie.

Odjeżdżali późną nocą. Przedtem coś tam maszynista grymasił, wyklócał się z repatriantami. Gdy wreszcie ruszyli, zatrzymał pociąg parę kilometrów za miastem. Albo zbiorą dla obsługi na wódkę, albo dalej nie jadą... Klnąc, składali się wszyscy. Znów zadudniły koła, podskakując na spojeniach szyn. W rozgwieżdżoną noc komin parowozu dorzucał setki nowych gwiazd, zapalały się i gasły, lądując na igliwiu przyległych do toru lasków.

Dzieci, Piotruś i Julcia, spały wyciągnięte na ławce. Przybyła objął żonę ramieniem, przegładził po włosach. Westchnęła nic nie mówiąc. Tylko w jej przytuleniu odczuł całą pełnię oddania kobiety. Jeszcze godzina, dwie może, ten pociąg wlecze się jak prawdziwy żółw, zabłyszczą światła

140

*L Niewiele zbraknie do świtania. Odpoczną, choćby erskiego, potem zorganizuje się lokomocję, wreszcie Przybyłowie będą na miejscu. I jeszcze tego sa-dnia pokaże żonie swoją elektrownię. Dzieciaki zaś 61i wyhasają się po ogrodzie. To nie to samo co ciemna, iymiona Łódź...

dwóz zagwizdał, zwolnił przed zakrętem. A potem gwałtownie zahamował, aż się posypały pakunki rizorycznych półek. Julcia spadła na podłogę, Piotruś zeszczął się przeraźliwie. Ludzie zrywali się z miejsc, ażeni przecierali oczy. Katastrofa, wypadek? izd parowozu podniósł się mocno i zagasł nagle, jakby ony. Od lokomotywy i od ostatnich wagonów roz-się strzały. Wzdłuż trów z latarkami w rękach za-śmigać uzbrojone ludzkie postaci. Jezus Maryja, zmiłuj się nad nami — zabiadoliła kobieta. — Bandyci — w czymś głosie nabrzmięwało "enie.

"e sylwetki zgrabnie wskoczyły na stopień, pakowa-się do wagonu, obrzucając wnętrze migotliwym, moc-światłem latarek.

Mężczyźni ręce do góry! Spokój, bo inaczej strze-

y-

T rękach mieli automaty. Z zewnątrz znów buchnęły ły, poniósł się przeraźliwy czyjś krzyk. Oddawać pieniądze i kosztowności. Opowiedziało im larum. Ściszyli je groźbą, /była zacisnął pięści. Przed chwilą

ledwie się opa-by nie wyróżnić jednego z napastników przez łeb. ie byłby to ostatni czyn w jego życiu. Z zewnątrz chwila buchały strzały, rozlegały się krzyki. Przez roz-drzwi wagonu kątem oka dostrzegł śmigających to pociągu ludzi, nagle zrobiło się jasno, to od bocznej i zajechała ciężarówka, oświetlając teren akcji reflek-mi.

No, czego tam wypatrujesz? — jeden z napastników chnął go automatem pod bok. Do wagonu wpako-się następna dWojka. — Dawaj forszę... Po dobremu.

141

Wyciągnął niewidki zwitek banknotów. Pomyślał, jak to dobrze, że reszta pieniędzy schowana u żony, wsunięta za stanik. Twarda jest, nie powie im...

— To wszystko? Ej, nie kpjij, stary...

— Naprawdę wszystko. Co było, wydało się na drogę. Czwarty dzień pchamy się z dziećmi.

— Dobra, dobra. A w tych walizkach to co?

— Dziecięce ubranka, trochę jedzenia, łachy... Zmiłujcie się ludzie, cóż ja bym małym na grzbiety włożyła — obruszyła się Przybyłowa...

— Józiu, pomóż, ten stary dureń nie chce oddawać portfela. Trzaśnij go tam przez grzbiet! — któryś z napastników mordował się z grubym jegomościem, którego Przybyła ocenił poprzednio na jakiegoś handlarza.

Poskutkowało. Grubas zwałił się na ziemię i już nie oponował, gdy wyszarpnęli mu portfel z rąk, zajęczał jeszcze cicho, gdy wyrzucili na zewnątrz walizkę jego jedną i«dru-gą. Już ją tam ktoś podchwycił, niósł do ciężarówki, załadowywanej w piorunującym tempie. Nawet krowę pchano od strony repatrianckich wagonów. Przy wozie dwa strzały, zwierzę rymnęło na ziemię. Tusza powędrowała do wnętrza maszyny.

Błyskawicznie to wszystko się odbywało. Jeszcze chwila, a załadowana ciężarówka ruszyła jakąś drogą na pełnym gazie. Mocnym głosem ktoś przestrzegał, ażeby przez pół godziny nie podnosić żadnego alarmu, bo inaczej kula w łeb i koniec.

Przybyła wzruszył ramionami. Jakiż tu alarm podnosić, kogo wzywać na pomoc? Są w połowie drogi między dwoma miastami, jedynymi większymi ośrodkami władzy polskiej w okolicy. Reszta, po wioskach, nieliczni wciąż jeszcze osadnicy, sporo ludności monieckiej, rzadkie posterunki milicji. Któż tu mógłby przyjść teraz z odsieczą?

Zewsząd rozbrzmiewały szlochania kobiet i wstydlive wygrażania mężczyzn. Okazało się, że dwaj konwojenci wagonów transportowych znikli gdzieś, przypuszczano, że musieli by# z bandytami w zмовie. Maszynista z pięciominutowym naddatkiem odczekał nakazane pół godziny.

142

/

% że tor zatarasowany został belami, musiał chcąc ■ chcąc przystanąć. Jeszcze gdy zobaczył kupę ludzi nych, ni to wojskowych, ni to cywilów, każdy był " ubrany, pomyślał, że przecie życie mu jeszcze miłe. też oczyścili z tego, co miał przy sobie. Dobrze, wszyscy choć zostali przy życiu. Cóż to, nie słyszeli, zdarza się w starym kraju? Tam też różni tacy zatrzy-*ą pociągi, legitymują, dzielą po swojemu na dobrych Nim pociąg ruszy, przychodzi groby kopać... Taki

az potem wydobył skądś flaszkę, pociągnął z niej so-*e, zagwizdnął dla rezonu, popuścił pary, chwila i poruszył. Za lasem zaczynało się już rozjaśniać, kontury owiń drzew nabrały wyrazistości. Pochłodniało, mgły się nad mijanymi łąkami.

byłowa łąka, ostatnie przeżycie przebrało miarę jej ałości. Tuliła się do męża, z szeptu jej pojmował o, ciągle się powtarzające pytanie: ; Gdzie ty nas, Adam, wiesz na zatracenie?

żonę po ramieniu, spoglądając na wyraźniejące u z wolna przeradzającym się w świt twarzyczki gryzł wargi, nic nie mówiąc.

tchnął, gdy z sapaniem pociąg zatrzymał się wreszcie ich stacji. Koniec mordęgi, wagonów wysypywali się ludzie o bladych, pełnych wciąż lęku twarzach, zapłakani, przejęci. Wołali 'cję, o pogoń za napastnikami. Sumowali straty. Nie-stracili resztę dobytku. Zwłaszcza repatrianci byli Peszeni. Kobieta, której zabrano jedyną krowę, zano-się szlochem...

alił do drzwi mieszkania Jezierskiego. Znosił tam to-, w skrócie opowiadał zawiadowcy, co ich spotkało, nie będą tu spali, niech Jezierski przetrzyma tylko graty, pójdą prosto do siebie. Tam dopiero odpoczną swoich śmieciach. Perski kiwał głową, ofiarowywał się odwozić ich swo-inotorem. PrzybyłaTnie chciał. Wszystkich nie zabierze, ■» tam zjawić się razem. Słońce za chwilę wzejdzie,

143

z nim radość: W ogródku są jakieś róże, zerwie je, zarzuci nimi kobietę, za to, że tak się z mordowała tą drogą, tyle strachu najadła...

Jeszcze godzina drogi przez pustawe miasto — z rzadka tylko mignęła pośród gruzów i niektórych ocalałych domów jakaś ludzka sylwetka — wszystko to napawało Przy-byłową narastającym lękiem i niemal trwogą, gdzie się znaleźli, dokąd ten Adaś ją przywiózł. Wreszcie stanęli w spokojniejszej, nie zrujnowanej uliczce przed domkiem otoczonym drzewami i dziczymi, zarostymi zielskim krzewami.

— Tutaj — z dumą odezwał się Przybyła, wyciągając z kieszeni klucz. Na ganku ogarnął go jednak jakiś niepokój. Szybko wsunął klucz w zamek, zdziwił się, że drzwi niezamknięte, pchnął je szeroko.

— Kogo cholera tam niesie? — zabrzmiał mocny bas 2 głębi domu. Przybyte aż pociemniało w oczach.

Wypychając go sobą, na próg wyskoczył jakiś drab W krótkich spodenkach. Cuchnęło od niego wódką.

•— To mój dom, moje mieszkanie. Mam przydział — tłumaczył Przybyła, niezdolny w zaskoczeniu do innej reakcji.

- My też mamy przydział. Możesz się swoim podetrzeć.
- Co tu się dzieje? Chcą nas wyrzucić? Ratunku! Milicja! Ratunku!

Golutka jak ją Bóg stworzył, młoda dziewczyna wypadła na ganek, aż Przybyłowa jęknęła z oburzenia i odrazy, miotała się w dzikim wrzasku.

I jeszcze jakiś lokator się znalazł, młody mężczyzna. Skoczyli na Przybyłę, ani się obejrzał, spadły na niego ciosy, wyzwiska od złodziei, bandytów, co mienie porządnych ludzi rabują, po nocy nachodzą; wreszcie się opamiętał, trzasnął jednego, drugiego, rozwrzeszczaną dziwkę kopnął z rozmachu, a potem, potem zwałił się nagle do tyłu, trzep-nięty w głowę jakimś solidnym drągiem.

- Jezus Maria, zabili, zabili! — zaniósła się krzykiem Przybyłowa, chciała biec do męża, powstrzymał ją płacz Julci, obejrzała się na dzieci, chwyciła je na ręce nie pamiętając o niczym, jak tylko o tym, by je ocalić, zaczęła

144

uliczką, aż wreszcie, nie mogąc tchu złapać ze zmę-przystanęła bez sił, nieprzytomna, zgoniona, zastra-bez reszty.

potem zaczęło jej migotać przed oczyma, płaty krwawe się z czernią, osunęła się bezwładnie na ziemię, przez sen słyszała tylko, że ktoś przy niej się krząta, czyjeś usta mówią tak dawnie, nie po polsku.

Seien Sie ruhig... Ruhig. dy podniosła powieki, ujrzała starszą już Wiekiem ko-przykładającą jej kubek do ust. I ten tkliwy, ciepły dłoni, i te słowa błagające o spokój.

rolnie dała się prowadzić Wraz z dziećmi do otwar-drzwi małej chałupiny. 'emka oglądnęła się jeszcze na spokojną, cichą teraz , podniosła w jakiejś grozie ramiona: Mein Gott, mein Gott...

iero Ustał krótki, chociaż ulewny deszcz, parność nadal ciążyła, trudno było oddychać. Okna restauracji Młynarka rozwarły się na przestrzał, ale w zastatym etrze nie czuło się najlżejszego powiewu. Pustawo jeszcze w lokalu, jedynie przy paru stolikach urzędo-wylewnie zatwardziali pijacy, coraz to wołając do bu-v~ej o nową ćwiartkę.

: Panie szefie, klient do pana... — zawołała na salę baf-a. Pełna była, piersiasta, byle co, zanosila się mocnym, iącym śmiechem. Byli i tacy, którzy tylko dla niej "ali się w lokalu Młynarka, niósł się od stolika, przysadzisty, mocny w barach, wiając podwinięte rękawy koszuli, ruszył w stronę

Uśmiechnął się do swego towarzysza: Minutkę, panie Jureczku, zaraz wracam.

ażliwym, choć pełnym wyższości wejrzeniem ogar-sylwetkę jegomościa z pękatą teczką, zajętego W tej "i wychylaniem „stu gram" barwionej. Co jest?

jaśnia się niebo 1.1

145

- A jest, jest szefie... Gorzelanki nie macie, że już tylko ten podły bimber?

— To właśnie gorzelanka.

■— Gadaj pan zdrow, gorzelanka z własnej piwnicy. Czort pana bierz, nieważne zresztą. Co jest? Słoninka. Na dłoń gruba, solona, rarytas — rozciągnął z lubością ostatnie słówko.

— Wiele pan masz?

— Piętnaście kilo.

— Chodź pan ze mną...

Dopiero w przyległym pomieszczeniu gość rozpakował teczkę. Młynarek fachowo ocenił towar.

— Wojskowa.

:— Wojskowa czy cywilna, nieważne, skwarki z niej równie dobre. Odkąd to pan pilnujesz, jaka i czyja?

— Po ile?

— Podrożała. Gorzej z transportem. Sam pan wiesz, milicja coraz częściej i więcej się czepia. A jeszcze żandarmi, ochrona kolei, ciężkie robi się życie w naszej Kanadzie... Złotko albo miękkie.

Szybko się dogadali. Młynarek zamknął słoninę w szafie, handlarz pośpieszył, do bufetu, żądając gorzelanki. Pier-sista Florcia zerknęła na szefa, ten skinął głową. Gorzelanka była jedynie dla lepszych gości...

Szef ciężko opadł na krzesło. Paluchami sięgnął po kwaszony ogórek.

— Też dola, ogórki trzeba ze starego kraju sprowadzać. A tu co drugi krzyk podnosi, że drożyzna u Młynarka. A co, mam może dokładać do interesu? Więc jak stoi, panie Jureczku?

— Pojutrze jedzie transporcik. Przy tej okazji jest coś przygotowane dla pana. Trzysta literków. Dwie beczułki jak obszył. Podstawię pod miasto, do tego starego bez nogi, wiesz pan?

— Cholera, zły punkt, na niego już mają oko. Tych dziewczuch trzyma za wiele u siebie. Każdy wie w mieście, że tam mieści się bajzel. A jeszcze grandzą dziwki i okradają gości. Już tam milicja robiła nalot.

146

To daj pan inną melinę. Ja do miasta wwozić spritu będę. Mnie też patrz na ręce. Jeszcze dopóki była milicja, ale teraz, jak się na dodatek zjawiała bez-Ł.." Co prawda ten Stefczyk czy jak mu tam też popić był u mnie, ale czy to można być pewnym? Ten jego stępca najgorszy, nie pije, na baby nie leci, czort wie, irędy go podejść... Muszę uważać, ta gorzelnia to za

ry interes. A to co za jedni? Młynarek obejrzał się na większe towarzystwo, które /nie, jak do własnego domu, wtaczało się do lokalu.

mężczyzn, trzy kobiety, młode, wymalowane, mocno oltowane...

— E tam, wiadomo, nocne życie... Z tych droższych, "eżdżało ich tutaj, cholera wie jakim sposobem. W ta-gruzach, w bałaganie dobrze się czują. Mętna woda. uda... — zaśmiał się. — Nie zezuj pan w tamtą stronę, 'czy my nasze, możesz pan którą podgadać. Na kierow-gorzelnę chętnie polecą. Możesz pan płacić dobrą wa-najpewniejszą... Dobra, jutro zatem zładuj pan jeszcze ;tego kulawego alfonsa, na drugi raz dam panu nowy Et. I więcej towaru mi trzeba, z pięćset literków... Zrobi się. Płacisz pan zaraz?

Zawsze. Z Młynarkiem pewność i zaufanie. Chodźmy jkotarkę, co mają ludzie oczy wyślepiac. A z tych tam, rąś pan sobie upatrzył?

Ta jasna, ale nie zaraz, drugim razem... Na dziś mam "gruchaną inną gotąbkę...

Odnieśli się ociężale, wódka robiła swoje, jeszcze ta par-Niby zbliżał się wieczór, słońce miało się już ku za-pwi, ale atmosfera nadal pozostawała duszna, mę~a.

Trzeba dziś uważać. W takie powietrze o byle co się ludziska do grandy... Co tam przy tym bufecie? Btawił gorzelanego przy przepierzeniu, sam posunął się 'erunku bufetu, gdzie Florcia nie mogła sobie poradzić rą starszych, zalęknionych klientów. Nie mamy ani bułek, ani chleba. Tu nie piekarnia, rozdziela starostwo. Dla pracujących. Możecie też

147starać się w PUR-ze, tam dają... Tu tylko gotowe kanapki...

— Boże drogi, tak drogo. Zmiłujcie się...

— Gdzie będziemy tego PUR-u szukali? Głodni jesteśmy, telepie się człowiek bez taką drogę,, a tu skórę z niego chcą zedrzeć...

— Takie ceny, nic nie poradzę, kochani państwo... Chleba nie mamy, naprawdę... No, w drodze wyjątku, niech Flor-cia ukroi parę kromek... Nie, nic, trzeba sobie nawzajem, pomagać.

— Dusza nie człowiek — zamruczał, patrząc za nim zmizerowany mężczyzna. — Przyśiądziemy przy jakim stoliku, zjemy ten chlebuś. Jeszcze mi trochę masła i kiełbasy zostało. A potem poszukamy PUR-u, a nie, na milicji o schronienie trzeba będzie poprosić... — Jutro, Pelasiu, znajdziemy sobie jakie mieszkanie. Robota pewnie też się nawinie. Skończy się może nasza bieda...

— Ależ tu luda! I jak to ubrane? Jak na zabawę, te panie... Bo mężczyźni, to jak się któremu udało. Nie patrzą na te rzeczy...

— Wiesz, stara, lepiej chodźmy my stąd. Nie' podoba mi się to wszystko. Nie dla takich jak my te stoliki...

Zatłoczyło się z nagłą z zapadającym wieczorem. Gwarno, rojno, część gości już przybywała na mocnym gazie. Niektórzy wpadali, przy bufecie wypijali jedne, drugie sto gram, zaraz znikali, inni zadomowili się na dobre. Krzyki przesłaniały ciche szepty, gardlany śmiech kobiet mieszał się z zuchowatymi pogadywaniami mężczyzn. Bufetowej do pomocy zjawiły się dwie kelnerki, obie kuso ubrane, niewiele sobie robiące z docinków i poszcypywań mężczyzn. Odsłaniały w uśmiechu zęby. Trudno, taka już praca, a Młynarek przy wyplatach był szczodry.

Wiśniewski okiem bywalca rozejrzał się po sali. Młynarek usłużnie podskakiwał, wynajdując wolny stolik.

— Początek, panie szefie, jak zawsze... A do przegrychy co się u pana dziś znajdzie? Bo mamy ochotę na coś dobrego...

— Dla pana Wiśniewskiego może być gąska. Udało mi 148

A*

się podkupić, rarytas tutaj... A jeszcze, kawiorek mam, czarny, od Rusków, oficerski. Na jajeczku, pycha smakuje...

— Dawaj pan, dobrze a dużo... Widzisz pan, panie Paluch, jakie to się życie zrobiło? Miesiąc temu parę dziesiątków nas tu łąziło, żreć nie było co, strzelali Niemcy nocami, a i we dnie. A teraz? Stolica, można powiedzieć. Setki ludzi, restauracji z pięć, Młynarek, wiadomo, najlepszy, ale i w tamtych dobrze pić dają. Bab nazjeżdżało, tylko wybierać, a łatwe, a pchają się, kto by pomyślał... No, za nasze, na drugą turę, żeby nie gorzej poszła.

— Nie gorzej? Lepiej, panie Wiśniewski. Bał się pan, jakeśmy pierwszy raz gadali u pana w tym zamku czy też pałacu. Klasa punkt, ma pan nosa do dobrej roboty...

— Tylko ta cholerna grupa wojskowa. Ziemię uprawili, zasiali, to prawda, ale i na ręce coraz więcej mi patrzy sierżant. Upić go też nie można, smok nie człowiek.

— Może ja z nim przy okazji pogadam? Zmiękczę, nie z takimi dawało się radę, co nam sierżant... No, pod ten kawiorek.

— Pod kawiorek... Więc kiedy pan wraca?

— Mamy tydzień czasu. Przyjadą dwie ciężarówki, znów z papierkami jak złoto. Milicja tylko salutuje, nawet nie w głowie jej sprawdzać, co się tam wiezie. Mówiłem panu, z Paluchem nie przegrasz... Kupkę miękkich już pan zafasowałeś, teraz pora na drugą. Póki czas, póki dziki nasz Zachód. Co ta milicja tu robi?

Wiśniewski tylko dłonią pokiwał ku dwom milicjantom, którzy stanęli w drzwiach, wzrokiem lustrując salę. Pędzik odmachnął mu niechętnie. Chwila, i ulotnili się.

— Masz pan te chody... Więc tak, pan będziesz ściągał na swoją rękę, ja na swoją. Ten „adler” dobrze schowany? Bo papiery na niego dopiero przywiozę. Jeszcze na parę wozów, na wszelki wypadek. Idą w Warszawie, jest sporo amatorów, „opla” byłoby dobrze przyłapać.

— Znajdzie się i opel, ale kosztuje...

— Panie Władek, mnie pan nie zaiwaniaj. Sam tu gównno byś zrobił. Trzeba mieć chody. No i co, że pan magazyn dywanów, maszyn, samochodów i czort wie czego założysz

149

w swoim pałacu? Trzeba to wywieźć do centralnej Polski, na pewniaka, bez ryzyka. A to tylko Paluch załatwi, papierki, poparcie, plecy, jak się to mówi... Wiesz pan, co ja myślę? Samochodami to my długo nie pociągniemy. Już tak sobie kombinowaliśmy w Warszawie, że warto by kolejowy transporcik. Nawet bezpieczniej. Z dziesięć wagonów. Kryte i lory. Na lorach parę opeli, adlerów,

mercedesów, słomą je można nieco przyrzucić, w krytych for-tepianiki, maszynki, futerka, dywaniki. Przyjaciele prowadzą na ten temat rozmowy, może wróć z gotową, ubitą sprawą... Aha, pan tych wojaków nie możesz od siebie splawić?

— Próbuję. Rzecz w tym, że u mnie wszystko zrobili, pierwszy majątek w powiecie tak uprawiony, zagospodarowany. Krów samych mam już piętnaście... Ale oni urządzili tu bazę, stąd jeżdżą w dalsze rejony.

— Mieli być tylko na siewy...

— Siał też sięją, choć późno, kto wie, czy wiele z tego wyrośnie. Deszcze ostatnie chyba pomogą, trochę wilgoci, sionko zarazem grzeje... Mówią, że mają ich zdemobilizować, zrobić z nich osadników.

— To bliżej granicy. Osadnictwo wojskowe. Po dwadzieścia hektarów na główkę i pomoc w zagospodarowaniu.

— Jak dobrze trafią, pomocy nie trzeba. Są gospodarki, że tylko śmiać się do nich... Tuż przy granicy. I od nas nie tak daleko. A jak się którym spodoba tutaj?

— Nasze, panie Wiśniewski! Co tam wojskiem będziemy sobie głowę zawracać. Widzisz pan te dziewczuchę? Ładna, a szczerzy zęby do pana. Choć ta Klara ładniejsza. Tylko że jedna potrawka może się przejeść... O, i druga się wdzięczy do pana. Ta przy drzwiach. Idzie tutaj z jakimś chło-pysiem.

— Władek! Nareszcie! Myślałam, że się już w ogóle w domu nie zjawisz. I tak od razu do knajpy, do mnie nawet nie zajrzałeś? — W głosie Ziotki brzmiał wyrzut i żal, zarazem nie mogła opanować radości, że widzi Władka. Wiśniewski zapraszająco odsunął krzesło. Witął się z Feryckim, usiłując ukryć niezadowolenie z tego spo-

150

tkania. Felek jak zawsze uśmiechnięty, gapiąc się na salę, przychodził mu swoim gadaniem w sukurs; udając zasłuchanie, mógł chwilowo nie odpowiadać Ziotce.

— Widzisz, Władek, moja dziewczucha wyjechała służbowo, naprawdę, z roboty ją wraz z innymi po jakieś materiały wysłali... Owdowiałem, więc zająłem się Ziotką. Smutna, popłakuje — tu sponurzały nagle spojrział krzywo na dawnego kumpla — więc myślę, zaproszę, zjemy, muzyki posłuchamy... O, już jest, zaraz zacnie, Ziotka, wygrywać. Potańczysz z Władkiem...

— Władek, powiedz, co z tobą? Czemu nie zaglądasz? Albo zabierz mnie do tego majątku...

— Strzeż Boże, dziewczyno, tam strasznie. Żyjemy gorzej jak tu w pierwszych tygodniach. Z lasów ciągle wyłażą bandziory, strzelanina, napady, pan Paluch może potwierdzić...

— Prawda, szanowna pani, strasznie tam. Wczoraj mało, a byliby nas wszystkich wyrznęli...

— Matko miłościwa! Władek, rzuć to, wracaj do miasta, gorzej nam tu nie będzie. I po co tak daleko od siebie...

— To państwo, widzę, tak jakby małżeństwo? — z obleśnym uśmiechem zadziwił się Paluch.

Ziutka spojrzała na niego krzywo, wyczuła kpinę. Spochmurniała, zwróciła się nagle do Władka i Feryckiego.

— Nic jeść tutaj nie będę. Tańczyć też nie chcę. Władek, przyjdiesz dziś do domu? Na pewno? W domu przygotowuję kolację... Przyjdiesz?

— Przyjdę, przyjdę. Ziutka. Tylko my tu z panem Paluchem mamy jeszcze do obgadania ważne sprawy. Za godzinę, dwie będę...

— Czy mur, Władek? Pożałowałbyś Ziutki — wtrącił Ferycki.

— Jak Boga kocham. Mur, słowo honoru. A ty, Felek, już się za odwokata Ziutki nie zajmuj. Nie twoja rzecz.

— Może i moja... Więc koniecznie, Ziutka, chcesz iść?

— Koniecznie... — mówiła głośno, przekrzykując pianistę, który zaczął wygrywać jakiegoś walczyka. Przy są-

siednim stoliku paru podpitych jegomościów zawodziło partyzancką piosenkę. — Pamiętaj, Władek, ja czekam.

— Jasny gwint, ani się od niej odczepić — wybuchnął, gdy już tamci wyszli. — Choć właściwie to porządna dziewczyna. Ale co, żenić się przecie nie będę, póki razem, byłem dla niej dobry i tyle, ale to jeszcze nie obrączki, nie tak?

— Pewnie, panie Wiśniewski. No, to nasze! Pod kole-jowy transporcik. Siup! Kto by z jedną babą się wiązał. Wiesz pan, podpoluję na tamtą rudą, z pieprzykiem. Mam dziś wolną nockę, nie zaszkodziłoby...

Podniósł się, sztucznie sztywnym krokiem szedł ku rudawej piękności, która strzygła do niego oczyma. Na środku sali ciasno splecione, pośpiewując kręciły się liczne pary. Gorąco było, alkohol robił swoje, śmiech, krzyki. Paluch skłonił się, ruda odpowiedziała uśmiechem, omdlewającym gestem ujęła partnera za szyję, ruszyli w tan.

Wiśniewski zdłubując widelczykiem ziarenka kawioru z jajka i zjadając je bez szczególnego smaku, myślał

0 Ziutce. Pójdzie do niej, obiecał, ale warto by się ostatecznie wykaraskać z kabały. On już w inne światy mierzy, nie jedna im droga. Kobiet jest tyle, lecą jak muchy na miód, można sobie podsykować fest babkę. Cóż taka Ziutka, dziewczucha od gnoju. Ależ tu namnożyło się ludzi.

1 skąd to wszystko przy forsie? Szabrują, kradną, kombinują? Najpewniej. Bo nie z zarobków. Nikomu jeszcze nie płacą, starostwo pieniędzy nie ma, pensje wydziela chlebem, gorzelanką, przydziałami, a i tak za pół darmo ludzie pracują. Wariaci, po cholere tyrać, kiedy na inny sposób można żyć po królewsku... Co tam, do cholery, się dzieje?

W przeciwległym rogu sali podniósł się gwar, kilka osób zerwało się od stołu, nagle poleciały butelki i kufle, zamigotały pięści, błysnęło coś. Krzyk, kotłuje się coraz więcej postaci. W tej chwili krzesło

frunęło, w górę, prościuteńko wymierzone w żyrandol. Zabłyśło, zamigotało, trzask, posypało się szkło, zrobiło się nagle ciemno.

— Spokój, bo strzelam — krzyczał Młynarek, słysząc

152

było, jak bufetowa pośpiesznie chowa gdzieś szkło, upycha butelki.

.— Strzelasz? No, zobaczmy, kto pierwszy.

W krzyk, w bójkę w szamotaninę, w pisk kobiet, w wycie opojów wpadł ten mocny głos i zaraz sypnęły strzały, diabli wiedzą, w sufit czy w tłum kotłujący na sali.

Dopiero wrzask, panika, kotłowanina przy wejściu, trzask otwieranych z rozmachem okien, aż szyby leciały, błysk latarki, zaraz stłamszony...

Władek, który uskoczył pod ścianę, wyczuł z nagłą przy sobie osobę Palucha. Grubas chwytając za ramię pchał go w kierunku najbliższego okna, odrzucając na boki zawadzających im drogę.

— Gazu, oberwać można, a i potem, jak milicja się zjawi, lepiej nie podpaść...

Wydostali się wreszcie, przed i za nimi inni. Ale część po ciemku nadal kotłowała, słysząc było jęki i wycia, piski kobiet, znów gruchnęły strzały, aż wreszcie z nagłą, ale już za knajpą, gdzieś z boku, eksplodował granat, rzucony najpewniej przez kogoś dla wywołania postrachu.

— Jasna cholera, prawdziwy dziki zachód, Kanada, psiakrew! — z podziwem zaklął Paluch.

ROZDZIAŁ IV

1.

TrZAŚŁ siwą głową, z oczu, gdy je podnosił na żonę, wyzierały zmęczenie i niepewność. Powoli sięgał łyżką po ziemniaki podlane sosem. Przełykał z trudem, nie przechodziło mu jedzenie przez gardło.

— Nie ma żadnego tłuszczu. Mówiłeś, będzie przydział. I nic. Bez tłuszczu nie może smakować.

Głowa Blinckego zatrzęsa się mocniej.

— Nie to, nie to...

Próbował teraz jeść, nie chciał robić żonie przykrości. I tak przez cały dzień, gdy nie ma go w domu, dosyć nasłucha się od sąsiadów. Dzisiaj szczególnie jest niespokojna. Musiało się coś chyba wydarzyć, nie chce mu tylko mówić,

Za jej spojrzeniem pobiegł na blat kredensu. Wzrok jego stężał. Dźwignął się z krzesła.

— Znowu? — brał kopertę do ręki, oglądał. Taka sama, niebieska, nic z niej poznać nie można. Jego nazwisko skreślone ostrym gotykiem. Karl Blincke.

Niechętnie rozdzierał papier, z góry domyślał się treści pisma. No tak, nowe ostrzeżenie, nawet więcej tym razem, zapowiedź rozrachunku. Zamiast podpisu: swastyka. Te same słowa: zdrajca, bolszewicki parobek, polski podnóżek. Nie stać ich nawet na nic innego.

Cisnął kopertę na kredens. Nic nowego. A jednak jakiś chłód przenikał go, aż się wzdrygnął. Dziwne sprawy dzieją się w tym zrujnowanym mieście. Niebezpieczne sprawy. Nie o wszystkich wiedzą władze polskie. Wiele rzeczy rozgrywa się nocami, tajemniczo i cicho. Nawet ślędków nie pozostaje. Po niektórych ludziach chociażby.

— Durnie. Co jeszcze pragną zwojować? Co jeszcze?

154

Wzruszyła ramionami. Ale i jej nerwy były poszarpane, nie zawsze umiała zapanować nad wybuchami. Przyskoczyła do męża, składając dłonie jakby w modlitewnym geście, wyrzucając z siebie słowa z gwałtowną szybkością, wznosząc głos w coraz mocniejszym krzyku. Słuchał, patrząc na nią spokojnie, znał takie wybuchy, należało je przeczekać, dopiero potem próbować perswazji.

— ...radca był mądrzejszy, wymówił się zdrowiem. Wycofał się z waszego komitetu. Chodzi różowiotki, spokojny teraz, a przecież i do niego takie pisma też przychodziły. Posłuchał. Tylko ty ciągle swoje i swoje. Co masz z tego, że kumasz się z Polakami? Nawet okrasy do ziemniaków nie umiesz zdobyć, głodniej u nas niżeli u innych. Po co ci to potrzebne? Po co, Karl, po co?

— Pamiętasz burmistrza? Byłoby może z nami wszystkimi sto razy gorzej. Wojna trwała, obowiązywały wojenne prawa, nikt by się z nami nie cackał... Teraz też ludzie muszą jeść, żyć, pracować. Nie bratam się z nikim, swoim chcę pomóc. Niemcom. Tym głupim Niemcom w naszym mieście, którzy nie rozumieją wciąż tego, co się stało. Tym, którzy chcą spokoju. Którzy czekają na możliwość wyjazdu. Trzeba przetrwać. Trzeba spokoju. A ci, durnie, zbrodniarze, pisemka ślą, nożem, pistoletem, granatem chcą działać. W imię Hitlera, hitleryzmu, w imię tej samej głupoty. Dlatego się przeciwstawiam. Dlatego, pojmujesz?

— Co się stało, panie Blincke? Co się stało?

Gwałtownie obrócili się ku drzwiom wejściowym. Stał

w nich stary przyjaciel domu, kompan z huty szkła, He-gemann. W oczach jego zdziwienie i zaskoczenie. Blin-ckowie się kłóć? To już prawdziwy koniec świata... Pierwszy opamiętał się Blincke. Wyciągnął dłoń do gościa.

— Bywaj, Peter. Znów przysłali mi list. Że przegrałem swą sprawę i teraz muszę czekać na karę. Żona chciałaby, abym rzucił ten komitet niemiecki tak jak radca... Wiesz, że nie mogę, nie rzucę. Ktoś z głową musi być wśród Niemców. Sam powiedz, znasz mnie, znasz to miasto i ludzi...

155

Przybyły usiadł, z kieszeni wydobył strzęp papierosa, zapalił go ostrożnie, jakby największy skarb. A potem obrócił się w stronę przyjaciela. Blincke zdumiał się słysząc jego słowa:

— A ja ci, Karl, chcę powiedzieć, że ona ma rację. Ona dobrze mówi. Rzuć to wszystko. I komitet, i hutę. Nic nie zwojujesz, a z tobą może być źle. Pamiętasz Spitznagla, wiesz, tego portiera z

elektrowni? Pamiętasz Linckego, który pokazał Polakom podziemny magazyn? A tę dziewczynę od Stopfa, która dała znać, że szykują się różne zamachy na Polaków? Wszyscy nie żyją!

— Stopfówna nie żyje? Wiesz coś o tym? Znaleźli ją?

— Nie. Tak myślę. Gdzież by się podziewała tyle czasu za domem. I dlatego, Karl, mówię ci, skończ. Ja do roboty jutro nie idę. Mnie też szepnięto, że to się źle skończy, jeśli będę pomagał Polakom w uruchomieniu huty. Nie mają fachowców, prawda, bez nas tymczasem nie ruszą, i dla Niemców znalazłaby się praca, ale oni nie chcą...

— Jacy oni?

— Wiesz tak dobrze jak ją. Ci sami, którzy listy pisują do ciebie; Dobrze, Karl, radzę rzuć to. Nie wygrasz... Ja już przestałem wojować. Z wariatami się nie poradzi. Ja boję się Karl. Po prostu się boję... No, bywaj, stara będzie się niepokoić. W powietrzu coś wisi niedobrego, ona to pewnie wyczuwa...

W drzwiach obrócił się jeszcze:

— Karl, zostaw to wszystko. Dobrze radzę.

Nie odpowiedział. Długo wpatrywał się w drzwi, które zamknęły się za Hegemannem. Potem przybliżył się do żony, która już nie krzyczała, nie mówiła nic, a tylko wychudłymi jej ramionami wstrząsał cichy, rozpaczliwy szloch.

— Spokojnie, spokojnie...

Podniosła wyblakłe, spłakane oczy:

— Karl, ty poprosisz Polaków, niech ci dadzą opiekę. Pokażesz im to wszystko, te listy, powiesz, co wiesz...

Potrząsnął głową.

— Nie. Mnie wstyd. Nic nie pokażę, nie będę prosił.

156

Ja ciągle im mówię, że tu w mieście wszyscy chcą tylko spokoju, pracy, chleba. Że pewnie nic złego już się nie dzieje. Pukają się w czoło, ale nie wypytyją, sami też nic nie mówią. Blincke nie będzie się bał. Mówiliśmy, że nasz komitet ma zaufanie niemieckiej ludności. To nie była prawda. Nawet ci, co korzystają z naszej pomocy, nie mają do nas zaufania. Durnie. Nigdzie nie pójde...

Podniosła się nagle, otarła łzy, wzięła z kredensu złowróźbny list, chwilę trzymała go w dłoni, potem złożyła w pół, chowając za gors.

— Jak sobie chcesz, Karl. Wiesz sam, co robisz. Ale ja też wiem, co zrobię.

— Ty chcesz do nich pójść? Z tym?

Wzruszyła ramionami.

— Jeszcze nie wiem, ale czekać nie będę, aż zamordują mi ciebie któreś nocy...

Urwała, on też zamilkł. Spojrzeli za okno, gdzie rozciągała się czern. Dzień skończył się wiatrem, wraz z nim przywędrowały chmury. Zanosiło się na deszcz.

Nastuchiwali dłuższą chwilę. Ale na zewnątrz było spokojnie. Z oddali doniósł się płacz niemowlęcia.

Blincke uśmiechnął się.

— To mała Anne-Marie od Loewensteinów. Ma mocny głos...

Podszedł do drzwi, zamknął je na zasuwę. A potem przytulił żonę ramieniem, szeptał uspokajająco:

— Już niedługo, niedługo... Mówią w starostwie, że tylko czekać, zaczną się transporty niemieckie do Reichu. Jest zgoda aliantów... Wyjedziemy, zaczniemy życie od nowa. Pracę zawsze znajdę, majster od wytopów szkła wszędzie będzie ceniony. A szkło bardziej teraz niż kiedy indziej potrzebne. Wyjedziemy, nastanie spokój. A tymczasem trzeba naszym dopomóc. Patrz, tyle kobiet, dzieci, muszą jeść, muszą mieć mleko, ktoś musi o to dbać, troszczyć się. Polacy mają za wiele swoich kłopotów. Ja ich nie lubię, ale wiem, że na łatwe nie przyszli. Ruiny, pogorzela, ten nasz niemiecki tłum, z którym nie wiadomo, co począć. Hitler na ich miejscu postąpiłby inaczej... Więc trzeba im

157

pomóc, po to, żeby tym samym również Niemcom ułatwić życie... Spokojnie, spokojnie, już naprawdę niedługo.

Zaskrzypiała furtka od strony ogrodu. W oczach kobiety błysk przerażenia. Zaśmiał się.

— To wiatr znowu się zrywa. Nic z deszczu nie będzie.

— To nie wiatr, Karl. Ja wiem, że to nie wiafr.

Ujrzał jeszcze zolbrzymiałe jej oczy, potem usłyszał, jak okno od strony ogrodu siłą wepchnięte zostało do wnętrza a w ślad za tym nastąpił rumor wskakujących do środka postaci.

Objęła męża ramionami, jakby go pragnęła w nich schować, ustrzec przed tym, co nadchodziło.

— Och, Karl, mein Karl, mein lieber Karl...

Liny nadpływały pod wieczór od dołu rzeczki, podcho-dząc pod szybki prąd strugi przepływającej młyńskimi przepustami. Przy brzegach tworzyły się tam głębokie zakola spokojnej, ■ leciutko drgającej wody. Z przeciwległej strony grobli, gdzie rzeka rozlewała się w szeroki staw, liny na wędkę w ogóle nie brały, choć i tam ich nie brakło. Tylko tu właśnie, przez ten króciutki czas między zmierzchem a zmrokiem. Opaste, czarne od grzbietu, krążyły leniwie wraz z delikatnym wirowaniem wody. zatrzymywały się przed przynętą, obwąchiwały, ruszały potern jakby nigdy nic w swoją drogę, by z nagła zawrócić, wes-sać dżdżownicę, a wtedy spławek miarowo, powoli zanurzał się w przejrzystą głęb.

Siedział na nadmurszałych palach dawnej zastawy, z nogami tuż nad wodą. Starannie nanizywał na haczyki przynętę, po parę "obaków na jeden, nie wiedzieć czemu, taka forma podania odpowiadała rybnie najlepiej. W siatce zwieszanej przy drugim palu trzepotały złowione sztuki, było ich trzy, każda

do pół kilograma wagi. Już cieszył się na myśl, jak smakować będą przyrządzone w śmietanie. Matka kiedyś tak wspaniale umiała je przyrządzać, jego wyczynom ani się równać z tamtymi...

Patrząc na wolniutko wraz z ruchem wody snujący się spławek, przyglądając się linom na pozór obojętnie mu-

158

skającym przynętę, pomyślał z rozżaleniem o sobie. Matka dawno nie żyje. Tak jak i ojciec. Sam jeden pozostał. I samotny tkwi nadal w tym mieście, pan na solidnym, krótko przed wojną stawianym młynie. Urządzenia nie były zniszczone, tylko jakieś drobiazgi, wszystko ruszyło. Sypała się mąka, sypały wraz z nią dochody. Tylko ta samotność... Warto by się rozglądnać, nie zwlekać dłużej z żeniączką. Tylko gdzie tu szukać, przecież nie pośród tego tałatajstwa, które zjeżdża nie wiedzieć kiedy i skąd, zapętniając knajpy i prowokując do awantur. Lepiej odczekać, aż bardziej unormuje się życie, przestanie pachnieć tym dzikim zachodem... A tymczasem pilnować swojego. Taka okazja drugi raz w życiu już się nie trafi. Ani jemu, ani staremu Środzie. Dopomógł stryjowi, ma swoją stolarnię, może się cieszyć. Ba, nie tylko z tego. Choć tu już większa zasługa Gizeldy niż jego. Ci jej kompani...

Jakby chłodem jakimś powiało od wody. Wstrząsnął się. W pogłębiającym się mroku niewidoczny już znad wody jakiś lin zdecydował się wreszcie. Spławek drgnął raz i drugi, potem wyprostował się, przez ułamek sekundy zległ nieruchomo, aż dopiero zaczął zanurzać się coraz głębiej, coraz prędzej. Podciął, uczył opór ryby, wolniutko jął windować szarpiące cielsko. Lin był wyjątkowo duży, żyłka naprężyła się, tnąc wodę silnymi zakosami; jeszcze przy samym palu, gdy próbował zagarnąć go podbierakiem, wyskoczył i nurknął znowu w głębinę. Zdawało mu się, że zerwał, ale nie, linka zadrgała, napięła się, sprężyła niebezpiecznie. Od nowa cały ceremoniał, tym razem zakończony sukcesem. W podbieraku trzepotała się w podskokach potężna, złocista sztuka, skończenie piękna w kształcie. Nieskory był do entuzjazmu z byle przyczyn, ale tym razem serce zabiło mu mocniej. Takiego lina jeszcze tutaj nie złapał, wagą dochodzić musiał pewnie do jakichś dwóch kilo... Ostrożnie, by nagle nie wysnął mu się z rąk, wpakował go do siatki, spojrzał przed siebie. Spławek nie będzie już chyba widoczny, mrok zapadł przez te chwile, gdy szamotał się z rybą. Łowiecki instynkt, tak rozbudzony, nie dawał się jednak uspokoić. Pławik znowu jął krążyć wraz

159

z prądem wody, tu i ówdzie usianej płatami białej piany odrzuconej z nurtu bystrzyny...

— Piękna ryba, Herr Mittwoch, Verzeihung, Herr Środa...

Opanował się z najwyższym wysiłkiem, obrócił na niewygodnym palu. O parę metrów za nim, na pogrążającym się w czerni brzegu majaczyły trzy sylwetki. Nie musiał się domyślać, jacy to goście, rozpoznał wszakże po głosie. Na złą godzinę pomyślało mu się, o nich i o Gizeldzie. Jakby ich tym przywołał.

— Dobry wieczór — odpowiedział. — Ryba piękna. Szkoda, że już ciemno, trzeba zwiijać wędkę...

— Może i lepiej, że ciemno... Nie dla nas...

Zaśmiali się cicho, jacyś dziwnie spokojni, gdy on ledwie mógł opanować roztrzęsione nerwy. Obejrzał się. Cisza wokoło, niewielki wiaterek przewiewa wśród drzew okalających młyn. Nad wejściem pali się

żarówka, zakurzona i umączona, jak tu wszystko wokoło. Od domu zajmowanego przez Marcinka także nie nadchodziły żadne odgłosy, paliło się u nich jedynie w kuchni.

— Po chyboliwej desce przerzuconej od pala na brzeg przeszedł do swoich gości.

— Do mnie? — pytał, sam rozśmieszony tym swoim naiwnym pytaniem.

Znów się zaśmiali, nie widział w mroku ich twarzy, białe plamy majaczyły jedynie w tych miejscach.

— Jawohl... — skinął głową, poszedł przodem, w odstępie paru kroków czując ich za sobą.

Otworzył drzwi do mieszkania, dłońią jął szukać tasteru. Uczuł na plecach czyjąś rękę. Pojął. Zawsze to samo, unikają światła, wołają, aby bliżej ich nie znał. Może i słusznie, żadnej ze stron nie jest to potrzebne.

Za stołem, przy którym zasiedli, zapadła krótka cisza. Tylko oddechy ją zakłócały. Jego był chyba najdonioślejszy. Szedł szybko, przy tym te nerwy, a jeszcze pasją, tłumiona złość. Czy nie dadzą mu już nigdy spokoju? Stale będzie się musiał im okupywać, opłacać, ryzykować, nie być ani przez moment spokojnym? O małżeństwie myślał przed

160

chwilą, zapominając, że wszakże są jeszcze oni. Durnie. Straszliwi durnie. Że też nie można im tego powiedzieć, wyrębać prosto w te oczy, przeblyskujące z ciemności, oczy należące do niewidzialnych, nieznanych twarzy... Ciężko musi okupywać swój młyn, spokojny sen Srodów, stolarnię stryja. Gdybyż wreszcie raz koniec. Ci Polacy ani się mogą połapać w tym wszystkim, są jacyś bezradni, nie umieją trafić na trop. Choć może to też przyniosłoby z sobą klęskę, ci tam za stołem gotowi by wyśpiwać wszystko o jego pomocy. Tak źle, i tak niedobrze...

— Słucham — przerwał milczenie, zbyt ciężko, dopuszczało kołowrót niebezpiecznych, obezwładniających strachem myśli.

— To co zawsze. Tylko podwójną ilość. Pan wie, nie jest łatwo, tamci coraz to bardziej depcą po piętach...

— Ale i nas jest coraz to więcej — dorzucił inny, jakimś młodym, łamiącym się głosem.

— Tak. Zatem mąka i kasza. Pojutrze. Dostawa tam gdzie poprzednio. Drugie tyle odbierzemy sami, zajadą tu dwie furmanki...

— Pojutrze? Tyle mąki? I kasza? Zmiłujcie się, nie poradzę. Mnie też patrz na ręce. Ziarna mało, starostwo prowadzi ostrą kontrolę. Z prywatnych zamówień wygrzebię tyle co kot napłakał. I mnie i siebie prowadzicie na zgubę...

— Panie Mittwoch...

— Środa, Środa, lepiej nie wywoływać tamtego, nuż kto usłyszy... Jest tu nowy pracownik, nie chciałem, aby zamieszkał przy młynie, ale nic nie pomogło. Dom zresztą był wolny, dostał przydział, co miałem robić?

— Panie Mittwoch! Pan wie, że my się nie bawimy. Mamy poważne zadanie do wypełnienia. To sprawa Wielkich Niemiec, nie nasza ani nie pana. Musi pan to załatwić.

Zastanawiał się, namyślając się nad odpowiedzią. Umysł pracował gorączkowo. Sytuacja stawała się dramatyczna. Długo takich rzeczy nie da się ukryć. A wtedy koniec. Sąd, kula w łeb. Że tym tutaj, ich sprawa, o nich się martwić nie będzie. Ale własna głowa, ale ta spokojna przyszłość, młyn, dobra praca... Żeby choć jeszcze ten raz i spokój.

H Przejaśnia się niebo t. I

161

ale oni na pewno będą go nachodzić bez końca. Wygodnie, mają pełne zabezpieczenie z żywnością. Już tam o jakieś mięso na pewno łatwiej się wystarają... Jak by im dać do zrozumienia, że tutaj robi się niebezpiecznie, że mogą wpaść na ich trop...

— Rozumiem. Ich verstehe alles... Ale musicie uważać. Już mnie trochę podpytywali, czy nie za wielki rozkurz w tym młynie, trudno się im doliczyć, ten Marcinek też nie wiadomo kto, pchał się na siłę, może go milicja nastąpiła... Żeby więc nie sprowokować jakiegoś nieszczęścia... Pojutrze dostarczę wszystko, ale żeby się to nie powtarzało tak często, nieomal stale...

— Panie Mittwoch. Pan jesteś zwyczajny zdrajca niemieckiego narodu. Jak i pana rodzina. Żeby nie ta mąka, stary Mittwoch dawno by wisiał pośrodku swojej stolarni...

— Znał pan może tego Blinckego? Co to pracował z Polakami? Też tak zawisł pośrodku swojego pokoju... — znów ten młody, dziwnie załamujący się głos.

— Ruhe, Johann... Panie Mittwoch! Gizelda obiecała nam pomoc z mąką. Tłumaczyła, że lepiej, iż pan przejmie młyn niż ktokolwiek z tych przeklętych Polaków. Dla Gizeldy zgodziliśmy się na to. Tak samo jak na tolerowanie zdrady całej reszty rodziny. Gizeldy już nie ma, a my swoje nadal musimy robić, Niemcy nie umarli, dla nas wojna wciąż trwa. Musimy jeść. Opiekujemy się też niektórymi wdowami i sierotami. Niech nie muszą wysługiwać się za jedzenie polskim okupantom. I pan będzie nam pomagał tak długo, jak to nam będzie potrzebne. Bo inaczej...

— Bo inaczej albo kula albo postronek. Do wyboru — znów ten młody głos. — A jeżeli, jeżeli — moment wymownego oczekiwania — jeżeli pan by coś zechciał działać przeciwko nam, sam czy przez tego Mar... Mar...

— Marcinka — odpowiedział bezwiednie.

— Tak, właśnie jego, to ten sam wybór. Także dla całej pana rodziny.

— Co wy... ja przecież Niemiec, rozumiem, to dla Rzeszy, ale to straszne ryzyko, trzeba ostrożnie... Gizelda...

— My też ryzykujemy. Na pewno więcej. A Gizelda co?

162

— Gizelda mówiła, że to tylko przez jakiś czas...

— Gizelda wyjechała. A my zostaliśmy. I dla nas będzie pan pracował, panie, hm, Środa.

Jakże się teraz cieszył, że nie pozwolili zapalić światła. Zobaczyliby, jak mu ręce dygocą, jak po brzegi napełniony jest przerażeniem. Przerażeniem i nienawiścią. Do nich. Do tych durniów, którzy wciąż wierzą w swoje Wielkie Niemcy.

— Dobrze, ja się zgadzam... Zawsze się zgadzałem.

— Więc pojutrze. Część pan dostawi na zwykłe miejsce, resztę odbierzemy sami. Ten, który po mąkę przyjedzie, zapyta o... rybki. Będzie pan pamiętał, panie Mittwoch?

W tejsze chwili liny rzucone w przedpokoju zatrzepotały się w siatce. Goście przypomnieli sobie i o nich.

— A te liny pan chyba nam ofiaruje? Dawno już ryb nie jedliśmy. Tak pięknych ryb...

Przed ich wyjściem zgasił światelko nad progiem. Stał długo, nasłuchując odgłosów kroków zamierających w ciemności. Od strony miasta dobiegły strzały. Normalna rzecz, a przecież wzdrygnął się cały.

Liny w śmietanie. Cieszył się nimi, myślał o matce, jak umiała ryby przyrządzać, zaczęły mu się roić dumki o małżeństwie. A tymczasem, tymczasem musi wraz z tymi durniami walczyć ofiarnie, z całym ryzykiem i poświęceniem o Wielkie Niemcy. Co za durnie! Co za durnie! On zaś większy od nich wszystkich razem. Po cholere pchał się do tej rodziny? Równie dobrze mógł zagarnąć jakiś młyn na innych terenach. Jeszcze ta piekielna Gizelda. Ona go wpakowała w taką kabałę. Sama wyjechała, zostawiając dobrane grono swoich przyjaciół. Bojowników o Wielkie Niemcy. Rzygać się chce. Co za straszliwi durnie... Liny też zabrali. Wraz z tym olbrzymem, mógł ważyć pełne dwa kilo, pierwsza sztuka takich rozmiarów. Smakowałby dobrze w śmietanie... Pod wódkę. O, wódka, jedno co zostaje, to upić się. Jest jakaś flaszka w domu. Zatem kielich po kielichu, pod jeden toast. Za Wielkie Niemcy! Durnie. Co za straszliwi durnie...

u-

183

2.

Wąskie palce nerwowo uderzały w blat biurka. Twarz miał ściągniętą w grymasie. Podniósł dłoń, by przetrzeć nią czoło. Jakby tym gestem zamierzał odegnać ciągle tak świeżą pamięć tego imienia, tej ulicy, tamtego ranka, daty ostatniej jego ucieczki. Erna, ulica Kwiatowa, dawniej Blu-menstrasse... Dzień podnosił się wtedy ze snu jasny, prześwietlony słońcem. On zaś biegł, niepomny na nic, byle dalej od tych ocalałych domków, w ruiny, w gruzy, gdzie szkielet barwnej papugi, gdzie starucha w czarnej, żałobnej szacie...

Raport Pędzika na nowo odświeżył wspomnienia. Sierżant meldował, że Schulmowsky mieszka z dziećmi spokojnie, pracuje przy porządkowaniu ulic, cegły układa w sztaple, nie kuma się z nikim. W domu, poza sąsiadkami, nie przyjmuje nikogo, nie widziano tam żadnego mężczyzny...

Pędzik tak dziwnie mu się przyglądał przy tym raporcie. Zawsze ma takie nie rozumiejące wejrzenie, gdy mówi o Schulmowsky. Musi go niepomiarnie dziwić zainteresowanie komendanta tą kobietą. Pal sześć Pędzika. Porządny chłop, ale czy musi być wprowadzany we wszystko?

Dochodziła dziesiąta. Zaraz tu będzie Stefczyk ze swoją świńską blond czupryną, z wyliniałymi brwiami, jakby mu ktoś je wyskubał. Może to ten brak brwi czy raczej ich nie-widoczność powodują, iż twarz Stefczyka czyni odpychające wrażenie. Ba, nie tylko twarz, całe zachowanie, ten jakiś maksymalizm, zacietrzewienie, niedostrzeganie właściwych proporcji...

Wstał zza biurka, uśmiechnął się. Proporcje. Jota w jotę tak samo ocenia jego pracę Stefczyk. Starli się już parę razy. Dzisiejsza rozmowa na pewno nie będzie należała do przyjemnych. Zapowiadało się na długo, szef bezpieczeństwa pragnął, jak zapowiedział, wyjaśnić w niej szereg spraw. Żeby tylko było to wszystko rzeczowe, nie jakieś dyrd3'malki, rozważania teoretyczne. Za wicie jest pilniejszej roboty. Niejedno wymyka się im z rąk. Wczoraj znowu

164

dwa mordy. Jeden pośród Niemców, kapturowy najpewniej, tutaj jak zawsze wszystkie ślady zatarte. Drugi łatwiejsza sprawa, trop się odnajdzie bez trudu, Jakaś dziewczucha z Katowic, wiadomej profesji. Ładna, nawet ohydna śmierć, nóż, nie zatarła do reszty tej urody. Młode to, wie-leż mieć mogła, osiemnaście najwyżej... Widziano ją wieczorem u Młynarka, wyszła potem wraz z dwoma kompanami... Tu wszystko proste, ale tamte, niemieckie historie.

Pędzik też bąkał, że znów coś się dzieje pośród Niemców, jakaś nerwowa atmosfera, lękliwość, poszeptywania. Żeby tylko nie pachniało tu sabotażem czy dywersją. Po lasach ożywiło się tałałajstwo. Wioski jak w oblężeniu, A tymczasem Stefczyk drze się o odbiełanie broni. Mają ludzie dać się zażynać jak barany, bez możliwości przeciwdziałania?

Jedno mocne puknięcie, raczej rąbnięcie wierzchem dłoni o drzwi, już się w nie wpakowywała masywna sylwetka Stefczyka.

— Cześć, towarzyszu.

— Witajcie, proszę.

Stefczyk otarł pot z czoła. Teraz dopiero Lisiewicz wyraźnie zauważył, że jednak gość jego ma brwi: kropelki potu osiadły na nich, połyskiwały jak siateczka pajęczyny skropiona rosą.

— Gorąco. Ładne lato... — stękał Stefczyk i nagle, zupełnie innym już tonem przeszedł do irytujących go problemów. — Słuchajcie, Lisiewicz, ja was zupełnie zrozumieć nie mogę. Ciągniecie tę milicyjną robotę od samego początku. Nie powiem, są jakieś wyniki... Ale jakoś zawierzacie pamięci i tylko jej. Albo w ogóle działacie na wiarę. Czy wy wiecie, z kim tutaj pracujecie, jakich ludzi macie u siebie, w milicji, kto w ogóle jest w naszym mieście u władzy? Kto to jest ten starosta? Żadnych akt, materiałów, nic, woda, powietrze. A jeśli to jaki ukryty reakcjonista?

— Głupota. Zieliak i reakcjonista? puknijcie się w czoło!

— Wy, Lisiewicz, bądźcie spokojni. Nie głupota. Ja byłem w Kieleckim przez dwa miesiące. Widzicie? — uchy-

lił kołnierz koszuli. Od obojczyka po szyję biegła głęboka, czerwona blizna, w miejscu tym rysowała się zapadlina. — To jeden ślad, najbliżej i najwyraźniejszy. A mam takich więcej. Od swoich. Byli tacy i z wysokich urzędów. I ja teraz chucham na zimne, czy jak się to mówi. Kto to jest Kędrzyk? Biurokrata, ale co więcej? A ci inni? Ten nauczyciel? Może jaki londyńczyk. Taka robota, nierozpoznanie, to wielki błąd polityczny...

— Coś wam powiem. Może tam w Kieleckiem przeszli-ście wiele, może tam trzeba było używać innych metod pracy. Tu jest inaczej. My tutaj, pamiętajcie, w pierwszych tygodniach za poły przytrzymywaliśmy każdego Polaka. Nas się liczyło na palcach, tkwiliśmy w okrążeniu niemieckim. I nieważne było zagłębienie każdemu w duszę. Jeżeli pracował, pomagał, to wystarczyło. O starostę, Kędrzyka, jeszcze paru, pytajcie w Łodzi. Stamtąd przyjechali jako grupa operacyjna, ktoś wiedział, czemu właśnie ich wysłał.

— Tam też w niejednym panował bałagan... A my tu musimy inaczej. I nie żołądkujcie się, Lisiewicz. Co było, to było. Teraz razem musimy się zająć naszymi ludźmi, rozejrzeć się, kto i co, na kogo liczyć, na kogo nie. Powstaje u nas komórka partyjna. Inne partie też zaczną się krzątać. Trzeba znać ludzi... A wam tylko Niemcy i Niemcy w głowie. To chwilowe. Odeśle się ich do ostatniego za granicę i koniec pieśni. A z naszymi to zostaniemy... -

— Póki się ich nie odeśle, jak mówicie, to tymczasem mordują się oni pomiędzy sobą, z tym jeszcze pół biedy, ale wykańczają i naszych. Ciągłe jakieś sabotaże. Słyszeliście, co było z elektrownią? Co się zdarzyło przed budynkiem starostwa? Jak zamordowano Walusia, innych? Tu działają organizacje niemieckie, burzą to, co próbujemy montować...

— A reakcja korzysta, że milicja tylko się za Niemcami ogląda, i buszuje, ile wlezie...

— Gdzie to znaleźliście?

— Czuję przez skórę... A ci handlarze, spekulanci, to też może nieważne?

— Siedzi ich już u nas parę dziesiątków. Dobrze, że wreszcie jest zapowiedź utworzenia tu powiatowej prokuratury, bo cholera wie, jak byśmy dalej radzili. Konwojowanie do sąsiedniego miasta nie rozwiązało sprawy...

— Pamiętajcie jednak, że najważniejsze, to patrzeć na palce, czy się gdzieś nie czai reakcja. I nie patyczkować się. Jak reakcjonista, londyńczyk jaki, akowiec, kto tam jeszcze, za frak i do ciupy. Żeby się nam nie rozpanoszyli.

Lisiewicz powstał, chudy, z pałającymi oczyma, wciśniętymi głęboko w czaszkę.

— Proszę, wsadźcie mnie pierwszego do mamra. Ja byłem w AK.

— Wy? — Stefczyk też powstał. Mierzyli się wzrokiem. — To zmienia sytuację. Teraz wiele rozumiem.

— Więc jak?

— Więc prosto. Napiszecie mi na jutro dokładny wasz życiorys. Zaznaczam, szczerzy, bez bujdy, bez omijań.

— I co będzie dalej?

— Zobaczymy.

— Zatem przestaję być komendantem milicji? Czy mam zameldować o tym staroście? I co wobec tego z nominacją zatwierdzającą z województwa?

— A tam znają wasz życiorys?

— Znają. Musiałem podać dane.

— I o tym AK?

— O AK też.

— Jasna cholera... Słuchajcie, Lisiewicz, o naszej rozmowie nikt nie ma nic wiedzieć. Nadal zostajecie tym, czym jesteście. Przynajmniej dopóki się nie porozumiem z naszymi władzami. Że to, cholera, ciągle tak trudno z bezpośrednią łącznością... Tak. A tymi personalnymi sprawami przestańcie się zajmować. To znaczy, nie dotykajcie ich. Gmerzcie się dalej w sprawach tych waszych Niemców. Tamtym ja sam się zajmę. To, mówicie, grupa operacyjna była z Łodzi?

— Z Łodzi.

167

— No dobra, ja już idę... — nie podając tym razem dłoni, Stefczyk zmierzył ku drzwiom. Tuż przy nich zatrzymał się nagle, marszcząc czoło patrzył chwilę na Lisiewicza. — Aha, już wiem. Powiedźcie mi, Lisiewicz, co wy takiego macie z tą Niemką, jakąś Schulmowsky z ulicy Kwiatowej? Coś się za bardzo nią interesujecie, wasi milicjanci zaczynają bąkać dziwy na ten temat. Kochanka wasza?

Starął się, lecz nie mógł opanować dygotu rąk. Przemknęła mu przez myśl, czy może także się zarumienił... Trafił w sedno ten Stefczyk, a zarazem jakże mocno spudłował. Kochanka. Tak, ten jeden raz...

Tamten patrzył wyczekująco. Znowu przemaszerował od drzwi ku biurku.

— Co wy tak jakoś, Lisiewicz? Obeszło to was? Ta Niemka?

— Jej mąż to esesman z obozu koncentracyjnego, w którym siedziałem. Najgorszy zbir, mordował ludzi dziesiątkami, z własnej ochoty. Jego szukam, na niego czekam w tym mieście... To moja odpowiedź.

— Aha, teraz rozumiem, dlaczego was tylko Niemcy obchodzą. Prywatna zemsta.

— Ciasno widzicie sprawy, Stefczyk.

— Może, ale nie wy, Lisiewicz, będziecie poszerzać moje widzenie. Na pewno nie wy.

Rożełzony, trzasnął wychodząc drzwiami, aż kurz się posypał ze ściany. Lisiewicz wzruszył ramionami, a potem w nagłej pasji zacisnął pięści. Pociągnął nosem.

Siadając za biurko, długo spoglądał na swoją dłoń trzymającą pióro. Dygotała coraz mocniej. Czuł też, jak nerwowe ticki przebiegają mu przez policzki. Kołnierzyk koszuli zdawał się uwierać, podrzutami ramienia pragnął ten ucisk usunąć, aż się spostrzegł, że nie ma żadnego ucisku.

Pióro powoli posuwało się po papierze... „Do obywatela starosty”. Urwał, przypominając sobie, że starosta już teraz nie wystarcza, aby go zwolnić z zajmowanej funkcji. Trzeba pisać do wojewódzkiej komendy... A województwo znów gdzie? Szczecin, czy po raz któryś Koszalin? Jakoś sprawa

168

tego miasta ciągle się nie może rozstrzygnąć, muszą o nie iść gdzieś głębokie targi.., A więc inaczej: „Do obywatela Komendanta Milicji Obywatelskiej w Szczecinie...”

Drzwi otworzyły się, w postawie zasadniczej stanął w nich dyżurny milicjant.

— Co tam znowu?

— Melduję, jest tu jakaś Niemka z dziećmi, mówi, z zażaleniem. ale tylko do pana komendanta.

— Schulmowsky — nie wiedzieć czemu wyrwało mu się to nazwisko. I zaraz omal sam się nie złapał za usta.

Milicjant popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Nie, jakoś inaczej, nie mam pamięci do szwabskich nazwisk... Tak mi się zdaje, że ona tutaj już kiedyś była.

Westchnął zrezygnowany.

•— Dobra, dawajcie ich tutaj.

— Tak jest, obywatelu komendancie.

3.

Masłowskiemu zaginęła krowa, urwała się nad wieczór z uwięzi na pastwisku i pognęła w las z zadartym ogonem. Nie zdziwił się, miała ten swój czas, a gdzież ją tu uspokoić, kiedy nie wiadomo, czy w ogóle jest jaki byk w całym powiecie? Nie dziwił się, rozumiał stworzenie, co nie przeszkadzało, że naklął się przez parę tych godzin, które złaził po leśnych i łąkowych wertepach, z duszą na ramieniu, aby się nie natknąć na jaką minę.

Z główną żywicielką na postronku po ciemku już, przy gwiazdach, człapał do domu. Oczy przyzwyczajone do zmroku wyłapywały wyraźnie kontury wioski. Od lewa, gdzie domostwa zakręcały łagodnym skrzydłem, niewiele zostało; czego nie zburzyły pociski, to strawił ogień. Paru Niemców, którzy pozostali na miejscu, opowiadając o walkach, jakie się tu toczyły, jeszcze miało żywy strach w oczach. Ocalała prawa część wioski, kilkanaście domostw murowanych, z przyzwoitymi obejściami. Mało w tych obejściach

co prawda zastali, przedtem koczowały w nich jedne, potem drugie wojska, a wiadomo, jaki to na froncie ma żołnierz szacunek do cywilnego mienia, zawsze jednak było tu więcej, niż mieli w Kieleckiem.

Sama wioska też się im spodobała. Żyznymi łąkami teren opadał ku niewielkiej, ale wartkiej rzeczulce, pstrągi się w niej trzymały, zdarzało się chłopakom podrywać na wędkę sztuki nawet dwu- i trzykilogramowe. Trochę dalej, za kępą osin i wierzb, które czarnymi liniami znaczyły się na tle nieba, rozlało się jezioro, nieduże, ale głębokie,

0 przejrzystej, niemal krynicznej wodzie. I las dokoła, sosna

1 świerk, przetkany gdzieniegdzie dębiną. Nie mieli z drzewem kłopotu, ani kto zresztą tego lasu pilnował, leśniczówka była spalona, gdzieżby się tu jaki leśnik osiedlał, mając tyle innych miejsc do wyboru. Zresztą, demokracja jest, las wspólny...

Przystanął Masłowski. Krowa skorzystała, skubiąc w rowie jakąś trawinę. Ładna wioska, choć żał tylko, że kościoła w niej nie ma. Tam, w Kieleckiem, ładny zostawili kościółek. Tutaj do najbliższego dobre sześć kilometrów, na domiar lasami, ksiądz tam też potąd żaden nie osiadł. Ale reszta niczego sobie. Ziemia niezgorsza, kawałkami glina, łąk sporo, choć zapuszczonych, w budynkach była kiedyś elektryka, przyjdzie czas, znowu ją tutaj wprowadzą. Można żyć... Dobrze stary Antoni wybierał. Radzili im wtedy bliżej miasta, że niebezpiecznie, zajęli się szczerze, pokazywali to i tamto. Oglądali wioski o domach może gdzieniegdzie nawet ładniejszych, ale nie chwytaly ich jakoś za serca. Tutaj dopiero, gdy zdrożeni już do ostatka, sarkali na Antoniego, gotowi przycupnąć byle gdzie, aby już zakotwiczyć się, skończyć z tą poniewierką, tutaj właśnie, skoro tylko wjechali na wzgórek, przesłaniający widok, aż czapki zdjęli z zachwytu. Antoni zaś, czarny, zarosły, przeżegnał się szeroko, przeliczył swoją tłoczącą się na sześciu wozach gromadkę, powiedział:

— Tu nowy nasz dom. Niech Bóg błogostawi.

Domów całych zastali z dwadzieścia, połowę z nich zajmowali jeszcze Niemcy, prawie że sami starcy. Jakoś tam

170

gospodarzyli, nawet pilnowali dobytku tych innych, którzy uciekli, zostawiając wszystko na pastwę losu. Teraz z ochotą pozbywali się dodatkowych obowiązków. Trzy krowy i jeden koń przybyły w ten sposób osiedleńcom. Jakże się z tego Murawka ucieszył, mówił, że to prezent niebios dla dziecka, które się przed dwoma dniami zrodziło w ambulansie u Rosjan...

Dobrze trafili. Bo i ci Niemcy byli zgodni, spokojni, inna sprawa, nadal gospodarzyli na swoim, zupełnie wolnych zostawało przecie z siedem gospodarstw. Obok nich tylko tych dwóch z Nowogrodzkiego się osiedliło. Tacy sobie, ale można żyć z nimi.

Szarpnął postronkiem, krowina bez oporu poczłapała za gospodarzem. Z lewa, mocnym zarysem na tło wygwieżdżonego nieba wypłynął krzyż, postawiony pośrodku pola. Jasny, ze świeżutkiej sosny, wybrali smolistą, aby drewno prędko nie zgniło... Sam Jaskólski spoczywa na cmentarzu, tu tylko pamięć miejsca, gdzie zginął... Mina... On zginął, chłopak Kądzieni bez ręki został w innym wypadku.

Konia ubiło Sykule. Nowa ziemia nie poddawała się łatwo. German mścił się z za grobu, ciężki okup płaciło się za ten kąt własny na ziemi. Jeszcze tamten napad w dni parę po osiedleniu, było dwóch milicjantów, pomogli odeprzeć... Teraz katastrofa z myszami, mnożą się, wyżerają zasiewy, bieda może zajrzeć zimą do okien, cóż z tego, że w murowanych budynkach. Głód jednak w psiej budzie czy w pałacu...

Myślał o tych przejściach ze złością. Ale na okolicę, na szczytowiny domów, na drzewa patrzył z budzącym się w sercu ciepłem. Może z czasem ułoży się tu inne, lepsze niż kiedy życie? No i ziemia, tyle ziemi, wiele kto zdoła zagarnąć, jaki śmieszny i maleńki ten spłachetek, na którym z liczną rodziną tkwiło się tam w Kieleckiem. Byle tylko ten zachód został przy Polsce, bo to słuchy przeróżne chodzą. Ci Niemcy w wiosce, niby to spokojni a też jakby na coś czekali. Czasem tam jacyś nieznani goście zjawiają się u nich. Antoni mówi, że pewnie zbóje, z lasów wychodzą. Pewnie ci sami, co próbowali podkraść ich dobro, świniaka uprowadzili Jaskólskiej. Pojechali wtedy do mia-

171

sta po broń. Komendant milicji wydał po karabinie na każdą rodzinę, za pokwitowaniem. Dla ochrony. I jeden automat. Michał ma go u siebie, w wojsku służył to zna się., Musieli ci z wioski donieść coś swoim leśnym, bo cisza, przestali zachodzić. A może milicja ich wypłoszyła i wyłapała, może wojsko, odkąd zjawilo się w okolicy na siew i zagospodarowuje poniemieckie majątki. Dość, że spokojniej się śpi...

Był już pomiędzy domami, tylko od prawa wyrwa pogo-rzeliska w zabudowaniach odstaniała pole ciągnące się aż po las. I wtedy drgnął Masłowski, oczy przymrużył, wy-szukając w mroku to, co przedtem wyłapały tam uszy.

Przez pola szli ludzie. Od lasu. Sporo musiało ich być, łatwo poznać po krokach. Zadzźwięczało coś, broń mają z sobą.

Nie wyczekiwał już, szarpnął krowę do biegu, byle zdążyć do swojej chałupy, wołał tak biegnąc:

— Alarm, alarm! Idą jacyś od lasu. Alarm!

Wyskoczył stary Antoni.

■— Gdzie ty ich widzisz?

— Od lasu na polu...

Nie potrzebowali wypatrywać. Tamci, odkryci, nie czaili się więcej. Z krzykiem runęli ku domom. Krzyk taki poniósł się także od drugiej strony, od spalonej części osiedla. Szczękały zasuwy, gdzie tylko nie były jeszcze zawarte. Masłowski wpadł do domu, po schodach ciągnąc do wnętrza krowę, bezpieczniej tu będzie chudobie, kto wie, co może się stać.

Zdążył na czas. Bo chwila, a na podwórzu zatupioały kroki, załomotało do drzwi.

— Haiide hoch! Otwierać!

I strzał. Może w powietrze. Tego już nie usiłował się wy-wiadywać. Syna śląc ku oknu od drugiej strony budynku, sam wypalił przez otwór specjalnie zrobiony. Huknęły strzały także ocl innych stron.

Krzyk się podniósł, mieszały się w nim język niemiecki z polskim. Ciemno, jasno, znów ciemno, tylko biyski pocisków. Granat w któreś drzwi. Jęki, wrzask przenikliwy, bólu albo rozpacz. Spo-

172

kojna noc zmieniała się w piekło. Warkot motoru, jakby motocykl, silny blask reflektora. A zaraz potem nowy, mocniejszy blask. Buchający ku górze. Dranie, znowu dom podpalili... Pewnie podlali benzyną, ogień inaczej nie rozszalałby się tak od razu. Matko Chrystusowa, zmiłuj się nad nami!

Szyby dawno poszły w kawałki, Masłowski strzelał już przez otwarte okno, gdzieś od drugiej strony nie dawał się piętnastoletni Janek, ale tamci też strzelali, było ich więcej. Kula trafiła w ramię, osunął się zę stukotem karabin, a zaraz potem uchwyciły go czyjeś objęcia, trzasnęły nim o ziemię. I zaraz kopniak, gwałt, aby wstawał.

Jego samego, żonę, wyklinającą na głos, z piekielną odwagą, Janka, dwoje młodszych dzieciaków, wszystkich prowadzono na podwórze przed dom, gdzie jasno było jak w biały dzień. Dopiero zobaczył, paliło się obejście Jaskólskiej, już ta kobieta nie ma szczęścia w tym życiu, wiatr siał iskrami, wszystko mogło się zająć. Nieszczęśliwa ta ziemia, nowa ziemia, cóż, że żyzna, bogata... Rozwalą ich, swoim sposobem, całą wojnę po to się człowiek uchował, aby teraz złożyć kości na „obczyźnie”, złe pewnie skusiło, aby rzucić kielecką biedę...

Widział, stary Antoni stoi ze zwieszonym ponuro łbem przed swym domem, obok cała rodzina, dalej czernieją gromadki innych. Zdziwił się, że Niemców wioskowych tamci także spędzają, czyżby i ich chcieli rozstrzelać?

Paru pilnuje więźniów, reszta buszuje po domach i po obejściach. Wyciągnęli u kogoś świniaka, machnęli dwa razy przez łeb, zakwiczali, rozdarł się, nogami zawierzgał...

Motocykl zawarczał, jakiś Niemiec ubrany na czarno przejeżdżał przez wioskę, pokrzykiwał do swoich. Mocno buchały płomienie z domostwa Jaskólskiej, zajęła się już przyległa szopa. Trzask palącego się drewna. I cisza. Dziwaczna cisza po strzelaniu, po hałasie sprzed chwili. Tylko żona obok na przemian modli się i wyklina zbójów. Wielu ich jest? Dwudziestu, trzydziestu? Wszędzie się kręcą, wynoszą z domów dobro, zapasy, Kądzieli kazali gdzieś iść, pod karabinem prowadzą, aha, konie każą zaprzęgać,..

173

— Matko Miłosierna, ukarż ich, zlituj się nad nami...

— Cichajże, babo! — syknął, bo coś mu się nagle postyszało nowego.

— Tata, samochód na szosie, słychać, jak szumi... Musieli usłyszeć i Niemcy. Ten na motocyklu zakrzy-

czał coś, zaczęli wypadać z chałup, odbiegli i ci, co pilnowali więźniów przed domami. Na pół naładowany został na środku wóz Kądzieli, napastnicy runęli w pole. Warkot maszyny narastał, choć niczego jeszcze nie było widać, zaślaniało ją wzgórze przed samą wioską. Zagłuszył go z nagła inny odgłos. Zaterkotał automat, paru Niemców zawliło się na ziemię, inni biegli dalej, ostrzeii-wując się nie wiedzieć komu.

— Poznają, to Michał, musiał się kędyś schować. Lecę po swój! — zakrzyczał syn Masłowskiego...

— Cholera, uciekną...

Niemcy dosięgali lasu, już zaczynały w nim znikać pojedyncze sylwetki.

Reflektory wdarły się na szczyt, opadły wraz z nosem maszyny ku wiosce. Rzucili się ludzie w tę stronę. Pewnie milicja czy wojsko, ratunek, w ostatniej chwili, byłiby ich wybili do nogi, stos ciał by został...

Ciężarówka zwalniała, niepewnie toczyła się dalej, wreszcie stanęła otoczona rozgorączkowaną wiejską gromadą. Rozgorączkowaną i rozczarowaną. Z szoferki wyjrzał młody człowiek, zza plandelki wysunęły się dalsze dwie twarze.

— Ludziska, co się tu dzieje?

— Był napad niemiecki. Uratowaliście nas... Myśleli, że milicja albo i wojsko...

— Jasna cholera, co się tutaj wyprawia... Panie Antosiu, nie można to było jechać inną drogą? — pękaty mężczyzna wyskoczył z samochodu, wygrażał szoferowi.

— To jedź pan sam inną drogą... Trzeba by ludziom pomóc... Ale jak? Życie wszyscy, cali, zdrowi?

— Ranni są... Ramię, noga... Żeby tak zabrać! ich do doktora, do miasta.

174

— Panie Antosiu, pan rozumie? — znów ten pękaty, który wysunął się zza plandeki, a teraz gramolił się do szoferki.

Ktoś z mieszkańców wioski zajrzał do wnętrza. Pęczniały tam jakieś skrzynie i toboły. Domyślił się, splunął. Złodzieje dobra ludzkiego, jakże ich zwa, aha, szabrowniki...

Kierowca bezradnie rozłożył ręce, ale zaraz zagadał tamten pyzaty:

— U nas nie ma nawet tych rannych gdzie zmieścić. Damy znać, przyjadą do was, zaraz powiadomimy. A ci Niemcy, co napadli, to gdzie...

— Tam. Do lasu uszli...

— Aha. To dobrze. My zatem wracamy do miasta, damy znać, niechaj pomoc wam przyślą... Panie Antosiu, zapuszczaj maszynę...

Zawarczał motor, zabłyśły reflektory. Wóz zawracał, nabierał na prostej rozpędu. Dopiero się spostrzegli, pierwszy stary Antoni zaczął krzyżeć, aby zatrzymać, nie puścić... Gdzie tam, już się oddalały czerwone światelka...

— Nie zawiadomią. Złodzieje, będą się bali. Gdy pytali

0 Niemców, o to im tylko chodziło, aby samym nie wpaść bandytom w łapy. Choć swoi, ale mało co lepsi...

— Zeby tamci nie zechcieli teraz powrócić... Mogą mieć współników wśród Niemców wioskowych...

Antoni rozłożył ręce. Spojrzał na ogień, który jakby przycichał, tylko gdy waliły się więzania domostwa, sypał wtedy mocniej iskrami.

— Wszyscy zejść się do mojego domu. Broń brać, kto tylko ma. Tak samo stworzenia zgonić tu wszystkie... Aha,

1 ci Niemcy wioskowi też tutaj niech przyjdą. Jak co, będziemy mieli w nich zakładników... Kobiety niech uważają, czy tamci znowu skądś nie nadchodzą. Jak co, będziemy się bronić z jednego miejsca. Łatwiej pójdzie. My do pożaru, żeby nie przeniósł się ogień gdzie dalej... Jaskólska, nie płaczcie, są jeszcze wolne domy, weźmiecie inny, pomożemy, nie damy wam zginąć. No już, zaczynamy, niech Bóg pomaga. Sikorę i Masłowskiego baby tymczasem opatrzą... Mogło być gorzej...

175

Nie dokończył, urwał, zagłuszył wszystko przeraźliwy krzyk J łaczyńskiej:

— Matka, matka zabita. Na ganku leży, cała we krwi...

Zerwało się kilku w jej stronę. Stary Antoni zdjął czapkę, zbolące spojrzenie zwrócił ku rozgwieżdżonemu niebu, na którym odbijała się poblaskami łuna od ognia:

— Matko Miłościwa, czemu tak ciężko nas karzesz? Czemu tyle ofiar żądasz za tę nowiznę?

Rękawem przejechał po oczach, dym go w nie gryzł, albo tak co innego.

4.

Nagły rumor przerwał mu pracę. Odsunął zwitek notatek, zagniewany podszedł ku drzwiom, rozwierając je możliwie najszerzej.

— Dyżurny! Co się do cholery tu dzieje? Knajpę robicie w komendzie.

Pisk kobiecy, cichszym głosem wypowiedziana jakaś klątwa, wreszcie przed oczy Lisiewicza wypłynął milicjant Mańczak w poszarpanym mundurze.

— A to melduję, panie komendancie, złapałem przecherę, jak się pod komendę skradała ogrodami. Diabli wiedzą, czego chciała? Podśluchy jakieś, może przespiegi?

Zaciekawiał się, podszedł do spokojnie teraz stojącej na korytarzu kobiety w wieku około pięćdziesiątki. Twarz jej wydała mu się znajoma, nie mógł jej jednak z niczym skojarzyć w pamięci.

— Was ist los? Co tu robicie? Czego chcieliście w komendzie?

— Ja właśnie do pana... Z ważnymi sprawami. Bardzo ważne. Nie chciałam przychodzić od frontu, oni mogliby mnie zobaczyć — obejrzała się, w oczach jej dostrzegł lęk.

— A tam, do komendanta... Teraz tak bajUuje, cholera.

176

— Mańczak z krzywą miną obciągał rękawy munduru, zapiął kołnierz, krzywiąc się nad urwanym guzikiem.

Jak się pani nazywa? Skąd pani mnie zna?

— Był pan "komendant u mnie w domu... Stopf jestem, matka tej dziewczyny, która się do was zgłosiła... wtedy, jak był napad na elektrownię...

Teraz sobie przypomniał. To matka tamtej smarkatej, która zagniewana na swojego chłopca, wsypała go, ujawniając istnienie młodzieżowej organizacji niemieckiej. Uciekli im wtedy wszyscy, a i dziewczyna zaginęła bez śladu...

— Znalazła się córka? — zapytał, gestem wskazując, by weszła do gabinetu.

— Nie. Boję się, że się z nią stało coś złego. Dlatego przyszłam. Ja coś wiem... — obejrzała się na Mańczaka, który nasłuchiwał ciekawie.

■— Mańczak, gdzie wasze miejsce? Ani słowa nikomu o tej kobiecie.

Nie proszona siadła od razu, ze zniecierpliwieniem oczekując, aby i Lisiewicz zajął miejsce za biurkiem. Odetchnęła potem jak człowiek, który szykuje się do nurkowania w głębokiej wodzie.

— Córka się nie znalazła. Boję się, że Ingeborga nie żyje — powiedziała, a on pod pozornym spokojem tych słów wyczuł szalone napięcie. — Boję się, że ona nie żyje, moja Inga — powtórzyła. — Wy jej nie mogliście znaleźć. Ja też szukałam i szukam. Jej jeszcze nie odnalazłam, ale dowiedziałam się czegoś innego. Ten jej Hans jest tutaj w mieście. Są inni. Są różne takie sprawy...

— Niechże pani mówi.

— Powiem, ale jeden warunek...

— Warunków żadnych nie mogę przyjmować. Zresztą, o co chodzi?

— Jak wy już będziecie ich mieli w ręku, ja się dowiem wszystkiego, co się stało z Ingą. Sama ich zapytam, jeśli wam nie zechcą powiedzieć. Dobrze?

— Na to możemy się zgodzić. A więc słucham... Albo

12 Przejaśnia się niebo t. I

177

chwileczkę. Poproszę protokolanta. Zgadza się pani? I jeszcze jednego kolegę...

— Mnie wszystko jedno — wzruszyła ramionami. — Tylko żeby nikt z Niemców się nie dowiedział... Nie, ja się nie boję, mnie już wszystko jedno, jeżeli mojej Ingi nie ma na świecie. Ja się boję czegoś innego: żeby oni wam nie uciekli. Dlatego nie chciałam przyjść tu normalną drogą.

Nacisnął guzik dzwonka. Stanął w drzwiach Mańczak.

— Niech tu zaraz przyjdzie Joasia. Będzie -protokół. — Podnosząc słuchawkę i wykręcając numer, nasłuchiwał przez chwilę. — Kolega Kijanek? Słuchajcie, przyjdźcie do mnie, ale zaraz, ważna sprawa. Czekam.

Przyglądał się Stopfowej, zastanawiając się, czy aby nie przeholował. Rozpacz matki może wyolbrzymiać zjawiska. Przeczucie mówiło mu jednak, że tu jest trop, ważny, od którego niejedno może zależeć. Ciągłe przecież nie mogą uporać się z niemieckim podziemiem, chwytają najwyżej płotki, reszta nici wymyka się im z rąk: Ta kobieta naprawdę coś wie, wygląda na zbyt rozsądną, żeby poddawać się jakimś mirażom.

Weszła Joasia, brzydka, zaniedbana dziewczyna, ale maszynistka, że pewnie na całym zachodzie drugiej takiej by nie znalazł. Już mu ją chciał Stefczyk zabrać, ale ona sama się nie zgodziła. Bez słowa zasiadła za bocznym stolikiem założyła papier do maszyny, czekała.

Kijanek wsunął się również cicho. W poblasku promieni zachodzącego słońca poprzeczne krechy blizn na jego twarzy nabrały intensywnej czerwieni.

— Siadajcie. To jest pani Stopf, matka dziewczyny, która swego czasu dała nam znać o przygotowywanych akcjach dywersji. Tego samego dnia zginęła, po dziś dzień tropu nie odnaleźliśmy. Pani Stopf na pewne ślady trafiła. Chce nam te dane przekazać...

Kijanek skinął głową, spod oka przyglądając się Niemce. Stopfowa poprawiła się na krześle. Twarz jej była spokojna, ale dłonie, ujrzał je nagle Lisiewicz, aż struchlał. Dłonie te z jakąś przeogromną siłą wbijały się w boki siedzenia

krzesła, aż z nich krew cała spłynęła i tylko niebieskawe żyłki znaczyły się na tej trupiej bieli.

— Ja, ich will sagen, alles sagen... Wszystko, co wiem... Wtedy, to był kwiecień, jeszcze wojna trwała, Ingeborga przestawała razem z nimi. Wiedziałam o tym, myślałam, że to potrzebne dla Niemiec. On ją wciągnął, Kleinmann, Peter Kleinmann. To był jej chłopiec. Oni żyli ze sobą... — dopowiedziała to stwierdzenie jakby z nawracającym zdziwieniem. — Tak teraz było, wojna, młodzi stali się inni. Ingeborga bardzo go kochała. Poszłaby - za nim w ogień. Więc był ten Peter, był też Zaidel Erich, oficer. On krótko przedtem przyjechał tu, mówił, na urlop. To musiało być coś innego, w ten czas urlopu nikomu już nie dawali. I jeszcze trzeci, Heinemann. Oni przychodzili do nas, nocowali u Ingi w pokoju. A w ogrodzie była broń. W szopie na narzędzia ogrodnicze. Potem ta broń zginęła, patrzyłam na drugi dzień, gdy Ingi zabrakło. Nie było nic.

Spojrzała na karafkę z wodą. Lisiewicz napełnił szklanekę, przysunął. Wypiła jednym tchem.

— Wiem, że byli też inni. Słyszałam niektóre nazwiska. Powiem je potem... Oni już nie wszyscy są w mieście... Ale Fleischer jest, panie komendancie. On jest!

Poderwał się z miejsca.

— Jest Fleischer? Ten burmistrz, który uciekł z więzienia?

— Jawohl, Herr Kommandant. Łatwo go mogliście znaleźć, tylko że nie umiecie szukać. Ja wam muszę pomagać... Więc ten Fleischer to jeden z głównych szefów. On się trzyma osobno. Mieszka teraz na Ganssestrasse 8. U pani Bromberg. Broda i ciemne okulary. Broń ma przy sobie zawsze.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Rewelacje. Jak i każda z dalszych nowin podawanych przez Frau Stopf. Padały adresy, nazwiska, zaskakujące szczegóły. Maszyna panny Joasi stukiała bez przerwy, wałek co chwila przejeżdżał ze strony na stronę. Pani Stopf zeznawała. Głos jej był opanowany, spokojny, ręce tylko ani na chwilę nie odry-

12'

179

wały się od brzegów siedzenia krzesła. Ręce blade jak u upiora. Jedynie w momentach, gdy wspominała o Klein-mannie, głos jej się zmieniał, zaczynał wibrować i łamać się.

— ...Nie wiem, ilu ich jest... To w ogrodzie, za cieplarnią. Tam były wykopy pod drugi człon szklarni, Wilhelmini nie zdążył zakończyć roboty. Tam oni mają kryjówkę. Dobre wyjście, może dwa nawet. Mogą bronić się, strzelać... Ulica Kwiatowa 16...

Lisiewicz drgnął. Znów ta piekielna Blumenstrasse. Ulica, gdzie pięć domów bliżej, pod szóstką, mieszka Erna Schulmowsky... Z wysiłkiem odtrącił to przypomnienie, słuchał słów ziejącej nienawiścią kobiety.

— Tam trzeba ostrożnie. To jest bunkier. Prawdziwy bunkier. Wśród nich jest dwóch z SS. Nie wiem, czy wszyscy są w bunkrze. Ale Peter jest na pewno. To piękny dom. Ogrodnik Wilhelmini był bardzo bogaty. Teraz od dwóch dni mieszka w tym domu jakiś Polak z żoną. Zeby tylko z nimi coś się nie stało. Dlatego dziś przyszedłam, inaczej bym czekała, aż dowiem się więcej, wszystkiego. Za moją Inge... Taka ładna, mądra dziewczyna. Zabili ją, zamordowali...

— Może jednak żyje? Skąd pani wie?

— Wiem. Oni mordują. Oni wiedzieli, że Inga, jak się pokłóciła z Hansem, jak on ją zbił po twarzy, po głowie, Boże, po tej pięknej głowie, że ona wtedy wszystko powiedziała Polakom... Oni ją zabili, na pewno, tak jak zabili przedtem tego młodego Polaka, co to wpadł pierwszy na trop Fleischera...

— Walusia... To jest, przepraszam, Florczaka?

— Nie wiem, jak się nazywał. Tam jest teraz na tabliczce nazwy ulicy jego nazwisko. Chyba tak, jak mówi to pan komendant.

— Pani wiedziała, że oni go zabili?

— Wiedziałam. Inga była wtedy jeszcze w domu... Oni tę minę brali z magazynu, który był w naszej szopie. A zabili go gdzieś indziej... Inga go zaprowadziła w jakieś

180

miejsce, gdzie tamci już czekali... Powiedziała, że mu pokaże wojskowe magazyny. Uwierzył, poszedł. Potem śmieli się z niego, że taki był głupi...

Lisiewicz odetchnął ciężko. Z nienawiścią patrzył na Niemkę siedzącą przed nim. Ta kobieta mówiła o mordzie Walusia z idealnym spokojem. Wtedy to jej nie obeszło. Dopiero teraz, gdy mści się za córkę. Tylko to nią powoduje. Siłą więc nakazywał sobie milczenie, słuchając. Maszyna przy bocznym stoliku klekotała, panna Joasia zmieniała arkusz po arkuszu, protokół, pełen rewelacyjnych wiadomości, rozrastał się...

W pewnym momencie pani Stopf odetchnęła.

— Das ist alles... — podniosła się z krzesła. — Mogę już odejść?

Lisiewicz porozumiał się wzrokiem z Kijankiem.

— Przedtem przeczytamy pani protokół, potem go pani podpisze...

— Nie ma co czytać. Gdzie mam podpisać?

— Tak, a teraz przykro mi, ale musimy zatrzymać panią u nas. Tę długo, aż nie sprawdzimy prawdziwości słów pani. Musimy też zapewnić pani ochronę.

Nie zdziwiła się, nie zaproponowała.

— Dobrze. Ale pan komendant da mi znać, co działaliście?

— Zgoda. Będę panią informował — zadzwonił. Gdy w drzwiach stanął Mańczak, skinął ku niemu głową. — Odprowadźcie tę panią na piętro, do gościnnego pokoju. Niech tam czeka. Kolację proszę jej podać. No i pilnować jak oka w głowie... — spojrzał ku Joasi, pakującej w futerał swoją maszynę. — Tak, dziękuję. Niech to pani przepisze jeszcze w dwóch kopiach. Zastrzegam, najściślej poufne. A ten drugi egzemplarz proszę tutaj zostawić.

Jakiś czas uważnie odczytywał tekst. Dopiero po chwili podniósł głowę, oddychając głęboko. Napotkał utkwiony w siebie wzrok Kijanka.

— Zanim województwo potwierdzi moją rezygnację, może jednak przekonam obywatela Stefczyka, że dywersja niemiecka to nie sztuczny balon, ale realne niebezpieczeń-

181

stwo. Kto wie, czy nie ważniejsze niż tropienie starosty, Przybyły i innych najbardziej tu zasłużonych obywateli.

Kijanek skinął głową.

— Wątpię, czy rezygnację waszą potwierdzą. Darujcie, ale ze swojej strony ja też pozwoliłem sobie przekazać do województwa moją opinię... A towarzysz Stefczyk? Mówiłem wam już, co przeżył ten człowiek. Wymordowano na jego oczach całą rodzinę. NSZ czy inna faszystowska zbieranina... Poza tym to bardzo zasłużony, ale zarazem prosty człowiek. Patrzy na pewno zbyt jednostronnie. To spowodowało, że oddelegowano go z Kieleckiego. Nie umiał zachować proporcji... Nie trzeba się nim przejmować, kolego Lisiewicz... No tak, ale wracamy do rzeczy. Jeśli to wszystko prawda, to może wreszcie zaprowadzimy w naszym mieście trochę spokoju. Rewelacyjne dane. Co może nienawiść i chęć zemsty! Bo przecież ta kobieta nas także nienawidzi, tyle że tamta nienawiść mocniejsza...

— Myślę, że zaczekamy do wieczora. To zwiększa nasze ryzyko, ale zarazem daje akcji pełniejsze szanse... Zresztą i tak nie zdążylibyśmy z przygotowaniami. Tu trzeba sporej grupy ludzi. Uderzyć musimy jednocześnie we wszystkie podane punkty. Milicji będzie za mało. Wasi ludzie też nie załatwią sprawy. Warto by skomunikować się z kapitanem Wlazłą, wiem, że jest w mieście. Gorzej, jeżeli będzie musiał ściągać swoich z terenu, to nam przedłuży rzecz w czasie.

— Jest chyba jeden pluton na miejscu. Widziałem się z nim, obgadywaliśmy sprawę Chorowic, gdzie miał miejsce ten wielki napad.

— Wiem, wiem, byłem tam wczoraj. Straszna historia. Kiedy my wreszcie damy sobie radę z tym tałatajstwem? Wojna miesiąc jak się skończyła, a u nas front na całego...

— Nie tylko u nas. W Rzeszowskim jest jeszcze gorzej. Miałem tam być jako oficer drugiej armii, ale skierowano mnie do roboty tutaj... W niejednym miejscu w kraju jest bardzo gorąco. W bólu rodzi się nowa Polska.

— Sprawa w tym, by wiedzieć, gdzie i jakie jest naprawdę realne niebezpieczeństwo. U nas na zachodzie isto-

182

tny jest obecnie problem dywersji niemieckiej, band po lasach i wehrwolfowskich organizacji po miastach... Miałbym taki projekt...

Schylili się nad planem miasta, wyciągniętym przez Li-siewicza z szuflady. Zza okien z wolna zaczynał się sączy® mrok. Wezwany sierżant Pędzik przyjął wydane rozkazy przygotowania ludzi do akcji. Z ochotą stuknął obcasami. Lubił takie historie.

Miasto żyło tylko tym jednym wrażeniem. Młynarek zacierał ręce, jeszcze nie robił takich kokosów; przez calutki dzień, niemal od świtu, lokal był pełny, obok gorzelanki podawał najgorszy, mętrawy bimber, jak nigdy goście nie wybiedzali, nie sarkali, kto by zwracał uwagę na podobne drobiazgi, gdy takie rzeczy się dzieją.

— A mówiłem, ci wszarze nie ustąpią po dobremu... Nakryli ich, ale czy wszystkich? Podobno wielu pouciekało.

— Na tej Kwiatowej żadnemu się nie udało. Który wiał, dostał od razu po piętach. Nasi się tam wiele nie patyczkowali. I milicja, i wojsko, obława jakby na froncie. Pamiętam, w Warszawie...

— W Warszawie to my wiemy, gadaj, jak tutaj było...

— Mówił mi jeden z milicji. On nawet został ranny, postrzał w rękę, niegroźnie, już chodzi po mieście, ma trzy dni urlopu... Z dwóch stron ich zaskoczyli, musieli nawet przewąchać, że ten bunkier ma aż dwa wejścia...

— Bunkier?

— Prawdziwy bunkier, pod ogrodami... No, pod nasze polskie, do dna... Bunkier. A dom zajął jakiś nasz, ogrodnik, z żoną, bidaki... Zastraszeni już byli, bo tego wieczora jakieś cienie im się zwidziały w ogrodzie. Jak nasi zaczęli łomotać, stary uparł się, nie otworzył, krzyczał, że będzie

strzelać, nie wierzył, że to milicja. A tymczasem w ogrodzie szło już na całego — zaśmiał się. — Mówił milicjant, że jednego nakryli w takiej szopce, gził się z jakąś Niemczką... Jednym wejściem wdarli się od razu, granatami zarzucili, tamci mało co nawet strzelali... Najgorzej ta mina. Tam zabiło Chudzika i raniło tego kaprała z jed-

183

nostki. Podobno ten Niemczak, co to z Niemczką, krzyczał nawet, żeby ostrożnie. Ale nasi już parli. A u wejścia była mina. Wybuchła. Musiała tam być potem niezgorsza ha-ratanina, tamci bronili się, nasi zaś bili jak w kaczy kuper. Trzech łupnęli...

- 1 żaden nie zwiął.
- Mówił milicjant, że żaden. No to za naszych chłopaków!
- Panie Młynarek, daj pan jeszcze butelkę. Taka okazja...

Bliższą znajomością szczegółów mogli się popisać chłopcy z milicji. Obok dyżurnego jeszcze trzech ich tkwiło w służbówce komendy, przesłuchania trwały, należało sprowadzać i odprowadzać więźniów do aresztu.

Milicjant Mańczak awansował na pierwszego bohatera. Przecież to on zatrzymał tę starą Niemkę, która ogrodami przekradała się do komendy, a potem wyśpiewała wszystkie szczegóły. Teraz więc puszył się nadymał policzki, prostował się w krześle, aby wydać się trochę roślejszy.

— A tę jej córkę znaleźliśmy. Wyśpiewali tamci, co siedzą w starostwie... Powiesili ją, skurczybyki. Mówię wam, smród szedł, podejść nie było jak. Od dawna musiała tam wisieć. Dokoła nikt nie mieszka, same ruiny, na piętrze ją obwiesili. Zawzięci, jeżeli i między sobą tak mordują. Matka poznała, dziewczyna miała jakiś tam znak na sutku czy gdzieś, bo z twarzy to... I wiecie, stara nawet nie zapłakała. Tylko dopytywała się, czy wszyscy siedzą, czy przypadkiem któryś z winowajców nie został zabity w czasie akcji. Ma szczęście, żyją, mówił komendant, wykroi się niewąski procesik. Będzie u nas własny sąd, prokurator ma niedługo przyjechać. Zaczynają dla nich remontować budynek...

— Dobra jest. Patrz, Mańczak, abys sam do tego prokuratora nie trafił... Z taką gębą nie trudno...

Drzwi otwały się, wszedł sierżant Pędzik. Pachniało od niego wodą kolońską i wódką.

— Cześć chłopaki. Mam wolne, ale trudno w domu teraz usiedzieć? Jak wam tu, nudno?

184

— Gadamy sobie, jak to było przedwczoraj.

Pędzik zatarł dłonie.

— A było. Prawie tak samo jak na samym początku przy elektrowni. Was, pętaki, jeszcze w ogóle w naszym mieście nie było. My już mamy niejedno takie za sobą, starzy pionierzy... Ale i teraz złożyła się niewąska roz-róbka... Wiecie, ten dawny burmistrz, Fleischer, już ja go dobrze pamiętam, takiego

syna, to mówią, ich główny szef. Nie bronił się wcale. Ręce podniósł do góry, broń oddał, udawał zdziwionego, że czemu on, za co? A w śledztwie słowa podobno nie chce powiedzieć...

— Powie, powie. Już go tu dziś trzy razy przyprowadzaliśmy. Do rana się zmęczy tak chodząc, miękki będzie...

Pędzik nachmurzył się.

— Ta jego gospodyni, stare babsko, uciekła, cholera. Nie zwróciliśmy na nią uwagi, smyrnęła, czort jeden wie, jak i kiedy. W końcu mały żal. Gorzej z tamtymi od magazynu. Widzieliśmy jeszcze, jak szurali, sypnęliśmy za nimi, jeden dostał od razu w czapę, koniec, ale reszta przepadła. Mieli tego paskudztwa. Tak schowane, że ani by się kto nawet domyślił. Samych automatów przeszło dwadzieścia. Granatów, że nie policzysz. Materiał wybuchowy. I konserwy. Nareszcie będzie trochę lepszego żarcia w naszej stołówce, dobre mięso, świnina i polędwica wołowa. Ktoś gadał, że u hitlerowców takie racje były dla oficerów...

— Od nas ani jeden nie uszedł. Dwóch padło, dwóch rannych, a cała pozostała czwórka pod kluczem — wtrącił, jękając się jak zawsze w chwilach przejęcia, Sypczak. Przez twarz mu biegła szeroka blizna, pamiątka po walkach przy obronie elektrowni.

— Wy byliście gdzie?

— Przy ulicy PKWN-u.

— Aha, same ruiny... Tam co?

— Melina na sto dwa. Cholery miały nawet światło doprowadzone do piwnic. Nad nimi same gruzy. Diabeł by niczego się nie domyślił. Samiśmy długo tropili, już myślałem, że błędny trop, że gdzie indziej trzeba ich szukać.

185

Na szczęście pierwsi się odezwali. Właściwie wylaźł jeden z nich, czort zresztą wie po co. Drzwi były omurowane cegłami, ani by się kto czego doszukał... My: Hdnde hoch, a on za kieszeń. Ja wtedy granatem, zakurzyło, zadymiło, ciemno, więc prawie na ślepo przez te drzwi, rąbiąc przed siebie. Latarki, cholera, nam zawadzały... Ale tamci się już kapnęli, dawajże walić do nas... -Dobrze, że nie zabili nikogo. A od nich jeszcze jeden wykitował od razu.

— Ale Chudzik nie żyje — wtrącił sponurzały na to wspomnienie Pędzik.

— On był na Kwiatowej, gdzie ten bunkier.

— Wszystko jedno, fakt, że chłopak nie żyje. Płacze ta jego dziewczyna... Jutro pogrzeb. Już to mu uroczysty zrobimy. Pamiętam, jak Walusia chowaliśmy, to był kumpel, że rany Boga... Już myślałem, że tych jego zabójców nigdy nie dostaniemy. Ale są, siedzą...

— To ci, co pod starostwem w areszcie?

— A ci, komendant kazał ich tam dać, żeby od razu wydzielić od reszty. Całą trójkę... Tu zresztą, pod naszą komendą, ciasno jak nigdy. Tyle luda. Nasze złodziejaski i szabrowniki skorzystały na tym,

tych mniej ważnych zwolniono, mówię wam, chłopaki, mało nie poszaleli z radości... Niech sobie idą. Starczy tu dobra dla wszystkich...

— Coś nasz kapral dla szabrowników zrobił się łaskaw.

— Dureń z ciebie. Nie łaskaw, ale w końcu swoje chłopaki. W okupację w Warszawie też nieźle się szabrowało.

— Tu już nie okupacja.

— Dureń. A sameś sobie tego dywaniku na kwaterę nie ściągnął.

— Bo od podłogi wieje. A co, mają Niemki sprzedać gdzie na bazarze?

— Spokój, wiara! Co z tym starym doktorem? Tu siedzi?

— Bieda z nim. Sam siedzi w tej ostatniej piwniczce. Trzeba go mocno pilnować, klną tam chłopaki. Truć się chciał, jak go braliśmy ze szpitala, jakąś strzykawkę już wbijał, komendant był szybszy, machnął po łapie, aż strzykawka frunęła na sufit...

— Jasny gwint, trzy ćwierci do śmierci, a jeszcze wojuje... — zdziwił się któryś.

— Ba, gadają, że ten doktor doświadczenia robił na więźniach w obozie. Ma jakieś wielkie odznaczenie od samego Hitlera... Dobrą sobie melinę zrobili w szpitalu. Rannych swoich z lasów tu przywozili, doktor ich kurował, siostrzyczki Niemeczki pielęgnowały, żyć nie umierać.

— No, jest już nasz polski doktor, dwóch nawet, bo i babka przyjechała, młodziutka, niebrzydka, już tam bym parady nie chciał przed nią odstawiać. Głupio byłoby...

— Nie świntusz, Zenek.

— E, bo kiedy...

Urwał, do dyżurki weszli Lisiewicz i Kijanek. Milicjanci poderwali się z miejsc.

— Tego esesowca zabierzcie na dół... No i dość już na dziś. Druga w nocy. Trzeba odsapnąć. Kto zostaje z was na dyżurze?

— Ja, panie komendancie. I Sypała.

— Dobra, reszta wolna. A na dole jest dwóch?

— Tak jest.

Gdy za przełożonymi zamknęły się drzwi, znów przysiedli wygodniej, spojrzeli po sobie.

— Ci też mają już dość... Od rana ciągną to śledztwo. A jeszcze dalsze akcje, ganiecie po mieście.

— Za późno. Tylko jednego ptaszka nakryliśmy. I babkę... Reszta wywiała. To wszystko było już cokolwiek za głośne. Całe miasto gada. Nasi i Niemcy.

— Inaczej się nie dało — mruknął Pędzik, wyciągając rękę na pożegnanie.

Gdy wyszli całą trójką przed budynek, nie od razu się oswoili z ciemnością. Był to właśnie czas, na krótko przed brzaskiem, gdy noc jest najciemniejsza. Z oddalenia usłyszeli tylko cichy tupot nóg Lisiewicza i Kijanka. Zawrócili w przeciwną stronę.

Lisiewicz przyświecał sobie latarką, wyminął jakąś dziurę. Zmęczonym głosem, nerwowo podrzucając ramionami, powiedział:

187

— Nie macie pojęcia, jak jestem rad, że udało się nam rozwiązać tę historię. Teraz spokojnie będę mógł odejść, chciałbym już wrócić do swego nauczycielskiego zawodu...

— O tym jeszcze, pogadamy. Zresztą musu nie ma... A z tym rozwiązaniem to też częściowo. Wielu nam przeciekło przez sitko. Za małe mieliśmy rozeznanie. Teraz wszystkie nory już puste...

— Dla mnie ważne te dokumenty. Spisy. Choćby wdów i sierot, którymi się opiekowali. Dobra wskazówka. Same esesmańskie kobiety... — Przystanął. — Twardy ten cały Fleischer. Nie wiem, nic nie wiem. Ale patrzy tylko bezczelnie. A jeśli nie był głównym szefem, to w każdym razie należy do kierownictwa. To pewne. Jak to wylazła ta jego szarża. W przełożeniu na naszą język to byłby kapitan? Tak?

— Kapitan... Im dłużej będzie milczał, tym szczyżej potem zaśpiewa... Mnie niepokoi co innego, jakieś jeszcze tylko cienką nitką odsłaniające się powiązania z grupami z lasu... W tej okolicy trzeba by większej akcji, przeczekać całego terenu. Esesmański batalion rozbity został, jak mówicie, przez jednostkę radziecką, która tutaj stacjonowała, ale nie do reszty. Rozbiegli się, potem znów połączyli w grupy. Innych maruderów też pełno. Gdyby ich ktoś zorganizował, staliby się niebezpieczni... Na granicy podobno ciągle potyczki, różni tacy się przedzierają. Niemcy. A i nasi z ciemnymi kartami też rwą na tamtą stronę, byle na zachód... O, tutaj to wesoło! Tłok. Do której czynna ta knajpa?

— Do czwartej rano. Może byśmy wstąpili? Mam dziś dziwną ochotę na wódkę. Przy okazji spojrzę się, jak to wszystko wygląda. W cywilu jesteśmy.

— Znać, to nas i tak znają, ale wszystko jedno. Chodźmy. Ja stawiam.

Przed wejściem musieli ustąpić drogi dwom parom. Wojskowi z jednostki siewnej, na przepustkach najpewniej po udanej akcji, mocno zawiani, wytaczali się w towarzystwie jakichś również podpitych dziewczuch. Jedna z nich spojrzała na towarzysza, całym ciałem się wsparta o niego.

188

— Bohaterze ty mój... Z tobą gotowam się "puścić tylko na miłość... No nie, Zocha?

— Dobrze mówisz, Ewka, ja z moim Jchłoptasiem też. Idziemy do nas, bohaterowie...

Lisiewicz i Kijanek spojrzeli po sobie, przeszli przez rozwarte drzwi. Za nimi zostały chichoty dziewcząt obejmujących swych bohaterów...

— Idziemy, idziemy... O, cholera, fajerwerki, brawo, niech żyje...

— Co ty? Prawda. To nie fajer... fajer.. cholera, wszystko jedno, to chyba raca. Zielona. Pewnie wojsko. Pocałuj mnie, Zocha...

— No już, dobre, co?

— Dobre...

W tej chwili rozjazgotały się strzały. Od strony głównych budynków miasta. W knajpie zagasło światło. Wybiegający ludzie potracali się nawzajem, klnąc ile wlezie.

5.

Tego nikt nie mógł przewidzieć. Zaskoczenie było zupełne.

Wypad przeprowadzony był według z góry ustalonego planu. Na domiar podobno i z dużą bezczelnością. Bo nawet raca była jako sygnał zaczęcia akcji, Przerwana została, dopiero co przed tygodniem uruchomiona, zewnętrzna łączność telefoniczna, uszkodzona elektrownia. Strzelanina w innych punktach miasta poza budynkiem komendy stanowiła przemysłne markowanie. Chodziło tylko o więźniów...

Odbili ich wszystkich, całą siedemnastkę, z wyjątkiem trójki, siedzącej pod budynkiem starostwa, o której wy-' wiad wehrwolfowski widocznie się nie wywiedziało.

Napastnicy zostawili jednego zabitego, dwóch ciężko rannych. Jednego z nich pragnęli dobić, ten drugi strzał był

189

chyba śmiertelny, wyzionął Niemiec ducha, nim się można było czegoś od niego wywiedzieć.

Polegli milicjanci Sypała i Florkowicz. Ciężko ranni byli Mańczak i drugi z dozoru aresztu. W szpitalu zmarł milicjant ranny w pierwszej pławie. W stolarni Środy szykowano cztery trumny, bo jeszcze i Chudziaka nie zdążono pogrzebać. Starosta zarządził żałobę. Młynarek musiał na trzy dni zamknąć swój lokal. Ale pijanych było na mieście nie mniej niż zawsze...

Lekarz zezwolił Mańczakowi na złożenie zeznań. Słabym głosem, z oczyma wlepionymi w sufit, jakby ponownie odżywały tam przed nim wydarzenia tej nocy, starał się ułożyć wszystko w chronologicznym porządku:

— Gdy komendant powiedział, że dość na dziś i wyszedł z porucznikiem Kijankiem, to jeszcze chwilę pogadaliśmy w pięciu. Potem zabrał się Pędzik z resztą, zostaliśmy tylko z Sypałą. No i na dole tamci dwaj. Może pięć minut minęło, może dziesięć, nie patrzyłem na zegarek, zajaśniało coś za oknami, jakby zielono. Skoczyliśmy z Sypałą, nie dotarliśmy do okna, huknęły strzały, zarazem zgasło światło, drzwi się wwalily do środka, Sypała zakrzy-czał strasznie, potem piszczął jeszcze jak dziecko... Nie wiem, co z nim było, później, tutaj się dowiedziałem, że nie1 żyje. Skoczyłem za szafę, zza tej osłony waliłem, ale automat mi się, cholera, zaciął. Wtedy dostałem... Nie wiem nic więcej, słyszałem jakby jakieś hałasy, głosy, ale może mi się tylko zdawało... To oni odbili wszystkich swoich? Udało się? Co można było zrobić, tak nagle... Jeszcze, że ciemno. Ale i tak byłoby to samo...

Milicjanta z ochrony aresztu nie można było przesłuchać. Ranny w płuca, ciągle tracił przytomność, stan jego wahał się na pograniczu życia i śmierci. Zresztą najpewniej i to niewiele by dało. Musieli się mocno bronić z Florkow-skim, cała piwnica podziurawiona była pociskami. Niemcy rzucili tylko jeden granat, najpewniej bali się urazić swoich...

Wiadomo było tyle, że wycofali się potem przełazem wśród ruin, boczną ulicą, do szosy, na której czekała ich

190

ciężarówka. To jej warkot zmylił niejednych, że nadchodzi wojskowa pomoc. Może by się w innym wypadku udało zatrzymać uciekinierów... Najgorsza zresztą była ta ciemność... Ciężarówkę znaleziono przy szosie o dobrych dziesięć kilometrów od miasta. Zresztą trop mógł być fałszywy, motory słychać było z różnych stron. Inna sprawa, że pościg poszedł w dobrym kierunku. Z pierwszą grupą Niemców starcie nastąpiło nad ranem, było już wtedy jasno. Zaalarmowany pluton wojskowy z obsiewanego majątku zetknął się z nimi przy skrzyżowaniu dróg. Musiała to być jakaś boczna osłona, albo może zupełnie inna grupa maruderów, również przedzierających się ku granicy...

Tyle było powszechnie wiadomo, takie wieści komentowali ludzie, odprowadzający po dwóch dniach cztery trumny na cmentarz. Grała orkiestra wojskowa, przybyła delegacja z województwa, znalazło się mnóstwo wieńców.

Sierżant Pędzik otwarcie płakał. Nowe groby wyrosły obok grobu Walusia. Nie cieszyło to nawet sierżanta, że szczęśliwym trafem właśnie trójka morderców pozostawała pod kluczem, ci przetrzymywani pod budynkiem starostwa.

Przemawiał starosta, Lisiewicz, ksiądz. Ludzie chlipali. Nieliczna grupka Niemców, trzymająca się na uboczu, stała z ponurymi twarzami. Kto mógł wiedzieć, co odczuwali, skąd wyływała ta ich ponurość.

Huknęła salwa honorowa. Znalazły się odznaczenia pośmiertne, drogą iskrową specjalnym rozkazem przekazane z Warszawy.

Dzień był ładny, niebem przesuwwały się jasne, rzadkie kumulusy. Tym razem pogoda nie cieszyła, odwrotnie, stawała się jakby ironicznym, niepotrzebnym akcentem. Pędzik przysunął się bliżej, wraz z innymi rzucał grudki, tępo uderzające o trumny. W oczach miał ciągle łzy, w sercu jakby kawał kamienia. Zapiekały się w nim złość i żal, i olbrzymiejąca nienawiść. Wojna jeszcze się nie skończyła. Wojna dla nich wciąż trwała.

Nie mniej silnie przeżywał całą sprawę Lisiewicz. Tak się cieszył z rozbicia podziemia Wehrwolfu, a taki wszyst-

191

ko przybrało obrót. Palce gotów był sobie gryźć z pasji. Wróciły wszystkie nerwowe ticki. Twarz znów zszarzała, zapadła się, aż zaskoczony wyglądem przyjaciela Zielniak potrząsał go za ramię, szepcząc:

- Gienek, opanuj się, zdarza się różnie, nie twoja wina...
- Stefczyk inaczej sądzi...

Nie było to zresztą dla niego ważne. Z komendantem bezpieczeństwa mieli już wcześniej na pieńku. Kijanek tylko łagodził starcia. Nie miał jednak na tyle wpływu, by powstrzymać swego szefa od wydania podobnej opinii. Lisiewicz jest winien. Jeśli wiedzieli już, że mają do czynienia z dobrze rozbudowaną organizacją, należało zabezpieczyć się przed każdą możliwą niespodzianką. Areszt powinien mieć silną obstawę, tak samo jak centrowe punkty miasta. Tymczasem bez trudu przeniknęli Niemcy i na pocztę, i do elektrowni. Nie mówiąc o napadzie na samą komendę, o odbiciu więźniów...

— To może być bezmyślność, towarzyszu Lisiewicz, za nią też drogo się płaci w naszej służbie. A może być coś innego. Są w kraju tacy, którym zależy, aby było jak najwięcej zamętu, aby życie nie mogło się unormować. Zdarza się, przenikają wszędzie...

— To mnie aresztujcie od razu — uniósł się wtedy Lisiewicz.

— Nie uczcie mnie, będę wiedział, co kiedy mam zrobić. Może nawet i to...

— • Stefczyk, hamuj się... Ja też byłem tam razem. Uważam, że zabezpieczenie było wystarczające. Czterech milicjantów na służbie — dosyć ostro wtrącił się wtedy Kijanek.

— Ciebie też nie usprawiedliwiam. Razem poniesiecie wszystkie konsekwencje.

Tego samego dnia nakazał aresztować kierownika elektrowni, Przybyłę, i dopiero co upieczonego pocztowca — telegrafistę, młodego chłopaka, świeżo zdemobilizowanego. Kijanek i Lisiewicz wzruszali ramionami, stukali się w czoła. Inna sprawa, Przybyłę trzeba było zwolnić po paru

192

godzinach, nie było bowiem nikogo, kto by potrafił naprawić awarię.

Do uczuć żalu i smutku dołączył się lęk.

Na trzeci dzień wieczorem od napadu nadeszła wiadomość, że po dwóch dniach pościgu i walk silna grupa uzbrojonych Niemców, usiłująca sforsować granicę, została rozbita przez oddziały wojskowe. Wśród zabitych znajdował się niejaki Fleischer. Tylko trzem udało się wyrwać z założonych cęgów... Bronili się do upadłego. Większa część pochodziła z esesowskiej formacji.

Wiadomość ta rozładowała trochę ponury nastrój w mieście. Ale do świeżych grobów na cmentarzu wciąż ciągnęły grupki ludzi, przybywało kwiatów. Sporo nowych osadników opuściło miasto, szukając bardziej bezpiecznych okolic. Nocami barykadowali się ludzie w domach. Strach ma wielkie oczy. Posypały się szeptane opowieści, że nie opodal w lasach są jeszcze inne silne oddziały niemieckie, że i w mieście ujawniono tylko jeden z pionów organizacji... Bano się. A z drugiej strony wzbierająca pasja wyraziła się w pobiciu kilku Niemców, mieszkańców miasta. Trzeba było interweniować, wzmocnić patrole na ulicach.

Pędzik zameldował komendantowi, że zamieszkała przy ulicy Kwiatowej 6 Erna Schulmowsky nie zauważona opuściła wraz z dziećmi miasto. Siad po niej zaginął.

Nie mógł tego pojąć ani z niczym skojarzyć. Zresztą po raz może pierwszy od tamtego dnia, gdy uciekał z jej domu, więcej, z jej objęć, mógł myśleć o minionym na spokojno, bez szalonego podrażnienia. Nowe dramaty cięższym brzemieniem przytłoczyły poprzednie.

Zła passa dla miasta zdawała się teraz poszerzać i nie mieć końca. W hucie szkła pierwszy wytop nie udał się. Starzy niemieccy fachowcy odmawiali współpracy i wskazówek. Odlewni zaczynało brakować surowca. Piętrzyły się kłopoty z aprowizacją. Kierownik Państwowego Urzędu Repatriacyjnego uciekł z większą gotówką. Wybuch miny przy bocznej ulicy rozerwał dwoje repatrianckich dzieci. Ktoś znów usiłował zamordować jakąś dziewczynę. W szpitalu

13 Przejaśnia się niebo t. I

193

obejmujący swe funkcje polski lekarz stwierdził zaginięcie całego zapasu medykamentów, takich jak morfina, eter i inne. Powstały trudności przy operowaniu chorych. Na podobne wiadomości Stefczyk był zmuszony odpowiadać aresztowaniami.

ROZDZIAŁ V

1.

w papierach przechyliła się ku koleżance:

— W tych ciuchach, co to je teraz przysłali, są podobno ładne sweterki, mówił mi Małecki, wiesz, ten rudzielec. Sukienek też dużo, tylko tak dziwnie szyte.

— Amerykańskie. One muszą mieć cudaczne figury — odszepnęła Wala, zerkając mimochodem na swą mocno pękata posturę. — Sweterek się przyda...

— Do jasnej niespodziewanej, co tam panie głupstwa sobie opowiadacie, gdy tu ludzie czekają!
— nie wytrzymał nerwowo chudy, łysy jegomość. Gromko poparli go inni.

— Już, już, przecież pan widzi, sekundy nie ma wytchnienia. Ja tu dłużej już nie wytrzymam...

— A to dobrze byłoby, bo panna nawet ołówka w rękę utrzymać nie umiesz. I taką dali do referatu osiedleńczego...

— Spokojnie, spokojnie... Więc w mieście pragnie się pan osiedlić? Tak? A zawód pana?

— Handlowiec, spółdzielca. W Równem prowadziłem kooperatywę...

— O rany, Julka, to pan Bochenek takich szuka, wiesz, ta spółdzielnia, co to ją chcą założyć.

— No widzi pani — udobruchał się łysy jegomość. — To gdzie mam iść?

— Zaraz, zaraz... Tu ma pan adresy wolnych mieszkań. Podkreślone, to jeszcze zamieszkałe przez Niemców. Scie-śnię się, do ich wyjazdu podobno niedługo, potem będzie pan miał wszystko dla siebie.

— A całego domku wolnego tak by nie było?

195.

— Musi pan sam sobie poszukać i u nas zgłosić, wtedy wyda panu kolega przydział...

- Zobaczymy... To gdzie urzęduje ten pan Bochenek?
 - Pokój osiemnasty. Wydział handlu. Teraz pani, są dokumenty?
 - Karta repatriacyjna. A w PUR-ze dali mi to...
 - Aha, kartę osiedleńczą... Zawód?
 - Ja dla męża. Szewc. Może jaki warsztat po Niemcach się znajdzie?
 - To już sami musicie szukać...
 - Cholera, co za porządki. A mówili, że wszystko tu czeka gotowe, brać tylko...
 - Ale poszukać trzeba... Nocować możecie w PUR-ze, tam teraz ładnie urządzili.
 - W kupie, jakże tak żyć? A pieniądze na osiedlenie, zasiłek?
 - Jak już znajdziecie mieszkanie i zameldujecie się, można wystąpić z wnioskiem. Zapomogę dał wam już PUR.
 - E tam, głupie sto złotych...
 - My jeszcze i tyle na pensję nie otrzymałyśmy —' obruszyła się urzędniczka.
 - Ja tam już nie wiem... — kobieta wzruszyła ramionami. I zaraz schyliła się do ucha swej rozmówczyni. — Niech pani popatrzy za czym ładnym, mąż by się odwdzieczył, jakieś pantofelki, na skórze. Ma trochę ze sobą, tu też podobno skórę dostać można u Niemców. Więc jak?
 - Tu są adresy. Nic więcej pani pomóc nie mogę. Pan, proszę?
 - O, macie te swoje adresy! Picujecie tylko ludzi. Gran-da, skandal! Ja do samego starosty pójde z skargą. Obszedłem te mieszkania. Albo już jacyś mieszkają, nie patrząc, z przydziałem czy bez, albo Niemców pełno na kupie, albo jakie ruiny, a w środku tandeta, meble brzydkie, mało, jakże to tak? Dla swoich musicie mieć co innego? Tylko prostym ludziom tak mydli się oczy...
 - Proszę pana, niech pan nie krzyczy...
 - Ja nie krzyczę, ja żądam sprawiedliwości! Teraz jest
- 196
- demokracja! Skończyły się wasze fochy. Ja wam pokażę. Ja ł do Bieruta mogę trafić...
- Nic więcej panu nie poradzę... Pan w jakiej sprawie?
 - Proszę pani. Mieszkać chciałbym. I gdzie by tu jaką pracę? To są moje papiery. Nauczyciel jestem, repatriant, z Lwowskiego...
 - Nauczyciel, to do pana Staszewskiego. On jest inspektorem szkolnym, urzęduje od wczoraj... Ucieszy się bardzo. Tu wykaz mieszkań, ale może pan i sam sobie szukać...

— Co tu pani taka gładka dla jakiegoś tam Ukraińca, a mnie nie chcesz pani załatwić do końca. Albo jest sprawiedliwość, albo...

— Proszę pana, mnie bandy UPA wymordowały całą rodzinę...

— Każdy tak odpowiada, pchają się zza tego Buga nie wiedzieć po co... Ustąp pan, pókim dobry...

— Zaraz, zaraz, bez krzyku, bo my z takimi też potrafimy poradzić — kilku młodych ludzi z kolejki przysunęło się do awanturnika. Ochłonął, spokorniał, zaburczał coś tylko o cholernych czasach, kiedy byle obwieś najwięcej ma do gadania, w końcu umilkł i wreszcie usunął się z pomieszczenia.

Urzędniczki odetchnęły z ulgą. Ale spojrzenia rzucone na nie kończącą się kolejkę napełniły je lękiem od nowa. Ludzie tłoczyli się gromadnie, kobiety, mężczyźni, wyszarżale, zmarnowane wszystko, jakaś matka nie krępując się obecnych karmiła dziecko piersią, ktoś inny żarłocznymi kęsami gryzł chleb otrzymany najpewniej w punkcie PUR-u na dworcu.

— Wala, skąd tylu ludzi się bierze? Końca nie ma...

— Ano, starają się poniekąd, wedle przepisów małżeńskich, albo i bez małżeństwa — burknął któryś z młodzieńców.

— A to proszę! Skoro pan chce zakładać rodzinę, to przedtem dane osobiste. Kto, czy na osiedlenie — dziewczyna nie dała się zbić z tropu.

Po sali przewinęło śmiechem. Atmosfera zelżała.

Kuśtykający woźny, pono ze stażem na tej funkcji

197

w drohobyckim starostwie, wszedł z niesłychanie poważną miną, przypinał na tablicy jakieś ogłoszenia. Przysunęli się ciekawscy, czytali:

Poszukuje się majstrów i robotników budowlanych wszelkich specjalności. Zgłoszenia: pokój 7.

Poszukuje się nauczycieli. Zgłoszenia pokój 11, ob. Staszewski

Poszukuje się specjalistów od wytopu szklą.

Wytwórnia octu i musztardy szuka fachowców.

Pracownicy handlu poszukiwani.

Kartek było chyba z dziesięć. Niektórzy od razu zawracali pod wskazane adresy, inni potrząsali przecząco głowami, nie odpowiadało im coś.

. — Frajerów szukają. Będzie kto tyrał za parę złotych, kiedy tu w godzinę obłowić się można za całe lata...

— Proszę, pana o dokumenty? PUR, tak... Na osiedlenie? Zawód?

Ogarnął ją rozmarzonym wejrzeniem:

— Jakie to szczęście, że zaszedłem na pocztę i zobaczyłem w okienku te moje śliczności...

Zezwoliła się przytulić i ucałować. Ze śmiechem startła mu z warg ślady pomadki. Od niedawna zaczęła się malować, ba, nawet brwi dała sobie podskubać u mistrza Walentego, który otworzył pierwszy zakład fryzjerski w mieście.

Stali przed otwartą na rozcież szafą, pełną bielizny i ubrań. Mężczyzna z zainteresowaniem spoglądał na spory wybór męskich garniturów.

— Toś się musiała, Gieniuchna, dobrze zakrzętnąć. Już tak zaopatrzonych mieszkań dziś się nie znajdzie. Chyba te,, w których jeszcze mieszkają Niemcy. Ale i oni opylają na rynku, co tylko można. Ech — westchnął — trochę grosza, to można by tu zahandlować. Ale cóż, człowiek z powstania niewiele ocalał w kabzie...

198

— Było trochę tego na miejscu resztę ściągnęłam /. rozbitych domów Co się miało marnować. Deszcz lał. wiatry chodziły, różni złodzieje. Zresztą my z Jaśką to z tych pionierek, najpierwsze w mieście Strach przypomnieć. :o tu się działo jeszcze parę tygodni temu.

— Ejże, ty moja pionierko Cztery pokoje tak umeblować! Niezłe meble, choć na mój gust trochę przyciężkie. ale wytrzymać można..

— A widzisz. Zygmuś. a widzisz... — oczy jej błyszczały, naprawdę ładnie wtedy wyglądała, wiedziała o tym.

— Człowiek się poniewiera na noclegach w PUR-ze, mogłabyś mnie przenocować raz, drugi u siebie, nim co znajdę. Coraz mniej jest do wyboru. Ot, takie mieszkanie, to jak wymarzyć..

Osloniła się przed jego zbyt natarczywymi już dłońmi.

— Zygmuś. powiedziałaś, że mną nie tak... Pierwszy raz tu jesteś, a już pchasz łapy tam, gdzie nie trzeba. Ja jeżeli już. to tylko po ślubie. Przedtem żadnych nocowań... Chodź, pokażę ci kuchnię, tam dopiero pyszności. Mama moja zawsze mówiła, najważniejsze to kuchnia.

Tam, gdy nowym zachwytem jej adoratora nie było końca, śledząc go spod przymrużonych oczu, wspomniała wczorajszą rozmowę z Jaśką.

Niby to nadal przyjaźniły się z sobą, ale było to już coś całkiem innego niż kiedyś. Jaśka zajęta zresztą była bez reszty swym Felkiem, jak wygadała się zresztą niedawno, zaszła wszak w ciążę.. Nie było już tyle wspólnie spędzanych godzin, dołączyła się może i nutka zawiści ze strony Gieni. Wciąż pozostawała samotna w swym pięknym, doskonałym zaopatrzonym mieszkaniu. Jaśka na przestrogi, że żyje z Felkiem na kocią łapę, wybuchała śmiechem, mówiła, że nieważne, jeszcze trochę, pobiorą się. Felek choć młody, to nie byle wycirus. wyprawia wesele, całe miasto będzie się trzęsło..

Aż wreszcie pojawił się Zygmuś. Przyjechał którymś z transportów osiedleńczych, blisko dziesięć dni koczował już w punkcie noclegowym PUR-u, szukając dla siebie intratnego zajęcia i miejsca na zamieszkanie. W tym samym

199czasie Gienia zaczęła pracować na świeżo uruchomionej poczcie. Kierownik, pan Bakłażan, stary pocztowiec, poduczał swoje panienki, tak że umiały już przyjmować listy, lepić znaczki, nawet zapisywały jakoś depesze. Gieni bardzo podobało się za okienkiem. Spokojna praca, niebrudna, wciąż nowe twarze, ruch wokoło, a do pisania można się wzwyczaić; lepiej już idzie jak w pierwsze dni. Ludzie zresztą czekają na ogół spokojnie, czasem któryś tylko poburczy. Za wiele przy tym roboty nie ma, dopiero początek... Więc gdy się zjawił pan Zygmus z jakimś listem, uśmiechnął się raz i drugi, powiedział coś miłego, zapatrzył się tak jakby cud zobaczył, nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem, paru słowami, nie zgodzić się w końcu po urzędowaniu na randkę. Właściwie pierwszą prawdziwą randkę w jej życiu. To wtedy właśnie powędrowała do zakładu fryzjerskiego...

Tymczasem ta głupia Jaśka... Najpewniej z zazdrości. Gdzież bo równać się Felkowi z Zygmusiem? Ten i uczoney, i świat zna, bohater przy tym, z warszawskiego powstania, przecierpiał swoje, a tamten? Szczeniak, który smyrgnął na zachód spod ojcowskiej ręki, pałęta się po tym mieście, bez fachu, takie popychadło właściwie, choć go niby sam starosta hołubi i inni także czynią honory... Pewnie, że głupia Jaśka. Ostrzegać ją przed Zygmusiem. Raz, że ona na wiarę nabrać się nie da, spać tak ni stąd ni zowąd z mężczyzną nie pójdzie. Może Jaśce głupio i dlatego teraz tak gada, bo ona z Felkiem, wiadomo...

- — Ty, Gienia, uważaj. Nie wiadomo, co on za jeden. Niby się za handlowca podaje, mówi ci, że sklep miał własny przed wojną, owocarnię, a tymczasem ani za grosz na tym się nie zna... Słyszałaś, co mówił o pomidorach? Obdartus. ani się ubrał porządnie, widać, że po kimś nosi ubranie.. Leci na twoją chałupę, na pełne szafy...

— Kiedy on tego jeszcze nie widział. Przecież nie będę wprowadzać mężczyzny do domu.

— Wprowadzić możesz, ale uważaj. Za gładki on dla mnie. Włoski przylizane, buczki, choć stare, a wyczyszczone, oczyma kręci, nosem wietrzy, uszami strzyże.

200

Pełno teraz takich, zobacz tylko po restauracjach. Szabrownicy, nieroby, zwyczajni złodzieje. A na dziewczyny lecą, ot, aby się zabawić, nic więcej. Uważaj, Gienia.

Wspominała tę rozmowę, marszczyła brwi, przyglądała się swemu adoratorowi. Coś tam jednak ze słów Jaśki musiało do niej przeniknąć. Może dlatego zdecydowała się na to zaproszenie. W biały dzień, nie inaczej. Chciała sprawdzić, jak zareaguje Zygmus na widok jej dobytku. Niby nic, podobało mu się, podziwiał, każdy by tak podziwiał, ale nie przemawia się... Z tym nocowaniem, wiadomo, każdy mężczyzna łasy na takie noclegi. Jeszcze pod puchową kołdrą, na pięknie rzeźbionym łożku. A materace jakie mięciutkie, utonąć w nich można...

— Gieniuchna, aniele, ależ z ciebie będzie żoneczka, zaradna, gospodarna, jak to pomyślałaś o wszystkim...

Coś czujnego w jej spojrzeniu musiało go przestrzec, zmienił temat.

— Ale co tam te całe rupiecie. Nieważne. Sam miałem niemało dobra, i co, w gruzy poszło, dom się zawalił, grzebiąc rodzinę. Gdy po powstaniu wróciłem, aby zobaczyć, nic, tylko gruzowisko.

Dozorca wyszedł z życiem, mówił, wszystko zasypane, żywcem... Moja Olesia, Panie zmiłuj się nad jej duszą, mama, dzieciaczek, trzy latka miał, maleńki taki...

Drgnęła.

— Olesia? Kto to taki? Dzieciaczek? Twój, Zygmus?

— A czyj że by mógł być? Olesia dobrze się prowadziła, słowa nie mogę powiedzieć... Co ty tak patrzysz na mnie, Gieniuchna? Nie mówiłem ci jeszcze, że byłem żonaty, że dziecko miałem? — głos się mu załamał. — Było, było wszystko, teraz sam jak ten palec, sierota zupełna zostałem. Nie chciałem już więcej mieszkać w Warszawie, ruszyłem tutaj, aby zakotwiczyć się daleko od tamtych wspomnień, zacząć nowe życie, może rodzinę raz jeszcze założyć, niczego złego już nie pamiętać, cieszyć się tym, co jest... Nie wiem tylko, czy znajdę odpowiednią kobietę. Co druga dzisiaj to jakieś ladaco, nie wiadomo, co z taką począć. Niezaradne

201

Na schodach spotkali Jaśkę i Felka. Szli zagadani, zaaferowani czymś, ale pogodni. Zatrzymali się na ich widok.

— Dobry dzień — Felek pierwszy wyciągnął rękę do pana Maciaszka. — No i co, zahaczył się pan już o coś? Długo się pan namyśla. Z kierownictwa tej odbudowy pan zrezygnował? Musi się pan śpieszyć, co dnia więcej ludzi przybywa, trudniej będzie, nie łatwiej. Ruszyło wszystko z kopyta. Mówił mi dziś kierownik handlu, już prawie dwadzieścia sklepów jest w mieście. Pan z handlu? Może też sklepik? Dla mnie to nieciekawe, łatwizna, ale co kto ■woli.

— Myślę, że byłoby nieźle... Ciężka praca, ale na swoim, od nikogo się nie zależy. Bo ja szefów nie lubię. Wie pan, może by jaki komis? Tylko mało pieniędzy mam na początek. Ludzie jedni sprzedają, drudzy kupują, ci różni przyjezdni zwłaszcza, na różnicy można dobrze zarobić.

•— Co pan woli. Wszystko potrzebne, jak mówi starosta. No, do widzenia, mamy z Jaśką robotę.

— Wiesz, Gienia — przytrzymała jeszcze Felkowa wybranka swą koleżankę — na jesień wyprawiamy wesele. Dziś tak postanowiliśmy.

Gienia westchnęła. Posłyszała też obok siebie westchnienie Zygmuta, co bardzo ją rozczuliło. Wsuwając dłoń pod jego ramię, widziała, robiły tak inne kobiety, przytuliła się do swojego mężczyzny. Życie zaczynało dla niej nabierać nowych zupełnie odcieni.

Wiktor rozszłościł się nie na żarty. Christine od dawna nie widziała ojca w takim podnieceniu. Skuliła się przy swojej robótce nad stołem, oczyma tylko ślepiąc za miotającym się rodzicielem.

Głupia jesteś. Ale my za twoją głupotę wszyscy będziemy płacić... Sama się nie uczysz, ciągle nie potrafisz sklecić zdania po polsku. Mało tego, dzieci nie uczysz. Józef dobrze mówi, jesteś leniwa i głupia. Żeby aż do tego dochodziło, aż do tego...

Chwytał się rękami za głowę, po czym nagle przestał

204

się miotać, usiadł za stołem, podpierając się łokciami. Myślał nad czymś intensywnie.

Mimo lęku zerkała na ojca z niechęcią, więcej, z narastającą nienawiścią. Czemu każe jej robić to, na co ona nie ma ochoty? Co by Willi powiedział, gdyby mógł wiedzieć, że dzieci jego na siłę mają stawać się Polakami? Willi nie żyje, została samotna i musi znosić humory ojca i tego nieznośnego Józefa. Gizelda pokpiwała z nich, wiedziała, co robi. Sama wyjechała, pewnie jest już gdzieś u aliantów, spokojna, gzi się z jakimiś chłopcami, zawsze rwała się do tych rzeczy, ani o nich pomyśli. Drwi może tylko, śmieje się ze swojej siostry...

Pewnie, ojciec może się złościć. Jemu to nie na rękę. Dziś wcześniej czemuś wracał z warsztatu i usłyszał, jak te dzieci polskie z naprzeciwko wyzywały jej małe od szwabów. Gerta trochę więcej zna polski, odcinała się im, aż wreszcie, zirytowana, wrzasnęła: a wy to polskie psy. Dopiero się zaczęło. Ledwie dzieciaki zdołały uciec, tamte pędziły za nimi z piekielnym wrzaskiem, zaczęły ciskać kamieniami, trzaśła wtedy szyba w stołowym pokoju... Ojciec właśnie nadszedł, może na szczęście, różnie by mogło się zdarzyć, już i starsi biegli tamtym na pomoc.

A teraz ojciec klnie nie na żarty. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. W końcu ma prawo żądać, Christine nie pracuje nigdzie, tkwi mu z dziećmi na karku. Willi nie był zapobiegliwy, nawet na sprzedaż nie znalazłby wiele. Ojcu tymczasem dobrze się wiedzie, rozrasta się jego stolarnia, nie żałuje im, ale za to żarcie może wymagać.

Podniósł głowę, popatrzył na nią zmęczonymi oczyma.

— Christine, co ty właściwie sobie myślisz? Podoba ci się to czy nie, już jest za późno, nie możesz się teraz wycofać, skoro się przedtem zgodziłaś...

— Podjęliście decyzję ani mnie pytając o zdanie.

— Milcz! Nie protestowałaś. Uśmiechałaś się do Józefa, przypomniawsz pierwsza tych parę słów, które jeszcze umiałaś po polsku... Teraz jesteśmy Środami, Mittwochowicie to przeszłość. Gertruda i Johann muszą nauczyć się dobrze mówić po polsku. I pisać, i czytać.

205

— Im to niepotrzebne. Prędko zaczną się wyjazdy do Niemiec, zabiorę się z nimi. Tam ich nikt do polskiego nie będzie zmuszał. Jestem Schirmer po mężu i nie obchodzą mnie żadni Srodowie.

Podniósł się z miejsca, krępy, z zapadłym, jak u większości stolarzy, ramieniem; stanął tuż nad nią.

— Maul halten! — krzyknął, zamachnął się.

Skuliła się w oczekiwaniu ciosu. Ale nic takiego, nie nastąpiło. Wiktor pohamował się, opuścił dłoń.

— Głupia! Wyjazdy Niemców mogą nastąpić zaraz, a mogą być dopiero za rok. Słyszałaś, że nie wszystko idzie tak prosto. Ciągłe jakieś kłótnie są na ten temat z Anglikami i Amerykanami. A jeśli potrwa to parę lat? Uczyć się trzeba. Od jesieni będą szkoły, wiem, bo robię stolarkę okienną i drzwi do jednej z nich. Niemieckich szkół nie będzie. A jeżeli nawet powstaną, to z domu Wiktora Środy nikt tam nie pójdzie. Rozumiesz? — grubą, spierzchniętą pięść podsunął jej pod sam nos. — Rozumiesz? Ty jak sobie tam chcesz. Ale one muszą umieć po polsku. W życiu zawsze się przyda, co by nie było... Ja im naukę taką załatwię. Może z tym nauczycielem pomówię, który wczoraj oglądał szkołę przy

naszej ulicy. Mocno zburzona, bez Środy nic tam nie zrobi. Zapłacę dobrze, niech Johann i Gertruda przychodzą do niego, niech się uczą. A ty nie masz nic do gadania.

Przeszedł się po pokoju tam i z powrotem. Znow usiadł. Matce, która chciała wtrącić się do rozmowy, dał znak, aby milczała. Długo patrzył na Christine, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. W oczach jego były i gniew i zdziwienie, i jakiś żal.

— To naprawdę, Christine, chcesz wyjechać? Naprawdę? I co będziesz tam sama robić? Nic nie umiesz, fachu żadnego nie masz... Dwoje dzieci...

— Po Willim dadzą mi jaką rentę... Potrafię zarobić — powiedziała to jednak niepewnie. I zaraz zaczęła szybko mówić, jakby i bojąc się, by jej ojciec nie przerwał, i pragnąc wypowiedzieć swe myśli, które nurtowały ją przez długie dni spędzone nad robótkami i przy porządkach do-

206

mowych w ich nowym, wielkim mieszkaniu tuż za warsztatem. Dawnym mieszkaniu Kromppego, który pewnie jest gdzieś daleko, bezpieczny. Wyjechał zawczasu, jeden z naj-pierwszych. Wiedział, co robi.

_ Bo ja — ciągnęła — nie wiem sama. Wszyscy chcą

jechać, mówią ciągle o tym wyjeździe. Tu nie miejsce dla Niemców... Tych, co nie pojadą, mają podobno do obozów zapędzić. Nie chciałabym, aby moje dzieci... Wiadomo, co to są obozy.

— Hitlerowskie — wtrącił Wiktor.

— Wszystkie są takie same. I ja nie chcę, boję się. A tam, w Niemczech... też boję się, bo naprawdę nie wiem, jak sobie poradzę. Ojciec na mnie krzyczy, ale ja nie mam zdolności do polskiego. Ojciec też jeszcze najlepiej nie mówi, w domu używa niemieckiego. Mama tak samo-ledwie składa polskie słowa. Gdzie ja się mam nauczyć, skąd mają znać polski Gerta i Johann? Skąd?

— To prawda — przyznał spokojniej. — Ale ja to załatwię. Ty też możesz razem z nimi się uczyć.

Na nią ten jego spokój podziałał teraz podniecająco. Wybuchła nerwowo, słowa przeplatając to śmiechem, 'o jakimś niby jękiem, niby płaczem.

— Wszyscy patrzą na nas jak na zdrajców. Gdy stałam W-kolejce po chleb, to mnie jedna taka opluła, krzychała że jestem parszywa owca... Johann i Gerta mają to samo. Ja wiem, że jak się nauczą po polsku, nic się nie zmieni. Nic... To ten Józef przekłęty, to Gizelda, oni nas wpakowali w to wszystko. Lepiej było cierpieć z innymi, niż udawać Polaków. Mój Willi zginął na wojnie, jestem sama i teraz muszę znosić przez was to wszystko, bo nie mam w kim znaleźć osłony... Ojciec posłuchał Józefa, w końcu zaś nie wiadomo, kim on naprawdę jest. Polak, Niemiec, czy jedno i drugie razem. A jeżeli on i ojca oszukał i oszukuje? Jeszcze gdy była Gizelda, coś się działo w tym młynie, jakaś mąka, coś takiego. A teraz? Ja wiem, że on pomagał tej organizacji niemieckiej, co ją niedawno złapali.. Pamięta ojciec, gdy były te wielkie aresztowania, jak Józef

strasznie się bał? Trzy dni przesiedział schowany u ojca na strychu. Mówił, że ktoś chce na nim się mścić, grozi śmiercią, błagał, aby nikomu nie mówić, że on tu jest. W młynie powiedział, że wyjeżdża na parę dni. On bał się aresztowania, bał się, że go tamci wsypią. Jak się straszliwie ucieszył, gdy

powiedziała, że był napad na więzienie i wszyscy uciekli. Od razu przestał się bać... Więc kto on jest naprawdę, ten wasz kochany, mądry Józef? Kto?

— Tak mówisz? — Wiktor namarszczył się, ale zaraz przecząco potrząsnął głową. — Józef za mądry na to, żeby bawić się w jakąś walkę. On wie, że wojna przegrana, i chce spokoju, dobrego życia. Taki młyn, jakże by zajmował się czymś, co by go mogło pozbawić podobnego bogactwa? Nie, Christine, mylisz się, na pewno się mylisz... Choć znów, czemu tak wtedy się krył? Czemu?

Zaniepokoiły go słowa Christine. Gniew już przeminał, zostały tylko niepokój i jakaś tkliwość. Przyniósł się z krzesłem do córki, objął ją ramieniem.

— Christine! Józef swoje, my swoje. Będzie dobrze. Patrz, jaką mam stolarnię. Nawet nie śmiałem nigdy marzyć... Ten Kromppe traktował mnie jak popychadło. A teraz ja sam jestem tam panem. Już trzech stolarzy u mnie pracuje, pięciu pomocników, płacę im bardzo dobrze, choć wiesz, jak ciężko jeszcze z pieniędzmi. Starostwo winne mi dziesiątki tysięcy. Oni nie mają nawet na pensje... Pewnie, kiedyś oddadzą, ale tymczasem Środa tym bardziej jest nieodzowny. I prywatnie ludzie przychodzą. Temu ramę okienną poprawić, tamtemu drzwi nowe zrobić, bo stare wypadły na skutek wybuchów... Roboty coraz więcej. Teraz ta szkoła... Mógłbym więcej ludzi wynająć, ale brakuje fachowców. Wywiesiłem już ogłoszenie w starostwie, napisał mi taki urzędnik. Christine, gdzie nam by mogło być lepiej? Po co ty chcesz do Niemiec?

— Bo jestem Niemką.

— A ja, widzisz, nie wiem, kim jestem. Niemiec, tak, ale chowałem się między Polakami i było mi dobrze. Matka twoja z polskiej rodziny. Mnie za Hitlera nic tu nie spot-

208

kało dobrego. Dopiero teraz... Ja nie wierzę, że tutaj wrócą kiedyś Niemcy, po tym, co ludziom robili w wojnę. Mus< być jakaś kara... Czasem, gdy mi mówią, gdy mnie stawiają na przykład, że Polak, że przetrwałem, myślę, że to prawda. I nawet jest mi przyjemnie... Johann i Gertruda jeszcze mali, osiem i jedenaście lat. Mogą wychować się na Polaków...

_ Ale ja nie chcę! Nie chcę... — rozszlochała się, zagubiona, niepokorna, rozżalona na ojca, na los, na wszystko.

— No, Ruhe, Christine, Ruhe — głaska! ją po drgających plecach, sam też skonsternowany i nagle niepokorny.

9

Tak naprawdę niewiele ich ze sobą łączyło. Nie wiązały wspomnienia, nie dopowiadane zresztą nigdy do końca, zarysowane tylko najbardziej ogólnie, odmiennie patrzyli na polityczne tło wydarzeń w kraju, docierających tutaj różnymi echami, inne mieli upodobania i przyzwyczajenia. A jednak było coś, co ich przyciągało do siebie, nakazując niekiedy przepędzać wspólnie długie godziny. Czasem przegadane żarliwie, to znów odmierzane w kompletnym niemal milczeniu. Może zabijali w ten sposób własną samotność, tym dolegliwszą, im bardziej codzienna praca stykała ich z tłumem ludzkim i jego sprawami?

W willi Zielniaka było najspokojniej, najciszej. Lisie-wicz ciągle mieszkał prowizorycznie, jakiś niedomeblowany pokój, stołowanie na mieście, przygodne. A tutaj Frau Kosche dreptała cicho na dole, herbata zawsze była gorąca i dobrze zaparzona, dalekim tylko echem dochodziły pogłosy ulicy.

— Zmęczony jestem... Albo może inaczej, przytłoczony nawalem brudnych, małych spraw. Czasem myślę, czy po tośmy się bili, z takim samozaparciem przeżywali okupację, aby teraz dowoli mogły sobie hasać przeróżne męty,

14 Przejaśnia się niebo t. I

209

aby złodziej kwitł na złodzieju, cwaniak na cwaniaku, na dobitkę każdy z gębą pełną frazesów, że teraz to on się musi odkuć za ciężkie czasy? Albo Niemcy? Wiem, sam zakazywałem od pierwszych dni jakichś prób samosądu, gwałtów, rozbojów. Żeby się z tamtymi nie równać, mieć bardziej ludzką, humanitarną miarę wzajemnych stosunków. Ale zdarza się, mam wątpliwości, niemałe, dręczą mnie, sam nie wiem w końcu, co naprawdę jest słuszne... Już nie chodzi mi o to podziemie, Wehrwolf, dywersję, całą tę aferę, którą zdołaliśmy w porę wykryć... Nie, o zwykłe rzeczy. O te ulice ciągle jeszcze pełne niemieckiego jazgotu. O tę ich z jednej strony pokorę, cholerną służalczość, jakieś ponizanie się... Widocznie nie mają czystego sumienia. Może ci również sprzyjają dywersji... Może tych należałoby odizolować? W takich chwilach dumny jestem, że my zachowywaliśmy się zupełnie inaczej... A z drugiej strony widzę przecież często te pełne nienawiści spojrzenia, to jakieś niemal pragnienie mordy w oczach tych samych, którzy opuszczają głowy, kłaniają się nisko, ustępują z chodnika... Sam rozumiesz... Nie odczuwam nawet nienawiści, a raczej bardzo ludzką, choć prymitywną potrzebę rewanżu, swoiście traktowanej sprawiedliwości... W końcu dbamy o nich, nie mają wiele gorzej od naszych obywateli. Za pracę płacimy, przydzielamy chleb, tłuszcze, których przecież ciągle brakuje. Jeżdżą po całym mieście swoimi wózkami, dziwna moda, co krok te wózki, pełno ich wszędzie, handlują, zarabiają na różny sposób. Są tacy pośród naszych, co prowadzą z nimi osobliwe konszachty, bratają się jakby nigdy nic. Żyją z Niemkami... aż nie do pojęcia po tylu latach hitlerowskiej rutyny, frazesów o germańskiej rasie, o słowiańskiej niższości. Za byle co się sprzedają... Tydzień temu, meldują mi, że jakaś młoda dziewczyna zgłasza się w ważnej sprawie. Wiesz, jestem uczulony na takie zgłoszenia, gdyby nie ta Niemka, obruszona zamordowaniem swej córki, może do dziś nie poradzilibyśmy sobie z dywersją, więc myślę, a nuż coś znowu...

210

Piękna dziewczyna, kiedyś się wyznawałem na takich sprawach, mogę osądzić. Dobrze ubrana, umalowana w miarę, zgrabna. Córka, okazuje się, adwokata, bardzo kiedyś tutaj wziętego, członka partii, ale słabo zaangażowanego, w każdym razie nie można mu wiele zarzucić, cywilista zresztą, wymigał się mądrze od innych spraw... Wiesz z czym przyszła do mnie? Żebyśmy zajęli ich willę, bo różni już na ten dom polują, oni wiedzą wprawdzie, że wyjadą, ale pragnęliby do tego czasu mieć spokój... A potem bezczelnie, czy może na odwrót, najbardziej prosto oznajmiła mi, że nie byłbym u nich samotny. Ona zgadza się towarzyszyć mi, kiedy będę miał na to ochotę. Bez żadnych zobowiązań. Najwyżej dopomógłbym im w przydziałach żywności...

— Wiem. I mnie się takie historie zdarzały. Ba, ta moja dumna, nosząca się godnie Frau Kosche pewnego dnia też awansowała na bajzelmamę, stręcząc mi wcale niedwuznacznie jakąś dziewczuchę...

Nie myśl, Gienek, że ty jeden coś takiego przeżywasz. Wczoraj szedłem ulicą, chciałem po prostu zobaczyć, jak przebiega odgruzowanie głównych szlaków, natykam się na Niemca, ot, facet w średnim wieku. Ciasno na skrawku chodnika, jeszcze leżą tam cegły, gruz, patrzy na mnie bezczelnie, ani centymetra nie ustąpi, mało, a bylibyśmy się zderzyli. Naprawdę ledwie się pohamowałem, taką miałem ochotę wyrznąć w bezczelny pysk... Czasami te %- ikie etyczne hamulce cholernie ciężą... Ale tak chyba trzeba? Doczekać się nie mogę początków przesiedlania, przeciąga się to...

— Nie mam wieści z wojewódzkiej komendy. Złożyłem prośbę o zwolnienie mnie z funkcji. Nie urodziłem się milicjantem. Już dzisiaj miałby mnie kto zastąpić. Ktoś o szerszym widzeniu, bardziej zaangażowany w nową Polskę niż ja. Tutaj Stefczyk może ma rację, tyle że nie umie jej nazwać, zbyt prymitywnie ubiera to w słowa, w tani slogan... W ogóle nie znajduję dla siebie miejsca. Nie to, że w naszym mieście, chyba podobnie czułbym się wszędzie. Wrócić do dawnego zawodu nauczyciela. Na pewno to uczynię, ale czy odnajdę tam siebie? Mnie co nocy śni

14*

211

się obóz, rozwałki, całe okropieństwo tamtego czasu. Smród palonych, ciał, podskok człowieka, który dostaje strzał w tył głowy, rechot esesmanów. Czy cd tego w ogóle można uwolnić się kiedykolwiek? I ten jakiś piekielny niedosyt. Dla mnie problem niemiecki jeszcze nie został rozwiązany. Może po prostu nie może być rozwiązany? Hitlerowskimi metodami rozwiązywać nie wolno, zresztą nie potrafilibyśmy, a każdy inny jest połowiczny... A może właśnie to nasze miasto tak mnie sobą przygniata, nie zezwala wyrwać się z tamtego koszmaru? Wszakże ja tu chory, głodny, z gorączką, wynędzniały, przyszedłem w jednym jedynym celu. świadomie czy podświadomie, nieważne. Szukałem mojego esesmana, takiego na pewno jak setki i tysiące innych, ale dla mnie stojącego się symbolem. Szukałem Schuhrnowskiego. Znalazłem po nim ślady. Jego dom, dzieci, żonę... Zetknąłem się z nią przez przekorę losu, przypadkowo i w sposób, który mnie dręczy, jest ciągłym katzem. Mniejsza o to, jak, to moja sprawa... A on? Jasne, że tu nie wróci, nie mógł wrócić, naiwne były moje pragnienia, osobliwe wyczekiwanie na jego powrót... Zostało poczucie pustki, niedosytu, niespełnienia... A jeszcze ciągle, na co dzień, na każdą chwilę tałatajstwo, złodziejzski, rabusie, kurewki, hochsztaplerzy wszelkiego rodzaju. Obrzydzenie, a zarazem zagubienie proporcji. Wiesz, mnie się chwilami zdaje, że niczegośmy nie zrobili dotąd w tym mieście. Że nie ruszamy z miejsca, jak z wiatrakami wojując z tym gniadem mnożących się w nieskończoność nierobów, hien szukających łatwego żeru. Wczoraj obrabowano trzy mieszkania niemieckie. Podłe. To jednostka, paru wykolejeńców. wiem, ale mnie to zarazem utożsamia się z całą resztą, nawet ze mną samym, z tobą, z wszystkimi... I to też jest straszne..

Zielniak podniósł się, z gdańskiego kredensu butelkę. Uśmiechnął się nalewając kieliszki:

— Z mojego przydziału. Śmieszne, gorzałką ratujemy niedobór pieniędzy w kasie. Ostatnio tak rozdzielaliśmy zaliczki na pensje.. Pij, stary, na chandrę czasami pomaga, choć też nie zawsze.. Słyszysz? Frav Kosche człapie na dole

212

w swoich bamboszach. Zastanawiam się, czy ona zdaje sobie sprawę z tego, jak się tu wiele zmieniło. Ma niby nadal ten swój dom meble, ja też w końcu, jako lokator, bo tak mnie chyba traktuje, nie

należę do zbyt uciążliwych, na usługi jest ta sama gospoś. Tyle, że może z jedzeniem gorzej, ale w końcu też sobie radzą... Ten twój nastrój... Parę dni temu, zbiegły się kłopoty, była obawa, że stanie odlewnia, węgiel nie nadchodził, w jednym ośrodku padło czemuś od razu aż osiem krów, kogoś znów rozszarpała mina, zabrakło chleba, bo piec nawalił w naszej największej piekarni, ktoś z urzędników przekradł się, nabrał łupów i uciekł, szukaj wiatru w polu, jakieś babsko przeleciało z pretensjami, diabli wiedzą, co jeszcze. Pomyślałem wtedy, że my tego bałaganu nigdy nie opanujemy, że ciągle będzie ta prowizorka, jakaś improwizacja i łatanina, płynność ludzi, zła wola. Takie piekielne uczucie bezradności, niemocy. Powiedziałem Halinie, żeby nikogo nie wpuszczała, chciałem mieć święty spokój, każda rzecz mnie mierzyła. Wyrząłem przez okno: ruiny, gruzy, co z tego, że odgarnięte na boki, że oczyszczone chodniki. Jakiś pijus zataczał się, wyśpiewując tę wredną piosenkę, wiesz, że dziś ważne każde gówno. Nawet przez moment wziąłem ten refrenik do siebie... I nagle wskakuje Halina, przejęta, ona nie umie niczego robić bez emocjonowania się, jak widać, zły materiał na sekretarkę, trzepie, że przyszedł ci od octu i musztardy, tak ich nazywam... Pośleliśmy chłopów, aby się zorientowali, czy z tą roztrzaskaną budą da się coś zrobić. Nie z wiarą, ale dla spokoju sumienia... Przecież tam jeden chaos, potłuczone, zdemolowane wszystko. Pośleliśmy trzech, a przyszło ośmiu. Rozmnożyli się... Powiadają, że uruchomią fabrykę. Tylko żeby im trochę pomóc. Jakiegoś mechanika, spawacza, na parę dni. A za dwa ty-... ^ioces F^dkują całość. I ruszą produkcję. Znaleźli już . 'Napomknąłem, że o jakichś pieniądzech nie ma chwilowo mowy, później. Odpowiedzieli, że im najwyżej stołówka i chleb, reszta, rozumieją, nie dzisiaj. I wtedy zbledli mi od razu twoi szabrownicy, złodzieje, dziwki. Nie tak ich wiele, tyle, że szum podnoszą za setki. Ludzie

Vi

chcą pracować, jest jakiś szal, pasja roboty, to naprawdę się widzi. Nawet im tej pracy nie trzeba dostarczać, sami ją dla siebie organizują. Ty, kochany, patrzysz zbyt jednostronnie. Styl twojej pracy, milicja, sprawia, że widzisz wykoślawiony obraz.

— Na pewno tak, ale mnie to przytłacza. A zresztą, ilu my mamy Polaków w mieście, w całym powiecie? Tysiąc, dwa tysiące?

— Dwa i pół. Na wsi około tysiąca sześciuset osób, reszta kręci się tutaj...

— A wielu pracuje? Dwie setki, trzy? Reszta nie wie, z czego i jak żyje... Płynne to, kocujące, dziś tu, jutro tam. Jezierski mówi, że czasami to się połapać nie może. Wyładowuje się taka rodzina osiedleńcza z wagonu, ma jakiś dobytek, czasem, gdy ze wsi, świniaka, krowę, konia, narzędzia, częściej zresztą same tylko swoje gęby do żarcia i parę tłomoków... Parę dni i zgłaszają się ponownie, pisemko PUR-u, znów im przydzielaj wagon, chcą dalej jechać, szukać czegoś innego, czego sami nawet nie potrafią określić. Łatwego życia? Tych miraży, jakie w centrum kraju roztacza propaganda osadnicza? Jakiś cholerny błąd, tam się wmawia, że tu kraj mlekiem i miodem płynący. Że mieszkania napchane wszelkim dobrem, gospodarstwa w pełni wyposażone... Jadą z nadzieją, że staną się milionerami z dnia na dzień, a zastają ruiny, oszabrowane chałupy, zamiast wyposażenia gospodarstwa w ogrodach, na polu, wszędzie. Głódno. Po co te dysproporcje? Po co taka przesada? Wiadomo, że zaczynamy tu właściwie na gruzach...

— Pij, Gienek, czarno patrzysz, nie chciałbym tak, choć i mnie niekiedy dręczy poczucie niemocy. Zastanawiam się, co właściwie działałem? Był już taki czas, gdy nic nie robiłem. Dlatego może mam w życiorysie czystą ka(f<f. Stef-czyk tak się wyraził, nie ja... Mówiłem ci kiedyś, okupacja to był dla

mnie czas strachu, zaszczucia, nic więcej. Nie umiałem znaleźć w sobie siły dla przeciwdziałania. Chciałbym tu, dzisiaj nadrobić z nawiązką tamten bolesny okres. I wciąż ogarnia mnie inny, nowy lęk, że tak niewiele zdzia-

214

łałem. Czas pędzi, dawno już tu jesteśmy. Czy to dużo, czy mało, co w tym mieście zbudziliśmy z martwoty? W całym tym powiecie? Jeszcze ciągle pusto po wielu wsiach, co najwyżej tu i ówdzie tkwią Niemcy, ziemia leży odłogiem, w chwastach, myszy się tylko tam lęgną. Coś dłubiemy, robimy, pokrzykujemy, ale czy w tym nie więcej fanfaronady... Z drugiej strony, było nas kilkunastu, każdego nowego witaliśmy jak sprzymierzeńca, dziwne, ci pierwsi zresztą nadal są najgorliwsi, najchętniejsi do każdej roboty... Dziś już notujemy dwa i pół tysiąca ludzi. Odrzucmy łazęgów, ale ten tysiąc coś robi, jakoś się zakotwicza, nadaje nerw życiu... Więc w końcu jak? Jaka suma, na dobro czy na minus?

Zamilkli. W ciszę tę wpadł monotony, uporczywy czła-pot bamboszy Frau Kosche.

— A może ona jednak rozumie, co się stało, dlatego tak się tłucze, przerażona, że zmienia się, wywraca jej dawny porządek, że trzeba będzie zostawić to wszystko, spokój, dobrobyt, jechać, nie wiedzieć gdzie... Czy klnie Hitlera, czy też fatalny los, który kazał im przegrać wojnę? Co tkwi w duszy takiej niemieckiej staruchy?

— Oni tutaj i tam w Niemczech też chyba przeżywają jakiś niesamowity chaos. Może większy niż my. Bo my zaczynamy tu gospodarzyć, gorzej lub lepiej, ale jest ta intencja. A oni? Runęły ich plany, marzenia, nadzieje. Myśmy czekali takiego końca, oni się go nie spodziewali, był dla nich straszliwym zaskoczeniem. Chociaż zarazem wątpię, czy im to przemówi do rozumu, czy nie zaczną żyć od nowa jedyną tylko żądzą... odwetu. Widzisz, przesłuchiwałem niedawno raz jeszcze tych gówniarzy od sprawy Walusia... Straszne... Bo inna rzecz, że teraz boją się, panicznie się boją, czują, co ich czeka, prokurator zapowiada proces pokazowy, sąd doraźny, ma rację, tak trzeba... Boją się, a zarazem nienawidzą nas jak wilki, miotają się w pułapce, ale gdyby okazja, ach, jak podrzynaliby gardła...

Zielniak zdawał się nie słuchać. Wolno, drobnymi tykami wysączył swój kieliszek, wstrząsnął się, gorzelanka

215

była teraz robiona z owoców, pełno się walało odpadków, zorganizowano ich zbieranie, zapach był obrzydliwy, smak także nieszczególny.

— A może przychodzą na nas takie napady niewiary, buntu, dlatego, że jesteśmy samotni? Dziś po tym wszystkim, niedobrze jest być samotnym. Lgniemy do siebie, spotykamy się, właśnie żeby uciec od samotności... Słuchaj, zaczynam myśleć, czy by się nie ożenić z Haliną? Dobra dziewczyna, w końcu niebrzydka, nawet te jej piegi mają swój urok... Ale waham się, nie wiem. Może pragnąłbym nie takiej zwykłej dziewczyny, ale królowy z bajki? W latach samotności, gdy się kryłem przed zewnętrznym światem, marzyłem niekiedy o takiej kx-ólewnie. Coś trzeba było robić, czymś zabijać własne tchórzostwo... Sprawa Stachny była epizodem, ciężkim jak kamień, ale chyba tylko tym... A Halina? To nie szła, coś bardzo spokojnego, może nawet nie miłość, a przyzwyczajenie i przywiązanie... Jak sądzisz? — nieco zażenowany swoim wyznaniem, uśmiechnął się, przybrał ton żartobliwy. — Wyszukałbyś i ty sobie jakąś dziewczynę, razem byśmy odprawili wesele.

— Ja? Ja nie. Wielu spraw we mnie nie pojdziesz. Zresztą, niewiele wiesz... Chyba już pójdę. Zajrzę jeszcze do biura. Na pewno jest coś nowego. Dopóki mnie nie zwolnią z tej funkcji, muszę pchać robotę. Ale mam już dosyć, ja grzęznę w tych świństwach, podłościach, w tej obfitości cwaniactwa i draństwa... Nie każdy potrafi być milicjantem... Nie wiem, ale może odżyję w szkolnictwie? Z młodzieżą, która jest inna, bardziej szczerą, otwartą w sądach, nie zblazowana i nie cwaniacka. Tęsknię nie za dziewczyną, nie za żoną, to chyba nie dla mnie, a za dobrymi normalnymi ludźmi. Żeby nie zaczął widzieć świata przez protokoły z mojego biurka...

Nasłuchiwał przez chwilę:

— To może być naprawdę denerwujące... Ta stara wciąż człapie... Nie ma rady, żeń się z Haliną, bo inaczej osaczą cię niemieckie bambosze wdowy po starszym radcy.

216

5by

ry-

nie

za-

Zboża już przekwitały. Brał do ręki ciężkie, syte kłosy, wyłuskiwał mięciutkie jeszcze ziarna, przeżuwał socysiy ich smak między zębami. Krótka, a zaczną twardnieć, dopiero będzie kłopot z żniwami. Skąd ludzi, skąd sprzęt, chyba, że wojsko znów dopomoże...

Tylekroć wmawiał sobie, że jest tu gościem, skoro zaś wać

korzysta się z takiej meliny, trzeba coś robić. Jednak bu- izło

dziły się i te gospodarskie instynkty, zadowolenie sprawiała pewność, że to najlepiej utrzymany i uprawiony majątek w całym powiecie. Nigdzie nie obsiali aż tyle, nie powiodły ien.

się tak pięknie uprawy jak tutaj. Przyjeżdżał przecie sam em

Zielniak, chwalił, klepał po ramieniu, że jednak nie ma to isa};

jak starzy pionierzy, popijawa była potem solidna, oglę-niCj

dżiny gospodarstwa, zakiśniętego, zawilgoconego pałacu, jmy,

mającego jednakże swój urok. irka

Przystanął, zagarnął przygarść kłosów. Inne jakieś były, jest

intensywnie złotawe, aż gdzieś po lekki brąz, diabli wiedzą, ew-

skąd takie ziarno, wojsko przywiozło ze sobą, mogło być z Ukrainy, albo może z duńskich czy kanadyjskich dostaw, Atki.

czytał gdzieś o tej. pierwszej pomocy dJa Polski. Grunt, .hfe,

że przyjęło się, odpowiada mu ta gleba. Sto sześćdziesiąt ;iak,
hektarów zasiali, ładny kawałek. Gdyby tak parę tygodni ma-
wcześniej, więcej ludzi i ziarna, można by ze dwa razy ! się
tyle. Bo na inne uprawy było za późno. Cudem jakimś Item
z kartoflami zdążyli, przekwitły już teraz, zapowiadają się Ona
nieźle, żeby tak deszcze spadły w porę, byłoby co zbierać... rawę

Tu można gospodarować, myślał, ciągle . nie puszczając kłosów z ręki. Kto wie, a może by warto
zostać? Kwapił się przedtem do własnej gospodarki, było w czym wybierać przy

tak ze dwadzieścia hektarów, z dobrymi łąkami, nad wodą. Inwentarz można by uzupełnić, znajdzie
się jeszcze tego po różnych stodołach i szopach. Tylko że byłaby piekielna harówka. Widzi przecież,
jak mordują się inni. Ten sierżant Rząpik, przedtem próbował rządzić się tutaj jak szara gęś, nosa
wsadzał, gdzie trzeba i nie trzeba. Niedawno objął gospodarkę, widać nawet stąd jego obejście, od
razu jak^

ręką usieknął, ani go widać, od rana do nocy haruje, ledwie chan

dyszy, sam jeden, a porwał się na obszar, gdzie i trzech

idzie po-waż-

217

287

byioby mało. Inna sprawa, uparty i twardy, da sobie radę. Sołtysem go mianowali. W tamtej wiosce
pięć chałup tylko zajętych, wokoło też ludzi zliczyć można na palcach, nie narobi się na tym
sołtysostwie. Tyle, że mu jeszcze i majątek podlega. Pal go sześć, byle trzymał się z dala.

Więc w końcu jak? Zostawać tutaj, czy nie zostawać? Myślał, dorobić się, szło ładnie w tej spółce z
Paluchem potem pryskać gdzie w świąty. Do domu zajrzeć, żywy tam kto pozostał czy nie, dopiero
namyślać się, co dalej... To było jasne. Ale teraz mąci się jakoś ten plan. Nie w tym rzecz, że wygoda,
niezgodniejsze życie, cały ten pałac jakiegoś junkra, Klara, i w ogóle do syta wszelkich przyjemności...
Zbudziło się coś jakby przywiązanie do tych pól, do rzeki wartko obok przepływającej, z kleniami i
boieniem. Do stawu za ogrodami, gdzie karp buszował, jakoś go przedtem esesmani nie wybrali do
końca. Zboża, wszystko tak ładnie tu obradza, chlewnia, obory, wieczorami pachnie mlekiem, słońce
wolniutko się chowa za brzozy i lipy... A jeszcze ambicja. Przedtem u ojca na dwóch hektarach pod
Mławą. Siostra, brat, on najmłodszy, zawsze za popychadło. Później wywózka i ciężkie dni u bauera.
Przedtem Leinecke później Birke, co się obwiesił... Była Gerta, pewnie, ale w końcu poza spaniem nic
go nie łączyło z tą dziwką niemiecką. A obok tyranie, kopniaki, harówka od rana do nocy, jedzenie jak
psu, na boki. I teraz ta cudowna odmiana, wielki majątek, ponad pięćset hektarów, z łąkami i
parkiem, z ogrodami. Dwór czy też pałac, budynki wielkie, sporo sprzętu. Ludzie napłyną, z tym się na
pewno poradzi. Można pokazać, co się potrafi... Z dwóch na pięćset hektarów. Jakby dawniejszy
dziedzic albo co najmniej rządcą. Dobre życie...

Zmiał kłosa w dłoni, dziwnie zwisty zmiażdżone, gdy je wypuścił z ręki. Tak, byłoby pięknie, ale do czasu. Paluch mówi, że tak tymczasem, później, niech się trochę uporządkuje, ład jaki nastanie, przysła tu kogo innego, z doświadczeniem, z praktyką, trzeba będzie iść precz... Więc lepiej za wczasu samemu. Piękny adler stoi w wozowni, przykryty starymi wiązkami konopi. Ma Paluch

218

przywieźć na niego prywatne papiery, zezwolenie oficjalne z Warszawy. Przyjechać czymś takim do swej wioski, toż byłoby wydziwianie, co się z tego Władka Wiśniewskich zrobiło, prawdziwy pan...

Z łąk szeroko rozległych po las dochodziły głosy, wzbił ponad nie czyjś mocny krzyk. Przerwał, rozbił się tok Władkowych rozmyślań. Przystanął, nasłuchiwał. Tak, to Malczyk pogania Niemki przy sianokosach. Baby, ale jakoś tam radzą. Zresztą, jest trochę i mężczyzn. Od samego początku wzięli się na ten sposób, zaczęli dobrze karmić. A jeszcze przydział mleka, a owoców do syta, karpie ze stawu co piątek... Rozeszło się to między Niemcami, z miasta zwłaszcza ciągle ktoś nowy się zgłaszał, tam głodowano, tu na domiar spokojniej. Właściwie to na brak rąk roboczych nie mógł narzekać. Żeby tak jeszcze z dziesiątkę mężczyzn można by tu gospodarzyć niezgorzej. Swoich mało, to prawda, tylu ich tylko, żeby dopilnować roboty... Z Malczyka największa pociecha. Był karbowym gdzieś tam w Krakowskim, u jakiegoś hrabiego. Wolał wyfrunąć po zmianach, bo ludzie pamiętali mu, jaki to gorliwy był w zaganianiu do pracy. Zwierzył się z tego przy jakiejś wódce.

— Nie wiedzieć czego chcą. Bo to nie trzeba pracować, wszystko jedno gdzie i u kogo?

Teraz wykazywał swoje umiejętności w postępowaniu z Niemcami. Dobrze poganiał, nie można narzekać, wszystko szło jak w zegarku. Trochę, a byłby pokazowy państwowy majątek. Aż Paluch podrywał, ale w głębi za jego słowami kryła się jakby zazdrość. Tak się przynajmniej Władkowi zdawało.

Paluch. Skrzywił się na to wspomnienie. Coś długo tym razem nie daje znaku o sobie. Ani wiadomości, ani sam się nie zjawia. Może go wykantował po prostu, nie chce się dzielić dochodem, transporcik ostatni był wcale ładny. Tylko że Paluch wie, co jeszcze tu mają. Na pewno pokwapi się, może ostania to będzie tura. Coraz trudniej z towarem w okolicy, a jeszcze zaczęła jeździć komisja zabezpieczająca ze starostwa. Niby nic, tam gdzie nikogo jeszcze nie ma,

219

można nocą wszystko wywieźć i tak, ale zawsze coraz to niebezpieczniej, ciasniej się robi. Ryzyko rośnie. Co prawda i ceny w Warszawie też rosną. Więc może gdzie przy-skrzynili Palucha? Choć papiery miał na to za mocne. Chodliwy, tyle tych pieczętek, zezwoleń, poleceń, jeszcze tytuł inspektora, papier z podpisem samego ministra. Najpewniej trudno idzie z zezwoleniem na kolejowy transport, dlatego siedzi w Warszawie czy Łodzi, obstawia sprawę...

— Panie Wiśniewski, hallo, panie Wiśniewski!

Starzec, ten czego chce?

Krzepki chłop, ponury, że strach było patrzeć na niego, szedł, w tę stronę wielkimi krokami.

— Panie kierowniku, nie ma co, trzeba powiedzieć, ukradli nam znowu. Jałowicę i dwa cielaki. Myślałem, z pastwiska smyrnęły gdzie w las, wybuchu jakiej miny nie było słychać, można by je odnaleźć. Ale od tamtej drogi przy mostku na rzece wyraźne ślady. Jakby ciągnął kto coś po ziemi, a potem ślady kół. Musieli podebrać nam i wywieźć gdzie bądź. Sam pan wie, jak teraz jest...

— Wiem. Ale i pilnować trzeba, panie Starzec. Bo nam wszystko rozbiorą.

— Pilnuję, panie Wiśniewski. Gdzie indziej rozkradli całe obory. U nas drugi raz się dopiero łobuzom powiodło. Każdy chłop w okolicy na bydło łasy, a nie mają skąd brać. Więc próbują po państwowym majątkach... Za mało nas, żeby upilnować.

— A może pan masz. tu jakich krewniaków na wsi, co? — rozzłościł się. Ta strata nie była mu na rękę, tym bardziej że w wykazie sprzed paru dni podał dokładnie stan bydła.

Twarz chłopca sponurzała jeszcze bardziej. Zbliżył się groźnie, o pół kroku niemal ocierając się o pierś Wiśniewskiego.

— Radzę ostrożnie. Mnie pan złodziejstwa nie zarzucaj. Ja swego kraść nie będę. A to moje. Osiadłem tu z żoną i dzieckiem, dalej ruszać nie myślę, więc i pilnuję tak jak własnego, Inni tu kradną, swoje czy nie swoje, pan o tym

220

najlepiej wie, panie Wiśniewski. A porządnych ludzi, radzę, nie tykaj, bo...

_ Bo?

_ Ja tam skarżyć nigdzie nie będę, ani liczyć, wiele dobra pan z tym paskudą z Warszawy wywozisz w światy. Ale za swój honor się ujmę, kłonicą choćby przez łeb. Wtedy żaden lekarz już nie pomoże.

— Dobra, dobra, straszyć to mnie pan nie strasz, gdzieś ja mam takie strachy... Gęby też drzeć nie trzeba. Mówię tak, bo szkoda jałowicy i cielaków, nie mamy tego za wiele.

— Sam wiem... Aha, tam jakiś gość do pana. Z miasta. Kobieta.

— Do mnie?

— Tak mówi. Nie moja sprawa.

— Polka?

— Mówi po polsku...

Diabli nadali. Kto też może to być? Chyba nie Ziutka? A może ona, zapowiadała się, choć odwodził ją, jak mógł, od tej eskapady. W ogóle czas najwyższy odczepić się od dziewczuchy. Nie przysięgał jej, a że razem mieszkali z początku, to jeszcze o niczym nie świadczy. Teraz taki czas, kto z kim chce i jak długo chce, a potem pa, do widzenia, i w dalszą drogę. Tej zaś chce się wierności, księdza, Ucho jeszcze wie czego. Nie do takich mu zabaw, tu trzeba myśleć, jak złapać najwięcej z życia...

Scena ze Starcem przecięła jego wahania. Nie ma co zastanawiać się, zostawać tutaj czy nie. Ma rację Paluch, za parę miesięcy, niechby za rok, skończy się bałagan, każdego dnia już jest inaczej, wtedy

bliżej zaczną zaglądać każdemu za koszulę. Niech no taki Starzec, ktoś inny, szepnie słówko, wyjdą na jaw lewe transporty, papiery Paluchowe to aby na tę chwilę, żeby się robota udała. Tymczasem wiadomo, co w trawie piszczy. Jeszcze byłaby jaka sprawa, przykrości, kryminał. Czas niemal jeszcze wojenny, słyhać, nie patyczkują się za wiele, różnie by mogło się zdarzyć. Zatem korzystać, póki można, zebrać, co się da, i ruszać w inne strony. Choćby w rodzinne Mławskie. Z forszą można by i ojcowską gospodarkę na

221

nogi postawić, ziemi dokupić, na pomoc mieć. Albo gdzie w mieście zasiąść, inne życie, nie ta papranina w gnoju i błocie. Że też jednak taki Starzec zdobył się na odwagę, diabli wiedzą, co to za jeden, wygląda, jakby z batalion ludzi sam wymordował...

Na ganku wyjazdowym, pod kolumnami, nie było nikogo. Ledwie jednak pokazał się na podwórzu, naprzeciw wybiegła mu Klara. Uśmiechnęła się jak zawsze, dobrze ubrana, dziewczyna naprawdę ponętna, że drugiej takiej ze świecą nie znaleźć, wyczuł w niej jednak wewnętrzne napięcie.

— Kto tam jest?

— Jakaś taka... Mówi, że narzeczona — zaśmiała się z przekpinką, ale krył się pod tym wyraźny lęk.

Ziutka. Nie potrzebował się już domyślać. Cholera, że też ją tu przyniosło. Rozzłoszczony był sceną ze Starcem. Na domiar teraz Ziutka, płakać będzie, jęczeć, wymawiać jakieś pretensje. Odczuł narastającą niechęć do dziewczyny.

— Gdzie ona jest?

— A w tej poczekalni... Skąd wiem, kto taki, do pokoju nie mogłam wpuszczać.

Szła obok, zalotna, przymilała się, pojmował jej stan. Przyznała się kiedyś, chciałaby tak u jego boku doczekać dnia ewakuacji, spokojnie odjechać. Przyjazd jakiejś narzeczonej groził wywróceniem planów, utratą wygodnego miejsca, szansy przetrwania najtrudniejszego okresu.

Gdy jej kazał iść precz, bo już pakowała się z nim razem do wnętrza budynku, zadrżała wyraźnie. Została ociągając się, w oczach pojawiły się złe błyski.

Ziutka podniosła się uszczęśliwiona jego widokiem. Zarazem niespokojna, przejęta.

— Władek! — całowała go, tuliła się, w oczach zobaczył łzy. To go i rozczuliło i rozzłościło jeszcze bardziej. Nie znosił babskich łez, nie wiedzieć czemu był taki wrażliwy.

— Dobra, już dobra, tylko mi nie bec... Czemuś tu przyjechała? Nie bałaś się?

—Przyszłam piechotą. Spokojnie na drodze... A tutaj...

222

Tutaj, Władek, inaczej zupełnie niż ty mówiłeś. Pałac, ty jak dziedzic jaki, ludzi pełno, konie, krowy, porządek... Władek, czemu ty mnie nie chcesz brać z sobą, czemu każesz samej tkwić w mieście? Władek, no powiedz, powiedz?... — błysk olśnienia w oczach. — Władek, a może ta Niemra, dlatego?

Nie chciała mnie w ogóle wpuścić. Powiedziałam, że jestem twoją narzeczoną. Myślałam, że mnie zamorduje oczyma. Kazała tu siedzieć, czekać, cały czas kręciła się wiercąc kuprem, jakbym była jaka złodziejka. Władek, to może ona?

— Daj spokój, zwyczajnie, Niemka, gospodynią jest, ktoś to musi prowadzić... No, chodź, Ziotka, dalej, zjesz coś, pogadamy...

— Nie chcę jeść. Miałam trochę chleba z sobą, zjadłam po drodze. Pić mi się tylko chce... Władek, ja tu z tobą zostanę, dobrze? Nie będę już wracała do miasta. Rzeczy sam kiedyś przywieziesz. Tam dopilnują, Felek wie, że tu poszłam...

— Co ty z tym Felkiem?

— I on, i Jaśka są dla mnie dobrzy. Czego ty chcesz?

— Nic, nic... Siadaj, widzisz, rudera, poniszczono wszystko...

— Jakże, bardzo ładnie. Tak jakoś po pańsku... — rozglądała się po złożonych tapetach, po obrazach na ścianach, po starych meblach. Braki, dziury, złaząca politura uchodziły jej uwagi.

Na zaklaskanie momentalnie pojawiła się Klara. Weszła swobodnie, jak gospodyni. Ziotka wbiła w nią oczy, ślepiała za każdym ruchem.

— Coś do picia. Zimne mleko najlepiej... Albo może ten kwas chlebowy, wiesz? — rozkazał jej po niemiecku.

— Ein Moment, Wladchen — uśmiechnęła się, zawierciła kuprem, starła jakiś kurz z fortepianu.

— Władek, czemu ta Niemra mówi ci po imieniu? Ona czuje się tutaj jak u siebie w domu?

.,— Ech, wydaje ci się...

Jeszcze raz powtórzyła się taka scena, aż i on miał dosyć tej demonstracji, ostro ofuknął Klarę. Nie przejęła się

223

tym. Podała mleko, szklankę demonstracyjnie głośno stawiając przed Ziotką.

— Oni tak zawsze, spoufalają się, trzeba ostro, wtedy jest spokój — tłumaczył się.

Gdy dziewczyna nasyciła pragnienie, postanowił, że musi raz wreszcie zakończyć tę sprawę. Chciał to załatwić inaczej, stopniowo, ale teraz był zbyt zdenerwowany i przejęty, aby bawić się w ceregiele. Przysiadł się na oparciu fotela, na którym siedziała Ziotka, objął ją lekko ramieniem. Przytuliła się od razu do niego. W oczach miała wilgotno, w tych naprawdę ładnych, ciemnobłękitnych oczach, dużych, głębokich.

— Widzisz, Ziotka, teraz taki czas, ludzie stykają się ze sobą, są blisko, a potem rozchodzą się, to normalne... Jak zawsze w wojnę i zaraz po wojnie. Nie trzeba brać wszystkiego tak poważnie... Ja jestem taki wiatr, mnie się w ogóle nie żenić... Ja cię bardzo lubię, Ziotka, ale nie radziłbym ci wiązać się ze mną.

. — Zaryzykuję...

— Nie, ja tego nie chcę. Ani dla ciebie, ani dla siebie. Jak się zetknęliśmy w zgodzie, przeżyliśmy ciężki czas wspólnie, tak się w zgodzie i rozejdźmy. Ja nie wiem, gdzie będę, tutaj, czy znów pogonię w świat, przy mnie nic dobrego by cię nie spotkało...

— Zaryzykuję, Władek. Ja ciebie... ja ciebie przecież Kocham.

— No widzisz, zdaje ci się. Ja cię nie Kocham, ale bardzo lubię. I po co miałyby się to potem zmienić. Najlepiej zostawić miłe wspomnienie. Był Władek, była Ziotka...

Podniosła się nagle, odtrąciła jego ramię.

— Wyrzucasz mnie? Nie chcesz? Byłam dobra, kiedy byliśmy sami, w tamtym zrujnowanym domu, wśród Niemców. Teraz już masz inne, jakieś Niemry, co tylko dupą kręcą, nic więcej. Żadnego uczucia, nic. Ja ci, Władek, coś powiem, skoro tak. Jestem w ciąży. Wiem już. Chcesz, mogę pójść do lekarza, do szpitala. Tam ci potwierdzą. To nasze dziecko. O tym wiesz... Byłeś pierwszy mój i jedyny...

— Mógł tam być jeszcze ktoś...

224

— Byłeś ty. I dziecko jest twoje...

— Mało to jest dzieci, teraz co druga z dzieckiem chodzi, tragedii nikt z tego nie robi... A ja ci mówię, że się żenić nie będę.

— A ja stąd nie odejdę, Władek. Będzie dziecko, ono musi żyć, musi jeść, skąd na to wezmę. Musi mieć ojca...

Rozpromienił się nagle, ostatnich słów dziewczyny w ogóle nie chciał słyszeć.

— Zaczekaj — zniknął w drzwiach wiodących do następnego pokoju.

Wrócił po chwili z zawiniątkiem obwiązanym gumką.

— Widzisz, Ziotka, po co ten krzyk, te łzy, można się dogadać. Ja ci najlepiej życzę... Zobacz, daję ci forszę. Tu masz złote, cała fura, same pięćsetki. A tutaj dolary. O, ta paczka dla ciebie, no bo sobie muszę też coś zostawić. Będziesz miała na wszystko. No jak, zgoda?

Spojrzała na niego. Inaczej jakoś niż zwykle. Potem przeniosła wzrok na zwitki banknotów.

— To ma być dla mnie?

— No tak.

Zgarnęła wszystko, ścisnęła w dłoni, a potem z rozmachem rzuciła pieniędzmi w twarz chłopca.

— Masz, udław się, ty, ty, świnio! Po coś mi tyle gadał i obiecywał, po co?

— Uspokój się, Ziotka, uspokój, po co ten raban, krzyk?

Drzwi otworzyły się nagle. Stała w nich Klara,

Uśmiechnięta, pewna siebie.

— Czego? — ryknął nie panując nad sobą.

— Chciałam zapytać, może jeszcze mleka dla narzeczonej? Może tak coś potrzebne?

— Achże ty wydro, ty parszywe nasienie! — Ziutka porwała ze stołu ciężki flakon z kryształu, całą siłą machnęła nim w Klarę. Ta uchyliła się zręcznie, nad jej głową flakon rąbnął we framugę drzwi, rozpryskując się w drobne kawałki.

— W eg! — zaryczał w stronę Niemki Władek, łapiąc zarazem Ziutkę za ramiona. — Zwariowałaś? Ludzi chcesz pozabijać?

15 Przejaśnia się niebo t. I

225

— Ty, ty niemiecki parobku. Taki byłeś, taki zostałeś. Świnia. Ja ci jeszcze pokażę, zobaczysz. Zobaczysz — z największym wysiłkiem stłumiła szloch, wydarł się tylko jakimś zgaszonym skowytem, głos dziewczyny zaraz potem znów nabrał mocy. — Myślałeś, że mnie pieniędzmi, jak jakiej dziwce... Nie tak ze mną. Zobaczysz.

— Idź już do jasnej cholery! Nie chcesz, to nie chcesz, łaski nie robisz. Daję ci forszę, mieszkanie w mieście, wszystko tam twoje, tylko się wynoś. Ale już!

Przy drzwiach przystanęła, odwróciła się. Oczy jej już zgasty, nie było w nich ani złości, ani nienawiści, jakiś wielki jedynie ból...

— Władek, namyśl się, może wrócisz. Zaczekam jeszcze...

— Nie wrócę. Szczęśliwej drogi.

Rozwarła usta, ale zaraz je zacisnęła, mocno, mocno, aż wargi zbiegły się w jedną linijkę. Trzasnęły drzwi. Jeszcze słyszał jej kroki, potem i to ucichło. Zerwał się, skoczył do okna. Ziutka dziwnie sztywnym krokiem szła przez podwórze.

Nagle zrobiło mu się jej żal. Był moment, że chciał otworzyć okno, przyzwać ją i uspokoić. Ledwie się pohamował. Jakież sens byłoby zaczynać to raz jeszcze od nowa? Czul w sobie cholerny zamęt, było mu przykro i wstyd, w gardle paliło, w ustach zaschło, że ledwie mógł obrócić językiem.

Zaklaskał. Tym razem długo trwało, nim zjawiła się Klara. Spojrzenie miała triumfujące.

— Was wollen Sie?

Teraz, cholera, pomyślał, mówi per pan, przedtem tylko afiszowała się swoim Wladchen...

— Wódki! Dużo!

Zatrzymał ją, gdy zawracała ku drzwiom.

— Chodź tutaj!

W oczach jej zapełgał lęk, ale podeszła śmiało, niemal piersiami się ocierając o niego. Znał te jej chwyt, tym razem tylko zolbrzymiały one w nim pasję. Zamierzał początkowo powiedzieć dziewczynie parę ostrych słów, utrzczyć nosa za demonstrację przy Ziutce. Teraz jednak poniosła

226

go wściekłość. Nagle, z zaskoczeniem dla samego siebie, wymierzył dziewczynie silny policzek.

— Du Hure — zasyczał przez zaciśnięte zęby.

Uchyliła się, omal nie upadła. Nic, żadnego buntu, żadnego odruchu przeciwdziałania.

— Zaraz przyniosę wódkę — usłyszał w tej chwili słowa wycedzone przez puchnące, krwawiące wargi.

3.

— Dzień dobry pani, właśnie się oglądałem za panią. Wczorajsze karty chorobowe jeszcze nie wypełnione... Akty zgonu tych dwojga z nocy nie wypisane... Ostrzegam panią, nie będę tolerował takiego stanu...

— Ależ panie dyrektorze, sam pan chyba pojmuje, ważniejsze jest zajmować się chorymi niż tymi papierkami... muszą być, ale hierarchia...

— Koleżanko, proszę mnie nie pouczać. W razie jakichś przykrości na mnie spadnie odpowiedzialność.

— Nie zwykłam na nikogo zrzucać jej z siebie.

— Nie dyskutujemy. Żądam spełnienia mego rozporządzenia. Raz na zawsze.

Została w miejscu, spoglądając za dyrektorem, oddalającym się swobodnymi krokami. Nawet zadziwiająco lekkimi i swobodnymi jak na jego wiek, dawno przecież musiał Zamirowicz przekroczyć pięćdziesiątkę. Wygląda, że ciężkie będzie z nim życie. Jest "tu od tygodnia, a dzień nie minął bez starcia. Stefek też narzeka... Trudno, trzeba iść wypełnić te papierki, do chorej dziewczyny zajrzy potem. Przedtem papierki. Biurokracja. Życie widocznie już się normalizuje...

— Pani doktor, proszę do izby przyjść... Przywieźli zatrutą... — podbiegła zziębnięta pielęgniarka.

Masz ci papierki... Już śpieszyła, zdenerwowana, przejęta. Drażnił ją Zamirowicz, utrudniał normalną pracę.

227

Tu zaraz już koniec. Zastrzyki jeszcze siostra niech ci małemu; co godzinę zaglądać trzeba do niego...

— Jakże ci idzie, Janka?

Uśmiechnęła się przez zaciśnięte usta. Jest Niecko, właściwie czemu nazywa go po nazwisku, wypili ten bruderszaft, Stefek po prostu... Szkoda, że nie pojawił się wcześniej, dopomógłby...

Podniosła wreszcie głowę znad stołu operacyjnego. Chyba chłopak wyżyje? Jutro będzie wiadomo. Teraz na salę, niech go dadzą do separatki, będzie mu tam wygodniej, dwa tylko łóżka... Miejsca jeszcze na razie jest dosyć...

— Besten Dank, Herr Doktor... Jakże tam, Stefek skończyłeś?

— Minuta odsapki, bo nie poradzę... Ponura, nużąca historia. Dostarczyli dziewczynę ze straszonym opóźnieniem. Nawet nie wiem, czym ją tak urządzono, nie witriol, inriy środek, cała twarz, mówię ci. Nie chciałbym jej później na co dzień widywać. Mówili, że podobno była śliczna... Wiesz, jedna z tych od Młynarka. Młodziutka, aż żal jej do takiego życia. No, ale teraz się to dla niej skończyło, zeszecona na zawsze. Zupełna dżungla... Tamten, co go w nocy przynieśli kompani i podrzucili pod szpital, nie wyżył. Siedem ran ciętych, płuca przebite, zahaczona lewa komora serca... Operację wytrzymał, miałem już jakąś nadzieję...

— Kartę zgonu wypełniłeś? — przypomniał się jej Za-mirecki.

Wzruszył ramionami.

— Kiedy? Ledwie nadążam. Tylko co skończyłem obchód, zaraz do operacji. Trzy już, licząc te zszywanie twarzy dziewczyny. Miała szczęście, oczy nie naruszone... Teraz znów nowy kłopot. Cięża pozamaciczna. W tych przypadkach mam słabą wprawę, a Hildegard na porodowych nie zna się zupełnie, unika ich, nie nakażę mu przecież...

— Mógłby dyrektor... On chirurg?

— Internista, jak mówi. Tymczasem nie bierze się za nic. Tylko porządek, połysk, czystość, papierki... I tak szpital na medal, podobno jeden z najładniejszych... Na mnie czas... Zajrzę do dyżurki, jak skończę.

230

— Ja pójdę do ojca tego chłopaka. A potem na salę, jeszcze nie zrobiłam dzisiaj obchodu. Tyle nagłych wypadków, jak na ostrym dyżurze...

— Dyżur ostry to my mamy bez przerwy... Już nie pamiętam, kiedy się wyspałem do syta...

Stał zastygły pod ścianą, w ręce ta kaszkietowa czapka, nie wiedziała, dlaczego właśnie ta czapka tak zwracała na siebie uwagę. Przysunął się o krok, w jego ciemnych, głębokich oczach nieme pytanie.

— Już po zabiegu. Na szczęście jest szansa wygojenia bez żadnych trwałych pozostałości. Rzecz w tym, aby organizm wytrzymał teraz parę najbliższych dni. Bardzo duży upływ krwi. Z daleka go pan wioził? Kiedy się to zdarzyło?

— Z pięć, sześć godzin temu. Na szczęście nie wyruszyłem tego ranka na wodę, bo ja to rybak jestem, pracowałem przy domu. Znalazł stary niemiecki granat, pełno tam tego, jak to dzieciak, sto razy mówiłem, żadnego żelastwa nie ruszać... Wybuchło, dobrze, że odłamki tak jakoś w bok poszły, już myślałem, że go rozszarpało całego.. Będzie żył, pani doktor?

— Jest nadzieja. Mówiłam, tylko ten upływ krwi..

- Wiozłem jak można było najszybciej, ale to przeszło dwadzieścia kilometrów. Koniem wolno idzie.. Pani doktor, lekarstwa jakie najdroższe, wszystko, nie pożałuję — wyciągnął zza pazuchy zawiniątko, rozwijał, błysnęły banknoty... — Ryb pani przywiozę, w ogóle co tylko potrzeba..
- Niech pan zostawi. I bez tego zrobię, co tylko w mojej mocy. Niech pan to schowa. Pan wraca do domu?
- Ja tu gdzie w mieście zostanę, przy szpitalu, będą się dowiadywał.
- Dzień, dwa najwyżej zadecydują... Niech pan będzie blisko, może krew będzie potrzebna... Siostró, proszę wziąć grupę od tego pana... Do widzenia, mam inne sprawy..,
- Niech pani doktor Bóg błogosławi.

Wracała czystym, połyskującym korytarzem. Jakże tu inaczej, inny sposób reakcji, inne działanie. Tam, w lesie, było to takie proste, nikt nie skamlał, nie prosił, nie jęczał.

231

Chłopcy przyjmowali rany twardo, tak samo jak śmierć Z rzadka zdarzyła się bardziej rozkliwiająca scena... Tak samo było w powstaniu. Jedynie pierwsze dni minęły w czystych salach szpitalnych. Potem z każdą godziną coraz straszniejszy prymityw... Ostatecznie jakby potwierdziła się jej specjalność. Dawne marzenia o internie siłą rzeczy przygłuszyła chirurgia. A i tutaj, jest ich tak mało, tych dwóch starych lekarzy niemieckich, Niecko i ona, bo dyrektor to ciągle jakaś niewiadoma... I zawsze od nowa zaskakujący kontrast jasnego, pięknego szpitala, naprawdę trudno się przyzwyczać..

Uśmiechnęła się na przypomnienie zasłyszanej historii powojennej szpitala. Jedno skrzydło było wypalone, to czeka jeszcze na odbudowę. Ale te dwa... Zostały zdewastowane, zdemolowane, uszkodzone przez pociski. Pełnomocnik nakazał lekarzom niemieckim przywrócić szpital do życia. Mówił starosta, myślano na początek o pracach porządkowych, zabezpieczających. Tymczasem Niemcy zabrali się na całego. Był jeszcze trzeci, okazało się, figura we Wehrwolfie. Dosłownie cudem w parę tygodni postawili szpital na nogi Niebywały zapał. Niedawno wyszło na jaw, że po prostu przygotowywali zaplecze dla swoich rannych, tych z lasu. Kilkunastu gagatków kurowało się tutaj... Zagięły niedługo później zapasy lekarstw. Do dziś trudno z najprostszymi specyfikami...

I znów te wspomnienia. Czas popowstaniowy. Pruszków, ucieczka, powrót do lasu, do swoich. Klęska osobista... Przystanęła. Musi się otrząsnąć, złapać oddech, uspokoić, w takim stanie do chorych nie pójdzie. Papieros.

Stała przy oknie. Podwórze szpitalne przedstawiało nadal rumowisko. Gruz, brud, jakaś grupka Niemek krzątała się przy tym niemrawo. Już je Zamirecki popędzi któregoś dnia do galopu.

W niej samej też gruzowisko. Rozsypało się wszystko, ucięły marzenia. Tak głupio zginął. On, bohater, z odznaczeniami, o które niełatwo wszak było w partyzantce, gdzie jeden w oddziale godzien był drugiego. Zwyczajny dzień, miasteczko opuszczone przez Niemców. Jeden maruder T jedna

232

kula. wystrzelona jakby przypadkiem. Ale jak bardzo celna. Gdy przypadła do niego, tyle że na moment zdążył jeszcze otworzyć oczy, szepnął to jedno: Janka, i już koniec... Wytrwała przecież w

oddziale do końca. W złym i dobrym. Wróciła do Warszawy. Tydzień, dwa, dalej stało się to niemożliwe do zniesienia, stykała się z niektórymi z nich, wspomnienia od nowa stawały się świeże... Wtedy zgłosiła się, chce jechać. Tam, na zachodzie, miejscami podobno zupełny chaos, nieomal partyzancki czas. Pracą, tempem choć w jakimś stopniu zagłuszy w sobie tę pamięć... A tu, o ironio, pracy nie brakuje, ale otoczenie, ten szpital, jasny, wypucowany, ludzie jakże inaczej podchodzący do własnych nieszczęść, do chorób, to dziwne miasto wokoło, niby ruiny, gruz, a już pełne życia, same kontrasty, pracowitość, zapal, poświęcenie, obok zaś łatwe życie, wódka, dziewczęta, sprzeniewierzenia, mordy... Polska mozaika. Czy już zawsze musi być tak w tym kraju?

— Frau Doktor, Frau Doktor... Ta z operowanym gardłem zasłabła nagle... Proszę prędko...

Jednak dobrze, że jest ta praca, łatwiej nie pamiętać, odurzać samą siebie szpitalnym klimatem, zapachem leków, skoncentrowanym bólem i biedą, której można pomagać. Chociaż nie zawsze. Przedwczo raj ta mała dziewczynka. Dyfteryt, spóźniona sprawa. Żal.

Nic to. Byle nie pamiętać o sobie. Przynajmniej na jakiś, na dłuższy czas.

4.

— Niebo, kapitanie, zsyła mi pana — poderwał się, wy-ciągając obie dłonie do Wlazły. — Zatem wszystko pomyślnie? Zostaje pan u nas? Udało się? , Wlazło uśmiechał się swą pełną, dobroduszną twarzą, k zamachał ręką, jakby oganiał się przed natłokiem pytań n Zielniaka.

7

233

— Co za ferwor? Nie pamiętam pana takim, udziela się panu najwidoczniej ogólna energia... Załatwione, zostają. Nie tylko ja. Prawie trzy dziesiątki moich chłopaków. Nie było z tym łatwo, tutejszy teren nie należy do wyznaczonych pod osadnictwo wojskowe.

— A my tu nadal się borykamy, nie możemy dać rady z powiatem. Całe obszary stoją jeszcze zupełną pustką. Gdzie indziej bałagan, trudno o jakąś normalizację. Osiedlają, nagle zrywają się pewnego dnia, pakują dobytek, fiut, szukaj wiatru w polu. Ciągłe też niebezpiecznie. Dlatego tak się ucieszyłem pana widokiem. Pamiętam obietnicę, iż pomoże mi pan w tych osadniczych sprawach...

— Postaram się. Przynajmniej tymczasem, dopóki nie dowiemy się, co dalej postanowi się ze mną.

— Nie pojmuję?

— Wie pan przecież, że dyscyplina istnieje nie tylko w wojsku. Zdemobilizowano mnie z armii, ale zmobilizowano w partii. Tyle że nie wiem chwilowo, co będę z jej ramienia tu robił.

— Grunt, że pan jest... Bo tu urwanie głowy. Myślałem kiedyś, iż rządzenie nie należy do rzeczy najtrudniejszych. Zarzucają nas zleceniami, sypią się okólniki, zarządzenia, instrukcje, rozkazy. Z częścią ich mamy ambicję uporać się przed rocznicą PKWN-u, ale nie wiem, czy podołamy... Jak choćby ten problem powołania rady narodowej. Dwóch właściwie.

— Tak. Również miejskiej. Z prezydentem. Słyszałem o tym we władzach wojewódzkich.

— A my nic jeszcze nie wiemy. Od rana nie mogę się z nimi połączyć, chyba uszkodzenia na linii.

— Dziś mamy osiemnastego. Za cztery dni — zaburczał nagle Wlazło, nie zwracając uwagi na słowa Zielniaka. — Żebyśmy tylko zdążyli się przygotować...

— O czym pan mówi?

— Ano, złapała mnie na korytarzu ta pani od kultury, wie pan, z kokardką w siwych włosach, jakże jej, Dzwi-narska. I od razu, podobnie jak pan, że mnie niebo jej zsyła. Bo czegoś takiego jej brakło. Okazało się, mam

234

przygotować pogadankę o walkach naszych wojsk na tych ziemiach, podzielić się wspomnieniami, mało tego, mamy jej, to znaczy moi chłopcy i ja, dopomóc w budowie trybuny, czegoś takiego. Miła, ale ogromnie gadatliwa niewiasta, energia ją po prostu rozpiera.

— Wiem, wiem... — westchnął Zielniak. — A co gorzej, publikuje korespondencje. Ostatnio w katowickiej „Odrze” przeczytałem reportaż o naszym mieście. Hm, niby nawet pochlebnie, ale... A już z Lipcem to zupełne szaleństwo. Szkoli jakiś chór, montuje przedstawienia amatorskie, ma być zabawa na wolnym powietrzu. Lisiewicz za głowę się łapie, czym obstawi tę całą historię, różnie bowiem może się zdarzyć, jak towarzystwo obficie podchmieli. To jej daj płótna na flagi, na dekoracje, to ludzi do pomocy, to znów czegoś tam jeszcze. Ostatnio zażądała samochodu do wyłącznej swej dyspozycji, bo nie ma czym ruszyć w teren, a tam ludzie dławią się, jak powiedziała, z braku kultury. Bogać tam teraz myśli kto o kulturze, ale Dzwinarskiej nie wytłumaczysz. Jeszcze zaraz podbudowuje swe żądania ideologią, że przecież demokracja, socjalizm, to także upowszechnienie dóbr kulturalnych. I to ma być ziemianka, psiakrew!

— Zdeklasowana, kolego. Wyrodek swej warstwy — zaśmiewał się Wlazło, spoglądając na zaperzonego na serio starostę.

Zielniak też w końcu się rozweselił, i nagle gabinet starosty wypełnił się tak gromkim śmiechem, aż Halina uchyliła ostrożnie drzwi od sekretariatu, aby zobaczyć, co to się stało.

— Halinko, masz dobre wyczucie. Zrób, dziecko herbatkę — krzywiąc pociesznie twarz, zaszeptał z kolei ponurym tonem do Wlazły: — Najgorsze zaś to, że ustalając skład rady narodowej, musieliśmy i Dzwinarskiej przydzielić tytuł radnego. Dobrze, że nie wie o tym dotychczas, korzystałaby już z prerogatyw na zapas. Wyobrażam ją sobie na sesji. Wystąpi z tą swoją kokardką, pierwsze słowa, gotów jestem się założyć, to będzie: „Kochasie”...

— Prawdopodobnie... No, ale do rzeczy. Skoro mam wam

235

dopomóc... Jeszcze jedno, jak się układają stosunki między Stefczykiem a Lisiewiczem?

— Na ile wiem, to jakby zawieszenie broni, choć się obaj nie znoszą.

— Km, będzie trzeba to rozgryźć...

Zadzwęczał telefon. Zielniak uniósł słuchawkę, ucieszył się.

— Nareszcie jest województwo. Od rana czekam... Hallo, halle? Tak, Zielniak przy telefonie. Dzień dobry. Słucham... Dobrze notuję. Potwierdzenie, mówicie, jutro... Tak, tak, już piszę... Dobrze, dobrze. To nam ułatwi sprawę, dziękuję. Dopiero w przyszłym tygodniu? My naprawdę źle stoimy z tłuszczami. Konie też będą i krowy? UNRRA? Świetnie! Tylko tyle? Strasznie mało. Zlitujcie się, tłumy całe molestują o bydło... Rozumiem, ale... No dobrze, dobrze... Tak, chcemy powołać w przeddzień Lipca, ale nie mamy od was potwierdzenia naszych sugestii, ani waszych zleceń... W drodze, to dobrze. Aha, tak, notuję, dobrze wiedzieć zawczasu. Zaraz, co, kto? Froszę, powtórzcie... Lisiewicz? Obecny komendant MO? Lisiewicz? Na pewno, czy nie omyłka? Bardzo się cieszę, choć to nie była nasza propozycja i mieliśmy kłopot z obsadą. Kapitan Wlazło już wie, objaśni mi bliżej? Aha, świetnie, że to mówicie — w tym miejscu Zielniak groźnie łypnął okiem na swe vis a vis za biurkiem... — Milicję obejmuje Pędzik? Tymczasowo? Nominacje w drodze? Więc czekam. Jeszcze jedno, czy będzie tutaj ktoś od was? Nie, szkoda. Rozumiem, rozumiem, u mnie to samo... Do widzenia. Do widzenia...

Odłożył słuchawkę, odetchnął głęboko, spode łba spojrzął na Wlazłę.

— Kupa nowin. Od rana czekałem na połączenie. Sporo spraw się rozstrzyga. Ciekawym, co powie na to Stefczyk?

— Na nominację Lisiewicza?

— Tak. Nie mogliście, kapitanie, wcześniej mnie o tym poinformować? Nie byłbym jak tabaka w rogu...

— Nie zdążyłem, mówiliście cały czas o Dzwinarskiej. Stefczyk chyba już także wie. Lisiewicz trzy razy prosił

236

o zwolnienie go z funkcji komendanta MO. Że teraz już najgorsze minęło, mogą przyjść inni... Kijanek miał inną niż Stefczyk opinię, ja również podszeptałem swoje zdanie. On będzie świetnym burmistrzem. Należy mu się, chyba pierwszy to obywatel miasta?

— Jeśli nie liczyć rodziny Srodów, to pierwszy. Zaraz, a jeśli się Lisiewicz nie zgodzi? On pragnął przejść do szkolnictwa.

— Myślę iż potrafimy mu wytłumaczyć, że jest konieczny. Musimy mieć ludzi, którym można zaufać...

— Wszakże Stefczyk...

— Stefczyk to bardzo zasłużony towarzysz. Rósł w walce, i to ostrej. Stąd może patrzy czasem przesadnie, ocenia jaskrawymi kategoriami. Zresztą... — tu kapitan urwał. — Czas pokaże, jak rozstrzygną się pewne sprawy. Więc co z powiatem, jak osadnictwo? Trochę zostałem w tyle, w końcu prawie dziesięć dni spędziłem w Warszawie, w Szczecinie, w Łodzi i Koszalinie. Wyjeździłem się. Pociągi to chyba największa dziś zhora. Sprasowali mnie na deskę... Może ja teraz powiem, co z moimi chłopcami. Więc tak. Jeden pluton zostaje tu jeszcze na czas żniw. Pomogą w najtrudniejszych sytuacjach, potem wrócą do macierzystej jednostki. Reszta została zdemobilizowana albo jest w

trakcie tej procedury. Wracają do domów, częściej osiedlają się na zachodzie. Dla dwudziestu sześciu wydebiłem prawo osiedlenia w naszym powiecie. Paru, z wcześniej zwolnionych, już się tu urządziło. Sierżant Rząpik zdaje się softysuje?

— Tak. Był wczoraj u nas. Woła o osadników. Zabezpieczył dla nich domy, ale mówi, że dłużej z szabrownikami sam nie poradzi. Zapowiadają w tych dniach nowe repa-trianckie transporty. Z Kieleckiego też czekamy na osadników.

— Pięknie. Moja koncepcja wygląda tak. Rzecz jasna, nie mogę chłopaków zmuszać, ale chyba potrafię im jakoś wytłumaczyć. Pragnąłbym ich osiedlić po kilku w najtrudniejszych punktach, na bezludziu. Stać ich będzie, żeby zaprowadzić wokoło porządek. Do nich na konkretne adresy

237

będziemy kierować osadników. W ten sposób stworzymy sobie zaplecze, potem będzie już łatwiej. Trzeba tylko dobrze się rozejrzeć w terenie, sama mapa tu nie wystarczy. Mam ochotę sam się wybrać, spenetrować okolicę. Z tym, że musicie przydzielić mi wóz. Łazika już nie mam, pamiętajcie, nie jestem w wojsku...

— Jutro od rana. Gdzie podstawić?

— Zaraz, zaraz, nie tak szybko. Jutro i pewnie pojutrze mnie tu nie będzie. Mam taką sprawę, nie służbową... W kwatermistrzostwie chciałbym dostać coś z demobilu dla moich chłopaków. Mam tam przyjaciela, zgadaliśmy się...

Zielniak nie zdążył zapytać, o jaki demobil mu chodzi, weszła z herbatą Halina, rozstawiała szklanki, podsuwała cukiernicę. Wlazło zauważyć czułe spojrzenia, jakie wymienili ze starostą. Uśmiechnął się.

— Wiecie, w Warszawie opowiadano mi taką anegdotę... — zaczął, mieszając zawzięcie łyżeczką.

Na peronie tłoczno było od koczujących ludzi. Pokładali się jak mogli przy swoich tłomokach, często podsuwając jedynie gołą pięść pod głowę. Jakaś matka karmiła niemowlę, gdzie indziej nieco bardziej podrosłe maleństwo darło się wniebogłosy. Za torami płonęły ogniska. To grupa repatriantów spod Lidy obozowała na szczerym polu. Uparli się, że pojedą ped Szczecin, nigdzie indziej nie myślą osiadać, lichy wie, czemu ich tutaj przywieziono, gdzieś na ubocze. Gdy po piątym lipca rozeszła się wieść o ostatecznym przyznaniu Szczecina Polsce, miasto to i okolice zasłynęły pośród mas osiedleńczych jako mlekiem i miodem płynąca kraina. W PUR-ze nie umiano sobie z tym owczym pędem dać rady, w końcu więc sprawę pozostawiono losowi, ostatecznie w Szczecińskim nie mniej niżeli gdzie indziej potrzebni są ludzie. Na Zachodzie, tym europejskim, za dużo zaczynają coś gadać o nie zasiedlonej pustyni na byłych niemieckich terenach...

Jeziński przyzwyczał się już do tego, że u niego na stacji było najtłoczniej. Dzień i noc przewalały się tłumy, to wy-

238

czekujące na pociągi, to węszące nie wiedzieć za czym, przewijali się ludzie z jakąś teczuszką jedynie w rękę, a obok sapiąc dźwigali inni wypchane po brzegi walizy i pękate toboły. Wędrówka ludów.

Bufet Staniszkisa, emerytowanego kolejarza, konkurował z kuchnią PUR-u, gdzie dzień i noc gorąca herbata i zupa rozdzielane były szczodłą dłonią. Na dworcu o każdej porze można też było kupić wódkę. Handlował nią oficjalnie Staniszkis, znacznie taniej, choć częstokroć był to zwykły bimber, młodzi cwaniacy albo zakutane po uszy w chusty babiny podsuwały fiaszeczki pod nos klientom. Obok matek z dziećmi przewijały się w tłoku młode dziewczęta, pożądliwym wzrokiem wodzili za nimi samotni mężczyźni... Skądś napływały śpiewy: „Góralu, czy ci nie żal” konkurowało z partyzanckimi wspominkami, jakiś kuternoga z gitarą próbował oczarować serca rzępoleniem „Czerwonych maków na Monte Cassino...” Rozmowy to przyciszone, to bardzo głośne, krążyły wokół wszelkich tematów, od oceny co ładniejszych dziewcząt na sali po zażarte dyskursy na polityczne tematy. Niektórzy przy takich okazjach oglądali się uważnie na boki i ściszały głosy, gdy przybliżał się nieustannie tutaj dyżurujący patrol dwóch milicjantów. Byli potrzebni, zdarzały się na dworcu zażarte bójki, kradzieże, nawet rabunki repatrianckiego mienia.

Jezierski przystanął teraz, przesunął od czoła czerwoną czapkę zawiadowcy. Światła elektrycznych lamp mieszały się z blaskami ognisk za torem. Śpiewy przeplatały się z płaczem dzieci i wyzwiskami pijusów. Z cienia, za gęstwą krzewów okalających budynki stacyjne, niósł się napięty, drażniący chichot kobiecy. Linie torów połyskiwały. Pociąg, jeśli wierzyć rozkładowi, który był tymczasem tylko najbardziej ogólnie orientacyjną wskazówką, nadejść miał za dobrą godzinę. Od bufetu dobiegły dźwięki „Serca w plecaku”.

— Ludno tu u nas, panie zawiadowco, nieprawda?

Obejrzał się. Ach, Królak. Stary tłucze się nocami jak on, może także nie potrafi znaleźć dla siebie miejsca? Rozkochany w tej stacji, on to przecie sadił kwiaty na mozolnie

239

przygotowanych gazonach, zawieszał kosze czerwonej pelargonii u słupów podtrzymujących dachy peronów, na ochotnika malował, tynkował, co mu Jezierski kazał i czego nie kazał. Żółty człowiek, serce otwarte, wieluż to już. Ludzi przygarnął, przenocował u siebie, nakarmił, napoił?

— Ludno, Królak. Tu się dopiero widzi, co dzieje się w Polsce. Nie tak? Ale czemu wy, stary, nie śpicie? Już dość mamy tu naszych, spać można spokojnie, nie tak jak wtedy, gdyśmy we trójkę warowali, patrząc na ręce niemieckiej załozde.

— Dawne czasy, aż nie pamięta się, że kiedyś tak było — Królak parsknął śmiechem. — Dziw, jak czas inaczej teraz się mierzy. Mówimy: dawno, a to ledwie miesiąc, półtora temu... Pusto tu było, nocą tylko wiatr świstał, szyny zardzewiały, wymarła stacja. Dopiero ożyła. To i chodzi sio po niej, patrzy, jakby co jeszcze zrobić... Pan zawiadowca mnie pyta o te sprawy, a sam? Nie przymawiając, jak ten garnek co przymawiał kotłowi, choć oba smolą...

— Mam służbę. Pociąg.

— Teraz to pociąg, ale wcześniej i później? Z dyżurki pan nie wychodzi... Ja tam nie pytam, każdy ma swoje sprawy, każdego coś gryzie, więc szuka czy ludzi, czy miejsca, gdzie łatwiej przemóc coś w sobie, zapomnieć... Zapali pan, panie zawiadowco?

Przysiedli na wózku bagażowym. Gęstwa ludzka została za nimi. Tu było ciszej, spokojniej. Jezierski pojął, ma Królak coś na wątrobie, widocznie nadeszła nań taka chwila, kiedy musi się człowiek wygadać. Jest czas, Królak swój chłop, od serca, zresztą trzeba swoich ludzi bliżej poznawać...

Palili w milczeniu, patrząc na niknące daleko linie szyn, migocące w blaskach płynących od stacji. Królak westchnął, starannie zdeptał niedopalek.

—: Tutaj mi dobrze, gdy tak te szyny, stacja, ruch, ludzie, gdy trzeba zwrotnicę przestawić, sprawdzić, czy działa sygnalizacja, ba, kwiaty gdy musi się podlać, jak suchej, flagi zawiesić, jak na to pojutrzejsze święto. Ale w domu inaczej... Jeszcze stara mi popłakuje, strzeż Boże, żebym

240

słowo powiedział, anioł nie kobieta, przeszła swoje, ale trudno na cudze łyż patrzeć, gdy ledwie hamuje się własne...

Jezierskiemu zdało się, że rozumie starego kolejarza. Zapragnął mu ułatwić tę spowiedź, do której zmierzał okrężnymi drogami.

" _ Wy, Królak, jesteście zza Buga?

_ Z samych Baranowicz. Piękna stacja, panie zawiadowco. Wielki węzeł. Tam też u nas zawsze był ruch. Bo ja od małego na kolei. Ojciec też był kolejarz, jeszcze za cara, ledwie linię tę zbudowali, jakże to ona się zwała... Nic, przypomnę sobie później. No i ja tylko na kolei. Choć, skłamałbym, żeby i samo miasto nie było bliskie, wszystko naokoło. Nawet trochę podobnie. Też mocny las, wody pełno, rzeczki, jeziora, błota, że Boże strzeż, w nie się dostać, złe zaraz wodziło, zabłąkał się niejeden... Ale najważniejsze to stacja. Ciężko było odjeżdżać. Ja tam na polityce się nie znam, trzeba, nie trzeba. Mnie serce się rwało, jak pakowaliśmy się do wagonu repatriacyjnego. Płakaliśmy z moją i płakali, nie wstydził się człowiek tych łez, żegnało się stare kąty, cmentarz, na którym rodzice, pamięć każdego drzewa, krzaka, co dopiero każdej zwrotnicy, każdej linii, z tych głównych i z bocznic. Na pamięć je znałem, po omacku bym wszędzie trafił... To właśnie i dręczy. Cni się, tęskno, żal, czasem tak, bywa, zaszarpie, że nie wiadomo, co z sobą robić. Mojej to jeszcze gorzej, w domu sama siedzi, ani dawnych znajomków, ani gęby do kogo otworzyć. Bo ja to rwę zaraz na stację. I skoro szyn dotknę ręką, popatrzę, jak giną gdzieś daleko, gdy po peronach połażę, do dyżurki zajrzę, lżej się robi od razu. Czasem dlatego całe dni i noce do domu nie wracam. Tu mi dobrze, ginie tamta tęsknota, mam tę stację, szyny, ludzie się kłębią, jest ruch... Panie zawiadowco, a w dyżurce kto jest?

— Franek ma dyżur... Czemu pytacie?

— Bo po mojemu, to jedzie. Mam już -wycucie, choć nic nie słyhać, nie widać...

— Dziw, jak punktualnie byłby dziś rozkładowy. Ledwie pół godziny spóźnienia. No, to trzeba iść... A tych Baranowicz swoich, nie byłem tam, ale słyszałem, stacja roz-

16 Przejśnia się niebo t. I

241

rządowa, podobno piękna, tych Baranowicz nie wyrzucajcie na siłę z serca. To nie pomoże, jeszcze gorszy ból się zrodzi. Ot, dobrze, jak się zarazem coś nowego ukocha. Jak i wy, i ja tę naszą stację. Ja

też mam takie coś, co mnie gryzie, sam zostałem, bez mojej winy, w pustym domu miejsca znaleźć dla siebie nie mogę. Tu mi lepiej. Królak, o wiele lepiej... No, idziemy, kolego.

Nie tylko Królak miał to intuicyjne wyczucie. Pośród ludzi na peronie, na torowiskach, wśród gromad koczujących na zboczu nasypu, na sali stacyjnej, ni stąd, ni zowąd wszczął się gorączkowy ruch, zaroilo się, podniosły się mocniejsze głosy, jeden przez drugiego przepychał się ku wyjściu.

— Już jedzie, jedzie... Zaraz tu będzie.

Co gorliwsi zeskakiwali na tory, przy klęku jąc przykładali uszy do zimnego żelaza, potrząsali głową: nic jeszcze nie słyszą. Inni ślepili przez noc, ale panowała zupełna ciemność. Poruszenie, jak niespodzianie wybuchło, tak ni stąd, ni zowąd poczęło wygasać. I dopiero długi narastający poprzez ciszę świst pociągu od nowa poderwał stłoczoną masę.

— Panie zawiadowco! Dwie stowy za dobre miejsce — podskoczył jakiś jegomość do Jezierskiego, wpychał pieniądze.

— Człowieku, cóż ja poradzę? Każdy sam musi się starać...

— Ech, cholera, wilkiem jeden drugiemu... Co się to z ludźmi zrobiło?

Znów świst, przez mrok narastające dudnienie, wreszcie obłok dymu przetkany skrami. Milicjanci rozpaczliwie torowali sobie drogę wzdłuż obrzeża peronu, odsuwając odeń co gorliwszych amatorów jazdy, nie zdających sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

— Do jasnej Anielki, kiedyż ta Służba Ochrony Kolei tu będzie? Wszędzie jest, a tu tylko wciąż obiecują. Skończyłaby się mordęga... Na bok, na bok, obywatele, nie pchać się pod koła.

Królak gdzieś się zapodział. Już na pewno wyszukał sobie

242

w tłumie jakąś samotną kobiecinę z dziećmi, starca czy ułomnego, będzie im pomagał włączyć się do pociągu. Jezierski wyprostował się raźniej. Każdy przyjazd pociągu oddziaływał nań podniecająco, stawał się jakby nowym zastrzykiem energii. Kolej, to zawsze stanowiło dla niego symbol siły, pędu jakiejś mocy potężnej i niezależnej, poprawił czerwoną czapkę, energicznie, choć łagodnie, usuwał tłoczących się ludzi. Lokomotywa zbliżała się, rosła w oczach, siała parą i skrami, wzniewała wiatr. Podniósł do góry chorągiewkę, salutował nią, ślepiąc zarazem wzdłuż wagonów. Kilka osobówek, przepełnionych w nieprawdopodobny sposób, za nimi długi ciąg ciężarówek, lory i kryte, i wszędzie, wszędzie, nawet na zderzakach, na dachach, na stopniach, ludzie, ludzie, ludzie...

Zgrzyt hamulców, wolniejące obroty kół. Zderzały się ze sobą dwie fale, ta napierająca od peronu i ta pragnąca się wydostać z wagonów. Gwałt, krzyki, pisk. Przy Jezierskim zziąjany kierownik pociągu.

— Cześć! Odczepiamy dwanaście towarowych i repa-trianckich. Trzy z konwojem, aprowizacja. Od was co dostajemy?

•— Cześć! Dzisiaj nic, rannym wszystko odeszło.

— Kochasiu, dobrze, że pana widzę; Pomóż mi pan!

Na ramieniu uczył mocny ucisk dłoni wcześniej, nim usłyszał Dzwinarską. Zarumieniona, przejęta, z błyszczącymi oczyma, z bukietem jakichś powiędłych kwiatów w dłoni, przewalała się wraz z targającym nią w jedną i drugą stronę tłumem, i tylko siwe włosy związane niebieską kokardą odróżniały ją od razu od innych.

— Co pani tu robi? Po nocy, sama?

— Po córkę przysłałam. Dziś miała przyjechać z Poznania. Ale jakże tu ją odszukać? Przy okazji, panie Jezierski, co ze świetlicą dworcową? Miał pan pomyśleć o tym...

— Zawiadowco, zawiadowco! Co z tymi końmi? Ludzi nam potratują!

— Panie Jezierski, więc jakże?

— Daj pani mnie spokój, kiedy indziej będziemy omawiać świetlicę... Już lecę... Franek, uważaj na wszystko...

243

— Ostrożnie. To żywe stworzenie. Nie spychajcie jej tak... Trzymajcie ją, bo potratuje, trzymajcie...

— Co jest? Co za cholera z tymi końmi? Później wyładować ich nie zdążycie?

— Kiedyż te wagony jadą dalej...

— Też durnie, nie umieli składu inaczej złożyć, w środek wepchnęli towarówki...

— Panie Jezierski, pomagaj pan!

— A, kapitan, a pana co tu przyniosło?!

— Potem, potem, teraz te konie. Nie boisz się pan?

Już biegł ku podestowi prowizorycznie zbitemu z desek, po którym sprowadzano z wagonu zestrachane, boczące się, wierzgające konie. Dwa się wyrwały, ledwo zdołano je złapać w ostatniej chwili, gdy parły na cofający się w przerażeniu tłum.

— Dobra, to jedenaście, teraz dwunasty... A tamten wagon, gotowy?

— Dwa jeszcze, za nic nie dają się wyprowadzić, spłoszone, gryzą, wierzgają, że Matko Boska!

Kapitan sam wpakował się do wagonu, zatupotało tam, zadudniło, po chwili bułana klacz runęła w dół po pomoście, wlokąc u szyi wczepionego w nią jak kleszcz Wlazłę. Jezierski skoczył od drugiej strony, spłoszony koń rzucił się w bok, zatracił rozpęd. Już trzymali go z obu stron, ktoś jeszcze dopomógł, można było odprowadzić zziąjaną, boczącą się klacz dalej od tłumem.

Wlazło liczył, sprawdzał, poganiał, przejęty, wymęczony. Jezierski, rozdzielony znów tłumem, chciał się zbliżyć do niego, ale ktoś go zatrzymał, łapiąc za ramię. Przed oczyma zobaczył falujący plik papierów, dopiero w chwilę później wyłonił się zza nich jakiś niewielki jegomość, popiskujący w zdenerwowaniu:

— Panie zawiadowco! Ja w imię praworządności. Jakim prawem siłą mnie chcecie tutaj wysadzać? Proszę, moje papiery, o, z podpisem samego ministra oświaty, tu skierowanie, tu...

— Zostaw pan te papierki. Czego pan chcesz? Uwaga, konie, coś może się stać...

244

— Co mnie konie, kiedy tu takie bezprawie. Ja wnoszę zażalenie, panie zawiadowco. Mam skierowanie do Kołobrzegu. Jestem profesor Apoloniusz Zawilski. Ze Lwowa. Tu od ministra, a tu od...

— Daj mi pan spokój wraz ze swoim ministrem... Czego pan chce?

— Odczepiają mój wagon. A my do Kołobrzegu. Więc żeby pan nie zezwolił...

— Kołobrzeg? To od Piły czy Krzyża trzeba było dostawać się inną linią. Tędy pan się nigdzie nie dopcha...

— To proszę kazać zawrócić. Musi być porządek, jakże tak? Ja bo, proszę pana szanownego, mam z sobą bibliotekę i...

— Pięknie, to się poczyta. Ale nic pomóc panu nie mogę. Składu całego teraz nie przestawimy, już i tak czas odjazdu dawno minął, kiedyś musimy wydobyć się z bałaganu... Jutro możemy porozmawiać, nie chce pan tu, można będzie jechać dalej. Teraz wagon pana wraz z innymi odto-
czymy na bocznicę.

Pociąg wekslował już, na peronach uspokoiło się, choć tłum nadal był gęsty. Kogoś jeszcze Wpakowywano oknem, dziewczę wierzgało nogami, majtki zaróżowiły się mocnym kolorem, podsadzającym musiało się to spodobać, pokrzykiwali :

— Jeszcze troszeczkę, a wlicie... Pchaj się pani, głową do przodu. Hooop!

— Panie Jezierski, nie widział pan mojej córki?

— No, kolego, udało się! Dwadzieścia osiem sztuk... Zараż, mam coś dla pana...

Kręcił głową, bezradny, tu Dzwinarska, tam Wlazło, a jeszcze ten pomylenie z papierami i biblioteką.

— Zaraz, zaraz, niech skład odprawię.

Kierownik pociągu gniewnie coś perorował, pokrzykując i pomstując. Milicjanci też mieli jakąś sprawę do zawiadowcy.

— Chwileczkę, chwileczkę, powoli, powoli...

— • Więc jak, panie zawiadowco? Niech pan nie śmie wypuścić bez nas tego pociągu. Domagam się stanowczo pod-

245

łączenia naszego wagonu. Tu jest specjalne pismo ministra, do Kołobrzegu...

- Panie, nie tędy, do Kołobrzegu najbliżiej przez Wałbrzych i Legnicę — zakpił ktoś, śmiech poleciał wokoło.
- Jak Boga kocham, pan profesor Zawilski! Kochasiu, ta skądże pan tutaj?
- Pani Dzwinarska? Niechże mnie pani ratuje, nie chcą mnie puścić dalej, a ja do Kołobrzegu...
- Profesorze, widzi pan, co się dzieje? Jakaś omyłka, zostaniesz, kochasiu, do jutra u nas, potem zobaczymy, nam takich jak pan ludzi potrzeba, trudno tu ruszyć z oświatową robotą, jest muzeum, wspaniałe zbiory etruskie, jutro, jutro, teraz niech się pan uspokoi...
- Kiedy od ministra... Zaraz, zaraz, etruskie, pani mówi? Ale Kołobrzeg...

Jezierski nurknął na stronę, chwalić Boga, za jednym zamachem pozbył się tej pary. Niech tokują między sobą.

- Puśćże pan wreszcie nasz skład! — ciskał się kierownik pociągu.
- Franek, sprawdzone wszystko, wagony, ekspedycja?
- Gotowe, można jechać...
- Widzi pan, o co się wystarałem moim chłopakom? Dwadzieścia osiem koni nad przydział... Trochę ma się tych chodów w kwatermistrzostwie. Z demobilu, ale ani by można było marzyć, aby nam tutaj je dali. Jeszcze co nieco Wlazło potrafi... Patrz pan.
- Kiedyż, kochana, ja do Kołobrzegu — mniej już uporu, coraz silniejszy ton rezygnacji.
- Mamo, zamiast mama mnie, ja mamy tu szukam...

Obejrzał się Jezierski, gdzie jest ta córka Dzwinarskiej,

nie spostrzegł jej, bo nagle źrenice rozszerzyły mu się zdumieniem, stanął z rozwartymi ustami, oczy przetaił, raz, drugi. Nie śpi, naprawdę ona, Ewa, jakaś blada, zmi-zerowana, niespokojna, niepewna... Ewa, Ewa tutaj, Boże, czyż to może być prawda?

- Franek! Masz czapę, chorągiewkę, odprawiaj pociąg, niech jadą, gdzie chcą. Franek! — krzyżąc to rzucał mu insygnia swojej funkcji, z rozwartymi ramionami szedł

246

przed siebie ku drobnej, skulonej kobiecie z małą walizeczką w ręku.

Ewa. Żona. Porzuciła go, zdradziła, poszła do Soleckiego, do Warszawy... A teraz jest tutaj, na jego stacyjce, patrzy niepewnymi, spłoszonymi oczyma, drobna i zabiedzona. Ona, Ewa...

_ Ewa — powiedział.

- Wacek — odszepnęła, a w oczach jej odczytał jedno wielkie pytanie.
- Ewa — powiedział głośniej — wróciłaś...

— Jeżeli mnie zechcesz... — ale już niepokój ginął z jej oczu, twarz się rozjaśniała radością.

— Ewa! — zakrzyknął teraz, chwytając żonę w ramiona, z tą walizeczką mizerną, w tej sukieneczynie, z resztą niepokojem w oczach. I tak, niepamiętny na nic, na nikogo, siedł z nią w ramionach, ludzie rozstępowali się, myśląc może jakiś wypadek, podbiegł Królak, chcąc o coś zapytać, dostrzegł urzeczenie w twarzy szefa, odsunął się na bok, ktoś wołał jeszcze do zawiadowcy, też urwał w pół słowa...

— Ewa, Ewa, wróciłaś do mnie. maleńka, jednak wróciłaś, Ewa, musiałaś wrócić — powtarzał niosąc ją na rękach jak małe, niesforne dziecko.

Z gwizdem i turkotem, zmniejszony o pokaźną ilość wagonów, pociąg ruszał w dalszą drogę.

Ale Jeziński tego nie widział.

5.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Cały ranek miotał się z kąta w kąt, przekładał rzeczy, próbował się pakować, zaprzestawał, w pewnej chwili kopnięciem pchnął pod łóżko wypchany tobołek. Nie będzie się tak od razu bał, nic się jeszcze nie stało, mógł to być zwykły przypadek.

Jednak coś mu nakazywało ostrożność, niepokój nieustannie narastał. Wychodził przed młyn, dalej od rumoru spadającej upustem wody, która stanowiła teraz więcej

247

symbol niż potrzebę, skoro żarna prąd poruszał, patrzył w kierunku miasta, nasłuchiwał. Dawno minęło południe, słońce zniżyło się pod zachód, ustąpiła ciężka parność w powietrzu, podniósł się wiaterek, lekkimi podmuchami łagodząc uprzednią spiekotę. Wraz z wiatrem niosły się niekiedy mocne pogłosy, jakieś okrzyki, dźwięki muzyki. Pomyślał, że pewnie już się zaczyna zabawa ludowa, zapowiedziana jeszcze wczoraj. A wieczorem popiją sobie, dopiero zacznie się święto... Sarkastycznie wykrzywił wargi.

Mieszkanie Marcinków było zamknięte, całą rodziną poszli do miasta. Świątować, psia ich mać. Takim to dobrze, byle czym się obejdą, o nic ich głowa nie boli, jak konie swoje odrobnią i tyle. Ba, żeby tyle, a to ciągle węszenie, podglądanie, jakaś nieufność, wyraźna wszakże? Diabli nadali z takim pomocnikiem. Ani go czapką ani papką. Gdy mu kiedyś podrzucił słówko, że mógłby przecie otrzymać parę woreczków pszennej dla siebie, na handel, głową rzucił, zapytał przeciągle:

— Że co?

Nabiedził się wtedy, by obrócić swe słowa w nieporozumienie. Niby wyszło, ale był pewien, że Marcinek i tak mu nie uwierzył. Chwała Bogu, że teraz ich nie ma, denerwowaliby samym swoim widokiem.

Zagryzł wargi. Bo w ogóle to trzeba się zastanowić. Jeszcze nic się nie stało, ale to był sygnał, którego nie można zlekceważyć. Że to, cholera, dopiero teraz. Wtedy, zanim wynikła afera z Wehrwolfem... Dopieroż się strachu najadł, ani chybi, wydobyliby w śledztwie jego współudział, na szczęście udało się prysnąć chłopakom, choć podobno na granicy porozwalali wszystkich... Więc żeby Wtedy. Byłoby proste. On zostałby górą. Wskazałby faceta, sprzątnęliby go cichutko i końce w wodę. Ale teraz ich

nie ma. Nie ma nerwów z przydziałami mąki, coraz wzrastającymi, z grubą lewizną, ale i nie ma zaplecza. Zwiąć się, póki czas, machnąć na wszystko, gdzie indziej zaczynać od nowa? Nie, nie, przemyśleć jeszcze, odczekać, może fałszywy ogień. Ta broda pomaga, inne uczesanie, na pewno to myli...

248.

Wczoraj pod wieczór diabli go ponieśli na to uroczyste posiedzenie nowo powstającej rady narodowej, akademii rocznicowej zarazem. Łudził się do ostatka, że i jego wybiorą. Psia mać, co by nie powiedzieć, muszą mieć nosa. Różnych pętałów, choćby tego Feryckiego, porobili radnymi, a jego nie. Nawet Wiktora. Śmiesznie to brzmiało, gdy starosta oznajmił, że Wiktor Środa, autochton tej ziemi, ostatni Mohikanin, bastion polskości na dalekiej rubieży... Gadać to oni umieją. Bastion, rubież i Wiktor Środa! Zesrać się można ze śmiechu. Z jakim fasonem stawiają zręby, tak to mówią, tej swojej Polski. Niechby stawiali, ale żeby

1 człowiekowi dali spokój. Życ przeciw trzeba, co się oglądać na przeszłość, każdy musiał sobie radzić i wtedy, kto mógł zresztą przewidzieć, że tak się potoczy ta wojna, że rozsypie się Tysiącletnia Rzesza?

Teraz, pewnie, nie ma co żałować, jeszcze by zawracał sobie głowę duperelami. Ale wczoraj miał żal i pretensje, obliczał w duchu własne zasługi. Młyn pięknie działa, jak w zegarku, mąka pulchna, drobniotka, bez zanieczyszczeń. Wygoda, zabezpieczenie w chleb i dochód razem dla miasta, A oni nie umieli tego docenić...

Fetę jednakże zrobili. Nawet mądrze połączyli jedno

2 drugim. Że niby z rocznicą PKWN, wyzwolenia, zarazem i u nich tutaj, po paru zaledwie miesiącach pionierskiej pracy, następują akty porządkujące, usuwające najpierwszą prowizorkę. Powołane zostaną ciała zbiorowe, osobno wydziela się zarząd miasta z prezydentem czy tam burmistrzem na czele, osobno radę narodową dla całego powiatu, którym nadal będzie kierował starosta Zielniak... Dwudziestu radnych dla miasta, tyło samo na powiat. Któż to nie wszedł do jednej czy drugiej rady? Zwłaszcza większość z tych pierwszych. Bo przecie i Jezierski z kolei, i Przybyła, ten, który uruchamiał elektrownię, a teraz szarogęsi się w niej jako dyrektor. Nawet ten mąciwoda, Pętał Ferycki, jako przedstawiciel młodzieży... I jako rodzynek, Józef Środa... Lisiewiczza zrobili burmistrzem. Ciekawe, skąd taki pomysł? Może im nie pasował w milicji? Choć niby starał się, dawał radę, poradził sobie z Wehr-

249

wolfem. Ech, durnie, wielkich Niemiec się im zachciało, ziemię gryzą gdzieś teraz, paru w więzieniach czeka na proces. Pewnie niedługo już się odbędzie...

Żachnął się. Co go to w końcu obchodzi? Ci nic nie wiedzą, nie wsypią go, a skoro chciało im się igrać z ogniem niech teraz bronią własnej głowy. On im i tak nie mógłby pomóc. Trzeba myśleć o sobie... Tego Pędzika mianowali pełniącym obowiązki komendanta milicji. Już to lepiej mogli pomyśleć. Co taki były sierżant poradzi? Wielkie miasto, nie na jego głowę. Choć szpila to on jest, lubi szperać. W młynie był parę razy, wszędzie wsadzał swój nos, węszył coś, z Marcinkiem pogadywał. I gówny się czego wywiedziały. Nie sam Pędzik najgorszy... Tamten. Złe go tutaj pewnie przyniosło.

Oczy mu zabłyśły nadzieją. A może to omyłka? Mroczno już było tłum odpływał z wielkiej, nie odremontowanej do końca sali kinowej, gdzie odbyła się akademія i powołanie rad narodowych. Zaroiło się na ulicach, a już najbardziej w knajpach. Licho go skusiło, aby zejść do Młynarka. Na krótko, głupie dwie setki, zamyślał przecie zajrzeć do Wiktora, coś się mu ta Christine buntuje, prosił stryj, żeby pogadać z nią... I wtedy do sali Wszedł tamten. Niby on, niby nie on. W końcu parę razy się tylko zetknęli, zaraz później zainteresowało się jegomościem gestapo. Czasem jednak tak bywa, że czyjaś twarz, choć widziana przelotnie, trwale zostaje w pamięci. Jak i tutaj. Więc pewnie on.

Jakby go nożem pchnął ktoś pomiędzy żebra. Siedział z Młynarkiem, restaurator z szacunkiem odnosił się do właściciela młyna, było nie było, te parę woreczków tygodniowo na prywatny wypiek, poza przydziałem, bardzo się przydawały, i nagle zapomniał języka w gębie a głowę jak złapany opuścił nisko na stół. Aż Młynarek zadziwił się, zapytał, czy może nie chory, bo jeśli tak, dobrze by jedną dwustugramową z pieprzem... Wymówił się jakoś, chyłkiem wyniósł się z sali. Nie zamierzał już nawet iść do Wiktora...

Może nic by się więcej nie stało, tamten mógł przelotem

250

tylko znaleźć się w mieście. Pech chciał, że zaraz za drzwiami, jeszcze pod tą żarówką nad wejściem, obok szyldu głośzącego, że restauracja i dancing, zderzył się nieomal z tym drugim. Tego już nie znał zupełnie... Ale tamten musiał go znać. Zatrzymał się zdumiony, oczyma zamrugał. I zaraz złapał za ramię, zaseplenił, choć nie wyglądał na podpitego:

- Zaraz, zaraz, czy my się nie znamy? Pan z Lubelskiego?
- Skądże, kolego, ja ze Lwowa. A co takiego?
- Nic, nic, coś mi gęba znajoma, choć sobie nie mogę przypomnieć skąd... Przepraszam, podobieństwo widać tylko, nic więcej...
- Witam pana młynarza — usłyszeli z boku czyjś głos.

Diabli nadali Feryckiego, zawsze gówniarz wyrasta tam,

gdzie go nikt nie siał.

Ferycki poszedł sobie, on też odmaszerował czym prędzej, ale zostały mu w pamięci oczy tamtego, wybałuszone, zadziwione, jakby dopowiadały jakąś myśl, która lęła się w głowie.

Jakże sadził wtedy bocznymi drogami do siebie, do młyna. Zaczęła się bezsenna noc, niepokój, wzrastające podniecenie, i złość, i żałość, i pasja. Nie ma co się łudzić, to nie była omyłka. Tamci go znają. Rzecz teraz w tym, czy uświadomią sobie, czy skojarzą fakty, czy zaczną go szukać? Może tak, a może i nie. Bo w końcu też nie muszą być pewni. Sporo już czasu minęło, zmienił się też wygląd człowieka...

Cholera, jakie to wrzaski stamtąd dochodzą. Bawi się polska hołota. Świątuje rocznicę wyzwolenia ich Polski. Czas leci. Jeszcze trochę, a patrzyć, będą świętować rocznicę przybycia do tego miasta. Czy on będzie tu jeszcze wtedy?

Na drodze do młyna wciąż było pusto. Marcinek ze swoimi także nie wracał. Bawi się, szpicel jakiś. Tylko on sam tkwi tutaj ze swoim niepokojem.

Nie ma co się łudzić. Trzeba być gotowym na wszystko. Jeżeli by co, wrywać, ani się oglądając. Ten piękny opel w szopie musiałby zostać, szkoda. Ale na szczęście jest mo-

251

tor. Gdyby co, prysnąć możliwie najdalej, potem maszynę w lasy, samemu przedzierać się w jakieś dalekie strony innymi już sposobami. Z sobą zabrać jak najmniej. Meble, graty, nieważne. Tyle co na kark i tobołek z bielizną, a w niej to wszystko, co zdążył zagarnąć. Chwalić Boga, niemało tego. Byłoby z czym zaczynać od nowa. A może prysnąć przez granicę. Słuchy chodzą, że coraz jej mocniej pilnują. W razie wypadku mogłoby być zupełnie krucho. Zresztą, Niemcy, ani tam był kiedy, ani co widział. Tutaj kraj znajomy, ludzie też, wiadomo, jak z Polakami radzić... Na to obmyślanie, co dalej, będzie czas potem. Bo może to strach jedynie o wielkich oczach, wszystko rozwieje się, rozplynie, tyle że pozostanie nauzka na przyszłość. Jeszcze bardziej się zmienić na zewnątrz, okulary, może wąsiki na dodatek, chodzić zgarbionym, ech, dałoby się z tym radę. Szkoda, że wcześniej nie pomyślał, aby lepiej się zamaskować...

Tobolek znów wy wędrował spod łóżka. Ale wyleciały też z niego wepchane w pierwszym impulsie szmaty; nie o takie pakowanie chodziło. Forsa, to i owo ze złota, dolary, to ważne. Reszta jedynie po to, aby przykryć te skarby.

0 tak, żeby wyglądało to wszystko możliwie nędznowo...

Sprawdzał teraz działanie motoru, stan benzyny. Skoro

zaczął już działać, zdenerwowanie zmalowało. Najgorszy jest brak decyzji. Wyprowadził motocykl, posapując, gorąco wciąż było mimo powiewów, zaciągnął go w las, zamaskował pod krzakami. Gdyby co, tylko tam dobiec, kopnąć pedał i jazda...

Z chwilą, gdy wszystko zostało przygotowane na każdą ewentualność, czas od nowa zaczął się dłużyć. Cicho było wokoło, tylko woda w upuście staczała się z jednostajnym szumem. Pomyślał, że o tej porze liny zaczną podchodzić, w taki spokojny dzień na pewno ładnie by brały. Ech,

1 tych linów byłoby żal... Ta świnka Marcinek nie wraca. Dobrze musi się bawić... Wyrzał przez okno. Pusto, głucho. Tylko w nim się wszystko przewala, kotłuje. I nawet nie ma z kim podzielić się swym lękiem, przywidzeniami. Bo może to tylko przywidzenia? Może spotkał się z tym

252

drugim gdzie indziej, już po wojnie, mało to ludzi się znało? A tamten, może to także nie on, gestapo tak łatwo nie wypuszczało ze swoich ramion, niedaleko był wszakże Majdanek, masowa trupiarnia... Jak to mówią Polacy, strach ma wielkie oczy?

Znów go pociągnęło do okna. Wtedy zobaczył tych dwóch ludzi zbliżających się do młyna. Pchnięty odruchem przebiegł na palcach od drzwi, zawarł je mocną zasuwą, przekręcił klucz w zamku, klucz zaraz wyjął, pakując go do kieszeni. Przysłonięty grubą zasłoną przy oknie, ślepił na drogę. Ci dwaj

zblizali się szybkimi krokami, coś musiało ich gonić. Rozmawiali ze sobą, głosów nie słyszał, widział tylko poruszające się usta w twarzach wciąż niewyraźnych z tej odległości.

Poznał go. Poznał po ruchach, po chodzie, a teraz już i po twarzy. To tamten młynarz spod Krasnegostawu, ten, co go zabrało gestapo... A z nimi ten drugi, wczorajszy. Zatem to nie był wyolbrzymiony strach, to była prawda. Zbliża się ostateczna rozgrywka.

Słyszał teraz ich głosy.

— Nie ma co, piękny młyn. Jeżeli naprawdę Mittwoch się tu urządził, to, można powiedzieć, miał skurwysyn nosa...

— Utarlibyśmy, utarlibyśmy... Cholera, zamknięte wszystko, ani się u kogo wywiedzieć.

Szarpnęli za klamkę. Czuł, jak każde szarpnięcie głuchym bólem przetacza się mu po sercu, jest jakby uderzeniem zabijającym resztę nadziei. Mittwoch, znają nazwisko. Wiedzą. Ale nie są pewni, ciągle niepewni...

— Widziałeś, naprawdę widziałeś tę mordę, tego lucyfera?

— Brodę miał, ale podobieństwo od razu mnie uderzyło. Ja go, Staszek, raz czy dwa widziałem, ale pamiętam... Dobrze pamiętam. Choć wczoraj tak to było niespodziewane, dla pewności zapytałem, czy on nie z Lubelskiego. Mówi, że ze Lwowa. Może bym i dał spokój, ani tobie wspominając, gdyby nie ten młodzik, co go pozdrowił jako mły-

253

narza. Ciekawe, facet od razu się na to odtoczył, tylko śmigał nogami...

— To znaczy on. Że też tu nie ma ani żywego ducha, aby się czego wywiedzieć...

— Chyba nie od niego samego. Słuchaj, Staszek, może głupio robimy? A jeśli facet gdzieś się zaczął, rozpozna ciebie, gotów będzie chyba na wszystko. Może łupnąć do nas z jakiego karabinu zza okna?

— E tam, gdzie on do łupania... Chodźmy do tej chałupy-piny, może tam kogo znajdziemy...

Patrzył, jak odchodzą, zaciskał pięści, wzdychał. Jak go dobrze wyczuli. Bo właśnie w chwili, gdy tak mówili o tym strzelaniu, zamarzył, aby im wsadzić kule pod żebra, jednemu, drugiemu. Spokój tu, cicho, ciała można by schować, ani by kto wiedział... Tylko że tym pistolecikiem, który ma schowany w stropie, niewiele poradzi. I huk byłby. W mieście teraz na strzały są wyczuleni, to nie to co parę jeszcze tygodni temu. Huk by się podniósł, zaraz zlecieliby się tutaj jak kruki. Trzeba inaczej, żadnych głupstw, żadnych nierozważnych poczynań...

Nie dostukali się do Marcinka. Pewnie, skoro baluje gdzieś w mieście. Znow tu podchodzą. Znow szarpią za klamkę.

— Nie ma co, stary, wracamy. I tak sami nie będziemy z nim wojować...

— Nie będziemy? Żeby tak wylaż z jakiejś dziury, ani bym się patyczkował. Zadusiłbym hycla, za siebie, za tych wszystkich, którym tak dopomógł, że niejeden się dziś w grobie przewraca. Hycel przeklęty, volksdeutsch pieprzony...

— Po mojemu sprawa jasna. Sami nic tu nie zrobimy. Trzeba na milicję, cichutko, dopóki facet niczego się nie domyśla. Oni już z nim poradzą, na pewno przymknęli już niejednego takiego, co na zachodzie szuka meliny, myśli, że ludzie go nie wytropią.

— Kurza twarz, że też nie wyszło. A miałem ochotę go spotkać... Wracamy, dobra... Taki piękny młyn zachwycił, dobrze się wiodło draniowi. Już ja go urzędę, tego Mitt-

254

wocha, popamięta on mnie do końca życia, hitlerowiec parszywy...

Zawrócili, przyspieszając kroku. Oglądali się przy tym co chwila. Stał w oknie, patrzył, patrzył jakoś dziwnie zachłannie, jakby utrwalić pragnął w pamięci malejące w oddaleniu sylwetki. A gdy już zupełnie zniknęły, odetchnął głęboko, przysiadł za stołem. Pierwsze pasemka mroku zaczynały pełzać po pomieszczeniu.

Myśl jego pracowała trzeźwo, z zimnym spokojem. Jest trochę czasu. Nim dojdą do miasta, nim trafią na komendę, nim przyjmą od nich zeznania, nim wreszcie wyruszy tutaj milicja, też pewnie większość u nich świętuje, upłynie sporo czasu. Przez ten czas będzie daleko. Jak dobrze, że wyprowadził motor już przedtem...

Wiedział, popłochu nie ma, ale trzeba działać natychmiast, nie można tak tkwić, za stołem. A jednak siedział nadal, wsparty łokciami o jasny, dębowy blat. Musi uciekać, zostawić to wszystko, młyn, w którego powrót do życia włożył tyle wysiłku i starania. Sądził, naiwny, że tutaj już zostanie do końca życia. Ba, jak młodzik, o żeniactwie zamysłał. Wczoraj miał żal, że nie obrano go radnym... A teraz ten łobuz, który cudem jakimś wyrwać się musiał z gestapo, zatriumfuje, może nawet obejmie ten młyn, będzie prowadził, wspominając niekiedy z radością i satysfakcją, jak to zdemaskował niemieckiego treuhandera od młynów, Mittwocha. Żal, jaki straszny żal, że trzeba to wszystko zostawiać...

Mrocznieje. Najwyższy czas, aby się stąd wynosić, z młyna, z miasta, które chciał sobie podporządkować, z tego miasta, które już zaczyna podnosić się z ruin...

Przyszło to jak olśnienie. Świętują. On zrobi im święto, urządzi fajerwerk, jakiego już dawno nie oglądali. A ten młynarz będzie się mógł tylko oblizać, nie będzie rządził w jego, Józefa, młynie. Nikt z tych przeklętych Polaków nie będzie tu rządził. Nikt!

Wróciła mu pełna energia. Krzątał się zręcznie i szybko, dbając o to, aby nie wywoływać zbytniego hałasu. Marcinek może powrócić tu każdej chwili. Nafty było dość

255

w młynie. Trzeba umiejętnie podlewać, w wielu punktach. Ogień, wystarczy, gdy się go wznieci w jednym czy dwóch miejscach, od strony rzeczki, niech się powoli rozbucha, aby, gdy się stanie widzialny od strony miasta, było już na wszystko za późno.

— Za późno... — wyrzucił przez zęby. — Za późno...

Mrok na zewnątrz gęstniał coraz bardziej. Na dworze około młyna cicho wciąż było, spokojnie. Zapałka rzucona na wielką plamę nafty w pomieszczeniu bez okien, druga w ciemnej komorze, trzecia przy samych turbinach — momentalnie buchnęły utysiąkrotnionym odblaskiem. Ledwie się zdążył wycofać. Teraz ostrożnie uchylał drzwi, dźwigając niewielki tobołek. Cicho. U Marcinka też ciemno i głucho. Bawi się. Jak i jego chałupa spłonie, dopiero będzie miał pyszną zabawę. Rocznicę PKWN-u...

Od zewnątrz nie było nic widać, żadnego jeszcze odblasku. Aż się zaniepokoił przez moment, może ogień zagasł, trzeba go będzie ponownie rozpałać, ale właśnie przez ciszę mroku usłyszał od wewnątrz poszum płomieni. Pali się, wszystko w porządku... Starannie zamykał drzwi, założył je jeszcze sztabą, klucz wyrzucił do wody, w miejsce, gdzie liny brały tak pięknie. Dopiero kocimi krokami, przyśpieszając coraz bardziej, popędził w kierunku lasu, gdzie w ukryciu czekał motor.

Jeszcze raz się obejrzał. Przez gęstwą drzew nie było nic widać. Nawet odblasku. Tyle, że do poszumu wody dołączył się inny, narastający szum, jakby się zrywało wicher-rzysko.

Włączył bieg, ruszył leśną ścieżyną, na szosę wyjedzie później, dopiero da gazu.

Jadąc uśmiechał się z mściwą satysfakcją. Tanio im ujawnienie Mittwocha nie przyjdzie, mocno się poparzą w tym ogniu. To jego dar na święto lipcowe... Przełączył bieg. I satysfakcja zagasła. Cóż z tego, że młyn spłonie? Odbudują, nowy postawią, może lepszy i większy od tego. Nic im on, Mittwoch, nie zrobi. Stu, nawet tysiąc takich Mitt-wochów. Twardy naród, Hitler go nie potrafił dobić, odradza się, z gruzów buduje od nowa, z zapalem, z pasją,

256

z przejęciem... Jedno jeszcze utrudnienie, dodatkowy mały kamuszek...

A dokąd wiedzie ta droga, jego, Mittwocha? Okazuje się, nie tak łatwo z Polakami, jak to wmawiał kiedyś rodzinie Wiktora. Nie tak łatwo.

Włączył najwyższy bieg. Już szosa. Zły, zmartwiony, przybity ruszył całym gazem przed siebie. Nawet łuny poprzez odległość i las nie mógł zobaczyć, aby przynajmniej na moment uradować serce. Tej łuny, która wysoko podniosła się nad młynem, spłynęła nad miasto.

ROZDZIAŁ VI

1.

W LAZŁO prowadził. Felek siedział obok, uważnie przyglądając się manipulacjom kapitana przy kierownicy.

— Pędzik siłą mi wpychał swych milicjantów. Ze niebezpiecznie, zwłaszcza jako sekretarza partii mogą mnie w pierwszej kolejce jakieś łobuzy rąbnąć... Ledwie się odczepiłem od niego. Chcę naprawdę swobodnie rozmawiać z 2 ludźmi. Obecność milicji na pewno nie staje się szczególną zachętą do objawów szczerości.

— Czego się tam bać... O, dwa miesiące temu to się różnie zdarzało. Choć też można się było przyzwyczaić. Jeździłem z Jezierskim i Walusiem Florczakiem. Samochodu nie mieliśmy, furmanką, później dopiero skombinowaliśmy motocykl z przyczepą. W jednej turze, bywało, po trzy, cztery razy

nas ostrzeliwali. I co? Jezierski żyje, ja także. Jeden Waluś odszedł, ale i on nie zginął w terenie, zamordowali go w mieście... Już się nie mogę doczekać tego procesu.

— Wspominał prokurator, że najwcześniej we wrześniu. Mają tam jakąś swoją procedurę, i nic nie poradzimy... Zresztą proces musi być dobrze przygotowany. U nas spokój, ale gdzie indziej Wehrwolf odżywa, działa. Końca nie ma haratanina w tej Polsce. W Lubelskiem czy w Białostockiem naparżają się swoi, w Rzeszowskiem szaleje UPA, tam naprawdę dzieją się straszne rzeczy, tu, na zachodzie, czy w Olsztyńskim, niektórzy Niemcy próbują podnosić głowę. Szczęście, że już się podobno zaczyna przesiedlanie. Trz jesteśmy gdzieś tam w kolejce. Ulży od razu.

Felek kiwał głową, studiując zarazem sztabową mapę niemiecką z naniesionymi na niej polskimi nazwami. Prze-

258

jęty był swoją funkcją. Nie od razu uwierzył, gdy z nagłą oznajmiono mu, że zostaje inspektorem akcji osiedleńczej w całym powiecie. Bał się ciągle, że nie podoła.

— Zaraz będzie rozwidlenie, skręcimy w prawo... Stamtąd nadeszły skargi. Mówił dyrektor szpitala, że ten stary został ciężko pobity. I właściwie o co im poszło? Że jeden z Krakowskiego, a drugi ze Lwowa? Czy to ważne? Gdzie indziej godzą się z sobą, a tu od razu za siekiery i na siebie...

— A w mieście tego nie mamy? Diabli wiedzą, odkąd się to zrodziło. Przedtem mijali się jakoś bokami. Teraz, gdy trudniej już z mieszkaniami, z dobytkiem ponemieckim, zaczynają patrzeć na siebie spod oka i żreć się jak pies

0 kość. Pyry poznańskie, galileusze, łapciarze z za Buga albo rusoki, co krok wyzywają się, trudno ich z sobą pogodzić. Mam to nawet i w komitecie...

— Na wsi z tym jeszcze gorzej — westchnął Felek. Był to problem, z którym nie umiał sobie poradzić. Również

1 dlatego rad był, że nareszcie doszedł do skutku wspólny objazd powiatu z Włazłą. Planowali go jeszcze w lipcu, krótko po święcie, kiedy to Felek dowiedział się o swej nominacji. Ale była najpierw ta historia z pożarem młyna, zaraz potem mianowano Włazłą sekretarzem komitetu partii, musiał zająć się organizacją pracy partyjnej, tym bardziej, że powstawały już takie komórki PPS-u i Stronnictwa Ludowego, wyłoniły się inne sprawy, nie mógł sobie kapitan pozwolić na wyrwanie kilku wolniejszych dni, choć ciągnęło go do tego nie mniej niż Feryckiego. Tym bardziej, że na wsi najbardziej kulało. Dopiero dziś wyruszyli.

— W końcu trzeba wiedzieć, czym naprawdę dysponujemy. Zabezpieczyć mienie. Cholernie szabrują. Żeby to jeszcze rzeczywiście osiedleńcy kompletowali wyposażenie, pół biedy, ale przyjeżdżają jacyś dzicy, nie wiedzieć skąd, wywożą maszyny, narzędzia, często nawet legalnie. Już te wszystkie pisma warszawskie z wielkimi pieczęciami najbardziej mnie denerwują. Niby muszą im wierzyć, a czuję, że kryje się pod tym wielki szwindel. Ot, taki delegat ze stolicy dla zabezpieczenia mienia ponemieckiego, Urząd Likwidacyjny to się nazywa, niby facet w porządku, a tym-

17*

czasem dam głowę że kanciarz wielkiej wody. Ale jakże go złapać? Gdy będziemy wiedzieć, na czym stoimy, łatwiej będzie o sens w tym wszystkim. Sporo wiosek jeszcze nie osiedlonych, zupełnie pustych. Rabują je, palą, już te pożary syją się całą serią. Osadzić wszędzie po parę rodzin, mianować sołtysów, będzie już ktoś zainteresowany w obronie. Tak jak rozsadziliśmy moich dawnych chłopaków. Zobaczmy teraz jak sobie radzą. Prosili mnie, żeby ich odwiedzić. Tu skręcać?

— Tutaj. Tylko niech pan jedzie samym środkiem, na tych bocznych drózkach ciągle trafiają sięminy. Chłop z wozem wyleciał na jednej przed tygodniem, nie było czego zbierać...

— Słyszałem. Ale pośrodku wyboje, samochód zaś ma, niestety, resory... — Wlazło wahnięciem aż pod sam rów przydrożny wyminął głęboką wyrwę w szutrowanej jezdni. — Rzykowałem, ale innej rady nie było... To już ta wioska? — wskazał na zabudowania skryte za niewielkim brzeźniakiem.

— Chyba nie... Sam nie wiem. Pewnie jakaś samotna kolonia. Tu jeszcze nikt nie mieszka.

— Ejże? — Wlazło zatrzymał samochód. — Dojazdu nie ma, musimy iść pieszo.

Brzeźniak był niewielki, przeświecało zza warstwy liści wolną płaszczyzną pola. Piękne prawdziwki rosły tu przy drodze, trudno było nie ulec pokusie. Zbierali co młodsze, o ładnie ukształtowanych główkach, Wlazło do mapnika, Ferycki do jakiejś chusty wyciągniętej z kieszeni. Rozochocili się, brnąc coraz to głębiej w las. Już i mapnik nie mieścił zdobyczy, i chusta pęczniała coraz bardziej. Ze śmiechem spojrzeli w pewnej chwili na siebie.

— Najpewniejszy sposób trafienia na jakieś wojenne paskudztwo. Byłaby potrawka z grzybkami... — skrzywił się sekretarz i zaraz mocno ujął Felka pod ramię. — Patrz. Tu się musiało właśnie coś takiego wydarzyć. — Patrzyli na wielką dziurę, jeszcze świeżą, nieporostłą trawą, znać, że powstała bardzo niedawno. — Wracajmy, chłopie. Najlepiej tą samą drogą, tylko jak ją znaleźć? O, proszę! Bęc-

wały z nas, zwłaszcza ze mnie. Człowiek zapomina niekiedy, co się tu dzieje!

Do pół zaryty w ziemię, rdzewiał tuż koło pnia brzoźki potężny pocisk artyleryjski. Wycofali się z niepewnymi minami.

— Bardzo cię przepraszam... — szepnął Wlazło. — Zostawmy te grzyby, weźmiemy wracając...

Ferycki szedł pierwszy, na skraju lasu przystanął. W oczach jego olbrzymiało zdziwienie i litość. Wyciągnął rękę. Niedaleko kobieta zgięta niemal w pół przy pomocy może ośmioletniego chłopaka ciągnęła pług. Za rączki jego trzymał drugi chłopczyna, o dwa lata starszy od brata. Nie widzieli twarzy kobiety, tylko jej zmarnowaną sylwetkę, napiętą w ostatecznym wysiłku.

— Boże drogi — westchnął Wlazło.

Tamci ujrzeli ich dopiero w tej chwili, stanęli. Trzy pary oczu spoglądały niemo i z wyraźną bojaźnią. Kobieta drgnęła w pewnej chwili, jakby chcąc zerwać się do ucieczki.

— Nie bójcie się, matko, my swoi, z powiatu! — wołał Felek.

Kobieta skuliła się, słowa Felka spotęgowały najwyraźniej jej przerażenie.

Byli już przy nich. Ujmowali dłonie kobiety, potrząsali nimi, gładzili chłopców po głowach, ciągle tak zaskoczeni ujrzanym obrazem, że nie umieli słów znaleźć, ani się zdobyć na inny gest.

— A konia, czy nawet krowy, matko, nie macie?

— Była krowa. Rozerwało ją dwie niedziele temu...

— Wdowa?

— Nie. Stary w domu. Choruje. Coś mu się rzuciło na grzbiet, ruszyć się nie może, stęka tylko a jęczy. Więc z dziećskami trzeba przygotować ziemię pod siew, bo inaczej bieda zje nas do reszty. A panowie to co? Czego? Tu już byli raz jacyś, też, mówili, z powiatu, zabrali nam świnie, kury, maszynę do szycia, po matce, aż spod Kobrynia ją wiozłam. Władza tak kazała, mówili. Mąż nie chciał dać. pobili, zlega od tego czasu. Panowie chyba nic nam już brać

261

nie będą? Sama bieda u nas, na starym było źle, ale tu chyba końca już tylko czekać... Dzieciska sama skóra i kości, pracować muszą, ja z dalszym chodzę... — dopiero spostrzegli, że jest ciężarna.

Wlazło kilka razy otwierał usta, zamykał je znowu, nie umiał znaleźć właściwych słów.

— Od dawna tu osiedliście? — Felek pierwszy zdobył się na bardziej rzeczowy ton.

— Już idzie na piątą niedzielę. Marniejemy z każdym dniem... Panowie! — złożyła ręce. — Nie zabierajcie niczego, zlitujcie się... Już zupełnie z nas dziady, nic nie zostało, jeno bieda sama i nędza. Żyjemy kartoflami, zostały po Niemcu w piwnicy, cały ratunek. Proszę do chaty, odpocząć chociaż...

W izbie przestronnego domu chory mężczyzna nie mógł się nawet obrócić w ich stronę. Więc tylko głowę uniósł, w której jarzyły się ciemne oczy.

— U lekarza nie byliście?

— Kto by tam do dochtarów chodził. I jak? On chory, a do miasta daleko. Pieniądz też potrzebny, skąd go brać? U nas całego majątku dziesięć złotych... Wola Boża. Jak Pan Bóg chorobę dopuścił, tak i odpuści. Chyba, że zechce inaczej — za męża informowała kobiecina, nieco teraz pewniejsza siebie.

— Sąsiedzi wam nie pomogli?

— Nie ma tu nikogo. Chyba że aż w wiosce, ale też daleko, i im nie ochota do tego. Sami bogacze. Byłam, powiedzieli, że każdy ma dosyć swoich robót, co tam będzie pomagał... U nas pod Kobryniem to inni ludzie byli, nie zostawiliby samych w biedzie...

— Agnieszka, zostaw, co tam masz obgadywać innych. A panowie to niby czego? — wreszcie i chłop otworzył usta.

— My z miasta. Ze starostwa. Czy meldowaliście się, składaliście wnioski o pomoc, przydział krowy z UNRRY? To szkoda. Pomożemy wam. Jutro przyjadą tu ze szpitala, zabiorą was, wyleczą... Prześlemy też coś dla dzieci. Jak tylko jakie konie nadejdą, przydzielimy jednego. Może i krowę.

262

Zboże macie? Mąkę? Z erką też załatwimy. Znajdą się tacy, co dla was to zrobią... -

. — Ja tam do żadnych szpitalów nie pojadę. Jak mam umierać, to w domu, przy swoich — oświadczył chłop i przymknął oczy, jakby dając tym znak, że rozmowa skończona.

Felek chciał protestować, kobieta dała mu znak ręką. iUmilkł. Dopiero gdy pożegnali się z chorym, już za progiem, zagadała szybko, nerwowo::

— Jeżeli nie kłamiecie, błagam, pomóżcie. Bo już nie widzimy ratunku. Niech go zabierają i leczą. A reszta to już jak chcecie. Jak mój zdrowy będzie, to razem zaradzimy... Choć wody popijcie, dobra, bo nie ma nic innego. Nam pora do roboty, ledwie pięć brzd dzisiaj zaoraliliśmy, słonko wysoko, nie czeka.

— Matko, zostawcie. Słowem rękę, pomożemy.

Potrząsnęła przecząco głową. Ufności nie było w niej

ani za grosz.

Wstrząśnięci do głębi jechali pomału, omijając rozliczne wyboje. Kapitan zamruczał do siebie:

— Trzy miesiące, jak jest tu władza ludowa. I nic nie wiemy, nie znamy ludzi, terenu... Tak dalej nie irfoźna...

W Felku zerwały się jakieś upusty. Zaczął ■ .wyklinać na wieś, wyrastającą przed ich oczyma. Że też nikt nie zechciał pomóc biedakom, ulżyć trochę cierpieniu? Tego nie mógł zrozumieć.

Wjechali teraz między zagrody. Długa jednorzędówka, ale sylwetki ludzkie pojawiły się jedynie po obu krańcach osady, środkowa część czyniła wrażenie wymarłej. Domy były tutaj zdewastowane, z powyrywaniem drzwiami i powybijanymi oknami, pełne walającego się wokół śmiecia. Wlazło gwałtownie zahamował na widok mężczyzny, który Wychylił głowę z sieni jednego z budynków i zaraz pragnął się tam schować na powrót.

— Ejże, wy, chodźcie tutaj!

Chłop ociągając się opuszczał zrujnowane wnętrza. Zapinał portki.

— A bo czego?

263

— To Pojadle?

— Niby tak. Po staremu było inaczej. A co takiego?

— Pijani jesteście? — zdziwił się kapitan.

— Jaki tam pijany.

■— Sołtys tu jest? Gdzie mieszka?

■— A jest. Rozporek się zwie. Tamten dom, z piętrem.

— Dobra. Czemu tu, w środku wsi, nikt nie mieszka?

— Nie ma ochotnych, chyba temu.

•— A tamte domy, z drugiej strony?

— Tam te bandziory zza Buga, żeby ziemia ich nie nosiła.

— Bandziory?

■— Pewnie... A czemu taka ciekawość? — zaczupurzył się. Wlazło zawracał do domu sołtysa. Klął przy tym sowicie, przyzywając na pomoc zapas żołnierskich słówek.

Rozporek był kompletnie pijany. Razem z całą rodziną, •nawet dzieciaki łążyły zaczadziały bimbrem. Nie można się było dogadać. Sołtys nieprzytomnie bełkotał wciąż w kółko:

— Niech żyje demokracja, niech żyje! Bogato u nas, dobrze, tak, panie, bogato, dobrze... Co pan tak gardzi, nie chce pan wypić z polskim chłopem? Chłop pewnie śmierdzi? Może pan jaki hrabia albo dziedzic, przeciw demokracji, co? Pij pan, cholera, a to my wam pokażemy, burzujom...

Wlazłę poniosło. Trzasnął pięścią w stół, zadudniło. Chłop wybałuszył oczy.

■— Spokój! Jesteście sołtysem? Wobec tego macie tu zwołać zebranie całej wsi. Za godzinę. Niech wszyscy się zjawią. Starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni. Zrobimy sobie małe zebranie. Pogadamy o tej demokracji, której macie tak pełną gębę,

I znowu walnął pięścią w stół. Felek pomyślał, że mocną rękę ma były kapitan: jedna z desek pękła przez całą długość.

— Aha, i z tamtego końca wsL-też mają przyjść wszyscy?

— On do nich nie pójdzie — wtrąciła się do rozmowy milcząca dotąd młoda kobieta, żona Rozporka. Mówiąc to

264

energicznie odsunęła od siebie szklankę z bimbrem oraz talerzyk z kiszonymi ogórkami. — Do tych Ukraińców to mąż nie pójdzie. To nie flasza już wioska.

— Pójdzie! Milczeć, wy, wy... —■ zmełł w ustach mocne słowa. Nie wypadało zaczynać od połajaneł.

A jednak sołtys nie poszedł do części wsi zamieszkałej przez repatriantów z Lwowskiego. Żadna siła nie mogła go zmusić. Ni prośba, ni groźba. Trzeba było samym tam jechać. Wśród repatriantów mniej było pijanych, choć także pędzono bimber w każdej chałupie. Po targach ustalono, że zebranie odbędzie się w środku wsi, na gruncie neutralnym.

— Skąd oni mają zboże na przecier?

Wyjaśniło się niedługo. Wieś zamieszkała była uprzednio ' przez zamożnych gospodarzy niemieckich. Opuścili ją tuż przed nadejściem frontu. Zostały pola dobrze uprawione, starannie zasiane. Osadnicy przyszli tu na gotowe: tylko zbierać. Grupa spod Limanowej nadciągnęła właśnie, gdy zaczynały się przedwczesne w tym roku żniwa. Zabuzanie zjawili się później, zastając pola przy swoich gospodarstwach już zżęte. Tu tkwiła przyczyna wojny. W końcu i ci z Lwowskiego jeszcze co nieco zebrali, ale pozostał żal i pretensje. Tak się zaczęło. A gdy wojna, to wódka łatwo płynie! Jedni zaczęli pędzić bimber, drudzy też nie chcieli pozostać w tyle. Można było pić. Ładnie rosły ziemniaki, buraki, w ogrodach nie brakło warzyw, sady sypały owocem. Beztroska, dosyt, umysły zaprzątnięte wojną z konkurentami....

Nie po godzinie, a po dobrych dwóch zeszli się wreszcie wszyscy. W ogromnej większości pijani. Skupili się w dwóch grupach, mierzących się nienawistnymi spojrzeniami. Wlazło wyjaśnić, kim są, z czyjego ramienia tu przyjeżdżają, dopiero nabrał tchu w płuca, powiódł okiem po kilkudziesięciu twarzach przed sobą, otworzył usta i umilkł... Co miał tu robić? Pijani choć dzień w rozkwicie, na domiar przynieśli wódkę z sobą i raczyli się nią prosto z butelek. Nie tylko mężczyźni, kobiety również...

Starał się o łagodność, próżno mówił, czym są te ziemie

265

dla Polski, czym naprawdę jest demokracja, że gospodarstwa trzeba szanować, państwo nie po to je przydziela, aby się marnowały. Słuchali półtuchem, całkowicie obojętni. Ożywili się dopiero, gdy wspomnieli o waśniach w wiosce, o podziale na wrogie obozy, o potrzebie jedności, współzycia, niezależnie, skąd kto pochodzi. Śmiechy, pokrzyki, frunął kamień jeden i drugi.

- Chachary takie! Rusoki! Łapciarze! Piece pobudowali, na piecach śpią, jak zwierzęta...
- Wojnę całą handlowali pod tym Krakowem z Niemcami, teraz dalej chcą się tuczyć krwią innych!
- Rusoki! Ukraińce!
- Dziady krakowskie!
- Złodzieje! Cudzym się tuczają!
- Żebraki! Wszarze!

Ledwie ich uspokoił, czując narastającą własną bezradność. Felek stał ostupały. Bał się. Bo oto Wlazło nie hamując się już natarł ostro, nie bez akcentów groźby, że w końcu władza może odebrać im gospodarstwa, o ile nadal je będą tak marnować. Ze i za bimber mogą być kary, wiedzą chyba, pędzić alkoholu nie wolno...

Wysłuchali z przekpinkami, któryś wyciągnął potężną flachę, potrząsnął nią, po czym wlał sobie w usta solidny łyk. Jakaś kobieta zaśmiała się chichotliwie. Softys rozmacha! się dłońmi, jakby na znak przeczenia. Może by się na tym skończyło, gdyby nie jeden z wyrostków: trzepnął kamieniem prosto w samochód, trafił w maskę. Kapitan ruszył w stronę szczeniaka. Nie zrobił trzech kroków, porwali się

co najbliżsi, sunęli łąwą, zmętniałe, pijackie wejrzenia, w którymś ręku sękata łaga, inny rwał do płotu, szarpiąc się ze sztachetą.

— W nich, taka ich mać! Przyjeżdżać tu będą, oczy mydlić. Znamy takich.

— Jak jest demokracja, to nam kazań nie trzeba. Sami wiemy, co można, a co nie można. Niemieckiego dobra bronią, cholery!

Sypnęły kamienie. Odwód wioskowy złożony z wyrostków przychodził starszym w sukurs. Felek uczył, jak kamień

266

uderzył go w ramię. Wlazło ledwie się uchylił przed połówką cegły. Osaczali ich, następowali kręgiem, jedni i drudzy, ci z Krakowskiego i tamci od Lwowa. Mała tylko -część trzymała się na uboczu, jakaś kobieta załamywała dłonie, kilka osób zaczęło chyłkiem wycofywać się z całej historii. Wlazło pojął, to nie przelewki. Wyszarpnął pistolet.

— Stać, bo będę strzelał!

Zastygli. Dziwna, przejmująca cisza.

— Ludzie, zastanówcie się, co robicie! Opamiętajcie się! Nieszczęście chcecie ściągnąć na swoje głowy?

— Ty milcz. Władza niby, a rewolwerem straszy. My takich mamy gdzieś. Nie nas brać hukiem — zerwał się starzec z czerwonymi oczyma. — I u nas jest broń. Chłopaki, wiecie, co robić...

Paru kropnęło się na boki, do domów. Inny, siedzący dotąd na trawie, pewnie od przepicia, podniósł się teraz, trzymając w ręce wielki nagan, którego lufa chygotała się niebezpiecznie. Ciągłe jednak stali wszyscy w pewnej odległości od wozu. Wlazło blade, przejęty, podał pistolet Felkowi:

— Trzymaj! Ale na miłość boską, nie strzelaj — szepnął.

Motor zaskoczył od razu. Jedyńka, zaraz dwójka, ruszyli

zwiększając szybkość. Za nimi zostawał drwiący śmiech, nadganiały kamienie. Kilka trafiło w samochód.

Gdy wreszcie stanęli daleko od wsi, ocierając pot z czoła, kapitan powiedział to tylko:

— Niełatwo jest rządzić, kurza twarz. Niełatwo...

— Człowieku, gdzie ty masz rozum? Taki kolor na klasę dla dzieci? Ustaliliśmy jasnoniebieski, a tu jakieś ciemne, zgniłe paskudztwo. Malarz z ciebie, z przeproszeniem, jak...

— Czego się pan czepia? Robię, jak umiem.

— Ta ta ta. Złaz z tej drabiny. Razem dobierzemy coś odpowiedniego. Gdzie macie farby? Tu obok? Chodźmy... Przecież mówiłem wczoraj. Kreda jakaś ciemna, przybrudzona, więc bierzcie do niej

magnezję, ten biały proszek. Cudem się wystarałem u jednej Niemki. Tygodniowy przydział chleba musiałem jej oddać... Ultramaryna ma to do

267

siebie, że działa bardzo intensywnie. Wystarczy odrobina. Człowieku, sam może będziesz w tej klasie się uczył, i co, dobrze by ci było w takich ponurych ścianach?

— Co pan dyrektor...

— Ta ta ta. Wiele masz lat? Dwadzieścia pięć, nawet nie? Skończyłeś powszechniaka i myślisz, że to dzisiaj wystarczy? Do czasu, do czasu... Przyjdiesz jeszcze do dyrektora, poprosisz o przyjęcie, a ja ci, hyciu, wypomnę te ciemne ściany... No widzisz, dwa wiaderka gotowe. Wymieszasz jeszcze dokładnie. Dawaj, zrobimy próbkę, tu, koło okna. No jak? Pędzluj teraz za dwie godziny przyjdę, żeby mi było skończone. Bo nie dostaniesz obiadu...

Niedługo usłyszał malarz jego piskliwy głos w przyległym skrzydle budynku, gdzie trzeba było podnieść zerwany strop. Co prawda, to prawda, wszędzie go było pełno. I na budowie, i w mieście. Wyjeżdżał do sąsiednich miast, gdzieś telefonował, czymś handlował, wszystko dla tej szkoły, która z nagłą stała się alfą i omegą jego życia.

Nim się jednak do niej przekonał...

Nie było to łatwe. Lisiewicz świetnie pamiętał pierwszą rozmowę. Przyprowadziła go po uprzedniej zapowiedzi Dzwinarska. Też uparty typ, jak się na cośkolwiek zawzięła, nie było rady. A właśnie na profesora Zawilskiego zagięła palec. Jak to trajkotała wtedy zawzięcie, referując sprawę:

— Byłaby to dla nas, kochasiu, ogromna zdobycz. Ja dobrze znam profesora. Ze Lwowa. Z tej naszej oświatowej roboty, pewnie pan słyszał, prowadziłam na wsi specjalną szkołę, kursy dla dziewcząt, różne takie historie. Nazywali mnie czerwoną dziedziczką... Niech pan tylko nie myśli, że jestem komunistką, strzeż mnie Boże. I w Boga wierzę, i wiele mam za złe. Bardzo wiele... Ale są sprawy, jak choćby ta oświata, kultura, gdzie mądrze rzecz rozumieją. No, nie wszyscy... Otóż Zawilski. On był nawet kuratorem we Lwowie. Ale gdy w tym mieście zorganizowano pamiętny Kongres Kultury, sama w nim uczestniczyłam, to i profesor miał tam aktywny swój udział. Jasne, że przestał potem być kuratorem, ledwie się ostał jako dyrektor gimnazjum. Postawił je na takim poziomie, że ha, najlepsze

268

było we Lwowie... Naukowiec, społecznik, w ogóle klasa człowiek. I dlatego musimy go zatrzymać, żaden tam Kołobrzeg, a nasze miasto. Wiesz, kochasiu, co mi przychodzi na myśl? Że on mógłby zostać tu u nas dyrektorem gimnazjum. Bo gimnazjum będziemy mieli, mówiło się o tym, prawda? Tyle, że budynek jest podniszczony i wypalony po części. Ale Zawilski poradzi, jak Bożię kocham, poradzi. Mówię ci to, kochasiu... Więc ja zaraz z nim przyjdę. Złości się okropnie, że zatrzymaliśmy go tutaj...

Rzeczywiście, złościł się. Od razu wystąpił z pretensjami, wyciągał papiery, od ministra i jeszcze jakieś, że Kołobrzeg, że tam czekają...

- Ależ my także na pana czekaliśmy! — zareplikował Lisiewicz.
- Na mnie? A skąd wiedzieliście?
- Pani Dzwinarska powiedziała... Widocznie w Warszawie nie zdążyli jeszcze sprostować, stąd ten Kołobrzeg...
- Dzwinarska? Ona? Owszem, może to być... — dopiero się spostrzegł, zaatakował, podskakując śmiesznie na krześle, jakby tym usiłował dodać mocy nietęgemu głosowi. — Bajki, panie burmistrzu. Nikt nic nie wiedział. Kochana pani Dzwinarska ma bujną fantazję. Zresztą ona wydała jakieś dwie książki, więc ją z nawyku ponosi ima-ginacja... Mam przydział na Kołobrzeg, i tam pojedę.
- Profesorze, zatem do rzeczy. My też czekamy na kogoś podobnego do pana. Musimy uruchomić szkolnictwo, możliwie najwcześniej, w każdym razie jesienią. Dwie szkoły powszechne zostały zabezpieczone, nawet z wyposażeniem jest niezgorzej. Skompletowaliśmy zaczątek kadry nauczycielskiej... Myślmy o jeszcze dwu szkołach, ale z tym chwilowo nie ma pośpiechu. Natomiast gimnazjum! Nikogo odpowiedniego nie mamy. Dopiero pan, z pana stażem, doświadczeniem, zdolnościami organizacji... Budynek, mówię szczerze, należałoby i tym się zająć. Ze swej strony uczynię wszystko, by dopomóc. Ludzie, materiały, pieniądze, choć z tym ostatnim u nas najgorzej... Wielka prośba, niech pan zostanie. Nasze miasto nie gorsze od Kołobrzegu. W końcu panu chyba to wszystko jedno?

269

- Hm, niby tak, a niby nie... Co będzie z tym krajem, jak tak samowolnie zaczniemy zmieniać decyzje?
- Pan wie, wszystko jeszcze płynne na tych ziemiach. Oni tam znajdą kogoś innego, porwą tak, jak my pana... Ma pan już mieszkanie?
- Chwilowo u pani Dzwinarskiej, przy muzeum... Kazali nam wyładować się z wagonu, bezprawnie, jak mi się wydaje, jako repatrianci mamy prawo dojechać do miejsca przeznaczenia...
- Musiało być coś pilnego — w duchu Lisiewicz zadziwił się przedsiębiorczości Dzwinarskiej. Bo jasne, że ona tak zadziałała... — Więc jak, profesorze?
- Hm, ładne miasto, choć bardzo zniszczone... Ma historyczne tradycje. Szturmem je zdobywał w czasie swojej wyprawy Bolesław Krzywousty. A czy pan wie, że w czternastym wieku, gdy księżę pomorski Warcisław IV, syn Bogusława, w sojuszu z Barnimem Wielkim i Waldemarem, królem duńskim, wojował zwycięsko z Brandenburczykami, to właśnie tutaj, w tym mieście... No, ale to kiedy indziej, ja rozumiem, ma pan pilniejsze sprawy... Muzeum ma eksponaty ciekawe, choć strasznie pomieszanę, groch z kapustą, już to Niemcy mieli jakiś dziwaczny stosunek do tych spraw... Lasy, wokoło, jeziora, piękny krajobraz.
- No, widzi pan sam.
- Zaraz, zaraz, ja się zastrzegam... Mówi pan o pomocy. Może to właśnie. Chwilowo. Jakiś tydzień. Bo to i żona mi nieco niedomaga, i szwagierka nie w formie... Słyszał pan, jej męża, tego

wybitnego biochemika, rozstrzelali Niemcy w trzydziestym dziewiątym roku we Lwowie. Razem z Boyem, z innymi. Więc odpoczęlibyśmy trochę. Do Kołobrzegu napiszę, że opóźnię swój przyjazd.

— Po co pisać. Ja to załatwię telefonicznie — zareplikowała zaniepokojona Dzwinarska... — Po co, kochasiu, masz pan mieć kłopot?

— Kochana pani. Więc jakiś tydzień, dwa... Ale co ja mam robić? Skompletować chyba jakiś zespół pedagogiczny, ustalić program, przepracować początki. Bo to od razu należałoby też uruchomić jakieś gimnazjum dla do-

270

rosłych, dla pracujących. Okupacja uczyniła straszliwą lukę, trzeba ją nadrobić, konieczność wyższego rzędu...

— Profesorze, niechże pana uściskam! I bardzo, bardzo panu dziękuję...

— Co pan... jestem wzruszony, głęboko wzruszony... Hm, siłę to pan ma, mimo iż taki chudzielec.

— Przydzielimy panu na ten okres mieszkanie. Mamy jeszcze parę w rezerwie. Niewielki domeczek z ogródkiem.

— Ależ, to zbytek łaski... Na tak krótki okres.

— Zawsze wygodniej, będzie pan mógł intensywniej pracować.

— Może i prawda. Książki rozpakuję, przejrzę, boję się, czy nie zawilgotniały w drodze. Wagon przeciekał, a spotykały nas deszcze...

— Przygotuję dla pana pełnomocnictwa na wszystko, co związane z potrzebami gimnazjum. Budulec, ludzi. Skompletujemy z Niemców brygadę. Jest teraz pośród nich trochę chętnych do pracy. Już się nie wymigują tak od niej jak jeszcze parę tygodni temu...

— Zaraz, zaraz... Pełnomocnictwa na budowę, materiał, ludzi? Ja na tym się nie znam.

— Damy pomocników, wielu pan zechce...

Oszołomiony, zahukany profesor Zawilski opuścił pod

opieką Dzwinarskiej gabinet burmistrza. A potem coraz bardziej się wciągał w robotę, popychany nadawanym przez siebie samemu rozpędem. Tydzień, i wszyscy go znali, drżąc na myśl o każdym spotkaniu. Okazało się, że z reguły nie uznawał rzeczy niemożliwych. Przy tym miał osobliwy zwyczaj robić wszystko od razu. A więc z jednej strony drukowały się obwieszczenia, nakazujące spis młodzieży w wieku szkolnym. Technik budowlany robił oględziny budynku, wyliczał potrzebny materiał, rysował najogólniejsze szkice. Wizyty profesora przyjmowali p.o. komendanta milicji sierżant Pędzik, starosta Zielniak, prezes spółdzielni spożywców, dopiero uruchomionej, szef UB Stefczyk, Przybyła w elektrowni, ktoś inny w wodociągach, dyrektorzy huty szkła, odlewni, fabryki musztardy i octu, miejskiego

271

przedsiębiorstwa remontów. Szczególnie długą konferencję odbył Zawilski z kierownikiem miejscowego Urzędu Likwidacyjnego. Po tej rozmowie wiele poniemieckich rzeczy w ogóle nie wpisano w rejestr, od razu powędrowały na teren budynku szkolnego...

A po tygodniu technik budowlany nie mógł się już połapać. Profesor wyrwał mu z rąk całą inicjatywę. Bo jednocześnie kładziono dźwigary, zamurowywano w ścianach wyrwy od pocisków, tynkowano, naprawiano podłogi, malowano pomieszczenia, w już gotowe wnoszono meble i ławki szkolne, po piętach deptali sobie stolarze, murarze, znalazł się jakiś domorosły artysta, specjalista od szyldów, który z braku innej roboty rozrysowywał teraz tablice przewidziane na pomoce szkolne.

A jeszcze potem profesor zaczął wyczyniać cuda, często pozostając na bakier z prawem. W zмовie z kierownictwem dopiero uruchomionego tartaku wymieniał z sąsiednim miastem tarcicę na cement, którego tu brakło. Z wielkich poniemieckich zapasów wapna część przehandlował prywatnie na role linoleum. Z jednego z magazynów zginęło kilka skrzyń szkła. Ni stąd ni zowąd przy gimnazjum powstała stołówka dla pracujących przy odbudowie gmachu. Zaraz się rozeszło po mieście, że dają tam najlepsze posiłki... Nawet tak bardzo nie gardłował profesor o przydziały w zarządzie miejskim czy w starostwie.

Inna sprawa, że zjednać także potrafił wszystkich. Już było powszechnie wiadome, że najwięcej czasu zabierało maleńkiemu, nerwowemu człowieczkowi śledzenie nazwisk na listach kandydatów do szkoły. Tropił rodziców, którzy sprawowali jakieś funkcje w mieście albo odznaczali się szczególną przedsiębiorczością i sprytem. Kierownik zaopatrzenia w starostwie miał wszak troje dzieci, kucharka także chciała kształcić swą córkę. Nawet Młynarek, restaurator, dał się skusić obietnicą, że na wmurowanej w budynku tablicy informującej o tych, którzy przyczynili się do powstania uczelni, nazwisko jego figurować będzie na szczególnie poczesnym miejscu.

Do miasta przybył transport dwóch wagonów wódki.

272

pierwszy zwiedził się o tym Zawilski. Nie wiedzieć kiedy znalazł się u Zielniaka.

— Do każdej butelki zrobimy dopłatę pięciu złotych. Na

odbudowę gimnazjum...

— Nie mam prawa. Cena jest sztywna.

— Ale gimnazjum jest przecież konieczne. A pieniędzy nie mamy i coraz z tym gorzej. W końcu ludzie nie mogą pracować za darmo.

Gdy były kapitan Wlazło w jakiś sobie tylko wiadomy sposób wystarał się z demobilu o wysłużony aparat projekcyjny i obietnica uruchomienia kina stała się faktem, dopłatę do cen biletów wywojował profesor bez większych trudności. Sekretarz entuzjazmował się od początku całą sprawą. Uciszył gorliwego nadleśniczego, który narobił gwałtu, gdy konieczną na przerób w tartaku dębinę profe-gor na własną rękę ściąć kazał w podmiejskim lesie.

— Ostatecznie musimy ruszyć. Pójdzie to jeszcze na niemieckie konto, sprawa warta małego oszustwa...

Z Pędzikiem dogadali się łatwo. Nawet dziwiło niektórych, iż do niewielkiego domku profesora komendant zachodzi szczególnie chętnie i zawsze ma jakąś butelczynę pod pachą. Inna sprawa, że profesor skarżył się później Dzwinarskiej:

— W życiu nie piłem tyle co teraz. On ma gardło, ten kochany nasz Pędzik! Ale warto, miły człowiek, choć jemu też by się to gimnazjum przydało, może da się namówić na naukę, przy tym jeszcze korzyść ogromna. Ogromna...

Wiązało się to z faktem, że Pędzik sprzyścił się na szabrowników i spekulantów. Do tego stopnia, że w szerokiej opinii handlarzy miasto i szlak kolejowy przez nie wiodący zaczęto traktować jako szczególnie ryzykowny i niebezpieczny. Pędzik konfiskował mienie wywożone przez tych obrotnych ludzi, przekazując je do magazynów Urzędu Likwidacyjnego. Ale w trakcie drogi do magazynów konfiskaty dziwnie topniały... Bo i maszyny do pisania ze trzy będą gimnazjum potrzebne, parę dywanów też nie zaszkodzi, ostatecznie, pośród wykładowców znajdują się ludzie starsi, niech choć w czasie przerw spędzanych w pokoju

II Przejaśnia się niebo t. I

273

nauczycielskim nie zawiewa im w nogi. Sierżant Pędzik na szczęście doskonale to wszystko rozumiał. Tak jak Przybyła pojmował, że gimnazjum powinno mieć dobre oświetlenie, dla warsztatów szkolnych zapas żarówek musi być znaczny, a właśnie za jakiś kabel, którego tu mieli nadmiar, wycygnął w Łodzi większą ich partię. Zainstalowano również telefon w szkole i w mieszkaniu dyrektora...

Jeden profesor był ciągle niepokieszony i zaaferowany straszliwie. Czy aby zdąży z przygotowaniem gimnazjum na jesień? Jest już niemal za pasem, a nadal taki huk roboty. Nie umieją podgonić...

— Dobry człowieku, masz pan przecie dwójkę takich rozkosznych wnucząt, jakże będą chodziły do szkoły bez ławek? — perswadował Wiktorowi Środzie, nieważne, że tych wnucząt na oczy jeszcze nie widział. — Naszym patriotycznym, polskim obowiązkiem jest... — A Środa potakiwał, jakże, skoro patriotyczne, on musi być pierwszy, jeszcze po niesławnej historii z Józefem, już zaczęli ci i owi coś wietrzyć... Więc i sam się zwiżał, i swoich pracowników zapędzał, jak mógł, co raz kilka ławek odstawiając do budynku gimnazjum.

Pewnego dnia, parę tygodni od przybycia do miasta, po uroczystym otwarciu uruchomionej przez Dzwinarską biblioteki powiatowej i miejskiej, jak głosił dumny napis, choć książek ściągniętych w społecznej zbiorce było zaledwie nad sto, gdy w niewielkim gronie zasiedli do maleńkiej libacji, trzeba było uczcić ten fakt, Zawilski nagle zaczerwienił się, zająkał, spojrzął na panią Cecylię z wyrzutem :

— Niech już pani nie próbuje dzwonić do Kołobrzegu...

— Skąd pan wie, kochasiu, że nie dzwoniłam?

— Wiedziałem od początku. Czasem człowiekowi łatwiej brać za dobre czyjeś wykręty... Ale pani jednak brzydko mnie urządziła. Wstyd by mi było przed nimi. Zaczaję się, nie odezwę, niech nic o mnie nie wiedzą...

— Zatem zostaje pan z nami na stałe? — uśmiechnął się Lisiewicz.

— Zostają, zostają, cóż bowiem z takimi począć?

274

— Tylko że ja wczoraj w „Odrze” czytałem reportaż pani Dzwiniarskiej, w którym wiele było o panu — wtrącił z nagłą pan Chmieja. matematyk zwerbowany przez profesora

— Masz tobie placek¹ - załamał ręce Zawilski

— Kochasiu. nie przejmuj się. chodź, pocałuję cię z wdzięczności, na przeproszenie

Zachybotąła kremowa kokarda na siwych włosach kierowniczkii wydziału kultury i oświaty w starostwie, gdy z nawiązką z miejsca zrealizowała swe oświadczenie.

2.

Ta sprawa nie dawała spokoju sierżantowi Pędzikowi. Co krok natykał się na trop Palucha Tuż nieważne, że nalana, jakby obrzękła twarz towarzysza stołecznego inspektora, jak kazał się tytułować, nie przypadła mu do gustu, ostatecznie człowiek za swoją głębię nie odpowiada, taki los. nosi się to, co Bozia łaskawie przydzieliła do dźwigania na tym padole.. Już nieważna ta cholerna ruchliwość, z której niewielka była korzyść dla miasta, kontakty z różnymi ludźmi, zwłaszcza w powiecie.. Wódka, dziewczyny, rzucanie forsy, pał sześc, niejeden tak robi, trudno każdemu na ręce patrzeć, taka tutaj już zbieranina.. Ale te papiery, zezwolenia, apele do wszelkich władz, zwłaszcza milicji i bezpieczeństwa, żeby ułatwić, pomagać, wspierać, bo cel ważny, podstawowy nieomal..

— Jasny gwint, wygląda, że bez Palucha i jego roboty Polska Ludowa w moment się wywróci A to cholera miasto ogołoci do cna, potem ani się pozbieramy T jeszcze nosa antychryst ma jak nikt inny — żołądkował się czasami komendant MO w poufnych rozmowach z podwładnymi, zwłaszcza, gdy wypił co nieco. — Ale ja już przy-skrzynię tego Palucha. T nie paluchem tylko, ale całą ręką złapię za gardło.

Sierżant miał dwie namiętności. Nie znosił Niemców, nie

18"

275

ufał żadnemu z nich, a zarazem kochał to zrujnowane miasto i życzył mu jak najlepiej. Bo poza tymi dwoma sprawami raczej tolerancyjny był dla ludzkich słabostek. Wie-luż to pijusów, szabrowników mniejszego kalibru, różnych dziewczątek próbujących łatwego życia, drobnych złodziejasków i podobnych typów zawdzięczało mu wywinięcie się lekką ręką z różnych przekroczeń. Potrzywał trochę w areszcie, nastraszył, zagroził, skonfiskował szaber i na tym się kończyło. Mogli wracać do swojej roboty. Tylko ci grubsi działacze „na niwie”, jak to określił ich kiedyś starosta Zielniak... Na niwie meblowania, restaurowania, urządzania stolicy i innych miast Polski centralnej. Tych z pismami, zezwoleniami, apelami do poparcia lokalnych urzędów.

Paluch miał to szczęście, że najbardziej, jak to mówili podwładni, podpadał komendantowi milicji.

— Już ja go pomacam, takiego syna. Niech mnie nawet zdejmą z urzędu, a drania przyduszę. Tego pomagiera z Urzędu Likwidacyjnego też pogłaskam przy jednej okazji... Kurza twarz, gadałem z

nim, mówi, że musi słuchać Palucha, bo ten ma dyspozycje od jego władz zwierzchnich. Cholera z takimi władzami, co kraj rujną.

Niejedni błogosławili to przejście sierżanta jedną sprawą, bo jakby łatwiej nagle zaczęło się oddychać wszystkim lekkoduchom. Patroli nocami było mniej, wszelkie męty używały do syta. Sierżant nie miał czasu, obstawiał swego pupila. Starli się ze sobą pewnego razu, gdy za stołecznym inspektorem ruszył w powiat zdezelowany motocykl z komendy milicji.

— Ależ, towarzyszu, to dla waszej ochrony! Jakże by stołecznego inspektora puścić w taki teren samego? Zarąbaliby was jacy Niemcy czy inni i co? Odpowiedzialność spadłaby na nas. Słyszeliście przecież o ochronie ważnych osobistości.

— Jaka tam ważna osobistość. Zwyczajny pracownik.

— Już my to lepiej wiemy.

Paluch przybliżył swą pulchną twarz ku obliczu sierżanta:

276

— Niech pan zrozumie, ja tu w delikatnej misji. Ludzie mają pochowanych wiele rzeczy, koniecznych dla państwa, dla naszej nieszczęśliwej, ogołoconej stolicy... Gdy widzą milicję, boją się mówić. Już niech tam sam ryzykuję... Zresztą uprawnienia mam duże, w końcu rządzą nami ludzie, co mają życiowe doświadczenie. Więc jest ten luz, są nawet pewne fundusze. Zapewne towarzysz komendant ma marnie umeblowane mieszkanie? Jak słyszałem, od samego początku tylko służba, ciężka służba, choćby przy elektrowni, prawda? No, a w końcu jest pewnie rodzina, żona, dzieciaki może, a jak nie to dziewczyna? Futerko jedno, drugie, ostatecznie mam i ten niewielki fundusz pieniężny... To oficjalnie, legalnie, żadna łapówka, skąd by znowu, my w naszym ludowym państwie...

I* wtedy sprawa została przesądzona. Świadcami byli dwaj podkomendni, którzy właśnie wpakowali się do gabinetu komendanta z meldunkiem. Bo sierżant Pędzik wiele nie myśląc, raz i drugi wyrzwał w pysk stołecznego inspektora, doprawił oszołomionemu trzeci raz, a potem serią kopniaków wyłuskał z gabinetu na korytarz. Co najciekawsze, że wbrew swemu zwyczajowi, bo raczej lubił pogadać, wszystko to uczynił w kompletnym milczeniu, jeśli nie liczyć pokrzyków, gróźb, a w końcu już tylko jęków pana Palucha. Podkomendni nabrali dodatkowego respektu dla osoby swego przełożonego, zresztą wynieśli się chyłkiem z pobojuwiska, woląc nie ryzykować...

Po godzinie sam towarzysz Stefczyk pofatygował się do krewkiego szefa milicji. Rozmowa była ostra i niedwuznaczna. Dzwonił z wymówkami starosta Zielniak. Jeden Lisiewicz ujął się za Pędzikiem. Zadzwoił, a jakże, zapytał, o co tu chodzi, bo jakiś gruby obywatel okropnie rozrabia, juchą z rozwalonego nosa paskudząc podłogę ... Gdy Pędzik wyjaśnił z grubsza i w słowach raczej ostrych, Lisiewicz chrząknął potakująco i odłożył słuchawkę.

Zaczął się. Może gdyby nie ta scena, afera do końca nie wyszłaby na jaw. Ale teraz zmobilizował Pędzik całą milicję do śledzenia Palucha. Niespokojnie było w mieście przez kilka dni, nie miał kto bowiem pilnować porządku.

277

Ale za to Pędzik wiedział, wszystko: gdzie był Paluch, co robił, z kim spał i z kim pił wódkę, gdzie są oficjalne składy Urzędu Likwidacyjnego w powiecie, kto pozostaje na żołdzie inspektora z Warszawy.

Paluch ze swej strony tym gorliwiej zajmował się przygotowaniem do wielkiego transportu. Może czuł, że mimo poparcia miejscowych władz starcie z sierżantem zamknie szanse dalszych podbojów w tym zagubionym, a wcale zamożnym powiecie. Wygrać więc sprawę do końca, żeby nawet nie było już tu po co przyjeżdżać. Szesnaście wagonów miał Jezierski odstawić na boczne tory, pismo" z resortu komunikacji zlecało to niedwuznacznie. Dwie ciężarówki, które przybyły z Paluchem, przewoziły ładunek. Samochody, fortepiany, stylowe meble, dywany, kryształ, paki z futrami, maszyny do szycia i do pisania, jakieś wymyślne motorki, wreszcie niewiadome rupiecie, solidnie spakowane w potężnych skrzyniach. Ludzi kręciło się przy tym co niemiara, Paluch płacił żywą gotówką, złotówkami, których mocno tu brakło, wszakże handel odbywał się głównie jeszcze na sposób wymienny, pensji urzędnicy i robotnicy tak jakby nie widzieli, tylko częściowo ratowały sytuację przydziały. A u Palucha wysokie stawki, nowiutkie, szeleszczące banknoty, ostro pachnące farbą. Na dodatek przydział wódki po robocie dla co gorliwszych, sute kolacje u prosperującego z coraz większym rozmachem restauratora Młynarka.

— Kiedy on sypia, jasna cholera? — denerwował się Pędzik, odczytując z raportów, że po pracowitym dniu, po załadunku, wyjazdach w teren, najczęściej do Wiśniewskiego, później aż do samego zamknięcia tkwi Paluch w bocznej salce restauracyjnej, pije, podszczypuje dziewczęta, aż wreszcie z aktualną wybranką wraca nad ranem do swego locum psim śwędem wyszukanego w willi zamieszkałej jeszcze tylko przez rodzinę niemiecką.

I ciągle nie było żadnych zahaczeń, drobiazgow nikt by nie Uczył, inne tu było życie, na szczegóły nie zwracało się uwagi, na więcej sobie ludzie pozwalała aniżeli gdzie indziej. Ciągle nie mógł sierżant niczego wynaleźć przeciw

278

Paluchowi. Gdy groził Jezierskiemu, czemu te wagony i w ogóle, tamten rozkładał ręce. Przecież stołeczny inspektor ma zezwolenie z komunikacji, specjalne pismo od Straży Ochrony Kolei, powstała wreszcie i ta placówka na dworcu, legitymuje się na koniec argumentem chyba że najważniejszym, oficjalną nominacją i poparciem Ministerstwa Obrony, nie mówiąc o innych urzędach. Sam Stefczyk mówił że trzeba pomagać towarzyszowi Paluchowi. Tyle, iż obiecał Jezierski, zadzwoni, gdy dostaje sygnał o wyruszeniu składu. Bez wiedzy sierżanta nie wypuści transportu w drogę.

Pędzik kiwał głową, a zarazem huczało mu w niej straszliwie. No bo co w końcu można zrobić draniowi? Najwidoczniej sprawa jest czysta, legalna; Warszawa spalona, potrzebne tam i meble, i maszyny, i auta, i w ogóle to wszystko, co tu Paluch wygrzebał, a o czym często oni sami nie mieli nawet pojęcia, iż się znajduje na ich terenie. Umiał, cholera, dogadać się z ludźmi.

— Wiesz, Przybyła — żalił się kompanowi, gdy zaszedł do ich wywalzonego wreszcie od przygodnych intruzów domku. — Wiesz, Przybyła, że niedługo już weźmiesz mnie chyba na pomagiera, jakiegoś gońca na posyłki czy strażnika w swej elektrowni. Bo ja mu łeb ogolę, temu dziwkarzowi, wszystko jedno, będzie prawo po mojej stronie czy nie. Choć ja mam nosa, pamiętasz, z tamtego czasu, ten mój nos mówi, że Paluch nie jest w porządku... Wypijmy, za te nasze pionierskie czasy. Lepiej było, razem wszyscy, nie to co teraz, jakaś zgraja, każdy ciągnie tylko do siebie.

- Nie tak źle, stary... Patrz, całe miasto już oświetlone, z węglem był kłopot, też poradziliśmy, żarówki mamy, a brakuje ich podobno nawet w stolicy, ciągle nowe linie przeprowadzamy... Hołota swoje, a my swoje.
- No bo ty jesteś dyrektorem elektrowni... A gdyby na twoim miejscu był taki Paluch?
- Wybij go sobie z głowy. Uparłeś się i tyle. Wypijmy.
- Wypić, wypiję, ale z głowy antychrysta sobie nie wybiję, jakim Pędzik. Może tam nie nazbyt uczony ten łeb

279

swoje jednak wie. Zobaczysz, Przybyła, ja go przyskrzy-nię, jak ciebie Kocham, przyskrzy-nię.

Mało brakło byłby się jeszcze rozplakał.

Następnego dnia gdzieś w południe Jezierski dał znać, że transport szesnastu Paluchowych wagonów zostanie podłączony do składu, który nocą rusza w kierunku Łodzi. Specjalny telefonogram nadszedł w tej sprawie z ministerstwa z Warszawy. Więc w ogóle lepiej dać spokój, nie rozrabiać i tyle.

Biedny Pędzik podparł głowę rękami. Sprawa niby prosta i czysta od początku do końca. Jeśli Paluch nawet tu i ówdzie działa łapówką, prezencikami z nie swojej kiesy, też najwidoczniej było to przewidziane, ważny był rezultat końcowy, dobro, które wzbogaci zniszczoną Warszawę. Nie ma co, trzeba dać spokój, zająć się miastem.

A gdyby tak sprawdzić w samej Warszawie? — błysnęło w skołatanym łbie. — Ale jak? Bezpośrednią linię miał tylko szef bezpieczeństwa, nawet starosta musiał korzystać z jego uprzejmości. Stefczykowi tymczasem nie ma nawet co mówić o takim pomysle. Uwierzył we wszystkie pieczętki i podpisy. Więc jak? Chyba żeby się porozumieć z Bakłażanem, pocztowcem? Niech swoje zrobi, ale nic nikomu nie gada.

Bakłażan krzywił się, ale w końcu ustąpił, z jakiej racji miałby panu komendantowi przeszkadzać? Mogą iść te depesze, postara się zrobić to wszystko. Do Łodzi i do Warszawy.

Pędzik długo układał depesze, zawsze z tymi sprawami pisania, układania sprawozdań i w ogóle papierkową robotą szło mu niesporo. Niekiedy, wbrew regulaminowi, uciekał się nawet do pomocy Przybyły. Ale teraz trzeba było działać tylko samemu. Więc do Ministerstwa Obrony, do kancelarii samego ministra. Do prezesa Głównego Urzędu Likwidacyjnego. Do resortu komunikacji i do dowództwa Straży Ochrony Kolei. Depesze kończyły się czymś w rodzaju nieomal groźby: że on, Pędzik, zatrzyma skład na miejscu, choćby to miało trwać tydzień, aż otrzyma odpowiedź. Albo złożą go jeszcze wcześniej z urzędu.

280

Naczelnik poczty sam nadawał depesze, starszy pan rozochocił się, zaciekawił sprawą, wygładził pewne chropowatości w tekście, cmokał z emocji:

- To pan komendant uważa, iż tutaj jest jakieś przestępstwo? Ale skąd te papiery, skąd te pieczęcie, o których pan mówi?

— Nie wiem, nie wiem. Zobaczymy. Pan nic nie ryzykuje, tylko ja...

Niepewnie spoglądał na okno. Sporo czasu minęło, nim się zdobył na tę decyzję, nim skleił teksty. Patrząc, a zacznie zmierzchać się. Czy urzędują jeszcze o tej porze w Warszawie? A jeśli naprawdę trzeba będzie czekać do jutra, Paluch narobi kramu, Stefczyk, starosta, inni, nakażą jednak Łajdusa wypuścić? Nie będzie mógł stawiać oporu. Jasny gwint, ależ w kołomyjkę się wrobił. Miał chyba rację Przybyła...

— Gównno, nie rację!

— Co proszę? — Bakłażan zrobił zdziwioną minę. Nie uznawał mocnych słów.

Pędzik machnął tylko ręką, po czym uściśnawszy prawicę naczelnika, pomaszerował do siebie, zapowiadając, że będzie tam czekał przez całą chociażby noc.

Czekał. Jezierski w tym czasie zadzwonił, że już przetacza skład, rozkładowo pociąg ma nadejść o 055, wtedy podłączy wagony. Pan Paluch podobno jest u Młynarka.

Czekał. Minęła jedenasta. O jedenastej pięć nadeszła pierwsza odpowiedź. Z Głównego Urzędu Likwidacyjnego. Że tekst depezy został zniekształcony, nie mogą jej zrozumieć, proszą o podanie bliższych danych. Wreszcie, czy wyjaśnień nie może udzielić kierownik miejscowego Urzędu Likwidacyjnego? W Pędzika jakby piorun trząśł. Nerwowo nie wytrzymał, odezwała się w dodatku ostrym bólem głowy kontuzja wojenna. Wyciągnął z szafy flaszczynę, wychylił ćwiartkę wódki niemal bez odrywania naczynia od ust.

Czekał. Minęła dwudziesta czwarta. Cisza. Wreszcie telefon. Kierownik poczty. Że jest zmęczony, senny, w domu żona się niepokoi...

281

z sobą na wieś, od razu przeczuwałam, że to się dobrze nie skończy. Ty byś tak nie zrobił, prawda, Feluś?

Przycisnął mocniej jej ramię. Może być Jaśka spokojna, na pewno się nie ześwini

Myślał o Ziotce. Miał w pamięci jej bladą twarz, z trudem powstrzymywany płacz. Drgał niebezpiecznie ten zadarty nosek, wilgotne były ciemnobłękitne oczy. Ale opanowała się, jeszcze kiwała im ręką z okna zatłoczonego wagonu

Do ostatka wyczekiwała Nawet po tym, co zaszło pomiędzy nimi w majątku Jeszcze się łudziła, okłamywała się, myślała, wszystko powróci, będzie jak wtedy, gdy z tym samym Władkiem wędrowali przez usypiska ruin, omijali rozdęte trupy, dostali się w ręce samozwańczej straży niemieckiej Jak później, gdy mieszkali razem z dala od kołchozu polskiej grupy, próbującej przywracać pierwszy ład w mieście steranym wojną...

Dopiero po aferze Palucha, Władkowego kumpla, przejrzała Ziotka do reszty. Ferycki uświadomił sobie w tej chwili, że z Wiśniewskiego jest większy cwaniak, niżby się to mogło wydawać. Palucha złapano po dwóch dniach; odnaleziono także kierownika miejscowej placówki Urzędu Likwidacyjnego, zadekowanego u rodziny młodziutkiej Niemeczki. którą zabrał do swego domu; wpadły pomniejsze płotki Jeden Wiśniewski zorientował się w porę. prysnął. i szukaj teraz wiatru w

polu. Pędzik wygadał się zresztą, podpity był, że w końcu nic znów tak bardzo złego w tym, iż Władek nie wpadł w jego ręce. Ostatecznie nie był najbardziej tu winny, a kiedyś, w pierwszym okresie, był z niego równy chłopak Co innego Paluch, fałszerstwo dokumentów podpisów, podkradzione blankiety z pieczęciami Zabrano go do Warszawy, tam znajdowała się ustosunkowana reszta współników, tam brała afera początek...

Pal sześć Palucha! Chodzi o Ziotkę. Więc dopiero gdy wszystko to wyszło na jaw, a Władek zwinął manatki, uświadomiła sobie, że nie ma na co czekać. I wtedy dalszy pobyt w tym mieście, gdzie przebywali z sobą, przeżywali wspólne niebezpieczeństwa i pierwsze uniesienia miłosne.

284

stał się dla niej czymś nie do zniesienia. Postanowiła wrócić do rodziny pod Gostyń, chyba znajdzie się dla niej miejsce w ojcowskiej chacie. Jakby się nawet ożywiła w związku z wyjazdem, a to już na dziewczynę patrzeć nie było można. Jaśka mówiła jej mądrze, że musi wrócić do swoich dobrze ubrana, z walizką czy dwoma, z pieniędzmi. Bo początkowo w ogóle na te pieniądze, które jej przywiózł od Władka, patrzeć nie chciała... Nie i nie. Dopiero Jaśka ją przekonała, baby zawsze łatwiej się z sobą zgadzają.

— O dziecku jej mówiłaś, no, wtedy jak się upierała, aby nie brać Władkowych pieniędzy? —> zagadnął Felek Jaśkę.

— O dziecku... Na wsi różnie bywa. Nie wiedzieć, jak ją przyjmą, gdy się dowiedzą, że z brzuchem chodzi. Pieniądzem wiele można ugłaskać. Słyszałaś, Genia wychodzi za swego konkurenta. - Myśleliśmy, łobuz jakiś, a on tymczasem sklep założył, ten komis, żenić się chce... Gienia szczęśliwa, mówi, że dość miała życia na kocią łapę, choć to niby krótko się znali... Felek, a my?

— I my, i my, Jaśka... — uśmiechnął się.

Przemknęło mu przez myśl, może i Jaśka już się spodziewa, nic tylko nie mówi i bać się zaczyna o przyszłość po doświadczeniu z Ziotką? Bo u nich brakłoby przecie tej forsy, jaką leciutką rączką dał Władek. Dobrze musiał się obłowić na spółce z Paluchem...

Lekką rączką... Wcale tak lekko nie było. Przed pamięcią odżył mu tamten dzień objazdu powiatu wraz z Wlazłą. Napatrzyl się wtedy ludzkich spraw, oj, napatrzyl. Dobrych i złych... To było na drugi dzień po tej awanturze, kiedy to ichomal nie ukamieniowała pijacka wioska. Do dziś tam nie ma porządku, choć posłało się do niej paru nowych osadników, porządnych gospodarzy, którzy nie przystali do spółki...

Nocleg wypadł im głupio, cały dzień zresztą jakoś się rozlaźł po tamtej grandzie. Z duszą w piętach, bo mrok już był i na bocznej drodze do rozwalonego, samotnego gospodarstwa łatwo można było wpaść na miny, wjechali na podwórze, aż pod ganek na wpół wypalonego domu. Wóz

285

otwarty, diabli wiedzą, a nuż w nocy zechciałby kto przy nim majstrować? Męcąca była to noc, dwa razy nastraszyli się nie na żarty. Raz zdziczałej owcy, błąkającej się po obejściu, następnie kocura, potężnego, spasionego, łączącego po strychu. Z ulgą też przywitali dzień.

Różnie szło od samego rana. Zwiedzili kilka wiosek z zakotwiczonymi pośród niemieckiego otoczenia osadniczymi rodzinami. Niełatwo, ale jakoś ludzie sobie radzili, choć niektórzy, zwłaszcza repatrianci z Buga, zabierali się za gospodarzenie na mocno zwolnionych obrotach: Wygadał się jeden ze starszych chłopów:

— A bo to już na pewno wiadomo? Może wojna wybuchnąć, mogą nam ziem tych nie dać... Może przyjdzie wracać któregoś dnia na stare śmieci. Więc robić tyle, aby przeżyć, przebiedować jakoś najgorszy czas, zobaczy się potem, co dalej.

Gdy zaś próbowali tłumaczyć, że żadna siła stąd Polski nie cofnie, że trzeba się zakorzenić, słuchali grzecznie, przytakiwali, ale wyraźnie było widać, że sływa to po nich bez wrażenia.

— Grunt, że już tutaj tkwią, pomału zaczynają się rozglądać. W końcu, co tu gadać, taka przeprowadzka z końca na koniec świata to szok, niełatwo się z niego otrząsnąć. Poradzą i z gospodarką, i z sąsiadami — Wlazło w tym przypadku był optymistą. Mniej za to w innych sprawach.

Najbardziej dręcząca była spotykana tu i ówdzie ludzka bieda. Szczególnie tam, gdzie w zniszczonych albo wyszabrowanych wioskach osiadła biedota osiedleńcza z Kieleckiego, uciekinierzy przed szaleństwem band z Rzeszow-szczyzny, wydręczeni wędrówką repatrianci. Nie zawsze zastawali pola, z których można było coś zebrać, pożary, susza, działania Wojenne poniszczyły zasiewy, chleb stawał się wielkim problemem. Tragicznie wyglądało też z inwentarzem. Jedni- przybyli bez żadnego dobytku, innym miny porozszarpywały konie i krowy, pokradli złodzieje, złupiły bandy niemieckie. Ponuro patrzyli więc w najbliższą przyszłość. Niełatwo było dodawać tym ludziom otuchy. Ale jakby na przekór losowi oni najtwardziej trzymali się za-

286

jętych gospodarstw, dziobali przy nich, jak mogli, choćby motyką, choćby krowę zaprzęgając do pługa, choćby na ryzyko próbując jeszcze wysiewać, co tylko można.

_ Przydzielić tu konie, ziarno na siew i na przetrwanie

zimy, z miejsca ruszyłoby. Ale i oni biedni, i Polska biedna, wszystkich nie obdzieli... Trzeba nam zacząć wojować z całych sił o przydziały, inaczej nie ujedziemy — Wlazło notował wszystkie dane, zapisywał nazwiska, potrzeby.

Do majątku zarządzanego przez Wiśniewskiego nie zamierzali zajeżdzać. Ale wtedy właśnie, w którymś momencie postanowił Felek ostatecznie rozmówić się z Władkiem. Dał mu znać, że Ziotka leży w szpitalu, wyraźnie napisał, że się truła przez niego, cudem ją tylko odratowano, i nic, łobuz pośrednio raz się wywiedziało o zdrowie dziewczyny, przysłał jakąś paczkę z żywnością, nic więcej. Pielęgniarka niepotrzebnie się wygadała wtedy przed chorą, kto jest ofiarodawcą, i Ziotka paczki nie przyjęła. Honorowa dziewczyna, szkoda mówić.

Feryckiemu chodziło o pieniądze Władkowe dla Ziotki. Naradzili się z Jaśką, że może sobie tamta myśleć, co chce, w końcu coś się jej od Władka należy. Będzie ten dzieciak, pewnie, poradzi, zapracuje dziewczyna na siebie i na malarstwo, ale czemu nie skorzystać z ułatwienia, które się otwiera poprzez gest Władka? Ładny jest, śpi przedtem z dziewczyną, potem rzuca jej na odczepne gotówkę. Ona sama mogła nie przyjąć, ale przyjaciele powinni na sprawę spojrzeć rozsądniej.

Podrzucił kapitanowi zamysł obejrzenia majątku. Najlepiej zagospodarowany w powiecie. Warto zobaczyć. A przy tym ma on, Felek, pewną osobistą sprawę do załatwienia z rządcą Wiśniewskim.

Kończono już przygotowania do żniw. Władek miał pewną minę. Poradzi sobie, nawet bez wojska. Garną się ludzie do niego, co dnia przychodzą Niemcy ze zgłoszeniami, poszła szeroko wieść, że dobrze tu karmi, a to dziś najważniejsze... Oprawdzał ich po budynkach gospodarczych, chwalił się, zarazem jednak był niespokojny, oczy mu tak dziwnie latały. Dopiero później, gdy po aferze z Paluchem

287

wyszedł na jaw udział Wiśniewskiego w tych machinacjach, domyślili się z Wlazłą, o co mu chodziło: aby nie zaczęli się dogrzebywać do tych podejrzanych historii, nie zobaczyli zawartości terenowego magazynu Urzędu Likwidacyjnego. Bogać to im było potrzebne. Ale zarazem bał się chyba Władek i Felka. Jak ognia unikał sytuacji, w której by zostali tylko we dwójkę. Nadskakiwał Wlazłę, papierosami częstował, amerykańskie miał, odkupił je podobno od oficera, który niedawno wrócił z wojsk Andersa do kraju, wreszcie prosił na poczęstunek.

— Gdy inaczej nie można było, Felek wyrębał wprost:

— Mam dla ciebie, Władek, sprawę. Kapitan się nie pogniewa, jak przejdziemy na chwilę gdzie indziej...

— Coś ty, tajemnice jakieś? Możemy tu gadać.

Chyba z dwójga złego i on wolał jednak rozmowę w cztery oczy.

— Jesteś zwykły sukisyn — wyrębał mu Felek. — Coś zrobił z Ziutką? Dziewczyna przez ciebie mało się nie przejechała na tamten świat. Obiecywałeś ożenek, będzie miała z tobą dziecko, a potem ją wystawiasz do wiatru, wypędzasz, jeszcze z jaką zdziłą niemiecką się demonstrujesz? Zmieniłeś się...

— Wynajęła ciebie Ziutka na adwokata? Coś za wiele przy niej się kręcisz... Wtedy, u Młynarka, i potem, wszędzie ty i ty przy niej. Jeszcze się okaże, że to nie moje dziecko... A w ogóle radzę ci, odpieprz się. Ja nie zaglądam w twoje sprawy.

— Byliśmy kiedyś w przyjaźni... A z Ziutką nadal jesteście blisko, Jaśka i ja. Nie mamy ochoty patrzeć, jak się ona truje przez ciebie. Jesteś świnią. I trzeba z tobą postępować jak ze świnią... Tyle miałem ci do powiedzenia

*\ A teraz szczegółowo. Dawalesz dziewczynie pienią-> i dolary. Nie przyjęła, honorowo, ładnie. Ale ona < dziecko, z tobą. Takie małe musi jeść, trzeba je *ać. Dziewczyna nic nie ma. Dlatego te pie-dnak jej dać.

w końcu. A tak mi nimi trzepnęła przez ^ przeprasza,

jan^

— Nieprawda. Ziutka nic nie wie, że jestem w tej sprawie u ciebie. To ja doszedłem do wniosku, że forsa jej będzie potrzebna. Dasz ją mnie, pokwituję ci, że dla Ziutki.

— Wariata ze mnie robisz? Ona tej forsy nie chce, więc co, tobie mam portfel ładować?

— Jeszcze słowo, a dostaniesz w pysk! — wydyszał Felek.

— Spróbuj, gówniarzu! — zaśmiał się Wiśniewski, śmiechem tym maskując narastającą w nim złość. Większy był, masywniejszy... — Swoją pieczeń piecesz, już ja to czuję. Ani mi się śni cokolwiek ci dawać.

— Możesz to uczynić przy świadku. Jest przecież ze mną sekretarz robotniczej partii, kapitan Wlazło. Znasz go.

— Gównno znam. Taki sam pewnie dobry jak ty. Mnie tam partia nie straszna.

— Dobra, Władek. Ale ja ci obiecuję, że sprawy nie popuszczę i myślę, że będziesz żałował. Znajdę sposoby. Ten numer z Ziutką nie przejdzie ci tak łatwo.

Wiśniewski namyślał się przez dłuższą chwilę. Machnął dłonią:

— Właściwie wszystko mi jedno. Chciałem jej dać, dam tobie. Może jej naprawdę doręczysz. Tak między nami, to pewnie, głupio wyszło... Ale jak mi się ona nie podoba, nie kocham jej, to po cholere mamy zwracać sobie nawzajem głowę? I tak bym spał z innymi, po co dziewczyna miała by się męczyć? Dam ci tę forszę, wierzę tobie.

— Jeśli Ziutka nie weźmie, ofiaruję to w twoim imieniu na odbudowę szkoły, zgoda?

— Bez cudów. Na szkołę, jak zechcę, sam mogę dać. Ale po co? Państwo niech buli, nie ja... Zaczekaj.

Przyniósł spory zwitek banknotów. Felek liczył dokładnie, w życiu nie widział tak dużej gotówki.

— A reszta? Mówiła Ziutka, że były i dolary.

— Były. Teraz ich nie mam. Poszły. Trudno, nie chciała...

— Nie masz?

— Nie mam.

— Łzesz, Władek. Ale nie będę się z tobą kłócić. Dodaj w zastępstwie jeszcze parę tysięcy polskich złotych.

Masz! — ze złością cisnął drugim zwitkiem wyciąg-

19 Przejaśnia się niebo t. I

289

niętym z kieszeni. — Ale więcej niech się do mnie Ziutka nie zwraca, ani sama, ani przez takich jak ty adwokatów. Nic nie dostanie. Może sobie tego dzieciaka zmajstrować i będzie spokoj.

— Ty świnio!

— Przestań, bo w końcu i ja będę miał dość. Pisziesz pokwitowanie, tak?...

Rozzłościły z nagła Feryckiego te wspominki. To pewnie odjazd Ziotki tak na niego podziałał. Chociaż Jaśkę trzeba by w te rozważania wprowadzić.

— Patrz, jednak udało mu się, cholercze, zwiać. Dobrze, że w porę załatwiłem z tą forszą — powiedział z nagła.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. Szedł tyle czasu milcząc, coś tam przemyśliwał, i naraz od nowa wraca do sprawy Ziotki i Władka. A o nich samych nie mówi nic. Gienia, patrzeć, pobierze się ze swym komisantem, a oni ciągle ni to, ni owo. Już dyrektor Przybyła przygadywał kiedyś Felkowi.

Posmutniała. Jakby nie było, zaczynają ludzie wokół organizować swe życie. Już nie to samo co wtedy, za pierwszych tygodni, gdy nawet we dnie strach było pokazać się na ulicy. Byłby czas także i na nich... Felek mówi, że nie ma pieniędzy. Niby prawda, pensji nie płacą, jakieś tam jedynie zaliczki, dodatkowe przydziały, to szmaty na kark, to trochę żywności. Tymczasem najskromniejsze wesele kosztuje. A jednak...

— Co ci, Jaśka? — zorientował się w nastroju dziewczyny. — Jeszcze tej jesieni! Przygotowuję powoli wszystko. Okaże się, można i bez pieniędzy, a mimo to goście głodni nie pójdą do domów... Ten rybak, mówiłem ci, w wylęgarni, nocowaliśmy z Wlazłą u niego, powiedział, że jakby co, mam przyjechać, wór mi ryb nasypie. Byłeś potrafiła ip wszystko upichcić.

•niechnęła się, ciągle smutnawa. Próbował ją zagadać, "hać. W końcu dziewczyna miała tu rację.

wła cholerna noc. Władek namawiał, abyśmy no-Wlazło byłby się może zgodził, ale mnie ni-"ałym zajściu. Pojechaliliśmy. Kicha nam na-

waliła a tu już zaczynało mrocznieć. Ledwie ją naprawiliśmy, ściemniało, chmurzyska, wiatr, zdawało się, że łazika wywróci... Do rybaka trafiliśmy zupełnie przypadkiem. Nie znałem tej okolicy, coś tam tylko Jezierski kiedyś wspominał. Ledwie wpakowaliśmy się na podwórze, zaczęła się burza. Jak żyję, nie pamiętam czegoś takiego. Chmurzyska zwisły nad samą ziemią, drzew nie było widać, oberwanie chmury, wiatr, pioruny i grzmoty. Coś się waliło, huczało, trzaskało: to w lesie sosny się kładły pokotem. Dwie dobre godziny. Na dodatek sama rybakówka też jakaś niezwykła. Żona rybaka zastrachana, milcząca, nie wiem, czy wypowiedziała dwa słowa. Dzieciaki też ciche, grzeczne, ale osowiałe, stulone w kącie, dziewczynka i chłopak. Może pamiętasz, jak odstawialiśmy do szpitala zatrutą Ziotkę, przywieźli jednocześnie dzieciaka poranionego wybuchem granatu. To właśnie ten chłopak. A sam stary, ponury i zarośnięty, tylko ślepił na nas oczyma spod czapki, której na chwilę nie zdjął. Przy tym gościnni byli i grzeczni. On to obiecał ryby na nasze weselisko. Co wolisz, smażonego szczupaka czy sandacza gotowanego, posypanego jajeczkiem?

— Smakosz. W życiu takich potraw nie jadłeś... — zaśmiała się.

Nareszcie. I już było dobrze. Obejrzał się, nikogo nie było w pobliżu. Mocno utulił dziewczynę ramieniem.

Ale po małej chwili, ku jej ponownemu zdumieniu, zafrasował się z nagła:

— Kłopot, kogo ja teraz znajdę na ten majątek? Żeby znów nie trafić na jakiego łajdusa...

3.

Zdziwił się nie widząc jej w sekretariacie. Zawsze przy-

nt^^^^ °d nieg° Witał uśmiech na okrągłej piegowatej twarzy.

w

291

— Nie ma Haliny? — zamruczał, wchodząc do gabinetu, zaskoczony nowym odkryciem dokonanym tejże chwili w. samym sobie. Spóźniła się czemuś, drobiazg, a w nim od razu jakby się coś zapadło. Więc tak go ona jednak obchodzi? Dopiero niedawno tłumaczył Lisiewiczowi, że to tylko przywiązanie, zwykłe przyzwyczajenie, od pierwszego dnia pracowali ze sobą, przybyli w jednej ekipie operacyjnej, przeżyli niejedno wspólnie. Mogło to wiązać, jakimś ciepłym, życzliwym stosunkiem... Teraz okazuje się, że to coś zupełnie innego. Sądził, że od śmierci Stachny wypaliła się w nim możliwość głębszego zaangażowania. Że najwyżej już tylko właśnie przywiązanie, zdradzające się ze wspólnoty przeżyć...

— Nie ma Haliny — powtórzył przystając przy biurku, powtórzył umyślnie głośno, jakby sprawdzając tym własną reakcję.

I teraz dopiero uśmiechnął się. Dobrze jest niekiedy w nagłym przebiegu dojrzeć w sobie coś nowego, nie przeczuwanego dotychczas. Zatem może kochać, tamta niesławna przeszłość wypala się, przemienia w popiół; można się jednak odrodzić, żyć nie tylko spełnieniem narzuconej sobie ekspiacji, ale żyć pełniej, mocniej, namiętniej. Dla innych i dla siebie.

Głupstwo nieobecność Haliny, dziewczyna zjawi się lada chwila. Ta nieobecność okazała się potrzebna, dopomogła mu w decyzji pójścia krok naprzód. Będzie łatwiej, o wiele łatwiej...

Wyciągnął plik papierzyk. Praktycznie jedyna godzina dla spokojnej pracy. Bo potem, o dziewiątej, codzienna odprawa z kierownikami wydziałów, omawianie spraw najważniejszych, nic tu wszakże stałego, wszystko jest płynne, zaskakujące od nowa niespodziankami... Jeszcze później interesanci. Korowód, choć i tak przepuszczony przez sito, w którym najdrobniejsze oczka zastawiała Halina. Telefony, nagłe, niespodziane wyjazdy, interwencje, próby klecenia jakichś rzeczy pozornie z niczego, wbrew zwykłej logice, ciągłe zadziwienie i jakby stan oszołomienia, że fakty stają się sprawdzalne, liczą się w dokonaniach.

292

Kalendarz. Przywieziony przez kogoś z Warszawy. Drukowany na marnym szarawym papierze, a przecież

0 dziwo, przedmiot sam przez się napawający szacunkiem interesantów. Kalendarz, znamię niejako władzy...

Toż on dzisiaj kończy dwadzieścia osiem lat życia. Dokładna rocznica urodzin. Warto by zaprosić parę osób, wysączyć butelczynę. Albo może spędzić ten wieczór z Haliną? Pierwszy raz tak zupełnie prywatnie, zaskakująco inaczej.

Dwadzieścia osiem lat. Diabli wiedzą w końcu, dużo to czy mało. Reprezentuje władzę tej nowej, osobiwej tak bardzo Polski, jest starostą zburzonego, wbrew wszystkiemu wszakże dźwigającego się do nowego życia miasta na odzyskanych ziemiach. Spala się w tej robocie, i na pewno nie wyłącznie dla tej nakazanej sobie ekspiacji za strach okupacyjny, za wygodne życie w ukryciu przy spódnicy matki, za, co tu gadać, Stachna nazwała rzecz po imieniu, za swoje tchórzostwo. Nie tylko to decyduje, początkowo jedynie tak myślał. Bo jest coś jeszcze innego. Porwała go ta praca, improwizatorska, zaskakująca niespodziankami, piętrząca się setkami niepowodzeń i dziesiątkami problemów najmniej oczekiwanych, trudnych i bardzo trudnych, na pozór, zdawałoby się, niemożliwych do zrealizowania. Zaraził się nastrojem upartego przełamywania opornych zjawisk, wolą stwarzania faktów dokonanych, takich, jakimi pragnie się je widzieć, wbrew choćby wszystkiemu

1 wszystkim.

Na biurku zakwitły we flakonie astry, spokojne w swoich kolorach, jędrne i mocne. Jesienne kwiaty. Halina zawsze dba, aby kwiaty stały na jego biurku. Śmieszne, że dopiero dziś to zauważył, umie ocenić, napawa go to rozrzewnieniem. Ładne kwiaty. Mocne, wytrzymałe. Jak i to polskie plemię, zjeżdżające na nowe ziemie ze wszystkich światów twarde, wgryzające się w trudny grunt, nie chcący się poddać i przyjąć nowych gospodarzy. Narzeka Lisiewicz, że pełno łajdactwa, cwaniactwa, rąk zgrabiających tylko dla siebie. Na pewno ma rację a przecież wbrew temu coś za-

z chwil, POW v. Je'-, d0k0nUje Się' r0Śnie" Z dnia dzień, z na chwilę. Jakby im wszystkim, tym złym i tym

293

dobrym, jeżeli w ogóle podział taki można dopuścić, imponował ten proces ł"adzania niemal wszystkiego na nowo. Jakiś twórczy entuzjazm. Pensji właściwie nie ma, skromne tylko zastępcze próby wynagradzania, a nikt nie gardłuje, byle ten chleb, minimum konieczne do życia...

Ładne te astry. Delikatne, mimo że takie mocne i wytrzymałe... Jesień. Wczoraj byli z Wlazłą w powiecie, przed trzema dniami też wyjeżdżał, a mimo to właściwie nie widział jesieni. Stwierdził fakt jej istnienia, ale nie widział. Kiedyś z ojcem znalazł się o takiej porze w Kampinoskiej Puszczy. Szli lasem, opadłe liście szeleściły delikatnie, miękko, jeszcze nie wyparowała nadrana rosa. Pajęczyny tarasowały co krok drogę wiewiórka śmignęła, skryła się, wystawiając zza pnia strzygącą wąsami mordkę. Zbierali grzyby. Czy może ojciec tylko je zbierał. Łażąc za nim, dziwował się tej jesieni, on, mieszczuch, zaskoczony z nagłą odkrytym nieoczekiwanym urokiem... Więc i kiedyś tak zaskakiwało go zniecka widzenie niektórych zjawisk? Jak dzisiaj, gdy inaczej nagle zabarwił się sens całej wypełnianej roboty. Pełniej, głębiej i ładniej. Dobrze byłoby zabrać Halinę, pójść razem poprzez szeleszczące pod nogami liście, wypatrywać, może zza pnia wyrzy filuterna wiewiórka, zawierci rudoczerwoną kitą. Zaproponuje to dziewczynie. Pewnie już przyszła, więc teraz od razu, bo potem przez cały dzień nie będą sami, zacnie się normalny kołowrót...

Rozwarł szeroko drzwi:

— Słuchaj, Halina, co byś powiedziała... — urwał. Dziewczyny nie było.

W jej miejsce natomiast pakował się Kędrzyk, ze swymi zarękawkami na wyszarzałym garniturze, z plikiem pa-pierzysk, tysiącem, jak zawsze, problemów i miną zaaferowaną, jakby się nagle niebo zważyło im na głowy.

— Ja na chwileczkę. Czy pan interweniował? Mąki wystarczy nam na trzy dni najwyżej... Nawet ziarna nie mamy w zapasie, choć z biedą w końcu zmełłoby się ją w tym drugim młynie. Bo naprawdę grozi nam głód. Chleb mu-

294

simy mieć, całe nasze oparcie, podstawa kartkowych przydziałów. Co województwo odpowiedziało?

_ Sami chwilowo ciągną ostatkiem. Radzili, abym szukał na własny sposób. Z Łodzi, z innych ośrodków. Dali mi woln;) rękę na musztardę i ocet, mogą też przydzielić marmoladę. Dobrze byłoby, aby pan się tym zajął. Może najbliżsi sąsiedzi stoją z mąką lepiej, pójdą na wymianę?

_ Niedawno wzięli trzy wagony octu... Nie wiem... Jest

też i druga sprawa. Jutro ma przybyć zapowiadany transport krów z UNRR-y, okazuje się jednak znacznie mniejszy niż nam obiecywano. Czy rozdzielnik jest ostatecznie gotowy? I czy dla wszystkich, nie mówię o tych paru bezpłatnych przydziałach, dajemy trzyletnie raty? Niektórzy kantują, wie pan... W wydziale czekają na pana decyzje. Ferycki też ma swoje uwagi. Wyrabia się chłopak...

— Panie kolego, nie wie pan może, co się stało z Haliną?

— A to jej nie ma? — dopiero zauważył Kędrzyk, zaskoczony nagłym pytaniem przełożonego. — Tutaj parę pisemek, może je pan podpisze... Pewnie coś tam przeszkodziło pannie Halinie, choć mało chwalebna taka niepunktualność. Z dyscypliną u nas niedobrze, pan jest zbyt pobłażliwy... Dziękuję, ja jeszcze zajrzę, przed samą naradą, wyłoniła się inna ciekawa sprawa...

— Panie Karpowicz. Jest pan gdzieś tutaj? Panie Karpowicz!

— Słucham wielmożnego pana starosty — kuśtykający woźny dziwnie szybko zjawił się na horyzoncie.

— Co jest z Haliną? Nie przyszła dotychczas.

— Pewnie przyjdzie. Choć nie powiem, ona zawsze na czas przychodzi.

— Panie Karpowicz. Wie pan, gdzie ona mieszka? To dobrze. Proszę tam zaraz pójść, zobaczyć, co się stało, powiedzieć, że jest pilnie potrzebna. Bardzo pilnie.

Woźny zakuśtykał, oficjalnie bardzo, jak zawsze, od-meldowując się zwierzchnikowi. Lisiewicz powiedział kiedyś, że Karpowicz to prawdziwy symbol ciągłości tradycji; jest naprawdę woźnym starostwa, z całym dostojenstwem

295

i manierami. Taki pomost między starymi a nowymi laty. Arka przymierza.

Stał chwilę, patrząc za ginącym w głębi korytarza przedwojennym funkcjonariuszem drohobyckiego starostwa. Uśmiechnął się do swej myśli. Halina będzie zaintrygowana, co takiego bardzo pilnego się stało. Jeśli nikogo nie będzie, zdarzy się taka okazja, powie jej... Właśnie, powie prawdę, to co zrozumiał dopiero dzisiaj. Że ją nie tylko lubi, ale coś więcej, że ją...

— Bo to, panie starosto wielmożny, ja się łaski dopra-szam! Dwa tygodnie chodzę za tym koniem, pieniądze mam, a mnie jakiś tam bubek mówi, że nie ma mowy, że nie w kolejce. Więc jakże jest, panie, ja protestację założę, taka demokracja niech trocinami się wypcha... — rozrosły chłop, mnący czapkę w rękę z wielkiej emocji, wpadł jak burza, huczał, osaczał Zielniaka, dla swych racji przywołując wszystkie świętości i zaraz je gruntownie szargając.

— Zaraz, zaraz, spokojnie — zareagował ostro, może dlatego, że przerwano mu rozmyślenia w najistotniejszym momencie, a może dlatego, że obruszyła go czelność interesanta. — Proszę z tym iść do pana Bochenka...

— Kiedy ja z nim, antychrystem, nie mogę się dogadać. Takiej Aluszkinej to konia wpisał na listę, jakby sama baba mogła co sobie poradzić, a mnie, co to dla państwa, dla ludowej ojczyzny całe trzydzieści hektarów uprawiam, odsyła się nie wiedzieć dokąd. Jakże ja jednym tylko koniem poradzę?

— To jednego już macie?

— A mam, z tego przydziału przed miesiącem. Wojskowa. znarowiona chabeta, ani ją w pługu utrzymać, a chuda jaka i wynędzniała... Więc ja, proszę wielmożnego...

— Do pana Bochenka! Powiedźcie, niech mi przedstawi waszą sprawę. Choć z góry mogę powiedzieć, że konia wam nie dam. Macie jednego, ludzie marzą, by się tego dochrapać...

— Zakichana ta demokracja. Z głodu przyjdzie z torbami pójść. Konia dla dobrego gospodarza nie ma, a dla byle łachudry...

296

_ Dosyć tego! Wyjść!

_ jeszcze krzykiem! Ja zażalenie złożę. Mój szwagier

samego ministra...

Z pasją trzasnęła drzwiami swego gabinetu przed samą gębą pyskatego chłopca, nie chłopca, dziwnie jakoś wyglądającego. Jeszcze jeden z cwaniaków, którzy zawsze umieją sobie poradzić. Niechby ktoś zbadał, co to za jeden. Ba, nie zapytał go o nazwisko. Pal sześć, pełno jest takich... Co z tą Haliną, doprawdy? Może zachorowała? Wypadek? Ktoś z Niemców? Ciągle nie jest spokojnie w tym mieście.

Głośne pukanie. Takie więcej już urzędowe.

_ Wielmożny panie starosto. Byłem. Mieszkanie zamknięte. Dobijałem się, nic, nikt nie otwiera.

— A sąsiedzi co? Nic nie wiedzą?

_ Tam naprzeciw jakieś Niemce. Głowami kręcą. Ja tam

po ichniemu zresztą nie umiem się zgadać. W Drohobyczu tych łachudrów nigdy przed wojną nie było, a za okupacji kto by się psiawiarów języka uczył... Przepraszam, wielmożny panie starosto, tak mi się wyrwało. Proszę nie pamiętać.

— Dobrze, dobrze, idźcie już, Karpowicz. Aha, niech tu przyjdzie ktoś od pana Kędrzyka, żeby na tymczasem zastąpić w kancelarii pannę Halinę.

— Słucham wielmożnego pana starosty.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Pierwszy raz zdarzyło się coś podobnego. Co się stało z dziewczyną? To nie w jej stylu. Trzeba by może zacząć poszukiwania?

Ujął słuchawkę. Jakież to numer ma komenda MO?

— Halina Niesłysz? Nie, nic nie wiadomo, zobaczę jeszcze w zapiskach u dyżurnego z nocy... Nie ma. A komendant w mieście, tam jakieś zabójstwo... Nie, nie towarzyszu starosto. Mężczyzna, zdaje się, wieczorem pił U Młynarka. Pewnie rabunek. Ciągle jeszcze...

Nowy numer. Szpital.

Pani doktor? Dzień dobry. Nie wie pani, nie przybyła do was moja sekretarka, Halina Niesłysz? Nie ma jej, myślimy, może wypadek?... Nie, ach tak, dziękuję, dziękuję.

Zastanawiał się jeszcze chwilę. Może niepotrzebnie pod-

297

nosi alarm? Ech tam, można zapytać, nic w tym zdrożnego. Jeszcze zostaje Stefczyk. Tylko czy dzwonić do niego? Po swojemu zacznie wydziwiać, wyśmieję, wykpi, powie, że nie sekretarkami, ale czuwaniem, czy wrogów ludu gdzie nie ma, należy się zajmować...

Zadzwoił jednak. Długo łączono go z szefem Urzędu. Wreszcie usłyszał głos Stefczyka.

— A, obywatel starosta. A ja właśnie czekałem na wasz telefon.

— Na mój telefon? Czemu?

— Bo pewnie chodzi wam o tę Niesłysz? Prawda?

— Tak, tak... właśnie, nie przyszła do pracy, kłopot przez to, więc spytać chciałem...

— Proszę, proszę, obywatelu starosto. Można spytać. I można otrzymać odpowiedź. Słabo u was, obywatelu starosto, z czujnością. Pod samym waszym bokiem takie rzeczy. Dywersja, można by powiedzieć...

— Co wy gadacie? Co to ma wspólnego z Haliną?

— O, z Haliną? To bliższa znajomość? Ciekawe, ciekawe. Powiem wam. Ta dziewczucha jest u nas. Zatrzymana. Można powiedzieć, aresztowana. I co wy na to?

— Aresztowana? Chyba omyłka! Za co, na Boga?

— Powiem wam krótko. Wczoraj aresztowałem na mieście, człowieka, którego dobrze znam z Kieleckiego, bardzo dobrze. Jeden z NSZ-tu. Gagatek, wielu jest takich, których wysłał na inny świat... Z Niemcami był w komitywie... Ot co. Ja znam go od dawna. Nie myślał, że spotka się tutaj ze mną.

— Ale co wspólnego ma z tym dziewczyna?

— Co ma? Pomocy mu udzielała. Ułatwiła otrzymanie mieszkania. Dobrego, obywatelu starosto, dobrego, a wiecie, że krucho u nas z mieszkaniami.

— Ona każdemu pomaga. Uważa, że tak trzeba...

— Obywatelu starosto, zastanówcie się, co mówicie... A z tym oficerem, co od Andersa przyjechał czemu tak szczebiotała ochoczo, co? Ona wybiera takich, którym chce pomagać. Wybiera — powtórzył przeciągle.

— Ten oficer też u was?

_ Jeszcze nie siedzi. Ale uważamy, na pewno pokaże

rogi. Stefczyk ma nosa, wie, po co go partia tu postawiła...

— To na pewno omyłka. Stanowczo tak twierdzę. Z tą dziewczyną pracuję od pierwszego dnia pobytu w tym mieście.

_ Tym gorzej dla waszej czujności, tym gorzej... Ale

dosyć gadania, naprawdę nie mam czasu. Aha, pamiętajcie, obywatelu starosto, to tylko dla was wiadomość. Poufna. Więc ani słowa. Potem przedzwonię, umówimy się, porozmawiamy na ten temat. I w ogóle o sprawach czujności...

Odwiesił słuchawkę. Cios był zbyt mocny. Na domiar właśnie dzisiaj, gdy odnalazł w sobie coś znacznie mocniejszego niż tylko przywiązanie łączące go z Haliną. Oszalał Stefczyk. W ogóle za ostro poczyną, stale jakieś areszty, podejrzenia, licho wie co. Co by tu zrobić? Jakby pomóc dziewczynie? Żeby to był porucznik Kijanek, z nim można rozmawiać, ale wyjechał wezwany na jakąś szkołę partyjną. Zaraz, zaraz, tu nie można beczynnie...

— Pozwoli pan starosta? Już pół do dziesiątej.

Do gabinetu wślizgał się zespół kierowniczy pracowników na codzienną roboczą odprawę.

4.

— Choroba, młodzik zupełnie z pana, ani bym uwierzył...

Felek nieufnie patrzył na swego rozmówcę. Już to pokrewieństwo nie mogło nastrajać go pozytywnie. Tamten zdawał się nie zwracać uwagi. Plótł dalej swoje:

— Bo ja ciągle, gdzie nie byłem, to słyszę, że najlepiej te sprawy wyjaśni, wskaże coś, inspektor Ferycki. Gdy poszedłem do komitetu, do kapitana Wlazły, a jakże, przypomniał mnie sobie, ale on też

ciągle, Ferycki i Ferycki. Więc w końcu proszę, żeby mnie zetknął z Danem, chciałbym pogadać. Już nie mówiłem, że mniej o ziemi, o gospodarce, ale o Władku. Kurza twarz, doczekałem się brata! Taki gówniarz! Rąbnęło mnie to, nie ma co gadać.

299

Wczoraj to się nawet urzynałem w tej knajpie, jakże ona, „Pionierskiej”. Macie tam do wyboru różnych moczymor-dów i dziwek, tylko przebierać jak w ulęgałkach. No więc tak, spałem się wczoraj, a mnie się to nie często zdarza, mam łeb. Pozwól pan, piwo postawię, coś pan taki honorowy, sam za siebie chcesz płacić? A mnie zależy, żeby porozmawiać od serca. Zrozum pan, kurza twarz, to przecież brat. We dwóch zostaliśmy z całej rodziny na świecie...

Felek bliżej przyjrzał się Franciszkowi Wiśniewskiemu. Podobny do brata, tyle że starszy i bardziej rozrosły. Inna sprawa Władkowi też nic nie brakowało. Ten na dodatek jakiś zmarnowany, przychudły. Wczorajsze przepicie nie mogło tego spowodować od razu. Pewnie partyzantka, a potem II Armia. Sporo ma tych odznaczeń. Jest i Krzyż Walecznych, ładna pamiątka. No cóż, można pogadać.

— Można pogadać — powtórzył głośno.

Wiśniewski odetchnął głęboko, jakby po wielkiej batalii. Spojrzał z uśmiechem na Felka, otworzył usta i... zaniemówił. Zaskakujące to było po jego poprzednim gadulstwie.

Wolno sączyli piwo, w sąsiednim mieście ruszył browar, tymczasem tylko u nich pozostały nie zniszczone plantacje chmielu. Podpisano umowę o wymianie... Więc sączyli to piwo, dyskretnie sobie się przypatrując. Felka zaczęła drażnić ta sytuacja. Facet przecież chciał gadać czemu tak nagle zamilkł?

— Słucham...

Tamten zrezygnowanym gestem podniósł kufel do ust, wysączając płyn do końca.

— Ech, ja tam do gadania nie jestem. Przedtem plotło mi się, koniecznie chciałem kolegę zatrzymać. Trudno mi mówić. Widzi pan, u nas tam, w Mławskim, bieda była. Ojciec miał niespełna dwa hektary piasku, krzywą chałupę. Zginął, zakatowały go szwaby w obozie. Matka długo nie wytrzymała, poszła za nim, słabowała jeszcze sprzed wojny. Siostra zaginęła bez śladu. Ja musiałem przyskać do lasu. Władka krótko po mnie zabrali do robót. Dwóch nas zatem chodzi po świecie. Wywiedziałem się jeszcze

300

w wojsku o jego adres. Napisałem, odpisał, jaki to ważny się zrobił, majątkiem zarządza. Dziwiłem się nawet, skąd może się na tym znać? Od razu z dworca, ledwie tu przyjechałem, poszedłem do niego. Tam dowiedziałem się prawdy. Uciekł, okradł państwo, jest poszukiwany. Jakby mnie rąbnął ktoś w głowę. Gdy ranny leżałem długo w szpitalu, myślałem, pojedę do niego, zostaniemy razem, co tam rządcostwo, weźmiemy gospodarkę, należy się mnie jako zdemobilizowanemu frontowcowi. A tymczasem... Więc i gadać się nie chce. — Podniósł zmęczone oczy na Feryckiego. — Pan dobrze go znał. Naprawdę taka on świnia?

Zastanawiał się. Powiedzieć prawdę, czy przemilczeć, Wystarczy facetowi tyle, co wie. Głupia historia. Tamten zaś dopowiedział jeszcze:

— Do domu nie pojechałem. Daleki krewniak opiekuje się polem. Nie miałem po co wracać, nie chcę wracać i teraz. Za smutno... Wiesz kolega o nas już wszystko. Więc jak z Władkiem? Mów kolega szczerze, dobre czy złe.

— Był inny, jak się poznaliśmy. Trzydziestka ledwie nas była, wokoło Niemcy, tkwiliśmy jak w obozie. Władek starał się nie gorzej od innych. Razem ze swoją dziewczyną.

— Miał dziewczynę?

— Ziotka jej na imię. Wyjechała do swoich. Z dzieciakiem Władka pod sercem.

Wiśniewski wbił wzrok w przybrudzoną polepę stołu miejskiej stołówki.

Felek miał tej rozmowy dosyć. Po cholerę mu potrzebne czyjeś spowiedzi, po co sam ma kogoś obsmarowywać. Postanowił skończyć spotkanie.

— Co tu gadać... Trafił do tego majątku. I tam się zaczęło. Spiknął się z jakimiś cwaniakami z Warszawy szaber handelek na wielką skalę, forsę jak lodu, złoto, dolary. Na miejscu niemieckie dziwki... Musiał wpaść. Na tyle był mądry, że wziął nogi za pas.

Wiśniewski kiwał głową.

— Uciekł z tą swoją dziewczyną? Pojechała z nim razem, do swoich ojców?

301

_ Skądże. Wobec Ziotki zachował się drańsko. Żył z nią

przez najcięższy czas. Obiecywał, że się ożeni, razem mieszkali. Potem dopiero wypiął się na dziewczuchę. Wolał te swoje Niemki. Gdy poszła do niego, do majątku, wyrzucił, tyle że forsą sypnął, ale ona nie chciała przyjąć. Dopiero później wydebiłem od niego tę forsę. — Odetchnął. — No to już wie pan wszystko.

Wiśniewski wciąż kiwał głową.

— Jednym słowem sam smród — powiedział.

— Niby tak.

Znowu to długie, nudne milczenie. Felek złościł się coraz bardziej! Mimo że Wiśniewski robił nawet sympatyczne wrażenie, nic mógł się do niego przekonać, Władek przecież prezentował się nie mniej przyjemnie. Rozmowa zresztą przywiodła mu przed pamięć inne sprawy. Choćby ten majątek zarządzany przez Władka. Nie można znaleźć nikogo odpowiedniego na to miejsce. Zostawał niby len Malczyk, ale ani on nie kwapił się do przejmowania zarządu, ani nie było racji powierzać mu tej funkcji. A tu właśnie czas orek i siewów jesiennych... Znów spora grupka osadników ze wsi zniknęła, zagarniając z sobą przy okazji cały dobytek. Jedni przestraszyli się trudu, inni w ogóle przyszli tylko z zamiarem, by się obłowić. Chce ten Wiśniewski osiadać, można by go skierować na wolną gospodarkę. Z wojska, otrzyma pomoc, łatwiej sobie poradzi.

— Pan zamierza tutaj pozostać?

Potrząsnął w zafrasowaniu głową.

— Nie wiem. Zamierzałem, jak już mówiłem. Tylko że tu liczyłem na Władka. We dwójkę dalibyśmy radę. Bo ja, widzi pan... — zawahał się, a potem zdecydowanym ruchem odstąpił koszulę. Przez prawą pierś przechodziła szeroka, zaczerwieniona blizna.

— Jeszcze mam nogę lewą leciutko skróconą. Nad Nysą oberwałem, długo wykaraskiwałem się z tego. Inaczej zostałbym w wojsku. Przyzwyczaiałem się, przedtem partyzantka, potem armia... Sam nie udźwignę gospodarki. Nie bardzo wiem, co mam robić.

302

Nagle podrzucił głowę do góry, ożywiło się jego spojrzenie.

_Chyba, że... Wie kolega, chodzi mi jedna myśl po

głowie... — nie dopowiedział, zawahał się, wyraźnie przestraszył się tej myśli.

Felek zrozumiał. Albo może właśnie W tym samym momencie identyczny pomysł nasunął się także i jemu. Zastanawiał się tylko przez moment. Ryzyko, pewnie, ale może to właśnie stałoby się najlepszym wyjściem. Niech jeden brat naprawia, co zepsuł drugi. Ostatecznie zawsze można przeciwdziałać, gdyby szło coś nie tak. Zdecydował się.

— Zaproponuję coś panu. Przyjęcie majątku po Władku. Poradziłby pan z czymś takim?

— Musiałbym. O tym samym myślałem. Skąd kolega wiedział?

Felek wzruszył ramionami. Przypomniawszy sobie, iż obiecywał Jaśce, że po południu pójdą na przedmieście obejrzeć parę wolnych jeszcze, choć podniszczonych domków z ogródkami, jeden nawet z pokaźnym sadem. Dziewczyna koniecznie chciała mieć trochę gospodarki. Samo miasto nużyło ją, pragnęła zachować kontakt ze wsią. Trzeba wracać do domu. A ten Wiśniewski niech się namyśli. Podniósł się.

— Niech się pan zastanowi... Jutro o dziesiątej będę w starostwie. Proszę mi dać znać.

— Już się zdecydowałem — Wiśniewskiemu błyszczały oczy.

5.

Początkowo uchodziło to ogólnej uwadze. Pewnie, widywało się na murach czy płotach skreślone pośpiesznie "węgłem czy kredą swastyki, ale można było poprzestać na wzruszeniu ramion. Wysok niemieckich szczeniaków^

303

nic groźnego. Diabli też wiedzieli, co miały znaczyć inne napisy, składające się z trzech liter: KUF. Roiło się od różnych gryzmołów, mniej lub więcej przystojnych, pełno było wszelkich kartek i ogłoszeń, mógł ktoś zostawiać na płotach także swe inicjały.

Pewnego ranka wszakże swastyki i towarzyszące im litery KUF rozprzestrzeniły się gęsto, najwięcej było ich na budynkach publicznych, ze starostwem na czele. Tym razem staranniejsze już, trwalsze, wyciągnięte smołą albo olejną farbą, tą samą farbą, której w mieście za żadne skarby nie można było otrzymać do najniezbędniejszych prac porządkowych. To musiało już zastanowić i wzbudzić zaniepokojenie.

Nadeszły dalsze sygnały. Podczas rewizji przeprowadzanych w podejrzanych domach niemieckich znaleziono przebywających tam mężczyzn w pełni sił i zdrowia. Nie byli nigdzie rejestrowani. Indagacje przynosiły zaskakującą odpowiedź: przybyli niedawno spoza granicy, a jakże, legalnie, dla połączenia się z rodziną. Inni oświadczali jeszcze bezczelniej:

— Ich habe hier Wirtschaft...

W jednej z samotnych kolonii w krańcu powiatu taki „gospodarz” z pomocą swoich kompanów wyrzucił siłą dopiero co osiadłych repatriantów z Nowogródzkiego. Gdy z lamentem i płaczem przybyli do miasta, nastąpiła stanowcza interwencja.

— Pojąć nie mogę. Naszych niby przybywa, a zarazem ciągle jeszcze Niemcy stanowią przytłaczającą większość na ulicach miasta — zastanawiał się przy jakiejś okazji Lisiewicz. — Ze wsi ściągają przed zimą czy jak?

— A ewidencja?

Rozkładał ręce.

— Niby istnieje, niby się ją prowadzi. Ale przy takim ruchu ludności jakże można coś pewnego zakładać? W masie Polaków pieką swą pieczeń również i tamci... Na początku było łatwiej.

Komendant Pędzik też był bezsilny. Ludzi w milicji miał mało, ograniczano etaty, narastał problem utrzymania po-

304

ządku. pilnowania Przed rabunkami, kradzieżami, mordami przed nieustannymi bijatykami w rosnących jak grzyby po deszczu knajpach. Ewidencję Niemców można by osiągnąć tylko poprzez kontrolę ich mieszkań. Kto ma to robić? W starostwie brak ludzi, to samo w zarządzie miejskim, w milicji, we wszystkich instytucjach. Pensje niskie, wypłaty nieregularne, najczęściej zaliczkami, mało znajduje się ochotników.

Stefczyk bagatelizował problem niemiecki. Dla niego w płaszczyźnie politycznej skończył się on z momentem likwidacji przed paru miesiącami szajki Wehrwolfu. Poza tym nad czym tu lamentować, kiedy lada tydzień zacznie się przesiedlanie? — twierdził. — Z innych ośrodków już zaczynają odchodzić pierwsze transporty, niedługo akcja ruszy na wielką skalę. A wtedy sprawa automatycznie przestanie istnieć... Zajmowanie się nią dzisiaj jest odwracaniem uwagi od poczynań rodzimej reakcji. Tu trzeba skierować największy wysiłek. Żeby niepożądany element nie przeniknął do władz, partii, urzędów. Nie patyczkować się, aresztować, w śledztwie poczynać ostro, walka klasowa trwa, będzie pogłębiać się z każdą chwilą. Czy nie widzą co się dzieje na ziemiach centralnej Polski?

— A w ogóle to nas ciągle jeszcze za mało do utrzymania porządku — wysypywał w końcu, ucinając dyskusję.

To była prawda. Nastął dziwny okres. Niewielu ludzi się osiedliło, a jeśli to uczynili, weszli potem tygodniami za obłowieniem się. Nie można było znaleźć chętnych do pracy w uruchomionych fabrykach. Na stu zgłaszających się dziewięćdziesięciu stanowili amatorzy kierowniczych stanowisk... Nieważne, że bez żadnych kwalifikacji.

— A co? Po to się wojowało przez okupację, żeby teraz harać za robotnika? — stawiali się buńczucznie.

Chcąc nie chcąc zatrudniało się Niemców, ale i oni zhar-dzieli. Nie raz gdy wyłoniła się potrzeba większych prac ogólnoporzędkowych, jedynie przy pomocy milicji można było ściągnąć odpowiednią liczbę ludzi. Milicjanci opowiadali przy tym niestworzone historie. Chowali się Niemcy w szafach, w tapczanach, za kominami, bandażowali się

89 PrzeJaInla się niebo 1.1

305

od stóp do głów, wszystko aby tylko nie Usuwać gruzu z bocznych ulic czy nie naprawiać przewodów kanalizacyjnych.

Coraz też więcej składano Pędzikowi meldunków o zdrowych, młodych mężczyznach przesiadujących po domach. Można było ich spotkać wałęsających się po ulicach, niektórzy zgłaszali się nawet w różnych sprawach do polskich urzędów. Ci zwłaszcza, pod których nieobecność zajęte zostały ich domy czy przedsiębiorstwa.'

Wybuchła wreszcie bomba. W tym samym czasie, gdy zaczęły niepokoić masowo wymalowane swastyki i ten nie rozpoznany kryptonim KUF. Stało się to dzięki Lisie-wiczowi, zawsze szczególnie uczulonemu na sprawę niemiecką.

— Trudno, musimy uaktualnić ewidencję. Zahamujemy chwilowo inne sprawy, ale to jest rzecz zasadnicza. Gdy już ruszą transporty przesiedleńcze, będziemy musieli wiedzieć, jaka naprawdę jest liczba Niemców.

Już po, paru dniach było wiadomo, że liczba ludności niemieckiej wynosi ponad dwa i pół tysiąca...

— Nie było ich przecie ani dwóch tysięcy. Jakże się mogli tak szybko rozmnożyć?

Nawet Stefczyk tym razem zaczął się niepokoić. Na drzwiach swojego mieszkania odnalazł któregoś dnia napis: Hier wohnt der polnische Hund. A obok pyszniła się swastyka, dziwnie foremna. Przyjrzał się jej dokładniej. To już nie odręczny malunek. To była odbitka z szablonu.

Po dwóch godzinach milicjanci zatrzymali kilkunastu Niemców, oświadczających, iż przybyli w ostatnim czasie do miasta legalnie. Pokazywali oficjalne papiery. Wspólnie, Zielniak, Stefczyk, Pędzik, Wlazło, Lisiewicz, biedzili się nad tą sprawą. Poszły w ruch telefony.

Kilku Niemców po kolei składało przed tą komisją zeznania. Dwóch z nich było żołnierzami Luftwaffe, zwolnionymi z obozów jenieckich, jeden z marynarki. Administracyjne władze okupowanych Niemiec

wystawiły im paszporty wskazujące miejsce urodzenia na polskich ziemiach zachodnich. Dodatkowo pieczętka informowała: Staatscm~

306

horiger Polens. Na tej podstawie okupacyjne władze radzieckie przepuszczają ich przez punkty graniczne, istniały bowiem jakieś porozumienia z pozostałymi aliantami w tej

SP—witasz j^j co z przesiedlaniem? Już ja czuję,

że te Angliki i Amerykany wystawią nas rufą do wiatru. Co my z tymi Niemcami będziemy robić? — indyczył się

Pędzik. y

_Jest przecież porozumienie berlińskie w sprawie przesiedlania z Polski i Czechosłowacji — oponował Zielniak.

_Najpewniej powstały jakieś trudności... Co z tymi telefonami, jak trzeba, nie można się z nikim połączyć — Stefczyk trząsał pięścią w słuchawkę.

_Samych wojskowych przybyć mogło wielu? Dwudziestu, pięćdziesięciu. A reszta? Kobiety, dzieci, tych całe mrowie.

— Ba. One mają Fliichtlingspass — poinformował Pędzik. — Że niby uciekły w trakcie działań wojennych, a teraz wracają na ojcowiznę. Tych jest najwięcej. Całe setki. Mężczyźni też, starzy przeważnie. Młodzi po prostu się boją... Więc co będzie?

— My już dla swoich miejsca w mieście nie mamy. Wszystkie zdadne do objęcia mieszkania zajęte jeszcze przez Niemców.

— Az czego oni żyją? — zastanawiał się Zielniak. — Do roboty nie można zapędzić...

— Sprzedają łachy. Ceny rosną, szabrownicy wykupują towar masowo. Niech ich cholera, już rady dać nie możemy. SOK też nie upilnuje wszystkiego. Pięciu chłopca na całą stację, a w pociągu jedzie czasem i tysiąc osób. Każdy z walizkami, pakami, tłumokami, jakże ich skontrolujesz? Tu coś mi nie gra. Nasi ludzie też zaczynają kręcić nosami. Boją się. Chodzą gadki, że te ziemie nie pozostaną przy nas. Tchórzliwi łapią, co mogą, i zwijają manatki.

Wiedzieli o tym, sporo się ostatnio zdarzyło takich wypadków. Nie przyszedł ktoś do biura, inny do fabryki, ktoś się nawet nie zgłosił po odbiór swych dokumentów. Okazywało się, wracali na stare ziemie.

20'

30T

Zadzwęczały telefony. Rozmowy gorączkowe, długie i krótkie. Albo problem nieznan, albo w województwie sami się kłopotczą podobnie, ot choćby w Szczecinie — tam również przybyło sporo Niemców, to samo w Świnoujściu i w Kołobrzegu. Tamtejsze władze także nie mają żadnych instrukcji, meldunki dopiero wysłali do samej Warszawy... Nie przejmować się, to chwilowe.

Wysiedlanie na pewno zacznie się lada tydzień. Są pewne opory ze strony anglo-sasów, ale zapewne uda się je zwalczyć. Więc być przygotowanym, robić ewidencję ludności.

Po dobrej godzinie spojrzeli po sobie.

- Kurza twarz. Wiele więcej to my nie wiemy. I.co tu robić?
- Swastyka! Od psa mnie wyzwali polskiego! — zapienił się na to wspomnienie Stefczyk.
- To jak, towarzyszu, jest u nas ten problem niemiecki czy nie ma?

Stefczyk obrzucił Lisiewicza złym spojrzeniem, bez słowa. Potem jakby szukając odsieczy, zerknął na Zielniaka, trzymającego się wobec niego z wyraźnym dystansem. Zawahał się chwilę, nim szepnął:

- Tę dziewczuchę każę wam zwolnić. Okazało się, głupota tylko to była z jej strony...
- Dziękuję — Zielniak odszepnął to, zaskoczony radosną nowiną, zaraz się jednak rozwścieczył na siebie. Za cóż dziękuje? Że aresztowano dziewczynę pod wysstanymi z palca zarzutami?
- A co to jest KUF? Te litery mnie niepokoją. Nie wpadliście na żaden trop? — po omówieniu sprawy rzucenia wszystkich sił do przeprowadzenia aktualnej ewidencji Niemców zwrócił się do zebranych Lisiewicz.
- Jak dotąd żadnego śladu.

Mieli go odnaleźć tego samego jeszcze wieczora...

Zasiedział się Lisiewicz do późna za biurkiem. Sam sobie się dziwił, ale właśnie sprawy niemieckie wyzwalały w nim olbrzymią energię. Zdawał sobie sprawę, że to nerwowość najsilniej nim powoduje, ale fakt pozostawał sobą. Wróciła dynamika, dawny zapał. Może wyolbrzymiał niebezpieczeń-

308

może szarpał nim niepokój, aby na płaszczyźnie szer-S W^oniż ich miasto sprawy nie przybrały złęgo obrotu. Bo co b[^]zie jeśli zagadnienie przesiedlania zostanie zwekslowane przez anglosasów na inne tory. Jeśli pozostanie w Polsce potężna masa mniejszości niemieckiej?

Aż wstrząsnął się na podobną myśl. Czy to możliwe? Takie rozwiązanie problemu byłoby trudne. Czy te dwie narodowości mogą żyć pod jednym dachem? Znów piąte kolumny, znów dywersja, znów buta i tupet? Nie, nie, nie...

Przemyślał, jak najsprawniej przeprowadzić obecną ewidencję. W jaki sposób obostrzyć sprawę sankcjami za ukrywanie się, niemeldowanie. System pracy ewidencyjnej. Kiedyś mieli do pomocy komitet niemiecki. Nawet go nie likwidowali, sam się rozsypał, ostatni Mohikanin, Blincke, został powieszony przez wehrwolfowców, potem już nie wyłaniała się potrzeba rekonstrukcji takiego komitetu... Choć mimo wszystkiego było to ułatwieniem.

Porozumiewał się z Pędzikiem. Sierżant był mocno podenerwowany. Nie mógł opanować niedobrych nastrojów w mieście. Niemcy są naszpikowani tupetem, Polacy natomiast zgaszeni, poszeptujący, niepewni. Krążą najdziwaczniejsze pogłoski. Że Szczecin przypadnie Niemcom, że tereny aż do Nysy też im trzeba będzie odstąpić, że waha się podobno nawet sprawa Wrocławia... Jak reagować, jak

przeciwdziałać? Prasa przychodzi z opóźnieniem, często aż tygodniowym. Radio nie porusza tych spraw. Nikt właściwie niczego nie wie. Korzystają zaś na takich nastrojach przeróżne męty. Te używają. Porządni, co chcą mieszkać i pra7 cować, są zdeorientowani, wykołowani. Na mieście pijatyki, awantury, jeszcze ostatnio pogorszyło się mocno z aprowizacją, tłuszczów zwłaszcza brakuje, od trzech tygodni na kupony kartkowe nikt nie otrzymał jednego grama. Kiedy wreszcie nadejdą dostawy?...

W końcu Pędzik wyrzebał się jednak z minorowego nastroju. Ustalili nową taktykę, od jutra ruszą na całego, me będą się patyczkować, porządek w mieście być musi. Utrzymywali go wtedy, za pierwszych gorących tygodni, tym bardziej potrafią utrzymać teraz.

309

Tak, było to piękne, ale wielu korzyści dla siebie Lisiewicz nie mógł z tego wyciągnąć. W końcu machnął ręką, za dużo nagromadziło się problemów w tym jednym dniu. Trzeba się przespać, od rana przedstawi się wszystko w jaśniejszych kolorach.

Jak zazwyczaj wracał do domu pieszo. Nie było daleko, pragnął się też trochę przewietrzyć. Gdy wychodził z zarządu miasta, zwrócił uwagę na kilka sylwetek u przeciwległego rogu. Ćmiły się ogniki papierosów. No cóż, zwyczajna rzecz. Czemu ni stąd ni zowąd się niepokoi? Pewnie przeforsowanie umysłu sprawami niemieckimi, jakieś ich wyolbrzymienie odbija się pośrednio na jego stanie nerwowym. Kto wie, może by wstąpić do którejś knajpy na wódkę? Dwie, trzy kolejki, dobrze by to zrobiło. W domu jest jakaś flaszyzna, ale nie będzie samotnie popijał, w knajpie przynajmniej ruch, ludzie...

Zrezygnował. Poszedł znanym już szlakiem, przez ulice starannie oczyszczone z gruzów, z wyremontowanymi chodnikami, jakże pomogło to, że znaleźli za miastem wytwórnię pustaków i płyt chodnikowych, ze sporym zapasem gotowych wyrobów. Z porządkowaniem ulic nie było przynajmniej kłopotów. Jedno, to oświetlenia by się więcej przydało. Ale ani przewodów, ani lamp nie było. Przybyła mówił, że chwilowo nie ma co marzyć. Warszawa również tonie w ciemnościach, we Wrocławiu nie lepiej, nawet i w Katowicach. Więc jakim prawem oni mogą wymagać?

Uśmiechnął się, znał Przybyłę. Dyrektor elektrowni miał swoje sposoby. Jednego bowiem w jego zapasach nie brakło. Potężnych kabli ziemnych, o które w Polsce toczono straszliwe boje. Przybyła schował, zataił, nie bez wiedzy Ziel-niaka, a i jego, Lisiewicza, kilkadziesiąt potężnych szpul z nawiniętymi kablami. Żadna ewidencja centralna nie ujęła ich w swoich wykazach. Przybyła handlował teraz zapasem. Żarówki z Łodzi, nowa prądnica z Poznania, przewody na linie telefoniczne, wszystko to wytargował za kable. Może więc i z oświetleniem miasta jakoś poradzi?

Skręcił w boczną uliczkę. Na rogu dostrzegł nie zmienioną tabliczkę niemiecką. Jutro musi zwrócić na to uwagę.

w końcu dawno już, lepiej czy gorzej, ale przemianowali rgtkie ulice, natomiast z realizacją tego faktu poprzez rSzkci idzie niemrawo. Mogliby Niemców wziąć do po-v Trzeba by ich w ogóle masowo zatrudnić, od razu wpłynie to na poprawę nastrojów polskiej ludności. Opracuje się jutro plan wielkiej akcji porządkowania miasta, usuwania zniszczeń wojennych. Masówka. Tych wszystkich lotników,

marynarzy czy innych żołnierzy Wehrmachtu zagna się w pierwszej kolejce. Już on im pokaże ich Wirtschaft. Cholerny tupet, oni mają tu własność...

Gdzieś za nim daleki, przeciągły świst. Potem drugi i trzeci. Pewnie znów się jakieś bractwo popiło. Chleją ludzie do niemożliwości. Żarcia nie ma, z cukrem bieda, z tłuszczem tragedia. A wódki ciągle do syta. Jak nie mo-nopolówka, to gorzelanka, w ostateczności zwyczajny bimber. Na wsi, mówił Ferycki, podobno się poprawiło. Ludzie zabrali się do roboty. Pracują, a nie gadają. Tu tylko, w tłoku, w Węszeniu Iza łatwym zarobkiem, znajdują posłuch różne plotki i defetystyczne nastroje. Kto je szerzy? Że Niemcy, to pewnie, różnymi kanałami kontaktują się przecież z polską ludnością. Ale czy tylko sami Niemcy? Może jest coś prawdy w niespokojnym węszeniu Stefczyka za reakcjonistami rodzimego chowu? Ech, chyba jednak nie w sprawie ziem zachodnich. Nie spotkał dotąd jednego człowieka, który by miał tutaj odmienne od ogólnego zdanie. Co innego niewiara, ale co innego jednoczesna intencja, pragnienie, by stan ten nie uległ już nigdy zmianie.

Może i dobrze, że nie poszedł do knajpy. Obejdzie się bez wódki. Wystarczająco jest dziś zmęczony, aby zasnąć bez żadnych majaków... No, parę kroków i dom. Jednak wmusili w niego na siłę tę chałupę, niewielką na szczęście, ładną wszakże, przyjemną. Że "to niby burmistrzowi miasta nie wypada mieszkać w jakimś tam kącie... Inna sprawa, i tu i tam nadal pozostaje tak samo osamotniony...

Cień jakiś nagle się wysunął do przodu, odskoczył od ściany. Lisiewicz ujrzał go jak przez mgłę i w tej samej chwili instynktem tylko jakimś wiedziony, pomyśleć nie miałby czasu, ułamek sekundy, rzucił się w bok. Huk-

311

nęły dwa strzały, jeden za drugim. I zaraz, w błyskawicznym odruchu, odpowiedział tym samym. Cień z krzykiem zachwiał się, jeszcze krok, dwa, stuk broni wypadającej z dłoni na ziemię, głuchy łomot osuwającego się ciała.

Szarpnął furtkę wejściową, skrył się poza nią, za krzakami rozrosłego, dziczałego już bzu, nasłuchiwał. Czy napastnik był tylko jeden? Kto to? Rabuś zwyczajny?

Ostry tupot kilku par nóg. Przyciął się, obejrzał za siebie. Nie, do domu nie ma po co się chować. Kto wie, czy tam też nie czyha jakaś zasadzka? Czemu ta stara kobieta, dawna sprzątaczką biura, nie wychodzi na ganek? Wystraszyła się tak?

Tupot przycichł, idą teraz, nic nie widać, cholernie tu ciemno. Może warto by drani postraszyć? I tak, jeśli dojdzie do starcia, sam jeden długo nie potrafi stawiać oporu.

Wystrzelał cały magazynek, pośpiesznie wymieniał na nowy. Tamci ucichli, musieli się najpewniej przyciąć. Nie, biegną. Tutaj? Coś się osypuje i pada. Ach, przedzierają się przez gruzy zwalonych po przeciwległej stronie domów, sadzą gdzieś przez ogród. Że tu wszystkie ucieczki muszą odbywać się ogrodami...

Teraz do domu. Telefon. Drzwi otwarte. To dziwne. Trzeba się strzec...

Niemal u progu potknął się o czyjeś ciało. Jęk. Przekręcił wyłącznik. Gospoia. Związana, z tłumokiem w ustach. Jak dobrze, że przynajmniej jej nie zabili. Teraz wyrwać tylko ten knebel, potem się ją

rozwiąże... Telefon. MO. Tak, komendanta... Pędzik? Był na mnie napad. Nic, nic, szczęśliwie. Napastnik leży, ranny albo zabity. Przyjeżdżajcie natychmiast...

Słyszał stuk rzucanej z tamtej strony słuchawki. Teraz zatrzaskać drzwi, mocno, i już można się zająć gosposią...

Gdy po paru minutach wóz milicyjny, duma Pędzika, zahamował ostro tuż przed ciałem napastnika, ten dyszał jeszcze. Za zezwoleniem starosty wnieśli go do przedpokoju, stąd alarmowali po pogotowie...

— Szeffie, on dogorywa — rzekł jeden z milicjantów,

312

na napastnika, lat najwyżej dwudziestu. — Nie-

patrzy

m Tamten otworzył oczy, poprzez ból łysnęła nienawiść.

Otworzył usta:

_ Kampf um Freiheit...

Wraz z tymi słowami lunęła ustami krew przemieszana z pianą. Kula przedziurawiła płuca. Głowa, podniesiona przez chwilę, głucho rąbnęła o posadzkę.

— Nie żyje.

_ Kampf um Freiheit — powtórzył Lisiewicz; spojrzał

pytająco na sierżanta milicji. Pędzik szeroko otworzył oczy.

_ KUF... Kampf um Freiheit... Cholera, byłby trop, jaki

pech, że nie żyje!

Dobiegł zza drzwi sygnał nadjeżdżającej karetki. Pędzik poderwał się z miejsca.

— Niech się już oni nim zajmą... Tamci kędy dawali nogę? Przez ogrody, w kierunku rzeki? Deszcz był wczoraj, mogą być ślady. Chłopcy, za mną!

— Kampf um Freiheit — raz jeszcze powtórzył Lisiewicz. Zatem nie skończyło się wszystko wraz z likwidacją Wehr-wolfu.

W tej samej chwili uczył napływającą, zagarniającą go falę nienawiści do tych Niemców. Nie dlatego, że usiłowali dokonać na niego zamachu, o tym najmniej myślał w tej chwili. Za ich zaciętość, że burzą spokój tego miasta, tej całej ziemi.

Zacisnął pięści. Przed oczyma nie wiedzieć skąd wyrosła nagle sylwetka Schulmowsky'ego. Stał ze swą lagą, zjadliwie uśmiechnięty, wygrażał więźniom-Polakom...

Tam, na górze, przeprowadzano to nawet dość sprawnie. Dowodziły tego choćby jednocześnie napływające zarządzenia: władz administracyjnych, i bezpieczeństwa, i kolejowych do Jezierskiego. Ich wszakże to zaskoczyło. Ten termin.

313

Dyspozycja brzmiała wyraźnie. Przygotować transport dwustu osób na jutro. Dochodziły szczegóły wykonawcze, nie sprecyzowane przy tym do końca.

Co tu gadać, wszystko inne wzięło tego dnia w łeb. Niewielu interesantów mogło załatwić swe sprawy. Wieść poszła szerokim echem po mieście. Przesiedlają Niemców!

Przesiedlają Niemców! Przesiedlają Niemców!

Od razu zmieniły się nastroje. Wśród ludności niemieckiej dotychczas chodziły słuchy, że z przesiedlaniem, a nawet z przekazaniem Polakom tych ziem, to wszystko nieprawda. Będzie zupełnie inaczej, to Polaków się zmusi, by stąd odeszli. I teraz taki grom z jasnego nieba.

Polacy natychmiast nabrali rezonu. Poczuli się pewniejsi. Więc jednak przepędzi się precz pludraków, nie będą więcej straszyć, napadać na polskie władze i polską ludność. Więc bujda okazały się wszelkie gadania, plotki, strachy. Górą nasza, hurra! Młynarek, lej wódkę!

Na gwałt odszukiwano starego niemieckiego zecera, żeby we własnym języku składał możliwie najszybciej tekst urzędowego obwieszczenia. O początku akcji przesiedlania, zaczynającej się z dniem jutrzejszym. Do pierwszego transportu mają zgłaszać się ochotnicy, w przypadku ich braku władze wyznaczą osoby do pierwszej listy...

W godzinę afisze były wydrukowane w dwóch językach. Niemcy z przerażonymi twarzami gromadzili się przy nich.

Lisiewicz przeglądał tekst odezwy. Kręcił głową, zwracając się do współpracowników.

— Z tymi ochotnikami coś tu nie tak. Przecież trzeba by jakiejś selekcji, porządku. Stopniowo. A jeśli nam zgłoszą się wszyscy pracownicy niemieccy z odlewni, z huty szkła, z innych zakładów? Przecież nie zatrzymamy produkcji...

— Będziemy sprawdzać. Takich możemy chwilowo nie puścić...

— Pewnie, ale tu by trzeba inaczej...

— Można do was, burmistrzu?

— Proszę, witajcie.

314

Stefczyk uroczyście wyciągnął dłoń, mocno ściskając prawicę Lisiewicza.

przez dwa dni od zamachu na was i od wykrycia

• h innych spraw nie mało przemyślałem. Macie rację, sprawy niemieckie są tutaj równie ważne jak inne. Widzicie, ja rosłem w ciągłej walce klasowej, okupacja też w dziwny sposób stała się na moim polu mniej walką bezpośrednią z Niemcami, a głównie z tymi, co im służyli, co się z nimi bratali... Jak było, tak było. Dość, że dają wam

rękę na zgodę. A wy?

_ Nareszcie. A to nigdy jakoś nie mogliśmy się ze sobą dogadać. Co wy na ten alarm z Niemcami? Zaskoczyło nas to, ale poradzimy sobie. Punkt zborny wyznaczaliśmy w wielkiej hali niedaleko dworca, tam gdzie myśleliśmy uruchomić z czasem fabrykę...

_ Dużo luda tam wejdzie? — Stefczyk nawiązywać musiał tym pytaniem do własnych myśli.

_ Niemcy zamierzali przenieść tutaj część produkcji

wyposażenia do maszyn lotniczych. Jedna hala została zakończona, drugą dźwignęli tylko nad fundamenty... Grunt, że jest kolejowa bocznicą, można tam spokojnie podstawić wagony do załadunku. A wielu się zmieści? Hala to kolos, myślę, że najmniej tysięcy ludzi, bez tłoku...

— To dobry pomysł. Bo wiecie, myślałem, co my będziemy sobie głowę zawracać problemem niemieckim w mieście. Instrukcja mówi, że mamy się przygotować do dalszej wysyłki Niemców. Jak się przygotować? Po mojemu, spędzić ich tam wszystkich, założyć punkt przesiedleńczy, i tyle. Od razu w mieście i w powiecie nastanie spokój. Co wy na to?

— A fachowcy?

— Aha... fachowcy. Kurza twarz. No, tych możemy chwilowo zostawić na starych miejscach. Ale tylko ich... Zresztą musimy to przemyśleć. Dziś wszystkie wysiłki na przygotowanie transportu. Wagony są?

Jeziński mówi, że część już ma. Resztę zatrzyma 2 tego składu, który ma dziś nadejść z przydziałem mąki.

To dobrze. Więc przemyślcie rzecz dobrze... Jeszcze

315

jedno. Jak się złączą zgłaszać ci ochotnicy, to ich od razu kierujcie do hali. Niech tam Pędzik postawi osłonę. A potem sprawdzimy, jakie to ptaszki chcą nam wyfrunąć. Może się zdarzy coś ciekawego. No, cześć.

Po jego wyjściu uważnie przestudiował dopiero co nadeszły telefonogram. Odpowiedzialnym za akcję przesiedleńczą czyni się jego, burmistrza miasta. W zakresie potrzebnych czynności wszystkie inne władze zostają mu podporządkowane... Dalej następowały szczegóły co do ilości mienia, jakie zezwala się zabrać Niemcom, zastrzeżenia, by traktować akcję w sposób możliwie najbardziej humanitarny. Sprawa zapewnienia opieki lekarskiej, wyżywienia, transportu...

Kręcił głową. I na dodatek takie tempo. Nie było to wcale takie proste. Nakręcił numer.

— Pędzik? Proszę, zjawcie się zaraz u mnie. Musicie z jednej strony zabezpieczyć miasto, żeby się nie zdarzyły jakieś wyskoki przeciw Niemcom, a z drugiej obstawić halę, wagony... Kupa spraw do omówienia... Skąd weźmiecie ludzi? Trudno, trzeba, to najważniejszy problem. Nareszcie pozbywamy się ich. No więc, przychodź, stary...

Zadzwoił na sekretarkę. Zjawiła się, starsza już kobieta, o świetnej biurowej rutynie.

— Niech pani zaraz ściągnie tutaj ludzi z wydziału osiedleńczego. Muszą dziś i jutro zająć się sprawami transportu. W ogóle powinni się teraz przygotować do nowej akcji. Dodamy im pomoc...

Zapeszyła się.

— Kiedy, panie burmistrzu, tam mało kto został teraz za biurkiem. Połowa wyszła do miasta...

— Bez zezwolenia? Po co?

— Na rynek. Niemcy na gwałt zaczęli wszystko wyprzedawać. Tanio. Kołdry puchowe, wczoraj jeszcze trzysta, czterysta złotych, dziś tylko setka. Futra, karakuły, można kupić za dwa tysiące. Bielizna pościelowa za bezcen. Serwisy... Sprzedają też meble...

— Nie mają prawa...

— Możliwe, ale robią to. A nasi korzystają.

316

Pani też ma ochotę na takie kupno?

Najwyżej buciki kupiłabym dla córeczki. Prawie boso

~~ą • 3 iuz za parę dni otwarcie gimnazjum, październik

ch' ',i* wiec tylko to... Pensji od dwóch miesięcy nie na nosie, >"•» w

otrzymaliśmy...

_ Teraz nie może pani odejść. O tych bucikach trzeba • było powiedzieć wcześniej... Zatem kto jest, nich przyjcie Z tamtymi potem porozmawiam. Nie będzie im wtedy

przyjemnie.

Psiakrew, zaczyna się. Różne hieny zaczynają polować. Choć z drugiej strony, kto wie, może to słusznie. Ludzie się tu zadomowiają, potrzebują niejednych rzeczy. Niemcy wszystkiego zabrać z sobą nie mogą. Odbywa się to w uczciwym handlu. Może więc machnąć ręką, rzecz jasna, nie na urzędników, którzy samowolnie opuszczają biuro... Co krok, to problem, a wiele ich jeszcze wyskoczy w związku z tą akcją? Projekt Stefczyka. Czy będzie w zgodzie z instrukcjami, z zaleceniem pełnego humanitaryzmu? Dlaczego nie? Jeśli zabezpieczy się jako tako znośne warunki?

— Panie burmistrzu! Dzwoni starosta...

— Cześć, cześć, Julek! No, więc nareszcie ruszyliśmy..., Przyjedziesz tutaj? Dobra, czekam...

O czternastej lista zapisanych ochotniczo na wyjazd dobiegła nieomal trzystu osób. Zgłaszali się dalsi. Urzędnicy notowali nazwiska, wiek, adresy, wydawali dyspozycje, gdzie i o której, z jakim dozwolonym bagażem mają się stawić...

— Czy zapisywać dalszych?

— Na dziś dosyć. Potem, niezależnie od terminu następnego transportu będziemy przyjmowali dalsze zapisy. A i swoje listy przygotujemy, tych co na pierwszą kolejkę. Teraz braknie czasu. Jest masa innej roboty.

— Przesiejemy ich; zostawimy równo-;dwieście osób, czy tak niechcący wyprawimy z pół setki więcej? — sugerował Stefczyk.

Zgoda, im więcej, tym lepiej. Widzieliście, jak ciągną swoimi wózkami? Niektórzy furmankami, dobrze musieli zapłacić, że ich chcą wozić... Tylko czy nie biorą tego dobra

317

za wiele? Przecież są przepisy, że ani mebli, ani jakichś serwisów, szklą, a oni, popatrzcie, co wyprawiają...

Stanęli przy oknie.

Niektórzy z Niemców już wcześniej najwidoczniej przygotowali się na ewentualność wyjazdu. Walizy, kufry, tłu-moki piętrzyły się na wózkach i furach olbrzymimi stosami. Twarze ponure, przejęte zarazem. Na chodnikach ga-wieź.

— Nasi są spokojni. Wyobrażacie sobie, jak by Niemcy postępowali w podobnej sytuacji?

— Nie trzeba sobie wyobrażać. Pamiętamy. Ale ten bagaż warto by im nieco okroić. W ten sposób wagon nie starczy na dwie rodziny. Byliśmy przestrzegali przepisów.

— Będziemy musieli tego sami dopilnować. Boję się żeby nie było jakichś nadużyć.

— Nie przesadzajcie, Lisiewicz, w was musi tkwić jakiś inteligencki mięczak. Pamiętajcie, dwa dni temu strzelali do was...

Do późnego wieczora trwał ruch, normalny porządek życia miejskiego uległ przestawieniu.

Najważniejszą sprawą stało się przygotowanie transportu przesiedleńczego.

— Doczekali się nareszcie swojego.

— Oni inaczej nas wysiedlali. To my się cackamy. Patrz, Mańka, ile tego chlamu taskają z sobą.

— Ta joj, widzieliście, ta stara zegar ciągnie, jeszcze i jakiś fotel.

— Ja bym ich goło i bez niczego puścił.

— A pewnie. Za to, co nam zrobili.

— Panie, co pan... To też ludzie, niech ich cholera z łachami i zegarami razem. Byle stąd wyjechali.

W nocy, choć wózki przestały się toczyć przez miasto w kierunku stacji kolejowej, na ulicach nadal szumiało. W knajpach lała się wódka, taka okazja, przy tym niektórym udały się dobre interesy, wiadomo, należało je zakropić. Inni jeszcze gdzieś handlowali z Niemcami. Przerzedziło się w zagęszczonych normalnie noclegowiskach PUR-u. Ci i owi zabierali się stamtąd wraz z całym dobytkiem.

318

Kolejny

m

patrol milicyjny, który wrócił z obchodu, składał

clidunek. ^ ^ można! Złapaliśmy kilka osób na

—' Ha y gg^ań poniemieckich. Gdzie indziej nocą ludzie rabUI1>dl^a w opuszczonych domach. Wszędzie pełno, ja-Śś°sSty, zapalają się latarki, podejść, gasną, nic zrozumieć nie można.

pilnować, chłopcy. Dziś nie zaśniecie. Podwójna tura.

Musicie znów iść na miasto. Jutro też gorący dzień, póki transport nie ruszy. Ja pędzę teraz do przesiedleńców, potem podjadę do was gazikiem, znajdziemy się. — Pędzik już ledwie radził sobie z tym wszystkim. Za mało ludzi, za mało ludzi, posapywał co jakiś czas, zwijając się sam jakby w ukropie.

Lisiewicz też nie spał, tkwiąc w zarządzie miasta, to znów pędząc na stację do Jezierskiego, naradzając się z Zielnia-kiem, Wlazłą, Stefczykiem.

Wlazło kręcił głową.

_Poszkapiliśmy. Należało z miejsca zabezpieczyć mieszkania pozostawione przez Niemców. Gdy przyjeżdżają fachowcy, ludzie nam potrzebni, nie mamy im czego przydzielać, a teraz, gdy jest okazja, to nam te mieszkania jakieś ciemne typy sprzątają sprzed nosa. Źle wyszło.

— Pewnie, że źle — Lisiewicz wściekły był na siebie, że zaniedbał tę sprawę. Do kolejnych transportów trzeba inaczej się przygotować, spokojniej...

Następne godziny nie były ani trochę spokojniejsze. Jakby wraz ze zbliżaniem się terminu odejścia transportu narastało podniecenie w umysłach ludzkich. A jeszcze z knajp wypłynęła na dwór pijana gawiedź, zaczynała po swojemu rozrabiać. Nadchodziły niepokojące meldunki. Przy jakimś rabunku poniemieckiego mieszkania złodzieje pomylili adresy, trafili na dom jeszcze zamieszkały. Pobili mieszkańców, zdemolowali chałupę. Gdzie indziej zdarzyła się próba ter-roru> jawnego szantażu. Na stacji również próbowano odebrać mienie grupce Niemców, milicjanci w porę zdołali udaremnić ten zamiar.

319

— I jak my z tym wyglądamy? Wypływa szumowina, ładną robi opinię nam wszystkim — kłął Zielniak. Wlazło mu sekundował.

— Nie przesadzajcie, myślę, że to są sporadyczne wypadki. Natomiast sądzę, że ci spośród nich, którzy są do nas wrogo nastawieni, i tak będą psy na nas wieszali. Gdy trafią wreszcie do swoich — powiedział Stefczyk.

Ze zdziwieniem dostrzegli, że Lisiewicz najzupełniej go popierał.

•— Bez roztkliwiań, bez roztkliwiań — mruczał.

Za to Pędzik ze swoimi chłopcami i grupą urzędników z wydziału osiedleńczego przeżywali pełny triumf. Przy kontroli listy wyjeżdżających parę tuzów wpadło w ich ręce. Najbardziej cieszyli się z jakiegoś esesmana. Zachowywał się buńczucznie, to ich rozzłościło, odstawili go na bok, na wszelki wypadek kr. zali się obnażyć. Tatuaz wystąpił wtedy wyraźnie. Próżno Niemiec próbował ucieczki, złapali go z miejsca. Inny, staruch, przemyścić chciał pół walizy akt, okazało się, bardzo cennych z zarządu partii hitlerowskiej w tym mieście. Młody chłopak ze starostwa od niechcenia zaczął przerzucać te akta. Coś go wtedy tknęło. Pisemko z miejscowego gestapo. Podpis. Sprawa w sobie nieważna. Ale podpis. Bo jakby to samo nazwisko znajdowało się też na liście przesiedleńców... Sprawdzili, wyciągnęli z tłumu starszego, brzuchatego Niemca. Prerażony był, dygotał cały, na kolana padał, błagając, żeby go wypuścili. Nie zaprzeczał, że był w gestapo. Ale cóż on tam znaczył, trzecia osoba w miejscowej hierarchii tej instytucji. On nic Polakom, nikomu... W końcu młodzian, który wpadł na jego trop, nie wytrzymał, trzasnął faceta raz, drugi w głowę. Nareszcie się uspokoił.

— Patrzcie, cholera, takie to wszystko niby pokorne i grzeczne. Tymczasem spora część spośród nich musiała wiedzieć, że facet jest z gestapo. I nic, ani mrumru — dziwował się jeszcze młodzik.

Zielniak zarządził, aby Jezierski wytrzasnął dodatkowe dwa wagony, skoro Lisiewicz i Stefczyk na własną rękę

320

za

decydowali podwyższyć listę odjeżdżających na z górą dwie i P<H setki. Tamtym nic podobnego nie przyszło do

g —Do obozu jechaliśmy po osiemdziesiąt w jednym wa-•e Ci tutaj mają luksus, nasi nadal tak dzisiaj nie jeżdżą na uwagę przyjaciela dorzucił Lisiewicz.

0 dwunastej w południe transport był gotów. Niemcy załadowali się do wagonów. Znów interwencja Zielniaka spowodowała, że tylko niewielką część nadmiernego bagażu kazano wysiedleńcom zostawić. Pal ich sześc, niech się swoim dobrem udławiają. Na dworcu, gdzie w napięciu oczekiwano przybycia zapowiedzianego na trzynastą pociągu, zgromadziła się chyba potowa polskich mieszkańców miasta, a znacznie większy tłum Niemców. Jedni i drudzy ciekawi byli odjazdu transportu. Napięcie, nerwowe podniecenie. Obie grupy ludnościowe skupiły się osobno, dwa wielkie, falujące tłumy, krzywo spoglądające na siebie.

Jezierski wydzwaniał sąsiednią stację. Czy znów się pociąg nie spóźni? O wiele, o dwadzieścia pięć minut? Odetchnął. Normalne. Zdarzały się spóźnienia o dwie, trzy, cztery godziny, bywało, zapowiedziany skład nie nadchodził w ogóle.

1 wreszcie gwizd parowozu. Pędzik sprawdził rozstawienie swych milicjantów. Niepokoili go masa żegnających. Niepokoili także wyjeżdżający. Jakieś poruszenie wśród nich. Na jednym wagonie pojawiła się nie wiedzieć kiedy maźnięta kredą swastyka hitlerowska. Chciał już reagować, wyciągnąć niewczesnego rysownika z transportu, dał spokój. Taka interwencja w ostatniej chwili mogłaby wywłaść niepotrzebny rozgardiasz. Niech się cieszy swoim rysunkiem, ostatnia jego uciecha na polskiej ziemi...

Normalny ruch, odczepianie jednych, podczepianie innych wagonów. Długie, pełne napięcia minuty. Zaskakująca cisza w tłumie przypatrującym się odjazdowi. Gwizd parowozu. Twarze Niemców w wagonach blade, zrywa się szloch jakiejś kobiety. Koła zaczynają się obracać, pociąg z wolna nabiera rozpędu. I wtedy w jednym z wagonów faucha śpiew. Horst-Wessel-LeidL. Ale jakoś urywa się nagle,

21 Przejaśnia się niebo t. I

321

zacicha... Wśród Polaków poruszenie, szepty, okrzyki. I tu ucicha. Przetaczają się przed tłumem wagony, jeden po drugim. Eskorta trzech milicjantów Pędzika rusza razem z wysiedleńcami aż na granicę. Jedzie też doktor Niecko wraz z pielęgniarką.

— Kurza twarz! Wygodnie mają...

— Niech ich jasna cholera. Stać nas na to, co mamy żałować.

Z drzwi wagonu wychyla się nagle twarz młodej dziewczyny. Krzyczy, nie, wrzeszczy w jakimś fanatycznym porywie:

— Wir kommen hier noch zuriick!

W polskim tłumie z pasją wyciąga się kilka pięści. Grożą dziewczynie. Ktoś woła:

— Niedoczekanie wasze!

ROZDZIAŁ VII

1.

0 IENIA została więc panią Maciaszkową.

Pan młody prędko potrafił dorobić się grosza potrzebnego, na uroczystość. Komis, położony przy placu PKWN, w pomieszczeniu odremontowanym własnym sumptem energicznego pioniera, od samego początku zaczął przynosić dochody, zwłaszcza, iż otwarcie jego zbiegło się w czasie z początkiem wyjazdu Niemców. Ceny wszelkiego rodzaju towarów, zwłaszcza nie służących pierwszej potrzebie, niemożliwych do zabrania z sobą, spadały znacznie, można je było kupować za bezcen, zwłaszcza jeśli umiało się nawiązać kontakty z niemiecką ludnością.

— Żeby tak trochę więcej kapitału obrotowego, dopiero można by robić kokosy — wzdychał pan Zygmus, ocierając pot z podłysiałej czaszki. — Teraz tylko kupować, potem odczekać i uzyskiwać potrójną cenę.

Radził sobie wszakże i tak. Tym bardziej, że zaraz z początku udało mu się parę osobliwych transakcji, co nawet miało wpływ na główny kierunek zainteresowań firmy.

— Nosa mieć trzeba, aniołku, po prostu nosa... Mieli Niemcy pełno obrazów po chałupach. Różne takie. Lepsze

1 gorsze. Sprzedają, bo co mają z tym robić? A i w opuszczonych domach ciągle jeszcze pełno wala się bohomazów. Nikt na miejscu nie chce tego kupować, bo i po co? Osiedleńcy na wsi przywieźli z sobą różne święcone obrazki, niemieckich im nie trzeba. A w mieście? Kto na tym się zna...

Kupował zatem za grosze, jeszcze częściej za bochenek chleba, za osetkę masła, za kawałek stoniny. Początkowo w ogóle na tym się nie wyznawał. Aż do dnia, kiedy komis odwiedził jakiś elegancki pan z Krakowa. Szukał tylko rze-

czy o artystycznej, jak podkreślał, wartości. Interesowały go zwłaszcza obrazy. Maciaszek z dumą prezentował przed nim przepiękne malowidła, jak na przykład jelenie przy zachodzie słońca u wodopoju, to znów Anioła Stróża, chroniącego na moment przed wpadnięciem do przepaści gromadkę rozbawionych dzieci, lub wspaniały żaglowiec... na tle postrzępionych fioletowych skał na ciemnych wodach fiordu. Elegancki pan zachnął się.

— Panie, za kogo mnie pan ma? Miałbym się łakomić na te obrzydliwe oleodruki? Coś z prawdziwego malarstwa...

Nie bardzo wiedział pan Maciaszek, o co klientowi chodzi; robiąc wszakże minę tęgiego znawcy, wyciągnął parę starych, ledwie wyraźnych, poczerniałych malunków. Dopiero wtedy zabłyśły oczy klienta, okazał żywsze zainteresowanie. Maciaszek natychmiast podniósł w duchu cenę za te nieudane i nic nie warte, jego zdaniem, paćkaniny. Gość odłożył dwie sztuki na stronę.

— Ma pan coś jeszcze?

W pomieszczeniu służącym za magazyn leżało trochę zupełnego śmiecia. Może tylko niektóre ramy można by jeszcze zużytkować po odnowieniu.

— Hh, hm, hm — zachrząknął gość, z nagłą czymś poruszony. Obejrzał się zaraz potem na drzwi. Właśnie wsadzał tam nos jakiś przechodzień. — Niechże pan zamknie sklep na chwilę, widzę, że będę miał z panem co nieco do pogadania... Opłaci się... — dorzucił, widząc wahanie na twarzy właściciela komis.

Maciaszek za dobrze znał ludzi, by nie wyczuć, że przybycie tego dziwaczego klienta może mu przynieść duże korzyści. Jakie, tego ciągle jednak nie wiedział. Należało zatem nie zdradzać się niczym, pochrząkiwać, robić minę człowieka wtajemniczonego. Obserwował niby to spod oka swojego gościa. Tamten zauważył to wszakże. Z nagłą ziewnął, przestał objawiać zainteresowanie, od niechcenia, krzywiąc się na straszliwy kurz, przestawiał jeden obraz po drugim.

— Tak, nic ciekawego. Spodziewałem się, że więcej znajdę u pana... No, ostatecznie to jest niebrzydkie, choć mało

tp Może to jeszcze. Tylko na amatora, takiego jakim ■ja jestem ..

To właściwie jest już sprzedane — Maciaszek z głupia j-rlnł odsunął sprzed gościa rysunek jakichś tam rąk, nieciekawo zupełnie. — To cenna rzecz. Pan się chyba w tym

orientuje?

_ jednak coś się pan wyznaje na sztuce... A więc ten

Durer sprzedany? To studium rąk?

_ Oho, za takim Diirerem niejedno by leciało na koniec

świata — zaszarżował Maciaszek, obserwując, czy nie przesadził.

Gość pokiwał głową,

_ A to?

Właściciel przedsiębiorstwa rzucił okiem. Spory, zresztą mocno zniszczony malunek przedstawiał jakieś dziwaczne drzewa, postrzępione wicherą chmury, bardzo mało prawdziwe.

— Pan się chyba orientuje nie gorzej ode mnie... Zresztą, po cóż to zamykanie sklepu?

— K. D. Friedrich... twórca niemieckiego pejzażu romantycznego... Skąd pan to ma?

— Tajemnica zawodowa — bezradne rozłożenie rąk.

— Dobra, kupuję. To studium rąk, ten pejzaż, no i te dw

ie sztuki z malarstwa religijnego. Jeszcze ta miniaturka. Na ile pan to łącznie oceni?

Spocił się wtedy straszliwie. Sytuacja była nad wyraz trudna. Obrazy przedstawiały dla eleganckiego klienta wysoką wartość. Czy także dla innych znawców? Należało tak sądzić. Jakże zatem ocenić, jaką wystawić cenę? Otrzymał to wszystko za grosze, przywiózł je ktoś z pojunkierskiego dworu, ponieważ się pozrzucane ze ścian. Było nie było, trzeba ryzykować. Najwyżej gość się obrazi. Sam truchlał, K'>sząc wymienianą sumę. Wyższą niż wartość wszystkiego, co zakupił do sklepu.

Zdumiał się jeszcze bardziej słysząc przytakującą, szybką odpowiedź. Pożałował nawet, że bardziej nie zaryzykował.

J1'at, albo te obrazy naprawdę coś znaczą. Jak on mówił?

Że Durer, cholera wie, kto to mógł być? A ten drugi? Nie wypada pytać, a nazwisko wyleciało z pamięci.

— Dobra, ma pan obciążki? Nóż choćby, żeby podważyć ramy... Zostawię je panu, mnie niepotrzebne. Jakiś papier poproszę. Zawinę to w rulon...

— Ram panu nie trzeba? — Maciaszek nie mógł ukryć zdumienia.

Tamten spojrział, uśmiechnięty. Maciaszek był wściekły gość w końcu go rozszyfrował. A później gdy transakcja została już dokonana, pieniądze wypłacone, obrazy zaś starannie zwinięte, właściciel komisju usłyszał nową, konkretną propozycję.

— Niech pan szuka starych obrazów zwłaszcza po dworach junkrów, po bardzo zamożnych mieszkaniach, gdzie pełno zabytkowych mebli, ozdób... Tam może trafić się coś cennego. Ja tu znów przyjdę niedługo. Z żywą gotówką. Więc jak, panie...?

— Maciaszek.

— .. panie Maciaszek. Robimy interes?

Uścisk dłoni przypieczętował sprawę. A w parę minut po wyjściu klienta pan Zygmunt zamknął sklep i pędem po-truchtał do urzędu pocztowego. Spokojnie tam było, można było oznajmić Gieni nowinę.

— Gieniuchna, aniele, teraz już możemy wyznaczyć termin. Jest grubsza forsa, będzie nam szło jak z płatka. Nie będziesz potrzebowała, moje biedactwo, męczyć się dłużej na poczcie... Ma Zygmunt twój nosa, wyczuł interes. Teraz głównie nastawię się na obrazy.

Pewnie, nie było co zwlekać. Gieni się szczególnie śpieszyło. Doświadczenia Ziutki, a choćby i Jaśki, która ciągle pętała się z Felkiem na kocią łapę, nie były zachęcające.

Ksiądz robił pewne trudności, żądał poświadczenia, że narzeczony jest stanu wolnego. Znalazła się rada. Dwóch świadków zeznało, iż znają od lat Zygmunta Maciaszka jako zatwardziałego kawalera. Ba, zawsze stronił od kobiet, wiódł się bardzo przykładnie...

— Bo widzisz, nie chciałem z tym wdowieństwem wyłazić. Skąd brać zaświadczenie o zgonie żony i dziecka? Woj-

326

wstanie, nikt nie notował niczego. Kawaler, to brzmi ra' inaczej. Tym facetom postawiłem kolację, trochę dałem do łapy, poświadczyli, co trzeba...

— To oni cię przedtem nie znali?

— No pewnie, że nie... Skąd znajdziesz prawdziwych • -iadków na poczekaniu? Teraz takie czasy, że jeden dru-cTemu przyświadczy, co tylko zechcesz... Czemu się tak patrzysz. Gieniuchna kochana? Formalność, wiadomo, człowiek czysty jak łąza. Pomyśl, jutro ogłosi ksiądz zapowiedzi, za dwa tygodnie będziemy już mężem i żoną. Cieszysz się?

Skinęła głową. Pewnie, że się cieszyła. Będzie miała takiego mądrego męża. Nie jakiegoś tam latawca jak Felek Jaśki.

Weselisko sprawili huczne. Już w przeddzień wieczorem chłopcy sąsiadów natłukli pod domem wielką ilość butelek i garnków, wszędzie się poniewierały skorupy. Okazało się, że taki to zwyczaj pomorski, skąd pochodzą... Inni sypali później wracającym z kościoła nowożeńcom zboże pod nogi, jeszcze inni

koniecznie zdejmować chcieli pannie młodej pontofel. Każdy przywiózł z sobą jakieś zwyczaje, przeszczepiał je na nowy grunt.

W przygotowaniach brał aktywny udział Młynarek, który też został zaproszony na uroczystość. No i pan Bakłażan, szef Gieni na poczcie. Reszta gości to starzy pionierzy z tamtych dni, gdy Gienia wraz z Jaśką meldowane były jako trzydzieste któreś mieszkanki polskiej kolonii w mieście. Felek Ferycki, dyrektor Przybyła z małżonką, palacz Budniak, milicjant Glenda, który ranny był w elektrowni, Halina od pana starosty, jeszcze inni. Tylko komendant Pędzik wymówił się brakiem czasu. Starosty i burmistrza małżonkowie nie mieli odwagi prosić. Władza, dygnitarze, lepiej ich omijać z daleka. Co innego pan Kędrzyk, co innego Jezierski, szczęśliwy teraz, jakby go na sto koni kto wsadził, odkąd wróciła jego Ewunia, co innego wreszcie Pani Dzwinarska, która też wraz z córką raczyła uświetnić wielki dzień państwa Maciaszków.

Z Mlele wódki nawet nie poszło, choć gospodarz wespół łynarkiem zachęcali do niej gości jak mogli. Tyle, że

327

wystarczyło na stworzenie odpowiedniego nastroju, w którym popłynęły wspominki, jak to było za tych dawnych już czasów, kiedy obejmowali zniszczone miasto...

Pionierska stara wiara,

pionierski twardy los...

Śpiewał Przybyła, ciągnęli za nim inni nie wiedzieć przez kogo wymyśloną piosenkę, kursującą po całym zachodzie. Pewnie, oni to prawdziwi pionierzy. Z ruin, pośród niebezpieczeństw, nie oglądając się na nic, zaczęli tutaj, gdy ci, co teraz napływają masami, to najczęściej typy mało ciekawe, czasem zwyczajna hołota, patrząca, gdzie by się tylko obłowić... Tyle w radio się gada, w gazetach pisze o kadrze. Warto by pamiętać, że nie ma kadry nad brać pionierską, nad starą i twardą wiarę, jak mówi piosenka.

Gienia słuchała, śpiewała razem z innymi, ale myśli jej krążyły wokół innych tematów. Spoglądała często na swojego Zygmunta. Tkwił przejęty i uroczysty, od alkoholu nabrzmiała czerwona szrama od ucha aż po obojczyk, zaszczyt, powstańcza pamiątka, oczy mu płonęły, wydawał się być zadowolony. Ona zaś była szczęśliwa. Dobrze wtedy jej i Jaśce poradził starosta, żeby zostawały, nie wracały do domów. Tu czeka je przyszłość, wszystko się otwiera przed nimi. Mądrze mówił, cóż że wróciłaby w rodzinne okolice, ani tam pewnie kto żyje, dwa listy napisała, zostały bez odpowiedzi. Tkwiłaby na wsi, poniewierka codzienna, od świtu po noc, krowy i świnie, z pola na łąki, z obory do chlewa, w kółeczko. Trafiłby się może na koniec jakiś chłopak z sąsiedztwa, we dwójkę by harowali tak samo, od wschodu po zachód słońca... Teraz ona prawdziwą panią, męża ma uczonego, sama jest urzędniczką, pracuje na poczcie. Mieszkanie, meble, kto tam pod Krasnymstawem kiedykolwiek podobne i widział. Szafy pełne, wszelkiego dobra do syta, a nade wszystko ten Zygmunt, dobry, spokojny, kochany. Boże drogi, jakże się to odmieniło w jej życiu... Najpierw u rodziców na głuchej wsi, potem u tych przeklętych bauerów, a teraz, teraz, ba, aż wierzyć się nie chce...

328

trzęgł jej zwrócone na siebie mgiełką rozrzewnienia

utonięte spojrzenie, objął ramieniem, przyciągnął: P1!TIVlojaś ty, Gieniuchna kochana.

__ Wiwat, zdrowie młodej pary! — po raz któryś podniósł aktualny toast Młynarek.

__A niechże cię ucałuję, Gieniu — poderwała się pani

Dzwinarska, zachybotła kremowa kokarda upięta w siwe włosy — 1 ciebie, kochasiu, tak samo... — przygarnęła teraz Maciaszka.

__ Jaśka, co ci? — zaszeptał Felek.

_ Nic, smutno, jakoś — odszepnęła.

_ jeszcze trochę, zaczekaj, wiesz przecież, niech już się

zacznie ta szkoła, ułoży się wszystko, wtedy i my... Jaśka, no, Jaśka — zaklinał ją gorączkowo.

_ Wiwat, wiwat! — huczało, aż trzęsły się szyby, a przechodzący gapie stawali, nasłuchując, po czym znowu ruszali przez noc swoimi własnymi drogami.

W tę radość, w pokrzyki i wciąż nowe toasty wdarł się mocny, niepowstrzymany szloch. Zacichło wokół. To pani młoda płakała.

— Gienia, Gienia, co ci się stało?

— Nic, nic, jak tak ze szczęścia..,

Krótkie przejaśnienia były tylko ułudą. Zaraz znów zaczynało lać, niebo obwiło nisko, zdając się zagarniać całą ziemię. Pogłębiała się beznadzieja. Zaczęło się to w końcu września, przeciągało się z dnia'na dzień, z tygodnia na tydzień, nie miało końca.

Szarzyzna, pokapujące zewsząd krople, błoto miętoszone nogami — zdawały się stwarzać aurę, w której wszystko Inne również nabierało brudnych, wypranych kolorów. Odsłaniały się ruiny, pęczniały stosy gruzu, lasujące się cegły zabarwiały na rudo strużki ściekającej wody, nawet drzewa obwisły ciężko, przytłoczone nadmiarem deszczów.

Z powiatu nadbiegały alarmujące wieści. Coraz szersze obszary pól były zalane wodą, bajora pogłębiały się na gruntach podszytych gliną, ze zbocza rwały strumienie,

329

unosząc życiodajną warstwę gleby. Namakało i gniło ziarno nie można było wychodzić z pługiem, czas siewów mijał, ponurzała najbliższa przyszłość. Nie cieszyło nikogo już to, iż rozwielnione nad podziw myszy ginęły teraz całymi masami.

Na wsi stawało się ciasniej i głodniej. Mniej wytrwali zaczęli zwijać manatki, wracając na ziemie Polski centralnej. Wódka znów rosła w cenie.

Zaczęły napływać i dalsze niepokojące wieści. Tyfus. Od brudnej wody z nie oczyszczonych, zalewanych studzien, od błota, od przeziębień, od śmiecia spływającego ku rzekom i jeziorom. W

miejskim szpitalu trzeba było wydzielić jedną salę, później i drugą. Szczepionki długo nie nadchodziły. Aż wreszcie dotarły wraz z jednoznacznym rozkazem powszechnych szczepień. W mieście, i zwłaszcza na wsi...

Ten dzień zdawał się być rozpaczliwszy i bardziej beznadziejny od innych. Nie przejaśniło się ani na chwilę, brzemień chmur pęczniało, strugi ulewy jakby kotarą przesłaniały widzenie. Kierowca coraz to zwalniał, przełączał biegi, starte opony poniemieckiej landary, służącej za wóz sanitarny szpitala ślizgały się na nierównościach, wycieraczki pracowały z wysiłkiem, ledwie zgarniając spływającą po szybie kaskadę...

Przymykała oczy. Nie pomagała uparta walka z ogarniającym znużeniem. Na przemian z Niecką jeździli co drugi dzień w teren, szczepiąc i lecząc, lecząc i szczepiąc. Brakowało igieł, odmawiały posłuszeństwa sterylizatory, oporem stawali liczni pacjenci... I to przemokłe ubranie, rozmiękłe zupełnie buty, zgrabiące ręce. I ta ulewa, jakaś sikława, jakby wodospad spływający od chmur, klątwa niebios, zły omen.

Był kiedyś taki czas deszczów i roztopów. Pozalewało ziemniaki, uniedostępniło leśne ścieżyny, zredukowało możliwość uzupełnienia żywności. Wtedy także w leśne oddziały zakradł się tyfus. Jakże była straszliwie bezradna wobec konających, jak marzyła o potrzebnej ilości szczepionek. Konspiracyjnymi drogami nadeszła ich śmiesznie

330

ma ilość... Umierali, wściekli do ostatniej minuty, że znikoma ^ walc6j ^ w starciu, ale w cuchnącej, osaczają-

gl?ązimnymi mackami wilgoci. Nigdy chyba nie czuła się

Tak słaba i tak bezsilna

Teraz znów tyfus. W jakże zmienionych warunkach. Bez okupacji, z oparciem szpitala, z wystarczającą ilością dostarczonych przez Czerwony Krzyż szwedzkich szczepionek Ale i nadal pośród gruzowisk, w zalewie wody, w prymitywnych często warunkach ludzkiego bytowania, wśród przerażającej nieraz ludzkiej ciemnoty. Te stare kobiety wyklinające ją od czarownic, za nic nie zezwalające na wbicie strzykawki, w której na pewno kryją się jakieś złe moce, ci zarośnięci, o ponurym wejrzeniu chłopci, machający ręką, że dopust Boży i żadne przeciwdziałanie tu nie pomoże, te matki, kryjące przed nią dzieci... Wracła momentami ta sama co wtedy bezsilność, tak samo zagryzała wargi, aby się pohamować, nie rozplakać w poczuciu bezradnej złości.

A od trzech dni na domiar powódź. Wylały obie rzeki przepływające przez powiat, wystąpiło z płaskich brzegów rozległe jezioro, wzbierały strumienie, jakieś maleńkie, niezauważalne poniki stawały się teraz potokami płynącymi z niebezpiecznym poszumem. Usuwano ludzi z pojedynczych, na uboczu położonych kolonii. Często nie chcieli słuchać, z uporem wracali do swoich siedzib.

Kierowca, młody chłopak, zaklął serdecznie, odjął na moment dłoń od kierownicy, przecierając spocone czoło i lepiące się do snu oczy.

— Pamiętam, w Todcie, tam mnie te cholery zabrały, u nich zresztą nauczyłem się wóz prowadzić, trafiliśmy koło Mińska na taką samą ulewę... — zaczął rozlewnie, cedząc słowa, zaraz zresztą urwał, trafili na jakieś wyboje, *oła buksowały, ślizgały się, całą uwagę skupił na prowadzeniu.

Odetchnęła. Nie miała ochoty na wysłuchiwanie jego wynurzeń. W każdym razie nie teraz. Lepiej było leniwym snuciem własnej myśli chronić się od wilgoci, chłodu, od morzącego działania strug wody, spływających po szybie.

331

Przymykała oczy, jak na zwolnionej filmowej taśmie odtwarzając w pamięci wrażenia mijającego dnia. Ponad dwieście zastrzyków. Niektóre robione przemocą, przy użyciu wszelkich perswazji i zaklinań. Kilkadziesiąt osób, które wręcz odmówiły. Mówiłam im o sankcjach, śmieli się w żywe oczy. Racja była po ich stronie, kto będzie ludzi ścigał za odmowę zastrzyku, dziś, gdy na każdym kroku borykać się trzeba, często bez skutku, z przestępstwami znacznie większego kalibru.

Kilkuset ludzi. Wioski i maleńkie osiedla. Kierowca znał dobrze powiat, umiał już wszędzie trafić. Kilkuset ludzi i nie mniej chyba problemów. Dobrze i źle. Dobrzy i źli, jeżeli takie uogólnienia w ogóle mogą jeszcze mieć sens. Wiele spraw niezrozumiałych, często wręcz niepojętych... Wzdrygnęła się. To w tej małej wiosce nad rzeką, która wylała. Wieś jeszcze nie zasiedlona, zaledwie cztery domy zajęte. A wieleż konfliktów, jakież splot zdrażeń i nienawiści, mocniejszych nad wszystkie racje, nad uczucia i zdrowy rozsądek. Nienawiści nie wiedzieć skąd wyrosłych... Ten Chmara, bodajże z Pomorza, drugi Gejgał, zapamiętała nazwiska, tak niezwykła była ta sprawa, Gejgał z Wileńszczyzny, z jakichś najodleglejszych jej krańców. Niezgoda od pierwszego dnia. Kłótnie kobiet, spór z porywaniem się do siekier, o jakieś żerdzie poniemieckie,

0 skrawek łąki, gdy wokoło wolne były jeszcze całe hektary. O spojrzenie, o psa, o byle drobiazg, a często i bez drobiazgu. I zarazem to nieuchronne sąsiedztwo, tuż, tuż, podglądanie zza płota, podsłuchiwanie, jad nienawistnych spojrzeń... Z wyjątkiem tej pary młodych. Córka Chmary

1 syn Gejgała. Jakby na przekór ojcom, odradzającej si? w nich niezdrowej tradycji regionalnych podziałów. Wdzięczna, liryczna nieomal historia, gotowy scenariusz do filmu, bo i bohaterstwo, tyle że brakłoby happy endu.

Widziała te domy, jeden i drugi wyżej podmurówek zalane wodą. Nieco dalej trzecie domostwo, otoczone dokoła wirami... Rzeka rozlana szeroko, zagarniająca mętną wodą całe hektary łąk, liżąc już i dopiero co zasiane pole. Główny nurt rwący zakolami, kołujące kępy siana i słomy, ka-

332

, desek, drzewa podmyte, świecące bliznami wymytych wab' c niana, brud, szumowiny... Podobno powódź za-1:01•';•' "osadników niespodziewanie. Co prawda ostrze-S ^"rodzina niemiecka, pozostała jeszcze w tym najbardziej Olanym domu, zlekceważyli przestrogi, tamta gospodarka z . . „, bvła zresztą o wiele niżej. Noc rozszalała wi-

POŁOZOND UJM*

chura przygłuszała szum rzeki, dopiero przerazhwy skowyt psa poderwał ich z łóżek. W ostatni czas, zaledwie zdążyli uratować żywą chudobę, przeprowadzając ją na wyższe miejsca. Brnąc w wodzie po

kostki, potem po kolana, przeciwstawiając się coraz mocniejszemu prądowi, wyratowali co najważniejsze... Każdy z sąsiadów walczył z żywiołem na własną rękę, w ciemności, w trwodze przed nieznaną potęgą. Jedni i drudzy ujrzeni się dopiero nad ranem, na pagórze, wyrastającym bliżej ku drodze. Przemarznięci i przemoczeni, teraz dopiero zaczęli dźwigać dobytek do domostwa mieszkającego wyżej sąsiada. I ciągle mijali się jakby obcy, kobiety nawet w takiej chwili nie wytrzymały, przemówiły się, nad grozę żywiołu silniejsza była ta nienawiść zrodzona nad wodą.

I wtedy, gdy już się rozjaśniło, syn Chmary, chłopak miał może najwyżej osiem czy dziewięć lat, spostrzegł brak psiaka. W nocnym rozgardiaszu nikt nie pamiętał o stworzeniu, które ujadaniem i wyciem najpierw podniosło alarm... Na rozpaczliwe wołanie chłopca odpowiedziało tęskne ujadanie. Ujrzeni kundla w oparach mgły nad rozlaną płaszczyzną. Tkwił na dachu budy, szamocąc się na solidnym łańcuchu. Fala uniosła budę, huśtała się teraz uczepiona gałęzi jakiegoś drzewa, które rosło jeszcze wczoraj daleko od brzegu. Nim się kto spostrzegł, chłopak pokłusował w tamtym kierunku, wskoczył do wody, po pas w niej brodził ku swemu ulubieńcowi. Struchleli Chmarowie, skuliła się w przerażeniu ich córka. Bo oto mały zapadł się w jakąś rozpadlinę, wyrócił, porwał go mocniejszy już tutaj prąd, zaczął znosić, próżno przebierał rękami, próbując się chwycić jakichś gałęzi... I wtedy Mary Gejgał wskoczył do wody, początkowo brnął, potem -as płynął w kierunku jasnej czupryny zalewanej przez

333

fale. Dotarł w ostatnim momencie, zawrócił, z największym wysiłkiem holował chłopca, już go odbierali na płyciźnie syn Gejgała pospołu z Chmarą.

Tamten podziękował sąsiadowi za uratowanie dziecka. Napomknął, że już nie pora na dalsze zwady, że trzeba im żyć w przyjaźni. Bo i dola też im pisana nad tą szaloną wodą jednaka...

Samochód zarzucił, ledwie się dało go wyprowadzić z po-ślizgu. Kierowca zaklął serdecznie, jeszcze zmniejszył szybkość. Urwał się tok myśli Janiny, przerwała nić wspomnień opowieści sąsiada osiedleńców, tego który przygarnął obie rodziny z zalanych domostw. Był świadkiem całej historii, nie mógł jej pojąć...

Potarła głowę w miejscu, gdzie zetknęła się wcale boleśnie z dachem szoferki. Cieniutki uśmiech. Tak, pasowałby tu happy end, nasuwałaby się idylliczna sceneria. Zakochani ściskają się i całują pod zadowolone pochrzą-kiwanie rodziców. Ustały dawne zakazy, awantury i bicia za każde kradzione spotkanie... Tak się idyllicznie podobno zaczęło. Ośmieleni młodzi zaczęli rozmawiać, przysunęli się bliżej, dziewczyna dziękowała serdecznie za brata... I wtedy wtrącił się Chmara, każąc iść córce do domu. Sam niedługo też poszedł tam za nią. I sprzął, straszliwie sprzął dziewczynę, nie patrząc, gdzie bije, głowa nie głowa. Wrzeszczał przy tym i kłął. Że nie da jej za jakiegoś przybłędę, nie zezwoli z tym dziadem wileńskim się kumać. Co innego uratowanie młodszego syna, co innego zgoda na córki ślub...

-- Tak, happy endu nie ma — szepnęła.

— Co proszę, pani doktor?

— Nic, nic. Tak sobie coś tam szepnęłam.

— Cholera, jak leje, nic nie widać. Wbiliśmy się gdzieś na boczną drogę, nie bardzo mogę rozpoznać. Przez tę mgłę i deszcz, porozmywało wszystko i pozmieniało. Żebyśmy nie zbłądzili...

Przeraziła się tych słów. Tego by brakowało. Zaczyna się ściemniać. Głodna jest, zziębnięta. Ubranie przemoczone, nic nie pomaga płaszcz wyfasowany przy jakimś

334

ialem w starostwie, a miał być niby nieprzemakalny, n^zrze przebiegają przez plecy. Byle się tylko nie roz-

u rować, teraz, gdy tyle pracy w szpitalu, gdy szczepienia ukończone. Sam Niecko nie dałby rady, lekarze Niemcy zamarzy, a Zamirecki za wygodny...

Wóz przystanął. Kierowca rozglądał się niepewny. Znajdowali się przy jakimś rozwidleniu. Rozstajne drogi, jak w przypowieści ludowej. Przez opuszczoną boczną szybę wraz z falą deszczu lunęto do wnętrza gwałtownym powiewem.

_ Chyba na prawo — powiedział niepewnie, podnosząc

czym prędzej szybę.

_ Nie znasz tej drogi?

_ Cholera ją wie. Niby jeździłem tu wszędzie, ale teraz

ciemny jestem jak tabaka w rogu... Wtedy pod Mińskiem tak samo zbłądziliśmy całą kolumną... Chyba jednak na prawo, jakby mi coś świtało w pamięci...

Włączył światła. Reflektory nie przebijały mgły, nasiąkały mleczną bielą, raczej zamazywały jeszcze bardziej widoczność. Zgasił, przechylony do przodu, z nosem tuż przy szybie, usiłował rozeznąć cokolwiek przed sobą. Nawierzchnia zdawała się być tu lepsza, można było cokolwiek przyspieszyć, dotychczas wlekli się żółwym tempem.

— Tak. tędy... — poweselał kierowca, gdy ujechali już spory kawałek. — Żeby tylko tak cholernie nie lało. — Poprawił się na siedzeniu, zwrócił ku niej zadowoloną twarz. — Myślałem, że już nie dojedziemy dzisiaj do miasta.. Więc z tym Todtem, co to zacząłem mówić...

O Boże, westchnęła w duchu, on ciągle nawraca do tej jakiejś swojej historii... Na domiar opowiada straszliwie nudnie.

Wóz skręcił gwałtownie, zakołysało się wszystko, rzuciło nimi raz i drugi, trzask, szorowanie, szybkie ruchy rąk Przy kierownicy, usiłujące ją opanować za wszelką cenę, jeszcze jedno, drugie wahnięcie, nowy trzask, raptowne przechylenie wozu na lewo...

Nie, nie krzyknęła, choć kurczowo chwyciła się obu dłońmi za deskę rozdzielczą, wparła nogami w pochyłą

335

I

z nagłą, uciekającą podłogę. Przez ulewę i mgłę zobaczył jeszcze mający przed nimi pień przydrożnej brzozy.

— Mogło być gorzej — ciężko odetchnął chłopak, dokonując jakiejś ekwilibrystyki przy próbach wyjścia ze skosem położonej teraz szoferki — O krok ta brzoza, dopiero byłby bal albo siekanina z nas dwojga.

— Co się stało?

— Nic takiego, kurza twarz. Koło się urwało. Stary grzmot, wszystko przeżarte rdzą, słabe. A wczoraj jeszcze sprawdzałem osie i zawieszenie. Nieźle nami rzuciło, co?

Wygramoliła się za nim na drogę. Łało, nie deszcz, jakaś potężna kurtyna spływała z nieba, zdającego się wisieć tuż, tuż nad ziemią.

— Tego koła ani znaleźć nie mogę. Ładnie się odtoczyło. Razem z półosią... — dochodził ją z boku głos niewidocznego kierowcy. — Dziś już nikogo się nie powiadomi. Jutro, zanim przyjdą, znajdą taką półosią, też do wieczora zleci. Na dwa dni amen z zastrzykami.

— Dojedzie inny wóz. Tego nie można przerwać. Widziałeś, co dzieje się między ludźmi, wiele chorych w szpitalu? To tyfus, Witek.

— Toć wiem. Ale tym wozem nie pojedziemy długo. Gdzie my jesteśmy? To jednak chyba nie ta droga, o której myślałem. Żeby jakich ludzi napotkać... Bandziorów niemieckich czy innych pewnie już nie ma po lasach, jak pani doktor myśli? To dopiero polka, jak mamę kocham.

— Przemokniesz do reszty.

— Już dawno przemokłem, trochę więcej, trochę mniej, nic nie zaszkodzi. I tak będziemy latać nocą po szosie, inaczej zamarzniemy na amen. Zacznę klaksonem znaki dawać, może jest tu jaka wioska w pobliżu?

Zapalał i gasił na przemian reflektory, naciskał bez przerwy klakson, długie i krótkie, znów długie. I jeszcze raz, i jeszcze. Nic, tylko chlupot wody dudniącej o dach wozu, tylko ta mleczna mgła, nasycająca się gęstym oparem ciągnącym od ziemi, tylko narastający ziąb, dygot całego ciała.

Z wysiłkiem panowała nad sobą, aby nie poddać się poczuciu depresji. W końcu nic znów takiego straszego. Wy-

torii cało, bez szwanku. Mgła pomogła, ten deszcz, s!i z h!ł dopiero tak kłęb. Gdyby Witek pędził z normalną pewnie nie byłoby po nich co zbierać. Noc może Szybciężka! sami na szosie, głodni i mokrzy. Przetrzyma się, byC inkiem można będzie szukać pomocy. Może Niecko 3 Z trzeże się, da znać milicji, wtedy pomoc nadejdzie Sybciej... Że też nikt się nie zjawia. Nie wiadomo, gdzie są, może to właśnie ta część powiatu, w której w ogóle mało osiedli, a i te, które istnieją, świecą pustkami. Ponury ten klakson, metaliczny w podźwięku, mrozi, ciarkami przebiega przez skórę. Mógłby Witek już przestać...

Zaprzestał. Zrezygnowany opuścił ręce. Od przemoczonych ubrań w szoferce panował zaduch, ale cieplej nie było. Blacha wokoło zdawała się ziębić jeszcze bardziej.

_Kurza twarz, to dopiero historia, że tylko siadać —

wydziawał chłopak.

Nie podtrzymywała wątku tej konwersacji, niech już prowadzi nadal ten atrakcyjny monolog. Nastawiała się, że musi tak przetrzymać do rana. Gdy zziębnie, zacznie biegać po szosie. Może też wreszcie przestanie padać... Odzwyczaiła się najwidoczniej. Tak, zdaje się, niedawno, mo-kli w nieszczęsnych ziemiankach albo w przemarszach z miejsca na miejsce, tropieni i ścigani, sami również tropiący i osaczający wroga. Mokli, wysychali, była to jakaś normalność. Czemu zatem dzisiaj tak reaguje? Ten Witek znów trąbi, mógłby przestać, nikt tu i tak nie przyjdzie. Zupelne bezludzie.

— Tam jakby ktoś chodził — chłopak zapalił światła. W łamiącym się pośród zwałów mgły blasku dostrzegli ludzką sylwetkę, coś w niej wydało się lekarce znajomego...

Człowiek podchodził bliżej, ostrożny, przycajony, gotów każdej chwili do panicznej ucieczki.

— Halo, chodźże pan tu!

— A bo co? Stało się co?

Natężyła pamięć. Skądże go zna? Ten kaszkiet, zmięto-szony i poplamiony, niski nasunięty na czoło? Ten głos?

Wychyliła się przez okno szoferki?

— Pan Bejnarowicz?

22 Przejaśnia się niebo t. I

337

— A ja. Komu ja tu znajomy? Pani doktor? W taki dia, bełski czas, na dx-odze? Koło się wam urwało?

— Jak pan sarn widzisz. Mieszkają tu jacy ludzie w po_ bliżu? — niecierpliwił się Witek.

— Ludzi nijakich blisko tu nie ma... Lasy ciągiem i woda. Sami mieszkamy tu niedaleczko. Słyszałem sygnał, byłem nad wodą, próbowałem zastawiać, w taki to czas węgorz zawsze ohotnie idzie. Gdzie tam, rwie prąd, że żaden się nie utrzyma... Wysiadajcie, przenocujecie u nas, bo widzę, długa historia z tym kołem. Pomóc coś może?

— Jutro znać damy do miasta... Teraz tylko żeby coś gorącego na ząb, ubranie przesuszyć, odpocząć...

— Jak mały, panie Bejnarowicz?

— Wraz pani doktor sama zobaczy... Może by już dziś nie żył, żeby nie pani.

Jakiż ten dom wydał się przytulny i ciepły. Jak dobrze było rozprostować nogi, patrzeć na płomienie ognia w wielkim chlebowym piecu, popijać gorące mleko... Nawet ten nastrój dziwny nie zraża, spokojne, wyglądające na zalęknione dzieci, kobieta, która nie wiedząc czemu wymówiła dwa słowa przez cały czas, odkąd weszli do izby, sam y/reszcie gospodarz, z tą kaszkietową czapą, z mocnymi dłońmi, przyciemnialymi od brudu.

Zgadało się o tyfusie. Słyszeli, ktoś już przyniósł wiadomość. Radość w strapieniu, że będzie można dzieciaki zaszczepić. Strzeż Bóg, żeby je miała choroba złapać.

Takim samym, zafrasowanym, dygocącym z przejęcia głosem prosił wtedy w szpitalu o ratowanie życia chłopca. Tak przemawiał, wolniutko wyduszając z siebie słowa gdy pojawił się raz i drugi z rybami w dowód wdzięczności. Musi ten ponury, zarośnięty człowiek serdecznie kochać swe potomstwo, nad miarę chyba, niemal chorobliwie. Jaki jest przestraszony możliwością tyfusu.

Na dworze czarna noc. A deszcz wciąż leje, dudni kroplami po blaszanym dachu, męczy, wysysa ochotę do życia.

Spać teraz, spać, wszystko jedno gdzie, byle pozbyć się tego znużenia ogarniającego całe ciało. Nieważne wszystko inne.

338

Ależ draka, kurza jego twarz — dziwował się ciągle

Witek ich samochodowej przygodzie

Za oknami wichrzysko, za oknami ulewa, powódź, wszystko* co złe. Tutaj jest ciepło, sucho, dobrze, tak bardzo

dobrze.

2.

_Teodor, nie pora ci spać? Idziesz na ranną zmianę —

odezwała się ze zwałów pościeli. — Mówiłam ci, za staryś na szkołę, nie poradzisz.

_ Nic, nic, jeszcze godzinę posiedzę, wyśpię się.

_Jak sobie chcesz. Czuję, że biedy tylko napytasz tym

wszystkim, głód zajrzy do domu.

Z łomotem obróciła się na drugi bok, naciągnęła na siebie pierzynę. Jakąś chwilę spoglądał na nią, odetchnął z ulgą słysząc równy, miarowy oddech. Zasnęła. Nie będzie jazgotać. Drugi tydzień, jak się zaczęła ta szkoła, a wydziwiań usłyszanych starczyłoby za cały rok. Najpewniej nie może otrząsnąć się z zaskoczenia. Ba, jego samego zaszokowała własna decyzja. Zrodziła się gdzieś tak krótko po rozmowie z Przybyłą. Zgłosił się do niego z prośbą o jakąś ciekawszą pracę, dość już miał tyrania przy kotłowni, szufłowania całymi dniami węgla do wielkich, żarłocznych pieców. Nie to, że robota męcząca, całe życie innej nie zaznał, nie bał się wysiłku. Tyle, że beznadziejna. No bo co za nią się kryło? Dalej to samo szufłowanie, we dnie i w nocy, zależnie od zmiany, przeczyszczanie przepustów

ze skamieniałej szlaki, od przodu żar, mroźne powiewy od pleców. Dziś, jutro, za tydzień, za rok, całe już chyba życie. Coś mu się to nie wydawało. Inni, choćby i w tej samej elektrowni, dorwali się do czegoś lepszego, przy turbinach, przy awaryjnych ekipach, w monterskich... Poszedł z tym do Przybyły, pozostawali w dobrych stosunkach, łączyły ich dni Przy odbudowie, nerwowa szarpanina, niepokój, ruszy nie ruszy, a jeszcze napady hyclów niemieckich. Już wtedy

22'

339

bąkał, że chciałby się przy majstrze poduczyć. I nic, tak jakoś zeszło, zostawał nadal palaczem, szuflował, przemywał oczy zasze pyłem i drobinami, kłującymi, powodującymi ropienie. Więc żeby w końcu jakoś inaczej.

— Pięknie, Teodor, ale widzisz... — głupio było Przybyłe, co tu gadać, nikt takich osądów chętnie nie słyszy, a Budniak na dobitkę swój chłop, pracowity, porządny. Tym bardziej trzeba mu prawdę wyrębać, co się ma łudzić. Ci różni cwaniacy, co to ledwie pisać umieją, a pchają się na różne kierownicze funkcje, długo tam nie usiedzą. Patrzy się na to teraz przez palce, póki ciągle jeszcze gorący czas, nie uspokoiło się w tej Polsce, najwięcej łata się prowizorką, aby do jutra. Potem wszystko się zmieni. — Widzisz, chłopie, za mało umiesz. Ile ty klas skończyłeś?

— Ano, z szóstej zerwałem. Ojciec zachorzał, trzeba było pomagać w domu. Do roboty poszedłem jako chłopak, ledwie dwanaście lat. Po prawdzie, nawet to, co umiałem wyleciało mi z głowy. Ciągłe robota, żyć trzeba było. Więc pomyślało się mnie, żeby raz wreszcie inaczej...

— Pewnie, mogę ci znaleźć inną robotę. Ale monterem nie będziesz, nie poradzisz, przy dozorze turbin cię nie postawię, ani gdzie indziej... Żebyś tak powszechniaka chociaż miał skończonego, już nie mówię co więcej. Nic, Teodor, trzeba będzie pomyśleć, może masz rację...

Tego dnia pierwszy raz przystanął na długo przed tablicą z ogłoszeniami i przeczytał wydrukowany afisz. Dyrekcja gimnazjum informowała o zapisach na naukę dla dorosłych. Termin do dwudziestego października. Zostawały zatem dwa dni. "

Wrócił do domu oczadziały z natłoku myśli, pragnień i zaraz się przeciw nim budzących sprzeciwów. Skończył dwadzieścia siedem lat. W tym piętnaście lat pracy, gdzie się dało i przy czym się dało. Brukował ulice, oczyszczał kanalizacje miejskie, a jeśli w fabrykach, to zawsze w najgorszych działach, pośród wyziewów, zawsze jako popy-chadło, przy najniewdzięczniejszej robocie. Nie zawsze było łatwo i o taką, choćby najgorszą pracę. Biedy zaznał do syta.

340

! • rW w rodzicielskim domu, później przy własnej ro-czas okupacyjny spędził w rodzinnej łodzi, tyle \tedy choć nie wyrzekał, trudno było liczyć na coś Ze Niemca. Ale po wojnie? Pierwszy zgłosił się do montowanych ekip operacyjnych. Razem z Zielniakiem, Przybyłą, Pędzikiem, Feryckim, jeszcze paru innymi trafił do tego miasta. Nie żałował siebie, nie patrzył, opłaca się coś czy Ostatni był, który zaczął się troszczyć o mieszkanie dla siebie, wystarczał mu nocleg w polskim kołchozie, jak nazywali budę, w której gromadzili się pierwsi Polacy. Równie dobrze spał w elektrowni jak gdzieś na polu. Nie wyrzekał, ostatecznie najważniejsze było to jedno: aby miasto zaczęło żyć.

Nierozmowny wrócił tamtego wieczora, próżno go żona zagadywała, nawet w stosunku do dzieci garnących się na kolana był niezwykle opryskliwy i nieuważny... Żeby to tak się kogo poradzić? Przybyła? Niby został taki ?am jak i dawniej, życzliwy, serdeczny. Ale zarazem coś wyrastało pomiędzy nimi, coś innego niż zwyczajny dystans majstra od robotnika. Przybyła został dyrektorem elektrowni, w ogóle szefem od wszystkiego, co się wiązało z łącznością i światłem. Może brakło mu czasu, może zmęczenie znać dawało o sobie, coraz rzadsze stawały się ciepłe pogwarki w wolniejszych chwilach, jak wtedy, gdy w przestronnej hali z największym napięciem nasłuchiwali; ruszy turbina czy nie ruszy...

Dziś też, zamiast szczerzej, takiej od serca nutki, niby to życzliwie, ale mocno powiedział, że właściwie nie ma o czym gadać... Niby innymi słowami, niemniej znaczyło to jedno: cep jesteś, dureń, niczego nie umiesz, dokądże pragniesz się pchać? Może to prawda, ale boli... _ Więc jeśli nie Przybyła, najbliższy, to gdzież mu zwracać się do starosty, do Pędzika, do innych z tej pierwszej grupy? Obrośli w piórka, wielcy się stali, rządzą i rozkazują, władza, ani przystęp. Może zresztą nie to, zajęci, trudno ciągle w tym mieście, kto by miał czas na jakieś tam małe Budniakowe sprawy. Z rozważań tych wynikało jedno: decyzja zależy od niego

341

samego. Ale tu ciągle nie mógł się zdobyć ani na tak, ani na nie. Setki problemów splątywały się z sobą, gdzież jakieś wyjście z kołowrotu, w jaki się wplątał...

Następnego dnia, zaraz po pracy, powlókł się do ledwie co odrestaurowanego budynku gimnazjum. Maleńki Zawilski krzątał się niezmiennie, pełno go było i na zewnątrz budynku i wewnątrz, we wszystkich pomieszczeniach, zarówno tych gotowych, jak i wymagających dalszego remontu. Umiał przy tym znaleźć czas dla każdego. Gdy go Budniak zatrzymał, niepewny, jak się znaleźć, jak zapytać o te swoje takie ważne sprawy, profesor najpierw przyjrzał się krępej sylwetce, zajaśniało coś w jego oczach za grubymi szklami, wziął robotnika pod ramię, pociągnął do sterty jakiegoś budulca.

— Tu siądziemy spokojnie, nikt nie przeszkodzi, widać zarazem, jak te huncwoty pracują — nerwową dłonią wskazał na stolarzy mocujących się z futryną okienną. — O dzieci chodzi? Zapisane na naukę?

— E, moje to jeszcze maleńkie, sześć i trzy latka... Ja, ja bo, proszę pana... — ciężko to szło, trudno było znaleźć właściwe słowa, głupio jakby i czegoś wstyd.

— Mów śmiało, człowieku, na pewno się dogadamy.

— To wedle mnie samego. Uczyć się chciałbym. Bez tego człowiek zawsze ostatni, najgorszy, za popychadło... Czytałem zapisy są do gimnazjum, wieczorowa nauka, dla dorosłych. Więc myślałem... Tylko żeby bliżej co wiedzieć. Czy podołam?

— Zaraz, zaraz. Po kolei. Podołasz na pewno... Co skończyłeś? Co umiesz? Czego chcesz w życiu? Rodzina czy jest? Jak duża? Praca gdzie? Gadaj wszystko, prosto spod serca. Jak z ojcem rodzonym. Żyje jeszcze?

—• Zmarł krótko przed wojną... A z tą resztą, co to pan pytał...

Gdy odchodził, w zadziwieniu oglądał się jeszcze. Przybyła znalazł dla niego ledwie pięć minut czasu. Profesor gadał co najmniej pół godziny, gdy go przyzywano, opędywał się niecierpliwymi machnięciami rąk. Słuchał i sam mówił. A gdzie Przybyłe równać się rozumem do profe-

342

- Mówią, najmądrzejszy on w całym mieście. Jak to s^ora. 'Gdziajj że będzie trudno, bardzo trudno, zwłaszcza ten ^Twszy rok, w którym należy sobie przypomnieć to wszystko czego się kiedyś uczyło, i mocno podskoczyć do przodu Ale poradzić można, byle umieć siebie wziąć w garść, nie zrażać się byle niepowodzeniem, brnąć dalej i dalej... I jak to jeszcze zakończył? Że teraz, na początek, brak ludzi, mogą piąć się wysoko nawet różne miernoty, później jednak, gdy wszystko się unormuje, zadecyduje wiedza i charakter. Wtedy dopiero każda gc.fe.aa nauki cenić się będzie na wagę złota... Mocno, mocno na koniec rękę uściskał, podkreślił jeszcze, że czek; że gdyby co, jak w dym walić do niego, jak do ojca.

— Ech', dusza człowiek — z zachwytem wspominał Bud-niak.

Jakoś zelżyło mu teraz wraz z tym wspomnieniem. Obejrzał się przez ramię. Żona spała. Też zaharowana, ciężko im szło, nie umieli się tak uwijać jak inni. Więc jeśli kiedyś co lepiej, to przez tę naukę...

Przysunął bliżej zeszyt. Czytał pierwsze zdanie: „Przez górę ma być przewiercony tunel. Wiercenie prowadzi się z dwóch stron. Z jednej strony wywiercono 1/2 długości tunelu, a z drugiej 3/8. Jaki ułamek całej długości tunelu trzeba jeszcze przewiercić? Zaraz, zaraz, więc będzie to chyba tak...

Łatwiej byłoby przejść taki tunel, wymierzyć, niż rozwiązywać zadanie. Ale nic, wychodzi. Teraz sprawdać, czy wynik się zgadza?

Tak dziesięć już dni, od samego początku wykładowcy nadali ostre tempo. A już najbardziej Chmieja, matematyk, oschły i wymagający, zapowiedział od pierwszej lekcji, że nie popuści nikomu. Chyba i dobrze.

Nie szło łatwo. Ręka odzwyczaiła się od pisania, umysł nie chciał przystosować się do intensywnego wysiłku. Za-siadywał się długo w noc, zabierał zeszyty ze sobą do pracy, w wolnych chwilach ślęcząc nad nimi w kotłowni. Najgorsze, że brakło zupełnie książek, wszystko trzeba było notować i uczyć się z tych notatek. Powoli, bardzo powoli

343

to i owo się rozjaśniało, w jakimś nagłym przebłysku niepojęta na pozór rzecz stawała się jasna i prosta. Tylko że długo i olbrzymim nakładem pracy trzeba było do tego dochodzić. A jeszcze te codzienne trudności z wyżywieniem brak pieniędzy, z rzadka kapało z administracji jakim groszem, wydziwiania żony na koniec. Sama ledwie się potrafiła podpisać, że wsi ją wziął, nieuczoną, tym szerzej otwierała oczy na jego wybryk. Stary, dzieciaty, kto by to chciał się uczyć, na co to komu potrzebne? Nie była to z jej strony złośliwość, dobrze żyli z sobą, przeszli niejedno, życie ich nie głaskało, na wszystko musieli ciężko zapracować, lekko nigdy nic jeszcze się nie trafiło. Nie rozumiała, o co mu chodzi, żałowała go widząc, jak po nie przespanej nocy, z podkrążonymi oczyma zrywa się do pracy, jak potem trzeźwiąc się zimną wodą, znów zasiada nad zeszytami...

Przed dwoma dniami gotów był zrezygnować. Nic mu nie szło do głowy, niczego nie pojmował, wygapiał się na swoje notatki jak wół na malowane wrota. Na zajęcia powlókł się w zrezygnowanym nastroju. I wtedy natknął się na korytarzu na dyrektora. Zawilski od razu go poznał, wyciągnął rękę, zapytał, jak idzie.

— Ciężko. Chyba nie dla mnie już nauka. Myślę, może zaprzestać, nie poradzę... — wystękał zawstydzony.

— Człowieku — rozwarł Zawilski ramiona. — Nie poradzisz? A z nową robotą też od razu radziłeś? Z głową jak z narzędziem: nie używane rdzewieje, jakiś czas musi minąć, nim znów nabierze połysku. Ciągnij, chłopie, dalej. Kiedy ci będzie bardzo już ciężko, przychodź do mnie jak w dym. Razem coś zaradzimy, posiedzimy nad zadaniami, aż nam zjaśnieje. No, dobra?

Zaciął się od tej rozmowy. Choćby nie wiedzieć co, nie zrezygnuje. Profesor dobrze mówi, zardzewiał mózg, trzeba go oczyścić. Kochany, mądry, taki ludzki i bardzo serdeczny.

Osobliwa rzecz. Tego dnia rozjaśniło się niejedno, poszło od razu łatwiej, aż się Budniak sam sobie zadziwił. Jeszcze raz z wdzięcznością pomyślał o Zawilskim.

344

,> od siebie zeszyt. Nie poddać się, zacisnąć zęby,

Odsunąj V"-1

przełamać się.

Profesor. Maleńki, nerwowy, z wiecznie niespokojnymi • Znany już wszystkim w mieście, miał kto coś o tego ze szkołą czy nie miał. Bo też Zawilski interesował się wszystkim, wszędzie zajrzał, obejrzał, rzucił jakąś uwagę zaciekawił albo rozśmieszył. Umiał żyć z ludźmi, trafiał do każdego od razu. Jak to się wtedy wzruszył przy otwarciu gimnazjum. Inna sprawa, kto z obecnych nie był wzruszony?

Uroczystość wyznaczono na wczesne popołudnie, aby mogli zjawić się na niej również uczniowie szkoły wieczorowej dla dorosłych. Duża sala świeżo wytynkowana, zapach wapna unosił się jeszcze w powietrzu, zbieranina krzesel, świecące nowymi deskami podium. Kwiaty, masa jesiennych kwiatów, Dzwinarska o nie się wystarała. W kącie fortepian. Nie było na szczęście wielu przemówień. Starosta krótko wspominał te pierwsze dni, kiedy marzenie o gimnazjum mogło się wydawać czymś nierealnie odległym. A oto pół roku zaledwie minęło od chwili pojawienia się polskich władz i przeżywać mogą wspólnie radosny dzień. Miłowy krok, szansa dla miasta. Młodzież i dorośli. Zrównany start... Orkiestra istniejąca przy starostwie grała hymn, wszyscy stali. A później wystąpił Zawilski. Gdy się tylko ukazał, rozległy się brawa. Ani ich równać z tymi, które skwitowały przemówienie Zielniaka. Profesor inaczej mówił. Ani jednego wielkiego słowa. Serdecznie, ciepło, jakby z osobna do każdego z obecnych. Ale głos mu się parękróć łamał, przerywał wtedy, powściągając wzruszenie. Na koniec nie potrafił się opanować, już bez żenady otarł łzy z oczu. Zaraz wyjaśnił, że osobiście dla niego może największa to chwila w życiu. Świadomość faktu, że właśnie w tym mieście, gdzie kiedyś kwitła polskość i gdzie później zadawano jej druzgocące ciosy, poprzez naukę zacznie się budzić odmieniony dzień... Miał jechać do Kołobrzegu. Nie żałuje swojej decyzji, wybaczają pani Dzwinarskiej, która go zatrzymała...

— Kochasiu ty mój! — zerwała się wtedy ze swego miejsca, zachybotła w siwych włosach niebieska kokarda.

Potem nastąpiły recytacje. Dyrygowała oczywiście pani Dzwinarska. Fragmenty utworów mistrzów słowa polskiego. Młodzi, stremowani wykonawcy. I znowu orkiestra. Niby w końcu zwyczajnie, tak pewnie zawsze bywa przy podobnych uroczystościach, ale zarazem zupełnie, zupełnie inaczej. Bo czemu niektórzy wśród śmiechu nagle schylali głowy, a inni tak śpiesznie mrugali? Czemu chwilami zamierało wszystko na sali, wśród tych ludzi najróżnorodniej ubranych, wśród przejętej młodzieży? Czemu jemu, Bud-niakowi, wydawało się, że znalazł się jakby na innym świecie, że jaśniej patrzy, widzi niejedno inaczej?

Zaraz następnego dnia zaczęła się nauka. Wykładowca, chudy, wysuszony pan Chmieja, matematyk, nie rozczulał się wiele. Powiedział, że uroczystości, na szczęście, już się skończyły, czas najwyższy na pracę. W tej pracy życzy wszystkim najlepszych wyników. Zaraz też dodał, że o tablicę powinni by się zatroszczyć sami uczniowie. Bo właśnie brakuje tablicy.

Poskutkowało. Za dwa dni była duża tablica. Chmieja mógł się teraz rozpisywać drobniutkimi, małymi cyframi. Pędził z tym zapisywaniem, a oni tylko skrobali piórami, żeby zdążyć zanotować, nim zmaże gałganem i zacznie smarować od nowa...

Urwała się nitka wspomnień. Żona obróciła się gwałtownie na łóżku. Urwał się spokojny rytm oddechu. Spojrzał w jej stronę. Nie spała. Oczy jej z zadziwieniem spoglądały w jego kierunku.

Podreptał, przysiadł na łóżku, niezgrabnym ruchem dłoni przegładził ją po policzku,

— Nie mów nic, nie mów... Wiesz, że się uparłem, nie przerwę. Nie dla siebie tylko się uczę, ale i dla was. Wszystkim nam będzie lepiej.

Westchnęła, przymykając znów oczy. Na palcach powrócił do stołu, wbił wzrok w tekst matematycznego zadania.

„Dwa pociągi jadą naprzeciw siebie z szybkością...”

3.

Po niepokojąco długiej przerwie zapowiedziano odjazd nowego transportu przesiedleńców. Jak i za pierwszym razem w mieście dało się odczuć wyraźne ożywienie. Wzmogły się zwłaszcza transakcje handlowe. Związał się, kto mógł, różne mąciwoay poczuły się w swoim żywiole.

Poweselał fryzjer Walenty Moch. W mieście istniało już kilka zakładów fryzjerskich, żaden wszakże nie mógł się równać z „warszawskim mistrzem”, Walentym, jak dumnie opiewał szyld nad wejściem. Wszystkie strojnisię tu się cesały, na zagraniczną modę, wiedeńską, bogać tam prawda, ale wieleż już w samym nazwaniu fryzury było szyku i elegancji.

Potem, już po tragedii, niektórzy próbowali usprawiedliwić fryzjera. Ciężkie miał życie ze słomianą wdową po niemieckim balwierzu. Małżonek jej gdzieś się zawieruszył, uparcie czekała na jego

powrót, nie chcąc przyjmować do wiadomości faktu, że zakład przejęty już polskie ręce. Nadal zajmowała dwa pokoje w mieszkaniu tuż za zakładem, przebywając tam wśród rupieci wraz z półgłupią służącą. Sprytna była, Walenty nie mógł złapać jej na gorącym, ale ktoś by inny z nagłą przerywał dopływ prądu, misternie powodując zwarcie przewodów, komuż by zależało na uszkodzeniu kranów, kto mógł systematycznie zatykać kloakę, jak nie ta baba, uosobienie nienawiści i złości. Nic więc dziwnego, że w końcu poniosło chłopca. Zresztą najpewniej przypadek, tylko przypadek. I żeby zaraz aż taka heca, z trupami...

Głupawa służąca Niemka twierdziła inaczej. Że na odwrót, to Walenty wraz ze swoją rodziną zatrzymał życie obu kobietom. Tamte złościwości też były jego dziełem, pragnął w ten sposób przyspieszyć eksmisję uciążliwych lokatorek.

Na ten kolejny transport fryzjer dlatego się ucieszył tak bardzo, że i jego Niemka znalazła się na liście odjeżdżających. Wbrew swoim chęciom. Lamentowała, pięściami

347

miała wygrażać, lżyła władze Polski Ludowej. Tak mówione, choć nie było na to świadków, może po prostu ludzie nabrali wody w usta, gdy się zdarzają podobne historie, lepiej się w nic nie wtrącać.

Tajemnica, jak później można było osądzić, kryła się gdzieś pośrodku. Warsztat niemiecki był na ogół świetnie wyposażony. Tymczasem pan Walenty zastał tam zaledwie mizerny zapas kilku brzytw, stępionych maszynek, resztki pachnideł, jeden tylko zdezelowany aparat do ondulacji. Instynkt zapobiegawczy sprawił, iż w porę zdołał polepszyć zaopatrzenie przez ogołocenie innych, nie zajętych jeszcze zakładów, o co później przybyli fryzjerzy mieli do niego straszliwe pretensje... Te starania nie przeszkodziły próbom wyegzekwowania od Niemki schowanego przez nią wyposażenia. Kobieta nie ukrywała tego, że sporo różnych przyrządów spakowała w walizy, w końcu jeśli zmuszona będzie wyjechać, przydadzą się jej na nowym miejscu do założenia zakładu. Bo przecież mąż jej odnajdzie się z całą pewnością.

Nie wiadomo, jak to załatwiła, dość że po kołataniach w zarządzie miejskim zjawiała się z zaświadczeniem odraczającym jej wyjazd. Poszły plotki, że wpłaciła komuś grubszą łapówkę, mówiono nawet o trzech tysiącach, trudno było dojść prawdy. W pana Walentego jakby grom trafił. Zaginął radosny nastrój, drżała ręka przy goleniu, klienci wychodzili z zadraśnieniami zamazanymi ałunem. Dzika pasja wzbierała we fryzjerze, i złość, i żal, w ogóle świat sponurzał mu w jednej chwili.

Zły nastrój mistrza dotrzymali wszyscy. Ale później, krótko po zamknięciu zakładu, reszta przestała być jasna. Mocno różniły się między sobą zeznania głupawej dziewczyny, służącej u Niemki, i rodziny fryzjera. Jeszcze inaczej przedstawiał cały przebieg zajścia milicjant Glenda, jeden z najstarszych w mieście w tej służbie. Świadkowie uliczni ze swej strony zeznawali coś jeszcze innego.

Podobno Moch miał skierować swe kroki od razu do części mieszkania zajętej przez Niemki. Wtargnął bez pukania,

348

drzwi nie wywalił. I od razu do właścicielki, po nie-° ku "znał dobrze ten język, by mu natychmiast oddała "T^°-ane u siebie fryzjerskie narzędzia. Palcem wskazał SC.°agnięte właśnie z waliz dwa aparaty

do trwałej ondulacji. Rozkrzyczały się obie strony. Padały wyzwiska i 'groźby. Nie pierwszy raz, można było się przyzwyczaić. Ale tym razem poniosły fryzjera nerwy. Rzucił się w pewnej chwili na złorzeczącą kobietę, uderzył ją raz i drugi. Podniosła wtedy gwałt przeraźliwy o pomoc. Moch pragnąc zdławić ten wrzask, złapał Niemkę za twarz, za głowę...

Głupawa służąca nie była już świadkiem dalszych odsłon dramatu. Z wyciem i krzykiem: Hilfe! Hilfe! mimo że w korytarzu zatrzymywać ją usiłowała sama pani Mochowa, wyrwała się na ulicę. Traf chciał, wpadła tam niemal w objęcia Glendy, wracającego po służbie do domu. Nie rozpytując o nic, wyszarpnął z kabury wielki pistolet, wpadł do mieszkania. Chwila i rozległ się ten fatalny strzał... Jak ustalono później, dramat rozegrał się znów bez świadków. Gdy Mochowa i Niemka służąca wbiegły do pokoju, fryzjer osuwał się na podłogę, dłońmi kurczowo ściskając pierś. Milicjant osłupiały stał z pistoletem w ręku. A na otomanie, wybitej pięknym czerwonym pluszem, leżała martwa była właścicielka fryzjerskiego zakładu.

Przesłuchiwany Glenda niezmiennie powtarzał swoją wersję wypadku. — ...może źle, że nie zapytałem wrzeszczącej dziewczuchy, co się tam dzieje. Byłby czas do zastanowienia... Ale wiadomo, jak to u nas, działa się błyskawicznie. Taki gorący czas... Wdarłem się do pokoju, drzwi były zamknięte, ciekawe, kto je zamknął, dziewczyna mówi, że zostawiła za sobą rozwarte na ścieżaj, sam Moch wtedy tłukł tamtą... Zobaczyłem, jak fryzjer odejmuje ręce od gardła kobiety, podnosi się znad tej czerwonej kanapy, nieprzytomny zupełnie, z obtąkanym wejrzeniem. Skoro mnie ujrzał, zachrypiął coś i postąpił w moją stronę bełkocząc, że tamta już nie żyje, a i mnie także zadusi. Odskokczyłem w bok, wołając, żeby podniósł ręce do góry. Stał, ręk nie podnosił, tylko się śmiał...

349

Nieodmiennie urywał Glenda w tym miejscu, ciężko wzdychał...

— Dalej, dalej — ponaglali go.

— Bokiem przesunąłem się ku tej cholernej kanapie. Taka strasznie czerwona. Dotknąłem ręki, puls nie było, twarz zsiniała, jak zawsze u duszonego człowieka. Naprawdę nie żyła. W tej samej chwili fryzjer znowu się zaśmiał i rzucił się na mnie. Krzyknąłem, że strzelam, podniosłem pistolet. Moch stanął, chciałem go aresztować, wyprowadzić na ulicę, do komendy i...

— Powiesz może, że sam pistolet wystrzelił?

— Sam nie sam. Musiałem bezwiednie nacisnąć spust. Ale na Boga, nie miałem tego zamiaru. Byłem zdenerwowany, roztrzęsiony, wściekły na tę kanalię. Tyle nas się uczy, żeby z Niemcami bez gwałtów, że to niezgodne, a tymczasem drań dusi kobietę. Nie wiem, dlaczego pocisnąłem spust. On zresztą miał luz, meldowałem o tym, nie było komu naprawić. Padł strzał, Moch się złapał za serce, chwiał się przez moment, zwał się na podłogę. Usłyszałem jeszcze od drzwi straszny krzyk kobiet. Potem pamiętam już tylko tyle, że pędem przybiegłem na komendę, meldując o tym co zaszło.

Zeznania swego aresztowany Glenda nie zmieniał na jotę. Przerażony był swoim postępkami. W areszcie siedział na pryczy z głową ukrytą w dłoniach. Marniał w oczach, aż żal było na niego patrzeć.

Sprawa nabrała rozgłosu. Komentarze i oceny różniły się skrajnie. Potępiano Glendę albo usprawiedliwiano bez reszty. Najczęściej już nie chodziło w tych rozważaniach

0 Niemkę i Mocha, obydwójga specjalnie nikt nie żałował. Pasjonował ludzi sam fakt. Czy fryzjer miał jakieś usprawiedliwienie, podobno w okupację wiele złego zaznał od Niemców, mogło go ponieść. Ukarąć, pewnie, najostrezej, ale nie, żeby zabijać. Ładna milicja, co działa przez samosądy. Dobrze, znaleźli się świadkowie, dwie kobiety, Polka

1 Niemka, zeznania ich pokrywały się ze sobą w tej części ostatniej. A gdyby ich nie było, czy sprawa nie zostałaby zatuszowana, koniuszki misternie wtopione w Wodę? Podo-

350

^kurator straszliwie się piekli, zapowiada sąd woj-^ rad Glendę, z tym nie ma żartów, główka może też pieni się, krzyczał, iż trzeba już skończyć

bezprawiem, wstyd i ujmę przynosi Polsce taka historia. R'wruie napalony jest na nie żyjącego Mocha jak i na Glendę Gdyby Moch żył, pewnie by ich obu kazał obwiesić na jednej gałęzi, gdyby miał taką władzę. Start się nawet "akoby Zielniak z szefem UB, bo tamten bagatelizuje sprawę, wybrania i fryzjera, i Glendę, mówi że ostatecznie wyrównała się krzywda, zawinił fryzjer, poniósł od razu karę, a Glendzie trzeba wybaczyć, przypadek na pewno

przypadek...

Po dwóch dniach nowa sensacja, poruszenie wśród wszystkich mieszkańców miasta, tak Niemców, jak Polaków. Glenda nie wytrzymał nerwowo naprężenia, powiesił się chłopak w swej celi, z koszuli sznur zrobił, 'za późno go odcięli, by odratować. Jak to wszystko dziwnie się wyrównało, wypełniła się suma kary.

Tego samego dnia, kiedy znaleziono w celi nie żyjącego Glendę, w porozumieniu podobno czy za nakazem Stefczy-ka burmistrz wydał rozkaz, aby wszyscy Niemcy pozostający w mieście przenieśli się do starej hali przy dworcu i dwóch obok położonych baraków. W ten sposób zabezpieczy się ludność przed takimi wypadkami jak z Mochem. Tylko nieliczna grupa fachowców, zatrudnionych w zakładach, nadal miała prawo zajmować swoje mieszkania czy domy.

Zielniak złożył oficjalny protest. Nie można postępować w ten sposób. Transporty, jak praktyka Wykazuje, odchodzą nieregularnie. W punkcie zbiorczym nie można będzie zabezpieczyć pełnej opieki nad Niemcami, tym samym decyzja pozostaje w niezgodzie z humanitarną postawą, jaką zalecano w rozporządzeniu.

Miał podobno usłyszeć* odpowiedź Stefczyka, że może się Wypchać swoim protestem.

351

Na obiad przyszedł tego dnia w doskonałym humorze. Uśmiechnął się do żony, poklepał po ramieniu chmurną Christine, zainteresował się wnukami. Zwłaszcza Johann cieszył się szczególną życzliwością dziadka.

— Jak idzie w szkole? Radzisz sobie? — z chłopcem starał się mówić tylko po polsku.

— Jeszcze nie wszystko rozumiem. Najgorzej, jak prędko mówią. Ale już coraz lepiej. Pani od polskiego pochwaliła mnie dzisiaj...

- No widzisz, widzisz. I co ty na to Christine?
- Zapytaj lepiej Gertę... — odrzuciła niechętnie.
- Dzisiaj na gimnastyce były biegi. Byłem drugi — chłopak garnął się do dziadka, nie zwracając na matkę uwagi.

Wiktor sięgnął do kieszeni, wyciągnął pomięty banknot.

— Masz, to nagroda. Kupisz sobie, co zechcesz. — Dopiero gdy obrócił spojrzenie ku wnuczce, dostrzegł potężny siniac okoła oka.

— Co to, znowu? — tknął palcem.

— Zobacz, jakie ma ciało posiniaczone! Koleżanki tak ją urządziły. Za to, że po polsku nie umie. Myślą że ona wróg i mszczą się — wybuchnęła Christine. — Ja tego dłużej nie zniosę!

— Zostaw. Głupia jesteś, zawsze to mówię... Gerta, opowiedz, jak było.

Dziwne, ale w rozmowie z nią zawsze wracał na język niemiecki. I chyba nie tylko dlatego, że dziewczyna z trudem sobie radziła z polskim. Może z tej raczej przyczyny, iż zbyt była podobna w charakterze do matki: skwaszona, zgorzkniała, fizycznie zaś przypominała ojca, Willego Schir-mera.

— Ja ich nie zaczepiam... A dzisiaj pobili mnie. — Ze jestem Niemka. A ja nawet tego im nie mówiłam, bo zabraniać... Chłopcy mnie obronili, inaczej by mnie chyba zabiły. Paskudne dziewczyny.

— Jednak bronili cię chłopcy, a widzisz... Musiałaś coś zawinić... Johann, a ciebie nikt nie bije?

— Ja się nie dam!

352

Nie o to chodzi. Ale czy nie chcą zaczepiać, nie dokuczają?

Wzruszył ramionami.

— Czemu? Gerta taka głupia, ona się krzywi na wszystko,

Jem się obraca, sama chodzi, nie widziałem na żadnej przerwie, żeby się z kimś bawiła. Takich nie lubią. Ja sam bym ją tłukł.

— Johann! — histerycznie wrzasnęła Christine.

Wiktor przewiódł spojrzeniem po córce i wnuczce. Zwarł w złości pięści.

— Donnerwetter, z wami zawsze tak samo! Do domu

przychodzić się nie chce, ciągle jęki i narzekania, płacz, krzyki... Matka, a ty co, milczysz? Stoisz za Christine?

— Ależ skąd, Wiktor, ja tak sobie... Smutno, gdy w domu

kłótnia. Ty też musiałbyś...

— Co musiałbym? — ton był zaczepny.

— Nic, nic... Ach, prawda, zapomniałam, jest list do ciebie. Z Frankfurtu nad Menem. Kromppe pisze.

Zmienił się na twarzy. Przybladł. Oczy zamigotały gniewem, ale i cień lęku przez nie przewinął. A jeszcze ten drwiący uśmiech Christine.

Obejrzał kopertę. Frankfurt, to zdaje się, strona amerykańska. Tam dotarł ten krwio pijca. Na listy mu się zebrało? Skąd dostał wiadomość, że on, Wiktor, pozostał w mieście?

Rozrywał szybko kopertę, przysiadł przy stole. Dwa arkusiki gęsto zapisanego papieru. Otarł pot z czoła, choć w domu nie było najcieplej. Czytał uważnie, słowo za słowem, nawracał momentami do pierwszych zdań listu. Spojrzenia domowników towarzyszyły mu w dziwnym napięciu.

— Dureń! — syknął, nie odrywając się od lektury.

— Czego on chce? — nie wytrzymała Christine.

Spojrzał na córkę, ale tak jakby patrzył gdzieś przez

nią. Uparcie wracał do tekstu. Aż trzepnął wreszcie kartkami przez stół.

— Głupi! Sauker!! Wiecie, co pisze? Że od Niemców z pierwszego transportu dowiedział się prawdy o nas. Jest zdziwiony, ale myśli, że może musiałem tak zrobić... Chodzi

M Przejaśnia się niebo t. I

353

mu o to, że zostaliśmy Środami, Polakami. Cieszy się, że stolarnia nie została rozgrabiona, że istnieje, że ją prowadzi. Jest mi wdzięczny za troskę o jego dobro. Dureń, jego dobro! Moje, nie jego! — zakrzyknął ostatnie słowa. — Poleca, żebym strzegł jego dobytku jak oka w głowie, wynagrodzi mi to w swoim czasie, gdy wróci. Dureń, on i wrócić?

— Musi mieć powody, żeby tak sądzić — szepnęła Christine.

Skuliła się, zmaląła pod wejrzeniem ojca. Groźnym, rozwścieczonym.

•— Jakie tam powody. Wywodzi, że patrzeć tylko, a niedługo się zmieni. Zachodnia strona się zbroi, przybywają nowe kontyngenty wojsk. Wojna wisi na włosku. A wtedy wszystko się zmieni. Więc mam pilnować jego dobra. Dureń, jaki straszny dureń...

Czytał dalej. Na moment rozjaśnił się.

— Nareszcie wiem. Szukałem i znaleźć nie mogłem, już byłem pewien, że ktoś to ukradł. Pamiętasz, matka, ta nowa heblarka? Zginęła, nie mogłem jej odzłować. Jest na strychu, za podwójnym przepierzeniem. Dobrze zrobione, tyle razy oglądałem ten kąt, na myśl mi nawet nie

przyszło. Można będzie przyspieszyć robotę. Jeszcze dzisiaj wyciągnę ją stamtąd... Kromppe radzi, żeby ją tam zostawił, uprzedza właśnie dlatego, aby przypadkiem nie naruszyć kryjówki...

— To dobre wieści — znów ta kpina Christine.

•— Głupia byłaś i taka zostaniesz... Dureń! Znów tu głędzi o swoim powrocie. Że może już za niedługi czas. I że ciągle nie może uwierzyć wieściom o tym, co uczyniłem. Byłaby to zdrada niemieckiego narodu. Chyba że kazano mi tak uczynić. Kazano. Pewnie ten ich Wehrwolf czy co tam innego... Zaraz, zaraz, jest tutaj i o Gizeldzie...

— Gott im Himmel, Gieselde! — Środowa pozbyła się wreszcie stanu zubożenia.

— To i kochana siostrzyzka już tam wylądowała... — urwała Christine, bo oto twarz Wiktora zmieniła się,

54

adrgały wargi, nagle przygarbił się jakby zestarzał w tym jednym momencie.

— Co tam wyczytałeś?

Źle bardzo źle... Kromppe pisze, iż doszły go słuchy, stgło z Gizeldą. Dodaje że wprawdzie nie jest pewien, co się sę lepiej wiem, niemniej uważa za swój obowiązek mOZ<UU Jakoby Gizelda uciekła przez granicę z ja- ro20dym, zakochanym w mej człowiekiem. Mieli ze sobą* ważne wojskowe papiery. Złapali ich, poszli pod sąd...

— jeżeli to prawda, Gizelda już dziś nie żyje. Za takie rzeczy płaci się tylko głową — wycodziła Christine, poważnie bez tej zjadliwej normalnej ironii, która tryskała z niej, gdy tylko wspomniało się młodszą siostrę.

_Meine Tochter, meine liebe Tochter Giselde... — matka

zaniósła się szlochem.

_Gizelda. Taki koniec — wyszeptał Wiktor.

A potem chwycił list Kromppego i zaczął go drzeć na drobne, drobniutkie skrawki. Wirując spadały na podłogę. Matka szlochała. Christine i dzieci z osobliwym, napięciem śledziły opadające na ziemię skrawki listu.

4,

Nagle ukazał się w rozwartych na całą szerokość drzwiach. Przybladła a potem zarumieniła się na jego widok.

— Jest Zielniak?

— Obywatel burmistrz jest, proszę pana.

— San ? — ruszył w stronę gabinetu starosty.

- Była szybsza. Zastąpiła mu drogę.

Chwileczkę. Dowiem się, czy jest wolny w tej chwili...

Odsunął ją na bok spokojnie, ale z siłą, której nie potrafiła stawiać oporu.

Tylko bez głupich zagrań... Bo jeśli spotkamy się drugi raz...

355

Zagryzła wargi.

Zielniak kończył jakąś rozmowę, odkładał słuchawkę.

— A, towarzysz Stefczyk! Proszę, siadajcie.

— Dziękuję. Ta koza nie chciała mnie wpuścić. Stawia się. Poradźcie jej ostrożność.

— No, chyba jej nie aresztujecie za to stawianie się? p0 prawdzie to nie musi ona was kochać.

— Z kochaniem ma bliżej, przez drzwi do gabinetu starosty.

Zmierzyli się spojrzeniami.

— Ale do rzeczy... Mam do was parę spraw. Zacznijmy od tych niemieckich. Dopisaliście ponad trzydzieści nazwisk do listy pozostających w mieście. Sprawdziłem, fachowców jest tylko trzech lub czterech, pominiętych przypadkowo w wykazie. Hamujecie akcję przewożenia Niemców do punktu przesiedleńczego. Co to znaczy?

— Mamy listopad. Węgla nam brakuje, dysponujemy jedynie niewielkim zapasem dla elektrowni i fabryk. Ruszyła przecież jeszcze mydlarnia. Nie będzie czym opalać ani tej hali, tam zresztą niewiele by palenie pomogło, ani baraków. Tymczasem nie znamy terminu transportów. Słyszeliście na pewno, są pewne trudności z przesiedlaniem, hamują je Anglosasi. Nie można zatem skazywać ludzi na chłód. Z aprowidowaniem ich także mamy kłopoty. Działam tylko w myśl zdrowego rozsądku.

— Przeciwstawiam się waszym poczynaniom.

— Mam oficjalne uprawnienia nadzoru nad sprawami przesiedleńczymi. Miasto na równi ze wsią podlega starostwu.

— Gadajcie, Zielniak, co chcecie, my z Lisiewiczem nadal swoje będziemy robili. Lepiej mi w paradę nie włożyć.

— Groźba?

--• Rozumcie to, jak chcecie.

— Wam się nie dziwię, ale postępowanie Lisiewicza to dla mnie zagadka.

— Ma głowę na swoim miejscu, tu wyjaśnienie. Zosta-

356

•' Nierrców w mieście, to znaczy tolerować dywersję, Wehrwolfy, KUF-y, wszelkie paskudztwo.

L- To prawda, ale nawet mimo takiego ryzyka nie możemy przestać być ludźmi.

Zgłupieliście, czego wy chcecie, Zielniak? Bajki jakieś. Każę ja kogoś mordować, głodzić, katować? Mają Niemcy opiekę lekarską, mają znośne zupełnie warunki?

__ Do zimy. A później?

_później ich tu nie będzie... A co z tymi dopisanymi na

listę? Jakieś stare babska, nawet ta wasza gospodyni. Po cholere wam ona potrzebna?

_Nie lubię jej, drażni mnie, ale pamiętam, że ma już

powyżej siedemdziesięciu lat. I na złe warunki w hali czy baraku nie mogę jej skazać.

_Cholera, jakie to miękkie serce... A ta, jakże ją — zajrzał do wyciągniętej z kieszeni kartki — aha, Blicke?

— Zwróciła się z formalnym wnioskiem o zezwolenie na pozostanie w Polsce, Nie chce wyjeżdżać z miasta, gdzie tak tragicznie zginął jej mąż, gdzie znajduje się jego grób. Powołuje się na zasługi oddane nam przez zmarłego. Był w tym Komitecie współpracy z polskimi władzami. Jedyny, który mimo gróźb nie uląkł się, wytrwał do końca, przyplacając to życiem. Wydaje mi się, że naszym obowiązkiem jest zadośćuczynić prośbie Blickowej.

— Reszta?

— Ludzie starzy, chorzy, kobiety z kupą małego drobiazgu.

— Dobrze, powiedzcie mi, długo macie zamiar poszerzać tę listę? Mocno się z wami różnimy w ocenie.

— Sekretarz Wlazło pozytywnie ocenił moje stanowisko w tej sprawie.

— Wlazło też? I z niego mięczak wyłazi?

— Różnie można to nazwać.

Stefczyk opadł w krzesło, zastanawiał się dłuższą chwilę. Podniósł potem na Zielniaka zmęczone oczy, okolone jasnymi brwiami, tak jasnymi, że prawie nie było ich widać. Wzruszył ramionami.

— Albo ja jestem opóźniony, nie pojmuję tu wielu spraw,

357

albo wy się mylicie. Zielniak, mówmy do rzeczy. Robicie ze mnie jakiegoś szatana, co tylko by dręczył ludzi, aresztował, nie umiał znaleźć właściwego stosunku do Niemców, i tak dalej. Co krok, to inne są

nasze zdania. A tymczasem? Pamiętacie sprawę Glendy? Trochę broniłem chłopaka, ale byłem też za surowym jego ukaraniem. Tak samo potępiałem tego fryzjera. Nie jest zbrodnią dochodzić swych praw. Nie mówię, by mścić się na hitlerowski sposób. Wiem, co to godność, jak wy to zowiecie. Ale nie wolno także wpadać w przesadę. Skoro Niemcy w mieście zagrażają porządkowi, stanowią poważne niebezpieczeństwo, musi się temu zaradzić. Stąd się wzięła koncepcja punktu przygotowawczego do przesiedleń. Można tam jeszcze bardziej polepszyć warunki bytowe.

— Wiecie, że nie mamy środków. Mówiłem: węgiel, aprowizacja...

— To jedno. Drugie, to wasze wyjątki. Musi być jakaś miara. W końcu przy każdym coś się dopisze: a to wdowa z małymi dziećmi, a to człowiek podeszły wiekiem., a to coś jeszcze innego. Chcę sprawiedliwie, ale bez pobłażliwości, bez przesady, bez jakichś sentymentalnych inteligenckich odruchów.

Zielniak milcząco uważnie przypatrywał się rozmówcy. Odczuł w tym momencie przeblysł sympatii do Stęfczyka. Ten człowiek wyraźnie się męczył, szukając racji dla swego zdania. Miał najlepsze intencje.

Inne sprawy — ciągnął tamten wparty w krzesło, przez to jakby zmalaty. — Nie chcę być w wojnie z wami wszystkimi. Przecie i z Lisiewiczem zgadzamy się tylko w tej sprawie niemieckiej. W innych raczej nie... Mówicie, że wietrzę, węszę, że przesadzam, niepotrzebnie zatrzymuję wielu ludzi. Albo ja nie wiem, że wielu z tych zatrzyma-, nych będę musiał wypuścić? Nie chcę niczyjej krzywdy, nie lecę, do jasnej cholery, na krew! Ale wiem, że w Polsce niełatwo, to w końcu nie spacer aleją, ale rewolucja, walka. Dwa porządki, dwa światy, nowy i stary. Całe życie walczyłem, wiem, jak niełatwo przychodzi zwyciężać, jak niespodziewanie ujawnią się silne punkty oporu tej drugiej

358

Mało to krwi w Polsce się leje? Giną każdego dni* Indzie' po obu stronach. Po tej drugiej też na pewno nie wszyscy dranie, sporo obałamuconych, naiwnych, nie rozumiejących, że stało się już coś nieodwołalnego, a ich wysiłki to zawracanie kijem nurtu rzeki. Ale wiedząc o tym, nie można być słabym, nie można przestać być czujnym. Lepiej niech dwudziestu przesiedzi czas jakiś niewinnie, niżby jeden łobuz działać miał na swobodzie. Bez tkliwości. Przy tym, bez powodów, bez uzasadnionych podejrzeń nie zatrzymuję nikogo. Więc po co te jakieś pogłoski o moim terrorze? Nie wiecie, co to jest terror! Ja wiem, bo go zaznałem na sobie... Rządzić musimy twardą ręką. Walka o nasz dzień jeszcze się toczy. Tutaj może to wyglądać spokojniej, ale każdej chwili i u nas może się niejedno wydarzyć. Po to jestem, aby takiej sytuacji zapobiec. I dlatego mięczakiem nie będę.

— Na wszystko zgoda, ale jest też kwestia umiaru. Darujcie, Stęfczyk, ja często nie widzę u was tego umiaru. Podniósł się z miejsca, znów teraz wysoki, mocny, górował nad biurkiem, przytłaczał swoją postacią cały gabinet.

— Nie zrozumiemy się. Ktoś z nas się myli, i chyba nie ja. Będę twardy i ostry. Nie zwykłem się wahać. Gdybym widział rację, bez obaw kazałbym także was aresztować. Choćby prokurator mi nie chciał dać sankcji, choćbym miał polecieć potem z urzędu. Sobą mogę ryzykować zawsze i wszędzie, nie mogę ryzykować dobrem sprawy, jaką mi powierzono — wyciągnął rękę, uśmiechnął się — Na tymczasem nic przeciw wam nie mam. Po prostu różnimy się w spojrzeniu na pewne kwestie. Lepiej postaramy się nie włączyć sobie w drogę. Żadnemu z nas to nie jest potrzebne. Cześć zatem.

■— Do widzenia.

O dziwo, Stefczyk tym razem zamknął drzwi bardzo cicho, nieomal że bezszelestnie.

Reaguję tak, jakbym był dwakroć młodszy lub dwakroć s arszy- Byle trudniejsza rozmowa na długo wyprowadza

359

mnie z równowagi. Ostatecznie nic nieoczekiwanego przy spotkaniu ze Stefczykiem nie zaszło. Potwierdziły się mocno nasze odmienne stanowiska, przy okazji uległo poszerzeniu moje widzenie wnętrza tego człowieka. On nie jest zły, ani głupi, jak pochopnie skłonni byliśmy twierdzić. To człowiek z jakimiś obsesjami czy nawykami, idący przed siebie twardo, ale tak jak silny koń z założonymi na oczy osłaniaczami. Ze starcia naszych osądów powinien wynikać ten złoty środek.

Przekręcił kontakt, przy nikłym blasku maleńkiej lampki sięgnął po pigułkę, zapijając ją wodą z sokiem, pieczołowicie jak co dnia przygotowaną przez Frau Kosche. Żaden szmer nie dochodził z parteru, czyżby gospodyni wyjątkowo nie tłukła się dziś po domu w swych przydeptanych bamboszach?

Czarne pudło telefonu zdawało się uśmiechać zapraszająco. Która to godzina? Dopiero po jedenastej. Może zadzwonić do Gienka, niechby przyszedł na pogwarke, jak dawniej. Nie, nie to, wszakże Lisiewicz także się zmienił, idą teraz ze Stefczykiem dłoń w dłoń, sprzymierzyli się w lansowaniu swojej koncepcji rozwiązania niemieckiego problemu. Separacja Niemców od miasta, skupienie całej ich masy w punkcie przesiedleńczym. Gdyby były warunki można by nie mieć nic przeciw takiemu rozwiązaniu...

Skąd te nawroty bezsennych nocy? Kiedyś była to nieustanna, męcząca samokontrola, palące pragnienie zrzuć piętna okupacyjnego, wyrzuty sumienia za własne nieróbstwo, za ten lęk, za ciężko okupiony spokój. Potem wszakże nadeszła świadomość rozgrzeszenia. Poświęcił się temu miastu i przyległej do niego ziemi, nie żałował siebie, pragnął się spalić w robocie. Z górą pół roku, już listopad, patrzeć, nadejdzie zima, śniegi i mrozy... I jakże to pchać ludzi na punkt wysiedleńczy do nie opalanej hali? Kompleks, prawdziwy kompleks. Nie myśleć wciąż o tych sprawach, oderwać się, zaprzętnąć uwagę czymś innym! Miastem chociażby. Powiatem. Ludźmi na wsi, którzy po klęsce powodzi jeszcze nie mogą pozbierać się w kupę. A jednak, poza garstką tchórzliwych, reszta została, trwa, uparcie

300

yma się ziemi, na której chce gospodarzyć. Opowiadała "zed paru dniami o swoich przygodach doktor Janina. Urwane kolo, nocleg w rybackiej stancy, setki ludzi przewijających się przed jej oczyma każdego dnia, przy okazji szczepień. Studium charakterów, postaw, stopnia cywilizacji.^ Olbrzymia rozpiętość. Domy utrzymywane bardzo starannie, schludne, czyściutki, i domy gdzie brud, śmiecie, robactwo, zawszone dzieci, kołtun we włosach traktowany jako znak łaski; tęsknota do zastrzyku jako zabezpieczenia _ jajł u tego rybaka — i chwytanie za siekierę w samoobronie przed lekarską strzykawką... Ciekawie o tym mówiła, z przejęciem, z pasją. Ładna dziewczyna, może cokolwiek zniszczona przez partyzanckie przejścia', to w końcu nie mija bez śladów. Jednego nie mogła pojąć, tego narastania wrogości z uwagi na miejsce pochodzenia. Dzielą się na obozy zabużan i osadników z

Polski centralnej, z kolei w ramach tych grup na jeszcze mniejsze. Zgoła niesamowita historia z uczuciem dwojga młodych, rozbijanych przez ojca, nawet bezpośrednio w obliczu faktu uratowania z topieli młodszego syna. Niepojęte, to prawda. Może jedynie w tych młodych nadzieja na jutro? Wbrew wszystkiemu, wbrew jadowi wsączonemu przez najbliższe otoczenie Igną do siebie, pragną siebie, kochają się...

Janina mówiła o tym ze wzruszeniem. Zarazem jednak mogła w tej samej chwili przepisywać mu pigułki na uspokojenie, na sen. Jakby i w niej samej istniały dwie istoty, mijające się nawzajem. Nie mówi nic, ale chyba i osobiste, najbardziej własne przeżycia musiała mieć ciężkie. Te sprawy wyczuwa się w ludziach. Próbował z nią rozmawiać tak jak z kobietą, cień flirtu zaledwie. Zesztywniała z miejsca, w zachowaniu stała się niemal odpychająca. Tu nie chodziło w końcu o jego osobę, ale o jakąś świadomą rezygnację z uczucia. Tak bywa wtedy, gdy coś się w człowieku przepali, spopieli na amen.

Halina jest prostsza w swojej psychicznej konstrukcji. Możę nawet niekiedy zbyt prosta. Przy tym inteligentna.

yna kobieta w ich ośmioosobowej ekipie operacyjnej, zajmującej miasto. Wytrwała, dzielna, umiejąca dać z siebie

361

wszystko. Nie wspomina o tych tygodniach więzienia czy aresztu, jak ściślej chce precyzować to Stefczyk. Łatwo nie miała, pozostał w niej jakiś lęk przed tamtym, skrywany najpewniej nawet przed samą sobą. Buńczucznie stawia się Stefczykowi, mocno czymś go musiała dotknąć, jeśli nawet w rozmowie z nim uznał za stosowne poskarżyć się na dziewczynę.

— W ogóle przestaje z Haliną zbyt mało. I coś się ciągle nie dopowiedziało pomiędzy nimi do końca. Wtedy, gdy zaskoczyła go wieść o jej aresztowaniu, tak bardzo pragnął biec, chwytać ją za ręce, mówić o swej miłości. Nic się w nim nie zmieniło od tego czasu, nic nie wygasło, a jednak do wyznania nie doszło. Czemu? Przecież może liczyć na jej wzajemność. W galopie spraw tyle czasu zawsze by się znalazło, aby przeżyć wspólnie tę jedną jedyną godzinę, w której mówi się drugiej osobie wszystko. Skąd więc to wzdraganie, skąd jakieś zahamowania? Czy nie prościej byłoby zdobyć się na decyzję, pełną, z konsekwencjami, znaleźć w Halinie powiernika, z którym zawsze można by wszystkim się dzielić. W nerwowe okresy wielkiego napięcia, w takie jak dziś bezsenne noce, gdy nie pomagają nawet apteczne pigułki.

Halina. Dziwnie, jak niewiele wie o niej. A ona o nim? Ta sama miarka. Uczucie zrodziło się i dojrzało na płaszczyźnie codziennej pracy, oddania tej samej sprawie. Zatem i tyle niekiedy wystarcza.

A jednak w uczuciu dwojga ludzi musi chyba zaistnieć moment czegoś w rodzaju spowiedzi, zrzucenia z siebie ciężaru własnych doświadczeń, odcięcia się od nich poprzez taki akt zwierzenia, oderwania możliwie najpełniej. Czy nadejdzie taki moment w stosunkach jego z Haliną? Czy znajdą aż ten stopień zbliżenia, zjednoczenia niejako, czy też, niezależnie od siły uczucia, każde będzie w sobie pielęgnowało tę własną, najbardziej intymną przeszłość?

Stachnę kochał inaczej. Więcej było w tej miłości pasji, młodzieńczej brawury, może nawet dlatego, że przelewał tam zasób energii nie wyładowany gdzie indziej. Przy tym było to uczucie najbardziej platoniczne. Nic poza przelot-

362

I pocałunkami. Nie zaistniała też pełnia zwierzenia, on przynajmniej sztucznie robioną dezynwołturą osłaniał swoją słabość, psychiczny uraz własnej niemożności działała. Czy zresztą moment spowiedzi zmieniłby cokolwiek w tamtym stosunku? Mógłby co najwyżej przyśpieszyć koniec. Gdyby jednak Stachna, znając prawdę, zechciała pomóc mu przewyciężyć siebie?

Zżymał się. Znów te akademickie rozważania, roszcze-pianie włosa na czworo. Tamten akt został zamknięty, kurtyna zapadła, buduje tutaj siebie od nowa. Za tamten miniony czas i za dzisiejszy dzień. W tym dzisiejszym dniu mieści się Halina, uczucie dla niej, inne, spokojniejsze od tamtego pierwszego. Na pewno warte nie mniej, kto wie, może trwalsze, może nawet i głębsze, choć brak w nim pasji, spalania w namiętności kochania. Lepiej to czy gorzej?

Zabłyła lampka, zerknął na zegar, i znów ciemność, czarna, nieprzenikniona. Przed paru dniami był pierwszy Dzień Zaduszny na nowej ziemi. Niedaleko, w powiecie, cmentarz, jeszcze prowizoryczny, poległych żołnierzy polskich i radzieckich. Delegacja, wieńce... Tutaj, w mieście, grób Walusia Florczaka, uroczy był chłopak, groby milicjantów i kilku pierwszych pionierów padłych w walce. Ale i sporo już grobów normalnych, ludzi, którzy tutaj znaleźli ostatni swój dzień. Paliły się świece nagrobne, ciągnął zaskakująco duży korowód odwiedzających. Groby też wiążą, stają się jednym z ogniwi łączących z miastem.

Groby, a obok kotycki. Śmiał się niedawno Kędrzyk, informując, że zarejestrowano już czterdzieste urodziny. Czterdziestu nowych, wrzaskliwych obywateli. Już... Właściwy szczyt dopiero się przybliża. Co druga kobieta ciężarna, panny, wdowy, mężatki. Jaki też będzie wskaźnik przyrostu? On, Halina... Czy też wpiszą kogoś małego w rejestry nowych obywateli? Normalna rodzina. Banał, ale ma w swym wyświechtaniu coś uroczego.

Czemu tak się mijają z Haliną? Wtedy, gdy ją Stefczyk wypuścił wreszcie z aresztu, gdy rankiem, jak zazwyczaj, zjawiła się w sekretariacie, porwał ją do gabinetu, uściskał

363

i wycałował, powtarzał przy tym raz po raz, jak bardzo, ale to bardzo się cieszy, jak jest szczęśliwy, że ją znów widzi. Tak mu jej brakło, tak brakło... Mógł, a czemuś nie dodał nic więcej, nie powiedział wszystkiego.

Z czerni za oknami dobiegły echa strzałów, za chwilę krótka seria się powtórzyła. Dźwignął się na łokciu i nasłuchiwał. W pierwszych tygodniach było to kiedyś normalne, palba nie cichła niemal na chwilę. Teraz strzelanina budziła niepokój. Też znak normalizacji. Coś się tam dzieje, milicja Pędzika najpewniej już w akcji. Zacichno, znów tylko spokojna czerń nocy...

Nie, nie ma spokoju. Dzwonek u drzwi. Do niego? Stało się coś, alarmują, potrzebna jest jego obecność? Bo przecież nie przybywa nikt do Frau Kosche, ona żyje już jakby poza tym miastem.

Na dole człapanie bamboszy, wyraźne poruszenie. Pewnie Frau Kosche budzi głuchawą gospodynię, sama nie pofatyguje się, by otworzyć drzwi, nie żeby się bała, ale wdowie po tajnym radcy wszak nie wypada. Inny świat, inny konwenans, kiedyś obowiązujący, dziś strasznie śmieszny. Nie ma co, trzeba się dźwignąć, tam zaszło najpewniej coś naprawdę ważnego. Czyżby w związku ze strzałami sprzed chwili?

Zapalił światło, wkładając szlafrok rzucony na krzesło. Człapią znowu bambosze, ale nikt nie otwiera. Trzeba będzie samemu zejść, stare kobiety mogą się bać... Może jakaś prowokacją, może niemiecka dywersja, po aferze z Lisiewiczem lepiej zachować ostrożność.

Otworzył okno. Oczy początkowo nie mogły niczego wypatrzyć w ciemności. Wtedy zaskrzypiały drzwi, pasmo światła wybiegło na zewnątrz, oświetlając sylwetkę kobietą. Halina?

— Halina? — krzyknął.

— Tak, ja...

— Stało się coś?

— Zaraz opowiem, chwileczkę... Dziękuję pani, tak, tak, proszę -zamykać, sami sobie otworzymy, gdy będzie trzeba... Schonen Dank...

364

Mimo woli uśmiechnął się. O mało nie przegapiłaby Frau Kosche takiej okazji. Będzie teraz czuwać, człapać w swoich bamboszach, nasłuchiwać, co się dzieje, skąd kobieta w mieszkaniu starosty, pierwszy raz, odkąd tutaj zamieszkała... Sam się w tej chwili zadziwił temu odkryciu. Pierwszy raz? Naprawdę pierwszy...

Szedł jej naprzeciw, w tym szerokim, grubym szlafroku, odziedziczonym pewnie po tajnym radcy. Z całym nabożeństwem ofiarowała mu go Frau Kosche. Przyjął, rewanżując się produktami żywnościowymi. Dziwne, ale polubił ten szlafrok.

— Halina, co się dzieje? Stało się co? — Nic się nie stało, naprawdę nic. Czy aż tak dziwna ci moja wizyta? Spać nie mogłam, myślałam o niejednym, także i o nas. Pewna byłam, iż również nie śpisz, a że nie umiałeś zdobyć się na decyzję, ja ją powzięłam. Dlatego tu jestem.

Oniemiał.

— Dziękuję ci, kochana — powiedział to tylko, biorąc ją w objęcia.

Mocne pukanie. A to co znowuż? Odsunęli się od siebie.

— Bitte, herein — powiedział niechętnie, myśląc, że właściwie powinien sam podskoczyć ku drzwiom i wyprosić intruza, najpewniej w osobie Frau Kosche.

— Verzeihen Sie. Bardzo, bardzo przepraszam... Przyniosłam herbatę, właśnie przygotowywałam dla siebie, kiedy pani zadzwoniła... A tutaj, w tym pudełeczku, jest kawa, Kein Ersatz, guter Kaffee. Bo pomyślałam, że na pewno państwu się przyda. Przepraszam, przepraszam, życzę dobrego wypoczynku — w dygach, w uśmiechach, we wdzięczeniu wycofała się, szurając

bamboszami, dłońmi przytrzymując poły identycznego szlafroka jak u Zielniaka, tyle że w innym kolorze.

Żeby ją jasna cholera — sapnął z podziwem i złością.

Halina śmiała się serdecznie, drgnął jej usiany piegami nosek. Pomyślał, że i piegi mogą być atrybutem jeśli już nie urody to w każdym razie wdzięku. Zależy tylko, kto nosi te piegi na twarzy.

Jesteś tutaj zupełnie zadomowiony i rozpieszczany

365

zarazem. Nawet te wasze bliźniacze szlafroki... Ona jest urocza, z herbatką i kawą, z życzeniem wypoczynku. Źle tylko trafiła, przerywając nam pierwszy prawdziwy, namiętny pocałunek. Bo tam w biurze, to jednak całowałaś mimo wszystko zdawkowo.

— Złośliwa jesteś i... bardzo odważna.

— Czy zauważyłeś, żeś mi dziś pierwszy raz powiedział: kochana? Ładnie to z twojej strony. Cóż, od dawna o tym słowie marzyłam. Julek, tak jakoś dziwnie na mnie patrzysz? Może i zgadłabym, o czym myślisz w tej chwili. Ale lepiej pocałuj, tym razem chyba nam nie przerwie Frau Kosche.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, wtedy przygarnął ją mocno, bardzo mocno, aż wyczuł przyśpieszony, strwożony rytm serca. Usta jej szukały gwałtownie jego warg, wpiły się w nie, wessały mocno, przy tym tak jakoś spokojnie, jakby ten spokój był umyślny, krył dławioną namiętność.

Tym razem Frau Kosche nie przeszkodziła. Nie wiedzieć, jak długo się całowali, aż do zawrotu głowy, aż do zupełnej utraty tchu. W pewnej chwili dziewczyna zaśmiała się krótko, urywanie...

— Julek, bo nam herbata i kawa wystygną. Co by na to powiedziała ta pani w bamboszach? — I dalej z wyrzutem. — Nawet nie poprosiłeś, bym zdjęła płaszcz. Stanowczo nie umiesz przyjmować kobiet.

— Daruj, zaskoczyło mnie to, w ogóle...

Po cholerę właściwie ta herbata potrzebna, za chwilę będzie i kawa. już ją parzy w filiżankach przykrytych spo-deczkami. Dziwaczny ceremoniał, przecie nie dla pogłębienia nastroju. A może właśnie tak, może taki moment oddechu potrzebny?

Wstała, przesiadając się na oparcie jego fotela. Schyliła się, ucałowała go w skroń, spokojnie, czule.

Był jej wdzięczny za wszystko, za przyjście, za ton swobody, jaki wносиła swym zachowaniem, udając, że nie dostrzega jego zaszokowania i zapeszenia. Ale ta jej swoboda zarazem niepokoiła go. Skąd ona tak to potrafi?

— Halina... — zaczął niepewnie.

366

Nie zmieniając pozycji, objęła go ramieniem.

_ Dopowiem za ciebie... Chciałeś zapytać, dlaczego tak • zachowuję, bezczelnie, śmiało, niemal jak rutynowana dziwka? Nie powiedziałaśbyś tak ostro, ale podobnie musiałeś pomyśleć. Nie przecz, pojmuję. Ja bym się także zdziwiła na twoim miejscu. Chcesz znać prawdę? Julek, pomnij, że tupetem, pozorną bezczelnością pokrywam po prostu brak odwagi, nieśmiałość, „niepokój. Bo... bo ja wcale nie jestem taka odważna. Ja nawet się boję, mimo że cię tak bardzo, tak bardzo kocham. Ty jesteś moim pierwszym mężczyzną, będziesz nim dzisiaj jeszcze... Julek, dopomóż, bo teraz, gdy ci to powiedziałam, odeszły mnie ten tupet

i śmiałość. Julek!

Zakryła twarz ramionami, wtuliła się w kąt oparcia fotela, bezbronna, maleńka. Zaczęła okrywać pocałunkami jej twarz, włosy, ramiona, gładził ją, tulił.

— Maleńka moja, Halinka... Daruj, strasznie mi głupio. Jakaś ty mądra i jaka dobra, że za nas obydwójce zdobyłaś się na tę decyzję. Musimy się pobrać jak najszybciej, już zawsze być razem...

— Nie o to chodzi. Pewnie, pobierzemy się. Ważne jest, że dobrze nam ze sobą, że chcemy być razem.

— Julek, żebyś ty wiedział, jak ja za tobą tęskniłam w więzieniu. Jak bardzo chciałam choć na chwilę cię ujrzeć... Pragnęłam cię jako kobieta i jako człowiek. Może i dziś nie zdobyłabym się na to szaleństwo, gdyby... Wiesz, nie spałam, myślałam o nas, potem jednak musiałam zapaść w jakąś drzemkę, coś mi się śniło, nawet nie mogę sobie przypomnieć, co, wiem tylko, że groziło ci niebezpieczeństwo... Ogarnął mnie o ciebie straszliwy niepokój, opanowały złe przeczucia. Wtedy ubrałam się i przybiegłam. Chcę być razem z tobą, bardzo chcę, Julek... Myślałam, że ty na pewno też nie śpisz, wiem, jak zawsze denerwujesz się rozmowami ze Stefczykiem. Byłam pewna, że mnie ciepło powitasz, a zarazem bałam się, abys źle nie zrozumiał mojego postępkę...

— Już nic nie mów, Halinko, nic nie mów...

— Masz rację, po co słowa.

•367

.

Zatrzymała się przy stoliku Haliny.

— Kochaneczko, wyładniałaś, ślicznie ci z tymi rumieńcami. Założyłabym się, że jesteś zakochana... Możesz nie odpowiadać, dziecko, tak sobie gadam. Nie wiesz, czego to chce ode mnie starosta? Bo ja już skorzystam z okazji, jak w oczy, to piękne słowa, a gdy co do czego, to kulturę spycha się na ostatnie miejsce. Najmniej pieniędzy, najmniej możliwości. I tak oni chcą budować socjalizm? Boże, zmiłuj się nad nimi...

— Starosta panią prosi.

— A idę, idę. Już ja mu przy tej okazji wygarnę.

Słyszał ostatnie słowa Dzwinarskiej, śmiał się. Był dzisiaj w wyjątkowym humorze. Same dobre nowiny. Na jutro zapowiedziano nowy transport Niemców, już trzeci, powoli zaczyna się w mieście

przerzedzać, bo i ten osobliwy import z zagranicy, który ich tak zaniepokoił, ustał zupełnie, umiały porozumieć się polskie władze z radzieckimi w tej sprawie. Powstały dwie nowe spółdzielnie pracy, rękawicznicza i metalowa, a więc zatrudnienie dla. sporej gromadki ludzi, produkcja, intensywniejsze życie. Województwo awizowało kilka wagonów z aprowizacją. Śląsk zapowiadał węgiel. Wreszcie telefonogram z Krakowa...

— Przygotowałem się już psychicznie, może pani wygarnąć, pani Cecylio. Za co dzisiaj oberwę?

Pogroziła mu palcem.

— Już to, kochasiu, uśmiechem chcesz mnie rozbroić. Nie uda się. Protensji mam całą listę. Pierwsze: kino. Taki był gwałt, że jedno z najpierwszych w województwie, że żaden powiat poza nami nie ma aparatury. A teraz co? Dwa seanse na tydzień, a i tak ludzi nie ma, bo ciągle te same filmy.

— To już niech pani z Wlazłą omawia. On wycygał aparat od wojska, on niech się martwi o filmy.

— Byłam u niego. Bohater, mówię, kapitan, sekretarz partii, i co? Nawet kilku filmów nie umie pan zdobyć?

368

• i nasi żołnierze, jeżeli też musieli w nieskończoność

Włać^jedne i te same kawałki... Niby obiecał, że się po-

ogli* „, kto eo tam wie. Choć może on z was wszystkich stara, aie &

najsolidniejszy...

__ O, proszę...

__ Tylko, kochasiu, nie obrażaj się. To dopiero początek. Prońlam, aby zabezpieczyć poniemieckie instrumenty muzyczne. Podobnie fortepiany i pianina. I co? Z trudem zebrały się trzy komplety, choć w jednym braknie fagota, ale tu się jakoś poradzi. Najlepsze instrumenty jednak ktoś wyszabrował. Podobnie fortepiany. Nie dalej jak przedwczoraj odeszły do Warszawy trzy piękne Steinwaye. Urząd Likwidacyjny wysłał...

_ Do Ministerstwa Kultury. Pani resort.

_ Ministerstwo daleko, ja tam nie wiem, co oni robią.

Pisemka, które ślą, chowam do szafy. To dopiero melodia przyszłości... Jakby żyli na innym świecie, nie pojmują, że tu jeszcze chaos, improwizacja, za dużo ich tam najpewniej, więc bawią się w biurokrację... Panie starosto, proszę sobie zapisać, tu, zaraz, że co najmniej cztery fortepiany musimy zabezpieczyć do dyspozycji naszego wydziału. Urząd Likwidacyjny może się wypchać.

— Jeszcze co?

— Samochodu nie otrzymuję dla wyjazdów w teren. Tygodniami muszę molestować u tego nadętego dyspozytora, uśmiechać się, łasić, a tego nie lubię. Tymczasem na wsi jest dużo roboty. Czy pan wie, że w Małyniskach uruchamiamy w niedzielę pierwszą gminną bibliotekę?

— Proszę, a skądże książki?

— Trochę przywieźli z sobą. Oni chyba wszystko przywieźli. Szkoła u nich wcześniej ruszyła niż te nasze miejskie dwa powszechniaki. Dokładnie pierwszego września, a my dopiero jedenastego... Trochę książek wygrzebał wśród swoich naukowych foliałów profesor Zawilski. Chyba będzie pan w Małyniskach na tej uroczystości?

— Jeszcze nie wiem, jak mi się sprawy ułożą... Ale przy-£ąpmy do rzeczy, bo nie mam dużo czasu. Kiedy indziej przedłoży mi pani dalsze sprawy wydziału... Otrzymałem

* Przejaśnia sin niebo t. I

389

telefonogram z Krakowa w sprawie tych eksponatów my. zealnych zrabowanych przez hitlerowców. Za tydzień specjalna delegacja zjawi się po ich odbiór. Co pani na to?

Przebiegła okiem notatkę. Zastanawiała się przez chwilę, tylko kokardka chwiała się w tym czasie leciutko.

— Kulturalni tam muszą być ludzie. Sam wojewoda podpisał... Zjawią się po odbiór wraz ze specjalnym podziękowaniem za odnalezienie i przechowanie bezcennych okazów sztuki... Ładnie. Ale co nam z tego przyjdzie? Panie starosto. Istniał kiedyś taki zwyczaj, że wielkie muzea, zachowując nominalne prawa własności, wypożyczały mniejszym ośrodkom część swoich zbiorów. Warto by od tych krakauerów wycygnąć co nieco ze skarbów i dla naszego muzeum. To jedno. Drugie: muzeum zamierzaliśmy uprzystępnąć publiczności dopiero w grudniu. Proponuję, aby zrobić wyjątek i przygotować ekspozycję krakowskich eksponatów. Druga taka okazja dla naszych obywateli nieprędko się nadarzy. Zgadza się pan?

— Świetny pomysł! Jak najbardziej. Ale czy zdąży pani przygotować?

— Skoro pan się zgadza, to zdążę. Doda mi pan trzech ludzi do pomocy. Bo i tak muzeum wyprowadzamy z chaosu jedynie wieczorami. Córka mi pomaga, całe szczęście, że ją zaagitował profesor Zawilski, objęła lekcje biologii w gimnazjum, bo chciała już uciekać do Poznania, tam ma szanse naukowej kariery. Pewnie pan nie wie, kochasiu, że moja Łucja jest biologiem. Krótko przed wojną zaczęła prowadzić ciekawe badania nad wpływem fluore-scencji na roślinność... Pana pewnie to nie ciekawi, znów to niekulturalne spoglądanie na zegarek...

— Daruje pani, bez przycinków. Mam ustaloną konferencję na tę godzinę, dlatego sprawdzam czas. Dobrze, postaram się dla pani o pomoc. Ale nie aż trzech ludzi... Ma pani jakąś pełniejszą koncepcję?

— Zaraz, zaraz, kochasiu, koncepcji z rękawa się nie wytrząsa. Jutro zjawię się znów u pana, dobrze? A za trzy dni otwieramy wystawę.

— Zgoda, powie pani to sekretarce, niech zanotuje...

tchnął gdy wreszcie pozostał sam. Dzwinarska, wiedzieć czemu, działała na niego denerwująco. Choć ni^e jej wyraźną sympatię. Zwariowana to zwario-czUna jednak typ dziwaczki z prawdziwego zdarzenia. Tyle ^ciągle naiwna, jakby nie zdawała sobie sprawy z sytua-" z ograniczonych możliwości działania, z proporcji, w'końcu może to i dobrze, inaczej nawet tych skromnych osiągnięć nie mieliby w kulturze na pewno.

Jutro znów nasiadówka z panią Cecylią. Wyobrażał sobie, ile to nowych projektów mu przedstawi...

Ku własnemu zdumieniu ujrzał ją po godzinie. Omawiali z Kodrzykiem skomplikowane sprawy finansowe, znów ten nierozwiązalny ciągle problem, skąd wziąć fundusze na wypłatę uposażeń, gdy nagle drzwi z rumorem poleciały do środka, przed nimi zaś stanęła Dzwinarska. A raczej coś ją tylko przypominającego. Umorusana sadzą, w przybrudzonym, wymiętoszonym ubraniu, nawet bez tradycyjnej kokardy! we włosach, przez długą chwilę poruszała tylko ustami, tchu złapać nie mogąc. W oczach jej kryła się jakaś zgroza, cała dygotała.

— Na Boga, co się stało?

— Nieszczęście, straszne nieszczęście! — zachrypiała. —Ale co, niechże pani mówi? Kolega Kędrzyk,

wody!

— Zbiory krakowskie okradzione! Dopiero tam przy nich byłam. Brakuje sześciu obrazów, wśród nich Boznańska, Malczewski, Rodakowski. Tragedia.

Zdębiał. Właśnie teraz, gdy zapowiedziała swój przyjazd delegacja krakowska. Kompromitacja na cały kraj. Ogarnęła go pasja na Dzwinarską. O byle co wydziwiania, a spraw powierzonych swej pieczy nie umie dopilnować.

— Dlaczego pani nie zabezpieczyła tych skrzyń? Pojmuje - pani, co za konsekwencje nam grożą?

Niespodzianie powrócił jej animusz.

z 7k^oadaj Pan zdrów! Nie zabezpieczyłam! Drzwi były zam nięte, opieczętowane, jak w ogóle wejście do piwnic.

2 C2e Przecł trzema dniami oglądaliśmy wazy etruskie protesorem Zawilskim, wszystko było w porządku

Ja w muzeum nie mieszkam, wie pan sam o tym. Prosiłam tylekroć o posterunek milicji. Ten stary woźny sam by niewiele poradził, zresztą on ma jedną tylko namiętność: spanie...

Kędrzyk dotknął ramienia starosty.

— Trzeba by natychmiast do milicji i bezpieczeństwa. Trzy dni. Może obrazy są jeszcze w mieście?

— Słusznie — ochłonął. — Zaraz dzwonię. A pani dam wóz, niech pani tam jedzie czym prędzej. Przepraszam, jeśli się nieco uniosłem.

— Niech ci tam będzie, kochasiu.

Wypadła z gabinetu jak z procy.

Wszystkie władze porządkowe zostały postawione na nogi. Inne akcje mniej ważne odwołano. Cały wysiłek należało poświęcić na wykrycie złodziei i odnalezienie obrazów. Stefczyk z Pędzikiem opracowali plan działania. Równoległy. Z pełną mobilizacją Straży Ochrony Kolei. Z jednoczesnym zaleceniem zachowania ścisłej tajemnicy, aby nie splotyć przedwcześnie złoczyńców.

Dokładne oględziny muzeum wykazały, iż włamania dokonano przez usunięcie nadmurszanej kraty w jednym z piwnicznych okienek. Tamtędy przedostał się złodziej do środka. Woźny o niczym nie wiedział, przerażony, skołowaciały zupełnie, bez sensu odpowiadał na ostre pytania śledztwa. Niczego nie słyszał, zawsze wieczorem sprawdza wszystko, nasłuchuje, ogląda. Nic nie wie... Na wszelki wypadek został zatrzymany. A nuż okaże się, że był cichym współnikiem?

Na dworcu i w pomieszczeniach przyległych sądny dzień. Sokiści z pomocą milicjantów przeprowadzili gruntowną rewizję bagaży wszystkich pasażerów czekających na połączenie. W którejś chwili jeden z milicjantów podniósł triumfalny krzyk. Są obrazy! Delikwenta dostarczono natychmiast do komendy milicji. Ogłupiały patrzył na groźne miny wokoło siebie, przenośli zaraz potem spojrzenie na

372

• ły rulon obrazów jako dowód rzeczowy złożony ^"biurku. Wezwano Dzwinarską, przytruchtała galopem. ^^ Ma pani szczęście — odezwał się Pędzik, dumnie

wskazując zwinięte płótna.

Ujęła je ostrożnie, delikatnie, zdawało się, podniesie j ust i ucałuje z radości. Rozwiją ostrożnie, potem ruchy jej rąk stały się gwałtowne, nerwowe.

— Zgłupieliście! Oleodruki! Religijne! Pełno tego po wszystkich niemieckich domach.

Wydłużyły się miny. Rezonu nabrał jedynie zatrzymany ze swoją zdobyczą właściciel pracowni ram do portretów z Poznania.

_ Zaś ale co jest!?! Nikt nie zabrania wozić świętych

obrazów. Zawsze mnie przepuszczano, nie pierwszy raz jadę... Ledwie nie dostałem ataku serca. Proszę mnie puścić...

_Dobrze, dobrze, idź pan do jasnej cholery! Razem

z tym! — Pędzik z pasją wtłoczył mu pod pachę byle jak teraz zwinięty rulon, ledwie się powstrzymał, by mocnym kopniakiem nie przyśpieszyć ekskursji faceta.

— Pani także może wracać do swoich zajęć... Jak coś będzie, zawiadomimy — burknął do Dzwinarskiej.

Dzwonił Stefczyk.

— Jest co? Nic? A ten komisant? Jeszcze trwa rewizja? W innych sklepikach też warto przetrząsnąć, oni handlują wszystkim, co tylko się trafi...

Pan Maciaszek był oburzony najściem milicji na jego interes. Zachowywał się wszakże z godnością.

— Proszę, proszę, mogą panowie wszystko obejrzeć. Tylko przestrzegam, aby ostrożnie. Tu znajdują się cenne rzeczy, delikatne, nie można do nich jak do kartofli...

— Zamknij się pan, panie ładny — huknął któryś z rewidujących.

Jak szanowny pan sobie życzy.

- Komendant też się zjawił w komisie.

No jak tam, panie Macuszko?

H wa'iaSZek' za pozwolenieitl-

z m Zystko ie^no! Gadaj pan, co wiesz o tych obrazach

muzeum? Czemuś pan taki błąd się zrobił?

373

— Błąd? Z oburzenia. Co to za posądzenia. Zresztą nic nie pojmuję. Jakie obrazy z muzeum? Co ja mam wspólnego z muzeum?

— Chudzielec z pana. W sam raz na to okienko. Kiedy to było?

— Nic nie rozumiem...

— Co tam kolego? — zwrócił się Pędzik do meldującego mu się jednego z podwładnych.

— Melduję, że jest tu z pięćdziesiąt różnych mazideł, ale chyba nie te, których szukamy. Przetrząsnęliśmy dokładnie każdy kącik. Skrytek jakichś specjalnych nie widać...

— No i proszę, komendancie, widzi pan sam, jak niesłuszne są wasze podejrzenia.

— Nic nie widzę. Gdzie klucze od lokalu? Opieczujemy sklep aż do odwołania. Pan zaś uda się z nami.

— Aresztujecie mnie? Za co?

•— Chwilowo jeszcze nie. Zatrzymujemy do wyjaśnienia. Lepiej by pan od razu, po dobremu, opowiedział wszystko...

Odpowiedziało Pędzikowi jedynie pogardliwe spojrzenie.

Z tym samym dostojeństwem zachowywał się pan Maciaszek w komendzie. Wzruszał ramionami, o niczym nie wie, a w ogóle to czuje się obrażony w swojej obywatelskiej godności.

— Może i nie on, cholera wie, choć z gęby na ladaco wygląda — zastanawiał się nieco później Pędzik, gdy opracowywali ze Stefczykiem plan dalszego działania. — Z drugiej strony przysięgłbym, facet coś knuje. Za cwana gęba, żeby za nią było jaśniutkie sumienie.

— Nadajcie telefonogram do Warszawy, może bliżej objaśnią, co to za jeden.

— Już nadałem. Każdej chwili powinniśmy mieć odpowiedź. Minęły już dwie godziny.

— Panie komendancie, jest kablogram — wszedł dyżurny milicjant.

Pędzik przeczytał, pokręcił głową.

— Nic. Meldowany przed wojną. Obecnie adres nieaktualny, dom został zburzony w czasie powstania. Miejsce po-

374

niewiadome. Żonaty, dwoje dzieci... Zaraz, zaraz... by U t0 żonaty? On przecież tutaj się żenił... Z Gienią, o była tu wywieziona na roboty, pracowała gdzieś u bauera..-

Stefczyk zagwizdał.

— No i co powiecie? Krzywi się na mnie jeden i drugi, ze obstawę, aby dobrze przewietrzyć tych naszych kochanych pionierów, bo mejedno muszą mieć na sumieniu. I czyja racja? Ledwie zaczęliśmy macać, okazuje się, biga-mista. Ano, parę latek już gość zarobił...

_ jasny gwint, szkoda mi Gieni, porządna kobieta.

_ Może ona coś wie o tych obrazach? Gdy się jej powie, jakiego gagatka wzięła na męża, z samej złości gotowa wyśpiewać.

_ Można by — bez ochoty zgodził się Pędzik.

— Panie komendancie — znowu dyżurny milicjant.

— Jest co nowego?

— Posterunkowy Gwizd chciałby przekazać jedno swe spostrzeżenie. Może wejść?

— Dawaj go tu... Dzień dobry... No, co tam macie?

— Mieć nie mam, ale jedno mi się przypomniało... Rano szedłem koło tego komisju. Właśnie wychodził stamtąd jakiś elegant, zwróciłem uwagę, bo tu u nas mało kto tak dobrze ubrany. Niósł parę paczek, jedna podłużna, ot tak, jak te święte obrazy, cośmy je przydybali na stacji u faceta, którego potem pan komendant wyrzucił w pioruny.

— Czeka, czeka, Gwizd, to może być ciekawe. Elegant, mówisz? Poznałbyś go?

Wyglądał jakby jaki artysta. Pewnie, że poznałbym. Taka pańska gęba.

Dobra. Powiedźcie dyżurnemu, niech nam przyprowadzą Maciaszka. A wy sobie siadźcie w jakim pokoju i spokojnie napiszcie rysopis tego eleganckiego faceta. Może coś się wam jeszcze przypomni?

— Tak jest, panie komendancie.

Stefczyk podniósł się z miejsca.

Ro'cia^USzę B pomógłbym przemaglować

Oocia. Trzymamy go w garści z tą bigamią, powinien się

375

skrzążyć... Za dziesięć minut mam zamówioną rozmowę ze Szczecinem. Potem znów zajrzę do was. Albo zadzwoń, cie, co i jak.

Pędzik spojrzął za wychodzącym, zatarł ręce. Już on zada bobu temu łobuzowi. Za Gienię. Porządna dziewczucha, jedna z najpierwszych osadniczek. Taki łajdus, dwie żony, a wy. gląda, że z jedną by nie poradził...

— Panie komendancie, melduję, rysopis...

— Dobra, Gwóźdź, a teraz podajcie ten rysopis kolegom. Niech obserwują, może się gdzie facet nawinie... A, pan Maciaszek, proszę, proszę. Niechże pan siada.

— Panie komendancie, co wy ze mną robicie? Jak mamę kocham, jestem niewinny, nic nie wiem. Żadnych obrazów...

— Zaraz, zaraz... Może być... Pewnie, przykro, już taka nasza służba. Żona na pewno po was płacze.

— Jeżeli już wie. Choć najpewniej ktoś jej doniósł, ludzie gapili się wkoło...

— Ktoś żonie doniósł? Do Warszawy, " zdążyłby aż tak prędko? — serdecznie zdziwił się Pędzik.

Maciaszek zamrugał oczyma, sprężył się cały, uniósł nieco znad krzesła.

— Siadaj pan, siadaj pan wygodnie... Więc jak z tą żoną?

— Pan przecież zna moją żonę, więc co pan o jakiejś Warszawie?

— Znam jedną, ale tej drugiej nie miałem jeszcze przyjemności oglądać. Ejże, siadaj pan! — huknęła ostrzegawczo tym razem.

— Co pan, jaka druga...

— Spokój! Odpowiadać tylko na pytania. Więc gdzie te obrazy?

— Nic nie wiem.

— Szkoda — zerknął na kartkę przyniesioną przez Gwoździa. — Myślę wszakże, że przypomni coś panu ten miły znajomy, wie pan, elegancki szatyn, ubranko jak z paryskiego salonu, rękawiczki, szykowny, jednym słowem męzczyzna.

— On wam coś już powiedział?

p wiedział, powiedział. Na ogół nam ludzie dużo mó-

"" O tylko taki niezwykle uparty, panie Ma-wią. ran J

CiUPCMaciaszek, za przeproszeniem... A ja nic nie wiem. jeżeli ten facet coś mówił, to nałgał po prostu i tyle... Na

mnie winę chce zrzucić.

__ O, taki z niego przyjaciel?

__ Żaden przyjaciel! Dwa razy go, trzy najwyżej widziałem. Nawet nazwiska nie znam.

11 Na obrazach to on się dobrze wyznaje?

— Nie wiem.

Pędzik pokiwał głową.

_pan pecha. Bo skoro z tymi obrazami nie miał

pan nic wspólnego, mógłbym pana wypuścić. Ale my dbamy o bezpieczeństwo naszych obywateli. A zrozpaczone kobiety na wiele mogą się ważyć. Trzeba więc będzie u nas odczekać.

— Co pan, znów o kobietach?

— Powiedzmy o żonach... Tak między nami, mógłbym pojąć, że pan babę zostawił, męska rzecz, zdarza się, ale żeby i dwoje dzieci? Nieładnie, panie Maciaszyk.

— Maciaszek! Skąd wy to wiecie?

— A o obrazkach powie pan prawdę? Wtedy wyjawię panu, skąd się dowiedzieliśmy o pana bigamii. No jak?

— Idź pan do... — ugryzł się w język. — Nic nie wiem i tyle.

— Zdenerwował się pan, panie Maciaszek. Każę pana odprowadzić do celi, niech się pan uspokoi...

Dobrze po ósmej sokiści zatrzymali na dworcu człowieka, wyglądem odpowiadającego podanemu rysopisowi. Przyrowadzony do komendy bez zwłoki zasiadł przed komendantem Pędzikiem. Maszynistka Joasia tkiwał już za swoim stolikiem.

— Proszę pana, ja protestuję, naprawdę dziwne to z waszej strony. Jestem poważnym człowiekiem...

Tak, wiemy. Doktorem, historykiem sztuki... Można ' _ z'ec' co ma Pan w tych paczkach?

ic takiego. Parę sztuk porcelany rosenthalowskiej,

kilka kryształów, miniaturkę oprawną w stare, ręcznie gra. werowane srebro. Po prostu lubuję się w takich drobiazgach, a że znalazłem je w miejscowym komisie, więc zaky. piłem. Przecież to najbardziej legalna transakcja?

— Oczywiście. A nie miał pan przypadkiem, wychodząc z komisju, takiego długiego pakunku?

— Podłużnego pakunku? Nie przypominam sobie... Ach prawda, parasol, teraz taka pogoda, ciągle deszcze.

— Który to parasol? Nie widzę go tutaj...

— Nie może pan widzieć, właśnie gdzieś mi zaginął. Już nie pierwszy gubię w ten sposób, nieuwaga.

.— Aha, parasol. No tak. Pan wczoraj do nas przyjechał? Wieczorem?

— Tak.

— U kogo się pan zatrzymał?

— U... u jednej takiej kobiety. Przy punkcie PUR-u proponowała noclegi. Zgodziłem się, nie mając wyboru, jeszcze nie uruchomiliście u siebie hotelu.

— Nazwisko tej kobiety? Niemka? Adres?

— Żeby to wiedział. Noc już była. Nie wiem, czy bym tam trafił.

— Pewnie, obce, nieznanie miasto... Czy pan wie, że z muzeum zostały skradzione obrazy? Że stanowiły one część zbiorów zrabowanych na Wawelu przez hitlerowców?

Elegancki pan podniósł się z miejsca, wlepiając zaskoczone spojrzenie w Pędzika.

•— Skradzione z muzeum? Tego mi nie powiedział...

— Maciaszek?

— Tak. No cóż, muszę kawę na ławę. Niemka mieszka przy ulicy Piastowskiej siedem. U niej zostawiłem ten rulon, zaniepokoił mnie widok zamkniętego komisju i milicjant przed wejściem... Znałem te obrazy, to prawda. Wiedziałem, że zaginęły. Sądziłem wszakże, że Maciaszek wy dostał je z rąk prywatnych. Były zatem zdeponowane w muzeum i stamtąd zostały skradzione?

— Tak, chwileczkę — w drzwiach stał wezwany dzwonkiem dyżurny. — Wyślijcie zaraz patrol na Piastowską sie-

378

Tam " gospodyni mieszkania. Niemki, odnajdziecie ru^on obrazów Tutaj je dostarczycie panie komendancie.

I Chwileczkę Widzi pan. że telefonuję.. Pani Dzwinarska'/ Proszę się uśmiechnąć Obrazy już się znalazły Czekamy na panią w komendzie. Towarzysz Stefczyk? W porządku, zguba się znalazła Dwa ptaszki też są.

Czekam

Zmęczony wzrok skierował na siedzącego przed nim historyka sztuki

_ No cóż chwilowo pana pożegnam Potem wyjaśnimy wszystkie szczegóły do końca. Historyk sztuki)
taka brudna sprawa Nie wstyd panu? Bo ja bym się wstydził.. Oczywiście że jest pan zatrzymany
Obawiam się, że potrwa to wcale długo

Znowu dyżurny

- Towarzyszu komendancie Jest tutaj żona Maciaszka Płacze i wyklina na niego Pragnie z wami
porozmawiać Wpuścić?

Dobra Za małą chwilę 1

Nabrał powietrza w piersi To było najsmutniejsze w całej historii Tej rozmowy pragnął uniknąć,
odwlekał ją. Skądś się jednak Gienia musiała wywiedzieć, za wiele coś przenika na miasto z komendy.
Jakże z nią teraz rozmawiać? Mąż drań złodziej, może by mu to w końcu jakoś i wybaczyła Ale mąż
bigamista? Tego już żadna kobieta nie po trafi wybaczyć

ROZDZIAŁ VIII

1.

Z ACIERAŁ zgrabiałe dłonie. Mroźna pogoda utrzymywała się od tygodnia. Chłód w listopadzie nie
dziwi nikogo, ale żeby aż mróz? Nocami temperatura dochodziła do minus pięciu i sześciu stopni, w
południe w cieniu termometr wskazywał zaledwie zero. Zadowoleni z tej odmiany zdawali się być
tylko lekarze, mroźne powietrze ostatecznie likwidowało tyfus, panoszący się w czasie gwałtownych
deszczów październikowych. Lecz równocześnie bito na alarm. Elektrownia dysponowała mizernymi
zapasami węgla, dostawy śląskie opóźniały się; gdyby nie starania wydziału handlu, wymieniającego z
Katowicami i Wałbrzychem nadwyżki towarów, mogłoby nawet światła zabraknąć. Już kilkakrotnie
Jeziński przychodził Przybyłe z pomocą, na kolei lepiej sobie radzili. Ratowały sytuację spore zasoby
drewna opałowego, ściętego jeszcze przez Niemców. Tutaj wszakże uchem igielnym stawał się brak
transportu, na domiar niedawno opady rozmiękczyły dukty leśne.

Zerknął za okno. Niebo czyściutkie, bez jednej chmurki, powietrze falowało w migotaniach ostrego
światła. Żadnych oznak na zmianę pogody.

Oczekiwany czwarty z kolei transport Niemców opóźniał się, nie nadchodziły żadne dyspozycje.
Dochodziły echa poważnych rozdzwieków w tej sprawie pomiędzy Aliantami. Niby nic zasadniczego,
proceduralne utrudnienie, wymiana not, korespondencja, gra na zwłokę, urzędowa formalistyka...
Tymczasem tu u nich sytuacja stawała się niepokojąca. Już dawno trzeba było wstrzymać akcję
przemieszczania Niemców do punktu repatriacyjnego w zabudowaniach przydworcowych. Potężna
hala fabryczna nie na-

380

1 się do opalania, próba ustawienia w niej wielkich daksowników zawiodła: grzały tak długo, jak długo
się ich paliło. W barakach, gdzie ścieśniano Niemców, rów-w była bieda z opalem. Zielniak postawił
sprawę ostro: pierwszym planie zaopatrzenie w opał elektrowni, 113 drugim ogrzewanie punktu

przesiedleńczego. Nawet gdyby stanąć miał któryś z produkujących zakładów. Dołączały się kłopoty z aprowizacją. Utrzymanie Niemców spadało w tej sytuacji niemal całkowicie na barki polskie. Samo mleko dla małych dzieci...

Ze zżymnięciem spostrzegł się, iż ciągle wygląda przez okno. Tym się niczego nie zmieni. Nazbyt liczyli ze Stefczykiem na spodziewaną regularność odpływu Niemców. W tej sytuacji pozostawało jedno: na wszelki sposób starać się, aby w liczbę formujących się w zwolnionym tempie transportów przesiedleńczych włączono ich miasto. Kołatać do województwa, alarmować... W tym właśnie sęk. Alarmować — znaczyło wskazywać, że się zabrnęło w ślepią pułapkę. Tam już i tak zapewne krzywią się, wydziwiają, pogadują o zbytnej nadgorliwości.

Znów potarł dłonie. Od czasu obozu stały się tak wrażliwe na zimno. Kiedyś, przed wojną, bez rękawiczek chodził w największy mróz... Przeholowali ze Stefczykiem? W czym w końcu? Zabezpieczyli Niemcom humanitarne traktowanie, wyżywienie, opał, opiekę lekarską, ochronę milicji. Cackają się z nimi jak ze zgniłym jajkiem. A że skoszarowani? Bez ograniczenia swobody poruszania się! Każdego ranka ruszają z dworca na miasto całe gromady. Niektórzy chyłkiem przeprowadzili się z baraków do znajomków nadal pozostających w mieście. Patrzyło się na to przez palce. Więc gdzie przesada? Bezpieczeństwo w mieście poprawiło się znacznie. Mniej zagrażają odwetowe knowania grup niemieckich, KUF z rzadka najwyżej da znać o sobie ulotką, napisem. Akcja szczeniaków, niedobitków z Hitlerjugend... Można by całą sprawę traktować w kategoriach sukcesu, gdyby transporty odchodziły regularnie. Jeśli nak ustaną aż do wiosny, a krążą już takie słuchy, wtedy naprawdę okaże się, iż wzięli na siebie ciężar nad siły.

381

Blisko pół roku karmić, ogrzewać, leczyć ich wszystkich na koszt miasta? Tego nie wytrzyma budżet i tak wiązany na słowo honoru.

Wsunął się do gabinetu młody urzędnik.

— Dzień dobry, panie burmistrzu. Zimno dziś. Na jutro będziemy już mieli drzewo, pojechał ciągnik do lasu... Jest kłopot. Wczoraj udało się babę spławić, ale dziś nachodzi nas ta Niemka od samego rana, nie daje sobie niczego wyperswadować. Koniecznie chce mówić z panem burmistrzem...

— Jak się nazywa? — przymknął oczy, na pewno przetoczyła się źrenicami skierka niepokoju. Czemu, u licha, tak wyczulony jest na te sprawy. Tamtej dawno już w mieście nie ma...

— Zaraz zobaczę... Erna Schulmowsky... Więc co z nią robić?

— Proszę ją wpuścić.

Uczuł, jak wali się na niego ogromne, nad siły brzemię. Nagłym nawrotem przyplęły skotłowaną falą najróżno-rodniejsze odczucia. Wszystko: obóz, pasja jakiejś na pół realnej pomsty, pragnienie rewanzu za tamtych maltretowanych, zabijanych, podlonych. Osobista nienawiść, skierowana nie wiedzieć czemu przeciwko temu jednemu naz: wisku, które w miarę upływu czasu przestawało dawać wyobrażenie konkretnej osoby, stając się symbolem wszelkiego zła hitleryzmu. Może i zdradzająca się miłość do miasta, które zarazem było także miastem tamtego, powodowała pogłębianie się

pragnienia, żeby pracą, wysiłkiem, trudem budowania nowego kształtu życia wymazać bez reszty to, co nosiło piętno takich jak ów esesman. A jeszcze ta kobieta, ślepy traf losu, najgłupszy przypadek. Może lepiej było szczeznąć wtedy pod płótem, niżeli jej właśnie zawdzięczać życie. Tamten ranek zakończony ucieczką... Led--wie zatarł w sobie silne wrażenie, powierzchownie zaledwie, takiej zadry bez reszty nigdy nie można usunąć, poczucie winy i wciąż żywego uświadomienia sobie, iż niedaleko, na Kwiatowej sześć, mieszka ona, Erna Schulmowska, zatarł z jej wydatną pomocą, dzięki usunięcia się jej niespo-

382

us a

cie.

tego miasta. I oto cały mozolnie budowany gmach dzianie z wywraca siQ nagie, odżywa najboleśniej i naj-dystans wstydliwie Czego, na Boga miłego, chcieć może

barkdZbieta od niego? Czemu ma stawić czoła?

13 }a już przed biurkiem. Wskazał ręką na krzesło,

Siadamiając sobie, że czyni to odruchowo, jak nadpsuty Tmat. Patrzył na nią. Ona też przyglądała mu się uparte °jakby zawzięli się, aby możliwie najdłużej wytrzymać na sobie wzrok przeciwnika.

ładna wciąż była, choć znaczyły się na niej trudy powojennego okresu. Cienie pod oczyma, wychudłe policzki, nerwowość w zachowaniu. W słońcu spływającym przez okno widział jej włosy, opadające na kark, przysłaniające uszy. Niżej... cóż, że suknia pod szyję, zapięta starannie, kiedy znowyż pamięta... Ten szlafrok, nie dopinany z reguły, ciemniejący przedział między piersiami, zapach jej ciała, wtedy, gdy się schylała nad nim, rannym i chorym.

_ Czym mogę pani służyć, pani Schulmowsky? — wykrztusił, zdając sobie sprawę, że głos jego brzmi cicho i charkotliwie.

— My się znamy. Nicht wahr, Herr Biirgermeister?

Słowa zabrzmiały chropawo. Czy również pod wpływem

uczuć w niej się przelewających? Jakich? Też nienawiści?

Nie odpowiedział od razu. Zapragnął koniecznie, ale to koniecznie przypomnieć sobie jej "głos z tamtych dni... Po chwili dopiero otrząsnął się, dostrzegając jej uważne, wyczekujące wejrzenie. Osobliwe, jak ona spokojnie, na zimno przypomina to, co w jakimś stopniu, choćby najlżejszym, musiało przecież i dla niej stać się przeżyciem.

Skinął głową, przytakując jej słowom. Wydało mu się, że odetchnęła z ulgą. Zresztą nie był pewien, nie umiał wgłębić się we wnętrze tej kobiety, była dla niego czymś kompletnie zamkniętym. I zaraz powiedział, może nawet zbyt ostro:

Przepraszam, o ile wiem, pani opuszczała to miasto. Można wiedzieć, gdzie pani przebywała?

— Och, to pan jednak wiedział? Interesował się pan moją osobą?

— Byłem komendantem milicji, interesowało mnie to wodowo. W odniesieniu do każdego, nie tylko do pani...

— Ach, so... Gdzie byłem? W Niemczech. Niedługo, dwa tygodnie. Potem mając Fliichtlingspass wróciłam nach Pom-mem. Od tygodnia znów jestem w tym mieście.

— Po co pani wracała, po co?

— Tam było źle. W Niemczech jest teraz ciężko, ciężej niż tutaj. Po co wróciłam? Nie wiem, naprawdę nie wiem. Od mojej dalekiej rodziny spotkały mnie przykrości, to najpewniej było przyczyną. Na męża już nie czekam, może zginął, może znajduje się w niewoli, może w ogóle nie chce o mnie pamiętać. Pragnę pozostać tutaj, jak długo można. Potem wyjadę, przesiedleńcami zajmują się tam troskliwiej niż prywatnym uciekinierem...

Myśl pracowała intensywnie. Ona kłamie. Inny jest cel jej powrotu. Związany z osobą męża. Z Schulmowskim. Wie, że tamten nie zostawiłby jej... W obozie, gdy był pijany, pokazywał blokowym czy kapo fotografii, zwierzał się, iż boi się, czy go żona nie zdradza. Ona wie o tym, więc czemu wróciła?

— Nie mówi pani prawdy.

— Wyjadę stąd którymś z ostatnich transportów. Nie powróciłam na stałe. Pan znał mojego męża?

Nagle padło to pytanie, cios zdradziecki, wymierzony okrutnie celnie. Ona świetnie pamięta, wszystko pamięta. Przesłuchiwana była przez Pędzika i innych na temat swojego męża. Obecnie kojarzy fakty. Ale tu spudłowała fatalnie. Cokolwiek spowodował wypadek, nie uczyni go ślepym na pewne sprawy. Tym jednym zdaniem przywróciła mu spokój, mógł już być zimny, myśleć i kalkulować bezbłędnie.

— Znałem. To był zbrodniarz. Mordował dla satysfakcji, mordował masowo. Słabych, bezbronnych, wycieńczonych i, co najważniejsze, niewinnych. Kat. Będzie wisiał, jeśli osiągną go ludzkie ręce, a osiągną na pewno. My, Polacy, nie wynieśliśmy nienawiści z tej wojny; jeśli nawet ona w kimś tkwi, nie chciał jej wynieść. Ale zrodziło się w nas przeogromne pragnienie sprawiedliwości. Ta sprawiedli-

nalcazuje, by mordercy zostali ukarani. Między nimi

""siedz^aia z przymkniętymi powiekami, nie wiedział, jak głęboko trafiają do niej te słowa.

Nie wiem, co robił mój mąż, czym był, nie widzę powodu aby zaprzeczać pana słowom, ale również nie mam odstaw, aby im wierzyć. Nie wiem, co dzieje się z moim mężem, ale wierzę mocno, że nie dostanie się on w pańskie ręce Herr Biirgermeister! Nie przyszłabym tutaj, gdybym nie była do tego zmuszona. Pierwszy raz tutaj się zjawiam, choć wiedziałam, kim pan jest i co tutaj robi... Pamięta pan, samochodem podjechał pan pod nasz dom, udałam wtedy, że nie poznaję pana. Ten dom teraz zajęty jest przez Polaków. Pomogłam panu kiedyś, nie chcę podkreślać ryzyka. Nie znałam pana, pomagałam

obcemu. W imię tego proszę o zwrot mojego domu. Nie na stałe, tylko do czasu wyjazdu z transportem.

— Ten dom jest zajęty? A pani gdzie mieszka obecnie?

— U znajomych, Niemców, oczywiście. Ale oni sami mają bardzo ciasno.

Był już zdecydowany, przynajmniej w sprawie, którą widział jasno i niedwuznacznie. ^Sprzeciwiał się ulgom dla Niemców, zwalczał czynienie jakichś wyjątków, starli się o to nie raz z Zielniakiem.

— Do domu, który był kiedyś pani domem, żadną miarą wrócić pani nie może. Pani tam coś schowała, chce pani to zabrać?

— Nie.

— Zatem powtarzam. Tam pani nie wróci.

— To proszę o miejsce, gdzie mogłabym żyć z dziećmi jak człowiek, nie w ciasnocie i w brudzie,...

Milczał.

— Ja proszę w imię tamtych dni...

— Nic więcej nie uczynię dla pani, niż jest .to,'możliwe "w ramach naszej polityki postępowania z ludnością niemiecką. Nie pójdę na żaden wyjątek, nawet dla pani... — Podkreślał to z wyraźną goryczą.

~~ A zatem?

2:1 Przejaśnia się niebo t. I

383

— Proszę zgłosić się jutro rano. Przekażę pani moją decyzję. Jedyną. Innej nie będzie.

Mrużyła powieki, wyglądała na znużoną i zawiedzioną, najwidoczniej spodziewała się innych wyników swej gry? Gry? A może tu nie było gry, zwyczajna, ludzka sprawa, niezależna od jej męża, sprawa zwykłej kobiety, matki, która chce ułatwić życie sobie i dzieciom?

— Auf wiedersehen! — odrzucił machinalnie. Patrzył na jej nogi. Zgrabne, mocne, mięśnie łydek napinały się przy każdym kroku. Nadal była tak bardzo zgrabna...

Dzwonił niedługo potem do Zielniaka. Musi się z nim dziś widzieć, ma sprawę, której sam nie potrafi rozstrzygnąć, konieczny mu jest ten wspólny wieczór, godziny spędzane razem jak niegdyś...

A później, gdy od dołu znów dobiegało człapanie bamboszy Frau Kosche, gdy czas półzwierzeń i półzatajeń mijać zaczynał, Zielniak powiedział tak bardzo prosto.

— Szarpaninie wewnętrznej twojej niewiele pomogę. Nie umiem tutaj niczego uprościć. Musisz to przegryźć sam, tylko sam. Jesteśmy każdy z osobna bardzo samotni. Kiedyś może wyzwolimy się z tych doznań, przeżyć, wspomnień, obsesji. Pomogę ci natomiast znaleźć mieszkanie dla tej kobiety. Tak, abyśmy nie naruszyli zarazem ustalonych reguł, ty przynajmniej żebyś ich nie naruszył. Frau

Kosche zajmuje cały wielki parter tej willi. Wraz ze służącą. Razem z nimi świetnie pomieści się ta kobieta ze swymi dziećmi...

Lisiewicz uściskał mu dłoń w milczeniu. I zaraz wyobraził sobie, jak Erna Schulmowsky będzie stąpała w swych pantoflach, stukaniem ich przygłuszając człapanie bamboszy. Mięśnie zgrabnych łydek napinać się będą przy każdym kroku...

Zadrżał. Pojął, czym było to coś, nienazwane, nieznanne, dziwne, istniejące w nim, podświadome i teraz i przedtem, i przez cały czas znamiennej rozmowy. Odtrącane, dławione, obce, nieznośne, a przecież tkwiło, nie dawało się zagłuszyć bez reszty. Do tej Niemki czuł pożądanie jak do kobie-

386

ty właśnie do niej, do tej, która była. żoną mordercy,

zabójcy, sadysty. Boże, że też i to jeszcze danym mu było przeżywać! Ze

jeszcze i to.

Dzieciak był nerwowy, sypiał niespokojnie, a w środku nocy z nagłą wybuchnął przeraźliwym krzykiem. Trzeba było długiego korowodu herbatek, przykładania do wzdętego brzuszka nagrzonej fajerki starannie owiniętej pieluszką, a jeszcze kołysania, nucenia, by wreszcie ucichał, zasypiając spokojnie i spokój ten przynosząc także dorosłym.

Dzisiaj szybciej uspokoili małego. Gdy zasnął, spojrzeli po sobie. Zmęczeni byli, to już ósma noc z rzędu. Twarze ich zaczęły się rozjaśniać uśmiechem, w oczach zabłysło wzajemne zrozumienie.

— Jakże, Pelasia? Na co to nam zeszło na starość?

— Jaka tam starość? — obruszyła się. — Tobie ledwie się przewaliło na szósty krzyżyk, mnie dopiero pięćdziesiąty pierwszy. I lat i sił dużo jeszcze przed nami...

— Pewnie, pewnie, tak samo myślałem.

— A co jeszcze myślałeś?

— To co ty, Pelasiu. Chyba to samo. O tych, prawda? — wskazał ręką w dwa kąty pokoju, gdzie spały dwa berbecie. Pięciomiesięczne i niespełna półtoraroczne.

— Bo jej już pewnie nie znajdą? Może nie żyje? Ciekawe, co z nią się mogło stać? Tak nagle zostawiła tę kartkę i sama jak kamień w wodę. Mówił pan komendant, że nawet trudno im szukać. Niemców wszędzie pełno, są te transporty, kto tam będzie wygrzebywał coś w spisach.

— Żłobka też w mieście nie ma. A mógłby być, dla takich...

— E tam, gadasz, żłobek, wiesz ty, jak to w żłobkach

zieciakom bywa? Pamiętam, jeszcze zaraz po tamtej wojnie, w jednym takim kierowniczką głodziła dzieci. Kochan-

a miała, który chciał od niej ciągle pieniędzy, dlatego...

12 zdecydować. Ale czy nam pozwolą?

2'

387

— Nie wiem. To niemieckie dzieci.

— Co one o tym wiedzą? Mała jest Katarzyna. Może być Katchen, a może zwyczajnie Kasia. Chłopczyk Johann, znaczy się Jasiek. Nieważne, niemieckie czy polskie, ale że sieroty.

— To już naprawdę tak myślisz, Pelasia? Bo i mnie to smyka coraz mocniej po głowie. Człowiek się przyzwyczaja. Jak teraz robiłem herbatkę, to myślałem, że jeśli własnych Pan Bóg nie dał, a teraz zsyła taki przypadek, chyba nie można przejść obojętnie... Nie miałyby źle. Ogród piękny, cieplarnia, tę drugą też wykończymy z czasem, ludziom warzywa i kwiaty zawsze potrzebne.

— Widzisz więc... Na Zaduszki poszły wszystkie chryzantemy, cośmy je zdołali wyprowadzić z tych poniemieckich resztek.

— Zaduszki, wiadomo, niby na cmentarzu tak wielu jeszcze naszych nie leży... Ale przecież palili ludziska świeczki na innych, obcych grobach...

— Też ludzie. Nie wszyscy z Niemców Hitlerzy.

— Ja nie o tym chciałem, Pelasia... Na co dzień też kwiaty idą. Asparagusy, w doniczkach fikusy, oleandry, nie mówię o ciętych. Nowe mieszkania, każdy chce, żeby od kwiatka jaśniej mu było. Zaraz robi się swojsko. Źle nam nie będzie.

— To trzeba, Piotrze, nie zwlekając pójść się popytać. Pozwolą czy nie pozwolą. Chyba tak. I wtedy urzędowo to przeprowadzić.

— A jeśli odnajdzie się matka?

— Matce nie zabierzemy. Oddamy. Ale czy ona się znajdzie? Jak czyta się tę karteczkę... — Podreptała do wielkiej komody wyciągnęła z szuflady skrawek papieru. Mozolnie dukąta niemiecki tekst.

— Nie męcz się na pamięć to umiem, po niemiecku i po polsku... Píše, ona odchodzi, a nas, których poznała jako dobrych ludzi, prosi o zajęcie się jej maleńkimi dziećmi. I że zostawia i je i nas w boskiej opiece.

— Tak, wygląda, że nie wróci. Boże mój kochany, i na co jej zeszło. Dobra była dziewczyna...

_ A dobra...

Zamyślili się, przypominając sobie matkę dzieci. Pracowała u nich w ogrodzie. Właściwie przejęli ją niejako po ogrodniku Niemcu, Wilhelmini się zwał czy jakoś podobnie. Nie widzieli go zresztą na oczy, uciekł na długo jeszcze przed frontem, hitlerowiec był, do partii należał... Dziewczyna, ledwie objęli ogrodnictwo, zgłosiła się zaraz do pracy. Niedaleko mieszkała.

_Przyszła do nas już po tej strzelaninie'

_ A już. Parę dni później.

Najedli się wtedy strachu. Coś na drugi dzień po przybyciu na miejsce. Tacy byli szczęśliwi, że ledwie przyjechali, noc czy dwie tylko spędzili w PUR-ze, już otrzymali przydział. Uszom nie chcieli wierzyć, tak się im zdawało trudno w tym mieście, obco, głodnawo, a ceny na żywność były okropne, próbowali przecie dostać coś w restauracji, gospodarz trochę chleba i bułek za darmo im dał. I nagle, domek, ogród ładnie zagospodarowany, cieplarnia. Nic, że wszystko zapuszczone, zarosłe chwastami, że pokopane w ogrodzie jakieś jamy i doły...

Na drugi dzień wieczorem umniejszała się trochę ich radość. Jakieś cienie smyrgały około domu, ktoś łąził po ogrodzie, zabarykadowali się wtedy, bojąc się nosa wychylić. A potem przyszła milicja, dobijała się siłą nieledwie. No i dopiero się rozpoczęło. Strzelanina, granaty, miny, tru-Py, tyle trupów, niemieckie i polskie, w ich ogrodzie, w tym bunkrze, który tam był zamaskowany.

Tak, a Maria zjawiła się w parę dni później. Jak już uspokoiło się, można było zacząć porządki w ogrodzie. Ratowali sadzonki, które oparły się suszy; na szczęście w cieplarni sporo szyb było wybitych, tamtędy dostawała się woda. Ocalało paręset doniczek asparagusów, te chryzantemy właśnie, trochę fikusów. Ryło już z czym zaczynać... Maria im pomagała. Pracowita była dziewczyna, bo chyba dziewczyna, niby coś tam bąkała o swoim chłopie, że zginął na froncie, ale nie wyglądało, aby miał to być mąż... Tyle, ze-zmajstrował jej dwoje dzieciaków. Przynosiła je z sobą, w domu leżały, albo czasami nawet w ogrodzie, w wózku.

389

Przyzwyczaili się i do Marii, i do jej małych. Już wtedy, a co dopiero jak zaszła konieczność roztoczenia nad nimi pełnej opieki...

Kobieta wstała, przechyliła się nad kołyską. Dzieciak wyciągnął spod przykrycia tłustą nóżkę, drgały leciutko różowe paluszki.

—• Czuprynka mu rośnie, ciemnawa. A tamta to blon-dasek,

— Kasia jest ładniutka —• Piotr Pomykało do małej czuł większą słabość.

— Pewnie, że ładna. Alę Jasio to dopiero jest piękne dziecko. Jak żyję nie widziałam takiego.

Znów popatrzili po sobie.

— Trzeba iść zaraz jutro. A to postanowią jeszcze co bez nas. Może zechcą z transportem wywieźć...

— Co ty gadasz, na taki czas? Maleńkie dzieci, kto by się nimi zajął. O transportach też zresztą nie słyhać. Niedobrze ludziom dzieje się w tych barakach, ciasno mają.

— Tym Niemcom w mieście też nie zazdrozczę. Niby na swoim zostają, ale wiedzą, że trzeba będzie wyjeżdżać. Pewnie, to polskie, ale dla niektórych z nich, jakby nie było, ojcowizna. Bo jeśli tutaj się urodzili i wychowali? Pamiętasz, jak nam ciężko było Lidę opuszczać?

— Nie wspominaj, płakać będę. Na Zaduszki za grobami matki i ojca dosyć się napałam. Wiesz, po co ludzie kwiaty kładli i świece palili na nieznanym niemieckich grobach? Tak jak ja to robiłam? Myślałam, może gdzieś tam jaka kobieta też płacze, że nie może swoim świeczek zapalić... Tak jak ja. Więc zapaliłam. Może w Lidzie moim ktoś inny zapalił?

— Tak, tak, Pelasia... Ale co z małymi? Z Kasią i Jankiem?

— Jutro pójdziesz. Albo razem pójdziemy. Poproszę sąsiadkę, żeby posiedziała przy dzieciakach. Załatwimy, przecież nas rozumieją. Będziemy im ojcem i matką.

— A wiesz, Pelasia, ja już od tygodnia tkę się z takimi myślami. Nie chciałem mówić, nie wiedziałem, co powiesz, a to w końcu bardzo poważna rzecz.

390

— A ja zncwuz tobie bałam się powiedzieć. Dopiero dziś tak nagle się zrozumieliśmy.

Chłopak poruszył się, zagadał przez sen. Podbiegli oby- . dwoje, troskliwie schylili się nad łóżeczkiem.

_Pewnie brzusek ma wzdęty?

_Nie, zimno mu, trzeba mocniej okryć maleństwo.

Po przedwczesnych mrozach znów chlapa, monotonna, siąpiąca mżawka, rozsnuwająca się mgłami. Miasto wstawało rankiem spowite mleczną mazią, wdzierającą się do płuc i dławiącą oddech. Dymy z kominów słały się nisko. Na ulicach błoto zmieszane z gruzem. Ruchy ludzi spowol-niałe, niemrawe.

Tyfus zlikwidowany na wsi, mackami swymi dosięgnął miasta. Tu i ówdzie pojawiały się pojedyncze ogniska choroby. Znów przystąpiono do szczepień. Brakowało środków dezynfekcyjnych, nieustannie wędrująca ciżba ludzka nie ułatwiała zogniskowania choroby. Z baraków zajmowanych przez przesiedleńców niemieckich kilka osób zabrano do szpitala. Lekarze podnieśli alarm.

Z opałem sytuacja stawała się całkowicie tragiczna. Z lasów nie sposób było wywieźć zapasów drewna, drogi rozmiękły, wozy grzęzły w błocie po osie. Na domiar z transportem wciąż było krucho. Miasto dysponowało minimalnym taborem. Prywatni przedsiębiorcy przewozowi dyktowali dowolne ceny. Na Śląsk nie można było liczyć, zrujnowany kraj potrzebował nieodzownych materiałów inwestycyjnych, jedyną walutą chętnie widzianą stawał się w zagranicznych płatnościach, węgiel. Problemem stało się zdobycia go choćby w takiej ilości, by funkcjonować mogła elektrownia i przemysłowe zakłady. I baraki dla przesiedleńców, eo podkreślał z nieodmiennym naciskiem starosta Zielniak.

Jak wybawienia oczekiwano sygnału oznajmiającego odejście następnego transportu. Zachodni alianci stawiali ponoć opory, strefa okupacyjna radziecka nie mogła przyjąć naraz tak olbrzymiej masy ludności.

391

Wlzło interweniował na wszelkie sposoby. Jeździł do województwa i do Warszawy. Wracął przybity, nie udawało się sprawy pchnąć naprzód. Monity Zielniaka pozostawały bez echa. Nawet Lisiewicz przygasał w swym entuzjzmie dla Stefczykowej koncepcji szybkiego rozwiązania niemieckiego

problemu. Cóż z tego, że w samym mieście było spokojniej, gdy zarazem miasto to ugięło się pod ciężarem opieki nad skoszarowanymi Niemcami. Celu przy tym nie osiągnęli, przesiedlanie musiano przerwać, ponad tysiąc Niemców nadal zamieszkiwało w mieście. Pociągi wyładowały tymczasem coraz to nowe grupy osiedleńców. Narastała fala repatriacyjna zza Bugu, zaczęli przybywać reemigranci z zachodu, nieprzerwanym nurtem płynęły grupy osadnicze z Polski centralnej. Brakło już mieszkań, remonty szły opieszale, nie było materiału ani fachowców. Mało kto kwapił się do przygotowywania sobie locum na własną rękę, wygodniej było przychodzić na gotowe. Dołączały się kłopoty z aprowizacją. Nie wszystkie kupony kartek żywnościowych zostawały zrealizowane. Występowały okresowo dramatyczne braki cukru, mąki, tłuszczów. Na wolnym rynku ceny rosły zastraszająco. Najwyraźniej przybliżał się moment krytyczny.

Starostwo, zarząd miejski, komitety partyjne, bo obok PPR-u powstały w mieście organizacje PPS-u i SL-u, rady narodowe, stawały wobec trudnego egzaminu. Normalna praca raz jeszcze przekształciła się w partyzantkę, improwizacją zastępować trzeba było normalne urządowanie. Niejedna konieczna przecież decyzja stawała często na granicy kolizji z prawem. Każdy sukces okupiony był szalonym wysiłkiem.

I wtedy, w obliczu trudności, często zaskakiwała postawa mieszkańców. Jakby z nagłą skurczyła się liczba cwaniaków i wydrwigoszów. W fabryce pracowano na dwie, a i trzy zmiany: gdy brakło surowca, szukano środków zastępczych, zmieniano profil produkcji. Stołówki zakładów pracy i urzędów, w skromnym tylko stopniu zaopatrywane z oficjalnej puli, w niewiadomy sposób organizowały* własną dostawę. Niskie płace, nieregularne na domiar, nie odstra-

392

szwały, byle tylko istniał przydział chleba, czasem jeszcze rozdzielnictwo tekstyliów. Wtedy to na ulicach powszechnie zapanowała płaszczowa jodełka, materiał rzucony wyjątkowo szczodłą dłońią. Ludzie zacierali grabieżące ręce, nabierali mocniejszego oddechu. Nic to, zima musi być ciężka, pierwsza powojenna zima, byle do wiosny, dopiero ruszy wszystko z kopyta.

Z kraju nadchodziły obok radosnych także mocno niepokojące wieści. Trwały walki domowe, mnożyły się ofiary. Południowo-wschodni cypel kraju objęty został formalną wojną. Niebezpieczne stały się tereny Lubelskiego i Białostockiego. Propaganda z zewnątrz działała przeciw krajowi, zwłaszcza gwałtowność ataków na ziemi nadodrzańskie i północne szerzyła w niejednych kręgach nastrój tymczasowo-wości. Zdarzali się przesiedleńcy, którzy nie rozpakowywali walizek, po co, skoro odmiany należało ponoć oczekiwać każdego dnia? Różnie pogadywano po kątach, każda bajka znajdowała posłuch, wszechwładną zaczęła się stawać nie-, pewność. Na domiar wszystkiego panoszył się strach...

Stefczyk wyseparował się z wszelkich poczynań administracji, komitetów partyjnych, rad narodowych. Prowadził własną politykę. W mieście zaistniały jakby dwa ośrodki dyspozycyjne. Zwłaszcza komendanta milicji Pędzika stawiało to w trudnych sytuacjach, gdy zlecenia w tej samej sprawie bywały przeciwstawne, zależnie od nadawcy.

Po aferze z kradzieżą obrazów z kolekcji krakowskiej nastął sądny dzień dla właścicieli sklepów, komisów, rzemieślniczych zakładów. Postać Maciaszka w wyobrażeniu Stefczyka przerodziła się w wielogłową hydrę. Rewizje, przesłuchania, areszty stanęły na porządku dziennym. Niektórzy kupcy

sami zaczęli zamykać sklepy i wynosić się do innych ośrodków, gdzie istniały znacznie przychylniejsze warunki.

Zrozumcie, towarzyszu, w naszej sytuacji pomoc prywatnego sektora jest nieodzowna. Jeśli się trafi jeden czy drugi łobuz, to w ogólnym rachunku... — perswadował przy jakiejś-okazji Zielniak.

~~ To po tośmy kapitalizm zlikwidowali, aby go teraz

393

wspierać? Ja tych hyclów wytępię do cna. Nowego ustroju nie zbuduje się bez ofiar i bez wyrzeczeń.

— Sloganami gadacie.

— A wy szerzycie defetyzm. Uważajcie, starosto.

Nie miało najmniejszego sensu szukanie wspólnego języka. Jeśli nawet Wlazło, na płaszczyźnie partyjnej, jako sekretarz komitetu, nie umiał sobie ze Stefczykiem poradzić...

Tak samo uparty był szef bezpieczeństwa w sprawie niemieckiej. Zwłaszcza że KUF wznowił swoją działalność, a aresztowania pośród niemieckich szczeniaków ciągle nie zezwalały dotrzeć do jądra organizacji. Pojawiały się napisy na murach i płotach, krążyła drukowana antypolska ulotka, zapowiadająca rychłą odsiecz z zachodu. Do biura ewidencji mieszkańców w zarządzie miejskim ktoś wtargnął nocą, zalewając akta gryzącym płynem. Części z nich nie zdołano już odratować. W hucie szkła nie udały się dwa wytopy, ktoś zafałszował w kotłach proporcje. Aresztowano kilkunastu spośród pracujących tam Niemców. Nie pomogło, po paru dniach zatłkane przewody kominowe spowodowały wyziębienie kolejnego wytopu. Wytwórni octu i soków zaczęło brakować butelek...

W odpowiedzi któregoś ranka wózki niemieckie znów pociągnęły w kierunku dworca, a tłum interesantów obiegił biura zarządu miejskiego. Trzeba było aż interwencji Wlazły i Zielniaka we władzach wojewódzkich, aby anulować samowolne zarządzenie Stefczyka.

Wtedy to zjechała specjalna komisja dla spraw przesiedleńczych ludności niemieckiej. Piekło rozpętało się w starostwie i w gabinecie burmistrza. Miasto nie otrzymało nakazu organizowania punktu ewakuacyjnego, to było działanie na własną rękę. Akcja przesiedleńcza uległa silnemu przyhamowaniu, nieliczne transporty wysyłane są z miejscowości o szczególnie newralgicznym znaczeniu. Nie wcześniej aniżeli na wiosnę spodziewać się należy nasilenia wyjazdów.

Lisiewicz załamał się, w ogóle zresztą ostatnio, spostrzegali to wszyscy, zagasły jego energia i zapał, urzędował

394

jedynie siłą rozpędu. Próbował się bronić, przeciwstawiając sądom komisji własne swe argumenty.

— Słuchajcie, burmistrzu, może wam to wystarczy? — jeden z przybyłych wyciągnął wtedy z teczki odbity na * szapirografie biuletyn wewnętrzny, cytujący głosy prasy zachodniej na temat rozwiązywania przez Polskę spraw

przesiedleńczych.

Czytał ze wzrastającym oburzeniem. Jakaś gazeta z Kolonii rozpisywała się o polskim okrucieństwie, o mordach dokonywanych na ludności niemieckiej, o nieludzkich warunkach w czasie transportów, o tworzeniu obozów koncentracyjnych, głodzeniu, chłodzie, masowym wymieraniu dzieci, braku jakiegokolwiek opieki lekarskiej...

— Co za ohydne łgarstwa!

— Czytajcie dalej, burmistrzu.

Znalazł ustęp, o który tamtemu chodziło. Związany z ich miastem, malujący w czarnych barwach sytuację w punkcie przesiedleńczym. Że głód, choroby, rewizje, napady, rabunki. Że ludność niemiecka dziesiątkowana. Gwałty na kobietach. Maltretowanie, bicie, wszelkie możliwe szkandale... Że nie skoszarowana część ludności ma też nie lepiej. Mordy są na porządku dziennym, osiedleńcy polscy w ten sposób zagarniają najlepsze mieszkania. Milicja nie reaguje, często wspomaga czynnie, niedawno przy jej pomocy wymordowana została w ten sposób rodzina fryzjera znajdującego się teraz w strefie angielskiej Niemiec.

— Od początku do końca nieprawda! — zakrzyknął.

Spokojnie, kolego. My wiemy, że to nieprawda, prowokacja. Ale niech to wam posłuży za dowód, jak musimy postępować oględnie, uważnie, ostrożnie. Tam się czyha na każdy nasz błędny krok. Rozpisuje się o nim prasa w strefach Trizonii, powtarzając te brednie nieprzychylne nam koła w państwach zachodnich. To perfidna polityka skierowana przeciw tym ziemiom. Myślicie, trudności z przesiedlaniem, różne formalne zahamowania, nie zradzają się także

. J* takich pogłosek? Zorganizowaliście wasz punkt prze-Ale *C/1Czy' zachowaliście wszelkie humanitarne warunki.

e tek w propagandzie nam wrogiej widzicie jaki? Szu-

395

kają byle pretekstu. Każdego dnia mogą zjechać do was obserwatorzy...

— Niech zjadą.

— Ba, jeśli by się dało, sami ich podeślemy. Na głównych punktach przesiedleńczych roi się od nich. Nam to jest bardzo na rękę. Ich świadectwo staje się najlepszym dowodem właściwego traktowania przez nas problemu. Na ogół są bowiem uczciwi, choć zdarzają się i wyjątki... Teraz pojmujecie, jaki błąd popełniliście?

— Liczyliśmy na szybko po sobie następujące transporty.

— Województwo przestrzegało was przed pochopnością w tej kwestii.

Spnięcia w rozmowie ze Stefczykiem były podobno znacznie ostrzejsze. Obie strony pozostały nie przekonane. Komisja opuściła miasto jeszcze tego samego wieczora.

A w dwa dni później nadeszło zlecenie przygotowania dwóch pełnych transportów. Dla rozładowania tłoku na punkcie przesiedleńczym. Gdy Zielniak podniósł w swym gabinecie słuchawkę, usłyszał rozradowany głos Stefczyka:

— No i co, wielki humanitarysto? Na czyje wyszło? Pozbędziemy się Niemców prędzej niż inne miasta, będziemy mieli spokój. A te wasze inteligentkie wzdragania funta kłaków nie warte.

— Nie jestem pewien.

— Ale ja jestem pewien. W ogóle macie za miękką rękę, Zielniak. Pewnego dnia może się to obrócić przeciw wam. Aha, i zwróćcie uwagę na swoją sekretarkę i nie tylko na sekretarkę. Otrzymałem meldunki nie bardzo...

Trzasnął słuchawkę w widełki. Jeszcze do Haliny będzie się czepiał, mało mu Niemców, mało prywatnych kupców i jeszcze nie wiedzieć kogo. Gotów ponownie zamknąć dziewczynę...

Zasepiony szukał wyjścia z sytuacji. Przygnębiła go niedwuznaczna groźba zawarta w tonie Stefczyka. Unikał starć z tym człowiekiem, ale przy sprawowanej funkcji było to niemożliwe. Jeszcze w tak trudnym terenie. Miasto zburzone w osiemdziesięciu procentach. Przez powiat przeszła linia frontowych działań. Improwizuje się w każdej

396

dzielnie, wszystko zaczyna od nowa, Nastraszeni trudnymi warunkami ludzie zaczynają coraz liczniej uciekać. Pogmatwały się ludzkie losy w czas wojny, w końcu niemal każdemu można było coś zarzucić. Rzecz w tym, by nie stać się małostkowym... Czy na dalszą metę współpraca ze Stefczykiem w ogóle będzie możliwa? Coraz częściej opadają bezradnie ręce...

W takim minorowym nastroju zastał go Wlazło, zapowiadając się z dłuższą wizytą. Zjawił się zaraz po powrocie ze Szczecina, dokąd wyjechał wraz z komisją. O transportach niemieckich już wiedział.

_Niełatwo poszło, nawet w zaistniałej sytuacji... Są

pewne nadzieje na jeszcze jeden transport. Tak, aby całkowicie opróżnić baraki. Ale z pozostałymi Niemcami poczekamy dobre pół roku.

— W końcu więc Stefczyk postawił na swoim... Bo Lisiewicz zdaje się wycofywać z tej całej zabawy. >
— Niepryncypialny, powiedziałby Stefczyk — uśmiechnął się Wlazło; zaraz spoważniał. — Nie wieszajmy wszystkich psów na tym człowieku. Opowiadano mi o nim niejedno, przeglądałem niektóre materiały dotyczące jego życia. To w sumie naprawdę wartościowy człowiek. Na pozór może to wydać się dziwne, ale przy tym o miękkim niekiedy sercu. A że dogmatyk? Wyrósł w walce, w szczególnie ostrej walce. Stary towarzysz, zawsze wysyłany na najtrudniejsze odcinki, gdzie trzeba było interweniować, działać rąbaniem na odlew. Przeszedł niejedną osobistą klęskę, więcej, tragedię. Stąd jego może zbyt jednostronne widzenie. Okazuje się, zresztą nie wyłącznie w jego przypadku, że nie zawsze ofiarny rewolucjonista, człowiek walki, potrafi się przestawić na pokojowe działanie. Wtedy następuje znów klęska. Stefczyk nie pojmuje naszych zastrzeżeń. Jest przekonany, że postępuje słusznie, a nasze wzdragania to inteligentkie, mieszczańskie fochy, wpływ ta^ geologii. On ciągle walczy, zapominając, że walka a Przybrała teraz inne formy. Że jesteśmy u siebie. A to zasadnicza różnica...

— Z.,rda, być może jest tak. Trudno mi się od razu przekonać. Rzecz w tym, że jego zasada widzenia powoduje nieustanne starcia, praca ulega zahamowaniu.

— W tej sprawie przychodzę. Musimy się naradzić. Z tym, że podam wam do- wiadomości decyzje poufne. Nie chciałbym sam przesądzić idących za tamtymi decyzjami dalszych rozstrzygnięć. Znać teren lepiej niżeli ktokolwiek inny. Potrzebna jest wasza rada. — Zaniżył teraz głos niemal do szeptu. — Stefczyk i Lisiewicz w najbliższych dniach odchodzą ze swoich funkcji.

— Stefczyk i Lisiewicz? Za tą niemiecką historię?

— Lisiewicz za niemiecką, Stefczyka sprawa jest szersza. Znamienne jak inaczej potoczyły się w kraju niektóre procesy, niż można się było tego spodziewać. Oczekiwaliśmy szczególnie trudnej sytuacji na ziemiach zachodnich. Nieustanne przelewanie się masy ludzkiej, hitlerowska dywersja, i jeszcze inne sprawy, wszystko to wskazywało, iż będzie tu najgoręcej. Tymczasem witalizm społeczny przerósł oczekiwania, proces zasiedlania i asymilacji tych ziem, nie tylko w administracyjnej formie, przebiega nad wyraz dobrze. To co na minus, jest nieodłącznym wynikiem okresu i sytuacji. Gorzej dzieje się w niektórych dzielnicach starego kraju. Różne orientacje, zawiedzione nadzieje czy osobiste ambicje sprawiają, iż wzmagają się natężenie walk domowych. Rzeszowskie z częścią Lubelszczyzny w ogniu. W boju są regularne formacje wojskowe...

— Tam by się Stefczyk nadawał.

Wlazło uśmiechnął się.

— Tego już może nie powinienem wam mówić. Ale skoro wpadliście na trop... Stefczyk zostaje przeniesiony na placówkę właśnie w Rzeszowskie. Równoległą do zajmowanej tutaj. Będzie mógł zapisać sobie ładną kartę, odpadną mu wszelkie konflikty, z jakimi szarpał się tutaj, nie zawsze umiając sobie z nimi radzić. Zresztą, w sprawie Stefczyka nie mamy nic do zrobienia. Następcę jego przydzielą tutaj właściwe czynniki. Ważniejszy jest problem Lisiewicza i jego urzędu.

__ Szkoda mi Gienka. Zaskakuje mnie decyzja w jego sprawie. Jedyne błęd, to kwestia niemiecka. Uległ tutaj namowom Stefczyka.

__ Wyście nie ulegli. Grunt był podatny. Może i nasza w tym wina. Zapomnieliśmy o jego szczególnym uwrażliwieniu na problem Niemców. Z obozu koncentracyjnego wyniósł silne kompleksy. I kto wie, ale chyba nie na tej funkcji należało je rozładowywać.

_On jest ambitny. Degradacja może go sporo kosztować. Nie wiem, jak to przyjmie. Ostatnio znajduje się w szczególnie złej formie. Nerwowy, spala się po prostu wewnątrz. Dołączyły się przejścia osobiste, również związane z tym obozowym kompleksem... Z tego miasta pochodził jeden z najgorszych sadystów i zbiorów esesow-skich w obozie. Lisiewicz zetknął się tutaj, jeszcze w pierwszych dniach po przejściu frontu, zanim przybyła nasza ekipa operacyjna, z rodziną tamtego drania... Dosyć, że boję się o niego, ta degradacja...

— Stop. Decydowali w jego sprawie też ludzie. Moje zdanie również wchodziło w rachubę. Tak dalece, że zostawiono nam całkowicie wolną rękę w daniu satysfakcji Lisiewiczowi i zwolnieniu go z urzędu burmistrza w sposób nie przynoszący ujmy. Podobnie otwarta jest kwestia znalezienia funkcji, najbardziej odpowiadającej jego uzdolnieniom i umiejętności działania. Trzeba pamiętać, jak wiele uczynił Lisiewicz dla tego miasta.

Zielniak odetchnął. Prześladowało go pytanie, czy sam zbyt gwałtownymi protestami w sprawie niemieckiej nie przyczynił się do obecnej sytuacji przyjaciela. Jeżeli jednak Włazło tak stawia sprawę...

— Dobrze, ale jak to uczynić? Co on tu mógłby robić?

Z zawodu, zdaje się, jest nauczycielem?

— Tak.

— Więc może szkolnictwo?

~~ przecież nie wydział oświaty, ani u mnie, ani w za-deg d miasta" Tu wyraźnie zarysowałyby się właśnie ta

399

— A gimnazjum? Dyrekcja?

— Jest przecież profesor Zawilski?

Włazło tarł czoło. Z nagłym przebłyskiem w oczach spojrzał na swego rozmówcę.

— Zostanie wszakże vacat na miejscu burmistrza? Gdyby przesunąć tam Zawilskiego? Profesor, niewątpliwy autorytet, wbrew spodziewaniu okazał się nader dobrym organizatorem. Co wy na to?

— Zawilski burmistrzem? Chyba nie.. Zaraz, zaraz w pierwszej chwili to zaskakuje, ale właściwie, kto wie.. Lisiewicz jako dyrektor gimnazjum byłby może zadowolony. Nieraz wspominał o powrocie do swego zawodu

— No to rozwiązaliśmy problem Teraz kwestia bardziej drażliwa Stefczyk zostaje przeniesiony służbowo na równorzędną funkcję, zresztą to sprawa ściśle wewnętrzna. Ale Lisiewicz? Dobrze byłoby spowodować, aby sam zrezygnował z urzędu, motywując to jakimkolwiek pretekstem Choćby pragnieniem powrotu do dawnego zawodu Sam wolałbym mu tego nie proponować Za mało się znamy. To musi być zrobione z taktem, serdecznie. Słuchajcie, Zielniak, tylko wy potrafilibyście to uczynić.

— Spodziewałem się tej propozycji Bez entuzjazmu, ale przyjmie. Na dość osobliwy sposób, wszakże przyjaźnimy się z Gienkiem. Trochę wspólnie przebiegowaliśmy. Spróbuję.

Włazło jeszcze coś sobie przypomniał

— Zupełnie wyleciało mi z głowy Ważna wiadomość. W początkach grudnia rozpocznie się proces grupy niemieckiej, która zamordowała Florczaka.. W związku z naszym miastem, w oparciu o znane wam fałsze, w okupacyjnych strefach zachodnich Niemiec podniósł się krzyk, jacy to Polacy

okrutni, gdy Niemcy dla przeciwwagi potulni są jak baranki Proces stanie się najlepszą odpowiedzią, ukazującą prawdę bez żadnych osłonek

— Nareszcie, bo już nie mogłem pojąć przeciągania tej sprawy.

— Okazuje się, że był w tym jakiś sens.

400

2.

Trzęśli głowami: co za klimat, zupełnie inny niż a nas.." Nieważne, czy myśleli wtedy o zabużańskich terenach, j Kielecczyźnie czy o Lubelskiem. Wszędzie było inaczej. Bo chyba nie trafili na taki rok wyjątkowy? W październiku ulewy, nieustanne deszcze, wylewały rzeki, zjawiała się powódź. W listopadzie mrozy, aż ziemia trzeszczała, lodem skuwało wody. A potem, w połowie miesiąca, odmieniło się nagle, i tak trwało do grudnia: ciepło, przyjemnie, deszcze niekiedy jakby majowe, trawa zaczynała się od nowa zielenić, a na wsi, po początkowym zadziwieniu, kto żyw pchał się do orki.

Zdarzały się dni nieomal parne. Jak tej środy, łatwo ją potem pamiętali, bo wtedy właśnie nadeszły dla pracujących paczki unrwowskie. Zaroiło się od dźwigających szare kartony z chrzęszczącymi w środku pudełeczkami. Przysta-» wali, ścierając pot z czoła. Ciężkie takie czy co?

Słonecznie było, z rzadka tylko na krótko mroczyło, spadał niegroźny deszcz, chodniki i jezdnie prędko znów wysychały. Od zachodniej jedynie strony czerniała nad horyzontem wielka chmura, tkwiła tam od samego rana, znieruchomiła, jakby zastygła.

Aż dopiero około trzeciej, gdy miasto zapełniło się uszczęśliwionymi z dźwiganych paczek i zawistnymi, którzy ich nie otrzymali, chmura śpiąca nad horyzontem ruszyła z miejsca. Wraz z wiatrem, który podniósł się niepostrzeżenie, a potem jął narastać, szedł gwałtownymi podmuchami, jeszcze ucichł, jakby dopiero wzbierał w siłę, aż zaczął dąć nieprzerwanie, mocno, wciskał się z wyciem pomiędzy ruiny, przemiatął między okiennicami ocalałych domów, ludzi z nóg omal nie zwał. Chmura rosła, pęczniała. zbliżała się coraz bardziej, już słońce nakryła mro-aem, granatem zrudziałym barwiona po brzegach, obwi-Sająca Coraz niżej i niżej nad ziemią.

Za P'erszym razem większość sądziła, że to wojsko wy-

Przejaśnia się niebo t. I

401

sadza pociski pozbierane po lasach. Ekipa saperów osiadła w majątku pod miastem, nigdy bowiem nie próżnowała Dopiero gdy grzmot się powtórzył, przeciągnął niespokojnym dudnieniem, każdy już pojął: burza. W grudniu, Chryste, zmiłuj się! Chyba tylko już kara boża.

Wiatr wzmógł się, nie sposób było iść normalnie ulicą kto żyw szukał dla siebie osłony. Ruiny stały się niebezpieczne, ruchliwe, siaty ziomekami kamieni i cegieł, z łomotem runął kikut sterczącego samotnie wśród rumowisk komina, gdzie indziej zerwał się nadwątłony balkon, nie opodał starostwa cała ściana grzmotnęła o bruk, krótko po tym, jak u jej podnóża przejechał ciężarowy samochód. Wiatr był

ciepły, oddech dławiło. Nie ustawał, dął tak długo, aż nadpędził chmurę dokładnie nad miasto. I wtedy urwało się nagle szaleństwo wichury.

Zastygła cisza. Na minutę, na dwie, nikomu do głowy nie przyszło, by sprawdzać. Gołębie zakołowały spłoszoną gromadką. Jakiś zastraszone kot miaucząc smyrgnął ulicą. Rozpłakało się dziecko. Każdy z tych odgłosów jakby silniej podkreślał ciszę. Wiatru ni śladu. Spokój, tyle że ciemno, grozą ciągnie od spłaszczonego ponad głowami ciemnego nieba.

Ostry, rozjaśniony błysk. I zaraz dudniący, przeciągły grzmot. Znowu piorun, i jeszcze, i znowu, i dalej, bez przerwy nieomal, jak i dudnienie nieba zlewające się w kanonadę, zupełnie jak ostrzał artyleryjski.

— Boże, miej nas w swojej opiece.

W kilku oknach pojawiły się gromnice. W ciemnię zastygłą pod czarną chmurą rzucały migotliwe światła.

— Jasna cholera, żeby burza w początkach grudnia?

— Nie kluj, Józek, w burzę nie wolno.

— A kiedy indziej to nic nie szkodzi?

Trzask silniejszy od poprzednich, wielki rozblask nad całym miastem. Trafiło w linię wysokiego napięcia, wiodącą do odlewni żeliwa. Drugi trzask o metalicznym po-dźwięku. Zygzakowatą linią spłynął piorun na tonący szczytem w chmurze komin nieczynnej, zrujnowanej cegielni.

Rozpętało się zupełne szaleństwo. W zastygłej ciągle

402

• zy powietrza. W wysuszonej z nagła, bez kropli deszczu "mosferze. W rozpaczliwym wyciu jakiegoś kundla. W pa-^cznym kołowaniu stadka ogłupiałych gołębi. W łomocie h"acych wszędy piorunów. W kawalkadzie przetaczającej się nad ludzkimi głowami.

Budniak, z paką unrowską pod pachą, stłoczył się wraz z innymi pod osłoną bramy na pół zrójnowanego domu, o jednym skrzydle zamieszkałym, drugim szczerzącym zęby ruiną. Uspakajał przycupną obok kobietę, dygocącą jak w febrze, wybladłą, zaszokowaną niespodziewanym napadem niebieskiej furii. Ale i w nim skryta głębiej kołatała zwyczajna trwoga. Bał się tej burzy grudniowej, potężniejszej nad wszystkie letnie, jakie przeżyli. Myślał o żonie, niedomagająca ostatnio, znów była w ciąży, o dzieciach stłoczonych teraz przy matce. Zamarudzili z tymi paczkami, gdyby nie to, od pół godziny byłby już w domu.

— Straż pożarna gdzieś pojechała. Pożar musiał wybuchnąć - skomentował ktoś przeciągły sygnał prowizorycznego wozu straży pożarnej z zamocowaną na nim motopompą wydobytą spod gruzów.

Nowa seria uderzeń piorunów, spływały w dół ich wstęgi zygzakowate, przeraźliwie jasne na granatowym tle chmury. I grzmot przetaczający się, nie milknący na chwilę.

- Uspokój się pani, nic się nie stało.
- Wody jej trzeba dać...

Kobieta przycupnęła obok Budniaka dostała ataku nerwowego. Zakrywając twarz dłońmi zanosiła się przenikliwym lamentem, na poły wyciem, na poły szlochem. Ktoś zatkał uszy, było to przeraźliwsze niż grzmoty, niż uderzenia piorunów. Ktoś inny nie zważając na nic, opuścił schowek pod okapem bramy, byle dalej od tego wrzasku.

- Pali się, pali, na tej ulicy!
- Pożar! Gdzie straż ogniowa?
- Pożar, ludzie, pożar!

Kilku mężczyzn w bramie spojrzęło po sobie, dodając sobie wzajemnie odwagi. Zerwali się w kierunku, skąd wystrzelał w górę słup ognia.

Jak się od razu zajęło.

w

403

- Piorun rąbnął, dlatego. Żar mocny...

Przyśpieszyli kroku. Już się krzątało tam kilka osób,

przysunęła się gromadka gapiów, nie zważających wobec takiej emocji na burzę.

Budynek był drewniany, jednopiętrowy. Sporo tkwiło takich na bocznych uliczkach, sąsiadowały z nowoczesnymi willami, wciskały się między kamienice i dla odmiany, pośród chałupin imitowały wejściami dworki. Drewno zajęło się momentalnie, słup ognia bił w górę, szumiało, trzeszczało, jakby potrawa na olbrzymiej patelni. Przez okna z nie zajętej jeszcze przez żywioł strony jakiś mężczyzna wyrzucał meble, pościel, sprzęty domowe, inni chwyтали to, odnosili daleko na bok. Ktoś inny próbował rąbać drzwi wejściowe. Paru biegło z wiadrami, śmieszna zabawa w obliczu potęgi ognia. Zaskwierczy najwyżej, zasyczy i tyle. Gdzie straż pożarna?

Przez gromadkę skupioną opodal ognia, w momencie, gdy pierwsze olbrzymie krople pacnęły o ziemię, do grupki ratowników mordujących się z ratowaniem choć części dobytku przedarła się z krzykiem młoda kobieta:

- Mój synek, mój synek, tam, na górze!

Zadrzał kto żyw i struchlał. Na górze? Tam przecie nie ma już dostępu. Ogień bucha wszystkimi stronami, jedno tylko okno jak gdyby stawało jeszcze oporem. Jakże się dostać na piętro, kiedy w ogniu klatka schodowa, dym wali kłębami, ulewą, która teraz, jakby chmura się oberwała, osnuwała potokiem ziemię. Syczy wszystko, kipi, paruje, kisi się, tyle że słup ognia mniejszy, zduszony nawałą wody.

- Jezu, moje dziecko!

Ledwie ją w porę zdolali uchwycić, niepamiętną na nic, zamierzała rwać w ogień.

Dopiero oprzytomniał. Na pierwszy alarm matki znieruchomiał w grozie, stojąc jakby wrośnięty. Teraz odzyskał władzę w ciele. Rozejrzał się. Jedyne ratunek, dostać się jakimś sposobem do okna, z którego nie tryskały potąd języki ognia czy dymu. Gdyby tak ktoś podsadził, można

404

k, p0 okapie, są tam jakieś frymuśne ozdóbki, rękami i nogami dałoby się o nie zahaczyć...

_Tchoć pan, pomożesz — zagarnął najbliższego stojącego młodzieńca. •— Chodź pan, podsadzisz mnie tylko...

Teraz dopiero tamten zdobył się na odwagę. Żar zupełnie iekielny. Nie można złapać oddechu, tłamsi, dusi w tej samej chwili. Młody człowiek, ledwie odczuł, że szaleniec, który pcha się po śmierć, bo przecież dziecka już nie ocali, odbił się od jego ramion i zawisł uczepiony drewnianego występu, cofnął się czym prędzej do tyłu, krztusząc się i dławiąc od dymu i żaru. Przez załzawione oczy wraz z innymi patrzył w zdumieniu i trwodze. Bo ten niewielki, krępy człeczyzna już chwycił się ręką za parapet okna, już*się podciągał do wnętrza, znikał w budynku. A właśnie i tym jedynym dostępnym jeszcze oknem buchnął pierwszy kłęb dymu.

— Szaleniec!

— Spali się razem z tym dzieckiem.

— Trzymajcie kobietę, znów leci do ognia.

— Jest, jest! Ma dziecko na rękach, chwieje się. Prędzej, łapać małego, prędzej, bo nie utrzyma, wypuści je z rąk.

Kilku się znalazło odważnych. Skoczyli pod ścianę, lizaną jezorami ognia, wstrzymali oddech, może uda się wytrzymać tych parę sekund, złapać dziecko i odbiec z nim w bezpieczne miejsce.

— Uwaga, rzuca...

Opatulone kołdrą, tłącą się w paru miejscach, dziecko spadało w dół. Trafiło w ramiona mężczyzny, który zaraz się osunął na ziemię razem z drogocennym pakunkiem. Pozostali wyciągali obydwój z duszącego żaru, spod ognia.

— Zemdlał...

— Dziecko, ratujcie dziecko, kołdra na nim się pali.

Nim jeszcze je odwinęli, nim odrzucili kołdrę, nim matka

Przypadła do syna, malec rozdarł się z nagłą okropnym krzykiem, płaczem tak mocnym, że głuszył rumor czyniony Przez ogień i poszum ulewy... - ~~ 2yje, żyje...

— Boże, ale co z tamtym, co z tamtym?

405

li® | |

- Nie ma go w oknie.
- Pewnie też zemdłał...
- Jest. Ręka. Czepia się parapetu, Boże, on cały w ogniu!

Kurczowo, jakby szponami, jedna dłoń, potem druga

chwyciły się parapetu, dźwigało się w ślad za nimi i ciało. Człowiek przez moment zwiśł na oknie, głową w dół w ogniu, jak snop obłany benzyną, potem jeszcze się szarpnął, zupełnie już desperacko, przeważył ciało, runął na ziemię, świecący meteor.

Odciągnęli, zdążyli, zaraz potem budynek zaczął się walić. Szarpali Ubranie, właściwie ogień, a nie ubranie, tarzali po mokrej ziemi, w strugach ulewy.

Nadjeżdżał stary klekot straży pożarnej.

- Tamten pożar już ugaszony... Co tu? Człowiek? Nie żyje?
- Żyje, żyje, róbcie swoje, pół miasta się spali nim zaczniecie, bohaterowie...
- Lekarza dawać!
- Do szpitala!

Chwyciło kilku na ręce rozebranego niemal do naga człowieka, biegnąc starali się nie widzieć osmalonych płatów skóry na twarzy, na ramionach, na udach, ani nie wąchać odoru spalonych włosów.

- Ja go znam. To Budniak, z elektrowni.
- Budniak?
- Prędzej, prędzej...

Nareszcie, już szpital.

W chwili, gdy złożyli poparzonego straszliwie człowieka na wózek, gdy pielęgniarki zaczęły wysnuwać go z reszty ubrania, chory otworzył oczy. Wargi poruszyły się z trudem, każde słowo wydobywające się z poparzonej twarzy musiało sprawiać okropny ból:

- Dziecko, czy żyje?
- Żyje, żyje. Pan je uratował.
- To dobrze... A paczka, z UNRRY?
- Pewnie została tam, przy pożarze. Zaraz ją przyniesiemy.
- Dziękuję. Bo to dla dzieci...

406

Straci! przytomność.

Za turkotały kółka wózka, co tylko nu .7 pchanego w stro-6 ne sali zabiegowej.

W pierwszej chwili jej nie poznałam — zwierzyła się j mężowi. — Tylko te wielkie oczy zostały w twarzy. Zmieniła się w chuchro, w samą chudziznę...

_ Sam przecie widzę, Jaśka.

Nie rozumiał, że chodziło jej o co innego, o podzielenie się z nim przeżyciami ranka, gdy dziewczyna zapukała do drzwi ich domku. Chuda, wynędzniała, wydęty brzuch wyraźnie wskazywał na jej stan. Jaśka naprawdę nie poznała jej w pierwszym momencie, dopiero gdy Ziotka się odezwała, odnalazła w tej nieszczęsnicy przed drzwiami przyjaciółkę z pierwszych miesięcy w tym mieście.

- Ziotka, na Boga, co z tobą?

_ Wszystko ci powiem. Strasznie jestem zmęczona.. Jechałam bez biletu, w tłoku łatwo, ale w końcu złapali mnie, ledwie się wyprosiłam. Głodna, w tej jedynej sukience, niczego więcej nie mogłam zabrać... Byłam w naszym starym mieszkaniu, obcy, nieznani ludzie. Do Gieni też się nie mogłam dostukać. Ktoś mi dopiero powiedział, że się przenieśliście.

- Felek to załatwił... Mały domek, ale ze sporym ogrodem. Nareszcie i jam mam robotę, jaką lubię... Ale to później. Chodźże do środka, coś taka, Ziotka, lękliwa? Zjesz coś, wypijesz, potem będziemy rozmawiać. Wkładaj mój sweter, trzęsiesz się cała.

- Nie chciałam...

Zajrzała w te wielkie, ciemnoblękitne oczy, tak śliczne, że reszta nie naurodziwszej twarzy uchodziła uwadze. W oczach tych jakiś lęk, zastraszenie, niepokój. Serdecznie Przygarnęła dziewczynę.

Ziotka, jesteś u swoich... Dobrze, że wróciłaś. Często myślałam o tobie.

Przygotowując w kuchni jedzenie, dopiero ochłonęła. Musiało się Ziotce przydarzyć coś bardzo złego. Głodna,

nie ubrana, bez biletu, jakby w panicznej ucieczce. I ta cią. ła, jeszcze miesiąc, zlegnie...

Spojrzała po sobie, u niej było to mniej zaawansowane nie uwydatniało się pod szeroką suknią z ciuchów amerykańskich, dostał ją Felek z przydziału...

Wracając do pokoju, gdzie zostawiła Ziutkę, powtarzała sobie w duchu, byle się tylko nazbyt nie dziwić, może dziewczynie być przykro.

Odwracała oczy, udając iż nie dostrzega żarłoczności, z jaką Ziutka jadła chleb i piła herbatę. Jeść jej nie dawali w domu czy jak? Trzęsie się, czyżby ciągle jej było tak zimno?

Gdy dziewczyna ogarnęła się nieco, usiadły obie na obitej czerwonym pluszem, nadszarpniętej mocno czasem poniemieckiej kanapie. Ziutka okryta dwoma kocami przestała wreszcie dygotać. Początkowo trudno się jej słowa wiązały, jakby nie chciały wychodzić z gardła, jakby wstyd je tam tłamsił, uczucie zadrażnionej dumy. Ale Jaśka przytulona do niej siedziała cichutko, przegładzając tylko przyjaciółkę po spierzchniętej ręce. W domku było spokojnie, cicho, jakoś tak niezwykajnie. Kilka też ściekało po wychudzonej twarzy, po wyraźniejszych niż kiedyś czerwonych plamach od dawnych jeszcze odmrożeń, dopiero popłynęła szeptana bardziej niżli mówiona Ziutkowa opowieść.

— Ucieszyli się, gdy pojawiłam się w domu... Na mszę podobno dawali na moją intencję, myśleli, zginęłam gdzieś w Niemczech, wojna tam front, i bomby... Oglądali i wydziwiali, że dobrze ubrana, z zapasami, z prezentami dla wszystkich. Ojciec mówił, że mnie szukali, do Gostynia jeździli, zgłaszali w Czerwonym Krzyżu. Rada byłam, że tak pamiętali o mnie. Od razu też dałam ojcu połowę pieniędzy, wiesz, tych Władkowych... Pierwszy tydzień, jeszcze i drugi nie wiedzieli, jak chodzić koło mnie, Cała rodzina. Dla mnie wszystko najlepsze i najsmaczniejsze, dla mnie każda robota za ciężka. I ciągle strasznie ciekawie rozpytywali o wszystko. Ogólnie tylko opowiadałam, co się tam miałam zwierzać. Widzisz, jak było, tak było, a mnie ciągle

- -zcie rwało do Władka, później dopiero minęło już zupełnie, bez reszty... Dobrze zrobiłam...

Otarła oczy podsunęta jej przez Jaśkę chusteczką. Teraz zaczynało się to najtrudniejsze...

Oswoili się z jej bytnością w domu. Już nie wydziwiali, że jej robota za ciężka. Pomagała, bardziej niż kiedykolwiek. Bo ciągle byli dla niej dobrzy, tyle że bez tej początkowej przesady. Traktowała to normalnie. Tak jak za normalne uznawała zwrócenie się ojca o pożyczkę, jakiś tam podatek czy daninę nałożyli nadspodziewanie wysoką, nie bardzo miał z czego spłacić, gospodarka się nadkruszyła przez wojnę. Jeszcze starczyło, dała z ochotą, niewiele zachowując dla siebie. O tym dziecku myślała...

Niedługo jednak, a sielanka zaczęła się psuć. Pojawiły się pierwsze ciosy. Musiała roznieść się po wiosce wiadomość o jej pieniądzech, może matka się pochwaliła, może ktoś z braci napomknął. Skądś zrodziły się plotki. Widziano ją podobno w jakimś mieście, jak się wałęsała po knajpach, spała z każdym, kto miał na to ochotę. Skąd te pieniądze, gdzież by inaczej w trudny czas powojenny mogła dziewczyna zarobić taki majątek? Któraś z dawnych koleżanek zagadnęła o pożyczkę. Nie dała, nie było już z czego. Ta zemściła się nowymi plotkami... Ojciec wrócił któregoś wieczoru podпиты, usłyszał

o tych gadaniach, strasznie był rozeźlony, krzychał, zbił ją, gorzej, skatował do krwi. Jednego się strasznie bała, żeby się temu małemu nie stało nic złego...

Tak się zaczęło. Na drugi dzień ojciec kazał dać sobie pieniądze. Gdy zawahała się, sam zaczął grzebać w jej rzeczach, odnalazł, zabierając jeszcze zagroził.. Matka tego samego wieczora wyzwalała od dziwek. Siostrzyczka, starsza, wściekła z powrotu Ziotki, zmniejszało się przez to jej wiano, dokuczała odtąd z byle powodu. Jeszcze najlepsi byli bracia, chłopców tam wiele te sprawy nie obchodziły, sami się łakomie oglądali za dziewczynami, na nią jako na bywałą w wielkim świecie patrzyli nawet z pewnym szacunkiem. Później, gdy już się stało tak źle, że nie mogło śorzej, oni jedni próbowali ją osłonić, jeść przynieśli

409

czasem po cichu, wyręczyli w zbyt ciężkiej robocie, za się im zresztą dostawało od ojca

Ale to było później. Wtedy po jakimś czasie gadania w wiosce przycichły, znalazła się dla języków inna ofiara Tym bardziej, że gorzej teraz była ubrana, harowała jak inne albo i więcej, nie miała pieniędzy, nic ciekawego. W domu też się uspokoiło. Jak długo można wyklinać na czyjeś przeszłe życie, jeśli na domiar tak naprawdę niczego o nim się nie wie. Tylko w niej trwał i narastał coraz bardziej lęk, co będzie, gdy tamto stanie się już bardziej widoczne, gdy rosnącego brzucha nie da się więcej ukrywać? Bo tymczasem maskowała się, jak mogła. Starła się chodzić prosto, popuszczała specjalnie fałdy w sukienkach, unikała wścibskich, podejrzliwych spojrzeń. A już takie stare wioskowe wiedźmy zaczęły się jej przypatrywać ciekawie. Dociągnęła w ten sposób do lipca, jeszcze parę tygodni, było coraz trudniej, bo i dziecko rosło, i jej samej stawało się ciężko przy niektórych robotach. Czasem krew nagłą falą uderzała do twarzy, a serce łomotało przyspieszonym rytmem, ani je można było powstrzymać. Albo bladła dla odmiany, musiała się przytrzymywać domu, płotu czy drzewa, bo nogi ugiwały się pod nią. Matka ją złapała, jak pochłaniała wyciągane z beczki kwaszone ogórki, nie mogła się pohamować, ciągnęło ją do kwaśnego i do słonego... Zaczęły się żniwa. Pierwszy dzień wytrzymała, mniej był może upalny, ale i tak rachowała każdą minutę do zachodu słońca, zagryzała wargi, schylając się po snopy i wiążąc je mocnym powrósłem. Drugiego dnia spiekota zrobiła się straszna, koło samego południa sparty ją bóle i słabość okropna, oczy zaciągnęły się jakby bielmem, słońce zakręciło się, zawirowało, upadła na ziemię. Wyszło na jaw, że jest w ciąży, że nosi nie wiedzieć czyje dziecko pod sercem...

— O tym najciężej mi mówić — szepnęła Ziotka w tym miejscu swej opowieści. — Ale chcę ci do końca się wypowiedzieć. Może mniej będzie boleć, jak się wygadam? Bo ja tam z nikim nie mogłam podzielić się swoim zmartwieniem... Bracia odprowadzili mnie do domu. choć ojciec wy-

410

klinał ich strasznie. Nie mówił ze mną tego wieczora nikt rodziny Kolację zjadłam gdzieś na uboczu, nie do jedzenia mi było Rano zwlokłam się jak zawsze, wiadomo, żniwa sporo ojciec miał pszenicy, trzeba było gonić z robotą. Musiałam trochę zamarudzić, a może i nie, i bez tego doszłoby do tego samego. Ojciec wpadł z wrzaskiem, że się spóźnią przeze mnie, że pora już dawno być wszystkim w polu Mówię, że idę, nikogo nie zatrzymuję... Uderzył mnie wtedy w twarz. Wyzwał najgorszymi słowami. Że wstyd, że hańba dla ich domu, że oczu nie będzie mógł teraz podnieść na ludzi, że byłam dziwką, że tym zarabiałam pieniądze. Co słowo, to uderzenie. W brzuch mnie kopnął, raz. drugi,

myślę teraz, że naumyślnie, pewnie dziecko chciał zabić Bracia usłyszeli, wpadli wyciągnęli go siłą. Do żniw nie poszłam, leżałam bez siły. W południe ojciec trzepnął przez twarz, kazał iść do roboty. Przy domu, zastąpić matkę, która będzie wiązała snopy. Gotować, świnie karmić, cembrzyska wielkie musiałam dźwigać, krowy doić. Nie wiem, jak potrafiłam temu poradzić. Nie myślałam nic, nie czułam, jak kawał drewna.

Westchnęła ciężko, dwie łzy wahały się przez chwilę na rzęsach, spadły ciężkimi kroplami.

— I już zawsze było tak samo. Najgorsza robota, od rana do nocy. Za dwie, za trzy robić musiałam, u Niemców nigdy mi nie było tak ciężko. Gdy ojciec przychodził czasem podpity, zawsze mnie bił. I kopał, bardzo lubiał kopać... Raz jeden krew mi się rzuciła ustami, bracia znów wybronili. Jeść też mi dawali, bo dla mnie był już osobny talerz z gorszym jedzeniem, jakby dla psa.

— Biednaś ty, Ziućka — szepnęła Jaśka przerażona tą opowieścią. Jakież szczęście, że z Felkiem ułożyło się jej zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Po ślubie, już, skromny był, tylko najbliżsi, ani w części tak huczno jak na Gieńczy-nym weselu. Biedna, biedna Ziućka.

— Cierpiałam. Co miałam robić, sama, ani gdzie wracać, aru do kogo. Myślałam, trudno, urodzę dziecko, będę je chować. cierpieć razem przez całe już życie... Zaciskałam zęby,

411

milczałam, robiłam co tylko i wiele chcieli. Aż przed tygodniem... Ojciec nawet nie był pijany. Po wieczery jak zawsze chciałam cicho wynieść się z kuchni, położyć na swym wyrku, wstałam wcześniej, wtedy obrócił się, powiedział, mam zostać. Siostrze i braciom kazał wyjść z kuchni. Nie wiedziałam, co będzie. Okropnie się bałam... Długo mi się przyglądał, widzisz zresztą, jakie to u mnie wyraźne. Splunął potem na podłogę, sciszając głos, powiedział:

— Lepiej byś sama się postarała, aby nie donosić tego dzieciaka. Jemu i tak nie do życia. Bękartą w domu mieć nie chcę. Więc pomyśl.

— Coś okrutnego paliło się w jego oczach. Nie wiem, co myślał, ale patrzył tak strasznie, jakby nie rodzony ojciec, jakby zwierz jaki... Trzęsłam się cała tej nocy, śniło mi się nie wiedzieć co, siekiery jakieś i krew, i małe dziecko, takie, wiesz... Nie, ja nawet mówić nie mogę... Wtedy pomyślałam, ucieknę z domu. Tutaj, do tego miasta, do was. Żle się z Władkiem skończyło, ale przecież miasto samo wspominam najlepiej. Tu byłam normalnym człowiekiem, nikt mnie nie bił, nie kopał, nie kazał pracować nad siły... Od pierwszych dni, wcześniej jeszcze niż ty przybyłaś tutaj i Gienia, wędrowałam z Władkiem przez gruzy, trupy leżały, smród wszędzie okropny, ponure spojrzenie Niemców. A później, pamiętasz, wśród strzałów, często bez jedzenia, pracowaliśmy wszyscy razem, jakby jedna rodzina. Każdy dom uprzątnięty, zwolnione od gruzów przejście na ulicy, pierwszy prąd z elektrowni, i ja jakoś w tym pomagałam, to było także i moje... Nie wiedziałam, jak wiele się teraz tutaj zmieniło, czy znajdę tych samych ludzi, czy tak samo będzie miasto wyglądać... Przedwczoraj w nocy uciekłam, nie chciałam wsiadać na naszej stacji, a nuż ojciec spotrzągłby, dogonił, w złości jeszcze zabiłby nas oboje — spojrzęła wymownie na łono, — ledwie doszłam, sił mi już braknie, ciężko bardzo chodzić. Przyjechałam, od razu zaczęłam was szukać. Byliście dla mnie tacy dobrzy, lepsi jak własna rodzina, sto, tysiąc razy lepsi. Tak się bałam, że może was w mieście już nie ma, pojechaliście gdzie indziej, ludzie nauczyli się teraz wędrować... I jestem

• az Jaśka, u ciebie, cieszę się, dobrze mi, ale zarazem wiem, co robić, gdzie się podziewać, co ze mną będzie • z tym małym, kopie nóżkami, żyje, uchroniłam je przed ciosami ojcowskich butów, chciałabym dla niego jak najlepiej Tylko co ja potrafię, jak życie urządzę? I tak bardzo mi ciężko...

Przyłgnę³ do Jaśki, przytuliła się bezradna, bezbronna jak małe, zupełnie maleńkie dziecko, rozplakała się serdecznie.

Gładziła ją po włosach, sama też bliska płaczu, przerażona tym, co usłyszała, rozkliwiona, gotowa wszystko uczynić dla Ziotki.

_ Nie martw się już — szeptała — Felek coś wymyśli,

tymczasem możesz zostać u nas. Trochę twoich mebli, dobytku, zabraliśmy z sobą, pamiętasz, mówiliśmy, że zatroszczymy się o to. Masz już czym zacząć, a potem poradzisz. Wszyscy tu radzą, miejsce jest dla każdego. To twoje, Ziotka, miasto, byłaś w nim najpierwsza, to będzie też miasto twego dziecka...

Może i dobrze, że tak od razu się wyzaliła, że znużona zasnęła wreszcie na tej samej kanapie. Pod ten czas wrócił Felek, pogodny jak zawsze, pokrzykiwał z daleka, musiała położyć palec na ustach, nakazać milczenie.

— Co się stało?

— Cicho, Ziotka wróciła, śpi teraz. Chcesz, zobacz...

— To ona? Zmarniała, nie ten sam człowiek...

Sponurzały, zaciskając pięści, wysłuchał powtórzoną przez żonę opowieści. Zastanawiał się nad jej losem.

— Powiedziałam, że tymczasem może być u nas, a ty później na pewno zaradzisz...

— Takaś pewna? — pochlebiła mu Jaśki opinia. — Wiesz co, Jaśka, niech ona teraz u nas zostaje. Urodzi dziecko, odkarmi je pierwszy czas, sama wydobrzeje, dopiero poszukamy dla niej roboty. Zechce gospodarzę, wynajdę a niejszą, jest ich jeszcze, choć mocno wyszabrowane. Tu Jeszcze pięć razy tyle ludzi się zmieści, co ich jest dzisiaj... -lech ^dzie z nami. Jak myślisz?

— Wiedziałam.

Powiedziała to bardzo prosto.

Wieczorem siedzieli przy stole we trójkę. Ziotka uspokoiła się już, jakby nabrała trochę oddechu. Tylko jej ładne, wielkie oczy ciągle były pełne łęku, biegające niespokojnie dokoła. Rozmawiali o dawnych znajomych, o mieście i powiecie, co się tutaj zmieniło przez czas nieobecności dziewczyny. O tym, jak Felek radzi, że choć tak młody, inspektorem został od osadnictwa, radnym powiatu, uczy się w wieczorowym gimnazjum dla dorosłych. Dzisiaj szczęśliwie jest wolny, w soboty nie ma zajęć.

Z rozwartymi oczyma słuchała Zjutka historii o nieszczęśliwym małżeństwie Gieni, o jej rozpaczach gdy okazało się, że jest drugą żyjącą żoną, o kradzieży dokonanej przez Maciaszka w muzeum. Gdy otwarto wystawę, nie było chyba nikogo w mieście, kto by tam nie pobiegł oglądać, co też za cuda wyciągał komisant przez okienko piwniczne. Siedzi teraz w więzieniu, szykuje się sądowa rozprawa. A za parę dni zacznie się proces tych, którzy zabili Walusia. Zielniak żeni się podobno z Haliną, ciągle przestają teraz z sobą, tak od chwili, gdy Halina wyszła z więzienia...

— To ona była w więzieniu?

— A była. Nie ona jedna. Dużo było winnych, ale także i niewinnych. Teraz już nie ma tego człowieka, który siał taki postrach wokoło. Budniaka pamiętasz?

— Z elektrowni, niewielki, ale silny jak rzadko?

— Właśnie. W szpitalu jest teraz. Tydzień temu burza przeszła nad miastem, coś straszego. Trzy pożary wybuchły. Budniak z samego ognia wyciągnął dzieciaka, chłopczyk, może z pół roku, nic się mu nawet nie stało. Ale Budniak palił się cały, były obawy, że nie wyżyje, na szczęście się poprawiło. Wszyscy o nim mówią jak o bohaterze, obcy ludzie znoszą do szpitala jedzenie, kwiaty. Pewnie, jest za co...

— Ale paczkę unrowską, dawali takie, amerykańskie, z wojennej pomocy, to mu przy tym pożarze ukradli — wtrąciła Jaśka.

414

_ Świnie nie ludzie. Kraść w takiej chwili... Uchwała zapadła w radzie miejskiej, przydzielili mu po paczce na każdą osobę w rodzinie. My też paczkę dostaliśmy, otworzymy dziś jakieś pudełko. Najgorzej, nie wiadomo nigdy,

co w nim się znajdzie.

a o Władku nic słyhać nie było? Nie patrz, Felek, tak dziwnie, minęło mi już zupełnie... Pytam z ciekawości, może złapali go, siedzi?

_ Szczwany lis, nie da się złapać. Ale jest jego brat,

z wojska wrócił...

_ Brat Władka? Jest tutaj?

_ Strasznie cięty na brata za ciebie, Zjutka. Wiesz, gdzie

pracuje? Bardzo dobrze na domiar. Jest kierownikiem tego samego majątku, w którym był Władek. Mówi, chce naprawić, co tamten popsuł.

_ Pędzik został komendantem milicji. A Lisiewicz to był

najpierw burmistrzem, a teraz zrobili go dyrektorem gimnazjum. Na burmistrza zaś poszedł taki śmieszny ale okrutnie mądry profesor. Zawilski się nazywa...

— Niemców przesiedlają. Sześć transportów odeszło. Prawie półtora tysiąca ludzi...

— Ale jeszcze ponad tysiąc zostało — skrzywił się Felek.

— Tyle nowin, tyle zmian z ludźmi — Ziutka kręciła głową. — Miasta też poznać nie mogłam, jakby inne zupełnie. Ulice wysprzątane z gruzu, czyste, ludzi dużo, sklepy, nie to samo miejsce...

— Robi się, robi po trosze... A w powiecie gdybyś widziała. Ciepło dopóki było, to i w grudniu ludzie orali.

Podniosła na nich swe ogromne oczy.

Tak dobrze mi z wami... Jaśka, powiedz, jakie było wasze wesele? Gdy komuś samemu się nie powiodło, niech choć posłyszysz, jak to bywa u innych.

Zamgliły się ciemnobłękitne oczy, zaszkliły. Na wyścigi zaczęli teraz Jaśka wraz z Felkiem wyszukiwać co najsmieszniejsze momenty tamtego dnia. Gdy prawdziwych za rakło, Felek zaczął koloryzować. Najważniejsze, że Ziut-

a śmiała się razem z nimi.

415

Zeznawał komendant milicji Alojzy Pędzik, który wówczas gdy zbrodnia miała miejsce, pozostawał w stopniu sierżanta. Oświadczenie jego miało szczególne znaczenie w związku z wykryciem przez niego śladów kul w ciele rozszarpanego wybuchem miny Florczaka.

W sali, wypełnionej do ostatniego miejsca, kompletna cisza. Za oknami śnieg, pierwszy śnieg w tym roku, mokry, rozmazujący się na szybach, rozdeptywany nogami przechodniów na brudną kaszę. Ale nikt nie patrzy za okna, Spojrzenia obecnych przenoszą się z twarzy Pędzika na oblicza trzech oskarżonych. Złowrogie, ponure milczenie. Korespondenci prasy, który zjechali tu licznie z Warszawy i innych miast, wśród nich paru korespondentów zagranicznych, notują albo stenografują istotniejsze fragmenty zeznań.

— Zastanowiło mnie jeszcze przedtem, przy zeznaniach obu mieszkających w tym samym domu polskich dziewcząt, a również Feliksa Feryckiego, iż mina rozerwała Florczaka w ogródku już uporządkowanym, dokładnie zaś w miejscu, gdzie poprzedniego dnia dziewczęta rwały konwalie. Można mieć wyjątkowe szczęście, ale i ono nie pomoże, gdy się depce po minie. A drugie, to pytanie, jakie sobie wtedy zadałem, po co zabity miałby chodzić wczesnym rankiem do ogródka, przecież nie po to, by wachać kwiaty... Gdy przybyliśmy z kolegą na miejsce, bardzo dokładnie obejrzałem zwłoki, pełne ran szarpanych od wybuchu miny. Odkryłem trzy otwory wlotowe pistoletowych pocisków. Osmalone lekko, dowód, iż strzały oddane zostały z bliska. Od tej chwili stało się dla mnie jasne, iż Florczak został najpierw zastrzelony, a potem, dla upozorowania wypadku, jego zwłoki rzucono na przygotowaną specjalnie minę.

— Czy podejrzenia oskarżonego szły w jakimś konkretnym kierunku? — spytał przewodniczący.

— Nie, proszę Wysokiego Sądu. Jeszcze nie mieliśmy pełniejszego rozeznania w wehrwolfowskim podziemiu. Jedynym, który co nieco orientował się tak w nastrojach

416

Niemców, jak w dywersyjnej ich działalności, był właśnie Florczak. On pierwszy wpadł na trop Fleischera, pierwszego powojennego burmistrza, do czasu objęcia miasta przez naszą grupę operacyjną. Fleischer, zatrzymany przez nas, uciekł z prowizorycznego jeszcze aresztu. Zadawałem sobie pytanie, czy te dwa fakty nie wiążą się z sobą. To mogło być aktem zemsty... Późniejsze wypadki potwierdziły te

przypuszczenia.

— Kto razem ze świadkiem dokonywał oględzin zwłok?

_Milicjant Chudziak. On już nie żyje, zginął w trakcie

akcji na hitlerowskie podziemie.

_Dziękuję. Czy obrońca oskarżonych ma jakieś pytania?

_Pragnąłbym dowiedzieć się, czy świadek jest pewien,

iż strzały oddane zostały z bliska? Oskarżony zna się na tych sprawach?

— W wojsku byłem sierżantem. Gdy przy otworze wlotowym są czarne drobiny, niezbity to dowód oddania strzałów z bardzo bliska.

— A czy tej nocy w mieście było szczególnie niespokojnie?

— Ani tej ani innej nocy spokojnie nie było. Niekiedy szła z różnych stron taka palba, jakby front się przewalał.

— Dziękuję, ja więcej pytań nie mam.

— Świadek Erna Stopf.

Woźny uchylił drzwi:

— Świadek Erna Stopf.

Weszła w asyście milicjanta. Sama o nią prosiła, obawiając się niespodzianki ze strony niemieckiej. Podobno spotkała się z niedwuznacznymi groźbami.

Po sprawdzeniu personaliów i zaprzysiężeniu nastąpiła chwila pełnego podniecenia milczenia. Może też zespół sądzący tak zasugerował się osobliwym widokiem, iż zapomniał na chwilę o prowadzeniu normalnej procedury. Bo O!O ta chuda, zmarnowana kobieta lat pięćdziesięciu bez sowa wbijała wzrok w jednego z oskarżonych, Petera ^einmanna. Próbował wytrzymać jej spojrzenie, musiano gt> to ogromnie wiele kosztować, czerwieniał, mieszał się,

eszcze nisko opuścił głowę. Kobieta w tym momencie

" PrzeJa4cla si, niebo t. l

417

odetchnęła głęboko, zwróciła twarz ku przewodniczącemu sądu.

— Proszę, niech świadek dokładnie zrelacjonuje wiadomy jej przebieg samosądu dokonanego na Walentym Florczaku... Świadek była w tym bliżej zorientowana?

— Jawohl... Z tym to było tak. Ten Kleinmann mieszkał u nas. Żył z moją córką jak w małżeństwie. W wojnę już było tak... — westchnęła. — Często nocowali, a także w dzień przebywali w naszym domu obaj pozostali oskarżeni, zwłaszcza Erich Zeidler — dłoń jej powędrowała ku ławie oskarżonych. — Bywali jeszcze inni... Mówili głośno, z kuchni albo z drugiego pokoju wiele słyszałam. Mieli broń, cały skład, część w ogrodzie koło naszego domu, część na Blumenstrasse 16, gdzie się znajdował ukryty bunkier. Po tym, jak został aresztowany Herr Biirgermeister Flei-scher...

— Przepraszam, czy świadek już wtedy wiedziała, że jest on szefem Wehrwofu?

— Nie, zorientowałam się w tym dopiero później, już jak Inga, moja córka, zniknęła po tym meldunku u polskiej władzy...

— Dziękuję, proszę dalej.

— Po aresztowaniu Fleischera dowiedziałam się wielu rzeczy. Że to oni zamordowali portiera elektrowni za to, że pokazał Polakom ukryte części... I że Fleischer musi zostać pomszczony. Wydał go Polak, powiedział to Fleischer po swojej ucieczce. Podał nawet, jak się tamten nazywa, może pokazał go im, tego już nie wiem... Oni tropili tego Polaka przez parę dni. Nie udało się im go zabić, zawsze w pobliżu znajdowało się dużo osób. Ingebordze zlecieli teraz to zadanie. Oni nawet mówili, i ten Peter, który spał z moją córką, jej narzeczony, że jeżeli byłoby trzeba, niech Ingeborga prześpi się z tym Polakiem, że dla Wielkiej Rzeszy potrzebna i taka ofiara. Ona przez dwa dni od wczesnego popołudnia wychodziła na miasto, żeby szukać tamtego. Oni zaś śledzili ją z daleka. Nie wiem, w jaki sposób Ingeborga zmówiła się z tym Polakiem, słyszałam później, że miała mu obiecać wskazanie magazynu niemieckiej broni. Oni

418

zakradli się od tyłu i zabili go w jakichś ruinach. Nocą przynieśli trupa pod nasz dom, zabrali wtedy z ukrycia minę. Chcieli, żeby ta mina rozszarpała trupa i upozorowała w ten sposób wypadek.

_ Czy świadek podsłuchiwała te rozmowy, czy też oskarżeni nie krępowali się przed nią?

_ Oni się mało krępowali, ale ja także podsłuchiwałam.

_ Czy świadek nie reagował na to, co ci ludzie robią,
a razem z nimi jej córka?

_ So. Mówiłam, żeby byli ostrożni.

_ Ach tak. A nie odradzała świadek, żeby zaprzestali
zbrodniczej działalności?

_ To była jeszcze wojna. Widocznie musiało tak być.

_ Dobrze. Co zaszło później ?

— Potem oni wrócili, byli bardzo weseli, jedli, pili, nawet śmiali się, jaki ten Polak głupi. I że nikt nie odkryje, co się z nim stało naprawdę...

— Aresztować ją, morderczyni! — wrzasnął ktoś z ław dla publiczności.

— Aresztować! Jakim prawem jest wolna?

— Spokój, bo każę publiczności opuścić salę — przewodniczący sądu pięścią walił w stół. Czynił to ze względów jedynie formalnych. Pojmował wzburzenie zebranych. I jego przerażał cynizm tej starszej wiekiem kobiety, która obojętnie, z aprobatą przyjmowała przygotowania własnej córki i jej kompanów do mordów. Doradzała jedynie, żeby byli ostrożni;..

Gdy wreszcie ucichło, przewodniczący zadał Stopfowej dalsze pytanie:

Co świadek może powiedzieć o przyczynach morderstwa dokonanego na jej córce. Kto to uczynił i dlaczego?

Kto? W pierwszym rzędzie Peter Kleinmann, jej narzeczony, ten, z którym żyła. Kto mu pomagał, nie wiem, domyślam się, że pozostali oskarżeni... A to było tak.

* jakiś czas po zabiciu tego Polaka Inga pokłóciła się z Klemmannem. Oni się często kłócili, on był bardzo nerwowy. Nie wiem, o co im poszło. Trafiłam na moment, gdy

n ^ bił... Strasznie bił. PO twarzy, po głowie, pięściami

Tl'

419

walii, długo, bardzo długo — głos jej zatracił poprzednią obojętną barwę. Dygotał teraz od nowa bólem, żalem, nienawiścią. — On ją tak bił! Kleinmann. Córka...

— A córka co?

— On był nie tylko jej narzeczonym, ale i jej dowódcą. Miał prawo karać. Milczała, chowała jedynie twarz w dłoniach... Później dopiero jej powiedziałam, że nie może tego darować, musi zemścić się na Kleinmannie. O, moja córka była bardzo ambitna! Ona też chciała pomsty. Poradziłam, żeby poszła do Polaków i powiedziała wszystko, co wie. Posłuchała, zrobiła tak. Tego samego wieczora zginęła. Oni wszyscy też znikli, sprawdziłam, zlikwidowali również magazyn broni, który mieścił się w naszym domu.

— Zwłoki córki znalazły się nieprędko?

— Polacy znaleźli, wtedy, jak były te wielkie aresztowania. Sama nie mogłam ich odszukać. Wytropiłam natomiast Petera Kleinmanna i Zaidlera i lieinemanna i innych. Wyśledziłam całą ich organizację. Trudno było, ale musiałam to zrobić, żeby pomścić moją Ingę. Jak już wszystko wiedziałam, przyszedłam do komendanta milicji. Bo ja już żyję tylko dlatego, żeby ją pomścić.

— Sprawa Niemiec przestała świadka obchodzić? — przewodniczący nie potrafił ukryć w swym głosie wyraźnej drwiny. Ale pani Stopf przyjęła to poważnie. Skinęła głową:

— Tak. Przestała mnie obchodzić. Obchodziła mnie tylko Inga i kara dla tych, co ją zamordowali. Modliłam się o dzisiejszy dzień.

Mróz na sali. Ta złowroga, straszliwa cisza.

— Jezusie, co za kobieta! Co za matka — rzucił ktoś głośnym szeptem.

I znowu cisza.

— Tak, chwilowo dziękuję świadkowi. Pan obrońca?

— Mam pytanie. Jak świadek ocenia rolę córki w organizacji? Czy była tylko posłuszna rozkazom, czy też odgrywała rolę inspirującą? Nie rozumie świadek? Czy była tylko wykonawcą rozkazów, czy też starała się w jakiś sposób nadawać inicjatywę.

420

__ Ingeborga tylko posłuszna? Ona w Bund Deutscher

ddel była fihrerem. I tutaj też, to Peter Kleinmann i Zaidler i wszyscy powinni być jej podwładnymi, nie ona ich Najwięcej doradzała, robiła plany, poddawała projekty.

— Czy to się podobało świadkowi?

__ Podobało się, że nie jest taką zwykłą dziewczyną, głupią gęsią-

— Dziękuję, nie mam już pytań — chudy, wylihały obrońca pokręcił w zdumieniu głową, wpatrzył się w Stop-fową jak w zoologiczny okaz.

Przewodniczący zarządził przerwę w rozprawie. Oznajmił zarazem, że decyzją sądu świadek Stopfowa została aresztowana. Opuszczając salę publiczność przyjęła tę wiadomość westchnieniem ulgi.

Na dworze Pędzik strofował swych milicjantów:

— Nie gapić się, chłopcy, uważać, dwa szeregi, między nimi niech przejdą oskarżeni do auta... Pamiętajcie, co było wczoraj.

W drugim dniu rozprawy omal nie doszło do samosądu. Grupa ludzi usiłowała przerwać kordon milicji osłaniający oskarżonych. Cierpliwość mieszkańców miasta wystawiona została na ciężką próbę. Drażnił straszliwy cynizm oskarżonych, zwłaszcza oficera SA, Ericha Zeidlera. Z trudem udało się opanować rozwścieczony tłum.

Korespondenci śpieszyli do zainstalowanych przemyślnie przez Przybyłę kabin telefonicznych. Na Polskę i świat płynęły wieści o przebiegu rozprawy z grupą niemieckiego podziemia w tym mieście, które skutkiem propagandy antypolskiej stało się ostatnio tak głośne w prasie zachodniej,

0 którym krążyły wysane z palca zarzuty o rzekomych prześladowaniach ludności niemieckiej. Proces stawał się najmocniejszą odpowiedzią na wszystkie te kłamstwa. Nie Polacy byli czynnikiem burzącym spokój...

Przesłuchania świadków, a potem zeznania oskarżonych, lelajonujących szczegółowo przebieg tego morderstwa

1 Jeszcze trzech innych, jak też wprowadzających w cele 1 zasady działania organizacji Wehrwofu, ciągnęły się

esZcze Przez cały tydzień. Aż wreszcie nadszedł ostatni

421

dzień rozprawy, w sam przeddzień wigilii Bożego Narodzenia. Nawet nastrój przedświąteczny jakby przygasł w porównaniu z zemocjonowaniem towarzyszącym procesowi. Ci, którzy nie mogli przedostać się do sali, gromadzili się gęstym tłumem przed wejściem do budynku sądu.

Prokurator kontynuował mowę oskarżycielską. Trwała już dwie godziny, ale napięcie słuchających nie słabło. Niektóre akcenty zdawały się jednak wskazywać, iż z pasją wygłaszane oskarżenie dobiega końca:

— ...materiały śledztwa, przesłuchań, zebrane dowody rzeczowe, wizja lokalna, na koniec przyznanie się do winy dwóch z oskarżonych ostatecznie wyjaśniają sprawę. O zbrodniczej działalności podziemnej organizacji odwetowej pod nazwą Wehrwolf mówiłem w pierwszej części mego wystąpienia. Scharakteryzowałem również działalność oskarżonych w organizacji, pełnione przez nich funkcje, wysoki stopień zaangażowania w wypełnianiu zbrodniczych dyrektyw. Przewód sądowy udowodnił oskarżonym popełnienie trzech zbrodni: na Niemcu, portierze elektrowni, na obywatelu polskim, Walentym Florczaku oraz na współ-członkini organizacji, Niemce Ingebordze Stopf. Wszystkie te zbrodnie dokonane zostały w sposób perfidny i z nieludzkim okrucieństwem. Nie należy zapominać, iż oskarżeni stanowili zaledwie jeden z członów szeroko rozgałęzionej organizacji. Na skutek skrytobójczych mordów, wedle danych dostępnych naszym organom, poniosło śmierć ponad dwadzieścia osób, tak Polaków, jak tych z Niemców, którzy uznając stan zaistniały, pragnęli spokoju i ułożenia poprawnych stosunków z polskimi władzami. Zbrodnie, terror, przygotowania do dalszych akcji, oto cechy charakteryzujące działanie Wehrwofu, w którym oskarżeni byli pionkami, ale pionkami bardzo niebezpiecznymi. Znamienna jest atmosfera, otaczająca oskarżonych, stopień deprawacji znacznej części niemieckiego społeczeństwa. Na tej sali została aresztowana niejaka Stopf, kobieta w podeszłym wieku, aprobująca w pełni i sankcjonująca postępowanie oskarżonych. Zarazem w postawie tej kobiety ujawniła się w następstwie pewnych tragicznych wydarzeń kompletna

422

bessideowość... A teraz oskarżeni. Peter Kleinmann, lat nem naście, wychowany pod auspicjami Hitlerjugend, fanatyk. wyzuty najzupełniej z poczucia moralnego. Człowiek mordujący na zimno, bijący kobiety, opętany manią działania przeciw nowemu porządkowi, jaki wprowadzamy na tych ziemiach przywróconych Polsce po wiekach germańskie: niewoli. Tenże Peter załamuje się w pewnym momencie. pamiętamy jego zeznania, zaczyna płakać, składa ręce prosząc o litość. Z kolei drugi oskarżony, Friedrich Heine-mann, lat osiemnaście, identyczny wizerunek, charakter mniej może tylko aktywny, ślepe narzędzie do wypełniania wszelkiej zbrodni. W obliczu oczekującej kary również zatracą swój tupet, szuka usprawiedliwień, zrzucając winę na wychowanie, na rozkazy anonimowych swych mocodawców. na dyscyplinę organizacyjną. I trzeci z oskarżonych, Erich Zaidler, z junkierskiej rodziny, podporucznik SA, przysłany na teren w specjalnej misji krótko przed nadejściem frontu. Był

jednym z tych, którzy w specjalnej szkole w Austrii przysięgali walkę do końca, budowę Wehrwolfu, mającego stanowić kontynuację hitlerowskich tradycji i metod. On uczył niedorostków obchodzenia się z bronią, organizował tajne magazyny amunicji, instruował, jak trzeba zabijać. Człowiek tylko z nazwy, w rzeczywistości jedynie automat do mordowania. Zaidler do końca zachował butę, nie tylko nie okazuje skruchy, ale wydaje się być dumny ze swoich poczynań. Oto sylwetki oskarżonych zarysowane w najlapidarniejszym skrócie. W postępowaniu ich nie można znaleźć żadnych okoliczności odciążających czy łagodzących. Perfidna zbrodnia, na obcych i na swoich, – łożba antyludzkim mitom, tyle czasu znajdującym pożywkę w narodzie niemieckim, to treść ich odczuć i doznań...

Urwał prokurator, przebiegł spojrzeniem po oskarżonych, Po gęstych rćedach przysłuchującej się publiczności. Podniósł głos: i

~ Przewód sądowy przeprowadzony został według wszelkich reguł prawa. Zbrodnie zostały niezbicie udowod-- n'one> jak i przynależność do podziemnej hitlerowskiej or-gamzacji. Wszystko to działo się w tym mieście, które

423

skutkiem zarówno działań frontowych, jak i samowoli oddziałów SS, stacjonujących w pobliżu, zniszczone zostało w ponad siedemdziesięciu procentach. W mieście, które dzięki niewiarygodnemu wysiłkowi serc i rąk polskiej ludności, napływającej szerokim nurtem na pradawne polskie ziemie, zaczyna zmieniać swój wygląd cmentarza, miasta zabitego, jak ktoś się wyraził, na organizm okaleczony wprawdzie, ale tętniący już od nowa zbudzonym życiem, leczący rany i zakażenia. W mieście tym obok polskich osadników zostawała i zostaje po dziś poważna liczba ludności niemieckiej. Uczyniliśmy z naszej strony wszystko, aby pamiętając o straszliwej gehennie narodu polskiego pod okupacją hitlerowską, odpłacać nie tą samą monetą, ale wynikającym z poczucia narodowej godności stosunkiem najbardziej humanitarnym. Jakiegokolwiek wykroczenia w tej dziedzinie karaliśmy i karamy najsurowiej. Są to zresztą wypadki nadzwyczaj rzadkie. Jednocześnie musimy być najsurowsi wobec wszelkich prób dezorganizacji, burzenia z wysiłkiem powstającego ładu, musimy być nieubłagani w likwidacji wszelkich prób odradzania się hitlerowskiej bestii. Pewien odsetek ludności niemieckiej wstąpił na drogę zbrodni przeciw państwu i przeciw ludności. Powstała organizacja niemieckiego podziemia Wehrwolf. W tym zrujnowanym nieledwie dogorywającym jeszcze niedawno mieście, zbrodniarze podobni oskarżonym dokonywali nieustannych zamachów na życie ludzkie, organizowali dywersję, montowali sabotaż. Przypomnijmy choćby wielokrotne niszczenie z trudem montowanej linii elektrycznej, a wreszcie zbrojny wypad na budynek elektrowni. Napady na wsie, w których zamieszkali polscy osadnicy. Próby sabotaży w fabrykach, które dzięki przeogromnemu wysiłkowi i entuzjazmowi polskich pionierów od nowa wstawały do życia. Wielki zamach bombowy przed budynkiem starostwa w dniu, kiedy do miasta przybywał pierwszy transport re-patriancki. Napad na więzienie. Ponad dwadzieścia zarejestrowanych przez nas mordów na ludziach próbujących się przeciwstawić terrorowi hitlerowskiemu. Chyba wystarczy to niepełne wyliczenie, aby zdać sobie sprawę, czym

424

<

bvl i Jest Wehrwolf, skupiający wyrzutków w rodzaju oskarżonych, siedzących na tej ławie. Powiedziałem: był i jest. Tak, bo ciągle pokutują pogrobowcy faszyzmu, odzywają w Wehrwolfie, ostatnio zaś w innej konspiracyjnej organizacji występujące pod nazwą Kampf um Freiheit Znamy te swastyki, te napisy na murach, te nielegalne ulotki, sabotaże w hucie szkła, zamach na urzędującego wtedy burmistrza polskiego... Ludność polska i władza nie chcą odpłacać spokojnym Niemcom tym samym, czym płacili nam hitlerowcy. Jesteśmy humanitarni. Pragniemy jak najszybciej doprowadzić do końca akcję przesiedleńczą Niemców, aby pozostać sami gospodarzami na naszej ziemi. Przesiedlanie przeprowadzamy w warunkach ustalonych w międzynarodowym porozumieniu. Ale przeciw akcji oczyszczania ziem piastowskich z elementu niemieckiego powstają liczne ośrodki za granicą, nam wrogie. Wykorzystuje się każdy drobiazg, byle przeoczenie ze strony polskiej. a gdy i tego nie ma, fabrykuje się wysane z palca, najbardziej ordynarne kłamstwa. Pastwą takich kłamstw padło ostatnio w prasie zachodniej, w piśmiidach odwetowych wydawanych w zachodnich strefach okupacyjnych także i nasze miasto. Miasto, w którym pragniemy tylko jednego: aby żyło, kwitło, rozwijało się, zalecając jak najprędzej okrutne rany zadane wojną. Słyszymy brednie o mordach na ludności niemieckiej, o głodzie i chłodzie, o anty-sanitarnych warunkach w transportach, wreszcie

o /organizowanej akcji tępienia Niemców. My zamieszkujący te tereny, znajdujący na nich ziemię ojczystą, wyzierającą szczerą glebę spod zewnętrznego germańskiego nalotu, wiemy, jak jest naprawdę. Wiemy, iż nie istniała

1 istnieć nie może działalność sprzeczna z humanitarnym stosunkiem do tutejszej ludności niemieckiej. Odwrotnie,

o my jesteśmy pastwą działania kryptonimowych orga-

'Zacji. dokonywanych świadomie zbrodni, dywersji i sa-azu. To na nas próbuje odegrywać się niedobita resztką j r°wskich formacji. Ten proces mówi pełną prawdę

łoba***^ Stosun^u do pokonanych i o rzeczywistym pod-myślenia i działania znacznej części Niemców, któ-

425

rym nie otworzyła jeszcze oczu bezprzykładna klęska zwyrodniałego faszyzmu. Ten proces staje się pełnym świadectwem prawdy. Polska jest wspaniałomyślna, Polska odpłaca się ludności niemieckiej pełnym humanitaryzmem w postępowaniu. Ale zarazem ta Polska jest surowa i bezkompromisowa wobec wszelkich burzycieli naszego ładu. Będziemy najostrzej piętnować i karać tych wszystkich, którzy zapomnieli, że hitleryzm zginął i nigdy się nie podniesie. Będziemy karać zbrodniarzy. Imieniem zakłóconego rytmu odbudowy wracającego do życia kraju i tego miasta, imieniem ofiar pomordowanych przez oskarżonych, tak Polaków, jak Niemców, imieniem sprawiedliwości wnoszę o zastosowanie najwyższego wymiaru kary w stosunku do wszystkich trzech oskarżonych.

Wolno cichnącym echem rozplywały się ostatnie słowa prokuratora po sali. Nikt nie drgnął, nikt nie zaczerpnął głębiej oddechu.

Z wolna, bardzo znużony, dźwignął się ze swego miejsca przewodniczący sądu.

— Obrona ma głos.

Chudy, wyliniały obrońca, najwyraźniej fatalnie czujący się tym razem w swej roli, długą chwilę przyglądał się oskarżonym.

— Wysoki Sądzie, imieniem obrony proszę o sprawiedliwy wymiar kary. Więcej nie mam nic do dodania.

— Oskarżeni? Macie możliwość korzystania z ostatniego słowa przed udaniem się zespołu sędziowskiego dla podjęcia wyroku.

Kleinmann rozplakał się, prosząc o litość z uwagi na wiek, nagle zdziecinniałym spojrzeniem rozglądał się wokół, jakby nie pojmując, gdzie jest i co się z nim dzieje. Heinemann powtórzył dokładnie słowa obrońcy. Trzeci podniósł się Erich Zeidler.

— Es lebe das Dritte Reich! — zawołał.

Spokojna sala wybuchła wrzaskiem. Tupet oficera SA wzburzył wszystkich. Ludzie wygrażali pięściami, kilku chciało biec w stronę Zeidlera. Milicjanci zwartym kręgiem

426

oczyli oskarżonych. Przewodniczący z trudem przywrócił!

spokój.

Sąd udał się na naradę. Nie trwała długo. Sprawa nie wymagała dyskusji. Wszyscy podnieśli się z miejsc. Powaga chwili zdecydowanie udzielała się obecnym. Zdawali sobie sprawę, że oto w mieście w trzech czwartych leżącym w gruzach, w mieście, gdzie jeszcze tak niedawno szalała samowola hitlerowskich kacyków, rządzić zaczyna twarde lecz sprawiedliwe prawo. Prawo polskie. W jego oto imieniu padną za chwilę słowa wyroku, jasno podkreślające, że Polska nie zezwoli, aby na jej ziemiach miały rządzić bezprawie i terror, aby mogły odżywać najbardziej wronie i znieprawione tendencje.

Przewodniczący kompletnie sędziowskiego dobitnie, słowo po słowie odczytywał motywację wyroku. W niesłychanej ciszy zakończył...

— ...uwzględniając to wszystko, sąd w całej rozciągłości uznaje oskarżonych winnymi zarzucanych im czynów, skazując ich na karę śmierci. Wyrok jest ostateczny i nie podlega odwołaniu.

Twarze Kleinmanna i Heinemanna stały się bledsze jeszcze o cień. Jeden tylko Zeidler stał z drwiącym uśmiechem na twarzy.

Wolno, w powadze opuszczali ludzie salę sądową. Nie padł żaden okrzyk, żadne mocniejsze słowo.

4.

^ aksamitnej, mocno miejscami wytartej sukni, pewnie Przywiezionej jeszcze ze Lwowa, Dzwinarska czyniła ho-n"y domu. Wyglądała jakoś dostojniej, nie od razu moż-na się był0 zorientować dlaczego, dopiero uderzał brak n"ormalnie wpiętej w siwe włosy kokardy. Witając przybywających u Wejścia do największej z sal a nych, przystosowanej dzisiaj specjalnie na sylwe-y koncert, z trudem opanowywała przejęcie. To był

427

jej projekt, gorąco podchwycony przez znowego burmistrza, ale raczej sceptycznie oceniany przez innych. Na Sylwestra urządzać poważne koncerty, recytacje i wokalne występy? Wtedy, gdy ludzie chcą się bawić, tańczyć i spełniać toasty? Może i piękny poYnysł, zawiedzie jednakże na całej linii.

Uparła się. Koniecznie musi być zadymiona sala, płąsy i wódka? A gdyby tak inaczej, sjesta dla ducha? We Lwowie muzeum i „Ossolineum” w podobnym witaniu nowego roku zdobyły już bogatą tradycję. Więc czemu by nie spróbować także w ich mieście?

Zaproszenia, wydrukowane na pięknym czerpanym papierze — zdobycie go pozostawało już tajemnicą kierowniczką wydziału kultury — rozesłane zostały odpowiednio wcześniej. U niejednych wywołały poważną rozterkę.

Koncert został zapowiedziany na godzinę jedenastą. Na czarno przybrana Dzwinarska co najmniej pół godziny wcześniej zaczęła się denerwować, że oczekiwani goście wciąż jeszcze nie przybywają. Oglądając się liczyła krzesła, sześćdziesiąt, w dalszej salce na wszelki wypadek przygotowana była zresztą pewna rezerwa. Etatowy woźny, wieleż walk należało stoczyć z zatwierdzeniem tego etatu, przesuwał się z niesłychanie przejętą miną, wyrównywał krzesła do milimetra, poprawiał dywan na podium, nabożnie wachał przyniesione od ogrodnika kwiaty w doniczkach, na koniec przystanął pod ścianą z godnie założonymi do tyłu rękami.

Pierwszy pojawił się pan Kędrzyk, podpora starostwa, jedyny człowiek, który nigdy nie tracił głowy, wiedział, co to jest zarządzenie i czym ono różni się od ustawy, jak właściwie powinna być zorganizowana praca biurowa. Ubranie miał świeżo uszyte, ciemnoszare, z przydziałowej jodełki. Nisko się schylił nad ręką Dzwinarskiej.

— Gratuluję koleżance świetnego pomysłu... Samo otoczenie muzeum, stare portrety na ścianach, kute piękne świeczniki, spokój tego przybytku od razu inaczej nastrajają człowieka...

Wolnym krokiem jął chodzić od obrazu do obrazu, de-

428

lek tuj ąc się ich mistrzostwem. Dzwinarska westchnęła. Tego nudziarza mógł koncert pociągnąć, ale inni?

___ Mamo, nie denerwuj się aż tak bardzo — próbowała pocieszać ją córka.

___ Kiedy, kochasiu...

Ale zaraz poczęli napływać goście lawiną. Zawilski z żoną, bratową i kimś jeszcze z rodziny, starosta z Haliną, matematyk Chmieja z młodziutką, kuso przebraną dziewczyną. doktor Zamirecki, dyrektor szpitala, Przybyłowie, kierownicy wydziałów starostwa i zarządu miejskiego, niemal wszystkie urzędowe osoby. Od niektórych pachniało już nieco wódką, większość rozglądała się wokoło z kwaśnymi minami, niemniej na sali robiło się coraz pełniej. Dzwinarska ciągle jednak warowała przy drzwiach. Na dotychczasowych gości mogła liczyć właściwie już z góry: skoro racyły przybyć najwyższe miejscowe władze, wskazanym było, aby zjawili się także ich bezpośredni podwładni...

Nieśmiało stanął w drzwiach Budniak, zawahała się towarzysząca mu kobieta. Dzwinarska uśmiechnęła się całą twarzą.

— Kochasiu, jakże się cieszę... Już dobrze ze zdrowiem? Nie najgorzej pan wygląda, zupełnie nie najgorzej... — udawała, iż nie widzi czerwonych blizn na czole i policzku Budniaka. — Wchodźcie, proszę, tu na lewo jest szatnia, cóż to, śnieg znowu pada?

— Trochę sypie, tak od niechcienia, niebo raczej jest czyste, jakaś przelotna chmurka...

Pięć przed jedenastą woźny zbliżył się do Dzwinarskiej, zaszeptał z miną wielkiego konspiratora. Czterdzieści i dwie osoby...

— Programy rozdane?

— Już pędzę, wyleciało z głowy ze szczętem... ^Programy stanowiły słodką tajemnicę Dzwinarskiej.

z do sąsiedniego miasta musiała jeździć, aby znaleźć Ze .rukami czcionki, jakie jej odpowiadały najbardziej.

— ocistą farbą nie było kłopotu, zachowało się kilka pu-na miejscu.

429

— Zrozum, taki program zostanie pamiątką na całe życie Pierwszy Sylwester na nowej ziemi, spędzony tak kulturalnie... Też dowód, że i na tym polu umieliśmy ruszyć z miejsca.

Wykonawcy gromadzili się na uboczu, speszeni i przejęci powagą chwili. Dzwinarska jeszcze raz obejrzała się w stronę drzwi, już nikt chyba nie przyjdzie... Zegarek wskazywał dokładnie jedenastą. Skinęła głową na córkę, ta zasiadła przy fortepianie, woźny z namaszczeniem zapalił w lichtarzach świece, przygaszając zarazem światło elektryczne na sali. Zamigotały mocniejsze cienie, kwiaty w blasku świec nabrały intensywniejszej barwy. Pianistka uderzyła w klawisze. Oczywiście, tutaj, przy takiej okazji, któżby inny jak Chopin...

Dopiero gdy przebrzmiały ostatnie takty, wysunęła się Dzwinarska do przodu. Goście dyskretnie składali na kolana programy.

— Kochani, drodzy, najbliżsi! Witam wszystkich serdecznie. Ogromnie się cieszę, żeśmy się tutaj spotkali. Pierwszy Nowy Rok na nowej ziemi. I ten nasz koncert. Nie chcę używać wielkich słów, nie znoszę patosu. Ale wydaje mi się, że tak witając tę uroczystą, pełną symboliki chwilę, podnosimy zarazem i godność miasta, utrzymujemy jego rangę. Rangę żywotnego kulturalnego ośrodka.

Odczekała chwilę.

— Oto, co pisał ongiś Żeromski o tych ziemiach, na których posiały nas losy złe i dobre, co pewne, że już na trwałe...

Recytowała dobrze, z wyczuciem, bez przesady, słowa Żeromskiego nabierały w tym otoczeniu, w gmachu dawnego niemieckiego muzeum, szczególnego znaczenia.

Potem były skrzypce z towarzyszeniem fortepianu, okazało się, gimnazjalny nauczyciel śpiewu był kiedyś skrzypkiem w wileńskiej orkiestrze symfonicznej. Znalazła Dzwinarska i wykonawców na

występy wokalne. Wcale miły baryton, choć brzmiący bardzo jeszcze po amatorsku. Śpiewaczka, która zachwyciła słuchaczy kilkoma ariami operowymi, zwłaszcza z Halki Moniuszki.

430

Dzwinarska dyskretnie przyglądała się gościom. Nawet ci najbardziej początkowo znudzeni zdawali się zdradzać zainteresowanie, a często nawet żywe przejęcie. Może nie żalowali już straconych okazji? Czuła się prawie zupełnie

szczęśliwa.

Krótko przed dwunastą ogłoszono półgodzinną przerwę. Na jej konieczność zwrócił gospodyni uwagę Zawilski. W starostwie odbywała się zabawa taneczna, wypadało, aby zarówno Zielniak, jak profesor pokazali się tam dla spełnienia toastów. Podobnie nauczyciele chcieli zajrzeć do szkoły, gdzie bawili się ich młodzi i starsi wychowankowie.

Dla Dzwinarskiej przerwa ta stała się dodatkowym sprawdzianem. Tylko parę osób nie wróciło już więcej na salę.

Okolo pierwszej uroczysty koncert był zakończony Na znak Dzwinarskiej woźny z namaszczeniem otworzył drzwi do bocznej, zamkniętej dotychczas sali. Udekorowane kwiatami, ustawione w podkowę stoły zapraszały na symboliczną lampkę.

— Nie wina, nie wina — ubolewała — przecież jabłecz-nego moszczu nie będę wam dawać. Z konieczności więc wódka — wznosiła kielich.

Ze swoim podszedł ku niej Zawilski.

— Niechże pani zezwoli, koleżanko kochana, że na pani ręce, dobrego ducha kultury naszego miasta, wzniosę serdeczny, noworoczny toast. I chyba więcej nie muszę mówić, wszyscy czujemy i rozumiemy, jaką nam rolę wyznaczyły losy w tym zakątku przywróconej po wiekach ziemi.

Ani on sam, ani nikt inny nie wyczuwał pompy w tych słowach, nie było jej, słowa odpowiadały odczuciu rzeczywistości.

Zielniak wychodził razem z Haliną. Śnieg już nie padał, c -rzęcił pod nogami w niewielkim mrozie. n Pnmiętasz, wygłaszałem pierwsze przemówienie tu orcu' gdy Jezierski pierwszym pociągiem przywiózł ZawTttnantÓW? SIÓW nie umiałem znaleźć. Tak jak dzisiaj lsl£1- Halina, zajrzyjmy do szkoły, głowę dam, że Li-

' 431

siewiez siedzi tarn jak zaszczyty w swojej samotni. Wyszedł pewnie o samej północy, by złożyć życzenia bawią, cym się i zaraz zniknął od nowa. Nie może pozbyć się swojego obozowego i nie tylko obozowego robaka...

— Niech żyje Nowy Rok, panie starosto! — grupka przechodzących mężczyzn zaakcentowała okrzyk palbą rewolwerową. Ze wszystkich stron zresztą rozlegały się strzały, momentami przechodząc w huk kanonady.

— Jest tej broni po ludziach, będzie z tym jeszcze sporo kłopotów. To już nie poprzedni pionierski czas — zauważył.

— Mógłbyś i ty postrzelać — zaśmiała się.

— Niech będzie. Nie muszę być dzisiaj poważny. W karnawale nasze wesele, Halina! Niech żyje nam Nowy Rok!

Strzelił trzykrotnie raz po razie w górę, w gwiazdy, w niebo, rozjaśnione teraz intensywnie, błękitnie. Dziewczyna zaklaskała w ręce jak dziecko.

— A teraz uciekajmy, nim nas złapie Pędzik ze swoimi chłopcami — porwał ją w objęcia i tak biegł ze swoją dziewczyną w ramionach, w Nowy Rok. w przeszłość, w jutro.

ROZDZIAŁ IX

EKKIE pochrapywanie przypominało mu Feryckiego, drzemiącego na tylnym siedzeniu. Nic w końcu dziwnego, może być chłopak zmęczony. Pracowity jak rzadko, dobry był pomysł z tą nominacją, choć wielu krzywiło się, że szczeniak, gdzież mu do prowadzenia najtrudniejszych spraw, osadniczych. Tymczasem radził sobie tak, że nic mu nie można było zarzucić. A co szczególnie ważne, umiał zdobywać ludzkie serca. Lubiany był wszędzie, choć bynajmniej nie głąskał, potrafił wystąpić stanowczo i ostro. A jednak chwalono go, dziś miał możliwość to stwierdzić ponownie. Przy Feryckim jakoś i usta bardziej otwierały się ludziom... Spi chłopak. Wziął sobie na kieł, obok pracy nauka, wkuwanie do późna w noc. Często przy tym zarywał wykłady, gdy go sprawy zatrzymały w terenie. Dzisiaj na szczęście miał wolny dzień, korzystał teraz z okazji, wspominał, po powrocie pragnąłby jeszcze posiedzieć nad notatkami.

Obejrzał się przez ramię. W mroku wypełniającym wnętrze wozu widniała skurczona sylwetka. Postawiony do góry kołnierz lichego paletka stwarzał złudzenie ochrony <>d zimna. A chłodno jest. Przydałoby się dorobić ogrzewanie do tego gruchota, kierowca obiecuje, że się tym zajmie. Tamtego pętaka musieli zwolnić, upiekło mu się 1 tak, wykorzystywał wóz starostwa dla szabru, handlował, ków Się Zdarzyła okazja- Stąd miał wszędzie tyłu znajom-

Diabelska jazda, towarzyszu starosto — wpadł mu e myśli głos nowego kierowcy. — Cholera nadała go-

p"«)«śnia si, niebo t j

433

toledź. Nie lubię odwilży w lutym, zawsze potem nie wiedzieć co wyskoczy.

— Mamy czas. Jedźcie ostrożnie. Opony niemal bez protektorów. Niełatwo będzie się wystrząść o nowe gumy.

— Pogadywałem z takim jednym, podobno któryś gospodarz ma trzy szesnastki. Żeby się tylko za bardzo nie cenili.

Zapatrzyli się na drogę. Ciągnęli ledwie czterdziestką, na pewnych odcinkach kierowca zwalniał jeszcze bardziej. Od paru dni trwała chlapa, po silnych mrozach w drugiej dekadzie, teraz, pod

marzec, grzało tak, że w słońcu tworzyły się strumienie wody na jezdniach. Wieczorami za to mroziak ścinał namokniętą nawierzchnię, robiła się gładziut-ka jak lustro. Wóz ślizgał się, zarzucał co raz to tylne koła, kierownicą trzeba było dokonywać cudów ekwilibrystyki. Hamulce praktycznie nie działały, naciśnięcie ich bez dłuższych ceregieli mogło wpakować samochód do rowu.

— Czołgiem tylko na taką drogę... Pamiętam, mieliśmy przygodę, też chyba już w marcu, niedaleko od Nysy...

— Byliście czołgistą?

— Zgadza się, towarzyszu starosto... Wtedy też nastał czas podobnie psiej pogody. We dnie słońce, ciepłutko, nocami mocne przymrozki. Tylko że dla gąsienic łatwiej, choć też bywało, tańczył niejedyn walczyka... O, cholera, nic, nic, wyjedziemy z tego... — wóz zatańczył w mocnym poślizgu, kierowca ostro dorzucił gazu, z prawa na lewo, z lewa na prawo, wyprostował nareszcie. Zielniak uczuł, jak mu chłodem przewiało przez plecy.

— Ostrożnie, ostrożnie! Zwolnijcie jeszcze.

— Za wolno także niedobrze, wtedy zsuwać się będziemy aż na pobocza... Da się radę, towarzyszu starosto... Dzień był szary, tłukły się chmurzyska po niebie... Szwaby coś tam zaczęli dłubać, rozpoznanie nasze doniosło o budowaniu jakiejś zapory. Dowódca zaryzykował, jeszcze było jasno, dobra godzina, czy dwie przed mrokiem. W trzy czołgi zerwaliśmy, mieliśmy dać osłonę chłopakom. Chodziło o narobienie szumu u Niemców, a gdyby okazja, o zajęcie wysuniętego odcinka. Zresztą mieliśmy nie ryzy-

434

kować, jakby co, wracać. Pola to były i łąki, Niemcy trzymali z tej strony rzeczki, już nie pamiętam nawet, jak ona się nazywała, przyczółek. Właśnie go poszerzali. Chodziło o to żeby im w tym przeszkodzić... Zaraz, zaraz, że też cholera znowu zachciało się ślizgać. Wóz trzyma nawet niezgorzej, tylko te piekielne opony. Już dobrze... Więc ruszyliśmy na przełaj, przez śnieg, nadtopiony u góry, zeszlony, ale czołgom to mucha. Mokrawo jeszcze było, później miało zacząć podmarzać. Dotarliśmy aż pod stanowiska szwabskie, postrzelaliśmy, narobiło się im bigosu. Piechocińscy nasi zresztą się wycofali, musiał dowódca zmienić zamiary... Ale zza rzeki zaczęła pruć artyleria, strzelali z działek przeciwpancernych. Rozkaz odwrotu. Trochę inną już drogą, ze dwa rzuty kamieniem od poprzedniego szlaku. Niby tak samo płasko, ani mniej, ani więcej. Ledwieśmy jednak odbili od Niemców na paręset metrów, zaczęło z maszynami dziać się coś dziwnego. Chrypiały, wyły, spod gąsienic leciało błoto przemieszane ze śniegiem. Jakiś nie próbowali, w bok, do tyłu, całą siłą maszyny, nic, ryliśmy w miejscu, jednemu tylko udało się z tej pułapki wydostać. A to, okazało się, był jakiś stawek, płyciutki, tyle że grząski. Słońce nadtopiło go nieźle, lód trząśł, wryliśmy się w bagienko. Tymczasem • robi się ciemno. I mróz. Ostrzejszy niżli poprzednich nocy. Zamarziliśmy gruntownie. Lodem obciągnęło gąsienice, pancerze też zeszczołały na dłoń. Mocniejszymi maszynami ledwie nas wykaraskali z pułapki... Zapali towarzysz starosta?

— Dziękuję, przepalony jestem. Cały dzień ćmiłem jednego za drugim.

Ja myślę, tyle gadania po tych zebraniach. Ale nie można powiedzieć, ciekawi ludzie. Podobał mi się ten sierżant Rząpik, czy jak mu, no, sołtys, twardo rządzi, ale ma Posłuch i kupy u nich wszystko się trzyma...

Zielniak przymknął oczy. Kierowca zerknął na swego sąsiada raz i drugi, zrezygnował z gadania. Wpatrzony w głą-

Czuł się jakby zaciągał się papierosowym dymem.

do Zielniaka wyraźny żal. Droga szalenie męcząca

i niebezpieczna, narasta znużenie. Kierowca często gada nie dlatego, że mu się chce. Musi gadać, żeby zachować trzeźwość myślenia, żeby się nie poddać działaniu snu. Starosta tymczasem, zamiast mu pomóc, sam się zabiera do spania. Braknie tylko, żeby i on chrapał, jak ten Ferycki na tylnym siedzeniu. Ech, dola.

Zwolnił jeszcze bardziej, na tym odcinku grzbiet szosy wznosił się wypukłe, koła wciąż się ześlizgiwały, na domiar droga szła nasypem, wznosząc się ponad bagnisty, podmokły las. Zerknął ponownie na swego sąsiada. Starosta miał oczy otwarte, patrzył przed siebie, ale nie zdawało się, żeby tam widział cokolwiek. Niech tam, każdy ma swoje strapienia. Zielniakowi także ich nie brakuje. W końcu jeden z najtwardszych tutaj, źle ludzie o nim nie mówią...

Zielniak myślał o czekającej go robocie. Miasto żyło już własnym rytmem, nierównym, łamiącym się, niemniej z wyraźną tendencją wzrostową. Ale powiat? Nie tylko poszczególne osady, całe wioski pozostawały jeszcze nie zasiedlone, pustka, bez jednego człowieka, zwłaszcza po wyjeździe Niemców. Na wsi ich niewiele już pozostało, ciekawe, właśnie chłopcy najgorliwiej garnęli się do wyjazdu, może to niechęć do nie ustabilizowanej sytuacji, ziemia takiej nie znosi, jeśli ma żywić i rodzić. Wśród osadników nastroje nie najróżowsze. Sądząc z obliczeń, z górą sto rodzin zrezygnowało, opuszczając zajęte gospodarstwa. Nieliczni zrobili to oficjalnie, zgłaszając zamiar swój władzom. Inni woleli zwinąć się cichaczem, zabierając z sobą wszystko, co było do zabrania. Zdarzało się, wywozili niekiedy futryny okienne, drzwi, wszystkie urządzenia pomocnicze do gospodarki. Zapowiedziane są pewne fundusze na przywrócenie jakiegoś takiego stanu w zdewastowanych obejściach. Ale i kredyty niewielkie, i skąd wziąć fachowców, mało kto garnie się do budowlanych zawodów... A reszta? Jest kilka wiosek, kilka majątków, gdzie życie płynie normalnym torem, z chałup wyziera dostatek. Jak słynne nie tylko na województwo, ale na kraj cały Małyniszki z osobliwym triumwiratem rządzącym duszami: wójtem,

436

nauczycielem, będącym zarazem sekretarzem PPR-u, i proboszczem. Wszystko to w doskonałej harmonii. Ale gdzie indziej? Głód zagląda do okien. Już teraz, a przed nimi jeszcze przednówek. Niektórzy przybyli późno, jesienią, nie zdążyli zasiać ozimin, nie zawsze mogli wyjść z pługiem w pole. Albo te osady, które dotknęła powódź, rozszalała bardziej niż kiedykolwiek na skutek zniszczenia przez działania frontowe urządzeń melioracyjnych. Bieda, niewesoło, tęsknota do wiosny i obawa przed tym, co nowy rok z sobą przyniesie...

Przydałby się jeszcze tydzień podobnych objazdów. W końcu trzeba znać sytuację dobrze, orientować się we wszystkich szczegółach. Wiosna podobno wcześniej się tu zjawia niżeli w centralnej Polsce.

Zdarza się, w końcu marca można wychodzić w pole. Szczęście, jest ta odlewnia w mieście, obiecują dostarczyć potrzebną ilość lemieszki do pługów. Ale kiedy i pługów brakuje... Zbyt wolno remontują magazyn zbożowy, już trzeba by robić zapasy ziarna siewnego, z wiosną przyjdą kłopoty, każdy powiat będzie się bił o przydział dla siebie. I potem wszystko, cały wysiłek, poświęcić siewom. Siał, jak najwięcej. Osiedlać nowych ludzi, pomagać w początkowym okresie, orać i siał. Zazielenić te odłogi stojące ziemie. Wygrać batalię, kto wie, może ważniejszą od tylu stoczonych już innych. Ludzi z miasta trzeba będzie pchać do pomocy.

Samochodem znów zarzuciło. Tydzień, ba, dwa nie wystarczą dla objazdu terenu, jeśli utrzyma się taka gołoledź. Ryzyko przy tym, kark łatwo skręcić. Za wiele wszystkiego na głowie, czasem pojawia się niepokój, czy można będzie Podołać zadaniom. A potem jednak daje się radę... Złość i-yłko ogarnia, jeśli nie zawsze udaje się coś tak jak należy. Nie tylko jego to drażni. Co by nie powiedzieć o życiu na polskim zachodzie — ma ono swoje potężne minusy — istnieje jednak i wspólne poczucie odpowiedzialności, rodzą się lokalne ambicje. Lisiewicz w milicji patrzył na świat czarnej strony, dostrzegał kanalie, dziwki, pijusów i lek-

0 uchów. Zza burmistrzowskiego biurka przejrzał, ta dru-

1 strona medalu okazała się większa i bardziej jasna.

437

W końcu miasto zaczęło żyć. Jeszcze jak chory człowiek z zablokowanym jednym płucem, ale już żyć. Ruszyły fa. bryki, może zbyt szumne to określenie, raczej zakłady pracy, działają urzędy, w sklepach pełniej na półkach, mało już ocalałych z zawieruchy wojennej domów, w których by wieczorem nie paliło się światło. I to mimo wyjazdu blisko dwóch tysięcy ludności niemieckiej. *

„A ja sam w tym wszystkim? Moja rola?” Często, natrętnie jawiło się pytanie. Oderwał się od obsesji wojennej, od ciężenia wyrzutu za okupacyjne tchórzostwo. Nie żałował siebie, nadrabiał stracony czas. Czy może już zatem być z siebie zadowolony? W części na pewno. Bo przy tym tego, co się działo, wciąż mało. Mijają tygodnie, sumują się w miesiące, niedługo, wiosna wszak idzie, doczekają rocznicy przybycia do miasta grupy operacyjnej. Rok. Okrągły, długi rok. Jak mierzyć aktualnymi warunkami ten czas. Dużo to czy bardzo niewiele?

Halina wspomniała niedawno, delikatnie — skąd tę dziewczynę stać nieraz aż na taką subtelność — iż za mało myśli o sobie. Ze obok tamtych, ogólnych spraw, istnieć musi i jakiś mały, własny już tylko wycinek. Obie te treści muszą się uzupełniać, wtedy dopiero stwarza się pełna harmonia... Na pewno racja. Ślub chociażby, odkładają go wciąż. Karnawał, tak jej obiecał. Tylko go patrzeć. Dłużej nie wolno zwlekać. Przecież to im obojgu potrzebne, chcą tego, nie istnieją żadne inne opory, nie ma przeszkód. Więc chodzi tylko o kilka dni wolniejszych, uszczkniętych dla siebie. Jeżeli już dla niego nie takie to ważne, pamiętać musi o dziewczynie. Jest w ciąży, wyznała mu to niedawno. Tu zresztą chyba wszystkie kobiety są w ciąży. Mężatki i panny. Klimat życia w pionierskich warunkach rozluźnia jedne normy obyczajowe, stwarzając inne. Nie chodzi wszakże ani o te inne kobiety, ani o zmienność w tradycjach. Halina ma rację, ma prawo wymagać od niego legalizacji ich związku. Pragnie zaprosić na ślub ojczyma i matkę. Nie było jej u nich za dobrze, normalna historia, gdy w miejsce rodzica przychodzi ktoś obcy. Może to zaproszenie ma stać się dla niej jakimś rewanżem, zaspokaja-

438

jącyni ambicję... Nie ma co, jutro ustalą datę ślubu. Na sam początek karnawału. Niech Halina zaprasza swych bliskich. Szkoda, że on nie ma .kogo zaprosić.

_Twoja mać w te i wewte szarpana! — pieklił się kierowca, znów zarzuciło, przez chwilę jechali niemal bokiem do ciągu szosy.

__ Niedaleko już, chyba nie więcej jak pięć, sześć kilometrów?

_Tyle będzie. Na ślizgawicy nie ma blisko ani daleko.

Tu zawsze gra w czerwone i czarne, nie wiedzieć, co wyskoczy — kierowca wyraźnie ucieszył się z nawiązania rozmowy. Najgorzej tkwić tak za kierownicą samemu. Głupie myśli zaczynają łązić po głowie, rodzi się jakiś lęk przed maszyną, przed taką cholerną pogodą. Starosta poweselał, coś musiało mu się dobrego pomyśleć. — A towarzysz starosta w lepszym humoru? Jakbym zgadł, o pani Halinie towarzysz myślał?

— Niech cię kule biją, akurat zgadłeś.

Zaśmieli się obaj. Zbudziło to Feryckiego, podniósł głowę, wodził po nich zaspanymi oczyma. Potem zerknął na szosę, mijali właśnie rozstaje dróg.

— Tam na pewno utknęła sanitarka, co to nią doktor -Korczycka jechała. Koło im wtedy odpadło, pobłądzili, żeby

nie ten rybak...

— A niech go cholera. Już ty mi, Felek, nie gadaj o nim. Nieużyty, mruk, ciemny typ jakiś. Tylko patrzy za człowiekiem, strzyże spod tej swojej czapy oczyma... Tydzień temu, w niedzielę, wyskoczyliśmy z koleżką na ryby, okoń na blachę dobrze bierze spod lodu. Niezadługo będziemy przejeżdżać obok tego miejsca, skąd na jezioro skręciliśmy... Zadyмка się podniosła, wyhuštało nas, wymroziło, zaszliśmy lodem daleko, aż widać dym. To właśnie ryba-kówka tego starego hycła. Idziemy, żeby się ogrzać, ciepłego coś wypić, nie za darmo, trochę grosza ma się przy

uszy. Ryba ciężka, z osiem kilo złapaliśmy, gdyby co, to^oh my ^eszcze w nocy próbować, jasno, sama pełnia

O yia... Świeci się, więc pukamy. Pyta, co i jak, mówi,

439

nie wpuści, tu nie gospoda czy jaka oberża. Kniemy się że zamarznięci, przecież nie zostawi na dworze jak psów'

— Może bał się jakiego napadu — wtrącił Felek.

— A tam, bał się. Widział nas przecież... Wreszcie otworzył. Kazał żonce rozpalić ogień, taki piec sobie wielgachny zbudował, jak to ci robią od Wilna. Ona w ogóle nie gada niemowa czy jak, on też siedzi i tylko wilkiem zezuje. Dzieciaki z łóżka patrzą ogromnymi oczyma. Dziwacznie, głupio nam było. W końcu podali herbatę, chleb, jeszcze coś. Aha, wędzonego węgorza, marynowanego w occie, zagrycha, że lepszej nie szukać. Mieliśmy z sobą flaszeczkę. Proponujemy staremu. Powiedział, że nie

chce, nie pije, do ust nie bierze. A w ogóle to żebyśmy nie marudzili i wynosili się do wszystkich diabłów. Inna sprawa, pieniędzy też nie wziął... Już bym więcej nie chciał do niego zaglądać.

— Wszystkim nikt nie dogodzi. Bo doktor Janina bardzo go chwali, choć ma z nim kłopoty. Okropnie jej wdzięczny, że mu wyleczyła kiedyś dzieciaka, poharatany był od granatu... Stary ryby jej teraz zwozi, całe wory, nie wie, gdzie je podziewać,

— Do starostwa też przed świętami przywiózł — mruknął Zielniak.

— Dobry rybak z niego. Wylęgarnię odremontował, ikrę wydostał, sielawy zdaje się, mówi, że zimą zajmie się pstrągiem, a potem szczupakiem. Z wiosną będzie u nas lepiej z rybami. Trzech nowych przybyło. Jeden od Wilna, były jakieś tam wielkie jeziora, ten już osiadł. Dwaj z Pomorza, ci to oglądają się, żebym z nimi jechał, pokazał. Dopiero potem, jak coś sobie wybiorą, rodziny i dobytek sprowadzą. Skąd to oni? Aha, spod Wąbrzeźna.

— Wymieszało się tutaj jak w wieży Babel — zaśmiał się kierowca. — Zgadzać się też ludziom trudno jak tam. Choćby dziś, co to widzieliśmy, jedni znać nie chcą drugich... O, tutaj, stąd od szosy najbliższej na to jezioro — wskazał na bok drogi, gdzie nic znać teraz nie było. żadnego szlaku, śnieg leżał głęboką warstwą.

— Uwaga! — krzyknął Felek.

440

Nieostrożny, zbyt szczery zamach rąk kierowcy spowodował, iż kierownica wysnęła mu się przy tym ruchu. A właśnie jechali znów wybrzuszonym mocno podłożem.

Ł/óz zachybotał, zarzucił tyłem, zdawało się, wyprostował już kierowca dodał gazu, ale znów na ostrym wyboju om-snęło się przednie koło, zatańczyli gwałtownie, od jednego brzegu szosy po drugi, i znowu, i znowu... Kierowca cisnął gaz, tylko zwiększoną szybkością można się było wyrwać z tej sytuacji.

_ Kurza twarz, co...

Nie skończył, zarzuciło raz jeszcze, w lewo, dla odmiany-znów w prawo, kierownica nic nie znaczyła, wóz gnał przed siebie, w bok, ciągle w bok siłą bezwładu, prosto na drzewo, wielkie, szerokie drzewo. Kurczowe ruchy rąk szukające oparcia, ułamki sekundy, kiedy wszystko nagle kotłuje się w głowie, przeszłość i dzień dzisiejszy, tysiące wspomnień i lęk, i strach, taki sam strach jak łam, jak wtedy, jak w tamten parszywy czas...

Całą mocą rozpędu, całą zarazem siłą bezwładu wóz rąbnął prawą latarnią w drzewo. Huk zderzenia, metaliczny trzask rwącej się, sprasowanej blachy, któreś drzwi rozwierają się od mocy zderzenia, chmura śniegu, odpryski lodu, krzyk czyjś, i już drobiny pyłu powoli zaczynają opadać, nie ma trzasku, jest nagła, zaskakująca cisza.

Pchnęła go do przodu ta przeraźliwa jasna w całym chaosie myśl, iż w ten sposób do jutra nie dojdzie; nie oglądając się na nic, skoro w ogóle może się jeszcze poruszać, powinien zdobyć się na największy wysiłek.

I jeżeli dotąd włókł się z wielkim trudem, zagryzając wargi z bólu — mniejsza o rękę, niech tak wisi bezwładnie, ten ból mniej straszny, bo nie pomnażany przy każdym ruchu, ale noga, kolano i udo, krew już się przesączyła Przez spodnie, zastyga teraz, skleja się w mrozie w chrzęszczącą blachę, ociera o ranę — to obecnie nieomal zerwał o biegu. Poboczem nie można, tafla zlodowaciałej nalerzchni styka się tutaj ze śniegiem, jakże się łatwo po-

441

ślizać, gdy raz upadnie, mógłby już nie wstać, więc chyba przez śnieg, nic, że miejscami głęboki po kolana, ale trzyma mocno, bezpiecznie. Zlodowaciała skorupa u wierzchu zapada się z głuchym chrzęstem, pryska ostrym szkliwem na strony, trudno wyciągać nogi, trzeba zginać wysoko kolana, a to prawe wtedy tak boli, rwie, piecze... W ustach sucho, brak śliny, językiem obrócić nie można. I w oczach jak gdyby piasek, przymyka powieki, znów otwiera, ^ciemnawy szlak szosy, tylko na otwartych miejscach polewa lśni lustrem. Śnieg z brzegów drogi bieleje, ciemny jest tylko w cieniu drzew. Czarne teraz te świerki, ponure, pną się w górę, ani dojrzeć szczytów.

Pustka. Z prawej strony powinny wyłonić się zaraz dwa domy, nie zamieszkane, oszabrowane do cna, nie ma wciąż chętnych, ludziska wybierają co lepsze, kto by zaczynać chciał na ruinie. Że też ten właśnie odcinek tak mało zaludniony. Miasto na pozór bliskie — staje się zarazem tak strasznie odległe, ponad cztery kilometry, od strony zburzonego przedmieścia, przez nie też przyjdzie się wlec...

Przez miasto? Czy dotrze? Płucom brak powietrza, oddech szybki, gwałtowny, kłuciami wdziera się w płuca. Wszystko boli, ramię przy biegu też boli, zupełnie sztywne, bezwładne, ani nim poruszyć, być może złamanie, coś innego... Najgorzej noga. Krew płynie, czuje jej ciepło, a obok skorupę, raniącą od nowa, wciąż od nowa.

Zimno. Płaszcz był tamtym potrzebny. Koszula także. Sama marynarka nie grzeje, zwilgotniała od potu nasycy się teraz zimnem, trze ciało.

Nie można biec, nie można nawet udawać biegu. Nogi ślizgają się, musiał znów wyjść na szosę, tam śnieg był nazbyt głęboki. Tu lód, lustro, jakby kto polerował, aby bardziej ślisko i niebezpiecznie. Byle tylko się nie wyrócić. Jeszcze na to chore, bezwładne ramię, lewe ramię, choć ta pociecha, że nie prawe, byłoby gorzej... Ciężko, wlecze się teraz, każdy krok odzywa się nowym atakiem bólu. Co się stało z tą nogą? I zimno, straszliwie zimno, takim dziwnym chłodem, przenikającym, siekącym jakby tysiącami wbijanych szpilek.

442

Drzewo, jedno, drugie, dziesiąte. Jak przeraźliwie daleko jest od jednego do drugiego drzewa. Wydaje się, że godzinami odliczać trzeba te maleńkie odcinki. Takie samo pewnie było i tamto drzewo. Że go też nie pamięta zupełnie. Nie spojrzął, a może widział, ale nie wraziło się w pamięć. Ach nie była tam blizna, biała, świecąca, u dołu zaczerniona masą żelastwa z rozbitego wozu. Więc przy zderzeniu zdarli korę aż tak wysoko? Aż tak podskoczył motor w tym dramatycznym ułamku sekundy. Co mówił na krótko przedtem Witek, kierowca? Prawda, pokazywał, kędy najbliższej do jeziora z tamtego miejsca. I wtedy zarzuciło, miotnęło nimi. Okropny był trzask, rumor i potem z nagłą ta cisza, przejmująca, cisza, w której dźwięczał jeszcze wysoki, przenikliwy czyjś krzyk. Kto krzyczał? Zielniak, Witek, czy on sam nieświadomie rozwarł usta w tym przeraźliwym wrzasku?

Oprzeć się na moment o drzewo, przystanąć. Czerwono, czarno przed oczyma, białe płaty śmigają, a na nich czarne punkciki, jakby auta, setki aut, tysiące aut, pewnie ich w całej Polsce aż tyle nie ma, skąd auta? Brak sił, nawet na tyle, aby się opierać o słup, wiotczeje, osuwa się. Może tak usiąść, odpocząć, potem łatwiej będzie iść? Ale tamci czekają, Witek, zaraz, co mówił Witek? Leżał, jęczał, że .nogę ma złamaną, ruszyć się nie może, kość wyszła z ciała, goleń najpewniej, uwiera, piekielnie boli... Więc jeżeli on, Felek, poradzi gdziekolwiek do ludzi, najlepiej do miasta, nie tak daleko, cztery kilosy, niech zaraz idzie. Bo inaczej zamarzną, zemrą z samego bólu. Co ze starostą, nie wiadomo, nie odzywa się, zemdłał najpewniej, stracił przytomność, tę krwawiącą głowę niech mu Felek owinie czymkolwiek, koszulą najlepiej, bo upływ krwi, sam chyba rozumie...

Największym wysiłkiem oderwał się od drzewa, Boże, ten pierwszy, ten drugi krok, ten trzeci, właściwie każdy Jest taki sam, boli, szarpie, i rwie, wszędzie, w całym już C1ele, nie tylko ramię, nie tylko noga, bo i płuca, i serce, Pierwszy raz czuje, że je posiada, głowa, głowa też boli stra-- wie. łomoce coś w niej, dudni, jakby kto konie przega-

443

niał. Te płaty, czerwone, czarne, zmrużyć powieki, mocniej, nacisnąć, niech zanikną te ponure w swym zestawieniu kolory. Las po obrzeżach, tak bliski, że tylko sięgnąć do niego ręką, majaczy mu się, skądże bliski, las tutaj wycięty, spory kawał do niego. Ślisko, jak bardzo ślisko, może iść bardziej obrzeżem. Jezusie...

Ale dźwigał się. Musi dojść, musi. Tamci czekają, w nim widzą jedyny ratunek, mówił Witek, zamarzną, zemrą z samego upływu krwi. Głowa Zielniaka, trudno rozpoznać, jedna wielka rana opływająca ciepłą krwią, koszula też od razu nasyciła się lepką posoką. Więc iść, nie można ustawać. Zielniak zemdłał od wstrząsu, a może od bólu, gdyby on tak zemdłał padając, nie byłoby ratunku ani dla tamtych, ani dla niego... Iść, iść, wlec się, ciągnąć tę nogę, już nie może normalnie jej stawiać, nie potrafi zginać kolana. Co tam się stało? Krew zakrzepła, blacha jedna ze spodni, szorują, trą, jakby ogromna tarka...

Szedł. Szedł już nie myśląc, szedł jak ślepiec, bardziej wymacując drogę każdym postawieniem stopy, niżeli ją widząc. Pełz, włóknął się, byle bliżej, byle jeszcze ten krok, i jeszcze ten jeden, jeszcze następny. Już wszystko jedno mu było, co boli, gdzie boli, nie rozróżniał, cały był przepojony tym bólem.

Miasto wyczuł dopiero, gdy potknął się o jakąś zlodowaciałą. wmarzniętą w śnieg cegłę. Szeroko rozwarł oczy. Przed nim, daleko jeszcze, bardzo daleko, migają światła. Tam są domy, są ludzie, u nich ratunek. Byle dojść, tamci czekają, marzną, krew z nich upływa. Boże drogi, dojść, dojść, koniecznie dojść.

Aż wreszcie człowiek. Cieniem wyłonił się skądś naprzeciw, już niedaleko zupełnie tych światel. Ferycki otworzył usta, chciał krzyzczeć, wołać, wskazywać, że trzeba do tamtych, na pomoc, bełkot tylko, głuchy bełkot, nic więcej, a gdyby go tamten złapał za ramię, uczył z trwogą, jak ta zjawa, pokrwawiona, niemal naga, osuwa się mu w ramionach, wywraca na przyprószony śniegiem bruk ulicy.

Pociągnął go więc tylko do najbliższego domu, słaby był. na domiar podpity...

— Ludzie, ludzie, otwierajcie, ratunku! Tu chory, ranny, krew sama, Panie Chryste! Otwierajcie, ratujcie!

Nie otworzyli, wystraszeni, albo to co wiadomo, pierwszy dom od lasu, różnie bywało, a i wciąż jeszcze bywa, wygasili światła, umilkli jak trusie.

Sam się chwiejąc na nogach powłókł więc tego pokrwawionego, bełkocącego co jakiś czas niezrozumiale człowieka pod następne światła. I znów wołał, jęczał, błagał, trzeźwiejąc z każdą minutą.

Jednego wnieśli, drugiego wciągnęli w krąg blasku, w jasność, w spokój. Popłoch, a potem woda, cucenie.

Ranny rozwarł oczy, z trudem, z wysiłkiem, jakby je tam klej zlepił. Spojrzał po twarzach, zobaczył światło żarów-ki, zabełkotał podniecony, przejęty. Pojąć słów jego nie mogli.

— Wody, wody mu dajcie, niech wypije, zaschło mu w gardle, język spuchnięty...

Omali się nie zadławił, tą wodą, ksztuścił się, wypluwał, wreszcie słowa ułożyły się zrozumialej:

— Tam, na szosie, czwarty kilometr. Katastrofa. Samochód. Starosta, szofer, pomoc, najprędzej...

— Jezu, już lecę! Szpital, milicja.

— Józek, śpiesz się, każda minuta droga. My się nim tutaj zajmujemy...

— Rozbierajcie go, umyjcie, krew zatamować, choćby prześcieradłami... To ten chłopak od osadników.

Słowa te na pół zrozumiale dotarły jeszcze do świadomości Felka. Krzywiąc się z bólu, zdawał się zarazem uśmiechać...

Dopiero zastrzyk go ocucił, ujrzał nad sobą twarz doktor J aniny.

Felek, trzymaj się! Dwa zastrzyki, już cię obandażują Ci państwo, zaraz się tu pojawi Niecko... Gdzie tamci? Czwarty kilometr? Prosto?

Kiwał potakująco głową. Mówić naprawdę nie mógł. dy karetka po niedługim czasie wracała, przyhamowała P^ed domem.

— Juz g0 zabrali, pani doktor — wyszedł do furtki męż-

czy zna, ten sam, który przyniósł ponurą wiadomość do miasta. — A tamci jak? Co z nimi?

Zacisnęła wargi. Odezwała się dopiero po chwili. — Kierowca ma w kilku miejscach złamaną nogę... Starosta... Starosta nie żyje...

Przyglądała się przyjaciółce z uwagą.

— Wiesz, Ziotka, wyładniałaś... Inne brzydą w tym czasie, zwłaszcza przed samym końcem, a z tobą zupełnie inaczej... Widzisz, kochana, widzisz...

Przygarnęła ją do siebie w przypiływie czułości. A Ziotki oczy — płaczliwa się jakoś zrobiła ostatnio, to ten stan pewnie — zaszkliły się łzami.

— Taka dobra jesteś, Jaśka...

— A ty? Gdy Felek był chory, i tam w szpitalu, i potem w domu? Już nie pamiętasz?

Spowaźniały obie. To jeszcze było tak świeże. Dopiero tydzień, może o parę dni więcej, jak Felek opuścił szpital. Lewe ramię nosi wciąż w gipsie, rana nogi nie chciała się goić, zabrudzona, podmrożona, ropiała, nie ustępował stan zapalny, lekarze chwilami stawali się bezradni. Jaśka ciężko przeżywała ten okres, nosiła Felkowi jedzenie, przesiadywała przy nim w szpitalu, wracając zmęczona i zdenerwowana. Ziotka zajęła się wszystkim. Domem, ogrodem, nade wszystko zaś starała się przyjaciółkę podtrzymać na duchu.

— Wiesz, Jaśka, każdego dnia pewnie już zlegnę... Tak mi ciągle jest przykro, że sprawiam wam sobą tyle kłopotu. Darmozjad ze mnie. Felkowi i bez tego niełatwo, zarabia mało, teraz ten wypadek. A tymczasem ja... Kiedy się wam będę mogła odwdziaczyć?

Tej samej nocy przyszył pierwsze bóle. Ziotka leżała cicho, z zaciśniętymi zębami. Błada była, czoło miała zroszone potem. Gdy bóle nie ustawały, Jaśka nad ranem skomunikowała się z doktor Janiną. Po zbadaniu dziewczyny lekarka potrząsnęła głową, zabrała Ziotkę z sobą do szpitala.

— Ale co jest, pani doktor? — niespokojnie dopytywał* się Jaśka.

_ To, że przedtem nie zjawiała się na badanie. Ułożenie

płodu nieprawidłowe, być może, trzeba będzie zastosować cesarskie cięcie, mogą nastąpić też inne komplikacje... — odpowiadała niechętnie, po czym dorzuciła: — Ja tę dziewczynę skądś znam? Czy to nie pan Felek razem z panią kiedyś przywoził ją do szpitala? Chyba z pół roku już te-mU ' — zniżyła głos. — Truła się, tak?

Jaśka skinęła głową.

_ Pamiętam, zawód miłosny... Biedna dziewczyna. To

dziecko z tamtym? No dobrze, zobaczymy, co będzie dalej. Szczęście, że mnie wezwaliście... Co się tu dzieje, pół szpitala wydzielone na porodówkę! A zapowiada się jeszcze lepszy urodzaj — uśmiechnęła się patrząc na zaawansowany stan Jaśki. — Proszę koniecznie zgłosić się na badanie. Jak się czuje pan Feliks?

— Wyjechał dziś w teren. Przybyli nowi osadnicy. Marzec, zdążyć chcą przed siewami.

— Właśnie w tej chwili potrzebne mu takie wyjazdy. No, do widzenia. Chora gotowa?

Późnym wieczorem wrócił Felek, zadowolony, udało się rozlokować sporą partię nowych osiedleńców, repatrianci, ze Stanisławowa, oczy im tylko zabłyśły, gdy zobaczyli obejścia, nic, że podszabrowane, że podniszczone wandal-sko. Ale jest się już o co zaczepić, jest od czego zaczynać... Powiedziała o Ziućce. Że może warto by się wywiedzieć? Bez słowa narzucił płaszcz, pomaszerowali przez uśpione już miasto. Tylko od strony knajp dochodziły pokrzyki, muzyka, gwar.

Korczyckiej nie było. Dyżur miał Niecko. Utył, stał się jak gdyby mniej ruchliwy. Też był zmęczony, znał Felka, mógł ponarzekać.

Praktycznie jest nas dwoje. Ci Niemcy coraz mniej pomagają, starzy, może nie mają ochoty, w końcu się im me dziwię. Oczekują transportu, chcą już wyjeżdżać. Tam i u nas, kto wcześniej, ten znajdzie lepsze warunki...

ni °r prawie że nie zajmuje leczeniem. Obchodzi go ^o administracja. Szpital jeden z najładniejszych, naj-szych. najlepiej wyposażonych, o minimalnym współ-

447

czynniku śmiertelności, w ogóle same cuda. Powtarza nam to co dnia. Nasza praca nieważna, nie liczy się, o niej nawet nie wspomni. A my padamy na nos. Co druga noc ostry dyżur, nie zdarzy się, żeby która minęła spokojnie. Dziki zachód, polska Kanada, wiadomo, choć trochę się jednak uspokoiło... No, ale ja tu gadu, gadu, a trzeba zajrzeć do pacjentki. Nie najgorzej z nią, byłem tam przed godajną. Bóle partę ustały, płód się nieco obrócił, jeszcze czekamy, puls dziecka normalny. Ona sama tylko trochę nas niepokoi... Nie, nic, może to tylko przesadne obawy... — zbagatelizował ostatnie słowa, widząc niepokój rozmówców.

— Moglibyście z nią porozmawiać — konspiracyjnie odezwał się po powrocie. — Niby nie wolno, ale Zamirecki wyszedł stąd przed godziną, nie wróci, cały szpital już śpi...

Ziućka wyglądała na bardzo zmęczoną. Uśmiechnęła się, ale mówiła mało. Otrzymała zastrzyki, dbają tu o nią, chciałyby, aby już było po wszystkim. Bardzo pragnie tego dziecka, bardzo. Mimo to, że nieślubne, bez ojca...

Gdy się żegnali z nią, w nagłym jakimś odruchu pocałowała rękę Felka. Wyszarpnęła ją gwałtownie, zmieszał się okropnie, cały szczyrwieńiał.

— Ziućka, coś ty, co tobie?

— Bo, bo wy jesteście dla mnie tacy dobrzy... Zawsze. I za co, za co?

Rozpłakała się nagle. Doktor Niecko szybko pobiegł po jakieś krople. Dał im zarazem znak, by wychodzili już, wszelkie emocje są bardzo niepożądane dla pacjentki.

Feryccy człapali przez miasto w nastroju szczególnego wzruszenia. W ogóle żal im było dziewczyny, teraz na domiar poruszyła ich ta jej wdzięczność. Felek nie mógł się uspokoić.

— Głupia, też pomysł, w łapę całować.

Śnieg leżał jeszcze w załomach murów, krył sobą wstydlive gruzowiska. Ale powietrzem przeciągał już wiatr inny jakiś, wiosenny. Łapał go szeroko, pełną piersią. Wtedy też był taki leciutki wiatr, ale dął

chłodem, wsąsał się pod marynarkę, ziębił, zeszywniał przekrwawione ubranie. Dziwili się lekarze, że dojechał do miasta z tak poranioną

448 "

4. musiał, to być nadludzki wysiłek. Ach, minęło, o czym tu mówić, Zielniakowi i tak nic to już nie pomogło. Nie zamarzł, śmierć nastąpiła krótko po wypadku, rzucony siłą zderzenia do przodu, zmiażdżony karoserią i żelastwem, motoru, od razu utracił przytomność. Tyle choć, że się nie męczy* - Powiedział ktoś, że siedząc obok kierowcy, znajdował się w sytuacji samobójcy. Może prawda, że niebezpieczne to miejsce. Witek wyszedł z wypadku z pogruchotaną nogą, będzie kulą do końca życia... Zabrakło Zielniaka* Gdyby tak zacząć liczyć, okazałoby się, jak mocno zmniejszyła się ich grupka z pierwszych tygodni. Sporo zginęło, inni wyjechali w dalekie światy. Tym bardziej pozostali powinni się trzymać razem. Myśl jego wróciła do Ziutki.

_Musimy coś postanowić, jak wróci z małym... Ten domek obok nas, podniszczony, ciągle więc nie ma chętnych. Choć zaczynają go oglądać, opukują, dzisiaj już i niewielki remont przestaje być straszny... Ogródek niewielki, maleńka część naszego, ale więcej nie trzeba. Trzy pokoje, kuchnia, coś jeszcze na stryszku. Trzymam go dla Ziutki, obgadane mam w mieście, ale długo już nie da rady. Niechby otrzymała nadanie, pomożemy w remoncie, na zawsze przecie nie będzie u nas zostawać...

— Przecież jej nie wyrzucisz, Felek? — zaniepokoiła się.

— Sama któregoś dnia zechce odejść. Męczy ją świadomość naszej pomocy.

— Cemu ona jest tak straszliwie blada? Doktor Niecko bąkał, że coś niedobrze... Boję się.

— Nie znam się na tym. Myślałem, że i ty zlegniesz niedługo. Jaśka, chłopak będzie czy dziewczynka? Jak nieco podrośnie, pojedziemy do Łodzi, do moich starych. Chyba ucieszą się. Na psy nie zszedłem, robię coś, uczę się...

— Myślę, że dziewczynka... Ale drugie to już na pewno chłopak.

Dalsza trójka to znów dziewczynki, dopiero Od szczęście-g0 Posypią się chłopcy, seryjnie..,

• Śmiali się, dobrze im było z sobą, świat stawał się kolo-r°wy, radosny.

19 Przeżalnia się niebo t. X

449

im swoje nazwisko... Gdy się wreszcie uwolnił od "jakichś becików, wyszedł do nich. '

Kwiaty? Róże? Kiedy nic'nie mam.., Ani róż, ani ni-Czego innego. Trochę było, ale przed pół godziną jakiś człowiek zakupił wszystko, co miałem. I. róże, i goździki; Do szpitala, dla jakiejś kobiety,' dziecko urodziła, podobno chłopaka. ,"

Spojrzeni po sobie. Felek wybuchnął śmiechem. A to się Urządził wyaplaniem przed Wiśniewskim Ziutczynej historii. Wykupił im kwiaty sprzed nosa, Z rozmachem zaczyna, w ogóle ci Wiśniewscy to mają gest...

Ogrodnik zlitował się' jednak, 'wyrzebał trochę róż, W pąkach, mocno nierozwiniętych,

— W cieple prędko rozpękną, tak nawet lepiej, dłużej będą stały.

— Gdy twój czas przyjdzie, wcześniej będę musiał zarezerwować kwiaty. Bo mi znów ktoś podkupi — śmiał się Felek, gdy szli już powrotną drogą. Przytulał Jaśkę do boku, żartował.

2.

Zaczęło się od telefonu. Wlazły. Proponował spotkanie; najlepiej może w domu u Lisiewicza, w komitecie ani rano, ani wieczór nie będzie spokoju, telefony, nagłe wezwania, a jemu chodzi o szerszą prywatną rozmowę...

Wlazło nie fantazjował, nie przesadzał. Było wiadomo, że Zajęty jest nieomal całą dobę. Skala politycznych zagad« nień poszerzała się. coraz bardziej, wydarzenia narastające w kraju nie mogły omijać powiatu i miasta.

Zastanawiał się teraz, o. co sekretarzowi, chodziło? Od czasu, gdy odszedł z urzędu burmistrza,¹ kontakty ich siłą faktów musiały się zmniejszyć ograniczając się do rzadkich i przypadkowych spotkań. Czuli zresztą do siebie nawzajem Sympatię, witali się życzliwym uśmiechem. Ale co znowU teraz, tak nagle? Prosi o spotkanie dziś jeszcze...

— Właściwie już krótko po śmierci Zielniaka miałem chotę na pogawędkę z wami... Tak się jednak to wszystko irzeciagnęło. Skąd macie tak dobrą kawę?

— Gosposia moja kupiła na rynku. Pewnie przywiózł ją

któryś z reemigrantów... Wracając do Zielniaka. Kruszy się stara kadra, ustępujemy miejsca nowym przybyszom, przenosimy się na cmentarz, emigrujemy do innych ośrodków... Gdy tak wspomnę pierwsze tygodnie, wspólne zamieszkiwanie w jednym budynku, niemal za zasiekami, jakby na froncie... Tamte czasy miały w sobie jakiś urok. Dziś wydaje mi się, że aż nudne od porządku, zbyt stabilne jest wszystko.

Wlazło zaśmiał się szczerze.

— Może w tym porównaniu macie rację. Sam pamiętam jeszcze wiele z tamtego okresu, choć pojawiłem się ze swymi chłopcami znacznie później. No, ale gorąco jeszcze też mieliśmy... Natomiast to, że stabilnie, aż nudno, to chyba przesada. U nas tu jeszcze ciągle dziki zachód, Kanada, jak mówią. Wszystko w ruchu, ludzie, sprawy, zjawiska... Miałem nadzieję, że poczęstujecie kieliszkiem, i nie zawiodłem się. Zatem za tę naszą stabilność.

Poprawił się w krześle.

— Jak mówiłem, przychodzę po przyjacielsku. Mam jedną dość trudną sprawę. Chcę waszej porady... I może z tym najpierw wyjdę. Właśnie ta stara kadra. Zielniak odszedł od nas w najbardziej nieodpowiednim momencie. Znał sprawy, teren, cieszył się zaufaniem ludzkim, na dodatek był uparty i miał cholerną ambicję, aby zdziałać tu jak najwięcej. Głupi pech, ślepe zrządzenie losu... Myślę o stanowisku starosty.* Za długo trwa bezkrólewie, to w żadnym wypadku nie na nasz czas. Z województwa cisną, abyśmy prędkiej przeprowadzili wybory, podali kandydatury. Są sugestie, moim zdaniem na pewno słuszne, ale niełatwe w wykonaniu. Może u nas nawet szczególnie słuszne.

Burmistrzem jest Zawilski, świetnie sobie radzi; me Piję do was, nie obraźcie się, tak wtedy nie najfortun-mej sprawy się ułożyły.

Nie żałuję, tam chyba nie byłem na swoim miejscu...

Lubię młodzież, lubię zawód nauczycielski. Improwizacji również mam tutaj nie mniej niż na stanowisku burmistrza.

— Tym lepiej. Otóż Zawilski jest inteligentem, profesorem. To na pewno nie minus, ani przeszkoda...

— Gotów już byłem tak myśleć — wtrącił trochę złośliwie. Wlzło pominął przytyk milczeniem.

— Jest tendencja, aby poszerzyć bazę społecznego awansu. Wyszukiwać, zwłaszcza w klasie robotniczej, dzielnych, energicznych, wyrastających ponad przeciętność ludzi, powierzać im stanowiska, niech się szkolą, niech rosną... U nas dla przeciwwagi Zawilskiemu byłoby to szczególnie pożądane. I my i towarzysze z PPS-u zastanawiamy się nad tym od dawna. Szukamy człowieka, związanego w jakiś sposób z miastem, przy tym otoczonego szacunkiem i sympatią. Sprawa nie jest łatwa. Rozglądaliśmy się w pierwszej grupie, wśród tych kilkudziesięciu ludzi, którzy zaprowadzili podstawowy ład w mieście. Mamy swoje koncepcję ale zależałoby mi prywatnie na waszym zdaniu, Także na przypomnieniu ludzi... Mogliśmy o kimś zapomnieć...

— No cóż, trochę to mnie zaskakuje, muszę się zastanowić... Z tych pierwszych byłby Pędzik, byłby Przybyła...

— Dobry są na swoich miejscach, nie będziemy tu robić przesunięć.

— Znajdzie się kilku wśród milicjantów. Byłby Ferycki, to naprawdę zdolny chłopak. Obserwuję go przy nauce, radzi sobie nad podziw. No, ale on chyba za młody. Jest Budniak, prosty chłopina, choć serce ma dobre, a i nie pozostaje bez innych zalet... Muszę się zastanowić, sporo kobiet, te w grę chyba nie wchodzi?

— Raczej nie, choć ostatecznie... Wspomnieliście o Eud-niaku? On miałby pewne warunki. Jeden z najpierwszych, ma zasługi, jest znany. Ostatnio zwłaszcza ta piękna historia z ratunkiem dziecka. Ambitny, uczy się podobno na wieczorówce?

— Uczy się... Nie mam nic przeciw Budniakowi. Tylko czy on podoła?

— Rewolucja kształci ludzi, to świetna szkoła.

__ Jeżeli tak...

__ Lisiewicz, nie kpijcie... Wasze zdrowie... No bo właśnie i nam Budniak przychodził na myśl. Prawdę mówiąc, traktujemy go najpoważniej. My i towarzysze z PPS. Ludowcy też by się na pewno nie sprzeciwiali.

— A Budniak co na to? Zgadza się?

— Właśnie że tego nie wiemy. Może czynić opory, to skromny człowiek. Gdyby porozmawiał z nim ktoś lepiej mu znany, w serdecznej nutce. Tutaj właśnie jest prośba do was. Jako dyrektor gimnazjum macie z nim kontakt, liczy się z waszą opinią. Zgoda?

— Nie odmówię, chociaż... Nic, nic, sceptyk ze mnie wyłazi. Pilne to?

— Jak najbardziej. W przyszłym tygodniu musi odbyć się posiedzenie rady powiatowej. Wysunęlibyśmy wtedy jego kandydaturę. Więc stoi umowa?

— Stoi. Koniec już urzędowych spraw?

— Na tymczasem chyba tak... Co słychać w gimnazjum? Uczą się?

— Wałkonie powoli odpadają, zwłaszcza z wieczorówki, ci co myśleli, iż psim śwędem uzyskają maturę. Zostają twardzi, którzy naprawdę chcą. Właśnie Budniak jest pośród nich...

Tak się zaczęło. Potem potoczyło się wszystko na coraz szybszych obrotach. Budniak był zaskoczony, nawet oburzony propozycją, potraktował ją jako kpinę. Później załamał ręce.

— Ja starostą? Kiedy nreuczony jestem, tak mi wiele brakuje. Po to poszedłem do szkoły. Gdzież mnie do takich spraw? Od szuflowania węgla do biura starosty? Panie Lisiewicz, przecież ja pamiętam Zielniaka, gdzież mógłbym zamaryć, aby równać się z nim? — Próbował wykręcić się nawet żartem, w którym czała się gdzieś i kropla goryczy: — Jaki ze mnie byłby przedstawiciel władzy, mały, Rlszgrabny, po oparzeniu ogniem na dodatek ta gęba V' czenvonych bliznach?

Ni©

> nie, chyba nie przyjmie, w każdym razie musi się

zastanowić, przemyśleć. Że w komitecie partii chcą z nim rozmawiać? Wlazło? Ten kapitan?

Wychodził roztrzęsiony, rozdygotany, Lisiewiczowi żal g0 było serdecznie.

Naciski i napierania szły ze wszystkich stron. Wbrew swoim spodziewaniom nawet w żonie nie znalazł Budniak sprzymierzeńca. Kobiecie zaimponowała wizja pani starościny, perspektywy innego życia, bez ciągłej biedy, bez kłopotów, bez dukającego nocami nad książką męża...

— Co to, to nie! — przeciwstawiał się ostro. — Będę uczył się dalej.

—: Nie pogodzisz jednego z drugim, nie będzie ci też wypadało. Co za starosta, który z pętakami razem do szkoły chodzi? Wyśmialiby cię... Dasz sobie radę, nie takie tam trudne to starostowanie. Pomogą ci jedni, drudzy.

Przybyła powiedział:

— Pozazdrościć. Co masz się zastanawiać, dają, to bierz. Ja bym od razu się zgodził... — znów, jak kiedyś, powrócił na ty, Budniak zresztą nie zwrócił na to uwagi.

Zasypywało go, przytłaczało to wszystko. Uczyć się nie mógł, do roboty przychodził ledwie żyw z niewyspania. Bo to i słyszał o wzywaniu go przez Polskę Ludową, o nakazie partii, o potrzebie przejęcia także i ze swej strony odpowiedzialności za nowe oblicze kraju. Nie wolno de-zerterować, nie jest wciąż łatwo, są różne opory, jakże więc wyglądałby ze swoją odmową?

Zgodził się. Tego samego wieczora niemal z płaczem odłożył książki szkolne, parę ich skądś wy dostał, na półkę. Miała żona rację, szepnięto mu, że nie wypada, aby nadal chodził na lekcje. Uczyć się będzie mógł jako ekstern, co jakiś czas zjawi się, aby zdać egzaminy. Skądże, od nauki nikt go nie będzie próbował odciągać...

Radni wybrali go jednogłośnie. Z przerażeniem pojął dopiero wtedy, że to, przed czym tak bardzo się bronił, stało się faktem. Od jutra obejmuje urządowanie.

Żona zaraz następnego ranka, inaczej trzymając głowę, poszła oglądać willę, w której mają zamieszkać. Trochę tam ją podobno obrabowali jacyś bandyci, tej samej nocy,

;

Kiedy rozeszła się wieść o śmierci Zielniaka ale mebli • innego dobra wszak nie wynieśli. On zaś, blady, z rozdygotanymi rękami, z przestraszonym wzrokiem, przekroczył próg swego biura. Przyjęto go raczej życzliwie, choć nie bez wielkiego zdziwienia. Sekretarka Halina przyniosła kawę, nie wiedziała, że kawy nie znośli, jeśli już, to tylko herbatę. Pan Kędrzyk w tradycyjnych swych zarękwkach zjawił się z plikiem akt. Gdy mu szepnął, że mało umie, chciałby się dopiero poduczyć, wywieść o swojej pracy, Kędrzyk poważnie przytaknął skinieniem głowy. Zielniaka też musiał wprowadzić w tajniki administracji.

I tylko kuśtykający woźny, były pracownik drohobyskiego starostwa, nie umiał ukryć swego przykrego zdziwienia, skłonił się bez normalnego respektu. Nie mogło mu się pomieścić w głowie: „Taki Budniak starostą?”

Doktor Zamirecki zniknął jak kamień rzucony w głęboką i mętną wodę. Nie pojawił się w szpitalu, do mieszkania nie można się było dostukać, nie widziano go w żadnym urzędzie. Pierwszy raz zdarzyło się coś podobnego, był wzorem punktualności i sumiennosci...

Nikt początkowo nie łączył zniknięcia dyrektora szpitala z wizytą, jaką uprzedniego dnia dożył mu podeszły wiekiem pan ze śmieszna, spiczasta bródką. W końcu zjawiali się w dyrekcji różni interesanci, ten zaciekawic mógł najwyżej eleganckim swym strojem, szytym na inną modłę niż polska. Potem dopiero, gdy przez sale szpitalne poszły szeptane przeróżne plotki, sekretarka zaczęła sobie coś przypominać. Chociaż i ona nie znała wszystkich szczegółów. „ .

Tamtego dnia Zamirecki przyszedł w niedobrym humorze. Na domiar rozzłościł go jeszcze bardziej widok przykrytych prześcieradłami i przesłoniętych parawanami zwłok dwóch zmarłych ubiegłej nocy. Nie lubił, gdy rosła krzywa zgonów w jego szpitalu. Rzecz jasna, musiał się jeszcze potem znaleźć na jego drodze rzucony przez kogoś Papierek, zauważył chorego, palącego papierosa w nie do-

zwolonym miejscu, długo się nie mógł doczekać sprawozdań z minionej doby. Nic też dziwnego, że interesantów zawsze kilku ich się znalazło, potraktował zdawkowo i krótko. Gdy w tym czasie sekretarka zajrzała do niego zapytała:

- Jest jeszcze ktoś?
- Jakiś pan, pewnie z zagranicy, płaszcz, ubranie...
- To mnie niewiele obchodzi. Prosić.

Nim domknęła drzwi, dostrzegła jeszcze, jak na widok przybysza z wypielęgowaną bródką dyrektor cofa się wraz z krzesłem za biurko, zrywa się potem, ale stoi ciągle bez słowa, a oczy jego robią się wielkie, wielką i zupełnie okrągłe.

- Dzień dobry, kolego Zamirecki — powiedział wtedy ten z bródką.

Więcej już nie słyszała, zamknąć musiała drzwi. Drzwi zaś były masywne, obite skórą, dyrektor specjalnie kazał to zrobić...

Długą chwilę trwało jeszcze, nim Zamirecki wykrztusił ze ściśniętego gardła:

- Dzień dobry, panie doktorze.
- Zdziwiony jest pan, nie spodziewał się pan mnie jeszcze zobaczyć? Myślał pan, że doktor Wojtaszek to już nieodwracalna przeszłość?
- Były słuchy, iż nie zamierza pan doktor wracać do kraju. Że to od Andersa, że drugi korpus...
- Pan tymczasem wcześniej powrócił. Powoli jednak i ja się zabrałem. No, niech pan mi powie, kolego, co tutaj słycać? Szpital, jak na oko można osądzić, dobrze utrzymany. Zawsze lubił pan zresztą porządek. Muszę stwierdzić, że podobnie sumiennego pielęgniarsza nie znałem w swojej praktyce. Przepraszam, iż mówię o tych sprawach. Bo, o ile się nie mylę, wolał pan nie podawać nigdzie swej bytności w armii Andersa? Raczej też nie zdradzał się pan z zawodem pielęgniarsza. Pan doktor Zamirecki, to nawet niebrzydtko brzmi...
- Niech pan przestanie kpić ze mnie, doktorze — wykrztusił ze ściśniętego gardła.

_ Skądże, ja naprawdę poważnie. Pan zaś patrzy tak

na mnie, jakby pragnął żywcem mnie pożreć. Na wszelki wypadek wspomnę, iż zapowiedziałem swoją wizytę u pana referentowi do spraw zdrowia w starostwie. Miły człowiek, nie przesadza w każdym bądź razie w sądzie o stanie swej wiedzy w kwestiach bezpośrednio medycznych.

_ Panie doktorze...

- Słucham?
- Nie wiem, po co pan przybył, skąd się pan o mnie dowiedział. Chcę panu powiedzieć szczerze, tak jak zawsze pana szanowałem, ceniłem...

— Bo czasu tej afery z funtami. Wtedy i mnie i innych przestał pan cenić, czmychając gdzie pieprz rośnie. No, ale to mimochodem, słucham pana uważnie.

— Panie doktorze. Pan kpi ze mnie... Ja tymczasem wszystko panu wyjaśnię. Co się zaś tyczy tego szpitala, proszę mi wierzyć, zajmuję się wyłącznie administracją. Nie leczę. Unikam nawet jakichś doraźnych historii, które w końcu znam, robiłem u pana, w polowym szpitalu.

— Nawet dobrze pan robił. Tak jak aplikował żołnierzom aspirynę i szarą maść.

— Nie praktykowałem jako lekarz. Nie miałbym na to odwagi. W końcu ogromnie wysoko cenię ten zawód, ten tytuł.

— Przypuszczam. Dowód najlepszy, iż w jakiś sposób zmajstrował pan sobie fałszywy dyplom.

— Ja nie mam dyplomu. Żadnego, fałszywego też nie... Panie doktorze! Proszę mnie nie wydawać. Mogę panu przysiąc, że nie leczyłem, leczyc nie będę. Ale chciałbym, więcej, muszę pracować w szpitalu, związałem, się z nim, tylko tu czuję się dobrze... Wiele tutaj zrobiłem. Sam będzie pan mógł ocenić. Najlepszy w województwie z powiatowych szpitali, najpełniej wyposażony. W tym i moja zasługa.

To się panu naprawdę chwali, o ile pan nie przesadza.

Może pan chce obejrzeć?

Dziękuję, nie powiem, żeby mi konweniowało w tym Pana towarzystwo. ~H Przepraszam.

— Nie ma za co. Zwykła wymiana poglądów... Pan zwykł był kiedyś również dzielić się zawsze swoimi zapatrywaniami. Straszny z pana był antykornunista. Chyba nie zmienił pan swego spojrzenia, przypuszczam, iż nie jest pan w żadnej partii?

— Jestem. Tutaj inaczej spojrzałem na sprawę. Przejrzałem.

— Ach tak, chwali się to panu.

— Pan mnie zabija swą zjadliwością.

— Stwierdzam fakty, kolego.

— Panie doktorze.

— Słucham?

— Jakie pan ma zamiary?

— Osobiste czy w odniesieniu do pana osoby? Bo osobiste, to pragnienie usadowienia się właśnie gdzieś przy szpitalu, żebym mógł praktykować, najwyczajniej leczyć. Wróciłem do kraju, zaciekał mi nasz zachód, więc 1 przyjechałem. Rzeczywiście traf, iż skierowano mnie do tego miasta. Między innymi, do wyboru było wiele miejscowości... To, jeśli pan był łaskaw okazać

zafnterесowanie, prywatne moje zamiary. Jeśli zaś chodzi o pana, nie wyrobiłem sobie na ten temat dotychczas zdania. Właśnie się zastanawiam...

— Powiedział pan temu referentowi, co wie pan o mnie?

— Nie widziałem powodu... Wspomniałem jedynie, iż znamy się bardzo dobrze. Przepraszam, o ile cokolwiek przeholowałem.

— Co zatem pan postanowił?

— Pyta pan bardzo obcesowo. Pozostał w panu dryl wojskowy. Cóż, sprawa jasna. Kilka przynajmniej w niej elementów. Po pierwsze, posłużył się pan bez uprawnień tytułem lekarza. Po drugie, jeśli wierzyć pańskim słowom, pozostał pan na tyle uczciwy, aby nie praktykować. Po trzecie wreszcie, szpital od strony administracyjnej jest prowadzony wzorowo, podobną opinię słyszałem już zresztą gdzie indziej tym bardziej więc polegam na pańskich słowach. O jedno jeszcze chciałem dla jasności zapytać. Pan pozostaje tutaj z rodziną czy sam?

_ Jestem kawalerem.

__ Ułatwia to rozwiązanie.

__ Jakie, panie doktorze, na litość boską, niechże pan mnie nie męczy.

_ Łudzi się pan, że mogłoby mi to sprawić przyjemność? Jeśli się zastanawiam, to dlatego, iż ciągle nie wiem, jak mam postąpić. Bo to, że był pan ongiś wcale niezłym lapiduchem, mówiąc żargonem żołnierskim, nie przeszkadza temu, iż zarówno te dawne, walutowe historie, jak obecna afera z przyswojeniem sobie tytułu lekarza powodują, iż jest pan zwyczajnym łotrem, może nawet nie to, zwyczajnym gówniarzem.

— Pan mnie obraża.

— Przepraszam najmocniej. Prosił mnie pan o zdanie... Lubię ścisłość, zatem próbowałem zrekonstruować panu ciąg logicznego myślenia. Dość żartów, panie Zamirecki. Z pana jest zwykły łajdak. Niemniej nie mam zamiaru pana topić, aż na tyle źle panu nie życzę, bo to i więzienie, i proces, same nieprzyjemności. Elementy drugi i trzeci, które wyliczyłem, powodują, iż gotów jestem panu dopomóc. Zataić historii przed władzami nie mogę, nie mam do tego prawa. Byłaby to nielejalność grubszego rzędu. Pozostaje kwestia terminu, kiedy to uczynię...

Zawisło na nim błagalne, już tylko przerażone spojrzenie Zamireckiego.

— Powiedzmy, zostawię panu jedną dobę czasu. Do jutra godziny dwunastej. Skoro jest pan kawalerem, doba to aż nazbyt wiele czasu, aby się stąd nieodwołalnie ulotnić. Nie przypuszczam, żeby chcieli pana poszukiwać szczególnie gorliwie. Zresztą, jaki z podanej wiadomości władze uczynią użytek, nic to mnie nie obchodzi. Więc jak?

— Panie doktorze, ja...

Niech się pan nie ślamazarzy. Nie znoszę beksów, zwłaszcza pośród dojrzałych mężczyzn.

Zamirecki się zdecydował.

Przyjmuję pana warunki, panie doktorze.

— Jest więc pan jednak rozsądny... Przyznam się teraz, iż Idąc tu, do końca nie byłem przekonany, iż zastanę tu

pana. Wprawdzie ta dziwna zgodność imienia i nazwiska, poza tym wiek... Tak, nic mi więcej nie pozostaje, jak opuścić ten przybytek. Mam masę czasu, cała doba, dopiero potem będę mógł coś przedsięwziąć ze swoją osobą. Żegnam pana w nadziei, że trzeci raz chyba się nie spotkamy... Nie, nie, ręki panu nie podam, jak nie podałem na przywitanie. Nie jest pan godzien aż takiego szacunku.

Sekretarka, gdy wychodził, spojrzała na niego z zaciekawieniem. Uśmiechnął się.

— Dziękuję pani i do widzenia...

Gdy następnego ranka zabrakło Zamireckiego, musiały pójść plotki po szpitalu, a z kolei po mieście. Nic jednak nie było dokładnie wiadomo. Sprawa dla ogółu pozostała niedomówiona... We władzach lokalnych postanowiono bowiem nie rozgłaszać afery. Ostatecznie, jeżeli doktor Wojtaszek, słusznie czy niesłusznie, ale rozwiązał ją właśnie w ten sposób, czy warto było z niej czynić publiczną sensację?

— I tak nie mamy łatwo. Wielu jest takich, którzy wszystkie psy na nas wieszają. Zdarzyłaby się nowa po temu okazja. Interes społeczny nie ucierpi, skoro zaniechamy w tym przypadku zasady jawności... Jeśli się zgadzamy z tym stanowiskiem, pozostawałyby dwie jeszcze kwestie niejasne. Pierwsza, raczej marginalna: jakim sposobem Zamirecki mógł otrzymać to stanowisko? Czy żądano od niego papierów, okazania dyplomu?

— Sprawdziałem, nie. Uwierzono na słowo, gdy podał, iż jest lekarzem. Wyglądał tak dostojnie, tak bardzo po lekarsku — uśmiechnął się Pędzik. — Tamtych dwoje młodych też nie przedstawiało żadnych dowodów, nikt tego nie żądał. Teraz dopiero sprawdziłem, wszystko w porządku.

— Tego by brakowało, aby okazali się wszyscy pielęgniarzami — burknął Wlazło. — Druga sprawa. Co ze szpitalem? Ktoś musi objąć dyrekcję. Najlepszy byłby doktor Wojtaszek, ma dużą rutynę, w stosunku do jego osoby Ministerstwo Zdrowia nie ma najmniejszych zastrzeżeń, telefonowaliśmy wczoraj. Niemniej doktor Korczycka i dok-

tor Niećko też mieliby pewne prawa. Warto by z nimi porozmawiać... Jeśli któreś wyrazi zgodę, to trudno. Musimy być maksymalnie lojalni w stosunku do ludzi. Może by to kolega załatwił? — spojrzął na referenta do spraw zdrowia w starostwie. — Jutro proszę o wiadomość na ten temat.

W tydzień później doktor Wojtaszek otrzymał oficjalną nominację na dyrektora powiatowego szpitala. Od nowa plotkom i domysłom nie było końca. Tym bardziej, iż nowy zwierzchnik za nic nie chciał zająć mieszkania po Zamireckim.

3.

Jak ptaki, ciągnące wraz z ciepłem powrotnymi szlakami, zerwali szeroką, olbrzymiejącą falą. Placówki PUR-u awizowały nowe transporty repatriantów zza Bugu, od zachodu zagęszczało się reemigrancką ludnością na punktach granicznych, ruszyły napierając na siebie grupy osadnicze z przeludnionych zwłaszcza i biedniejszych okolic Polski centralnej. Zagęściło się na dworcach i w salach noclegowych PUR-u, trzeba było stawiać nowe baraki, poszerzać kuchnie, organizować dyżury trwające całą dobę. Zatłoczyło się w wydziałach osiedleńczych, wzrosły z nagłą w cenę gospodarstwa podniszczone, wyszabrowane, wymagające choćby niewielkiego własnego wkładu nowych mieszkańców. Maszyna wystukiwała akty nadania i osiedleńcze zlecenia, pracowały pełną parą placówki przydziału ziarna, narzędzi, żywego inwentarza.

Na nowo rozpoczęła się prawdziwa wędrówka narodu. Żadna ewidencja nie wytrzymała próby życia choćby Przez jeden dzień. Odjazdy i przyjazdy, rozstania i przywitania, wybrzydzenie na wszystko i radość z otrzymane⁸ płachcia zapuszczonej ziemi. Przepijane większe "Umy i supłanie groszaków na pajdę zwykłego chleba.

Wódka, brzęk twardej monety, i pierwsze skromniutki pensje wypłacone wreszcie w pełnym wymiarze, gromady rozchichotanych dziewcząt i surowe, przedwcześnie postarzałe twarze kobiet szukających wraz z rodzinami stałego gniazda. Niebezpieczne nocami ulice, niespodziewana palba, niosąca się przez mrok długim echem, i jednocześnie szybsza, sprężysta akcja milicji, tłok w areszcie, skoroszyty nowych spraw w działających już regularnie sądach. Wy-szmelcowane, podarte waciaki, okrycia źle skrojone z szarych, wojskowych kocy i karakuły oraz inne cenne futra, skupowane ukradkiem od zamożniejszych Niemców. Niezliczone godziny spędzane przy odremontowywaniu warsztatów, mozolne odchuchiwanie zasypanych gruzami, zdewastowanych maszyn, chleb suchy na śniadanie i kolację, obiad mizerny w jakiejś stołówce, a obok witryny niezliczonych sklepików oferujących, co tylko mogłaby dusza zapragnąć...

We wszystkim tempo, błyskawiczna zmienność obrazów, nastrojów, uczuć i upodobań. Raz się żyje, raz się umiera. Ryzyko.

Słońce grzeje, ziemia dyszy nasycona wilgocią, na drzewach pierwsze pąki, już liście, w ogródkach zawilce i prze-biśnięgi. A na chodniku przed starostwem babina spod Nowogródka, spierzchniętymi dłońmi podtyk[^] przechodniom pierwiosnki.

— Niechże pan kupi dla ładnej panienci... Jeszcze nic dzisiaj nie jadłam.

W ponurym północnym pokoju komendant Pędzik mozolnie studiuje telefonogram. Kręci głowę, czyta raz jeszcze. Mruczy do siebie. A jednak się znalazł, miał tę odwagę od nowa próbować, tyle że raz jeszcze zmieniał nazwisko. „Józef Mittwoch vel Środa vel Piątek...” Też się cholera uczeplił dni tygodnia. „Tuż pod Oliwą, młyn piękny, zagospodarowany...” Po diabła się bawią oni tutaj w literaturę? Piękny, niepiękny, ważne, że faceta nakryli... „Rozpoznany jako Volksdeutscher, treuhandler w Lubelskiem, młyny mu podlegały, okrutny, współpracownik gestapo, pod zarzutem spowodowania licznych śmiertelnych ofiar...”

Lisiewicz od samego początku miał rację, gdy nie dowierzał mu i wszystkim tym pozostałym Środem, to Zielniak tak ich popierał... „Podać szczegóły przestępstw na waszym terenie. Jak z podpaleniem młyna?...” Przecież listy gończe precyzowały wszystko dość szczegółowo... „Proces za przestępstwa wojenne przewidywany w Lubelskiem. Zwróćmy się o dowodowy materiał...”

Komendant milicji podnosi słuchawkę, nakręca numer.

_ Dyrektor Lisiewicz? Mam wiadomości. Złapano pod

Gdańskiem tego Mittwocha, który młyn u nas spalił. Gestapowiec, ludzi na śmierć wysłał. Proces będzie w Lublinie... Nie zaskakuje was to? Pewnie, mieliście nosa... Co słyhać nowego? Robota? Nowe zgłoszenia, jesienią będziecie mieli nadkomplet? Zatem do zobaczenia...

Z tamtej strony przewodu Lisiewicz odkłada słuchawkę. Jest znużony, bruzdy przecinają policzki, oczy zapadłe, cała twarz wychudzona. Niewiele obchodzi go tamten Mittwoch w tej chwili, musiało się to kiedyś właśnie tak skończyć. Podobnych spraw będzie coraz więcej, wbrew wszelkim pozorom życie wraca do równowagi. Gdybyż i ludzie mogli tak otrząsnąć się z dokonanych w nich samych spustoszeń.

Od śmierci Zielniaka wróciło poczucie pustki, rozwił-możniła się raz jeszcze gorzka pamięć obozu. Boli każdy kopniak, trawi głód, makabrycznym obrazem rozściela się wizja wychudzonych do ostatecznych granic, na stos wspólny zrzuconych w bezładzie ciał. Świadomość jakiegoś bezsensu usiłowań wydobywania się z tego koszmaru. Obsesja, kompleks, uraz psychiczny? Mniejsza o nazwanie, istotny sam proces. A przecież próbował brać się w garść, intensywnością pracy zewnętrznej zabijać trawiący go niepokój.

Spotkał ją przedwczoraj, Ernę, jakby znów wyładniała, szła uśmiechnięta, pierwsza mu się ukloniła, w jej spojrzeniu było wyzwanie, a może kpina. Nie chce jej spotykać, n;a chce o mej nic wiedzieć, nie wie wszakże o setkach innych Niemek w tym mieście, czemu ona ciągle mu staje na drodze? Po co ten naiwny, porządny Budniak napomknął musiał w rozmowie, iż młoda Niemka, która wraz

30 Przejaśnia się niebo t. I

465

z Fraus Kosche mieszkała na dole w willi starosty, wyprowadziła się razem z dziećmi. Żeby znów się w nim coś wzburzyło do dna, nie mógł rozpoznać swych uczuć, nie wiedział, co jest zazdrością, co uczuciem poniżenia i straszliwej zniewagi dla niego samego, dla pamięci tych ciał, piętrzących się pod ścianą baraku obozowego?

Nie znalazł w tej szkole spokoju. Wewnętrznego spokoju, przecież nieistotne są te zwyczajne, robocze problemy, to że młodsza Dzwinarska odchodzi do Poznania, trzeba na gwałt szukać zastępstwa w wykładach biologii, że fizyka, zdolnego człowieka, należało usunąć poza obręb zespołu pedagogicznego, gdy wyszło na jaw, że zbyt łakomie spoglądał na niektóre z uczennic, uzależniając często stopnie od powolności przez nie okazywanej, że straszliwy kłopot z podręcznikami, uczy się właściwie z notatek, z jakichś przypomnień, bez oparcia o programowo podany materiał. To wszystko drobiazgi.

Wczorajsza rozmowa musiała też wpłynąć na ten chandry czny nastrój. Nie chodziło mu nawet o to, czy przyniesie ona ujemne skutki czy pozostanie tylko nieprzyjemnym wspomnieniem. Zbyt mało żąda od życia, by taka lub inna odmiana losu mogła go wykoleić. Raczej sam denerwujący klimat, jakaś płytkość ocen i sformułowań, to było przerażające... Tkwił w gimnazjum przez cały tydzień inspektor kuratorium, próbujący imponować wojewódzkim polotem. Po wizytacji, kontroli, rozmowach i ocenach wyszykował swój sprawozdawczy elaborat. Poza szczegółikami, nader pozytywna ocena. Jednak więc obiektywny i na swój sposób uczciwy. Żeby tylko nie ten specyficzny odorek wczorajszej rozmowy... Wyciągnął sprawę akowską ze smakiem, mało brakło, byłby zamlaskał. Dlaczego Lisiewicz związał się z tym właśnie ugrupowaniem, przypadek czy więzy ideowe, orientacja może londyńska? I jak zatem widzi obecny kształt ustrojowy kraju, czy stać go na aprobatę, czy woli zachować rezerwę? Bo przecież ten haczyk akowski, już się nad nim w kuratorium zastanawiali.

Bluznął mu w odpowiedzi, przesadził, przeholował ce-

lowo. Jasne, że AK to nie był przypadek, ale świadomy wybór, jak świadomie przyjmowane też były gestapowskie i obozowe konsekwencje. Orientacja? Z wyzwolonego obozu istniały dwie drogi, tu albo tam. Wybrał krajową. Orientacja? „Panie inspektorze, moją orientacją była gorączka, choroba, tęsknota do swoich, a zarazem pragnienie naj zwyczaj niej szej pomsty, można to nazwać ładniej: łaknieniem sprawiedliwości... Tak wyglądał początek, a potem ... Potem niech świadczy za mnie ocena tego, co tutaj zrobiłem, co nadal chcę czynić. Wedle nazbyt prostackich podziałów pragniecie szeregować ludzi"...

Przemknęło mu teraz przez myśl, można by zadzwonić, albo najlepiej zająć do Kijanka, ukończył tę jakąś specjalną szkołę partyjną, wrócił w sam czas, by zająć miejsce Stefczyka. Otwarty łeb, nie zawężone widzenie problemów... Bo przecież to sprawa z kategorii tych politycznych, najbardziej chyba interesujących władze bezpieczeństwa... Odrzucił tę myśl. Nie ważne. Nie będzie się wywiadywał, mogłoby się wydać, że skamle w trwodze o siebie, o dyrektorski fotel. Jeśli tak płytkie być mają oceny, nie warto z nimi polemizować. Zresztą Kijanek zaraz by to usiłował, nie bez częściowej racji, tłumaczyć. Walką orientacji w kraju, starciami zbrojnymi z podziemiem, rozgrywką o ostateczny kształt ustrojowy, stąd konieczna ostrożność, możliwość pośpiesznych ocen... Nie ma sensu, nie ma potrzeby. Dotąd ciągle uciekał przed swoim losem. Czas skończyć już z ucieczkami, niech się samo rozstrzyga, co ma się rozstrzygnąć...

Odczucia ludzkie przyciągają się najwidoczniej wzajemnie. Kijanek bowiem również myślał w tym czasie o Li-siewicz. Pamiętał go z dni wspólnej pracy, z nerwowego okresu rozbrajania wehrwolfowskiego podziemia, z rozmów i zwierzeń, ze wspólnie dla podtrzymania sił wypitych kieliszków. Pozostawała w nim żywa sympatia dla tego chropowatego człowieka, opętanego rozumiałą po tragicznych przejściach obsesją obozu, a przecież usiłującego ją w sobie zwalczyć, odnaleźć zagubioną gdzieś pomiędzy drutami drogę... Bez przekonania o słuszności powziętych

decyzji skonstatował po powrocie przeniesienie Lisiewicza ze stanowiska burmistrza do innej pracy. Szansę wyzwolenia przynieść mu mogła taka jedynie robota, w której mógłby się wykazać energią,

rozbujać dynamikę, stawać co dnia w obliczu skomplikowanych problemów wymagających natychmiastowych rozstrzygnięć, choćby improwizowanych, choćby niekiedy i błędnych.

Półroczny okres pobytu poza miastem zaczynającym coraz pełniej oddychać, jaskrawo, w jakimś szerokim skrócie ukazał mu zaskakujące zmiany, jakie tutaj się dokonały. Nie chodziło mu o życie zewnętrzne, kipiącą społeczność ludzką, o nowe zakłady pracy, sklepy, o pierwsze odremontowane domy, o lepsze zaopatrzenie. Zaskoczyły go zmiany w samych ludziach. Tak wielu odeszło, tylu innych zeszło w dół albo z nagłą skoczyło w górę na drabinie społecznej. Dziesiątki sukcesów i więcej jeszcze dramatów. Zbyt wielka płynność, za mało stabilnych punktów oparcia. W takiej sytuacji niełatwo kontynuować to, co zapoczątkowali już poprzednicy.

Uśmiechnął się trochę smętnawo. Jego poprzednikiem był Stefczyk. Mimo odrębnych spojrzeń na styl i na metodę działania lubił swego byłego zwierzchnika. Szanował w nim jakiś twardy, konsekwentny stosunek do rzeczywistości, choć budził on w nim niekiedy sporo wątpliwości. Człowiek walki, który nie umiał zauważyć granicy oddzielającej działanie przeciwko czemuś od wysiłków ponoszonych w imię czegoś. Może tam, w Rzeszowskiem, w warunkach walki odnajdzie siebie? Tu obok sukcesów pozostawił niejedne przez siebie spowodowane krzywizny. Niełatwo będzie je wyprostować. Ta sprawa Lisiewicza chociażby. Powinien był zostać na dawnej funkcji, ostatecznie sprawę przesiedlań postawił w ten sposób ktoś inny, Lisiewicz dał się tylko zasugerować.

Tylko pół roku, a wiele zmian. Jedni przywiedli, zgaśli, innym natomiast służy zachodni klimat, rozwija szanse, pozwala na awans, w nieco normalniejszej sytuacji wręcz niemożliwy. Dla przykładu choćby Felek Ferycki. Do dwudziestki ledwie dobija, szczeniak, a radzi sobie świetnie,

466

i to z najtrudniejszym wycinkiem roboty, najbardziej palącym. Umie zorganizować pracę, w kwestiach osadniczych nie ma dla niego tajemnic.

4.

Przyglądała się z zadziwieniem nagle wykwitłej zieleni. Wiosna wybuchła niespodziewanie wcześniej, podobno taki tu klimat. Widziała rozstłonecznione, rozedrgane nawet tam, w mieście, powietrze, pierwsze kwiaty — przyniósł ktoś przecie pęczek pierwiosnków, zanim jeszcze śniegi zeszyły. Ale na jakiś bardziej bezpośredni kontakt z przyrodą nie było okazji, ochoty ni czasu.

Dopiero dzisiaj, uśmiechnęła się smutniej. W tym tygodniu urlopu, wyprosiła go sobie, należało uporządkować trochę swe osobiste sprawy, chciała też koniecznie wypocząć, oderwać się od kieratu papierków, od telefonów, nagłych, pilnych i błahych zupełnie spraw. Tydzień urlopu, niedługo, na dni już liczyć zaledwie, rocznica przybycia do miasta ekipy operacyjnej pod wodzą Zielniaka. Niemal rok, czy tylko rok, a wiele się przez ten czas zmieniło, na złe i dobre. Zawsze na inne.

Gdy przekazywała wczoraj następczyni swoje biurczko uczuła przejmujący żal. Tyle czasu za nim spędziła, od dnia, od chwili, gdy Pędzik namalował pierwszy szyld i pierwszego niezgrabnego orła nad wejściem do budynku. Notowała pierwszych osadników, cieszyła się z każdego nowego nazwiska, było ich przecież tak bardzo mało. A potem narastała ilość spraw, jedne się komplikowały, inne rozwiązywały zaskakująco łatwo. Starostwo rozrastało się, zaczynało odżywać miasto, to skupisko ruin, które tak przeraziło ich w pierwszej chwili, gdy przybyli tu w ośmioro, opętani chęcią działania,

zarazem tak niewiele się orientując, jak ma to działanie wyglądać. Zdani sami na siebie. Piękny był tamten okres. Na swój sposób na pewno piękny jest 1 ten dzisiejszy. Tyle, że może nie dla niej...

469

I

Odchodziła z żalem, ale odejść musiała. Nie wszyscy to rozumieli. Taki Kędrzyk, mądry, chodząca encyklopedia w zakresie administracji i jej przepisów, a był najwyraźniej zdziwiony. Może też zresztą udawał, nie lubił roztkliwiać, jakby za symbol, za wzór obrał sobie urzędowy paragraf, ale przecież, nie tylko ten jeden raz zresztą, dostrzegała czasem za okularami przebłysk czegoś bardzo żywego, bardzo ludzkiego. Więc może i tutaj...

Budniak za to był bardzo serdeczny. Gdy dwa tygodnie temu oznajmiła o swojej decyzji, w pierwszej chwili jej nie zrozumiał:

— Jak to, chcesz odejść, Halina?

— Tak, panie starosto.

— Zostaw tego starostę, byliśmy zawsze na ty, tak i zostaniemy... Chcesz zatem odejść? Liczyłem na ciebie, na twoją pomoc. Dziewczyno, ja przecie jestem tu jak tabaka w rogu. Ty i Kędrzyk jesteście mi koniecznie potrzebni. Czemu odchodzisz?

— Za dobrze znam ten gabinet. Za wiele przeżyłam za tamtym swoim biureczkiem. Zrozum Teodor, ja ciągle widzę Julka, zdaje mi się, że słyszę jego kroki, nieraz głowę podnoszę patrząc, czy właśnie nie wchodzi. Aż uświadamiam sobie, jak jest naprawdę i wtedy strasznie mi źle i boli. Każdy przedmiot go przypomina, każda notatka, telefon, jaki przyjmuję... Mnie wcale nie jest łatwo odejść, jakąś część siebie tutaj zostawiam, ale muszę, muszę, Teodor.

Wstał wtedy, podszedł, ucałował w policzek. Pokiwał głową.

— Prawda, chyba musisz. Daruj, jeśli od razu nie zrozumiałem...

Obiecała mu, że zostanie jeszcze dwa tygodnie, aby podszkolić swą następczynię. Zdawało się, przyzwyczaiła się już do myśli, że zostawi to wszystko bez żalu, a tymczasem tak zabołało. Bolałoby chyba jeszcze bardziej, gdyby jednak została.

Teraz zacznie pracować u Lisiewicza.. Budniak jej to załatwił. Bardzo się troszczył, gdzie będzie pracować. Ko-

470

iecznie zalecał Kijanka, swój chłop, byłaby mu bardzo potrzebna. Odmówiła. Nie chce być nigdzie tam, z czym wiązą się dla niej jakieś wspomnienia. Pokiwał głową.

— Prawda, siedziałas za Stefczyka... Widzisz, żeby był wtedy Kijanek, nic by się takiego nie zdarzyło... Ale pojmuję, pojmuję...

Sama nie przejawiała wiele energii w poszukiwaniu nowego zajęcia. Ostatecznie teraz jej wszystko jedno. Ot, gdzieś się zaczepić, bo pracować trzeba, choćby ze względu na małe, które nosi pod

sercem, już cztery miesiące, Julka dziecko i jej... Budniak jednak nie ustawał w poszukiwaniach. Może w muzeum? Może w fabryce, albo w elektrowni u Przybyły?

— Zaraz, zaraz — stuknął się w czoło upstrzone wielką, czarną blizną. — Lisiewicz mi mówił, szuka sekretarki. Nie chciałyś do niego?

Skrzywiła się w pierwszym momencie. Lisiewicz był jedynym chyba człowiekiem z pierwszego okresu, do którego nie czuła żywszej sympatii. Raczej coś jakby niechęć. Pracować z nirn? Wzruszyła ramionami. Czy to ma jakieś znaczenie? Tymczasem Budniak dzwonił już do gimnazjum, z miejsca ubijał sprawę.

Tak, wszystko już załatwione, poza nią. A teraz ma tydzień wyłącznie dla siebie. Z samego rana znalazła się na cmentarzu, u grobu Julka. Położyła pęk kwiatów. Odmówiła „Wieczne Odpoczywanie"... A potem rower, byle daleko od miasta, nad wodę. Rower został u skraju lasu, idzie ścieżką nadwodną, dziwi się wiośnie.

Wczesna i piękna. Przy brzegach żółcą się kaczeńce, właściwie nie mają zapachu, a jednak przyjemnie jest wdychać intensywną świeżość płynącą z mięsistych płatków. Peri krzewami niebieszcza się ostatnie przyłaszczki. Wierzby i łożyna dawno się zazieleniły, rozwinęło listowie, a brzoza dopiero teraz pokrywa się żółtawoseledynowym nalotem, delikatnym i zwiewnym jak muślin.

Zaszła nad brzeg. Gałęzie drzew zwieszały się nad mm, rzucając ostry w konturach cień. Przez kryształ w"dy, o tej porze jeszcze nie zanieczyszczonej glonami,

471

przezierało dno, przesmykiwał nad nim drobiazg rybi. Wielka żaba silnymi odbiciami tylnych odnóży sunęła do brzegu, ujrzała człowieka, pierchnęła w popłochu, kryjąc się pod nawisem kamienia. Pasma trzciny u przeciwnego brzegu miało jeszcze barwę przegniłej żółci, z rzadka tylko wystrzelały tu i ówdzie proste jak strzała świeże łodygi.

Tyle razy obiecywali sobie z Julkiem, że będą uciekać za miasto, jak najdalej od ludzi, by wśród przyrody najpełniej móc odnajdywać siebie. Dziwna zdawała się im obojgu tęsknota za przestrzenią, wodą, zielenią, oboje wszak wywodzili się z wielkomiejskich centrów, on warszawiak, ona łodzianka. Pieszko, rowerami, może łódź udałoby się wystraszyć. Pytał, czy umie łowić ryby, kiedyś mu się to zdarzyło w dzieciństwie, straszliwa emocja, potem nie było okazji. Żartowała, że z własnych włosów uplecie mu żyłkę, najmocniejszą. Nie chciał, zazdrościł płociom czy szczupakom, że bezkarnie będą dotykały jej włosów. Jaki on był, ten Julek? Na pozór suchy, opanowany, tym bardziej zaskakiwał niekiedy zupełnie sztubacką romantyką. Umiał śmiać się, ale z niewiadomej przyczyny zasępiął się nie mniej często, robił wtedy wrażenie nieobecnego, jakby doszukiwał się czegoś w sobie. Dręczyły go jakieś sprawy, nie nazwane przez nią przeżycia. Wspomnił raz tylko, że okupację przeżył nieświadom właściwie pełnej jej prawdy, jak oserek chuchany na matczynym łonie. Musi nadrabiać stracony czas, z nadwyżką. Nie wypytywała o nic, nie było to jej potrzebne.

Jaki sens rozważać teraz, jaki był. Ważne, że był tym jedynym, tym właśnie umiłowanym. Zakochała się w nim już dawno, niemal w samych początkach wspólnej pracy, z Florczakiem przecież mogła ją łączyć najwyższej sympatia,, tu już życzliwość ludzka dodała więcej... W Julku uczucie budziło się

znacznie dłużej, albo go sobie, zajęty pracą, nie uświadamiał... Dopiero gdy została aresztowana, odkrył w sobie tę prawdę. Nawet Stefczyk zatem na coś się przydał...

472

Wolny tydzień. Może być sama, z dala od ludzi, od mia-sta i je^o spraw. Tydzień? Chyba zawsze już teraz jest sama, odkąd Julka zabrakło. Głupia, niepotrzebna śmierć. Byliby teraz PO ślubie, zapowiadał wszakże tylekroć... Sama? Jest przecież to dziecko. Przez nie pamięć o Julku będzie w niej zawsze żywa. Jak dobrze, że zdobyła się na odwagę, poszła sama do jego domu. To była pierwsza ich noc, dała początek innym. Przez to Julek nie odszedł zupełnie, zostało to dziecko, będzie żyć, stanie się jakby przedłużeniem jego samego.

Ryba wyskoczyła podrzutem wysoko nad wodę, wzburzyła się gładka, wypolerowana słońcem płaszczyna. I znowu cisza. Aż wdarł się w nią miarowy plusk wioseł. Ktoś płynął łódką. Nie chciała widzieć ludzi, od nich przecież uciekła, aby być sama tylko ze swoją pamięcią. Przesunęła się za pień rozdętej brzuchato wierzby. Za pluskiem wioseł dobiegły głosy. Kobieta mówiła coś poirytowanym tonem, mężczyzna odpowiadał łagodnie, z niezmaconym zdawałoby się spokojem:

— Ależ tak, tak, Ewuniu.

Domyśliła się wcześniej, nim ich ujrzała. Jezierscy. Krążyły pogłoski, że młoda pani krótko trzyma małżonka, wysuwając w stosunku do niego nieustanne pretensje. On zaś przytakuje wszystkim, znosi jej nastroje, nieodmiennie szczęśliwy, że jednak wróciła.

Ciężka krypa posuwała się bardzo powoli, skosem zmierzali ku przeciwległemu brzegowi. Narzekanie Ewy umilkło, tylko rytmiczny plusk wioseł, kształt czarnej smolonej łodzi, smuga zostająca za nią na gładzi jeziornej.

— Pod tamtym cypelkiem jest piękne miejsce. Ewuś, płóć dobrze bierze, może się i szczupak złakomi.

Kobieta nic nie odpowiedziała, leżała wygodnie na ławce. z ramionami podłożonymi pod głowę. W słońcu jasne włosy zalśniły złotem. Długo patrzyła za nim. Gdzieś głęboko tliła się iskierka żalu. Rozmaity być może kształt szczęścia, to pewne, że dla jego zaistnienia konieczna jest °becność dwojga osób. Taka ta Ewa lub inna, ale Jezierski

473

czuje się przy niej szczęśliwy, przestała mu dolegać pustka w wielkim mieszkaniu, odżył, odmienił się, nie chodzi już ze zwieszoną głową.

Coś się wtedy w niej zbuntowało. Ona też, mimo wszystko, nie będzie nosić zwieszanej głowy. Nie tylko dlatego, że inni patrzą, widzą, ze smętnym politowaniem kiwają głowami. Na innych można się nie oglądać. Gdy zdecydowała się pójść do Julka, nie zważała, jak to osądzą ci inni. Nie wstydzi się, że nosi w łonie dziecko zmarłego. Nie, to dla siebie samej nie będzie opuszczać głowy. Myślała dopiero o szczęściu, jak w pojęciach każdego inny przybiera wymiar. A może czas spędzony w pobliżu Julka, zwłaszcza intensywne w przeżycia kilka miesięcy, odmierzyły już ilość szczęścia przypisaną jej życiu? Może w tym czasie skondensowało się wszystko, co można osiągnąć w pełni zrozumienia z innym

człowiekiem? To nie był wszak tylko okres tęsknot i wzdychań. Istniała pełna, zamknięta treść, nieważne jakieś zewnętrzne jej formy.

W nagłym uświadomieniu sensu dalszego swojego losu schyliła się po nie znane jej z nazwy kwiaty, białe, leciutko różowiejące ku ■ środkowi, dziecinnie wstydliwe i świeże. Wwąchiwała je, uspokojonymi oczyma patrząc na migoczącą powierzchnię jeziora. Nadpłynął leciutki wietrzyk, muskał wodę delikatnymi zmarszczkami.

Przycisnęła dłonie do łona, chciała odczuć w sposób fizyczny życie tam istniejące, zrodzone przez nią i Julka. To życie, które — dopiero pojęła to w pełni — zatrzymywało na przyszłość ten przebłysk szczęścia, który się stał ich udziałem. Las, drzewa nad wodą, delikatny meszek budzących się listków brzoź, biały kwiat z dyskretnie różowym odcieniem, migoty wody, nawet łódź Jezierskich i oni sami, zostawione gdzieś poza sobą miasto ze swymi codziennymi troskami, wszystko to stało się bliskie, serdecznie ciepłe, nasycone rytmem pulsującej krwi. Były momenty, zaraz po śmierci Julka, gdy pragnęła uciekać z tego miasta, z tych miejsc, gdzie oczy poniosą, byle najdalej. A teraz? Teraz wiedziała, że musi tu zostać, tu wy-

474

chować maleństwo, wspólnie z nim oddychając klimatem w którym zrodzić się mogło jej krótkie, ale pełne szczęście. Tylko tu będzie mogła zachować pełny jego smak i urodę.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO Okładkę i stronę tytułową projektował Maciej Burewicz

© Copyright by Eugeniusz Paukšta, Poznań 1967 ISBN 83-210-0436-9

Akc.

ROZDZIAŁ I

1.

Wsparta na łokciach, leniwym spojrzeniem wodziła po rozwierającej się przed nią przestrzeni. Wody jeziora o tej porze, gdy przekwitły już glony, przybierały normalny swój, intensywny błękit. Delikatna morka jakby od niechcenia muskała go cieniutkimi kreskami srebra. Podchodzący nad sam brzeg starodrzew świerkowy ciemnym pasmem przedzielał od lustra wodnego wyblakłe w słońcu niebo. Akcentem bieli rozcinał i łączył zarazem oba żywioły skośny rzut płótna przesuwającej się żaglówki.

Zmieniła pozycję, uśmiechając się do chłopca leżącego obok niej z przymkniętymi oczyma.

— Wściekła byłam, gdy mi przesunięto urlop dopiero na jesień, ale dziś wydaje mi się, że wygram. Przez cały sierpień lało niemiłosiernie, a wrzesień zaczyna się od takiej wspaniałej pogody. Będzie się jeszcze można wygrzać do syta.

— Nie żałowałaś sobie słońca i przedtem — unosząc powieki przyjrzał się potyskującemu brązowi opalenizny swej towarzyszki. Ewka dobrze się prezentowała w skąnym kąpielowym kostiumie wiśniowej barwy. Zwłaszcza przyciągały uwagę jej nogi, długie, wysmukłe, o drobnych stopach.

Ogarnął dziewczynę ramieniem. Przeciągnęła się, położyła palce swej dłoni na jego ręce.

— Chciałabym, Edek, żebyśmy nie musieli już kraść dla siebie każdej godziny.

Zaśmiał się trochę niezręcznie.

— Czy to ważne? Mamy czas, kiedyś twój starzy się

5

uspokoją, może przekonają się do mnie. Ostatecznie, mogę z wizytą do was przychodzić w innych portkach, szerszych i z mankietami...

— Nie o to chodzi, wiesz sam. Ojciec mówi, że jesteś za młody, nie masz trwałego zajęcia, mógłbyś się jeszcze uczyć... Czy ja wiem w końcu, co mu się marzy...

— E tam, gadanie. Wystarczy tego co mam. Z zawodówką też ludzie żyją niezgorzej. Miałbym może iść do tego studium, które dziś otwierają? Nauczycielem być za marne grosze? Ani się tam rozpędzisz, zawsze to samo, nuda i bida. Latem potyrałem, nie powiem, natargał się człowiek, nie dospał, ale dwa miesiące starczyły i forsa nie chciała się mieścić w kieszeni. Motor ki'piłem, matce trochę wetknąłem, ona to lubi, jest i na kino, i na kawiarnię... Przy belferce rok musiałbym na to harować.

— Ale zawsze na owocach tak nie ujedziesz... Zaczną więcej do nas dowozić, na miejscu drzewka wyrosną...

— Nudziara z ciebie. Nie na pomidorach i gruszkach, to zarobi się na czym innym. Może być i stała robotą, ale tam, gdzie jest rozmach, gdzie i fucha jaka podleci, i w ogóle... Słyszysz? Pewnie Wawrzyniak jedzie — obejrzał się w stronę, skąd dochodził warkot motoru przybliżającego się drogą wiodącą do miasta. — Z daleka poznam głos jego wartburga, ma taki lekko chropawy zasuw. De lux Gwiazdziejczka szumi zupełnie inaczej. Ci to, cholera, mają dobrze. I co, Gwiazdziejczka chociaż inżynier, dyrektor w tej fabryce płyt pilśniowych. Ale Wawrzyniak? Kiedyś rzeźnik, a jak prywaciarzy łupnęli, zaraz sobie wykombinował warsztat, gówna robi z plastiku i żyje jak król, mimo że ledwie potrafi się podpisać. Taką maszynę sobie kupił. Co ja bym dał, żeby mieć podobną, chciałabyś, Ewka, no nie? Można sobie smyrgać, gdzie tylko się chce, nocą stanąć na bok, rozłożyć fotele, wykimać -się miło, a i nie tylko, lepiej jak na zroszonym igliwiu, powiedz? — mruknął znacząco.

— Świntuch — nie było urazy w jej głosie.

Podniósł się, wyprostował, szczupły, przez co sprawiał złudzenie wyższego, niż był w istocie. Ciemne włosy, przy-

6

strzyżone krótko, pociągła twarz o dużych oczach i lekko nabrzmiąłych wargach. W całej postawie trochę szczeniackiego rozbrykania, ale zarazem zwinność, harmonia ruchów. Mogły się podobać, i podobał się jej, więcej, zadurzona w nim była bez reszty.

Poziomkowy z białym wartburg zatrzymał się na wydzielonym parkingu nie opodal pawilonu mieszczącego klub i kawiarnię. Na lewo wznosiły się szatnie z kabinami. Z samochodu wysiadł tęgi mężczyzna w średnim wieku, z drugich drzwiczek wysunęła się zrobiona na kociaka dziewczyna.

— Ten ma dobrze — westchnął chłopak. — Patrz, nowa jakaś, wygląda, że skądś sobie ją przywiózł. Używa teraz, od czasu, jak żona mu zmarła, zmienia babki częściej niż buty.

— Edek!

Uspokoila się w tejże chwili. Nie chodziło mu przecież o dziewczynę, ale o tę skalę życia, jaką prezentował Wawrzyniak swym wozem i kociakami. Zwłaszcza wozem. Edek przyglądał się autu ożywiony, oczy mu połyskiwały. Miał bzika na punkcie motorów, znał się na samochodach wszelkich marek. Gdy w lipcu wybrali się na sobotę i niedzielę do Mielna, więcej czasu poświęcił podziwianiu krążących tam nowych typów wozów niż towarzysze. Podobnie było z tym dopiero kupionym motocyklem. Po to chyba jedynie zajęli się transportem owoców z podwarszawskich okolic, żeby zarobić na tę maszynę. Ostatecznie, matka zapewniała mu utrzymanie, dostawał od niej nawet spory grosz na swoje wydatki. Ale motocykl, tu się kryło szaleństwo. Cóż dopiero marzenie o samochodzie.

Ewka przypomniała sobie jedną z rozmów z ojcem, jeśli te jego pokrzykiwania można nazwać rozmową. Edek obydwojgu rodzicom stanowczo nie przypadł do gustu. Przybyła starał się jednak o obiektywizm. Niech się uczy, niech coś zdobędzie, łatwizna się już skończyła... Żeby nie dawne czasy, są te jakieś zasługi, on sam ani by mógł dzisiaj sprawować swoją funkcję, teraz ani rusz bez inżynierskiego ty-

7

tułu... Wzięłyby się ten Edek za coś uczciwie, parę lat odczekalibyście, wtedy można by pomyśleć poważniej... Obok grubej przesady coś tam sensu musiało się kryć w ojcowskich słowach. Mógłby Edek naprawdę coś jeszcze ukończyć.

— Piękny wóz — zwróciła i ona spojrzenie na poziom-kowo-białego wartburga. — Nie miałeś, Edek, racji, to studium, wiesz...

Schmurniał, obrócił się w jej stronę. Stał lekko rozkraczony, przykrył ją teraz cień jego sylwetki.

— Poza wszystkim innym to przecież nie dla mnie, Ewka. Musi być matura, po zawodówce nie przyjmą. A jeszcze może maturę robić? Taki wariat nie jestem. Przestań lepiej głądzić, bo sobie pójdę.

— Zapomniałam, że nie masz matury. Nie gniewaj się, Edek, myślę o naszej przyszłości.

— Dobra, dobra.: — zamruczał siadając. — To do kiedy masz ten swój urlop? Do piętnastego?

— Wiesz przecież. Pierwszy rok, zaledwie pięć miesięcy pracuję, więc przysługują mi tylko dwa tygodnie.

— Kupa czasu... Ja też robię fajrant. Potem znowu skoczy się do Warszawy albo tu się za czymś rozejrzę... Wiesz, pójdziemy dziś do kina, a później na potańcówkę.

— W niedzielę przyjeżdża „Wagabunda”.

— Będzie znów zgrywa. To fajny zespół... Przejechałabyś się taką żaglówką? Byłem w ich klubie, ale diabła tam co dostaniesz. Raz, trzeba być członkiem, dwa, mieć jakieś kursy. Może się i zapiszę. To przyjemna zabawa, a jak dobrze pójdzie, można mieć takie tam różne strawne, klasa białe ubranko, jeszcze jakieś dodatki, byle startować na regatach. Oni gdzie szkołą, w elpeżecie?

— Chyba tak. Ja też zapisałabym się z tobą.

Przystań klubu żeglarskiego istniała dopiero od roku, jak i sam klub. Duży na żelbecie osadzony budynek, szerokim mołem wybiegający daleko na wodę, obok plaży stanowił dumę miasta.

8

Ożywił się nagle.

— Byłem znów w komendzie wojskowej.

— I co? — przestraszyła się.

— I nic. Odroczenie. Jako jedyny żywiciel rodziny. Kupa śmiechu, ale papierki były jak trzeba — zachichotał.

Przysunęła się bliżej. Przytuleni bokami czuli teraz rozgrzane słońcem swe ciała.

— Nie martw się, Ewka, rozejrzę się- za czymś, pomyślimy o naszej doli. Jeżeli tak bardzo już chcesz... dziś po kinie, zamiast na potańcówkę, może machniemy się gdzieś motorem?

Znacząco uściśnęła jej dłoń. Odpowiedziała spojrzeniem spod przymrużonych powiek. Niech tam sobie ojciec mówi, co chce, nie ma chłopca nad Edka. On na pewno ma rację, nie ma się czym przejmować, chwycić lepiej na gorąco to, co jest dziś.

Piasek praży, gorąco, ale znad wody nadpływa już podmuch wzmagającej się morki. Wieczór na pewno też będzie ciepły, przecie to pierwszy wrzesień dopiero, właściwie lato. Wyjadą motorem, może aż na tamtą polankę, świadka ich pierwszych uniesień. Znow nadejdą godziny aż bolesne w tej koncentracji rozkoszy i szczęścia. Wierzchowinami drzew będzie przewiewał wiatr, w mroku zachrząści coś, zafuczy, przewinie się nie opodał nich. Od trawy i mchów biją tak mocne zapachy. A potem otoczy ramieniem szyję Edka, będzie słuchała rytmu jego serca. I chyba naprawdę wszystko inne poza tym nieważne, poza tą intensywnością przebywania tylko dla siebie, tylko we dwoje?

Dłonie złożyła na kolanach, szorstkie i popękane. To jeszcze od tamtej zimy, na Mazurach, kiedy w budynku popękały grzejniki i przez półtora miesiąca marzli straszliwie, urzędując w nie opalanych pomieszczeniach. Nic nie pomagało, żadne nacieranie i smarowania, dłonie czerwieniały przy byle chłodzie, skóra pękała często do krwi.

9

Z głośnika wciąż sączyła się muzyka. Marudzą coś, powinni byli już dawno zacząć... Bezwiednie przegładziła specjalnie włożoną jedyną jej przywoitą suknię. Palce zahaczały o cerę, jedną, potem i drugą. Rysiek nie rozumiał przyczyn jej odmowy, gdy wychodził, wyczuwała w jego zachowaniu wyraźny zawód. Tak pragnął, aby była tam dzisiaj z nim razem. Tłumaczyła się dym samopoczuciem. Prawda to, rwało ją w całym ciele, zwłaszcza w kolanach i plecach. Każdy krok sprawiał ból. W końcu

jednak przemogła się, albo to raz, w mniej ważnych często momentach, trzeba było zacisnąć zęby i robić swoje. Cóż dopiero, gdy nadarzała się taka okazja jak dziś. Marzyli o niej. On zwłaszcza, Rysiek. Dla niej starczyłaby już jego matura.. Biedni nie mają wyboru...

Nastłuchując muzyki, poskubywała cerę na czarnej sukni. Kupiła ją od jakiejś Niemki na rynku w Mrągowie krótko po przyjeździe do kraju. Dziw, że wytrzymała tyle lat. Co prawda, niewiele zdarzyło się okazji do jej wkładania... Skąd Rysiek mógł wiedzieć o tych cerach, o wytartym materiale, świecącym miejscami jak lustro. Młodzi takich rzeczy nie widzą. Rysiek i tak dobry nad podziw... Jakże by poszła w takim ubraniu? Żle by się w nim czuła pośród odświętnie przyodzianych uczestników tej, jakże to ją, inauguracji.

Co oni ciągle z tą muzyką? Już skończyli, cisza, chrobotanie tylko w głośniku. Zaraz włączy się radiowęzeł. Tak, nadają swój sygnał. Pewnie będzie mówił ten gruby, śmieszny redaktor, pijus, ale na swojej robocie się zna. Rysiek poznał się z nim, kiedy pracował latem jako listonosz. Już to chłopaczysko z wielu garnków chleb jadło...

— Jesteśmy świadkami podniosłej uroczystości, otwierającej nowy etap życia naszego miasta. W odrestaurowanym budynku odbywa się oto inauguracja roku szkolnego w powalanej do życia pierwszej wyższej uczelni w naszym regionie. Studium Nauczycielskie, jakie otwiera przed młodzieżą swoje podwoje, początkowo jest jeszcze filią centralnego ośrodka, ale z czasem, gdy uczelnia okrzepnie, pozostanie całkowicie już samodzielną pla-

10

cówką... Fięknie udekorowana sala wypełniona po brzegi, właśnie wchodzi za stół prezydialny...

Znieruchomiały dłonie kobiety na fałdach ciemnej sukni. Przymknęła oczy, pragnąc wyobrazić sobie tę salę, o której napuszonym głosem mówił spiker. Pewnie jest tam dużo kwiatów, muszą być kwiaty przy takiej okazji, bez nich byłoby smutno i szaro... Stół prezydialny, miejscowe i przyjezdne osobistości, mówi teraz coś o nich... Niech sobie, nie takie to ważne, ważniejsze, że w krzesłach gdzieś tam wśród młodych jest Rysiek. Przejęty, na pewno na policzkach zakwitły mu te czerwone plamy, zawsze gdy coś przeżywa, tak się rumieni. Wszystko w jego twarzy rozpoznać można od jednego wejrzenia. Co on sobie tam myśli? Wstaje teraz, hymn grają... Ledwie się powstrzymała, by także nie wstać. Gdybyż była z nim razem, ale te cery, te wyświechtane, błyszczące miejsca...

Przemówienia. Rektora placówki, przedstawicieli partii i władz miejscowych. Dumni są. Pewnie, jest z czego. Z górą trzy lata walczyli o powołanie tego Studium do życia, zaczęli jeszcze gdzieś w pięćdziesiątym dziewiątym. Dopięli celu, przeżywają swój wielki dzień.

Rysiek też przeżywa. I ona. Może największy to dzień w jej życiu. W minionych latach, kusych i chudych, nie śmiała marzyć, by syn mógł studiować. Szczytem tęsknoty stawała się jego matura. Zwłaszcza gdy zaczął chorować, przyplątała się ta przekłeta gruźlica. Wieleż łez wypłakała w bezsenne noce, wyglądając wieści z sanatorium. Wyleczył się, nawet roku szkolnego nie stracił, uczył się w Wiśle. Trzy razy zmieniała w tym czasie pracę, przenosiła się z miejsca na miejsce, z miasta do miasta. Aż wreszcie osiedli tutaj, już z górą sześć lat temu. Jej choroba, życie z tego jedynie, co chłopak zarobił. Chwytał się wszystkiego. Po powrocie ze szkoły zamiast za lekcje, brał się za zamiatanie ulic, uprzątał śnieg, pomagał u stolarza, udzielał korepetycji. Często jedli suchy chleb jedynie. Aż znów

nastąpiła poprawa w jej zdrowiu i mogła pracować. Wtedy mniej już zostawało miejsca na żale przy rozmyślaniach o Albinie...

11

Z głośnika dobiegły znów dźwięki orkiestry. Chyba to jeszcze nie jest część artystyczna, wspominał Rysiek, ma przemawiać również przedstawiciel młodzieży. Znajomek...

Niech grają... Ładnie to wychodzi. Sala świeżutka, tydzień, jak ukończyli jej malowanie, na pewno pachnie jeszcze surowizną tynków. Sześćdziesięciu młodych zgłosiło się na naukę, w większości dziewczęta. Śmiał się Rysiek, że pięć ich przypada na jednego chłopaka. Może to nie najlepiej, zamiast nauki amory gotowe się zacząć. Nie wygląda, żeby kochliwość odziedziczył po ojcu, ale kto wie, często i matka nie potrafi rozpoznać, co tkwi w jej dziecku. Że też jej się tak ciągle Albin błąka po myślach. Może dlatego, że taki dzień uroczysty. Kiedyś, kiedyś, jeszcze tam w Grodnie, marzyli wspólnie, co będzie z ich chłopcem. Kiedyś... Urwało się jak nożem uciął, w trzydziestym dziewiątym. Albin już nie wrócił do domu, z wojskiem przedostał się do Rumunii. Potem Francja, potem front afrykański, włoski, aż wylądował w Anglii. Niby to nawet początkowo chciał wracać. Później przysły te polityczne wzdragania. Albin pisał otwarcie, kto wie, czytywał ktoś te listy po drodze czy nie, że z komunistami żyć nie potrafi. Do wojny zwykły szeregowiec, potem też więcej jak kaprala się nie dosłużył. Więc może ta kobieta? Niewiele o niej wie. Albin w swych rzadkich listach ani razu o niej nie wspominał, tyle że jakieś słuchy szły przez znajomych, wielu ludzi osiadło w Anglii. Aż przed rokiem ten nagły wyjazd Ryśka na zaproszenie ojcowskie. Cały miesiąc. Wrócił chłopak zniechęcony do ojca bardziej niż kiedyś. Dawniej, choć nie podzielał ojcowskich argumentów, pragnął je jednak uszanować. Dopiero w Londynie dostrzegł, jak to jest naprawdę ze wzdraganiem ojca. Nic nie powiedział, zawsze był milczący, nie chciał jej pewnie przysparzać bólu.

Przemawia ktoś z młodzieży. Czuje się, jak chłopak jest przejęty, nie to co ci przed nim, stare wygi, im wystąpić, to jakby chleb zjeść z masłem. Temu głos się tampie, ale przyjemnie mówi. Bez przesady, szczerze. I krótko. To

12

dobrze. Skończył, oklaski... Jakby sama tam była i widziała to wszystko. Nawet Ryśka, usiadł sobie gdzieś z boku, niejedna myśl chodzi mu w tej chwili po głowie. Marzył

O nauce, po maturze zamyślał do Wrocławia jechać lub do Poznania, nagle otrzymał powołanie do wojska, dwa z górą lata przeleciały jak z bicia trzęsł, potem poszedł do pracy, odwlekało się, trudno było wyjechać z tego miasta, przyzwyczaili się, przywiązali, aż wreszcie wiadomość, że Studium powstaje. Zapisał się jako jeden z najpierwszych. Postawił na swoim...

Bo uparty ten jej Rysiek to jest, twardy, aż dziw czasem, skąd się to w nim zrodziło. Nie po niej, załamywała się niekiedy. Nie po ojcu, Albin przecież... Co ona dziś z tym Albinem. Było, minęło, są tylko we dwoje, ona i Rysiek. Ona żyje przy nim, dla niego. Wieleż przeszła, gdy zdarzył się krótko przed maturą wypadek samochodowy, ze szpitala dano znać, że syn jej będzie za chwilę operowany. Nic nie mogła przedsięwziąć, myśl nie pracowała, znieruchomiło ciało, istniała wyłącznie straszliwa, bezdenna trwoga. Ukłękła tylko przed obrazem Ostrobramskiej, nawet się nie modliła, nie znalazłaby na to dość sił, wpatrywała się w obraz, przyciemniony już przez działanie czasu, przydymiony, a w

spojrzeniu jej było samo błaganie, przepotężna prośba... Tak, to był przerażający czas. Wybrnął chłopak

1 z tego, tyle że trochę szpecity go blizny na nosie i górnej wardze. I to minęło. A teraz jest na inauguracji, zaczyna wyższe studia. Może nie te, o jakich marzył, ale darowanemu koniowi... Niedługo przybiegnie, przypadnie do niej, zacznie po swojemu całować ręce i twarz, jakby maleńki dzieciak, nigdy nie wstydził się uczuć swych do niej, nieskładnie, przeskakując z tematu na temat, będzie opowiadał, jak pięknie tam było...

Zamyśliła się, mało, byłaby przegapiła. Jak to się mówi, aha, immatrykulacja nowych studentów. Wywołują nazwiska. Jeszcze zatem usłyszysz. Już. Ryszard Matelski. Rysiek, naprawdę Rysiek! Że też nie może być w tej sali. Może należało nie oglądać się na cery, na wyświechtaną suknię. Kroki, pewnie podchodzi do profesora, chyba dzie-

13

'i:.-;

I

m

kuje, żal, że nie słyszysz jego głosu, mogli bliżej podciągnąć mikrofon.

Grzbietem dłoni przetarła powieki. Tylko bez beków. Dość też wylała przez życie, smutnych i gorzkich. Dziś płakać nie będzie, choćby z serca napełnionego weselem.

Szuranie nóg, stukot. Wstają pewnie. No tak, spiker zapowiada, że zebrani odśpiewają pieśń młodzieży studenckiej Gaudeamus igitur. Pierwszy raz w ich mieście. Nawet jemu musi być niewyraźnie, zająknął się, zadławił ostatnimi słowami. Pewnie mu własne młode lata wróciły przed pamięć.

—■

Poderwała się z nagła z miejsca. Boże drogi, tam już koniec uroczystości, Rysiek wielkimi krokami popędzi do domu. A ona spóźniona. Obiad odświętny, w tajemnicy przygotowywany jeszcze nie gotów. I tort nie przełożony masą. Masło, kakao, nawet garść orzechów z tych jeszcze przysłanych przez Albina przed dwoma laty. Znów Albin, co za dzień taki? Przegrał. Bo to ona jest przy Ryśku, uczestniczy z nim w dzisiejszym święcie, a on, Albin? Gdzieś tam w dalekim, zamglonym Londynie,

może i jemu mgła teraz przystania serce, może coś szarpie tam jego sumieniem. Rosół trzeba prędeż na ogień, ładna historia, ręce jej się trzęsą, to z tego wzruszenia. A teraz za tort, lada chwila wpadnie Rysiek jak bomba. Jej Rysiek, student wyższej uczelni. Co za dzień, co za piękny dzień.

2.

— Dawaj, dawaj, jeszcze trzy rzędy i koniec. Niech chłopaki przymocują już kotek pod wiechę...

— Majster, ręce opadają. Odsapnąć by chwilę.

— Nie gadaj. Nie widziałeś roboty. Był czas, żeśmy wybijali z siebie nie takie poty. Wszystko na akord, na galop, trójki się murarskie robiło, kto kogo prześcignie. Co prawda, niejeden odchorował to potem... Dawaj, dawaj, wiara już czeka.

14

On też miał dosyć. Wszystko przez tę cholerną dostawę. Wapna nagle zabrakło, nim dowieźli, dobra godzina zleciała. A dziś wiecha musi zawisnąć, tak sobie zaplanowali. Chłopakom gęby szczerzą się do gorzałki, zawsze to najlepsza okazja... Swoją ścianę Feliksiak już skończył, mniej miał do podciągnięcia. No, jeszcze półtora rzędu. Jasny gwint, dwie cegły krzywo, już i jemu w oczach się płacze. „Dawaj, Jurek, dawaj”... Niosą zaprawę, ale nogi już się im majtają. Ech, pętaki, nie wiedzą, co to robota. No, już ostatni rząd. O, jest Feliksiak, mógł już wcześniej doskoczyć. We dwójkę w parę minut wyciągną. Nachylił się, krzyknął:

— Jeszcze zaprawy!

Dostrzegł kątem oka, jak cała gromada niecierpliwie popatruje na nich od dołu. Niektórzy już zdążyli się umyć i przebrać. Grdyki im się tylko ruszają.

— Gotowe — odrzucił głowę do tyłu, przez moment zamigotało przed oczyma ciemnymi płatami.

Feliksiak z chłopakami przyczepiał wieniec. Z dołu nadbiegło chóralne hurra!

Z budki technicznej wychylił głowę Krwawicz, za technikiem pojawili się inżynier od nadzoru i autor projektu, wytoczył się wreszcie pękaty dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego. Uderzyli kilkakrotnie dłońmi w oklaskach. Majster przechodząc obok miał szczerą ochotę pokazać im język. Brawo teraz biją, cwaniaki. Poza technikiem i tym naiwnym inżynierem nigdy żadnego z nich nie uświadczy na budowie, ale dzisiaj, gdy już okazja, zwalili się całą gromadą, ani jednego nie brakuje, jest nawet ten żyła, główny księgowy, szczerzy wysuszoną gębę.

Było już dobrze po czwartej. Słońce grzało zupełnie jak latem, dopiero zaczynała się jesień, czas jeszcze na chlapę, błoto, ziąb, że ani gdzie na budowie przed nim się schronić. Może wyciągną budynek na tyle, aby pracować w zamkniętym pomieszczeniu, koksownik się zapali, po strachu...

Myli się pośpiesznie pod prowizorycznie podłączonymi kranami. W technicznym baraku arkuszami papieru przykryto byle jak zbity, kolebiący się na krzyżakach długi

15

stół. Kilka butelek, inne kryły się dyskretnie po kątach, ciastka, chleb, trochę kiełbasy. Nie wystawiło się kierownictwo, kręcili niektórzy głowami.

— Uważaj, jak stary zasunie gadkę. Że socjalizm, nowe osiedle, wielki krok w przyszłość — podkpiwał któryś z młodzików.

— Pewnie, jakże by inaczej.

Dyrektor wszakże sprawił im zawód. Za ledwie kilka zdań, ludzkich, życzliwych. I zaraz ujął za szklanę z gorzałką :

— Żeby nam rośło to nasze osiedle.

— Żeby rośło.

I nic więcej. Podobało się im to. Gadką tylko zabić można to, co prawdziwe. Wiele to rzeczy zagadano w tym kraju na śmierć. A tak, wiedzą sami, dzisiejsza wiecha nie taka jakaś zwyczajna, choć też nie taka znów bardzo inna. Dwa nowe osiedla wyrosły przecież w mieście w ostatni _h latach. To będzie trzecie, mówi się już o czwartym. Tak musi być. Ktoś dyskretnie postawił na stole dalsze butelki. Jeszcze pili z godnością, powoli podnosząc do ust musztardówki, sekretarka i tak niemało się napociła, by skompletować to prymitywne nakrycie. Ktoś się przepychał do księgowego:

— Panie Szymczak, żebyś pan nie skracał zanadto ołówka. Sto lat!

Autor projektu trzymał się na uboczu, niepewny, jakby wystraszony. Młody inżynier, pewnie i trzydziestka mu nie stuknęła, podobno pierwsza jego większa robota, chodzi koło niej jak przy dziecku, kto by widział, aby architekt zaglądał na budowę tak często? Inni, bywa, ani razu się nie pokażą aż do odbioru, nawet jak im naknoca, nie żołądkują się, machają dłonią. Ten zaś, gdy zapadła decyzja, by dachy spadziste zastąpić płaskimi, bo i dachówki braknie, i oszczędniej, ledwie się nie popłakał, bąkając, że właśnie taki spadzisty układ dachów wtapia się w plener, że inaczej rysuje się perspektywa, jeszcze tam coś. Uciszyli go tym, że wskaźniki ekonomiczne, mało nawet facetem się zajmowali.

16

Zresztą nie umiał się bronić. Jak i teraz, stoi zahukany, gębą rusza, jakby go w niej coś piekło, może wódki niezwyczajny, zagubiony jakby i obcy.

Majster przyjrzał mu się z daleka, coś go tknęło, wziął swoją szklanę do ręki, przysunął się do młodego inżyniera.

— Jak na ostatni, szósty blok wyciągniemy wiechę, to inżynier będzie musiał nam stawiać. Taki porządek — zaśmiał się szerokimi wargami, ukazując białe zęby, ostro odbijające od opalonej mocno przez słońce twarzy — dzięki tej jego urodzie przezwano go Murzynem.

Stuknęli się szklankami. Ku zdziwieniu Sykały inżynier wychylił wódkę z niezgorszą rutyną.

— E, zaprawę, widzę, pan ma.

Przysunął się Krwawicz, majster znów miał ochotę pokazać mu język, dziwny dzień, drugi już raz takie szczeniackie pragnienia przychodzą mu na myśl.

- Inżynierze, to główna nasza ręka na budowie. Bez Sykały daleko nie ujechalibyśmy.
- Aha, wczoraj toś pan mi przygadywał.
- Bo się bałem, że nie zdążycie na czas — w grymasie uśmiechu technik pokazał lukę w przednich zębach. — Raz chociaż nie nawaliliśmy, miało być na pierwszego września i jest.
- Całe szczęście, że się odbyło bez akademii. Bo to i wrzesień, i wiecha — dorzucił Feliksiak.
- Akademia wieczorem. Rada miejska. Będzie tam mowa i o nas, już o to się przewodniczący postara. Ze właśnie w rocznicę tamtego dnia, my, wbrew wszystkiemu, wbrew hitlerowskiej bucie, wznosimy dom po domu, miasto po mieście, i tak dalej, i dalej... — szarżował Krwawicz, ale zaraz dorzucił. — Można pokpiwać, ale ja ten dzień zawsze będę pamiętał. Już pierwszego września trafiłem do niewoli, ledwie parę razy strzeliłem. Na samej granicy. I potem pięć lat drutów... To rocznica różna od innych. Ale, co tam wspominać, wypijemy. Dyrektor już się odmeldowuje po cichu. Ten od nadzoru także. I buchalter zaszuwa za

NOWOHUCKA Przewodniczący 7*f*A 'rtmuczMA FILIA 9

31-610 Kraków, os. Tysiąclecia 42 tel. 648-50-69

17

nimi. Tym lepiej, będzie spokój. Pan, inżynierze, zostaje z nami?

- Nie puścimy — Sykała czuł wyraźną sympatię do młodego projektanta.
- A pewnie — podtrzymał go Feliksiak.

Nastrój wyraźnie rozgrzewał się. Kto mógł, oglądał się za miejscem. Brakło stołków, młodszy przyniósł parę desek, zawsze to wygodniej niż męczyć nogi stojąc. Rozbili się na grupki, hałaśliwe i rozgadane. W baraku zrobiło się parno, ktoś otworzył okno, ale i na zewnątrz powietrze było na-rzane. Kilku zrobiło składkę, wysłano chłopaka od mieszania wapna do najbliższej meliny, gdzie zawsze można było otrzymać wódkę.

Krwawicz wyrzwał za chłopakiem przez okno, potrząsnął głową:

- My tu o wrześniu, niby rzecz tak jeszcze niedawna, wlecze się za niejednym, a ci gówniarze w ogóle nie rozumieją, o co chodzi. Ramionami wzruszają na nasze okupacyjne wspominki. Czasem wydaje mi się, jakby nie wierzyli w to wszystko.
- Może tak lepiej.
- Może i lepiej, ale dziwnie... Wypijmy. Za nasze miasto.

Sykała nagle odstawił szklanę, oczy załatały mu niespokojnie, zawiercił się, powstał bez słowa, zmierzając prosto ku drzwiom baraku.

- Co mu się stało? — zdziwił się któryś.
- Daj spokój. Ma chłop zgryza ze swoją babą. Nie pojmujesz? Tamten cichaczem się zawinął i zniknął. Murzyn sądzi, że pognał do jego kobiety. Też los, że jasna cholera — informował Feliksiak.
- To ona z cieślą? Byczysko, prawda, on jest, potrafi dogodzić — zadworował któryś z młodych.
- A ty dureń jesteś i tyle.
- Ważniak, od razu od durniów — usunął się obrażony młodzik.

Murarz miał ochotę coś odpowiedzieć, ale dał spokój.

- Ani z nimi się zgadać.

18

Udajesz starego, choć jeszcze taki piernik nie jesteś. Czterdziestka ci już stuknęła, Feliksiak?

- A nie. Co tam gówniarzami głowę sobie zawracać, pan, inżynierze, wydziwia pewnie w duchu nad nami, że różne tu takie sprawy. Ale przy wódce niejedno wyłazi na wierzch. To jeszcze raz za nasze miasto. Mój stary złądował tu w czterdziestym ósmym i tak tkwimy całą rodziną na miejscu. Już by i nie chciał człowiek nigdzie wyjeżdżać.
- Nikogo nie ma u nas z najstarszych, tych, co pierwsi obejmowali miasto? — zainteresował się nagle technik.
- Miasto? Podobno jedne ruiny tu były. Trupy, smród, Niemcy ciągle się panoszyli, ani światła, ani wody, pustka, zadupie... Czy u nas ktoś z tamtych najpierwszych pracuje? Nikt chyba. Nie słyszałem.
- Czekaj, Feliksiak, a Budniak, magazynier? — szturchnął go któryś pod bok.
- Prawda, Budniak. Jeden z najpierwszych. Z karabinami się nie rozstawali wtedy na co dzień... On tu był starostą czy prezydentem. Ale to już facet nie z tego świata. Unika ludzi.
- Nie może zapomnieć tego swojego starostowania.
- A ty byś nie pamiętał, jakbyś z takiego stołka spadł nagle na magazyniera przy jakiejś budowie? To gorzej jak rąbnąć na ziemię z rusztowań trzeciego piętra. Ani się już kiedy pozbierasz do kupy.
- Jest tutaj ten magazynier? — zainteresował się projektant.
- Nie, on ucieka od ludzi. Jakby się bał nas wszystkich. Przy tym dobry chłop, można z nim żyć... Popatrzcie, toż myśmy sami tutaj zostali...

Obejrzeni się. Barak opustoszał. Na stole wałały się resztki salcesonu i podławej kiełbasy, rozrastały się plamy od rozlanej wódki. Dym tytoniowy stał ciężką chmurą.

- Pewnie, duchota tu, poszli chłopcy na trawkę dopijać.

— Albo do knajpy.

— • Nie takie to już dziś oblewanie przy wieszce. Kiedyś to była dopiero feta.

2

19

— Aha, a na drugi dzień brali do mamra, jak który za dużo przy wódce gadał.

— Też prawda. Nastroju jakoś dziś nie ma. Grupkami bractwo się trzyma, osobno, jakby nie jedna załoga. No jak, skoczy który po flaszkę?

— Można by... Choć mnie pora już do chałupy. Stara choruje... — podniósł się któryś z ociąganiem, ale nikt go nie powstrzymywał.

— A my golniemy. Ale lepiej już do „Piastowskiej”, na trawce mokrawo, jeszcze człowiek wilka by złapał — technik powiódł po obecnych przekrwionymi oczyma. — Pan, inżynierze, z nami?

Z niedalekiej łączki nadbiegały pokrzyki grupki młodych. Popijali prosto z butelki. Słońce rzucało już długie cienie. Młody projektant zwierzał się, uśmiechając się z pewnym zażenowaniem:

— Lubię do was przyjeżdżać... Bardzo się ucieszyłem, gdy mój projekt osiedla przeznaczono do realizacji. Ojciec mój długie lata pracował w tym mieście, właśnie w ten najtrudniejszy czas powojenny. Często mi opowiadał

o swoich przeżyciach... Proszę darować, ale ja pijam niewiele, słaby ze mnie przy kieliszku towarzyszy. Chciałbym przejść się ulicami, popatrzeć, przypomnieć sobie, jak hasałem tutaj jako szczeniak, jak chodziłem do szkoły. Krótki co prawda czas, niecały rok. Tam, gdzie teraz te bloki, były doły, w nich bawiliśmy się w Polaków i hitlerowców. Dziś dzieci znów bawią się w kowbojów i Indian, ojciec mówi, że to znak normalności czasu.

— To pan z naszego miasta? — zdumieli się. — Odprowadzimy pana.

Życzliwiej na niego spojrzeli. Nieśmiały, nie patrzy z góry, jak wielu z tych świeżo upieczonych inżynierków, co wiedzy o budowie mniej mają od zwykłego murarza. No

1 swój na dodatek, z ich miasta. Nic przedtem nie mówił.

— Ale na jednego z tej choćby okazji, żeś pan swojak, koniecznie wstąpimy — Krwawicz nie zamierzał darować okazji.

20

3.

— Tak nagle to przyszło, Pietrek, cieszyłam się, że jeszcze zostają nam dwa tygodnie — uśmiech dziewczyny był smutny. Dłonią przegładzała jego szeroką rękę, jakby tym uspokoić chciała jej nerwowe ruchy na blacie kawiarnianego stolika. — Dopiero na gwiazdkę zjawisz się znowu...

— Mogłabyś wpaść do Olsztyna na którąś niedzielę.

— A ty do nas?

— Będę się starał, choć wiesz, są pewne powody... — niezręcznie mu było, nie chciał dopowiadać.

— Rozumiem — powiedziała. — Nie musisz się jąkać, chyba minął czas, kiedyśmy mieli tajemnice przed sobą. Czasem myślę, że jesteś przesadnie ambitny, kiedy indziej to właśnie bardzo mi się w tobie podoba.

— Dziękuję ci... Zresztą na pewno przyjadę, wezmę sobie korepetycje, matolew szczęśliwie i na naszej uczelni nie braknie.

Parsknęli śmiechem, krótkim, zgasł tak nagle, jak się pojawił. Na tandetnie pokolorowanym blacie stolika dłonie ich trwały przytulone do siebie. Dziewczyna powoli podniosła opuszczoną głowę, spotkały się ich wejrzenia. I tak było najlepiej, słowa nie były potrzebne.

W źle wentylowanej kawiarni zwartą chmurą unosił się dym tytoniowy. Od zgrabnych kinkietów sączyło się na stoliki i salę lekko przyćmione światło. Lokal był odnowiony, czysty, panował tu przyjemny nastrój spowodowany być może faktem rozbicia pomieszczenia na niewielkie salki. Tu można było czuć się wyizolowanym od zbyt ciekawskich spojrzeń. Obydwoje lubili tę kawiarenkę, nazwaną nie wiedzieć czemu dosyć dziwacznie „Negresco”. Jak lubili i ten stolik, przy którym starali się zawsze siadać.

Bezwiednie dotknął kieszeni, w której szeleściło pisemko nadeszłe poprzedniego dnia. Profesor wzywał do szybszego powrotu, jeszcze przed rozpoczęciem roku akademickiego należałoby wykończyć wiele rozpoczętych uprzednio doświadczeń. Starsza asystentura, osiągnięta tak wcześnie,

21

zobowiązywała. Rzecz jasna, można by pobyt w domu przedłużyć o parę dni, choroba w rodzinie, jakieś zobowiązania, nietrudno w końcu o pretekst. Byłoby jeszcze kilka popołudniowych spotkań z Felą, ale niewiele by na tym zyskali, perspektywa rozstania ciążyłaby tak samo. Nie warto przeciągać momentów pożegnań... A przy tym, jakże robić zawód profesorowi? Wyróżnił go jeszcze na pierwszym roku studiów w Olsztynie, opiekował się, obdzielił asystenturą, nie czynił przed nim żadnych tajemnic w zakresie swych szerokich doświadczeń. Nie było rady, należało jechać. Inna rzecz, że smutno, dziwnie smutno.

Powiedział jej to.

— O mnie myślisz? — ciepło zadrgało w jej głosie...

Patrzył w twarz Feli przed sobą, szarą w mizernym świetle i oparach dymu. Włosy opadały jej luźno, przysłaniając uszy i pełniej zakreślając przez to owal twarzy, pociągłej, drobnutkiej. W ogóle cała jej sylwetka była drobna, maleńka, może to ujmowało go, samą swoją postacią zdawała się prosić o opiekę.

— Na pewno o tobie... Choć w ogóle jestem od kilku dni w niedobrym nastroju. Nie wiem sam czemu, rzadko mi się to zdarza. Róża wyemigrowała przed paru dniami z domu do miasta, ostatni rok,

przed nią matura. Zostaliśmy z ojcem we dwójkę. Odłowów ostatnio nie było, sezon jesienny dopiero się zacznie. Snuliśmy się po rybakówce i wylęgarni, rzadko zagadując do siebie. Wokoło trzciny już żółkły, rankami i wieczorami słychać było odlatujące ptaki, sypały się z drzew pierwsze pożółkłe liście, od ziemi ciągnął zbutwiałych zapach. Nie to, że źle, ale tak właśnie smutno poczułem się w domu. Matkę wspomniałem, pozostała w mej pamięci milcząca, smutna, zasłuchana w coś w sobie. Dziesięć lat blisko, jak umarła, a często wydaje mi się, że jest nadal, że wejdzie za chwilę ze swoją zatroskaną twarzą, przegłodzi nas tym jedynym, niepowtarzalnym ruchem swej ręki...

Zauważył, że cofnęła w tej chwili swą dłoń z jego uścisku. Uśmiechnął się, ujął drobne paluszki dziewczyny i ucałował.

— Nie, Felu, źle mnie rozumiałaś. Ruch twojej dłoni jest inny, i tak właśnie na pewno teraz jest mi bardziej

ooczny. Tamto było czymś własnym, zamkniętym. Jak zamknięte było też życie matki i ojca. Niejeden raz przychodziło mi na myśl, że muszą mieć za sobą jakieś szczególnie ciężkie, pełne dramatów przejścia, tak ciężkie, że nigdy nie zechcieli o nich nawet napomknąć, choć pamięci ich nie mogli w sobie zdławić... Ojciec też stanie niekiedy, zasłucha się, wyraz jego oblicza jest napięty i czujny. Może tamta nieznana przeszłość ważyła na ich stosunku do nas? Strasznie byliśmy przez obydwoje kochani. Ojciec, jeśli tak haruje, to tylko dla Róży i dla mnie. Nie kryje się z tym. Troska o nas stanowi jedyny cel jego życia. Wspomniałaś przedtem, iż w stosunku do pewnych spraw jestem szczególnie drażliwy. Tymczasem to takie proste: nie chciałbym niczym ponad konieczność obciążać swojego staruszka.

W jej twarzyczce pojawił się jakby cień nadąsania. Znow ucałował drobniutkie palce.

— Fela, mój duży dzieciaku. Gniewasz się, że nie mówię o tobie? A do kogo wyrwałem się z ojcowskiej samotni, na złamanie karku rwąc tu motorem? Przy kim odżywałem, gubiłem ten osobliwy smutek? Dziś jest inaczej, nie mogę zdusić w sobie tego nastroju. Sprawia to perspektywa rychłego odjazdu. Gdybym tak mógł zabrać cię z sobą... Ale sądzę, że już niedługo. W tym roku kończę studia, pracę dyplomową mam gotową, rychło zrobię magisterkę. Mój profesor jak najszybciej chce mnie posłać w doktory, szykuje mi miejsce przy swojej katedrze. Za rok, za jeden rok jeszcze pojedziemy do Kortowa, buduje się przy uczelni nowy budynek mieszkalny, jakieś tam gniazdko i dla nas się znajdzie. Rozchmurz się, uśmiechnij. Wypijesz coś? Dziś rzadka okazja, zamówimy likier czy koniak, nie wyznają się, co z tego jest lepsze.

Teraz było już tak, jak zawsze między zakochanymi. Sączyli jakiś zielony trunek, kawa stygła w filiżankach, siedzieli bliźniutko siebie, mówili mało, a może i wiele, głupstwa i sprawy poważne, przy przechylaniu głów czuli ciepło swego oddechu. Poza nimi nie istniał w zatłoczonej kawiarni nikt inny.

— Pomyśl, Pietrek, przez tyle lat znaliśmy się przecież

2

22

z widzenia i nie tylko z widzenia — zdziwiła się w którejś chwili.

Skinął głową. Prawda, tyle lat. Fela była starszą koleżanką! ? Róży z liceum. Bo w jego licealnych czasach jeszcze jej w ogóle w ich mieście nie było. Przed paru laty przybyła | wraz z rodzicami ze Szczecinka. Widywał ją, maleńką, drób-; niutką, zgrabną, któryś z kolegów specjalnie zwrócił mu na nią uwagę. Poznali się nawet, nic, parę zdawkowych słów. | Była już wtedy w klasie maturalnej, on studiował wydział rybacki w podolsztyńskim Kortowie. W czasie wakacji spotykał ją później śpieszącą do pracy w fabryce płyt pilśniowych, zlokalizowanej w wielkiej hali, gdzie gromadzili się! kiedyś przesiedleni Niemcy. Aż później ten jeden ranek. |

— Pamiętasz tamten słoneczny dzień, Fela?

Przyjechał do miasta motorem z worem węgorza, upały, lepiej było nie przetrzymywać ryby na miejscu, a odsta--wiać możliwie szybko do centrali w mieście, gdzie w wiel-f kich basenach dopiero sortowano ją dla potrzeb eksportu! Po załatwieniu sprawy zatrzymał się w śródmieściu, czekając na otwarcie sklepów i przyglądając się ożywionemu ruchowi. Rysowało mu się przecież z dzieciństwa to miasto zupełnie inne, w ruinach przekształconych w najlepszym wypadku w rozległe trawniki, biedne jakieś, tyle że zawsze ruchliwe. Kilka przechodzących dziewcząt obdarzyło uśmiechem przystojnego młodzieńca. | wtedy zobaczył Felę. Spieszyła drobiąc małymi nóżkami, w sukieneczce o intensywnej barwie błękitu przetkanej dużymi białymi grochami. Słońce zdawało się prześwieślać ją całą. Nie od razu ją poznał, w pierwszej chwili wydała mu się jakimś zjawiskiem. Ukłonił się dopiero, gdy już go mijiała, rozjaśnił się cały. Musiała odczytać zachwyt w jego spojrzeniu, zarumieniła się, i nagle, nie zważając, iż tak się przed chwilą spieszyła, przystanąła wyciągając rękę.

Tak się to wtedy zaczęło. Odprowadził ją do fabryki, czekał potem po pracy przed bramą... Kiedy to było? Dopiero rok temu. Jeden rok, rozdzielony jego wyjazdem na uczelnię, krótkimi tylko wypadami do ojcowskiej pustelni, zapętnionymi niemal bez reszty Felą...

| Ona pamiętała. Wcześniej już jej się podobał, wysoki trochę nieforemny, dryblasowaty, z wiecznie niedoczesaną jasną czupryną. Potem zapomniała o nim, rzadko się spotykali. Aż dopiero ten właśnie ranek. Bała się spóźnienia, pędziła do pracy, aż jej serce gwałtownie się tłukło z wysiłku. Upał zapanował na ulicach już od wczesnej godziny, cały sierpień był tak nasycony żarem i słońcem. Wtedy dostrzegła Pietrka. Stał niedbale, gapiąc się na ruch uliczny. Jasne włosy opadały na czoło, ładnie mu z tym było, przypatrywała się chłopcu z przejemnością. Gdy zaś ułonił się, koniecznie, ale to koniecznie zechciała się z nim przywitać, zamienić kilka słów. Nie myślała o niczym, ot, zatrzymać ten rozświecony obraz, wypełnić go — poza jasną barwą jego czupryny — również tonem jego głosu czy wyczuciem ciepła ujmowanej dłoni. Stało się inaczej, ten uścisk i ten głos nagle, od razu niemal, stały się strasznie ważne, najważniejsze. Tak samo jak są i dziś.

— Bez pamięci zakochałam się w tobie tamtego dnia, w tym mocnym słońcu. Aż mi wstyd, że to przyszło tak gwałtownie i tak znienacka.

— Moja ty maleńka — rozczulił się.

Nastrój szeptów i wspomnień, odczucie radości, że są razem, tylko dla siebie, przerywane powracającym ostrym skurczem żalu, że to ostatni dziś wieczór, że jutro rozdzieli ich przestrzeń.

Zatęsknili za świeżym powietrzem, duszna atmosfera kawiarni stała się nie do zniesienia.

Słońce dopiero co zaszło, widzialność była intensywna, ostra jak zawsze pod wieczór, ale skądś wypęły już pierwsze cienie, oddalały i rozmazywały w konturach budynki i ludzkie sylwetki. W domach i w witrynach sklepowych zapalały się lampy, rozpraszając swój blask w resztkach dziennego światła.

Ta strona ulicy, którą szli wolno, przytuleni do siebie, rozwierała się w długi korytarz parku, założonego na miejscu dawnych usypisk i gruzów. Bejnarowicz wskazał rozrosłe już drzewa:

— Wierzby nad stawkiem sadziłem wraz z ojcem. Przy-

2

25

wieźliśmy całą partię sadzonek. Rośnie koło rybaków!?, jakaś specjalna odmiana o czerwonych pędach. Chodzi, łem już do gimnazjum. Wieleż lat wtedy miałem? Chyba ze czternaście... Równe dziesięć lat temu.

Zeszli pod cień wierzb, posypujących już ziemię żółtawymi podłużnymi listkami. Oświetlenie parku było ską. pawe. Przy pocałunkach Fela wspinała się na palce, pod trzymywał ją silnym uściskiem ramion. Wargi dziewczyny świeże i chłodne, teraz zaczęły parzyć.

— Mój ty Pietrku jedyny — ramionami oplotła mu szyję.

Całował usta i oczy, i policzki, muskał ustami skryte pod ciemnymi włosami uszy, śmiała się cichuteńko.

— Mój Pietrek, mój.

Mącąc sielankowy nastrój ich pocałunków od ulicy nadbiegły zniecka ostre, wzbierające przerażeniem okrzyki, objęci jeszcze ramionami nadśtuchiwali. Wtedy buchnął strzał, przetaczał się długim, potężniejszym echem. Głos kobiety podniósł się przeraźliwym wołaniem o ratunek.

Bejnarowicz porwał się w tamtą stronę. Nie próbowała go powstrzymywać, ale i nie biegła z tyłu, zmartwiała-pełna zagarniającego ją lęku.

W ślad za tupotem nóg w cień parku wsunęła się postać mężczyzny przedzierającego się na przełaj przez krzaki, Pietrek wyskoczył mu naprzeciw. Tamten uniósł wtedy rękę do góry. Fela krzyknęła przeraźliwie, strzał, znów długie echo. I zaraz rumor przewracającej się postaci, szamotanie, zduszony jęk. Od ulicy nadbiegali ludzie, ktoś przenikliwie gwizdał.

Chciała biec, tam gdzie przed chwilą był Pietrek i ten drugi, który strzelał do niego. Chciała biec, tymczasem ledwie szła, przejęta grozą wobec tego, co miała ujrzeć. Wtedy usłyszała głos swego chłopca. Zdyszany, chrapliwy, jak po ogromnym wysiłku:

— Nie ujdiesz, draniu, nie ujdiesz...

— Pietrek! — krzyknęła, teraz już mogła biec, uwolniona od tej obezwładniającej bez resztek niemocy.

— Fela, podnieś pistolet — wskazał na broń ruchem nogi;

leżał na napastniku, przytrzymując całym swoim ciężarem gwałtownie szarpiące się ciało.

Podniosła broń, ciężką i nieporęczną, stała z nią nie wiedząc, co dalej czynić. Już nadbiegali ludzie, na czele gruby, masywny milicjant z pistoletem w wyciągniętej dłoni.

_ Ręce do góry! — krzyczał.

Uniosła. Ale przedstawiciel władzy nie patrzył na nią, interesowali go tylko ci dwaj na ziemi. Pietrek dźwignął się na widok munduru.

— Złapałem go. Strzelał do mnie, chyba nie trafił — niepewnie popatrzył po sobie. Podszedł zaraz do Feli, wyłuskując broń z jej dłoni, ciągle wzniesionej ku górze. — A to jego spluwa. Co się właściwie stało?

— Napadli na sklep. Kierowniczka wychodziła z utargiem na pocztę. Skoczyli ku niej we dwójkę. Tamtego ludzie schwycili od razu, ten bronią odstraszył i pognął w park. Szczęście, że pan tu był... Hallo, stop, nie odchódź pan! Trzeba będzie za świadka...

Pietrek skrzywił się.

— Koniecznie? Mam mało czasu.

— Nieważne. Pan musi iść także — nie wdając się w dalsze rozmówki milicjant szarpnął teraz kołnierzem dźwigającego się z ziemi bandyty.

Gdy ten uniósł twarz do góry, zaszumiało wkoło wzburzeniem i zaskoczeniem.

— Taki młodzik, nie ma więcej niż siedemnaście.

— Patrzcie, do czego doszło...

— A ta kierowniczka, czy żyje?

— Ogłuszyli ją tylko uderzeniem w głowę. Twarda babka, torby z forszą nie dała sobie wyrwać...

Milicjant zagwizdał raz i drugi. Odpowiedziały mu inne gwizdy. Zaroilo się od umundurowanych postaci. Teraz dopiero przekazując kolegom bandytę, gruby przedstawiciel władzy obejrzał się za Pietrkiem.

— No chodź pan, idziemy... A ta panienska?

— Byliśmy razem. Widziała wszystko.

— To i ona niech idzie. Z pana to równy facet. Gdyby

takich więcej, dalibyśmy radę bandziorem. Częściej ludzie się boją... Kim pan z zawodu?

— Student.

- Aha. Na Studium u nas?
- Nie, w Olsztynie.
- No nic, na posterunku i tak pana wypytają o wszystko.

Przytulając ramię Feli wyczuł, jak drżała z przejęcia. Uśmiechnął się serdecznie, przychylił ku niej.

- Głupstwo, już po wszystkim...
- Mógł cię zastrzelić.
- Nie wszystkie kule trafiają. Najgorzej, że, zepsuli nam wieczór. Ostatni nasz wieczór.
- Ostatni — szepnęła z żalem, dopiero w tej chwili w pełni uświadamiając sobie znaczenie tego słowa.

Typowa lekarska dyżurka w szpitalu, przedzielający ich stół lakierowany na biało. Zdawkowe, rzadkie słowa, rzucone jakby przez niewidzialną barierę. Ale w spojrzeniach, w ukrywanym starannie podnieceniu znajdowali coś zupełnie innego, jakieś blaski i lśnienia, wzruszenia i żale. Tyle wprawdzie minęło lat, a jednak...

Widywali się niekiedy, najczęściej w przelocie, na ulicy, w lokalu, w tłumie, jakieś słówko, niekiedy uścisk ręki, grzecznościowy uśmiech mijających się ludzi. To spotkanie jest pierwszym od tamtego czasu. Zmieniło się w nich samych niemało, na obliczach też zaznaczyły się wszystkie nie najłatwiejsze lata.

Wieleż on naprawdę może mieć lat, myślała, wpatrując się w twarz przed sobą, zmęczoną, o obwisający ku dołowi policzkach, o zaostrzonych rysach i charakterystycznych podłużnych zmarszczkach na całym czole. Lekko zgarbiony, długie dłonie drgające nerwowo. Miał to zresztą okresami już wtedy, gdy się dopiero poznali. Najbardziej postarzały się oczy. Zawsze zmęczone, teraz zmatowiały, wyblakły, wtopiły niemal źrenicami w poźółtkę białkówki-

28

Sześćdziesiątkę dałby mu każdy z miejsca. Ale naprawdę, naprawdę? Nie ma wiele ponad pięćdziesiąt.

Ogarnięta współczuciem, uśmiechając się, powiedziała:

- W tej chwili rada jestem, Gienek, że cię widzę... Niewiele się zmieniłeś.
- Uprzedziłaś mnie — podjął z ulgą. Przełamywała się nie nazwana bariera dzieląca ich od siebie. — To ja powinienem ci powiedzieć, jak dobrze wyglądasz. Patrzę na ciebie z przyjemnością. Zostałaś nadal bardzo, bardzo kobieca...

Drgnęła niespokojnie, zaraz to zresztą maskując poprawieniem położenia jakiegoś przedmiotu na stole.

Uśmiechnął się, urywając wątek swych myśli. Nie przesadzał w swym powiedzeniu, że spogląda na nią z przyjemnością. Pewnie, musiał i na niej odcisnąć swe piętna zaawansowany wiek, w

intensywniejszych zmarszczkach wokoło oczu, w leciutkim narzucie drugiego podbródka, w zaokrągleniu kształtów. Ale mimo to Janka wciąż zostawała nieodmiennie dziewczęca, w ruchach, w całym swym sposobie bycia. Mogła jeszcze robić wrażenie, nawet bardzo...

— Obiektywna ocena, bez nutki wspomnień, tamto to inna zupełnie sprawa, zresztą dla mnie też nie zamknięta, są we mnie jakieś skrupuły, wzdragania.

— Przyrodzona twa cecha. Bez tych rozterek sobie ciebie nie wyobrażam — przerwała szybko, bojąc się osobistych nut w ich rozmowie.

— Nie, Janko, nie chciałbym niczego odgrzebywać od nowa. Nie po to przyszedłem. Zdarzyło się coś, czy może dopiero zdarzy, co raz jeszcze zbulwersowało mnie całkowicie. Być może, to moja szczególna cecha, nawroty do tego, co było. Ale i los również tak najwidoczniej uważa, skoro co raz zsyła mi sytuację, w obliczu których nie mogę o niczym zapomnieć, już nie wykreślić, ale choćby przysypać coś w sobie popiołem. Sprawy sprzed siedemnastu i osiemnastu lat. Zamknięte, skończone, można by mniemać. I oto powracają jakby wyzwolone z uwięzi.

Słuchała z uwagą, przechylona nad stołem. Na jasnej

29

emalii blatu niewyraźnym konturem rysowały się odbicia jej twarzy, okolonej luźno czesanymi włosami. Próżno próbowała odgadnąć przyczynę wizyty Lisiewicza. Odeszli od siebie przed blisko dziesięć laty. Za obopólną zgodą. Czemu więc teraz Gienek szuka u niej porady, a może bardziej jeszcze ucieczki przed czymś, co go od nowa zaczęło trapić? Obozowe kompleksy? Tych się chyba nigdy nie wy. zbył. Więc co? Mówi, że siedemnaście, osiemnaście lat,; Zatem pierwsze miesiące wskrzeszania władzy polskiej na tych ziemiach. Wtedy? Co się wtedy mogło wydarzyć, co wraca obecnie przytłaczającym go wspomnieniem?

— Nie odgadniesz chyba, Janko, chociaż z grubsza znasz sprawę... Otrzymałem pismo z prokuratury! Zastałem je wczoraj po powrocie do domu. Za dwa dni muszę stawić się do złożenia zeznań. Nic więcej. Nie przejąłem się tym, już nie te czasy, kiedy każda styczność z władzami prokuratorskimi mogła przejmować trwogą. Wtedy zresztą takich powiadomień nie pi-zysyłało... Zadzwoiłem dziś rano do prokuratora, zapytując, w czym rzecz.

Urwał, nabrał oddechu, prostopadłe zmarszczki na czole ściągnęły się, drgnęły policzki. Ona zaś w tej chwili pomyślała o jego oczach. Ciemne były kiedyś, rozdygotane, niespokojne, tak bardzo, intensywnie żywe. Teraz zatraciły swą barwę, jakby zostały wyprane w brudnej wodzie. I te żółtkłe białka. Spozregła się, że Lisiewicz patrzy na nią w wyczuwalnym pragnieniu pomocy. Położyła swą rękę na jego chudych długich palcach.

— Tak? Co ci powiedział?

— W Niemczech Zachodnich aresztowany został Schul-mowsky. Nie wiem, w jakich okolicznościach. Przygotowywany jest proces przeciw niemu i jeszcze kilku esesmanom z załogi obozu. Prokuratura nasza uzupełnia materiał dowodowy. Możliwe, że pojedą świadkowie z Polski.

Nie pojmowała jego niepokoju. Schulmowsky, tak, to nazwisko, niejako symbol, stanowiło także jedną z Gien-kowych obsesji. Ale chyba fakt, iż aresztowano zbrodniarza, że czeka go kara powinien jedynie cieszyć.

30

_ To chyba dobrze, Gienek? Czy może jest jeszcze coś, czego nie powiedziałeś?

_ Nic więcej. Szczegółów dowiem się jutro u prokuratora. Wspomniał jedynie, że drań świetnie gdzieś prosperował wraz z całą rodziną...

Nie skoordynowanym ciągiem napłynęły jakieś wspomnienia. Rodzina. Coś było. Bodaj żona zbrodniarza. Napomykał coś o tym Zielnia, ktoś jeszcze. Ta kobieta przebywała w mieście jeszcze po wyzwoleniu. Lisiewicz miał z nią jakieś przejścia. Nigdy zresztą nie wywiadywała się, jakiego rodzaju. O to więc chodzi?

— Myślisz, Gienek, o jego rodzinie?

Szeroko rozwarł oczy, dostrzegła w nich ślad dawnych rozbłyśnień.

— A ty co o tym wiesz?

— Nic nie wiem. Podobno ta Schulmowsky mieszkała w naszym mieście? Podobno tutaj poszukiwałeś tego jej męża?

— Tak. Szukałem. Znalazłem jedynie ją i ich dzieci... Widzisz, Janka, głupia rzecz. Ta kobieta uratowała mi życie...

— Ona?

— Właśnie ona. Wracając z obozu, przez front, byłem ciężko chory. Półprzytomny. W gorączce, w malignie, gnałem na ślepo do tego miasta, nie znanego mi, a przecież w perfidny sposób bliskiego. Bo o tym mieście słyszałem nieraz w obozie. Od tego oprawcy Schulmowsky'ego. Chwalił się, że stąd właśnie pochodzi... We mnie żyła wtedy jedynie zemsta. Obecna nawet w trakcie choroby, w gorączce, w snach. Ubrdałem sobie, że zastanę tu Schulmowsky'ego. Bałem się go jeszcze nadal i zarazem chciałem go spotkać, aby się pomścić. Traf chciał, że zwałem się w jakimś domu na łóżko...

— I to był właśnie jej dom?

Potrząsnął przecząco głową. W ruchu tym kryła się jakaś udręka. Patrzył przez nią, przez ścianę, coś się tam musiało jawić przed nim okropnego i bolesnego.

— Nie... inaczej to wyglądało... Boże, znów te obozowe

31

mary, jakże wciąż intensywnie żywe... Muszę je odegnąć, bo inaczej nie potrafię ci opowiedzieć wszystkiego... To był opuszczony dom, pierwszy z brzegu. Na progu leżał rozbity stół konfiturowa skrótach, urywany, nie skoordynowanymi zdaniem opisywał swe przejścia po przybyciu do

zrujnowanego miasta. Majaki, papuga wołająca Hitlera, nastroszone Niemki debatujące nad łóżkiem, strzelanina i paniczna ucieczka. Opieka Schulmowsky...

Samą opowieść przyjmowała obojętnie. To przecież był tamten, świeży jeszcze, napęczniały wojną i okupacją czas. Mnożyły się w miliony podobne ludzkie przeżycia. Często bardziej skondensowane w dramacie. Lisiewicz nie stanowi wyjątku... Nie potrafiła wszakże bez wzruszenia przyglądać się sylwetce człowieka, z dziwną wyrazistością przeżywającego przed nią tamtą przeszłość. Jakby pod przymrużonymi powiekami z całą intensywnością odżyło wszystko raz jeszcze. Mówi się o ludziach zarażonych śmiercią, obozem, wciąż zacadzonych okupacją i związanymi z nią przeżyciami. Okazało się oto, że mimo, iż życie czyniło swoje, rozpląwały się dawne mary, nadal żyją w niektórych, ^przemożniejsze od nich, od pragnienia wyrwania się spod ich mocy. Żyły też w Lisiewiczu.

Słuchała ze wzruszeniem, współczuła mu, ale zarazem wyraźnie zdawała sobie sprawę, że niemal równie serdecznie emocjonowałaby się przeżyciami kogokolwiek innego, kto by zapragnął jej podobnie się zwierzyć. To spostrzeżenie napełniło ją niepokojem. Czy można odejść aż tak daleko od człowieka, z którym się tyle przeżywało. Którego się chyba kochało?

Odrząciła od siebie nutę osobistych rozmyślań. Tamto minęło. Nieodwołalnie. Nie widywali się przez lata, bo przecież nie o przypadkowe spotkania chodzi. Zaskoczona dzisiejszą prośbą, przyjmowała go w gabinecie szpitalnym. Mniejsza już o wzgląd na opinię, najmniej na nią zwracała uwagi, już może Fred byłby tu bardziej wrażliwy. Nie bała się też tego spotkania. Po prostu nie odczuwała

32

potrzeby stwarzania atmosfery, w której zjawiłby się chociaż cień intymności.

A jednak drgnęła w tym momencie Gienkowej relacji z tamtego odległego ranka osnutego mgłami, gdy biegł przez ruiny, uciekał raz jeszcze, przerażony sobą, szokującym splotem okoliczności...

— Była, Gienek, twoją kochanką? Żona tego potwora?

— Była... Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czyją jest żoną. Dla mnie wystarczyło naówczas już to, że spałem z Niemką, gdy wszystko, co niemieckie, budziło we mnie straszną, nieprzytomną nienawiść... O tym, że jest ona Schulmowsky, dowiedziałem się znacznie później. To był kolejny wstrząs. Pracowałem jeszcze wtedy w milicji.

Zwiesił głowę. Gdy ją znów podniósł, twarz jego wyrażała udrękę.

— Zetknąłem się z tą kobietą raz jeszcze. Po jej ponownym przybyciu na pewien czas do miasta, do Polski, z Niemiec, dokąd uciekła przed rozpoczęciem przesiedleń. Przyszła z prośbą o pomoc. Zamieszkała wtedy w willi, którą zajmował starosta Zielniak... Tak, Julek jeden znał moją prawdę. Teraz ty, Janka, ją poznajesz. Zawsze każdy z nas musi mieć powiernika... Dla mnie ta kobieta, ranek z nią w jednym łóżku, stały się straszną obsesją. A wszakże, gdy ją ujrzałem ponownie, nagle zrozumiałem, że nadal pociąga mnie ona jako kobieta. Już wtedy, gdy wiedziałem, że to Schulmowsky, żona mojego kata.

— Spałeś z nią, Gienek...

— Przykro ci?

— Nie wiem... Byliśmy kiedyś sobie bardzo bliscy. Wtedy może bym inaczej zareagowała na twoje zwierzenie. Dziś jest mi tylko smutno. I to jeszcze, że w tym momencie chyba pełniej cię rozumiałam. Jaśniej odsłoniło się przede mną to, co zawsze stanowiło jakąś twoją tajemnicę.

— Wybacz.

— Nie ma tu niczego do wybaczenia. Byłeś chory, Po obozie, pierwsza kobieta, młoda, przystojna, opiekująca się tobą... Że to właśnie musiała być ta, a nie inna, to kpina

3 Przejaśnia się niebo t. II

33

losu... — strzepnęła dłonią. — Wyłączmy nas z tej historii...

Próbowała się nawet uśmiechnąć, ale tak naprawdę obeszła ją mocno ta sprawa. Dopiero myślała, - że lata spędzone z Lisiewiczem, to przeszłość, która odeszła już bezpowrotnie, nie budząca innych wzruszeniowych skojarzeń. Tymczasem boli ją, wyraźnie boli, że przed nią była ta Niemka, żona mordercy, kata obozowego. Bo nie ma pretensji o te inne kobiety, które Gienek miał jeszcze wcześniej. Aż dopiero Schulmowsky. To właściwie okropne, nieomal makabryczne. Gdyby wiedziała przedtem... To co? Nie zbliżyliby się z Gienkiem do siebie, stałoby się to zasadniczą przeszkodą? Skąd można wiedzieć...

Próbowała otrząsnąć się. Dostyc tych mar, jałowych wspominków. Ale tym razem trudniej przyszło jej odzyskanie spokoju.

— Wezwanie prokuratury ożywiło w tobie tamtą historię? Z tym przyszedłeś?

— Z tym. Bo jeżeli proces, jeżeli, a zanoszą się na to, zostaną wezwani na świadka, stanę na sali rozpraw, tam, w NRF, w obliczu swojego kata i zarazem jego żony, mojej kochanki, jak się wtedy zachowam, jak wytrzymam napięcie podobnej chwili?

— Obawiasz się, iż może cię ona skompromitować, swoim zeznaniem podważyć prawdziwość twych zeznań? — nagle stało się jej obrzydliwe to wszystko.

Wzruszył ramionami.

— Zabrałem ci kiedyś, Janko, ładnych kilka lat życia, mimo to pozostaliśmy sobie nieznani... Jak mogłaś pomyśleć w tych kategoriach? Podobna sytuacja nawet nie powstała mi w głowie. A gdyby nawet, stanowiłoby to już tylko pewną konsekwencję tego, co zaszło. Mnie chodzi o coś innego. O lęk, że moje zeznanie, moja relacja z obozowego koszmaru stanie się subiektywnie w pewnym stopniu fałszywa. Ze mogę zatracić pełną prawdę obrazu. Poprzez to właśnie, że za oskarżonym będzie się wyłaniać cień Erny...

— Erny — szepnęła jak echo.

34

— Schulmowsky. Erny. Oto, widzisz, jaki jest finał. Akord końcowy. Zjadliwy uśmiech losu, plugawa klamerka spinająca i tamten obozowy czas, i wszystkie dni powojenne, aż po chwilę dzisiejszą.

— Przesadzasz, wyolbrzymiasz chorobliwie cały problem. Mówię to już jako lekarka — uśmiechnęła się właściwie tylko skrzywieniem warg.

— Możliwe — wrzucił ramionami. — Patrz, od końca wojny mija już osiemnasty rok. Był okres, że odchodziłem już od pamięci tamtego czasu, zabijałem się pracą, działaniem. To przynosiło mi ulgę. Teraz znów miewam straszliwe sny, widzę obozowe pasiaki, stada snujących się mużulmanów, stosy trupów, budzę się, czując ciężki smród krematoryjnych kominów... Może za wiele mam dzisiaj czasu, nazbyt spokojną pracę. Niekiedy wbrew logice tęsknię do tych pierwszych powojennych miesięcy, kiedy jakby w gorączce, w nerwowym tempie, w szalonej pracy od nowa usiłowaliśmy przywrócić życie temu miastu, nadając mu zarazem i nowy także charakter... Tęsknię niekiedy, wiem, że to absurd, do strzelaniny po nocach, do niemieckich zamachów, do naszych własnych bandytów, szabrowników, drani wszelakiego kalibru. Tęsknię do walki o każdy słup linii elektrycznej, o pierwszą fabryczkę, o pierwszą cegłę na nowej budowie, ba, o pierwsze aresztowanie w imię polskiej władzy... Jakiś dla mnie zbyt stabilny, nudnie spokojny stał się dzisiejszy czas. Albo ja nie umiem się w nim odnaleźć.

Spojrzała na zegarek. Zbliżał się czas obchodu chorych. Odczuła nagle dziwną obcość wobec pełnych kompleksów problemów tego człowieka, z którym przeżyła przecie tyle lat. Odczuła nawet ochotę, aby mu powiedzieć to wprost, ogłosić neutralność w jego sprawie. Nie tylko w odniesieniu do tej niemieckiej kochanki, ale w ogóle do wszystkich jego majaków, urojeń, wspominków. I ona też wszakże miała niezgorszą sumę przeżyć okupacyjnych, widziała niejedno, pamięta, ale pamięcią normalnego człowieka, umiającego poza tym żyć każdym nowym dniem, w każdym odnajdywać jego istotną treść, nie przestanianą

r

35

chorobliwymi oparami przeszłości. Już otwierała usta, gdy spostrzegła naprzeciw siebie udręczone, wyprane z barwy oczy gorączkowo szukające w niej oparcia człowieka. Odczuła w tejże chwili nagły przypływ wdzięczności dla tych oczu, że są właśnie takie zbłąkane, bo ustrzegły ją przed wyrządzeniem Gienkowi wielkiej krzywdy. Spłynęła na nią zarazem świadomość, że jednak nie wszystko w niej zgaśło z ich wspólnej przeszłości, że jakaś wzruszeniowa warstwa pamięci zostaje i odsłania się teraz, że nie wszystko dawne może przekreślić. I że ta jej poprzednia reakcja, właśnie na tym tle, była reakcją zagniewanej, urażonej głęboko kochanki. O inną kobietę, nie jakąś anonimową, choćby miała najwyraźniejsze imię i twarz, ale o tę właśnie nie znaną, a tak bardzo realnie uprzytamnianą sobie Niemkę. O Ernę...

Podniosła się, okrążając stół, przyglądała włosy Lisie-wicza ciepłym ruchem rozumiejącej kobiety.

— Gienek, wiem, że ci wiele nie dopomogę. Inny mamy uczuciowy stosunek do całej sprawy. Ale powiem ci, że przesadzasz. To naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Żadnego. Na procesie będziesz sobą, będziesz tym człowiekiem z obozu, który staje się wyrazem sprawiedliwości. A ta kobieta? Tak, jakby jej w ogóle nie było... I jeszcze jedno. Śniedziesz na swojej posiadce, zamykasz się w sobie i w

swoich sprawach. Powinieneś mocniej się za coś uchwycić, odnaleźć jakiś sens w pełniejszym życiu. Wtedy ozdrowiejesz.

Schyłał się ku jej dłoni. Spokojny już przesyconiem smutku.

— Dziękuję ci. Może okaże się na coś potrzebne to moje zwierzenie, ten czas, który ci zabrałem. Mówisz jak zdrowy, normalny człowiek. Ja też niekiedy próbuję sobie w ten sposób wszystko tłumaczyć. Tyle, że ja chyba nie jestem zdrowy. Nie jestem normalny.

Uśmiechnęła się. v

— Że potrafisz siebie w ten sposób określać, już to dowodzi, że jednak nie jest tak źle... Po prostu musisz się wyrwać z klimatu, w jaki sam siebie wepchnąłeś. Może

36

wyjechać gdzieś, może zająć się czymś, może wreszcie zakochać się.

— Tak, chyba to ostatnie stałoby się najlepszym lekarstwem — i on nareszcie odpowiedział uśmiechem, ale to jedynie mięśnie twarzy się uśmiechały. Oczy pozostały smutne, wyprane oczy bez blasków i barwy.

I z nagłą zaginął klimat poufnego zwierzenia, przywrócona po latach wzajemna bliskość. Stojąc spoglądali na siebie z życzliwą sympatią obojętnych, dalekich ludzi.

4.

Wyjąc całą siłą motorów ciężarówki przetaczały się piaszczystym, rozmiękłym objazdem, którąś musiano nawet wypychać, gdy boksujące koła wryły się w grunt po osie. Skoczyło do pomocy wielu chętnych, maszyna wyskoczyła z pułapki jak z procy, pokrzykiwaniem przywitano to i śmiechem. Kierowca też szczyrzył zęby.

Rosły przyzmy żwiru i tłuczni wzdłuż wytyczonych linii przyszłej drogi, miejscami znaczącej się dopiero szeregiem wbitych w ziemię palików. Bliżej miasta szlak był częściowo gotowy, dalej ciągnął się nasyp, wreszcie pustkowie i nieużytki. I wszędzie tu było pełno młodzieży. Niezgrabna maszyna dymiła smołówką do zalewania nawierzchni, gdzie indziej migwały łopaty i szufle, na poboczach dziewczęta sadziły* drzewka, których rzędy dla przeciwdziałania monotonii rozszerzały się gdzieniegdzie w zwarte skupiska.

Obok młodzieży pojawiło się trochę starszych. To skutek wczorajszego apelu. „Wszyscy jesteśmy młodzi — wyły głośniki z aut wałęsających się ulicami. — Nasze miasto jest młode. Niech żyją dni młodości!”

Słońce szczodre było dla tej ostatniej niedzieli września. Kolorowe ubiory dziewcząt nabierały intensywniejszej barwy i nowych odcieni. Oczy mocniej się śmiały. Grupki krzątające się przy usuwaniu resztek miejskich gruzów

37

oklaskami przywitały wóz straży pożarnej, przybyły do pomocy w burzeniu straszącej pustymi oczodołami okien ściany. Na przyległym placu rosły piramidy oczyszczonej cegły, mającej już swoje przeznaczenie na planowaną budowę hali sportowej. Taczki, szufle, dwie wywrotki sapiące pod ciężarem gruzu. A jeszcze dalej ci najmłodsi, zapalczywie, z językami wysuniętymi na brodeę niwelujący teren i znowu inni równomiernie przysypujący dobrą ziemią grunt pod trawniki, mające przysłonić zielenią ostatnie straszące cieniami wojny placyki.

Obok technikum rzemiosł drzewnych miały się brygady murarskie z dziesięciokroć liczniejszą czeredą pomocników podających zaprawę, mieszających ją, systemem z ręki do ręki podrzucających cegły na omurowanie pod parkan okalający szkołę. Przy ogólniaku uklepywano poszerzone boisko. Sporo dziewcząt z naręczami młodych drzewek, mających przyozdabiać główne ulice, kręciło się przy ogrodniku z Torunia, który do pomocy wykorzystywał zapał młodych. Wszystkie szczepy wywalił ze swojej szkółki, zgadał się z nadleśnictwem jednym i drugim, trochę nielegalnie podkopano iglaków i liściastych — też się przydadzą.

Inżynier Krajewski sam dyrygował brygadą elektryków ciągnących nową linię oświetleniową. Dawno ustawione słupy czekałyby w innym przypadku na zatwierdzenie i uruchomienie nowego budżetu, z bieżącego miasto nie mogło już bowiem wysuwać jednego grosza... Młodzieżowcy z odlewni urządzali plac zabaw przy międzyzakładowym przedszkolu. Jezierski również wyprosił dla siebie gromadkę ze studium nauczycielskiego, taka okazja do upiększenia najbliższego otoczenia dworca kolejowego! Sam biegał, doglądał wszystkiego, niespokojnie oglądając się raz po raz na żonę, która całą noc smażyła pączki, aż podziwiał jej zapał, i teraz szcudrze obdzielała nimi młodzież, zwłaszcza tę męskiego rodzaju. W jasnej sukience wyglądała jeszcze ponętnie i chłopcy garnęli się do niej, chyba nie tylko dla pączków.

Tego dnia wywróciło się wszystko do góry nogami. Dzie-

38

ciarnia, nawet ta najmniejsza, jeszcze nie ślęcząca za szkolnymi ławkami, pętała się, gdzie nikt jej nie posiał, także pragnąc pomagać. Sypały się przekomarzania i śmiechy, czasami poniosła się jakaś piosenka, brzmiał świeżej niż zawodowe zawodzenia radiowych rutynowanych pieśniarek.

Przybyłówna pokiwała dłonią na przemykający obok motocykl. Edek z opaską porządkowego łącznika na rękawie zatoczył zgrabne koło.

— Cześć, Ewka, jak ci leci przy tych cegiełkach?

Pokazała dłonie zakurzone i pokaleczone do krwi. Śmiała się. Ojciec tym razem może być spokojny: pracuje uczciwie.

— Ja też. Powiedz mu to — przesyłając siarczyste całusy, jedną ręką prowadził motor, przynaglany przez tkwiącego na tylnym siodełku kolegę. Spoglądała na maszynę z uczuciem dumy. Nie taki znów do niczego ten Edek. Ktoś go namówił i choć podkpiwał, włączył się w młodzieżową imprezę z całym rozmachem... Wczoraj w nocy też warczał ten sam motocykl: syci tańców uciekli na swoją polanę. Wróciła nad raneift.

Ta sobotnia zabawa na dwóch miejskich placach — zupełne szaleństwo, nie było chyba nikogo z młodych, kto by się wtedy nie bawił — najbardziej zaszokowała niektórych. Zwłaszcza mocniej zaawansowane w lata panie snuły się ulicami, przystawały przy pracujących grupach, znajdując wdzięczny temat dla rozmów.

— Jak w Warszawie był festiwal, tak samo się bawili. Tam przyjechało sporo Murzynów i potem rodziły się takie czarne dzieciaki. Dobrze, że choć u nas tych dzikusów nie było. Bo reszta tak samo. Pani, Sodoma i Gomora, co się to działo. W parku zwłaszcza.

— Widziała pani sama? — twarz pytającej stawała w wypiekach.

— Gdzież tam będę się wałęsać nocami za domem. Opowiadali ludzie.

— Straszne rzeczy — wzdychały wspólnie. Za ich czasów takich cudów nie było. A szkoda...

39

Zaraz po dwunastej tempo pracy wszędzie się wzmogło. Za półtorej godziny obiad. W fabrycznych stołówkach, w prezydiach powiatu i miasta, w stołówce komitetu powiatowego, w internatach i szkołach. To już był gest w stosunku do młodzieży. Skoro pracują, należy się im choć taka forma uznania.

O trzeciej początek pochodu. Zbiorowe wariactwa, jak mówili sami organizatorzy, studenci ze studium nauczycielskiego.

Inna rzecz, iż tak naprawdę nie bardzo można było dociec, gdzie się to wszystko zaczęło, skąd wyszła inicjatywa. Słuchy niosły, iż mocno tu ręki przykładał Ferycki z rady powiatowej, wskazywano na sekretarza propagandy, zupełnego młodzika, który pojawił się w mieście niespełna przed rokiem, niemało zdziałał też inżynier Krajewski z Energetyki, nawet ponury zawsze dyrektor Lisiewicz dał się ponieść i pociągnął swą młodzież. Nie obeszło się bez oporów. Bali się niektórzy takiego szaleństwa młodzieży, lichy wie, czym się to może skończyć, a jeśli narozrabiają, nachuliganią, co wtedy? Trochę też, jak sobie szeptano, podcięte zostały imprezie skrzydła. Bo wzorem Krakowa czy Gliwic istniał początkowo zamiar przekazania młodym na dwa dni władzy w mieście. Odroczone rzecz na następne dwa lata.

Jeszcze inne wieści głośiły, że cała historia ma związek z ambicjami podniesienia rangi ich miasta i całego najbliższego regionu. Taki nowy eksperyment. Coś się opracowuje, szykuje, trwają narady. Ale bliżej niewiele było wiadomo. Tyle tylko, że te Dni Młodości z czasem należy tak zorganizować i rozslawić, aby ściągnęły turystów z całej Polski. Oczywiście, początek będzie skromniejszy.

Sobota, pierwszy dzień, zapowiadał się nie tak okazale. Pracowała głównie młodzież ze studium, z obu ogólniaków, z techników i zawodówek. Dołączyły niektóre klasy z podstawówek. Taka jakby szkolna majówka. Bo że tam zarazem knocili coś elektrycy, że ze wsi przybyło parę grup z ciągnikami, to uchodziło raczej uwadze. Gwałt powstał, gdy zaczęły się wieczorne zabawy. Kilka stu-

40

denckich grup z pochodniami, nawet ładnie to wyglądało, występy teatryku „Żak” z Wybrzeża, ściągnięto na tę okazję. Śpiewy, tańce do późna, okazja do zgorszenia dla tych czy owych ze znudzonych sobą i światem miejscor wych moralistów.

Dopiero niedziela zaskoczyła rozmachem. Miasto wstało udekorowane, transparenty, napisy, jakieś barwne festony, girlandy, na murach porozlepiane karykatury, zabawne rysunki, nic ze sloganu czy patosu. I wszędzie ruch, praca. Wioska zmobilizowana przez ZMW przybyła tabunem, nie odmówiła udziału młodzież z handlu, z zakładów pracy i fabryk. Przyłączyło się sporo starszych. Zahuczało od śmiechów, piosenek, od żartów. A wreszcie heca z pochodem. Trochę ubiorów z miejscowego muzeum, trochę wypożyczonych od artystycznych zespołów. Reszta przygotowana nie wiedzieć kiedy przez bractwo ze studium. Herold obwieszczający chwałę miasta i orzekający, że niezależnie od wieku, nie ma w nim ludzi starych, wszyscy są młodzi, przynajmniej duchem. Unaoczniał to jakiś nygus przebrany za starca z długą brodą, który wywijał na samochodowej platformie swawolne hołubce z partnerką usiłującą uosabiać starowinę w wieku co najmniej stu lat. Co nieco w strojach historii, trochę przy tej okazji zmartwienia, bo Chrobremu niespodzianie złamał się miecz misternie wycięty z drzewa, aż zdesperowany monarcha groził potrzaskanym narzędziem jakiemuś tam winowajcy. Kupa karykatur, postaci o olbrzymich głowach, świetny okazał się Adenauer w krzyżackim płaszczu, spod którego nie wiedzieć czemu, najpewniej dla jakiegoś symbolu, wystawały kalesony związane u dołu na wielgachne tasiemki. Kilka zespołów tanecznych płasających po jezdni: co starszym panom odmłodzonym za przykładem herolda oczy się śmiały do ładnych dziewcząt. A w tym wszystkim tłum młodzieży, wrzeszczący, śmiejący się, roztańczony, sptywający z jezdni na chodniki i z chodników na jezdnię, zagarniający do środka publiczność.

Tego tu jeszcze nie było.

Wraz z nadciągającym zmrokiem ogłoszono dla miasta

41

centralną zabawę na wielkim placu przed prezydium rady powiatowej, gdzie przed paru laty ustawiono pomnik Piasta, wykonany w miejscowej odlewni. Herold odtrąbił raz jeszcze, mocno fałszywie, zaraz wieść poszła, że był nieco zawiany, oznajmił, iż oficjalny program Dni Młodości wprawdzie został już zakończony, ale w tym czasie zaszły duże zmiany. Oto miasto poczuło się tak młode, iż imprezę przedłużyła na rok, na całe lata.

Zapłonęły ogniska, trochę się kłóć z blaskiem lamp, wyjątkowo obficie tutaj rozsiadłych, i z kolorowymi, bijącymi w niego smugami reflektorów; pilnujący strażacy cofnęli się w cień, by nie przerażać co bardziej płochliwych. Na podium rozsiadła się wojskowa orkiestra z niedalekiej jednostki, huknęły pierwsze dźwięki. Zakoły-sały się pary. Ktoś obrotny zjawił się z pękiem baloników, wykupiono je momentalnie, dwie ciężarówka PSS-u zaopatrywały w parówki z musztardą, z innych unosił się zapach piwa.

Ktoś ze starszych przyglądając się zabawie, kiwał głową, opowiadał bliżej stojącym:

— Pomyśleć, to samo miejsce... Gdzie teraz stoi pomnik, tam wybuchła bomba. Niemcy ją podłożyli, gdy my wszyscy witaliśmy na dworcu pierwszy transport repa-triancki. Pięćdziesięciu nas tu jeszcze nie było Polaków... Dokoła, gdzie te lampy, same ruiny, aż straszno. Na samym początku tośmy tylko trupy grzebali...

— Coś pan taki cmentarny dzisiaj? Dajcie już spokój z trupami — zachnął się inny.

— Niech pan lepiej ze mną zatańczy, dobrze? — przed zdumionego jegomościa wyskoczyła młodziutka dziewczyna, nim się obejrzał, zagarnęła go w wir.

Przy ciężarówce z piwem zawiadowca Jezierski z desperacji wychylał któryś z rzędu kufel. Jaskrawa, zbyt może jaskrawa sukienka żony migąła mu tylko niekiedy w dalekich zakątkach placu. I to się ma nazywać wspólna zabawa! Namówiła go, chodźże, potańczymy i my, a tymczasem jeszcze nie zawirował z nią ani razu, od razu dała się zagarnąć studentom, bodaj tym, którzy wczoraj porządko-

42

wali stację. Zawsze z jego Ewcią tak było... Ech, chyba że jeszcze jedno piwo.

— To ja mamę odprowadzę do domu — mówił Rysiek do matki. Stali przyglądając się zabawie.

— Przestań ty już mnie niańczyć. Mówię, ruszaj się bawić. To dla takich przecie jak ty... A tej panienki nie widać? Ej, Rysiek, matka wszystko zobaczy...

— Jest, mamó, tam idzie.

— Idziemy do niej. Jakże jej, Róża?

— Róża.

— Ładna dziewczyna. Dobry masz gust. Poznasz mnie z nią? Chwileczkę z wami postoję, potem ruszajcie w taniec, sama trafię do domu. Nie oponuj, Rysiek, tak będzie.

— Dzień dobry, szukałam cię, Ryśku.

— I my za panienką się oglądaliśmy. Miło mi poznać... Znów zaczynają grać. Dobra muzyka. Tańczcie, co tam na mnie się oglądacie.

— Ewka, Ewka — nawoływał ktoś przeciskając się łokciami przez tłum. Przy ciężarówce Jezierski drgnął, wpatrzył się w kłęb tańczących.

— Zostaw pan, panie zawiadowco, to inna Ewka — uspokoił go kompan od picia.

— Chyba że tak. To jeszcze po kufelku. Dobre piwo dzisiaj przywieźli. Rozruszało się miasto, co? Tyle luda się zeszło. Mają rozmach nasze młodziaki.

Na wieżę kościelną nadział się księżyc dobiegający pełni, wykrzywił głowę popatrując na widowisko.

ROZDZIAŁ II

1.

2JŁA była i skwaśniała, nieodmiennie już tak ostatnio. Dzisiaj szczególnie musiało ją coś rozjątrzyć. Poznawał to po hałasach dochodzących z kuchni, gdzie podgrzewała obiad. Sama wraz ze Stefą jadała wcześniej, dziewczyna pracowała w sklepie na drugiej zmianie. Mocno teraz trzaskała garnkami, cichym brzękiem zapiszczał talerz, pewnie spadł na wykładaną gumolitem posadzkę i potłukł się. Niezgrabna jakaś zrobiła się jego baba.

Weszła teraz, z rozmachem postawiła talerz z zupą na stole, przy przechylaniu wylało się trochę płynu na podniszczoną ceratę. Odciągając z impetem krzesło, zwała się na nie, patrzyła w milczeniu, jak on sięga po chleb, jak zanurza łyżkę w rzadkim krupniku.

— Dobrze — powiedział, pragnąc jej się przypochlebić.

Zignorowała to odezwanie, sapanie jej tylko przybrało

nieco na siłę. Dał więc spokój. Jadł szybko, bojąc się, by znów nie wynikła jakaś gadanina, wyrzekania, pokrzyki. Na drugie były zakalcowate gałki z ziemniaków, skąpo podlane sosem. Przyniósł sobie z kuchni szklankę wody do popicia, ciężko bowiem przełaziły te kluchy przez gardło.

— Też dobre? — spytała niespodzianie.

— A dobre, dobre.

Pokręciła głową. Niełatwo z nim było. Już otworzyła usta, ale pohamowała się. Teodor wyglądał wyjątkowo zmizerowany, tak po prawdzie to szkoda go. Nie chciała zresztą doprowadzać do starcia, właśnie dzisiaj, gdy wizyta kierowcy stała jej tkwiła w pamięci.

44

— Był tu dzisiaj Masłowski. Zajechał wozem — nawiązała do swych myśli, gdy mąż zakończył jeźdźnię.

— Nie lubię go. Za wielki cwaniak.

— Mało ważne, lubisz, nie lubisz. Przyjechał z jedną sprawą. Pomyślałam, warto, żebyś ją sobie przemyślał. Stefie trzeba płaszcz, butów, sukienki. Dziewucha kończy dwadzieścia lat, niebrzydka jest, a pies z kulawą nogą za nią się nie oglądnie. Na pierwsze spojrzenie widać, że to bida chodząca. Musisz ją ubrać.

— Pomyślimy po pierwszym... Nie od razu, po jednym sprawunku, wiesz, wiele mi płacą.

— Wiem — wyduła wargi. — Dlatego o Masłowskim warto pomyśleć.

— On przecie żonaty.

— Nie na zięcia, coś ty, zgłupiał? Takiego łajdusa dla Stefy?

— Sama gadasz, że łajdus.

— Ale interes można z nim zrobić... On, widzisz, potrzebuje koniecznie jakiegoś żelaza, mówił coś o kantówce czy płaskowniku, już nie pamiętam, nie znam się... I że ty w magazynie masz tego bez liku, ani wam tyle na budowie potrzeba. Więc żebyś zechciał...

Przestraszyła się, cofnęła wraz z krzesłem. Budniak zerwał się z miejsca, zakrzyczał, zamachał rękami.

— Złodzieja ze mnie chcesz zrobić? Razem z tym Masłowskim, co to już parę razy siedział w kryminale za takie machlojki. Złodzieja? Ze mnie? Ze mnie złodzieja?

Już mu i pierwszy gniew minął, miejsce jego wypełniło niepomierne zdumienie, że w ogóle można mu było coś podobnego zaproponować, że w dodatku czyni to własna żona.

Spostrzegła się w tej zmianie nastroju. Dopiero przypuściła atak.

— Złodzieja, nie złodzieja, co tak od razu nazywasz. Masłowski mówi, że kombinacja. Na wszystkich budowach tak robią. Inni magazynierzy żyją jak królowie, ty tylko świecisz gołą dupą, a my z tobą razem. Co by komu ubyło, gdybyś trochę tego żelaza...

45

— Zamilcz!

— A nie zamilczę! Myślisz, przyjemnie, że mam męża za pośmiewisko, baby przychodzą, pogadują, jakże tam, pani starostowa, co nowego u pani, ludzie za nami się oglądają, w czoło pukają, nie bez racji, kto widział, tak się na durnia dać zrobić, tak wykołować... Smród, bieda, ciasno, krzywa chałupa, dziewczyna na starą pannę sposobi się, a on się stawia, krzyczy, święty ludowy taki, aż wstyd pomyśleć.

— Hela, co ty, co ty...

— A ot, co ja. Że jedno nieszczęście z tobą. Wstyd i poniewieranie ludzkie. Uczciwy, solidny, sam widzisz, jak ci podziękowali za tę uczciwość i solidność. Na durnia wykie-rowali... Jak sobie chcesz, można Masłowskiemu odmówić. Możesz być nadal uczciwy, ale trzeba też o dziewczynie pomyśleć. Oberwana nie będzie chodzić. Zarób gdzie dodatkowo, inni umieją, ty jeden nie potrafisz znaleźć sposobu...

Głos jej się załamał. Głowa wsparta na rękach zatrzęsa się, mocny szloch napełnił pokój. I jak zwykle w takich razach z Budniaka opadły złość, gniew i oburzenie. Zostały jedynie niepokój i uczucie litości. Poczuli się bezradny i skopany jak bezdomny pies. Nie wiedział, kto ma rację, kto nie ma, pojmował tyle, że gdzieś w narzekaniach żony kryje się wiele słuszności, ale nic na to przecież nie mógł poradzić, jak nic nie udało się wymyśleć na jej uspokojenie. P -7.egładzał więc tylko tłustawe włosy swej Heli, powta-x..sając jak katarynka:

— Uspokój się, uspokój, nie płacz, zaradzimy coś, na pewno coś zaradzimy...

Potrząsnęła głową, szloch jej nasilał się, słowa jego nabierały monotonnego rytmu, trwali tak, bliscy sobie i bardzo dalecy, złączeni poczuciem wspólnoty nie najweselszego losu.

Przycichła wreszcie, on też zaprzestał mamrotać, spotkały się ich spojrzenia. Kobieta westchnęła, skrajem fartucha przetarła oczy, podniosła się.

— Idź sobie gdzie, choćby do ogrodu. Statki pomyję, uprzątnę trochę. Idź, Teodor, idź, z sobą będzie nam ciężiej.

Czuł odprowadzające go jej wejrzenie, współczujące

46

i niezycliwe zarazem. Tyle lat żyli z sobą, na pozór dla ludzkich oczu idealnie, a tymczasem właściwie nigdy dobrze się nie rozumieli, nie znajdowali w pełni wspólnego języka. Może to właśnie stało u przyczyny wszystkich ich niepowodzeń?

Wychodząc mocniej nacisnął czapkę. Niemal nigdy jej nie zdejmował — wraz z postępującą łysiną, wielka, czerwona blizna stawała się coraz to wyrazistsza. Obrzydliwa była, nabrzmiąta, ponacinana śladami po szwach. Sam siebie nie znosił w lustrze, domyślał się, co muszą odczuwać inni. —

Wyplaszając go z domu decyzją Heli przyjął z ulgą. Cóż mieli dalej robić jedno obok drugiego? Płakać, pocieszać się, znów się różnić w widzeniu każdej sprawy? A jednak, gdy stanął pośród niedużego szpaleru przez siebie sadzonych drzewek, czuł się tak mocno zagubiony jak przedtem. Może więcej, jakiś obrosły bólem, zadziwieniem największym z wielkich. Kiedyś, parę lat temu — wiodło się im wtedy przecież o wiele gorzej, o posadzie magazyniera ani się mu marzyło — też wspomniała raz Hela o jakiejś le-wiźnie. Wydawało się, przypadek, nieprzemysłenie, sprawa zamknięta raz na zawsze. Tymczasem dzisiaj wyskakuje historia z Masłowskim. Wierzyć się nie chce.

Potańczało, oparł się o jabłonkę. Owoce zaczynały się rumienić, w tym roku większe były i okazałsze. Kiedy indziej z uciechą spoglądałby na dorodne jabłka, teraz musnął je zaledwie wejrzeniem.

— Wierzyć się nie chce — zaszeptał.

Masłowski to była jakaś przypadkowa znajomość Stefy. Ostatecznie, nic złego, jako ekspedientka w sklepie stykała się z konwojentami, znała z nich niejednego. Masłowski bardzo się pragnął przybliżyć, zaglądał niekiedy do ich domu. Słuchy chodziły o nim nie najciekawsze, mieszkał na sąsiedniej ulicy, chcąc nie chcąc wie się o sąsiadach niejedno... Stefa, matka... Od niejakiego czasu zdawał sobie sprawę, iż jest samotny przeciw frontowi dwu kobiet. Do czasu, gdy Tomek pozostawał w domu, siły się równoważyły. Ale od dwu lat, gdy chłopak przeniósł się do szcze-

47

clAskiej stoczni, baby zawojowały dom bez reszty. Do tego doszło, że oto zaproponowały mu sitwę z Masłowskim. Złodziejską sitwę.

— Wierzyć się nie chce — zastękał, ani zdając sobie sprawę, że półgłosem wypowiada te wyrazy.

— Godzinki na wolnym powietrzu, czy jak?

Poderwał głowę. Oczy jego napotkały szczerę, życzliwą spojrzenie Sykały, majstra murarskiego z budowy. W oczach opalonego na ciemny brąz sąsiada migotały wesołe iskierki.

— Dobry dzień, Sykała, na budowie aniśmy się dzisiaj widzieli... Godzinki? Mogą być i godzinki. Zdarza się, tak coś niekiedy zaklinuje człowieka, że głośno gada do siebie.

— Zmartwienia?

— Takie sobie, zwyczajne, kto ich nie ma.

— A prawda, prawda, kto ich nie ma — zgasty iskierki w jego źrenicach, jakby też czarne cienie przeleciały po twarzy.

Budniak dopiero teraz oderwał się od pnia jabłonki, podszedł do zardzewiałej siatki, oddzielającej raczej symbolicznie ich przydomowe ogródki, uściśnął rękę majstra. Z żałośliwymi, choć próbowali to skrywać, uśmiechami patrzyli po sobie. Już teraz bez słów.

„To prawda, że każdy ma swojego własnego mola, który go niszczy — myślał Budniak. — Ten Sykała, zdawałoby się, nie ma powodów do wyrzekania. Ledwie do trzydziestki się zbliża, a majstrem już, do roboty jak koń, nie ma takich, co go prześcigną. Zarabia pięknie, cmokają wszyscy przy wypłacie, gdy widzą liczbę przy nazwisku Sykały. Domek niezgorszy, ładniejszy niż ich, Budniaków, ładna żona... Otóż to właśnie, ta ładna, młodziutka żona. Raz, że Sykała nieprzytomnie w niej zakochany i chorobliwie zazdrosny, dwa, że nie ma dymu bez ognia. Chłop może nie wie, ale czuje przez skórę”...

„Nic się nikomu nie upiecze zbyt łatwo — dyskretnie popatrywał Sykała na szerokie blizny przecinające lewy policzek sąsiada. — Niby miał kiedyś ten Budniak wielkie swe dni. Wszystkie honory, wszystkie cuda. Nawet gęba

48

pokieroszowana ogniem nie szkodziła nikomu. A teraz? Dobrze, że choć to magazynierstwo mu się trafiło. Baba gruba, chorowita na domiar, jazgotliwa aż strach. Ciągłe ją słychać zza płotu. Dziw, że chłop nie oszalał przy takiej. Pewnie znowu mu dogodziła, miejsca sobie znaleźć nie umie”.

— Co tam słychać u Tomka? — zagadnął, pragnąc rozchmurzyć Budniaka, a wiedział, że najłatwiej to przyjdzie poprzez napomknienie o ukochanym synu. — ■ Nie pisał ostatnio?

— Gdzie mu tam do pisania. Twardy to on jest, ale i tak się dziwię, że sobie radzi... Przy spawaniu robota ciężka, odpowiedzialna, a wieczorami nauka. Mają szkoły przy stoczni, ale wymagają tam od nich więcej niż gdzie indziej.

— Nie myśli chłopak się żenić?

— Nie wiem. Najpewniej nie. Robotę z nauką jeszcze pogodzi, ale z żoną już by się nie zmieścili razem. Wiecie, zaraz dom, trzeba go pilnować...

Ugryzł się Budniak w język na to ostatnie słowo, ale już było za późno. Musiał zresztą „Murzyn” myśleć o swoich sprawach od niejkiej już chwili, a pytał i słuchał tylko z grzeczności. Złapał sąsiada za ramię.

— Słuchajcie, mam do was sprawę, taką na osobności. Można? Nikomu bym o tym nie wspomniał, ale do was jakoś mam zaufanie, a czasem mus się kogo poradzić, trudno samemu się zmagać z myślami.

— No to przechodźcie do mnie. Możemy pogadać.

Widział, jak na ganku sąsiada zamigotała czerwona

w ciemne grochy sukienka Sykałowej. Natychmiast zginęła we wnętrzu domu. Sykała żony nie dostrzegł, przełaził właśnie przez płot. A Budniak już wiedział, znów usłyszy zwierzenie o miłości do żony, o jej niebezpiecznie wyzywającej urodzie, o tym, że majster ma podejrzenia, takie, inne, że wprawdzie nie złapał jej na niczym gorącym, plotom zaś babskim nie wierzy, ale jednak niepokoją go niektórzy ludzie, niektóre sprawy...

Znów nic z własnych rozważań. Bo trzeba przecie pomyśleć o własnym losie. Samymi utarczkami z Helą daleko się

* Przejaśnia się niebo t. II

49

nie zajędzie. Pewnie, że Stefkę należałoby ubrać, w domu też niejednego brakuje. Tymczasem będzie słuchał zwierzeń Sykały, nie pierwszy już raz. Będzie udawał, że to dla niego nowina, choć s&m wie, że ta ładna szelma o świdrujących czarnych oczach...

Każdy ma swoje strapienie. Już z samymi tylko babami. Diabli wiedzą, co w końcu gorsze, niewierność czy wieczne jazgotanie i niezrozumienie żony, diabli wiedzą.

Nagle, ku zdumieniu Sykały, parsknął śmiechem. Bo oto wyobraził sobie zdradzającą go Helę, tłąstą, z choroby zresztą, nie z czego innego, niezgrabną, daleką teraz od cienia choćby urody.

— Nic, nic, coś mi się przypomniało. Taka jedna historia, później ją może opowiem. Ale przedtem te wasze sprawy.

Na ganku Sykałów znów zamigotała czerwona w ciemne grochy, zgrabnie opinająca sylwetkę sukienka. Przyjemny głos zabrzmiał wołaniem:

— Józek, Józek! Chodźże tu zaraz...

— Masz tobie los — Sykała bezradnie rozłożył ręce, susami sadząc ku przejściu w płocie.

— Teodor, Teodor, masz gościa — nadbiegło od drugiej strony.

Przystanęli na jedną chwilę. Znów spotkały się ich spojrzenia. Tym razem zaśmiali się obaj.

Poznał go od razu. To ten młody inżynier, projektant kolonii domów, które obecnie wznosi ich przedsiębiorstwo. Użalał się, że mu zmieniono spadziste dachy na płaskie... Czego ten może chcieć?

— Teodor Budniak, prawda? — tamten nieśmiało wyciągnął rękę na przywitanie. — Jakoś mijaliśmy się na budowie. Dopiero ostatnio ojciec wiele mi opowiadał o tym mieście, o ludziach, o panu...

— Ojciec?

— Chyba niewyraźnie się przedstawiłem. Kędrzyk jestem, Stanisław Kędrzyk...

— Syn tego...

50

— Właśnie tego, już pan wie o kim mowa... Chciałbym panu zabrać trochę czasu, porozmawiać, naradzić się.

Gdy usadowił wreszcie gościa, prosząc Helę-o podanie herbaty, gdy kobieta rozesłała czystą serwetę na stole, przepraszając za nieporządek, dopiero mógł bliżej przyjrzeć się nieoczekiwanemu gościowi.

— Syn pana Kędrzyka. Proszę. Kto by pomyślał. Już inżynier, projektant, po studiach. Nie przypominam sobie pana, choć właściwie powinienem pamiętać. Był czas, że znałem większość ludzi w mieście. Potem dopiero tak się wszystko rozrosło, tylu napłynęło nowych.

— Jedenaście lat miałem, gdy przyjechaliśmy z matką do ojca. W listopadzie czterdziestego siódmego roku. A po dwóch latach wyemigrowaliśmy stąd z całą rodziną. Tę sprawę zresztą na pewno dobrze pan zna. Ojciec tak życzliwie wspomina pana, zwłaszcza z okresu ciężkich dla niego chwil.

Budniak rozłożył ręce.

— Tak niewiele mogłem wtedy zaradzić. Właściwie prawie że nic... Pamiętam, a jakże, pamiętam...

Wspomnienia napływały potężniejszą falą. Kędrzyk. Buchalter starostwa, zawsze w czarnych zarękwach, wzór administracyjnego porządku. Jeszcze dawniej starosta Ziel-niak mawiał, że właściwie temu opanowanemu, pracowitemu człowiekowi miasto zawdzięcza swój los, był jedynym, który organizował aparat władzy we właściwy sposób. Kędrzyk. Dziwny, zamknięty w sobie człowiek. Mało kto o nim co wiedział. Wszyscy traktowali go jako starego kawalera, samotnika z wyboru. Aż kiedyś jakby grom z jasnego nieba nowina: do Kędrzyka przyjechała żona wraz z synem. Wracali ze Związku Radzieckiego do kraju... Kędrzyk jakby się z miejsca odmienił. Okazało się, uparcie poszukiwał rodziny przez PUR, przez Czerwony Krzyż i jaką tylko drogą można było jeszcze robić starania. Bez skutku. Dopiero oni go odnaleźli, też nie najłatwiej... A po dalszych dwóch latach, trudny to już był czas, przykrości, nagonka, atak, jakże niesprawiedliwy. Wolał buchalter usunąć się, wyjechał do

51

Szczecina, zacichło o nim. Zjawił się z pożegnalną wizytą, mówił, jak ciężko mu opuszczać to miasto...

Napotkał utkwione w sobie spojrzenie młodego człowieka, uważne i wyczekujące. Cieniutki, ledwie dostrzegalny zarys uśmiechu na szczupłej twarzy. Jakby się młody Kędrzyk domyślał toku Budniakowych myśli. Teraz uśmiechnął się pełniej, mówiąc:

— Pamięta pan, cieszę się z tego. W ogóle cieszę się, że trafiłem do pana z pierwszą moją wizytą w tym mieście... Niełatwo mi się było dopytać, znałem z adresu jedynie ulicę. Dopiero sąsiadka pana, taka milutka panienska w czerwonej sukience, poinformowała mnie bardzo dokładnie. Chciała nawet sama tu odprowadzić...

— Aha, to pewnie Sykałowa — uśmiechnął się Budniak. Strzelała najpewniej tymi czarnymi oczyma, krygowała się, musiał się jej młody człowiek spodobać. Łasa ona na chłopów jak kot na śmietanę. Biedny Sykała, zazna jeszcze kłopotów.

— Przyjemnie mi słyszeć, że się pan cieszy. Choć co tu ja panu mogę dopomóc, jak to pan grzecznie przedtem powiedział.

— Ej, Teodor, wiesz jeszcze niejedno, jeżeli pan inżynier chce co wiedzieć o mieście, dużo mu będziesz mógł opowiedzieć — wtrąciła z nagłą Budniakowa, uśmiechając się całą szeroką swą twarzą.

— Proś do herbaty pana inżyniera, a ja pomyślę o kolacji. Bo bez niej pana nie wypuścimy — i znów promienny uśmiech.

Zamrugał oczyma na słowa swej połowicy. Dobrze, że gość zaczął się tymczasem wymawiać, miał więc możliwość ochłonąć. Co ta Hela znowu zamyśla? Starego mało znała, nie może więc to być sentyment do nazwiska. Chyba że chodzi o Stefkę. Pokręcił głową. To dopiero uparta baba. Nie tak, to inaczej zamierza postawić na swoim. Ej, pewnie za niskie to będą dla chłopca proggi, ale już lepiej niech się nim baba zajmuje,- niż tym cholernym łajdusem Masłowskim. A przy okazji dobrze, że się młodego ugości, głupio byłoby siedzieć o suchej gębie.

— Ja tu jeszcze na minutkę wyskoczę, mam taką sprawę, a panowie sobie gadajcie przez ten czas. Bo potem i my przyłączymy się do rozmowy, z pańskim ojcem stara to przecież znajomość... — łapała chustkę, już jej nie było. Teodor ledwie się pohamował, aby nie parsknąć śmiechem. To ci dopiero w gorącej wodzie kąpana.

— Państwo jesteście bardzo uprzejmi — Kędrzyk rozkładał ręce. — Jakbym słyszał słowa ojca. Mówił: jeśli chcesz się czego wywiedzieć, wal do pana Budniaka. Może też odnajdziesz jeszcze Pędzika, mógłbyś zetknąć się z Lisiewi-czem, z takim młodziakiem Feryckim, z kapitanem Wlazłą... Ale zacznij od Budniaka.

— Same stare dzieje... Kapitana dawno tu nie ma. W Warszawie, w najwyższych władzach, członek KC, mądry był człowiek, choć i on poznał niejedno na swojej skórze... Pędzik żyje, pracuje, choć dawno go nie widziałem. Jest i Lisiewicz, zborsuczał tylko zupełnie, jest Ferycki, już nie ten młodzik, o którym mówi starszy pan Kędrzyk. Dociąga pewnie do czterdziestki. Gdy wymieniał pan te nazwiska, to przede mną zupełnie jakby odrodził się tamten czas. Czasem wierzyć się nie chce, że mogło tu tak być, jak było. Niby to same miasto, a zarazem coś zupełnie nowego.

— Nie znam tamtych czasów, z matką zjawiliśmy się tu w późny listopadowy dzień, więcej niż dwa lata po przyjeździe ojca... Ale i to, co zapamiętałem, zupełnie się różni od obecnego obrazu. Chodziłem do szkoły, ojciec mi uszył ubranie z takiej popielatej jodełki...

— Przydziałowe. Wszyscy to wtedy nosili.

— Właśnie, z jodełki. Dla mnie było to coś pięknego. Pierwsze własne, nowe ubranie. Przedtem ciągle po kimś coś donaszałem, pan wie, jak to było... Budynek szkoły właśnie remontowano, nawet my, malcy, pomagaliśmy trochę. Byłem tam niedawno, szkoła taka sama, tylko rozbudowana, ale dookoła? Ani śladu dawnych gruzów, sporo nowych domów, drzewa, trawniki, kwiaty.

— Jest tu taki zwariowany miejski ogrodnik. Z Torunia przyjechał. Mówi, że będzie konkurował pod względem

upiększania miasta ze swoim rodzinnym grodem. Może nawet wywojuje. Naprawdę robi się u nas zielono.

— Wie pan, może to śmieszne, czy nawet głupie, zamiast się cieszyć, ja z sentymentem myślę o tych dołach, o gruzowiskach, gdzie ganialiśmy bawiąc się w Polaków i hitlerowców. Nikt nigdy nie chciał być hitlerowcem, musieliśmy losować... I widzi pan, żal mi się trochę zrobiło tamtych gruzów, zawalonych piwnic, różnych dziur, niebezpiecznych nieraz, często zdarzały się przypadki z pociskami.

— Jeszcze teraz trafiają się niewypały. Tędy szedł mocny front, pełno zostało tego paskudztwa. A tamto, o czym pan mówi... Prawda, i mnie jakoś głupio... — Budniak mówiąc to, czuł, że się

czerwieni — ale to co innego. Chyba nie tych gruzów szkoda, ile wspominków, pamięci własnego gdzieś w tych gruzowiskach zamkniętego kawałka życia. I to jakiego życia. Zdarzały się napady, największy na elektrownię, tu grupa Niemców długo jeszcze próbowała się utrzymać przy władzy, nie mogli pojąć, że ich czasy minęły, musieliśmy bronić się dosłownie pazurami, każdy trupem by padł, byle nie dopuścić drani do turbin, które jeszcze nie zaczęły pracować... Walczyliśmy o każdy dom, każdy kawałek oczyszczonej ulicy. Wie pan — głos gospodarza opadł do szeptu — narzekałem kiedyś, że mi ciągle pisana szufla tylko i szufla... A dziś tak dziwnie miękko się robi tu, koło serca, gdy pomyślę nawet i o tych szuflach węgla, sypanych przeze mnie pod palenisko kotłowni. Pierwszy prąd, pierwsze światło...

Jednocześnie z mocnym, nerwowym pukaniem rozwarły się szeroko drzwi i do wnętrza wtargnęła z impetem kobieca postać w czerwonej sukience, upstrzonej ciemnymi grochami. Nim zaskoczeni mężczyźni zorientowali się w sytuacji, zassypały ich słowa wyrzucone miękko, przyjemnym głosem:

— Tak wczesnie pan światło zapala? Dzień dobry, ja na chwileczkę, do gospodyni... O, przepraszam, mają państwo gościa. Nie wiedziałem, nie byłabym przeszkadzała...

— Żony nie ma, "wyszła — sucho oznajmił Budniak.

— To już sama nie wiem, co robić... Nie przywitałam się

54

jeszcze. Dzień dobry, sąsiedzie... Pana też właściwie na pół już znam, to pan się wypytywał o państwo Budniaków...

— Kędrzyk — młody człowiek wcale chętnie ucałował podaną rękę.

— Przysiądę na chwilę, jeżeli nie przeszkodzi w rozmowie... A kiedy pani Budniakowa powróci?

— Hm, hm — zachrzękał speszony gospodarz, nie wiedząc, co robić. Zdawał sobie sprawę, że to dalszy ciąg zaczętego uprzednio ataku. Helę musiała Sykałowa widzieć, nic przecie jej oku nie ujdzie. Wykorzystała, że zostali tylko we dwójkę. Bieda z tą babą. Pożałowania godny Sykała. Kędrzyk wygapia się na nią szerokimi oczami. Pewnie, młody. a ta się może podobać. Strzela oczyma, przymila się, piersi wypina. I co tu zrobić?

— Przy herbatce panowie gaworzą? Jakoś to nie po męsku...

— Hm, hm, może i pani Sykałowa...

— Jeżeli nie przeszkadzam, zaszczyt to dla mnie w takim towarzystwie — bez żenady puściła oko do inżyniera.

Budniak się spocił. Bo to i Sykała, i Hela, może być kupa kłopotów.

W momencie, gdy powstał, aby nalać kobiecie tej nieszczęsnej herbaty, z ulgą usłyszał za drzwiami głosy żony i Stefki. Czyżby matka popędziła do śródmieścia po córkę? Ma Hela rozmach, nie można powiedzieć.

Z uśmiechem już czekał na dalszą batalię. Budniakowa tylko na krótki moment straciła kontenans. Zaraz przystąpiła do ofensywy.

— A, pani Sykałowa. Mąż się rozpytuje o panią... Dobrze, że wróciłam, panowie tu mają ważne sprawy do obgadania, gdy pani pewnie do mnie, z babskimi interesami?

— Blachę chciałam pożyczyć. Moja zagubiła się gdzieś, a zamierzam jutro raniutko upiec coś na niedzielę...

— Raniutko? Kochanieńka, toż pani nigdy przed południem nie wstaje... Stefka, daj blachę pani Sykałowej, bardzo się śpieszy... To nasza córka, panie inżynierze, wcześniej skończyła dziś''pracę... Jest blacha? Tylko proszę, by nie

55

zardzewiała, wyprowadzę panią, przed progiem jest dziura, łatwo można się potknąć — wypychała sąsiadkę za drzwi.

— Do widzenia panom — Sykałowa z daleka już tylko mogła się pożegnać z mężczyznami.

— Uff — zwycięsko odetchnęła Budniakowa, z wzmożoną energią przystępując do wydawania zarządzeń. — Teodor, przeproś pana, trzeba ci parę męskich spraw do kolacji załatwić. Odkorkujesz butelkę, Stefka, zabaw gościa, potem zastąpisz ojca...

Nie mógł się już powstrzymać. Parsknął urywanym zduszonym śmiechem, porozumiewawczo mrużąc oko do Kędrzyka. Inżynier nie pojął intencji, wyraźnie zażenowany rwetesem, jaki powstał z jego przyczyny, tłumaczył się Stefce:

— Narobiłem kłopotu, gdy ja tylko po prostu...

— Bardzo nam miło, panie inżynierze. Często słyszymy w domu nazwisko pańskiego ojca. Razem z moim oni byli tu pionierami, podobno w strasznych warunkach. Sama nic nie pamiętam, w pieluszkach tkwiłam. Brat, Tomek, o parę lat starszy, może by coś pamiętał, pracuje teraz w szczecińskiej stoczni.

— A my właśnie mówiliśmy z pani ojcem o tamtym dawnym obrazie miasta. Ja co prawda zjawiłem się tu później, mocniej zaawansowany w latach, zaczynałem oglądać się za pannami...

— To wcześniej, jeżeli liczy pan sobie teraz dwadzieścia sześć wiosen, a to miało miejsce w dwa czy trzy lata po wojnie.

— Skądże pani to wie? — zdumiał się.

— Mama wspominała po drodze.

Budniak mało nie upuścił flaszki z wódką. Kiedyż ta Hela zdążyła? A i Stefka, też się umie zabierać za sprawę, jakieś inne, odważne są dzisiejsze dziewczęta. W ogóle same cuda, Hela wódkę funduje, całe pół litra, nigdy tego nie było... Galopem damy ruszają. Najgorzej, że z Kędrzykiem ani się da pogadać, zatrajkoczą na amen.

Gość także musiał to wyczuć, ledwie bowiem gospodarz, zwolniony od prac przygotowawczych do improwizowanego

56

przyjęcia przysiadł znowu za stołem, Kędrzyk zwierzył się bez dłuższych wstępów.

— Powinienem wreszcie powiedzieć, co mnie tutaj sprowadza... Wie pan, mój projekt, pierwszy samodzielny, w realizacji... Od paru lat wprawdzie już pracuję w projektowaniu, trochę w Koszalinie i Kołobrzegu, razem z tą głośną grupą zapaleńców, ostatnio w Szczecinie, ale dopiero wygrana w waszym konkursie dała mi szansę... Z tym się łączy rzecz druga. W województwie zaproponowano mi objęcie wakującej posady architekta tego miasta... Waham się. Bo to i sentyment, ojciec tyle serca kiedyś tu włożył, mniejsza o późniejsze przykrości, ja sam latałem tu w krótkich porciętach, wreszcie ten projekt, no i praca, gdzie wydaje mi się, byłyby szanse dla realizacji szerszych ambicji, bardzo ruchliwe jest nasze miasto...

— Już mówi pan „nasze” — uśmiechnął się Budniak.

— Proszę, nawet się nie spostrzegłem... Waham się jednak. Jeżeli mam być szczery, trochę się nawet boję. Samodzielna, trudna placówka. Nowi ludzie, nowe środowisko. Czy poradzę, czy potrafię się zakotwiczyć? Ojciec nie zamierza wpływać na moją decyzję. Jedź, mówi, rozejrzyj się, pogadaj z ludźmi... Jakby pan widział to wszystko, panie Budniak? Co by pan mi doradził?

— Nie znam się na architekturze, panie inżynierze, ale wydaje mi się...

— Proszę bez tego tytułu... Żenuje mnie to w pana ustach.

— Nie mnie radzić. Choć myślę, że jak kto młody, nie powinien się wahać. Byle mieć tylko swoje zdanie. Samemu iść naprzód. Nie oglądać się na gadania innych... Ja kiedyś zbyt ulegałem ludziom i ich namowom, dobrze na tym nie wyszedłem. To zresztą inna sprawa — zajrzał młodemu w oczy. — Niech pan tu u nas zostaje. Przejmie pan dziedzictwo po ojcu. On dźwigał z gruzów, z niczego, pan będzie rozbudowywał dalej.

— Ładnie pan to powiedział — Kędrzyk mocno uchwycił jego rękę obiema dłońmi.

— Tata zupełnie jak jaki poeta — uśmiechnęła się Stefka.

— Co ty tam gadasz — obruszył się.

57

— Pewnie, niech pan zostaje, inżynierze. Prosimy, kolacja gotowa. Skromnie, kto się mógł spodziewać takiego gościa — wdzięczyła się Budniakowa. — Teodor, nalewaj, co się tak na mnie patrzysz?

Ze strachem pomyślała, żeby nie zadziwował się głośno, widziała bowiem zaskoczone spojrzenia rzucone to na nią, to na stół udekorowany nie widywanymi na nim rarytasami. Szynka, rybki w pomidorach, ser żółty, wódka.

— Już, już, Hela. Proszę, panie inżynierze.

— Za naszego miłego gościa — Budniakowa pospieszyła z toastem. — Ty, Stefka, tylko jeden kieliszek — podszeptała córce.

Dziewczyna uśmiechnęła się do młodego człowieka. Uśmiech ten pomnażał się w życzliwości tęgiej gospodyni, w szczególnie rzewnym spojrzeniu gospodarza. Poczł się dobrze pośród tych ludzi.

— Żeby sprawdziły się pańskie słowa — brzękło szkło kieliszków.

Zetknęły się w błysku porozumienia wejrzenia matki i córki. Ze wzmożoną ochotą zajęły się częstowaniem gościa.

Budniak spoglądał na ich starania melancholijnie, rad ze spokoju, z tego jakże rzadkiego w ich domu dobrego nastroju, bez utyskiwań Heli, z obecności młodego Kędrzyka, z nutki wspomnień tamtego najciekawszego okresu pierwszych miesięcy. Bo o późniejszym czasie wolał nie myśleć. Za wiele musiał wtedy zbierać gorzkich doświadczeń.

— Niech pan z nami zostaje — powtórzył...

2.

Szarpnęło znów ostrym bólem. Skrzywił się. Machinalnie usiłował rozcierać udo, wiedząc, że i tak wcale to nie pomoże.

Pracownica rachuby spojrzała na starego człowieka z wyraźnym niepokojem. Od lat, jak ją pamiętał, zawsze by:..»

taka płochliwa. Uśmiechnął się, choć łatwo to mu nie przyszło:

— Jeśli istniał na jutro plan jakiejś wycieczki, proszę ją odłożyć. Będzie lato jak z cebra. Czuję to... Po osiemdziesiątce człowiek starcza sam sobie za barometr i za termometr. Tak. tak. Są jeszcze jakieś sprawy?

— Nie, dziękuję, pewne rozbieżności w kalkulacji wyposażenia dla warszawskiego teatru ustalę z kierownikiem, gdy tylko wróci. Dziękuję, panie prezesie.

— Proszę. Tylko mi tam czego nie sknoćcie.

Co za ból! Jakby ktoś od środka darł mięśnie i łamał kości na drobne strzępy. Dobrze, że pracownica już się wyniosła, nie trzeba udawać, krzywić gęby w uśmiechu. Bo i cała ta buda psa warta, ziąb w niej i wilgoć. Już to Kromppe zawsze był sknera, oszczędzał nawet na sobie samym.

Wyjrzał przez okno. Wrześniowe niebo wisiało czyste, intensywne w błękicie. Nic nie zapowiadało zmiany pogody. A przecież był pewny, mógłby się o wszystko założyć, że jeszcze w nocy zachmurzy się i spadnie solidny deszcz.

Dwoma długimi skrzydłami wybiegały na dawny ogród baraki produkcyjne stolarni. Pierwszy jeszcze drewniany, następny budowali już z cegły, z solidnymi fundamentami pod maszyny. W murowańcu na samym końcu mieści się kłitka Jana, kierownika technicznego spółdzielni. Dopiero przed dwoma laty ustąpił mu tej funkcji, zadowolając się bardziej mglistym, choć dostojnym stanowiskiem prezesa.

W sam dzień urodzin, stuknęła równa osiemdziesiątka, odszedł z bezpośredniej produkcji. Niech mu pokażą kogoś innego, kto do takich lat kierowałby podobnym zakładem. Stu trzydziestu ludzi. Spółdzielnia Stolarstwa Artystycznego „Rękodzieło”, jak głosił szyld nad wejściem. Upaństwowili jego stolarnię w pięćdziesiątym pierwszym, a przecież Wiktora Środy nie wysadzili z siodła. Nadal sprawował tu pełne rządy, wykorzystując na domiar wszystkie szanse, jakie przynosił statut spółdzielczy. Nie żadna masówka. ale zamówienia na wytwórstwo nietypowe, szcze-

gólnej wartości. Urządzenia wewnątrz teatrów, eksponowanych sklepów, boazerie i posadzki do odnawianych zabytkowych budowli, wyposażenia dla lokali szczególnie reprezentacyjnych. Roczny obrót trzydzieści parę milionów. Liczą się z nimi nie tylko w tym mieście, ale i w Szczecinie, i w samej Warszawie. Nieodzowni, nieomal niezastąpieni. Wszystko to dzięki niemu, Wiktorowi Środzie. Uznają to, doceniają, przyznali Złoty Krzyż Zasługi. Słuchy szły, iż odznaczenie miało być jeszcze wyższe, ale ktoś tam podstawił nogę, wystąpił z wątpliwościami co do rzeczywistej polskości prezesa spółdzielni. Że też im się jeszcze chce babrać w takich sprawach.

Zostało to po Józefie. Dawne czasy, mija już siedemnaście lat, ale niektórzy ciągle zachowują w pamięci obraz łuny nad miastem w samą rocznicę PKWN-u. W drugą rocznicę. Jakże to dawno już było, jak dawno... Ujawniły się gdzieś w Olsztyńskim ciemne sprawki Józefa, okupacyjna przeszłość. Życie ludzkie miał na sumieniu. Taki bratanek, psiakrew! arschloch. Skończyło się wyrokiem śmierci. Sam sobie grób wykopał. Dobrze, iż nie ujawniła się cała prawda o miejscowych poczynaniach Józefa. Christine sporo o nich wiedziała, wygadała się w złości, jak to Józef pomagał łobuzom z Wehrwolfu, mąkę przydzielał, świadczył inne usługi. Kryła się za tym rączka Gizeldy. Jej także już nie ma. Odeszła paskudną śmiercią z sądowego wyroku. O tym też tutaj nie wiedzą. Całe szczęście. Wycierpiał w związku z Józefem, wieleż było tych przesłuchań i zeznań. Wiele strachu, aby nie wygadać się z czymś, o czym tamci nie mieli pojęcia, ale wyczuwali coś, węszyli zaskakiwali podchwytliwymi pytaniami.

Odwrocił spojrzenie od okna, niby uśmiech, niby grymas spłynął na jego pełną jeszcze twarz, nieomalże pozbawioną zmarszczek. Nie dali rady, on, Wiktor, pozostał górą.

Znów to szarpanie, piekielne rwanie w kolanach, w łokciach, ostry ból w barku. Urwały się wspominki. Starości się jednak nie wyrwał, dognała go. Częściej już teraz nadrabia miną, choć wszystko goni go do spoczynku, do drzemki pod ciepłym piecem. Ale wtedy na pewno byłby już

60

kołuee. Bez roboty nie pociągnąłby długo. Zna siebie... Byłoby w końcu niezgorzej, gdyby nie ta wilgoć, której ze starej budowli nie wypędzi się żadnym sposobem. Szlag by trafił pamięć Krompego... On zaś, Wiktor, też mądry, stawiał nowe baraki, rozbudowywał halę, a nie pomyślał, aby zadbać o wygodniejszy kąt na pomieszczenia biurowe. Gnieźdzą się w zawilgoconych klitkach, ciągnie od spodu, od góry i od ścian stawianych z wapiennej cegły... No tak, ale gdzież mu było myśleć o biurze? Urzędowania przy papierkach nigdy nie znosił, ważna była dla niego jedynie produkcja. Nie umiał dopuścić do siebie myśli, że kiedyś trzeba będzie tkwić nad gryzmołami, bo na nic innego nie starczy sił...

Nie lubił podobnych rozmyślań, a dziś ciągle do nich nawraca. Zły dzień. Zawsze tak, gdy zaczyna drzeć w ciełe. Z nim i tak jeszcze dobrze. Matylda, sporo młodsza, czwarty rok leży w łóżku

sparaliżowana, właściwie jakby pół-człowiek. Gada tylko za wszystkie czasy: jak kiedyś była milcząca, tak mamroce teraz bez opamiętania. Tyle, że nikt jej nie słucha.

Że też nie może oderwać się od wspomnień. Trzeba lepiej zajrzeć do warsztatów, tym bardziej że Jana nie ma, tkwi w Łodzi, gdzie mają urządzać wnętrze nowego domu towarowego. Na pół roku roboty, grube miliony. Jan jest obrotny, umie się zakrzętnąć, udał mu się ten wnuk. Jedyny chyba z rodziny.

Przez halę mechanicznej obróbki i przez klejarnię przeszedł szybko, starając się możliwie najbardziej prostować swą postać. Od stołów i maszyn spoglądali za nim mniej czy bardziej życzliwie, ale zawsze z podziwem. Z górą osiemdziesiątka i jeszcze nikt mu nie nasypie za uszy... Po wejściu pomiędzy warsztaty stolarskie przystanął, z lubością wdychając zapach drewna. Najbardziej lubił tę pracę, gdzie istniał bezpośredni kontakt z drewnem, nie poprzez maszynę. Tu gromadzili się najlepsi fachowcy, spece, czujący materiał dotykiem. Na ślepo by rozpoznali, co dąb, co sosna, jawor, jesion. Wszyscy z tytułem mistrzowskim, czterech brygadierów. Jeden spośród nich,

61

Feinmann. był Niemcem. Początkowo trzeba było czynić starania, by nie został objęty akcją przesiedleńczą, a jego samego nastawiać, później nikt już nie nalegał, a i Fein-mannowi przestało się śpieszyć, dobiegał sześćdziesiątki, gdzie, mówił, będę zaczynał na stare lata. Po polsku się nauczył, spokojny, życzliwy, lubiany był na ogół przez kolegów. Tamci trzej, to już nowi, przybysze. Najlepszy Misiaga, zgłosił się jeszcze w czterdziestym szóstym, majster nad majstry, ale i niebezpieczny, rogaty, zawsze coś kryjący w zanadru.

Nikt na Środę nie zwracał tutaj uwagi. Inaczej niż w pozostałych działach. Tu każdy pewien był swego, obecność czy nieobecność prezesa nie odgrywała roli. Felczyk spokojnie pił kawę, zaparzał ją kilka razy na dzień, pora, nie pora. Gdy w poprzednim okresie wspomniał mu coś o dyscyplinie pracy, powiedział, że może się nią podetrzeć.

Feinmann uśmiechnął się do przechodzącego Środy, odłożył strug. Przywitali się.

— Jak tam ze zdrowiem?

— Rwie, deszcz jutro będzie.

Feinmann pokiwał głową. Zawsze był zgodny. Jak będzie, to będzie. Ciekawiło go zresztą coś zupełnie innego.

— Słyszałem, wnuczka w odwiedziny przyjeżdża? Jan mówił... Może bym zaszedł kiedy, pogadać, wywiedzieć się, jak tam żyją. Czasami chciałoby się do swoich...

— Jo, jo, rozumiem.

— To czemu was cholera tam nie wyniosła, co? — od swojego stołu rzucił nagle Misiaga.

Feinmann schylił głowę, zaraz wziął strug do ręki, przeciągając nim po wygładzonej już uprzednio płaszczyźnie. Wiktor czuł, jak mu krew bije do twarzy, przytyk wymierzony był nie tylko w Feinmanna, Misiaga widział i pamiętał niejedno. Nie zależało jednak prezesowi na starciu. Udając, że przegląda montowane właśnie regały dla wzorcowej apteki, przesunął się dalej. Diabli nadali tego Misiagę. Zły dzień.

Tamten jednak również musiał mieć swój zły dzień.

G2

Stal, spoglądając za wolno sunącą wśród sterty regałów charakterystyczną sylwetką Środy z mocno opuszczonym jednym ramieniem. Spotkały się w pewnym momencie ich wejrzenia, żaden nie wyrzekł słowa. Najpewniej ro-zeszłoby się wszystko jak zawsze po kościach. Misiaga swą walkę przegrał przed dwoma laty, gdy szykował się do przejścia berła kierownika technicznego. Wiktorowi udało się przeforsować Jana, młodszy był, obrotniejszy, ukończył technikum, miał za sobą jeszcze ten kurs ekonomiczny, lepiej nadawał się do prowadzenia przedsiębiorstwa. Ale w Misiadze pozostał żal, wyzwalała się gorycz, wiedział, że marzeń swoich nie zrealizuje już teraz na pewno. Gdyby, jak niegdyś, stykali się częściej z Wiktozem, doszłoby na tym tle do ostrej rozgrywki. Funkcja prezesa, trochę biurokratyczna, trochę honorowa, oddalała Środę od bezpośredniego pobliza warsztatów. I gdyby nie ten łuszczący się fornir...

Wprawnym okiem od razu dostrzegł fuszerkę, na dodatek w gotowym już elemencie odstawionym do polerki. Poszłaby fucha w świat, psując reputację zakładu... Nogi Wiktora zadreptały żwawiej, wyciągnięty palec tknął zbra-kowaną robotę.

— Czyje to?

Nie powiedział tego zbyt głośno, musiało jednak coś wisieć w powietrzu, coś zwracającego uwagę, bo kilka twarzy od razu zwróciło się w tę stronę, zmniejszył się normalny hałas. Nikt nie odezwał się słowem. Tylko twarz Misiagi zszarzała, gdy kierował wzrok za wyciągniętym palcem prezesa.

— Czyje to? — powtórzył Wiktor.

— A moje. Bo co? — Misiaga przybrał ton zaczepny, biorąc błąd na siebie, choć wszyscy wiedzieli, że w ogóle nie pracował przy regałach, mozoląc się od tygodni nad inkrustowanym mahoniem i czarnym dębowym kontuarem kasowym dla tej samej apteki.

— Bo partactwo! I tyle! Wstyd, Misiaga.

— Zdarza się. Jeszcze nie zdane. Poprawi się.

— Szło na polerkę, nie tak?

63

— Szłoby dopiero po moim przeglądzie — mówiąc to Misiaga podszedł blisko, zupełnie blisko Wiktora, przysunął swą bladą twarz do jego policzka tryskającego krwią, za-szeptał: — Odpieprz się, ty szwabie. Odpieprz się, bo tak cię na ostatek zdzielię, że ci bokiem wyjdzie ten polski chleb. Bratanek, córuchna jedna i druga, lewizna z papierami. Stary Kromppe był uczciwy, zwiął, ale nam doniósł w swoim czasie o wszystkim. Mam ten list. No co?

Zbliźali się już inni, przejęci tą sceną, groźną, nie docierającą wszakże do ich uszu. Czuli, że lada chwila stanie się coś nieodwołalnego.

Wiktor stał rozdygotany, wstrząśnięty bez reszty. Niby nie miał tajemnic, badany był tyle już razy, przesłuchiwany, wszystko było wiadome, ustalone raz na zawsze. A jednak... a jednak Misiaga wiedział więcej, znał to, co Wiktor ukrywał przez tyle lat.

Wezbrały w nim pasja i złość. Osłabiły się przytomność i rozwaga. Przed nim olbrzymiała, rosła, pęczniała szara, wykrzywiona nienawiścią lisia twarz Misiagi. Trzasnąć, zsiec tę gębę, zalać szarzynę krwią, upokorzyć łobuza. Bez żadnej już samokontroli dłoń starego podniosła się zataczając łuk ku twarzy brygadzysty. Ktoś stęknął z tyłu, ktoś inny krzyknął. Misiaga był jednak szybszy. W ostatnim momencie złapał w mocny uścisk dłoń prezesa spółdzielni. Złapał, zmiażdżył tak twardym uchwytem, że mogło się здаwać, iż trzasną za chwilę kruche już kości. Zaraz potem wypuścił wychudzoną rękę, wymuszenie obojętnym tonem pytając:

— Pan prezes pewnie jest chory, źle się dziś czuje? Taki wiek, nic dziwnego.

Już i Wiktor ochłonął. Nie patrząc na nikogo powiedział :

— Zaraz mi naprawić tę okleinę. Od nas fuszerka nie może wychodzić.

Już nie prostował się, przeciwnie, przygięty bardziej niż zwykle, zawrócił, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do swego gabinetu, znaleźć się sam, tylko sam.

64

— Panie prezesie — zatrzymała go maszynistka. — Przyszła tu taka staruszka, ledwie się trzyma na nogach, z panem chce mówić, wpuściłam ją, czeka w gabinecie u pana... Niemka, ale ją zrozumiałam, znam trochę niemiecki ze szkoły.

Omiał nie zacharczał mocnym przekleństwem. Co za zły dzień. Potrzebna mu jeszcze wizyta jakiejś Niemki.

Nie odpowiadając dziewczynie, otworzył drzwi swego skromnego gabinetu prezesa. Na foteliku tkwiła stara Blinc-kowa. Nie widział jej już od paru lat, nawet nie był pewien, czy żyje. Diabli przynieśli to stare próchno.

— Morgen... Was wollen Sie? — zaczął obcesowo, wiedział, że stara i tak słowa nie potrafi wypowiedzieć po polsku. Zaraz zastękał siadając. Przez ciało biegły coraz ostrzejsze rwania. Na dworze zaczęło się chmurzyć.

Wieczór był cichy i ciepły, nasycony już jesienną wilgocią. Za nasypem, gdzie płaszczyzna pól przechodziła w podmokłe łąki, snuły się opary mgły. Na bocznych torach przetaczała się tam i z powrotem lokomotywa, dudniły spychane z górki rozrządowej wagony, gwizdy kolejarzy przeszywały powietrze, niosąc się na miasto. Niedaleko rampa towarowa jaśniała światłami.

Tutaj, pod nawisem wspartych o żelazne kolumny dachów osłaniających perony, panował półmrok i tylko w blaskach rzucanych od okien stacyjnych wyraźniej wyłaniały się z mroku sylwetki podróżnych. O tej porze ruch małał, nasilenie pociągów zmniejszyło się, ekspedientka w peronowym kiosku ziewała potężnie, tęgim biustem zwisając nad stertą nieapetycznych kanapek.

Bał się, że nie zdąży w czas załatwić wszystkiego w Łodzi, nadspodziewanie zabawił tam o trzy dni dłużej, niżeli zamierzał. Pragnął zaś sam przywitać Gertę, któż by go zresztą mógł w tym zastąpić?

Wrócił szczęśliwie w porę lecz zastał w domu skwaszony nastrój, w zakładzie zaś rozprężenie, którego prezes nie umiał już opanować. Ledwie się z tym uporał, nadszedł wieczór. W domu wszyst-

5 Przejaśnia się niebo t. II

I

65

ko było przygotowane na przyjęcie Gerty. Mieli z tej Janaskowej prawdziwą wyrękę, nawet gderliwy Wiktor nie mógł się do niczego przyczepić: prowadziła gospodarstwo bez najmniejszego zarzutu... Babka jak zawsze marudziła w łóżku, czuwającej przy niej pielęgniarce po raz setny rozpowiadając te same historie. Dziadek tkwił przy napalonym piecu ponury, osowiały, to znów rozłuszczony, zależnie najwidoczniej od biegu swych myśli. Gdy wnuk pojawił się na jego horyzoncie, od nowa zaczynał rozwodzić przed nim żale nad Misiagą...

— Ty byś go zwolnił z roboty, łobuza.

— Drugiego takiego nie znajdę.

— Też prawda... Johann, powiedz, czego on chce? Tyle lat, tamto już dawno minęło. Zawsze przeszłość chodzi za nami. Zawsze. A wtedy ja od nowa nie wiem, co myśleć o sobie.

— Dałby dziadek już spokój. Poniosło Misiagę i tyle. Pogadam z nim.

— Tyś Schirmer, a z tobą gada. Ciebie nie wyzywa od szwabów. Czemu?

— Bom nie szwab. Czy dziadek już nie znajduje innego tematu?

— Widzisz, Johann...

— Janek.

— Zostaw, nie takie to ważne... Teraz przyjeżdża Gertruda. Zacznie się kołowrót wspomnień, jakbyś film puścił w odwrotnym kierunku. Te same sprawy.

— Jeszcze jej nie ma.

— Uciekasz od tematu, ale i tak dogodni cię jeszcze to wszystko. Przeszłość wraca.

Miał już tego gładzenia powyżej uszu. Z dziadkiem jest wyraźnie niedobrze. Zaczyna się powtarzać, dziecinnieje.

Staął tuż przed nim. Widział wzniesioną ku sobie twarz, dziwnie w tej chwili steraną i starczą, choć niby gładką nad podziw w tym wieku, niemalże pozbawioną zmarszczek. W żywych oczach starego człowieka płonął niepokój.

— Dziadek mówi, że przeszłość wraca. Może tak jest, nie wiem. Ja się swojej przeszłości nie boję ani nie wsty-

66

dzę. Miałem prawo wyboru i z prawa tego skorzystałem. Tak samo postąpiła Gerta. Żadne z nas nie może potępić drugiego. I nikt nam nie może niczego wypomnieć. Dziadek boi się swego nazwiska, czy brzmi ono z niemiecka czy z polska. Ja jestem Schirmer. Jan Schirmer. Gdy wyszła ustawa o zmianie nazwisk, gdy proponowano mi spolszczenie nazwiska, uparłem się, nie zgodziłem. Rad jestem z tego. Nie z nazwiska mnie będą osądzać.

— Nie wszystko wiesz, nie wszystko rozumiesz... W tym kraju inaczej układają się takie nawet sprawy, jak brzmienie nazwiska.

— Układały. Ten kraj mocno się zmienił od dziadkowych czasów. I ludzie.

— Tak mówisz? A Misiaga?

— Misiaga to mniej czy więcej rówieśnik dziadkowy. Choć ja i z nim potrafię się porozumieć.

— Do czasu. Bo może i przeciw tobie coś chowa w zanadrzu, żeby w odpowiedniej chwili uderzyć...

— Na mnie już pora — zdecydował się nagle. — Mam parę spraw w mieście do załatwienia, a potem już tylko patrzeć Gerty.

Stary nie odpowiedział, skulił się tylko pod piecem. Przyjazd wnuczki zdawał się go rozklejać bez reszty. Może się bał tego przyjazdu, echa, jakie sobą wywołała z przeszłości?

Teraz, przechadzając się po peronie, przypominał sobie rozmowę z dziadkiem i swoją od niej ucieczkę. Bliskie spotkanie z siostrą i w nim budziło szczególne nastroje. Dziadek wyraźnie obawiał się nawrotu do dawnych lat. Z nim było inaczej. Nie istniała potrzeba jakiejś konfrontacji, to już miał dawno za sobą, w pięćdziesiątym siódmym roku na tej samej stacji żegnał matkę i Gertę, indywidualnie wyjeżdżające do Niemiec.

Stanu pewnego podniecenia nie usiłował sobie tłumaczyć wzruszeniem wyrastającym z braterskiego uczucia. Z Gertą nigdy się nie lubili i nie różnica trzech lat wieku stanowiła granicę przedziału. Od małego już, z każdym kolejnym miesiącem oddzielającym od wojny, inaczej spoglą-

s-

67

dali na te same sprawy, odmiennie kształtował się ich stosunek do obserwowanych zjawisk, na tym tle zradzały się niechęci, przechodząc niekiedy w otwarte konflikty. Nie przerodziły się one w nienawiść, zastygły w zwyczajnej obojętności, której jaśniejszych barw przydawała zachowana jednak cieniutka nitka rodzinnych powiązań.

W jego podnieceniu dominowała chyba ciekawość. Nie tyle nawet ciekawość siostry, jej wyglądu, stosunku do różnych spraw, ale ciekawość siebie samego. Przez cały miesiąc Gerta zostawać ma u nich. Tak przynajmniej pisała matka. Trzydzieści dni, w których, jak sądzi dziadek, tak lub inaczej powracać będzie w przeszłość. Od obrazu ciotki Gizeldy, z zaciśniętymi ustami nasłuchującej przy oknie, kiedy ze zrujnowanego miasta zaczęły dochodzić podejrzane wybuchy, ciotki pracującej w radzieckiej komendanturze po to, aby poprzez codzienne obcowanie ze zwycięzcami bardziej jeszcze pogłębić swą do nich nienawiść, od osobliwej sylwetki stryja Józefa, mówiącego do matki per Krysia

Srodówna, zapobiegliwego i obrotnego, cynicznego i bezczelnego ponad jakąkolwiek miarę. Od postaci dziadka, montującego z zapałem i przejęciem otrzymaną od polskich władz ponemiecką stolarnię, najuparciej szukającego w sobie najmniejszych choćby powiązań z polskością, aby moralnie usprawiedliwić swą narodowościową weltę. Aż po odmienne drogi dojrzewania Gertrudy i jego, Johanna. Gdy on się przemieniał w Janka, ona przejmowała w sobie całą typowość niemieckiej Gretchen. I gdzieś pośrodku Christine, bezradna matka, nie próbująca buntu poza momentami desperackich odruchów, nawet na ostateczną decyzję wyjazdu zdobywająca się pod wyraźną presją córki. Ta cała przeszłość wróci. Będzie mógł przymierzać do niej siebie samego z dzisiejszych dni, z tej jesieni odległej już o sześć lat od momentu rodzinnej rozłąki. Jaki będzie wymiar tej konfrontacji, jak też będzie ona przebiegać?

Roześmiał się półgłoso przystając, aż mijający go podróżni przyglądali się ze zdziwieniem. Przypomnił sobie

1

68

szczenięce utarczki z Gertą, dochodziło wszakże kilkakroć do bójek. Czy i teraz będą zderzać się z sobą, czy powróci ton późniejszego ich stosunku, wyrażający się pogardliwym wzruszeniem ramion. Może wyłoni się coś zupełnie nowego, dojrzalszego, wpływ lat przebytych z dala od siebie, po dokonanych przez każde z nich rozstrzygającym wyborze?

Dał spokój rozmyślaniom. Nie lubował się w rozszczepianiu włosa na czworo, nade wszystko ceniąc realność. Niemiecka cecha, powiedziałyby Gerta, ale jaką odpowiedź znalazłyby na fakt, że coraz więcej ludzi ich pokolenia uznaje w Polsce tę cechę za własną.

Z cichym szcękaniem opadła wskazówka dworcowego zegara. Do przyjazdu pociągu zostało jeszcze z górą pół godziny. W restauracji dworcowej — montowali przecie w stolarni wyposażenie do jej wnętrza, mógłby coś zjeść czy wypić, odstraszał go wszakże dym, tłok przy stolikach, znane aż do przesytu z licznych rozjazdów. W hallu przeczytał wszystkie afisze, przestudiował rozkłady jazdy, dokładnie obejrzał szkice projektu nowego dworca, którego realizację wciąż odkładano do następnego planu gospodarczego. Tymczasem, odkąd nie opodal stacji wyrosły okalające plac ładne domy, dworzec jeszcze zmalał, zmi-zerniał, nic, że świeżo otynkowany i przebudowany przez Jezierskiego gospodarczym sposobem.

Jak przywołany, zawiadowca pojawił się na peronie.

- Dzień dobry. O wilku mowa... Właśnie pomyślało mi się o panu.
- Źle, Jasiu, czy dobrze?
- Zastanawiałem się, co w końcu z tym nowym dworcem.
- Podobno w kolejnej pięciolatce. Żeby tylko doczekać. Spodziewasz się kogoś? Kobieta?
- Jakby pan zgadł. Kobieta. Gertruda przyjeżdża z Niemiec. Siostrzyczka.

— W odwiedzinach? Jakże się ze sobą zgadacie. Dwa światy. Pamiętam wyjazd twojej matki i Gerty. Harda była dziewczucha. No cóż, wybrała... Ja też czekam na ten pociąg, tym razem prywatnie. Żona choruje, potrzebne

69

jest zagraniczne lekarstwo. My, kolejarze, mamy już swoje sposoby. Maszynista tego pociągu ma właśnie przywieźć ten lek, załatwił to przy granicy z niemieckimi kumplami.

— Dodatkowa wymiana towarowa — uśmiechnął się Schirmer.

— Ciszej, głupstwo niby, a mógłby się ktoś przyczepić. Nigdy nic takiego nie robię, ale skoro choroba...

Dopiero teraz się spostrzegł, iż Jezierski wygląda na udęconego, wychudł i przybladł. Można by mu solidnie przysporzyć lat, nie wiedząc, że zawiadowcy kroi się najwyżej na pięćdziesiątkę. To przez żoneczkę, że też można nieodmiennie być aż tak zakochanym? Bajki na ich temat krążą po mieście.

— Tymczasem, bywaj, chłopcze. Muszę zajrzeć do dyżurki na chwilę. Jak tam w warsztatach? Leci?

Po jego odejściu Jan spojrzął na zegar. Jeszcze piętnaście minut. Zgodnie z poprzednimi projektami, pozostawało zakasać rękawy do bokserkiego meczu z zaciętą siostrunią.

Ostatnie chwile oczekiwania mijały drażniąco powoli. Na peronach zrobiło się rojniej. Ludzie tłoczyli się, płakało rozespiane dziecko, milicjant z posterunku dworcowego poprawiał pod brodą służbowy pasek. Zjawił się w czerwonej czapie zastępca Jezierskiego.

Wraz z dobiegającym gwizdem lokomotywy odczuł jak mu w gardle wysycha, a w sercu wzbiera coś osobliwym wzruszeniem. O Gertę tu chodziło czy o niego samego?

Olbrzymiejają dwa jasne punkciki. Milicjant odsuwa ludzi od brzegu wysokiego peronu. Rwetes wokoło, zamieszanie. Pośpieszny staje tylko na niepełną minutę. Czy Jana błędzą po podróży wysypujących się z drzwi wagonów. Czy rozpozna Gertę?

Widzi ją. Wysoka, zeszczupiała. Boże, jak bardzo podobna do ciotki Gizeldy. Wieleż miał lat wtedy, osiem czy może dziewięć, a jednak pamięć zarejestrowała obraz ciotki bardzo dokładnie.

— Gerta! — woła.

— Johann, ich bin da!

70

Czemu zżyma się na niemieckie słowa, trudno było oczekiwać czegoś .innego. Cóż z tego, że Gerta świetnie zna język polski.

Uściski, pocałunek. Opada napięcie wzruszenia, w zamian zjawia się jakaś obojętność. Ona ją wywołała swym zachowaniem?

Ubrana jest starannie, podróżny kostium, płaszcz przerzucony przez ramię, dwie duże walizy. Dźwiga je z pewnym wysiłkiem. Gerta odbiera mu jedną. Idą obok siebie w milczeniu.

Jest wolna taksówka. Gruchot, rozklekotana „warszawa”. Gerta przybliży twarz do szyby, wygląda na zewnątrz.

— Żadnych ruin już nie ma. Za to są nowe ulice, nowe domy — mówi pośpiesznie, nagle straszliwie przejęty tym, co się tu dokonało, dumny ze swego miasta, nawet z siebie, ze swojego skromnego wkładu.

— Das ist selbstverständlich. Siedemnaście lat po wojnie.

— Przed sześciu laty pokpiwałeś, że nigdy nie wróci to miasto do dawnego chociażby stanu. Mieszkańców jest już o dziesięć tysięcy więcej niż było przed wojną — mówi to po niemiecku, nie chce, by kierowca orientował się w ich rozmowie. I zaraz słyszy, jak tamten klnie do siebie półgłosem:

— To szwaby. Diabli nadali.

Gerta łapczywie chłonie obraz miasta. Nie mówi nic, tkwi nieporuszona. Tylko oczy jej zdają się zachłannie wszystko zagarniać.

— Rodzinne nasze miasto — mówi Jan w nadziei, iż dotknie tym nutki budzącej w siostrze sentyment.

— Twoje chyba, bo moje nie. To dla mnie zupełnie obce już miasto. Bardzo obce.

Akcentuje ostatnie słowa. On zaś myśli, że rozłąka niczego w nich nie zmieniła. Sobie także są obcy.

W kolorowych lśnieniach jednego z nielicznych jeszcze neonów dostrzega na ręce siostry obrączkę. Mężatka. Nic nie wiedzieli. Dziwne, że matka słowa o tym nie napisała.

Skręcają w boczną uliczkę. Zaraz ich dom. Warsztaty.

71

Podczas gdy on reguluje należność i wyciąga z wozu walizki, Gertruda stoi nieruchoma, wpatrzona z wyczuwalnym napięciem w mury domu swojego dzieciństwa i młodości. Stoi tak jeszcze, gdy kierowca zawraca, odjeżdża, nie czuje dotyku dłoni brata, wskazującego wejście.

Aż wreszcie oddycha głęboko, jak przebudzona z twardego snu. On zaś po raz pierwszy odczuwa w tym momencie przyptyw cieplejszego uczucia do siostry. Odezwało się w niej jednak coś serdecznie ludzkiego. Bliżsi sobie idą teraz ku drzwiom domu Wiktora Środy.

Tkwiła bez ruchu nad rozłożonymi na stole fotografiami. Mocne szkła w staroświeckiej oprawie osobliwie nie pasowały do zniszczonej, posiekanej zmarszczkami twarzy. Mętna ciecz w pięknej rzuniętej szklance wystygła, nie nadpita nawet.

Długie palce wolniutko, bardzo wolno sięgały ku poszczególnym zdjęciom, przesuując je z miejsca na miejsce. Wtedy też ledwie dostrzegalnie drgały zapadnięte wargi.

Jak co dnia przez długie, długie te lata. Blinckowa pograżała się w przeszłość. Śledziła ją na zdjęciach wybranych z namysłem z kilku albumów, poniewierających się na bocznym stoliku, porośniętych kurzem, już niepotrzebnych. Istotnie, ważne były tylko te fotografie, które rozkładały się szerokim kręgiem na stole.

Tu był Karl w szkole, trudny do rozpoznania w gromadce kolegów, zwłaszcza że i zdjęcie spłowiłe, podbite tekturą, zamazywało przedstawione na nim postaci. A tutaj w żołnierskim mundurze, krótko przed pierwszą wojną, gdy cesarz powołał go do służby „w imię ojczyzny”. A potem ich ślubne zdjęcie. Karl w gronie kolegów. Tu ze swą matką. Z kolegami z huty. Oni, Blinckowie, na kiermaszowym zdjęciu, w tle płótno z wyobrażeniem piramid i palm. Czy koło piramid rosną naprawdę palmy? Skąd mogła wiedzieć, nie była tam przecie nigdy. Niemniej zdjęcie prezentowało się okazale. Znow oni, w swoim ogródku.

72

Tam Karl z Peterem Heigemannem. Peter pewnie dawno nie żyje. Pisywał, urwało się to nagle przed pięciu laty, krótko wcześniej donosił, że źle się czuje. Żonę pogrzebał. Z listami Petera odeszła jakby cała tamta część życia, cokolwiek ją jeszcze łączyło ze światem, tym dalszym, sięgającym poza granice miasta.

A to ostatnie zdjęcie Karla. Już po wojnie, krótko potem, jak Polacy tutaj przybyli. Sąsiadka koniecznie chciała mieć portret swojej maleńkiej Annemariie. U kogoś zachował się jeszcze aparat, klisze. Przy okazji pstryknięto Karla...

Ostatnie? Naprawdę ostatnie zdjęcie jest inne. Pokazywano je jej, oglądała. Ale nikt go jej nie dał, sama by zresztą nie chciała. To wtedy, jak ci hycle powiesili Karla. Polska milicja zrobiła tę fotografię. Potem dopiero odcięto Karla, złożono na kanapce. Straszne zdjęcie...

Dopiero w tej chwili po raz pierwszy oderwała się od kartek rozłożonych na stole, przewiodła wzrokiem po niewielkim pokoju. To było tutaj. Włamali się przez okno od strony ogrodu. Noc była ciemna, wył wiatr. Czy zawsze, jak się dzieją złe rzeczy, musi być wiatr, czerń, deszcz tłukący kroplami o szyby? Północny, ciemny pokoik. Ci nowi gospodarze chcieli jej dać inny, jaśniejszy, bardziej słoneczny. Uparła się, ten, tylko ten. Na swój koszt zrobili dodatkowe wejście, żeby miała swobodniej. Spokojni, dobrzy ludzie. Nie mieszają się do jej spraw, wspomogą niekiedy. I to dobre, że zrozumieli, zostawili ją właśnie w tym pokoiku.

Bo przecież tutaj wszystko łączy się z Karlem. Wszystko. Niczego nie zmieniła przez minione lata, od tamtej ostatniej nocy. Nic tu nie przybyło, ale i nie ubyło niczego. Szklanka z nie wypitą ziołową herbatą, to robota Karla. Mistrz wytopów, specjalista od rżnięcia szkła, znawca tajemnic kryształu. Jakże to Peter mawiał? Że Karl ma złote ręce, wyczucie, kryształ w jego dłoniach pulsuje i żyje. Peter także był specjalistą. Dlatego musiał zostać w Polsce jeszcze przez parę lat, on i kilku innych ze starych majstrów. Mówili, że bez nich Polacy nigdy nie opanują

73

techniki tworzenia kryształu. Nie mieli racji. Po paru latach Polacy umieli już to wszystko. Wywiadywali się, a gdy nie chciano im zdradzić tajemnicy, zaczęli stosować nowe, własne metody. Heigemann nie mógł wyjść z podziwu. A przecież to były początki. Huta pracowała w prymitywnych

warunkach, wyrabiano w niej i butelki, i szkło okienne. Potem dopiero zaczął się powolny nawrót do szlachetnej produkcji. Początkowo pod dawną, niemiecką firmą, o znanej na cały świat marce. Dziś huta nazywa się „Izabella”, nie wiadomo czemu właśnie taką nazwę dla niej wybrali. Nawet ładnie. Teraz „Izabella” jest sławna w świecie ze swoich wyrobów. Nie ma w hucie ani jednego Niemca. Prawie wszyscy wyjechali, paru najstarszych zmarło. Polska huta. Wszystko dokoła polskie. Karl przepowiadał, że tak będzie. Złościł się z powodu naiwności tych głupców, którzy chcieli jeszcze wojować, odwracać to, czego się nie da odwrócić. Za to zginął. Inni musieli odejść. Zmarł gdzieś Peter, nie wie o nikim więcej. W hucie też nikt nie pamięta Karla Blincke. W pierwszych dwóch latach po jego śmierci zapraszano ją do huty na jakieś uroczystości, potem i to ustało. Wszystko dawne poszło w niepamięć. Tak chyba musi być.

Tamtego wieczora, przy późnym posiłku — jakże mogła mu jeszcze wymawiać, że nie przyniósł żadnej okraszy — na kredensie leżał ten list w niebieskiej kopercie. Kredens jeszcze bardziej przyciemniał przez lata, koperta jest schowana w szufladzie. Gotyckie pismo. Groźba, nie ostrzeżenie już, ale wyrok. Karl był zły, ze złości, nie ze strachu latały mu ręce. Ona tylko się bała. Chciała sama iść, prosić Polaków o opiekę. Nie zdążyła. A potem, potem, tak jak tego chciał Karl, nie pokazał listu Polakom. Karl wstydził się przed obcymi za tych, którzy ten list pisali, którzy później wykonali swą groźbę. List został, jest teraz wraz z nią, towarzyszy jej jako coś najściślej związanego z Karlem.

Tak jak to miasto. W nim się urodził, w nim wyrósł, w nim zdobywał tytuł mistrzowski, tego miasta pragnął potem bronić przed głupimi Niemcami. Nie dla Polaków,

74

ale dla samych Niemców, dla ich spokoju. Nie udało się. A miasto żyje. Rośnie. Jest większe, ludniejsze niż kiedykolwiek. Karla miasto.

Mówi oto sobie, że miasto, a właściwie nie zna tego nowego miasta, wie o nim bardzo niewiele. Słyszy tylko o nowych domach, niektóre z nich spotyka na swej drodze. Drodze z domu na cmentarz i z powrotem. Tych parę sklepików, które wyrastają na szlaku, zaspokajają jej potrzeby. Ale i ta droga wystarcza. Kwiaty, więcej kwiatów, niż było kiedykolwiek przed wojną. I drzew więcej, zieleni. Karl lubił zieleń, potrzebna była dla jego płuc, zżeranych w hucie. Mieli ten maleńki ogródek. Rzadko do niego teraz zachodzi, choć gospodarze pozwalają. Po co? Tam bawią się małe ich dzieci, krzyczą i hałasują, źle by się czuła wśród nich. Jest ten pokój, jest to miasto, a na jego krańcu cmentarz z grobem Karla. Dla tego wszystkiego tutaj została, specjalnie prosiła o to, by pozwolono jej zostać. Czy są jeszcze ludzie, którzy wydali to zezwolenie. Ten Kreishauptmann, ma jego podpis na piśmie, Zielniak, zginął w wypadku. Byli jeszcze inni, ale ich nie spotyka już, gdy raz na pół roku idzie do tej opieki społecznej, czy jak się to zwie, nic tam już o niej nie wiedzą, niczego nie pamiętają. Chcieli ją przenieść do domu starców. Nie tutaj, w starym pałacu, sześć kilometrów pod miastem, nad wielkim jeziorem. Była tam kiedyś z Karlem na majówce w jakąś niedzielę. Ładnie. Mówili w tym biurze, że będzie jej tam lepiej, znajdzie dobrą opiekę. Gdy tłumaczyła, że dziękuje, ale musi pozostać tutaj, bo ten pokój, bo cmentarz, wzruszali ramionami. Nie rozumieli. Dobrze, że przysyłają jej co miesiąc tę zapomogę, początkowo miała co jeszcze sprzedawać, teraz żyje z tych złotych, które otrzymuje. Podobno to mało, bardzo mało, ale jej starcza. Wiele nie potrzebuje. I gdyby nie to złe z grobem Karla...

Dźwigała się z trudem. Nie umiała myśleć o tej sprawie spokojnie. Przed tygodniem udała się o pomoc do starego-Mittwocha. Prawie że ją siłą wyrzucił... Żle może, że poszła, różnie kiedyś o tym Mittwochu gadano, zwłaszcza

75

jak się tak raptem przemienił w Środę, w Polaka, zagarnął stolarnię po Kromppem, ale do kogóż innego miała się zwrócić? Mittwoch jeszcze przed wojną znał się wszakże z Karlem, do stolarni Kromppego zamawiano w hucie specjalne szkło, rzeźbione, szlachetne. Zdarzało się, Karl wykonywał te zlecenia... A i potem, jak Karl był w tym Komitecie, spotykał się z Mittwochem... Z innych znajomych nie było już nikogo. Podobno zostało w mieście trochę Niemców, ale nie wiedziała nic o nich. Przeważnie przy tym byli to młodszy. Nie znalazłaby z nimi wspólnego języka. Jeszcze w tak dziwnej sprawie. Myślała, Mittwoch sam stary, łatwiej zrozumie. Nie rozumiał, a może tylko nie chciał zrozumieć.

Bo z grobem było niedobrze. Wtedy, po śmierci Karla, znalazła jeszcze dość środków, aby położyć piękną płytę, omurować grób ładnie, ogrodzić żelazną barierką. Jakoś się to trzymało przez lata. Malowała barierkę, sadiła kwiaty, tuja wyrosła przy grobie wysoka, ładnie kwitł każdej wiosny krzew rododendronu, różowy, o delikatnych liniach płatków. Ale od niedawna płyta zaczęła się krzywić, zapadać, pękało omurowanie, trzaśła wreszcie przez pół i sama płyta. Nic już nie mogła zaradzić, próżno pod-pychała kamienie, kawałki cegły, tafała jak mogła. Nawet kwiaty jakby rosnać nie chciały w tym zaniedbaniu, więdy i wysychały. Poszła do dozorca cmentarza i grabarza zarazem, nieprzyjemny, ponury, zawsze krzywo na nią patrzył, potem i on musiał się przyzwyczaić do jej codziennych wizyt. Powiedział, że trzeba nową płytę i nowe omurowanie. Może to zrobić. Nie będzie wiele kosztować. Gdy wymienił sumę, zadrżała. Gdyby zaczęła głodować, gdyby nie paliła zupełnie w swym pokoiku, z tej zapomogi i przez rok, i przez dwa lata nie potrafi pieniędzy tylu odłożyć...

Żeby żył Peter Heigemann, napisałaby do niego, niechby jakoś zaradził, przyjaźnili się z Karlem. Albo żeby został na miejscu kto inny ze starych pracowników huty. Nie ma ich, huta nazywa się teraz „Izabella”, jakby nowa huta, zupełnie inna. Nie ma w niej nikogo ze starych pracow-

76

ników. Nikogo. I wtedy przypomniała sobie Mittwocha. Karl dobrze o nim mówił, krzywił się, ale to wszystko jedno. Byle zechciał dopomóc.

Poszła nowym dla niej szlakiem do stolarni, wielkiej teraz, ani podobnej do dawnej stolarni Kromppego. Ledwie się dopytała, na szczęście ta dziewczyna znała niemiecki. Mittwoch był prezesem. Początkowo zresztą w ogóle nie wiadano, o kogo pyta. Nie ma tu żadnego Mittwocha. Dopiero sobie przypomniała, że on teraz jest Środa. A, Środa to jest. Pan prezes.

Długo czekała. Przyszedł. Stary jak i ona, roztrzęsiony jakiś i zły. Poznał ją, jakże mógł nie poznać, w końcu nie raz się z sobą zetknęli. Więc czego chce, bo on jest bardzo zajęty.

Powiedziała. Prosiła. Że dla Karla. Znali się przecież z jej mężem. Grób tak nieładnie wygląda, trzeba koniecznie zmienić i płytę, i omurowanie. Że na pewno on, Herr Mittwoch, dopomoże...

— Kein Mittwoch! Kein Mittwoch! Mittwoch ist ge-storben. Es lebt nur Środa, Wiktor Środa. Haben Sie das verstanden? — zahuczał wtedy, zakrzyczał, aż się zaślinił.

Przepraszała, bardzo przepraszała. Niech się pan Mitt... pan Środa nie gniewa. Niech jej pomoże z uwagi na pamięć Karla. Wszyscy Niemcy powinni sobie pomagać...

— Ja jestem Polak. Polak!

— No tak, oczywiście, pan Środa jest Polakiem. Ona to wie. Jeszcze Karl jej to mówił. Więc dlatego, że dawna znajomość, że starzy mieszkańcy miasta, że... brakło jej słów.

Patrzył na nią. Długo patrzył. Dopiero powiedział, że nie, że nie da, że nie pomoże.

Twardo powiedział to nie. Nie wytłumaczył dlaczego, ale był strasznie zdenerwowany. Trząśł się .cały.

Przestała prosić. Jakże ciężko było jej dźwignąć się wtedy z fotela, takiego bardzo miękkiego fotela, na którym siedziała. Podniosła się wreszcie, bez słowa zawróciła ku drzwiom. Dopiero gdy otworzyła te drzwi, szeroko, na rozcież, powiedziała głośno, bardzo głośno, musiała jej słowa słyszeć młoda, przyjemna urzędniczka:

77

— Auj Wiedersehen, Herr Mittwoch, Auf Wiedersehen, Herr Mittwoch.

Zerwał się ze swego miejsca, zakrzyczał, tak, zakrzyczał tylko to jedno:

— Środa, Środa, nie żaden Mittwoch!

To było tydzień temu. Teraz jest połowa września. Za półtora miesiąca dzień zmarłych. Karl nie będzie miał na ten dzień ani płyty, ani omurowania. Zapadły, stary, zarastający grób. Nawet kwiaty nie chcą tam rosnąć, więdną i wysychają. Przegniła i załamała się ławeczka, na której zawsze wysiadywała. Rozpada się dawny czas, nic po nim nie zostaje.

I po Karlu się tak wszystko rozsypie, zapadnie, przeminie. I po niej też, gdy odejdzie. Ale dopiero wtedy. Dopóki zaś żyje, żyje dla pamięci Karla, dla strzeżenia tego pokoju, w którym został zamordowany, dla pielęgnowania grobu. Przez ten czas nie może dopuścić do nieporządku, zanikania i sypania się, do odchodzenia w niepamięć. Ona musi dbać, musi pilnować. Dlatego poszła do starego Mittwocha. Odprawił, wyrzucił ją. To tak samo, jak by Karla wyrzucił.

Co teraz pocznie, co pocznie? Co będzie z tym grobem?

Trzęśła siwą głową wspierając się o stół, ten sam stół, za którym przed siedemnastu laty zasiadł Karl do ostatniego posiłku. Czuła się straszliwie bezradna.

3.

— Panno Jasiu, nie przyjmuję dziś żadnych interesantów. Wie pani, ta narada...

Skinęła głową, wycofując się z gabinetu. W drzwiach przystanęła jeszcze, zatrzymana głosem Przybyły.

— Telefony to samo, chyba w sprawach szczególnie ważnych. Czy akta, o które proszę, przygotowane?

— Leżą na biurku, panie dyrektorze.

Skwitowała uśmiechem jego uśmiech. Przymknęła za sobą

78

drzwi obite od zewnątrz białą dermą, wypucowaną do połysku, jak każdy ze szczegółów w gabinecie. Dyrektor przykładł do tych spraw wielką wagę.

Odczytywał bieżącą korespondencję. Bez pośpiechu, uważnie. Pilnował tej zasady, aby żadne pismo przychodzące do zakładów energetycznych nie było mu obce. Miał ustalony już sposób sygnowania akt. Niektóre opatrywał tylko zamasztytem V, inne oznaczał swymi literami. Najważniejsze doczekiwały się na skos pisanej dyspozycji. Przeważnie oznaczała ona skierowanie sprawy do zbadania, załatwienia albo przygotowania przez kogoś z odpowiedzialnych pracowników. Najczęściej powstawało się tu nazwisko: kol. inż. Krajewski. Zbadać, rozpatrzeć, załatwić, przedstawić, zaopiniować. Przybyła sam się niekiedy dziwić, jak wielki jest zasób słów pozostających do dyrektorskiej dyspozycji, słów niczego bezpośredniego nie załatwiających.

Do gabinetu wsunęła się panna Jasia. Miała dar wyczuwania chwili, kiedy szef upora się z tą najpierwszą robotą. Wtedy też podawała kawę. Kolejną stawiała na biurku około południa.

— Czy wszystko gotowe? Co inżynier Krajewski?

— Pije kawę. Trzecią. Od samego rana bardzo jest podniecony. Telefonuje. Przygotowane wszystko, panie dyrektorze. Na jedenastą.

— Tak. Na jedenastą... Za kwadrans, może lepiej za dwadzieścia minut poprosi pani do mnie inżyniera Krajewskiego.

Popijając kawę drobnymi łykami, kiedyś nie lubił tego napoju, dopiero w ostatnich latach przyswoił sobie to nowe przyzwyczajenie, przeglądał notatki przedkonferencyjne.

Marszczył czoło. Bał się tej całej historii. Z jednej strony imponował mu rozmach, sam wyrastał w imprezie na jedną z pierwszoplanowych postaci, osłaniał wszystko swoim autorytetem. Komitet powiatowy i władze administracyjne, ale zarazem nie ulegało wątpliwości, że gdyby co, mógłby tu rozejść się nie byle jaki swąd. A wtedy skrupiłoby się

79

niemało na Przybyłe. Czemu się godził, czemu dawał zgodę na karkołomną historię?

To pięknie brzmi, w czynie społecznym. Samym czynem wszystkiego się nie robi. Potrzebny jest materiał, ten na domiar spośród reglamentowanych. Konieczni fachowcy, których należy opłacić. Z dobrej woli mogą przyrzucić parę swych dniówek, ale harówka zapowiada się dla nich na tygodnie, a i na miesiące. W planie ani części zamierzeń nie da się zmieścić, przekraczają wszelkie limity. Zupełnie zwariowana historia.

Krajewski zrobił kalkulację. Ostatecznie on też ryzykuje jako naczelny inżynier techniczny zakładów. Tyle że Krajewski to szczeniak, gdzieś mu dopiero stuknie trzydziestka. Przy tym inżynier. Nie tu, to gdzie indziej, zawsze się jakoś uczepli. Jemu tymczasem siedmiu lat braknie do emerytury. Kawał czasu. Na takiej historii można się pośliznąć, zaraz skorzystają z okazji, by osadzić nowego dyrektora, koniecznie z tytułem, z dyplomem, moda taka teraz zapanowała. A wtedy co?

Poprawił się w fotelu. Wygodny. Meble do gabinetu robili w zakładach u Środy. Heca z tego wyniknęła: kurs na oszczędność, kontrola zakwestionowała więc wysokość wydatków na urządzenie dyrektorskiego apartamentu. Że meble, dywany, story, drobne wyposażenie zbyt drogie, wykwintne, że rozrzutność, szeroki gest. Ledwie jakoś ich udobruchał... Wygodny fotelik. Szkoda byłoby go przedwcześnie opuścić.

Bębnił palcami po blacie. Oponować też za długo nie można, wahać się z decyzją. Sekretarz ostatnio rozzłościł się, plótl coś o asekurantach. Młodzik, życie jeszcze nie zdążyło dać mu dobrze po głowie... Inna rzecz, jak tu na miejscu, w zakładach, wszyscy zapalili się do projektu. Młodzi i starzy. W elektrowni, w służbie sieciowej, w inwestycjach i wykonawstwie. Wygląda na to, że Krajewski ich pozarażał. A może pociągnął ludzi sam eksperyment? Rozmach, w końcu szansa dla miasta i dla całego powiatu, więcej, bo dla regionu. Eksperymentują Nowy Sącz, Kłodzko, Jelenia Góra, z czymś tam czai się Słupsk, mogą zatem

80

i oni, albo to gorsi? Szanse startu w niejednym zresztą są tutaj większe. Może więc to przyciąga ludzi? Jego samego też zaczyna sprawa emocjonować. Powiedział sekretarz, że asekurantyzm. Otrzymał odpowiedź: tylko rozważa. Że to już nie pierwsze miesiące czy lata, kiedy improwizacja starczała za wszystko.

— Szkoda, że wy nadal nie jesteście tacy, jak pamiętamy was z tamtych lat.

To Ferycki tak mu wyrębał. Wiceprzewodniczący prezydium rady powiatowej. Specjalista od spraw ekonomiki i zwłaszcza rolnictwa. Inna sprawa, że się wtrąca do wszystkiego. Wskoczył chłopak. Może i ma prawo tak gadać. Szczeniak wtedy był, osiemnaście lat, z chałupy uciekł od swoich na zachód, chcąc tu coś zrobić, może zasmakować przygody. Od razu zaczął iść w górę. Nie żałował siebie. Co zresztą nie upoważnia go dziś do podobnych przytyków. Kiedyś, zdarzało się, zachodził na pogawędkę, na jakieś wspominki. Urwało się to od paru lat. Szkoda, byłaby okazja przemówienia szczeniakowi do rozsądku. Ostatecznie przy nich, przy starszych wyrastał. Oni mu stworzyli tę szansę...

Coś mu się nie widziało w takim stwierdzeniu, zachrząkał ni stąd, ni zowąd, przerzucając szybko myśli w innym kierunku. Kawa w tym czasie zdążyła już przestygnąć, traciła wtedy zupełnie smak. Prawie z odrazą wychylił zawartość filiżanki.

Pobieżnie przekartkował plik papierzysek. Znał wszystkie niemal na pamięć. Nie ma co wczytywać się w nie od nowa. Sprawa jest jasna. Rzecz w tym, aby nie dać się wystawić rufą do wiatru. Zabezpieczyć się protokołami czy umowami, móc się zawsze powołać na komitet, na prezydium, w zakładach na radę zakładową i POP. Dopiero wtedy i on może zakasać rękawy, byłby w tym nawet jego własny interes. Zaczynał w tym mieście razem z małą ich garstką z niczego. Jak więc uchylać się teraz?

Znów niespokojne spojrzenie ku stercie papierzyk. Nie ma tam po co zaglądać. Krajewski zresztą zjawi się lada chwila.

- Przejaśnia się niebo t. II

81

Ba, Krajewski. Niby taki prosty i bezpośredni, a właściwie po dwóch latach współpracy ciągle wie o nim bardzo niewiele. Co myśli ten człowiek, ku czemu zmierza? Ambitny, nosi się z szerokimi planami, on to w końcu przeforsował plan przebudowy zakładów, ciągle myśli o innowacjach, lansuje klub wynalazczości, umie znaleźć wspólny język z załogą, może się nazbyt nawet poufali z niejednym. Wesoły, byle co, zaraz wybucha tym swoim mocnym, trochę zwariowanym śmiechem. Dobry fachowiec, wie co w trawie piszczy. Pokazał przy budowie linii wysokiego napięcia, na co go stać. Tamta zgraja, przecież największe łobuzy, dałaby się za niego posiekać.

Odsunął się wraz z fotelem od biurka, rozłuszczony na siebie. Kroi mu się ten Krajewski prawie na bohatera! Jakby mu wypisywał chlubne świadectwo odejścia. Na pewno by nie pożałował wtedy wszystkich tych pięknych określeń. Sęk w tym, że Krajewski ani zamierza odchodzić. Odwrotnie, uplasowuje się mocno na miejscu. Skąd by inaczej pomysł z budownictwem przyzakładowym? Pierwsza historia tego rodzaju w ich mieście... Ba, gdyby odchodził. Ale zostaje i może być niebezpieczny. Bo poza tymi cennymi cechami są inne. Mniej radujące. Choćby stosunek do niego, Przybyły. Przez te dwa lata uległ dalekiej zmianie.

Jedno się nie zmieniło w Krajewskim. Ta zwariowana wesołość, aż huczało wokół. Przedtem go to zresztą nie drażniło. Później. Gdy młodzik zaczął stawać się coraz pewniejszy siebie, buńczuczny, gdy coraz częściej jął wyskakiwać z własnym zdaniem. Nieważne w końcu, że przeważnie miał rację. Ale można by inaczej i delikatniej. Tak jak to miało miejsce w pierwszych miesiącach, może w całym pierwszym roku współpracy.

Grzeczny, uprzejmy. Niegdyś to się jeszcze czerwienił jak dzieciak, takie mu buraczane plamy wyskakiwały na chudą gębę, jakby babską farbą do ust się wymalował. Kłaniał się, potakiwał. Wyglądało, że będzie pokorny, chlebek jadł z ręki. Tak, panie dyrektorze. Rozumiem, panie dyrektorze... Kiedyś go po ojcowsku zbeształ za to ciągłe dyrektorowanie. Powiedział, że mogą bardziej bez-

82

pośrednio odnosić się do siebie, ostatecznie Krajewski jest inżynierem, ma wykształcenie... I tak to pięknie wtedy się odniósł, mówiąc, że dopiero tutaj, bezpośrednio w pracy, dostrzega, iż sam tytuł to bardzo mało. „Pan dyrektor w dawnych warunkach nie miał możliwości ukończenia studiów politechnicznych. Ale dyplom technika ciężko zapracowany. Chylę głowę przed pana fachowością, zapałem, odwagą działania...” Nawiązywał tutaj do nie znanego mu pierwszego powojennego okresu, kiedy to z niczego uruchamiali elektrownię, puszczali w ruch pierwszą turbinę, w jednej ręce trzymając narzędzia, w drugiej karabin. Musiał mu ktoś cudów naopowiadać. Dziś jakoś nie wspomina już tego bohaterskiego, jak to nazywał, okresu działalności Przybyły. Nie chce mu się. Krzywi się, ma za złe. Ciągłe wyskakuje z jakimiś planami. Ryzykowne one, choć może niektóre dobrze pomyślane. Zapomina, iż nie na nim spoczywa główna odpowiedzialność, dlatego łatwo mu się gada.

Urwał się tok Przybyłowych myśli. Za drzwiami wybuch wesołości, jakby kamienie toczył kto po blaszanej rynnie. Krajewski. Ta głupia Jasia wtóruje mu dychawicznym popiskiwaniami. Jakby sądziła, że wyjdzie co z tego. Krajewski przystojniak, inżynier, dobrze zarabia, lepsze od niej będą na niego leciały. Głupia sikucha... Jeszcze rżą. No, już puka. I od razu wpada jak bomba.

— Zbaranieje pan zaraz, jak usłyszysz nowiny, panie Przybyła. Cholernie jestem rad, a i pan będzie mógł pozbyć się lęków przed nadmiernym zaangażowaniem zakładów w naszą imprezę... Chciałem wcześniej już wpaść do pana, ale zwała się kupa ludzi.

— Dzień dobry. Proszę siadać. Co za nowiny? Pewnie wymyślił pan jeszcze jakąś historię? Tylko niech pan nie wyskoczy z nią od razu na konferencję, naradzimy się przedtem.

— Wczoraj, mimo iż trochę padało, całe popołudnie spędziłem na wsi. Wie pan, za Letnim Jeziorem, w stronę tej wioski, na skarpie rzeczki. Jakiś kilometr od miejsca.

6*

83

gdzieśmy przeciągali wysokie napięcie. Pięknie teraz nad wodą i w lesie.

— Inżynierze, zaraz nadejdą goście, a pan tutaj w literaturę się bawi — powiedział to jednak z sympatią. Jakkolwiek by się złościł na Krajewskiego pod jego nieobecność, zarazem był świadom, że ten młokos zawsze potrafi go rozbroić swą szczeniacką bezpośredniością.

Teraz na słowa Przybyły wybuchnął śmiechem, aż zadygotała filiżanka na biurku.

— Toś pan dopiero trafił! W humanistyce ze mnie ciemna masa. Niby chcę coś wiedzieć czy chociaż zrozumieć, ale zawsze potem strzelam jak kulą w płot. W szkole miałem z polskiego tróję, mam przy tym obawy, że naciąganą... Ale do rzeczy. Od tej skarpy ciągnie się pasemko niewielkich pagórków. Niemcy próbowali tam budować jakieś swoje zapory. Nie zdążyli już ich ukończyć.

— Była tam z nimi ciężka przeprawa. Opowiadali sporo żołnierze z radzieckiej jednostki, a i Wlazło mógł wiele powiedzieć, jak mu zebrało się na wspominki...

— Wlazło?

— Nie ma go tu. Pracuje w KC w Warszawie. Figura... Był u nas sekretarzem partii w najtrudniejszym okresie.

— Aha. Więc w każdym razie tam, gdzie te umocnienia. Przed paru dniami ktoś z naszej paczki od napięć napomknął mi, że jeszcze kiedyś natknęli się tam na kabel. Badali, powinien być sporej długości. Dobrze zachowany. Kombinowali, żeby go odkopać i sprzedać na lewo. Łakoma rzecz, gruby grosz. Teraz coś ich tknęło, bo nie tylko w swoim imieniu przyszedł ten Antoś.

— Po imieniu pan z nimi?

— Swoja wiara, dyrektorze. Pan by też powinien żyć trochę bliżej z załogą. Gadają, że kiedyś był pan trochę inny, później dopiero tak zdyrektorzał...

Znów śmiech. Tym razem Przybyła nie zaraził się wesołością rozmówcy. Spojrzenie jego zezem pobiegło ku pociągłej, przy śmiechu jeszcze bardziej wydłużającej się twarzy. Zeza tego dostrzegł Krajewski, ryknął tylko donośniej,

84

przechylił się, poklepał Przybyłę po dłoni nerwowo zaciskającej się na blacie biurka.

— Jak mamę kocham, niechże pan tylko się nie obrazi. Ja z serca, nie inaczej... Pojechałem tam razem z Antosiem. Potem wypiliśmy na tę intencję dwie flachy. W tym to im nie dorównam. I wie pan, pokopaliśmy, pomierzyliśmy, obmacaliśmy teren. Mamy spokój. Będzie tego kabla może z parę tysięcy metrów.

— Co?

— A mówiłem, że rąbnie to pana? Ostrożnie, gotów mi dyrektor spaść z krzesła. Przed konferencją jakby to wyglądało. No więc tak. Ostrożnie mówię, bo diabli wiedzą, wiele tego naprawdę powtykały Niemiachy do ziemi. Płytko. Musieli się śpieszyć... Osiemset metrów kabla mamy u tego cwaniaka na kolonii za szosą. Tyle lat trzymał szpule w stodole i nikt się o tym nie dowiedział.

— Aż pan dopiero wywąchał — było w tym i uznanie, i jakby cień zjadliwości.

— Podejście, kochany panie.. Kontakt z załogą i ludźmi. Synek starego wygadał mi się w sekrecie... Mogliśmy milicyjnie odebrać, mamy prawo, mienie państwowe. Tyle, że klątwy poleciałyby za nami na głowy. Po dobremu też można. Stary odda kabel, ale chce, byśmy podłączyli mu światło za darmo.

— Pięćset metrów!

— Nawet siedemset. Ale opłaci się. Już ja to biorę na siebie.

— Ale ja nie chcę o tym nic wiedzieć.

— W porządku. Ręka, dyrektorze. Nie będzie pan wiedział — zaśmiał się Krajewski. — Największy szkopuł z kablem mamy zatem za sobą. Zdobyczny kabel, jak to Rosjanie mówili, trofiejny. No, niechże pan powie, ułatwia to panu działanie?

— Pyta pan jak dzieciak. To spędza nam z głowy trzy czwarte kłopotów. Włączymy się efektownie.

— I bez wielkiego ryzyka — Krajewski powiedział to poważnie, ale oczy migotały mu chochlikami wesołości.

— Ja odpowiadam za zakłady, nie pan, kolego.

85

— Strzeż mnie dobry Bóg. Czuję się dobrze na swoim miejscu i za nic by mnie stamtąd nie wykurzył. Ale chce panu dopomóc. Bo, co tu gadać, skaczą czasem panu do oczu, ale lubię pana,

panie Przybyła. Serio. Naprawdę lubię. Pan mi tu wiele dopomógł, ułatwił, dopiero u pana wszedłem w robotę, bo cóż bez niej sama teoria?

— Ale mi pan...

— Wiem, wiem, często dokucza, przeszkadza, utrudnia... Ryzykiem, rozmachem, bo ja wiem, czym jeszcze.. No, skoro się już na ten temat zgadaliśmy, a nastrój dobry do szczerzej rozmowy, bo te kabelki... Powiedziałem, iż pana lubię, bardziej może, niż się to panu wydaje. Dlatego też chyba zdradza się czasem we mnie żal do pana. Wiele słyszałem o panu. Ludzie pamiętają to i owo, opowiadają, zwłaszcza ci z najstarszych pracowników. Był z pana cholerny, jak się to u nas na politechnice mówiło, kozak, chojrak, czy jak tam. Nie istniały dla pana rzeczy niemożliwe. Chciałbym pana takim odnaleźć i dziś. Przyznam się, trudno mi idzie... Ten wycackany gabinet, pan zawsze taki uroczysty, odświętny, samochodzikiem z domu i do domu, nie w tym rzecz, że panu to przynależy, dostojność, prawie formalityka w urzędowaniu, ostrożność...

— Panie inżynierze! Czy nie za wiele? Nie upoważniałem pana do wygłaszanie ocen mojej osoby... Nie wiem, czy to w końcu panu wypada. A jeśli już wracać do tamtych spraw. Inny był czas. Tylko ryzykując tnogliśmy coś zrobić, wprowadzić tu Polskę... Może i byłem inny. Ale później nadeszły trudności. Nauczono mnie wtedy zasady, aby się nie wychylać. Momentami zwyczajnie się bałem... Wtedy wszyscy się bali... Niezależnie, z wiekiem wzrastało poczucie odpowiedzialności, a to też ma nie mały wpływ na decyzje.

Krajewski powstał. Był zmieszany.

— Zostaję szczerzy. Argumenty pana, słuszne, to jedna strona medalu... Ale przede wszystkim przepraszam, rzeczywiście nie jestem upoważniony, by pana krytykować. Niech mi pan uwierzy jednak, panie Przybyła, czynię to wyłącznie w rozmowie z panem w cztery oczy. Nigdy

86

przed innymi. Proszę mi darować... Po prostu zapragnąłem, żeby w panu więcej zostało z tego legendarnego Przybyła. Może to jeszcze szczeniacka romantyka...

Pukanie. W drzwiach Jasia.

— Panie dyrektorze. Są już pierwsi goście na konferencję. Z komitetu i z fabryki płyt pilśniowych. Wprowadzić?

— Proś dziewczyno, proś. — Podnosząc się zza biurka, wyciągnął dłoń do Krajewskiego. — Ja się nie gniewam, tyle że było mi przykro. Tym bardziej, że chyba tak bez reszty nie ma pan racji... Witam, witam, proszę bardzo... O, Felek, też jesteś — uśmiechnął się do magistra Feryckiego.

Krajewski mrugnął do wiceprzewodniczącego po łobuzersku. Przecież przed pół godziną już się nagadali do syta w pokoju z tabliczką na drzwiach: inżynier techniczny, Zygmunt Krajewski.

— Proszę, proszę — Przybyła z przejęciem celebrował obowiązki gospodarza.

Światło palące się w korytarzu wpadało przez uchylone drzwi do przestronnego pokoju, stwarzając dysonans z resztkami poblasków dogasającego dnia. Przybyłowa przybliżając się do progu z niepokojem spoglądała na męża. Leżał na niewielkiej kanapce z głową owiniętą namoczonym

ręcznikiem. Oczy przymknięte, jakaś bezradność w wyrazie twarzy, chrapliwy i przyspieszony oddech. Kobieta na ten widok potrząsała głową i odsuwała się ostrożnie od drzwi. Dopiero w bezpiecznej od nich odległości załamywała ręce, trzaskały wtedy stawy palców, na który to odgłos z kuchni wychylała się ostrzegawczo twarz Krych-r.y. Dziewczyna przykłada palce do ust: „ciiicho”.

— A dajże ty wreszcie spokój — naburmuszyła się Przybyłowa, podążająca za córką do kuchni. — Wszyscy wariują w tym domu, oszaleć można.

— Bo mama gotowa bronić tej niegodziwej Ewki, ani

87

patrzac, ile nam ona wyrządza zmartwień. Mama nawet dziś ojcu nie powiedziała, że Ewka nie nocowała w domu? Czemu mama to skrywa? I tak skończy się wszystko ponuro, będziemy niańczyć jakiegoś wrzaskliwego bachora. Po Edku wtedy na pewno śladu w mieście nie pozostanie...

— Przestań, ty żmijo. Suchej nitki byś na siostrze nie zostawiła.

— Tak, t ?raz to ja jestem najgorsza, prawda? Dla mamy zawsze tak.. Ewunia i Ewunia, ciągle dokoła. A ja nie chcę, żeby naszą rodzinę pokazywano potem palcami. Nie chcę. Jeszcze dziś opowiem tacie wszystko, co wiem.

— Zadręczyć chcesz ojca do reszty — powiedziała głucho, siadając na kuchennym stołku i kierując spojrzenie na najmłodszą latorośl. — A wszystko, co mówisz nieprawda. Ewka już prędzej mogłaby mieć do nas pretensje, nie ty... Tobie nigdy niczego nie brakło.

Wysoka, dojrzewająca dziewczyna gwizdnęła na te słowa przez zęby, czyniąc dłonią gest lekceważenia. Czując zaś spojrzenie kobiety na sobie, demonstracyjnie wyprostowała się, niejako z wyzwaniem. Już tylko w obliczu zachowywały się resztki cech dziecięcych. W figurze to rozwinięta w pełni kobieta, na domiar świadoma tego faktu, starająca się go podkreślać postawą, ubiorem, zamierzoną lekką niestarannością.

— Krychna, w tym roku skończysz siedemnaście lat — z niejakim zadziwieniem powiedziała matka.

— Mamie tymczasem ciągle się zdaje, że ledwie wyrosłam z pieluszek, prawda? I dlatego nie mam prawa krytykować Ewki, starszej o te cztery lata siostruni, tak?

— Nie pokrzykuj, pamiętaj o ojcu.

— Ojciec też tylko tak, gwałtu narobi, nakrzyczy, natu-pie, a potem kładzie się z mokrym kompresem na głowie i posapuje, jakie to trudne ma życie. Gdy zaś dojdzie już do rozmowy z Ewką, wtedy jest delikatny, mówi niemalże szeptem, łagodnie, a ta wydra ledwie nie parska śmiechem...

— Uspokój się, głupia.

88

— Mama najlepiej wie, że ja mam rację. Ta historia smutno skończy się dla nas wszystkich. Ja to wiem

— Kraczesz tylko i kraczesz

Gdy córka wzruszając ramionami wyniosła się wreszcie z kuchni, Przybyłowa nasłuchiwała przez chwilę jej kroków na potrzaskujących drewnianych stopniach, wiodących do pokoików na pięterku, potem wytrącona zupełnie z trybu normalnych zajęć, machinalnie przesuwiała na szafce różne przedmioty. Chciała przekręcić wyłącznik, ale się rozmyśliła. Posiedzi trochę po ciemku, trzeba jakoś uporządkować zdarzenia ciężkich dzisiejszych godzin,

Głupia Krychna. Pyskuje na Ewkę, podjudza ojca. Na pewno ma swoje racje. Siedemnaście lat Zdarza się, w tym wieku wychodzą dzisiaj dziewczyny za męża, mają dzieci Rozrosła się Krychna, zmężniała, zgrabna, zgrabniejsza od Ewki, choć tamta jakby delikatniejsza. Obie się zresztą udały, mogą się podobać. Tyle, że nie wiadomo, dobrze to czy źle. Na przykładzie Ewki sprawdza się raczej to drugie...

Kryska przyszła już po awanturze, po tym krzyku i tupaniu ojcowskim. Nie wie nic o telefonie Pędzika. Dopiero by sobie użyła na siostrze, i bez tego już się gęba jej nie zamyka. Zupełnie jakby zazdrościła tej biednej Ewce.

Adam wcześniej niżeli zazwyczaj powrócił do domu. Dopiero stawiała obiad na płycie. Usłyszała warkot samochodu, wyrzała oknem na gramolącego się swojego starego, pomyślała, że się jej musiało pomylić coś z czasem. Adam będzie się krzywił, że obiad nie gotów... Dopiero się okazało, że to coś zupełnie innego.

Od razu wdarł się do kuchni, zakrzyczał, żeby rzuciła te głupie garnki, nie żarcie mu teraz w głowie. Ewka przeholowała, przebrał miarę, już się wyczerpała jego cierpliwość.

Miotając się po pokoju, wytrząsając pięściami, wyrzas-kiwał nowiny. Nie od razu te szczątki zdań potrafiła poskładać do kupy... Gdzieś tak koło południa zadzwonił Pędzik, kierownik Urzędu Stanu Cywilnego, czy jak to się nazywa, jednym słowem, ten od świeckich ślubów, śmieszne, na co mu to zeszło z dawnego komendanta milicji. Te-

89

lefonował, żeby złożyć Adamowi gratulacje, bo tak na oko, para naprawdę na medal. Pokrzykiwał, pohukiwał do słuchawki, pod tym względem nie zmienił się od tamtych lat, dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że coś tu nie tak. Bo Adam tylko upewnił się, czy zastanie go w biurze, zapowiedział natychmiastowy swój przyjazd. I tam, u Pędzika, dowiedział się wszystkiego. Że Ewka i ten pędziwiatr Edek na nic się nie oglądając, ślub ze sobą chcą brać...

Szczegółów bliższych już się nie mogła wywiedzieć. Przybyła szarpał się po pokoju, zaklinając się po stokroć:

— Po moim trupie, po moim trupie! Nie zezwolę, nie dam! Tym razem to już za wiele, taki wstyd, hańba po prostu dla domu. Żmiję wychowaliśmy na własnej piersi...

— Adaśku, mileńki, cóż jeszcze się stało?

— Czy to mało? Ślub chcą brać, mówię ci. Ten głupi Pędzik wyrwał się z gratulacjami, całe zresztą szczęście, jeszcze czas; można przeciwdziałać, zakazać... Taki wstyd, taki wstyd.

Z godzinę czy dwie tak szalał. Potem za głowę się złapał, że go w niej łupie, rozwała, że migoce mu przed oczyma... Chrypiał, sapał, pojękiwał, aż wreszcie niespokojnie za-drzemał, byle szmer przywracał go do przytomności, tylko kompres na głowie sprawdzał. Wtedy Kryśka wróciła ze szkoły, wiele zrozumieć nie mogła, z wyjątkiem tego, że Ewka znów naraziła się ojcu tym swoim Edkiem.

W czerń zalegającą kuchnię nadbiegały słowa półgłosem nuconej piosenki. Przybyłowa ściągnęła usta. Ta sobie śpiewa przy odrabianiu lekcji. Jej w to graj. Czemu się te siostry tak bardzo nie lubią? Już zwłaszcza Kryśka oczy by Ewce wyszarpała. Śpiewa. Dobra sobie. Tu miejsce tylko na płacz, nie śpiew.

Westchnęła. Coś nie za bardzo się udały te dzieci. Kochliwe niewyczejnie. Z Pietrkiem, najstarszym, były kiedyś kłopoty, ojciec aż pod Gdańsk musiał jeździć, wyciągać go z namiotu, gdzie sobie biwakował z jakąś zdzirą, rozwódką; teraz dopiero chłopiec się ustatkował, nauki kończy, wygląda, wyjdzie jednak na ludzi. Ledwie tamto minęło,

90

zaczęło się z Ewką. A i Krychna, ladaco, zaczyna rogi pokazywać... Za dobrze mają, za dobrze... Każda ma pokój dla siebie, urządzone jak można najładniej, Adam nie żałował. szcudrą miał rękę. Dom własny, odkupiony od państwa. Też był z tym kłopot. Gdy mąż ściągał ją tutaj ze starszą dwójką, w te gruzy, okazało się, ktoś inny zajął już dom, mało nie zabili wtedy Adama, siłą trzeba było usuwać łobuzów. Ale to dawne dzieje. Budynek dziś odremontowany i przerobiony, nowiutkie tynki, ogrodzenie z żelaza, drzewa i kwiaty. Ptasiego mleka tylko brakło dzieciakom. A tak się potem zgryzotami wywdzięczają rodzicom.

Ciemno za oknami, czarna noc, chmury zbierały się od samego południa. Pewnie w nocy będzie deszcz. Późno już. Ewki tymczasem jak nie ma, tak nie ma. Dopiero się Adam rozeźli, gdy wstanie. Dziś jego zły humor nie przeminie tak, jak przepowiadała to Krychna. Za mało zna ojca. W nim długo musi coś wzbierać, ale wtedy nie ma już zmiłowania. Żeby tylko coś złego nie obmyślił. Ostatecznie, może by zezwolić dziewczusze, niech wychodzi za tego Edka. Oni wszyscy dziś tacy, mógłby z czasem się ustatkować Adam wszakże się uparł. Za chłystka, mówi, córki nie da...

Równocześnie nieomal trzasnął kontakt, zaraz dały się słyszeć szurania Przybyły, zachrząścił klucz w drzwiach wejściowych, wracała Ewka. Przybyłowa głęboko wciągnęła oddech. Chryste Panie, co też to będzie. Ani chybi, zetną się z sobą. Strach pomyśleć. Szczęście chociaż, że ojciec nie wie, iż Ewka któryś raz nie nocuje już w domu. Mogłoby dojść do tragedii.

To co zaszło, było bardziej złowieszcze nad jej przewidywania. Tylko ona mogła się domyślać najgorszych zapowiedzi z zasłyszanego dialogu.

- Dobry wieczór, tatku.
- Jesteś, Ewka? To dobrze, chcę z tobą pogadać. Przyjdź zaraz do mego pokoju. Zaraz, słyszysz?
- Jeżeli ojcu tak bardzo się śpieszy...

Jej głos był niepewny, musiała coś wyczuwać. Wolno

91

podreptała na pięterko, jakby pragnęła oddalić możliwie najbardziej dramatyczną rozmowę.

Przybyłowa wtargnęła do męża. Odrzucił już kompres, on, zawsze tak aż do przesady porządny, trzepnął teraz wilgotnym ręcznikiem na podłogę, pod piękną toaletkę, na specjalne zamówienie robioną kiedyś w warsztacie Środy, sam stał pośrodku pokoju z rękami założonymi do tyłu, też niespotykana u niego poza.

— Adaś, o czym ty myślisz?

— O czym? Już ja jej te amory wybiję ze łba.

— Będziesz bił dziewczynę?

— Nie. Ten czas już minął. Pogadam z nią.

— Jestem, ojcie — Ewka stanęła w drzwiach. Opalona, szczupła, spod krótkiej sukienki widniały kolana.

— Składano mi dziś gratulacje. Podobno zamierzasz lada dzień wydać się za męża. Szkoda, że bez wiedzy rodziny.

— Skąd tato wie?

•— Wiem.

— Ja, ja jeszcze chciałam zapytać, chciałam prosić, żeby nam ojciec zezwolił. Edek wcale nie taki pustogłów, jak się to tacie wydaje...

— Wiesz, Adaś, może by porozmawiać z nim. Gdyby naprawdę zechciał... — Przybyłowa usiłowała ratować sytuację. Umilkła, mąż spojrzał na nią w sposób dotąd jej wcale nie znany. I znów się zwrócił do Ewki:

— Teraz prosisz... Pytasz. Udajesz tylko. Dlatego, że się przedwcześnie wydało. Mów prawdę. Spodziewasz się dziecka?

— Adaś, co ty chcesz od niej.

— Mów. O dziecko chodzi, dlatego ten pośpiech?

— Nie. Tymczasem na to się nie zanosi. Chcemy z Edkiem być z sobą. Jawnie. Na zawsze.

— Ja na to nie zezwolę.

Boże, jak spokojnie, zimno to mówi. Nie krzyczy nawet, nie podnosi tonu. Ku czemu on zmierza? Przybyłowej ciarki przebiegały przez plecy.

— To trudno. Pobierzemy się tak czy inaczej.

Przybyła przetarł czoło. Pewnie bolała go jeszcze głowa.

92

Zacisnął pięści. Ale nie wybuchnął. Odczekał tylko, widocznie cały wysiłek wkładając w to, aby się pohamować. Głos jego zabrzmiał nienaturalnie: był drewniany, przeraźliwie suchy.

— W takim wypadku wyniesiesz się z mojego domu. Znać cię nie będę chciał.

— Naprawdę, tato?

I ona całą siłą woli nakazywała sobie opanowanie.

Przybyłowa osunęła się na krzesło. Tego się nie spodziewała. Czy Adaś nie posuwa się za daleko? Ewka uparta jest i ambitna.

— Naprawdę. Za tego chłystka cię nie dam. Wstyd byłby dla nas. Już też nie mogłaś znaleźć sobie kogoś lepszego. Gówniarz, bawidamek. Z jakiejś poleskiej wioski, ciemniak, dureń. Goguś.

--- I co jeszcze, tato? Bo tak mówisz o chłopcu, którego kocham.

— Stajesz okoniem? Więc ci powtarzam raz jeszcze. Jeśli przeprowadzisz swoje, znać cię nie będę chciał. Rozumiesz, Ewka?

Z tupotem zbiegła po schodach Krychna. Dopiero teraz musiała się zorientować, że coś w domu się dzieje. Stała w drzwiach z płonącymi ciekawością oczyma.

— A ty czego? — warknął na nią ojciec, ale już go więcej zdawała się nie obchodzić, patrzył tylko na Ewkę.

— Rozumiem. Aż za dobrze rozumiem.

Przybyłowa widziała, wiele wysiłku włożyła dziewczyna w to, aby wyjść tym równym, spokojnym krokiem, z podniesioną nienaturalnie głową.

— Oj, tatku, masz ty z tą Ewką kłopoty • — westchnęła Krychna.

Obrócił się ku niej:

— Wyjdź stąd!

Zostali we dwoje. Przybyłowa kilkakrotnie otwierała usta, ale nie wypowiedziała jednego słowa. Bała się, pierwszy raz chyba bała się swojego Adama, taki był dziwny, taki inny niż zwykle. Za głowę się znowu łapie, trzeba mu kompres dać, pewnie łupi go w czaszce.

93

Potem, gdy położył się na tapczanie z mokrym ręcznikiem na czole, zasiadła obok na wyściełanym krzeselku. Niech mu minie, niechaj się uspokoi, porozmawiają. Nie można tak ostro... U dziewcząt na górcie cicho. Aż niepokoi ta cisza. Schodzi któraś...

Przez uchylone drzwi spostrzegła Ewkę z małą walizeczką w ręce. Nie od razu pojęła, w czym rzecz. Dopiero gdy rozległ się trzask zamka przy drzwiach, gwałtownie szarpnęła męża za ramię, aż zerwał się z miejsca, przysiadając na tapczanie.

— Adaś!

— Co się stało!

— Ewka... z walizką... odchodzi. Wypędziłeś ją... Zatrzymaj, zatrzymaj ją, Adaś.

Wyglądało, że chce się zerwać, biec może za córką, krok nawet zrobił przed siebie, ale pohamował się zaraz, ści-snął ramię żony do bólu.

— Sama wybrała. Sama, słyszysz?

4.

Zawsze, od lat, nie znosiła zdarzających się niekiedy sytuacji, gdy milicjanci dyżurowali przez dzień i noc na korytarzu szpitalnym. Klóciły się w niej ostro te dwa pojęcia, lecznictwa i prawa, wracały jakimiś skojarzeniami analogie z lat wojny. Stan Gejgała był groźny, nie istniała możliwość przetransportowania go do więziennego szpitala w sąsiednim mieście. Stąd stalowy mundur rażąco odcinający się od bieli ubiorów cicho przesuwających się pielęgniarek.

Musiało i to trafić na nocny jej dyżur. Potem zaś na jej oddział. Zajechały przed szpital razem: karetka pogotowia i milicyjny łazik. Trzech rannych, w tym jeden niebezpiecznie ciężko. Już wtedy, w gorączce przygotowań przed-operacyjnych coś ją zastanowiło w zestawieniu tych nazwisk, ale pamięć dopiero później, gdy dotarły bliższe wie-

94

ści o sprawie, wysunęła z przeszłości właściwą kliszę. Z najdawniejszego okresu, z pierwszej jeszcze na tej ziemi jesieni czterdziestego piątego roku. Powódź, tyfus, transport szczepionek, desperacka akcja przeciwdziałania rozszerzającej się epidemii. Niewielka wioska na przykosie nadrzecznym. Nie była w niej nigdy już więcej. Zastyszana wtedy opowieść, nie tyle twarze, co nazwiska. Gorzki posmak niezrozumiałej sprawy, która tak nią wtedy wstrząsnęła.

I teraz, po siedemnastu latach, zamyka się jakaś fatalna klamra. Ze też przeszłość na różny sposób ciągle musi się o nią ocierać. Nie szuka tych nawrotów, same nadchodzą, osaczają ponurym kręgiem. Co ściągą w jej pobliże te dawno przebrzmiałe echa. Czy naprawdę przebrzmiały?

Przysunęła bliżej filiżankę z przestygłą kawą. Jeszcze jedna noc na dyżurze. Nie obowiązywało jej to, przyzwyczajenie było jednak silniejsze. Zastępowała więc młodszych kolegów, przyjmowała za dobrą monetę ich naiwne, przymilające wymówki. I jakże ma potem się dziwić, że jakies mary powstają z przeszłości, skoro sama ich szuka, stwarza okazje podobnych-spotkań?

Gejgał. Chmara. Już tamtej nocy jakiś nieokreślony bliżej przebłysk pamięci. A później, ze zwierzeń, rozmów, z półsłówek i z długich opowieści odżyła w nowej wersji dawna, choć nie zwietrzała historia. Nie zmieniona w treści, tyle że wzbogacona w nią, poszerzona. Informacja oficera milicji, wyschnięte, zapadłe spojrzenie starego Gej-gała, ciągle, od lat nie umiejącego pojąć niczego, zwierzenia samego chorego. Kilka płaszczyzn widzenia, w sumie obraz wyraźny, choć niepojęty w ogromie zawartej w nim nienawiści, z czego właściwie zrodzonej?

Odsunęła filiżankę. Nasłuchiwała przez chwilę. Cisza wokoło. Spokojny dyżur jak rzadko. Połowa tygodnia, krótko przed pierwszym, niesprzyjającym pora na te najprzy-krzejsze historie bójek, okaleczeń, rabunków, plagi wszystkich ostrych dyżurów.

Jakże to powiedział przed dwoma tygodniami ten barczysty, pomimo podeszłego wieku krzepki wciąż chłop?

95

Wypisywała go ze szpitala, zranienia nie okazały się groźne, wystarczyły trzy dni fachowej opieki... Wspomniało się przy nim, że tamten przechodzi kryzys, może nie przeżyć.

— Niech zdycha — warknął niegłęboko, z nienawiścią.

Córka jego, niezgrabna, zadręczona pracą kobieta, odwiedziła ojca na drugi dzień. Przyszła z koszykiem jakichś specjałów. Trudno było wyobrazić ją sobie teraz jako młodą, pociągającą dziewczynę. Pamięć lekarki niczego nie podsuwała. Zetknęła się przed laty z nieludsko skatowaną dziewczyną, trudno było na jej ciele o nieokale-czone miejsce dla wbicia strzykawki. Przejęta tym widokiem zainteresowała się wtedy konfliktem między Gejgałami a Chmarą. Ale obrazu dziewczyny pamięć nie odnotowała, ta zaś niezgrabna kobieta o czerwonych rękach i pospolitej twarzy czyniła wrażenie całkiem wypranej z uczuć. Przyszła z jedzeniem dla ojca, bo matka i brat kazali... Że obok, w przyległej salce leży dawny jej narzeczony, ojciec jej dziecka, zdawało się jej nic nie obchodzić. Udawała?

— Kiej się chcom bić, niech majom.

Milicjant na korytarzu wydziwiał przed niespełną godziną.

— Patrz, pani doktor, jakie to zawzięte. Dwanaście lat wtedy dostał za to, że chciał zabić starego. Zebrało się mu, bo to i za usiłowanie zabójstwa, i za nielegalną broń... Dziesięć lat odsiedział. Wypuścili go. Po tygodniu znów chciał zabić, znów tego samego człowieka. Nie minęło mu... Tyle lat, a nie minęło...

Wychodziła właśnie z separatki Gejgała. Spał, inaczej jak innej nocy, kiedy to przytrzymał ją przy sobie nieomal siłą, musiał się bowiem komuś zwierzyć, musiał, a pani doktor taka dobra, nie gardzi, nie brzydzi się więźniem, niedoszłym — takie to już sobacze szczęście, że nigdy mu się nie udaje — zabójcą, potrafi uśmiechnąć się, nawet pocieszyć, więc na pewno wysłucha... Tym razem rada była, że chory śpi, że nie musi śledzić za tokiem jego słów wycedzanych wolno i nieporadnie, że nie tropi niespokojnie biegających oczu, nie wpatruje się w ziemistą cerę,

96

typowe odbicie wielu lat spędzonych za więziennymi murami.

Jakże on wtedy, pod świt, zakończył niespodziewanie swoje zwierzenia? Na łokciu się podniósł, aż go musiała przytrzymać, takie ruchy nie były jeszcze dla chorego wskazane, mocniejszym, zduszonym głosem zaklinał się:

— Za trzecim razem już mi nie ujdzie... Wtedy naprawdę zabiję, choćby za dziesięć lat, za piętnaście, chyba że taki już mój niedobry los, sam wcześniej zejdzie ze świata.

Przerażona była tym oświadczeniem, za którym tkwiły i ból, i żal, patologiczna nie nawiść i bezmiar nad siły nieszczęścia. Gdzieś w głębi duszy współczuła temu człowiekowi, snującemu plany zabójstwa. I ciągle jej ta sprawa nie mogła pomieścić się w głowie.

Jedna rodzina z Pomorza, druga z dalekich zakątków Wileńszczyzny. Jakże mało kto dziś, nawet z najstarszych, wprowadza te rozróżnienia. Nie mają o nich pojęcia najmłodszy. A w tych rodzinach tkwi, ciężarem kładzie się ta świadomość na całe ich życie, wypełnia je nienawiścią, żalem do losu. Mijają lata, a oni nie umieją się otrząsnąć z tej swojej obsesji, tkwią w niej zanurzeni po uszy

Czy tylko ona nie może ogarnąć sensu, nie umie znaleźć logiki w strasznej tej nienawiści. A stary Gejgał, ojciec chorego, marzącego o wypełnieniu swej zapowiedzi? Ten zniszczony, o wyblakłych oczach człowiek także nic nie pojmuję. Bąkał, że nie pojmuję od samego początku. On sani przecie nigdy.. Baba jego, prawda, żarła się z Chmarami, ale on? Jaka różnica, skąd kto przyjechał? Jak wtedy z nurtów wezbranej powodzią rzeki wyciągał małego Chmarę, gdzie mu było myśleć, zabużanin on czy centralniak? A tymczasem...

Doktor Janina sięgnęła po papierosa. Trzask zapałki zwielokrotniał w dookolnej ciszy. Zerknęła na książkę, leżącą na stole. Założona kędyś w polowie, nie pociągała. Też wiejskie konflikty, ukazywane ze znajomością, pisa nie bez talentu, a jednak jakieś mgławce i rozmazane. Gd> tutaj obok, wystarczy kilkanaście kroków przejść kory

7 Przejaśnia się niebo t. II

9?

tarzem, w ostrych, wyrazistych konturach rysuje się dramat o wiele krwistszy, miejscami utkany niemal według zasad antycznej tragedii.

Nie wyprostowały niczego wtedy, przed siedemnastu laty, dramatyczne przeżycia w czas jesiennej powodzi. Stary Chmara nie zgadzał się, przy byle podejrzeniu prał córkę bez miłosierdzia, do krwi, odgrażał się całej rodzinie Gejgałów. Coraz rzadziej, coraz bardziej się kryjąc, młodzi jednak się spotykali. Interweniował ksiądz z najbliższej parafii, próbował mediacji softys. Bez skutku. Baby pyskowały coraz ostrzej przez płot, Chmara pod bronią chodził. Stary Gejgał rozwierał szeroko oczy. On nie pojmował. Żal mu było syna, żal tamtej dziewczyny...

Ujawniona ciąża przysporzyła dziewczynie piekła, a nienawiści nowych sił. Spłonął którejś nocy dom Gejgałów. Śledztwo niczego nie ujawniło. Chmara tej nocy był w mieście, znaleźli się na to świadkowie. Dziwnym trafem padły po tygodniu dwie krowy Chmarów. Nikt nie doszedł, od czego. Szeptano, że zauroczyła je Gejgałowa. Oni z tych błot za Bugiem, znają tam różne zaklęcia... Ze względu na dobro dziewczyny trzeba było zaniechać spotkań. Ciąża rosła, znaczyła się nabrzmiewającym brzuchem, napadami wściekłości Chmary, gdy tylko spojrzał na córkę... I dziecko, chłopaczyna, gdy się zjawilo na świat, niczemu nie zaradziło. Którejś nocy w stronę wracającego do domu młodego Gejgała sypnęły od lasku kule, szczęściem trafiły w panaboskie okna. Ale koń okulał naprawdę, trzeba było go dobić. Głodno, nędznie robiło się w chałupie Gejgałów. Stary też już oczu nie wznosił bezradnie ku niebu, zaciął się twardym uporem, rozdmuchaną w nim wbrew woli nienawiścią. Młodzi widywali się tylko z daleka, dziewczyna wychudła piersią karmiła małe, kwiliło, od pierwszych dni swoich nieporadne, niewydarzone jakieś. Zmarło po niespełna pół roku, ale ojciec jego już wtedy był w mieście. Później przeniósł się jeszcze dalej, pociągnął do Kołobrzegu, próbował rybaczyć, jakiś czas zabawił w Szczecinie. Żeby już nie pamiętać, żeby zapomnieć. Upił się, gdy po dwu latach wieść przyszła, iż dziewczynę

wbrew jej woli wydano za mąż. Rok jeszcze wytrzymał, wrócił do własnego miasta, sam się ożenił. Pracował w hucie szkła. Zatopiony w sobie, zgorzkniały, choć dla żony i dzieci, których dwoje przyszło w niewielkim odstępie na świat, dobry i łagodny. Niekiedy się tylko upijał. Wtedy, gdy już nie mógł zdławić w sobie tamtej pamięci. Bo bez przerwy pamiętał.

Aż po tamten dzień, w pięćdziesiątym drugim, pod wiosnę, śnieg jeszcze leżał po północnych zacieniach... Bo przecież do tego czasu zetknęli się nieraz z niedoszłym teściem. Z rzadka też, ale niekiedy i rodzinę Gejgał odwiedzał. Mijali się z daleka, wilkiem na siebie patrząc, ale spokojnie. Diabeł wie tylko, co się gotowało w ich duszach. Tak się tylko dziwnie zdarzało, że po podobnych spotkaniach Chmara od nowa bez litości i bez przyczyny bił córkę, którą mąż tymczasem pognał od siebie i rada nierada wrócić musiała do ojca, a Gejgał upijał się nieprzytomnie. I dopiero ten wieczór... Musiała się wtedy wyzwolić już bez reszty ich wzajemna nienawiść. Może zresztą młody człowiek od dawna nosił się z takim zamiarem, po cóż by inaczej broń dźwigał z sobą, świadomy był wszakże kary, jaka za to może mu grozić. Niemniej przewód sądowy wykazał, że to Chmara pierwszy ruszył z zaczepką. W gospodzie się zetknęli, takiej obskurnej, na przedmieściu, zaraz za rynkiem bydłęcym, gdzie zapijano litkup przy okazji zawartych transakcji. Chmara sprzedał wtedy cielaka, jego obecność w tym miejscu była uzasadniona, nikt nie doszedł, czemu tam i Gejgał raptem się znalazł. Ani pracował, ani mieszkał w tej stronie. Dostyc, że niedoszły teść zaczął. Jednym i drugim słówkiem, przemówieniem, że jednak nie dał córki takiemu dziadowi zza Buga. Że zmusił go do ucieczki do miasta. Potem podniósł się chwiejny zza swojego stolika, zaczął iść ku samotnie pijącemu Gejgałowi. Przedtem jakoby się zwarli, zamłóciły pięści. Dopiero w chwilę później Gejgał odskoczył, pistolet wyszarpnął, wygarnął trzema strzałami. Zeznawali świadkowie, iż zaraz po tym wrócił do stolika, wychylił do dna swoje sto gram, pistolet położył

7*

99

na stole i patrząc na leżącego bez ruchu na ziemi, broczącego krwią niedoszonego teścia, nieporuszony czekał. Milicji, gdy się zjawiła, wskazał broń, palcem tknął tam, gdzie leżało nieruchome ciało: ja go zabiłem. Jak owca, dał się potulnie prowadzić.

Chmara wylizał się, twardy był chłop. Gejgał otrzymał dwanaście lat. Dwa z nich darowano mu, zwalnając go przedterminowo z więzienia. I wszystko zaczęło się teraz od nowa. Marnotrawny syn wrócił do ojcowskiej chałupy. Własnej w mieście już nie miał, żona w trakcie jego bytności w więzieniu wystąpiła o rozwód, wyjechała wraz z dziećmi do swoich krewnych gdzieś aż w Rzeszowskie. Wszystko się rozsypało, w hucie też miejsca brakło, ani się było o co zahaczyć. A tam, na wsi, na nadrzecznej sto-czyźnie, nienawiść odrodziła się ze wzmożoną siłą... Po tygodniu, noc była dżdżysta i ciemna, Gejgał zaczął się o zmroku na Chmarę. Z drążkiem żelaza w dłoni. Skoczył, zamachnął się raz i drugi. Zaraz potem odwróciły się role. Chmara miał się na baczności, syn go pilnował, chodząc wieczorami za ojcem o rzut kamieniem z tyłu. Też nie z próżnymi rękami. We dwójkę zmasakrowali, zmiażdżyli Gejgała; sami zresztą też nie wychodząc bez szwanku, całą trójkę musiało zabrać pogotowie... Tamci już dawno wrócili do domu. Przy Gejgale, czekając, aż stan jego polepszy się na tyle, by możliwą stała się translokacja, sietizi dzień i noc dyżurny milicjant. Jak teraz.

Lekarka gwałtownie zdusiła niedopałek papierosa, patrzyła, jak rozwiewały się ostatnie, skotłowane pasemka dymu. Tak się nizała jej ta historia, której stała się przypadkowym świadkiem, od samych zaczątków aż po akt drugi trwającego dramatu.

Podniosła się, w lustrzanej szafce z instrumentami ujrzała na tylnej ścianie własne odbicie.

Spoglądała na nią, w końcu stać ją było na obiektywizm — niewygasła dotąd w urodzie twarz dojrzałej kobiety. Może tylko ten niepotrzebny zarys drugiego podbródka, zbyt pełny owal twarzy, ogólne nad miarę zaokrąglenie kształtów...

100

Przysiadła na brzegu biurka, dawnym swoim, czemuś zaniechanym ostatnio zwyczajem. Zza drzwi gabinetu nadal sączyła się cisza. Co za spokojny dyżur, traf jeden na sto. Jakby zapadło się nagle pod ziemię rozrastające się, intensywne w swym życiu, kilkudziesięcioletnie miasto.

W życiu Gejgała i Chmary mija drugi akt dramatu. Czy będzie akt trzeci? I czy jest jakaś siła, która by nadejście tego dalszego, ostatniego już aktu mogła powstrzymać? Wyrok, więzienie, sycenie przez miesiące i lata wezbranej nienawiści, może jeszcze raz dzień zwolnienia. I wtedy co?

Ani przez moment nie współczuła tu Chmarze, nutki sympatii pomieszanej z litością skupiały się wyłącznie przy Gejgale. Ekswieźniu, dwukrotnym, przez przypadek jedynie niedoszłym mordercy, jeszcze teraz, w majakach planującym kolejną próbę. Ale bo też i los tego człowieka zdawał się we wszystkim obracać przeciwko niemu. Uciekł ze wsi, od swojej miłości, tułał się po miastach, zmieniał pracę, szukał ratunku w ożenku, w założeniu rodziny. Próbował może zabijać w sobie poczucie zaznanej krzywdy. Aż nadchodził moment, kiedy dawne przeważało nad nowym, które usiłował stwarzać z takim wysiłkiem. I wtedy już posypało się wszystko, zjawiała się krata celi, uciekła żona i dzieci, nie chciano przydzielić mu pracy, nie znajdował dachu nad głową. W takim układzie tamta pamięć musiała powracać...

Najdziwaczniejsze w tym, że już chyba wszystkim uczestnikom dramatu nie bardzo jest wiadome, o co naprawdę im poszło. Dawne dzielnicowe podziały? Czy nawet ich samych jeszcze one obchodzą? Czy ten kiedyś istotny pretekst nie zetlał albo i nie spopielił się bez reszty, ustępując miejsca nienawiści, która rosła już sama z siebie? Stary Gejgał, który też nauczył się, musiał nauczyć się nienawidzieć, ciągle nie pojmuje jej właściwych praźródła. Co one obchodzą kogokolwiek z wioskowych sąsiadów? Że ci stamtąd, a ci skądinąd przybyli?

Drzwi otwały się bez pukania, szarpnięte gwałtownie. Drgnęła, rozłoszczonym spojrzeniem spotkała sylwetkę

101

milicjanta. Wyrwany z drzemki, spoglądał jeszcze na pół przytomnie. Wydawał się wystraszony.

— Pani doktor, pani doktor...

— Co się stało?

— Bo z tym Gejgałem coś chyba nie tak. Szarpie się, krzyczy, zajrzałem, krwawi, bez bandaży siedzi na łóżku, żadnej pielęgniarki w pobliżu nie widać, więc przyleciałem po panią. Bo strzeż Boże, gdyby się jemu co stało...

— Nie pan będzie za to odpowiadał. Jest w szpitalu, pod naszą opieką. Chyba że wyfrunąłby panu oknem.

Gdy szybko szła korytarzem ku separacie Gejgała z milicjantem dotrzymującym jej kroku, ni stąd ni zowąd przyszedł jej na pamięć Lisiewicz, ich rozmowa sprzed tak jeszcze niedawna. Zzymnęła się. Tu wokoło dzieją się najbardziej żywe, dziś się rozgrywające dramaty, ich prapo-czątki naprawdę nie są już w niczym ważne, a on tapla się w jakichś kompleksach, przespania się przypadkowe z Niemką, która okazała się żoną obozowego kata, przetwarza w sobie w obsesję, babrze się w tym, mamle, ciągle szukając własnego miejsca. Zawisły w próżni, samotny, za-kompleksiały.

— O, znowu krzyczy!

Domyślała się już. Byli tego świadomi, kryzys mógł się powtórzyć, w stanie Gejgała nie wykluczone były zmiany na gorsze. Mogą wcale nie zaistnieć warunki do rozegrania trzeciego aktu. Dramat gotów okazać się dwuaktówką.

>

ROZDZIAŁ m

1.

Chciałbym coś panu pokazać. Dosyć osobliwa historia, dla mnie osobiście z potężnym urokiem. — Obrócił się do kierowcy. — Zjedź, Maniek, pod Karsze, wiesz, za krzyżówką, gdzie ten stos chrustu.

— Dobra jest. Do Zmarzlaka. — Wóz miękko wziął zakręt, zbaczając na drogę wiodącą w pasmo leśne.

— Sądziłem, że znam teren lepiej niżeli kto inny. Ale z panem nie ma mi się co równać.

Ferycki uniósł głowę, uśmiechnął się do sąsiada, dyrektora „Lasu”, tęgawego jegomościa o błyszczącej tyśinie.

— Pan, dyrektorze, wiele lat tutaj tkwi?

— Powoli dobiegam dziesiątki.

— Nie liczy się. Największy rozkwit turystyki zaznaczał się bezpośrednio po wojnie. W kilku etapach. Początkowo rowerami czy ledwie zipiącym motorem po żarcie. Wypatrywaliśmy z Walusiem Florczakiem, jeszcze innymi, czy się gdzie krowa albo świniak jaki nie błąka. Niby istniał zakaz, ale w końcu nasza polska gromadka musiała jeść. Gorąco było, do nas strzelali, my strzelaliśmy. Druga faza, to osiedlanie. Znów same cuda. Znało się każdy dom, rejestrowaliśmy byle rozsypującą się budę. Też bywało wesoło. Z kapitanem Wlazłą trafiliśmy raz do wioski, od małego do starego pijanej na amen. W dodatku jej ludność podzielona była na dwa obozy. Mało nas tam nie uka-mieniowali. Trzeci okres, ciągle jeszcze w samych początkach, to mój inspektorat. Dwudziestu lat nie miałem, jedyne wytłumaczenie takiego awansu to brak ludzi. Uparłem się wtedy, żeby nie zrobić zawodu...

.Warszawa" przyhamowała, stanęła.

103

— Jesteśmy panie przewodniczący.

— Dobrze. Możemy nie wysiadać. Widzi pan ten solidny stos gałęzi, słomy, drzewa, papierzysk? Na tej polanie...

Kraszewicz z wyraźnym zaskoczeniem patrzył na sporą kupę wielkiego śmiecia.

— Podpaliłbym to — wzruszył ramionami, nie pojmując, jaki cel ma Ferycki w pokazywaniu zaśmieconego terenu. Żart jakiś głupawy?

Zarówno wiceprzewodniczący powiatowej rady jak i kierowca huknęli tak mocnym śmiechem, że nawet wtulony w róg wozu stary Pomykało zbudził się, zamrugał oczyma.

— Jak przyjdzie pora, znajdą się tacy, co spalą — rzekł kierowca. — Do tego czasu stosik mocno się jeszcze rozrośnie... Muszę i ja coś dorzucić — gramolił się z wozu, zbaczając w las, by zebrać trochę gałęzi.

— Nie rozumiem.

— Ma pan minę, jakby bardzo się na mnie gniewał. — Ferycki uśmiechnął się, zaraz spoważniał. — Dopiero mówiłem o tej zapitej wiosce, były i inne, gdzie niemal na śmierć i życie szła walka między repatriantami a osadnikami z Polski centralnej, diabli wyznają się o co... Tu w pobliżu jest też osada, w której panowało straszne skłócenie. Dziś o tym nie pamiętają, a jak im wspomnieć, wstydzą się. Zmieniło się. Z tym, że jedni przejmowali od drugich pewne zwyczaje, ceremonie, oswajali i siebie, i ziemię. Ten stos nie jest przypadkowy. W czterdziestym szóstym zabłądził tu zimą i zamarzał młody człowiek. Szedł szukać rodziny. Nikt nie dojdzie, psy czy wilki, połakomiły się na nieboszczyka. Zostały buty, teczka, inne drobiazgi. Pochowany jest w wiosce na cmentarzu. Tutaj zaś stanął krzyż...

Kraszewicz dopiero teraz ujrzał, o rzut kamieniem od stosu, szerniałe już ze starości drzewo krzyża, dołem obwiedzione opłotowaniem.

— A ten stos?

— W wiosce mieszka kilka rodzin z Nowogródziny. Tam zimy bywają ostre, częściej ludzie zamarziali niż u nas. Skądś narodził się zwyczaj, że w takim miejscu

104

przez cały rok każdy przejeżdżający czy też przechodzień podrzuca na kupę drzewo lub gałęzie. Rośnie to, aż zimą, w jakiś dzień, najczęściej w rocznicę wypadku, podpala się stos. Żeby ogrzać Zmarzlaka... Ładnie, co? Przynieśli swój zwyczaj tutaj, przyjął się. Nie tylko miejscowi go znają, ale i wszyscy kursujący po naszym terenie kierowcy. Choćby nasz Maniek... Dużo jest takich historii, warto by je odnotować i zapamiętać. Rodzi się własna legenda, nowa tradycja. Kusila mnie kiedyś socjologia, ale wszystkiemu się nie podoła. Ekonomia zresztą bliższa była ciału i sercu.

Kierowca powrócił. Spojrzał na szefa.

— Gdzie jedziemy?

— Wiesz przecież. Do Bejnarowicza. A potem do domu. Dosyć się już natłukliśmy. Nasz Pomykało ledwie zipie.

Starzec tyknął okiem, obruszył się.

— Mogę iść o lepsze z panem przewodniczącym. A z tym Zmarzlakiem prawda. U nas, wedle Lidy, też tak samo bywało.

— Z Lidy pan?

— Az Lidy. Przedtem to u pana hrabiego, w Zodzisz-kach za ogrodnika byłem. Później kupiło się kawałek, dwie morgi, przy samym mieście, wolałem być na swoim. A pan dyrektor czemu pyta, zna pan może Lidę?

— Znam. Jeszcze sprzed wojny. A potem, wiosna czterdziestego czwartego, kręciliśmy się tam z partyzanckim oddziałem.

— O, to to — ogrodnik zupełnie wyzbył się sennaści. — Chodziło tam tych partyzantów niemało. Raz to przez tydzień miasto zajmowali, rządili po polsku, ale później Niemce ich znowu wyparły... Ciekawe, jak tam teraz.

— Możecie pojechać w odwiedzin.

— Nikogo tam z moich nie ma. Co będę się tłukł po świecie, kiedy mi i tu dobrze.

Wozem zakołysało, rzuciło w prawo i w lewo. Przejeżdżali przez rozsypujący się mostek, przerzucony nad bagnistą strugą.

105

— Jasna cholera, stary cep mógłby naprawić. Jak tutaj ciężarówki z rybą się nie potopiają, to nie wiem.

— Rok temu odnawialiśmy mostek — wtrącił Ferycki. — Pewnie ciężkie wozy go rozwalily. Bejnarowicz sam nie poradzi — zwrócił się do Kraszewicza. — Kilkadziesiąt lat temu podobno była tu wyspa. Ten pas bagniska

o tym by świadczył. Cholerne pustkowie. Nie wysiedziałyby długo w czymś takim.

— Stary nie narzeka. Dobrze zresztą tu gospodarzy. Opowiadano mi w rybackim zespole, że był projekt przydzielenia mu kogoś do wylęgarni, chciano nawet domek zbudować, żeby ten pomocnik miał gdzie zamieszkać. Bejnarowicz nie zgodził się, chce być sam. Tyle że na drugim końcu półwyspu, zaraz za rybacką przystanią znajduje się druga chałupka, w której zamieszkał kolejny dziwak, Maciej Pustelnik, jako go nazywają w okolicy.

— A, wiem, ale mu piątej klepki brakuje — wtrącił się Maniek.

— Coś niby tak... Pomaga Bejnarowiczowi w wylęgarni

1 przy odłowieniu raków. Ciekawe, ryby nie łowi. Podobno dla jakiejś tam zasady, nie wiem...

Wjechali na podwórze, samochód zakręcił, zatrzymał się przed gankiem. Trzykrotny sygnał. Nic, ani odzewu.

— Pewnie bobruje stary na wodzie. Chyba się zjawi. Zaczekamy?

— Warto by już dzisiaj zakończyć. Jeżeli za tydzień mam przedstawić gruntowne opracowanie projektu...

— Sam pan wie, dyrektorze, że musimy zapiąć to wszystko. Za długo już gadamy, a niewiele się robi — rozemo-cjonował się Ferycki. — Panie Pomykało, był pan już tutaj?

— Czy raz? Znam ten półwysep dobrze. Sadzonki brałem stąd od Bejnarowicza. Wtedy, jak wierzbę o czerwonych pędach sadziliśmy wzdłuż alejki parkowej w mieście — uśmiechnął się ogrodnik. — Tylko że nie wiem, jak pan Bejnarowicz będzie widział cały ten projekt. Tu by ze dwa hektary z miejsca można dać pod plantację. Tam — wyciągnął dłoń w stronę, gdzie w gęstwie krzewów przechodzących w trzciny niczego nie można było

106

dojrzeć — tam jest piaseczek, czyściutki brzeg. Ładnie by rośło...

Wygramolili się z wozu. Od wilgotnej ziemi ciągnęło chłodem. Rozrosło wokoło olsza i osina, przetkane gdzieś wierzba, stały oklapłe w bezlistnych konarach, chrzęściło coś tam, gdy wiatr mocniej przeciągnął. Od jeziora wiódł kanał, upstrzony po bokach odchowowymi stawkami, mamrotała pożółkła trzcina, miejscami tylko tryskająca jeszcze plamami przyćmionej zieleni.

Pomykało poczłapał wzdłuż linii szyn ciągnących się przez trzciny ku hangarowi dla łodzi i sieci. Wywrotką, gdy zaciąg dał więcej ryby, podwożono ją aż tu pod prowizoryczny magazyn. Kierowca ruszył wraz z ogrodnikiem.

— Lubię tego staruszka — z sympatią patrzył za nimi Ferycki. — Wie pan, przygarnęli z żoną, zaraz po wojnie; dwoje małych Niemców, matka panna jakaś, sama im je zresztą oddała. Potem zniknęła jak kamień w wodę. Adoptowali dzieci, wychowali je po polsku, mają pociechę. I co pan powie, jak widzieć tu problem narodowościowy? Wychowanie, nawyki, nic więcej?

Pomykało ma już chyba siedemdziesiątkę?

— Więcej, ale się nie przyznaje. Ciągle sam prowadzi swoje ogrodnictwo, radzi sobie niezgorzej... Smutno tu, prawda?

Kraszewicz przystanął na kładce łączącej stawy wylęgowe. Tuż obok stromym dachem wystawał nad ziemię budynek wylęgarni. Leciutkim szumem dawało znać o sobie pracujące dynamo. Aż po tę wychowalnię narybku podbiegała od tyłu gęstwa powykręcanej łoży o czerwonych pędach. Ten sam odcień miała również wierzba, podmokły grunt zawartością jakichś minerałów wpływał najwidoczniej na wygląd roślin. Przed ścianą trzciny, wśród innych drzew pokracznie sadowiło się parę sosenek z niesamowicie pogiętymi pniami, na których gęsto rozrastał się mech. Drzewka musiały być stare, może to ostatni Mohikanie lasu, wypartego stąd przez inne rośliny. Jakiś ptak cicho przesmyknął cieniem, wydawało się Kra-

szewiczowi, że to słonka. Ptactwa wszelkiego gnieździ się tu co niemiara. Warto by któregoś roku wyskoczyć na kaczkę... Ale mieszkać? Z dnia na dzień, z roku na rok? Trzeba bardzo lubić samotność, umieć zlewać się w jedno z naturą, aby znajdować zadowolenie w takim życiu. Ale i to wszystko nie uchroni od zdziwienia. Był tu już raz, wówczas gdy z Francji nadeszła oferta na wzmożoną dostawę raków, dwoili się w zespołach rybackich i w „Lesie”, aby zamówienie wykonać. Ta zaś okolica, błotnista, gdzie i strumienie, i oczka, i ciche zatoki, porośnięte rzęsą zakola wody, stawy, płycizny, obfitowały w raki bardziej niż inne. Bejnarowicz niechętnie ich wtedy witał, patrzył spode łba, niemal się nie odzywał. Ponury jakiś samotnik. Podobno ma dzieci, jakże one tutaj się czują?

Drgnął czując czyjąś obecność za sobą. Ferycki zaszedł go cicho.

— Chciałem dać sygnał, ale Maniek zabrał z sobą kluczyk... Patrzeć tylko, zaczniesz się zmierzchać. Cała nadzieja, że i Bejnarowicz ściągnie wtedy do domu. Może go tamci znajdą nad wodą?

Kraszewicz wzruszył ramionami. Nagle zapragnął znaleźć się w mieście, w ciepłym domu, za swoim biurkiem, daleko od niepomiernego smutku, płynącego z moczarnego obrazu jesieni. Może nieopatrznie dał się ponieść zapałowi dla projektowanego eksperymentu, rzucił projekt założenia na wielką skalę plantacji, a z kolei przetwórstwa wikliny. W spółdzielniach i chałupniczo. Teren pod uprawę nadawał się wyśmienicie. Wiklina dopiero wchodziła w modę. Perspektywa ta stwarzała niemałą szansę... Teraz już trzeba było ciągnąć historię za uszy. Dziś ostatni wypad w teren. Po pierwszych szkicach, po penetracji geometry, po próbnym kontrakcji. Dziś jeszcze Pomykało, stary wikliniarz, Ferycki skądś się o tym wywiedział, potwierdził ich przypuszczenia. Jeszcze zostawała sprawa tego półwyspu, zachodniej części, gdzie nie rozpanoszyła się trzcina, a wznoszący się nieco grunt świecił piaskiem w miejsce wsządobyłskiego wokoło torfiastego podłoża. Diabli musieli gdzieś wynieść tego rybaka. A jeżeli

wyprawił się po coś do miasta? Zapije się, gotów nie wrócić do rana...

— No, idą. We trójkę. Odszukali jednak starego — rozjaśnił się Ferycki.

Bejnarowicz szedł ku nim ciężkim, trochę kolebiącym się krokiem. Krępy, rozrosły w ramionach, w kaszkiecie głęboko nasuniętym na czoło. Długie łapska zwiślały wzdłuż tułowia.

— Dzień dobry panom — lekko uchylił kaszkietu, znów go zaraz nacisnął na skudłacony, dawno nie podstrzygany łeb. Nie ogolony też być musiał co najmniej od ostatniej niedzieli. — Mówił ten młody, że w sprawie wikliny? Czy to aby musi być tu? Spokoju zabraknie. Wylęgarnię zniszczą, włazić będą do odchowowych stawków... A sieci, łodzie, magazyn?

Wolno, z uporem rzucał słowo za słowem. Ferycki zachnął się w pewnej chwili.

— Panie Bejnarowicz, coś pan dzisiaj tak gadatliwy? — mocno go ścisnął za dłoń. — Nam potrzebna wiklina. Wielka plantacja, co najmniej parę hektarów. Panu tamten kawałek niepotrzebny. Ani tam trzciny, ani łąka. Krety tylko buszują po piasku.

— Dziki poniszczą, poryją. Jeleń i sarna tamtędy ciągną do wody.

- Ogrodzi się wszystko. Od pana też można będzie odgrodzić, opłaci się...
- Ja nie wiem, czy zespół rybacki, czy dyrekcja w Wałczu się zgodzą. Wylęgarnia, rybakówka, hangary na łodzie i sieci, niedaleko na rzece węgorz. Tu musi być spokojnie i cicho — nie ustępował Bejnarowicz.
- Wałcz i zespół niech pan już nam zostawi... Nam chodzi o pana, o pomoc...
- Dość mam swojej roboty.
- Nie o taką. O życzliwość, o fachową poradę. Pan się zna na wiklinie. Pomykało nam mówić.

Mówił? Ten stary? Skąd on wie? Jaka tam moja znajomość...

- Gdy ktoś tak opowiada jak wy, pokazuje, jak trzeba

109

korować, jak przycinać na dłuższe pędy, jak grubiznę zdobywać, to musiał tkwić przy tym. Tych wiadomości z samego tylko patrzenia się nie zdobywa — Pomykało przyczła-pał do nich, przyłączając się do frontu przeciw rybakowi.

- W moich stronach wszyscy się na tym znali. W łapciach z łyka chodzili, pleść umieli, wycucie od dziecka każdy miał w rękach — odburknął Bejnarowicz, wzruszył ramionami. — Mnie ani zezwalać, ani zakazywać. Ot, nie radzę, poniszcy się wszystko i tyle... Ogrodzenie nie pomoże. Zima i śniegi zasypią wysoko, dzik przelezie, zbuch-tuje, wyrwie, młodzież płowa ogryzie...

Stał rozkraczony, szeroki, z łbem spuszczonego, jakiś bardzo ponury i bardzo zarazem nieszczęśliwy. Ferycki słuchał uważnie, nie podobały mu się te wróżby. Zwierzynie też można niejedno ułatwić, pomyślał. Można by się nie upierać, ostatecznie gdzie indziej jeszcze więcej miejsca znajdzie się pod plantacje. Ba, gdyby nie ten czerwony odcień, naturalny, nie fałszowany. Pomykało stwierdził, a stary zna się na tym jak nikt, iż gdzie indziej tego koloru się nie uzyska. Próbowali przecie, po roku czy dwóch sadzonki przybierały normalną barwę. Właśnie ten czerwony kolor pędów to była gratka, kto wie, może największa szansa całego projektu. Opór Bejnarowicza kładł całą historię.

Spojrzał na rybaka. Spod opuszczonej głowy i on ślepił za nim oczyma. Nagle drgnął, wyprostował się, ze zdumieniem zobaczyli w jego wzroku przeblysłk czegoś ciepłego i radosnego. Bejnarowicz obrócił się, patrzył teraz w przeciwną stronę, na drogę do nadwątłego mostku. Dopiero i oni usłyszeli warkot motoru. Zaraz wyłonił się motocykl z przyczepą, efektownie zatoczył koło.

- Przepraszam, przywitam dzieci — zaburczał rybak, przy tych słowach niżej teraz uchylił kaszkietu niżeli uprzednio. Zaraz ciężkim krokiem ruszył ku nowym gościom.

- Zakochany w dzieciach nieprzytomnie. Znają go z tego... Przyjechał Pietrek, jest i jego siostra, trzeciej, tej dziewczyny, to nie znam. Co to za zjazd rodzinny? Pietrek

110

przecie w Kortowie pod Olsztynem, kończy wydział rybacki...

- Pojutrze ten proces, za świadka jest. Przechwycił tego bandziora — kierowca spieszył z informacją.
- Prawda, zapomniałem. — Ferycki palnął się w czoło. — No, idziemy do nich. Może stary będzie teraz łaskawszy, gdy tak rozradował się dziećmi.
- Moja narieczona — przedstawiał Pietrek Felę.
- Siostra — uzupełniał, wskazując Różę.
- Proszę wszystkich do chaty, zimno tu, patrzeć tylko, jak ściemnieje — w rybaku odezwało się poczucie gościnności.
- Zaraz, zaraz panie Bejnarowicz, bo się nam naprawdę śpieszy. Musimy jechać. Więc jak, absolutnie nie zechce pan nam dopomóc? Liczyliśmy na pana, tymczasem tak pan staje okoniem...

Patrzył chwilę na Feryckiego, przeniósł spojrzenie na Kraszewicza, dostrzegł potakujące kiwnięcie głowy ogrodnika, zamachał ręką.

- Niech już będzie. Ale żeby tylko ogrodzić. I niechby zrobili przejście od tamtej strony. Żeby mi tu nieporządków nie było. Bardzo nie lubię...
- Przy zakładaniu plantacji też pomoże nam pan, doradzi? — kuł przewodniczący nie ostygłe jeszcze żelazo.
- Niech już będzie, niech już tak będzie... To do chaty nie łaska?
- Pora nam jechać.
- Panie Ferycki prosimy — wystąpił młody Bejnarowicz.
- Innym razem. Po dyplomie, zgoda?

Maniek zapuszczał już motor. Nad trzcinami, wierzbą, nad rybakówką i głowami zebranych zgęstniały cienie, sycące się zapadającą gwałtownie czernią. Oстрыm zgrzytem wdarty się w nią światła reflektorów samochodowych.

Bejnarowicz stał długo, spoglądając na oddalającą się Daszynę.

- Tatku — szarpnęła go Róża za ramię. Wtedy się ocknął, zawrócił w kierunku domu.

111

.

Dziewczęta zadomowiły się w głównej izbie rybakówki, Pietrek wyszedł za ojcem do kuchni. Widział ciepłe błyski w twarzy nie ogolonego, lekko przygarbionego mężczyzny. Uśmiechnął się serdecznie.

- Nie spodziewałeś się mnie dzisiaj?

— Myślałem, przyjedziesz jutro... Róża także miała się zjawić dopiero rano. Coś mi jednak chodziło po głowie. W magazynie jest dla was ryba, sandacz i węgorz. Zostawiłem na wszelki wypadek, przydadzą się...

— Fela uwielbia ryby.

Bejnarowicz przyjrzał się synowi uważnie.

— Tak już zostanie? — zapytał. — Wygląda na porządną dziewczuchę.

— I jest... Cieszę się, że i tobie się Fela podoba... Róży chłopak też pocziwiec, choć go przyłożyć do serca. Jedzie rowerem, powinien tu zaraz być.

— Rysiek?

— On. Mógłbym ryzykować i władować go do przyczepy wraz z Różą, ale amortyzatora nowego ciągle nie mogę znaleźć. Bieda z częściami.

— Nocujecie?

— My z Ryśkiem wdrapiemy się na stryszek, dziewczyny zostaną na dole. Nie masz nic przeciw temu?

Stary nie odpowiedział, uważając sprawę za skończoną. Przysiadł teraz na niskim zydłu, wyciągnął przed siebie nogi w ubłoconych buciorach. Wyglądał na zmęczonego. Pietrek, rozpalając pod kuchnią, przypatrywał mu się spod oka. Nie było to nazbyt dobre, iż zostawiali go na tym pustkowiu samego. Róża w mieście, on jeszcze dalej, w Olsztyńskim. Stary człowiek nie tylko, że ciężko pracuje, ale musi się sam zajmować także gospodarskimi sprawami. Jakież jednak byłoby inne wyjście? Żadnej pomocy ojciec nie zechce, za nic się na nią nie zgodzi, wprost chorobliwie nie znosi obcych, nade wszystko ceniąc zupełny spokój.

Zzymnął się na siebie samego. Stary. Czemu nazywa

112

ojca starym, w końcu ma on zaledwie pięćdziesiąt siedem, nie straszny wiek. Gdyby zadbał trochę o siebie, ubrał się staranniej, ogolił, od razu by inaczej wyglądał. Tylko że do tego się go nie namówi. Ma już takie nawyki.

— Przyniosę ci rybę z magazynu. Dziewczęta ją zaraz oskrobiają. Węgorza tylko solą dobrze przetrzeć, wystarczy..

— Posiedź, ja sam pójdę.

Nie słuchał, już był przy drzwiach, idąc tym lekko chybotliwym swym krokiem.

Pietrek opuścił ręce, stał patrząc na buchający pod płytą ogień. Z przyległej izby dobiegały pogłosy ożywionej rozmowy dziewcząt. Myślał ciągle o ojcu. On sam na studiach, Róża teraz, przed maturą, nie może jak uprzednio co dnia dojeżdżać. Ale co dalej? Dziewczyny nie można skazywać na zamknięcie w tej głuszy. Zechce pracować, bąkała też niedawno o medycynie. Jemu znów marzy się naukowa kariera, profesor stawia na to wyraźnie. Choćby to tempo w studiach. Ostatni rok, a

większość egzaminów ma już za sobą. Praca dyplomowa gotowa, po cichu przygotowuje już magisterkę. Zatem i na przyszłość rysuje się Kortowo, daleka od rodzinnego domu uczelnia. Chce ściągnąć tam Felę. Ojciec nadal zostanie sam. Lat będzie mu przybywało, w końcu wyczerpią się i jego niespożyte, jak dotąd, siły. Czy można go tak zostawić? Ale jakie jest inne wyjście?' Na przyjęcie czyjejś pomocy nie zgodzi się, nie zdecyduje się także na zamieszkanie przy którymś z dzieci. Już kilka razy podkreślał, że do ostatka swych dni zamierza tkwić w rybakówce. Tu mu lepiej aniżeli gdzie indziej. Pustka, ulubiona samotność... Jakże więc rozwiązać tę całą szaradę? Zawód uczynić profesorowi, stanąć na przekór swoim własnym zamierzeniom na przyszłość, marzeniom i tęsknotom, wrócić do domu, przejąc wylęgarnię, poszerzyć ją może, zakopać się w tej głuszy? A Fela? Czy zgodzi się na takie rozwiązanie? Wychowała się w mieście, wsi nie zna.

Podrzucił drewek, buchnęło mocniejszym płomieniem,, szczapy były smolne.

Z rybami w koszu wszedł rybak, za nim wtłoczyły się r°zdokazywane dziewczęta.

' Przejaśnia się niebo t. II

113;

— Pietrek, zostaw, to nasza sprawa. Fela, chwytaj sandacza, z węgorzami ja będę radzić. Ale jeszcze przedtem trzeba oskrobać ziemniaki.

— Poradzę sobie... Poszłybyście lepiej na spotkanie Ryškowi. Za jakiś kwadrans do pół godziny powinien tu być.

— Chyba dłużej pojedzie. Nie ma przy rowerze latarki, ktoś mu ją zabrał przed paru dniami. Wieczór piekielnie ciemny.

— Należałoby więc wskazać mu drogę — Pietrek mówiąc to mrugnął do Feli.

Róża nadąsała się:

— Dobrze wam podkpiwać, przyjechaliśmy motorem, a on się tłucze po ciemku. Mógłbyś Pietrek, wyjechać po niego.

— Chętnie, ale co z rowerem? Na motor przecie nie wsadzę.

— Prawda. To może niech zostanie, pomoże ci, ja sama skoczę mu naprzeciw.

Parsknęli śmiechem. O to jej zatem chodziło.

— Świetny pomysł, Róża, wspaniały!

Stary Bejnarowicz zakładał na głowę swój kaszkiet.

— Ojciec dokąd?

— Muszę jeszcze zajrzeć dziś do węgorni. Ciemna noc, może coś być. Żaki węgorzowe stoją też na przesmyku. Może co weszło. Na jutro prosili o więcej węgorza, transport się szykuje do Francji, brak ryby... Za godzinę, dwie wrócę...

— A co z kolacją? Ojciec zje przecież z nami...

— Jadłem niedawno na wodzie. Nie czekajcie na mnie. Zdążę, to dobrze, nie, też się obejdzcie. Zostawcie mi na przypiecku.

Pietrek wyszedł za nim do sieni i potem na dwór.

— Ojciec się gniewa na Różę?

— Nie. Tylko pomyślałem, że jeśli tak rwie ją do tego Ryśka, to czemu stawać dziewczynie na przekór... Słuchaj, tam u nich podobno bieda? Ta matka chora, mało zarabia, chłopak szarpie się, by jej pomóc. Żeby tak o nich pomy-

114

śleć, jak ci się zdaje? Ryby trochę podzucić, może jeszcze inaczej...

Pietrek złapał mocniejszy oddech. Przeglądał rękaw poplamionej, pachnącej rybami kurtki ojcowskiej.

— Po tym procesie, a może jak się zjawię następnym razem, zimowe ferie już niedaleko, musimy pogadać, co będzie dalej. Nie możemy przecież zostawić cię tutaj samego. Gdybyś tak do Kortowa się przeniósł wraz z nami. Mam obecnie mieszkanie. Praca też by się znalazła, gdybyś miał ochotę. Uczelnia leży tuż nad jeziorem, prowadzimy tam doświadczenia.

— Zostaw, Pietrek. Myślcie o sobie, mnie tu dobrze. Ja ludzi nie chcę. Na mnie już pora, z żakami będzie trochę roboty... A dla Róży, Pietrek, bądź dobry.

Krępa, przysadzista sylwetka z blasków rzucanych przez okna przesunęła się w mrok podwórza, stopiła się bez reszty z czernią wieczoru. Uszu Pietrka dobiegały jeszcze tylko odgłosy powolnych, mocno stawianych kroków, aż i one zatoneły w ciszy, nie głużonej monotonnymi podmuchami wiatru.

Zamyślony wrócił do Feli. Wyczuła jego nastrój. Zajrzała mu w oczy.

— Stało się coś, Pietrek? Miałeś przeprawę z ojcem? Może o mój tu przyjazd?

Przygarnął ją serdecznym ruchem, przeglądał po włosach, inaczej niż ojciec Różę, miękkimi, łagodnymi ruchami.

— Nie, Fela... Żadnego starcia. Myślę o czymś innym. I Róża, i ja wyfruniemy najpewniej w świat. Co wtedy z nim będzie? Sam tutaj, na odludziu, strzeż Boże jakaś choroba, nim się kto dowie... Zarazem wyrwać go stąd nie można, wróść w ten krajobraz.

— Ładnie tu, ale bardzo smutno. Zwłaszcza teraz. A tamto, nie martw się, na pewno znajdzie się rozwiązanie, czasem trzeba po prostu umieć odczekać, zwłaszcza gdy ^c jeszcze nie nagli. Cieszymy się, że jesteśmy znów razem.

Wtedy klęliśmy, że bandycki napad zmarnował nam °statnie własne godziny. Teraz mamy rekompensatę. Tyle

że nie chcę myśleć o tym pojutrzejszym procesie. Sąd doraźny. Ponura historia. Chłopak niedawno skończył osiemnaście lat, jego kompan jeszcze niepełnoletni.

Wzruszyła ramionami,

— Przeczulony jesteś, każdą sprawę od razu bierzesz do serca. Musiał wiedzieć, co robi, i na co się naraża... Pocałuj lepiej, Pietrek, bardzo się za tobą stęskniłam. Pisałeś tak rzadko.

Wykombinował jakąś latarkę. Z daleka już widziała jej migocące światełko, dotarła bowiem aż do skrzyżowania bocznej drogi z główną szosą wiodącą od miasta, do ostatka nie była jednak pewna, czy to Rysiek tak pedałuje zawzięcie. Otulała się szczelnie płaszczkiem, wiatr był mocniejszy na otwartej przestrzeni, zębem wciskał się za podszewkę.

— Rysiek!

Zdarł hamulce, aż zapiszczało.

— Skąd się tu wzięłaś?

— Tak długo cię nie było.

— Musiałem jeszcze trochę dopomóc matce, potem za to rwałem jak wariat. Spójrz, jak się spociłem — chwycił jej dłoń, pakując ją sobie za kołnierz. Naprawdę był mokru-teńki.

— Za karę, że tak zamarudziłeś, nie pozwolę się pocałować. Przez całe pięć minut.

— Rózo, bo się rozplącę.

— Więc jeden raz tylko... Rysiek, miało być raz!

— I było. Rozdzieliłem na raty.

Przytuliła się ciaśniej. Siedzieli w milczeniu. Z cichym szelestem przeleciał nad nimi nocny ptak. Róża wzdrygnęła się, przygarnęła jeszcze mocniej do chłopca. Gdzieś za zaciszem miejsca chronionego przez gęstwę świerszczyny wznosił się wiatr, mocnym poszumem niósł się szczytowi-nami drzew.

— Nie lubię jesieni. Zawsze wtedy tęskno mi jakoś i smutno. Wydaje mi się, że jakaś groza, coś bardzo złego

czai się na mnie w pobliżu, coś nie nazwanego, bez cienia nawet, ale tym bardziej złego i niedobrego. Dobrze, że jesteś tu ze mną. Pomyśl, wyrosłam, wychowałam się na tym półwyspie, każdy kąt rybakówki znany mi tak, iż trafiłabym po ciemku. Wspomnienie matki, serdeczność ojca, wszystko co najlepsze wiąże się dla mnie z tym miejscem. Na pewno istnieje jakiś sentyment, w pierwszych chwilach, gdy tu przyjeżdżam cieszę się, jest mi swojsko. Dopiero później napływa tęsknota, zjawia się uczucie jakiegoś osaczenia. Może to pustkowie tak wpływa? Drzewa, powykręcane na bagnach krzewy, trzcina zdająca się nie mieć końca, gęstwa sitowia i tatarak bijący zapachami znad brzegu, jest w tym coś bardzo smutnego. Dziś też doświadczam tego uczucia. Czasem wydaje mi się, że zna je

również Pietrek, że osaczało ono za życia matkę, że ojciec także wie o tym. Nie umiałabym ci nawet odpowiedzieć, naprawdę lubię to miejsce, czy po prostu wmawiam to sobie.

— Jesteś zmęczona, ostatni rok, matura przed tobą, uczysz się dużo i nie dosypiasz. Stąd takie odczucia. Przecież tutaj jest bardzo ładnie, nawet teraz, jesienią. Ja tu zawsze się cieszę. To mi wytwarza wokół ciebie jakąś cieplejszą aurę. Myślę sobie, tutaj musiałaś biegać jako malutka dziewczynka, wdrapywałaś się na drzewa, zadziwiona, z paluszkami w buzi, stałaś nad złowioną przez ojca ogromną rybą, może kiedyś wsadziłaś palec szczupakowi do pyska... Nie powinnaś się przejmować nastrojami, przeminą, nastanie spokój. A dzisiaj? Chyba ta noc, wietrzna, ciemna, z goniącymi po niebie groźnymi chmurami.

— Może... Słyszysz, tam daleko psy ujadają w wiosce. Nie wiem, skąd się we mnie to wzięło, przecież lubię zwierzęta, ale nie znoszę psów, ich naszczeku, ich wycia. Może odziedziczyłam tę niechęć po matce? Ona straszliwie nienawidziła psów. To było już chorobliwe. Kiedyś zjawił się leśniczy z potężnym wilczurem, jakaś służbowa sprawa do ojca. To zdarzyło się dawno temu, miałam może lat sie-dem> najwyżej osiem, a zapamiętałam tę scenę tak intensywnie, jakby nadal rozgrywała się przed moimi oczyma...

rwiała, uczuła, jak się garnie do niego. Przykryła dziewcz-

117

czynę swym płaszczem, delikatnie przygarnął ramieniem. Miał wrażenie, iż Róża drży.

— Matka w pierwszej chwili nie zauważyła psa. Rozmawiała z leśniczym, informując, gdzie mógłby odnaleźć ojca. Pies się poruszył, wtedy go dostrzegła. Widziałam wyraz jej oczu. Zolbrzymiały, stały się wielkie, straszliwie wielkie w jakimś strachu i nienawiści. A zarazem oczy te były nieobecne, jakby widziały i nie widziały i tego wilka, i leśniczego, i mnie pałętającej się w pobliżu, jakby patrzyły gdzieś bardzo daleko, albo w coś bardzo dawnego. Podniosła ręce ku twarzy, ale palce oczu nie przesłoniły, ciągle widziałam te oczy, widział ich wyraz zaskoczony leśniczy...

-r- Pani Bejnarowiczowa, co pani? Mucha spokojny pies, nic pani nie zrobi... Dokąd pani ucieka, czego się pani boi?

A matka cofała się, nie krokami, ale jakimiś drobnymi posunięciami, wyczuwalną w każdym ruchu obawą, że pies rzuci się na nią. Leśniczy zorientował się, gwizdnął, wyprowadził wilczurę za dom, kazał warować, dopiero wrócił, przepraszając i uspakajając matkę... Ojciec zawsze strzegł naszego obejścia przed psami. Odkąd sięgam pamięcią, nie posiadaliśmy żadnego. We mnie to też istnieje, ten strach. Szczekają daleko w wiosce, a ja tutaj się boję.

— Głupstwo, zaraz ci minie. Kundle wyczuły pewnie jakiegoś zająca czy dziką, poszczekują, przestaną. Pójdziemy chyba?

— Nie, nie, posiedzimy chwilę, Rysiu... — Cała napięta była nasłuchiowaniu. Szczekanie urwało się, poza poszumem wiatru nic więcej nie zamącało ciszy. — Mija mi już... Przepraszam cię, egzaltacja, zwariowane nastroje, chorobliwa nerwowość, ja wiem, nie próbuj tłumaczyć. Ale to jest silniejsze ode mnie. Podobnie jak te dziwne lęki, przecucia, ciągły stan napiętego wyczekiwania na jakieś zło, które ma nadejść. Bzdura, na pewno, ale silniejsza ode mnie...

Gdy po dłuższej chwili milczenia odezwała się znowu, w głosie jej był ton rozkapryszonego, ale i zaniepokojonego dzieciaka:

118

— Jak ty, Ryśku, możesz kochać mnie taką? Tyle jest normalnych dziewcząt wokoło, że też mnie akurat wybrałeś?

Nie odpowiedział, przygarnął ją tylko mocno, ale zawsze po swojemu, bardzo zarazem delikatnie, łagodnie. Ta łagodność ją w nim ujęła.

Górą niosły się powiewy wiatru, szeleściły szpilki świerkowe, z chrzęstem otarły się czasem o siebie konary, od łąk zakwilił jakiś ptak, poszyciem przetoczyło się coś z fur-kaniem. Ogarniało ją poczucie spokoju, pewności i bezpieczeństwa. Jednak ten las na swój sposób był jej bliski, potrzebny, nie sama przecie obecność Ryśka, obejmujące ją jego ramiona, wytwarzały ten nowy nastrój. Może po prostu jest przemęczona, w nauce wiele wypracowywać musiała ogromnym wysiłkiem, może to okres dojrzewania tak wpłynął na wzmożenie pobudliwości nerwowej. Koleżanki poszeptywały, że i coś jeszcze...

Musiał myśleć o tym samym, tak dziwnie zgadzały się jego słowa z jej odczuciami sprzed chwili.

— Mama moja bardzo cię polubiła, Rózo. Od pierwszego waszego spotkania na wrześniowej zabawie.

— Nie wieleśmy się razy widziały. Byłam u was raz na obiedzie, parę wspólnych spacerów, to wszystko.

— Widocznie jej to wystarcza. Matka ma intuicyjne wyczucie ludzi... Rozmawiamy zresztą wiele o tobie. Ja się przed nią z niczym nie kryję. Może to dziecinne i śmieszne, ale dobrze mi z tym. Widzisz, sami byliśmy z sobą, ojciec pozostał w Anglii. Życie nie układało się nam najlepiej, biło ciągle po głowie. Ratowała nas tylko ta spójnia wewnętrzna... Zresztą, niepotrzebnie ci się chyba tłumaczę. Znasz matkę, znasz mnie... Jej się wydaje, że jesteś po prostu słaba, organizm zaś reaguje na to wzmożoną nerwowością. Powinnaś się poradzić lekarza. Te sprawy łatwo mijają. Nie gniewaj się, Rózo, ale jakż sens w tak silnym Przezywaniu byle poszczeku, w poddawaniu się nastrojom 1 Przewidzeniom? Nerwice dziś łatwo się leczy.

Masz rację, na pewno — potrząsnęła głową w przy-Ptywie energii. — Rysiek, zgadzam się z tobą, ale zostaw

119

to dzisiaj. Teraz mi dobrze, już jestem spokojna, chcę zapomnieć o wszystkim co przykre.

— Jeśli nie będzie padało, musimy jutro wybrać się łódką na wodę. Jesienią toń jest tak bardzo przeźroczysta, wzrok sięga głęboko, widać niekiedy dno.

— Dobrze, Rysiek. Wiatr jest, fala będzie biła o brzegi. Pojedziemy na zachodni cypel naszego półwyspu, tam jest piaszczysty brzeg, lubię przy nim przystawać...

Urwał jej w pół zdania, w głosie jego zabrzmiał ton nowy, gwałtowny.

— Róża, ciągle myślisz o medycynie?

— Jeszcze nie wiem... Chciałabym. A czemu pytasz?

— Gdy tak mówiłaś o wodzie, o lesie, przyszło mi na myśl, że mogłabyś też wziąć się za pedagogikę. Skończyłabyś w rok po mnie. Moglibyśmy wystarać się o szkołę gdzieś na wsi, może nawet w pobliżu tej rybakówki, miałabyś blisko ojca, znaleźlibyśmy sens naszej roboty, mielibyśmy zarazem w wolnej chwili jezioro, las, a psów już byś się wcale nie bała... I jeszcze jedno, bo, widzisz... widzisz, Róża, myślę czasem o dniu jutrzejszym. Medycyna, to któreś z wielkich miast, musiałabyś od nas wyjechać. Nie wiem, czy mógłbym jechać z tobą, wiesz, urządzenie się jakieś, mieszkanie, praca, matka też już się przywiązała do naszej miejsciny... Byłoby bardzo smutno, tyle lat, daleko od siebie, bałbym się, byś tam o mnie nie zapomniała...

— Ryśku, o to chyba możesz się nie bać. Zresztą ja z kolei bałabym się o ciebie... Może masz rację, niekiedy myślałam o nauczycielskiej pracy, i właśnie na wsi jakby na przekór tym moim smutom i lękom... Ale bardziej marzy mi się medycyna i większe miasto. Niekoniecznie z tych największych, niech będzie takie średnie jak nasze. Ale miasto. Więc nie wiem, jakie tu znaleźć wyjście.

— Byłoby tylko jedno. Musiałbym jechać za tobą z całym swoim bagażem. Ale pewnie tęskniłbym też do tych stron. Wiesz, tu wyrosłem i dojrzałem, w tym okresie życia widzi się wszystko wokóło najintensywniej, najostrzej, chyba też najsilniejsze rodzą się antagonizmy

120

i przywiązania. Ja już bardzo związałem się z miastem, z tą nową jego uczelnią, ze wszystkim. I to jeszcze, że także ty stąd pochodzisz. Polska niby jest wszędzie ta sama, ale mnie tu wydaje się najładniejsza, najbardziej ciekawa. Co to? Wołają nas, musieli się znecierpliwic oczekiwaniem...

— Idą w tę stronę. Pocałuj szybko, teraz mocno, zanim nadejdą.

— Róża, Rysiek, hop, hooop! Hop, hooop!

— Odezwijmy się. Fela, Pietrek, hoop hooop!

— Nareszcie, gdzieście się podziewali? Baliśmy się, że stało się wam coś — cienie ich wyłoniły się tuż przy drodze, ledwo dające się wyróżnić z ciemnego tła jałowców. Pietrek usiłował nadać gderliwy ton swemu głosowi, ale wcale mu się to nie udawało.

— Bardzo wam nas chyba nie brakło, prawda, Fela? — uśmiechnęła się Róża.

— Co najgorsze, że z kolacji będą już chyba nici. Przedtem przypaliliśmy kartofle, potem węgorz tak się wysmażył, że w masie tłuszczu ledwie widać go na patelni. Sandacz wprawdzie przygotowany do smażenia, ale w czasie naszej nieobecności koty go pewnie zeżrą — perorował Pietrek.

— Tego można było się po was spodziewać — westchnęła Róża.

3.

łapie siebie na nerwowym bębnieniu palcem w parapet okna, przy którym stoi, wyglądając na ulicę. Niewyraźną, rwącą się nitką wyłania się wspomnienie z bardzo odległych lat. Ciotka Gizelda. Na samym początku — władza Polska jeszcze zaledwie się formowała — rządy sprawowała radziecka komendantura. Ciotka tam pracowała w charakterze tłumaczki... To chyba był wieczór, deszcz albo wichura. W pokoju niedobry nastrój, zwarzone słowa,

121nie dopowiedziane, wiszące kamieniem. Matka przy stole z jakąś robótką, dziadek jak zawsze pod piecem. I ciotka. Stała przy oknie, tak samo bębniła palcem w drewniany parapet. Za oknem nie mogła niczego zobaczyć, nasłuchiwała tylko. Matka ślepiła za nią dziwnie czujnymi oczyma. Nienawidziły się. Wtedy nastąpiły te wybuchy, jakaś akcja sabotażowa. Ciotka Gizelda drgnęła, twarz jej rozjaśnił zły uśmiech. I zaraz opanowała się, zaprzestała postukiwania, przybrała minę obojętną. Matka jednak musiała coś wiedzieć albo przeczuwać. Gdy siostry zmierzyły się wzrokiem, Christine uśmiechnęła się ze zjadliwym triumfem...

Oderwała się od okna. Głupie wspomnienie. Może poza nim kryje się nie wyjaśniona tajemnica śmierci ciotki Gi-zeldy z wojskowego wyroku radzieckich sądów polowych. Wojna wszak jeszcze trwała...

Długo coś ten chłopak nie przychodzi. Telefonował wczoraj, zapowiedział się na jedenastą. Miał głos taki dziwny, jak by się zmuszał do prośby o to spotkanie, jak by to czynił wbrew sobie. Czyżby coś w nim wzbierało, dojrzewało posiew?

Uśmiechnęła się, przysiadając na nowoczesnej kanapce, obitej ciemnobordową tkaniną. Byłby to niespodziewany, zaskakujący sukces. Jeżeli rzecz w ogóle leży w kategoriach sukcesu. Bo po co w ogóle to czyni, po co się babrze w tych sprawach? Schadenfreude? W stosunku do kogo czy czego? A może tylko gra, zwykła zabawa na psychologiczno-narodo-wościowej nucie? Kto okaże się w kartach mocniejszy?

Uśmiechnęła się po raz drugi, przez moment miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Nie wiedzieć czemu śmiech ten tak drażnił jej brata... Marzy o sukcesie, o wygranej grze. Tymczasem, jak dotychczas, nie ma ku temu żadnych przesłanek, raczej rysuje się wszystko odwrotnie. Wczorajszy telefon nie ułatwia przecież niczego. Cóż z tego, że przychodzi? Nie wiadomo, co będzie miał w zanadrzu. Sam, bez siostry? To najwyżej zaciekawia w całej historii. Może jednak cofnął się, zrezygnował, zabrakło mu odwagi

122

w ostatniej chwili? Już blisko dwadzieścia minut spóźnienia. Inna rzecz, polska to wada, wszyscy się spóźniają i wszędzie. W niemieckiej organizacji nie wytrzymałoby z tą cechą, zalałaby ich tamtejsza punktualność, przestrzegana co do minuty.

Przyjdzie, nie przyjdzie? Gdyby miała pod ręką kwiat stokrotki, mogłaby bawić się w zgadywanek przy obrywaniu płatków.

Z obu poprzednich spotkań zachowała w pamięci każdy szczegół, łącznie z najdrobniejszym grymasem twarzy, z mrugnięciem powieki. Dziewczyna bardziej panowała nad sobą, ale ten chłopak był zupełnie otwarty, trochę na domiar naiwny.

Pamiętała o zleceniu przypadkowo spotkanej w Niemczech kobiety. Nie znała jej nigdy, tamta jednak skądś musiała ją zapamiętać, potem odszukać. Może poprzez Związek Przesiedleńców? Nie zamierzała wszakże bliżej zaprzętać sobie głowy tą sprawą. Wina była po stronie matki. Nie zostawia się dzieci ludziom obcym, wrogom na domiar, i nie wyjeżdża. Pewnie, że muszą potem trafić wyrzuty sumienia. Kto wie, czy rzecz nie podpadałaby nawet pod jakiś paragraf karny? Planowała sobie, że zajrzy do ogrodnika krótko przed swoim wyjazdem z Polski. Parę informacji i tyle. Sprawa była przesądzona, w swoim czasie mówiło się o niej w domu Srodów dość głośno.

Przypadek, chwila znudzenia, nagły przyptyw energii, coś jednym słowem sprawiło, że wybrała się do Pomy-kałów znacznie wcześniej, zaraz w drugim tygodniu po przyjeździe, jeszcze przed wypadem do Szczecina i później Wrocławia. Może dobrze się stało, te oba wyjazdy nie wpłynęły na nią pobudzająco, zabrakłoby jej najpewniej ochoty do dalszego tropienia niemieckich losów na tej ziemi, tak gwałtownie stającej się obcą, odrzucającą niemieckie ślady jak przypadkową narośl...

Stary ogrodnik pracował w którejś z dalszych cieplarni, żona skierowała ją bezpośrednio do syna. Tak powiedziała: ..Syn panią obsłuży". Normalnie zabrzmiały te słowa w jej ustach.

123

Kupowała goździki, krwiste czerwienią, przyglądając się chłopakowi. Rosty, szczupły, o jasnej czuprynie, opadającej na oczy. Odgarniał włosy albo szybkim ruchem dłoni, albo energicznym podrzuceniem głowy. Wyglądał na więcej niż siedemnaście lat. Musiał zauważyć zainteresowanie elegancko ubranej klientki swoją osobą, uśmiechnął się leciutko pod nosem. Nie wiedziała, jak ma zacząć rozmowę, ale ten uśmiech podrażnił ją. Patrzenie no, co się szczeniakowi zwiduje. Zaraz go osadzi, długo nie będzie mógł się potem pozbierać.

— Pan ma na imię Jan, prawda? A siostrzyczce zdaje się Katarzyna?

— Skądże pani to wie? Matka mówiła?

Teraz ona drgnęła, nim zorientowała się, iż zachodzi tu wyraźna pomyłka w osobach. Obydwoje zupełnie kogo innego mają na myśli.

— Tak. Matka. Trafnie pan zgadł. Ta prawdziwa matka... — wolniutko wyrzucała słowa, ciekawa efektu, jaki wywrą.

Wyprostował się, na twarz mu wybił rumieniec. Opanował się jednak.

— Nie bardzo rozumiem... Pani jest cudzoziemką? — ogarnął uważniejszym spojrzeniem jej ubiór. — Dziwnie pani to powiedziała.

— Dlaczego? Pytał pan, skąd znam wasze imiona, dałam odpowiedź.

— Ale okrutną. Tak się składa, że ja i Kaśka znamy prawdę. Rodzice jej nie kryli przed nami. Bo to jeszcze przed panią znaleźli się tacy gorliwi, którzy zaczęli nam przygadywać, że jesteśmy bękarty czy znajdy, że Pomyka-łowie to przybrani rodzice... Siostra mocno to przeżywała. Szczęście, iż rodzice wykazali dużo taktu i miłości, pokazując prawdę bezboleśnie. Tak, jest pani okrutna. Świadomie próbowała pani wymierzyć ten cios. Chybił. Wystarczy? Pragnęła pani, zdaje się, dziewięć goździków? Proszę. Pieniądze można zapłacić mamie. Ja bardzo się śpieszę, mam dużo pracy.

— Chwileczkę. Nie ciekawi pana nic z tego, co powiedziałam?

— Nie wierzę pani.

— Przyjeżdżam prosto z Niemiec. Z Republiki Federalnej — uzupełniła.

— W to nie wątpię — zareplikował.

— Przed wyjazdem widziałam się z pańską matką. Rozmowę z nią później powtórzę. Jeżeli pan zechce. Teraz co najwyżej zapytam o jedno. Odrzuca pan z miejsca moje słowa, z góry zadając im kłam. Nie zastanowiło pana jednak, że może warto, abyście i siostra, i pan poznali całą prawdę? Może wtedy jakaś cieplejsza nutka zrodziłaby się w panu dla tej prawdziwej matki, znalazło usprawiedliwienie, dlaczego musiała tak a nie inaczej postąpić?

Stał niepewny, ze wzrokiem wbitym w piasek cieplarni, na obliczu jego czytała wysiłek intensywnego myślenia. Dorzuciła ostatni argument.

— Ja swoje właściwie już wypełniłam. Wystarczy mi tyle, czego się dowiedziałam o panu i siostrze. Reszta zależy od was. Moje nazwisko nic wam nie powie. Jestem z rodziny Srodów...

— • Tych od stolarni?

— Tak. Wiktor Środa jest moim dziadkiem. Zatrzymałam się u niego. Będę tu jeszcze jakiś czas. Jeżelibyście chcieli usłyszeć coś więcej, porozmawiać, proszę bardzo. Będę na was oczekiwała: po uprzedzeniu telefonicznym.

— A pan Jan Schirmer?

— To mój rodzony brat. Ja z domu też jestem Schirmer. Po mężu natomiast Gottlieb. Gertruda Gottlieb... Dziękuję za goździki i za rozmowę.

Wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją wyraźnie niechętnie. Gdy szła potem przez ogród ku wyjściu, czuła na sobie nieprzychylnie spojrzenie, jakim ją odprowadzał; wtedy też spłynęła na nią pewność, że młodzi zjawią się na rozmowę. Będą musieli się zjawić. Mogą to odwlekać, dzień, dwa, wewnętrzna konieczność narastając przełamie w końcu opory...

Zjawili się dokładnie na trzeci dzień. Jan właśnie był

w domu, gdy Pomykało zadzwonił, odebrał telefon. Wyraźnie zdziwiony, przekazał słuchawkę siostrze, nasłuchiwał rozmowy.

— Ty czego chcesz od nich? — zwrócił się do niej gwałtownie, gdy już odwiesiła słuchawkę.

— Czego? Matka ich przed moim odjazdem prosiła o zobaczenie się z dziećmi. Spełniam daną jej obietnicę.

Przyglądał się siostrze przez długą chwilę, marszczył czoło.

— Gerta, jednego wymagam. Żebyś nie wyprawiała tutaj żadnych historii Pamiętaj, istnieją pewne granice.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

Tamci przyszli o umówionej godzinie. Nieśmiali, niepewni, ale zarazem buńczuczni i nastawieni wyraźnie wrogo. Nawet ją to bawiło, w końcu nie ryzykowała niczym w tej grze, a miała też jakieś atuty w rękę.

Katarzyna, starsza od brata o niecałe dwa lata, od pierwszej chwili zaimponowała Gercie opanowaniem, idealnym niemal spokojem. Czasem tylko drgnienie warg czy odruchowy lekki ruch dłoni zdradzały siłę wewnętrznego przeżycia.

— Uznaliśmy z siostrą, że jednak ma pani rację. Nie można od niczego uciekać. Nawet, wtedy jeśli czyjeś ucieczki zaznało się w stosunku do siebie samego.

— Filozofuje pan, nieudolnie na domiar. Na wyrost przy tym, bo wszakże nie wie pan, co mam przekazać i co zrelacjonować.

— Dla takiej oceny wystarczy mi tyle, co wiem.

— Zostaw, Jasiek. Pani czyni nam uprzejmość, a ty odpowiadasz gburowatością — osadziła go z miejsca siostra. Zamilkł, przypatrywał się tylko obu kobietom intensywnie błyszczącymi oczyma.

Umieściła ich na bordowej kanapce, sama siadając na krześle dokładnie naprzeciw. Paląc papierosa układała w myśli plan wystąpienia. Sprawa z nagła zaczęła nabierać dla niej szczególnego posmaku, nie była już tylko grzecznością do załatwienia dla nieznannej kobiety.

126

Czekali spokojnie, w napięciu śledząc dym unoszący się z papierosa.

— Dla wyjaśnienia. Matki waszej nigdy przedtem nie znałam. Spotkałyśmy się tuż przed moją podróżą, musiało widocznie się rozejść, iż wyjeżdżam do Polski, na ziemie znajdujące się pod czasową administracją...

— Omyłka. Tu jest na zawsze Polska — rzucił się chłopak.

— Jako Niemce pozwoli mi pan zachować mój własny punkt widzenia... Otóż wieść o moim wyjeździe rozeszła się, możliwe, iż poprzez miejscowy oddział Ziomkostwa Pomorzan. Tak się złożyło, iż na dzwonek sama otworzyłam drzwi któregoś ranka. Ujrzałam kobietę dosyć skromnie, choć ze smakiem ubraną. Wpatrywała się we mnie uporczywie, po czym powiedziała:

— Panna Schirmer, prawda? Ja panią znałam z widzenia, wszyscy w naszym mieście panią znali...

Nie przypominałam jej sobie, poprosiłam, aby weszła do środka.

I wtedy zaczęła swoją opowieść... Sprawę znałam, głośno było jakiś czas o niej wśród tutejszych Niemców, także i w domu mojego dziadka Mittwocha, przepraszam, Środy... Tak mi się powiedziało to nazwisko z niemiecka... Matka państwa prosiła, aby odszukać jej dzieci, wy badać, jak im się

wiedzie, zobaczyć, jak wyglądają, jak układają swe życie. Zarazem zaś, aby przekazać im pozdrowienia od matki, która pamięta, tęskni, niejedną łzę wyplakała...

■— Boję się, że mocno już poniewczasie.

Zastanowiła się, czy był w tych słowach bardziej bezwzględny dla matki, czy dla siostry i siebie.

— Byliście obydwójce zbyt mali, by móc posiadać własne zdanie o całej tej sprawie. Relacje natomiast postronnych bywają tendencyjne... — urwała, obserwując, jakie wrażenie wywrą te słowa.

Tym razem dziewczyna odparowała atak, nazywając intencje jej po imieniu.

— Przede wszystkim interesuje mnie, dlaczego pani zależy, by wzbudzać w nas niepokoje, prowadzić do roz-

127

terek? Ale proszę, jeśli pani łaskawa, ukazać nam wobec tego całą rzecz w tych nietendancyjnych barwach. Bardzo proszę.

Gerta poczuła się teraz na śliskim gruncie. Co właściwie wiedziała o tej sprawie? Co na domiar mogącego podeprzeć jej słowa? Zapaliła nowego papierosa, myśl jej pracowała gorączkowo, szukając taktycznego wybiegu. Kto by się spodziewał, że ta dziewczyna będzie tak sprytna i inteligentna... Bo właściwie to ona ma rację. Ta cała Muller, ich matka, brała pełną winę na siebie, w stosunku do Pomykałów znając jedynie uczucie wdzięczności. Jak to wynikało z jej zwierzeń, dosyć miała wtedy wszystkiego, zrujnowanego miasta, władz rosyjskich, polskich i tych zakonspirowanych niemieckich, dosyć miała na koniec i dzieci, których nie bardzo czym miała wykarmić ani kiedy nimi się zająć. Ogrodnicy byli dobrzy, traktowali ją bardzo po ludzku, decydując się na ucieczkę, z największym zaufaniem powierzyła im dzieci. Ucieczka... Tak to określała, potem okazało się, że właściwą przyczyną nagłego wyjazdu był mężczyzna, jakiś działacz SA, któremu grunt palił się pod nogami. Kolejny jej kochanek, bo męża nigdy nie miała...

Spostrzegła się, że kończy palić papierosa i dotąd nie odpowiedziała dziewczynie ani jednym słowem. Oczy rodzeństwa utkwione były w niej bez ustanku, coś się zaczynało mienić w tych oczach.

— Tak — zgmiotła papierosa w popielniczkę. — Zamyśliłam się nad waszymi i nie tylko waszymi losami. Tu chyba nie pora ani miejsce, by mówić o przyczynach, które spowodowały konieczność szybkiego, nielegalnego zniknięcia pani Muller z miasta.

— Ach, Muller się nazywała?

— Tak, Muller... Dosyć, że musiała uciekać. Także i w waszym interesie. Dzieci nie mogła w tych warunkach zabierać ze sobą. Powierzyła je ogrodnikowi, u którego pracowała, i jego żonie. Mowy nie było tam o adopcji.

— Została po niej kartka, odręcznie pisana... Gdy rzecz wyszła na jaw, wygadali ją przed nami sąsiedzi, ojciec

128

i matka wydobyli tę kartkę, pokazywali. Ta pani Muller zostawiła nas, dobrowolnie skazując na los sierot. Szczęśliwy los sprawił, iż znaleźli się tak uczcwi ludzie jak Pomykałowie. Uznali nas za swoje dzieci, dali nazwisko, wszystko.

— Ale i swoją narodowość. Polską. Gdy wy jesteście Niemcami.

— Ależ...

— Niechże pan nie oponuje. Z punktu widzenia prawa na pewno tak. Ojciec i matka Niemcy, dzieci zaś ni stąd, ni zowąd Polacy.

W chłopcu coś się zagotowało. Podniósł się nagle z kanapki.

— Może ta pani Muller — mocny akcent położył na słowie pani — rzeczywiście kazała przekazać nam pozdrowienia. Dziękujemy, powodzi się nam wcale nieźle... Ale te pozostałe dodatki to już pani własna teoria. Może pani myśleć sobie, co chce, ale nie wolno jej nas obrażać...

— Jasiek — próbowała uspokoić go siostra.

— Może zbyt dosadnie się wyraziłam — Gerta wzruszyła ramionami, sięgając po trzeciego już papierosa. — Niemniej z urodzenia byliście obydwójcie Niemcami, tyle że was wychowano po polsku... Wasza sprawa. — Podniosła się teraz i ona. — Dobrze, przekazę pani Muller to wszystko. Wyobrażam sobie reakcję tej i tak już straszliwie nieszczęśliwej kobiety. Jedno pytanie na wszelki wypadek: czy gdyby zechciała do was napisać, podać swój adres, może to zrobić z nadzieją odpowiedzi?

— Pani wie, że nie w pisaniu sprawa — wargi dziewczyny drżały. — Pani przyście nie wniosło w nasze życie niczego dobrego. To samo powiedziała nasza matka, myślę o tej mamusce tutaj, Pomykałowej... Złe jest dowiedzieć się z nagła, że ma się dwie matki. W każdym razie wypełniła pani swą misję. Dziękujemy.

Zatrzymała ich jeszcze przy wyjściu.

— Gdybym okazała się wam potrzebna, proszę bardzo, zostaję tu jeszcze przez jakiś czas.

3 Przejaśnia się niebo t. II

129

Chłopiec obnażył wargi, zupełnie jak zły psiak. Twarz dziewczyny stężała.

Po ich wyjściu Gerta długo zastanawiała się, co właściwie tu zaszło. Dziewczyna miała rację: zasiała niepokój w ich sercach. Potrafią go w sobie stłumić, czy też będzie się on rozrastał, wiodąc ku jakimś zaskakującym decyzjom. Sprawdzianem może być to, czy przyjdą raz jeszcze. Chyba nie przyjdą, bo stałoby się to przyznaniem do przegranej.

A jednak nie była zaskoczona telefonem młodego Pomykały. Pomyślała tylko, ustalając spotkanie na godzinę jedenastą następnego dnia, że gra rozwija się według najlepszych reguł.

Obecnie nie była już tego wszakże tak pewna. Znów musiała opanować podświadomy ruch swoich palców, wy-pukujących coś monotonicznie na oparciu kanapki obitej cie-mnorbordowym sukniem. Za pięć dwunasta, a jego nie ma. Wykpił ją, wystrychnął na dudka. Czeka już godzinę na tego smarkacza.

Zabrakło mu odwagi, nie jest pewien swego, nie potrafi się zdecydować? Gdyby coś z zewnątrz mu przeszkodziło, byłby zadzwonił z usprawiedliwieniem i przeprosinami. Więc chyba przyjdzie?

Przyjdzie, nie przyjdzie, przyjdzie, nie przyjdzie, wy-bębniła palcami po lśniącem lakierze drewna. Zupelnie jak wtedy, w wiosenną noc czterdziestego piątego roku czyniła to ciotka Gizelda.

Kwadrans po dwunastej. Więc jednak nie przyjdzie.

Z pasją cisnęła papierosa do popielniczki. Pomykało okazał się mocniejszy od Mullera.

— Jutro wyjeżdżam do Gdańska na parę dni. Mamy montować wnętrza dla nowego domu towarowego. Duża robota, co najgorsze, że rysuje się piekielny pośpiech. Pomyśleli o nas pięć przed dwunastą.

— Gdańsk ja także mam w planach, ale ciągle jakoś odkładam... Byłam tam, gdy miałam sześć lat, ojciec mnie z sobą zabrał krótko przed wezwaniem do Wehrmachtu.

130

Jakieś sprawdzenie wrażeń dziecięcych, boję się, będzie znów wstrząsem.

— Gdańsk był całkowicie niemal zniszczony.

— Wiem, wiem, jak i to, oczywiście, że Polska z największym pietyzmem, z czcią prawie odbudowywała stare dzielnice, dźwignęła z ruin kościół Marii Panny, unowocześniła port. Nie musisz reklamować, widziałam to nawet w naszej telewizji. Na szczęście ukazano i drugą stronę medalu. Likwidowanie wszystkiego, cokolwiek -niemieckie. Osobliwy stosunek do tradycji tych ziem.

Wzruszył ramionami. Przestał już zwracać uwagę na szczególne reakcje siostry. Mimochodem jedynie zauważył:

— Wrocław zwiedzałaś z wycieczką licealną krótko przed maturą, a więc i przed wyjazdem z Polski. Mogłaś teraz na bieżąco zaobserwować, jak to naprawdę wygląda.

Zacisnęła usta. Wrocław sprzed pięciu czy sześciu lat i Wrocław obecny, w którym spędziła dwa dni, stał się dla niej zaskoczeniem. Niechętnie, przez zęby, z przekpiną, wygadała się jednak ze swymi odczuciami.

Wiktor Środa zaburczał ze swojego fptela ustawionego pod piecem. Nawet lampkę kazał sobie tam zamontować.

— A nasze miasto, Gerta, jak ci się teraz wydaje? U was tam lepiej czy gorzej z odbudową?

— U nas? Zapomnieliśmy już o tym...

— Aha. Bo tutaj ludzie pamiętają zbyt wiele. Nie umieją oderwać się od tego, co było wczoraj... Taki Misiaga na przykład...

— Dziadku, dość z tym Misiagą! Rozmawiałem z nim, machnął ręką, powiedział, że go poniosło.

— Od szwabów zwymyślał, a potem mówi, że go poniosło.

Cisza. Z przyległego pokoju dochodzi ciche pochrapywanie babki. Pielęgniarka już odeszła, Janaskowa krząta się po kuchni, niekiedy nadlatuje stamtąd brzęk garnków i naczyń.

Rodzinny nastrój, sielska atmosfera, myślał z wisielczym humorem. Dziadek z narodowościowymi obsesjami, nadobna siostrzyczka pokapująca nienawiścią, ale sztuczną

9*

131

jakąś, robioną jakby na pokaz, tak dla innych, jak i dla samej siebie. Bo pod tą sztuczną maseczką coś niby goryczka, poczucie przegranej. Właściwie tak naprawdę to wszyscy oni są sobie obcy. Dalecy odczuciami i myślami, różni najzupełniej w widzeniu tych samych zjawisk. A jednak lgną zarazem do siebie, coś ich przyciąga, z dziwną regularnością, gdy tylko czas na to pozwala, powtarzają się rodzinne sjeasty w stołowym pokoju, z dziadkiem pod piecem, z Gertą rozwaloną niedbale na bordowej kanapce, z nim wiercącym się na nie najwygodniejszym, zbyt „nowoczesnym” fotelu.

Ciszę przerwały słowa starego Wiktora. Ocknął się z krótkiej drzemki, przypomniał sobie:

— Gerta, mało mówisz o matce. Jak ona? Ma już teraz z pięćdziesiąt dwa lata. Prawie że starość — zabawnie zabrzmiało to w jego ustach. Głos był sepleniący, słowa meł niewyraźnie. — Jakaście zaczynały? Bo to u nas różne słuchy chodziły. Nie wszystkim podobno było tam łatwo.

Ściągnęła usta. To był dla nich czas upokorzeń. Dla matki i dla niej, może dla niej nawet bardziej. Ona wymusiła na matce ten wyjazd, dla niej ten okres był jednym ogromnym zaskoczeniem. Wbrew wszystkim sloganom okazały się tam niepotrzebne, jak i cała ta fala, która ruszyła z Polski w ramach akcji pięknie zwanej łączeniem rodzin. Wielka niemiecka rodzina spod znaku Adenauera z bliska okazała się wyzuta z sentymentów. Więcej, bo na domiar nieufna. Spoglądano krzywo na notarialny przekład jej maturalnego świadectwa. Ja, ja aber was wollen Sie denn bet uns? Henri dopiero załatwił później uznanie tego świadectwa. Praca? Nie brakło jej, ciągle był gwałt o ręce do pracy, ale tej najgorszej, źle płatnej, pośledniej. Inne były rezerwowane dla swoich. Mieszkanie? Proszę, szukajcie, jest tyle ogłoszeń. Tak, ale ceny przekraczały ich łączny miesięczny budżet... A potem te wszystkie wezwania na Sicherheitspolizei. Posądenia, nie dopowiedziane wyraźnie/ale jasne wszak aż do bólu. Polska matura, część rodziny tam pozostała, nawet rodzony brat, ach, so, on się

132

poczuł Polakiem, dziadek tak samo, z Mittwocha Środa, so, so unmoglich... Nie musiała im spowiadać się z tego wszystkiego, byli skądś zorientowani. Później częściowo przejrzała technikę zdobywania tych informacji. Przez Związek Przesiedleńców, przez poszczególne ziomkostwa.

To była jakaś konieczność, dziś widziała nawet wyraźniej, przemyślana dokładnie akcja. Wróciłaś z Polski, po tylu latach, pięknie, ojczyzna wita cię z otwartymi ramionami. Że trudno, że praca nieodpowiednia, złośliwości, podejrzenia nieomal obelżywe? No tak, sytuacja, specyfika, cała Federalna Republika to przyfrontowa strefa, Feind hört mit, hasło, które nie straciło aktualności, trzeba zasłużyć się, wykazać, zdobyć zaufanie. Związek Przesiedleńców mógłby pomóc... Nie chciała. Mniejsza o matkę, Christine w zasadzie już dla nich się nie liczyła. Ale ona. Tymczasem, wbrew temu, co oświadczyła bratu jeszcze zaraz po przyjeździe na dworcu, nie tak łatwo było zerwać

związki z tym, czym jednak żyło się przez prawie dwanaście lat powojennych. Choćby nawet z niechęcią czy z nienawiścią. Bzdura, ale coś w tym jest, iż tęskni się niekiedy nawet do tego, czego się nienawidzi. Jeżeli nienawidziło się naprawdę, jeżeli tej nienawiści nie wdziawało się na siebie jak maski. Ciągnąc matkę z sobą, uciekała z Polski, aby tam oderwać się od niej na zawsze, zapomnieć, wymazać, wykreślić z pamięci bez reszty... Tymczasem okazuje się, nie zezwolą, omotają delikatną, niedostrzegalną siateczką, tak wszakże mocną, że wyrwać się z niej samej za nic nie można. Nakaz, przymus, to wykluczone, nasz Związek rejestruje członków zgłaszających się dobrowolnie, patriotów, mających wycucie dziejowej misji niemieckiej na Wschodzie. Oczywiście, iż Związek służy swym członkom pomocą, naturalny odruch solidarności. Gdyby panna Schirmer miała ochotę współpracować z nimi w poczuciu wewnętrznej potrzeby, to bardzo proszę...

Ochoty nie miała, czuła się po prostu zmuszona. Znalazło się mieszkanie z wcale niezawrotnym komornym, praca płatna bez porównania lepiej, ustały wezwania do Sicherheitspolizei. Nie nostryfikowano -wprawdzie, ale cicho to-

133

lerowano jej polską maturę. Z tym, że zawężała się granica swobody, o jakiej marzyła w Polsce. Był Związek, grupy i koła w jego ramach, był organ prasowy „Ost-dienst”, były zjazdy ziomkostw, tumulty, pokrzykiwania na zbyt liberalną politykę rządu... Szukała wewnętrznej zgody, nie tyle na ich nienawiść, ile na sztuczne, z nią żywione nadzieje. Wróciła s.tamtąd i dlatego nie wierzyła, nadziei tych nie miała. Niemniej głosiła je, wmawiała innym, zwłaszcza zapalnej młodzieży. Może zresztą wcale nie tak żarliwie ideowej, jak to głosili przywódcy, raczej cynicznej, traktującej buńczuczność pokrzyków jako odskocznnię dla prywatnej kariery. Związek wszakże dbał szczególnie serdecznie o młodzież, już noworodków z rodzin przesiedleńców wpisując na listy „wypędzonych ze wschodniej niemieckiej ojczyzny”... Gotowa była odrzucić te wewnętrzne wzdragania, rozniecić wygasający żar, nauczyć się nienawiści prawdziwej, bez reszty. I ciągle grzęzła w po-łowiczności. Gdybyż choć Henri zjawił się wcześniej. To zapoczątkowało nowy etap. Ale Henri to karta otwarta dwa i pół roku temu, zażywny, z brzuszkiem, ze zmaconym wejrzeniem krótkowidza, z niesłychaną pewnością siebie i germańskim stosunkiem do kobiet w domu. Bo te inne, z którymi można się było bawić, to coś innego. W domu kobieta musi być pokorna i służyć swojemu panu. Buntowała się, gdy chciał, aby mu podawała nocne pantofle, podtrzymywała płaszcz, nacierała zreumatyzowane członki jakąś cudowną miksturą. Ale był jej ten Henri, szanowany nadsędzia, potrzebny, podnosił wysoko w hierarchii, odcinał od potrzeby bezpośredniej aktywności w Związku. Zgaga jakaś jednak pozostawała. Pamiętała kobiety w Polsce, inny do nich stosunek. Jurek, byli i inni chłopcy, nie miała tutaj wzdragań, często przychodził jej przed myśl podniecającym wspomnieniem. Pierwszy kochanek, starszy od niej o rok czy dwa. Pogryzła go kiedyś, z zaferowaniem przyglądał się śladom ukąszeń, burcząc pod nosem: „Ależ z ciebie prawdziwa Walkiria”. Jurek pozostał w Polsce, pozostali inni, tutaj jest Henri. Pewnie, nietrudno byłoby o kochanków, ale wtedy ryzykowało się

134

zdobytą pozycją. Ryzyko się nie opłaca... Najgorsze stawały się porównania, każące mnożyć ciąg wspomnień. Może dlatego zdecydowała się nagle na wyjazd do Polski, poprzez bezpośrednie zetknięcie z jakimś zdradzającym się w niej mitem tego kraju pragnąc wziąć z nim ostateczny rozbrat. Teraz nadszedł czas tej konfrontacji. Wystąpiła z wnioskiem o przedłużenie prawa pobytu. Bo ciągle jeszcze nie znajdowała odpowiedzi na swoje pytania... Z matką inaczej. Christine też się wyrwała z

chęcią odwiedzenia miasta, w którym rosta, dojrzewała, poznała swojego Willego, przeżyła wojnę i chaos powojenny, związała wszystkie właściwie swoje uczucia. Jej tęsknota była nazbyt realna, więc niebezpieczna. Zaśmiała się matce zjadliwie w samą twarz. Christine skuliła się, nie było już więcej mowy o jej wyjeździe...

— Czemu nie mówisz nic? Więc jak z Christine?

— Matka? Dziadek musi ją przecież dobrze pamiętać. Jest taka sama. Mieszka z nami, nie potrzebuje pracować, Henri załatwił dla niej emeryturę po mężu, dobrą emeryturę, otrzymała także odszkodowanie za straty materialne i moralne uczynione nam przez Polaków...

— Jakie straty? — wybuchnął Schirmer.

Oglądnęła się na brata przez ramię, zdziwiona.

— Wypędzenie z ojczyzny, utrata mienia. Nie każdy to otrzymuje, aż takiej sielanki u nas tam nie ma. Henri załatwił.

— Wszechmocny ten twój Henri. Wiele on liczy lat?

— Pięćdziesiąt dwa...

— Tak jak matka?

— Tak. Cóż to ci szkodzi? Mnie z nim jest dobrze, bardzo dobrze — mówiąc to przymknęła oczy. Znów nadpłynął przed pamięć obraz Jurka. Jakże on całował, jak pieścił. Henri jest zimny i oślizły jak żaba. Oglądała się tu po mieście za Jurkiem, bez skutku. Jawnie bała się poszukiwać. — Henri może wiele załatwić. Jest nadsędzią, ma doświadczenie, znajomości, stosunki, kontakty. Choć także nie uwalnia to od różnych nieprzyjemności...

— Pewnie był przysięgłym członkiem partii hitlerow-

135

skiej ten Henri, prawda, Gerto? — uśmiechną się, powiedział to nawet bez zjadliwości.

Najeżyła się od razu jak kotka, której podbiera się małe.

— Nie wiem.

— Mów o Christine — głos Wiktora był senny, jego seplenienie ledwie można było zrozumieć.

— Czuje się dobrze. Jest niezależna, spokojnie może robić swoje swetry na drutach, nadskakiwać Henriemu. którego uwielbia, wzdychać za Willim, który padł śmiercią bohatera. Piękny żywot niemieckiej matrony. — W głosie jej krył się ton pogardy.

— Nas nie wspomina niekiedy?

— Głośno nie odważa się, Henri nie lubi tych wspomnień, zna wszakże historię Mittwochów i Srodów, w jego pojęciach to się w ogóle nie może pomieścić. Prawdę mówiąc, matka tęskni za wami,

za tym miastem, niekiedy skłonnam przypuszczać, że może nawet za Polską. Tu czuła się pewniej, przy całym dobrobycie tam musi się jej wydawać, iż jest jakimś intruzem.

— Powiedz, niech tu do nas przyjedzie. Ostatnie dziecko, Gizeldy dawno już nie ma. Oczu naszych zamknąć nie będzie komu.

Nie odpowiedziała. Bo po co? Znów zaciążyło milczenie. Schirmer spod przymrużonych oczu obserwował siostrę. Bębniła palcami po oparciu kanapki. Odgłos ten-złał się wkrótce z regularnym pochrapywaniem Wiktora. Zawsze tak zasypiał na swoim fotelu, dopiero gdzieś koło północy budził się i przelokowywał na łóżko.

— Ty jesteś bardzo stara, Gertrudo.

— Tylko o trzy lala starsza od ciebie. Mam zaledwie dwadzieścia osiem, to dla kobiety jeszcze nie wiek. Zgłupiałeś, Johann.

— Nie o wieku myślę. Nie o wyglądzie. Możesz się podobać, u nas kobiety prędzej zdradzają swe lata. życie nasze jest chyba ciekawsze, choć na pewno trudniejsze. Myślałem o twojej psychice. Reprezentujesz tam jeśli nie młode, to średnie pokolenie. Wydaje mi się, że myślicie

136

s

kategoriami przeszłych czy wygasających pokoleń. Tu młodzież jest inna. Mniej się babrze w przeszłości, nie odcinając się od niej chce stworzyć coś własnego, własny styl, własny dorobek. Niektórych starszych to razi, gdy wielu spraw ich absorbujących młodzi nie potrafią brać równie mocno do serca. Ta nasza młodzież czegoś chce, ma ambicje, jakieś tam zewnętrzne wynaturzenia to tylko pokrywka. A u was? Z twoich opowiadań widzę, że grzęźnicie albo we wtórowaniu starym, albo w kompletnym indyferentyzmie. Brak ambicji, jakieś rozpieszczenie, skłonność do łatwizn.

Wzruszyła ramionami. Niech sobie gada, nie miała teraz ochoty analizować tej jego teorii. On sam ciekawił ją znacznie bardziej. Nawet w tym prymitywizowaniu jej osoby.

— Zostaw. Nie przyrównuję się do innych, a tamtych musiałbyś sam zobaczyć... W nas, w tobie, we mnie, coś się tu nadłamało, niezależnie od ostatecznego wyboru. Może i jestem stara, jak mówisz, ale zawsze potrafię oderwać się od narośli dwunastu lat tutaj spędzonych, pod polskimi rządami, w osobiwie zakłamanej rodzinie. A ty? Nie mogę pojąć, jak się w tobie przełamuje świadomość, iż z ojca i matki będąc Niemcem, jakaś tam niewielka domieszka polskiej krwi nie ma znaczenia, opowiadasz się tak gorliwie za swoją polskością? Już prędzej pojmę tę parę od ogrodnika, ich świadomość je sące nie pracowała, narzucono im narodowość w niemowlęctwie, choć kto wie, czy kiedyś nie doprowadzi to ich do wewnętrznych konfliktów. Wiedzą wszakże, kim są.

— Ty, zdaje się, mocno dopomagałaś w pogłębieniu przez nich tej wiedzy? Niebezpieczna zabawa. Widzisz, Gerta, chciałem z tobą pomówić... Głupia sprawa... Historia z Po-mykałami to jeszcze mniejsza... Po co ty jeździsz do Szczecina, do Wrocławia, dlaczego się wybierasz do Gdańska? Jeżeli tylko ciekawość, czemu ograniczona do tych jedynie terenów, do tych miast. Warszawy jakoś nie pragniesz zobaczyć...

— Tłumacz to sobie, jak chcesz... Zresztą, może ci to

137

ułatwi: chcę w sobie pewne odczucia pogłębić. Wiesz co, po prostu? Swoją niemieckość.

— I co? Rozczarowujesz się?

— Myślisz, dlatego, iż widzę, że wszystko tu żyje, rozrosło się, dźwignęło ze zniszczeń? Że choćby to nasze miasto ma dziś blisko siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, gdy dawniej w Niemczech ledwie dociągało do pięćdziesiąt tysięcy? Właśnie to wszystko też może umacniać. Na przekór. Wzbudzając gniew razem z podziwem, zdaję sobie przecież sprawę z mocno odmiennych warunków, w jakich odbudowuje się ten kraj, a z jakich korzystała Republika Federalna. Chcę na to wszystko mieć trzeźwe, niemieckie wejrzenie, bez garbu narośli czasu spędzonego w tym kraju. Bo niejedno, wbrew własnej naturze, jednakże musiałam sobie tutaj przyswoić. A tam znów z niejednym pozostaję w sporze, nie umiem usunąć konfliktów. Mówiłeś o młodzi, o młodości. To widać na zewnątrz, w tych choćby miastach, które widziałam. Myślę jednakże

o czymś innym. Poziom szkół w Niemczech zachodnich może nawet jest wyższy, wynosi się z nich bardziej skonkretyzowany zasób wiedzy. Zarazem wynosi się jakiś schemat widzenia, działania, reagowania. Za mało samodzielności. Tu jest inaczej, mnie też zarażono jakąś wewnętrzną potrzebą samodzielnego myślenia i przymierzania. A jeszcze był to czas Stalina, były slogany, sztuczny patos.

1 mimo to nie zagłuszono w młodych tej ich samodzielności. Wyobrażam sobie, co dopiero jest teraz, po zmianach kilku ostatnich lat. I ten bagaż innego stosunku do zjawisk bardzo mi ciąży. Chcę się go pozbyć, a jeśli się to nie uda, pragnę zmienić go w bardziej skonkretyzowaną, bo ja wiem, niechęć, może nienawiść, może zazdrość, też w końcu wiodącą do nienawiści. Dlatego jeżdżę.

Potrząsnął głową.

— Skomplikowana jakaś jesteś, nie we wszystkim potrafię cię pojąć...

— Bo i ja siebie nie we wszystkim pojmuję. Choćby w tym, czemu przedłużam swój pobyt? Za rozkosznie się

138

w końcu tutaj nie czuję. Nie chodzi mi w tym przypadku o zacne rodzinne grono.

— Nie we wszystkim cię pojmuję — powtórzył. — Pojawia się we mnie niekiedy myśl, czy nie stosujesz tu jakiejsz zasłony dymnej. Na pewno się mylę, ale, Gerto, na wszelki wypadek chciałem cię przestrzec. Zachowaj to dla siebie; zauważyłem już pewne zainteresowanie twoją osobą. Ostatecznie to zrozumiałe, cudzoziemcy zawsze interesują w każdym państwie odnośne instytucje czy urzędy... Przestrzec jednak pragnę cię przed czymś innym. Przede mną. Ja nie żartuję. Gdybym, Gerto, sam coś zauważył, będę bezlitosny. Wykpisz, powiesz, żarliwość neofity. Może i to. W każdym razie zapamiętaj moją przestrożę.

Najpierw był gniew, widział, jak zapłonęły jej oczy, jak mieniła się twarz. A potem wybuchnęła śmiechem, tak chyba szczerym, jak nigdy dotychczas w trakcie całego jej pobytu. Ciągłe się śmiejąc,

podniosła się z miejsca, podeszła do niego i przysiadła na oparciu fotela. Podniosła twarz brata do góry i ucałowała ciepło, bardzo po siostrzanemu.

— Jesteś uroczy, Janek, widzisz, nie mówię już Johann, ostatecznie, wszystko mi jedno, jesteś rozbajający. Zarazem też straszliwie naiwny. Nie znam się na arkanach szpiegowskiego rzemiosła, ale na pewno żaden ze szpiegów nie postępowałby tak naiwnie. Nie nadają się do takiej roboty. Chcę znaleźć po prostu jakiś sprecyzowany stosunek do Polski, która zbyt wiele zaważyła na moim życiu. Kochać jej nie mogę, nie chcę, nie umiem, nienawidzić, usiłowałam to sobie wmawiać, też nie jest łatwo. Gdybyż mogła mi zobojętnieć, jak wielu tam, w Niemczech, w moim wieku czy młodszym. Ale może masz rację, że na to jestem za stara, za wiele mnie wiąże z dawnymi pokoleniami.

Zsunęła się z oparcia fotela, wyprostowała, miękkim, bardzo kobiecym, ruchem odrzuciła znad uszu włosy. Z uśmiechem powiedziała jednak poważnie:

139

— A może szukam najzwyczajniej ordynarnej, miłosnej przygody? Może to okazałoby się najlepszym lekarstwem?

4.

Przekonany był, że sam proces nie wywrze na nim głębszego wrażenia. Wstrząs pewien przeżył przy przesłuchaniach u prokuratora, i później, w rozmowie z obrońcą. Ale to już minęło.

Spokojnie też tkwił obecnie na ławach dla publiczności, ciekaw samego przewodu oraz ostatecznej precyzji aktu oskarżenia. Ciasno było, tłoczno, na korytarzu, a nawet przed budynkiem sądowym, świecącym jeszcze bielą nowiutkich tynków, gęsto gromadzili się ludzie. Sam fakt napadu poruszył niedawno opinię publiczną, bulwersował wiek oskarżonych, miarę zainteresowania przelała decyzja orzekająca przewód doraźny. Po raz pierwszy w ich mieście, rezultat ostatnich zarządzeń, zmierzających do wytępienia plagi chuligaństwa i bandytyzmu.

Wprowadzono oskarżonych, w gęstej asyście milicji. W spojrzeniu, jakim obrzucili tłum, kryło się zamierzone wyzwanie, które jednak zgasło szybko i głowy obu sprawców napadu opadły nisko na piersi.

Teodor Budniak wpatrywał się w oskarżonych. Aż mu nabrzmiały blizny na twarzy i głowie, związany był przecież jakoś z tym Mietkiem, szczupłym i mimo wysokiego wzrostu niepozornym teraz na ciemnej ławie. Mieczysław Sliwiak, lat 18.

Poczuł, iż robi mu się duszno. Pierwszy raz od zasłyszania o całej sprawie zetknął się znowu z chłopcem. Może brak tej bezpośredniej styczności powodował istnienie poprzedniego dystansu, rozgrzeszenie problemu prostym stwierdzeniem, że skoro ktoś zawinił, oczekiwać winien słusznej kary. Teraz, z nagłą, wszystko zaczęło się przedstawiać inaczej. Jakby zmalowało oburzenie, ustępując miej-

140

sca litości. Mietek, Boże drogi, ten sam pętał, wtedy na pół uduszony, owinięty kołdrą, przeraźliwie wrzeszczący. Potem chłopaczyna, przywodzony niekiedy przez matkę za rączkę. Jeszcze później

berbeć, o własnych siłach odwiedzający „dziadka Budniaka”. Znow oddalenie paru lat, podrastający młokos, ze dwa, trzy może zetknięcia, inne jakieś, zetknięcia, za którymi kryło się już wypaczone życie matki, niełatwe chłopięce doświadczenia, bezczelność idąca w parze z bezradnością.

Mietek, ten sam, siedzi tam teraz, podniósł głowę, spogląda na komplet sędziowski. Przewodniczy mu Halina Niestysz, chłopcu nic to nazwisko nie mówi, nie wiąże się z niczym pełna, usiana piegami twarz, o nosie zadartym demonstracyjnie jakby do góry. Ale Budniak uśmiechem odpowiada na uśmiech kobiety, smutek jakiś łączy ich w tym uśmiechu, obydwójce zwracają potem spojrzenia na oskarżonych.

Mietek, matka go przyprowadzała co jakieś pół roku. Także wtedy, gdy nagle opuścił ją mąż, ogołacając zarazem mieszkanie z dobytku, sam ginąc bez wieści. Budniak wystarał się jej wtedy o zapomogę, łatwe to było, jeżeli starosta sam się czymś interesuje, który z urzędników postawiłby veto, potem ułatwił otrzymanie pracy. Barmanka w bufecie. Kto wie, czy nie to stało się początkiem przyszłych wydarzeń, czy nie tutaj też szukać trzeba wytłumaczenia faktu, iż na ławie oskarżonych znalazł się jej syn, osiemnastoletni młodzian.

Prokurator odczytuje akt oskarżenia. Napad na kierowniczkę sklepu odnoszącą utarg dzienny do banku, napad z bronią w ręku, strzelanina, ucieczka... Słowa prokuratora plączą się z Budniakowymi myślami. Mietek, zawsze miły, w tych pierwszych latach zadbany, czyściutki, niebieskie oężka, niewinne, łakomczuch na słodycze. Matka, pogodzona już z losem, może z niego zadowolona bardziej niż kiedy, dobrze ubrana. Obydwójce wdzięczni, dzieciak jeszcze nieświadomie, instynktownie raczej Ignący do wujka czy dziadka, jak go nazywał.

Później odwiedziny stały się rzadsze, może i on sam

141

niezbyt do nich zachęcał, czas stawał się coraz trudniejszy, pracy przybywało, może nawet mniej pracy, jak przemysłnego jakiegoś lawirowania, budowania niejednej fikcji opatulonej frazeologią. I nad nim zaczynały już skupiać się chmury.

O Sliwiakowej przeciekały dziwne wieści, że źle się prowadzi, puszcza na prawo i lewo, były też jakieś niedobory w bufecie, przerzucono ją na kelnerkę, że do domu sprowadza coraz to innych gości, orgie prawdziwe tam się dzieją. Dzieciak to widzi, zaczął już chodzić do szkoły, jeszcze mu niczego nie braknie, może tylko ciepło matczyne zaczyna stawać się zaledwie wspomnieniem. Jakieś gadania o biciu małego, o wybuchach pijanej kobiety... Wtedy zaprosił ją nawet do siebie, już nie do domu, jak to zdarzało się przedtem, ale żeby osiągnąć pewniejszy skutek, do gabinetu starosty. Ciągle była dobrze ubrana, tyle że zaginęła jej świeżość, cienie pod oczyma, zmęczenie w ładnej jeszcze wciąż twarzy. Kołował długo, nim jakoś dobrnął do sedna, zaprzeczała, złe języki, gadanie, może tam raz czy drugi coś było, w końcu samotna, młoda kobieta, której się coś nie może przydarzyć? Ale żeby biła małego, żeby przy nim jakieś brewerie, skądże, to potwarz, paskudna plotka. Chłopiec siedział w kącie gabinetu, chmurny, ofiarowane cukierki schował do kieszeni, nie odzywał się wcale. Na matkę, na starostę spoglądał spode łba, kto wie, jakie mu tam myśli chodziły po głowie. Budniak zwrócił uwagę na sińce u przegubów rąk, jakby je małemu ktoś ścisnął lub wykręcał niemiłosiernie. Zauważyła jego spojrzenie, sprytna była, zaraz podbiegła do dziecka, besztając, czemu nie naciąga rękawów ubranka.

„Z kolegami tak się bawił, już to nie mają te dzieci lepszych pomysłów, w policjantów i bandytów, coś tam takiego, no nie bój się, powiedz wujkowi...” Dzieciak tkwił upalacie nieruchomy, ponury.

Przyszedł ten jego, Budniakowy, najcięższy rok. Jeszcze tkwił na wysokim stolcu, ale czuł, jak się ten stolec osuwa, podkopywany ze wszystkich stron. Aż runął z trzaskiem, gdzie mu było w tym czasie myśleć o Sliwiakowej i ma-

142

łym. Zresztą, cóż go ostatecznie z nim łączyło? Wyratował kiedyś chłopaka od ognia, dobrze, że i tak długo o nim pamiętała... Mietek sam się pojawił, pierwszy raz chyba bez matki. Ona najpewniej już nie miała odwagi. Rzuciła pracę, milicja notowała ją jako prostytutkę, trafił się szpital, rzecz normalna przy takim życiu, była jakaś grabież pijanego gościa, bodaj nawet krótki okres więzienia... Chłopak dorastał, widział i rozumiał już wszystko. Co go przygnało do Budniaka, któż może wiedzieć? Może była to pamięć dziecka o życzliwości i serdecznej pomocy, o dobrym słowie, cukierkami kraszonym, może był to odruch, próba szukania ratunku, może nawet najgorsze, chęć skorzystania, wygrania okazji, że ma się protektora aż tak możnego. Jeśliby to ostatnie, trafił, że gorzej nie można. Ostatni to był dzień Budniakowego urzędowania. Właśnie go zdejmowano z urzędu, ktoś nawet zaburczał, iż szczęście, że w ogóle iść może do domu, zamiast do kryminału. Czyż mógł zajmować się wtedy Mietkiem? Odprawił chłopca czym prędzej.

Personalia oskarżonych... Mietka dane dobrze mu przecież są znane. A tamten drugi? Mówiono, że jeszcze niepełnoletni, okazuje się, też ma za sobą te osiemnaście wiosen. Wiek zatem nie chroni żadnego...

Raz jeszcze przyszedł Sliwiak do niego, w domu odszukał, w tym czasie, gdy próżno marzył Budniak o pracy, której jakoś nie było dla byłego starosty. Coś szlachetnego musiało jeszcze w chłopcu kołatać. O matce nie chciał mówić źle, półsłówkami coś bąkał, nietrudno zresztą było domyślić się prawdy. Wreszcie jednak musiał powiedzieć. Znow kradzież, matka w więzieniu, proces, przydałby się adwokat, więc czyby Budniak nie zechciał dopomóc, usłużyć pożyczką... Dałby, chyba by dał, chłopiec nie kłamał, jeszcze wtedy znajdował się na niebezpiecznej krawędzi, ale jej nie przekroczył. Dałby, ale w domu przecież brakło dosłownie na chleb, miotał się w gwałtownym poszukiwaniu pracy, nie tych przygodnych zarobków, gdzie się da, u ogrodnika, przy wyładunku u Jezierskiego na dworcu, w prywatnym sadzie dyrektora Przybyły. Wokoło stawało

143

się coraz ponurzej, Lisiewicz został aresztowany, ciągle kogoś innego sadzano za kratki. Nie mógł wspomóc chłopaka.

Później widzieli się już tylko na ulicy. Sliwiakowa przebywała w więzieniu, Mietek znalazł się w domu dziecka, uciekał stamtąd, wałęsał się po ulicach, jakaś szajka specjalizująca się w drobnych kradzieżach, uszło mu to na sucho, kamraci okazali się solidarni. Powrót matki, dom znowu burdelem, wódka, dzień w noc zmieniony, noc krzykliwa i mdła w swej powszedniości, starcia z matką i jej zmieniającymi się amantami. Nauka urwana na szóstej klasie, włóczęga po ulicach, życie nie wiedzieć z czego. Kłaniał się i uciekał, zdało się Budniakowi, iż raz dostrzegął na twarzy chłopca rumieniec, zatem nie wszystko tam jeszcze się wypaliło...

Świadkowie oskarżenia. Woźny wprowadza kierowniczkę sklepu. „...A to, proszę wysokiego sądu, jak każdego dnia, podliczony utarg, spakowany, w teczce, razem z koleżanką, zamierzałyśmy odnieść do banku. Po zamknięciu żaluzji, nagle ci dwaj...”

Ech, co tam słuchać, wiadomo za dobrze, jak to było. Z gazet, z radia, z ludzkich pogwarek. Nędza, krok niewielki od zbrodni, właściwie uchronił przed nią jedynie przypadek... Chyba na pół roku przedtem, wiosną, widział chłopca po raz ostatni. Rozrósł się, wyszczuplał zarazem, pewny siebie, ubrany jak z igiełeczki, tyle, że na tę zwariowaną młodzieżową modłę, szedł ulicą z jakąś dziewczuchą wieszającą się u jego ramienia. Nie, już się nie zarumienił, choć skłonił się bardzo grzecznie. I tyle. Aż potem wezwanie do prokuratora, bo oskarżony powołał się w śledztwie na niego... Pierwszy wstrząs. A dzisiaj drugi.

Zeznaje ekspedientka, która towarzyszyła kierownicze w odnoszeniu utargu. Podniecona, w wypiekach, dopomaga sobie rękami, gdy braknie jej słów. Palcem wskazuje w kierunku, gdzie siedzą oskarżeni...

Budniak woli nie patrzeć. Smutny widok. Ten mały Mietek, tak miły, z takimi promieniami w niebieskich oczkach, garnący się do matki, czułej i dobrej... I tak strasz-

144

liwy kontrast. Lepiej już dostrzec porozumienie we wzroku Haliny. Twarda kobieta. Nie ugięła się pod ciężarem śmierci Julka Zielniaka. Dumnie obnosiła się ze swą ciężką, z rosnącym brzuchem. Tylko w prezydium dłużej nie chciała pracować. Przeszła na sekretarkę do Lisiewicza, w liceum, potem jeszcze kilkakrotnie zmieniała pracę. Uczyła się wieczorami, hołubiąc swoją maleńką Zosię. Wyjechała do Poznania na studia, parę razy do roku dając znak życia krótkimi kartkami. W którejś donosiła o praktyce, o pierwszym zetknięciu z sądem, jako jego przedstawicielka. W maju pisała, że niedługo zjedzie z powrotem do swego miasta... Rozumiał ją. Stawiała to na płaszczyźnie ambicjonalnej. Panna z dzieckiem, powracająca jako sędzia z pewną już rutyną i praktyką. Dobrą musi mieć opinię u przełożonych, jeżeli może teraz przewodniczyć sądowi.

W spojrzeniu Haliny wyraźny smutek. A potem wzrok jej przenosi się gdzieś poza Budniaka. Teodor ogląda się, musi się obejrzeć. Wie już, na kogo spogląda Halina. Może myśli to samo co on o korzeniach winy chłopaka.

Sliwiakowa w niczym już nie jest podobna do żywej, ładnej kobiety sprzed kilkunastu lat. Zniszczona, z pod-puchniętą twarzą, z obrzękami około oczu, marnie, wręcz nędznie ubrana, w jakiejś chuścinie na głowie, tkwi nie-poruszona, jakby obojętna bez reszty. Gdy wszakże napotyka wzrok Budniaka, powoli obraca głowę, ucieka od niego. Rozumie, doskonale rozumie, co jej pragnie swoim spojrzeniem powiedzieć.

On zaś postanawia sobie uroczyście, że będzie jak najmocniej bronił Mietka Sliwiaka. Tak dobrze i tak żarliwie, jak tylko potrafi. Będzie bronił poprzez znaną mu prawdę o tej kobiecie.

Sędzia Halina Niesłysz zdaje się czytać w myślach Budniaka. Patrzy na niego z rozczeniem: jeden z ostatnich Mohikanów tamtych najpierwszych dni w zrujnowanym mieście. Wszyscy byli wtedy sobie tak bliscy, niezależnie od funkcji, od wykształcenia, od wykonywanej roboty. Potem narosły, może wyrósł musiały, wszelkie podziały,

poziome, pionowe, oddaliły ludzi od siebie. Najpewniej to nieuchronna konieczność czasu postępującej stabilizacji, ale tamta jedność jakoś zawsze była jej bliższa.

Budniak głęboko musi odczuwać ten proces. On to przecie wyratował z ognia oskarżonego Sliwiaka, on przez płomienie i dławiący dym niósł do zbawczego okna opatulone kołdrą maleństwo, sam ledwie przytomny, pokiereszowany walącym się stropem, palony na żywo. Jakże musi odczuwać kontrast tamtego niewinnego dziecka z tym zbrodniarzem, który odpowiada za swe czyny przed majestatem prawa. Ale chyba nie myli się, czując, iż Budniak winą za to, co się stało z tym młodym człowiekiem, obarcza kogo innego. I najpewniej ma rację. Może zresztą jemu łatwiej mieć taką rację. Z nią jest inaczej. Ona reprezentuje tu prawo.

Prawo zaś przy całej elastyczności jest, więcej, musi być suche. Osobiste sentymenty nie mogą tam ważyć zbyt wiele. Nie matka uczestniczyła w rabunkowym napadzie, nie ona strzelała z nielegalnie posiadanej broni, ale jej syn. I syn też będzie ponosił odpowiedzialność. Matce sankcje karne za to nie grożą. Potępienie moralne? Czy ją to wiele obchodzi? Musiała się przyzwyczaić. Chyba że odezwie się w niej matka.

Wbrew pozorom niełatwy jest ten pierwszy wielki jej proces w tym mieście. Jej mieście, a jeszcze bardziej mieście jej Zośki. Dziewczyna jutro będzie uczestniczyła w rozprawie. Uznali w szerszym zespole, iż trzeba ułatwić młodzieży wstęp na salę. Największą, jaką sąd dysponuje, mieści się tutaj chyba blisko dwieście pięćdziesiąt osób. Tryb doraźny. To ma "swoją szczególną wymowę.

Teraz zeznają przypadkowi przechodnie, świadkowie wypadku. Wszystko dotyczy jeszcze pierwszej fazy napadu. Nie wnoszą, jak dotąd, niczego nowego.

Dziwne, z uwagą potrafi słuchać tego, co się odbywa aktualnie na sali rozpraw, a równocześnie pozwala swobodnie biec swoim myślom. Bardziej doświadczeni rutyniarze tłumaczyli jej kiedyś, iż możliwa jest podobna rozdzielność uwagi. Nie wierzyła, teraz zaś obserwować może

nar dis La nie tej umiejętności w samej sobie. To dobrze, ogniskowanie się jedynie na przebiegu rozprawy mogłoby wieść do skołowacenia, do zaturbowania obiektywnej oceny. Umysł tymczasem rozluźnia się, stosując swoistą gimnastykę.

Pierwszy jej wielki proces. Tylko ona wie i nikt nigdy nie będzie wiedzieć, jak bardzo niełatwa była droga do tej roli. jaką tu obecnie odgrywa. Wiele razy załamywała się, kusiła ją rezygnacja, dławił lęk, czy nie za wielkie cele postawiła przed własną ambicją. Chodziło tu w poważnym stopniu o Zośkę, pragnęła, by dziewczyna mogła być dumna z matki. Ale istniały również i inne przyczyny. Niektóre z nich uświadomiła sobie dopiero niedawno, w maju, gdy w jasny, rozświetlony, pełen zapachów dzień zjechała z powrotem do tego miasta. Szły z Zośką ulicami, jakże innymi, niepodobnymi w niczym do tych zbiorowisk gruzu, do wypalenisk straszących czernią pustych oczodołów okiennych. W słońcu może nawet jaśniejsze, młodsze, radośniejsze stawało się miasto, jakby puls jego rozgrzany uderzał żywiej. Zboczyły potem nową szosą pod miasto, nad jezioro. To samo, nad którym powzięła

swoją decyzję, krótko po śmierci Julka... Ten pierwszy majowy spacer nagłym przebłyskiem, olśnieniem jakimś wskazał jej nie nazwany dotąd rezerwuar, z którego czerpała siły dla zrealizowania swoich zamiarów. Oto tak zwyczajnie, po prostu, aż zaskakująco jak bardzo po prostu, kochała to miasto. Miasto swych pierwszych prób, swojej pierwszej i jedynej wielkiej miłości. Za tym miastem tęskniła na studiach i w trakcie praktyki, do niego koniecznie pragnęła powrócić. Narastały trudności, nie chciano dać jej skierowania tu właśnie, pchano wszędzie indziej, na stanowisko bardziej może dla kogoś takome, ale upierała się, wojowała, by wreszcie uwieńczyć to nominacją, o jaką się ubiegała. To miasto dodawało jej sił. Miasto Julka. Miasto, w którym urodziła się Zośka... Niby taka zwykła rzecz; mogłoby być takie lub inne, a jednak nieprawda, musi być to wybrane i tylko ono.

Ten grubas, składający teraz przysięgę, któż to? Ach

w

147

prawda, przechodzić, który zatrzymał Malickiego, drugiego z dobranej pary. Grubas jest dumny, pyszni się niby ■paw, zerka na publiczność, jak reaguje na jego słowa. Czasem osobliwymi drogami chadzają człowiecze ambicje...

Zatem dobrnęła do celu, dopięła swego. Jest znowu wraz z Zośką w tym mieście, każdej chwili, jak tamtego majowego poranka, mogą iść pośród szeregu domów, mogą kierować się nad jezioro, gdzie przytulona do pochylonego nad wodą pnia drzewa zaprzysięgła sobie wierność dla nieżyjącego ojca jej dziecka, człowieka, dzięki któremu w krótkim przebłysku zaznała tego, co zwie się szczęściem.

Przewiodła spojrzeniem po sali. Budniak jak urzeczony nie odrywa wzroku od sylwetki Sliwiaka. Matka oskarżonego tkwi w bezruchu, czyżby była naprawdę tak obojętna, oziębiała do tego stopnia, iż nic do niej już nie dociera? Dużo dziwnych, nieznanych twarzy pośród starszych, jest jednak i ktoś znajomy, ta trochę dziwacznie ubrana kobieta, to Gienia, była żona słynnego komisanta, pana Madaszki. Obok niej młoda dziewczyna, na kilometr rozpoznać w niej można córkę Budniaka. Gienia jest kierowniczką sklepu, w którym pracuje dziewczyna. Młodzież, pełno młodzieży. Ze szkół, najstarsze klasy, z zakładów pracy. Sama omawiała z dyrekcjami tę sprawę. Trzeba, by młodzi sami mogli osądzić. Pytanie wszakże, jak osądzą? Czy nie porwie ich może fałszywa romantyka, broń, swoista odwaga, wypaczone pojęcie sławy? Ta grupka na prawo, charakterystyczna w swoich ubiorach, na miłą wyczuć w niej łobuzerię blokującą wieczorami chodniki śródmieścia. Parę dziewczyn, przeważnie chłopcy, najpewniej znajomi oskarżonych. Niekiedy szeptem wymieniają pomiędzy sobą uwagi... Ale ta cała reszta jest inna. Słucha w napięciu, w jakiejś zaskakującej koncentracji uwagi. Jakie wnioski wyciągną z procesu?

W ogóle jaka jest naprawdę ta młodzież? W okresie praktyki przez rok asystowała sądom dla nieletnich. Wiele jej to przyniosło. Przez cały ten rok przekształcać musiała w sobie stereotyp pojęć o młodzieży, zarówno tej złej,

148

jak i tej dobrej, podział zresztą również z grantu fałszywy. Oni wszyscy po prostu są inni. O wiele starsza jest od nich? O te niecałe dwadzieścia lat, o życie Zośki, a ile już tutaj różnic. Cóż dopiero mówić o pokoleniu, które już w wojnę wchodziło w pełni dojrzałe, z bagażem ustalonych pojęć i

pozornych prawd, w gruncie nie znajdujących często pokrycia. Czas miniony przyspieszył rozwój, ci młodzi przeskoczyli pewne zwyczajowe etapy. Pojawił się rozziw między skalą ich pragnień, a zamysłami ojców. Rozziw więcej może kryjący się w nazwach, w formułach, w mechanice podejścia do zjawisk, niżeli w nich samych.

Ważne jest to napięcie, niekłamane skupienie. Dowód, że umieją samodzielnie przemyśliwać, że nie wygasła w nich siła odczucia. Na równi kierują się logiką i sercem.

Stanie się ten proces pewnym wstrząsem, czy minie bez echa, rozmieniony na ciekawość sensacyjnych posmaczków rozprawy? Chybiłby w takim razie sens dorazności przewodu. Bo w takim kontekście najmniej w gruncie chodzi o oskarżonych. Oni swoją największą stawkę już przegrali z kretelem. Rehabilitacja, system wychowawczy kary, wszystko to ma szeroki podziw w intencjach prawodawcy, w ustawach, w kontekście życiowym niekiedy. Ale nie może to objąć kryteriów moralnych, etycznego społecznego poczucia. Tam jednak częstsze są pewne bariery, na którymś odcinku zamykające drogę z reguły niemal na zawsze.

Co myślą i odczuwają w tej chwili oskarżeni? W śledztwie nie przejawiali szczególnej skruchy. Malicki podobno ,momentami się tamał, ale kiedy indziej znów drażnił tupetem. Niezrównoważony zatem, nie to, że bardziej wrażliwy. e

Teraz też siedzi wyprostowany, ślepi za każdym świadkiem, odprowadza wejrzeniem. Słucha skupiony, zdając się notować każdy szczegół w pamięci. Inteligentna twarz, pieszczoch z urzędniczej rodziny, cała historia stała się zaskoczeniem dla jego najbliższych. Zapracowani, zabie-

149

gani, nie spostrzegli, kiedy się wykoleiło ich dziecko. A Sliwiak? Jaka jest jego reakcja? Bliższy poprzez kontakty matki środowisku przestępczemu, wprowadzający w nie co najwyżej ów tani młodociany styl, znający zło tak, jak powszedni chleb. Oblicze dość wyraziste, blade teraz, chwilami opuszcza głowę, nie ma w nim pasji słuchania zeznań, zainteresowania rozprawą. Trochę tu pokrewieństwa z matką, na której twarzy tępota wryta aż nadto wyraźnie. U niego wszakże jest ten wyraz złudzeniem, badania psychiatryczne wykazały inteligencję żywszą niżeli u Malickiego. Ten gest spuszczenia głowy czym jest, nawykiem czy przebłyskiem nie zagubionego bez reszty sumienia?

Coś makabrycznego tkwi w pozornej monotonii każdej niemal rozprawy. Jak dobrze naoliwiony mechanizm przesuwają się świadkowie, kolejnych wywołuje dyszkantem woźny, zautomatyzowanym ruchem kierują się wtedy ku wejściu głowy wszystkich obecnych.

Zeznawać ma teraz Piotr Bejnarowicz. Młody, 25 lat. Porwał się w pościg za uciekającym bandytą, nie przestraszył go pistolet w dłoni tamtego, nie zatrzymał oddany strzał. Syn rybaka z wylęgarni na błotnistym półwyspie, podobno wybitnie uzdolniony, prostą drogą zmierzający ku naukowej karierze. Czegoś chciała od niego... Gdzież te notatki? Tak, trzeba postawić mu kilka pytań. Również i tej dziewczynie, towarzyszącej mu w spacerze po parku.

Budniak spogląda na nią. Trzeba mu skinąć leciutko głową, odwzajemnić życzliwość. Budniak jest najmocniejszym świadkiem obrony, obiektywnym, choć na pewno zaangażowanym uczuciowo. Kto wie, może pośrednio będą musieli się zetrzeć z sobą. Byliśmy razem, panie Teodorze, w tym mieście,

gdy usiłowaliśmy wprowadzać w nie pierwszy porządek. Jesteśmy i teraz, gdy utrwalonego już porządku wspólnie strzeżemy.

Bejnarowicz. Ładny chłopiec, tylko że coś smutnego jest w jego postawie. Może się jej tak zresztą wydaje, chłopak może być po prostu zmęczony...

150

Nie byłby się zjawił na kolejne posiedzenie sądu, wystarczająco dosyć miał wczorajszego, w nieskończoność ciągnącego się wyczekiwania na korytarzu, aż wezwą go do złożenia zeznań. Godziny wlokły się, inni świadkowie nie wiedząc czemu przejawiali narastające podenerwowanie, w przereczonym nieco, ale ciągle pokaźnym tłumie gapiów krzyżowały się głupie uwagi, banalne rozważania na temat, co też łobuzy dostaną. Sąd doraźny, napad z bronią w ręku... Zżymał się, ale nic na to nie mógł poradzić. Próbował skrócić czas rozpamiętywaniem sobotniego popołudnia i niedzieli spędzonych w rybakówce wraz z Felą, to były niefrasobliwie urocze godziny, tym miłsze, iż nieoczekiwane, nagle spadło to wezwanie na rozprawę sądową... Myśl jednak uparcie nawracała do tego, co się odbywa za drzwiami sali, co przeżywać muszą obaj ci oskarżeni, jak się czują w obliczu setek par spojrzeń, pod przytłaczającym brzemieniem obwinień?

Nie ^obeszła go nawet ta dziwaczna właściwie scena, gdy którejś chwili skupiło się wokół niego kilku młodzieńców z butnymi minami, w grubych swetrach po szyję i paltocikach ściętych wysoko nad kolanami. Przypatrywali mu się przez moment z uwagą.

— Dzień dobry.

Podniósł głowę.

— Dzień dobry. Proszę?

— To zdaje się z koleś ten bohater, który przyskrzynił w parku Sliwiaka?

Obruszyła go drwina w głosie pytającego.

— Daruje pan, o tym będę mówił na sali rozpraw.

Krąg wokół niego zacieśnił się.

— Kozak z kolegi. Od razu widać — zaśmiali się.

I zaraz z czyichś ust spłynął ten szept:

— Te, koleś, zdaje się Bejnarowicz na nazwisko bohaterowi? Małeńka sprawa. Lepiej za dużo na Mietka nie spluwać. Uważać na słóweczka. Bez żadnych popisów. Bo samemu można potem oberwać po uszach. Albo i w plecy. Poniatno, koleś?

Porwał się z miejsca, ale już się rozpraszali, wolniutko,

151

spokojnie wsiąkali w tłum. Nie będzie przecież gonił za nimi, ani wołał dyżurnego milicjanta o pomoc.

W końcu uśmiechnął się tylko. Stają w obronie kumpla. Choć taka jest pośród nich solidarność.

Ostatni stawał przed sądem w ubiegłym dniu, na jego zeznaniach rozprawę wczoraj przerwano. Gdy wychodził z sali na spotkanie nadbiegła Fela, żywa, drobniutka z połyskującymi ciekawością oczyma, przez co wydawały się ciemniejsze i jeszcze większe aniżeli zazwyczaj.

— Jakże ci poszło, Pietrek? A oni, jak oni? Bo ja na jutro rano otrzymałam wezwanie. Musisz przyjść razem ze mną, a potem zostaniemy na sali, dobrze?

— W trakcie rozprawy nikt mnie przecież nie wpuści... Chyba że razem z publicznością zasiadłbym w sali rano i tam czekał, aż cię zawezwą. Po zeznaniach mogłabyś usiąść już przy mnie... Ale, Fela, czy to konieczne? Dla mnie to całe widowisko jest po prostu smutne. Nie pojmuję zupełnie tego podniecenia, jakie w sądzie ogarnia ludzi...

— Przypinasz łatkę? Bo mnie też to pociąga, może dlatego, żeś tak się wtedy pięknie zachował. Ja zupełnie straciłam głowę. Tak się bałam, tak bardzo się bałam o ciebie. Przyjdiesz jutro, prawda, że przyjdiesz?

Na co by się dla niej nie zgodził? Tkwi teraz pośród ciekawskich, słucha przewodu, czuje obok przyspieszony oddech swojej dziewczyny, Fela ściska go chwilami z emocji za rękę. Nie minęło pół godziny, jak skończyła zeznawać. Bardzo była przejęta, że się w słowach początkowo plątała. Trochę był zażenowany, a trochę uśmiechał się w duchu przy jej zeznaniu, więcej bowiem mówiła o nim niżli o oskarżonym. Na sali pojawiły się uśmiechy, raczej życzliwe, znali go, pamiętali z oświadczeń składanych w poprzednim dniu.x

Jakoś jednak dziewczyna wybrnęła, z ulgą zajmując miejsce obok niego na ławce. Tego dnia luźniej nieco było wśród publiczności. Usiadła i od razu całą jej napiętą uwagę, aż zaostryły się rysy twarzy, a puls uderzał żywiej, pochłonęły słowa kolejnego ze świadków. Momenta-

152

mi podnosiła się z miejsca, aby lepiej przyrzeć się oskarżonym, którzy tego dnia czuli się jakby pewniej, może się już przyzwyczaili.

Trochę się dziwił jej zachowaniu. Obok niego proces zdawał się mijać bokiem, nie angażując go niemal zupełnie. Jeszcze wczoraj, gdy się nudził oczekiwaniem na korytarzu, myślał o oskarżonych. Co się dzieje we wnętrzu każdego z nich, co tam przeważa, skrucha czy lęk przed odpowiedzialnością za czyny, niesmak do samych siebie czy buńczuczna postawa w odniesieniu do społeczeństwa? Młodzi są, bardzo właściwie młodzi. W tym wieku nie widzi się ryzyka, w każdym razie przybiera ono mniejsze wymiary. Ale w tym wieku powinno być też świeższe, bardziej wyostrome kryterium ocen moralnych, choćby pojmowanych tylko intuicyjnie. A oni? Co kierowało ich szczególną odwagą? Pragnienie wyżycia, pieniędzy, emocja przygody? Lekceważenie czy zgoła pogarda społecznego porządku?

Zadawał sobie wtedy takie pytania, żywe w nim jeszcze były. gdy składał zaprzysiężenie, gdy w chwilę później spokojnie przekazywał sądowi swoją relację. Zaraz potem ciekawość minęła; ani złe błyski w oczach tego drugiego, nie Sliwiaka, co byłoby może zrozumiałe, ani życzliwy poszum wśród publiczności, ani zapłonione twarze paru dziewcząt patrzących na niego z uznaniem i westchnieniami,

wszystko to przestało go zupełnie interesować, stało się obojętne i bardzo dalekie. Aż się sam zadziwił swojej trzeźwości, zimnemu spojrzeniu na cały problem. Winni, muszą więc ponieść karę, nic nie może uchodzić bez konsekwencji, nie zda się na nic szukanie usprawiedliwień, w końcu należy dostrzegać jedynie bezsporne fakty. Założeniem prawa nie może chyba być pobłażliwość. Stwarzanie furtki okoliczności odciążających jest jedynie wybiegiem.

W którymś momencie zaskoczyła go własna bezwzględność, nie był pewien, spowodowana odniesieniem do konkretnego przypadku, do scenerii tej właśnie sali sądowej w tym a nie innym procesie, czy bardziej generalnie trak-

153

tująca problem sprawiedliwości. Skłaniał się ku przypuszczeniu, iż raczej to drugie było istotne. Mieczysław Sli-wiak strzelał do mego, mógł zabić czy choćby ranić. Nie czuł do oskarżonego osobistego żalu, żadnych pretensji. Postępowanie tamtego w tym przypadku było już tylko konsekwencją dokonanego wyboru. Wybrał bandytyzm. Za to też należy karać. Jeżeli wszakże ogólnie w ten sposób on, Pietrek, stawia sprawę winy i kary, to skąd się w nim bierze tak daleka surowość? Życie nie dostarczało mu okazji dla przymierzenia norm prawnych do jakichś konkretnych faktów, po dzień wczorajszy nie zetknął się z sądem, nie interesowały go nigdy sprawozdania z procesów, nawet w rozmyślaniach swych zawsze był jakoś daleki od przymierzenia do zjawisk kryteriów sprawiedliwości. Skąd więc teraz pojawia się ta surowość? Oburzenie na podsądnych wyraża się w takiej formie, czy może gdzieś w głębi gra wszakże nutka osobistego żalu?

Zrezygnował z dalszych rozważań. Fela uściśnęła go w tej chwili silniej za rękę. Sąsiadka z domu, w którym mieszkał Sliwiak, rysowała w mocnych słowach jego sylwetkę. Cóż ta Fela wyrabia? Skądinąd takie to w niej szczerze, dziewczęce, na swój sposób naiwne, że można tylko się cieszyć. Na wszystko reaguje podobnie. Przedwczoraj, jak dobrze, że o tej październikowej porze mogła się zdarzyć taka słoneczna, rozbłękitniona niedziela, cieszyła się, klaskała w ręce, pokrzykiwała, nasłuchując, jak niesie się echo odbite od wody. Porwała go bezpośredniością, pogodą nastroju. Śmiał się i poklaskiwał z nią razem.

Spoglądał na jej drobniutki, delikatny profil. Długie, ciemne rzęsy podkreślały jeszcze wielkie oczy, pierwsza rzecz, która zwracała uwagę w jej twarzy. Wargi miała lekko rozchylone, jak zawsze w momencie przejścia. Pod nasadą nosa drobniutki, ledwie widoczny meszek.

Przyptyw rozczulenia z nagłą odmienił mu obraz świata. Nawet ten proces, w którym właściwie aktywnie nie uczestniczył, spogodniał. Może jest naprawdę nazbyt surowy w ocenie, jego własny los układał się wszakże pomyślniej, nie stykał się, jak ci chłopczy, z innym otoczeniem i at-

154

niosferą, co musiało na nich wpływać. Na swój sposób są biedni. Przerwane życie, ostrą rysą przecięte na pół.

Własne życie, otoczenie i atmosfera? Wczoraj przed zaśnięciem, kiedy słuchał twardego chrapania ojca, też odczuł niepokój w podobnie się przed nim zjawiającym pytaniu. Za tym pytaniem rozrastała się jakaś luka. Już kiedyś dręczyła go podobna, nie sprecyzowana w swych źródłach niepewność.

Uświadomił sobie w tej chwili, że niepokoje te łączą się zazwyczaj z rzadkimi wizytami w rybakówce ojcowskiej. Przedtem, gdy stale w niej zamieszkiwał, nie docierały do niego, obecnie dystans i stwarzane przez to samo kontrasty uwypuklały niektóre odczucia. Może w tej nieokreślonej aurze tkwi także jego pogląd na sprawy sprawiedliwości? Wyptywa z tego niepokoju, z niedosytu wiedzy czy pragnień? Własne życie. Łączy je z tym miastem, a właściwie z rybakówką w jakiś sposób pozostającą w kręgu spraw miejskich. Dom rodzicielski spokojny, cichy, może nazbyt dostojny, nigdy prawie nie widywało się w nim uśmiechu, matka zapatrzona w siebie, milcząca, ojciec również wpadający często w zadumę. Ale równolegle szalona miłość rodziców, troska nieustanna, aby im, dzieciom, było możliwie najlepiej, najjaśniej i najpogodniej. Szkoła, liceum, wciąż ten sam krąg, te same sprawy. Pierwsza ostra rysa pojawiająca się wraz ze śmiercią matki. Odeszła niepostrzeżenie, tak samo cicha jak zawsze. I jak zawsze, do ostatniego oddechu krył się w jej wzroku ledwie zauważalny, ale wszakże żywy, obecny niepokój, gdy spoglądała na Różę i niego.

Czyżby ten niepokój przyjęty od dobrej, zapracowanej kobiety zachmurzył i jego niebo? Zatem zwyczajnie pewna dziedziczna cecha psychiczna, nic już ponadto? Jego życie... Jest i w nim pewna luka. Nie miał jeszcze pięciu lat, gdy tutaj zjechali, jedni z najpierwszych w osadniczej fali. Jakże mało zachowała pamięć z tych pięciu szczenięcych lat. Trochę jaśniejsze były obrazy ostatnie, podróż pociągiem, Postoje, szukanie miejsca na osiedlenie, noclegi w jakimś baraku... A wcześniej? Też wieś, woda i las, inne chaty,

155

słoma, psy ujadające z każdego kąta. Ludzie dziwni, spojrzeniami uciekający na strony. Pamięć nie zahacza o pojedyncze osoby, rysuje zaledwie rozmazany ogólny obraz. Jakieś dziecięce zabawy przed domem, w ziemi i piasku. Nie można w tych zabawach ułoić obecności innego dziecka. I tyle. Zaskakująco niewiele. Może to zresztą normalne, może nikt więcej ze szczeniectwa sobie nie przypomina. Więc pewnie źródła niepokojów nie tutaj należy szukać...

Co to za rumor? Ogłoszono przerwę. Świetnie, pora dać pokój snuciu myśli skaczących z tematu na temat. Może uda się nakłonić Felę do rezygnacji z dalszego asystowania w procesie. Jutro najwyższy czas wyjeżdżać, profesor musi się niecierpliwić, ostatni ich dzień, trzeba w nim znaleźć najwięcej czasu dla siebie. Mała ich kawiarenka, przyćmione światło kinkietów. Spacer, ale już inną aleją, po co podświadomie przywozдить przed pamięć szczegóły wiążące się z tym, w końcu obcym dla nich, procesem. Może lepiej będzie pójść drogą w stronę jeziora, zbliża się pełnia, jeśli niebo się nie zaciągnie chmurami, w oczach Feli można będzie wyławiać znajome lśnienia, a w całej postawie głębokie, pełne oddanie.

— Pietrek — pociągnęła go mocno za rękaw.

Dopiero się spostrzegł, iż tarasuje przejście, usunął się na bok. Milicjanci wyprowadzili właśnie oskarżonych młodzieńców. Zetknęły się spojrzenia Sliwiaka i Pietrka. W oczach więźnia dostrzegł jakąś wielką bezradność. I wtedy runęły jego poprzednie osądy. Kłaniając się mijającej go w chwilę potem Halinie Niestysz, znał ją i pamiętał z chłopięcych czasów, pomyślał, iż chyba najtrudniejszym i najbardziej angażującym człowieka zadaniem jest to, by być sprawiedliwym, naprawdę sprawiedliwym bez reszty sędzią., "V

ROZDZIAŁ IV

1.

Czerwone światło przegradzało drogę. Dopiero niedawno wprowadzono w paru punktach miasta świetlną sygnalizację: kilka groźnych wypadków na najbardziej zatłoczonych krzyżówkach wyzwoliło aktywność miejscowych władz.

Z obu stron jezdni, którą przewalały się ciężarówki, gromadził się spory tłumek. Niebo było zaciągnięte chmurami, przewiewało ostrymi podmuchami. Na szczęście nie lało.

Od z górą tygodnia, kiedy nagle zdecydował się wracać z pracy do domu pieszo, co wywołało pewne zdziwienie u pracowników, zaczął spoglądać na miasto innymi oczyma. Jakby stanęło teraz przed nim pełniejsze i bardziej prawdziwe. W tempie, w jakimś zagonieniu wszystkich przechodniów, w nieco kiczowatej elegancji kilku nowych, obszernych sklepów, w ruchu samochodów rozwożących ładunki, w surowej goliźnie cegły dopiero co wzniesionych budynków, którym zapomniano dodać strychów albo suszarni i czerwone poszewki poduch i pierzyn szpeciły niejedno okno w wielkomięjskim połyskiwaniu czerwonego światła. Podśmiewali się niektórzy z tych wielkich ambicji miłośnicy, ale w duchu też odczuwali satysfakcję. Jak i z każdego nowego domu, z jarzeniówek, rozpraszających nocami niedawne mroki, z krzyczącego wielkimi reklamami „Supersamu” na rogu Alei Zwycięstwa i ulicy Partyzantów.

Przybyła dobrze pamiętał ten róg. Przy odgruzowywaniu, wtedy, w pierwszych tygodniach, wybuchła tu zabłąkana mina, zabijając kilka spośród pracujących osób, tak Polaków jak Niemców. Wszystkie domy wokoło zlegały

157

usypiskami, szczątkami trzymając się jakichś żelbetonowych zbrojeń. Potem stanął tu jeden budynek, ten naprzeciw okazałego sklepu, reszta zaś po odgruzowaniu połyskiwała po deszczach zielenią trawników. Dopiero po pięćdziesiątym szóstym nagle ruszyło. Wtedy, gdy rozpoczęto budowę fabryki płyt pilśniowych w poniemieckich halach przy dworcu. Gdy powstały zakłady rękawicznicze. Gdy ruszyły inne fabryki albo dawniej już pracujące, ale mizerne, nabrały teraz oddechu. Nagle wyrosły domy. Zagęściło się w śródmieściu, pozostawione spłachcie trawników czy ciąg parkowy przestały być koniecznością, wynikając obecnie z urbanistycznej koncepcji.

Jakie to dziwne. Przecież i przedtem widział to wszystko, obserwował budowę, zdarzało się, kazał kierowcy przystanąć, wysiadał, przyglądając się. Zjawił się kilka razy na tych samych ulicach, kontrolując wykonywanie robót elektryfikacyjnych. Ale to wszakże miało zupełnie inny charakter. Inne jest bowiem spojrzenie na miasto oczyma zwykłego przechodnia.

— Panie, usuń się pan albo idź tam, gdzie ci potrzeba. Zawadzasz pan — szturchnął go ktoś, przynaglił.

Dopiero się spostrzegł, że już dobra chwila minęła, jak błysnęło żółte i zielone światło, dawno rozpierzchły się gromadki skupione po obu stronach jezdni.

Zstąpił na nią, i zaraz musiał się cofnąć. Znowu zabłysło na moment żółte, a po nim zaślnięło mocniej czerwone światło. Najbliższy wóz zerwał się z impetem, mało, a byłby go potrafił. Aż obejrzał się za wesółkiem-kierowcą.

I wtedy gorąca fala zalała mu ciało. Zobaczył Ewkę. Przechodziła jezdnię na przeciwległym szlaku, wyznaczonym zielenią świateł. Chciał rzucić się ku niej, pobiec w tamtym kierunku, ale zbiegły się gromadą samochody i motocykle, chciał wołać, uświadomił sobie wszakże, że nic by to nie pomogło, nie przekrzyczy hałasu.

Mógł tylko patrzeć łapczywymi oczyma, jak idzie swym elastycznym krokiem, wysoka i szczupła, w króciutkiej nad kolana spódniczce i równie krótkim letnim, na tę pogodę nie najcieplejszym płaszczku. Może naprawdę tak

158

było, może mu się tylko z oddali zdawało, Ewka wyglądała na zmizerniałą i smutną.

Czerwone światło wciąż blokowało przejście, szurały samochody, odgradzając go od dziewczyny, ku której ścisząc rozum gnało go serce. Sylwetka córki malała, coraz to ją przestaniiali przechodnie, wreszcie zginęła, stopiła się z tłumem. Wtedy zielone światło wskazało wolną drogę. Przybyła westchnął jedynie, nawet spojrzeniem nie pobiegł już w stronę, kędy przed chwilą szła Ewka.

Już wiedział, czemu zrezygnował z powrotów samochodem z pracy, czemu nie bacząc na pogodę, tłukł się tak każdego dnia ulicami, nadkładał drogi, markując ciekawość i spokój nieśpiesznego przechodnia. Bo tak naprawdę nawet przed sobą nie chciał się przyznać, jak bardzo tęsknił za córką, jak po stokroć przeżywał od nowa dramatyczne momenty sprzed paru tygodni. Tęsknił do spotkania, do niby przypadkowej okazji zetknięcia, kilku słów, znalezienia jakiegokolwiek szansy do pojednania. Upór jego miękł, gotów był wyciągnąć dłoń i wybaczać... Otrząsnął się zarazem z podobnego konkretyzowania swych uczuć, nie dopowiadał ich do końca, ustępliwość swoją tłumacząc wspaniałomyślnością, rodzicielską pobłażliwością, bez doszukiwania się cienia winy we własnym postępowaniu. Bo jeśli nawet okazał się zbyt surowy, wszystko go ku temu upoważniało. Głupia, marnuje życie sobie i całej rodzinie...

Zgasł, wolno, z wysiłkiem włókł się do domu. Zawsze dbały o swoją postawę, garbił się teraz, przypominając innego zupełnie człowieka. Gdy niekiedy podnosił opuszczony ku ziemi wzrok, denerwowało go to życiem kipiące miasto, drażnili i spieszący gdzieś ludzie, i jasne światła rozpraszające zapadający już mrok, odpychały szeroko otwarte drzwi przestronnych sklepów. Dopiero podziwiany obraz miasta nabral z nagła szarych, ponurych kolorów, stał się mdły i dokuczliwie natrętny. Myśli kołatały też dokuczliwe, uparte.

To spotkanie, którego się przecież spodziewał, którego szukał mniej lub bardziej świadomie, nie tylko wstrząsnęło nim, ale też wyzwoliło nowe osądy. Ewka postawiła na

159

swoim. Gdy przed paru tygodniami ogłaszał jej swój surowy wyrok, w głębi gdzieś kołatało w nim przeświadczenie, że córka ukorzy się, przyjmie stawiane sobie warunki, a tym samym wszystko ułoży się według ustalonych prawideł ich domowo-rodzinnego porządku. Obliczenia te zawiodły. Po nim musiała odziedziczyć upór i konsekwencję w realizowaniu zamierzeń. Nie bała się ryzyka. Nieomal z fantazją przekreślała swą przeszłość, zrywała z nią, rzucając się na łeb na szyję w niewiadomą przyszłość. Uczucie do tego zwariowanego Edka tak ją zaślepiało, chęć zupełnej odmiany życia, jakaś ta nerwowość typowa dla wszystkich młodych?

Wzruszał ramionami. Cóż na to mógł odpowiedzieć.. co naprawdę wiedział o własnych dzieciach, czy właściwie znał Ewkę? Tych młodych wokoło siebie zupełnie dziś nie rozumiał. Mają jakiś nowy, odmienny stosunek do świata. Stąd zdradza się inne pojmowanie tych wartości, do których oni, starsi, przywiązywali aż taką wagę. Najpewniej przesadną, zwłaszcza iż doświadczenia własnego ich życia mówiły im, że osiągnięciem jakiejś stabilizacji nie zyskuje się jeszcze wszystkiego.

Słowo poniekąd bez treści, suche, niejako z góry ograniczające płaszczyznę widzenia. Uświadamia oto sobie, jak mało zna swoje dzieci, jak zaskakują go sądami i wynikającymi stąd decyzjami. Jakby mijali się w tym wspólnym domu, wygodnym, dobrze wyposażonym, z oddzielnym kątem dla każdego, imponującym porządkiem i ustalonym trybem. Dobrze sytuowana rodzina, szacunek społeczny, jakaś tam legenda zasług, wszystko utwierdzające osiągniętą pozycję. Ciężko na nią pracował, często trzeba było łamać się, zaciskać zęby, milczeć, aby nie zaprzeczyć samemu sobie, ale i nie narazić się władzom. Tamten miniony czas, gdy coraz częściej musiał poruszać się na niepewnym gruncie, gdy coraz częściej nie było wiadomo, co słuszne, co niesłuszne. Kilka razy niewiele dzieliło go od klęski życiowej. Widział, jak doznawali jej inni wokoło, zadziwieni tym, przerażeni...

To wtedy chyba nastąpiła w nim ta odmiana. Pewnie,

160

dbał zawsze o dom, o pewną wygodę życia dla swej rodziny. Ale sam dla siebie nie szukał przystani w miękkim fotelu i ciepłych bamboszach. Stać go było na inicjatywę, na ryzyko, na myślenie kategoriami szerszymi niż dyrektorski gabinet. Potem dopiero lęk, któremu się poddał, nasączać go począł zewnętrzną uległością, graniczącą z pokorą. Wolał o niejednym nie wiedzieć, nie słyszeć, nie mówić. Jak na tym chińskim czy japońskim obrazku przedstawiającym trzy dziewczęta zarzekające się przed złym: nie słyszeć, nie widzieć, nie mówić. Tyle że jemu chodziło o co innego niż tamtym dziewczętom.

W tym trudnym czasie rozpoczął przebudowę domu, odkupionego od państwa, tego samego, z którego przed siedemnastu laty chcieli go usunąć jacyś intruzi. Wtedy właśnie zamawiał w zakładach Środy meble, kupował żyrandole, dywany. Odkładał oszczędności. Zaczęli inaczej ubierać się, jeść, dzieciom nie zbywało na niczym. Pewnie, ciężko harował, przyjmował dodatkowe prace w innych okręgach i zarządach energetycznych, wyczekiwał na premie, łakomił się na każdy grosz. Zaczął nawet po trosze skąpić, w imię zabezpieczenia starości. O tym zabezpieczeniu mówił kolejno według starszeństwa Pietrkowi, Ewce, na koniec Krychnie. Ze ich rzeczą będzie zadbanie o rodziców, niejako w rewanżu za to, co teraz otrzymują... Ta starość, jej zabezpieczenie, zaczęły pomału stawać się jakby obsesją, skupiającą większość działań i pragnień. Tu chyba kryła się jego pokora, oportunistyczny sztyt na własną miarę, pragnienie, aby tylko „nie podpaść”, niczym nikomu się nie narazić...

Zgniewał go nagle własny tok myśli, charakter wysnuwającej się z nich oceny. Aż rzucił w rozdrażnieniu mocny epitet. Młoda para przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Ogarnął go nagły wstyd. Do tego doszło, że mamroce głośno na ulicy. Na domiar niedorzeczne bzdury przewalają się mu po głowie, osobliwa samokrytyka. To wszystko przez Ewkę. Zobaczył ją, rozczulił się zramolałym sercem, upominając, że cała wina leży po stronie wyrodnej córki...

11 Przejainła się niebo t. II

161

— Adaś, nie mów tak... To twoje dziecko — persadowała żona, gdy wybuchnął przy niej tym samym epitetem.

— Pewnie, że wyrodna. Inna by nie zrobiła takiego zawodu, nie ściągałaby hańby na porządny dom.

I wyszedł z pokoju, niedelikatnie trzaskając drzwiami.

Zdarzyło się to na czwarty dzień po odejściu Ewki, po jej ucieczce, jakoś wolał to słowo od bardziej ostrego nazwania żony: „po wypędzeniu”. Żona, nawet ona, całe życie potulna, wpatrująca się w niego z uwielbieniem, pierwszy raz wyraziła swoją dezaprobatę. Do oczu mu niemal skakała. A teraz popłakuje po kątach, oczy ma ciągle zaczerwienione...

Pędzik, znów Pędzik. Nie przyszedł, zadzwonił, eks-sier-żant wydawał się być zagniewany po ostatnim spotkaniu. Grubo, oschle brzmiał jego głos w słuchawce:

— Obiecałem, więc informuję. Dzisiaj udzieliłem ślubu pańskiej córce i jej narzeczonemu. Tylko że nie wiem, gratulować czy nie? Zmienił może pan zdanie? Młodzi nic o tym nie napomknęli, mnie zaś w tak uroczystej chwili nie wypadało pytać. Od siebie powiem, że udana para, jak rzadko... Bywa, takie kojarzę łamagi, takie pokraki, że ci dwoje prezentują się wobec tamtych jak z jakiego obrazka. Panie Przybyła, słyszy mnie pan? Hallo, hallo...

— Słyszę, panie Pędzik. Dziękuję. Tylko że teraz nic mnie to już nie obchodzi. Nic a nic. Słyszy pan?

— Słyszę. To do widzenia, panie Przybyła.

Jedyną reakcją był wtedy gniew, zagarniająca bez reszty pasja. Ladaco, wyrodna córka! Taką odpłaciła podzięką, tak się zrewanżowała rodzicom. Wolała chłystka, gówniarza, jakiegoś bawidamka. Już to zażyje z nim ona rozkoszy.

W domu krótko zrelacjonował rzecz żonie. Zdziwiło go, iż nie wydawała się zaskoczona. Przez moment błysnęło mu w myśli, może wiedziała, uczestniczyła w tym spisku poza jego plecami.

— Nie dziwisz się?

— Można było się tego spodziewać... — podeszła wtedy, przywarła do niego, otoczyła ramionami. — Adaś, stało się,

t

162

nie odstanie. Może by jednak młodym wybaczyć? Pomógł-byś temu Edkowi, zahaczyłby się o jaką robotę, poduczył wieczorami. Zawsze rodzona to córka, Adaś.

Odrzącił ją gwałtownie, pierwszy raz chyba w życiu zdarzyło się coś takiego pomiędzy nimi. Zakrzyczał.

— Nie, nie i nie! Nie daruję, nie odstąpię. Przepędziłem precz z domu i do domu nie wpuszczę. Rozumiesz?

Zostawił ją złamaną, sterczącą niemo pośrodku pokoju, sam zaś poszedł do kuchni, by tam namoczyć ręcznik na kompres...

Spostrzegł się, że stoi przed jakąś fotograficzną witryną. Z pasją splunął sobie pod nogi. Co się z nim dzieje, co mu się stało? Że Ewkę spotkał na ulicy, że podświadomie szukał jej gwałtownie przez cały ostatni tydzień, dlatego aż tak się wzruszył, zagubił w sobie zupełnie? Pewnie, żal, tęskno, nie wiedzieć, co się z nią dzieje, żadne słuchy nie nadchodziły, gdzieś się zaszli z Edkiem, ani co o nich wiadomo. Żal, tęskno, ale nie jego wina, nie jego.

Ciężko dzisiaj wlec nogi, bolą w kolanach. Starość, zdenerwowanie, zmęczenie? Wszystko przez tę pułciochę.

Wyglądała tak bardzo mizernie i jakby smutno. Ewka, córka kochana...

Przyśpieszył kroku. Dość miał roztkliwiań, budzących wewnętrzny rozbrat. Prędszej do domu, położyć się, odpocząć, przepracował się ostatnio, oto i skutki.

Tylko że w domu pusto się zrobiło od czasu, gdy zabrakło w nim Ewki.

Ciemności zapadły nagle. W jednej chwili czerń okryła miasto, rozelśnione przed chwilą, łyskające tysiącami lamp, wdzieczące się kwadratami różnokolorowo świecących okien.

Zaraz potem zawyła gdzieś alarmowa syrena, jedna, potem druga. W ślad za nimi podniósł się donośny klakson straży pożarnej. Przez gromady ludzkie zatrzymane w swym biegu na ulicach przewiało lękiem.

— Jakaś większa awaria...

ir

163

Ale czemu straż pędzi, patrzcie, dwa, trzy, cztery wozy.

Część gapiów rzuciła się w stronę ulic wiodących do elektrowni. Ktoś zapalką oświecał zegarek:

— Dopiero za pięć czwarta — zdumiał się. — A tak już ciemno...

— Jesień, czego pan chcesz. A jeszcze niebo wyjątkowo pochmurne. Znowu dwa wozy straży. Na sygnale jadą, pełnym gazem. To musi być coś poważniejszego.

Dzień rzeczywiście od rana zwłókl się ponury, nawisły ciężkimi chmurami. W niektórych pomieszczeniach już w południe zapalano światła. Teraz mrok niepodzielnie zapanował nad miastem.

Przybyła w budynku zarządu energetyki szykował się już do wyjścia, popatrując na wskazówki zegarka, aż osiągną dokładnie godzinę szesnastą, gdy zgąsło światło. Macając na ślepo, pokrzykując do sekretarki, łapał słuchawkę telefoniczną, łącząc się z maszynownią.

- Dyrektor Przybyła?
- To ja was pytam, co się stało? Kto przy telefonie?
- Siarczyński, dyżurny technik... Dyrektorze, awaria głównego generatora... Palą się także kable...
- Przełączcie napięcie z innej linii...
- Kiedy przecież ten pożar, dopiero wyłączyliśmy...
- Hallo, hallo! Siarczyński, do jasnej cholery, co z wami? Siarczyński...

Cisza. Tamten musiał już grzotnąć słuchawką. Przybyła dopiero w tej chwili uświadomił sobie, iż w zaistniałej sytuacji ostatnią rzeczą, jaką technik dyżurny mógł robić, było gadanie.

W drzwiach o mało nie zderzył się z Jasią.

- Panie dyrektorze..,
- Nie mądrz się. Pilnuj telefonów, pędzę do hali. Jest Krajewski?
- Dawno już pobiegł na miejsce...

Ten zawsze musi być pierwszy i szybszy, pomyślał Przybyła, ale rad był, że inżynier już się tam znalazł. Od razu zarządzi, co trzeba...

Już na podwórzu, w gęstniejącym mroku zauważył bły-

164

ski ognia migocące na szybach hali maszyn. Stały tam trzy turbiny, przygotowywali właśnie fundamenty pod czwartą. A tu taka historia...

Od miasta nadbiegały klaksony straży, mieszając się z pojękiwaniem syren alarmowych. Od kotłowni również poniósł się jazgotliwy, przenikający wszystko gwizd.

Ktoś biegł obok, przyświecając sobie latarką. W nikłym poblasku tego światełka odnajdywał drogę także Przybyła.

- Jasna cholera, diabli nadali!

Kłębiło się już od ludzi przy wejściu, ktoś ich odganiał, ktoś wołał przeraźliwie o piasek, worki, są w magazynie, także pod murem hali, prędzej, prędzej...

Blask narastał, buchał skrami, przesłaniany co raz to falą kurzu, działały już gaśnice.

Wpadł do wnętrza. Jakieś rozżarzone kręgi na generatorze pierwszej turbiny, tej samej, którą kiedyś Niemcy chcieli im zniszczyć, dalej ogień pnący się ścianą w górę, łyskające kable strzelające skrami jak zimne ognie w okresie gwiazdkowym, szypienie, dziwny poszum.

Przystanął, nie od razu mogąc zorientować się w sytuacji. Trzeci generator, najdalszy, wciąż jeszcze pracował. Ten przesyłowy. Zawahał się, kazać go także wyłączyć? Na to zawsze jest czas, tamten teren tymczasem bezpieczny...

— Krajewski?

— Jestem. Zatarcie, iskry, zła wentylacja, kurz, teraz mamy rezultat... Tutaj nieście gaśnicę, tutaj... Straż jest? Usunąć wszystkich na zewnątrz od linii kablowych, głową odpowiadacie — Krajewski zdawał się już nie widzieć swego zwierzchnika.

Szarpnął go za rękaw.

— Co jest? Nie mamy czasu na gadanie. Chyba że pan przejmie akcję ratunkową...

— Niech pan ją dalej prowadzi. Będziemy się wspomagać.

— Dobra, dobra... — biegł już ku drzwiom, w pobliżu których odwijał ktoś wyrzucony z za strzaskanej szyby zwykły hydrant przeciwpożarowy. — Zwariowałeś, człowieku?

165

Trzeci generator działa. Tylko nie Wodą, tylko nie wodą... Stasiak, organizuj ludzi, niech noszą piasek.

— Z magazynu już kończą nosić. Dwieście worków było...

— To niechaj kopią, do jasnej cholery... Dyrektorze wyłączam trzeci generator...

— Przesyłowy.

— Gównu. Tu ludzie i cała szansa ratunku.

Przybyła sam biegł już ku trzeciemu generatorowi. Krajewski ma rację, co mu się stało, że w ogóle chciał oponować? Uskoczył w ostatniej chwili, raczej intuicyjnie, trzask rozległ się bowiem niemal w tym samym momencie, pierwszy kabel runął na ziemię, aż zaiskrzyło, sypnęło ogniem. Trzecia turbina dopiero przecież zwalniała obroty, ktoś już przerzucił dźwignię.

Przez drzwi wbiegli strażacy. Krajewski wyskoczył naprzeciw oficera.

— Wody ani kropli! Piasek, tylko piasek. Suche gaśnice.

— Mało ich mamy. Trzeba rwać dach. Już tam chłopcy podstawiają drabiny. Pilnujcie, żeby się ludzie nie pchali... — oficer rzucał te słowa w biegu, zaraz zakrzyknął rozkazami rzuconymi swoim strażakom.

— Tylko nie na turbinę, bo ją stracimy na amen, tylko nie na turbinę. Tam gaśnice, wyłącznie suche gaśnice — zerwał się Krajewski na widok kilku ludzi z workami piasku pędzących pod skrzący się, rozpalony wokół osi generator.

— Uwaga, uwaga, mamy rannego.

— Prąd?

— Belka żelazna...

Ostry trzask, znowu coś się zarwało. Od dachu dudnią głucho uderzenia, strażacy już rwali poszycie.

Jasno, jak bardzo jasno. Ogień nasila się. Klęska. Myśli te nadbiegały, znowu umykały, już i on wpadł w ogólny rytm, dwoił się i troił, rozkazywał i sam bezpośrednio uczestniczył w ratunku.

W małej, tylko maskowanej osłoną kabinie, dyżurny ope-

166

rator naciskał guziki, rzucając w słuchawkę krótkie informacje i notując odpowiedzi. Raz po raz oglądał się za siebie, obserwując rozwój sytuacji w hali. Błyski oświeślały twarz wąską, o mocno ściągniętych wargach.

Smugi reflektorów podciągniętych przez straż do wnętrza, odmieniły sceneryę. Poblaski ognia jakby straciły na grozie, nabrała natomiast w pełni posępnego wyrazu do-okolna ruina wszelkiego porządku i ładu. Sypały się od góry fragmenty poszycia, wypucowaną zazwyczaj posadzkę pokrywała teraz sadza przemieszana z żółtymi placami rozsypanego piasku, zmartwiałe, dziwaczne jakieś, obce stały zatrzymane w biegu turbiny.

— Jezusie, deszcz!

Lęk zabrzmiał, niemal panika w tym przeraźliwym wrzasku, który nadciąga od zewnątrz. Przybyła porwał się z miejsca, jeszcze tego tu brakowało, dopiero uświadomił sobie, że to chwilowo, niegroźne, prądu już nie ma w przewodach, kable są martwe, nie żyją. Spojrzał w górę. Nad turbinami dach był cały, woda przynajmniej im nie zaszkodzi...

Dym, gryzący, ostry przesiąknięty wonią chemikalii stanowiących osłonę kabli wypełniał wnętrze, gryzł oczy, oparami przesłaniał widoczność. Jakby z innego świata nadbiegały głosy Krajewskiego i oficera dowodzącego akcją ratunkową. Dach dudnił pod uderzeniami rwących go w strzępy strażaków.

— Jest już nadzieja. Mało brakło, a wszystko poszłoby w diabły — wykrzywił twarz Krajewski, znowu dokąś pognał.

Po trzech godzinach pożar został opanowany. Mechanicy i przewodowcy z miejsca rozpoczęli krzątanie przy kablach. Przybyła, czarny od sadzy, asystował im, udzielał wskazówek, sam wspinał się na drabiny. Krajewski krążył około generatorów i turbin, wraz z mechanikami oczyszczając je z nalotu sadzy i pyłu.

Część wozów straży już odjeżdżała, pozostawała tylko ekipa ochronna na wypadek, gdyby jakaś iskra zechcia-

167

ła od nowa rozgorzeć ogniem. Deszcz już nie siekł o dach, ustał, roziskrzyło się niebo.

— Chodźmy na powietrze — Krajewski wziął pod ramię słaniającego się dyrektora, prowadził ku drzwiom. — Gotów pan jeszcze oczadzić. — W głosie jego wyczuł Przybyła niezwykłą troskę. Nim

miał czas zastanowić się nad jej przyczynami, Krajewski nagle wyrzucił z siebie. — Pamięta pan, mówiłem, iż chciałem odnaleźć w panu tego legendarnego Przybyłę. Dzisiaj się to spełniło. Bardzo pan dzielnie poczynał, jeżeli mogę zauważyć.

Przybyłe zbierało się na wymioty. Nagle go opuściło napięcie, poczuł się bardzo słaby. Wsparł się ciężko na ramieniu swego zastępcy.

— Lata robią swoje. Zmartwienia. Wsiadłem trochę... To ja panu powinienem wyrażać największe uznanie. Trochę inaczej o was, młodych, myślałem. Zdawało mi się, że lubicie więcej blefować, niż działać. Pan mnie przekonał, że jest inaczej... — zamyślił się, dorzucił już beznamiętnie.
— Obawiam się, iż moja kariera skończona.

— Co pan! — podskoczył Krajewski. — Nic podobnego. Sprawa jest prosta. Zatarcie generatora zawsze może się zdarzyć. Przy zatarciu podniósł się kurz, iskry musiały spaść na przewody, ogarnąć kable.

— Tak, tak — kiwał głową nie przekonany Przybyła.

Swit wstawał niemrawy, po rozgwieżdżonej nad ranem

nocy znów niebo zaciągało się chmurami, niskimi, ponurymi w swym kolorycie. Nikt z załogi nie myślał o powrocie do domu. Nastawiając od chłodu kotłownie gromadzili się przed halą, nasłuchiwali wieści od wnętrza. Przybyła i Krajewski bezpośrednio dozorowali tam pracę monterów.

— I co? — wypytywali ciekawscy każdego, kto tylko głowę wychylił z hali.

Wzruszali ramionami. Nic nie wiadomo.

— Ruszy czy nie ruszy, gadaj, ty niemowo.

— Może i ruszy...

Dziewiąta. Dziesiąta. Za ogrodzeniem zakładów i elektrowni gęsty tłum ciekawskich.

168

Od kotłowni kominem przewalały się potężniejące kłęby dymu.

O dziesiątej piętnaście Krajewski podszedł do Przybyły.

— Pan uruchomi turbinę. Zgodnie z tradycją tej elektrowni.

Dyrektor potrząsnął głową.

— Panu się to należy. Przejmujecie warię.

— Ja uruchomię kolejną.

Zajęczały, zawirowały, a potem podniosły się jednostajnym poszumem dwie ocalałe turbiny. Popłynęło światło na miasto, do unieruchomionych fabryk, na linię przesyłową.

Przybyła z tą chwilą poczuł się raźniej. Szybko się uporali. Mogło być znacznie gorzej. Spojrzeniem przewiodł po pierwszej martwej turbinie, potem wzniosł oczy wysoko, pod dach ziejący w paru miejscach ogromnymi dziurami. Posadzka hali była już czysta, dozorczy zaczęli nadawać jej połysk. Najstarszy z maszynistów zawzięcie pucował szmatką poręczę drabinki okalającej tuibiny.

Krajewski drgnął. Otoczyły go ramiona dyrektora, ścisnęły, na policzkach uczył ciepło pocałunków.

2.

Dopiero około jedenastej gasły ostatnie lampy w skrzydle budynku mieszczącego sale wykładowe. Liceum ucichało, zatapiało się w mroku. Na ulicę prostokątami kładły się już tylko odbłaski światła z prywatnych dyrektorskich pomieszczeń.

Jeszcze niedawno bał się tej godziny ciszy i całkowitego spokoju. Pulsujące życie w gmachu liceum stawało się dla niego czymś w rodzaju koniecznej pastylki usypiającej złe wewnętrzne samopoczucie. Gdy brakło tamtego życia na zewnątrz, pojawiała się na tym miejscu inne, rodziło się 2e wspomnień, z okrutną wyrazistością, choć nieco zamazaną w szczegółach, i zagarniało go całkowicie. I wtedy nie-

169

odmiennie zmuszony był szukać siebie samego w tamtym wojennym czasie, przymierzał od nowa swoją postawę do różnorodnych kryteriów, raz usprawiedliwiał siebie, znajdując nawet niekiedy odcień podziwu, to znów grzął w potępieniu.

Ostatnio, właściwie bardzo niedawno, coś się w nim musiało wypalić, obojętniej oglądał własne swoje odbicie w przeszłości, zamazywały się nie tylko kontury, ale i ogólne obrazy. Albo może się odkładały w pamięci, zalegając tam warstwą popiołu, pod którą, kto wie, czy nie tli się nadal żywy ogień.

W każdym razie zaznawał teraz więcej spokoju. Nie odczuwał już lęku na widok gasnących okien szkolnego budynku, nie przejmowała go dreszczem świadomość, iż pozostał sam w wielkim gmachu, z sobą i swymi zjawami. Cekał teraz nawet tej późnej godziny. Jakby od tej chwili przestały go śledzić czyjeś uważne oczy.

Zaparzał kawę, zapalał wszystkie światła, lubił, jak otaczała go jasność, nie czały się żadne cienie po kątach. Mocny papieros, wraz z pochłanianą kawą łudził odczuciem wzrastającej energii; szybciej krążyła krew w żyłach, zanikała świadomość samotności, w ciągu dnia odczuwana tak często, jakby na przekór faktom, wtedy zwłaszcza, gdy znajdował się pośród ludzi, gdy wokół szumiała rozweselona młodzież.

Później pisał. Głupia, śmieszna historia, nie umiał jej nazwać inaczej. Ot przypadkowo przeczytał ogłoszenie jakiegoś instytutu socjologicznego, który prosił o przesyłanie pamiętników związanych z zagospodarowaniem i utrwalaniem władzy polskiej na terenie Nadodrza. W pierwszej chwili nie obeszło go to, obojętnie prześliznął wzrokiem po wierszach, refleksja zjawiała się później... Były to wszakże chwile, gdy wbrew wszystkim trapiącym osądom umiał jednakże być sobą, znajdował wspólny język z otaczającą go zbiorowością. Spalał się w działaniu, w realizacji zadań na pozór niewykonalnych, nie musiał być sam, jak dzisiaj.

Tęsknota za atmosferą tamtych dni, może i za sobą sa-

mym w ich tle, pchnęła go do pisania. Bo przecież nie zachęty instytutu, ani apele, by z myślą o potomności, dla historii. Na to dawno już przestał być czuły.

Może zaistniało coś jeszcze innego. Pisanie wspomnień cudownie absorbowało czas. Nie tylko w późnowieczornych godzinach, ale i w ciągu całego dnia, gdy z nagłą musiał wysilać pamięć, by zatrzymać w niej jakiś szczegół, obrazek, myśl uzupełniającą nastrój. Zatracał się w nim dystans między tamtym czasem a terażniejszością. Odnajdował się od nowa, jakby nie było tych siedemnastu lat, w dawnej kompanii, z Zielniakiem, Haliną, Pędzikiem, z Walusiem Florczakiem, z dziewczętami wracającymi z przymusowej pracy, z grupą Niemców, zbaraniałych, zaskoczonych, zarazem próbujących odwetowego działania. Znowu było głośno wokół od strzelaniny, zrywały się miny, wybuchały pociski, problemem stawał się każdy drobiazg, każdy ochłap mięsa na obiad w kołchozowej, jak ją nazywali, stołówce. A jeszcze okres późniejszy o parę miesięcy, napływ ludzi, nowe problemy, szaber rodzimy i niemiecka dywersja, Dzwinarska ze swoim muzeum i cennymi znaleziskami wawelskich arcydzieł, piegowata Halina w sekretariacie starosty, fałszowany lekarz w szpitalu, Frau Kosche za-dreptująca bamboszami froterowane posadzki. Niektórzy z tamtych zmarli, inni wyjechali, ale większość jest przecież, żyje tu, lepiej lub gorzej, można ich spotkać, umówić się, przypomnieć niejedno ze wspólnych przeżyć. Niby tak, a zarazem zupełnie inaczej. Bo ci pozostali są teraz inni. Nie pasują już do własnych kostiumów z tamtej epoki. Stateczni często, z tytułami, jak smarkaty Ferycki, jak przekorna Halina, czy dla odmiany z utraconym grzbietem jak on sam albo jak Budniak. Nie ci sami ludzie.

Przyjął się w liceum wprowadzony przez niego od lat już zwyczaj, iż w każdą rocznicę wyzwolenia miasta on sam i zaproszeni niektórzy z pierwszych pionierów snuli przed młodzieżą wspomnienia tamtych gorących dni. Młodzi słuchali z uwagą, zaciekawieniem, porywała ich romantyka czasu, szeroki oddech zwariowanej przygody, wzdychali żałośnie, że im nie było dane przeżywać podobnych emocji.

Ale zarazem uśmiechali się niekiedy sceptycznie, z niedowierzaniem, wzruszali ramionami, wtedy zwłaszcza, gdy ktoś z opowiadających objawiał zbyt silne wzruszenie. Byli nie tyle dalecy czy obcy, ale po prostu inni. W kategoriach ich pojęć, zwłaszcza u najmłodszych, nie mieścił się już obraz miasta w ruinie, wśród zaminowanych pól, strzelaniny nie ustającej na chwilę. Zachowane fotografie były nazbyt statyczne i martwe, by obudzić w nich żywsze uczucie. Grzecznie więc rozgrzeszali starszych z naiwności, ale treści ich przeżyć nie umieli przyjmować do siebie. Podobnie jak z wojną, jak z okupacją. To już nie był ich czas. To była legenda wyrastająca z historii. O tyle świeższej, że będącej udziałem ich ojców, ale nadal zostającej poza nimi i zakresem ich pojęć. Żyłali się, nudziło ich w końcu wspomnianie o hekatombie narodu, o obozach, straceniach, masowych mordach. Jeśli jeszcze okazywali poruszenie, to przy obrazach walk zbrojnych wojska, czy zwłaszcza przy partyzanckich utarczkach: tu wyobraźnia pełniej przychodziła im w sukurs.

Rozumiał, więcej, akceptował słuszność postawy młodych, ale nie umiał zarazem przygasić w sobie uczucia pewnego żalu. Zwłaszcza raził go ich praktycyzm, realność oceny. Miasta były zburzone, stały jednym śmietnikiem i gruzowiskiem? No to proste, że trzeba je było odbudować. Jaki przy tym musiał

być wkład energii, zapału czy poświęcenia, to ich nie obchodziło, na ten rachunek nie znajdowali pokrycia.

Może więc także dla nich, dla swoich uczniów spisywał wrażenia gorących dni i tygodni; zamiast wspominać, wcielał się w siebie dawnego, walczącego z obozowym kompleksem, ale równolegle umiającego działać. Najwidoczniej potrzebny mu był teraz własny wizerunek inny aniżeli nieszczęsnego późniejszego rozbitka.

Rozbitek, samotnik owładnięty kompleksami, jegomość z trzęsącymi się rękoma i wyblakłymi oczyma. Nie żałował sobie przygan, konstruując opinię o sobie z dnia dzisiejszego. Zagubiony, niepewny, z zatraconą swobodą o-biektywnego widzenia. Może zaprzeczający samemu sobie,

172

swym najmocniejszym odczuciom. Bo jak inaczej wytłumaczyć przejęcie, z jak; m przyjął wieść o aresztowaniu Schulmowsky'ego, o możliwościach wyjazdu w charakterze świadka na proces? Był roztrzęsiony, poleciał do Janki po radę. Czyż naprawdę lękał się konfrontacji z żoną zbrodniarza? Bo może jeszcze inaczej, może bał się konfrontacji z byłym oprawcą, jak by nie był pewien już własnej nienawiści do hitlerowskiego zbira i tysięcy jemu podobnych, jakby nie dowierzał samemu sobie, czy stać go będzie na nakreślenie prawdziwego obrazu, czym oni byli naprawdę i co czynili? Pognał z tym do Janiny, mężatki już, niby tej samej, a również dalece zmienionej.

Czemu w pierwszym wzburzeniu porwało go właśnie do niej? Mógł szukać zrozumienia u któregośkolwiek z dawnych przyjaciół. Dziwne, nawet nie przyszli mu na myśl. Pociągnęło go podświadomie do Janki...

I tak już niezmiennie bywało w tych ślęczeniach wieczornych, przy kreśleniu obrazu bezpośrednio powojennego czasu, że z nagłą myśl zahaczała o Janinę. I wtedy przeszłość przestawiana zostawała przez terażniejszość. Odsuwać należało zeszyt z notatkami. Wątek na ten dzień był urwany.

Pił znowu kawę, półprzymrużonymi oczyma wodząc po wnętrzu jasno oświetlonego pokoju. Teraz drażniła go ta jasność. Za wiele wyzierało w niej pustych kątów, razit chłód sprzętów, wbrew wszelkim jego staraniom brakło tego ciepła atmosfery mieszkalnej, jakiego pamięć wyniósł z rodzinnego domu.

Skurcz niepokoju. Czy w latach, gdy Janka bywała u niego codziennym gościem, wyglądało tak samo? Sama jej obecność wносиła nową atmosferę, czy może współgospodarnijąc, drobiazgam wyczarowywała inny nastrój? Znajdowały się wtedy jakieś drobiazgi, które nie wiedzieć gdzie się podziały, sam je bodaj usunął, by nie płoszyły pamięci.

Rozeszli się tak spokojnie, jak zesli. W ich sympatii, bo Przecież nie była to miłość, zabrakło wielkiej romantyki, zachłyśnięcia i oczarowania. Obydwoje byli samotni, on się wciąż dręczył obozowym koszmarem, jej też niełatwo

173

było wyzwolić się od ech minionych, złączyło ich pragnienie znalezienia w sobie przystani, możliwości szczerego odruchu, zapomnienia o wewnętrznych rozterkach. I chyba też znalazło każde spełnienie tych pragnień. Aż po moment, gdy przestali sobie wystarczać, gdy wzajemna obecność przestała

chronić już od bolesnych nawrotów, gdy tak samo dobrze lub źle czuli się bez siebie jak razem. Mniej może tyczyło to Janki. W nerwowym rytmie pracy szpitalnej łatwiej znajdowała zaspokojenie, gdy jego przytłaczała stabilność dyrektorskiej posady.

Wieleż to trwało lat, trzy czy nawet niespełna cztery? Dziwny musiał wydawać się ludziom ich związek. Każde z nich dysponowało pełną osobistą swobodą, a zarazem uczucie wiążące ich z sobą stawało się jak gdyby kradzione. Nie to, że się z nim kryli, Janka jawnie demonstrowała, co ich oboje łączy, ale że nigdy z ust żadnego nie padła propozycja stabilizacji, likwidacji któregoś mieszkania, zawarcia oficjalnego związku. Potrzebni byli sobie bez tej procedury zewnętrznej, podświadomość wskazywała widocznie na okresowość zbliżenia. Fakty to potwierdziły.

Odeszli od siebie dziesięć lat temu. Po rozmowie przeciągającej się długo w noc Janka już nie została do rana. Jeszcze tej samej nocy poszła do siebie. Nie chciała nawet, aby ją odprowadzał. Nić łącząca ich z sobą została przecięta. Z szacunkiem, z ulgą całował jej rękę na pożegnanie. Przyrzekli sobie, że nie spróbują odświeżyć kiedykolwiek dawnych wspomnień, nie będą szukali okazji do nowego zbliżenia, jeśli by któreś poczuło na to ochotę... Dziesięć lat temu. Tak strasznie dawno. Właściwie ten czas zdążył już wywietrzeć z pamięci. Ten wspólny czas. Więc czemu niespełna dwa miesiące temu on pierwszy złamał umowę, pognął szukać w szpitalu ordynatora oddziału, doktor Janiny Męczyńskiej. Już nie Koryckiej, ale Męczyńskiej, zamężnej za tym swoim poczciwym Fredem. W tym przypadku Janka uznała słuszność-i potrzebę formalnego związania. Zresztą, nieważne, nie będzie się teraz spalał w zazdrości... A jednak pociągnęło go do niej, nie szukał innego konfesjonału w momencie, gdy już tak bardzo za~

174

pragnął spowiedzi. Refleks to prokuratorskiego wezwania, nieomal wstrząsu wywołanego wieścią, iż choć po latach, jednakże marzenie jego ulega spełnieniu, Schulmowsky poniesie karę? Czy posłużenie się swoim nastrojem jako pretekstem?

Tam, w szpitalnym gabinecie, za biało lakierowanym stołem przyglądał się tej kiedyś tak bliskiej, teraz dalekiej kobiecie, z wyraźnym wzruszeniem. Zdawało mu się, iż w niej także odnajduje echa podobnego nastroju. Pragnąłby zatem powrotu tego, co było? Jej krzątania w mieszkaniu, nutki ciepła, które by wniosła z sobą, gorących, chociaż nie nieprzytomnych nocy? Raczej nie istniały podobne pragnienia w jego odczuciach. Może zwyczajnie sentyment tylko owiewał to spotkanie po latach. Może nastrój wywołany nowym przeżyciem, raz jeszcze wracającym do życia koszmarem dni obozowych?

Jedno wynikało z drugiego, skomplikowana stałaby się konieczność przyznania któremuś odczuciu palmy pierwszeństwa. Chyba zatem najzwyczajniejszy przypadek albo wiara, iż do podobnie intymnego zwierzenia potrzebna była kobieta, a jakaż inna, poza Janką, zdolna byłaby do rozumienia jego wewnętrznych szamotań...

Wracał ze spotkania niezadowolony z siebie. Niby był po spowiedzi, ale ciągle nie mógł się uznać za rozgrzeszonego. Okazało się, że ta ucieczka do Janki nie była jednak bezcelowa. Wpłynęła na to, iż rozsądnie, odmiennie niż w pierwszym zamierzonym impulsie, składał zeznania przed prokuratorem, że przestał się bać obrazu Erny Schulmowsky, nie płoszył go spodziewany wyjazd do Federalnych Niemiec. Zarazem też jakby coś skotłowało się i pomieszało w jego życiu pośród obozowych urojeń,

majaków, wspomnień. Sprawy te zmieniły swe miejsce w czasie. To wtedy wszakże przypomniał sobie o apelu dotyczącym spisywania wspomnień z pierwszych dni odbudowy, z nagłą zapalał chęcią do odtworzenia tamtego kawałka historii. Na jakiś sposób zadziałała i tutaj mentalność Janki...

Chyba też jedynie dlatego tak często znów przychodzi

175

mu ona u myśli, razić zaczynają ni stąd, ni zowąd ściany mieszkania chłodem i brakiem ciepłego zadomowienia.

Podniósł się zza stołu, przeciągnął. Nic dzisiaj już nie wysiedzi, słowa nie będą układały się w zdania, nie doda już nic do zapisanych kartek. Może jutro, może pojutrze znów coś wyzwoli się w nim, zasiądzie wtedy do dalszego pisania.

Jeszcze raz powiódł po pokoju znużonym wejrzeniem. Psiakrew, mogłaby ta woźna, Antosia, przynieść choć parę jesiennych kwiatów. Nie byłoby tak ponuro w tym domu.

Chłopak był wyraźnie zażenowany. Nerwowym ruchem dłoni odgarniał wypłowiałe włosy, opadające na oczy, mrużył powieki, kręcił się na fotelu.

— Słucham cię, drogi, prosto wal, z czym przychodzisz.

— Panie dyrektorze, wiem, że dawni pana uczniowie zjawiają się niekiedy u pana, ktoś mi o tym wspominał. Ja sam może nie mam do tego prawa, tylko dwa lata uczęszczałem do pańskiego liceum, potem wyjechałem do szkoły ogrodniczej... I chyba też nie dlatego przyszedłem, że pan był moim dyrektorem. Ludzie mają do pana zaufanie. Wiem też, że jak mało kto zna pan kwestie niemieckie. Wiele pan przeszedł w czasie okupacji, potem tutaj też zajmował się pan niemieckimi sprawami.

— A cóż mają do tego te niemieckie historie? — szczerze zdziwił się Lisiewicz.

Przyglądał się swemu gościowi, który nie odpowiadał, zdając się zbierać myśli niesforne tłukące się pod jasnymi włosami. Właściwie słowiański typ, a przecież tak naprawdę to mały Niemczak... Znał historię dzieci adoptowanych przez Pomykałów. W tamtych latach zdarzyło się jeszcze kilka podobnych przypadków w kręgu spraw, o które się musiał ocierać. Były dzieci w sierocińcach, adoptowane przez kogoś, były cesje matek, szukających ułatwionego życia...

Lubił wizyty swych wychowanków, dziś dojrzałych ludzi na różnych stanowiskach. Odwiedzali go dosyć często, prze-

176

ważnie były to wizyty kurtuazyjne, echa sentymenciku ze szcenięcych lat, bywały i zwierzenia, prośby o porady, szukanie ratunku. W takich chwilach inaczej niżeli zazwyczaj osądzał pedagogiczny trud wielu lat, okazywało się, nie był on tak znów bardzo bezpłodny... Ten Pomykało, ciekawe, co go przygnało? Sprawy niemieckie, coś związane bezpośrednio z nim samym? Wierci się, jest straszliwie przejęty, trzeba go nieco ośmielić.

Podsunał papierosy.

— Dziękuję, nie palę... Nie, nie, z kawą niech się pan nie fatyguje. Trudno mi jakoś odnaleźć właściwe słowa do tego, co chciałbym panu powiedzieć. Czuję się zagubiony, zaszczuty jak mały psiak, napadnięty przez wielkiego, wy-liniałego kundla — tutaj Pomykało uśmiechnął się. — Inna rzecz, że wyliniały kundel, to ostatnie, do czego by ją można porównać. Jeszcze młoda i ładna...

Lisiewicz czekał. Czuł zarazem ogarniającą go ciekawość, Z czym ten chłopak, u licha, przychodzi? Też znalazł sobie arbitra w sprawach niemieckich, przecież on będzie chyba tu krzywym zwierciadłem.

— Zacznę może najprościej — zdecydował wreszcie Jasiek Pomykało. — Do Srodów, tych, wie pan, od stolarni, przyjechała wnuczka, siostra Jana Schirmera. Przyszła któregoś dnia do naszego ogrodnictwa... Pan zna historię Srodów, prawda? Ojciec mi ją niedawno dokładnie naświetlił. Podobno nie wszystko było tam jasne. Mniejsza o to, nic te sprawy mnie nie obchodzą. Zaskoczyła nas, to znaczy mnie i Kaśkę, moją siostrę, pan ją zna, przecież tutaj robiła maturę przed dwoma laty, pozdrowieniami przywożonymi od naszej prawdziwej, nie znanej nam matki. Dowiedzieliśmy się jej nazwiska, dotąd nie znanego naszym rodzicom, to znaczy Pomykałom, płaczą mi się teraz te rodzicielskie sprawy. Muller. Marta Muller. To bardzo niemiecko brzmi, prawda? Zaciekawiała nas, rozzłościła, dlatego chyba poszliśmy na tę rozmowę. Dziwna to była rozmowa, niby nic z niej istotnego nie wynikało, a bardzo zarazem wiele...

— Proszę, powtórz mi ją, to interesujące. Gerta Schir-mer, powiadasz? Znam ją doskonale. Tu się uczyła, zdawała

12 Przejaśnia się niebo t. II

17?

u nas maturę. Ambitna, twarda, przy tym zamknięta w sobie i bardzo zacięta. Nie kryła się, to jej trzeba zaliczyć na plus, z sympatiami do Niemców. Nie była przez kolegów lubiana z tego powodu. Oficjalnie, jak i cała rodzina, uchodziła wszakże za Polkę. Aż do czasu, gdy wyjechała z kraju wraz z matką. Brat natomiast pozostał. O, ten reprezentował zupełnie inny typ charakteru. Otwarty, szczerzy, jakoś manifestacyjnie akcentujący, że jest Polakiem, że się nim czuje bez reszty. Wiem, że pożycie jego z siostrą układało się źle... Zatem ta Gerta, ciekawe... Przepraszam, przerwałem ci. Chciałem po prostu podkreślić, że znam właściwie wszystkich aktorów tej historii.

— Nie jestem pewien, panie dyrektorze, czy tak bez reszty pan zna... Na przykład Gertrudę Schirmer, obecnie Gottlieb, jak się nam przedstawiła... Bardzo była przejęta naszym widokiem. Usiłowała być serdeczna, co jej się nie zawsze udawało, chwilami jakby dławiła w sobie złość... Rozmowa też przebiegała dziwnie. Trudna była, bolesna, niepokojąca. Bo, widzi pan, ta kobieta tak postawiła sprawę...

Mówił już teraz swobodniej, odnalazł wątek, zniknęło początkowe zażenowanie. Starał się usilnie o opanowanie i spokój, ale przychodziło mu to niełatwo. Spod słów wyzierała jakaś straszliwa pasja, więcej, nienawiść w stosunku do kobiety, która dla jakichś względów, czy może po prostu bez żadnego powodu, zachwiała jego równowagę, każąc stawać przed konfrontacjami, na które nie umiał znaleźć* odpowiedzi. Momentami uciekał się do zjadliwej prze-kpinki, wtrącając uwagi w rodzaju „znów zapaliła papierosa”, kiedy indziej w narastającej złości szczyrzył zęby, zdawało się Lisiewiczowi, chwila, a zawarczy wściekłością. Ale nie, Pomykało znów się opanowywał, ton jego stawał się beznamiętny, sucho relacjonujący...

Lisiewicz przysłuchiwał się żarliwej tej wypowiedzi z narastającym zdumieniem. Zdradzał się w nim zarazem podziw dla tego chłopca. Nie ucieka od spraw, które go boleśnie dotknęły, odstawiając trudny problem, chce go od razu chwycić za rogi, dojść pełnej prawdy, gasząc niepo-

178

kojące załązki osobistej niewiedzy, niepewności i wahań. Wzdraga się przed połowicznością, chce pełni. Spowiada się. Znamienne, jak takie momenty zwierzeń są ludziom nieodzownie potrzebne. Można gasić w sobie i tłamsić coś strasznie długo, mocować się z kompleksami, najbardziej intymnie osobistymi, ale przychodzi chwila, gdy nieodzowna staje się obecność innego człowieka, czasem jest to spowiednik z wyboru, niekiedy ktoś przypadkowy, przed którym otwiera się swoje wnętrze. I nie chodzi o rezultaty, o konkretny efekt chwili podobnego zwierzenia, a tylko o tę ulgę, jaką przynosi możliwość wywnętrzenia się.

On sam niedawno zwierzał się tak przed Janką, teraz wysłuchuje prawdy obcego sobie niemal człowieka. Osobliwie nakładają się na siebie pokrewne melodie...

Nie mógł się połapać w grze Gertrudy Schirmer. Świadome, prowokacyjne judzenie, chęć zatrucia komuś spokoju? Perfidne, przemyślane działanie, za którym kryją się określone cele? Ta kobieta miała za sobą zdecydowany wybór. Czyżby musiała go potwierdzić w sobie i w stosunku do innych konkretnymi faktami, dokonaniem szczególnego rodzaju? Pajęczce sieci? Przypominał sobie Schirmerównę, obraz jednak jawił się zamazany, sporo lat minęło, tyle młodzieży przewinęło się przed nim. Ją zresztą i tak lepiej pamiętał od wielu innych. Smukła, wysportowana, startowała w mistrzostwach szkolnych, ambitna i zamknięta w sobie, bardzo samotna w tłumie swych rówieśników. Harda... Były z nią także inne kłopoty. W ostatnich latach dzielących ją od matury już nie stroniła tak od kolegów. Zdarzyła się jakaś historia z hotelem, szaleństwa w nocnym lokalu; temperament dawał znać o sobie, nie hamowany, tu była znacznie mniej niedostępna... Stare dzieje. Przypadkowo potem natknął się na jej nazwisko w spisie wyjeżdżających do Niemiec w popaździernikowej akcji łączenia rodzin. Schirmerowa wraz z córką zadeklarowały się jako Niemki. Stary Środa włosy podobno rwał z głowy, bo na tym tle odżyły plotki i o jego samego niepewnej polskości. Była też sprawa Schirmera, który w tym samym czasie aż naiwnie, aż przesadnie demonstrował, gdzie mógł,

iv

179

swą polskość. Dwa przeciwstawne nurty w jednej rodzinie, znane mu lepiej od innych, przecież nigdy Mittwochowi nie ufał, wzywał go nawet na przesłuchania, kiedy jeszcze sprawował funkcje komendanta milicji. Aż Julek Zielniak interweniował w tej sprawie.

Spostrzegł się, że nie słuchał ostatnich zdań swego rozmówcy, tak go zaprzątnęły losy rodziny Środów, Mittwo-chów, Schirmerów, czy jak ich w końcu tam zwać.

— Zaraz, niezupełnie cię pojąłem — bąknął, zawstydzony swą nieuwagą.

— To trudne dla mnie, stąd może niemożność wysłowienia... Po prostu omotały mnie wątpliwości, jakieś skrupuły moralne, etyczne, sam nie wiem... Z jednej strony pragnąłem i nadał

pragnę wyjaśnić sobie wszystko bez reszty, raz jeszcze stanąć przed tą kobietą, wysłuchać jej, a potem powiedzieć, co o niej myślę naprawdę. Opluć ją gotów byłbym w pewnych momentach, w innych znów rodzi się we mnie coś niby wdzięczność, że mi zechciała otworzyć oczy. Czuję się jakby w jakimś piekielnym uścisku. Katarzyna przeszła to łatwiej, nie udaje, znam ją na tyle, by wiedzieć. Określiła tę Gottlieb jako moralną dzirę, łaknącą potwierdzenia własnych kompleksów, niepewną swojego miejsca, po tej stronie czy może po tamtej. Przez naszą rozterkę szuka jakiegoś dopełnienia dla siebie. Powiedziała Kaśka: „Mam jedną matkę i ojca w naszych staruszkach”, myślała o Pomykałach, i odtąd dla niej cały problem przestał istnieć. Ze mną inaczej... Uwierzy pan, umówiłem się z panią Gottlieb, chciałem iść, nie poszedłem. Rwie mnie do tej wizyty i odpycha zarazem. Naprawdę zaś myślę, że się najzwyczajniej jej boję. Coś się we mnie zbudziło, a jeśli to zacnie narastać, jeśli z nagła poczuję się zawieszony w próżni? Szukając wyjścia, zdecydowałem się pójść do pana po radę. Stąd ta przydługa, na pewno bardzo nieskładna relacja.

Urwał, odetchnął głęboko, głęboko, złożył zbyt długie, chłopięce jeszcze ręce na kolanach i czekał. Lisiewicz widział wlepione w siebie niespokojne, pełne podniecenia wejrzenie dużych, niebieskich oczu.

180

Ale i on sam przeżywał teraz pewną rozterkę. Nie w tym, co miałby Pomykała do powiedzenia, nie w swym oburzeniu na Gertę Schirmer, pał diabli jej obecne nazwisko, ale w tym, jak ująć rzecz w słowa, jak znaleźć podejście, które jeśli nie przekreśliłoby wahań młodego człowieka, to w każdym razie zbagatelizowało je, sprowadziło do zerowych niemal wymiarów.

— Powiedz mi, co właściwie nowego, nieznanego przekazała ci Gerta? Przecież nie było tajemnicą dla ciebie, że zostaliście adoptowani przez Pomykałów?

— Nie było. Zmuszeni byli nam to opowiedzieć, widziałem, jak boleśnie doświadczali tę chwilę... Plotki, złe języki, złośliwości i tak nie dałyby kryć prawdy zbyt długo.

— Zatem wiedzieliście, że prawdziwa wasza matka była Niemką?

— Tak... Ale przy tym wszystkim pozostawała dla nas anonimowa. Młoda kobieta, robotnica w ogrodzie, na imię miała Marta, tak się też podpisała na zostawionej rodzicom kartce.

-- A teraz?

— Teraz wiemy, że żyje, że nazywa się Muller, że myśli o nas, śle pozdrowienia, ma ochotę pisywać...

— Czy swój adres także podała?

— Mówiła pani Gottlieb, że nie. Umówiły się, iż po powrocie ta pani Muller, nie łączy mi się z nią pojęcie matki, może to nieuczciwe, nieładne, ale nic nie poradzę, otóż że po powrocie skomunikuje się ona z panią Gottlieb. Trochę mi się to nawet wydało dziwne.

Lisiewicz przechylił się bliżej ku chłopcu.

— Nie przyszło ci jedno na myśl? Że...

— Że to fałszerstwo? — wpadł mu w słowa. — Nadal chwilami tak myślę... Przecież dla niej sprawa naszego pochodzenia nie jest tajemnicą. Mieszkała, uczyła się w tym mieście, przez kontakt ze Środami zorientowała się we wszystkim, co było jeszcze niemieckie na tych ulicach... A teraz dla jakichś celów gra z nami...

— I ja tak myślę, że to mistyfikacja. Tylko jaki jej cel? Wątpię, by wyłącznie o rozrywkę chodziło tej Gercie...

181Mniejsza zresztą o intencje. Czy nie wydaje ci się, że sprawa właściwie jest rozwiązana, nie ma problemu?

Pomykało powoli potrząsnął głową:

— Nie. Rzecz w końcu nie w tym, czy to prawda, czy kłamstwo. Nie myślę do tej chwili o jakiejś potrzebie kontaktu, choćby listownego, z panią Muller, nawet gdyby rzeczywiście okazała się naszą matką... Ona, ta Gottlieb, naruszyła we mnie coś, bardzo ważnego, jakąś pewność, mocno ugruntowaną świadomość. Widzi pan, zastanawiam się teraz, czy... czy ja jestem uczciwy. Uczciwy jako człowiek. Czy nie powinienem, nie muszę czuć się Niemcem? Choćby Niemcem-demokratą, z sympatiami dla Polski i Polaków... A ja Niemców nie tylko nie lubię, ja ich nie znoszę. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Dlatego się szarpię, noszę z tym problemem. Bo co jest tutaj uczciwe?

Lisiewicz dopiero teraz pojął tragedię tego wrażliwego, uczulonego może nad miarę chłdpcą. Podniósł się, podszedł do niego, objął szczupłe ramiona, przygarnął ciepło.

— Jasiu. Uczciwe jest to, co kochasz, w co wierzysz. Wychowałeś się jako Polak, świadomość polskości w tobie jest mocniejsza nad wszystko inne, to decyduje. Na odwrót, odejście od polskości byłoby zdradą.

Powiedział to, zawahał się w sobie. Chyba ma słuszność, ale jednak coś nie zostało jeszcze tutaj nazwane, coś się czai niedopowiedziane. Tylko co?

Pomykało wyglądał na uspokojonego. Rozjaśnił się jakby na twarzy.

— Mówi pan to z pełną świadomością?

— Tak.

— Więc muszę i ja rozegrać tę partię do końca. Nie chciałbym, by został we mnie najmniejszy cień wątpliwości. Pójdę do tej Gertrudy. Odbędę z nią rozmowę. Postaram się być spokojny, zachować taktownie... I wie pan, tak myślę, że ona nie miała żadnych konkretnych zamiarów. Może naprawdę jest jakaś pani Muller czująca się naszą matką. W sensie wyłącznie biologicznym, a to jeszcze bardzo mało, doprawdy za mało na pełnię macierzyń-

182

two... Mogła uczciwie przekazać pozdrowienia, chcieć wysiedzieć się o nas. Cała gra pani Gottlieb zrodziła się póź-iniej. Dla ratowania samej siebie. Mnie się wydaje, że ona jciążle musi siebie przekonywać, że jest Niemką. Zbyt „ w niej wiele zaległo polskiego, polskości, by mogła bez reszty przywdziać germański kostiumik. Jakaś zawiść każe jej posiać podobne wątpliwości w Kaśce i we mnie... Nie są-zi pan?

2 — Może... W każdym razie nie zezwól, aby mogła zbuntować coś w tobie.

»,, Zajrzał, mówiąc to, w jasne, przejęte oczy Pomykały, sjlaka z wychowania i chyba także z wyboru? Czy też wy-*r został mu narzucony? I jaka naprawdę jest w tych rawach narodowych granica? Wyznacza ją tylko wewnętrzne poczucie człowieka? Nic nie znaczą dziedziczność, ąży krwi, podświadomy napór tamtej, niepolskiej tra-ycji?

Zrodził się w nim silny niepokój. Tym silniej może uści-ął na wychodnym zaaferowanego chłopaka. Że też i ci łodzi też muszą mieć swoje problemy. I ciągle ta kwestia "emiecka, jeszcze nie wygasła w ludzkiej świadomości.

obu salkach było już gęsto. Wchodzącego Feryckiego witał wesoty okrzyk, r— Cześć władzy! Baczość!

Bywaj, stary, czekamy, "o ci jak zawsze najbardziej hałaśliwi. Radoński z wyli płyt wiórowych, gośpodarz lokalu Krupka, mimo "ego wieku łysy już jak kolano, Kiliańczyk, ogrodnik jjski, przybysz z Torunia, wypowiadający konkurencję 'ńnemu miastu, jeszcze paru, łącznie ze smarkatym Inie z wyglądu nowym sekretarzem propagandy. Przy stoliku nieco godniej trzymali się Kraszewicz, dy-r „Lasu", dwaj konkurujący ze sobą historycy ze stacji

183

naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego, kierownik muzeum z nieodstępnie towarzyszącą mu żoną.

Krupka rzucił mocnym szeptem w stronę bufetu:

— Pani Jadziu, dla przewodniczącego szatana...

Ferycki obejrzał się.

— Co to za nowy nabytek, Tadius? — wskazał wzrokiem, na bufetową.^

— Dobrze się prezentuje, prawda? Choć jeszcze nie naj-zgrabniej podaje, ale nic, wprawi się. Poprzednią musiałem wylać, coś się jej zaczęło nie zgadzać w rozliczeniach. Półtora tysiąca. Ma spłacić, wolałem bez szumu... A to pani Sykałowa, żona znajomka, z moich stron. Jest majstrem budowlanym, świetny murarz.

— Znam go.

— Zgadaliśmy się kiedyś z chłopem. Narzekał, że kobieta nudzi się w domu, może jej co strzelić do głowy, więc żeby jaką robotę. Jąk raz podwinął się ten nasz bufet — uśmiechnął się. — Tylko nie jestem pewien, czy. Sykała z tej pracy żony będzie zadowolony, on jest o nią cholernie zazdrosny. Myślę, że warto by chłopca wciągnąć do naszej historii, raz, że robotciarz, dwa, mniej będzie wydziwiał na babę...

— Z ciebie jak zawsze niezgorszy matacz... Kędrzyka nie ma? Miał wrócić dziś ze Szczecina.

— To jak, panie Feliksie, rusza się w interesie? Bo ciągle dotąd planujemy, nic więcej — Kraszewicz przysunął się, ciężko szurając krzesłem.

— Zsuńmy stoliki, jest prawie cały nasz sztab, pogadamy — zaproponował Kasprzak, kierownik i kustosz muzeum. — Krajewski kazał przeprosić, nie przyjdzie, oni dzień i noc zajęci przy remoncie po tej awarii. Tam zresztą szykuje się nieprzyjemna sprawa. Prokurator podobno...

— Jeszcze nie wiadomo. Nie ma wiele do zaczeplenia, przypadek, nic więcej. Tak przynajmniej dotąd wygląda... Krupka, może ty poprowadzisz, jakiś dziś jestem cholernie zmęczony.

184

I oczy podkrążone, jakbyś całą noc nie spał. Feluś, z tobą się dzieje? Podwójne życie?

Żebyś wiedział — pomyślał o nocy przesłęczanej przy wrzeszczącym dzieciaku. Trzecie, po kilku latach przerwy - Niepbdobne w zachowaniu do poprzedniej dwójki. Zo-zawsze była cichutka, Jędrzek też nie naprzykrzał się, ero Magda daje koncerty. Coś z brzuszkiem musi jej być nie w porządku. Źle, że doktor Janina jest na *zie aż w Białymstoku. Ona najlepiej umiałaby na ~ stko zaradzić.

pojrzał na Krupkę i wargi zagryzł, żeby nie parsknąć echem. Kierownik powiatowej biblioteki miał niesły-nie przejętą minę, aż język wysunął ślepiąc w jakieś "uszki, dziesiątkaipi wymowane ze wszystkich po ko-kieszeni... Mieli z niego pociechę. Rzutki i przedsię-zy, wciąż zaskakiwał inicjatywami, nieraz na pozór ealnymi, aż potem, nie wiedzieć jak, realizował je bły-wicznie. Choćby ten lokal, w którym teraz siedzą, peł-tki po brzegi, klub nie klub, w każdym razie miejsce kań co żywszych umysłów miasta. Kawiarnie im obrzynie czuli się dobrze także w lokalach urzędów czy ytucji. Zbyt były sztywne i oficjalne, jak przy tym -wadzić tam kawę, niewielki bufet? Krupka zaradził, "ązał Towarzystwo Przyjaciół Biblioteki. Uzyskał od ,dium przyległy do biblioteki obskurny lokal po ja-warsztacie szewskim, psim śwędem odremontował, dzień uroczyste otwarcie, mówkę palnął przy tej okazji, "tu narobił aż w województwie, uzyskując koncesję ufet. Nie trwało to wszystko razem i dwóch miesięcy.

az też ma coś chyba w zanadrzu, poznać to można 'ego minie, zafrasowanej i programowo smutnej. Nie 'o mu to wychodzi, ta jego łysina jakby sama się śmia-> on kryje w tych świstkach? dziu, to fiszki biblioteczne i rachunek z knajpy, mylisz atkami.

Wielcy ludzie zawsze notują swe myśli gdzie bądź. ważna.

piwali, popatrując jednakże ciekawie.

185

Krupka na tó czekał. Spocony, tuszy fnu bowiem nie brakło, z nagłą zdobywczym gestem sięgnął do kieszeni, wyrzucając na stół plik kopert z jakimiś nadrukami. Ten i ów od niechcenia wziął je do ręki.

— Ooo!

— Tadziu, to co nowego?

— Patrzcie, nakład po pięćdziesiąt tysięcy. Brawo, Krupka!

Patrzył na nich z triumfującą miną, śmiejąc się i twarzą, i łysiną, całym sobą.

— Sześć wzorów. Zobaczcie w środku, tam są kartoniki na teksty prywatne... To mi Gorczy i Putkowski przygotowali. Po trzy sztuki, żeby nie było zawiści...

Tamci dwaj łypnęli tylko oczyma.

Podobały im się te koperty pięknie wykonane graficznie, głoszące chwałę ich miasta. Na zewnątrz motywy krajobrazowe, na wewnętrznych kartach reprodukcje zabytków, maleńki wypad w historię.

— Zaraz, zaraz, za darmo nie ma. Pięćdziesiąt groszy sztuka — zaproponował, widząc zachłanne gesty kilku zebranych. — Razem trzysta tysięcy. Niezła reklama dla naszej dziury, co? — był uosobieniem zachwytu nad sobą. — No, ale teraz do rzeczy. Zaczniemy od turystyki, tu bowiem wszystko już prawie zapięte do końca...

— Tadzio turysta — szepnął ktoś zjadliwie. Wiedzano, że Krupka nie znosi pieszych wędrówek. Bano się go we wszystkich urzędach i przedsiębiorstwach, stale bowiem występował z sugestiami o pożyczanie auta dla biblioteki. I pożyczał. Mało kto tak się uwijał po poufiecie jak on.

— Spokój! — rozgromił ich. — Więc turystyka. Krajoznawcy zobowiązali się wyznaczyć szlaki turystyczne, dwa od razu. ZBoWiD zajmie się opracowaniem historii walk w tej części Wału Pomorskiego. Związek Wędkarski po długich bojach wyraził wreszcie zgodę na piśmie. Nad jeziorem Gnuśne zaadaptuje przekazany sobie budynek na stanicę wędkarską wraz z hotelikiem, urządzi przystań, sprowadzi łodzie, na własny koszt zareklamuje historię. FWP

186

ejmie dwa domy na ośrodki wczasowe. „Gromada” zawojuje u nas prywatne „wczasy pod gruszą”. To są re-które jednak trzeba będzie mocno zapropagować. eszcze jedna historia odpada z głowy : „Dni Młodości”, całe organizacje i kosztów przejmują na siebie miasto. Port dla odmiany, oświadczam to oficjalnie, wyda plakat naszym regionie i ze dwa, trzy może foldery. Znaleźli-niewielki fundusik, spokojnie będzie można go wynikł się nie przyczepi... Ważna sprawa, to jakiś prze-Wydawnictwa warszawskie, te turystyczno-spor-e, odpowiadają, że nie mają w planie. Pal ich sześć, ć może, skusi się na tę historię nasz Komitet Frontu aości... A jeśli nie, to obiecuję udział biblioteki, prze-zam, jej przyjaciół, my jako instytucja nie mamy prawa takich pozabudżetowych ekscesów — urwał, spojrzął po arzach wokoło. — No jak?

— Brawo, Krupka, należy ci się duża kawa — uśmiech-: się Ferycki.

— Zaraz, zaraz. Turyści, wczasowicze, goście, wszystko knie. Ale co oni będą tu u nas jeść? W mieście już bieda, dopiero w terenie. Przecież nie w tych paru gospodach? Kraszewicz przemówił głosem rozsądku.

— Wiecie już, że na przystani miasto buduje niewielki lik, z wielką za to salą restauracyjną. Cztery lata spr-abyła odkładana, ale teraz się wreszcie udało. Za dwa będziemy oblewać otwarcie.

Jeżeli za te wszystkie hece nie wsadzą nas tymczasem tnamra...

Może być także i to. — Ferycki fatalistycznie skinął Wą. — Dwie nowe kawiarnie i bar samoobsługowy też ierdzone. To - niewiele, ale dobrze gada się nam ZGS-em, chyba coś jeszcze wymyślą, pokręcą głową, jeszcze sprawa do załatwienia... Gorzej, że nie wiemy, Z najważniejszym: pałac. Kędrzyka wciąż

nie ma. wiadomo, jak poszło mu w województwie. Bez paru nów sprawa nie ruszy. Kręca nosem, choć architekt ódzki, a co dopiero konserwator, są całkowicie za

187

nami... — Obejrzał się za siebie. — Proszę jeszcze o kawę; podwójną.

Pani Jadzia uśmiechnęła się najwdzięczniej, jak mogła. Ani myślała, że się jej taka praca dostanie: same figury, śmietanka, kogo to ona nie będzie знаła. Może i jej Józkowi coś się przy tym upiecze, jakieś kierownicze stanowisko, nadawałby się...

— Proszę bardzo, panie przewodniczący — stawiała kawę przed Feryckim, przy pochyleniu zafalował mocno wydatny jej biust. Ktoś z młodszych przyjrzał mu się z niekłamanym zainteresowaniem. Pani Jadzia nie mniejszą ciekawością odwdzięczyła się młodzianowi.

Flegmatyczny, z pozoru jak gdyby straszliwie senny, czy to rano, czy wieczór, kierownik produkcji z wytwórni płyt, podniósł głowę znad Krupowych pocztówek:

— Niechże kolegę uściskam. Anim myślał, że z turystyką tak szeroko zarysują się nasze plany...

— Już nie plany, tó konkrety — nadał się Krupka.

— ■ Niech będzie... Kolego, ja proszę o pięćdziesiąt waszych kopert, muszą zrobić dobry początek, mam szczęśliwą rękę.

Ferycki śmiejąc się wraz z innymi, rzucił do łysiego bibliotekarza :

— Przyznaj się im, co jeszcze zdziałałeś... Dopiero się zadziwią. To pierwsze ja mogę zresztą powiedzieć, tobie zostawiam sam gwóźdź, żebyś go wbijał... Oto chcę niektórych z was pocieszyć, że Krupka nieodwołalnie zrywa z wypożyczaniem samochodów.

— Chwała wam, wszyscy święci anieli! A czemu?

— Pamiętacie, jak nam zawracał głowę swoim konkursem? Książki kazał czytać, kupony wypełniać...-

— Zdemoralizował mi załogę. Sami intelektualiści się tam zrodzili — burknął Radoński.

— Szalał, to prawda. Ale ma rezultaty. Wczoraj, jeszcze nieoficjalnie, podano wyniki. Nasz Krupka pobił na głowę konkurencję z całego kraju. Zebrał największą ilość uczestników, najciekawsze głosy, jednym słowem, jego bibliotece przypadła pierwsza nagroda: furgonetka.

188

Tylko że powiat nie chce załatwić etatu kierowcy —

powinszowań wpadł nadąsany głos Krupki. Jeszcze nie masz wozu, a już rozpaczasz. Gadaj teraz najważniejsze.

Wyrzekam, bo was znam, biurokratów, latami trzeba zbijać, by coś wychodzić... Ta druga sprawa? Ano, decyzja w Ministerstwie Kultury, budują u nas biblioteki wolno stojące. Po Suwałkach druga

impieza w kraju. Z tym, że nasz budynek będzie mniejszy i większy. Z wiosną ruszamy. Dokumentacja /a.

ówił to niby od niechcenia, niemal podkpiwał, ale głos jakoś dziwnie się łamał, pocciwy grubas był serdecz-wzruszony.

— Pałac także został objęty planem remontów, z fun-konserwatorskiego. Wczoraj w województwie za-a w tej sprawie decyzja prezydium — z nagła odezwał ■spoza nich głos Kędrzyka.

- Hurra, hurra! Pani Jadziu, ze dwie flaszki wina, naj-zego, jakie ma pani w bufecie. Kędrzyk, gadaj! Panie nierze, słuchamy... Kolego, prosimy od razu kawę na ę...

rchitekt miejski z trudem oderwał wzrok od Sykało-wdzięczącej się do niego bezczelnie. Podobała mu się, o podobała. Jeszcze od tamtego pierwszego spotkania dnia.

O mały włos nie przegraliśmy. Wywodzili, co bę~y robić z takim kolosem w zupełnym pustkowiu, kto jmie koszty utrzymania i eksploatacji, jaki charakter i y placówce, w ogóle... Przedstawiałem nasze plany, kty, szczerze mówiąc, za mało w tym jeszcze kon-w, trochę takie gruszki na wierzbie. Komisja plano-najostrzej się buntowała. Aż sam przewodniczący zażył szalę...

;rownik muzeum zachmurzył się nieco. Dla mnie to szczególnie radosne, założymy tam filię um, wyjedzie nareszcie część zbiorów z piwnic. Ale

189

inna sprawa, że bierzemy cholerny kłopot na głowę, Takie kolosalne gmaszysko. Zabytkowy charakter. To ogranicza zakres użytkowania. Czy poradzimy?

Zakrzyczeli go. Jeszcze by czego.

— Za nasze zamiary. Za ten pałac — Krupka podniósł już kieliszek. — Kolega Kędrzyk niech żyje!

Drzwi zaskrzypiały, wsunął się przez nie chłopak lat może dwunastu, przez moment niepewnie rozglądał się po zadymionej salce. Oczy mu nagle zabłyśły, szybko szedł w kierunku najbardziej hałaśliwych, złączonych ze sobą stolików. Błąd był, czymś bardzo przejęty.

— Felek! — szepnął ktoś Feryckiemu.

Obrócił się, czując zarazem na ramieniu uścisk dłoni, poznał syna.

— Co się stało? Skąd się tu wziąłeś?

— Mama przysłała... Magdę dopiero zabrało pogotowie do szpitala. Miała jakiś atak, jest nieprzytomna. Więc żeby tata zaraz...

Poderwał się w jednej chwili.

— Przepraszam, z dzieckiem źle, muszę tam zaraz...

Dobry nastrój zgasł jak zdmuchnięty. Patrzyli za tą parą,

gdy szybko wysuwała się za drzwi. Ferycki jak gdyby jeszcze zmałał, choć i tak ani wzrostem, ani posturą nigdy nie grzeszył.

Krupka zapatrzył się w kieliszek, nadpił trochę wina. Przestało mu smakować.

Wiecie, zostawmy już dzisiaj te nasze sprawy... Za tydzień spotkamy się na roboczo, wtedy się ustalą tok innych poczynań... Biedny Ferycki...

Starannie zbierał porzucane na stole koperty i pocztówki.

Jaśka Ferycka przysunęła się bliżej do męża. Wydało mu się, że słyszy bicie jej serca. Przyciągnął ku sobie dłoń żony, spierzchniętą, zniszczoną przez lata, wzrokiem zarazem usuwając przejętą w siebie spokój kobiety.

190

Sam sobie trochę się dziwię... Wiesz, jakoś nieprzy-.nie kocham Magdę. Nie wiem, może dlatego, że właśnie a maleńka, bezbronna, może iż przyszła na świat po je-astu latach przerwy od Jędrka, kiedy właściwie już nie Odziewaliśmy się dzieci. Może w końcu ja zrobiłem się ja-przewrażliwiony, zbabiałem... Najgorsze nie to, iż tak ie przeżywam, ale że nie potrafię się opanować, przygarnął żonę do siebie.

— Przepraszam cię, Jasiu. Za wiele zrzuca na ciebie, 'wet własne nastroje. Na zewnątrz staram się panować d sobą, rozmawiam, uśmiecham się, dopiero. w domu *ażę się, szukając w tobie oparcia i pomocy. Powinno być wrotnie.

— Zawsze tak było. Raz mogę i ja zabawić się w niańkę, szta nie jest tak źle. Gdybyś mógł- chociaż odpocząć. Mo~ teraz, zimą, będziesz miał nieco mniej pracy? Gdy mała

drowieje, musisz wyjechać gdziekolwiek, może do Za-panego lub do Szklarskiej.

— Kiedyś jeździliśmy razem.

- Wiesz, chodzi tym razem o Magdę.

— No tak... — poderwał się. — Z urlopem nie wyjdzie, wodniczący wyjeżdża do sanatorium, w dodatku skoro

liśmy, trzeba jakoś zapiąć tę sprawę, intensyfikacji, iania naszego regionu. Jakby nie było, to wielka a. Porywa mnie to dziś nie mniej, jak na samym po-tku po wyzwoleniu porywało wszystko, cokolwiek przy-cało życie gruzom wokoło... — Pokręcił głową. — Wte-się nie załamywałem jak dzisiaj.

Zapominasz, żeś miał wtedy zaledwie osiemnaście lat. ; A i ty byłaś smarkata. Taka śmieszna, zagubiona była aś para, z ciebie i z Gieni. Jak ona puszyła się, że odzi za swojego Maciaszka, nie będzie żyła na kocią

A ty, łobuzie, tak długo zwlekałeś ze ślubem. Dziecko przyszło na świat, Zośka, nieprzyzwoicie szybko, mała, egłoby się wesele z chrztem, ował ją gorąco.

191

— Mojaś ty, Jaśka. Już mi minęło. Cb by nie było, trze-ł>a się trzymać.

— Na pewno będzie dobrze. — W głosie jej brzmiała pewność.

— Musi być... Jaśka, nie skończyłem swego... Więc z urlopem nic teraz nie wyjdzie. Ale za dwa, trzy dni mógłbym może wykroić. Połączymy dwie pieczenie. Kędrzyk wykołatał sprawę pałacu, zatwierdzono, od wczesnej wiosny zaczynamy renowację... Od roku tam już nie byłem. Trzeba pojechać,' ułatwić Kędrzykowi, z tydzień będzie musiał tam mieszkać. Ty na pewno miałabyś ochotę spotkać się z Ziutką...

— Strasznie dawno jej nie widziałam. Rzadko zaglądamy <to miasta...

— Dobrze im najwidoczniej z sobą... No co, pojechalibyśmy tam na dwa, może trzy dni? Jak ci się widzi? Zaraz po tym, jak Magda przyjdzie do siebie.

— Bardzo się cieszę... A z Magdą, to...

Urwała. Przybladła. On także znieruchomiał. Natrętnie, niepokojąco ciszę pokoju wypełnił terkot telefonu. Spojrzeli po sobie. O tej porze? Chyba tylko szpital mógł dzwonić.

Sztywnym krokiem podszedł do aparatu, ujął słuchawkę. Czuł, jak dłoń mu potnieje, przylepia się do czerni ebonitu.

— Hallo!

Cisza, tylko chrobot jakiś.

— Hallo! Hallo!

Odczekał jeszcze, ze złością odrzucił słuchawkę na widełki.

— Omyłka, złe połączenie... Ciągle teraz psuje się im na linii... Pamiętasz, pierwsze miesiące, Przybyła montował łączność, prowizorka, ale o wiele to lepiej działało.

Bładość ustępowała z jej twarzy, rozdygotany puls uspokajał się.

— Myślałam już... — zaczęła.

— Nie mów, nie trzeba. Wszystko dobrze, Jaśka, wszystko dobrze... Chyba już pójde do szpitala, posiedzę tam,

192

dzisiaj przesilenie musi nastąpić. To dobry le-, ufam im, ale jednak bardzo mi brakuje Janiny. Był~ spokojniejszy i bardziej pewny... Felek, znowu.

razem bardziej zdecydowanie ujął słuchawkę. Hallo?

Ty, Felek? Nie mogę się do was dodzwonić... Przy-am w tej chwili, dowiedziałam się o waszej małej, pobiegłam zobaczyć. — I co? I co, Janinko.

Bez zmian. Jeszcze jest nieprzytomna. Spodziewam się ilenia każdej godziny. Organizm ma mocny, powinna t tego wyplątać...

Tak bardzo się baliśmy telefonu... Nie wiedzieliśmy, wróciłaś. Spodziewano się ciebie dopiero jutro. Wybie-się do szpitala. Będiesz tam jeszcze? Zostanę, aż minie małej kryzys. Przyjeżdżaj. Może byś ę zabrał z sobą? Sama będzie się denerwować. Janina, nie skrywasz czegoś?

Na pewno nie. Bądź spokojny. Więc czekam. Zaparzę -ę.

"y się odwrócił, ujrzał Jaśkę w drzwiach już ubraną, ka jak zawsze, ęboko zaczerpnął powietrza. Żeby tylko nic siego się stało. Magdzia, kruszynka. Dobrze, że już Janina wró-Od niej tyle można zaczerpnąć otuchy, prostował się. Byle tylko się nie załamywać.

Rączki całuję pani szefowej. Do jutra, 'ewczyźnie przesłał ręką całusa, wraz z kompanem wy-się za drzwi, zaraz zawarczał motor rozklekotanej 5wki. Stefka wyglądała jeszcze za nimi, gdy oderwał okna głoś kierowniczeki:

ejaśnia się niebo t. IX— Przestań się gapić... Stefka, wiele ma być tych skrzyń. Dziewięć?

— Dziewięć, proszę pani.

— Jest dziewięć. A pokwitowałaś na pewno dziesięć? Już od razu coś mi się widziało tu niedobrego. Za gładki ten szoferczak, Masłowski, czy jak mu tam...

Przyglądała się dziewczynie uważnie, długo, coś musiało świtać jej w głowie.

— Wczoraj nie zgadzało mi się z makaronem, wiesz, w tych podłużnych paczkach, i z cukrem. Nie zauważyłaś?

Potrząsnęła przecząco głową. Spod oka przypatrywała się kierowniczek. Tej co dzisiaj strzeliło?

— Niedobrze, że wchodzisz z nim w komitywę. Parę dni temu widziałam was, wychodziliście z kina. On był dobrze na gazie... Wiesz chyba, że facet żonaty?

— Ale ja przecież nic takiego, proszę pani... Czy już otwierać sklep?

— Mamy czas. Przyjęcie towaru. Kartka wisi na drzwiach, napisane wyraźnie... Ja tam ciebie na drogę cnoty zawracać nie będę. Ale radzę, ani tych flirtów, ani pożyczek. Gorzko potem zapłaczesz.

— Jakich pożyczek?

— Pieniężnych.

— Nic mu nie pożyczalam.

— Aha. Zatem tak mnie się tylko zdawało... Drogo dałaś za ten sweterek? Ładny, pewnie australijska wełna, ciuchowy, nie tak? Matka nic na to? Ojciec też nie zauważył?

— Czego pani ode mnie chce? Od tygodnia czepia się tylko pani i czepia. Co ja pani zrobiłam, co złego? — czu-purzyła się, podnosiła głos, ale strach wyzierał z za tych słów coraz wyraźniej.

Maciaszkowa podeszła do niej bliżej, tak o krok, ujęła się dłońmi pod boki, patrzyła z krzywym uśmiechem.

— Nie od tygodnia, kochanie, a znacznie dłużej. Pamiętasz, był proces, pierwszego dnia poszliśmy razem, potem ja sama. Wtedy właśnie coś mi podpadło. Także ta komitywa z Masłowskim...

— Ależ co pani... — dziewczyna przybladła nagle, cofnęła się o krok, jeszcze o jeden, jeszcze, aż wsparła się plecami o ścianę. Kierowniczką postępową za nią, zachowując ciągle taki sam dystans.

— Niech mnie pani nie straszy. Niech pani odejdzie!

Szybki ruch dłoni kierowniczką w stronę kieszeni kitla dziewczyny. W palcach Maciaszkowej zamigotał plik setek.

— A to co takiego?

Chciała je wyrwać, tamta jeszcze szybciej umknęła dłonią z pieniędzmi.

— Co? Pieniądze. Albo to nie mogę ich mieć? Niech pani zaraz mi odda...

— Pięćset, sześćset, siedemset, tysiąc sto złotych. Cała pensja. A to koniec miesiąca. Twoje, mówisz? I nie pożyczka?

— Co pani ciągle z pożyczką?

— Ty żmijo! — dłoń Maciaszkowej z całą mocą wylądowała na policzku Stefy. — Ty ladacznico! — jeszcze jedno uderzenie. — Złodziejko! — trzecie, najmocniejsze, aż plaśnięcie głuchym echem odbiło się od regałów.

— Proszę pani, ja...

Zastaniała twarz dłońmi, kuliła się, przerażona, blada, wiła się pod spojrzeniem szefowej.

— Nie bój się, więcej cię bić nie będę. Oddam milicji i koniec. A teraz zadzwonimy do dyrekcji, niech zaraz przyjeżdżają robić remanent. Wcześniej ze sklepu nie wyjdiesz. Podziękowałaś mi ładnie za wszystkie starania. To się dopiero rodzice ucieszą. Ojciec, matka. Doczekali się pociechy z córeczki.

— Nie, nie, niech pani tego nie robi... Ja, ja...

— Przyznajesz się?

— Ja... tak... Nie, to Masłowski... — głos jej łamał się, pojękiwała, strwożona i przerażona bez reszty. Ale zaraz potem z nagłą wezbrał się w niej bunt. Próbowwała postawić Wszystko na jedną kartę.

— Nic nie wiem. To pani sama robi manko i chce mnie w to wciągnąć. To pani kombi-

1*

nuje z konwojentami. Pani, pani, nie ja! Ja wszystkim to powiem, pierwsza, zgłoszę do milicji, że... Niech no pani nie próbuje mnie bić, ja też potrafię, jak trzepnę...

Głos Maciaszkowej wyrażał już tylko pogardę.

— Jesteś nie tylko złodziejka, ale i straszliwa gówniara. Z tobą nawet kraść razem nie warto. Już się dopiero Masłowski zadziwi. Teraz beczysz? Zbiegowisko zrobisz przed drzwiami. A mnie co, niech ludzie widzą, mogę nawet otworzyć sklep, przyjrzą się wtedy z bliska. Idź lepiej za kotarę, tam sobie porozmawiamy... — pchnęła ją bynajmniej nie łagodnie. Stefa dała powodować sobą dowolnie. Jak automat przeszła do części za przepierzeniem.

Maciaszkowa po chwili wtoczyła się za nią. Wskazała palcem koślawe krzeselko.

— Siadaj... Teraz mów prawdę. Od dawna to trwa?

— Co, proszę pani?

— Powiedzmy, sytuacja z Masłowskim. Żyjesz z nim, puszczasz się? Pamiętaj, co nieco zauważyłam, nie tylko to kino... Twoja szansa w szczerości, Stefa.

Zacięte w uporze usta. Głowa przechylona ku ziemi.

— Milczysz? Jak długo? Wiesz dobrze, jak i ja wiem, że zaczniesz śpiewać. Twoja własna w tym sprawa, nie moja... Przygryzasz wargi, dobrze. Mamy czas, dziś sklepu już nie otworzę, skoro ty milczysz, to może mnie zechcesz posłuchać, dobrze?

Przysiadła na długim stole, ruchem dłoni odsuwając stertę jakichś pudeł i papierzysek. Przekrzywiając w bok głowę, zdawała się studiować sylwetkę tkwiącej przed nią dziewczyny. Podniecenie i gniew kierowniczkki przy tej obserwacji zdawały się ustępować. Zamrugęła powiekami, jakby chcąc nimi przestłonić zradzający się we wzroku wyraz jakiejś niewczesnej litości.

Ciszę przerwało buczenie zapóźnionej jesiennej muchy unoszącej się pod sufitem. Stefa śledziła jej lot. Nagle wdarł się w to głos mocnego dobijania do drzwi sklepowych. W ruchu głowy dziewczyny przejawiał się jakby cień nadziei. Kierowniczkka wszakże nie drgnęła z miejsca. Łomotanie ustało.

— Obserwowałam cię od pewnego czasu. Wydałaś mi się

jakaś dziwna, zupełnie nie ta Stefa, z którą pracuję już od dwóch lat. Masłowski też wpadł mi w oko. Czerwieniłaś na jego widok, zdawałaś się zupełnie baranieć, podpisywałaś ślepo, co ci podsunął... Wywiedziałam się o nim. Nie wiem, czemu trzymają takiego w konwoju hurtowym. Siedział parę razy w więzieniu, złodziejstwa, burdy a także nie udowodniony gwałt na małoletniej... Krótco potem pierwszy raz nie doliczyłam się kasy. Po tygodniu to samo. Brakło mi dwóch worków cukru. Jeszcze parę takich historii. Ale ciągle, ja głupia, nie podejrzewałam ciebie. Myślałam, może naprawdę omyłka, może konwojenci... Potem znów mój Tadzik spotkał was późno wieczorem za miastem. Mieli ćwiczenia wieczorne z drużyną hercerską. Było tak, nie było, powiedz?

Stefka opuściła głowę jeszcze niżej, przymknęła oczy. Czuła, jak w nich skupia się cała nienawiść do tej kobiety, która dopiero ją biła po twarzy, która teraz szczergółowo, spokojnie odsłania swoje karty. Wie

wszystko, czy prawie wszystko... Ten gówniarz Tadzik wygadał matce. Nie spodziewała się po nim, ma już swoje lata, mógłby wiedzieć iż są sprawy, o których się nie mówi... Widziała go wtedy, może by i nie poznała, gdyby nagle nie oderwał się na moment od całej swojej grupy i nie przystanął przy niej i Józku z szeroko wytrzeszczonymi oczyma. Zdziwiony był. Gówniarz... Nie przejęła się tym, czy w ogóle cokolwiek mogłaby się tamtego wieczora przejmować? Józek był taki uroczy, miękki i dobry, snuł plany, jak to będzie na przyszłość... Słuchała tych słów zapatrzona zarazem i zasłuchana w swoje wnętrze. Spełniło się, i tak później niż u innych dziewcząt. Tamte zaczynały mając nieraz piętnaście, szesnaście lat. Ona doczekała dwudziestu. Sam Józek zdawał się być cholernie zdziwiony. Ale był dobry, taki dobry. I to było urocze... A teraz ta wiedźma wszystko wyciąga na wierzch. Diabła jej powie cokolwiek. Niech śledzi, fiiich woła milicję, wszystko jedno. Weźmie całość na siebie, żeby tylko Józkowi nie stała się krzywda...

— Pamiętam cię taką smarkatą — dłoń Maciaszkowej powędrowała niżej poziomu stołu. — Kto by się mógł spodziewać... Spozstrzegłam jeszcze, że czekolada nie zgadzała mi się o cały kartonik. Znowu brakło pieniędzy w kasie. I wiesz co? Ja, głupia, krępowałam się, wstydziłam tobie powiedzieć. Tyle, że cię śledziłam już teraz dokładnie... Otrzymałaś te pieniądze od Masłowskiego. Wsunął ci je do kieszeni przy wyjściu. Dlatego pytałam jeszcze, czy to pożyczka.

— Szpicel — rzuciła właściwie nawet wbrew sobie.

Tamta drgnęła, zamilkła. -Po dłuższej dopiero chwili, prze-

magając się całym wysiłkiem, usiłowała nadal mówić spokojnie.

— Milcz już, głupia, przynajmniej. Bo postąpię naprawdę tak, jak mówiłam... Widzisz, był okres, że mocno dostałam po głowie. Ty w tamtym czasie dopiero zaczynałaś chodzić, trzymając się matczynej spódnicy. Byłam wtedy głupia, wiejska dziewczyna, czegoś mógł mnie nauczyć pobyt u niemieckich bauerów, gdzie tylko harówkę znałam od rana do nocy... Trafiłyśmy z Jaśką do tego miasta. Strasznie jeszcze było. Ruiny, miny, ludzie ginęli okropną śmiercią. Ale inni zaczęli żyć na całego. Nawinął mi się łobuz, taki inny Masłowski, tyle że mój był inteligentniejszy, może w końcu i lepszy, nie wiem... Dostyć, że stała mi się wielka krzywda. To też był złodziej. I też miał żonę i dzieci. Jak twój Masłowski... Zostałam sama, z brzuchem na dodatek. Niby mężatka, a niby nie. Nie wiedziano nawet, czy mogę zachować po nim nazwisko. Zachowałam tylko dla dziecka, dla Tadzia, żeby go nie pokazywali palcami, że bękart/..

Urwała, zamyśliła się. Stefa spojrzała na nią ciekawie. A tej co znowu się stało? Rozmarzyła się? Zawsze taka sucha, pełna energii, twarda, a tu, okazuje się, wyłazi z niej płaczące babsko. Co ona chce z tym swoim fagasem, że porównuje go z Józkiem? Józek to inna zupełnie sprawa.

— Gdy wpadłam na trop twoich kradzieży i spółki z tym łajdakiem, początkowo naprawdę chciałam przekazać całą

sprawę milicji. Mam uraz na punkcie złodziejstwa, piętnaście lat sklep prowadzę i ani razu nie zdarzyło się, aby przepadł jaki grosiczek. Tamta historia wiele mnie nauczyła... Też byłam głupia jak i

ty. Chyba jednak nie tak zła, jak inna... Żal mi się ciebie zrobiło. A jeszcze znam przecież twoich rodziców, i matkę, i ojca. Pan Budniak bardzo mi kiedyś dopomógł. Żeby nie on, może nie pozbierałabym się od razu, nie stanęła na nogi, żeby móc wychowywać małego Tadzika. To też zaważyło teraz na moim postanowieniu. Po co by mieli świecić przed ludźmi oczyma, że córka na złodziejkę wyrosła. Dość i tak się sami najedzą zgryzoty... Czemu tak oczy szeroko otwierasz, przestraszyłaś się teraz dopiero, tak? Wstawaj. Zastaniamy okna. Będziemy robić inwenturę. Same. Chcę, muszę wiedzieć, ile ukradłaś. I jedno, Stefka, umowa, nie próbuj mnie teraz kantować. Bo inaczej przestanę bawić się w miękkie serce, wołam milicję i koniec... Twój własny interes.

— Inwenturę? Same?

— Co cię tak dziwi?

— Józek... to jest Masłowski miał po mnie przyjść zaraz po pracy...

— Pokażesz mu figę. Napis na drzwiach, że inwenfura. A w ogóle musisz z nim zerwać. Łobuz, na psy cię sprowadza...

— Po co inwentura. Ja dobrze pamiętam. Sama powiem. To właśnie, co pani już mówiła, cukier, czekolada...

— I więcej nic? — zaśmiała się Maciaszkowa.

— No i z kasy...

— Głupiej we mnie nie znajdziesz. Za ciebie siedzieć potem nie będę. Zbieraj się, zaczynamy robotę. A po wszystkim sama cię odprowadzę do domu. Nie próbuj umawiać się ze swoim fagasem. Zresztą, muszę porozmawiać z panem Budniakiem...

— Pani chce ojcu powiedzieć?

— A któż mi spłaci te straty? Sama nie mam funduszków... Ojciec musi przy tym poznać prawdę niezależnie od ■wszystkiego innego.

— Nie, nie... To ja ucieknę. Nie wrócę do domu.

— Gdzie uciekniesz? Do Masłowskiego? Pogoni cię kopniakiem, tego się tylko doczekasz. Jakaś ty głupia, Stefa, jaka straszliwie głupia!

Prawem kaduka wykołatany i na pół formalnie działający lokal kierownika biblioteki powiatowej, Krupki, stał się wybawieniem dla Stanisława Kędrzyka. Nieagresywny, raczej nieśmiały, z pewnym trudem nawiązywał kontakty z ludźmi, bał się pełnych, oświetlonych kawiarni czy restauracji, nie bardzo zresztą miałby tam co robić, kin za wiele jeszcze w mieście nie było, teatr zjawiał się z wojewódzkiej stolicy raz tylko na dwa tygodnie, ostatecznie zaś przy największej pracowitości jakaś niewielka choćby miara czasu musi zostawać dla siebie. W niewielkiej klitce przydzielonej mu tymczasowo przez władze miejskie, aż się wynajdzie przyzwoite mieszkanie, przesiadywał niechętnie. Ponuro tam było, nazbyt przestronnie, jakieś pożyczone łóżko, stolik, dwa krzesła, nie osłonięta abażurem żarówka, ot, miejsce, w którym się tylko sypia. Inicjatywa Krupki przyniosła wybawienie.

Gorliwie zapisał się zatem do Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki, zyskując przez to kartę zezwalającą na bywanie w przynależnym do tej placówki klubie.

Tutaj się jakoś nie peszył, nie opuszczało go dobre samopoczucie, ludzie dokoła byli już w większości znajomi, nawet bliscy poprzez tę wspólną działalność w grupie planującej aktywizację regionu. Zwłaszcza Ferycki trafił mu do serca, szybko znaleźli wspólny język. No, a poza tym w klubie zarządzała bufetem pani Sykałowa...

Może i do niej nie potrafiłby się przybliżyć, cóż z tego, że mu się podobała, ale młoda przystojna kobieta sama przejawiała inicjatywę. Z niejaką przyjemnością zauważył, że dla niego miała najcieplejsze ze swoich uśmiechów, zaparzała kawę specjalnie mocną, wybierała drożdżówkę czy ciastko najsmaczniejsze. Podając zaś, zawsze nieco dłużej niż trzeba zabawiła przy jego stoliku. Nie było przy tym

trudności w inicjowaniu rozmowy, i tutaj ona przejmowała batutę.

— Boże, jak pan inżynier źle dzisiaj wygląda... Chłód, deszcze, jeszcze się grypka gotowa przyplątać... Żadnej kawy dzisiaj, podam panu mocną herbatę, to świetnie robi...

Po chwili zaś przechyliła się, aż niedyskretnie zajrzeć mógł w odsłonięty głęboko w tej chwili biust, zaszepiała przysuwając herbatę:

— Aspirynka. Proszę łyknąć, wypoci się pan przez noc i jutro będzie już dobrze. Szkoda, że nie mam ze sobą lipowego kwiecia. Zaraz bym zaparzyła...

— Strasznie dziękuję, pani Jadziu. Pani jest taka dobra... Ładna i dobra — ośmielił się..

Odchodząc musnęła go tymi pełnymi piersiami.

Cóż dziwnego, że gdy czas mu tylko pozwalał, pojawiał się wieczorami pośród przyjaciół księżek, ba, dał się nawet zwabić Krupce do członkostwa zarządu, pomagał ustalać listę zakupów, debatować nad zdobyciem funduszy, pomagać w przygotowaniach do zapoczątkowania regularnych spotkań z zapraszonymi autorami... Nie opuścił też żadnego zebrania eksperymentatorów, jak nazywało siebie grono osobliwych rewolucjonistów. Ostatnio zresztą prace przygotowawcze nieco osłabły, Ferycki bowiem mniej się udzielał, skłopotany ciężką chorobą małej córeczki, przy której spędzał cały swój wolny czas. Inni ani w części nie przejawiali tej energii co wiceprzewodniczący prezydium. Było to nawet Kędrzykowi na rękę, zostawało więcej czasu na kontemplowanie uroków pani Jadzi.

Ośmielał się przy tym coraz to bardziej. Któregoś wieczora zaproponował, że odprowadzi ją do domu po zamknięciu lokalu.

Zaśmiała się, aż w ręce cichutko klasnęła.

— Panie Stasinku, to się dopiero pan wybrał... Przecież ta moja piła każdego dnia przymaszerowuje, aby mnie konwojować na rodzinne łono. Mąż jest straszliwie zazdrosny...

— Jest o co — westchnął.

Uśmiechnęła się szczególnie obiecująco.

— Ale może nadarzy się inna okazja... — nim miał czas zatrzymać ją, zapytał bliżej o treść kuszącej tej obietnicy, frunęła za bufet.

Trafiła się taka okazja, nie jedna. Spotykali się przedpołudniami, musiał czymś motywować wyjście z biura, co zresztą przy charakterze jego pracy jako architekta miejskiego nie było trudnym zadaniem. Sykała w tym czasie pracował, a jego małżonka musiała przecież poczynić zakupy dla bibliotecznego bufetu.

Od pierwszego spotkania ona ujęła inicjatywę w swe ręce. Wynalazła na uboczu maleńką kawiarenkę, pustawą raczej w tych przedpołudniowych godzinach, wystarczająco ponurą i ciemną, aby można tam było siedzieć spokojnie przy najdalej w kąt wbitym stoliku.

Podobała mu się coraz bardziej. Tak się dziwnie składało, że przedtem na studiach, a potem w czas pierwszej pracy, nie miał ani czasu, ani ochoty na bliższe zetknięcia z kobietami. Przeszkadzała mu też na pewno wrodzona nieśmiałość. Inni traktowali obcesowo te sprawy, dziwne, odpowiadało to zresztą dziewczętom. Jego jąkania i czerwienienia budziły w nich tylko śmiech. Wolał więc nie narażać się na żenujące go sytuacje. Pracował przy tym nieraz nad siły, biedząc się, skąd urwać jeszcze cokolwiek czasu. Teraz dopiero, na tej nowej posadzie, wyłania się sposobność do swobodniejszego regulowania własnego życia.

Na ten moment trafiła Sykałowa. Może dlatego zawojowała go tak bez reszty. Urodą, troską, niefrasobliwym, ciepłym sposobem bycia. No i zwłaszcza wyraźnym wyróżnieniem go pośród innych. Tego był pewien. Nigdy na nikogo innego tak gorąco nie spoglądała, przy nikim nie zatrzymywała się na dłużej, dla nikogo nie miała tylu obiecujących uśmiechów.

I teraz, przy którymś już z rzędu spotkaniu promieniał pod tym uśmiechem, mocno przyciskając swoją dłoń do blatu jej ciepłą rękę. Oddawała mu uścisk, ciągle się śmiejąc cichutko, śmiechem coraz bardziej nerwowym, nabrzmiewającym wewnętrznym napięciem.

— Miły jesteś, Stasinku — rzuciła szeptem.

— Co... Niech pani powtórzy to, pani Jadziu...

— Miły.

Jeszcze i to spojrzenie. Głębokie, gorące. Żrenice jej zdawały się rozszerzać, widział w nich własne odbicie. Zawojowany był całkowicie.

Gdy niekiedy w przejawie krytyczniejszego wejrzenia usiłował sobie przypomnieć po takim spotkaniu, o czym właściwie przez parę godzin mówili, nie potrafił niczego skonkretyzować. Chyba o niczym, może o sobie. „Stasinku”... nikt go jeszcze tak nie nazywał. Pewnie, niewiele było tych słów, niepotrzebne, dobrze było ścisnąć jej dłoń, wwąchiwać zapach włosów, gdy nachylała się nad stolikiem, zaglądać w oczy.

Czy to miłość, zastanawiał się czasem w swoim pustym pokoju, wpatrzony w sufit o nie najczystszej bieli. Jakoś inaczej kiedyś wyobrażał sobie takie uczucie. Więc zadurzenie, a może pociąg po prostu, seks? Nie ukrywał tego przed sobą, pragnął tej kobiety. Czy ważne, co mówili i o czym, kiedy przecież nie to było istotne. Sens tkwił w tym, jak przebiegały dziwne drgnienia na jej twarzy, jak rozpałały się oczy, jak mocno ścisnęła dłoń w jego uścisku, jak całą postacią, ruchem, gestami, przyciągała go coraz bardziej.

— Zbrzydły mi kawiarnie, pani Jadziu — odważył się któregoś razu. — Tak bym pragnął z panią być sam, bez ludzkich oczu, bez obaw, że w każdej chwili może nas sponżyć ktokolwiek.

Pomyślał w tym momencie, że i ten ponury, obskurny pokoik, w którym mieszka, nabrałby od razu innych kolorów, gdyby ona się w nim znalazła. Nie miał jednak odwagi wystąpić z tą propozycją.

Westchnęła.

— I ja już o tym myślałam... Proszę mówić mi po imieniu, rzecz jasna, tylko wtedy, kiedy jesteśmy sami...

— Dziękuję, Jadziu.

Wydało mu się, że powstrzymała wybuch śmiechu, ale nie, skądżeby mógł podejrzewać ją o coś takiego, to na pewno wzruszenie tak się odbiło na jej obliczu.

Przechyliła się nad stołem bliźutko, zupełnie blisko, aż ustami mógł musnąć jej włosy.

— Pomyśl, może się znajdzie i taka okazja...

Wtedy zdecydował się, wybąkał, że może u niego, Dom trochę na uboczu, wejście niezależne, ma swoje klucze... Żachnęła się:

— Ludzie zobaczą, jakże można... Gdyby to wiosna lub lato, poszlibyśmy na spacer, ale chłód teraz, nocami przymrozki, we dnie chlapa i błoto...

Okropnie nieszczęśliwą musiał mieć minę w tej chwili, bo roześmiała się, przegładziła go po głowie:

•— Nic, Stasinek, już ja nad tym pomyślę...

A w parę dni później podając mu kawę zaszepotała cichutko:

— Mąż wyjeżdża na dwa dni. Zaduszki, chce odwiedzić groby rodziców... W tym czasie musimy coś znaleźć dla siebie...

Wiódł za nią baraniami oczyma, zachłyśnięty radością, aż pod pretekstem podania ciasta musiała jeszcze raz zawrócić do niego.

— Nie wygapij się tak, ludzie to widzą... Przyjdę do ciebie po pracy.

5.

Rano nie było jeszcze tutaj tak dużo ludzi. Do oddzielnie położonego opodal, z umieszczonym pośrodku pomnikiem, cmentarza poległych w walkach o miasto żołnierzy ciągnęły 2 wieńcami delegacje szkolne. Palił się znicz, pełnili wartę honorową ludzie w wojskowych mundurach. Ale tutaj, na tym wielkim, wciąż się rozrastającym cmentarzu, nie było tłoku. Pojedyncze sylwetki snuły się między grobami, kładły wieńce i kwiaty, czasem z lekkim wiatrem doleciał czyjś zduszony płacz albo tylko westchnienie.

Przyszła raniutko, pewnie najpierwsza, wśliznęła się poprzez wypatrzoną już dawno wyrwę w nadmurszałym ogro-

dzeniu, bramę bowiem grabarz otwierał zazwyczaj znacznie później. A ona musiała być wcześniej, bardzo wcześniej, przed innymi. Wyszła z domu jeszcze o ciemku, nogi już nie służyły, drobniutkie były jej krocзки, maleńkie, a jeszcze musiała przystawać i odpoczywać, ostatnio tak jej ubyło sił... Dotarła na czas. Wyrwa była, ciągle nie załataną, kiedyś oburzała się na grabarza, teraz była mu wdzięczna za nieporządek.

Szła alejkami cmentarza. Tyle nowych grobów się tutaj zjawilo, często pięknie utrzymanych, ozdobnych, z marmurowymi płytami, niekiedy skromniejszych albo i zgoła zapuszczonych; te ostatnie przywodziły jej uporczywie na myśl miejsce ostatniego spoczynku Karla. Biedne zapuszczone miejsce. Nawet sam wzgórek jakby się zapadł. Przez cały tydzień próbowała go doprowadzić do porządku, ryła maleńką gracką tak długo, aż wypadła jej ze zgrabiących rąk, ale niewiele to pomogło. Niewiele... Nie przybrany został grób na święto umarłych, zapuszczony i nędzny.

Po to przyszła tak wcześniej, aby Karlowi zrobić przyjemność. Już uprzednio oglądała te groby, na których były kwiaty i mocną zielenią koila wzrok jedlina. Niektóre z nich leżały zupełnie blisko Karla... Zupełnie blisko...

Snując się cichutko, oglądając w dopiero wstającym brzasku na wszystkie strony, po jednej, po dwie gałązki, przenosiła jedlinę do Karla. Ostrożnie, aby nie uszkodzić tych innych miejsc ludzkiego spoczynku, zastaniając powstałą w zieleni lukę. U Karla stawało się coraz ładniej. Przystając z boku, przekrzywiała głowę i cmokała cichuteńko z zachwytem, usta zaś szeptały bezgłośnie:

— Nie zostawię cię, pamiętam, będziesz miał zielono, i kwiaty też będziesz miał...

Niekiedy, wokół wielkiej kamiennej płyty stało aż kilkanaście białych rozrostłych chryzantem. Mimo ostrego chłodu nocy świeże były i jędrne. Po co jednemu zmarłemu aż tyle "kwiatów? Nie pogniewa się przecież, jeśli przeniesie kilka na grób Karla...

Przestawiła jedną doniczkę, potem drugą, starcze dłonie drżały z Wysiłku, ciężkie były te kwiaty, bardzo ciężkie...

A potem uszczknęła z czyjgoś wieńca sztuczną różę i parę bławatków. Karl lubił kwiaty, cieszył się ich pięknem.

Tak, teraz było ładnie, naprawdę ładnie. Wsparta o nadwątloną, przeżartą rdzą żelazną barierkę spoglądała na swoje dzieło rozjaśnionymi oczyma. Oczy te zahaczyły któreś chwili o miejsce, gdzie jedlinki było za mało, wyzierała spod niej ciemna, nawilgła ziemia. Podreptała znowu w alejkę, trzeba jeszcze z jedną albo i dwie gałązki. W radości zapomniała o poprzedniej czujności. I wtedy zaskoczył ją grabarz. Usłyszała jego słowa wraz z wycuciem oddechu, wódką albo piwem niosło od tego człowieka.

— Ty, stara, groby będziesz okradać? Połóż to zaraz, słyszysz! — zakrzyknął, aż cała zadygotała.

Wyrwał jej jedlinkę z rąk, rzucił na ziemię, ją samą pchnął, zatoczyła się, żeby nie jakiś litościwy nagrobek; runęłaby na ziemię. Zamroczona słyszała, jak jeszcze wymyślał, wreszcie zawrócił i odszedł. Niedobry, zły człowiek, głupich paru gałązek żałował dla jej drogiego, jedyne Karla... Od dwóch miesięcy nic mu nie płaci, nie daje za pomoc w pielęgnacji grobu, dlatego taki zły na nią, taki niedobry. Przedtem brał pieniądze, ale nic nie robił i tak... Tyle że miała spokój.

Udręczona, przejęta nienawiścią do tego wysokiego, ponurego człowieka, od którego często niosło przetrawionym zapachem wódki czy piwa, poczłapała z powrotem do Karla. Już pierwsi odwiedzający pokazali się na cmentarzu, pewnie ci, którzy zamierzali zdążyć potem do pracy. Za-pełgały pierwsze światełka nagrobnych świeczek. Uśmiechnęła się wtedy do siebie. Jak to dobrze, że przed rokiem kupiła więcej tych lampek. Zostało jeszcze na teraz. Bo jakże by kupowała, trwoniła te liche grosze, odkładane dzisiaj z takim wysiłkiem? A Karl też będzie miał światełka, pełgające przy byle podmuchu...

Otuliła się szczelniej. Ubrała się najcieplej, jak mogła. Ale marzła, bardzo marzła od paru tygodni. Jesień nadciągnęła nagle, po okresie ładnej pogody od razu zaciągnęło mżawkami, deszczem, zimnymi wichrami. Dziś też tak samo ponuro, zimno przenika przez swetry i płaszcz, i chus-

tę. skrada się dyskretnie po plecach, ściąga boleśnie płuca. Może pociepleje bliżej południa?

Pewnie i pocieplało, albo może tak się jej tylko zdawało, skostniałe ciało bezpośrednio nie odczuwało już chłodu. Mijały godziny, tkwiła ciągle przy Karlu, w to święto zawsze cały dzień pozostawała z nim razem. Cieszyła się z białych chryzantem, najładniejszych z tych, jakie były na grobach, z jedliny i kolorowych kwiatów odlanych z masy. Karl tam na pewno uśmiecha się, raduje się z przystrojonego tak pięknie grobu. Bo nawet tej płyty popękanej, zapadłej, nie widać, wszystko pokryła zieleni.

Ludzi coraz więcej, migocą światełka, wiatr nimi kołysze. I kwiaty, wszędzie te spokojne, poważne kwiaty jesieni. W pierwsze lata po wojnie pusto było tu na Zaduszki, z rzadka przesunęła się jakaś postać. Ale bo i tych grobów nowych było niewiele. A teraz rozrosły się na całe aleje, na całą nową część cmentarza. Niby takie same, a przecież inne te polskie groby. Osaczają, przesłaniają sobą dawne niemieckie. Inne napisy, litery, coraz trudniej napotkać gotyckie pismo. I krzyże inne, pomniki, jakies spokojniejsze i bardziej pogodne. Te niemieckie były masywne, ciężkie, wykuwane najczęściej z żelaza... Skąd tyle ludzi się bierze, jakby całe miasto zważyło się tutaj? Godziny mijają, a z każdą minutą więcej ludzi, snuje się alejkami, przystają, od ziemi zaczynają pełgać coraz to nowe ogienki, aż powietrze nimi wibruje i robi się wyraźnie cieplejsze. Trochę tylko przeszkadza ta mżawka, znowu się rozkisiła, ale nie szkodzi, gorzej, gdyby spadł deszcz...

Nie tylko Karla grób się rozsypuje. Po wielu dawnych grobach śladu już prawie nie ma, tylko wzgóreczki małe zostały, wyrzuszenia takie na ziemi. Zapadają się płyty, rdza przeżera te wielkie krzyże, które miały stać poprzez wieki, runęły omurowania. Cała ta część cmentarza odchodzi w przeszłość, tak jak odeszło wszystko dawne, co żyło. Nowe tylko jest, ani bliskie ani dalekie, obojętne, tym się zaznaczające, że inne. Może spokojniejsze, bardziej Pogodne.

Niektórzy z przechodniów rozmawiają, jakaś para zaśmiała się cicho, a potem chłopak za ukryciem wierzby musnął wargami usta dziewczyny. Chciała się oburzyć, ale na koniec skwitowała młodych uśmiechem. Każdy wiek ma swoje prawa. Gdyby kiedyś, kiedyś tak bardzo już dawno, gdy Karl ubiegał się o jej rękę, znaleźli się razem na cmentarzu i on zechciał ją pocałować, chyba by mu się nie bronila.

Zaczyna już mrocznieć. Prędko dzień teraz się kończy, zapada noc. Ładniej jeszcze się robi, tyle tych ogienków, tyle świeczek i lampek. I ona zapali teraz lampki Karlowi. Niechaj się cieszy, niechaj patrzy, jak będą migotały, to stały się płomykiem przy ziemi, to znowuż strzelały w górę. Tym bardziej nie dostrzeże, iż płyta się rozsypuje, wszystko wali się i niszczy dokoła. Mrok litościwy przyjdzie w pomoc gałązkom jedliny, nic złego nie będzie widać, zostaną tylko lampki, białe chryzantemy i kolorowe kwiaty zrobione ludzkimi rękami...

Dzisiaj nie dostrzeże Karl spustoszenia, a za rok już nie będzie powodów do zmartwienia. Za rok będzie miał nową płytę, i omurowanie, i nawet żelazną barierkę ogrodzenia. Postanowiła, gdyby tak się jej nie udało z Mittwochem, że zaoszczędzi z zasiłku, zbierze przez rok, oporządzi grób tak, jak się to Karlowi Blinckemu należy. Dawno mogła zacząć oszczędzać. Na starość wiele jeść nie potrzeba. Wystarczy skiba chleba i woda gorąca, obejdzie się nawet bez lipowego kwicia. Palić też zimą nie trzeba, zostały pierzyny, swetry, można się tym otulić, ogrzeją. Resztę pieniędzy się odłoży, po trosze zbierze się wymaganą sumę. Grabarz też nie 'musi za nic dostawać. A może i on się zlituje, opuści z ceny, nie będzie się drożył ze starą kobietą... Pchnął ją dzisiaj, to prawda, można zrozumieć, musi pilnować grobów, a ona zabierała jedlinkę. Dobrze, że chryzantem nie widział...

Wykrzywiła dziąsła w grymasie uciechy. Takie chryzantemy. Tamtym zmarłym ich nie ubyło, a jej Karl nie gorszy przez to od innych. Nie wiadomo, czy jeszcze kto z Niemców ma grób dzisiaj tak przystrojony. Puste są, ciche, za-

puszczone, nikt tam nie przychodzi, nie dba, nie wspomina ani się nie modli. Tyle, że trochę światełek się pali. To polskie dzieci co roku zapalają lampki i na tych opuszczonych mogiłach. Dobre dzieci, niemieckie na pewno by tyle nie zrobiły dla polskich grobów... W ogóle Polacy są dobrzy. Nie niszczą niemieckiej części cmentarza, szanują. Bo Niemcy zaraz by zaorali, z ziemią zrównali polskie pomniki. Karl niejedną raz dziwił się Polakom, że potrafią być jeszcze łagodni po tym wszystkim, co przeszli...

Jakież tu straszny tłok wokół się zrobił. Niemal całe-miasto przybyło... A tam, od wojskowych grobów, od strony pomnika aż łuna bije ze zniczy.

Ludzie, wszędzie ludzie. Nawet modlić się trudno przy nich. Karl na nią się nie pogniewa, jeśli dziś ofiaruje mu mniej paciery. Zawsze przecież za niego się modli ^ co dnia...

Czyżby naprawdę pocieplało nad wieczór? Mżawka jakby się wzmogła, żeby tylko nie przerodziła się w deszcz. Będzie jeszcze mogła posiedzieć trochę przy Karlu, niech nie trapi się samotnością. Ludzi ubywa, już nie tak tłoczno,, już tylko pojedyncze sylwetki, snują się po alejkach, przystają przed grobami. I światełka wygasają jedno po drugim. U Karla także zaledwie jedno się pali. Szkoda, że niema więcej tych lampek.

Ciemny, mroczny wieczór. A może to już noc? Jednak zaczęło popadywać. Deszcz jest zimny, przykro ścieka kroplami za kołnierz, ziębi dłonie, gdy wychyli je spod okrycia. Dobrze, że chociaż ciału jest ciepło. Tylko znicz płonie nadal, nie gaśnie. Świecek i lampek nagrobne dawno się wypaliły, wszystko pogrąża się w czerni.

Dziwne, czemu lampki u Karla nie wygasają, rozpa-lają się mocniej. I coraz ich więcej. I kwiatów pełno, chryzantemy, hortensje, kielichowate kalie. Z boków nagrobka wieńce pełne kolorów i światła... To dobrze, to bardzo dobrze, Karl bardzo musi się cieszyć.

Jasno, przedziwnie jasno. Żeby tylko ten zły grabarz nie nadszedł, nie pogasił Karłowych świateł. Żeby tylko nie nadszedł...

1 Przejaśnia się niebo t. II

209

Grabarz zjawił się dopiero nad ranem, gdy pierzchły już ostatnie cienie pozaduszkowej nocy. Może wypił zbyt wiele, taki dzień to największe wszak żniwa, może pogoda źle na niego wpływała, około północy przeciągnęła tędy straszliwa ulewa, dość, że się budził, przewracał z boku na bok, zjawy mu się jakieś snuły we śnie, dziwaczne postaci. Wśród nich była także ta mała, zasuszona Niemka, którą przyłapał na okradaniu innych grobów z zieleni...

Wstał wcześniej aniżeli zazwyczaj. Czemuś poniosło go w tę stronę cmentarza, gdzie grobu swojego męża pilnowała staruszka. Zdumiony dostrzegł, że jeszcze tkwi na swym zwykłym miejscu. Podszedł, dotknął ramienia. Było zimne i sztywne.

Postawił oczy w słupek.

ROZDZIAŁ V

1.

Popatrz, Janek, jaka ona jest, ta Gerta, trzeci tydzień mija od jej wyjazdu, a jeszcze się słowem nie odezwała. Christine to samo, taka córka! Jedyne dziecko, które mi pozostało... Pisałeś do nich?

— Nie — uniósł głowę znad papierów. Siedział w pokoju na dole, nie ciągnęło go na górkę, skąd żadne palenie nie mogło usunąć przenikliwego ziąbu. Ukochany piec Wiktora grzał ciągle najlepiej.

— Napisz, Janek... Może tam u nich co złego? Gerta wyjechała tak raptem po tej rozmowie telefonicznej. Nie mówiła nic, może to Christine dzwoniła?

— Nie mówiła. A pisać nie będę. Czasu nie mam, może później.

Ledwie się powstrzymał by nie określić swojego stanowiska wyraźniej: nie napiszę, bo nie chcę pisać. To wszakże spowodowałoby dalsze utyskiwania, żale, łzawienie. Nazbyt lubił i na swój sposób cenił tego starego człowieka, by przysparzać mu dodatkowych zmartwień.

Tym bardziej, że zmartwień i kłopotów rysowało się w najbliższej perspektywie znacznie więcej, i to poważniejszych. Matka, pewnie, mogłaby się odezwać, ale Gerta jej nie pozwoli, o taką zaś odwagę, by uczynić to poza plecami córki, nie można przecie Christine posądzić. Niech, się te sprawy toczą własnym swym biegiem.

Zerknął ku Wiktorowi. Jak zawsze, pod piecem, na ukochanym swoim fotelu. Zaraz się zdrzemnie, koło północy dopiero wstanie, by poczłapać na swoje łóżko... Trudny jest, uparty, dawno już poza rozumieniem tego, co się wo-

1

211

koło dzieje. Drażliwy przy tym, coraz bardziej rozżalony na ludzi, dyktatorsko poczynający sobie w zakładach.

Mimo woli uśmiechnął się pobłaźliwie. Boże, jakaż śmieszna, dziecinna to dyktatura. Ani za grosz w tym Wiktora Środy jeszcze sprzed paru zaledwie lat. To już niedołączny, schorowany starzec, dziecinniejący, występujący z niedorzecznymi pomysłami, które trzeba potem tuszować. Dostrzega jednak, na tyle zostało w nim dawnej bystrości, że w warsztatach coraz więcej się dzieje poza nim, zbyt wiele spraw już nie dociera do niego, nie respektuje się jego decyzji, nie słucha zaleceń. Wybucha czasem, a potem nieodmiennie się żali. Co gorzej, znalazł kozła ofiarnego.--Winiea jest wszystkim Misiaga. Misiaga i Misiaga! Demon, szatan w ludzkiej postaci.

Wyrastał z tego nowy szkopuł. Właśnie nad nim teraz się biedził. Znajdował się w dosyć trudnej sytuacji. Pokrewieństwo bowiem zobowiązuje, jak i wynikające z faktu -wspólnego zamieszkania trudne, nie kończące się sprawy i wyrzekania. Tych zaś w najbliższym czasie przybędzie jak nigdy...

Zatarł ręce. Kiedyś zazdrozczono im tego domu, że obszerny, wygodny... Dzisiaj, gdy niemal pół miasta to nowe bloki, dom Srodów stał się nieomal ruderą. Już rzeczywiście dziedzictwo po Kromppem nie było atrakcyjne. Choćby ten ziąb, przenika przez ściany, nie pomagają żadne zabezpieczenia. A to dopiero trzecia dekada listopada, do Zimy daleko. Jeżeli już teraz mrozem ściska, cóż dopiero później. Zapowiada się ostra zima...

Przeglądał papiery. Dwa tygodnie dzieliły go od zebrania -.rady nadzorczej ich przedsiębiorstwa. Masa spraw wymagała przygotowania i uściślenia: wykazy i sprawozdania, rozliczenia, plany perspektywiczne. A równolegle, jak zawsze pod koniec roku, piekielne tempo w robocie. Wszyscy kontrahenci teraz dopiero ochoczo płacą, wołając o wykonanie zleceń. Atmosfera staje się napięta, nerwowa. Na dodatek sprawa z Wiktorem...

Obejrzał się na dziadka. Już drzemał. Głowa opadła mii nisko na piersi, wyglądał w tej chwili bardziej staro niż

kiedykolwiek. Trudno się dziwić, niedługo skończy osiemdziesiąt dwa lata. Ładny wiek... Ani się spodziewa, co go oczekuje. Sprawa wałkowała się od dawna, wracano do niej na każdym posiedzeniu zarządu, z wielu powodów należało przeciąć ją ostatecznie. Jak się ktoś dosadnie wyraził, zakłady to produkcja, a nie filantropijny przytułek.

Wobec narastających zadań nie sposób już było podtrzymywać dłużej fikcji z prezesurą Wiktora Środy. Zestarzał się, zdziecinniał, nie tylko nie pomagał, ale nieustannie komplikował pracę. Jakieś nonsensowne decyzje, obietnice składane przypadkowym oferentom, napady złości albo popłakiwania, wszystko to do góry nogami wywracało porządek w warsztatach. Nowy rok zapowiadał się tymczasem ambitnie, ale i trudno, przyjęte zostało zamówienie na niektóre prace do wznoszonego w Poznaniu nowego hotelu o reprezentacyjnym charakterze, trwały pertraktacje z dyrekcją budowy opery warszawskiej, wyłaniała się perspektywa wykonania ozdobnych, mozaikowych posadzek do restaurowanego Wilanowa. Plan przerobu dochodził do z górą czterdziestu milionów. Władze nadrzędne spółdzielczości zatwierdziły już budowę nowej hali i magazynów, co stwarzało niepowtarzalną szansę... A tymczasem tak naprawdę to nie miał kto kierować tym wszystkim. Zarząd ze zdziecinniałym prezesem stawał się ciałem tytularnym. Siłą rzeczy wszystko waliło się na kierownika produkcji, pięknie, ale istnieją też granice możliwości jednego człowieka. A obok nich granice odpowiedzialności.

Zarząd starał się, jak mógł osłodzić przygotowywaną dla starego człowieka pigułkę. Pamiętano, że on to postawił zakłady na nogi, nadał im rozmach... Urządzi się jubileuszową fetę, będą kwiaty, przyjęcie, powinszowania, mówki, prezenty. Mało tego, nada się Środzie funkcję honorowego prezesa, będzie mógł przychodzić do zakładów, uczestniczyć w posiedzeniach rady nadzorczej... Cóż można więcej? Przy podobnych rozważaniach każdy jednak krę-C1- głową: za dobrze znali Wiktora, by wiedzieć, że nic go n'e zadowoli, tak lub inaczej poczuje się straszliwie

skrzywdzony. Gdy dowie się na domiar, że właśnie nie kto inny, a Misiaga zostanie prezesem... Niektórzy już sobie wyobrażali minę Wiktora Środy. Piekło wybuchnie.

Innego wyjścia wszakże nie było. Pewnie, Misiaga sam nie poradzi, konieczny będzie etatowy ekonomista, za wielkie sprawy, za wielkie obroty, tysiące transakcji bankowych, gmatwanina zarządzeń. Misiaga ma natomiast za sobą inne atuty: świetny fachowiec, nikt w kaszy go nie zje, cieszy się poza tym wielkim mirem pośród załogi. Bez tego zaś ze starymi wyjadaczami, znającymi swój fach, nikt inny by nie poradził.

On sam też złożył za Misiagą swój głos. Dopiero później zetknęli się na dłuższej prywatnej rozmowie. Lubili się, może zresztą bardziej szanowali niż lubili, właśnie z uwagi na ową fachowość. Tylko to spowodowało, iż Misiaga przetrwał przegraną swoją w konkurencji o funkcję kierownika technicznego. Pewnie, na samej robocie znał się lepiej, Schirmer odpadłby przy obróbce pierwszego detalu. Ale Schirmer wiedział, jak powinien taki detal po wykonaniu wyglądać, od razu palcem wskazał na każdą usterkę. Był przy tym ekonomistą, organizatorem, tych zaś talentów brakło Misiadze.

Rozmowa tyczyła jednej materii: Wiktora. Żeby to przeszło możliwie bezboleśnie, bez wyciągania prywatnych spraw, tych choćby niemieckich. Stary Środa odchodzi tak czy inaczej, czy konieczne są dodatkowe gorzkie pigułki?

— Jasiek, po cholere to całe gadanie? Wygląda na to, że długie lata będziemy ze sobą pracować. Myślisz, ślepy jestem, nie widzę, że bez ciebie zakłady jeśli się nie wywrócą, to zatracą cały swój rozmach? Kto tak będzie harował i kto z tej harowy potrafi tyle wyciągnąć dla naszej budy? Gównu mnie tamte sprawy obchodzą... Wygarnąłem, bo czego się czepiał o jakąś fuszerę, kiedy wiedział dobrze, że lipy z rąk nie wypuszczę? Ja byłem winien, że tego dnia strzykało go w kościach?

Skończyło się drugą flaszką i uściskami...

Byle tylko Misiaga znów się nie uniół z byle głupstwa, bo w innym przypadku na pewno dotrzyma słowa, będzie

przeżywał swój wielki dzień. On prezesem takiej spółdzielni... Może i dziadek weźmie się w garść, wzruszy się na początek fetą, jaką się mu urządzi, dopiero później przyjdą refleksje. Wtedy cały ciężar trawienia żalów, płaczów i wyklinań spadnie na niego. On będzie musiał to znosić.

Na palcach wsunęła się do pokoju Janaskowa, postawiła na stole filiżankę i termos z kawą.

— Idę już spać... Nie trzeba czego?

— Dziękuję, bardzo dziękuję... Nie warto było się trudzić po nocy — pomyślał, że to jedyna osoba, która utrzymuje jaki taki ład w tym zwariowanym domu. Babka, obłożnie chora po udarze, sparaliżowana, zanudzająca bez przerwy pielęgniarkę utyskiwaniami, sięgająca stale pamięcią do młodych swych lat, pamięć bowiem późniejszego okresu zatraciła się w niej zupełnie. Dziecinniejący dziadek z całym bagażem swoich chimier. A w tym wszystkim on, zaharowany, zapracowany od rana do nocy, dom traktujący jak hotel. Nawet na obiad zaglądał ostatnio coraz rzadziej...

Drgnął czując jakiś ruch za sobą. To poruszyła się Janaskowa, stojąca dotychczas z założonymi na piersi rękoma. Spojrzał pytająco.

— Już idę... Tak mi się pomyślało, że najwyższy czas, aby się pan ożenił, panie Jaśku. To za ponury dom, żeby młody człowiek mógł samotnie w nim wytrzymać... Jak pan ostatnio wygląda? Sama skóra i kości.

— Dobrze, Janaskowa, pomyślę, może i warto byłoby się ożenić. Żebym tylko znalazł tak kogo na podorędziu...

— A bo to pan bywa między ludźmi? Ciągłe w tej stolarni albo w rozjazdach. No, pora mi do snu. Staremu panu łóżko przygotowałam.

Zostały po jej wyjściu jakby zawieszzone w powietrzu słowa. Ponury dom... Może i prawda... Kiedyś trafiła mu w ręce książka o takim tytule: „Pałac połamanych lalek”... Pasuje. Wiktor z tego pruskiego domczydła też chciał uczynić pałac, zamknięty, wyizolowany, wyłącznie dla siebie. A wewnątrz? Teraz dwie stare, połamane psychicznie

i fizycznie lalki... W przeszłości też potrzaskane, pogruchotane wszystko. Stryj Józef, łajdak, pośrednio hitlerowski morderca. Ciotka Gizelda, szpieg, dywersantka, pluton egzekucyjny... Ojciec, który zginął za Wielką Rzeszę w szeregach Wehrmachtu. Matka, Christine, też w końcu nie-wydarzona, tyle że najuczciwsza, najporządniejsza chyba z nich wszystkich. Gertruda ze swymi kompleksami, ze sztucznie syconą nienawiścią do Polski. On wreszcie, Jan czy Johann, w niemieckiej rodzinie z jakimś tam tylko dziesiątym kisielom po którymś z polskich przodków, w rodzinie częścią pozującej na polskość, ni stąd ni zowąd Polak, ze świadomego wyboru, z ukochania, z rozumu... Dla kogoś też na pewno jakaś przetrącona kukielka.

Janaskowa radzi żeniaczkę... Nie w tym rzecz, że nie miał na to dotychczas ochoty, właściwie nawet nie myślał, że braknie na razie partnerki. Ale gdyby znalazła się jakaś dziewczyna, czy miałby moralne prawo wprowadzać ją w zwariowany dom z całym bagażem nieciekawych tradycji, z ozywającą przecie co jakiś czas, exemplum Misiaga, plotką czy złośliwością. Chyba, żeby rzucić, wszystko, zabrać się stąd, wyjechać w inne zupełnie strony, w daleki kąt Polski, w Rzeszowskie, w Lubelskie, gdzie nikt by nie znał i nie pamiętał Srodów, Mittwochów, Schir-merów, czy jak im tam jeszcze. Ale jak on by się czuł przeflancowany na nowy grunt. Nie chodzi o pracę, zna się na fachu, znalazłby coś dla siebie. Klimat, ogólna aura, wiejąca właśnie z tych ulic, z tego miasta, od tych jezior okalających je nieforemnym wianuszkiem?

Ze zmarszczonymi brwiami popijał kawę. Ta-myśl nadbiegła znienacka. Jest coś jeszcze innego wiążącego z rodzinnym miastem. Pragnienie, aby na przekór wszystkim, 'wbrew tradycji pogruchotanych nie lalek, a najzwyczaj-niejszych jarmarcznych kukieł, przywrócić dobre imię nazwisku Schirmer, wiążącemu się w ogólnej opinii z nazwiskiem Srodów. Żeby nikt już nie mógł kwestionować polskości, wspominać niesławnych dziejów. Żeby wiązało się to jego nazwisko z dobrą robotą, z uczciwością i pra-

wością. Właśnie tu, w tym mieście, jakże już niepodobnym do tego niepełnego obrazu, jaki rysowała przed nim pamięć młodego chłopaka, w mieście rozbudzonych nadziei i rozkwitającego życia. Może właśnie to pragnienie tkwi u podłoża wszystkich trosk jego i działań?

Spojrzał na dziadka pochrupującego w swoim fotelu pod ciepłym piecem. Pyta uporczywie o Gertę, o listy, czy nie nadchodzą od niej lub od Christine. Gdybyż znał prawdę... Pojąłby wtedy, że Gerta na pewno nie będzie pisać: nie zezwoli także odzywać się matce.

On wprawdzie też nie zna szczegółów, ale i ta chwila zwierzenia, załamania Gerly na skutek telefonu od matki, wystarczyła, by odsłonić przed nim rąbek jeszcze jednej ponurej historii. Jak nie-bezpośrednio, to rykoszetem, zawsze jakiś brud czepia się rodziny...

Wczesnym rankiem to było. Kończył właśnie golenie. Podskoczył do natarczywie wzywającego aparatu. Telefonistka łączyła numer z Niemiecką Republiką Federalną. Rozmowa dla pani Gertrudy Gottlieb...

Gerta jeszcze spała. Wzywając ją przez Janaskową, pokrzykiwał do telefonu, by połączenie się nie zerwało... Aż Wreszcie po słowach „łączę, łączę”, nadbiegł z daleka niewyraźny zamazany głos kobiecy. Nie tyle poznał, ile wyczuł, że dzwoni matka. Ona, Christine...

— Mama? Mutter? Du, Mutti?

— Johann? Johann? Wirklich... głos jej zaczął się łamać. — Widzisz, Johann, synku, ja do Gerty, nie wiem, co robić, straszna rzecz, Henri... Czy jest Gerta, Johann? Całuję ciebie, gdzie Gerta... — coś jakby tłumiony szloch.

Spostrzegł siostrę przy sobie.

■— Matka. Do ciebie. Coś się tam stało...

Został przy niej, obserwował zmieniającą się jej twarz. Zaimponowała mu. Ścinała wargi, drżały jej policzki, ale głos był trzeźwy, suchy, może aż nazbyt suchy...

— Dziś jeszcze w nocy wyjeżdżam. Jutro będę na miejscu. Auf Wiedersehen. . — Z pasją, gwałtownie odrzuciła słuchawkę.

Opadła na krzesło z takim samym impetem. Nie pytał

o nic, przesunął się w kąt pokoju. Powiodła za nim spojrzeniem.

— Dziś wieczór muszę wyjeżdżać. Jest tylko jeden pociąg międzynarodowy o tej porze. Poranny odszedł przed dwoma godzinami... Jaka szkoda, że nie mam samochodu. Bo widzisz... — zacięła się, przygryzła wargi.

— Nie potrzebujesz się tłumaczyć, nie muszę wiedzieć. Zrozumiałem ze słów matki, że stało się coś z twym mężem. Wypadek jakiś, choroba?

— Nie.

Wzruszył ramionami. Ostatecznie to ich dalekie, obce mu sprawy... W tym momencie przypadkowo dotknął dłonią policzka. Na palcach zostały ślady mydła. Nie umył się po goleniu, poderwany terkotem telefonu. Skierował się do łazienki.

— Johann — zatrzymała go w drzwiach. — Powinnam ci powiedzieć. Ale tylko tobie. Henri został aresztowany.

— Twój mąż?

— Jakież by inny Henri? — zniecierpliwiła się. — Sądzę, iż wiem, dlaczego. Przed rokiem już zaczęła śmierdzieć koło nas ta sprawa, ale wtedy udało się ją zatuszować. Henri nie potrzebował nawet odchodzić z sądu. A teraz taki krach.

— Nic nie pojmuję.

— Wiem. A mnie niełatwo mówić. Ale wypada, byś wiedział. Henri, wiesz, jest nadsędzią... Już przed wojną był znanym prawnikiem. W czasie okupacji Francji skierowano go do Sondergerichtu. Nie chciał, ale musiał, jakże mógł odmówić? Tam nie było mu łatwo... A teraz, teraz oskarżają go, że wydawał także wyroki śmierci... Jakże mógł tego nie robić, jeśli to były wymogi prawa?

— Ach, to taki jest ten twój Henri, co wszystko może, wszystko umie załatwić? — zaszydził, Zbyt boleśnie dotknęła go z nagłą w sposób najbardziej osobisty ta sprawa.

Nie odpowiedziała. Dostrzegł tylko, jak jej dłoń o wypiełgnowanych, długich palcach drapieżnie zagarnia stojącą na stole kryształową popielniczkę, już powojenny wy-

rób huty „Izabella”, jak ją unosi w górę... Nie, nie trzasnęła kryształem w niego, opanowała się. Połyskujący w światłach ranka przedmiot z mocą rąbnął o podłogę, rozsypując się w drobniutki pył.

Patrzyła chwilę na te szczątki, wreszcie zaśmiała się gardłowo:

— Dobry, szlachetny kryształ... Idź, idź już stąd Jasiek...

Zastanowiło go, dotychczas ciągle wyskakiwała z tym swoim chropawym Johann, a teraz nagle mięciutko: Jasiek.

Nie wie, jak wtedy zebrał się w kupę. Za godzinę czekało go jedno z tych najtrudniejszych, związane właśnie z dziadkiem, posiedzenie prezydium. A potem byli wysłannicy opery z Warszawy...

Patrzył teraz na chrapiącego Wiktora Środę, uśmiechał się na wspomnienie jego pytań o Gertę i o Christine. Matka na pewno jest biedna w tym wszystkim, nie umie się w sytuacji połapać. Ale Gerta? Gerta jest twarda, znieśie także ten cios. Jej sprawa, jej sprawa... A jednak cięży pośrednio ten Henri i na nim. Dalszy ciąg rodzinnej odysei. Buda potrzaskanych kukieł.

Z pasją zgarnął teraz papiery rozsiane po stole. Nie będzie dziś więcej pracował, nazbyt rozchybotła się myśl. Trzeba będzie po prostu wstać wcześniej, w biurze zakończyć, podsumować. Dziadek się już obudził. Północ zatem, regularny jest jak zegarek.

— Jasiek, jeszcze siedzisz, pracujesz? Idź już spać... Wiesz, śniła mi się Christine, niedobrze się śniła. Mógłbyś napisać, niechże Gerta się odezwie... I Misiaga też mi się śnił, z wielką gębą, w niej kły, krzyczał, że mnie zabije, bo jestem Niemiec...

Ujął starca pod ramię, pomagając człapać przez pokój. Zaciskał zęby, a coś go krztusiło w gardle, gdy uspokojał Wiktora Środę:

— Sen mara, dziadku... Głupstwo, będzie dobrze, Gerta napisze, na pewno... A z Misiagą mówiłem, chce nawet dziadka przeprosić...

— Dureń. Łobuz. Nie chcę o nim nic słyszeć. Był już wyraźnie udobruchany.

Sam go zaprosił, tu, do stolarni, późnym wieczorem, gdy nikt nie pętał się już po warsztacie i w biurze. Do siebie nie chciał ściągać chłopaka, nie w nastroju tamtego domostwa należało z nim rozmawiać!

Spoglądając teraz na Pomykałę zastanawiał się, o czym właściwie z nim pragnął mówić? Zostawał tu jakiś śwąd po działalności Gerty, to było pewne. Szczegółów wszakże nie znał. Jakieś pozdrowienie od ich matki, tam w Niemczech spotkanej, jakieś półsłówka, że różnie się przełamuje narodowościowe problemy... Nic więcej. Przedtem i to starczyło, na tyle nawet, by zakazać siostrze jakichkolwiek wybryków. Ale czy ta suma wiedzy upoważnia dziś do za-prosin na rozmowę? Bo w ten sposób sprecyzował wszak swoje słowa. Chłopak zawahał się wtedy na drugim końcu telefonicznego przewodu, długo trwało milczenie, nim od-szepnął wreszcie, że tak, że dobrze...

Poprzedniego dnia dzwonił sam Pomykało. Zapytywał o panią Gottlieb. Zaskoczony bardzo był wiadomością, iż wyjechała. Wreszcie przeprosił, podziękował, na tym wszystko mogło się skończyć.

Co go zatem niepokoiło przez całą dobę, odrywało od pracy, kazało wreszcie zadzwonić do ogrodnictwa, prosząc młodego gospodarza do aparatu? Jakieś wyrzuty sumienia, lęk, czy Gerta czegoś nie nabroiła, co tak czy inaczej przyjdzie kiedyś naprawiać, więc lepiej uczynić to wcześniej? Nie wiedział, tym silniejszy był obecnie jego niepokój. Oto są naprzeciw siebie, inicjatywa wyszła od niego, tamten coś wie, on zaś znalazł się jak tabaka w rogu...

Pomykało pierwszy przerwał milczenie. Swobodny był, choć bardzo na miejscu.

— Wczoraj tak mnie zaskoczyła wiadomość o wyjeździe pani Gottlieb, że nawet nie zapytałem, kiedy opuściła miasto. Bo jeszcze niedawno wspominała mi, że przedłużyła

swój pobyt i pozostanie w Polsce przynajmniej do grudnia...

— Drugiego listopada. Otrzymała wiadomość z domu, tam się coś stało...

I nagle zaczął szukać gorączkowo w pamięci. Wszakże istnieje przyczyna, pamięć podświadomie ją podsuwała, dla której umówił się z Pomykałą. Gerta, mówiła coś... Tylko co? Tak się wszystko wtedy razem zważyło, jej wyjazd, uzalania się dziadka, zebranie rady nadzorczej, układy z Misia-gą, nowe zamówienia, wyjazdy do Warszawy i Łodzi. A chodziło jej właśnie o Pomykałów. Zaraz, zaraz, to było tuż na odjeźdźnym...

— Tak bardzo nagle nastąpił ten wyjazd — rzucił Pomykało jak gdyby do siebie. — Pan Lisiewicz także wyjechał do NRF.

— Dyrektor Lisiewicz?

— Tak. Na proces. Ma występować tam w charakterze świadka. Złapali jakichś gestapowców czy esesmanów z obozu koncentracyjnego, w jakim dyrektor przebywał...

— Nie wiedziałem nic o tym... Chwileczkę, niech się pan nie gniewa. Usiłuję sobie przypomnieć jedną rzecz...

Spojrzenie jego zahaczyło o jasne, długie włosy chłopca. To skojarzyło mu się z tamtymi słowami siostry...

„Jeżeli zadzwoni ten blondynek, wiesz, Pomykało, powiedz mu, że przesadziłam sporo w całej historii. Niewiele wiem o ich matce. Tyle, że przyszła do mnie jakaś kobieta, przedstawiając się i prosząc o przekazanie pozdrowień. Powiedz, że bardzo ciepło, czule niemal mówiła o starych Pomykałach... Tyle prawdy. Reszta to moja otoczka. Tylko moja”.

Tak, teraz już najdokładniej przypominał sobie te słowa. Właśnie tak brzmiały, chyba nawet dosłownie. Nie zwrócił wtedy na nie uwagi, zbyt przejęty nowym ciosem, rykoszetem uderzającym wszakże i w niego. Potem tym bardziej wywietrzało mu to z pamięci.

Siostra przed wyjazdem prosiła mnie, bym przekazał Panu jej słowa... Dokładnie tak brzmiały, jak je panu podaję... Przykro mi, nie znam szczegółów, domyślam się tylko,

że siostra nie postępowała najlojalniej w stosunku do pana i jego siostry. Mogę tylko pana za nią przeprosić.

Pomykało otrząsnął się, jak pies po wyjściu z wody. Udawał obojętność, jednak musiało obejść go mocno to, co słyszał.

— Nic to dla mnie nowego. Początkowo byłem zaszokowany rewelacjami pani Gottlieb, wzbudziły we mnie jakieś wahania, niepewność, ale potem sam potrafiłem znaleźć dla nich właśnie takie wytłumaczenie, jakie mi pan przekazał... Jeżeli, jeżeli... — zawahał się, spojrzał w wychudzoną twarz Schirmera. — Jeżeli pan tych słów nie wymyślił, rozumiejąc, że gra pani Gottlieb nie była ładna...

— Jestem tu jak tabaka w rogu, niech mi pan wierzy. Nie wiem, o co dokładnie chodziło, czego właściwie chciała od was Gerta, jakie były pańskie reakcje. Podobno odezwała się pańska matka... Na tym kończy się moja wiedza.

Coś tknęło go nagle.

— Pan wspomniał o dyrektorze Lisiewiczzu? Czy jego osoba w jakiś sposób łączy się może również z tą sprawą?

Pomykało potwierdzająco skinął głową. Wydało się Schirmerowi, że czemuś jest rozbawiony. Ale może to raczej był grymas, bo słowa chłopca dalekie były od wesołości.

— Zastanawiałem się, czy ma sens powtarzanie panu tego, co szczęśliwie stało się jedynie niewiele ważącym epizodem... to nie moje określenie, a Kaśki, wydało mi się trafne, więc je powtarzam... Mam zaufanie do pana, sporo o nim słyszałem, przy tym, co najważniejsze, jest jedna rzecz, która nas łączy i z której niejedno wypływa.

— Proszę? — nie mógł pojąć, do czego zmierza ten chłopak.

— I pan i ja jesteśmy właściwie z urodzenia Niemcami. Może trafnie to ujmę, mówiąc, że byliśmy.

Uczułem, że błędnie. Czyżby stary dziadek miał rację mówiąc, że nigdy się nie odcepią od spraw niemieckich, że zawsze będą one ich ścigać?

— Ja jestem Polakiem — zaakcentował.

— Ja też. Ale to, co powiedziałem, również jest prawdą.

W odniesieniu do mnie w ogóle bez reszty, u pana podobno babka wywodzi się z mieszanej rodziny.

— Jest pan dobrze zorientowany... — zakpił, czując, jak

ogarnia go szewska pasja na tego szczeniaka, który śmie wyskakiwać z podobnymi sprawami.

— Ojciec wspominał... Już dawno temu, gdy wyjaśnił mi i Kaśce tajemnicę naszego pochodzenia. Ludzie po prostu zaczęli paplać, więc rodzice woleli uprzedzić plotki... A co do pani Gottlieb... zależało jej, aby w Kaśce i we mnie wzbudzić niepokój, może coś więcej. Sprytnie się do tego zabrała...

O mój Boże, mój Boże, wyło coś w Schirmerze, gdy słuchał skrótowej, zwięzłej relacji chłopaka. Po co to Gerta robiła, jakąż wyniosłą z tego korzyść? Zwykła złośliwość, zabawa kosztem innych? Tak, w tym świetle jego obcesowe stwierdzenie o niemieckości ich urodzenia przestaje być chamstwem, ironią, nabiera wyrazistego sensu.

— Dziękuję. Teraz rozumiem wszystko. I może odpowiem szczerością za szczerść, zakładając, że zostanie to między nami. Powód wyjazdu Gerty był taki...

Pomykało z kolei otwierał szeroko oczy. Pokiwał głową.

— Los się mści.

— A sprawiedliwość dokonuje, choć brzmi to jak slogan! ■— dorzucił Schirmer. — Wracajmy do początku naszej rozmowy. A więc jesteśmy z urodzenia Niemcami...

— Tak. To chyba bezsporne. I oto czujemy się Polakami. Z wychowania, z wyboru, z umiłowania tego co polskie. Zgadza się?

— Jak najbardziej.

— Więc teraz pytanie. Czy człowiek ma prawo wybierać sobie narodowość? Odżegnywać się od tej niejako wrodzonej? To się tyczy tak pana, jak i mnie. Prawdy od rodziców dowiedzieliśmy się na tyle wcześnie, że mogliśmy wybierać sami. Czy to uczciwe? Zaznaczam, ja już sobie stawiałem to pytanie, wyjawiałem je przed dyrektorem Lisiewiczem. Dziś mam odpowiedź. Do pani Gottlieb szedłem, by jedynie potwierdzić wewnętrzne me przekonanie. Ale jak pan to widzi?

— W ogóle nie zadawałem sobie podobnych pytań. Sprawę przesądziłem już dawno. I jednoznacznie. Jestem Polakiem, czuję się nim bez reszty, całym sobą. Nic mnie nie wiąże z Niemczyzną, jeżeli zaś, to in minus, poprzez najcięższe i najboleśniejże przeżycia. Łącznie z tym z Gertą, moją siostrą, Niemką nie tylko z urodzenia, ale z wyboru...

— Może ona nienawidziła' Polski, nas, przez to, że zwalczać w sobie musiała jakieś polskie tęsknoty?

— Nie myślę — zaśmiał się krzywo. Gerta jawiła mu się teraz w przedziwnie odrażającej barwie. Nigdy nie lubił siostry, teraz o krok był od tego, aby ją znienawidzić.

— Wie pan już, dlaczego chciałem widzieć się z pana siostrą. Powiedziałbym jej, jak brudna była jej misja. Kaśka potrafiła od razu się odciąć, ja przeżyłem to silnie. Ale nie żałuję... Z panem Lisiewiczem chciałem widzieć się dla zupełnie innej przyczyny. W swoim czasie dopomógł mi do wygmatwania się z tej opresji. Teraz pragnąłem innej pomocy... Przez parę tygodni nieprzytomnie czytałem teksty historyczne. Panowie z Polskiego Towarzystwa Historycznego doradzili mi lekturę. Sprawa stosunków polsko--niemieckich. Dzieje kultur obu narodów. Aż po przebieg ostatniej wojny. Z obozami, mordami, łapankami, z całą tą okropnością. Nieraz było to bardzo trudne. Ja mam za sobą tylko zawodową szkołę ogrodniczą... Niejedno jeszcze musiałbym sobie wyjaśnić. Ale w sumie wystarczyło to, aby powziąć decyzję. I tu chciałem prosić pana Lisiewicza o pomoc... Nie zostanę w moim zawodzie. Nic to, że lubię tę pracę. Przebąkiwałem coś Kaśce, ona zostanie na schedzie Pomykała w. A ja będę się uczył. Chcę zrobić maturę, iść na "historię. Nie zaocznie, to zawsze jest połowiczność. I jako specjalny kierunek wybrać pragnę dzieje stosunków polsko--niemieckich...

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Bo widzi pan, jest jeszcze coś. Ja Niemców nienawidzę. Siostra mówi, że to gorliwość neofity, ale ja mam o tym własne zdanie. Chcę rozumieć, ale nie nienawidzić. Patrzeć trzeźwo, ale spokojnie. A przez pamięć tego,

że zrodziła mnie kobieta Niemka, że ojcem był jakiś Niemiec, dobrze byłoby, żebym mógł najskromniej chociaż przyczynić się, aby więcej nigdy nie mogło między tymi narodami dojść do czegoś takiego, co się często zdarzało w historii, najpełniej i najstraszniej za czasów Hitlera. Po prostu pragnę uczyć, pokazywać, jacy są Niemcy, jacy być mogą.

— Może sprawiać, żeby byli, stawali się inni — dorzucił Schirmer.

— Tak daleko jeszcze nie dotarłem. Tymczasem ja tylko nienawidzę. Może i do tego nie mam prawa, ale czuję, to mnie umacnia w mojej polskości. Może tak powikłana musi być moja droga. Z uwagi na ten pochodzeniowy początek.

— Nie wiem, nie wiem, nic panu nie poradzę, to bolesne, to trudne... — Schirmer dłońmi ścisnął skronie, jakby pragnął poskromić to, co w nich huczało i przelewało się bólem.

Że też Gerta tyle niepokoju i zła wnieść musiała w ich dom. W dom Srodów. Czy on ma być tym pokutnikiem, na którego spadnie brzemię pokuty za winy ich przetrąconej rodziny. Tych nie lalek, nie kukieł już, ale powykrzywianych kalek.

2.

— Zdziwisz się, Jaśka, ale ja chciałabym, straszliwie bym chciała przeżywać podobnie ciężkie chwile, jakie ty z Felkiem przechodziłaś ostatnio z waszą Magdzą... Bo wy macie o kogo się troszczyć,

denerwować się, czuwać przy telefonie, czepiać się nadziei lub poddawać zwątpieniu. A u mnie każdy dzień ciągle jest taki sam, nudny i jednostajny.

Ferycka w zupełnym zaskoczeniu przyglądała się przyjaciółce. Usiłowała pojąć, co właściwie ma Ziułka na myśl!- Nie żartuje, jej olbrzymie, niebieskie oczy nasyczone są

1 Przejaśnia się niebo t. II

225

żarem, jakimi jednym wielkim pragnieniem. I nagle przebłysk zrozumienia. Prawda, Wiśniewscy nie mają dziecka. Zenek, to przecież jeszcze spuścizna po Władku...

Ogarnęło ją uczucie dumy, że może ona nadal mieć dzieci, urodziła Magdzię, cieszą się wraz z Felkiem z tej swojej kruszyny. I żał ją przejął nad losem Ziułki. Przysunęła się bliżej, przytuliła ją serdecznie. Krucha była, chudziutka, nic w niej nie zostało z tej pełnej, aż za pełnej dziewczyny pałętającej się pośród ruin ze swoim Władkiem. Późniejsze przejścia na łonie rodzinnym, zakończone dramatyczną ucieczką, wysłały z niej siły na zawsze. Słaba już była, chorowita, ciągle nadchodziły wieści, że Wiśniewska znów leży, znów zaziębiona, kobiece historie, przedwczesny reumatyzm, coś jeszcze innego.

— Nic nie pomaga? Miałaś próbować w Krakowie...

— Nic... Tyle lat. Franek mówił, że podobno w Czechosłowacji są dobrzy specjaliści, chciałby mnie aż tam wysłać. Zaczął już robić starania, ale to niełatwa sprawa. Może teraz, tak go ostatnio chwala, w gazecie opisują, stawiają za wzór, pójdzie z tym łatwiej. Choć ja nie wierzę. Czego już nie próbowałam. Po całej Polsce jeździliśmy, do specjalistów, leżałam w klinikach i szpitalach. I nic, bez skutku...

— Ziuła, a może to nie ty, może Franek?

Uśmiechała się, ale był to uśmiech jedynie warg. Głos

przesycony był smutkiem:

— Też już nam to przychodziło do głowy. Wygląda wszakże, że tylko ja... Jedz, Jaśka, specjalnie upiekłam na wasz przyjazd. Cieszę się, że jesteśmy znów razem. Bywam niekiedy w mieście. Niegdyś wpadałam do was, lubiłam też spojrzeć na domek, w którym mieszkałam dzięki Felkowi przez parę lat...

— Ostatnio jednak zapomniałaś zupełnie...

Spojrzała z wyrzutem.

— Jaśka, zrozum, było mi trudno... Dowiedziałam się, jesteś w ciąży, potem, że przyszła ta maleńka na świat. Nie chciałam siebie ranić. Ja i tak już przepłakałam niejedną noc.

226

>

— Masz przecież Zenka.

_ To ja... Obeszłabym się i bez drugiego dziecka. Mnie

chodzi o Franka. On strasznie kocha dzieci. Musiałabyś zobaczyć nasze przedszkole. Wcale go nie miało tu być. Franek wystarał się o pieniądze, sam pilnował budowy, dba

0 zaopatrzenie, czego te dzieciaki nie mają, śniadania, obiady

1 podwieczorki, obgadał w mieście z hurtownią, jak tylko zjawi się coś lepszego, ślą do nas. Zabawki nie mieszczą się na półkach. Z gazety nawet tu przyjeżdżali, robili zdjęcia, nazywali pokazowym przedszkolem... Franek, jak jest bardzo zmęczony albo zdenerwowany, jak coś mu nie idzie, ucieka po cichu do tych dzieciarów, godzinami tam z nimi się bawi. Mówiła przedszkolanka, szaleją za nim maluchy... Więc teraz rozumiesz, czemu się trapię.

— Może tam w Czechosłowacji się uda... Zazdroszczę ci podróży. Nie będziesz się bała jechać?

— A mnie co? Żeby to coś tylko pomogło... Wcześniej czeka mnie wyjazd do Warszawy. W styczniu albo w lutym. W klinice na Karowej jeden profesor cuda podobno wyczynia, niejednej już, mówią, przywrócił płodność. Boże, jakby się Franek ucieszył.

— Ale chyba jest dobry dla ciebie? — zaniepokoiła się Jaśka.

— Dobry? To za mało. Cudowny człowiek. Chociaż czasami go nie rozumiem... — urwała, spojrzała uważnie na przyjaciółkę. — Tobie powiem, Jaśka, ty jedna wiesz o mnie wszystko. Pamiętam twoje serce, twoje i Felka... Widzisz, ja długo nie chciałam wychodzić za Franka. Prawie dwa lata odkładałam odpowiedź. Wygadał się na samym początku, że chce naprawić błędy brata, to znaczy Władka... Tyle kwiatów, ile otrzymałam od niego po urodzeniu Zenka, w życiu nie widziałam. I potem ciągle paczki, prezenty, wreszcie jego odwiedziny. Sama to widziałas. Polubiłam go.

gdy zaproponował mi małżeństwo,-nie chciałam. Myślałam, że to z litości, dla jakiejś ofiary. Że nie dla mnie samej, a tylko dla naprawienia krzywdy.

Byliśmy pewni, że zakochał się w tobie.

Nie wiem. Do dziś nie wiem. Pamiętasz, jak wygląda-

1

227

łam? Niewiele się do dziś zresztą zmieniło. Chuda, niezgrabna, blada jak ściana, jakby krwi we mnie nie było... Potem byłam już zmęczona tym ciągłym odpowiadaniem: nie. Zgodziłam się... Mam dobrze, za dobrze, nigdy w życiu nie myślałam, że można tak mieszkać, jeść, ubierać się. Pokochałam Franka. Może inaczej, nie tak, jak w tamtej miłości, ale pokochałam. Niekiedy boję się, czy jednak Franek naprawdę mnie kocha. Czy czasem nie budzi się w nim cichy żal, że zamknął sobie mną życie. Gdy obserwuję, jak kocha dzieci, wszystkie dzieci, jak marzy, jak straszliwie pragnie własnego, wtedy potężnie we mnie ten lęk. A jeżeli Franek gdzieś w duchu dorzeczy, wyklina? I jeszcze dlatego, dlatego tak bardzo bym chciała, tak straszliwie mocno, aby to złe minęło, abym mogła zająć w ciąży, mieć dziecko. Dla Franka. Tylko że ja w to nie wierzę...

— Zenka chyba on kocha?

— Na pewno. On kocha wszystkie dzieci wokoło. Może źle mówię, dla Zenka jest najlepszym z ojców. Usynowił go, zręcznie nawet to przeszło, wyście jedni wiedzieli, pan Bud-niak, reszta może się domyślała, gęby wszakże nie otwierali. Nazwisko to samo, mógł rozgłosić, że to jego przedmażeńskie dziecko. Zenek będzie tu jutro, na każdą niedzielę przyjeżdża do domu. Ale, Jaśka, Zenek nie jest jego własnym dzieckiem. To przecież coś zupełnie innego. Dawno już temu, z dziesięć lat, gdy mieliśmy nadzieję, że spełnią się nasze marzenia, powiedział mi, że musimy mieć dużo, bardzo dużo dzieci. Niemcy wymordowali mu całą rodzinę, matkę, ojca i siostrę. Władek zaginął, nie wiedzieć gdzie. Z Wiśniewskich został tylko on jeden i poprzez dzieci pragnąby wyrównać tamto zło, jakby Niemcom na przekór. On marzy o własnych dzieciach.

— Nie twoja wina, Ziuta — ruchem dłoni starła łzę ska-pującą wolniutko po wychudłym policzku kobiety.

— Nie wiem, może moja. Może nie powinnam była żyć z Władkiem, ani jechać potem, uciekać do domu, narażać się na to wszystko, co przeszłam... A przynajmniej nie trzeba mi było wychodzić za Franka. Zenkiem, gdyby chciał, mógłby się opiekować i tak, nie było to konieczne, pamię-

tasz, jakoś zaczęłam sobie radzić. Ożeniłby się z inną, cały ten ponury pałac pełen byłby bieganiny, krzyku i gwałtu, dopiero czułby się szczęśliwy. Ciągłe myślę o tym wszystkim, tak i na opak, podpatruję Franka, i jest mi bardzo ciężko. Bo to wszystko przez moją głupotę.

— A on tego nie widzi?

— Staram się nie pokazywać. Ale widzi, wie, uspokaja mnie, rozumie. Jest bardzo dobry... Niedawno powiedział, że może byłoby słusznie, abyśmy jakieś dziecko wzięli z sierocińca na wychowanie. Zdusiło mnie w gardle, zrozumiałam, że on już nie wierzy, aby u nas się mogło coś zmienić, odpowiedziałam, że bardzo chętnie, że świetny pomysł... Zdarzyło się to przed pół rokiem, więcej już nie nawracał do tego tematu. Zaczął tylko starać się o mój wyjazd, był specjalnie w tej sprawie w Warszawie. Na to trzeba zagranicznych pieniędzy, niechętnie je dają, zresztą dla kogo, cóż ja, taka głupia, niewykształcona gęś, dziewucha z wioski. Komu może na mnie zależeć? Tyle że z Frankiem się liczą. Dobrnął niedawno do jakiegoś ministra, tego kapitana Wlazły, co to był u nas w mieście, pamiętasz, ten mu obiecał pomoc. v "

— Wlazły?

— Chyba tak się nazywał. On z Felkiem był blisko, razem się zajmowali tym osadnictwem. Z partii...

— Wiem przecie dobrze.

— No widzisz... Jedz, Jaśka, nie zwi-acaj uwagi, już się taka płaksiwa zrobiłam, zaraz mi przejdzie. Oj, czy nasi nie idą?

Gwałtownie ocierała oczy, przybierała uśmiech na twarz. W drzwiach stanął Wiśniewski, rozrośnięty, o twarzy ciemnej od słońca i wiatrów.

—• No i co, panienki? Gadu gadu o wszystkim po trochu, prawda? — urwał, uważnym, choć przelotnym spojrzeniem obrzucił żonę. Ton jego głosu wyraźnie złagodniał — Felek spiknął się z tym Rzępikiem. Zostawiłem ich, gdyż my 2 sierżantem się nie kochamy. Mają coś tam do obgadania... Ale przedtem zaklepaliliśmy inną sprawę. Na lato, Jaśka, zjeżdżasz do nas razem z dziećmi. Co macie się ponie-

wierać w mieście? Pewnie nas jeszcze nie wysiudają do tego czasu z pałacu, a jeśli nawet, to w dawnej rządówce będzie równie wygodnie... Dopiero będziecie miały czas na gadanie, już sobie wyobrażam, co to za powódź słów nastąpi...

Podszedł lekko kulejącym swym krokiem, ujął Jaśkę za rękę.

— Tylko nic mi nie gadaj. Skoro mąż twój postanowił, musisz słuchać. Będzie nam dobrze z wami... Co tylko? Żadnych tylko. A zresztą, nic za darmo, powiedziałem Felkowi. Zaopiekujesz się Ziutką, już tym choćby, żeby jadła, bo ona jak wróbel, dziób, dziób i koniec. Przecież to nie kobieta, to pisklę...

Uniósł nagle żonę w ramionach, podrzucił do góry, śmiał się przy tym rozgłośnie. Jaśce wydało się wszakże, iż śmiech ten był sztuczny. Tak samo jak cały poprzedni wstęp o pisklęciu konieczny mu był, żeby teraz niby to żartobliwie pocieszyć żonę. Musiał zauważyć, iż płakała.

— Moja ty Ziuteńko kochana — ostrożnie, jak coś bardzo kruchego, usadził ją na dawnym miejscu. — Felek zapowiedział się za godzinę. Pewnie wtedy będzie już obiad. Ja też skorzystam, wyskoczę jeszcze, coś tam oborowy mi płakał...

Gdy wyszedł, Jaśka w zadumie pokręciła głową.

— Cudowny człowiek. On przecież cały ten gwałt po to narobił, aby cię uspokoić, rozbawić. I ty, Ziutka, głuptaku, możesz myśleć przez jedną chociażby chwilę, że cię Franek nie kocha?

Tkwili we trójkę nad rozłożonymi na stołach, kanapach czy wprost na podłodze planami i szkicami sytuacyjnymi. Kędrzyk chwilami kładł się niemal na arkuszach sztywnej, chrzęszczącej kalki, wymierzając odległości i poziomy. Potem podnosił się, zapisywał coś w pękатыm notesie.

— Nie spodziewałem się, że to aż tak wielkie. Na samym froncie piętra mają z górą czterdzieści pomieszczeń, bez parteru. Skrzydła wnoszą drugie tyle. A jeszcze ja-

dalnie, recepcje, bawialnie... Cholerna kubatura i cholerny metraż... — przetarł czoło. — Kosztorys mówi o sześciu i pół milionach, ale konserwator szeptał mi, że należy spodziewać się drugich tylu...

_ Niech się wypcha. Musimy zmieścić się w kosztorysie.

Dwa miliony dają powiat i miasto, na więcej nie zdobędziemy się żadną miarą. Nikt nam też nie da grosza ponad to, co już się udało wyżebrać. Chyba za cenę rezygnacji z naszych planów wykorzystania pałacu. Wtedy dla nas gra przestałaby być opłacalna...

- Jeżeli jednak...
- Nie upieraj się, Kędrzyk. Powołamy komisję nadzoru. Będziemy każdy grosik oglądać. Sporo się zrobi czynem społecznym.

— Jeszczeście nie zaczęli, już się spieracie. Wychylmy lepiej — zaczął ich godzić gospodarz.

Wiśniewski miał już lekko w czubie, na policzki wystąpiły mu mocne rumieńce, oddychał głośno. Tamci byli nazbyt przejęci, aby alkohol mógł na nich działać. Machinalnie, nie patrząc, ujęli kieliszki.

- No, za te wasze pomysły — zaśmiał się Wiśniewski.
- Wyobrażam sobie, jakie cuda złączą się dzieć w okolicy, gdy ufundujemy tu hotel.
- Pięćdziesiąt numerów. Podobno PKS zamierza rzucić na ten szlak więcej wozów. Szesnaście kilometrów, prawie przechadzka. Liczymy zresztą latem na turystów zmotoryzowanych, zimą świetne miejsce na jakieś naukowe zjazdy i tym podobne imprezy. Byle rozkręcić historię. Trzeba będzie zrobić odpowiedni szum i reklamę. Park, rzeka, przystań nad jeziorem, ptasi rezerwat nie opodal, to wszystko łączy. Na dole w prawym skrzydle muzeum, w lewym kawiarnia i restauracja.
- Trzeba by tu wymyślić jaką białą damę, czy coś takiego — Kędrzyk odzyskał humor.
- Nie trzeba, już jest. Brzęczy, klekoce, snując się nocami po salach... Gadają ludzie, że to pierwszy właściciel, w°jak, zamordowali go słudzy, teraz snuje się na etacie Potępieńca... Inni plotą, że to ci pomordowani przez eses-

manów. Działy się tu jakoby różne historie, z górą rok siedziała w tym pałacu jednostka SS.

- No proszę... Wracając do rzeczy. Był kto z was kiedy w Łagowie? Też na zadupiu, stary zamek, lasy, jeziora. Goście wałają jak w dym. Albo zamki pokrzyżackie w Reszlu czy Giżycku? Strat nie przynoszą — Felek uparcie nawracał do poprzednich rozważań.
- Ale tam pozostaje to w zarządzie towarzystw kulturalnych, nie w gospodarce komunalnej — zachnął się czemuś Kędrzyk.
- Choćby dlatego, że łączą się z tym różne dodatnie sprawy. W administracji obowiązują różne ograniczenia. Mogłoby i u nas powstać jakieś towarzystwo, które przejęłoby pałac... — uśmiechnął się Ferycki. — Nosi się, kochany Stasiu, coś takie w zanadrzu. Ale o tym cicho sza, od razu by się wywróciła cała renowacja.
- Tylko mi parku nie dzielcie, zabierajcie go cały, osiem hektarów razem z nadrzeczными wydymami — odezwał się gospodarz.
- Park... pięknie to brzmi: połowę drzewostanu zdewastowaliście... Tego wam nie mogę wybaczyć... Pewnie, że zabierzemy.
- A my odgradzimy się od was, pal was sześć. Szczęście, że ten junkier lubił spokój i gospodarcze budynki wywalił o pół kilometra dalej.

— Dobra wróżka musiała mu to podszeptać. Nalej, Franek, ciągnie mnie dzisiaj do kielicha jak rzadko.

Kędrzyk zwinął arkusze, wziął ze stołu taśmę metryczną, szkicownik. Niechętnie odsunął pełny kieliszek.

— Ja wysiadam... Jeśli można — spojrzaj na Wiśniewskiego — przespaceruję się po tym drugim piętrze. Światło tam jest?

— Jest, jeśli ktoś nie pokradł żarówek... Pusto tam i zimno.

— Nie zmarznę. Dobrej nocy.

— Niełaskaw coś, Franek, na ciebie. Za te zapaskudzone zbożem ozdobne posadzki, za dewastację. Trochę ma racji.

— Kurza twarz, teraz dobrze wam gadać... Pałac, park,

zniszczone, zapaskudzone. Żebyście wiedzieli, ile się nawojowałem, aby uratować to, co jeszcze zostało. Był czas, że chciano, bym cały parter lewego skrzydła przerobił na wielki kurnik...

— Te wykładziny posadzkowe dla kur?

— Żebyś wiedział! W pięćdziesiątym drugim dostałem takie polecenie. Wytłumaczyłem, że kurom- na dobre to pomieszczenie nie wyjdzie. Poskutkowało. Drapali się tylko, co z tą junkierską będą zrobić... A wy do mnie z pretensjami. Już ci musiał coś Rzępik nagadać.

— Czemu Rzępik? Dobrze o tobie mówił — zadziwił się Ferycki.

— Dobrze? Nie wierzę. Od początku nie kochamy się. Przedtćm i mnie, jak brata, uważać chciał za złodzieja. Potem szkodziło mu, że ja jestem z II Armii, gdy on w I wojował tutaj pod Kołobrzegiem, był podobno w oddziale, który odprawiał te zaślubiny z morzem. Stale gdał, że oni ważniejsi, zasłużeni, licho wie co...

— A przedtem dziewczynę ci podebrał — zażartował Felek.

— Dziewczynę? Tę Niemrę, Klarę? Kurwa zwykła, nie żadna dziewczyna. Ładna, to swoją drogą, ale mnie nie do takich.. Myślała, że ze mną będzie sobie poczynać jak z Władkiem. Pogałem precz, wtedy ją Rzępik przytulił, załatwił jej odroczenie wyjazdu, gdzieś do czterdziestego ósmego. Dopiero wtedy się ożenił, założył rodzinę.

— Ma tempo. Ile on już ma tych dzieci, sześcioro czy siedmioro?

Wiśniewski nie odpowiedział. Nachmurzył się, rozlewał wódkę. Milcząco wysunął do Felka rękę z kieliszkiem. Dopiero gdy otrząsnął się po wypiciu, zamruczał:

— Ty mi o niczych dzieciach nie gadaj... Z Rzępikiem mamy swoje porachunki, nic ważnego, ale się nie lubimy. Nie zawsze coś konkretnego potrzebne, aby kogoś nie kochać...

- Gospodarz doskonały.
- Prawda. To przyznam. Choć z nami nie ma się mu co równać... Ale zostawmy go. I jego dzieci.

- Co ty się czepiasz tych dzieci?

Rozlał znów wódkę, od razu wychylił kieliszek. - — Cholera wie, kurza twarz, może ja dlatego Rzępika nie lubię, że on ma aż tyle dzieci? I innych dzieciątch też nie uwielbiam. Ciebie to nie dotyczy. To inna sprawa. Widzisz, ja inaczej wszystko sobie po wojnie wyobrażałem. Pod Mławę nie chciałem wracać. Myślałem, wezmę gospodarzkę w osadnictwie wojskowym, rodzina, dzieci, jakby na przekór wojennym latom. Nie wyszło. Władek mi wlaź w paradę. Z robotą, ze wszystkim.

- Chyba nie żałujesz, że zarządzasz majątkiem? I jak zarządzasz!
- To mnie trzyma. Bo ja przecie z awansu. U nas tak jest, że nie wiadomo, co komu kiedy pomaga, a co przeszkadza. Że niby intensyfikacja upraw, mechanizacja, w ogóle naukowe podejście. Na wariata musiałem robić technikum zaoczne, co roku ganiają na jakiś kurs. Ale ciągle zostaje ten smrodek, że z awansu. Może ostatnio cokolwiek już mniej... Pewnie, nie żałuję, że tak się stało, nie inaczej. Z krzywym kopytem i tymi bliznami nie bardzo bym sam poradził na gospodarce. Ale zawsze nie tak jest, jak się myślało... Nie tylko z tym. Ot, te dzieci'!...

- Nic Ziutce już nie pomoże?
- Nie wiem. Chyba nie. Nie ustaję, jeszcze mamy jechać raz do Warszawy, gadają, za granicą są tacy spece, ale to już trudniejsza sprawa... Byłby jakiś sens z naszego małżeństwa. Przejąłem po Władku schedę, ale hic Własnego z niej nie mam...
- Schedę? Tylko dlatego zostałeś z dziewczyną? Gada? łoś kiedyś inaczej.
- Nie hacz za słowa. Jak było, tak było. Pij lepiej.
- Mam dość.
- A ja nie... Parę tygodni tak chleję. Uważam tylko, żeby ludzie nie widzieli, sam, zamykam się, też głupio. Ale już tak to przyszło.
- Żre cię coś? Nalej i mnie, nie lubię, jak ktoś sam pije.

Patrzył na Wiśniewskiego, nie bardzo mogąc przymierzyć go teraz do wyrobionego już w sobie obrazu tego

człowieka. Znali się dobrze, musieli się zbliżyć poprzez osobę Ziutki. Pewnie, kontakty nie były za częste, obaj byli nazbyt zaharowani, ale w końcu starczało tego, aby wyrobić sobie przez lata pogląd o drugim człowieku. I naraz pęka coś w szwach. Franek zapija się, na umór, coś nowego wyłazi w nim w stosunku do Ziuty, cudze dzieci go drażnią, choć zarazem funduje dla nich przedszkole. Prawda, drażnią może nie dzieci, a ich rodzice, zawiść, że oni mają, on zaś mieć ich nie może... Może tu sekret pretensji i żalów do Ziutki? Scheda. Cholernie ponuro to brzmi. Może i tak, może się uniósł honorem

rodzinnym, a teraz pod wpływem wódki, ujawniają się prawdziwsze uczucia? Dosyć, że chłopca zje coś, żeby tylko się nie roz-pił, nie zawałił roboty. Pytanie, czy w podobnych sytuacjach można coś komu dopomóc? Milczy teraz i tylko patrzy jakoś nie po swojemu, spode łba.

— Nie podobam ci się, Felek, to myślisz? Nalej, już i tak kończymy butelkę. Nie podobam się... Tymczasem gównu wiesz. Czasem tak cię coś rąbnie, kurza twarz, że ani się możesz pozbierać. Jak mnie teraz — zawahał się, osunął głębiej w wyliniały, poświetający dziurami fotel. Podrzucił głowę z wyrazem determinacji. — Nie miałem zamiaru tobie nic mówić. Ani nikomu. Ale, kurza twarz, wszystko jedno. Byłeś dalej nie paplał. Czym się trapię? A ot, choćby i tym — wyciągnął z kieszeni zgnieciony, zmiętoszony list, rzucił go przed siebie na stół, prosto w kałużę rozlanej wódki. Felek czym prędzej usunął papier z powodzi.

Małeńki znaczek z podobizną królowej. Na stemplu otok napisu: Kanada. Jakaś zamazana pieczętka na miejsce adresu nadawcy. Wyjął niewielki arkusik papieru, zaczął czytać, brwi jego unosiły się w górę. Wiśniewski przyglądał mu się ze złośliwym zaciekawieniem. Czknął przy tym obrzydliwie, zapachniało przetrawionym, skisłym alkoholem.

— Władek. Odezwał się... — powiedział zaskoczony Fe-rycki, zwracając list.

— Ano, odezwał się, kurza twarz.

— To pierwszy raz?

— Przed dwoma laty też już pisał. Że jest w Kanadzie, jakoś tam sobie radzi. Wie, iż ożeniłem się z Ziutką, że wychowuję jego syna... Jego, kurza twarz! Jako ojciec zapisany jest Franciszek Wiśniewski, a nie Władysław. Nie wystarczy przespać się i spółdzić dzieciaka, trzeba go wychować. Nie odpisałem. Nie miałem ochoty. To znów się musiał teraz odezwać. I jak.

— Ziutka wie o tym?

— Nie wie. Po co miałem jej mówić? Było, przeszło, minęło i nie ma do czego wracać... Ale widzisz, z wycieczką polonijną przyjeżdża zimą do Polski, na trzy tygodnie. Chciałby nas odwiedzić. Pyta, czy pozwolę. Żebym dał znać do Kanady albo do tej „Polonii”, czy jak tam w Warszawie, która organizuje wycieczkę. A gównu! Jeżeli dam znać, to po to, aby wyleczyć go z chęci odwiedzin... Felek, słuchaj, on przecie był ścigany, przekradł się tu, naraził. To jak, może wobec tego przyjeżdżać?

— Były amnestie, takie sprawy dawno upadły, nie liczą się.

— Ma szczęście, kurza twarz.

— Co zrobisz?

— Nic. Powiedziałem. Nie chcę go widzieć. Ziutka też nie ma go po co oglądać, ani Zenek. Zenek nawet nic nie wie, przekonany, że jestem jego ojcem. Ale jeżeli nie posłucha? Władek zawsze był narowisty... Mało, że schedę po nim przejąłem, uczciwie, na nic nie patrząc, jeszcze mam teraz przeżywać jakieś lęki? Lepiej czy gorzej, wszystko się ułożyło. Zenek, Ziutka, ja. Dzieci, nie dzieci, jest jak jest. A ten mógłby teraz zburzyć to wszystko. Nalej, bo już, kurza twarz, myśleć nie mogę.

Ręka mu drżała, wódka wylewała się z kieliszka, rozbryzgując się na ubranie, podłogę, na stół. Twarz, zawsze czerstwa i ogorzała, zszarzała teraz. Dolna warga obwisła. Zza porozpinanej koszuli wyzierała czerwona, wcięta blizna na piersiach.

Felek patrzył na niego z niesmakiem, ale i z pobłażaniem. Zaczynał już coś rozumieć.

3.

Ciągle jeszcze nie mógł pojąć, iż coś podobnego w ogóle było możliwe. Chwilami bezwiednie przecierał czoło, mocno, aż do bólu, jakby pragnął ocucić się ze snu, ciężącego straszliwą, nie do odegnania zmorą. Rzeczywistość wszakże okazywała się prawdziwą nad wszelkie zwątpienie.

Każdy na domiar dzień oddalający go od zaskakującego momentu, kiedy krótko nad ranem zjawiły się w domu Stefa wraz z Maciaszkową, stawał się coraz trudniejszy. Nie przestaniały już całej sprawy zapobiegliwe krzątania, by pójść kierownicze na rękę, za wszelką cenę uniknąć rozgłosu, załatwić wszystko we własnym gronie. Myśl swobodniej mogła przetrawiać każdy szczegół wiążący się z szokującą nowiną. Stefa złodziejką. Jego córka złodziejką. Już mniej to ważne, że w przymierzu ze swoim kochankiem, łajdakiem i pijusem, obmierzłym Masłowskim. Przyczyna w końcu najmniej istotna. Ważne to, że nie umiał, nie potrafił wychować własnego dziecka. Byle podatniejszy klimat, już nie potrafiła się oprzeć, grzęzła coraz bardziej, z pełną świadomością tego, co czyni, a teraz też nie ma w niej prawdziwej skruchy. Bo te płacze, zaklinania i gesty nie na wiele się zdają, kiedy się ujawniło, że znów, gdy tylko może, wyrывa się do swojego szofera.

Snuł się po własnym domu jak nieproszony gość. Żona omijała go z lękiem, zdawała sobie sprawę i z własnego pośredniego udziału w całej historii, przypominała sobie na domiar aż nadto dobrze to południe, kiedy sama pragnęła podsunąć mężowi Masłowskiego do nieczystej spótki. Budniak z kolei bał się, najzwyczajniej bał się zetknąć ze Stefą. Na jej widok opuszczał głowę, krył się po kątach, często przestaniał oczy dłońmi. Myślały początkowo, że w ten sposób usiłuje się pohamować, nie dopuścić ze swojej strony do jakichkolwiek nieobliczalnych kroków. Przecież dotychczas ni razu nie uderzył córki, nawet się nie zamierzył na nią...

On zaś bał się wywoływanych widokiem Stefy bolesnych, masą całą sypiących się pytań, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Gryzł się i szarpał, szukał wyjaśnień, w poszukiwaniach tych sięgał w przeszłość, przetrawiał całe swe życie, na koniec bezradnie, tak samo jak na początku każdorazowych rozważań, wzruszał tylko ramionami. Nie pojmował niczego.

Nie pojmował od samego początku. Nawet nie wiedział tamtej nocy, że Stefy wciąż nie ma w domu. Dzień w robocie był ciężki, przyjmowali towar do magazynu, zmęczenie szybko go zagoniło do snu. Aż potem ten dzwonek, długi i jazgotliwy. Zerwał się na pół przytomny, obok za-dreptała spłoszona równie jak i on Hela. Stefka miała przecież własny swój klucz... I zaraz potem widok wyblakłej, zapłakanej dziewczyny, jej biegające przerażeniem oczy, a tuż za nią postać chudej, przejętej Maciaszkowej.

— Przepraszam, panie Budniak, taka godzina, rozumiem... ale i mnie pan zaraz zrozumie, gdy opowiem, co zaszło... Można by tu gdzie usiąść? Ze zmęczenia i zdenerwowania siły mnie zupełnie opadły.

Ciągle z wytrzeszczonymi oczyma, dopiero budząc się do reszty ze snu, podsuwał jej krzesło, bąkał coś do żony, żeby herbatę, sam zaś przenosił wzrok z córki na Maciaszkową, z Maciaszkowej na córkę.

— Co... co takiego się stało? — wyjąkał, gardło mu się ścisnęło w przeczuciu czegoś groźnego.

Maciaszkowa przez moment milczała. I jej widać nie-sporo szło z tym początkiem. Wreszcie desperacko strzepnęła w powietrzu szeroką, spierzchniętą dłoń.

— Co tu dużo gadać... Złe się stało. Przyszłam tutaj tylko dlatego, że znam pana i żonę, że mnie pan kiedyś bardzo wiele dopomógł. Inaczej bym od razu gadała z milicją.

Błada Stefa kryła się w najgęstszym cieniu pokoju.

Struchlały Budniak nie mógł wybąkać jednego słowa. Żona przysunęła się do niego w ciepłym odruchu, jakby swą obecnością chciała mu dodać otuchy.

— Dziewczyna kradła. Robiliśmy inwenturę. Brakuje mi

pieniędzy i towaru na dwadzieścia parę tysięcy złotych. Na spótkę to urządziła z takim jednym Masłowskim, szoferem, jest konwojentem w hurcie.

— Stefa? Kradła? Dwadzieścia parę tysięcy? — wolno, wolniutko wymawiał każde z tych słów, jakby smakując ich brzmienie.

— Tak jest. Dochował się pan złodziejki... Chce pan szczegółowiej? Musi pan wiedzieć? Dobrze, nie mam tu niczego do ukrywania. Chyba swojej głupoty, że tej szelmie tak zawierzyłam... Przed tygodniem dopiero zaczęłam coś podejrzewać, choć braki zauważyłam już wcześniej...

Oschłym tonem zrelacjonowała sprawę. Była zmęczona, miała już dosyć tego wszystkiego. Zła była na domiar na siebie, że bawi się w jakieś delikatności, kiedy właściwie należało uciąć wszystko od razu. Gotowa biedy sobie napętać tym miękkim sercem.

— Tylko dla pana to robię, panie Budniak — kończyła. — Rzykuję mocno. Gdyby tak teraz inwentura z dyrekcji, czy inna jakaś kontrola, od razu bym pomaszerowała za kratki.

Postawiła sprawę wyraźnie. W ciągu najdalej dwu dni niedobór musi zostać pokryty. Stefa zaś z miejsca ma zgłosić się do dyrekcji z prośbą o przeniesienie. Może motywować, czym chce, niezgodnością z szefową, wielką odległością sklepu od domu, poprze, potwierdzi jej wszystko. W każdym razie z gówniarą więcej pracować nie będzie. Taka, widzi pan, podzięka za zaufanie.

Mógł jedynie dziękować. Skąd tylko wziąć tyle pieniędzy, podobnej kwoty w ogóle nigdy na oczy nie widział. Coś tam ma na książeczce, parę tysięcy, trochę mógłby pożyczyć, ale reszta?

Tak był zdesperowany, tak nieszczęśliwy, że znowu wbrew sobie Maciaszkowa zlitowała się nad nim. Rzuciła więc z nagła:

— Pan mi kiedyś dopomógł, ciężko mi było, kto wie, co by się stało, ze mną i synem, gdyby nie pan... Pamiętam... Mam nieco grosza. Dwanaście tysięcy mogę pożyczyć. Za pół roku pan mi je spłaci.

Gdy wyniosła się niedługo potem, na Stefę nawet już nie spojrzała, rzuciła tylko w przestrzeń przez ramię:

— Ty zaś mi więcej na oczy się nie pokazuj. Gdyby coś, przez rodziców możesz załatwić.

Trzasnęły drzwi, w mieszkaniu zaległa straszliwa cisza. Budniakowa, podobnie jak córka, wołała cofnąć się w cień pokoju, zamrożona lękiem. Bo Teodor był straszny. Na-puchłe oczy, nabrzmiałe czerwienią o odcieniach granatu blizny, nos wysunięty ostrzej niż zazwyczaj do przodu, kurczowo zaciśnięte wargi. I ręce złożone na stole, dygocące tak, że wybijały palcami nieskładny takt.

Jak długo może paraliżować życie podobna cisza? Minutę, dwie? Oba kobietom zdawało się, że trwa to godziny, dni, wieczność całą. Stefa chwiała się na nogach, wsparta ciężko o ścianę. Budniakowa poruszała wargami, modliła się chyba.

Dźwignął się wreszcie zza stołu. Jakby mu sił zabrakło, ledwie, ledwie się podniósł. Niewielki wzrostem, wydał się im teraz jakiś olbrzymi. I straszny, przerażająco straszny. Zwłaszcza wtedy, gdy wolnym krokiem zaczął iść w stronę Stefy. Ręka jego uniosła się do góry. Dziewczyna skuliła się, spłaszczyła, jakby pragnęła wniknąć w ścianę. Jeszcze nigdy takim ojca nie widziała. Nigdy. Trwoga wydobyła z jej warg nie krzyk, pisk jakiś, jak duszonego przez sowę pisklęcia. Przymknęła oczy.

Ocknął się na ten pisk. Spojrzał na swoją dłoń wzniesioną ku górze, opuścił ją wolno, bardzo wolno. Przeniósł potem spojrzenie na córkę, spłaszczoną, jedno uosobienie trwogi. Skurcz ścisnął jego twarz.

— Złodziejka. Budniakówna złodziejka. I tchórz, boisz się teraz, dygoczesz... Przedtem, gdy kradłaś, gdy zadawałaś się z tym łajdakiem, wstydu nie czułaś, zapomniałaś o strachu. Nie będę cię bił. Całe życie dzieci swoich nie biłem, nie zmienię się. Wynoś się zaraz spać. I ty, Hela, też połóż się... Już zaraz będzie świtało. Ciężka i długa noc, jak żadna inna w życiu.

Tak, to był początek. Tak się zaczęło. Jeszcze zbyt wiele ważyły szczegóły zewnętrzne, zabierały czas i wyjaławiały

myśl, by pojąć mógł cały sens tego, co się zdarzyło. A i następne dni zajęły starania o pieniądze, z trudem wykołatał pożyczkę, odbył kolejną rozmowę z Genią Maciaszkową. Słuchał kobiety ze spuszczonej ze wstydu oczyma. W rozmowie tej wzbogaciły się szczegóły, już jednak nie miały tej mocy uderzenia co tamta pierwsza wiadomość.

Chciał się rozprawić z Masłowskim. Wspomnił o tym kierownicze. Wzruszyła ramionami. To nie ma sensu. Ona sama z nim rozmawiała. Takiej doczekała się odpowiedzi:

— Całuj mnie, wonny kwiatku. Ja kradłem, ja namawiałem dziewczuchę? Dowody, dowodziki, ale zaraz na rękę... Bo inaczej jak zamaluję w końskie ryło... Brałem forszę od Stefy, gównno mnie obchodziło, skąd ona ją miała. Dziewczyna chętnie zносиła pieniądze, wiedziała, za co, mało który chłop babkę tak zadowoli jak ja. A ona to bardzo lubi. Prosiła, jakże odmówić? Na milicję? Proszę

bardzo. Tylko że tam lubią dowody, bez nich nic... Budniakiem także mnie pani nie strasz. Stary truposz i głupi. Dlatego go ze starostwa wylali na zbitą mordę. Durniów tam nie potrzeba. A w ogóle odczepcie się wszyscy ode mnie. Nie wiem o niczym.

W pierwszej chwili uniósł się Budniak na tę relację, ale zaraz rozsądnie przyznał, że właściwie Masłowski ma rację. Dowody, to ważne.

— Gdyby zaś na milicję... — zaczął.

— ...to trzeba by wszystko ujawnić — dokończyła za niego. — A tego przecież pan nie chce?

Zatrząś się jak pies po zimnej kąpieli.

Dopiero później zorientował się, że w powtórzonych przez Genię słowach Masłowskiego mowa była nie wyłącznie o samej kradzieży. Musiał przystanąć, tak boleśnie uderzyło go zrozumienie podłoża postępowania Stefy. Zakochała się w tym łajdaku, żyła z nim, on zaś podkpiwa sobie z niej... Pójść, złać go, zmasakrować oblesną gębę, żeby żadna dziewczucha na niego już nie spojrziała. Łajdak. Żonaty, dzieciaty, jeszcze mu mało, uwodzi inne dziewczyny. Uwodzi? Diabli wiedzą, jak było między nimi naprawdę...

1G Przejaśnia się niebo t. II

241

Gdy się przywłókł do domu, zauważył brak córki. Ostro natarł na żonę. Struchlała, nie mogąc znaleźć żadnego usprawiedliwienia. W pamięci jej tkwił moment, gdy na sygnał klaksonu Stefka narzucając na siebie płaszcz pognąła jak nieprzytomna. Pojechali razem, widziała przez okno.

— Pewnie w sprawie pracy, mówiła coś, do dyrekcji...

— Ty, Hela, też kłamiesz. Obie teraz kłamiecie, oszukujecie mnie — westchnął już tylko.

A teraz? Minął już z górą tydzień od tamtej nocy, Stefa zaczęła pracować w innym sklepie, zniknęła nawet jej bladość, tylko' na widok ojca lęk od nowa migotał w jej oczach. Żona snuła się cichutko po domu, nie zabierając głosu w żadnej sprawie. Tak jej przecież ostro wygarnął, że mu kiedyś raifa złodziejstwo do spótki z Masłowskim. Jemu! Budniakowi! Jakaż ona głupia, ta jego Hela.

Wtedy pierwszy raz coś go tknęło. Głupia? Pewnie, że jej wiele brakuje, szkół nie ma, z biedą się teraz potrafi podpisać, nagryzmolić parę ubogich zdań. A on sam? Też głupi? W każdym razie bez wiedzy, bez wykształcenia. Zaczynał już, u Zawilskiego, profesor by mu dodał otuchy, na pewno, ale cóż, trzeba było zerwać, diabli nadali starostwo. Zgodził się, tak pięknie to tłumaczono, że ufają mu, musi być w pełni uczciwy, swój człowiek. Przy tym poradzi sobie z nowym urzędem na pewno. Nie święci garnki lepią. Przystał. Bo jeżeli to interes ogółu, jeżeli konieczność... Kilka lat minęło i okazało się, że nie ma zaufania, nie jest swoim człowiekiem. Musiał odejść. Za naukę od nowa niesporo się było brać, bieda przy tym piszczala w domu, nęcił każdy przygodny, jakikolwiek zarobek. Jak był, tak pozostał głupi. Niedouczony, zasobny tylko w swą podstawówkę, gimnazjum ledwie liznął, zagubiony teraz jak niepotrzebny śmieć. Głupi. Pewnie dlatego nie potrafił dzieci wychować, dlatego Stefka się stała złodziejką. Zapomniał w kołowrocie codziennych kłopotów o własnych dzieciach, teraz się to zemściło. Że też mu dane było dożyć aż takiej chwili. Takiego straszego wstydu.

Głupi. Niedouk. Nie wybiegł rozumem ponad to, co po-

trzebne, by węgiel szuflować w kotłowni. Może i trzeba było dalej to robić, nie zazdrościć innym, że pną się w górę, zyskują ciekawszą pracę. Albo się uczyć, nie zawracać sobie głowy starostwem. Cóż, że awans, modne to było słowo, że trzeba swoich, z robotniczej wiary. Z głupiego robotnika także niewielka pociecha. Sporo lat przesiedział na starościńskim stołku. Do szuflki już nie wrócił, ale po co w ogóle od niej odchodził? Zmarnowały się najlepsze lata, wszystko z siebie wypruwał, starał się, jak mógł, ludzie go jednak lubili. Pomagał im. Później dopiero się okazało, jak jest naprawdę samotny. Gdy zniknęły tytuły, godność urzędu, nagle się spostrzegł, iż jest zupełnie sam. Pewnie, rozmawiał, najpierw powiedziano mu, niech się cieszy, iż w ogóle znajduje się na wolności. Później zaczęło się trochę uspokajać, usłyszał znów co innego. Że pewnie, na początku był trudny, rewolucyjny czas, wybierało się swoich, uczciwych, pewnych. Dziś już bez nauki nic, trzeba tych z wykształceniem, z wiedzą. Normalne następstwo czasu. Ci dawni zaś muszą odejść.

Odszedł. Nie było wyboru. Ale pozostał żal. Wyrzucony jak śmieć. Zjadł zdrowie, zharował się, zszarpał, przecież tak źle nie urzędował, nieważne, nieuczony, głupi i dureń, takich teraz nie trzeba.

Stać go było na to, by pojąć, że na pewno jest już inaczej, kraj przesunął się wzwyż o wiele szczebli, widział to najlepiej wokoło siebie, co to się z ich miasta zrobiło, jak wyrosło, pomnożyło się w ludzi, dobytek, w nowe domy, całe dzielnice, w fabryki, ładniej jest i piękniej. Ale czemu nie usunięto bez reszty krzywdy. Czemu takim jak on, którzy dawali z siebie wszystko, nie ułatwiono odejścia przy zmianie warty? Czemu tak ostro, bezwzględnie, bez serca? I tylko żal pozostał za dawną decyzją, aby się uczyć, decyzję przerwaną w samych zaczątkach, zostało tęskne wspomnienie rozmowy z profesorem Zawilskim, i tylko tak cudowne, tak pełne uroku rysowały się chwile, gdy zaciskając pięści, mocząc łeb zimną wodą, ślęczał nad podręcznikami, usiłując w nich wszystko zrozumieć... Byłoby maczej, także u niego w domu. Bez starościńskich urzę-

18'

243

dów, ale mądrzej, spokojniej. Wiedziałyby, jak dzieci należy wychowywać, by potem nie zaskakiwały najboleśniej z bolesnych niespodziankami. A tak zmarnował się jego los. Tym cięższe to, gdy wkóło widać, jak pnie się wszystko, jak dojrzewają ludzie.

Snuł się pogrążony w podobnie bolesnych rozterkach. Tak samo przy pracy, jak w domu. Budniakówna, jego córka złodziejką? Jednym mógł się chlubić przez całe życie. Swą uczciwością, może aż przesadną niekiedy, solidnością, zaufaniem ludzkim. Teraz i to odpadło, ostatnie mocne rusztowanie, na którym montował swój los. Stefa złodziejką. To rzuca cień również na niego, na całą rodzinę. Wina rozkłada się równomiernie na wszystkich.

Jak to się mogło stać? Jak doszło do tego? Czy tylko z racji jego głupoty, widzenia zjawisk w wąskim zasięgu własnego nosa? Czy tylko to? Czy jedynie i tylko to?

Przygarbił się, dreptał małymi kroczkami jak człowiek ciężko chory, niepewny sprawności swych ruchów. Od nowa walił się świat Budniakowych wartości, podważyło się zaufanie do ludzi, do ich sprawiedliwości. Dojrzewało coraz boleśnieszje i tragicznieszje poczucie krzyw-dy.

Dzień był męczący. Na zgrudziałą ziemię sypnęło śniegiem zmieszonym z deszczem, potworzyły się lepkie gliną, głębokie kałuże. Samochody wciąż nadjeżdżały, na luty mieli ukończyć budowę, oddać w użytkowanie. Drobnny, lecz drogi materiał. Instalacje, klamki i zamki, sanitaria, to wszystko, czego brakło na rynku. Liczył, układał, w magazynie robiło się ciasno, pddpisywał kwity, przydzielał brygadzistom żądany materiał, tak w kółko, wszystko razem, w zwariowanym ukropie. Zawsze tak bywało, jak budowa dobiegała już do końca. Nagle się wszystkim śpieszyło, każda rzecz była na wczoraj, poganiał dyrektor, majstrowie jak nigdy nie mieli czasu. Urwanie głowy. A w niej ciągle pulsuje sprawa Stefy, nieodgadniona i nie

przemysłana do końca. Boli poczucie winy, żal do losu i siebie. Trudno w takich warunkach normalnie pracować.

Tego dnia przemókł i zaziębił się, buty dawno już krzyczały o nowe zelówki, jakże jednak myśleć o szewcu, gdy taki dług wisi nad karkiem? Nic chwilowo dla siebie, aby tylko wybrnąć z honorem ze sprawy, nie świecić przed ludźmi oczyma.

Hela cicho się snuła po domu. Stefka zniknęła w bocznym pokoju, starała się nie pokazywać ojcu na oczy! Jak nigdy w życiu, bała się go teraz straszliwie. Jadł, podsuszał ubranie, próbował sam łątać obuwie, mokre było, nie bardzo to szło. Za oknem wzmagał się wichher, pochłodniało, śniegiem już tylko sypało, nie dziwota, druga połowa grudnia, patrzeć, święta nadejdą, nowy rok za nimi, ale w życiu bez zmian, wlecze się zmartwienie i troska, nie wiedzieć, czy uda się kiedy przegonić je z domu.

Już kładąc się do snu, zbliżała się dziesiąta, usiadł z nagła na łóżku. J[akaś natrętna myśl, nie sprecyzowana do końca, zaczęła doskwierać i dręczyć. Zaraz, zaraz, jakże to było? Przywieźli czterysta metrów glazury, importowanej, niemieckiej. Trzysta skrzynek. Transport był „Spedytora”... Podpisał odbiór, kierowca przyspieszał, sporo ładunku mieli na ciężarówce, kleli, iż tak późno przekazano im wagon do rozładunku. Podpisał, na pewno... Potem, co było potem? Księgowy przybiegł po jakieś arkusze rozliczeniowe, bąkając, że każdego dnia może być inwentura. Wzruszył ramionami, niech sobie będzie, u niego zawsze porządek. Aha, jeszcze elektrycy wymieniali przewody, osiem zwojów, rurka ochronna, liczniki. Gwałt wtedy cho-. I nery się zrobił, całą czwórka wpakowali mu się do środka... Właściwie było już po godzinach urzędowania. Potem jeszcze był ktoś, i jeszcze. Kasa zapomogowa, przybiegła dziewczyna po podpis. Telefon z dyrekcji, chodziło o stan PaPy, tej bitumicznej, zamierzali ją przerzucić na inną budowę...

Rejwach jak rzadko. Ciemniało, gdy zamykał magazyn. Kałuża wody podbiegła pod same drzwi, tapłał się w niej, klnąc w głos. Pusto już było, dawno zeszli wszyscy z bu-

dowy. Paru tylko młodzików pętało się jeszcze, pewnie gdzieś dopijali jedną czy drugą ćwiartkę. Klucze... tak... a plomby?

Zeskoczył na podłogę, gorączkowo chwycił ubranie, naciągał, nie patrząc co i jakie, byle prędzej, jak można najprędzej. Plomb nie założył!

— Co ci, Teodor?

— Magazynu nie zaplombowałem. Rozumiesz, Hela, co jest?

Nie rozumiała, nie znała się na tym, po zachowaniu męża pojmowała tylko, że się stało coś niedobrego. Plomby jakieś...

— Musisz tam lecieć?

— Jak najszybciej. Żeby się tylko co złego nie stało. Stary Maćko głuchy i ledwie łązi przy takiej pogodzie.

Na dworze chlusnęło w twarz wiatrem, zimnym i przenikliwym. Śnieg wirował drobinkami, maleńkimi, suchymi. Pod nogami chrzęścił lód świeżo zastygłych kałuż, pękał z cichutkim trzaskiem.

— Dokądże sąsiada tak niesie po nocy?

— Przypomniało mi się, pilna sprawa. Wy też do miasta?

— Też — burknął ponuro. — Po żonkę. O dziesiątej kończy robotę w tym swoim bufecie. Codziennie tak chodzę, nie można zezwolić, by kobieta sama ryzykowała taką drogę przez noc.

— Aha, tak, tak — jakże niewiele go to obchodziło.

Myśl pracowała gorączkowo. Plomb nie założył, to pewne. Ale czy w ogóle zamknął magazyn? Klucze brzęczały w kieszeni, zawsze brał je z sobą, druga para była w dyrekcji na wszelki wypadek. Czy zamknął? Bo jeśli plomb nie zacisnął, to może i zamki zostały otwarte. Plombow-nicę zawsze chował w dyżurce. Tym razem została w magazynie. Boże, żeby się tylko nie okazało, że wszystko otwarte. Same plomby to jeszcze pół biedy.

— Coś się sąsiadowi nie klei? Taki nasz los, zawsze coś, żeby nie było za dobrze — zamruczał Sykała. A potem zagadnął głośniejszym głosem, wyrzucił te słowa z siebie, najwi-

doczniej mocno mu dopiekła treść kryjąca się poza nimi. __ Wy znacie dobrze tego Kędrzyka, inżyniera miejskiego? Był tu u was kiedyś...

__ Kędrzyka? Rzadko się widujemy. Ojca lepiej znałem. To był swój człowiek, on tu porządek wprowadzał na samym początku, uczył nas wszystkich, jak urzędować. A co z tym synem?

_Ech, nic — Sykała przeskoczył szerszą kałużę, chlup-

nęło błoto spod przebitej skorupki lodu. — Spotykam go niekiedy. W tym klubie, gdzie żona pracuje. I wiecie, wiecie, Budniak, tak mi wygląda, jakby się nazbyt przystawiał do Jadźki.

— Jakiej znów Jadźki?

— Żony mojej. Sam zauważyłem, jeden taki znajomek też mi zwrócił uwagę. Siedzą tam sobie, kawę żłopiają czy wino, gadają, nic z takich głędoł nie wyniknie dobrego. Ten Krupka, kierownik biblioteki, to chłop z głową na karku, on chce dobrze dla miasta, ale reszta? Jeżeli by ten Kędrzyk naprawdę, to na Boga, niechaj uważa. Zabiję jak psa. A ją stłukę, aż mi buty będzie w przeproszeniu całować. Ot, jak.

— Człowieku, nie róbże głupstw, jeszcze nic nie wiadomo. Na pewno ci się zdawało — teraz dopiero zainteresował się Budniak lamentami sąsiada. — Bywają gorsze sprawy. Ot, jak moja — zdecydował się powiedzieć Sy-kale o plombach i zamku. Lepiej, niech wie ktoś życzliwy. Może go prosić o pomoc, niechby zajrzał razem na plac budowy? — Widzicie przydarzyła mi się głupia historia...

— Kto tam będzie łąził po nocy. Jest przecież stróż.

— Stary i głuchy. Chory na domiar. Sykała, gdybyście zechcieli podejść tam ze mną?

— Niby dobrze. Ale co z moją kobietą? Czekać będzie na próżno — wahał się majster.

— Prosiłbym was. Bo gdyby co, pomogliście, miałbym świadka.

— Nic tam się nie stanie... Ale pójdę z wami, prędko się uporamy, to jeszcze zdążę do Jadźki. Długo zawsze gu-

zdrze się z porządkami, bywa, do jedenastej. Niewyspany potem do roboty przychodzę. Dobra, idziemy.

Spory kawałek trzeba było telepać się szczerym polem, jak zawsze, roboty niwelacyjne nie nadały za budowlanymi. Sucho chrzęścił cieniutki lód, mocniej zawiewało wraz z wiatrem drobinami ostrego śniegu. Nie rozmawiali z sobą, każdy gryzł się własnym strapieniem. Noc stała się ciemna, chmury skotłowane wiatrem spłynęły nad ziemię jedną szarą płaszczyzną.

Budowa była już blisko. Nogi zapadały w koleiny wyłobione przez ciężarówki. W pewnej chwili Budniak drgnął, złapał towarzysza za ramię.

— Słyszeliście?

Od budowy dobiegały ciche pogłosy, postukiwało coś, chwilami jakby szmer słów mieszał się w te hałasy.

— Et, pewnie ten stary pałęta się i mamroce coś z nudów do siebie samego — nie wiedzieć czemu szeptem dorzucił Sykała, ale i on musiał się poczuć mniej pewnie, rozejrzał się, wziął w rękę rzucony na stronę drąg.

— Tam są ludzie.

Z tymi słowami Budniak, już nie kryjąc się, nie panując nad sobą, pognął co sił w stronę magazynów. Nawet w mroku można tam było rozpoznać poruszające się cienie.

— Trzymaj ich, łapaj! Hurra, hurra! — wrzeszczał Sykała, prześcigając starszego wiekiem towarzysza.

Od tamtej strony poruszenie, musieli ich dostrzec. Przed stojącą u otwartych drzwi magazynu furmankę wyskoczyły jakieś postaci. Nim Budniak się spostrzegł, nim się uchylił, uczuł, jak spadają nań ciosy, jak pięści łupią go po twarzy, po głowie, kopie ktoś, potem jeszcze jedno i drugie uderzenie czymś twardym, osunął się. Wtedy, w ciszy już, nic więcej nie docierało do niego.

Sykała szarpał się jeszcze z przeciwnikami. Wywijał drągiem, odskakiwał, znów atakował, trzepnął któregoś przez łeb, aż ten poleciał na stronę. Ale inny wyrwał mu drąg, wtedy otrzymał ten cios od tyłu, zaraz następne. Uskoczył w bok, odsądził się trochę, schylił się, wychy-

loną w przód głową rznął w pierś napastnika, który w ferworze samotny zapędził się za nim aż tutaj, poprawił pięścią, raz, drugi. Jakichś dwóch pokrzykując sadziło w sukurs towarzyszowi... Nie czekał Sykała już więcej, pojął, sam nie poradzi, będzie z nim tak jak z Budniakiem, rzucił się do ucieczki, na przełaj przez pola, wołał głośno pomocy, ratunku, nie żeby się bał, ale w nadziei, może ktoś usłyszy, pojawi się, wtedy pospołu poradzą z napastnikami. Głucho było jednak i cicho, tylko wiatr zdawał się wzmagać, wyl przelikliwie.

Przystanął na moment, rozejrzał się. Nikt go nie gonił, był sam. Tamci musieli zawrócić, uciekają teraz najpewniej swoimi drogami, mieli wszakże furmankę z sobą, widział wyraźnie jej zarys, zwłaszcza że koń spłoszony nie stał spokojnie na miejscu. Głęboko wdychając powietrze, ocierając spoconą głowę — dopiero przy tej okazji zauważył, że prawy policzek ma umazany we krwi — ruszył prosto przed siebie, kierując się na najbliższy posterunek milicji. Ciągle przy tym myślał nie o rabunku już, ale o Budniaku, co się z nim stało, upadł, nie żyje, czy szczęśliwie tylko raniony. Może ogłuszyli jedynie, zaraz się ocknie, podniesie, nie lekko mu będzie, gdy spostrzeże, że magazyn opróżniony, całą winę weźmie na siebie. Inna sprawa, ktoś musiał dostrzec, że braknie plomb, że zamki nie założone, skorzystał z włączającej w ręce okazji.

Ciężko szedł, teraz dopiero zaczął odczuwać ogarniające go znużenie. Musiał chyba solidnie oberwać, krew ciągle się sączy, mażąc lewy policzek. I ramię boli, czyżby coś uszkodzili w nim jakimś żelazem.

Pomyślał, że musi już być późna godzina, może nawet północ dochodzi. Jadźka nie doczekała się, sama poszła do domu. A jeśli odprowadza ją teraz ten fagas, Kędrzyk? Niedoczekanie jego, niechby ich tylko spotkał na drodze... Ze też musi mieć zawsze tyle kłopotów ze swoją babą.

Śpieszył co prędzej poinformować milicję, niechaj tam Jadą, mogliby odwieźć go przy okazji do domu, mógłby sprawdzić, co z Jadźką. Ale czemu tak ciężko iść, ramię boli i głowa, od lewej strony. Ranili go, ale chyba nie na-

24!)

\

zbyt niocno, tego tylko by brakło, gdyby tak musiał leżeć, dopiero Jadźka miałaby używanie, nie mógłby jej pilnować.

Cholera, diabli nadali, że spotkał tego Budniaka. Pechowy facet.

4.

Jaka noc długa i ciemna; od dłuższej chwili wpatruje się w mrok, a kwadrat okna za ledwie majaczy z czarnego tła. W przyległym pokoju pochrapuje ktoś z gospodarzy. Ojciec pochrapywał podobnie, ten akompaniament wrósł w atmosferę ich domu, stał się nieomalże nieodzowny.

Znów ojciec. Od tamtego dnia, po trzech tygodniach od wyjścia z domu, gdy się zetknęli spojrzeniami rozdzieleni ulicą i sygnalizacyjnymi światłami, zrodził się w niej ten niepokój, może nawet nie to, ot, zjawiała się zwyczajnie ni to tęsknota, ni to nutka łzawego wspomnienia. Byle co przywołuje ją od nowa przed pamięć. Zwłaszcza nocami, tak często samotnymi, bez Edka przy boku, chłodnymi nocami w źle opalonym pokoju.

Boże drogi, ojciec. Tak niedawno, dwóch jeszcze nie ma miesięcy, odkąd się z nim rozstała. Bardzo niewiele, jeśli stosuje się normalną miarę czasu, a jednocześnie bardzo dawno, jeżeli mierzyć to ilością zaznaczonych przeżyć. Jakby między tamtym czasem a nowymi dniami runęła wielka ściana, spiętrzyło się wszystko, kurz, pył, rumowisko, zamknięta droga powrotu.

Otuliła się skrzętniej kołdrą. Bawełniana, choć z ładnym poszyciem, z chińskiego brokatu. Edek zabrał ją z domu, ani pytając matki... Nigdy nie będzie jednak pod taką równie ciepło jak pod tą jej pozostawioną w domu rodziców, puchową, mięciutką, co tam gadanie, że niehigieniczna, że nie przepuszcza powietrza, kiedy tak się pod nią rozkosznie spało. Tej kołdry już nigdy nie będzie, nawet jeśli kiedy sprawi sobie podobną. Ani snów już po-

dobnych nie zazna. Od tamtego czasu oddziela ten mur, nieoczekiwanych ojcowskich słów.

Ale czemu właśnie teraz, właśnie dzisiaj, jawią się te dziwaczne myśli, obrzeżone żalem, jakąś nie nazwaną chęcią powrotu. Nie ma powrotu, ani chce, ani mogłaby wracać. Nie wyszła z własnej woli, to oni ją zmusili do tego. Niby to przez lata całe i ojciec, i matka najbardziej chuchali, pieścili, córeczko to, córuchno tamto, wszystko czeka na ciebie, ty będziesz z nami najdłużej, potem przejmiesz po nas mieszkanie i to, co w nim. My tymczasem odetchniemy przy tobie, bo Kryśka to na pewno prędko z domu wyfrunie, brat także, właściwie tak jak by go już nie było, ruszył do Gdańska na Politechnikę, nie będzie chciał wracać, jedna nam, Ewciu, zostałaś... Tak było, powoli tylko zaczęło się później zmieniać, szale wahały się pomiędzy Kryską a nią. A zarazem istniała obok tej czułości jakaś zawiść o nią, o każdy jej krok, o samodzielne myślenie, zabawę każdą, każdego znajomego chłopaka. Jedno na pozór nie zgadzało się z drugim. Takie to ich kochanie było niewydarzone. I jakże na koniec z tego właśnie mogły się zrodzić tamte okrutne ojcowskie słowa? Jaka była właściwie ta cała ich miłość? Teraz zapewne trapią się, może i pochlipują, to znów dla odmiany wyżywają się w pomstowaniu na wyrodną córkę. Chuchali, pieścili, najbardziej ze wszystkich dzieci ją kochali, i naraz aż taki zawód. Uciekła, najzwyczajniej uciekła, bo przecież nie przyjdzie im do głowy, by przyznać się, że nie ucieczka to była, a wypędzenie.

Ciągle brzmiały w uszach tamte słowa ojcowskie. Wysłuchała ich wtedy uszom własnym nie wierząc, były jednak prawdziwe. Trzasnęła drzwiami, w swoim pokoju, zamknięta na klucz, tłukła w pasji butami o tapczan, dusiła w sobie zrywający się szloch, groziła pięścią w stronę jasno lakierowanej płaszczyzny drzwi. Gdy niedługo później zdecydowała się na odejście, oczy miała już suche, w kącikach ust zastygło skrzywienie drwiny.

Nie, nie ma powrotu, nie powinno nawet być myśli o nim. Jasne tamte pokoje rodziców, słoneczne, ale zara-

zem tkwi w nich jakaś stęchlizna, duszno łam, słowa zanadto są wypieszczone, świat przed oczyma maleńki i wąski. Edek nie Edek, nie wytrzymałaby, musiało to nadejść, wcześniej czy później, Edek co najwyżej przyspieszył ten moment.

Więc czemu ten niepokój, to napięte wyczekiwanie w ciemną noc? Skąd myśli o kołdrze, o matczynym pochlipywaniu, o bezradności ojcowskiej i jego okrucieństwie w tamtej, rozstrzygającej chwili? A może skądinąd bierze się w niej ten chaos, może wcale nie o tamten dom chodzi, ale o coś całkiem innego?

Może to ta samotność, łańcuszek dni spędzonych bez Edka? Wbrew jego hurrapogodnym przewidywaniom nie było w tym zimowym okresie łatwo o pracę. Przynajmniej taką, o jakiej zamyślał Edek, niezgorzej płatną, dającą możliwości na przyszłość. Z późną wiosną, gdy ruszą nowe inwestycje, wyłonią się szersze perspektywy, ale oni wszakże nie mogli czekać. Trzeba już było sprzedać motocykl Edkowy, krzywił się, wyczuwała, jak bardzo niechętnie przyjął tę konieczność. W ogóle zdawał się krzywić na trudności, które osaczały ich z wielu stron. Liczył na matkę, na to, że odstąpi im jeden pokój z dwu zajmowanych przez siebie. Tymczasem starsza pani okazała niespodziewany opór. Orzekła, że w żadnym wypadku nie wpuści Ewki do domu. Skoro umieli się pobrać, niechże sami umieją sobie zaradzić. Stanowczo przedkładała własną wygodę nad dobro syna.

Przez pierwsze dwa tygodnie tułali się z miejsca na miejsce, korzystając z uprzejmości znajomych. Krępowało to, ograniczało swobodę w dysponowaniu czasem, zmuszało do grzecznościowego odsiadania. Wreszcie zdobyli ten pokój dla siebie. Przypadek chciał, zetknęła się Ewka z dawną koleżanką z liceum, z Mariolą. Mieszkała wraz z matką, cienko było obydwu paniom, dosyć chętnie przystały na propozycję odnajmu. Było lepiej, ale tylko częściowo rozwiązywało to spadłe na nich kłopoty. Wyobrażała sobie, że wyglądać to będzie od razu inaczej. Edek coś obmyśli, skromnie, ale ułożą sobie życie. Młodzieniec

tymczasem okazał się lekkomyślny, wszystko u niego w słowach jakoś się załatwiało, dopiero potem Zaskoczony niepowodzeniem tarł dłonią policzek. Zbyt może upodobał sobie życie dniem tylko dzisiejszym. Dlatego tak szybko stopniał jej skromny zapasik zarobionych na pierwszej posadzie pieniędzy, to samo stało się z kwotą uzyskaną ze sprzedaży motoru. Zaczynała momentami żałować, iż rzuciła swą posadę młodziej księgowej, jakby nie było, całe tysiąc czterysta złotych, ojciec był dumny, gdy jej wyrobił to miejsce dzięki swoim znajomościom.

Czwarty dziś dzień, a Edka wciąż nie ma... Nawet ten nie ogrzany pokój stałby się przy nim od razu cieplejszy. Mógłby już wrócić z wojażu w poszukiwaniu pracy. Pusto bez niego. To z tej pustki, z tęsknoty za Edkiem biorą się nieskładne, smutne myśli, lęgnie się niepokój. Nie tęsknota za dawnym domem, ale brak Edka, jego roześmianych, palących się oczu, krótko ostrzyżonej czupryny, gadatliwych, jak to nazwała, rąk, którymi podkreślał każde słowo, jakby uważał, że samo w sobie nie wyraża jeszcze wszystkiego.

Może dzisiaj przyjedzie? Święta i Sylwestra spędzili razem, skromnie było, może nawet i biednie, ale przecież i Wilia przyjemnie minęła w towarzystwie Marioli i jej matki, i na zabawę się wybrali studencką, Edek wystarał się skądś o zaproszenia. Dopiero z tym nowym rokiem zaczęło się gorzej. Zaistniała szansa, iż mógłby się zaczepić w wielkim majątku państwowym, potrzebowano tam gwałtownie młodszych mechaników. To pan Pędzik z urzędu stanu cywilnego zatroszczył się o nich. Dziwne, nie matka Edka, nie jej rodzice, ale obcy zupełnie człowiek. Tyle, że dawny znajomy ojca. Pędzik odnosił się do nich z wielką sympatią, zarówno w urzędzie, jak przy przypadkowych spotkaniach pytał, jak się im wiedzie, czy mógłby w czymś dopomóc. Poradziła Edkowi, by poszedł do niego. Był podobno straszliwie serdeczny, nawet wzruszony okazanym mu zaufaniem. Po dwóch dniach przysłał kartkę, że owszem, coś się nadarza, tyle że poza miastem. Wielki majtek, kierownikiem jest pan Wiśniewski, świetny gospo-

darz. Ostatecznie, znalazłaby się nawet szansa zamieszkania na miejscu. Niechaj obejrzą, sami zadecydują...

Może dzisiaj już wróci? Z dobrymi nowinami, czy dymi? Śniegi mocne spadły, mróz ścisnął, ale drogi chyba możliwe. Szkoda, że musieli sprzedać motocykl, łatwiej byłoby mu dojeżdżać, jeśli nie teraz, to z wiosną. Czy Edek wyczuwa, jak ona tęskni, jak jej tutaj nieswojo bez niego, zdradzają się niepokoje, nie zaznawana dotychczas niepewność. Zdobyła się dla niego na wszystko, zatrzasnęła za sobą na zawsze drzwi rodzinnego domu, zawalił się mur, gruzy rozdzielają teraz poprzedni i dzisiejszy jej świat.

A ten świat dzisiejszy — to Edek, właśnie on. I dlatego jej źle, że jest sama, że nie wie, czy go dzisiaj zobaczy.

— Edku, Edku — szeptała cicho.

Kwadrat okna jaśniał z każdą chwilą. Nowy ■ dzień, znowu bez Edka. Czemu tak za nim tęskni? Gdy mu opowie, na pewno się wzruszy, ale nie da poznać tego po sobie, zakpi, iż tęsknota to coś bardzo staroświeckiego...

Mocniej wtuliła głowę w poduszkę. Tamta, w domu rodziców, była bardziej miękka, cieplej, tkliwiej przyjmowała dziewczęce zwierzenia. Nic, nic wszystko, byle Edek prędzej powrócił.

Szczęśliwie znów nie zauważył. Dzięki Ci, Matko Ostrobramska. Jakby on to przeżywał, jakby się martwił i denerwował. A musi mieć spokój, cisną ich mocno z nauką, jeszcze na domiar ciągle chwytają się jakichś robót, aby dorobić, choć z parę złotych dorzucić do jej skromnych zarobków. Stypendium na pierwszym roku niewielkie, mają je później podwyższyć. Wiele to razy wzdychał, widząc jak wraca z pracy zmęczona:

— Ze też, mam, tak musisz się męczyć... Marzę, gdy skończę studia, zacznę pracować, nic wtedy nie będziesz robić, nic, książeczka do ręki, spacer, może tylko czasami upitrasisz coś szczególnie smacznego. Zobaczysz, jakie to będzie radosne życie. W przeciwwadze temu wszystkiemu,

co przeszłaś. Za każdą chwilę smutku musi nadejść co najmniej sto uśmiechów...

Uśmiechała się. Zawsze taki szczeniący i taki dobry. Może los wielu innych radości jej poskąpił, ale zrekompensował wszystko tym dzieckiem. Chwilami aż wierzyć się nie chce, zwłaszcza gdy się słyszy wokół, jacy to potrafią być niektórzy z tych młodych.

Boże, ona wcale nie chce leniuchować. Nie potrafiłaby przecie dnia przeżyć bez pracy. O czym marzy, to tylko o spokoju, by nie trzeba było po dziesięciokroć oglądać każdego grosza przed jego wydaniem. Chciałaby pozostawać do końca przy swoim chłopaku, pomagać mu, starać się, tak jak on mówi, uśmiechami ubarwiać mu życie. Jedno, czego się obawiała, to aby któregoś dnia nie trzeba było się rozejść, zamieszkać osobno, z dala od siebie. Wiadomo, samotnikiem nie będzie, któregoś dnia zjawi się w domu młoda gospodyni, wtedy nastąpi okres trudnego wyczekiwania. Byle spiąć jakichś uniknąć, nie narzucać swojego zdania, zostawić im pełną swobodę. Być tylko miłym, pomocnym, ale nigdy nie krępującym gościem... Czy ta kobieta przyjmie takie warunki? Czy nie zechce żyć samodzielnym życiem, bez narzutów rodzinnej przeszłości. Nie wiadomo, dużo się słyszy niezbyt budujących historii... Rysiek chyba potrafi wybrać. Ta mała Róża, spokojna, dobra dziewczyna. Wygląda, jakby garnęła się do niej. Sama matkę dawno straciła, może tęskni za serdecznością matczyną? Użyczyłaby jej tej serdeczności, na ile ją tylko byłoby stać, przecież to jego, Ryśka dziewczyna, jakże nie być dla takiej serdeczną i dobrą?

Teraz znowu te oczy. Co z nimi się dzieje? Od roku zauważyła te zmiany, coraz bardziej niepokojące. Wymieniała już szkła, ale jak długo można to robić? Teraz już szkła zupełnie nie pomagają, i z nimi i bez nich rozmazuje się wszystko, świat przesłania się gęstą, białą jak mleko mgłą. Czytać może, przybliżając gazetę czy książkę do samych oczu. Przy elektrycznym świetle i to nie zdaje na nic.

Najtrudniejsza ta ciągła pamięć, by nie zrobić żadnego

błędneho kroku, by jakimś nieopanowanym ruchem czy wręcz pomyłką nie pokazać Ryśkowi, co się z nią dzieje. Jeśli już pan Bóg dopuścił, że musi ślepnąć, niechże jej chłopak dowie się o tym jak można najpóźniej. Inaczej będzie się trapił, zarzuci naukę, zacznie szaleć, szukając rady lekarzy. Cóż lekarze tutaj pomogą? Najwyżej jeszcze raz zmienią szkła. Napracowały się te oczyska przez całe życie, naharały, łez się z nich sporo stoczyło, nic dziwnego, że wypowiadają dziś postuszeństwo.

Pewnego dnia i tak się dowie o wszystkim. Jakże długo będzie jeszcze mogła chodzić do pracy, przekładać w kancelarii te wszystkie papiery, zapełniając ich rubryki drobnymi swym pismem. Już i tak tkwiła nad biurkiem schylona w kabłąk, niemalże wodząc nosem po formularzach. Na domiar z każdym dosłownie dniem stawało się gorzej. Już kilka razy kierownik przyglądał się jej uważnie, wszystkimi nerwami czuła na plecach to jego spojrzenie. Zapytał delikatnie, czy może źle się czuje? Kiedy indziej koleżanka zwróciła jej uwagę, pomyliła rubryki, to znów krzywo, wysoko w górę leciały

jej rządki pisma... Dobrzy są dla niej, jest w pracy lubiana, ale przecież nie mogą tam bawić się w filantropię, nadejdzie dzień, kiedy trzeba będzie się rozstać.

W domu też coraz trudniej. Skaleczyła się kilka razy, w kuchence na domiar zawsze ciemnawo, północna strona, elektryczność niewiele pomaga. Trzeba się już raczej kierować wyczuciem...

Byle Rysiek nie zauważył, jak się tylko da najdłużej. Bardzo to będzie przeżywał...

Nie domyślała się, że syn dostrzegał od pewnego czasu narastające objawy osłabiania się matczynego wzroku. W końcu nie mogły ująć jego uwagi drobne omyłki mat-ki, szukanie czegoś na stole niemal na ślepo, potknęła się też kilka razy na progu ich domu. Początkowo sądził, zmęczenie, przepracowana jest, nie pamiętał nigdy, by pozwoliła sobie na jakiś urlop, na wypoczynek... Potem dopiero łączył to zaczął z osłabieniem się wzroku. Nie przypuszczał jednak, by mogło być aż tak źle. Może też nie miał

czasu, by przyjrzeć się dokładniej, zaobserwować bez pudła prawdziwy jej stan. Zbliżył się okres egzaminów, trzeba było dłużej ślęczeć nad rozwartymi książkami i notatkami, z chwilą, gdy w końcu grudnia nagle sypnęło śniegiem, barykadując zaspami ulice a zwłaszcza szosy, cały wolny czas angażował przy odśnieżaniu, niezgorzej przy tym się zarabiał. Siłą faktów widywali się rzadziej i krócej. Uspokajało go także to, że matka jak normalnie udawała się każdego ranka do pracy...

Tuż przed świętami dopiero zaniepokoił się mocniej. Właściwie Róża zwróciła mu na to uwagę. Pani Matelska szczególnie niefrasobliwie operowała różnymi przyprawami do świątecznego pieczywa, plątała jedno z drugim, zachowywała się dziwnie niezgrabnie.

— Rysiek, powiedz, czy mamie coś nie dolega ze wzrokiem?

Spojrzał na nią wielkimi oczyma, dostrzegła w nich lęk.

— Tak sądzisz? I ja się zastanawiałem, składałem rzecz jednak na karb przemęczenia... Wzrok?

Przeglądziła go po ramieniu.

— Nie rozpaczaj od razu... Myślę, że jednak wzrok. Zawsze słabnie w tym wieku... Może szkła mocniejsze będą konieczne. Wybierzcie się do lekarza.

Teraz i on już widział bez złudzeń. Momentami truchlał, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, iż może zbyt późno zdał sobie sprawę, co naprawdę dzieje się z matką. Na domiar świąteczny okres nie sprzyjał leczeniu. Najlepszy okulista wyjechał na wczasy zimowe, nie spodziewano się go wcześniej aż w końcu pierwszej dekady stycznia. Innych też trudno było uchwycić, święta, Nowy Rok, cały ten zwyczajony okres, kiedy każdy gdzie może urywa wolne chwile dla siebie. Zresztą wydało mu się, iż przez święta matce jak by się polepszyło. Skąd mógł przypuszczać, to ona, czując, iż syn zaczyna coś podejrzewać, całą wolą starała się zapanować nad swą słabością.

Aż przyszedł ten ranek, kiedy mgła przestłoniła jej wszystko. Ledwie, ledwie widoczne kontury przedmiotów rozbiegały się, goniły na strony,- wzrok nie miał się o co

1T Przejaśnia się niebo t. II

oprzeć. Wtedy runął cały mozolnie budowany gmach hartu, nie wytrzymała, rozplakała się serdecznie. Jakże pójdzie do biura, co będzie tam robić?

Przypadł do niej.

— Maminko, ja wiem, czemu płaczesz, rozumiem. Niedobry jestem, że ci wcześniej nie powiedziałem... Już załatwiłem, pojutrze czeka cię wizyta u lekarza, pomoże coś, na pewno, ręcę za to. Będiesz nosić takie grube szkła w okularach, niemalże półokrągłe, wyglądać będziesz dostojnie i zabawnie zarazem, zupełnie jak jakiś wielki profesor... Nie trap się tylko, mamó.

Wcale nie był tych swoich słów pewien. Przypomniał sobie, iż w rodzinie matki wszyscy od najmłodszych lat nosili szkła, ktoś nawet oślepl, mogło to być dziedziczne...

Tego samego dnia oblał, po raz pierwszy, kolokwium. Niczego nie pamiętał, zdania jednego nie potrafił poprawnie sklecić, myśli jego i uczucia wiązały się tylko z osobą matki. Profesor był złośliwy, z całą satysfakcją wpisywał złą notę, zadrwił coś jeszcze, że pozory częstokroć mylą, wcale ten Matelski nie jest tak idealnym uczniem, jak się to niektórym pedagogom wydaje.

Strawił i to, niewiele go zresztą obchodziła w tym momencie taka lub inna opinia. Żeby tylko matka nie oślepta naprawdę, żeby udało się uratować jej wzrok. I że on, sam zupełnie jak ślepiec, przez tyle czasu nie zauważył niczego, a nawet widząc nie umiał skojarzyć faktów. Może przez to będzie właśnie za późno? Nigdy, przez całe życie nie potrafiłby sobie tego darować.

Oczekiwała go równie przejęta i niespokojna. Chwilami miała przebłyski nadziei, to znów nie wierzyła już w nic. Z trwogą myślała o ślepcie. Jakże wtedy będzie mogła pomagać Ryškowi, na odwrót, stanie się ciężarem, utrapieniem największym z wielkich. Że też i to musi być na nich zestane... Nie wiedzieć czemu odrodził się żal do męża. Albin używa sobie w Londynie, żyje spokojnie z jakąś angielską zdziwą, nic go nie obchodzi ani pozostawiona żona, ani dziecko, obojętnie przyjmuje to, że tak się trudno ich los układa, że ciągle wali obuchem z najmniej

oczekiwanej strony. Niechby już tkwił tam, nie tęskniąc za krajem i za bliskimi, niechby miał nie jedną, a dziesięć kobiet, ale niechby też pamiętał o obowiązkach. Skromna, ale powinna by nadchodzić od niego regularnie jakaś przesyłka, są tacy przecie, co z samych paczek niezgorzej sobie żyją... Jej to niepotrzebne, wolałaby nawet obywać się bez tej łaski Albina, krępowałoby ją to, żenowało. Ale dla Ryśka, dla jiiiego przekreśliłaby własne skrupuły, byleby on miał choć trochę lepiej... Co wszakże myśleć o tym człowieku w dalekim Londynie, niegdyś tak bardzo bliskim, który stał się obecnie daleki i obcy...

Najważniejsze jest to, co dzieje się tutaj. Dziś po południu wizyta u lekarza. Lęk, strach, ściskający ze straszliwą mocą za serce. Bo jeśli ta wizyta okaże się nieodwołalnym wyrokiem, jeśli przekreśli jakiegokolwiek szczątki już tylko nadziei? Jak potrafi to przyjąć, czy nie załamie się, jeszcze i tym przyczyniając Ryškowi zmartwienia? Nie stać ją będzie, zbyt rozszalały się nerwy, by próbować na zewnątrz choćby okazywać pogodę...

Dzwonek? Któż to być może? Listonosz nigdy się nie zjawia o tej porze, Rysiek ma własny klucz. Ostrożnie, powoli, te sprzęty takie się teraz zrobiły kanciaste, próg też wystaje wysoko jak nigdy, łatwo o niego się potknąć.

— Dzień dobry pani, dzień dobry mamó...

— Róża? Ty, dziecino?

— Przypuszczałam, że musi być pani teraz bardzo ciężko w oczekiwaniu dzisiejszej wizyty. A jeszcze, że Ryśka nie ma... Zwolniłam się z szóstej lekcji, przybiegłam tutaj. Może trzeba coś pomóc, usłużyć?

Serdecznie przytuliła dziewczynę. O takiej synowej marzyła, przy takiej mogłaby pozostawać, nie zawadzałyby im, byłyby tylko pomocna. To przy normalnym, niechby osłabionym, jednak dobrze służącym jeszcze wzroku. Ale przy ślepotcie, przy tym strasliwym kalectwie?" Przecież nie będzie zatruwała im życia swoją osobą...

— Niech się pani nie trapi... Na pewno coś lekarz poradzi. Trzeba tylko się leczyć. Słyszałam o różnych takich Przypadkach...

1

259

I znów, cóż z tego, że wstrzymywane, popłynęły łzy z oczu Matelskiej. Ciche, pełne bólu zarazem i radości.

— Róża, ja tak bardzo się cieszę, że Rysiek cię wybrał, że pokochał mojego chłopca. Dobrze wam będzie w życiu, musi być dobrze takim, którzy sami są dobrzy...

Dziewczyna była speszona. Cóż ona uczyniła takiego, niechże pani Matelska przestanie, żenują ją te niezasłużone pochwały, chyba to co czuje i czyni jest czymś najzupełniej normalnym... Z ulgą przywitała powrót Ryśka.

A potem nadeszła najbardziej ze wszystkich denerwująca wizyta u okulisty. Długie oczekiwanie w kolejce, wreszcie Matelska przekroczyła niepewnie próg gabinetu. Rysiek prowadził matkę. W progu przejął ją z jego rąk stary lekarz.

— Sam pozostanę z pacjentką. Gdyby potrzebne były dodatkowe szczegóły, później pana o nie zapytam...

Tej godziny nie zapomni do końca życia. Przejęcia, zdenerwowania, nadbiegających przez myśl ponurych obrazów żalu do siebie, pretensji, zbyt eksploatował matkę, nie trzeba było rwać się na studia, a zająć się pracą, ułatwić życie zharowanej kobiecie. Ślepotą, to musi być coś naprawdę strasznego, nagle zabraknie barw, słońca, już tylko pamięć podpowiadać będzie znajome obrazy i kształty.

Lekarz otworzył drzwi, skinął na młodego człowieka. Róża automatycznie jakby podniosła się razem.

— Pani?

— Przyszłam razem z panią Matelską.

— Narzeczona?

— Tak.

Lekarz uśmiechnął się.

— Proszę zatem całe grono rodzinne.

W gabinecie matka, blada jeszcze z przeżyć niedawnych chwil, uśmiechnęła się z wyraźną pogodą.

— Rysiu, pan doktor daje nadzieję...

— O, chwileczkę, łaskawa pani, proszę nie wkraczać w moje kompetencje... Nie jest najgorzej. Katarasta. Jeszcze nie dojrzała w pełni. Przewiduję operację za dwa,

trzy miesiące. Sam będę ją przeprowadzał, zachodzą tu bowiem pewne dodatkowe momenty mogące skomplikować sprawę... Proszę się nie przerażać. Są w każdym razie spore nadzieje. A na teraz koniecznie ostrzejsze szkła, dużo wypoczynku, spokoju. Nie przemęczać się, z pracą na ten czas przynajmniej zerwać bezwzględnie. Za tydzień, dwa, nastąpi już pewna poprawa, niewielka, przy występowaniu katarakty są to typowe stadia procesu...

Głęboko, głęboko zaczerpnął potem, gdy wyszli już na dwór, oddechu. Róża przeciągnęła dłońią po jego czole. Na dworze mróz, śnieg, a czoło to było mokrusienkie, pot grubą warstwą skraplał się na nim.

Spotkały się niepewne uśmiechy ich trojga.

y

ROZDZIAŁ VI

1.

Z ODCZUCIEM ulgi rozglądał się po swoim pokoju. Tym samym, oschłym i sztywnym, w którym niedawno jeszcze tak brakowało mu ciepła. Nic się tu nie zmieniło, te kilka goździków, które wczoraj zakupił, nie wprowadzały wszak zasadniczej jakiegóż metamorfozy. Może nawet poprzez intensywność swej barwy pogłębiały kontrastowo tamtą szarzyznę.

A jednak było inaczej. Dobrze i spokojnie. Odczuwał atmosferę wytchnienia w tych czterech ścianach ozdobionych kilku okazami surowej grafiki. Te same książki, za-pačkane biurko, w dolnej szufladzie gruby brulion nie dokończonych wspomnień z pierwszych powojennych miesięcy.

Kawa dymiła lekkim zapachem. Ani mogła się równać pod względem aromatu i smaku do tych kaw, jakie pił w Niemczech. Jakaś podława. A jednak mając możliwość wyboru zdecydowałby się na tę dostępną do zakupu w kraju. Łącznie tylko z możliwością picia jej w tym rażącym go od niedawna kawalerską prowizorką pokoju.

Pociągając drobnutkie łyki, przerzucał karty swoich zapisków.

Zżymał się niekiedy, zastanawiając nad poszczególnymi partiami tekstu. Czuł w nich jakiś niedowład, ale nie był w stanie określić bliżej jego charakteru. Relacja, jeżeli po tylu latach mógł dowierzać własnej pamięci, była wierna, podkreślająca na domiar tło zachodzących wtedy wydarzeń. Na pewno uległa zatarciu chronologia szczegółów: kiedy ta strzelanina miała miejsce, a kiedy przeżyli kolejny napad Wehrwolfu. Tyle się zdarzało podobnych historii, sta-

wały się tak normalnym obrazem każdego dnia i każdej nocy, że w końcu przestawało być ważne, co się zdarzyło tydzień wcześniej lub parę dni później.

Szczególnie uważnie studiował fragmenty, w których relacjonował sprawy niemieckie. Tkwiła przecież naówczas w nim i w innych zapiekła niechęć, jeśli nie więcej, istniała jakaś zaciekłość, pragnienie nie tylko sprawiedliwości, niekiedy zwyczajnie i po prostu jakiejś odpłaty. Pomimo to jakże niewiele notuje pamięć prób wymierzania sprawiedliwości na własną rękę. Jeśli zaś zdarzały się, tłumili je najsurowiej. Łącznie z nim, łącznie ze Stefczykiem, jeszcze innymi spośród tych, których jednocześnie upominano i strofowano, mając im za złe zbyt surowy stosunek do ludności niemieckiej. Zbyt surowy? Czy zwyczajnie tylko nieufny? Odsłonięte później kulisy wszelkich Wehrwolfów czy KUF-ów zdecydowanie przeważały szalę na rzecz obrony ich stanowiska.

Podniósł głowę, uspokojony. Tam, w Niemczech, gmatwał mu się niekiedy obraz wydarzeń z bezpośrednio powojennego okresu. Byli sprawiedliwi, kto wie, może przesadnie, aż skrupulatnie sprawiedliwi. Wbrew własnym zapiekłym krzywdom, wbrew osobistemu pragnieniu odwetu. Co przeważało? Odmienny narodowy charakter, niwelujące inne odczucia, radosne zachłyśnięcie odzyskaną wolnością? Skądże zatem u tamtych aż tak wykoślawiony obraz, panorama rzekomej przesiedleńczej gehenny? Krzywe odbicie osobistych przeżyć, czy zwyczajnie propagandowy trick, lansowany tak długo, aż stał się dla wielu synonimem prawdy? Na salę sądową niejednokrotnie trafiały odpryski takich sądów. To stwarzało osłonę, w przeciwwadze miało pomniejszyć winę oskarżonych, bynajmniej nie upokorzonych, a jeżeli zmuszonych już do przyznania się, to zawsze osłaniających się świętym obowiązkiem wierności rozkazom zwierzchników. Wbrew sobie, ale nie mogli inaczej, musieli. Wszyscy oskarżeni.

Bo co-innego ci straszliwi Polacy. Oni nie mieli rozkazów, Im nie narzucał żaden zwierzchnik swej woli. Jeśli już nie Palce, to przynajmniej spojrzenia w wymownym potępie-

niu kierowały się w stronę polskiego świadka. Spojrzenia oskarżonych, sędziów, prokuratora.

I właśnie ten problem stał się dla niego największym wstrząsem. Nie tylko w widzeniu sprawy niemieckiej tam, w ezasie pobytu w Republice Federalnej. To było czymś odmieniającym dotychczasowe widzenie wielu problemów, czymś nakazującym rewizję także i własnej postawy wykształconej czy wykształcającej się w wyniku wydarzeń całego powojennego okresu.

Na jednego ze świadków oskarżenia prokuratorzy powołali Polaka, od 1945 roku odsiadującego karę więzienia w Niemczech. Można się było głowić nad pobudkami takiego posunięcia, zadawać sobie

pytanie, czy był to krok najszcześniejszy. Franz Jablonsky, jak wymawiał to nazwisko przewodniczący sądu.

Słuchając, drgnął wtedy. To nazwisko nie było mu obce. Przez moment jakiś kołowrót, gmatwanina w pamięci, a potem wyłonił się obraz jasny, bez skazy. Towarzysz obozowej niedoli. Trafił do lagru wraz z ojcem i synem, żona znalazła się w innym obozie... Twardy człowiek. Twardy, jeśli przeżył mógł dramatyczną śmierć ojca, a potem własnego syna. Był świadkiem, jak rosły esesman tańczył młodemu chłopcu na piersi i gardle, ustami tryskała krew zmieszana z pianą... O żonie nie dochodziły do niego żadne wieści, nie miał złudzeń, słaba była zawsze i chorowita. I oto ten człowiek zjawia się nagle w dalekim mieście za-chodnioniemieckim, w więziennym ubraniu staje przed kompletem sędziowskim. Z twarzą zszarzałą, z zapadniętymi, gorączkowo płonącymi oczyma. Nawet z daleka widział Lisiewicz, jak drżały mu wargi.

Jabłoński, Franek... Twardy... On przecież organizował tajny wewnętrzny komitet pomocy więźniom, był jednym z najczynniejszych przywódców obozowego ruchu oporu. Przy wszystkich ciosach, jakie spadły na niego, nie ugiął się, nie załamał, nie zmuzułmaniał. Zawsze był ofiarnym kolegą, choć unikał bliższych kontaktów z ludźmi. Coś się w nim zapiekło, coś nieustannie trawił sam w sobie.

Teraz po osiemnastu latach, składał tutaj zeznania. Tak, ■

zna oskarżonych. Wszystkich. I tego, i tego, i tego... kolejno wskazywał palcem sześciu esesmanów rozsiadłych na ławie oskarżonych, w cywilnych ubraniach, wygolonych, jeszcze bez śladu więziennej cery, dwóch zresztą jak dotąd zeznawało z wolnej stopy... Mówił głosem opanowanym; tylko znając Jabłońskiego, pamiętając go z tamtych lat, można było orientować się, jaki ogień go zżera, wiele jest ukrytej pasji pod pozornie beznamiętnymi słowami.

Tak, zna ich... Zwłaszcza dobrze zna czterech. Mordowali. Na rozkaz i bez rozkazu, z własnej ochoty. Dla zabawy, dla sportu, dla zaspokojenia osobistej chęci rozrywki. W taki sposób, i jeszcze w taki... Szczegóły, fakty dokładnie, przerażająco dokładnie, często z datami. Jakże mocno wrazić się musiały w umysł tego człowieka każdy dzień i każda godzina przeżyte w obozowym koszmarze.

Na sali napięta cisza. Zabrakło zwykłych pochrząkiwań, objawów wzruszenia czy kpiny, tak częstych w innych dniach. Relacjonowany obraz właśnie przez tę zewnętrzną beznamiętność relacji stawał się makabrycznie groźny, ze wszech miar prawdziwy. I może dlatego właśnie przeciw zeznaniom tego oskarżonego adwokaci oskarżonych ruszyli do zablokowanego ataku...

Lisiewicz pamiętał siebie z tych chwil. Pamiętał stan straszliwego napięcia. Zdawało mu się momentami, iż nie wytrzyma, rozkrzyczy się, porwie się z miejsca i zacznie bronić, zacznie oskarżać. Ich wszystkich, od oskarżonych po sędziów i po prokuratorów, po zebraną na sali publiczność. Dopełniała się jakaś miara. Dopiero zyskiwał pełną możliwość widzenia tamtego czasu w okrutnie ostrych proporcjach...

Zjadliwe, podchwytliwe pytanie obrońcy... Dlaczego oskarżony zeznaje doprowadzony z więzienia? Za co został skazany?

Za zabicie jednego z najgorszych obozowych katów, Bahrmanna... Winien był śmierci męczeńskiej setek osób. Między innymi syna oskarżonego... Samoobrona więźniów wiedziała, że bloki mają zostać wysadzone w powietrze, a tych, którzy jeszcze wymigają się śmierci, wystrzelać

ma ogniem karabinów maszynowych specjalna ekipa wyznaczona spośród najgorliwszych z załogi obozu. Więźniowie porwali się do dramatycznej walki. Trwała trzy godziny, szala przechylała się na stronę oprawców... Wtedy wyzwoliły obóz wojska amerykańskie... Oprawcy oddzieleni zostali od więźniów, izolowani. Ciągle z szerszą znacznie niżeli więźniowie swobodą ruchów. Grupa oswoobodziciel-ska była niewielka, jej zadania sięgały dalej niż oswoobodzony obóz. Zaledwie kilku żołnierzy zostało na straży ładu, popatrując za kolumną samochodów mknących dalej na wschód.

Obóz był wyzwolony, ale więźniom zakazano opuszczania jego terenu do czasu przybycia dalszych jednostek amerykańskich, w których składzie będą już władze porządkowe, organizacyjne... Esesmani mieli większą swobodę. Początkowe ich przerażenie ustąpiło miejsca dobrym nastrojom. Wyciągniętą pięścią któryś pogroził więźniom, przeciągnął wymownie po szyi. To była prowokacja, hasło odwetu za zmarłych, hasło dla wygłodzonych ludzi z pałającymi oczyma. Lawiną ruszyli do przodu. Amerykanie zaledwie kilka razy strzelili na postrach w górę, usunęli się zaraz, kilku zaledwie ich było, może też sercem sprzyjali więźniom... Zginęło wtedy niemało osób. Kilku kapo, zgrupowanych w osobnym baraczkach, blisko dziesięciu członków esesmańskie-jej załogi... Pośród nich Bahrmann, zabójca syna świadka składającego zeznania...

— Czy świadek osobiście zamordował Bahrmanna? — adwokat był precyzyjny, chciał wiedzieć dokładnie.

— Nie wiem. W każdym razie brałem w tym udział... Prymitywna może, ale była to forma wymiaru sprawiedliwości. Pierwsza, odruchowa reakcja ludzi upadanych, dręczonych i zabijanych przez lata...

Polski więzień od wojny wysiadujący w więzieniach niemieckich, z wyroku sądów alianckich skazany na dwadzieścia lat zamknięcia, doprowadzony obecnie na salę jako świadek oskarżenia w procesie przeciw esesmanom, zachował spokój do końca. Wychodził z sali z podniesioną głową. Spojrzenie jego zetknęło się z triumfującymi minami adwoka-

tów użyli sobie potem w swych mowach obrończych. Na esesmanów Jabłoński więcej nie spojrział. Przez moment jedynie zetknęły się oczy jego i Lisiewicza. Więzień drgnął zdziwiony, potem uśmiechnął się życzliwie, lecz obojętnie.

Wyszedł wtedy z sali zaraz po nim. Bardzo pragnął osobiście zetknąć się z Jabłońskim, porozmawiać, wywiedzieć bliżej o jego okrutny*^*i losie. Nic z tego. Strażnicy więzienni nie dopuścili, przed sądem czekała już więzienna karetka. Wsiadając pokiwał jeszcze Jabłoński dłonią, jakby skurcz ściągnął jego rysy.

Lisiewicz nie zaznał już od tej chwili spokoju. Prześladowała go twarz dawnego towarzysza najcięższych dni. Więźnia, człowieka, któremu zmarnowano życie. Sądy alianckie nie wchodziły w

detale, nie zagłębiały się w psychologię maltretowanych ludzi, którzy w pierwszym odruchu mogli dopuścić się samosądu przyspieszającego wymiar sprawiedliwości. Pełnej sprawiedliwości... Musiał tu uśmiechnąć się gorzko, wspominając farsowe sceny z procesu, na który część morderców i katów odpowiadających z wolnej stopy zajeżdżała co dnia własnymi samochodami. Tamci, Jabłoński i inni podświadomie musieli najpewniej wyczuwać, jaki obrót przybierze oficjalna sprawiedliwość. Wyroki były surowe dla ekswieźniów kacetów, których pojmano i udowodniono im winę. Piętnaście, dwadzieścia lat, dożywocie. Zamiast wytęsknionej wolności. Wolność zostawała dla innych...

Nawet nie prawu miał coś do zarzucenia. Nie oschłości

1 bezduszności martwej litery paragrafów w kodeksach. Ale osobliwemu układowi stosunków, który dopuścił do zaistnienia takich paradoksów. Podobno Jabłoński nie jest jeden, kilkuset Polaków od ukończenia wojny pozostaje w zachodniemieckich więzieniach za odruch zemsty wymierzony przeciw niedawnym własnym oprawcom. Dla nich nie ma skrócenia okresu kary, nie ma przedwczesnego zwolnienia, nie decyduje o jakiejś uldze stan zdrowia. Muszą odcierpieć swoje piętnaście, dwadzieścia lat, niektórzy żyją

2 perspektywą więziennej kraty do końca swych dni. A na-

wet ci, którzy jeszcze wyjdą wolni, czyż nie będą to zgorzkniałe, pełne bolesnego rozżalenia i niechęci do świata ludzkie kadłuby? Czy potrafią zaczerpnąć oddechu w swym zmarnowanym życiu, zmarnowanym przez hitlerowskich okupantów. Zbrodnia nie każda i nie zawsze jest tylko zbrodnią, choćby sucha litera prawa twierdziła inaczej, zbrodnia niekiedy bywa tylko naturalnym następstwem innej zbrodni i tamtą trzeba karać, nie wtórna...

Wstrząs zetknięcia z Jabłońskim przesłonił mu na procesie wszystko frńne. Tak ogólne widzenie sprawy, jak osobiste przeżycia, których w Polsce przed wyjazdem obawiał się wszakże najbardziej. Schulmowsky i inni oprawcy przestali być dla niego żywymi ludźmi, przeistaczając się w symbole. Symboli nienawidził, na żywych ludzi patrzył jak na zoologiczne okazy. Podobnie zresztą jak to było w obozie: wypadali stanowczo poza najbardziej nawet rozciągliwe pojęcie ludzkości.

A Erna? Był to szok, zaistniało wewnętrzne napięcie. Pośród publiczności spokojnie siedziała na ławie kobieta, którą znał, z której osobą łączył najtrudniejsze ze swoich przeżyć. Kobieta, której pamięć latami narastała w nim lawiną najdziwniejszych kompleksów, dzięki której rozbudował w sobie poczucie nie popełnionych win. Tęga teraz, z nalaną twarzą, w niczym niepodobna już do zgrabnej, ładnej, działającej nań silnie kobiety. Obca twarz, obca sylwetka, tamta jedynie z imienia. I jakże bardzo już obojętna.

Łapał się na jakichś pogmatwanych szlakach biegu swych myśli. Tęga, nalana, niezgrabna. Obojętna. Czy naprawdę, czy tak od razu, od pierwszego zetknięcia się ich spojrzeń? Dziwnie jej zamigotały powieki, na jego widok zmrużyła oczy. Wydało mu się, iż lęk zapełgał w skrzywieniu jej warg, w drzeniu, jakie przebiegło przez policzki. I on sam też dygotał wewnętrznie. Już mu się na pewno nie podobała, w żadnej swojej postaci nie mogłaby już więcej pociągać. Ale brzydka, zupełnie inna okazała się dopiero po spotkaniu się jego z Jabłońskim. Z chwilą, gdy wyrzucił się zupełnie

świat jego pojęć, ocen, kryteriów, Gdy na siebie samego także spojrzął inaczej. Gdy odnalazł pełniejszą i głębszą miarę dla oceny swoich rozterek. Gdy, szczerze mówiąc, w obliczu tragedii tamtego człowieka z nagłą wydał się sobie maleńki i śmieszny we własnych kompleksach i urojeniach. Tak, dopiero wtedy rozpuścił się w nim, rozlał jak nabrzmiały wrzód również i ten kompleks Schulmowsky'ego.

Spokojnie, z dystansu mógł ją śledzić w trakcie rozprawy. Wyczuwał w tej kobiecie wyraźny lęk, paniczną niemal obawę przed nim i jego reakcjami. Znała jego zeznania przeciw mężowi, ostre, brutalne, i tak w części jedynie odpowiadające koszarnej prawdzie koncentracyjnego obozu. Ona bała się jednak nie tego, co powiedział przeciw esesmanowi będącemu jej mężem, ojcem jej dzieci, ale drżała, aby nie ujawnił stosunku, jaki ich połączył z sobą. Wtedy, w czterdziestym piątym czy szóstym, mogła w Polsce wygrywać tę sprawę i wygrywała z całym cynizmem. Tu, w Niemczech, tę samą rzecz traktowała jako wielką kompromitację, jako nie do zatarcia rysę na honorze niemieckiej kobiety. Honoru tego nie plamił mąż, dobrowolny stokrotny morderca, męża tego bronili adwokaci, za nim stawała część publicznej opinii. Dla swoich czynów nie znalazłaby łatwo obrońców. Okrzyczeliby, że hańba, zdrada, nieomalże Rassenschande...

Odczuwał jej myśli tak wyraźnie, jakby w nich czytał. Potwierdzała to uciekającymi w bok spojrzeniami, płochli-wością przy każdym zetknięciu. Stwierdzał wszystko to obojętnie, bezosobowo analizował jej stan. Odpłynęła z mora trapiąca go przez lata, to przygasająca, to z nagłą znów się wyłaniająca rozterkami i pogardą dla samego siebie. Fałszywe okazały się dotychczasowe propozycje.

Przed oczyma jego poprzez cały tok procesu od nowa pojawiał się obóz koncentracyjny. Wyłaniały się obrazy straszliwe, makabryczne, ponure, jeszcze teraz, po tylu latach, niemal nie do zniesienia. Tych powrotów nie musiał się wstydić, są przeżycia, których pamięci nie wymaże się w sobie nigdy, przeżycia, które rzutują potem na całe życie. Nieważne, nazwie się to zapamiętaniem, zarażeniem, komplek-

sem, mają prawo istnieć w człowieku, który grozy i nieludz-kości kacetu doświadczył na samym sobie. Dopóki żyje pokolenie, będące obiektem okrutnych doświadczeń, wobec którego realizowano zasadę biologicznej eksterminacji, nie może zginąć pamięć tych spraw. Zawsze będą zjawiały się widma, straszły koszmary, ponawiały zjawy postaci związanych z tamtym czasem. Tylko ku czemu ma ta pamięć prowadzić?

Wokół niego, poza oknami sądowej sali, tętnił życiem kraj, którego ci wszyscy mordercy, sądzeni i niesądzeni, byli synami. Bogaty, pewny siebie. Kraj, który nie chciał pamiętać, co czynili w jego imię jego synowie. Niewygodna była ta pamięć, zmuszała do konfrontacji czynów niezgodnych teraz z własnymi intencjami, gdy moda zapanowała na humanistyczny wyraz twarzy.

On zaś przyjechał z kraju, który stał się obiektem naj-okrutniejszych doświadczeń. Z kraju, gdzie ginęły miliony. Z kraju, który chcąc nie chcąc musiał pamiętać, choćby ze względu na sumę przeżyć poszczególnych obywateli. Dla racji ogólniejszych, dla wytworzenia postawy samoobrony na przyszłość i dla mniejszych, zwyczajnie ludzkich racji istnienia w każdym człowieku pamięci. W tym jego kraju ludzie mogli popaść w kompleksy, mogli ciągle jeszcze budzić się po nocach z laniem potem, z obłąkanymi przerażeniem oczyma. Sprawa nie polega zatem na samej tylko pamięci ale na tym, jaki z

niej czyniono użytek. I tutaj w grzyby waliły się jego dotychczasowe teorie. Lata minione jego życia okazały się w poważnym stopniu latami tragicznej omyłki. Zasklepiął, zamykał się w sobie, w swoich wspominkach, obozową treść przeżyć wzbogacał śmiesznymi w końcu urojeniami, rozpamiętywaniem błahego epizodu z Niemką, która, przypadek chciał, ślepy traf, okazała się żoną obozowego kata. Kurczył się jak ślimak w swojej skorupie, hodował żal do siebie, do ludzi, zamykał się, izolował, nie angażował w świat zewnętrzny więcej niż nakazywała konieczność. Jakby rzeczy nie widzieć, był w tym i sybarytyzm jakiś, i wygodne sobkostwo.

Inna musi być funkcja pamięci w jego kraju, inne wnios-

li: należy wyciągnąć z tego, że ludzie pamiętają, muszą często wbrew sobie pamiętać, że noce wciąż mają, po latach, niespokojne, że dręczą ich zmory. Pamięć ta nie prowadzi do zasklepiania, do izolacji, ale do życia możliwie pełnego, życia stającego się zaprzeczeniem tego, co było, stwarzającego zabezpieczenie, aby to, co było, nigdy się więcej nie mogło powtórzyć.

Czy życie jego było właśnie takie, czy nie odbiegało bardzo daleko od narzucającego się z nieodpartą logiką aktywnego wzoru? Musi istnieć jakaś rekompensata choćby za cierpienia takich Jabłońskich...

Kawa stygła, leżały przed nim ciągle te same kartki zapisanego papieru, notatki z tych dawnych, gorących dni, kiedy pierwszy raz czynem usiłovali stawiać tamę temu wszystkiemu, co łączyło się z wojną, okupacją, z obozem, ze śmiercią i nienawiścią. Czy wtedy też w pełni był sobą? Czy już nie zacieśniał swojej świadomości i nie ograniczał swych możliwości działania? Nie wszystko można dostrzec zza maczku notatek. Myśl naładowana teraz od nowa energią i wolą musi dopiero poszerzać obraz.

Suchy, surowy pokój. Wieleż w nim wszakże pogody, spokoju i ciepła.

Podława ta kawa dostępna w kraju. Ale o wieleż lepiej smakuje niż te najbardziej aromatyczne, wonne, luksusowe gatunki dostępne w każdym sklepiku w Zachodnich Niemczech. Także i w kawiarence mieszczącej się na parterze gmachów sądowych, gdzie toczy się rozprawa przeciw Schulmowsky'emu i innym esesmanom, oprawcom z koncentracyjnego obozu.

Nie chciałby dzielić z nimi smaku najlepszej, najwykwintniejszej chociażby kawy.

2.

— Nie, dyrektorze, nie musi bezwzględnie znaleźć się winny. Czasy, kiedy rządziła ta zasada, minęły.

A jednak, towarzysze, tak wężycie, szukacie dziury

w całym, jakbyście obawiali się uznać rolę przypadku w tej nieszczęsnej awarii.

Trzej przedstawiciele komisji powołanej do zbadania przyczyn pożaru od godziny okupowali gabinet dyrektora, dyskutując nad wynikami przeprowadzonych dochodzeń. Spokojni, opanowani, stanowili przeciwieństwo Przybyły, dyszącego ostatkiem nerwów i sił. Zziębnięci, spocony, mimo iż w gabinecie w ten późnocyficzny dzień wcale nie było za ciepło, odparowywał uderzenie za uderzeniem. Każde

kolejne pytanie zdawało mu się podchwytliwszym, w każdym zasłyszonym słowie doszukiwał się ukrytych podtekstów.

Przewodniczący komisji porozumiewawczo spojrzął na jednego z kolegów. Przybyła odczuł tę wymianę spojrzeń jak ciężar* aktu oskarżenia. W głowie mu huczało i wirowało, coś ją rozsadzało od wewnątrz, z największym wysiłkiem zbierał myśli.

Przewodniczący komisji, człowiek o małej, mającej coś lisiego w wyrazie twarzy, roześmiał się zjadliwie.

— Panie Przybyła, nic dotychczas panu nie zarzuciliśmy. Inna sprawa, że wyłania się szereg bardzo konkretnych pytań także w odniesieniu do pana... Naszą rzeczą zbadać każdy najdrobniejszy szczegół. Państwo poniosło straty. Domaga się odpowiedzi pytanie, czy rzeczywiście, jak wy twierdzicie, na skutek przypadku, czy też zaważyły tutaj konkretne niedociągnięcia. Istniały przecież dwa protokoły pokontrolne BHP w sprawie naprawy i rozbudowy urządzeń wentylacyjnych... Pozostaje również kwestia zabezpieczenia nie osłoniętych kabli. Tego, co prawda, wzmiankowane protokoły nie ujmowały.

Chwila wyczerpującej ciszy. Potem Przybyła głęboko, bardzo głęboko zaczerpnął oddechu. Głos jego był cichy, ale po uprzednim podnieceniu zaskakująco spokojny.

— Kiedy można oczekiwać skierowania sprawy do prokuratury?

—■ Nie jesteśmy przekonani, czy w ogóle dojdzie do tej ewentualności — przewodniczący komisji z nagłą spuścił

z tonu. — Jak się orientujemy, prokuratura prowadziła zresztą dochodzenie na własną rękę.

_Wiem o tym. Dochodziły mnie słuchy o osobliwych

pytaniach kierowanych do poszczególnych osób spośród załogi.

— To już nie nasza sprawa — mężczyzna o lisim wyrazie twarzy zamknął teczkę, starannie wiązał tasiemki u jej brzegów. — Dziękujemy za rozmowę. Musimy się jeszcze zastanowić, naradzić, o wnioskach powiadomimy pana jutro. Nie wie pan, zastaniemy inżyniera Krajewskiego?

— Proszę się poinformować u sekretarki, będzie lepiej zorientowana.

Cieniutkie uśmiechy. Zaraz potem dyskretne zamknięcie drzwi. Cisza. Spokój. Po dopiero co minionych chwilach, jeszcze tułających się echemi po kątach, ten nagły spokój był tak zadziwiający, że Przybyła niedowierzająco rozejrzał się po gabinecie. Był sam, naprawdę sam.

Wyciągnął szufladę biurka, wyjmując stamtąd flakonik, z drażetkami uspokajającymi. Zawahał się, odłożył flakonik, zamknął szufladę. Niepotrzebnie. Niespodziewanie odpłynęło gdzieś zdenerwowanie, jak ręką odjął zniknęło napięcie. Coś się tutaj przełamało, już po kryzysie, teraz tylko konsekwentna decyzja. Jutro. Do jutra zatem będzie spokój.

Przystanął przy oknie. Parę dni temu sypano śniegiem,, miasto było zavalone grubą jego warstwą. Samochody nie mogły sobie poradzić w zwałach puchu na bocznych ulicach, grzęzły, trzeba je było wyciągać z suchej topieli. W centrum miasta na poboczach chodników rosły coraz wyższe przymy. Niebo nadal zwisało nisko nad ziemią, ale zrywający się wiatr zaczynał już rozpędzać chmury, tu i ówdzie Pojawiały się intensywnie błękitne skrawki nieba.

Wpatrzył się w jeden z nich. Szary kolor chmur silnie kontrastował z głębią ostro rzuconego błękitu. Z tego czystego fragmentu nieba spływało w niego uspokojenie. Nie chodziło już o nadzieję, że wyjdzie obronną ręką z tej sprany. Kie łudził się, znał dobrze mechanizm działania władzy..

13 Przejaśnia się niebo t. II

273.

Gdy zagęszcza się od komisji i inspekcji wszelkiego rodzaju, znak to, że ważą się gdzieś albo zapadły już nawet pewne decyzje, potrzebne są tylko dla ich ogłoszenia konkretne podkładki. Prawie osiemnaście lat sprawował rządy w elektrowni, poszerzone potem o cały pion energetyczny regionu. Kawał czasu. Pora odchodzić.

Chodziło o inny spokój. Że oto bez nerwów, bez tego obezwładniającego wewnętrznego napięcia mógł już spoglądać na rozwój wydarzeń. Coś się w nim przełamało. Może stopień napięcia ostatniego okresu był tak silny, że w pewnym momencie jako antidotum musiało wystąpić zobojętnienie wraz z przytępieniem wrażliwości? A może w końcu pewien błąd mimo wszystko własnych racji i to przynosiło ulgę?

Mocniejszy podmuch wiatru szarpnął wysoko w górze chmurami, zakłębity się, zawirowały, wreszcie zgęściły znowu tak, że w zwartej płaszczyźnie zabrakło najmniejszych już zrąbków czystego błękitu. W powietrzu zawirowały wielkie, rzadkie płyty śniegu. Przybyła westchną, odszedł od okna.

W gabinecie zrobiło się mroczno. Przekręcił kontakt, pokój rozjaśnił się blaskiem lamp dyskretnie ukrytych za przesłonami podwieszonego dodatkowego sufitu. O te lampy kiedyś też była historia. Że wymyśli, marnowanie funduszy. Poprosił o wskazanie rubryki, uwzględniającej wydatek. Nie było. Zrobili to młodszy elektrycy w ramach rachunku gospodarczego. Co innego dywan, umeblowanie... Może przesadny ten wystrój, koszty nazbyt wysokie, ale jakże inaczej pracuje się w takich warunkach. Z najpierwszych powojennych lat pozostał w nim wstręt do prowizorki, do odrapanych ścian urzędowych pomieszczeń, nagich, nie osłoniętych żarówek, okien bez zasłon, rażących nie domowymi taflami szkła. Pewnie, gabinet dyrektorski był najbogatszy, ale i w całym zakładzie dbał o estetykę. Za jego plecami, widział to, popukiwano się w czoło, gdy dyrektor sprowadzał do maszynowni palmy jakimś cudem ocalałe w Żaganiu z zawieruchy wojennej, gdy na szerokim placu kazał rozsta-

v>'iać kosze z kwiatami i pielęgnować rabaty. Ściany wewnętrznych pomieszczeń weseliły się jasnymi kolorami, wszystko co roku odnawiano starannie, malowano i pucowano.

__ Pół życia tutaj spędzamy, niechże będzie weselej i ładniej __ odparowywał cierpkie uwagi. — Stać nas na to, tyle dokonaliśmy w Polsce, że można już myśleć także o tym, by było w niej ładniej.

Nie wiedział, jak reagują inni na te same zjawiska. Dla niego zewnętrzne oznaki ładu, porządku, czystości, stawały się czymś znacznie więcej niż tylko osobiste upodobania dyrektora. Podkreślały niejako dystans od dawnej łatwizny, doraźnego działania. Stawały się elementem stabilizacji. Tak jak każda nowa turbina, jak dodatkowo wyprodukowana energia, jak każdy słup linii wysokiego napięcia.

Inni widzieli przesadę w tej dostojności stwarzanej jakby dla dodania splendoru dyrektorskiemu urzędowaniu. Bąkano o wyseparowaniu się Przybyły z robotniczego środowiska, o niedostępności, izolowaniu za ścianami pięknie wyposażonego gabinetu. Docierały do niego takie opinie, trochę się złościł, potem wzruszał ramionami. Niech sobie gadają. Dyrektor, taki lub inny, to nie tylko sprawa osoby, ale sprawowanej funkcji, kwestia godności urzędu. Nie można być zawsze tak, że każdy z każdym na ty, każdy działa na własną rękę...

Jakby nowymi oczyma oglądał gabinet. Ciepło, swojsko, dobrze się tu urzędowało, dobrze myślało nad sprawami zakładu. Nie potrzebował wstawać teraz z fotela, podchodzić do okna, za którym rozszalała się od nowa śnieżna zawieja, wyglądać na plac, na maszynownię, na ciągi linii wysokiego napięcia. Znał to na pamięć, od pierwszych słupów stawianych przez nich, od pierwszych zwojów drutu zawieszanych niezbyt wprawnie pod grozą ostrzału hitlerowskich niedobitków. Siadu nie zostało po tamtej linii... Rozrosło się wszystko i spotężniało. Prawie osiemnaście lat. Jakby dziecko, chuchane, pieszczone, ukochane serdecznie...

A teraz trzeba to będzie opuścić, odejść przedwcześnie. Chciał wyczekać jeszcze kilka tych lat, do emerytury, by-

18*

275

laby uroczystość, może mały bankiet, mówki, wspomnienia. Sumowano by wszystko co dobre, o niedociągnięciach •czy błędach nikt by nie pamiętał.

Skrzywił się. Pewnie, nie wszystko wygląda idealnie. Nie miał możliwości. Jedne potrzeby goniły za drugimi. Fundusze były nazbyt mizerne, pilniejsze sprawy spychały mniej pilne... Wentylacja, pochłaniacze kurzu, tamci mówili, dwa protokoły komisji BHP. Nie tylko dwa, nie tylko z BHP. Sam o tym również pamiętał... Krajewski przestrzegał, upominał. Ale zajęci byli montażem turbiny, przygotowaniem stanowiska pod nową, elbląską, z Zamechu, wyłoniła się konieczność budowy dalszej linii przesyłowej, były kłopoty z kablem... .Coś należało odłożyć na później. Osiemnaście lat bez żadnej tego typu awarii, pech, że musiała się zdarzyć teraz... Złe zabezpieczenie przewodów, kable luźno .zwisające, stąd pożar, gdy dostała się iskra, zwarcie, katastrofa... Pewnie, należało, sam wiedział. Na wiosnę chciał przeprowadzić te naprawy. Nie doczeka już wiosny na swojej funkcji. Kto inny będzie kierował tymi pracami. Ktoś młodszy. Krajewski, może ktoś inny. Stara kadra, lepsza ■czy gorsza, odchodzi.

Pamiętał takie, zebranie, raczej towarzyską rozmowę. W tym klubie Krupki przy bibliotece. Sporo się zebrało tych młodych, rozwodzili się nad potrzebą zmiany warty. Że to niejedni ze starszych zrutynieli, zasiedzieli się, nie widzą nowych potrzeb, zbyt przejęci są oglądaniem własnego pępka. - Grzecznie zaznaczali, nie tyczy to wszystkich... Ciąg ich wywodów. był wszakże przejrzysty. Czuł niesmak po tej rozmowie.

Żał odchodzić. Jakby dom opuszczać. Wygodny, ciepły, urządzone według własnego gustu. Może to prawda, że przesadnie dbał o swą wygodę, zarzuciła mu to kiedyś także i Ewka, i ona się buntowała... Samochód, kierowca, do biura i z biura do domu. Kawka o określonych godzinach, sanktuarium w gabinecie strzeżonym przez sekretarkę. Teraz ktoś inny wprowadzać będzie własny porządek. Nawet nie tego żał, ale marnujących się możliwości. Przedwczesna emery-

.276

tura. jeżeli w ogóle przyznają mu ją z łaski, brak roboty, do której się było przyzwyczajonym od lat, uczucie pustki, zagubienia w zmieniającym się świecie. Stare ramole... Słyszał gdzieś takie wyzwanie. Może i z niego ramol, ale przecież miał projekty, snuł nowe plany, włączył się w końcu do tej próby intensyfikacji ich rejonu, miasta i powiatu, momentami zapalała się w nim dawna pasja działania. Teraz nie będzie już gdzie jej wyładować...

Jutro przyjadą przynosząc ostatnie słowo. Z decyzją musieli już przyjechać z Warszawy, jakieś najwyżej małe modyfikacje, wybór jednego z wariantów. Najostrzejszy odpadł, skoro prokurator nie znalazł podstaw, by wszcząć postępowanie. Wcale nie taka pewna sprawa tych niedopatrzeń. W każdym razie zarzut musiałby zostać sprecyzowany ostrożnie. Więc raczej nazbyt zagrzane miejsce, folwark dyrektorski, konieczność odświeżenia kadr.

Tkwią pewnie teraz u Krajewskiego. Długo to trwa, nie słycać żadnego poruszenia w sekretariacie. Zatem nie wychodzili. Może Krajewskiego mianują nowym dyrektorem? Młody, to główny atut, przy tym fachowiec dużej klasy. Ambitny, twardy bardziej dla siebie niżeli dla innych... Jednak spełnią się jego słowa, napomknął kiedyś młodemu inżynierowi, że zajmie, być może, jego miejsce, obruszył się, zaprzeczył, ale fakty zostaną faktami... Same zbiegi okoliczności wszakże nie decydują. Zatem okaże się na ostatku, że i on też jest zwykłym...

Zawahał się, określenie nawet w myśli nie zostało wypowiedziane do końca. Krajewski chyba jednak nie okaże się takim chłystkiem. Pokazał w czasie awarii, kim jest naprawdę. Równy, swój chłopak. Jak ci młodzi z najpierw-szych lat, taki choćby Ferycki, można mu było w pełni zawierzyć, stawiać jak na siebie samego. Z tym, że ci dzisiejsi zyskali nowy atut w postaci fachowej wiedzy. Może i słusznie, nie, że nie zadowolają się marginesami.

Za oknem gęstniała śnieżycą, mrok oplatał wszystko szarzyzną. w gabinecie było jasno i dobrze. Aż dziwne, rozmyśla o smutnych sprawach, odprawia niejako akt poże-

gnalny, ale jest spokojny, jakby widział to wszystko z dy. stansu, albo jakby tyczyło to kogoś zupełnie innego. Nie przypuszczał, że wszystko zacznie załamywać się tak nagle i z trzaskiem. Przedtem Ewka, jej odejście, teraz awaria w maszynowni, dalsze jej skutki. Pruje się, jak stare ubranie, rozłazi w szwach wszystko, co montował przez lata z wysiłkiem i troską.

A szkoda, jednakże szkoda. Jak będzie się czuł bez tych zakładów, które własną dłonią dźwigał do życia, które były mu czymś najserdeczniej bliskim?

Tamci siedzą ciągle u Krajewskiego, o czymże mogą gadać? Młody jest, młode się buntować, dyktować warunki, dla niego zawsze gdzieś miejsce się znajdzie. Gorzej tym starym, którzy odchodzą.

Śnieg wciąż sypie. Zagrzebie ich, z powiatu już dochodzą niepokojące sygnały. Brygady awaryjne czuwają w pogotowiu. Wczoraj pękł kabel linii wysokiego napięcia. Pod ciężarem śniegu będą rwać się przewody. Masą tego śniegu, straszliwa masa.

Zerwał się, potrząsając w gniewie głową, rozeźlony na siebie. Dumki snują mu się po łbie, rozżala się i roztkliwia, zamiast myśleć o sprawach ważniejszych. Dach hali prowizoryczny jeszcze, słaby, może się zawalić pod zbyt wielkim ciężarem. Trzeba mobilizować ludzi, niech się drapią na dach i zrzucają śnieg na dół. Podjazdy trzeba odkopać...

Gdy w drzwiach gabinetu wydawał pannie Jasi zlecenia, otworzyły się przeciwległe drzwi, Krajewski wypuszczał swych gości. Skłonili się. Zdumiało Przybyłę, że przewodniczący komisji patrzył zupełnie inaczej, jakby życzliwie i bardzo ciepło.

— Kolego inżynierze!

— Słucham pana — Krajewski w półobrocie zatrzymał się w miejscu.

— Ogłaszamy stan pogotowia. Śnieg nas nie może zaskoczyć. Dwie ekipy niech jadą na główną linię...

— Właśnie zamierzałem przedłożyć panu projekt, jak wy-

obrażam sobie przeciwdziałanie. Pan dyrektor skoryguje, doda swoje uwagi, ruszymy ze sprawą z kopyta...

Przybyła skinął głową:

_ Potwierdzam. Nie musi mi pan pokazywać. Wiem, że

to będzie zrobione bezbłędnie.

Wolno przymknął drzwi gabinetu. Właściwie to naprawdę jest niepotrzebny. Krajewski pamięta o wszystkim. Wszystko wie. Może przejmować wartość.

— Skromniej w tym pokoiku u pana niż u kolegi Przybyły — zauważył któryś z członków komisji.

— Sprawy reprezentacji zakładów podlegają naczelnemu dyrektorowi, chyba zatem słuszny jest bardziej solidny wygląd tamtego gabinetu. Proszę, panowie pałą?

Przewodniczący komisji spojrzął na okno, za którym kłębiła się śnieżna kurzawa. Długo przyglądał się potem Krajewskiemu.

— Pan pracuje już tutaj około dwóch lat, o ile się nie mylę... — I zaraz z nagłą przeszedł na inny ton, surowy, rozkazujący. — Proszę, może pan zechciałby naświetlić swe stanowisko odnośnie do awarii. Bardzo jesteśmy ciekawi pana opinii.

— Chyba dyrektor Przybyła wystarczająco już panów poinformował? Podzielam całkowicie to stanowisko. Zatarcie generatora wydarzyło się na skutek przypadku, bardzo możliwe, iż jakiś defekt

materiałowy, fachowcy z wrocławskiego Dolmelu mają zbadać tę sprawę. W każdym bądź razie nie można tu mówić o czyjejkolwiek winie.

- A pożar? Złe zabezpieczenie kabli, słaba wentylacja, jak pan to widzi?
- Na pewno jako zaniedbanie, wynikię zresztą nie z naszego lekceważenia, a z obiektywnych trudności. Planowaliśmy generalne porządki w tym zakresie dopiero na wiosnę. Kable przeciągaliśmy pilnie, związani bezwzględными terminami uruchomienia nowych linii. Cała jesień zaznaczała u nas wzmożoną pracę.

- Zalecenia BHP? Jaki pan zajmował do nich stosunek >
- Identyczny ze stanowiskiem dyrektora. Rzecz jest p0_ ważna i w najbliższej kolejności trzeba się będzie nią zająć Kończyliśmy plan elektryfikacyjny...
- Wyskoczyliście daleko nad plan. Jakież ambicje lo_ kalhe.
- Te sprawy odbywały się poza czasem normalnej pracy. Czyn społeczny załogi. Jedno nie kolidowało z drugim.
- Jak widać ze skutków, musiało kolidować.
- To już wniosek wysnuty ex post.

Członkowie komisji porozumiewawczo spojrzeli po sobie. Jegomość o lisiej twarzy leciutko poruszył głową.

- Imponuje nam pana solidarność. Choć nie jestem pewien, czy jest tak bardzo na miejscu... Dla nas sprawa w zasadzie jest prosta. Zastrzegając dyskrecję, pragniemy poinformować pana, inżynierze, w jakim kierunku skłaniają się nasze wnioski. Oczywiście, zatwierdzi je centrala w Warszawie.
- Słucham pana.
- Odpowiedzialność za złe zabezpieczenie przewodów, co stało się przyczyną pożaru...
- Przepraszam, przyczyna leżała w defekcie generatora.
- Gdyby nie było źle zainstalowanych kabli...
- To ogień mógłby ogarnąć, powiedzmy, stropy lub inne części łatwiej podatne ogniowi.
- Uparty pan jest, inżynierze... Wracam do sprawy. Odpowiedzialność, naszym zdaniem, ponosi tu dyrektor Przybyła. Pan nam nie powiedział pełnej prawdy, kolego Krajewski. W aktach znaleźliśmy pana opinie o konieczności natychmiastowych prac zabezpieczających w maszynowni.
- To należało do mnie jako do technicznego.
- Decyzja pozostawała jednak w gestii dyrektora Przybyły.

— Mówiłem, mieliśmy pilniejsze zadania, nie mogliśmy rozpraszać się. Całkowicie aprobowałem decyzje dyrekcji.

— Może ja skończę, a pan łaskawie nie będzie mi przez moment przerywał — zezłościł się przewodniczący.

___przepraszam, zastrzegając sobie wszakże prawo sprecyzowania na końcu własnej opinii.

___ To oczywiste. Odpowiedzialnością skłonni jesteśmy

obciążyć dyrektora Przybyłę. Za zlekceważenie zaleceń inspekcji BHP. Awaria przyniosła w konsekwencjach poważne straty. Gdyby nie postawa załogi i dobrze pomyślana akcja ratownicza, kto wie, czy w ogóle elektrowni nie należałoby spisać na straty. Zdecydowaliśmy się wystąpić z wnioskiem o pozbawienie kolegi Przybyły funkcji dyrektora zakładów... Forma pozostaje do uzgodnienia. Pamiętamy zasługi dyrektora, na Jffiwno olbrzymi wkład wysiłku i energii. Zaproponujemy mu odejście na własną prośbę, powiedzmy, z uwagi na zły stan zdrowia. Pozostaje do dyskusji kwestia, czy przekazać mu inną mniejszą placówkę, czy raczej zaproponować przejście w stan spoczynku: zdrowie, przepracowanie, istnieją różne preteksty... Zakłady proponowałibyśmy powierzyć panu, tymczasowo w charakterze p.o., zaznaczam tymczasowo, wniosek nasz będzie szedł w kierunku pełnej nominacji... W ogóle zależałoby nam, aby wszystko to minęło bez hałasu, bez komentarzy. Ostatecznie jedno jest pewne, iż nie było tutaj złej woli, że poza wymienionymi zarzutami nie znajdujemy, jak i poprzednie inspekcje, żadnych zastrzeżeń co do kierowania zakładami, odwrotnie, jest sporo spraw godnych uznania... Zatem, jakie jest pańskie stanowisko. Nie chodzi tu jeszcze o zasadnicze decyzje, ale o ogólną pana opinię.

Krajewski odetchnął głęboko, przez moment miał ochotę wybuchnąć śmiechem, prosto w dostojne twarze stołecznej komisji. Muszą podbudować swoją pracę, okazać się potrzebni, czujni, zdecydowani. Znaleźli kozła ofiarnego w biednym Przybyłe. Muszą przywieźć z sobą winnego. Zaraz utrze im trochę nosa...

— Przygotowałem się na panów wizytę. Tak jak uprzednio na rozmowy z prokuratorem... W aktach zakładu znalazłem ciekawe materiały... O, proszę, pismo sprzed czte-rech lat, ale mimo to wnioski nasuwają się dosyć wyraźnie. Odpowiedź centrali na szeroki plan modernizacji, wysu-

nięty przez nasze zakłady. Między innymi sprawy wentylacji, zabezpieczenia od ognia, automatów sygnalizacyjnych, właściwego odprowadzenia kabli. Odpowiedź jest generalnie odmowna, przesuwając wszystkie te zmiany na czas po zainstalowaniu czwartej turbiny... A jak panowie wiedzą, dopiero w bieżącym roku nastąpi montaż tej turbiny i rozruch. Proszę, przygotowałem kilka kopii. Tu jest oryginał...

Przyglądał się spod oka swym gościom. Uderzenie było mocne. Wyraźnie stropieni i zaskoczeni wczytywali się w okazane im pisma. Lisia twarz przewodniczącego wydłużyła się jeszcze bardziej.

— Tak — uderzył dłonią po aktach, może zbyt mocno. —

— Ten argument niewątpliwie stanowi mocny atut obronny zakładów. Wszakże w tym samym piśmie znajduje się zdanie, mówiące o potrzebie przeprowadzenia do czasu generalnej modernizacji wszystkich prac zabezpieczających zgodnie z właściwymi instrukcjami...

— Furtka dla autorów pisma. Ale logicznie to punkt zaprzeczający całej treści poprzedniej.

— Nam wszakże ten punkt wystarcza, dając dostatecznie mocną podstawę prawną.

Krajewski wybuchnął swoim niepohamowanym śmiechem, że zadudniło w pokoju. Członkowie komisji obejrżeli się po sobie ze zgorzonymi minami. Sekretarka nasłuchująca za drzwiami odetchnęła z ulgą. Jeżeli inżynier się śmieje, nie jest tak bardzo źle.

— Przepraszam, ale panowie sami przyznają, że to zabawne... — usprawiedliwił się, śmiejąc się nadal. Nagle ogarnął go przypływ dobrego nastroju. Ostatecznie nie ma nic do przegrania, może rzucić wszystkie swoje atuty na stół. Osobistą decyzję ma już za sobą. — Wracając do meritum sprawy. To znaczy do wniosków panów dotyczących dyrektora Przybyły. Uważam, że są generalnie niesłuszne, więcej, straszliwie krzywdzące człowieka. Niech się panowie nie czują urażeni, byłem wszakże zapytywany o zdanie. Pan przewodniczący wspomniał o zasługach pana Przybyły, o potrzebie rozegrania sprawy bez hałasu, dy-

skrętnie-... Za tym kryje się wyraźnie niepewność, zdawanie sobie sprawy z gry niezbyt fair...

__ przepraszam, inżynierze, czy nie za daleko sięgają te wnioski?

_ ja też przepraszam. Mówię, co myślę. Zawsze tak

postępuję. Stwierdzić chcę pewne fakty, podkreślam, niezależnie od dawnych zasług pana Przybyły, niezależnie odc wkładu z tamtych lat, ostatecznie zasługi przeszłości nie mogą, nie powinny być źródłem przywilejów, o ile nie podpira tych zasług aktualna gorliwa praca. Od dwóch lat pracuję z dyrektorem Przybyłą. Dzięki niemu mogłem praktycznie wejść w to, co znałem wcześniej jedynie z teorii. On mi dopiero dał szkołę realnego działania, pokazał, czym jest energetyka na co dzień, od turbin, przewodów, linii, kabli, nawet od papierkowej roboty. Nie zawsze byłem pokornym uczniem. Umiał stanąć ponad to. Dlatego mogę tak mówić, czuję się upoważniony do podważania opinii panów. Uważam, niezależnie od tego, co się stało, a czemu zawiniłem wyłącznie ja, iż dla jakichś powodów chcecie panowie uczynić temu człowiekowi nieodwracalną krzywdę. Dyrektor Przybyła nie ponosi winy. W czasie akcji ratowniczej stanął na wysokości zadania, gdyby nie on, straty byłyby bezporównywalnie większe...

— Większa też byłaby wtedy szansa na wkroczenie prokuratury...

— Domniemanie. Zbyt wysoko stawiam władzę sprawiedliwości, by przypuszczać, że skłonna byłaby karać kogoś dla samej satysfakcji kary. Tak zdarzało się kiedyś, ale tamten okres mamy za sobą. Za sobą, szanowni panowie!

— Pan stwierdził, iż cała wina leży po pana stronie. Jak mamy to rozumieć?

— Byłem odpowiedzialny za sprawne działanie sieci wentylacyjnej, za zabezpieczenie kabli przed kurzem i wpływami atmosferycznymi. Nie uczyniłem tego, lekkomyślnie odkładając na okres późniejszy związane z tym prace. Jeżeli zatem trzeba wyciągać konsekwencje, to wyłącznie w stosunku do mojej osoby. Nie usłuchałem tutaj przedłożeń dy-

rektora Przybyły, a zwracał mi uwagę właśnie na Wentylację, na kable...

— Ma pan jakiś ślad tego na piśmie? — sceptycznie za-uważył przewodniczący.

— Bzdura! Dzieli nas tylko sekretariat, zbędna byłaby biurokracja w przesyłaniu wzajemnie do siebie pisemek.

— Dla nas dopiero taki ślad stanowiłby wszakże argu_ ment koronny. Inaczej rzecz staje się względna. To niezwykle szlachetne z pana strony, obrona kolegi i zwierzchnika. Niemniej wracamy do poprzednich przedłożeń... Jak pan widzi naszą, zaznaczam, luźną, jeszcze nie obowiązującą ofertę?

— Przejęcia kierownictwa zakładów?

— Tak.

— Najprościej. Stanowczo nie. Skoro uważam, że dyrektorowi Przybyłe działaby się krzywda, nie mógłbym przejmować jego obowiązków. Poza tym z chwilą wyciągnięcia sankcji w stosunku do jego osoby z miejsca składam swą rezygnację.

Chwila przedłużającej się ciszy. Za oknami mroczno od gęstwy sypiącego śniegu. Wyczuwalne się staje nerwowe napięcie. Członkowie komisji najwyraźniej są zaskoczeni.

— Pańskie stanowisko jak też uwagi związane z zaszłą awarią dają wiele do myślenia — cicho powiedział wreszcie przewodniczący. — Kto wie, czy nie zajdzie potrzeba zrewidowania naszych wniosków. Przypuszczam, że w tej nowej sytuacji nie przedłożymy panom naszego protokołu kontrolnego, a dopiero po naradzie w centrali, wraz z konkretnymi wnioskami otrzymają go panowie normalną drogą urzędową.

Krajewski skłonił się. Gdy goście podnieśli się z miejsc, odprowadził ich do drzwi. Był poważny, aż się sekretarka zdumiała patrząc na jego ściśniętą twarz.

W drzwiach swego gabinetu stał Przybyła.

— Kolego inżynierze!

— Słucham pana... — odpowiedział Krajewski.

3.

Początkowo nastrój wyraźnie się nie kleił, ciążyła nad tym spotkaniem żywa jeszcze atmosfera ostatnich miesięcy.

Przyglądała się ojcu, zaafierowanemu, starającemu się sprostać sytuacji, jakiej nie przewidywał, przed którą się przecież wyraźnie bronił. Postarzał znacznie przez ten niedługi czas, posiwiiał mocno, pod oczyma ciemniały bruzdy, dłonie dygotały niekiedy leciutko. Przypomniała sobie niedawne sny czy majaczenia o rodzicielskim domu. A jednak nieoczekiwanie stały się faktem: są z Edkiem w tym domur nikt ich tu nie wyklina, rodzice są serdeczni i mili, nawet Krychna pozbyła się nadąsanej miny.

— Edek, rozleżje wino, nie będziemy tak siedzieć o suchej gębie — trochę nadrabiając miną zahuczał Przybyła.

— Już się robi. Czy tej małej też można? Jeszcze nas posądzą o rozpijanie nieletnich — palcem wskazał w kierunku Krychny, cicha wojna pomiędzy nimi najwidoczniej nie zdążyła jeszcze wygasnąć.

— Ważniak. Sam ma mleko pod nosem — obruszyła się.

— Że przez przypadek awansowałeś na bohatera, to myślisz, że wszystko ci wolno?

— Daj spokój, nie lubię takiego gadania. Znudziło mi się. pieją wszyscy naokoło, jak bym nie wiedzieć czego dokonał. Zwykła rzecz, ojczę, co słyhać w zakładach? Jak po tej całej awarii, wszystko już dobrze?

— Chyba dobrze — westchnął Przybyła. — Ale kosztowało mnie to... — dłonią wskazał zbielełe włosy. — No i wy też, ciągle, nawet wbrew sobie o was myślałem...

— zastanowił się chwilę, spojrzął na zięcia. — Powiem ci prawdę, że nie tylko ta twoja historia wpłynęła na to, że zmieniłem do was stosunek. W ogóle do młodych. Jesteście inni, ale chyba nie tacy najgorsi. Zrozumiałem to. Dopomógł mi w tym najbardziej Krajewski, wiesz, mój zastępca, inżynier... Wtedy, jak zjechała z centrali komisja, mieli zamiar mnie wylać, sprawa właściwie była już przesądzona...

. &dek przysunął się wraz z krzesłem bliżej do teścia.

Słuchał zaciekawiony. Krychna szeptała coś z matką, Przy-byłowa potakiwała gorliwym kiwaniem głowy. Dziewczyn[^] po chwili podniosła się i na palcach, by nie przerywać ojcu. wysunęła się z pokoju.

Ewka odetchnęła. Teraz będzie miała trochę czasu tylko dla siebie. Edek zasłuchał się w słowa ojca, matka rozpromieniona spoglądała na ten obrazek. Boże, jaka ona jednak jest dobra i jaka przy tym naiwna...

Przyglądała się swemu chłopcu. Jakże go straszliwie kochała. Może teraz więcej niż przedtem, a może tylko dopiero na tle tego, co się zdarzyło, uświadomiła sobie poprzez lęk pełniej niż kiedyś siłę własnego uczucia. Lęk... To było Więcej niż lęk. Bała się, bała straszliwie, wyglądało, żeby nie silny organizm Edka, kto wie, jakby się to skończyło. Jeszcze i teraz błądy jest, wychudły, oczy mu tylko się palą...

Opowieść ojcowską znała ze szczegółami. Jeszcze ją nieraz usłyszy, ojciec zbyt silnie przeżył sprawę awarii, by do niej ciągle teraz nie wracać. Wolała myśleć o Edkowej przygodzie, która w konsekwencjach spowodowała — niech ojciec mówi, co chce, niech rozbudowuje swoją bajeczkę, że to Krajewski — że mogli wrócić do tego domu.

Ten pierwszy szok był przerażający. Późno w noc karetka pogotowia podjechała pod dom Marioli, ledwie przedarłszy się przez śniegi ich bocznej uliczki. Siostra szpitalna wypytywała o nią, ma się natychmiast razem zabierać, stan męża ciężki, nie wiadomo, czy przetrzyma do rana... Nie rozumiała, skąd Edek, skąd szpital, to chyba omyłka? Żeby nie Mariola, pognałaby pewnie w samej koszuli, tak się przejęła. Co z Edkiem, ranny, wypadek, katastrofa? Siostra była powściągliwa, niewiele można było z jej półśłówek wywnioskować. Tyle, że Edek jest od wczoraj w szpitalu, ratował kobietę z dzieckiem, ciągnął przez zaspy, sam jeden, odmrożenia, zapalenie płuc, jeszcze dziesiątki jakichś określeń. Musiała przecież słyszeć, nawet przez radio to podawali... Nic nie wiedziała, nie słyszała, jedno co docierało do niej, że z Edkiem źle, że mu grozi niebezpieczeństwo.

Dopiero później, gdy stan chorego przestał budzić obawy, z relacji zasłuchiwanym z różnych ust, z niechętnych wypowiedzi samego Edka, z opinii lekarzy, mogła sklecić pełniejszy już obraz tego, co zaszło. Jakże w niej wtedy narastała duma. Dzielny, kochany, jej, tylko jej chłopak.

Dostrzegł teraz, zasłuchany w relację Przybyły, czułe spojrzenie żony. Odpowiedział uśmiechem i łobuzerskim zmrużeniem oka. Zawsze był taki, nigdy nie potrafił być naprawdę poważny.

Siadu nie zostało po tamtych śniegach. Zasypały drogi, wiatrami zbijane w zaspy. Do wielu wiosek i porzrzucanych samotnie kolonii nie można się było dostać żadnym sposobem. Martwiła się, że Edek nie zjawi się na niedzielę, autobusy nie kursowały, nie wiadomo, czy pług śnieżny zdoła ją oczyścić drogi. Do szosy głównej z majątku też zresztą daleko. Śnieg wciąż sypie od nowa. Że też nie mogą jeszcze być razem. Edek postanowił, że sprowadzi ją na miejsce dopiero z wiosną, po co ma marznąć i grzęznąć w roztopach. Na niedzielę i tak zawsze będzie wracał do miasta. Podobała mu się ta robota, rysowały się nie najgorsze zarobki, lubił go majster w warsztatach, stary, wytrawny mechanik, z sympatią odnosił się kierownik Wiśniewski, można żyć jakoś na tej zabitej deskami wiosce...

Stawała w oknie i patrzyła na krajobraz zasnuty kłującą w oczy bielą. W tę niedzielę znów będzie sama wraz ze swoją tęsknotą. Trawił ją w te dni trudny do opanowania niepokój, wraz z Mariolą skłonna już była przypisywać to stanowi, w jakim się znajdowała, czwarty miesiąc ciąży, musi mieć wpływ na cały organizm... Siostra przybyła karetką w nocy z soboty na niedzielę. Okazało się, że niepokój jej był jednak uzasadniony...

Niedaleko majątku sporą gospodarkę prowadził Rzępik, jakiś dawny wojskowy. Żona jego oczekiwała lada dzień 'ozwiązania, coś siódme już dziecko. Bóle sparły ją w te największe śniegi, gdy komunikacja w powiecie uległa ■sparaliżowaniu. Stan położnicy tymczasem był gorszy niżeli zazwyczaj. Pojawiły się jakieś nowe w rodzaju bóle,

traciła kilkakrotnie przytomność, zdawała się mieć silną gorączkę. Przerażony Rzępik dobrnął do majątku, gdzie się znajdował telefon. Być może, uczynił to nieco późno z kierownikiem Wiśniewskim mieli na pieńku, nie chciał go prosić o łaskę, w ogóle się nie chciał spotkać. Ale tam też znajdował się najbliższy telefon. Pogotowie konieczne, z kobietą niedobrze, bardzo niedobrze. Wypytywano go o objawy, lekarz dyżurny zaklął coś w pewnej chwili, decydując, że bez zwłoki należy dostawić położnicę do szpitala. Droga nad wieczór oczyszczona została przez pług, główny trakt. Dalej jednak

samochodem dotrzeć nie sposób. Wóz zatrzyma się najbliżej miejsca zamieszkania Rzępika, tam muszą w jakiś sposób dostawić chorą.

Podobno koszmar jeden to był. Koń ciągnący sanie zapadał po brzuch, droga ginęła w śniegu, tylko miejscami wytyczały ją sterczące jak z toni czuby młodych, niedawno sadzonych drzewek. Kilku ich ruszyło Rzępikowi z pomocą. Łopaty, szufle, nie wiadomo też właściwie czemu jeden ze starszych pracowników doradził wziąć na wszelki wypadek zwykłe małe saneczki. Bo jeżeli koniem też nie poradzi? Rada ta miała okazać się zbawienną.

Koń grzązł, zapadał się, śnieg był wszędzie, obok, pod ninii, chwilami nawet nad nimi, zasypując chorą opatuloną na samach w kożuchy i koce. Leżała blada, z przymkniętymi oczyma, traciła przytomność, poznawali to po usta-Avaniu jej jęków, na krzyk sił więcej nie miała. Krok za krokiem odgarniali śnieg szuflami, ciężki, lepący się. Zapadali powyżej pasa, chwilami nikonęli niemal zupełnie w białej gęstwie. Od głównej szosy co jakiś czas długim klaksonem odzywała się karetka. Czekwała. Potem ją nawet widzieli, niby tak blisko, a tak zarazem straszliwie daleko. Krok za krokiem. Co odkopali, co koń podciągnął tych parę metrów, znów to samo. Z rozpaczą spoglądali na siebie. Nie poradzą. A jeszcze wicher się zrywał chłodny, przenikał na wylot. Dwóch musiało zawrócić, poodmrażali dłonie. Nie mogli już utrzymać styliska łopaty. Zostali we dwójkę z Rzępikiem. I położnica na saniach. Znowo jęczała. Śnieg zleżał na niej grubą warstwą, próżno ją strzepywali

co jakiś czas, wiatr po chwili nawiewał białą kołdrę od nowa. Rzępik gryzł wargi do krwi, dyszał, z chrzęstem wsysając powietrze. Nie dawał rady. Edek z przerażeniem oglądał się wtedy za siebie. Przekopany szlak znów był zawiany przez śnieg. A przed nimi wielka płaszczyna, wśród której drogę znaczyły wierzchołki drzewek. Coraz ciężiej było odgarniać śnieg, mróz lodowato ścinał gęsto pokapujący z wysiłku pot. Nie był najcieplej ubrany, w magazynie majątkowym brakło kufajek, dopiero oczekiwano ich nadesłania.

Za sobą usłyszał mocne stęknienie. Obejrzał się. Rzępik osunął się na śnieg. Nie miał już siły. Od szosy znów sygnał, karetka przydaje otuchy. Od tamtej strony też odkopują drogę, chcąc im oszczędzić choć niewielki kawałek roboty. Ale to tak bardzo jeszcze daleko...

Zacisnął pięści na stylisku, odgarniał szufla za szuflą. Jakże powoli, jak strasznie powoli oczyszczała się wolna przestrzeń. Koń dygotał, pot na jego grzbiecie zamarzł szronem. Posunęli się znowu o parę metrów. Edek musiał odpocząć, przystanął. Nie miał już sił. Rzępik jak nieżywy leżał w puchowej bieli. Gotów zamarznąć, przemknęło chłopcu przez głowę. Wtedy zdobył się na decyzję. Innej rady zresztą nie było. Ostatkiem sił zaczął oczyszczać szerszy teren, tak żeby można było zawrócić saniami. Czas mijał, wiatr jakby ustawał, ale praca stawała się coraz cięższa, każda następna szufla ważyła więcej, o wiele więcej. Jak przez mgłę patrząc uznał wreszcie, że starczy. Ostrożnie zawracał saniami. Udało się, nie ugrzęzły. Koń jakby nabrał otuchy, otrząsnął się, sam bez zachęty zrobił krok do przodu.

Pobłogosławił teraz radę starego, by zabrać małe saneczki. Ostrożnie zsunął na nie wybladłą, bez kropli krwi w twarzy kobietę. Ciężyła mu... A potem na duże sanie wciągnął Rzępika. Ten już odzyskał świadomość, próbował oponować, ze zsiniałych warg słowa wychodziły jak bełkot. Dźwigał się, ale przemarzłe, zeszywniałe na kość ciało nie bardzo chciało go słuchać.

— Jedź do wioski po pomoc. Powiozę ją na małych saneczkach. Dwóch nas tutaj nie trzeba.

Nie widział, że od majątku nadciągała cała gromada ludzi, zmobilizowana na pomoc. Zaciął konia. Sanie drgnęły, powoli pociągnęły powrotną drogą. Na szlaku został on sam z pojękującą chorą.

Zaprzężnięty do saneczek, zapadając w śnieżny puch, automat już właściwie, a nie czująca, reagująca istota, rwał krok za krokiem ku zbawczym sygnałom karetki. A tam kierowca i sanitariusz kopali od swojej strony. Musieli najpewniej zdawać sobie sprawę z tego, co się tu dzieje.

Nie wie, nie wie, jak dobrnął do tamtych, dowożąc chorą. Saneczki nie tonęły, łatwiej utrzymywały się na powierzchni. Jeszcze pomógł umieścić Rzępikową w samochodzie, dopiero zachwiał się, podtrzymywały go ramiona kierowcy, władowały do wozu.

Dwa razy grzęznął samochód w zaspach, parę dalszych godzin, a okaże się, jak daremna była praca śnieżnego pługa. Odkopywali boksujące nieprzytomnie koła. Lekarz niespokojnie popatrywał na zegarek, zaniepokojony stanem położnicy i kurczącym się czasem, zmniejszającym szanse uratowania życia chorej i tego maleństwa, które dopiero się miało narodzić. Z troską też przyglądał się białej twarzy młodego człowieka, który dopiero zdobył się na tak nieprawdopodobny wyczyn.

— To matka?

— Nie. Obca, w ogóle pierwszy raz dzisiaj ją zobaczyłem...

Okazało się potem, nabawił się odmrożenia policzków, uszu, stóp i dłoni. W nocy nastąpił silny atak gorączki, a za-tym utrata świadomości, majaczenia, zapalenie płuc z ostrymi komplikacjami, skoki pulsu, ciśnienia, zwariowane wahania temperatury. Pesymistyczna ocena lekarzy. Gwałtowne poszukiwania rodziny. Matka, okazało się, wyjechała, adresu żony nikt nie zna, łącznie z teściami. Wreszcie, na trzeci dzień, gdy stan krytyczny osiągnął swój szczyt, jakimiś drogami zdobyty został jej adres, pojechała po nią karetka.

pewnie traf tylko, że w jej obecności, po paru godzinach, nadszedł kryzys, organizm okazał się odporniejszy, niż można się było spodziewać. Życie Edka zostało uratowane. Ordynator, doktor Janina, zezwoliła jej przebywać przy chorym. Nocowała w szpitalu. Edek zaskakująco szybko wracał do zdrowia... Zaraz, ledwie tylko otworzył oczy, spytał o Rzępikową. Dobrze, dobrze, jeszcze był czas na operację, niemal ostatnie minuty. Żyje, dziecko też, tylko jemu oboje to zawdzięczają.

Rozniosło się szeroko o wyczynie jej chłopca. Najpierw radio podało to w komunikatach. Potem zjawił się reporter wojewódzkiej gazety. Sypnęły depeche. Wiceprzewodniczący Ferycki gratulował imieniem władz powiatu. Nieznani ludzie nadsyłali kwiaty. Wśród tych wiązanek największa, z pięknych róż, miała przypiętą karteczkę. Gdy Ewka ją odczytała zdumiała się, oczy jej zaszyły łzami. To były kwiaty od jej rodziców, Edkowych teściów. Na drugi dzień matka pierwsza się zjawiła na rekonesans, dopiero później przybył także i ojciec. Ucałował Edka, na nią zaś patrzył długo, wreszcie opuścił oczy, jakby się wstydził, zaszeptał:

— Jak tylko wróci do zdrowia, wracajcie do nas. Razem. A ciebie, Ewka, czekamy już każdej chwili.

Tak, to wszystko już było, minęło jak zły sen. Niepokój, zgroza, potem narastające radości. Edek szybko wracał do zdrowia, chociaż ciągle uważać musiał jeszcze na siebie, a leczenie odmrożeń potrwa długie miesiące. I oto dzisiaj są w dawnym jej domu, który staje się teraz wspólnym ich domem. Bo nie w tym rzecz, że Edek pragnie powrócić do majątku, tam zamieszkać wraz z nią, ale że ten dom rodzicielski jest na rozcież przed nimi otwarty. Jak dobrze, jak bardzo dobrze.

— Stanowisko Krajewskiego musiało zrobić wrażenie na tej komisji... Inaczej nie przysliby do mnie z tą sprawą, nie opowiedzieli całej historii. Stąd o niej wiem. Krajewski, znam go, nie bąknąłby słowem. Zdziwiony był i zły, że tamci się wygadali. Nie ma o czym gadać, burczał, gdy mu dziękowałem.

ir

291

— To znaczy, ojcze, że jest zupełny spokój? Nie ruszą ojca? — dopytywał się Edek.

— Na to wygląda. Był Krajewski w Warszawie, rozmawiał, powiedzieli mu, że potraktowano awarię jako niezawiniony przypadek. Myślę, że skończy się upomnieniem. Ale czekaj, nie o tym chciałem mówić... Widzisz, ja o Krajewskim różnie myślałem, nigdy nie umiałem go rozszyfrować. Jak w ogóle wszystkich was, młodych. I teraz jeszcze nie wszystko w was pojmuję. Wiem, że Krajewski dopomógł mi swoją postawą, uważam więc, iż nie należy się zbyt wiele dziwić, nie pomstować, ale przyjmować was takimi, jakimi jesteście. Czasem myślę, że jesteście może lepsi od nas, nie tylko inni. Bierzecie życie prościej, nie zagłądacie nieustannie w przeszłość, nie ciąży ona tak na was jak na starszym pokoleniu, które zbyt mocne cięgi dostało przez wojnę, by o nich zapomnieć. Nie znacie tych tęsknot, jak niektórzy ze starszych, za miejscami rodzinnymi, skąd przybywali na te tereny, wyście tu rodzili się czy też dojrzewali. Życie tym życiem, jakie jest, nie przesadzacie w sloganach, jesteście bardziej prości, uczciwsi... Musiałem przemyśleć od nowa sprawę Ewki i twoją. Jeszcze zanim dokonałeś swego bohaterskiego czynu...

— Ojcze, ja proszę, nie lubię tego. Dla mnie to było zupełnie proste.

— Powiem szczerze, jakoś mi to było nawet na rękę, twoja choroba. Ułatwiła mi pierwszy krok. Te kwiaty... Nie wiedziałem, jak mnie przyjmiecie, matka pierwsza cię odwiedziła, potem dopiero ja przyczłapałem. Wiesz co, nalej wina, jakby co, jest jeszcze jedna butelka w domu.

— Sodoma i Gomora — zamruczał Edek. Ewka wybuchnęła śmiechem.

Drzwi otworzyły się, wraz z Krychną wpakowała się do wnętrza jakaś para.

— Edek, nie gniewaj się, oni bardzo chcieli cię poznać. To moi przyjaciele... A na wkupienie mamy nieco tokaju.

— Jednym słowem zapowiada się wielki dzień... Upijemy na amen dyrektora Przybyłę — Edek był w doskonałym humorze.

Nie gniewasz się? Niechże cię ucałuję, tej Ewce na _Krychna pacnęła go wargami w same usta.

W innej sytuacji może by nie przeżył tak bardzo boleśnie nowej swej degradacji. Teraz jednak, gdy krótko po wyjściu ze szpitala, gdzie przeleżał dwa tygodnie, oznajmiono mu o przeniesieniu na etat nadzorcy transportowego, decyzja ta uderzyła w niego piorunem. Nic to, że w końcu trudno było nie zgodzić się z argumentami dyrekcji: do uczciwości jego nie mają zastrzeżeń, niemniej magazynierowi nie można wybaczać tak karygodnego niedbalstwa, jak zostawienie składu materiałów otwartego. Nie trzeba było milicyjnych oględzin: sam to przecie potwierdził, mówił o tym Sykała.

Wstydził się teraz spojrzeń ludzkich. Zdawało mu się, że wszyscy od techników i majstrów po chłopców-pomagierów pokpiwają z niego, śmieją się w kułak. Na domiar ciągle nie potrafił rozeznaczyć w swej robocie, zaczynał obawiać się, iż stworzono tę funkcję wyłącznie dla niego, po prostu z łaski. Nadzorca, to ładnie brzmi, ale jakież są jego zadania? Pilnować transportu takich materiałów jak cegły, zbrojeniowe żelazo, pustaki, cement, zważać na staranny wyładunek, na to, by konwojenci nie próbowali kantów? Ostatecznie było to coś jakby jakiś drugorzędny pomocnik magazyniera. Hela nazwała to najwyraźniej, w głosie jej nie było pretensji, a tylko nabrzmiała gorycz:

— Coraz to lepiej, Teodor! Ze starosty magazynierem, a teraz na stróża zeszedłeś...

Spuścił tylko głowę: cóż miał jej odpowiedzieć? Głupi był, głupi pozostał, dlatego tak go los bije. Gdy leżał w szpitalu, poza Sykałą odwiedził go tylko jeden z dawnych znajomych: sierżant Pędzik. Rozgadali się trochę o dawnych sprawach, zeszło im obu na wzdychanie. Bo i Pędzik, chociaż nadrabiał miną, nie entuzjasmował się swoją pracą.

— Żeby mi kto kiedy powiedział, że będę za takiego świeckiego proboszcza, w zęby bym trzasnął... A teraz ślu-

by dają, co drugi dzień nakładam paradne ubranko, zagajam takie maleńkie mówki o szczęśliwości małżeńskiej, gdy w duchu myślę sobie zarazem, kiedyż to ci sami przyjdą prosić o rozwód?

Tak, poza Sykałą i Pędzikiem nikt się nim nie zainteresował, gdy z rozwalonym czerepem leżał w szpitalu. Już też na tę głowę przez całe życie coś musi się walić. Kiedyś zasypała go hałda węgla, potem przy pożarze waliły się rozżarzone belki, teraz jacyś złodzieje prześwięcili go wcale niezgorzej. Może od tego bicia tak pusto i głupio w tym łbie?

Zmniejszyły się także zarobki. To go uderzyło najbardziej. Jak zmora wisiał nad głową dług u Maciaszkowej, przedsiębiorstwo przy każdej wypłacie potraçało raty z pobranej pożyczki.

— Nie pociągniemy tak długo, Teodor. Z wiosną pójdę - do ogrodów pracować... — urywała, obydwójce wszakże wiedzieli, że zdrowie na to jej nie pozwoli.

Co gorsze on sam teraz czuł się nietęgo! Być może przemarzył, leżąc na wilgotnej ziemi, nim go z niej podniosła milicja, którą sprowadził na budowę Sykała. Pocił się przy lada najmniejszym wysiłku, niekiedy ledwie starczało mu sił, by wlec nogami. Po śniegach i wichurach pojawiły się pierwsze roztopy, nocami wszystko znów podmarzało, tymczasem ogólny stan osłabienia nie mijał. Czuł się źle, straszliwie zmęczony. Jak nieprzytomny walił się do łóżka, ale wtedy sen go odbiegał, godzinami

przewracał się z boku na bok, nie mogąc odegnąć smętnych myśli, osaczających go ze wszystkich stron.

Ucieczki szukał we wspominkach. Pojawiała się przed oczyma Łódź, rodzinne Bałuty, wiele lat tam nie był, podobno zmieniło się, ani rozpoznać, na miejscu ruder nowe domy, zielono, jasno. Wtedy ponuro tam było, brudno, gnieździła się na kupie biedota. Ale to mu jakoś nie przeszkadzało. Umiał się śmiać, nawet wtedy, gdy było najgorzej. Wkoło byli swoi, którym się tak samo nie przelewało i tak samo traktowali otrzymanie pracy jako najwyższe szczęście, łączyły te same tematy w rozmowie, podobne

ciechy i smutki. Razem szli, młody jeszcze był, bardzo młody, w pochodzie pierwszomajowym, tak, to wtedy oberwał pierwszy raz po łbie od policjanta, od uderzenia gumowej pałki długi czas pęczniała na głowie potężna, nalana krwią kicha. Przy wyborach do rady miejskiej rozdawał ulotki, utyskiwał potem jak inni, gdy niezależnie od wyniku, niewiele się w ich życiu zmieniło. Tam, na Bałutach były pierwsze dziewczyny, nie gdzie indziej poznał też Helę. A potem wojna, okupacja, już nie Łódź, Litzmanstadt, wreszcie wyzwolenie zbliżające się z każdym dniem, z każdym podmuchiem wiatru od wschodu. Aż wreszcie apel o wyjazdy na ziemie odzyskane. Pionierskie montowane ekipy. Zgłosił się w pierwszych zaraz dniach.

Ten okres też się znaczył w pamięci ciepłą nutką. Cóż z tego, że jak i kiedyś, znów tkwił przy szuflach kotłowni, gdy zarazem obok leżał karabin, gdy wszyscy byli ze sobą zgrani, tworzyli grono przyjaciół. Każdy wtedy chwycił się za każdą robotę, szufla nie szufla, papierki nie papierki. Gorąco, nieraz bardzo gorąco. Pierwsza turbina, napad niemiecki, pomoc radzieckiej jednostki i nagle, zupełnie już niespodziewanie, jasne, oślepiające światło. Warto żyć było dla takich spraw, machać bez przerwy ciężką, masywną szuflą...

A potem... Tu już myśl zaczynała zasnuwać się najpierw szarzyzną, by wreszcie szernieć ponuro. Porwali się wokoło do nauki, starzy i młodzi. Taki Felek Ferycki, dziewczyny, wszyscy. Poszedł na rozmowę do profesora Zawilskiego. Porządny był człowiek, jakiś czas później, po zdjęciu Lisiewicza, burmistrzował miastu... Hela pokrzykiwała, gdy do późna w noc zasiadywał się nad książkami i notatkami. Pewnie, ciężko szło, ale z wolna przedzierał się przez obcy, nieznan mu gąszcz problemów i pojęć. Najtrudniejsze były te arytmetyczne zadania tekstowe. Co to sobie głowy nałamał nad nimi. Jeszcze do dziś pamięta niektóre. Wtedy zdarzyła się katastrofa samochodowa, w której zginął starosta Zielniak. Traf chciał, że o nim samym było w mieście głośno po uratowaniu dzie-

by daję, co drugi dzień nakładam paradne ubranko, zagajam lakie małeńkie mówki o szczęśliwości małżeńskiej, gdy w duchu myślę sobie zarazem, kiedyż to ci sami przyjdą prosić o rozwód?

Tak, poza Sykałą i Pędzikiem nikt się nim nie zainteresował, gdy z rozwalonym czerepem leżał w szpitalu. Już też na tę głowę przez całe życie coś musi się walić. Kiedyś zasypała go hałda węgla, potem przy pożarze waliły się rozżarzone belki, teraz jacyś złodzieje prześwięcili go wcale niezgorzej. Może od tego bicia tak pusto i głupio w tym łbie?

Zmniejszyły się także zarobki. To go uderzyło najbardziej. Jak zmora wisiał nad głową dług u Maciaszkowej, przedsiębiorstwo przy każdej wypłacie potrącało raty z pobranej pożyczki.

— Nie pociągniemy tak długo, Teodor. Z wiosną pójdę - do ogrodów pracować... — urywała, obydwójce wszakże wiedzieli, że zdrowie na to jej nie pozwoli.

Co gorsze on sam teraz czuł się nietęgo! Być może przemarzł, leżąc na wilgotnej ziemi, nim go z niej podniosła milicja, którą sprowadził na budowę Sykała. Pocił się przy lada najmniejszym wysiłku, niekiedy ledwie starczało mu sił, by wlec nogami. Po śniegach i wichurach pojawiły się pierwsze roztopy, nocami wszystko znów podmarzało, tymczasem ogólny stan osłabienia nie mijał. Czuł się źle, straszliwie zmęczony. Jak nieprzytomny walił się do łóżka, ale wtedy sen go odbiegał, godzinami przewracał się z boku na bok, nie mogąc odegnać smętnych myśli, osaczających go ze wszystkich stron.

Ucieczki szukał we wspominkach. Pojawiała się przed oczyma Łódź, rodzinne Bałuty, wieleż to lat tam nie był, podobno zmieniło się, ani rozpoznać, na miejscu ruder nowe domy, zielono, jasno. Wtedy ponuro tam było, brudno, gnieździła się na kupie biedota. Ale to mu jakoś nie przeszkadzało. Umiał się śmiać, nawet wtedy, gdy było najgorzej. Wkoło byli swoi, którym się tak samo nie przelewało i tak samo traktowali otrzymanie pracy jako najwyższe szczęście, łączyły te same tematy w rozmowie, podobne

294

ciechy i smutki. Razem szli, młody jeszcze był, bardzo młody, w pochodzie pierwszomajowym, tak, to wtedy oberwał pierwszy raz po łbie od policjanta, od uderzenia gumowej pałki długi czas pęczniała na głowie potężna, nalana krwią kicha. Przy wyborach do rady miejskiej rozdawał ulotki, utyskiwał potem jak inni, gdy niezależnie od wyniku, niewiele się w ich życiu zmieniło. Tam, na Bałutach były pierwsze dziewczyny, nie gdzie indziej poznał też Helę. A potem wojna, okupacja, już nie Łódź, Litzmanstadt, wreszcie wyzwolenie zbliżające się z każdym dniem, z każdym podmuchiem wiatru od wschodu. Aż wreszcie apel o wyjazdy na ziemie odzyskane. Pionierskie montowane ekipy. Zgłosił się w pierwszych zaraz dniach.

Ten okres też się znaczył w pamięci ciepłą nutką. Cóż z tego, że jak 1 kiedyś, znów tkwił przy szuflki kotłowni, gdy zarazem obok leżał karabin, gdy wszyscy byli ze sobą zgrani, tworzyli grono przyjaciół. Każdy wtedy chwycił się za każdą robotę, szufla nie szufla, papierki nie papierki. Gorąco, nieraz bardzo gorąco. Pierwsza turbina, napad niemiecki, pomoc radzieckiej jednostki i nagle, zupełnie już niespodziewanie, jasne, oślepiające światło. Warto żyć było dla takich spraw, machać bez przerwy ciężką, masywną szuflą...

A potem... Tu już myśl zaczynała zasnuwać się najpierw szarzyzną, by wreszcie szernieć ponuro. Porwali się wokoło do nauki, starzy i młodzi. Taki Felek Ferycki, dziewczyny, wszyscy. Poszedł na rozmowę do profesora Zawilskiego. Porządny był człowiek, jakiś czas później, po zdjęciu Lisiewicza, burmistrzował miastu... Hela pokrzykiwała, gdy do późna w noc zasiadywał się nad książkami i notatkami. Pewnie, ciężko szło, ale z wolna przedzierał się przez obcy, nieznan mu gąszcz problemów i pojęć. Najtrudniejsze były te arytmetyczne zadania tekstowe. Co to sobie głowy nałamał nad nimi. Jeszcze do dziś pałęta niektóre. Wtedy zdarzyła się katastrofa samochodowa, w której zginął starosta Zielniak. Traf chciał, że 0 nim samym było w mieście głośno po uratowaniu dzie-

295

ciaka z pożaru. Ładny dzieciak, kryminalista dzisiaj, odsiaduje wyrok za napad, własna matka tak go wykierowała... Ta historia przyczyniła się do gdzieś poza nim zapadłej decyzji: Budniak starostą. Przestraszył się, bał się nie podoba, głupi jest, nieuczony, jakże tak, prosto od szufli... Najbardziej bolał, że trzeba będzie zerwać z nauką. Nie pomogły tłumaczenia. Przekonywali, że to obowiązek muszą na czele stać swoi, oddani ludzie, rewolucja w naszym kraju wciąż trwa. Należy zrezygnować z osobistych ambicji...

Jakie właściwie było to jego starostowanie? Powoli się wkręcał w pogmatwane, często niezrozumiałe papierki. Kę-drzyk mu wiele dopomógł. Urzędował z jego i innych pomocą. Starał się ludziom pomagać. Często narażał się, nie zawsze się godził z wszechwładną naonczas tezą, iż interesy jednostek należy podporządkowywać zawsze ogólnej sprawie. Sądził naiwnie, że interesy ogółu powinny pokrywać się z interesami jednostkowymi. Nie raz dobrze mu uszu natarto.

Później coraz bardziej kruszyć się zaczął zakres jego władzy. W każdej sprawie z góry już nadchodziły szczegółowe decyzje. Dziwaczne niekiedy. Znów konflikty, starcia, wręcz niedwuznaczne groźby. Widział na przykładzie innych, jak łatwo o ich spełnienie. Aż się zaczęła zaciskać sieć oskarżeń. Musiał odejść. Brak pracy, rozpaczliwe jej szukanie, wszędzie tylko wzruszanie ramion. Niby tak, jak kiedyś, jakże dawno już temu, w rodzinnej Łodzi, ale jak zarazem inaczej.

Głupi był, nieuk. Nie dano mu wyrwać się z kręgu ciemnoty. Z konieczności zerwał z nauką, nigdy już do niej nie wrócił. Nie stało czasu, zabrakło sił. Inni byli mądrzejsi, potrafili pogodzić jedno z drugim. Taka Halina, nie załamała się po śmierci Zielniaka, urodziła dziecko, pojechała w świat, jest teraz sędzią... Ferycki, szczeniak, inspektor osadnictwa, pracował i uczył się jednocześnie. Dziś jest zastępcą starosty, a przecież inaczej to teraz wygląda niż wtedy. To naprawdę wysoki urząd, gdzie trzeba coś umieć.

296

Inni jeszcze, dziesiątki można by wymieniać. Przez naukę doszli do czegoś. On zaś szczęśliwy był gdy się dochraDał magazyniera. Ale i to mu zabrano.

Dzieci własnych nie potrafił wychować. Nie miał dla nich czasu. Z Tomkiem też mogło być różnie, chłopak okazał się twardszy, wziął się w garść, pracuje i uczy się zarazem w stoczni szczecińskiej. Stefkę zmarnowali, on i Hela. Już nie to, że mało co umie. Na domiar złodziejka, żyje z jakimś łobuzem, łajdakiem. Jedno wiąże się z drugim, tego już nauczyło go życie. Gdyby nie historia ze Stefą, nie zapomnieliby o zabezpieczeniu magazynu. Ale wtedy tylko ona była mu w głowie...

Ze starosty na stróża, dobrze Hela to określiła. Lepiej byłoby, gdyby został wtedy przy szufłowaniu i uczył się zarazem przy tej ciężkiej robocie. Pomalutku, szczebelek za szczebelkiem, dźwigałby się w górę nie dzięki przypadkowi, ale w imię tego, co umie naprawdę. A tak cóż, pionek rzucany dłońmi tych, którzy ustawiali ludzi zależnie od koniunktury, od mody. Ot, trzeba było starosty z awansu, robotnika, człowieka o dobrej opinii, sięgnęli po Budniaka. On sam najmniej ich chyba obchodził. Choć może i to także nieprawda. Taki Wlazło to był porządny człowiek, to samo Lisiewicz, którego również życie zbyt nie głaskało. Ale nie oni decydowali, ich też wiązały poszczególne etapy, różne decyzje. Sami mogli chcieć jak najlepiej, cóż, wyszło inaczej...

Bijąc się z tymi myślami przewracał się z boku na bok. Czas mijał, stary zegar, jeszcze po babce, wydzwaniał swoje godziny. Czasem szary brzask zaglądał przez okno, gdy sen dopiero zaczynał go

morzyć. Ale wtedy trzeba już było wstawać. Taki dzień, bywało, mijał potem trudniej od innych, wszystkie dolegliwości dawały w dwójnasób znać

0 sobie.

Jak nigdy przedtem, nie śpieszył teraz z pracy do domu. Zabrakło w nim tej atmosfery, w której czuł się dobrze

1 odpoczywał. Bo teraz cóż? Spotka go Hela, po historii ze Stefką nie utyskująca tak nudno jak niegdyś, ale tylko

297

spoglądająca smutnymi, rozszalonymi oczyma, snująca się po domu jak cień. Minie się może ze Stefką, która woli raczej unikać ojca, słyszał kilka razy, jak wracała późno w noc. Raz i drugi zrobił jej awanturę, potem dał spokój, i tak to nic nie pomogło.

W tamtych dniach też nie brak Stefy go obszedł, ale zachowanie Heli. Dziwna była, mijała go bokami, kryła oczy, wydawało mu się, ma je zaczerwienione, jakby płakała. Próbował wypytywać, wymówiła się złym samopoczuciem.

— Gdzie się Stefa podziewa? — zagadnął ostrzej któregoś wieczora.

Zabiegała oczyma.

— Wiesz przecież, pracuje w tym „Samie” nocnym. Na drugiej zmianie, kończą o dziesiątej. Póki uporzędkują wszystko, zamkną, jest blisko północ...

Długo tak trwać jednak nie mogło. Rzecz była nad siły kobiety. Jak zresztą dałoby się to ukrywać? Milicja przychodziła dwa razy, szczęśliwie zawsze pod nieobecność Teodora. Przygnała też tamta kobieta, groziła, płakała na przemian, pokrzykiwała, że to przez Stefę, zdziurę jakąś, wszystko się stało, dla niej kradł, dla niej rzucił dzieci i żonę... Musiała wyjawić mężowi prawdę.

— Teodor — wyrzuciła wreszcie z siebie po długim krążeniu. — Stefa uciekła razem z Masłowskim

— Co?

— No, mówię, zabrała wszystkie swoje rzeczy i pojechali razem. Bo jego szukają za jakieś wielkie kradzieże. Musiał uciekać. Zabrała się z nim razem...

Nie patrzyła na męża, osłupiałego, zdruzgotanego i tą jeszcze nowiną. Jednym już ciągiem, załamany, na pół szepczącym, urywanym głosem zakończyła wreszcie relację:

— Jej też szukają... W tym „Samie” ukradła z kasy pieniądze...

Nic nie powiedział. Wolno, wolno ©Duszczał głowę. A potem złożył ją na rękach opartych na stole i Budniakowa usłyszała wtedy, pierwszy raz w życiu, płacz swego męża

298

4.

„Złota rączka” — mawiano o nim. Był najmłodszym majstrem pośród miejscowych murarzy. Ale gdy było trzeba, potrafił zgrabnie kłaść tynki, znał się na betoniarstwie, umiał bezbłędnie wylać lastrico. W przedsiębiorstwie kierowano go na najtrudniejsze miejsca, zawsze sobie poradził, przy nim inni też nabierali wigoru, starali się dostać do Sykałowej brygady.

Zarabiał dobrze, o wiele lepiej od innych. Przy jego nazwisku widniała najwyższa liczba przy każdej wypłacie. Nawet taki majster jak Feliksiak nie mógł mu nigdy dorównać. A jeszcze dochodziły te prywatne robotki, było ich coraz więcej, zwłaszcza od czasu, gdy ci i owi zaczęli budować sobie domki albo dokonywać generalnych remontów w budynkach odkupionych od państwa. Z jednej roboty, zdarzało się, szedł prosto na drugą. Tak było za kawalerskich jego czasów, podobnie w pierwszym okresie po ożenieniu. W branży murarskiej nie pamiętano weseliska aż tak hucznego. Miał za co stawiać młody małżonek.

Niedługo, a zaczęło się jednak coś psuć. Sykała coraz częściej odmawiał podjęcia prywatnych robót, zaraz po pracy gnał jak nieprzytomny do domu, zdarzało się, zrywał się nawet w ciągu dnia, patrzono na to przez palce, po takiej godzinie nieobecności z miejsca wyrównywał»chwilową zaległość.

— Świata za tą babą swoją nie widzi. Ubzdurał sobie, że mu rogi przyprawia, więc jej pilnuje. Nie chciałbym być w jej skórze — bąkali najbliżsi towarzysze pracy.

Głośno nikt nie ośmiewał się na jakieś uwagi czy pokpi-wuszki. Zwłaszcza od czasu, gdy jednemu z młodych murarzy oberwało się solidnie, trzy dni przeleżał w domu.

Z rzadka tylko, przy jakiejś popijawie, gdy Sykale mocno już uderzyło do głowy; zwierzał się bliższym kolegom:

— I czego jej może brakować? Domek jak cacko, pół roku przy nim się mozoliłem, ściany gipsowane, gładziutki jakby lakierem pociągnął. Wszystko urządzone tak, że tylko królować w takim mieszkaniu. Ogród duży, drzewa

299

i kwiaty, sam sadziłem, ściągałem, skąd można i nie można... Taką ogrodową azalię to z parku koło prezydium nocą ukradłem. Dla niej, powiedziała kiedyś, że lubi azalie... Okazało się potem, bajka, pierwszy raz zobaczyła ten kwiat u siebie w ogródku... Do roboty prawie nic nie ma, tyle co żarcie ugotować. Radio jest, książki może sobie czytać, chce na szmaty, daję, dwie szafy zapchane, ciągle jej mało. A niechby, młoda, ładna, zgrabna, niech się stroi. Żeby tylko tak nie strzygła oczami za każdym dziadem, żeby się nie uśmiechała do byle chłystka. Żebym mógł jej być pewny. A nie jestem.

— Nie gadaj, Murzyn, coś ci się musiało przywidzieć — obejmował go czule Feliksiak, dobrze już byli pod muchą, wiadoma rzecz, nowa wiecha, trzeba ją zapisać.

— Może i tak... Ale ja czuję przez skórę, że jest niedobrze.

A potem zrywał się i pędził do domu. Zastawał tam żonę samotną, czuł wtedy wyrzuty sumienia. Oto znudzona czeka na niego, ubrała się ładnie, w domu czyściutko, porządek, obiad gotowy, on zaś czyni jej swoimi przywidzeniami krzywdę. Czuły się wtedy robił bardziej niżeli zazwyczaj, zdarzało się, sam

proponował, że trzeba by jakąś nową sukienkę, materiał, sweterek, nowa pora roku się zbliża, wychodzili do miasta, dobrze było, wesoło, aż do chwili, gdy Jadźka zbyt się zapatrzyła na kogoś, uśmiechnęła do jakiegoś nieznajomego, strzeliła z nagła oczyma. Gdy jej wymawiał, zdumiona była, rozszerzały się jej wielkie, czarne źrenice.

— Józinek, co ty? Nie myślałam, że taki z ciebie zazdrośnik. Ja przecież świata poza tobą nie widzę...

Oddychał wszelako z ulgą, gdy znowu znajdowali się w domu, gdy na nikogo innego nie mogła spoglądać, ani tak dziwnie przymrużać oczu. Wtedy znowu wzbierał gniewem na siebie samego.

A później, w nocy, gdy zasypiała przytulona do niego, nie mogąc zasnąć, nasłuchiwał jej równego, spokojnego oddechu i poprzez mrok starał się wyławiać jej rysy. Półtora roku mijają odkąd się pobrali. Jakoś przedtem niewiele

300

ogłądał się za dziewczynami, pewnie, nie unikał ich, zdarzało się, pocałował i przytulił niejedną, były kawalerskie eskapady, ani zresztą zbyt częste, ani gorszące. O żeniactwie myślał jako o czymś porządkującym życie, z myślą o tej odległej, jak mu się zdawało, imprezie, odnawiał i urządzał dźwignięty z zupełnej dewastacji swój domek, sadił drzewa w ogródku, ale zarazem dobrze mu było samemu. Aż dopiero na jakiejś zabawie ludowej, latem, było to w lipcową rocznicę, przygrywała wojskowa orkiestra, zobaczył zgrabną, rozrosłą czarnulę, łuskającą płonącymi oczyma. Uroił sobie, że się uśmiecha do niego. Spodobała mu się z miejsca, ruszył ku niej, dość obcesowo odtrącając i grożąc połamaniem kości facetowi, który pragnął mieć do niej większe prawa. Tej nocy odprowadzał Jadzię do domu... W powrotnej drodze napatoczył się ten sam facet, już nie sam, z dwoma równie podpitymi towarzyszami. Zwykła zaczepka, by nie zaglądał w nie swoją parafię, a potem, potem poznali, że tym razem nie trafili na ułomka ani tchórza. Rozniósł ich zmuszając do ucieczki.

Zakochał się bez pamięci. Kiedyś podśmiewał się z innych, że świata poza tydkami jakiejś dziewczyny nie widzą, a teraz spotkało to samo i jego. Jeszcze bardziej szczeniacki był w swojej miłości. Ganiał z cukierkami i kwiatami, nadskakiwał przyszłym teściom, którzy zresztą z miejsca nie spodobali mu się, ale przecież nie ze starymi będzie się żenił, zresztą kroił się im przeprowadzka aż do Gryfina, byliby daleko, niegroźni... Potem ten ślub, huczało na całą ulicę, połowa budowlanego bractwa się zesza, Jadźka siedziała uśmiechnięta, szczęśliwa pośród całej tej zgrai, wdzięczyła się i strzygła do wszystkich oczyma. Wtedy nie miał jej tego za złe, sądził, że to z radości...

Po roku pożycia się zaczęło. Wtedy jeszcze przyjmował dodatkowe prywatne roboty, było ich do wyboru, nareszcie zaczęli się ludzie budować wkoło coraz śmieiej, wracał więc późno do domu, zdarzało się, przy świetle pracował... Raz i drugi nie zastał żony w domu, u koleżanki była. Zastanowiło go tylko, choć niczego nie podejrzewał, czemu Jest jakaś mniej czuła, nie garnie się do pieśczoł, jakby

301

zmęczona. Zakazał takich wieczorowych wypraw. To znów natknął się na młokosa, kuzyn, wytłumaczyła, z Wrocławia, wpadł odwiedzić, jest tu przejazdem, rodziców jej nie zastał, nie wiedział, że są w Gryfinie, ale zwiedził się skądś

0 jej adresie. Kuzyn był wystraszony, wymoczkowaty, Sykała z grzeczności postawił gościowi flachę wódki, ale tamten był nieswój, ciągle zerkał na drzwi... Jeszcze kiedy indziej cieśla z budowy znalazł się u nich pod nieobecność Sykały, niby z propozycją podjęcia się wspólnej fuchy, jakby to przed południem nie można się było zgadać.

Wtedy zaczęły go niepokoić te wszystkie sprawy. Zburzył żonę, zalewała się łzami, że ona niewinna, czego chce od niej... Zwracał teraz bacniejszą uwagę na uśmiechy, mizdrzenia się, na strzyżenie oczyma. Wkradł się niepokój, niepewność. Cienie przelatują zaczęły przez ogorzałą twarz Murzyna, jak go zwali koledzy. Zwierzył się ze swych obaw przed którymś z najbliższych.

— Bzdury pleciesz... Nudzi się kobiecie, to i wykrzywia głowę, ładną ma, więc nie żałuje uśmiechów... Ty byś jej znalazł jakie lekarstwo na nudę. Niechby za robotę jaką się wzięła, dzieci nie macie, a grosza nigdy w domu za dużo.

Późna to jesień była, natknął się przypadkiem na Krupkę, tego od biblioteki, kiedyś jeszcze znały się ich rodziny, młodzi zachowali dawną życzliwość. Gadu, gadu, okazało się, że Krupka szuka kogoś do prowadzenia bufetu. A może by żona Sykały? Robota przyjemna, zarobek niegorszy warto spróbować.

Jadźka, gdy dowiedziała się o tej propozycji, klasnęła w dłonie. On sam nie bardzo przekonany, wyraził zgodę.

1 odtąd wszystko potoczyło się jak najgorzej. Zaczęło się od tych późnych powrotów. Zdarzało się, wróciła raz i drugi aż po północy. Taki był bałagan, tłumaczyła, należało go przecież uporządkować. To znów kiedy indziej zasiedzieli się goście przy jakiejś naradzie, ciągle wołali o kawę, nie mogła ich samych zostawić... Gdy po nią zaczął przychodzić do klubu, jakoś mniej się zrębiło tej pilnej roboty, mogli wychodzić wcześniej. Potem już zjawiał się u Krupki, jak nazwał lokal „Przyjaciół biblioteki”, w różnych godzinach.

302

Zupełnie zrezygnował z prywatnych prac, nękaną niepokojem o Jadźkę. Wiedział przecież, że znalazł kobietę urodziwą jak rzadko, zgrabną, wszyscy za nią się oglądali. Kiedyś mu to imponowało, nadywał się wtedy, pysznił, później zaczęło to drażnić i niepokoić. W klubie też zbyt wielu znajdował takich, którzy przeprowadzali ją oczyma, gdy zwinnie poruszała się za swym bufetem czy między stolikami. Drażniło go poufałe: „Pani Jadziu”, rozlegające się z ust stałych klubowych bywalców, nawet wykład Krupki, że to normalne, że musi tak być, niewiele go uspokoił, coś niedobrego czaiło się w niektórych tych zawołaniach, w gestach, w spojrzeniach. Zwłaszcza gdy goście nie uświadamiali sobie, że na sali znajduje się mąż pięknej bufetowej... Inni, jeśli nawet wiedzieli, nie zawsze potrafili panować nad sobą. Taki Kędrzyk. Na niego zwrócił Sykała szczególną uwagę. Czerwieniał, gdy spoglądał na Jadźkę, coś za często zamawiał kawę, grzebał się przy papierosach w bufecie, poszeptywał coś niby niepostrzeżenie. Kiedyś, na budowie, podobał się Sykałemu młody inżynier. Teraz zaczął go coraz bardziej nie znosić.

— Czego ty się wdzięczysz do tego Kędrzyka? — przy-mawiał żonie.

— Wdzięczysz? Czyś ty zgłupiał, Jóżeńku? To taki głuptas, sam nie wie, czego chce.

— Szepce do ciebie, jakieś znaki ci dawał...

— Wydumałeś sobie... Szepce, bo on w ogóle bardzo nieśmiały i grzeczny. Zresztą, co mnie jakiś tam Kędrzyk obchodzi. Mam ciebie, Józeczku — przytulała się, czuł ucisk jej jędrnych piersi, prężnego ciała, gorące wargi sięgały mu do ust, jeszcze jedno starcie zostawało zażegnane w wypróbowany sposób.

Ale następnego dnia znów pełen niepokoju pędził do klubu. I znowu było to samo. Aż wreszcie przyszły zaduszki. Od paru lat wybierał się odwiedzić groby rodziców w centralnej Polsce. Sam ledwie pamiętał już tamte strony. Jadźka czuła się w tym czasie niezbyt dobrze, narzekała na bóle głowy, bała się jazdy w zatłoczonych pociągach. Zdecydował, że sam wyrwie się na dwa dni, zadba o groby,

303

niechże nie zarastają, wróci, jak można najprędzej. Smutna była przy pożegnaniu, wzruszyło go to, napełniło ufnością. Może naprawdę mu się coś przewiduje, Jadźka nie zdradzi, nawet jej to przez myśl nie przejdzie, a że jest śmieszka, że strzyże oczyma, tak było zawsze, taka już jej natura.

Po powrocie nie zauważył niczego niepokojącego. Jadźka narzekała na znużenie, na nieustanne bóle głowy. Rzeczywiście oczy miała podkrążone, przybladła, tylko oczy paliły się jej jak zawsze. W domu ład, czysto... A jednak tym razem był niemal pewien, że zaszło coś niedobrego. Tyle że nie miał żadnych dowodów. Feliksiak, gdy mu coś bąknął, zrugął go jak szczeniaka. Może miał rację. Tylko że... Tylko że coś nowego było w spojrzeniach, jakimi niekiedy obrzucali się Jadźka i ten wymoczek inżynier. Niby starali się być obojętni dla siebie, niby Kędrzyk zamawiał teraz mniej kaw, ale zdradzały go oczy, było w nich coś bardzo poufałego. Nie miał Sykała zbyt wielu doświadczeń, ale jakiś głos wewnętrzny mu szeptał, że tak się patrzy na bardzo, bardzo bliską kobietę.

Chyba się nie przesłyszał, gdy dotarli do niego któregoś wieczora słowa Kędrzyka skierowane do Jadźki:

— Jadzieńko...

Musiała się spostrzec, powiedziała głośno, jakoś tak bardzo głośno:

— Czy ciastko pan inżynier też sobie życzył, bo zapomniałam...

Gdy w drodze do domu zagadną ją o to „Jadzieńko”, wykpiła go i wyśmiała, w końcu zrobiła awanturę. Że już wytrzymać z tą podejrzliwością nie może, dwoi mu się w oczach i troi, ze słuchem też musi mu coś dolegać. Żeby tak maltretować żonę! Tym razem jakaś niechęć została już między nimi. Niełatwo dało się ją usunąć w najbliższych dniach.

Zima już była, choć jeszcze niewyraźna, z przymrozkami i śniegiem, ale też ciepłymi nagle dniami i deszczem tworzącym błoto na placu budowy. Wykańczali na tempo wnętrza, na koniec lutego domy miały być oddane w użytko-

304

wanie. Zdarzyła się wtedy ta głupia historia z magazynem

Budniaka.

Oberwał solidnie, pewnie, mniej aniżeli magazynier, przecież zdobył się jeszcze na to, by zaalarmować milicję, ale w komisariacie osłabł, trzeba było dzwonić po pogotowie. Tydzień kurował się w szpitalu, drugie tyle przesiedział w domu na lekarskim zwolnieniu. A jeszcze ciągle go męczono przesłuchaniami. Jadźka była czuła, serdeczna, zauważył, że wcześniej nawet wracała z pracy, Krupka ją zwalniał, sama też się śpieszyła do męża.

Któraś z sąsiadek coś wtedy mu podszeptała, gdy zaczął już wstawać i krzątać się około domu. Okrężnymi, nie dopowiedzianymi słowami, dość wyraźnymi, by wzbudzić niesamowity, kłusający boleśnie niepokój. A zaraz następnego dnia przyszedł ten list. Podpisywał go jakiś „życzliwy"... Ze nie może spokojnie patrzeć na to, jak zdradza go żona w tym samym czasie, gdy on leży w szpitalu. Kilka nocy z rzędu nie nocowała w domu, dobrze byłoby, aby się wywiedziały, kogo to tak rozweselała, gdy on leżał z rozbitym czerepem.

Tym razem zawczasu przemyślał rozmowę z Jadźką. Dlatego udało mu się ją zaskoczyć. Zapeszona i przerażona zaczęła się jąkać, wreszcie wypaliła, że parę pierwszych nocy spędziła w szpitalu, nie przy nim, nie pozwalali, tkwiła w poczekalni, w dyżurce, przecież strasznie się bała

0 niego... Zdawała się być przejęta, przestrasz jej mijał, nabierała tupetu. I wierzył, i nie wierzył.

Musiało jednak coś być, bo gdy znów zjawił się na budowie, Feliksiak rzucił mu krótko:

— Ty, Murzyn, uważaj na swoją kobietę. Lepiej niech w domu siedzi, po co jej te kawiarnie, bufety, zarabiasz

1 tak lepiej od innych, starczy wam, co najwyżej mniej kiecek jej kupisz.

Próżno wypytywał go o coś bliższego. Feliksiak zaciął się, bąkał, że ot, tak sobie tylko powiedział, albo to sam w kawalerskich czasach nie miał przygód z różnymi tam kelnerkami... Pewnie, nie wszystkie są takie, ale przy Podobnej pracy łatwo o różne okazje, pokusy są większe...

w Przejąśnia sic niebo t. II

305

Teraz był niemal pewien, że zaszło coś podczas jego nie,, obecności. Bo i anonim, i szeptki sąsiadki, Feliksiak też nie rzuca słów na wiatr. Niczego nadal jednak nie wiedział Jadźka skakała mu do oczu, gdy tylko zahaczał o ten temat w rozmowie.

Albo dla odmiany próbowała zalewać się łzami. Stawał się W takich sytuacjach bezradny, milczał. Nadal jej jednak nie ufał. Cień legł na ich wzajemnych uczuciach.

W jakiś czas później kilku z ich budowy zabrał ze sobą dyrektor, by zapoznali się z najpoważniejszą robotą, jaką od wiosny podjąć ma ich przedsiębiorstwo. W powrotnej drodze zza szyby samochodu zauważył sylwetkę Jadźki, gdy wychodziła z jakiegoś domu przy bocznej uliczce. Wysiadł na najbliższym rogu, tłumacząc dyrektorowi, że musi jeszcze być dziś w szpitalu, badanie kontrolne. Biegiem niemal ruszył z powrotem w stronę zapamiętanego domu. Żony nie spotkał. Dom stał nieporuszony. Długo dobijał się do drzwi Kędrzyca, walił w nie pięściami, kopał butami. Aż wreszcie jakiś sąsiad wychylił się z przeciwległych drzwi, skłął go, powiedział, że inżynier wyszedł przed paru minutami. Pewnie pogonił za jedną panią, która nieco wcześniej wyszła od niego.

Dobrze, że sąsiad Kędrzyka w porę zatrzasnął drzwi, małe brakowało, dałby mu Sykała solidnie po zębach. Za nic, po prostu z bólu, z żalu, ze złości.

— Ty kurwo — powiedział jej w domu prosto, brutalnie. Zamierzył się nawet, ale w połowie drogi ku jej twarzy opuścił rękę. Nie mógł się zdobyć na to, by ją uderzyć. Zaraz tylko zaczął pakować do walizek i pudeł wszystkie jej kiecki, buty, bieliznę. Wielkimi ze strachu oczyma, skulona w kącie, nie próbując nawet jakiegokolwiek obrony, śledziła jego ruchy. Zostawił jej najgorszą sukieneczną, domowe pantofle, u podarty, na szmaty już przeznaczony szlafrok.

— Do klubu ani dzisiaj, ani już nigdy nie pójdziesz Masz tkwić w domu jak uwiązana. Rzeczy twoje zabieram, żeby ci jakie głupie pomysły nie przyszły do głowy. A z nim się rozprawię.

306

Skuliła się jeszcze bardziej.

Rzeczy zaniósł do Feliksiaków, prosił o przechowanie, nie wyjaśniając sprawy ani słowem. Feliksiak zapytał tylko o jedno:

_Ale nie zrobisz jej chyba niczego złego? Obiecuj, Murzyn.

__ Zgoda. Jej nic nie zrobię...

Feliksiak zadrżał. To nie był głos normalnego człowieka. Próżno próbował zatrzymać kompana, wyciągnął ćwiartkę wódki, zapraszał. Długo potem wyglądał oknem za idącym nieswoim krokiem, jakby był zupełnie pijany, Sykałą.

— To się może parszywie skończyć — mruknął do siebie. — Szkoda chłopca.

Zakochał się w tym pałacu. Pośród starych rupieci w bocznych pomieszczeniach znalazły się plany i rysunki, w innych natrafił na szczegółowy opis dziejów budowli. Trzy z górą wieki, nieustanne przeróbki i renowacje, przechodzenie posiadłości z rąk do rąk, jakaś szwedzka rodzina, potem inna z koneksjami anglosaskimi, potem ród grafów, powiązania rodzinne z Talleyrandem, dziw, skąd właśnie tutaj. Aż na koniec junkier z koligacjami staro-pruskimi, chyba jednak niezbyt pewnymi, pośród ocalałych zapisków za dużo było udowadniań, jakie to von Dottowie kładli zasługi dla kolejnych wcieleń rzeszy niemieckiej. I wreszcie skarlenie ambicji, hitlerowska kariera, dygni-tarstwo brunatnej partii, aż po bezładną ucieczkę przed wojskami walącymi ze wschodu. A potem sztab ese-sowski, terror na całą okolicę, dewastacja, postępujące zniszczenie. Dalsze tygodnie czy miesiące, jak to normalnie w strefie frontowej, też nie oszczędziły pałacu, zwłaszcza zaś jego wyposażenia.

Wczytywał się w te zapiski przy coraz częstszych wizytach we włości Wiśniewskiego, jak to z przekąsem mawiał ekssierżant Rzępik, gospodarujący nie opodal, a także pasjonował się nimi nieodmiennie w swym kawalerskim Pokoiku, ponurawym i marnie umeblowanym. Okazywało

20«

307

się, pierwotny projekt remontu i adaptacji nie uwzględniał wszystkich elementów budowli, pomijał niektóre pomieszczenia, innych nie zanotował w ogóle. Trzeba było wprowadzać żmudne niejedne zmiany, konsultować to z wojewódzkim konserwatorem, z projektami, na pół w tajemnicy, by nie dopuścić do ujawnienia mankamentów co mogłoby spowodować zamrożenie kredytów i przesunięcie inwestycji na czas nieokreślony. Ferycki zwłaszcza był na tym punkcie szczególnie czuły.

— Już kilka razy straciliśmy na podobnych historiach. Za trudno się walczy o takie sprawy, by potem zaprzepaszczać je przez czyjeś niedbalstwo. Kolego Kędrzyk. pamiętajcie, pałac Dottów to w płaszczyźnie turystycznej nasza największa szansa... I tak przystępujemy do sprawy psim swędem...

Z wielką radością przyjeżdżał na wieś. Wiśniewscy dali mu niewielki pokój na piętrze, cisza wokoło i spokój, cała ta część nie była użytkowana. Zakres praw podległych mu jako architektowi powiatowemu rozrastał się, chłopie nagle zerwali się do budowy, rosła sterta planów do zatwierdzenia, jeszcze więcej trafiało się dzikich inwestycji, często przeczących podstawowym założeniom architektonicznym. Miasto dopiero przygotowywało się do wielkiego zrywu. Wytwórnia płyt pilśniowych przystępowała do budowy drugiej hali na nie dokończonych fundamentach wzniesionych przez hitlerowców, huta „Izabella” adaptowała stary budynek, Krupka zabiegał o przywileje dla swojej biblioteki, zdecydowano po awarii i pożarze o poszerzeniu hali turbin dla elektrowni, bank rozbudowywał zaplecze w podziemiach, nowe- magazyny, suszarnie, wiele drobnych inwestycji, nie licząc budownictwa mieszkaniowego, które też ruszyło z kopyta. A jeszcze kilkanaście bardzo daleko idących adaptacji albo zupełnie nowe domki wznoszone prywatnie. Zwłaszcza wśród inżynierów i techników zapanowała snobistyczna moda na własne wille.

— Przez dziesięć lat tyle się nie zrobiło, co się szykuje

308

jeden ten rok — dziwili się starzy pracownicy wydziału architektury.

podobno w województwie też już zaczynano uważnie yglądać się rozmachowi miasta i przyległego regionu. Ze niby są tutaj nazbyt łapczywi, nie pamiętają o innych, pula kredytowa przecież nie wzrosła, trzeba się mieścić w jej granicach. Ferycki nasłuchiwał tych głosów z lękiem, dzięki swym znajomościom jak mógł ucinął wszelkie wybrzydzenia. Byle tylko ruszyło z miejsca, wtedy już nie będzie można się cofnąć...

Może z tych przyczyn tak bardzo bał się wiceprzewodniczący o pałac. Sześć i pół miliona, poważna kwota, mogą pojawić się o nią zakusy... Poganiał też Kędrzyka, jak tylko mógł. Zatwierdzać, wydawać zezwolenia, kończyć konsultacje w województwie, ryzykować w końcu, jeśli nawet w dokumentacji pojawiają się braki. Usuną je własnym przemysłem.

Kędrzyk przytakiwał, zgadzał się z tym stanowiskiem, ale zarazem tęsknił do swego pałacu, do olbrzymich szkiców rozścielanych na podłodze, inaczej nie można ich było ogarnąć. Kładł się na ziemi, przymierzał, sprawdzał, porównywał z ponemiecką dokumentacją, a gdy tylko była okazja, sprawdzał dane na miejscu, kreśląc coraz to nowe szkice.

W tym galopie, bo jeszcze dochodziły jego zobowiązania dostarczenia przed czasem jednej czy drugiej dokumentacji, zapominał często o Sykałowej. Pierwsze urzeczenie urodą kobiety mijają, zakradła się między nich jakaś pustka, nie mieli o czym rozmawiać, zaczynało się i kończyło na łóżku. Tutaj

ustępował jej całkowicie, żółtodziób, nowicjusz, z dumą wprowadzała go zatem w coraz to nowe arkana miłosnego spędzania czasu. Niekiedy aż się dziwił, skąd ona to zna, przecież nie od męża, pocziwego faceta, nie wyglądającego na zblazowanego erotomana.

Każde nowe spotkanie zostawiało po sobie jakiś niedosyt, uczucie niesmaku i pustki. Inaczej wyobrażał sobie bliski kontakt z kobietą. Sykałowa wносиła tylko nasycenie, nic

309

więcej. Całą jej szansą była uroda i zgrabne, pociągające kształty, może też jeszcze gwałtowna namiętność.

Wymagająca była, rościła sobie prawa do jego osoby drażniła ją każde ociąganie czy próba protestu przeciw narzucanym przez nią bezwzględnie terminom. Wieczorne okazje ustały zupełnie. Sykał pilnował żony, musiał coś najpewniej wyczuwać, kilka już razy złapał Kędrzyk na sobie jego niezyczliwe wejrzenie. Pozostawały godziny przedpołudniowe, właśnie te, w których był całkowicie zajęty pracą. Wtedy przeważnie dzwonił telefon, w słuchawce słyszał jej półszept:

— Stasinek? Jestem wolna, idę do ciebie, przychodź zaraz, jak najszybciej...

Próżno próbował się tłumaczyć, nie znosiła sprzeciwów. Bywał niekiedy wściekły, ale tylko tak długo, póki jej nie zobaczył. Wtedy poddawał się jej urokowi całkowicie. Nieważne stawało się biuro, projekty, rozmach, jaki ogarnął ich miasto. Dopiero gdy nasycony nad miarę, zmęczony, leżał przy Jadźce, znów zaczynały wracać refleksje... Wychodziła, a on włókł się ociężały do biura, nic już mu tego dnia nie szło, zapisywał kolejny dzień życia na stratę.

Kradzione godziny. Świadomość tego faktu nie dawała mu satysfakcji, na odwrót wzbudzała wewnętrzny protest. Ojciec raczej etyczne zawsze stawiał najwyżej, starał się wdrożyć je w pojęcie syna. A jednak z Jadźką stało się inaczej. Dał się zagarnąć jej urokowi i zachłanności, poddał się z radością i satysfakcją, nawet gdy nadchodziło opamiętanie, nie umiał się uwolnić od tego kontaktu, zerwać ich osobliwej znajomości. Refleksje zresztą nadchodziły później, wraz z przesyleniem, z odczuciem braku innych więzi łączących ich poza łóżkiem. Nie próbował udawać przed samym sobą, kiedyś, z początku sam szukał tej kobiety, pragnął zbliżenia. Wtedy nie docierała do niego zupełnie świadomość, iż jest ona mężatką. Ta kategoria spraw zostawała poza nim. Była tylko Jadźka, śliczna i niemniej bezczelna, zgrabna i agresywna.

Trafił się wszakże moment, gdy po raz pierwszy przyjrzał się bliżej Sykałowej. W klubie jakoś wyjątkowo było

310

ustawo, stolik eksperymentatorów, jak określali siebie bez ironii, świecił nieskazitelną czystością. Przysiadł • zamawiając zwykłą wzmocnioną kawę. Po raz pierwszy od czasu ich znajomości widok Jadźki przyjął obojętnie, bez żywszych reakcji. Może jej- nastrój, poważna była i na-dąsana, nie wdzięczyła się jak zazwyczaj, spowodował, iż zabrakło tej iskry ożywiającej go jak przy uderzeniu silnego ładunku energii.

pił kawę wolno, drobnymi łyżkami. Rzecz nie spotykana w tym właśnie lokalu — myśl jego krążyła daleko od Sykałowej. Od paru już dni koniecznie pragnął udać się do Wiśniewskich, dokonać pomiarów w lewym, najbardziej zdewastowanym skrzydle pojunkierskiego pałacu. Tu właśnie mieściły się magazyny zboża, pośladu, suchej karmy dla trzody, nasion, i co tylko jeszcze można było w gospodarstwie wymyślić. Piękne posadzki zaszyły wilgocią, dąb paczył się, na ścianach pojawiły się zacieki. Płakać mu się niekiedy chciało. Wiśniewski wzruszał ramionami, kazano mu, i tak strzegł aż za bardzo tej rudery, mogło być gorzej...

Podniósł głowę, spojrzeniem szukając Sykałowej. Gdzieś się zawieruszyła za przepierzeniem. Odczuł natomiast na sobie czyjś inny wzrok. Szybko odwrócił się. Tamten człowiek szarpnął się, zmienił się wyraz jego twarzy, ale tych kilka chwil wystarczyło, aby dreszcz wstrząsnął Kędrzykiem. W twarzy Sykały odczytał strasliwą niepewność i udrękę. Nie wiadomo, kiedy tu przyszedł, kiedy się wsunął do sali, wcześniej aniżeli zazwyczaj. Dotychczas te warty zazdrosnego małżonka przyjmował inżynier obojętnie. Daleki był od satysfakcji przyprowadzania rywalowi rogów, ale równie obce mu było jakieś współczucie. Teraz dopiero ta twarz i wyraz udręki w oczach uderzyły go z potężną siłą. Sykała cierpiał, cierpienie to wyzwalało się na zewnątrz w tym wzroku pełnym pasji i niepomiernego smutku.

Kędrzyk opuścił głowę. Po raz pierwszy tak intensywnie poczuł, jak to wszystko jest brudne. Bo kimże w tym Wszystkim jest Sykałowa dla niego? Kochanką i tylko ko-

311

chanką w tym najbardziej dosłownym znaczeniu. Poza erotyzmem nic ich z sobą nie łączy. Nic. Stosunek ich nie ma też żadnych perspektyw. Ona mężatka, niewyżyta, szukająca wzmocnionych wrażeń. On też nie myślał o niej nigdy poważnie. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że pewnego dnia spotkania ich urwą się, zakończą bez słowa, bez pretensji, ale i bez żywszego wspomnienia. Na placu jako istota w pełni czująca zostawał ten człowiek, majster budowlany, poczciwa dusza. Zakochany bez reszty w swej żonie, mniej w oparciu o jakieś konkrety, bardziej podświadomie wyczuwał, że się dzieje coś złego, że jest krzywdzony i okradany.

Niespokojnie wiercił się teraz Kędrzyk na krześle. Unikał kierowania wzroku ku Sykałowej, krzątającej się jakoś bardzo gorliwie za swoim bufetem. A od tyłu pałace, przenikające na wskroś spojrzenie tamtego nieszczęśliwca. Kędrzyk czuł, jak ogarnia go jakieś obrzydzenie do samego siebie. Postanawiał, niech tylko uwolni się od spraw najpilniejszych, ucieknie do Wiśniewskich, zapomni o Jadźce... Wyszedłby już zaraz, męczył go i drażnił ten nastrój, ale coś go jednocześnie przygważdżało do miejsca, może to był wzrok Sykały.

Z jakąż ulgą odetchnął, gdy z nagła usłyszał za sobą najpierw trzask drzwi a potem mocny głos Kraszewicza. Dyrektor „Lasu” drobił szybko przez salę, z daleka już wyciągając rękę:

— Niebo mi pana zsyła, inżynierze... Szukałem pana i dziś, i wczoraj, co to z panem się dzieje? — siadał ani pytając o zezwolenie, wołał do bufetu o kawę i ciastka, zaraz potem impulsywnie przystąpił do sprawy: — Bo to widzi pan, nadeszło pisemko, znów wprowadzają zmiany w dokumentacji, chcą chłodniej powiększyć, stworzyć od razu i trzecią komorę. Jest \yyjątkowa koniunktura na mrożonki, takie najwyższej klasy, rzecz komplikuje się w składowaniu... Piękne, ale boję się, aby się to nie przeciągnęło. Zaczęliśmy już przecież gromadzić materiał, wszystko było przejęte i zatwierdzone, a teraz co, klapa? Boję się wszelkich zmian.

Ferycki podobnie. Nie ufa zmianom, spogląda, czy coś s^a za nie czai... Chyba może pan być, dyrektorze

spokojny. Na chłodnie mamy już gotowe różne warianty dokumentacji, poza nie projektanci nie wyjdą. To już wasza wewnętrzna sprawa, ja urzędowo mogę o tym do czasu nje wiedzieć...

_ Uff. Kamień spada mi z serca...

Ostre brzęknięcie szkłem przy bufecie. Odruchowo poderwał głowę. Jadźka nieznacznymi ruchami dawała mu wyraźne znaki, że nie, nie, nie...

Niestety, jutro mnie najpewniej nie będzie. Czeka mnie nagłący wyjazd w teren. Ale sprawy przypilnuję, solennie to panu przyrzekam.

— Trzymam za słowo... Zaraz sam sobie wybiorę ciastko. Ta czarnulka nie ma pojęcia, co dobre, zawsze mi podaje coś najmniej smacznego...

Podrobił do bufetu małymi kroczkami, co Kędrzyk przywitał z ulgą. Chciał teraz być sam. Wściekły był na siebie, że znów uległ tej kobiecie. Ledwie skinęła głową, już poddawał się jej życzeniom. Czym go ona tak opętała?

I znowu ciężar tego spojrzenia poczuł na sobie. Naciskało, wświdrowywało się natrętnie, niemal bezczelnie. Obejrzał się. Ale w tej chwili Sykała już nie patrzył na niego, głowę opuścił nisko nad stolik.

Kraszewicz z namaszczeniem niosąc talerzyk z ciastkami, zdziwił się:

— Już kolega wychodzi?

— Muszę, mam pilną robotę w związku z naszym pałacem...

— Szczęść Boże.

Odprowadzały go dwa uważne spojrzenia: Sykały i Sykałowej. Każde z nich było inne, ale każde silne, wyczuwalne wszystkimi nerwami.

Ostre jeszcze lutowe, ale gdzieś niosące już wyczuwalne tchnienie wiosny powietrze orzeźwiło go. Też znalazł sobie temat, by nim zaprzętać sobie głowę. Skoro z Sykały taki dureń, nie umie upilnować kobiety, ma, na co zasłużył. zaś niech sobie nie wyobraża, że może nim rządzić

dowolnie. Jeżeli jutro zadzwoni, a tak chyba powinien rozumieć jej znaki, wymówi się, nie zjawi we własnym mieszkaniu. Wycygała od niego klucz, rządzi się, przychodzi tam jak do siebie. Nic z tego.

Rad był z tego powiewu buntu. Sprawa tak czy inaczej zaczyna się stawać nieprzyjemna, trzeba z nią skończyć. Nie jedna Sykałowa na świecie.

A jednak gdy następnego dnia spłynął do słuchawki ten tak dobrze znany, gardłowy szept: „Stasinku, ja czekam"... niby śnieg kwietniowy zblakły wszelkie postanowienia, bunt nie zdał się na nic. Jak

bezwolny baran spieszył do domu, gdzie już ona czekała. Był podniecony myślą o tej kobiecie, o smaku chwil, które ich zaraz czekają.

Gdy tego samego dnia późno wieczorem wracał do siebie, zetknął się na schodach z samotnie mieszkającym naprzeciw sąsiadem, urzędnikiem jakiegoś biura.

— Dzień dobry... Miał pan dziś gościa, krótko potem, jak państwo wyszliście w południe do miasta. Myślałem, że drzwi rozwali, walił pięścią, kopał butami... Wyglądał na inkasenta, coś takiego... Dobranoc panu.

Wydało się Kędrzykowi, że w głosie tamtego pobrzmiwa jakaś osobliwa satysfakcja. Udzielił przestrogi, ale zarazem posunął do przodu pionek, nadający tempa jakiemuś widowisku. Starokawalerskie ciągotki, największy urok w podpatrywaniu bliźnich.

Skoro wTszakże zamknął za sobą drzwi swego mieszkanka, odczuł, że słowa sąsiada wzbudziły w nim jakiś niepokój. Poczuł się wyraźnie nieswojo. Przywidzenie, czy jednak naprawdę ktoś stał w bramie naprzeciw, ciemna jakaś sylwetka? I kim mógł być ten gwałtowny gość, dobijający się do niego tak uporczywie? Odrzucił z niesmakiem myśl, że to może Sykała? Melodramat, tego by jeszcze brakowało.

Nastawił czajnik, włączył elektryczną maszynkę. Zaparzył sobie kawy, jest jeszcze nesca w pudełku, zasiedzi się dziś pewnie do późna. Z niechęcią ogarnął wzrokiem pękato wypchaną teczkę z aktami.

Czekając na zagotowanie wody, przeglądał gazetę. Na dalekim wschodzie znów prowokacje, w NRF wzmożona

314

akcja rewizjonistów, w kraju sprawozdanie z wykonania planu gospodarczego za rok ubiegły... Wgłębił się w kolumny liczb i suchych ekonomicznych określeń, za którymi dopiero kryły się istotne konkrety. Może dlatego nie ^ razu zdał sobie sprawę, iż ktoś puka do drzwi. Zerwał się z miejsca. Napłynęły przed pamięć niosące ostrzeżenie słowa sąsiada, zolbrzymiał zarys ciemnej sylwetki w bramie przeciwległego domostwa. Et, bzdura, dziecinne przywidzenia.

Gwałtownie otworzył drzwi i cofnął się od nich daleko w głąb przedpokoju. Przed nim stał Sykała ze swoją umęczoną twarzą, ale z oczyma w niej teraz już nie złośliwymi i tak przeraźliwie smutnymi, lecz tryskającymi ogniem, wściekłością.

— Można do pana inżyniera? Do pana Stasinka?

— Nie rozumiem — patrzył jak majster, mąż Jadźki, przymyka za sobą starannie drzwi. — Co pana do mnie sprowadza o tej godzinie?

— Żeby ona przyszła, byłby pan rad i nie dziwił się wiele, tak? Podobnie jak dzisiaj przed południem. Dobrze wam było, co?

— Niech się pan natychmiast wynosi! Nie wiem, o co panu chodzi, nie rozumiem.

— Spokojnie, spokojnie panie Kędrzyk, wejdźmy do pokoju, porozmawiamy.

— Proszę.

Czuł, że mu głos drży, tak głupio, tak po szczeniacku. Wplątał się w kabałę, w gruby flirt z mężatką, teraz się boi jej męża. Powinien był przewidywać, nic nie mija bez konsekwencji...

Sykała zamknął za sobą drzwi do pokoju.

— Ty alfonsie! — powiedział.

Kędrzyk milczał, na cóż by się zdały protesty. Ten człowiek w końcu ma rację, obraża, ale i mówi prawdę. Nie czuł już lęku, tylko chłód, straszliwy ziąb przenikający go całego.

— Przyszedłem się rozliczyć.

Podszedł z rozmachu, całą siłą wyrznął Kędrzyka

315

w zęby, a gdy ten się zachwiał, poprawił zaraz z drugiej strony... I nagłe zdębiał. Spodziewał się reakcji, obrony a tutaj nic. stoi jakiś mięczak, rozdygotany, wybladły jak śnieg. Jakże bić takie coś, chuchro, tchórza, gówniarza!

— Teraz boisz się, w pory robisz, a przedtem toś był chojrak, jak się z nią gziłeś? Dobrze ci było, co? Ona umie robić te rzeczy, zna się cholera wie skąd, musiała się kurwić już przedtem, ja tylko ślepy, miałem ją za porządną dziewczynę.

Kędrzyk milczał. Denerwowało to Sykałę coraz bardziej. Zakrzyczał z furją;

— Gadaj! Rób coś, skacz mi do gardła, bij się, nie trzęś się. Tchórz, mięczak!

Podskoczył, wyrznął raz jeszcze, w ciosie tym był cały ból i odraza, żałość i pasja. Kędrzyk osunął się na łóżko, z warg pociekła mu krew. Sykała zamierzył się jeszcze, ale pohamował się. Splunął na podłogę.

— Cholera, takiego bić nawet nie można. Szmata. Gówno psie, sam smród, nic więcej.

Stał niezdecydowany. Nie wiedział, co robić. Gdyby tamten się bronił, biłby, może nawet i zabił, ale tak, bezbronny, rozdygotany, jakże go walić, jakże bić? Jak w worek, jak w sieczkę?

Splunął raz jeszcze.

— Tym razem daruję, nie potrafię tłuc takiego cholernego mięczaka. Ale gdyby jeszcze raz, nie będę się już przyglądał, z miejsca w łeb trzasnę gazurką i spokój.

Chciał splunąć, ale przełknął jedynie ślinę.

— Tu i pluć nie warto.

Tkwiło w tych słowach morze okrutnej, bezgranicznej pogardy.

Trzasnęły drzwi. Kędrzyk wciąż leżał, czując mdlący smak krwi płynącej z rozbitej wargi. Sykała miał rację w tym, co mówił, i nie miał, lęk bowiem istniał w nim, w Kędrzyku, tylko z samego początku.

Potem byłby się może bronił, opierał, gdyby nie paraliżująca świadomość, która spłynęła nagle, że tamten ma rację, więcej, że on ma prawo.

316

pukanie do drzwi. Myśl potwierdza to obojętnie. Pewnie Sykała wraca, zatłucze, może zabije, pukanie staje się natarczywe. Głos sąsiada. ____ Hej, hej, inżynierze? Żyje pan? Nic panu nie zrobił ten ciemny typ? Można do pana?

_Nie można. Zostaw mnie pan w spokoju i idź do jasnej cholery! — krzyknął z rozpaczą.

— Phi, jaki waśniak! Nadyma się, z gębą od razu 23 zwykłą sąsiedzką życzliwość. Pęta. Zwyczajny gówniarz.

Z trudem dźwigając się z kanapy, pomyślał, ile jeszcze razy usłyszy w odniesieniu do siebie to słowo?

5.

— Zamierzałam przyjść z córką, ale potem się rozmyślałam. Trafi się inna okazja. Ty, Gienek, znasz moją Zośkę?

— Jakże, nie pamiętasz, jak mi się usikała na rękach? — obruszył się.

Parsknęli śmiechem.

— Ciekawam jej miny, gdy jej to przypomnisz... Wybierałam się do ciebie już dawno, ale zwlekało się, potem ty wyjeżdżałeś. Wspominała Janka, że bardzo ci ten wyjazd dopomógł, przestały ciążać stare sprawy.

— Janka? Skąd ona wie?

— O to jej nie pytałam... Słuchaj, Gienek, ten twój dyrektorski gabinet nie nastraja mnie do rozmowy. Jest ładnie na dworze, czuć wiosnę. Proponuję spacer.

Ten sam zadarty śmiesznie, trochę buńczucznie nos, nie zmieniona gęstwa piegów na twarzy, bardziej może jeszcze pyzatej, tu i ówdzie nitki siwizny we włosach. Wieleż Halina może dzisiaj mieć lat? Dobiega do czterdziestki, chyba nie więcej. Wtedy była to trzpiotowata dziewczyna. Wtedy! Boże drogi, jakże to dawno.

■y- Będziesz musiała przejrzeć moje wspomnienia. Skorygujesz coś, uzupełnisz. Zacząłem je pisać przed wyjazdem, a^e po powrocie przepracowałem od nowa.

317

— Fakty? — błysnęła oczyma, pokazując zęby.

— Sos, w jakim fakty te ukazują. Ten pierwszy był nj[^] dobry, zakalcowaty i chyba podfałszowany.

— Weź mnie pod ramię, możesz nawet przytulić do boku Niczego mi nie ubędzie, w końcu mamy do tego jakieś prawa, my starzy kombatanci — była taka jak zawsze nie zmieniła się mimo lat i

płynących z nimi doświadczeń — W ogóle jesteś, jak zawsze, źle wychowany. Wypadało ci pocałować mnie na powitanie po latach... Masz strasznie baranią minę, Gienek. Mogłabym przysiąc, że wiem nawet co teraz myślisz. Pójdziemy w kierunku jeziora. Mam sentyment do tego miejsca. Byłam tam krótko po śmierci Julka. Niekiedy wydaje mi się, że to wszystko było snem, nieprawdą. Julek, Waluś, ci inni, którzy odeszli, tak jak i my żyjąc. Gdyby nie Zośka, która jest bardzo realnym konkretem, może nie umiałabym opędzić się takiemu wraże-niu. Tak wiele się zmieniło. Sceneria miasta, tego samego, a zupełnie innego, okolicy, my sami nade wszystko jesteśmy zupełnie inni.

Przytuliła się do niego jakoś tak ufnie i bezpośrednio. Uśmiechała się, ale wzrok jej był wpatrzony gdzieś daleko przed siebie. Zmierzchało, na resztki śniegu wzdłuż poboczy drogi kładły się cienie nabrzmałe granatem z rzuconą nań cieniutką warstwą fioletu. Stado wron pokra-kując ochryple nieskładną gromadą ciągnęło ku miejscu noclegu. Leciutki mroźnik grudą ścisnął roztajałą we dnie ziemię.

— Nad tym jeziorem przysięgłam sobie wierność Julkowi. Nikt mi nie kazał, kogoś mogłoby to śmieszyć. Ale mnie to było i jest potrzebne. Mogę być wesoła, lekkomyślna, wszystko co chcesz, ale tamto jest we mnie trwałe. Nie mówię tego do ciebie w formie ostrzeżenia, po prostu pragnę, byś mnie dobrze zrozumiał... — niemal szeptem dodała jeszcze: — Pomyśl, prosta dziewczynina jak ja, może sprytna, nic więcej. Z Julkiem wiele nas zdawało się dzielić. I to moje największe przeżycie, zaznanie pełn szczęścia. Widzisz, tego najwyczejniej nie można rozmienić na drobne... Krótko po powrocie, w maju zeszłego

318

oku na pierwszy spacer poszłyśmy z Zośką tą właśnie drogą- Chciałam odświeżyć swoje wzruszenia. Dziś znowu ciągnie mnie nad jezioro. Łód na nim teraz, nie będzie szemrało jak wtedy...

__W maju wróciłaś. Tak dawno, a nasze drogi wciąż się

mijały- Nawet nie od razu usłyszałam o tobie. Sędzia Nie-słysz, jakoś mi się nie kojarzyło.

__ Sama sobie niekiedy się dziwię. Uparłam, się, dopięłam swego. Tak jak i powrotu tutaj, do miasta Julka.

_ Chyba i do twojego. Nie tylko przez nie czujesz się

z nim związana. Ja też mam tę świadomość szczególnych więzi. Tam, w NRF, bardzo tęskniłem do naszej dziury. Zwłaszcza gdy niejedno się zaczęło przede mną rozwidniać.

— Powiesz mi o tym? Wspominał Felek Ferycki, żeś przyjął wykłady historii w Studium Nauczycielskim, że próbujesz rozruszać nasz oddział Towarzystwa Historycznego, że doszlusowałeś z nagła do ich koncepcji zaktywizowania miasta. To wszystko po tej zagranicznej przejażdżce... I ja odnoszę wrażenie, żeś się odmienił. Tkwił we mnie ciągle twój obraz jako człowieka z kompleksami, choć zdolnego, który marnuje się, spalając się w jakichś i prawdziwych, i urojonych obsesjach. Nie gniewaj się, zawsze byłam szczerą. Mówię, bo cię lubię, bo poprzez Julka choćby wiele nas ze sobą łączyło.

— Wzruszające dla mnie, jak żyjesz ciągle jego pamięcią.

— Mylisz się. Dla mnie Julek nadal istnieje, jest ze mną, radzę się go, cieszę się z nim i zamartwiam swoimi kłopotami. Nigdy nie umiałam w sobie wytwarzać atmosfery grobów. Chorobliwie nie znosiłam cmentarzy.

— Przepraszam cię, Halinko.

— Nie masz powodów do przeproszania... Myślę głośno. Obserwuję nasze miasto i naszą starą gwardię. Miasto zmieniło się nad wszelkie spodziewanie. Jeszcze sześć, siedem lat temu było taką typowo prowincjonalną dziurą, straszło w porównaniu z bardziej rozwijającymi się ośrodkami w pozostałej Polsce. Tu na Nadodrzu było wów-

319

czas jakieś wyczekiwanie. Nie dziwię się, że ci o słabszych nerwach po prostu stąd uciekali. Teraz ono żyje, to się widzi i czuje. Jest jakieś prężne, pełne dynamiki, tu chce się oddychać pełną piersią. Szeroko, mocno... W tym mieście, takim młodym, aż strach, ile tu młodzieży jaka masa dzieci, w tym mieście żyjemy także my, którzyśmy przybyli pierwsi, by przywrócić ruinom życie. Obserwuję naszych ludzi z daleka. Przecież nie wszyscy z nich starzy. Czterdziestka, pięćdziesiątka, to nie tak wiele. Są tacy, którzy żyją naprawdę z rozmachem. Felek Ferycki, śmieszny, żarliwy pętał. Doktor Janina. Gienia Maciaszkowa. Jeszcze paru bym wymieniła. A reszta? Wiem, często to nie ich wina, warunki zmusiły ich do zmiany sposobu życia. Krzywdy, niekiedy fałszywe zarzuty, takie sprawy nie mijają bez echa. Tylko że można się temu poddać, a można buntować się i dalej walczyć. Taki Przybyła, wielka figura w mieście. Niewiele w nim widzę dawnego zapaleńca, z niczego wskrzeszającego światło, szarpiącego się z Niemcami o elektrownię, montującego pierwsze telefony. Jakiś sybaryta teraz, mieszcuch, zastraszone przy tym, drżący o swoją posiadłość... Pędzik, prawy, porządny, na bocznym torze, w ciemnym ubraniu, z gładko zawiązanym krawatem, udziela ślubów... Zmarnowana rzutkość i energia tego człowieka. Albo Budniak; niedawno dopiero wywiedziałam się, co z nim się dzieje. Wyjątkowy pechowiec. Ferycki natomiast kipi energią. Najmocniejszy jest chyba z nas wszystkich.

— Najmłodszy. Nie dźwigał na sobie tego bagażu, który przygniatał niektórych z nas...

— Na pewno. Ale z tym bagażem, Gienek, też nie tak jest, jak mówisz. Jedni przyjmowali ten ciężar, inni go odrzucali.

— Nie wiem, może. Ja też dzisiaj niejedno widzę inaczej... Przerwałam ci, Halinko, do czego zmierzałaś?

— Do tego, by wykazać, że braknie mi wielu ludzi w tym mieście. Ludzi takich, jakimi są naprawdę. Teraz powkładali maski.

320

— Albo przedtem mieli te maski włożone, obecnie je zdjęli-

— Wtedy, gdy kula grozi z za każdego węgla, gdy nie ma co jeść, gdy za pracę nie płaci się, bo nie ma czym, nikt nie będzie pozował. Pamiętasz?, taki Włodek Wiśniewski, szydło wyszło od razu z worka... Otóż to, braknie mi wielu spośród nas. Ciebie także. Bo, że jesteś dyrektorem liceum, że Przybyła zarządza energetyką, że Jezierski hołubi swą stację, to wszystko za mało... Kwalifikacje, zasiedzenie

jakieś. Ale każdy z was zna tylko ten ciasny swój krąg, nosa nie wychyla zza niego. Jakiś świszczący, maleńki wasz oddech. Schorowany.

— Inni ludzie przybyli.

— Też wykręć. Jak ten o zmianie w irty. Pewnie, to proces automatyczny, nie trzeba mu przydawać patosu walki pokoleń, której właściwie naprawdę nie ma. Więcej ludzi, ale i większy zakres działania. Powiem ci coś, Gienek. Pamiętasz Stefczyka, szefa bezpieczeństwa, jeszcze przed Kijankiem? Ten człowiek, gdy tylko zaczęły pojawiać się pierwsze ślady stabilizacji, gdy to i owo zaczęło się normować, nie umiał w tym ładzie znaleźć własnego miejsca. Mogłabym żywić do niego osobisty żal. Aresztował mnie przecież, męczył nonsensownymi zarzutami. Ale na żal taki brak we mnie miejsca. Stefczyk był przecież w końcu uczciwym człowiekiem. Tyle iż wychował się w atmosferze walki. Rewolucjonista, wojak, partyzant, co tylko chcesz. Dla niego niejako normalnością, ładem stawała się walka. Gdy jej brakło, zatracił kierunek. Przeszedł cd nas w Bieszczady. Przypadek chce, że poznałam jego kartę z tamtego okresu. Niezgorsza karta. Tam, okazało się, odnalazł swoje miejsce... Do tego właśnie zmierzam. W zmienionych warunkach, ty, dziesiątki innych, zatraciliście poczucie, gdzie znajduje się wasze miejsce. Przycupnęliście na tych stanowiskach, na które was wepchnął przypadek. Zacich-liście, zaczailliście się, przez zawężone okulary patrzyliście na mały światek naszego miasta. Nie was wyobcowano, wy sami się usunęliście. Stworzyliście sobie legendę własnej fteipotrzebności, wypierania przez nowych ludzi, rozbudo-

21 Przejśnia się niebo t. II

321

waliście w sobie kompleks prawdziwych i urojonych krzywd. Zrezygnowaliście.

— Jesteś sędzią, nie prokuratorem. Skąd ta oskarżycielska pasja?

— Choćby z przywiązania do was, z pamięci tej pięknej karty, jaką macie za sobą. Więcej, z wyraźnej szkody, jaką powoduje tu wasza nieobecność. Rutyna, doświadczenie, o ile nie -staną się jakimś skostnieniem, także się liczą. Bardso wysoko.

Lisiewicz milczał. Słowa Haliny drażniły go mocno, tym mocniej, im więcej widział w nich racji. Na pewno wyolbrzymiała zjawisko, upraszczała je dla pełniejszej wy. mowy swojej teorii, w gruncie rzeczy jednak nie daleko odbiegała od prawdy. Ten proces tak mniej więcej przebiegał.

Dochodzili już do przedproża leśnej ściany, opasującej jezioro. W prawo asfaltowy szlak skręcał ku miejskiej przystani i plaży. Poszli dalej przed siebie, leśnym duktem niknącym w nadwodnych ścieżynach. Halina lekko przeskakiwała zlodowaciałe miejsca czy wgłębienia grantu, aż dziwił się tej lekkości. Sam trudniej sobie radził z nierównym terenem. Oczy niezgorzej orientowały się w mroku, od schropowaciałej tafli lodowej bił delikatny poblask. Na niebie usadowiły się pierwsze gwiazdy.

Zboczyli na wąziutki cypel podchodzący nad lód. Kilka pniaków po ściętych olszynach jakby zapraszało do spoczynku. Nad powierzchnią skutego jeziora unosiła się leciutka, zwiewna mgiełka. Miejscami, gdzie słońce mocniej dosięgało za dnia, roztopiona wierzchnia warstwa wody zastygła teraz w idealnie gładką, lustrzaną płaszczyznę. Mocnymi punkcikami przeglądały się w nich gwiazdy, zdając się znajdować tutaj ostrzejszy odbłask.

Przysiedli na pniakach. Halina z nogą założoną na nogę objęła dłońmi kolano, wypatrywała czegoś na nieruchomej tafli jeziora. Siedział obok, jakby zadziwiony wodząc wokół spojrzeniem. Ciemna ściana świerków odcinała się od lodu głębią pomnożonego cienia. Łód w odleglejszych partiach przybierał ciemnobłękitną barwę. Noc stała ciszą, nie było najlżejszego nawet powiewu. Uczuł jak ogarnia go

322

uczucie pełnego spokoju, jakiejś wewnętrznej ciszy. Tak dziwnej, tak bardzo nieznannej, że zastuchał się w nią pełen zdumienia. Nie znał podobnych stanów. Zawodna pamięć czepiała się okruczeństw podobnych odczuć gdzieś tylko w zamierzchłych czasach szczeniństwa czy młodości. Później był zawsze niepokój, narastający w okresach napięcia niemalże do obłędu.

— Jak to dobrze, żeś mnie wyciągnęła na ten spacer — powiedział przyciszonym szeptem, aby nie płoszyć ciszy na zewnątrz i wewnątrz siebie.

Przytaknęła tylko skinieniem głowy.

Czas mijał. Ptaszysko jakieś przefrunęło nie opodal z cichym łopotem skrzydeł. Z przeciwległej strony jeziora poniósł się jakiś huk, może to już była pierwsza oznaka zbliżającego się pęknięcia lodów? Te odgłosy nie mąciły, przeciwnie, zdawały się jeszcze pogłębiać stan uspokajającej ciszy.

Uczuł dotknięcie miękkiej dłoni Haliny, przegładzającej jego rękę. Zrodziła się w nim wdzięczność dla tej kobiety, mocnej, mocniejszej od niego. Czy to miłość do Julka dała jej taką siłę? Może on sam też wcześniej potrafiłby wyrwać się ze stanu miotających nim niepokojów, gdyby prawdziwa, pełna miłość stała się i jego udziałem? Janina, inne miłostki, to nie to samo, to były jakieś namiastki, łudzące pozorami, ale nie przynoszące ani ukojenia, ani poczucia wewnętrznej mocy.

— Mówiłaś o ważnych sprawach, upraszczałaś je, nie chcę jednak z tobą polemizować, w końcu przyznaję ci najogólniej rację. Indywidualnie każdy inaczej jednak dźwigał swe brzemię. Spójrz, wiele lat, męczących, trudnych lat szamotałem się z sobą. Przypadek, traf, a może właśnie odpowiedni moment, gdy coś dojrzało już do narodzin, sprawił, że wezwano mnie na świadka w procesie Schulmowsky'ego i jego 8rupy. Nie sam proces, ale zetknięcie w jego ramach z polskim więźniem niemieckich kazamat, kolegą najlepszym z „bozu, takim, który tam wbrew wszystkiemu nie załamał się, a został sobą, sprawiło, że doznałem wstrząsu. Do-P'£"o ujrzałem horyzonty zasłaniające dotąd przez własną

2

323

niemoc, przez subiektywizm przeżyć, bo ja wiem, przez co jeszcze, może przez swoją małość. Widzisz, aż po ten proces aż po chwilę ujrzenia Franka Jabłońskiego podświadomie przeważała we mnie nad wszystkim chęć pomsty, pragnienie odwetu. Niemożność jego zadośćuczynienia pogłębia stan zarażenia czasami obozów, męczeństwa, masowych mordów. Ani obiektywne, ani subiektywne warunki nigdy nie zezwoliłyby na spełnienie tej pomsty. Spełnienie w najbardziej prostych, wręcz prymitywnych formach. Ale męka niemożności zrealizowania zamierzeń przez to nie ustępowała. Wyrażała się w coraz to nowych formach, zagarniając w końcu cały niemal świat pojęć, treść życia i

działania w jego ramach. Masz rację, wycofałem się, bo nie w tym rzecz, iż był czas, kiedy mnie usiłowano wycofać. Byłem bierny, wyraziłem na to swą zgodę.

— A teraz?

— Republika Federalna to piękny, bogaty kraj. Dobrze zorganizowany, z pedanterią, z umiejętnością właściwej administracji, narosłą przez wieki normalnego bytowania państwowego. Styl życia o wiele wyższy od naszego. Zamożność i spokój, pewność tej zamożności i trwałości. Ludzie syci, świetnie ubrani, zadowoleni z siebie. Nie wiem, może to zbyt powierzchowne wrażenie, może w rzeczywistości jest inaczej. Wydaje mi się wszakże, że przy tym wszystkim istnieje tam w ludziach uczucie jakiejś wewnętrznej próżni. Zapełniają ją sztucznie nerwowymi zabiegami wokół pomnażania swej prosperity, niektórzy tworzą fałszywe pojęcie patriotyzmu, poprzez wzbudzenie rewizjonistycznych ciągątek. Na tym tle obserwowałem siebie, własne przeżycia, szamotania w jakiejś ciasnej, własnymi rękami zbudowanej klatce. Patrzyłem na siebie poprzez obsesję uczucia nie spełnionej zemsty, poprzez nie zrealizowany odwet...

Umilkł. Milczała i ona. W Lisiewiczu coś dojrzewało, co teraz musiało znaleźć formę zewnętrzną, swą nazwę, wyrażoną w jasno skonkretyzowanych pojęciach.

— Nie wyrzekałem się potrzeby, więcej, konieczności odwetu — podjął po długiej chwili. — Odwetu na życiu. Za

324

wszystkie poniżenia tamtego wojennego czasu, za mękę, za podłość, za gwałt. Na takim życiu chcę pomsty. Pragnę ją ^yywrzeć, muszę to uczynić. Dzisiaj zdaje mi się, że wiem już w jaki sposób. Poprzez pomoc w stwarzaniu innego, pełniejszego życia, które będzie zaprzeczeniem tamtego, poprzez kształtowanie życia zawierającego piękno zamiast Ohydy, ufność w miejsce strachu, zapał na miejscu przymusu.

Podniosła się, ucałowała go serdecznie.

_ Rozumiem cię, Gienek. I bardzo, bardzo się cieszę.

Nad taflą jeziorną przebiegł podmuch zrywającego się wiatru, podnosząc drobiny zlodowaciałego śniegu. Ostroymi okruciami sypnęło im w twarze. Zaśmiali się jak dzieci. Szli trzymając się za ręce.

Lisiewicz pomyślał, że jeśli nie danym mu było znaleźć miłości, to może znalazł coś nie mniej ważnego i pięknego — przyjaźń.

ROZDZIAŁ VII

1. "

PRZERZUCAŁ jeszcze notatki, zaglądał do wykresów, do akt. Wszystko było już jasne, zapięte na ostatni guzik. Sprawy kampanii siewnej, kontraktacje, nowe uprawy, nawozy sztuczne i ziarno selekcyonowane, park maszynowy, kółka rolnicze, zmiany w systemie dostaw żywca... Nie najgorsze perspektywy. Dodatkowy wysiłek powiatu w zakresie elektryfikacji, melioracji, w rozszerzeniu bazy turystycznej. Decyzja budowy nowej tysiactki w Małyniskach, pierwszej całkowicie zasiedlonej i zorganizowanej wsi zaraz po wojnie.

Ferycki musiał się tutaj uśmiechnąć. W tej lokalizacji było niemało i jego osobistych starań. Zadawnione sympatie. Pamiętał wyprawę z Wlzlą. Sołtys, nauczyciel, proboszcz, zgrane repatrianckie grono. Nawet posterunek milicji, samorządnie zorganizowanej. Osiemnaście lat temu. Zmieniło się w tych Małyniskach, jedyny chyba wypadek w powiecie, że zachowała się nazwa narzucona przez osadników. Nie żyje już poczciwy proboszcz debatujący z nauczycielem, sekretarzem komórki partyjnej, o sprawach wioski na prawach bezpośrednio zaangażowanego. Utonął parę lat temu ów pierwszy sołtys. Nauczyciela przeniesiono do innego powiatu, jakieś idiotyczne tło zatargu z kolejnymi przedstawicielami miejscowej władzy. Nowi ludzie, dzieciaki powyrastały, pożeniły się, gospodarzą na działkach ojcowskich. Ale ciągle najlepiej zorganizowana, najbardziej gospodarna wioska. Twarda. Przeszli trudne chwile w okresie uspołdzielczania. Naciski na nich były straszliwe. Nie chcieli, za nic nie chcieli... Mało, a zeszliby na dziady, okrzykami jako kułacy, dociśnięci śrubą podatków i domiarów.

326

^ t(,raz znowu są na czele, imponujące zbiory z hektara, mechanizacja, najlepsze kółko rolnicze w całym województwie- Należała się im ta szkoła...

\V budynku prezydium cicho było i jakoś sennie. Sprzątaczkę dawno już wyszły, woźny tylko urzędował na dole. Chodząca kronika dziejów starostwa cd pierwszych nieomal dni władzy polskiej w mieście. Kuternoga, dawny pracownik starostwa gdzieś w Drohobyczu. Oddany, zaufany, choć zawsze krytyczny. Byle co, pogaduje, jak to w tym Drohobyczu inaczej bywało...

Jeszcze ze dwie godziny spokoju. Zawsze przed sesjami próbował się skupić, uciekał od ludzi, zamykając się w gabinecie. Jak dzisiaj. Od zewnętrznej strony na drzwiach jego nazwisko i imię, tytuł: wiceprzewodniczący powiatowej rady narodowej... Z przeciwległej strony drzwi do gabinetu przewodniczącego. Nie przejdzie tam, po prostu każe zmienić tabliczki. Przyzwyczał się już do tego pokoju. Tyle lat.

Doznawał dziwnych uczuć, gdy myślał o nowym etapie swojego życia. Bo rzecz nie w tym, że od dwóch już lat praktycznie sprawował funkcje przewodniczącego, od chwili gdy Krzysztofiak zaczął chorować. Zawsze bowiem formalnie pozostawał tym drugim. Dzisiaj oficjalnie przejmie, jeśli użyć pompatycznego określenia, ster rządów w swe ręce.

Dopiero myślał z pewnym rozczeniem o Małyniskach... Jeździł tam jako inspektor do spraw osadnictwa. Śmieszna historia, szczeniak, miał przecież wtedy zaledwie osiemnaście lat. Niewiele umiał. Cichaczem wyrwał się z rodzinnego domu na wielką przygodę. Znalazł ją chyba, co więcej, znajduje po dziś... Gdyby mu wtedy ktoś przepowiedział, że w normalnym już czasie zostanie przewodniczącym powiatu, wyśmiałyby go i wykpił. A jednak. Gdyby marzył o czymś podobnym, mógłby powiedzieć, że marzenia się jednak spełniają. Tyle, że takich marzeń nie było.

Teraz jest zdziwiony, przyjemnie mu i przykro zarazem. Coś jakby nawet smutno. Za godzinę, cokolwiek więcej, Zajdzie daleka odmiana w jego losie. Z uwagi na Krzysztofiaka zmienił się porządek obrad sesji, sprawy organiza-

327

cyjne wysunięte zostały na sam początek. Przewodniczą. ^ w tym stanie zdrowia nie poradziłby z parogodzinnym posiedzeniem... Wybory. Wynik chyba nie nasuwa tu wątpliwości

Krzysztofowi musi być ciężko. Przed paru godzinami rozstali się w tym samym gabinecie. Przewodniczący jak nigdy skłonny stał się do zwierzeń. Normalnie trzymał się z pewną rezerwą, małowówny był, skryty. Trzeba było bliżej go poznać, aby odkryć pod sztywną powłoką uczciwie myślącego, serdecznego człowieka. Ale dzisiaj go wzięło. Rozkleił się. Trudno się dziwić.

Odchodził sam, na własną prośbę. Fikcja urzędowania mogłaby wszakże trwać jeszcze długo. Sanatoria, kliniki szpitale, urlopy wypoczynkowe, krótkie okresy urzędowania - i znowu to samo. Od strony prawnej najzupełniej w porządku. Z tym że Krzysztof sam zwalczał wszelkie fikcje. Od miesiąca wiedział, że lekarze nie taili, że o powrocie do zdrowia nie ma mowy. Tym bardziej o jakimś normalnym urzędowaniu. Nerwy, serce, nerki, wszystko zharatane. Skądś dobiegły słuchy, że przyplątał się na dodatek nowotwór. Nie wiadomo, czy Krzysztof o tym też wiedział... W każdym razie zwrócił się z prośbą o zezwolenie na rezygnację z piastowanego urzędu. Nie było rady, województwo musiało się zgodzić. Wystarczyło tylko spojrzeć na tego człowieka, aby z miejsca pójść mu na rękę. Zgarbiony, jakby miał osiemdziesiąt lat, a nie pięćdziesiąt siedem, z twarzą pomarszczoną, z podkrążonymi sinicą oczyma, z dłońmi dygocącymi nerwowo. I oczy, bezbarwne, chociaż wciąż żywe, pełne trawiących go niepokojów.

Dziś też patrzył Felek na te dłonie, widział każdą zmarszczkę na twarzy siedzącego obok człowieka. Starał się nie okazać wzruszenia, które czemuś ścisnęło mu gardło. Uśmiechnął się, popijał dla towarzystwa herbatę, której nie znośił. Krzysztof, przysięgły kawosz, od dawna już musiał z niej zrezygnować.

— Widzisz, Felek, czuję, że coś ze mną nie tak... Przez całe życie zajmowałem różne stanowiska, przechodziłem od roboty do roboty, posyłano mnie, gdy coś się waliło, trzeba było prostować. Nauczyłem się nie przywiązywać do

328

miejsca, do pracy. Ale teraz inaczej. Nie powiem, żeby mi łatwo było odchodzić. Trudno jak nigdy. Przecież to dziesięć bez mała lat. Pamiętasz, byłeś wtedy zastępcą kierownika wydziału rolnego, przywieźli mnie z województwa w teczce, taka moda panowała w tamtym okresie... Wściekły byłem, nie miałem ochoty na tę robotę. Bo tym razem zaszło przecież coś zupełnie innego. Nie kierowano mnie na zaniedbany odcinek, gdzie trzeba energicznie zadziałać. Głupia moda, tu, gdzie trzeba było ludzi z zapałem, związanych z terenem, pchano facetów w czymś źle widzianych, za karę odstawionych na boczny tor... Stare dzieje. Naraziłem się komuś, zdjęto mnie z funkcji, przez półtora roku otrzymywałem pensję nie wiedzieć za co, za to chyba, że w domu siedziałem. Aż zapadł Wyrok: na prowincję, na dziki zachód, do jakiejś dziury... Jakże mi się nie podobał ten powiat, jak bardzo odstręczało od siebie miasto. Miałem uczucie, jakbym się dusił. Ale nie mogłem niczego dać poznać po sobie. Byle potknięcie, mocniejsze słowo, mógłbym znaleźć się nie tam, gdzie bym chciał. Buntowałem się zatem w sobie, na zewnątrz robiąc dobrą minę do nieciekawej gry...

— Myśmy o was rzeczywiście nic nie wiedzieli. Chodziły jakieś plotki, nikt nie mógł potwierdzić, na ile prawdziwe...

— Zgadza się... Niektóre z tych plotek podrzucane były zresztą celowo... Dla mnie przyjazd tutaj wydawał się katorgą. Nie widziałem siebie w tej robocie, nie miałem do niej serca. Wciągałem się raczej siłą nawyku, przyzwyczajeniem, aby robić dobrze... Nie wiem, kiedy się to wszystko zmieniło, raczej dość szybko. Jakbym ozdrowiał psychicznie, z miesiąca na miesiąc zacząłem czuć się coraz bardziej sobą. Związałem się z robotą, z terenem. Gdy wreszcie wszystkie do mnie pretensje zostały przekreślone, otrzymałem propozycję powrotu do Warszawy na odpowiednie stanowisko. Uwierzysz, bardzo mi było trudno uprosić o zmianę decyzji, uzyskać zezwolenie pozostania na miejscu. Wrosłem w to miasto, zżyłem się z wami, moje ambicje też się związały z tym rejonem. Wydaje mi się, że działaliśmy tu jednak co nieco. Chciałem robić dalej, imponuje mi szczególnie ludzka energia. Ale cóż, od dwóch lat nie mogę się pozbierać, strzęp

329

ze mnie. Dawne lata, zwariowane życie, sen byle gdzie, chłód często i głód, tych parę ran, jakich się dorobiłem, odezwało się, choroby zwały się całą gromadą. Być może, nie pociągnę już długo. Siostra ze szwagrem, oni jedni zostali z rodziny, chcą koniecznie, bym wrócił do nich, razem zamieszkał, w Warszawie się leczył, że niby lepsze warunki. Odmówiłem. Zostanę tutaj. Do ostatka. Nie umiałbym odejść. Nie znoszę sentymentów, łzawienia, lirycznych nutek. Dla mnie zawsze istniały tylko Polska i moja idea jako podstawowe pojęcia i uczucia, do szczegółów nie przywiązywałem znaczenia. Szczegółem dla mnie było miejsce zamieszkania czy pracy, miasto lub osada fabryczna, zaś wieś albo partyzancki biwak, nad Ebro, nad Bugiem czy Pilicą. Pierwszy raz się zdarza inaczej. Może to dowód starzenia się, choroby, a może normalność, nadejście momentu, kiedy trzeba wybrać coś bardzo osobistego. No cóż, wybrałem to miasto. Z jego dziećmi, którymi są zapchane ulice, z młodzieżą, która jest .tak bardzo wrażliwa, z tym średnim czy starszym pokoleniem, które uwolnione nareszcie od patosu słagonów, bez wielkich słów, bez dęcia w trąby, na co dzień, normalnie spełnia swe obowiązki.

Urwał, jakby zasłuchany we własne słowa, a potem wstając już powiedział bardzo cicho, wyraźnie wstydzając się swojej słabości:

— Wiesz Felek, tak chciałbym, abyście pamiętali niekiedy o mnie. Żebym nagle nie poczuł się bardzo, bardzo osamotniony. Żyłem zawsze z ludźmi, pośród nich, więc nie chciałbym, aby teraz.-rr

Wysunął się cichutko, niemalże bezszelestnie.

A Ferycki z nagłą spostrzegł się, że w oczach jego zakręciły się łzy. Otarł je niecierpliwie, choć się ich bynajmniej nie wstydził.

I teraz, wspominając, niedawną rozmowę, odczuł przyptyw wzruszenia. W województwie, miał się zresztą zjawić na sesji zastępcy przewodniczącego, sugerowano, by to składanie berła przez Krzysztofiaka odbyło się w atmosferze serdeczności, uroczystości. Jakby oni sami tego nie rozumieli. Będą kwiaty, dużo kwiatów, delegacje dzieci i mło-

330

dzieży, będzie sto lat, załogi zakładów przygotowały symboliczne dary, jest akt nadania honorowego obywatelstwa miasta. Gotów jeszcze przewodniczący Krzysztofiak w tym podniosłym nastroju rozplakać się...

Dobrze, że w taki sposób go pożegnają. Lżej jest człowiekowi, gdy ma ludzką wdzięczność za sobą. Zdecydował, że zostanie tu z nimi. Przywiązał się do tego miasta, dobrze się czuje pośród jego mieszkańców... Nie on jeden. Kto to mówił przed laty, parę pokoleń minie, nim zrodzą się silne więzi uczuciowe z tą nową ziemią ludzi przybyłych tutaj z całego świata, nim zgasną wspomnienia miejsc, które trzeba im było opuścić. Osiemnaście zaledwie lat, a jakaż siła regionalnego patriotyzmu, który tutaj się zrodził. I to w okresie często nie najłatwiejszych doświadczeń. Z kotłowaniny, z dziwnego zlepku zrodziła się nowa społeczność...

Żachnął się. Jakoś zbyt sloganowo myśli, nieważne, że tym razem slogan jest tak bardzo prawdziwy. Krzysztofiak jest jednym z wymownych przykładów, może jednym z najwymowniejszych. Inna sprawa, jak można nie przywiązać się do tej ziemi, do miasta, które objawiło nieoczekiwaną żywotność, pnie się, rozrasta, mnoży masę mieszkańców, wybiega daleko poza dawne rogatki.

To także jego miasto. Nie rodzinna Łódź, z której po kryjomu uciekał od rodziców na poszukiwanie przygody. Do Łodzi zachował naturalny sentyment jak do miasta, w którym mijało jego dzieciństwo i niełatwe lata młodości w czas okupacji. Ale zawsze był komuś podporządkowany, dopiero tutaj zaznał samodzielności. Bez niczyjej sugestii wybierał swą drogę. Pewnie, musiał mieć wiele szczęścia, ale jakiś udział własnej woli także o niejednym zdecydował.

Mimowolnie obejrzał się za siebie. Na ścianie, za szkłem, widniał pierwszy numer „Informatora osadniczego”. Jakże stara historia. Zaczął wydawać te biuletyny jeszcze w czterdziestym piątym roku. Pomogli Dzwiniarska, starosta Ziel-niak. Osiemnaście numerów. Może dzięki nim opanowali tak szybko pierwotny chaos, świadomi byli sytuacji w tere-

331

nie, umiejętnie kierowali napływającymi tłumnie osadnikami.

Inspektorat. Zarazem nauka wieczorami, ciężka, wodą łeb trzeba było polewać, gdy oczy nazbyt się już kleiły do snu po całodziennym harówce w terenie. Karabin u boku, później pistolet. Przeróżne sytuacje, niebezpieczne, niekiedy humorystyczne. Jaśka, żeniaczka, też wygrany los na loterii. Nie wszyscy równie dobrze trafili. W tamtym czasie równie szybko łączyły się jak i rozstawały małżeństwa. Następnie wydział rolny w starostwie. A po dwóch latach degradacja, naraził się, gadało się nawet o gorszych konsekwencjach. Matura. Znow awans, zastępstwo kierownika wydziału rolnego. Początek studiów ekonomicznych. Zwariowana robota i zarwane noce, prześlęczone nad podręcznikami. Wyjazdy na egzaminy. Krok po kroku, ciągle do przodu. A potem seria awansów. Wydział rolny, sekretariat prezydium, stanowisko wiceprzewodniczącego. Łatwo się to wylicza jako coś normalnego. Tylko on sam wie, ile za tym było wyrzeczeń, ile wysiłku, aby nie ustać, nie zrezygnować, pchać się wciąż naprzód i naprzód. Teraz szczytowe stanowisko w miejscowej hierarchii, druga funkcja obok sekretarza powiatowej organizacji partyjnej. Starzy rodzice w Łodzi, za nic jej nie chcieli opuścić, znow z podziwem pokiwiają głowami. Ojciec, w duchu zachwycony, będzie rzędził, że ten Felek to ma piekielne szczęście, w czepku się rodził, matfca zamruga oczyma, jak zawsze, gdy jest wzruszona... Najmniej się zdziwi Jaśka i dzieciaki, dla nich będzie to naturalne. Wierzą w niego, w jego możliwości, każdy sukces przyjmują jak coś najzwyklejszego.

A on sam? Nie boi się ani pracy, ani związanej z nią odpowiedzialności. Chyba sprosta zadaniu. Nowy urząd stanie się ułatwieniem w realizacji nowych zamierzeń, od niego będzie sporo zależeć, całą parą

dopiero pchnie się sprawę eksperymentu. Pewnie, zwiększa się także ryzyko, gdyby coś mu się nie powiodło, łatwiej będzie uderzyć władzom nadrzędnym.

332

^Je raczej nie ma lęku. Do tego ostatecznie szło od pewnego już czasu. Tyle że mogli na miejsce Krzysztofiaka przysłać kogoś innego. Nie uczyniono tego, okazał się godny zaufania. To zarazem mocno zobowiązuje, ogranicza swobodę działania. Cała nadzieja we współpracy z Chrzęszczem. Nie najchętniej odchodzi z funkcji sekretarza propagandy powiatowego komitetu, dopiero z całym rozmachem zaczął tam rozkręcać robotę. Ma zaledwie dwadzieścia sześć lat. Młodziak. To dobrze, nie będzie mu przeszkadzać rutyna i ostrożniactwo, co tak często cechuje wielu ze starszych, których życie zbyt mocno uderzyło po grzbiecie. We dwójkę chyba sporo zwojują. Bo i on czuje się miody, jeszcze czterdziestka mu nie stuknęła, nawet z tymi ze studium nauczycielskiego łatwo mu znaleźć wspólny język.

Więc czemu jest jakiś nie w sosie, szarpią nim nieznanne uczucia. Nie lęk, nie kwestia odpowiedzialności, nawet nie duma czy satysfakcja, choć w jakimś stopniu i to może odgrywać rolę. Jest coś innego. To najpewniej, o co, mówiąc o sobie, potrafił Krzysztofiak. Nuta sentymentu, wzruszenia, że właśnie tutaj, w tym mieście. Przed rokiem otrzymał propozycję przejścia do innego powiatu. Właśnie na przewodniczącego. Odmówił. Za nic by nie opuścił miejsca, w którym spotkało go wszystko co dobre, w którym nawet złe przejścia stały się potrzebne, dając szkołę życiową. Dlatego ten awans cieszy i wzrusza.

Wygrał? Chyba dopiero teraz wyłania się możliwość największej gry. Wyzyskać wszystkie warunki, postawić powiat na nogi, dać miastu szeroki oddech, stworzyć ludziom możliwość nie przygaszonego, prowincjonalnego życia, ale aktywnego współuczestnictwa w przemianach czasu. Wyciągnąć na pierwszą linię. Są dzielni, aktywni ludzie. Doszlusują też nowi. Dopomóc im, stworzyć pole do działania. Po to będzie potrzebna ta jego funkcja.

Wzruszenia? Mogą być, byle tylko nie przeszkadzały. Po paru latach, gdy zrobi się pełny bilans zamierzeń i ich realizacji, można będzie się wzruszać. Albo dziwić się własnej ^naiwności. Żeby tylko energii i sił starczyło. Chwi-

333

lami mu. się wydaje, iż ma ich nadmiar. Ale zdarza się przychodzą chwile zniechęcenia, - depresji, niczego się nie chce, wszystko staje się nudne i odstręczające. Pragnie się wtedy jedynie spokoju, ciszy, oderwania od życia. W ostatnim czasie jakoś za wiele było takich momentów. Wypocząć? Tej sztuki się nie nauczył. Dwa czy trzy razy wyjeżdżał na wczasy, wracał zawsze przedwcześnie. Nudził się, nie wiedział, co począć z sobą. Nie umiał żyć poza działaniem...

Sekretarka już się krząta w przyległym pokoju. Od parteru dochodzi poszum. Zbierają się radni. Ktoś idzie.

Podniósł się z krzesła witać gości przybyłych z województwa na sesję. Szeroko zaczerpnął oddechu. Co przyniesie mu nowy etap jego życia? Zwycięstwo czy klęskę? Sukces czy tylko zwykłą szarą nudę urzędowania? Ale to drugie jest wszakże zwykłą przegraną, zatem nigdy nie pozwolić sobie na nudę.

2.

— Co robię? — Jaśka zaśmiała się. — Niańczyę małą, po tej chorobie wymaga specjalnej opieki. Poza tym uczę się...

Ziutka wysoko uniosła brwi.

— Felek przekonał mnie, że muszę zrobić maturę. Wieczorami ganiam na lekcje, cisną tam. Ani chwili czasu nie zostaje mi teraz dla siebie.

— Ja mam go za to w nadmiarze... Franek ciągle boi się o mnie, przypuszcza, że te nasze historie, wiesz, z dziećmi stąd wynikają, że jestem słaba. Odsuwa więc ode mnie wszystko, cokolwiek sprawiłoby większy wysiłek. — Ożywiła się. — Uwierzysz, ale to chyba najgorsze, tak nic prawie nie robić. Wtedy po głowie chodzą różne takie niedobre myśli.

— Ty, Ziutka, i takie rozważania? Nie pasuje mi to do ciebie... Siedź spokojnie, dziś wyjątkowo marn trochę czasu.

334

Cieszę się, że zajrzałaś, tyle sobie obiecywałyśmy jesienią, że będziemy się częściej spotykać.

Przyjrzała się koleżance.

— Zmieniłaś się. Trudno mi powiedzieć, na lepsze czy na gorsze... Coś nowego jest w twoich oczach. Ziutka, masz jakieś zmartwienia? Niepokojna jesteś, ożywiona, ale tak jakoś nienaturalnie.

Długo nie mogła się zdecydować. Ręce złożyła przed sobą tym ruchem wiejskiej dziewczyny, który u niej pozostał, ujawniając się zawsze w chwilach przejęcia. Podniosła opuszczoną głowę, swymi dużymi, naiwnymi oczyma jakby z błaganiem czy przeproszeniem spoglądała na przyjaciółkę. Jaśka przegładziła ją po dłoni delikatnie, spokojnie.

I wtedy Ziutka zaniósła się płaczem. Cichym, dyskretnym, takim płaczem, który wyzwała z ludzi ból czy niepokój. Przytuliła się do Feryckiej.

— Od tygodnia już chciałam do ciebie przyjechać, ale jeszcze nie byłam pewna, czekałam, czasem się zdarza tak z opóźnieniem. Teraz już wiem...

— Co się stało? Co z opóźnieniem? — Coś jej świtało, drgnęła radością. — Ziutka, czy się nie mylę? O dziecko ci chodzi?

— O dziecko. Tak. Jestem w ciąży. Na pewno. Miesiąc temu też było już niewyraźnie, ale teraz przekonałam się z całą pewnością.

Dziwnie obojętnie, jakby z pewną niechęcią przyjmowała pocałunki i uściski szczerze uradowanej Feryckiej, aż ta w pewnej chwili wyczuła to, odsunęła przyjaciółkę od siebie.

— Ziutka, co z tobą? Nie cieszysz się? Nie cieszysz?

Wahała się jeszcze. A potem szeptem, trzymając Jaśkę za

obie ręce, wyrzucała gwałtownie słowo za słowem:

— Musisz mi przysiąc, na wszystko co święte, że nikomu ani jednego słowa... Muszę ci opowiedzieć, naradzić się, po to przyjechałam, ale boję się, boję się i wstyd mi, i nie wiem, co ze mną się dzieje, nie wiem, co będzie...

— Obiecuję ci, Ziuta... Na pewno coś wyolbrzymiasz,

335

w tym okresie nic dziwnego, że jesteś przewrażliwiona, nerwowa, to normalne.

— To zupełnie nie jest normalne. Nie wiem, może to nawet straszne... Jaśka, ale jak na spowiedzi, pamiętaj... Ty pewnie nie wiesz, co się w tym czasie zdarzyło... W Polsce był Władek. Przyjechał z Kanady. I parę lat temu też pisał, ale Franek nie odpowiedział...

Urwała, otarła łzy, uśmiechając się z przymusem.

— Jaka ja jestem głupia, zaczynam prawie od końca... Trzeba inaczej. Mówiłam ci wtedy, że Franek wozi mnie po wszystkich lekarzach aby coś zaradzić na tę moją bezpłodność, żebym mogła mieć dziecko. On sam o tym tylko marzy, brak dziecka jest dla niego nieszczęściem... Jest taki jeden specjalista w Warszawie, profesor. Trudno się dostać do niego. Franek to jednak załatwił. Więcej, zaczął nawet robić starania o wyjazd mój za granicę, gdyby i ta wizyta nie przyniosła wyników... W styczniu pojechaliśmy do Warszawy. Mężowi było to nie na rękę, robili jakieś bilanse w zespole, chciał być na miejscu. Wyrwał się na dwa dni. Okazało się, profesor przyjąć mnie mógł dopiero na czwarty dzień. Zdecydowaliśmy, że zostanę sama w Warszawie. Jeśli trzeba, miałam czekać choćby tydzień, i dwa, żeby tylko coś z tego wyszło.

— • Wypij coś, Ziuta, usta ci wyschły zupełnie, twarz masz w wypiekach, jakby'w gorączce...

— Można mieć od tego gorączkę... Słuchaj dalej, chcę, żebyś już wszystko wiedziała, wszystko, Jaśka... Profesor niespodziewanie przyjął mnie wcześniej, zaraz na drugi dzień po wyjeździe Franka. Badał bardzo długo i dokładnie, przeglądał wszystkie analizy, które jeszcze przedtem polecił mi zrobić. Na następny dzień polecił przyjść znowu. I wiesz, co powiedział?

— Domyślam się. Że nie jest tak źle...

— Że jest zupełnie dobrze, całkowicie w porządku. Mogę mieć dzieci, choćby i cały tuzin. Ręczy za to. W przeciwnym razie byłby bardzo zdumiony. I jeszcze powiedział, zaśmiał się, żeśmy obrali nie ten kierunek, to Franka należało badać i leczyć, tak mu się przynajmniej wydaje...

336

___ Franek nigdy się nie poddawał badaniom?

___ On? Ani by dopuścił myśli, że wina, jeżeli to w ogóle

jest jakąś wina, leży po jego stronie. Ciągłe płakał nade mną — Ucieszyłam się ogromnie z oceny profesora, on też był rad, mówił, żebym mu przysłała mężulka, zobaczy się, c0 nabroił... Byłam okropnie szczęśliwa, chciałam śpiewać na ulicy. Wszystko dobrze, mogę mieć dzieci, Franek nie

będzie miał do mnie żalu. Wiesz, chyba do pięciu kawiarni wstępowałam na ciastka, zupełnie jak małe dziecko, to z tej uciechy... Dopiero w nocy, w hotelu, zaczęłam szerzej widzieć całą sprawę. Cóż z tego, że ja jestem w porządku. Chodzi o dziecko. A jeżeli Frankowi nic nie pomoże, jeżeli on zostanie bezpłodny? Będzie nadal tak samo nieszczęśliwy, jeżeli nie więcej. Wtedy ogarnął mnie jakiś żal, popłakałam się w poduszkę, ciężko mi było, smutno, zatęskniłam za Frankiem, za moim Zenkiem, chciałam już jak najszybciej znaleźć się w domu i znowuż bałam się spotkania, pytań Franka, wiedziałam, że nie potrafię mu odpowiedzieć w pełni uczciwie, w ogóle się zagubiłam w tym wszystkim... Wyjeżdżać mogłam dopiero wieczorem następnego dnia, ten nocny pociąg jest dla nas najlepszy, bez przesiadek, wygodny... Zostawało mi sporo czasu, zamierzałam porobić trochę sprawunków. I wtedy spotkałam Władka...

— I cóż? Jakie wrażenie na tobie zrobił? Ja na twoim miejscu oczy bym chyba mu wydrapała... Albo może... nie wiem. Ty go bardzo kochałaś, Ziotka?

— Poznałam go od razu. Zupełnie zdębiał, to było w sali restauracyjnej hotelu, w którym się zatrzymałam. Szedł właśnie przejściem, stanął, kelner kilka razy musiał coś mówić do niego, nim ustąpił mu drogi... Czy zmienił się? Utył, policzki mu trochę zwisają. Ale poza tym jest taki sam. Dobrze ubrany, krzykliwy, strasznie dużo się chwalił... Ale taki sam, ten Władek co dawniej — w głosie jej zabrzmiała nuta jakiejś tęsknoty.

Ferycka to wyczula, mimo przejęcia opowieścią przyjaciółki spojrzała na nią uważnie.

— A ja? Ja też byłam wstrząśnięta. Nie wierzyłam swoim oczom, otwierałam je i zamykałam, nie wiem, co się ze

22 Przejaśnia się niebo t. II

337

mną działo, Władek mówił potem, że w pewnej chwili \yy_ ciągnęłam do niego ręce... Nie potrafię powiedzieć, dlaczego...

— Ziotka, ty jeszcze go kochasz?

W granacie jej wielkich oczu nie znalazła odpowiedzi. Oczy te patrzyły daleko, może widziały Władka, na moment zamigotało coś w nich, zgasło.

— Też nie wiem... Może w tamtej chwili istniało takie uczucie, odnowiło się po latach. Teraz chyba nie... Albo i jeszcze więcej... Podbiegł, chciał mnie uściskać, a ja na to czekałam. Ale tylko pocałował mnie w rękę. „Ziotka, mój Boże...” — powiedział. Potem zaczął się wypytwać, on mnie, ja jego. Dowiedziałam się, że przyjechał tutaj z wycieczką Polaków z Kanady. Już od dwóch tygodni jest w Polsce. Za pięć dni mieli wyjeżdżać. Pisał do Franka, chciał nas odwiedzić. Chciał zobaczyć Zenka, swojego syna... Franek odpisał, że nie chce go znać, że zawiódł się na nim, a Zenka usynowił i ten uważa go za swojego ojca. Żeby w ogóle nie zakłócał nam wszystkim spokoju. Władkowi było przykro, ale się wściekł, jak nie, powiedział, to nie. I dopiero ten dziwny przypadek, nasze spotkanie... Dziwna rozmowa. Najwięcej mówiłam o Franku. Jaki on dobry, jak mnie kocha, jak jest prawdziwym ojcem dla Zenka. Potem znów bełkotałam coś, że muszę już iść, nie mam czasu, a nasza rozmowa na nic się nie zda, żadnemu z nas niepotrzebna. Słuchał i tylko patrzył mi w oczy. Władek umiał tak patrzeć, aż

się człowiekowi zaczynało kręcić w głowie, nic nie wiedział i nie pamiętał. Zawołał kelnera, kazał podawać jakieś drogie, dobre rzeczy. Piliśmy trochę, ale mnie i bez tego cały czas kręciło się w głowie. Opowiadał o sobie. Jak uciekł od nas, to jeszcze pół roku się błąkał po Polsce. Długo trwało, nim nadarzyła mu się okazja wyjazdu do Kanady. Żyje tam dobrze, pozostał kawalerem, nie chciał się żenić. Ma przedsiębiorstwo, nieźle mu się powodzi, przecież mógł sobie pozwolić na tę wycieczkę do Polski. Jakieś przybory dla wędkarzy. Śmiał się, że nawet robakami handluje, tam się je pakuje na porcje, rybacy kupują..

338

' _ . A o tobie nic nie mówił, nie wspominał czasem, nie

tęsknił?

__ Tęsknił za Polską. Czasem rwało go coś, żeby wracać

do kraju... O mnie też pamiętał, nie wiem, zaklinał się, że tak. I Zenka, choć go na oczy nie widział. Nawet przez kogoś wywiadywał się o nas. Musiał to robić, skąd by znalazł adres, skąd by wiedział, że Franek objął jego miejsce? Na tę wycieczkę zdecydował się dlatego, że chciał nas zobaczyć, przeprosić, doprowadzić do zgody, ze mną, z bratem... -Gdy otrzymał ten przykry list od Franka; zamyślał zrezygnować z jazdy, ale potem powiedział sobie, że tamto jest -jednym, a wyjazd drugim. Do tej restauracji zaszedł przypadkiem, nigdy w niej nie był. Zobaczył mnie i sobie samemu nie wierzył...

Jaśka odniosła wrażenie, że Ziotka kołuje, że powtarza się, rozciąga swą opowieść w szczegółach, jakby bała się-powiedzieć coś najbardziej ważnego.

— Długo tam przesiedzieliście?

— Nie wiem. Nie obchodził mnie czas... Było mi z nim i źle i bardzo dobrze... Musiałam chyba powiedzieć, że chcę już iść, bo wtedy odrzekł, że odprowadzi mnie. Pojechaliśmy windą, przed drzwiami pokoju stanęłam, wyciągnęłam rękę, naprawdę miałam zamiar pożegnać się z nim. Cała drżałam, bałam się, że się rozpłaczę... A potem, potem Jaśka, potem coś przyszło mi na myśl. Cała ta wizyta u profesora, jego słowa. I moje myśli, że jeżeli Frankowi nie pomoże żadne-leczenie, a on tak bardzo chce mieć dziecko. To nie Władek, to ja bez słowa wzięłam go za rękę i weszliśmy razem do mojego pokoju. A tam on zaczął się żegnać. Nie puściłam go. Ja, ja, Jaśka, nie on...

— Czemu go bronisz tak mocno?

— Nie bronię. Mówię, jak było. Został u mnie do rana. I cały następny dzień byliśmy z sobą. I jeszcze jedną noc. Do Franka nadałam depezę, że profesor nakazał mi zostać, jakieś dodatkowe badania, mały zabieg... Te dwie noce, Jaśka, i dzień należały do Władka. Tak jak kiedyś, jak dawno już temu.

Była wstrząśnięta. Więc jednak z tej Ziotki, małej, nie-

33J>

pozornej, aż taki numer? Podniecało ją coś w przygodzie koleżanki, odpychało i zarazem bardzo wzruszało.

— A on co? Jak on się zachowywał?

— Tak jak kiedyś... Ale mówił, że jest mu przykro. Ze znów wobec brata jest nie w porządku. Wtedy mu opowiedziałam o profesorce, tęsknocie Franka za dzieckiem, że ja dlatego... Oburzył się, szepnął, iż myślał, że to z dawnego uczucia dla niego, a tymczasem... Mówiłam mu, że nie wiem, co mocniejsze, że i uczucie, a może tylko ono, tamto to jakby usprawiedliwienie. Tulił mnie znowu, tak mocno tulił, Jaśka, mocniej jak wtedy, mocniej, ciągle byłam go głodna, on chyba mnie też... To straszne, jak wspomnę teraz te noce i dzień, nie inny, taki sam. Co ja zrobiłam? Jak się wywdzięczyłam Frankowi...

Gwałtowny jej półgłos, słowa szybkie, namiętne urwały się z nagła. W oczach zjawiły się łzy. Ale oczy te znów patrzyły dalej, poza Jaśkę, poza pokój, poza to miasto.

Drgnęła, gdy z nagła naruszył tę ciszę ledwie słyszalny, a jednak brzmiący mocno treścią wypowiedzanych słów szept Ziotki:

— Frankowi powiedziałam, że profesor robił pewne nadzieje, że może będę mogła mieć dzieci, za kilka miesięcy, za pół roku dopiero będzie można się zorientować... Nie bardzo wierzył, w końcu wzbudziłam w nim pewne nadzieje. Nie miałam niczego na myśli, na nic nie rachowałam. Gdy po miesiącu okres miałam taki dziwny i niewyraźny, dopiero przyszło mi na myśl: a jeśli jestem w ciąży po tej historii z Władkiem? Teraz już wiem. Tak się stało... Wtedy miałam wyrzuty sumienia, że zdradziłam Franka, co z tego, że z Władkiem, z którym przecież kiedyś już żyłam, ale teraz to było coś zupełnie innego, to była zdrada, obrzydliwa odплата za całe dobro, jakie mi ten człowiek uczynił, mnie i mojemu dziecku zarazem. Obecnie przeżywam piekło. To straszne. Franek jeszcze nic nie wie, nie umiem mu powiedzieć, że jestem w ciąży. Ucieszy się, będzie bardzo szczęśliwy, ja zaś albo będę udawać, że się cieszyć, albo nie potrafię tak kłamać. Co robić? Przyznać się, powiedzieć prawdę? Niech pogoni, niech wygna, wszystko

340

•edno... Ale on? Czy on się nie załamie, czy sobie czegoś „jego nie robi, czy nie zapadnie się w nim wszystko, w co wierzy, czym żyje? Jaśka, poradź, poradź, jestem głupia, niedobra, zła, ale nie powinnaś mnie odtrącać, musisz mi dopomóc, ja nie poradzę już sama, z tym co we mnie się tłucze, aż się wstrzymuję czasem, żeby nie wyć, nie krzyzczeć... I wiesz, Jaśka, gdy czasem zacznę rozpamiętywać, jak to było w Warszawie z Władkiem, to znów się czuję szczęśliwa, przeżywam wszystko od nowa, ja chyba Władka kocham, Franka tylko lubię, szanuję, jestem mu wdzięczna. Po co ze mną się żenił, po co było to wszystko, lepiej mi było zmarnieć, niż teraz aż tak się szarpać... Kocham jednego, robię straszną krzywdę drugiemu. Powiedzieć Frankowi czy nie powiedzieć? Nie o mnie chodzi. O to dziecko. Ja przecież bardzo chciałam je mieć. To była ta pierwsza przyczyna, dla której wciągnęłam Władka do mego pokoju... Franek co dnia się pyta, czy czegoś nie czuję, czy może... Odpowiadam, że nie wiem, że jeszcze nic... Co wieczora do mnie przychodzi. On tak bardzo chce dziecka. Tym tylko żyje. I co ja mam zrobić, znając prawdę od każdej strony, co zrobić?

Nie płakała, oczy jej były suche. Wychudła, o zapadniętych policzkach, blada, wyrzucająca spowiedź swą ostrym szepem, patrzyła przejęta, przerażona niemal na przyjaciółkę.

Cóż jej miała powiedzieć. To wszystko było takie dziwne, tak bardzo zaskakujące. Obrzydliwe, ale i w jakichś szczegółach piękne... Franek tak straszliwie chce dziecka. To jego marzenie, wszystkie

nadzieje, cel w życiu. Felek wspominał, że ten człowiek zapija się ze zgrzyoty, że kocha inne dzieci, robi dla nich wiele dobrego, ale zarazem drażni go to, jątrzy we własnym nie spełnionym pragnieniu. Gdyby się dowiedział o postępku Ziuty, stałoby się to dla niego ciosem, z którego się nie podniesie. Nieważne nawet, co zrobiłby z Ziotką. Ważne, czy świadomie można człowiekowi sprawić aż tak okropny ból, narażać na katastrofę?

Zdecydowała się nagle.

— Ziotka, powiedz mi jeszcze jedno... Czy zanim spotka-

341

łaś Władka, a znałaś już diagnozę profesora, że możesz mieć dzieci, czy wtedy już przychodziło ci na myśl, że ot, gdybyś się z kimś przespała, mogłabyś uszczęśliwić Franka? Czy myślałaś o czymś takim, zanim spotkałaś Władka?

— Nie. Chyba nie.

— Sądzę, że puściłabyś się z Władkiem bez tej diagnozy lekarskiej. Jedno nie ma z drugim nic wspólnego. W intencjach, nie w skutkach — powiedziała surowo. — • Ale stało się, źle zrobiłaś, nie miałaś prawa tak uczynić, pamiętając, że wszystko zawdzięczasz Frankowi. Wszystko! Władek cię zostawił na długo już przed ucieczką. Żył z jakąś Niemką, nie chciał do ciebie wracać. — Mówiła to brutalnie, ostro, pełna niechęci do Ziuty. — Ty tymczasem Igniesz do niego, ledwieście się spotkali, Może to i miłość, ale jakaś mała, dziwaczna, chora... No cóż, stało się. Pytasz, co dalej? Nie masz prawa unieszczęśliwiać tego człowieka. Niech się łudzi, niech myśli, że to jest jego własne dziecko. Niech zazna szczęścia, ty za to będziesz musiała znosić wyrzuty sumienia, jeżeli nie miną ci szybko, nie zetleją i żyć nie zaczniesz wyłącznie wspomnieniem Władka. Twój obowiązek teraz — to okłamywać Franka. Nie masz prawa wyznać mu ani słowa. Nigdy, czy byłoby ci bardzo dobrze, czy bardzo źle. To będzie twoja tajemnica. Mnie nie licz. Zapadło to we mnie, nigdy nie wypłynie.

— Jaśka, ty gniewasz się na mnie? Ty się mną brzydzisz? — przestraszył w tych słowach.

W Feryckiej coś zelżało. Głupia, biedna dziewczyna. W końcu jej miłość do tego łobuza Władka jest na swój sposób ładna. Żeby ta cała reszta nie była tak obrzydliwa, tak zakłamana od początku do końca.

— Nie, Ziuta, ani gniewać się nie mam za co, ani się nie brzydzę. Jest mi smutno za ciebie, przykro, jeszcze się nie oswoiłam z tym, co się stało. To takie pogmatwane, nie wiadomo, co złe tu, co dobre. Wiem tylko, że na zewnątrz nie możesz nic pokazywać po sobie. Tym przynajmniej choć w małej części nadrobisz krzywdę uczynioną Frankowi... Uspokój się już, Ziuta, uspokój... Nie zostawię cię. Jeżeli będzie ci ciężko, przychodź do mnie.

342

Mówiąc to spoglądała na zmaląłą, skurczoną sylwetkę przyjaciółki. W całej postawie Ziutki znać było rezygnację. Jaśka pomyślała, że cokolwiek się nie stało, ta kobieta wybiera dla siebie ciężki los.

3.

Jeszcze w grudniu lekarz robił nadzieje, rzeczywiście nastąpił okres wyraźnej poprawy, matka próbowała nawet przez parę tygodni pracować w biurze, aż znowu pogorszyło się wszystko. Nie

potrafiła odróżnić liter, a w oczodołach zaczęły pojawiać się ostre bóle. To również nie stanowiło medycznej niespodzianki, katarakta dojrzewała, przybliżał się czas chirurgicznego zabiegu. I Rysiek i matka pragnęli aby nadeszło to jak najszybciej, zarazem jednak odczuwali lęk przed tą chwilą.

Pomimo wszystko, wbrew niepokojom, zdobył się na te, aby pozdawać zaległe egzaminy, przyjął kilka doraźnych prac reperujących mocno nadwątłony rodzinny budżet, uśmiechem i szczególną troskliwością pomagał chorej znosić jej przykry stan. Z dużą pomocą przychodziła mu tutaj Róża.

Dziewczyna zjawiła się u nich niemal każdego dnia, wyręczając w gospodarstwie domowym na pół zniechęciła matkę. I jej musiały się jednak udzielać kłopoty Matelskich, przybladła, źle wyglądała.

— Rózo, mam wyrzuty sumienia, że się nami zatrapiasz. Wystarczy, że cię czeka matura — całował jej ręce, wdzięczny i skłopotany.

— Nie to, Ryśku, jestem przekonana, że będzie dobrze, zabieg na pewno się uda. Spójrz, nawet sama terminologią! nie operacja, a zabieg. To wiele mówi... Nie przejmuj się moim wyglądem. Zawsze źle przechodzę wiosenny okres, Wtedy najsilniej we mnie się objawiają niepokoje, podrażnienia nerwowe, mazy i przywidzenia. Trudno mi z nimi walczyć... Parę dni temu śniła mi się moja mateczka. Stała

343

przy mnie, bardzo smutna, smutniejsza nawet aniżeli a życia. Mimo to próbowała uśmiechać się, jakby mi chciała dodać otuchy, usunąć te chorobliwe lęki, które mnie osaczają.

Przeglądał jej włosy, tuliła się do niego z całą ufnością.

— Ja wiem, że to głupie, na dodatek niepotrzebnie ci o tym mówię. Wystarczy, że odpoczywam, gdy jestem przy tobie. Uspokajam się wtedy, nic mnie nie trapi, jest dobrze, cicho, spokojnie... Ryśku, ja się zdecydowałam. Nie będziemy czekać, aż ty ukończysz studia. Pobierzemy się zaraz po mojej maturze. Znajdę jakąś pracę, ostatecznie na studium mogę pójść o rok czy dwa później...

■— A medycyna? — uśmiechnął się.

•— Zrezygnowałam. Nie dlatego, że mnie ta dziedzina nie ciągnie. Pragnęłabym zostać lekarzem. Ale za nic nie chcę się z tobą rozstawać, co byłoby przecież nieuniknione na jakiś czas. Kiedyś mówięś, że razem będziemy pracować w szkole, gdzieś niedaleko stąd. Mama byłaby z nami, w wolnych chwilach moglibyśmy wpadać do rybakówki, żeby ojciec nie czuł się tam samotny. Bo Pietrek zostanie chyba w Kortowie, jeżeli podtrzyma zamiar, aby iść naukową drogą. To słuszne, jest wybitnie zdolny... Zabierz stąd Felę, rozluźnij się nasze rodzinne więzy.

Chciał powiedzieć, że przed kilku dniami widział Felę w towarzystwie młodego człowieka, ale zamilkł, po co Róży przysparzać strapień. Ma ich bez tego dosyć. Mógł to być zresztą przypadek, albo swoisty wyraz gniewu dziewczyny, żywiącej żal do Bejnarowicza, że nie zjechał do domu na okres międzysesyjny, Fela nie mogła jakoś pojąć, że jego praca stwarza szansę dla nich obojga.

— Cieszę się, Rózo, choć trochę mi głupio. Ja mam się uczyć, gdy ty będziesz pracować. Może znajdzie się jakiś sposób, mamy sporo czasu przed sobą. Byłe z mamą wypadło dobrze.

Mimo że mocno próbował brać się w garść, nie umiał stłamsić niepokoju, sięgającego po niego mackami złych myśli. Tym bardziej, że i matka nie mogła wyzwolić się z osaczającej ją depresji.

344

— Tak się trapię, będę ci strasznym ciężarem. I Róży... — skarżyła się.

— Mamo, zabieg się uda, na pewno. To doskonały

specjalista, usunął już pomyślnie setki katarakt. A gdyby nawet, będziesz z nami, urządzimy wszystko tak, abyś się czuła najlepiej. Tylko nie trap się, pogorszysz swój stan, a wiesz, organizm musisz mieć silny.

— Dobrze, już się nie będę martwić.

I zaraz usuwała się do kuchni, by Rysiek nie zauważył też, które wbrew największym usiłowaniom spływały z jej coraz bardziej ślepnących oczu.

Lekarz uznał wreszcie, że czas już na zabieg. Długi tydzień szpitalnego przygotowania pacjentki. Dzień operacji. Rysiek spędził go na korytarzu w szpitalu, od południa towarzyszyła mu Róża, był jej za to głęboko wdzięczny. Wszystko przebiegło pomyślnie, lekarz był zadowolony, o rezultacie wszakże mówić będzie można dopiero za parę dni.

Pani Matelska nabrała nadziei. Pogodna była, gdy ją odwiedził.

Oczekiwanie było męczące, jakaś gra z niewiadomą. Co się w końcu okaże? Godziny mijały wolno, nie przyspieszała ich bieg nauka ani praca, znów bowiem złapał jakąś okazję w centrali nasienniczej. Dźwigając worki z suchym, chrzęszczącym nasieniem, myślał ciągle o matce. Lekarz przy ostatniej rozmowie stał się dziwnie małowówny, o ile uprzednio pocieszał, traktując sprawę optymistycznie, teraz rozkładał ręce, bąkając, że nigdy nie wiadomo, udany za-bieg to jeszcze nie wszystko, zdarzają się różne niespodzianki.

- To była katastrofa, nie niespodzianka. Jedno oko zaniewidziało zupełnie, drugim łapała chora tylko przebłyśki światła, a w ich tle zaledwie rozmazane plamy, już nawet nie kontury przedmiotów. Okazało się, że obok katarakty zaistniały wtórne procesy. Lekarz tym razem nie stwarzał złudzeń.

— Za jakiś czas ponowimy próbę. Zdarza się też, że z upływem miesięcy następuje samoczynna poprawa. Oczy-

345

wista w pewnym jedynie stopniu... Okropnie mi przykro, ale cóż, niekiedy medycyna okazuje się całkowicie bezsilna.

Nie poddał się, tym razem zdobył się na mocną, męską postawę. Jeżeli tak się już stało, powinien uczynić wszystko, aby zapewnić matce najlepszą atmosferę, stworzyć warunki, w których kalectwo byłoby dla niej najmniej dotkliwie.

Ona natomiast, zawsze wytrzymała i twarda, tym razem się załamała.

To go też przybijało najbardziej. Nie umiał znieść rozpacz tej nagle odmienionej kobiety, niepewnej, zastraszonej sobą i swoim stanem, nerwowo poruszającej wyciągniętą przed siebie dłonią, jakby coś zupełnie nowego obejmującej palcami te same, znane od lat przedmioty,, które z nagła stały się jakieś inne. Kiedy indziej tkwiła na miejscu z głową wzniesioną do góry, łowiąc każdy nadbiegający szmer. Gdy zdawało się jej, że jest sama, łzy skapywały gęsto z zagasłych oczu.

Na domiar opanowały ją lęki. Pozbawiona oparcia we wzroku, bała się wszystkiego, co stało się nagle obce i wrogie. Każdy krok mógł grozić upadkiem, każdy ruch ręki mógł spowodować szkodę. Skulić się zatem, przycupnąć, jak najmniej ambarasu przyczyniać swoją osobą. Gdy syn ■zabierał ją na spacer, kurczowo trzymała się jego ramienia, drobiła nogami, zaambarasowana jedynie sobą, odległa myślą od tematu rozmowy. W utyskiwaniach swoich stała się uciążliwa, jak długo bowiem można było nasłuchiwać biadoleń, że jest dla niego ciężarem, że utrudnia mu życie.

— Ależ mam, jak możesz tak mówić? Jesteś mi zawsze najdroższa, najbliższa, patrz, za rok skończę studia, wyjedziemy, albo może i w mieście dostanę pracę, weźmiemy kogoś do pomocy, będziesz słuchała radia, w wolnych chwilach będę ci czytał, będziemy długo, długo ze sobą rozmawiać.

— Tak, tak, syneczku.

I znów widział jakiś tragizm w jej postawie, w ruchach, w reakcjach. Pojmował, że stan ten w pierwszym okresie może być naturalny, zbyt nagła i zaskakująca zmiana nastąpiła w jej życiu. Żadne rozumowanie nie wystarczyło

346

W tym najcięższym okresie pani Matelska szczególnie ciążyła do cichej, spokojnej, towarzyszącej im nieodmiennie Róży. Przy niej zdawała się pogodzić, mniej tragicznie widziała swoje kalectwo. Radziła się też Róży we wszystkich problemach. Wyłynęła znów sprawa męża w dalekim Londynie.

W tym najcięższym okresie pani Matelska szczególnie ciążyła do cichej, spokojnej, towarzyszącej im nieodmiennie Róży. Przy niej zdawała się pogodzić, mniej tragicznie widziała swoje kalectwo. Radziła się też Róży we wszystkich problemach. Wyłynęła znów sprawa męża w dalekim Londynie.

— Bo widzisz, dotychczas nie zależało mi na jego pomocy. Przysyłał paczki, czy nie przysyłał, nie było to ważne. Teraz milczy już prawie od roku. Ani słóweczka. Skoro jednak tak wiele spada na Ryśka, jakaś pomoc chyba należy do obowiązków ojca? Podyktowałabym ci list, niech wie, co ze mną się stało, może go ruszy sumienie.

— Nie wiem, mam, jak Rysiek będzie to widział. Twardy jest na tym punkcie.

— Może nie wiedzieć. W końcu ja także mam jakieś prawo do decydowania o swoim postępowaniu.

— A jeśli to zrobi mu wielką przykrość?

— Prawda, na to nie mogę sobie pozwolić...

— Myślę, mam, że można by to odłożyć, odczekamy jakiś czas, zobaczymy. Przyznali mamie inwalidzką rentę, to już jest duży wkład. Gdy Ryś skończy studia, obejmie posesję, od razu odmieni się

wszystko... Dziś będzie sandacz, raniutko otrzymałam od ojca, przez kierowcę przysłał, który zabiera ryby. Mama to bardzo lubi, nieprawda?

— Kochanie ty moje — przytuliła dziewczynę. — Anioły nam ciebie zesłały.

— Nie anioły, mamó. Kocham Ryśka, i wszystko, co go dotyczy, stało mi się najbardziej bliskie. Także i ty.

Na to Matelska zaczynała popłakiwać ze wzruszenia i Róża nie wiedziała, co począć.

Byle tylko Rysiek był mężny, myślała, i potrafił znieść brzemię, jakie na niego spadło. I żeby nic złego już się więcej nie przydarzyło, nic a nic...

Bo od niejakiemu czasu dręczyły ją złe przecucia, budziła się ze snu zlaną potem, wylękała nie wiedzieć czego, szarpał

347

..^

nią narastający niepokój, na próżno tłumaczyła to sobie nerkami, stanem napięcia, chorobliwą swą wrażliwością.. Lekarz potwierdził tę jej diagnozę, zapisywał krople i pi_gutki, zamiast uspokajać, zdawały się jednak pogłębiać w niej stan jakiegoś niepomiernego smutku.

Z utęsknieniem oczekiwała matury, może wtedy się wszy, stko odmieni, będzie mogła decydować o sobie, znajdzie radę, aby dopomóc Ryśkowi i matce, zabije pracą męczący niepokój, poweseleje wokół nich, razem z wiosną zbudzą się żywsze nadzieje.

4.

Więc jakże to było?

Słoneczny parny dzień wczesnej wiosny. Dudnienia jeszcze słyły mocne od niedalekich lasów, gdzie jednostka radziecka rozprawiała się z zażarciem stawiającym opór batalionem esesmańskim. U nich tu, w mieście też było gorąco, dopiero zlikwidowano samozwańczy komitet niemiecki, wzburzone tłumy gromadziły się przed polską siedzibą, od przedmieścia nadbiegała palba, znów jakieś starcie. A ich tak mało, ani do setki nie dociągali.

Słońce paliło, wiatr podrywał tumany pyłu, sypał w twarz ostrym kurzem zmieszany z ułamkami cegieł, niósł mdłe, drażniące zapachy od zasypanych piwnic z nie uprzątniętymi jeszcze zwłokami.

Przed budynek pełnomocnika zajechało sześć wozów, konie ledwie robiły bokami, umordowane i wychudzone. Ludzie? Twarze mieli zszarzałe od kurzu i udręki. Niepokój i desperacja w oczach. „Jest tu jaka nasza władza, bo ostatnie dni to jeno Niemce i Niemce na drogach?”. Na czele, jakby przywódca gromadki, czarny, zarośnięty chłop o czujnym spojrzeniu. Na jednym z wozów pośród rozmamła-nych dzieciaków chora, pojękująca kobieta. Kto wy? „Osadnicy z Kieleckiego...” Odpocząć, mówią, zjeść, i dalej nad Odrę, póki czas, pokąd ziemia ziarno jeszcze przyjmie, orać,

348

iać bo jeśli nas do dziś bieda nie zżarła, to zeżre, skoro ple zasiejemy. Nad Odrą, mówiono im, będzie ziemia.

Niełatwo przełamały się lody, nastąpiło pierwsze zbliżenie. W ich polskiej grupie poruszenie, zastrzyk otuchy i wielkiej nadziei. Tu wkoło palba, mord, strzelanina, jawni i ukryci wrogowie, ich tylko garstka. I nagle ci osadźcy, ciągnący na swych furkach nocami i dniami, pośród niebezpieczeństw, ryzykujący życiem, marzący o tej ziemi wyśnionej, za którą tęsknili przez lata, ziemi, która teraz ma ich czekać nad Odrą... Pierwsza osadnicza jaskółka, zapowiedź wielkiej wędrówki polskiego plemienia. Cóż dziwnego, że posypywały się dary, choćby z tych najskromniejszych racji, że serca otworzyły się na przestrzał, by zabiedzonej, zdrożonej garstce polskich chłopów z Kielecczyny dać odczuć, iż są pomiędzy swoimi.

A potem wędrówka w poszukiwaniu miejsca na osiedlenie. Stary, czarny Antoni, ciągle kręcący nosem. Tu źle, tu niedobrze, ludzie, jeszcze wytrzymajcie, jeszcze skupcie całą swoją wolę, osiadać będziecie nie na dziś, nie na jutro, na zawsze. I znów poskrzypywały wozy pośród kurzawy. A wreszcie ta wioska, jak na dłoni jawiąca się przed nimi, widoczna ze wzgórza, na które dopiero wciągnęli. Rzeka, potem okazało się, jakie w niej pstrągi pluskały, niewielkie jezioro, głębokie o przejrzystej jak rzadko toni, las gęsty od trzech stron, ziemią urodzajna, teraz porośła chwastami wyższymi nad chłopca. Trochę domów zniszczonych, reszta, mniej lub więcej okaleczonych, mogła wszakże przyjmować osadników od zaraz. Przystanął Antoni, spojrzął, oczy mu się rozjaśniły, zdjął czapkę, przeliczył swoją gromadkę, przeżegnał się:

— Tu nasz nowy dom. Niechże Bóg błogosławi...

Eskortowali ich z bronią w rękę strzegąc pierwszych tych osadników. Razem dzielili niepokój wyboru, gorączkę oczekiwania. Aż do tej chwili, do słów starego chłopca, na różny sposób doświadczonego przez życie, tutaj szukającego upragnionego spokoju, pracy bez wątpliwości w jutro. Nagle przestali dla osadników istnieć, uwagę tamtych bez reszty pochłonęła ziemia, domy, rzeczka i łąki, las i prze-

349

rzysta woda jeziorna. Ci wszyscy Masłowscy, Kądziele Jaskółscy, Murawkowie, Matczyńscy, stary Antoni z rodził ną — poczuli się sobą, prawdziwymi gospodarzami.

— Pamiętasz, Felek? Razem byliśmy, wracaliśmy potem dumni, zadowoleni, że coś się oto zaczyna — siedząc naprzeciw Feryckiego w jego gabinecie eks-sierżant Pędzić poddawał się rozmarzaniu.

— A jakże, słońce prażyło, a w parę dni później zjawily się jeszcze przymrozki. Nie mieli łatwo. Z lasów przez całe miesiące wychodziły oddziały i grupy niemieckie, napady, rabunki, strzelanina, zabici i ranni. Desperacko walczyli. Taki Masłowski, stary Antoni, inni. A jeszcze rozszarpywały ich miny, zalewała woda, myszy wyżerały posiane ziarno, groził głód. Wtedy poznałem, jaka jest piekielna odporność polskiego chłopca.

— I jeszcze po paru dniach radzieckim łazikiem odwoziliśmy Murawce matkę i dziecko. Była gorzała, wypiliśmy pod szczęście pierwszego dziecka, jakie zrodziło się między nami... A teraz taka pannica, kto by powiedział. Jak zobaczyłem w aktach daty ich urodzenia, jej i chłopaka, tylko zaszeptalem do siebie: mój Boże, to już? Tak szybko?

— Pomyśleć, moja Zośka też mogłaby wychodzić już za męża, mieć dzieci, ja mógłbym być dziadkiem — uśmiechnął się Felek. — No dobra, Pędzik, ostrożnie, bo się nazbyt już rozmarzymy. Zgadza się, stary, można to zrobić z huczkiem. Sam będę przy ślubie, a w każdym razie zastępca. Jakiś prezent dla młodych też się wyłuska od prezydium. Kiedy chcą mieć ten ślub? Za dwa tygodnie? Szkoda, że nie później, można by to połączyć z rocznicą wyzwolenia naszego miasta.

— Próbowałem przekonać, ani chcą gadać. Spieszy się im. Tobie też się kiedyś do Jaśki tak samo śpieszyło — łypnął okiem kierownik urzędu stanu cywilnego, eks-sierżant i eks-komendant milicji Alojzy Pędzik. — Jak coś, mogę się zatem powołać na ciebie, że przewodniczący zgadza się, aby ten ślub wypadł tak jakoś uroczyście, odświętnie, z fasonem?

— Możesz, stary, tylko się nazbyt nie rozpędź. 350

pędzik wychodząc zamrugnął jedynie oczyma. Już się on pstara, urządzi tej parze ślub, że miasto będzie huczała. V/ oparciu o decyzję przewodniczącego prezydium. To ładnie brzmi, przekona najbardziej opornych.

Mierziła go do niedawna własna funkcja, niby takiego świeckiego księdza. Pewnie, roboty dużo, ludzie rodzą się i umierają, biorą śluby, wszystko to wiąże się na co dzień z jeg° Prac3- Początkowo może nawet ciekawą, jest co śledzić tak na bieżąco. Później się jednak przejada, zawsze tak samo albo podobnie. Ta sama formuła, sztuczny uśmiech, ciemne ubranie z perłowym krawatem, światła, kwiaty, życzenia.

Tym razem w Pędziku zbudziła się dawna energia. Znow mógł coś robić, organizować, wyzywać się w działaniu. Od tamtego dnia, gdy przypadkiem przyjrzał się nieco dokładniej papierom zgłaszającej się pary, uderzyło go, że tacy młodzi oboje, już wtedy strzeliła mu do głowy ta myśl. Dłużej z młodymi rozmawiał niż z innymi interesantami. Zdenerwowało to nawet chłopaka, może wyczuwał za zainteresowaniami kierownika coś niedobrego?

Tymczasem Pędzik przyglądał się dziewczynie, postawnej, nawet niebrzydkiej, może tylko o twarzy zbyt pełnej.

— Marianna Murawka? Jakże u starych, wiecie się im?

— To pan ich zna?

— My także się znamy, tylko pani nie chce pamiętać — mrugnął okiem, widząc jak się chłopak nastroszył, nadstawił uszu. — Pani miała tak ze trzy, cztery dni życia, gdy odwoziłem ją razem z matką do ojca... Pan z samego miasta, jakoś nie mogę sobie ojca przypomnieć. Co robi?

— Formierz w zakładach odlewniczych — odparł chłopak wzruszając ramionami.

— Formierz? Nie pamiętam... Zaraz, zaraz Cholewo, był taki, prawda, od początku w odlewni, odbierali te zakłady od Niemców... No proszę, tośmy się sobie przypomnieli. Kawaler jest młodszy o trzy tygodnie od' narzeczonej.

— To nic nie ma do rzeczy, panie kierowniku, czy można wiedzieć, dlaczego... — nastroszył się chłopak.

— Dlaczego tak wypytuję? Prosta rzecz, kochani, bo do-

brze o was myślę. Jesteście pierwszą parą z urodzonych już na tej ziemi jej obywateli, której udzielam ślubu. Cieszę się i... — zawahał się wtedy, zaraz jednak nabrał rozpędu. — I mówię wam, jakem Pędzik, że ślub wam taki urządzę, jakiego tu jeszcze nikt nie miał. Oczy będziecie wytrzeszczać.

Spojrzeli młodzi po sobie, przyjrzeli się na wszelki wy. padek uśmiechniętej twarzy kierownika. Była szczerą.

Tak się zaczęło. Wystarał się Pędzik o placet przewodniczącego. Dopiero zafrunęło, jak się zabrał do dzieła. Mogłoby się zdawać, że całe miasto i powiat nie mają ważniejszej sprawy na głowie. Telefony, wizyty, długie rozmowy i serdeczne przekonywania, niekiedy ton ostrzejszy, nieomal groźny:

— To jakże, sugestia przewodniczącego towarzyszowi nie odpowiada? Taki stosunek do naszego miasta, do młodych? Ejże, nieładnie, dyrektorze, nieładnie...

Co było robić, kapitulowali jeden po drugim. W końcu zaczęło się to ludziom podobać.

Pędzik zaś działał. Chłopak należał do ZMS-u, w organizacji młodzieżowej postanowili wykorzystać okazję. Pewnie, pomogą, ze swej strony także coś takiego zorganizują, żeby długo potem pamiętali ludziska wesele... Dziewczyna nie była związana ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej, ale i tam trafił były sierżant. Specjalnie się wybrał do wioski rodzinnej młodej Marianny, bo to i ZMW, i z rodzicami też warto się dogadać. Krupka nie tylko użyczył swej bibliotecznej furgonetki wygranej w konkursie, ale i zabrał się razem.

— Cholera, od dwóch lat nie mogę tam wywojować od rady gromadzkiej lokalu dla biblioteki. Punkt na tak roz-czytaną wioskę to za mało. Etat już mam, byle wykołatać tę budę. Jedziemy.

Na wzgórkach, z którego rozpościerał się widok na wioskę, samochód przystanął, Pędzik zapragnął odświeżyć swoje wspomnienia. Długo przypatrywał się rozwierającej się przed nim płaszczyźnie, zamkniętej półkolem przez zwarty

cjąg lasu. Kilkadziesiąt gospodarstw kładło się kręgiem podchodząc aż pod szafirowy płąt jeziora.

_ Po jednym napadzie, zginęła wtedy matka Matczyń-

skiej, zamordowali ją zbóje, co drugi z osadników był ranny. w sześciu milicjantów przyjechaliśmy z osłoną. Lisie-wicz był komendantem milicji, dał taki rozkaz... Nastroje w wiosce były niedobre, nawet Niemcy, którzy tu pozostali, spokojni jacyś, drżeli ze strachu przed kompanami z lasu. Trzy dni panował spokój, cisza, myśleliśmy, nie będziemy potrzebni. Aż przyszli całą gromadą, tam, od prawa, gdzie ten wysoki las, drągowina jeszcze wtedy to była. Mówię ci, chłopie, takich nocy nie zapomina się. Też oberwałem, postrzelili mi ramię, kości nie naruszyło, wojowałem do końca...

— No dobra, pewnie, różnie bywało, ale może już pojedziemy? — Krupka zazdrościł Pędzikowi tych wspomnień. Sam był naówczas zbyt młody, aby aktywnie uczestniczyć w zdarzeniach.

Wracali późno w noc. Furgonetka drżała od pokrzyków i zaśpiewów, ciągniętych ochryptymi głosami. Kierowca klął po cichu w szoferce. Tamci zaś ściskali się i obejmowali, przysięgając sobie dozgonną

przyjaźń. Rodzina Mu-rawków okazała się po staropolsku gościnna, weselisko szykowało się jak należy, młodzież z ZMW garnęła się chętnie do wszelkiej pomocy, gromadzka rada przydzieliła wreszcie lokal na bibliotekę, wszystko nakazywało zatem opić sukcesy...

— Krupka, ja ci mówię, to było życie!

A później, w następne dni na nic już nie miał Pędzik czasu. Bez reszty zajął się przygotowaniami do ślubu. Ktoś z pracowników zażartował, że czyni to z takim zapałem, jakby dla siebie samego... Mistrz ślubnych ceremonii spojrzał na niego, chciał już po swojemu dorzucić coś ostro, nagle zamilkł, dłońmi jedynie zamachał.

Bo oto jakimś żalem przewinęło przez serce Pędzika to odezwanie. Jakby dla siebie. Pewnie, utkwiał w staroka-walerskim stanie, już chyba na zawsze, nie zgłupieje przecież na stare lata, by teraz się żenić... Nie było czasu.

Przejaśnia się niebo t. II

353

Przedtem wojaczka, później pionierstwo, ani się spostrzegł jak minął najlepszy czas, zresztą i kandydatek nigdy odpowiednich nie było. Co mu się zaczynała któraś podobać sprzątał ją z przed nosa ktoś inny, albo i sama nie chciała spojrzeć łaskawiej na krewkiego sierżanta. I tak już zostało. Też mógłby mieć dzieci w tym wieku, mógłby im taką galę z weseliskiem wyprawiać.

Tylko że i szczęście należy organizować. Z panną było wszystko w porządku, dom rodziców zamożny, ład w nim, porządek, od dziewczyny też nie było czego wymagać. Ale młody Cholewo? Trochę się wydawał eks-sierżantowi nie-dopierzony. Ukończona jakaś tam szkoła zawodowa niższego stopnia, dotychczas na utrzymaniu rodziców, dopiero się rozglądał za pracą, w ogóle zresztą niefrasobliwy w stosunku do życia.

— Już ja cię ustawię pod sznureczek, równiutko,, chło-pasiu. Żonkę bierzesz, o dzieci postarasz się na pewno w mig, ale co dalej? Tata ma zarabiać na ciebie z rodziną, teściowie paczuszki z kiełbasą i jajkami podsyłać? Taki numer nie przejdzie. Jeżeli chcesz mieć ślub super, musisz inaczej. Jutro jedziemy szukać roboty.

Znalazła się, w fabryce płyt pilśniowych. Jeszcze by czegoś takiego nie umiał Pędzik załatwić.

— Meble są. I tak macie piekielne szczęście, że starzy ustępują wam w swoim domku aż dwa pokoje. A garnki, rondle, nocnik dla dzieci, wózek pewnie będzie niezadługo potrzebny, inne takie cudeńka? Nie zarobisz od razu aż tyle. Czekaj, spiszemy sobie to wszystko.

Na ostatek przyszedł żonkoś zupełnie zbaraniał, dawał się wodzić Pędzikowi za sobą jak cielę na sznurku. Wszelkie buntury kierownik urzędu stanu tłumiał wojskowym krzykiem.

Cztery dni przed weselem nowa kwestia:

— Ubranie masz, takie jak trzeba? Żebyś mi czasem gołą dupą nie świecił w wesele. Odprasowane? Musisz pokazać.

Rozniosła się historia po całym mieście, a i w powiecie głośno o niej gadano. Ferycki zadzwonił któregoś dnia, pró-

354

kując mitygować zapędy Pędzika. Otrzymuje sygnały, ludzie nie są zadowoleni, kierownik zbyt ich mocno naciska.

— Naciska? Skarżę? To pewnie ten, dyrektor z MHD. Zał mu kompletu garnków dla młodych. Dawał takie ostatniego gatunku, powiedziałem, może się wypchać. Że co? Nie wolno? Ja nikogo nie zmuszam. Podsuwam okazję, honor przecie i reklama dla firmy. Już ty się, Feluś, nie bój, załatwi się wszystko.

I co można było z nim zrobić?

Najdłużej opierał się dyrektor muzeum. Pędzik uznał bowiem, że taki ślub, pierwsze małżeństwo z młodych urodzonych już na tej ziemi, musi mieć szczególną oprawę. Więc chyba najlepiej w tej sali* gdzie się odbywają sylwestrowe koncerty... O, żeby tu była pani Dzwinarska, ona by dopiero wiedziała, jak rzecz urządzić. Za jej czasów inaczej w tym muzeum bywało. Ten argument przekonał kustosza, nie znosił ciągłych wspomnień o Dzwinarskiej. Niechże odbędzie się ten ślub w muzeum. Ale jeden jedyny raz, zastrzega to sobie.

I tak było z wszystkimi, nie znalazł się nikt, przed kim by Pędzik skapitulował.

Nadszedł wreszcie dzień ślubu. Pół miasta się zbiegło, aż milicja musiała regulować to zbiorowisko. Taksówkarze naciskali klaksony, huczało i chrypiało, grała marsza ochotnicza orkiestra strażacka. Samochodów nazjeżdżało się tyle, że zastawiły pobocza całej ulicy. Z ogrodów miejskich przystano potężne naręcza kwiatów. Przedstawiciele fabryk i instytucji zjeżdżali się z paczkami prezentów. Młodzież ZMS-owskiej organizacji ustawiała się symbolicznym szpalerem.

W sali muzeum odbywała się ceremonia. Pędzik celebrował ją niezwykle wzruszony. Pozwolił sobie przy okazji swoich uprawnień na małą mówkę. Że oto trzydzieści siedem procent mieszkańców powiatu to już nowo narodzeni na tej ziemi obywatele. A ta para, biorąca dziś ślub, patrzeć tylko, jak da życie wnukom niedawnych pionierów... Tutaj Pędzik groźnie przewiódł oczyma po twarzach obec-

355

nych, likwidując w ten sposób wszelkie zarodki nie wie. dzieć czemu zrywającego się śmiechu.

Przemawiał przedstawiciel starosty, delegaci młodzieży, sołtys gromady. Dzieci wręczały kwiaty. Fotografowie upamiętnili ten historyczny moment. Stawił się nawet dziennikarz z wojewódzkiej gazety. Aż wreszcie delegaci zaczęli wręczać wcale nie symboliczne prezenty. Imieniem prezydium powiatu, od młodzieżowych organizacji, od zakładów pracy, spółdzielni, od handlu i od rzemiosła. A jakże, znalazły się owe sławetne garnki w potężnym komplecie, i radio, dwa nawet, ofiarodawcy nie uzgodnili tego ze sobą, książka kucharska od „Domu Książki”, komplet szycowej bielizny od handlu, znowu wtedy te głupie prześmieszki, słowem, cała góra, potężny stos darów.

Ostatni zabrał głos znowu Pędzik. Króciutko tym razem. Wspomniął już uprzednio, że tylko patrzeć, rodzić się zacznie drugie pokolenie obywateli, mieszkańców tej ziemi. Czeka nas jeszcze jedna

podniosła chwila, rejestracji urodzin dziecka zrodzonego z rodziców, dla których odbudowane miasto jest ojcowizną. On wierzy, że początek nowemu okresowi da właśnie dziś poślubione małżeństwo Cholewów. Niech przyjmą zatem prywatny dar od niego, Pędzika, skrzynię zabawek dla przyszłego następcy tronu. Na pierwsze trzy lata życia. Niech dziecko się bawi, niech mu niczego nie brakuje, po to przecież wojowało się z dywersją niemiecką, przywracało życie ruinom, sadziło kwiaty w miejscach, gdzie w dniach urodzin obecnych tutaj młodych małżonków dymiły zgliszcza.

Później już było jedno szaleństwo. Młodzież krzyczała, wiwatowała, zgiełk poszedł na całe miasto, zaczęły zapełniać się samochody, mające zawieźć weselnych gości na ucztę do domu Murawków.

Pędzik nie śpieszył się. Stał przysłonięty filarem na ganku muzeum, głośno wycierał nos, momentami zbliżając chusteczkę także ku oczom. Nie wiedzieć, czy to właściwie był dzień, Cholewów czy też byłego sierżanta Pędzika?

356

5.

Zawsze, od kiedy pamięta, lubił czas wczesnej wiosny. Dni przedłużały się, mrok coraz później zagarniał ziemię, tryskała zieleń, jaśniało i weselało. Nawet ponure myśli traciły wtedy na znaczeniu, usuwane przez promyki nadziei.

Tego piątku czuł się o wiele raźniej niż kiedykolwiek. Może dzień był bardziej spokojny i ciepły, może radośniej nastroiły go słowa dyrektora, który wspominał na budowie iż możliwe, że przeniesie go wkrótce do innej pracy.

W ogóle odniósł Teodor wrażenie, jakby dyrektor czemuś był szczególnie zainteresowany jego osobą. Nigdy jeszcze coś podobnego się nie zdarzyło. Przystanął, bąkał o pogodzie, o budowie, zagadnął wreszcie znienacka:

- Pan był kiedyś tutaj starostą, panie Budniak?
- Ano byłem, przez niejedno się przechodziło...
- A te blizny podobno od pożaru, kiedy to z ognia wyciągał pan małe dziecko?
- I o tym słyszał już pan dyrektor?
- Ano słyszy się, słyszy co nieco. Tak, tak, pomyślimy o innej pracy dla pana...

Odszedł, jeszcze się oglądał za siebie. Nie próbował Budniak dochodzić przyczyn nagłego zainteresowania swoją osobą, i tak by przecie nie odgadł. Co ma być, to i tak będzie.

A jednak rozmowa ta nastroiła go jakąś otuchą. Żeby tak jeszcze ze Stefą się wyjaśniło. Dotąd od dziewczyny nie było żadnych wieści. Mogłaby wracać. W „Samie” manko zostało splacone, całą rzecz umorzono, przynajmniej ten miecz już nie zwisał nad karkiem. Głupia, strasznie głupia dziewczucha.

Ledwie zjadł obiad, nadąsana jak zawsze żona wskazała palcem papiery leżące na podniszczonej etażerze:

- Są listy do ciebie.

Sięgnął ciekawie i z nagłym ułtuciem nadziei w sercu. Rzadko kto do nich pisywał, Tomek ze Szczecina, najczęściej. Więc te inne listy to może od Stefy? Przez chwilę

357

obrać w palcach podłużną grubą kopertę z nadrukiem-Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Ci znowu czego chcieć mogą od niego? Przecież nie w związku z nadchodzącą rocznicą wyzwolenia miasta, od paru lat nie pamiętano o nim, nikt nie nadsyłał zaproszeń... Sięgnął po nóż by przeciąć kopertę, gdy u drzwi zabrzmiał dzwonek.

— Zobacz, Teodor, mam ręce mokre...

— Telegram, panie Budniak — doręczyciel bez ręki, starszy już wiekiem, musiał go skądś pamiętać — Ano bywa, niewesołe nowiny.

Słowa te wwierały się w jego uszy natrętnym jakimś refrenem, gdy drżącymi dłońmi rozrywał zaklejkę blankietu telegraficznego.

— Co tam nowego? — jak przez mgłę doszedł do niego głos Heli.

Stał jak wryty z rozpostartym blankietem w dłoni. Czytał ponownie, przyswajając sobie wolno, bardzo wolno docierającą do niego treść lakonicznych słów: „Wypadek. Syn w stanie ciężkim. Konieczny natychmiastowy przyjazd. Dyrekcja”.

Podał jej szeleszczący arkusik papieru, bezwolny i bezsilny w tej chwili, niezdolny do wymówienia jednego słowa.

Natrętnie, pełna niepokoju, szturchnęła go w bok. Prawda, zapomniał, Heli ciężko idzie z czytaniem.

— Matko miłościwa — załamała kobieta rękę.

Tarł czoło. Coś się tam kotłowało i przewalało, osaczając zapadającą pustkę, w której ginęły ostatnie jego nadzieje.

— Teodor, coś trzeba zrobić.

Przytomniał z najwyższym trudem.

— Tak, robić, prawda, coś trzeba rabić... Każą przyjeżdżać. Musimy jechać. Jeszcze przed północą jest pociąg na Szczecin, pamiętam, oglądałem niedawno rozkład... Trzeba jechać.

Powlóknął się do wnętrza domu i jakby nie dotarły do niego wypowiedziane dopiero co słowa, ciężko się osunął na krzesło. Niechętnym ruchem dłoni odgarnął ozdobne

358

pismo z prezydium, nie ciekaw już jego treści. Myślał

o synu.

Tomek. Sześć lat kończył, gdy przyjeżdżali do tego miasta. Wesolutki, żwawy chłopaczek. Dziś ma dwadzieścia trzy lata. Dojrzały człowiek. Różnie z nim bywało w poprzednich latach, ale wziął się w

garść, pracuje, został spawaczem, uczył się wieczorami, chciał czegoś dopiąć. Może przykład ojca tak podziałał na niego, zły przykład.

Spostrzegł się z nagłą, że myśli o synu w czasie przeszłym. Wstrząsnął się. Nieprawda! W telegramie wyraźnie piszą, stan bardzo ciężki. Zatem jest nadzieja. Może wątpliwa, mizerna, ale jest. Nie może tak się stać, to byłby już nadmiar nieszczęść. Stefa, historia na budowie, wszystko co złe... Pocieszał się zawsze myślą o Tomku. Krępy jak

1 ojciec, o muskularnych ramionach i wysuniętej do przodu szczęce. Ktoś mówił, że to oznacza mocny charakter.

— Teodor, to jak?

— Trzeba jechać. Szykuj się, Hela, do drogi. Może parę dni przyjdzie zostać przy chłopcu. Zabierz ubranie, jakieś jedzenie... Klucze zostawimy Sykałom.

Mówił trzeźwo, na kobietę podziałało to aktywnie, była znów kierowana, wiedziała, co ma robić. On sam, wbrew rozsądkowi swych słów, stał na uboczu. Wewnątrz czuł narastający chaos, w którym mieszał się jakiś straszliwy bunt przeciw uderzeniom losu, odczucie ogromnej krzywdy i żal, smutek i gorycz. Ten ostatni cios był zbyt silny, tak że momentami przestawał po prostu wierzyć w jego prawdziwość. Wtedy wzrok machinalnie kierował się ku rozłożonemu na stole blankietowi, rzeczywistość wybijała się na wierzch blado odbitymi czcionkami, Budniakiem zaś wstrząsnął dreszcz.

To dziwne rozdwojenie, z jednej strony trzeźwość działania, z drugiej zupełne zagubienie w narastającym bólu, nie opuszczało go przez wszystkie wieczorne godziny. Sztywnym krokiem powlókł się jak automat do najbliższego telefonu, aby się upewnić u Jezierskiego na dworcu, o której ma pociąg na Szczecin. Może jest jaki wcześniejszy? Tak, o dwudziestej pierwszej z minutami, z tym

359

że będą musieli się przesiadać. Różnica w przyjeździe około dwóch godzin. Dwie godziny to dużo, pojedą zatem wcześniejszym. Tomek tam czeka, chce ich zobaczyć, może mu są bardzo potrzebni.

Hela pozbawiona krzątanimi, absorbującej uwagę, dopiero w pociągu zaczęła sobie pełniej uświadamiać, co właściwie się stało. Wtulona w kąt przedziału pochlipywała cieniutko. Nie zwracał na nią uwagi. Aż nie do wiary, jak zobojętniały mu teraz żona, i Stefka, i jego własne przykre przejścia ostatniego okresu, jak wypadek z Tomkiem zaczął przesłaniać wszystko.

Nie widział chłopca od blisko roku. Nie przyjechał nawet na urlop, napisał, że chce poświęcić ten czas na naukę. Stocznia daje im wyjątkowe warunki studiów, pragnie wykorzystać to w pełni. Nie zamierza pozostać tylko spawaczem, marzy mu się coś znacznie poważniejszego... Rozsądny był list, poza zwięzłością zdań i chropowatością sformułowań wyczuwało się w słowach silną wolę. Uparty był zawsze, jeszcze jako dzieciak, gdy sobie coś postanowił, musiał to zrealizować wbrew wszystkim przeszkodom. Podobnie teraz. Pisywał regularnie, choć rzadko. W listach jego brakło czułości, przypominały suche, urzędowe raporty. Budniak doskonale pojmował odczucia syna, i w tych pozornie obojętnych relacjach odnajdywał zarówno jego, jak siebie, w całej skali łączącego ich ze sobą uczucia.

Kochali się bardzo. Od szczenięcych lat chłopca. Nie nazywane, legło u podstaw ich wzajemnego stosunku głębokie zaufanie, wykluczające tajemnice, jakieś tylko własne, intymne sprawy. Tomek zwierzał się ojcu otwarcie zarówno z niepowodzeń w nauce, jak i z pierwszych przeżyć okresu dojrzewania, wspólnie przeżyli odtrącone uczucie chłopca, i trud aklimatyzacji w nowym, specyficznym środowisku stoczni oraz samego Szczecina, i odnoszone w pracy sukcesy, dyplom spawacza najwyższej klasy i postanowienia kontynuowania nauki na wieczorowych studiach. Jeżeli w najcięższych okresach coś pozwalało Budniakowi znaleźć w sobie dość hartu i siły odporu, łączyło się to z pamięcią chłopca, ze świadomością wiążących ich poprzez

360

przezeń spokojnych męskich uczuć. Bez roztkliwień, bez sentymentów i sztucznej emfazy.

Seria ciosów zdawała się nie mieć końca. Po wszystkim, c0 przeszedł, zwała się teraz złowrózba depesza. Stan bardzo ciężki. Konieczny natychmiastowy przyjazd. Nie wróżyło to niczego dobrego, można się było spodziewać dalszych najgorszych wieści. Jeżeli stocznia to pisze, nie szpital, dowód, że katastrofa jakaś miała miejsce przy pracy, na terenie zakładu. Przy tym tempie, w tak olbrzymim, intensywnie dyszącym pracą zakładzie zawsze istnieje możliwość wypadków. Praca spawacza prawdopodobieństwo to mnoży... Co się stało z Tomkiem? Czy zastaną go jeszcze przy życiu? Może dogorywa, czekając na nich, resztą świadomości szukając wokół siebie ojca i matki. A ten pociąg wlecze się tak straszliwie, jak od niechcenia postukują koła na spojeniach szyn, wolniutko przemijają obok zamazane w czerni nocy kontury drzew i słupów telegraficznych.

Do tej chwili bał się dopuszczać do siebie myśli o tym najgorszym, co może ich czekać. Teraz, gdy raz popuścił cugli, myśl ta zasiedliła się w jego umyśle, nie umiał się od niej uwolnić. Prześladowała go, rozrastając się w ponure wizje.

Nie potrafił usiedzieć dłużej na miejscu. Zerwał się, ostro i jakby szukając za nimi ratunku, szarpnął drzwi przedziału. Hela zerwana z półdrzemki przewiodła za nim oczyma, przez sen zamamrotał któryś z pasażerów.

Na korytarzu było przestronnie i nie tak duszno jak w rozprażonym przedziale. Budniak głęboko, mocno zaczerpnął powietrza. Prostując zeszywniałe nogi, przeszedł wzdłuż korytarza, rzucało go ze ściany na ścianę. Stał teraz w poszerzonej przestrzeni przy drzwiach wejściowych. Oparł rozpalone czoło o szybę. Szedł od niej przyjemny chłód. Pociąg zdawał się przyspieszać biegu, szybciej przesuwały się drzewa, mignęły światelka jakiejś stacyjki, koła wybijały na spojeniach dziwaczny rytm. Zastuchał się. Bez wątpienia śpiewały najwyraźniej:

— To-mek, To-mek, To-mek.

361

Odetchnął głęboko, bardzo głęboko, jak nurek wynurzający się z głębiny i żarłocznie chwytający zbawcze powietrze. To postukiwanie jest ponure jak werble, gdy wybijają swój takt.

Oczy Budniaka zapełniły się łzami. Spierzchnięte wargi zaszepotały:

— Tomek, synku, co z tobą, gdzie jesteś? Tomek, Tomek...

— To-mek, To-mek, To-mek — wtórowały koła wagonu.

Poczuł się słabo. Mocniej się oparł o drzwi.

W przestrzeń, w pęd pociągu pobiegł niegłośny, pełen bardziej zdziwienia niż przerażenia krzyk człowieka, wypadającego z rozwartych nagle drzwi wagonu.

ROZDZIAŁ VIII

1.

Uczucie

zaistniałej pustki i pogłębionej stąd samotności? Na pewno. Ale zarazem oddech wyraźnej ulgi, podobnej do tej, gdy po wytężonym nocnym wysiłku witamy ze wzruszeniem pierwsze pasemka brzasku.

Zgaśli obydwójce jak umówieni, w odstępie niespełna dziesięciu dni. Pierwsza nie przebudziła się pewnego dnia babka. Czuwająca przy niej pielęgniarka przecierając po drzemce oczy z przyzwyczajenia ujęła spoczywającą spokojnie dłoń chorej, by zbadać puls.

Wiktor przyjął wiadomość spokojnie, zaskakująco spokojnie. Mogłoby się здаwać iż żona odeszła z jego życia dawno, od chwili, gdy powalił ją paraliż wiążący na zawsze już z łóżkiem. Troszczył się o nią, zaglądał każdego dnia, mając dla niej uśmiech i kilka ciepłych słów. Ale potem były te jego własne sprawy, natrętna tęsknota za Christine, jedynym pozostałym przy życiu dzieckiem, która od wyjazdu Gerty nie odzywała się już zupełnie. Przeżywał historię z Misiągą, ciągle go to czemuś bolało, nie mógł darować mu owego starcia, gdy obecny prezes wyzywał go od szwabów. Honorową funkcję pojął tak, jak należało: jako wycofanie na daleką symboliczną pozycję. Przestał pojawiać się w warsztatach. Ale jednak interesował się nimi, podpytywał wnuka co dnia, sypał prorocztwami, że teraz, przy Misiadze, lada dzień zawali się wszystko.

Po powrocie z pogrzebu żony zatarł ręce, przysunął się Pod swój piec bąkając, że zimno. Nic więcej, ani słówka wspomnienia. Tyle że przez parę dni nie ciekawił się też stolarnią.

363

Tamtej nocy zdumiał wszakże raz jeszcze wnuka, okazując swą niebywałą witalność. 'Schirmer dopiero ukończył kreślenie projektu urządzenia dla sali widowiskowej w wojewódzkim młodzieżowym ośrodku, znużony zapadał właśnie w pierwszy, najtwardszy sen, gdy poczuł silne szarpanie za ramię. Zerwał się otwierając szeroko oczy. Przed nim stał Wiktor w długiej nocnej koszuli, z twarzą wyblakłą, jakby wysączono z niej resztki krwi, z żywo natomiast płonącymi oczyma.

— Co się stało, dziadku?

— Nic, Janku, jeszcze nic... Musiałem cię zbudzić, bo czuję, że dzisiaj umrę. Mógłbyś potem mieć do mnie żal, że jedno po drugim odchodzimy bez pożegnania.

Zły był za niewczesny pomysł starego człowieka. Skapitulował wszakże, ubrał się, dla odświeżenia zlał głowę zimną wodą, wreszcie pośpieszył do dziadka przekonany, że zastanie go smacznie śpiącego.

Tym bardziej zaskoczył go niesamowity obraz, jaki ujrzał przed sobą. Wiktor Środa leżał wyprostowany, kołdra rozestaną była starannie, przygładzona, tak samo poduszka. Dziadek uparcie wpatrywał się w sufit, w pełgające tam, dygocące poblaski światła idące od płonących na nocnej szafce dwóch świec gromnicznych. W dłoniach ścisnął maleńki rzeźbiony w drzewie krucyfiks, majstersztyk jakiegoś czeladnika sprzed lat.

Osobliwy w tym świetle, w drgających migotaniach płomyków, stawał się nastrój pokoju. Cienie tańczyły, chwiały się, podrygiwały jakby w jakimś makabrycznym balecie, cieniutkimi migotaniem iskrzyła się przypięta na krzyżu sylwetka Chrystusa.'

— Dziadku, co dziadek wyprawia... — zaczął bardziej ostro niżeli, zamierzał, może pod wpływem rozdrażnienia przy nagłym wyrwaniu ze snu.

Spokojnie, z jakimś dostojeństwem poruszyła się głowa starca, ogarnęło Schirmera intensywne, przenikliwe wejrzenie.

— Usiądź, Janek... Ja wiem, że odchodzę. Ona tam na mnie czeka, dziewiąty już dzień. Zawsze byliśmy ra-

364

zelT1) przez całe życie... Nie masz ze mną kłopotu, sam sobie wszystko przygotowałem. Nie budź Janaskowej, zupełnie nam niepotrzebna.

Mówienie musiało mu sprawiać duży wysiłek, głos momentami zamierał. Wtedy tylko oczy zdawały się dopowiadać słowom.

Słuchał cierpnąc, oszołomiony i przerażony niemal tym dziwnym misterium tak dobrze wyreżyserowanym przez starego człowieka.

— Nic ci nie mam do przekazania, znasz wszystko, poprowadzisz warsztaty, nie zmarnujesz ich... Jedna prośba... Żebyś pamiętał, ty i wszyscy inni żeby chcieli pamiętać, że ja byłem Polakiem. Dlatego tak mnie gniewał Misiaga. Gdyby' powiedział to samo dwadzieścia lat temu, nawet może jeszcze piętnaście, byłaby to na połę prawda. Ale potem zmieniło się... Będiesz pamiętał, będziesz?

Przytaknął.

— Dobrze. I jeszcze... Gdyby się odezwała Christine, twoja matka, moja córka, pamiętaj o niej. Albo sam ją odszukaj, zabierz do siebie. Z Gertą jej dobrze nie będzie.

— Tak, dziadku, będę pamiętał o matce.

Później zapadło milczenie, nie przerywane przez żadnego z nich. Niekiedy skwierczały tylko cichutko spalające się świece, trzask jakiś przebiegał drewnianymi elementami starego domu, nic więcej. Stary Wiktor oddychał równo, mogłoby się zdawać, że śpi. Schirmer widział, jak jego dłonie coraz silniej się zaciskają na krucyfiksie, a spojrzenie oczu staje się odległe i łagodniejsze.

Niewiele wtedy myślał. Cała ta scena była oszałamiająca, drażniła, ale i obezwładniała zarazem.

Potem mocniejszy oddech, niby westchnienie, i stary Środa znalazł się znów razem ze swoją zgasłą niedawno małżonką. Płomienie świec zachwiały się, położyły niemal, jakby kto je potrącił, po czym znów się wyprostowały, paląc się równo i spokojnie.

Wtedy Schirmer powstał, czuł się zaczadzony, na pół przytomny z nadmiaru przeżytych wrażeń. Dopiero obudził Janaskową...

365

Wszystkie formalności przebiegły gładko, nadszedł moment, gdy stanął sam u progu dziadkowego domu, który przechodził z tą chwilą w jego posiadanie. Te same meble, fotel Wiktora tkwiący pod piecem, staroświeckie zasłony na oknach. I zarazem przedziwny spokój w atmosferze zaWszystkie przecież niespokojnego stanem potencjalnego napięcia mieszkania. Jakby uleciały stąd wszystkie zgrzyoty, smutki, strapienia. Cisza. Nie ta jednak obezwładniająca kryjąca się za nią pustką, inna cisza, niosąca, wytchnienie.

Samotność, ale i ulga. Odczuwał to coraz intensywniej z każdym dniem tego miesiąca, jaki dzielił go od pogrzebowych uroczystości. Zastanawiało go z nagłą nadpływające poczucie swobody w czasie. Pracował nie mniej intensywnie niż zwykle, ślęczał nad projektami, w dniе zajmował się kierownictwem technicznym i najzwyczajszą administracją. I oto jakby na przekór wolny czas rozrastał się, stając się sam przez się nowym problemem. Zdumiewał się, przecież przedtem nic go w domu nie ambarasowało, wszystkim zajmowała się Janaskowa, rozmówki z dziadkiem były krótkie, urywały się zresztą szybko, trudno było bezustannie wracać do tych samych, z obsesyjną nudą przypominanych spraw. Zarazem jednak przytłaczała go uprzednia nerwowość atmosfery domowej, czające się zewsząd nie dopowiedziane napięcie, paraliżujące każdą chwilę swobody. Doświadczał niekiedy takiego ucisku, jakby z przestąpieniem domowego progu obarczono go brzemieniem nad miarę wytrzymałości. Teraz to ustało, już na tym samym progu zdawała się go witać swoboda, otucha, pogłębiało się uczucie wewnętrznej pogody.

Teraz mógł już i o osobliwej scenerii odejścia Wiktora rozmyślać spokojnie. Pewnie, hart jakiś woli, zezwalający staremu człowiekowi na zejście z łóżka po przecuciu śmierci, przywołanie wnuka i zwierzenie się mu z ostatnich swych odczuć wraz z przekazaniem zaleceń. Nie te zewnętrzne sprawy przyciągały wszakże myśl Schirmera. Istotniejsza stawała się treść zasłyszanych ostatnich słów dziadka. O jego powiązaniu uczuciowym z polskością...

356

jeszcze raz musiał zatem objawić się w tym domu problem narodowości.

Aż nadto dobrze znał historię swojej rodziny. Te dalekie, słabiutkie więzi z polskością poprzez babkę i niewielkie sentymenty żyjące w dziadku wraz z pamięcią lat spędzonych w Polsce przed wojną. A potem wojna, wyzwolenie, fantastyczna na swój sposób, choć odstręczająca sylwetka wuja Józefa, zrodzona z jego sugestii koncepcja przemiany Mittwochów w Srodów. Gizelda na tym tle i Christine, jego ciotka i matka. Pogmatwane, a jednak proste późniejsze koleje polskiego losu na tej ziemi z ich rodziną na tle zachodzących wydarzeń. Wreszcie moment rozstrzygającej decyzji: wyjazd Christine z Gertą, jego odcięcie się od nich, pozostanie na miejscu. Wybór dokonany, kości rzucone. Łączyła się z tym również reakcja dziadka. Teraz, gdy go już nie stało między żywymi, wyraźniej uwypuklały się niektóre z jego powiedzeń czy postępków. Wyrastała do prawdziwych rozmiarów skrywana często

pod rubasznoscia i pewna oschloscia miosc zywiona do wnuka, moze miedy innymi i dziki temu, ze tak wlasnie wybrał, a nie inaczej, slowa nabieraly pelniejszych znaczen, wymowniejsze okazywaly sie gesty przedtem nie dostrzegane. Stary Wiktor jakimis wlasnymi drogami, moze poprzez stolarnie, imponujacy jej rozrost, ambitniejsze zadania, dochodzil do miosci nowej, drugi raz na drodze zycia spotkanej ojczyzny. We wnuku widzial jakby tej miosci pelniejsze wcielenie, stąd ta serdecznosc, pragnienie przekazania mu swego testamentu w obliczu nadchodzacej smierci...

Młody Pomykało na inny sposob szarpał się z wlasnymi watpliwosciami, miosc swą musial doraźnie podbudowywac poprzez nienawisc. Stary Wiktor odwrotnie, od nienawisci rozpoczel swój szlak, by go zamknac pelnia uczucia. Ale poprzez los jednego i drugiego, u poczatkow i u kresu zycia, dokonywala sie znacznie wazniejsza sprawa. Dogorywaly kompleksy zwiazane z wniesionym na te ziemie kruchym nalotem niemczyzny, odplywaly i nikly bez reszty problemy poczatkowo tak bardzo bolesne i zywe.

Organizm

367

spoleczny wyzbywal sie jakby niedawnych krost i wypryskow, ginely ostatnie polowicznosci. Moze i dlatego odejście Wiktora bylo potrzebne, zsyłajac nastrój odprężenia i... p0 prostu ulgi.

Znamienne, wlasnie dopiero teraz zaczely sie budzic w Schirmerze pragnienia przemiany osobistego zycia. Uprzednio nic z takich nastrojow nie docieralo do niego. Dzialal, poruszal sie troche jak automat, calkowicie oddany pracy i z nią zwiazanej stolarni. Teraz jeszcze nie nazwane, nie dopowiedziane do konca zjawialy sie tęsknoty. Za czymś wlasnym, bardzo juz osobistym. Czymś, co uzupełnial będzie pracę i z nią zwiazane klopoty czy satysfakcje. Natrętnie powracaly przed pamieć wypowiedziane kiedyś slowa Janaskowej, ze się powinien ożenic. Wykpił ją wtedy, ale dzisiaj ?

Nie łączyló się to z żadną konkretną osobą, bylo raczej jakby snem czy imaginacją. Nie precyzowal sobie, jaka ma być ta jego przyszła wybranka, nie myslal o jej charakterze ani wyglądzie. Wiedzial, ze ktoś taki się znajdzie, moze przypadkowo, nie szukany. I malo wazne wydawalo się wszystko inne poza tym, ze w domu powstanie atmosfera ciepla, zrozumienia i zyczliwosci. Teraz dopiero pojal, ze wlasnie takiej atmosfery braklo mu-w zyciu. Bo jakby wysoko nie oceniac uczucia dziadka, wyrastalo ono na innym podglebiu, nie bylo tez w koncu zupełnie bezinteresowne. Wiktor plalil uczuciem za podtrzymywanie go, za podparcie po prostu w jego decyzji pozostania Polakiem... Ten ktoś nie postawi żadnej ceny, żadnych warunków.

To nagle uswiadomienie sobie potrzeby ciepla, jego braku przez wszystkie poprzednie lata, stalo się wielkim odkryciem Schirmera. Wielez ma dzisiaj lat? Pełne dwadzieścia pięć. Jeszcze do tego popazdziernikowego roku, gdy matka i siostra pozostawaly z nim razem, stalymi gościami w ich domu byly jedynie oschlosc i zalosny niepokój, ale nie uczucie, nie to wymarzone rodzinne cieplo. Christine, zawsze zalękniona, choc przy tym zjadliwa, zyjąca w poczuciu wytręcenia z siodla, w swiadomosci, ze zostaje na łasce dziad-

368

^ÓW, chwiejaca się w natężeniu uczucia raz do córki, to znów do syna, grawitujacych w przeciwnie strony. Gerta, skwaszona i zla, obnosząca po domu demonstracyjnie swą nie tyle moze niemieckosc, co antypolskosc, drwiaca i gardzaca rodziną, w późniejszym okresie cyniczna i brutalna w traktowaniu męzczyzn i ich uczuć. Dziadek, ciągle wojujacy o swoje prawo do Środy, a nie Mittwocha. Babka,

niemrawa, potulna, robiąca wrażenie wciąż przestraszonej i dręczonej przecuciami najgorszymi z najgorszych. Takie były jego młode lata, szczeniństwo, czas dojrzewania. A później, gdy rok pięćdziesiąty siódmy rozdzielił rodzinę nie tylko granicami? Nie od dziadków mógł wymagać ciepła, serdeczności, pełnej intymności wzajemnej. Spodziewał się, że pracą można całkowicie zaabsorbować myśl i uczucia. Okazało się to złudzeniem. Dopiero dziś, jakaż ta sprawa jest prosta, dostrzega najpełniej, czego mu brakło, czego niedosyt zaczyna odczuwać coraz silniej. Uczucia, ciepłego najserdeczniejszego z serdecznych.

I jeszcze. Braknie mu ludzi. Pojmowanych szerzej niż krąg zawodowych współpracowników, klientów, zleceniodawców: ludzi, z którymi można rozmawiać, zgadzać się albo spierać, ale z którymi zawsze jest dobrze. Pokrewnymi w jakichś pragnieniach, w ambicjach i planach... Stał się odludkiem, dalekim od spraw pulsujących najżywszą krwią. Tryb życia narzucił mu samotnictwo, nie z wyboru, a z konieczności. I oto otwarły się zatrzaśnięte potąd wrota. Trzeba przedrzeć się przez nie, śmiało wskoczyć w nieznaną przyszłość.

Gdy zobaczył na biurku zaproszenie na zebranie inauguracyjne powołanie do życia Towarzystwa Miłośników Miasta, przyjrzał mu się uważnie i z miejsca powziął decyzję swojego aktywnego udziału. Uśmiechnął się zaraz przyjaźnie do myśli, która skądś nadbiegła w tej samej chwili, że w tym zaczynającym go pasjonować tyglu społecznym znajdzie też kogoś, kto wypełni mu życie już najbardziej Prywatne, po prostu własne.

21 Przejaśnia się niebo t. II

369

-- 1

Jeszcze tak niedawno zmagał się w tym pokoju sam z sobą, wieczory były ospale długie, dni nużące monotonnością. Każdy wysiłek ponad konieczność stawał się rezultatem dramatycznej walki nie tyle może z własnym lenistwem, ile z jakimś skostnieniem, ze stanem niejako uśpiania, gdzie każde ocknięcie stawało się szokiem.

Kończy oto, wygładza swoje wspominki. Rozrosły się już do pokaźnego tomu. Kiedy zaczynał je pisać, musiał naginać się do tej pracy, na domiar ciągle nie umiał trafić w jakiś właściwy klimat, były oschłe, nazbyt naznaczone dystansem, brakło w nich żaru tak charakterystycznego dla owych lat. Potrzebny ten wyjazd do NRF i związane z nim późniejsze refleksje, by dopiero cała ta praca nabrała nowego sensu, a w sznureczki drobnych literek wkroczyło życie.

Potrząsnął z niedowierzaniem plikiem arkuszy. Jeszcze jedna znamienna różnica. Przedtem, gdy dysponował nieograniczoną ilością wolnych godzin, pisanie szło mu opornie, piekielnie powoli. Teraz, gdy wciągnięty został w wir dziesiątków zajęć, gdy osaczały go nowe sprawy, a czas pisania stał się czasem kradzionym, bardzo szybko ukończył swe wspomnienia, jeszcze tylko ostatni szlif i rzecz będzie gotowa.

Dzwonek. Urwały się rozmyślenia. Zaraz drugi, równie niecierpliwy. Gwarancja niejako, że to właśnie oni nadchodzą...

Spojrzał na zegarek. Zostaje mu równa godzina.

Hałaśliwie wtaczali się całą piątką.

— Dzień dobry... Dżentelmeni, pozwólcie Julii wejść pierwszej...

— Ona i tak nas rozepchnie. Pan dyrektor nie ma pojęcia, co z niej za energiczna babka.

Ruchem dłoni zachęcił ich do siadania. Z przyjemnością spoglądał na twarze przed sobą. Zarząd szkolnego koła historyków przy wieczorowym liceum dla pracujących... Kilka takich kół powołał w ostatnich miesiącach. To pracowało najlepiej, najżywsze było i skupiało młodzież szczególnie in-

370

teligentną. Z tym zarządem najczęściej też chyba przestawał-

Musnął spojrzeniem twarz Pomykały pod wrażeniem jnyśli, że może tu kryje się przyczyna bliskich jego powiązań z tym właśnie gronem młodzieży. Chłopak był najspójniejszy, pełen wewnętrznego skupienia. Dla niego to koło było czymś znacznie więcej niż kierunkiem zainteresowań czy formą rozrywki... Spokojny, cichy był również Lipski, nie najbardziej zdolny, ale do podziwu wytrzymały i uparty. Wolakówna, Staśko, Jastrzębski. Cały zarząd w komplecie.

— Słuchajcie, mamy niecałą godzinę czasu, zbiegły mi się dzisiaj inne sprawy. Musimy zdążyć omówić wszystko co najpilniejsze. Julię poprosimy jak zawsze o zaparzenie kawy, przez otwarte drzwi kuchni będzie mogła nas słyszeć.

— Przynajmniej nie zabierze głosu, inaczej by nas prze-głuszyła — burknął Jastrzębski, ale zaraz ścisnął spiorunowany wejrzeniem dziewczyny. Stanowiło tajemnicę poliszynela, że ta para podkochuje się w sobie.

Staśko, prezes koła, spokojny, zrównoważony chłopak, choć niekiedy i on lubił pobrykać, uspokoił kolegów machnięciem ręki.

— Zgłoszonych zostało piętnaście referatów obejmujących w zasadzie dosyć ściśle wysunięte przez nas tematy. Za dwa tygodnie mamy otrzymać komplet tekstów. Lektura, selekcja, przedłożenie wybranych materiałów do wglądu panu dyrektorowi i opiekunom pozostałych kół zajmie sporo czasu. Nie widzimy możliwości dla wyznaczenia innego terminu naszej sesji niż koniec maja. Trochę późno.

— Lepiej później, a dobrze — pocieszył go Lisiewicz. — Z naszego koła kto opracowuje referat?

— Mamy trzy zgłoszenia. Stawczyka, Julii i Pomykały Ci pierwsi sięgają do ogólnego zarysu rozwoju stosunków polsko-niemieckich na Pomorzu z uwzględnieniem naszego* regionu. Jasiek wybrał problemy współczesności. Zdaje się, że on jedynie podjął się naświetlenia aktualnej perspektywy rozwoju stosunków polsko-niemieckich.

24*

371

— Jest kawa — zjawiła się Julia. — Nie powiedzieliście jeszcze panu Lisiewiczowi, że aż cztery referaty zgłosiło Studium... Ale my się nie damy, nic, że oni są po maturze a nam do niej jeszcze daleko.

— Teraz inne punkty. Po pierwsze...

— Zaczekaj, ważniejsze byłoby przypomnieć panu Lisie-wieżowi daną nam obietnicę... Mówił pan, że na zebraniu zarządu ujawni pan dalsze swe plany.

Żałował, że tak mu się dzisiaj niefortunnie złożyło. Najbardziej lubił, gdy po zreferowaniu bieżących spraw przechodzili do luźnej rozmowy, nie tylko już na historyczne tematy, choć od nich się zaczynało i do nich wracało. Zaskakiwała go wtedy ich nie uporządkowana, lecz duża wiedza, samodzielne myślenie, otwartość sądów, jakaś pasja wprowadzenia porządku, nic, że często z przesadnie młodzieńczym temperamentem... A przecież to wszystko była już młodzież, mająca za sobą niemało doświadczeń. Pracowali, nieraz utrzymywali rodziny, nauka często przychodziła im z trudem, kosztem nie przespanych nocy, zmniejszonych zarobków, wyrzeczeń, o których słuchał z podziwem... Dziś już nici z tej pogawędki.

— Dobrze. Zacznijmy od sesji. Mamy zapowiedziany przyjazd kogoś z Zarządu Głównego Stowarzyszenia Historyków. Możliwe też, że zjawi się sam kurator, zainteresowała go wasza inicjatywa...

Spojrzeni po sobie, szturchnęli się porozumiewawczo. Dobry jest ten Lisiewicz: ich inicjatywa. Sam ją im przecie podsunął, kierował, zachęcał...

— Gdyby sesja wypadła na poziomie, istniałyby perspektywy rozszerzenia jej w przyszłym roku na teren całego województwa.

— A potem na cały kraj. To dopiero byłoby wspaniałe!

— Druga sprawa — uśmiechając się ciągnął Lisiewicz. — Studiowaliśmy niedawno historię walk I Armii na obszarze Wału Pomorskiego... Ustaliłem z władzami wojskowymi. W maju przydzielą nam środki lokomocji, przewodników, ściągną też paru uczestników tych walk, obejrzymy

372

cały teren, od Piły i Złotowa przez Jastrowie aż po Kołobrzeg. Odpowiada to wam?

Zaaprobowali rzecz radosnym pomrukiem.

— Byłbym zapomniał — dorzucił jeszcze. — Mówiliśmy o kontaktach z wybitnymi naukowcami. Za pięć dni pierwsze spotkanie. Z profesorem Zawilskim.

— Redagował ostatnio pracę zbiorową o dziejach Pomorza Zachodniego — pochwalił się Pomykało swą wiedzą. — Czytałem.

Mogli się wreszcie rozgadać. Trochę na temat zapowiedzi usłyszanych od opiekuna koła, łechtały ich ambicje, dodawały podniety, później zaś o nasuwających się innych problemach. I jak zazwyczaj zagadnienia historii zostały odsunięte na bok, wszystko zaczynało się wkręcać wokół spraw aktualnych, niekoniecznie najbardziej różowych. Byli entuzjastami, pełnymi wiary, ale zarazem byli też buntownikami, przesyconymi desperacką jakąś goryczą. Zdarzały się sądy tanie i powierzchowne, zupełnie szczeniackie, a potem z nagłą ci sami rozmówcy zaskakiwali przemyśleniem i głębią widzenia.

Wieleż razy przy takich okazjach, które się ostatnio mnożyły, stwierdzał pochopność i naiwność poprzednich swych sądów na temat tej młodzieży. Tyle lat był wychowawcą szkolnym, kierował liceum, przewodniczył setkom posiedzeń rady pedagogicznej, a we wnioskach o młodych był przecie bardzo daleki od prawdy. Nie tylko on, pozostała większość pedagogów nie ustępowała mu w tej niewiedzy. Zbyt wielki dystans, wytwarzany na skutek przepracowania, nerwowości zajęć, a może przez jakieś zasklepienie się w sobie, ślepą wiarę w nieomylność raz kiedyś za swoje przyjętych poglądów?

Myślał o tym, gdy odprowadzany przez Jaśka Pomykałę śpieszył niedługo potem na spotkanie do Feryckiego. Jacy oni, ci młodzi, właściwie są? Bo w końcu ani cyniczni, ani przemądrzali, ani też wcale nie tak powierzchowni i puści. Niekiedy zaskakująco żarliwi, szczerzy, kiedy indziej wy-kpiwający się żartem czy śmiechem? Przyglądał się dyskretnie Jaśkowi. Wybrał na sesję najtrudniejszy tematycz-

373

nie referat. Właśnie on. Miał odwagę brać się za bary z najcięższym dla siebie problemem, bółącym osobiście, najbardziej prywatnie. Dobrze to czy źle? Jak z tego wybrnie? Czy Jasiek różni się bardzo od rówieśników, czy nie odstaje od reszty? Bo w końcu każdy z nich, podobnie jak on, może nosić jakiś swój garb, szamotać się z nim, ulegać i dla odmiany zawojowywać. Trudność największa w tym może, że nie zawsze ci młodzi umieją szukać pomocy, nie zawsze też mogą ją znaleźć. Czy nie tu tkwi tajemnica izolacji od starszych, niechętnych dokonywaniu szczegółowej analizy i rozróżnianiu indywidualnych przeżyć? Pomykało chociażby. Pewnie, to dopiero próba, początki, może z tej opieki nad nim niewiele wyniknąć, w każdym bądź razie wyłania się szansa. A gdyby Jasiek nadal zostawał sam, gdyby nagłe zainteresowanie historią nie znalazło odpowiedniej szansy realizacji? Ta Schrimerrówna, diabli wiedzą, jak się tam teraz nazywa, poruszyła drzemiące gdzieś w chłopaku konflikty. Czy gdyby szarpał się nimi samotnie, bez porady, bez czyjejś życzliwości i doświadczenia, nie zmarnowałby sobie losu, nie wgamatwał się w jakieś zawiłe labirynty narodowościowych kompleksów?

Spojrzał na Pomykałę towarzyszącego mu w milczeniu.

— Jak, Jasiek, poradzisz sobie z tematem? Bądź w każdym razie szczerzy, myśląc nad тезami, próbuj odnaleźć samego siebie...

— Po to wybrałem ten temat. Właściwie po to uczę się historii. Odrabiam w domu matematykę, geografę, tkwię w lekturach z polskiego, a ciągle mnie rwie tylko do polsko-niemieckich dziejów. Tyle, iż nadal nie umiem beznamiętnie widzieć tych spraw z takim choćby spokojem, na jaki zdobywa się Kaśka.

— Dziewczyna ma na pewno inne swoje problemy, też się z czymś szarpie. Kiedyś sądziłem, że jedynie my, starsi, z okaleczonymi przez wojnę i okupację kręgosłupami i nazbyt jednostronnym myśleniem, przeżywamy swoje kompleksy, trapią nas majaki przechodzące u niejednych w obsesję. W jakimś sensie mielibyśmy do tego prawo, za nami

374

nę przestaną się wlec pewne wspomnienia... Okazuje się, wy też nie zostaliście wybawieni ze zgrzytot, mniej już tych przejmowanych od nas, ale najbardziej swoich. Choć również nie nowych. Nowych jedynie dla was.

— Bardzo pana lubią u nas, z suchej gmatwaniny dat, szczegółów, uproszczonych chyba niekiedy wniosków potrafi pan wydobywać tyle życia, ukazywać zjawiska z pasją i podnieceniem. Pan te lekcje przeżywa. I tym właśnie nas pan pociąga.

— Dziękuję ci, choć to chyba słowa na wyrost. A przy tym wierz mi, naprawdę jest raczej na odwrót, znacznie mniej ja wam, niż wy mnie jesteście potrzebni. Poprzez was pragnę odnaleźć swój zaginiony dawny świat.

— Dawny? A tego z dnia dzisiejszego, trudnego, też chyba nie mniej pogmatwanego, nie chce pan przyjąć, odszukać w nim swego miejsca?

Przystanął, zajrzał chłopcu w twarz.

— Widzisz, Jaśku, jeśli odnajdę samego siebie w tamtym świecie, tym samym potrafię wtedy i dzisiejszy przyjąć za swój. Z zagubionych ścieżyn niełatwo wraca się na szerokie przestronne szlaki.

Pomykało zamyslił się głęboko nad sensem zasłyszanej wypowiedzi.

— To może bardziej skomplikowana, ale na swój sposób łatwiejsza droga, ma się szansę porównań, nawrotów myśli czy uczuć, odwoływania do istniejących kiedyś punktów oparcia... Trudniej jest, gdy jedyny zostający do dyspozycji krąg pojęć zostaje skłócony w swojej harmonii. Chyba się nie mylę, jeśli powiem, że bardzo często szukanie siebie staje się wtedy macaniem wokoło na chybił trafił.

Ruszyli wolnym krokiem. Budynek prezydium wyrastał przed nimi jasnymi światłami okien. Lisiewicz przeżuwał słowa chłopaka. Powiedział bardzo cicho, tonem, w którym krył się -wyraźny niepokój, niedowierzanie, może nie nazwane jeszcze uczucie zawodu.

— • Ciągle ci jeszcze daleko, Jaśku, do określenia samego siebie? Szarpiesz się, szukasz własnego miejsca? Żadnych zmian?

375

— O nie, zmieniło się. Odczuwam narastające odprę, żenie. Spokojniej widzę siebie samego, stać mnie na analizowanie mojej postawy z pewnego dystansu. Nie zawsze trafiają się chwile emocji, wtedy wzruszenia przestaniają to, co udało mi się wypracować. Widzi pan, dyrektorze, byłem sam, obok trzeźwej Kaśki, z którą, mimo wielkiego przywiązania, nie rozumiemy się. Tylko dzięki panu wyrwałem się z matni, w której na pewno bym się zaplątał bez możliwości wyjścia. Trafiłem pomiędzy ludzi. Już nie tylko sama szkoła i nauka, koledzy na co dzień, ale jeszcze kółko historyczne, organizacja młodzieżowa, zaangażowanie w różne sprawy. To ułatwia życie i poszerza widzenie. Jest mi znacznie lżej... A tamto? Nie boję się teraz swojej nienawiści, nie uciekam przed nią. Może muszę przejść przez nią jak przez chorobę, nie wiem. Tutaj znowu muszę być sam, tyle, że poprzez pana, kolegów, koło, inna ta samotność, jest za nią jakieś zaplecze, możliwość schronienia, odwołań, trudno mi to tak jednoznacznie określić...

- Pomóc ci teraz już zatem nic więcej nie mogę?
- O, jak najbardziej, swą obecnością, życzliwością, którą tak serdecznie odczuwam. Ale w tamtym chyba już nie... Przepraszam, jestem szczery.
- Słusznie. Wiesz, Jaśku, bardzo dojrzałeś przez parę ostatnich miesięcy.

Spadły pierwsze krople deszczu. Mocne, nabrzmiałe, jak zawsze z wiosną. Pomykało podniósł twarz, trzymał ją tak przez chwilę poddaną pod wiatr.

Oświeślało ją światło jarzeniówki, zwilżona cera nabrała połysku. W źrenicach odbijały się intensywne ogniki. Chłopak rozjaśnił się delikatnym, łagodnym uśmiechem.

- Pomyślałem sobie, że nie ma zjawisk bez ukrytego sensu. Przyjazd tej Gerty Gottlieb, wbrew całemu złu, jakie z sobą przyniosła, być może, okaże się w końcu potrzebny. Sprowokował moje zagubienie, ale tylko przez zagubienie wyłania się szansa odnalezienia. A to chyba dużo,

376

odnaleźć samego siebie? Nawet, jeśli u podłoża procesu stać będzie nienawiść.

_ Żywa w tobie wciąż jeszcze?

Odpowiedział pytaniem na pytanie:

___ Wspominał pan, iż żył nią ponad dwadzieścia lat, od obozowych dni aż do niedawna, do czasów procesu, na którym stanął pan w charakterze świadka... Wątpię, by podobne sprawy mogły przemijać tak, jak przebiega e*press.

poprzez ciszę, pogłębianą bębnieniem deszczu, dobiegł turkot pędzącego ku swemu przeznaczeniu pośpiesznego pociągu.

2.

Początek sesji odbywał się według ustalonego od lat porządku. Pamiętała przecież niejedną tego typu uroczystość z czasów pełnienia przez Teodora funkcji starosty. Sesje rocznicowe miały szczególnie podniosły, ale i bardziej jeszcze nudny charakter. Nastrój rozkręcał się dopiero na wieczornym przyjęciu.

Niewiele się zmieniło. Ta sama duża sala w prezydium, odmalowana tylko i odnowiona. Na tło narodowych sztandarów rzucony stylizowany orzeł piastowski. Dyskretna liczba „18”, wyznaczająca lata od wyzwolenia miasta... Kwiatów może jedynie więcej, świeżych, wiosennych, wprowadzających cieplejszą nutkę.

Prezydium za wielkim stołem ustawionym na podium. Miejscowi dostojnicy i zaproszeni przyjezdni goście. Poznawała niejedną z twarzy. Jeszcze się kręcą ludzie, młodzi ustawiają się w pocztach sztandarowych, niespokojnie manipulują przedstawiciele radia przy mikrofonie, podrygują fotoreporterzy. Zawsze tak samo wszystko się opóźniało.

Westchnęła. Siedzi w tym pierwszym rządzie, jak kiedyś, Po długich latach przerwy. Przypomnieli sobie, rychło w czas, gdy Teodora już nie ma... Wahala się długo, czy Przyjąć zaproszenie. Sam sekretarz prezydium przyjechał

377

do niej z tą misją. Gdy zaczął ją przekonywać i molestować, zamierzała mu początkowo dobrze wygarnąć do słuchu, potem jednak się rozmyśliła. Teodor na pewno nie byłby rad. Cenił spokój nade wszystko. Przypomniała też sobie, że tamtego tragicznego dnia nadeszło przecie pismo z prezydium. Teodor nie zdążył nawet do niego zajrzeć, jednocześnie zjawił się ten telegram. Zapraszali zatem już wcześniej, gdy nikt w końcu nie spodziewał się śmierci Bud-niaka. Dobrze, niech będzie, przyjdzie na sesję.

Teraz jednak na nowo niepewna jest swojej decyzji. Ani się było kogo poradzić. Po Stefce śladu nie ma, zaginęła jak kamień rzucony na głęboką wodę. Tomek ciągle w szpitalu, długo jeszcze tam pozostanie, choć już przytomny, napisał nawet parę słów na kartce. Nic nie wie jeszcze

O śmierci ojca, lekarze zabronili, mogłoby to źle wpłynąć na nadwerężony organizm. I tak głowami nad nim kręcili jak nad jakim cudem. Tamci dwaj nie żyją, on jeden wy-karaskał się z zatrucia wyziewami powstającymi przy spawaniu. Zbyt długo siedzieli w zamkniętym pomieszczeniu, system wentylacyjny się zepsuł, nie wiedzieli o tym. Ktoś ze stoczni będzie odpowiadał za niedopatrzenie. Pewnie, młode życia, już się ich nie wskrzesi. Jeden Tomek będzie zdrow, cały. Niepotrzebna okazała się ofiara złożona przez Teodora...

Wróciła znów myślą do tamtych chwil, jak tyle, tyle już razy w ciągu tego tygodnia. Duszno mu było, nerwy najpewniej przyczyniały się do takiego odczucia, noc przecież wcale nie była parna, wyszedł na korytarz. Wodziła za nim rozespanym wejrzeniem. Gdybyż mogła przypuścić. Szarzało już za oknami wagonu. Pociąg dudnił równo, podrygiwały koła na spojeniach szyn, miarowo

1 jednostajnie. I wtedy... Właściwie nawet nie była pewna, słyszała ten krzyk, czy po prostu przecucie dało jej znać. Ale chyba poprzez poszum pędzącego pociągu dotarł jednak do niej ten krzyk. Zerwała się nagle z miejsca, zbudzona z czegoś pośredniego między snem a półprzytomnym rojeniem, wypadła na korytarz. Tam biegli już ludzie, wołali coś, pociąg zadygotał, z trzaskiem i szumem gwał-

378

townie zaczął hamować. Skąd w niej zjawiła się wtedy bolesna, przeraźliwa w jasności swej pewność, że to właśnie Teodor, on wypadł, poleciał w tę straszną, szarą czeluść na zewnątrz. Przypadek, tylko przypadek? Teodor był dziwny, nieswój, ciągle pogadywał coś o Tomku, miał najgorsze przecucia, jakby jechał na pogrzeb... Więc jak to było naprawdę? Nie wytrzymał naporu złych ciosów sypiących się jeden po drugim? Czy rzeczywiście nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Nikt tego teraz nie dojdzie, tajemnica została z nim razem.

Co to mówią o Teodorze? Właśnie o nim, teraz, tutaj, w tej chwili? Że jeden z najpierwszych, zasłużony, drugi kolejny starosta, że minuta milczenia? Podnoszą się wszyscy, stoją, zamarło na sali.

Stoi i ona. W oczach coś piecze, łzy, byle tylko się nie rozpląkać publicznie. Teraz minuta milczenia. A przedtem całe lata milczenia, nikogo Teodor nie obchodził, nikt się nie interesował tym, jak żyje, co porabia, jak mu się wiedzie.

Siadają wszyscy. Siada i ona. Nie, nie, nie wolno tak myśleć, pisemko z prezydium przyszło jeszcze za jego życia. Przypomnieli sobie, choć tak późno, tak bardzo późno. Bo przez tamte długie lata nie pamiętali, tylko co najwyżej złośliwe sąsiadki podpytywały z krzywym uśmiechem, jakże czuje się pani starościna.

Sekretarz prezydium wygłasza referat. Co roku prawie taki sam. Sztwywny, laurkowy, uroczysty. Dochodzi nieco szczegółów, drobiazgi, reszta jest indentyczna. Nudna. Można tego nie słuchać, myśleć o swoich sprawach.

Stefka nie daje o sobie znaku. Tomek chory. Pozdrawia, Prosi, aby ojciec przyjechał. Jakże mu odpisać? Nie może wiedzieć, ciągle jeszcze nie może. Ona też nie pojedzie, nie potrafiłaby ukryć przed nim, że ojca nie ma. Jeśli nie powie słowami, twarz jej to zdradzi, spojrzenie, wszystko. Kogo się tu poradzić, co robić, jak postępować?

Omal nie zachlipała, jak tyle już razy w tych ostatnich, samotnych dniach. Na szczęście spostrzegła się, gdzie się

379

znajduje. Spokojnie, spokojnie. Nie potrwa to długo. Zęby zacisnąć, wytrzymać.

Skończył sekretarz swój referat, oklaski, wyraźne na sali odczucie ulgi. Kto się tam znowu podnosi? Ach, to Ferycki, przewodniczący sesji, pierwsza figura, starosta. Ładnie chłopak się wybił, był śmieszny w tych pierwszych latach, zupełny szczeniak. Teodor bardzo go lubił... Co mówi? Że udziela głosu jakiemuś Kraszewiczowi, który ma zreferować cele i założenia działalności stowarzyszenia miłośników ich miasta i całego regionu... Miłośników? Znów coś nowego? Kto to jest ten Kraszewicz, nieznajomy, pewnie z tych nowszych, nie pionier, pamiętałaby przecież... Pękaty, nie taki znów stary, zupełnie siwy. Przejęty, aż głos mu się załamuje. Czego on chce? Że sprawy społeczne i kulturalne, że turystyka, własny charakter regionu, plastycy, wystawy, dorobek, wydawnictwa, prelekcje, że nie prowincja, ale intensywny kulturotwórczy ośrodek... Już są dokonania, można zatem powoływać towarzystwo do życia z pewnością, że nie stanie się martwym ciałem...

Co to ją teraz obchodzi? Może Teodor cieszyłby się, słuchając tych słów. Kochał to miasto, stąd tak silne były w nim żale i poczucie niezasłużonej krzywdy. Ale ona? Cóż jej po tym?

Czemu Ferycki popatruje tak na nią zza stołu prezydiального. Siedzi obok Wlazły, ani by poznała kapitana, postarzał, jakiś uroczysty się zrobił, szepce coś do Felka, ten kiwa głową i ciągle, bez przerwy wpatruje się w nią. W pewnej chwili uśmiecha się, kiwa leciutko głową. Do niej czy do słów Wlazły? Ferycki był im zawsze życzliwy. A że nie pamiętał, trudno go winić, tyle spraw ma na głowie. Wiele razy mówiła Teodorowi, że powinien pójść, przypomnieć się, pogadać z chłopakiem. Tyle lat się znali, pracowali razem, na pewno wpłynąłby w jakiś sposób na to, by ich dola się poprawiła. Ale Teodor nie chciał, obruszał się, raz gniewem wybuchnął, że ani myśli, nie będzie skamlał o łaskę, czyjąkolwiek, niechby nawet Feryckiego. I niech Hela da mu raz spokój z niewczesnymi pomysłami. Do nikogo z wyżalaniem nie pójdzie.

pjie poszedł... Czyby to w końcu tak wiele w ich życiu -mieniło? Pisane widocznie było wszystko inaczej...

Co tam znowu? Sam Ferycki pakuje się teraz za stolik nakryty zielonym sukniem. Uroczysty, ubrany na czarno, patrzy na salę, a tam milkną ostatnie głosy, zalega cisza, aż dziwna po oklaskach, które dopiero co kwitowały entuzjazmem słowa tego siwego. Czego ten znowu chce? Że jakiś program aktywizacji regionu. Własnymi siłami, nie oglądając się na czyjąś pomoc, na dodatkowe fundusze...

Przerywają mu, biją brawa... Niech tam. Widać niegłupie jest to, co mówi, jej to jednak nie wzrusza, pewnie, lepiej, gdy jest więcej nadziei, ale tak naprawdę, to te rzeczy są już poza nią. Były takimi od dawna, cóż dopiero gdy Teodora zabrakło, gdy nie ma Stefy, gdy Tomek...

Co oni tak często mu przerywają, pokrzykują, biją brawa, aż ogłusza ten hałas? Ciągłe ta aktywizacja? Słyszysz się, ma ten Ferycki łeb nie od parady, jeszcze jako szczeniak potrafił sobie nieźle radzić, prowadził osadnicze sprawy, był inspiratorem... Musiał wiele zmyśleć przez minione lata, podobno ukończył studia. O tę naukę miał zawsze Teodor największy żal, że nie dano mu jej kontynuować, wyrosnąć, że czym się nie zajmował, zawsze w końcu zostawał Budniakiem od szuflowania w wielkiej kotłowni. Ferycki miał więcej szczęścia.

Skończył nareszcie, wraca na swoje miejsce. Ruch się robi za prezydialnym stołem. Kilka osób od razu podnosi się z miejsca. Wlazło pomiędzy nimi. Ferycki znowu coś mówi... Że dla uczczenia osiemnastej rocznicy, w momencie, kiedy rysują się przed ich miastem i całym regionem nowe perspektywy, szczególnie uroczystym akcentem staje się mający nastąpić akt dekoracji ludzi najbardziej dla ziemi tej zasłużonych. Zwłaszcza radosny jest fakt, iż doceniony został wkład starszych bojowników, Pierwszych pionierów, ludzi, którzy dla organizacji polskiego życia położyli tutaj największe zasługi... Dekoracji dokona przedstawiciel najwyższych władz partyjnych, towarzysz pułkownik Wlazło, serdecznymi uczuciami i własną Pracą tak bardzo związany z ich miastem...

Jacyś urzędnicy niosą wielką tacę, na niej pudełka i pudełeczka. Pewnie znajdują się w nich medale...

Lęk ją ogarnął. Wiedziała, mówił przecież przy wizycie w jej domu sekretarz, że i Teodor został odznaczony, że właśnie tamto pismo powiadamiało go o tym... Że teraz odznaczenia prześlą w jej ręce.

— Pośmiertnie za wybitne zasługi w budowaniu od podstaw życia miasta i powiatu odznaczony zostaje Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta Teodor Budniak... — jak przez mgłę docierają do niej te słowa.

Na nogach jak z waty, ciągle w tej mgle, idzie, wchodzi na podium, zbliża się do wychodzącego jej naprzeciw Wlazły. Czuje niebezpieczne łaskotanie w powiekach, zaciska zęby, byle wytrzymać, byle się nie rozpłakać... Wlazło coś mówi, ściska jej dłonie, jest bardzo serdeczny, czuły. Głos

jego przechodzi w szept. Czyżby też od wzruszenia?

Ktoś ją ujmując pod ramię, prowadzi ku bocznemu wyjściu. Najwyższy czas. Już nie może dłużej panować nad sobą. Na czerwone pudełko, na orderową legitymację ska-pują ły. Ciche, ogromne, z radości i z żalu. Jeszcze raz przesywa ją przeraźliwy ból świadomości, że oto nie ma, nie będzie już nigdy Teodora Budniaka.

Dziewczyna przysunęła się w pewnej chwili do matki, szepnęła jej do ucha:

— Podziwiam cię. Jesteś czasami taka młoda, tak bezpośrednia, że moi rówieśnicy przy tobie robią wrażenie starych.

— Ejże, Zośka, i ty także? To podejrzane. Wszyscy prawią mi dzisiaj zbyt wiele miłych i ciepłych słów — uśmiechnęła się, ucałowała w przelocie córkę, już ją znów gnało z kuchni do gości.

Właśnie zadźwięczał dzwonek u drzwi. Profesor Za-wilski z wiechciem jakiegoś kwiecia w dłoni usprawiedliwiał się ze swego spóźnienia:

— Bo to mię przyduślił ten pan Kraszewicz, zasypał py-

382

taniami, wskazał na sto problemów, wydebił z dziesiątek obietnic. Obiecałem mu trzy odczyty...

— Miał być jeden, profesorze — śmiał się Ferycki. — Tyle, że trafił pan na gracza dużej klasy. On nie tylko z lasu, ale i z człowieka wycisnie wszystkie soki, byle dopiąć swojego. Rezerwowałem dla pana siedzące miejsce, z niemałym ryzykiem, jako że u naszej gospodyni nieco ciasnawo.

— Prezydium poskąpiło mi obszerniejszej kwatery — odcięła się Halina.

— Kiedyś starczała jej ciupka dwa razy dwa, teraz wymagania wzrosły.

— Kiedyś takie niewydarzone chłopaczysko zapytywało mnie, jak się pisze któreś tam słowo, przez ż czy rz...

— Taki głąb byłem? — szczerze się zdziwił Ferycki.

— Żebyś wiedział... Tyle ci dodam, że przed odpowiedzią zajrzałam do podręcznego słowniczka, na powielaczu był jeszcze odbity, przywiózł go ktoś do nas z Lublina — zaśmiała się, nos jej jeszcze bardziej zadarł się w tej chwili do góry.

— Ani bym się spodziewał, że nasza pani Halinka tak będzie kultywować sentymenty kombatanckie. Nikogo tu nie ma spoza naszej pierwszej czołówki. Inna sprawa, odpowiada mi to, dobrze tak znaleźć się razem z wami — zwierzył się Wlazło.

— Ogromnie się cieszę, że doszło do tego spotkania. Panie Przybyła, niechże pan siada, gdzie bądź... Janinko, pomożesz przy kawie. I ciebie, Jaśka, poproszę. Alkoholem zajmą się Gienek i Felek.

— Dla mnie nie ma pani już żadnej funkcji? — zadziwił się profesor Zawilski.

— O to nie ma obawy. Pan jest tak zawsze pełen energii i inicjatywy, że sam coś znajdzie dla siebie. Jak i pani Dzwinarska.

Trochę to już przeszłość, kochasiu... Szkoda, że nie masz adapteru, poprosiłabym profesora do tańca — zaśmiała się Dzwinarska.

O to, to, pani zawsze jest nieodmienna. I zawsze na

383

mnie zagina parol. Pamiętam, jak zagarnęła mnie pani z dworca, przecież ja wcale nie miałem zamiaru zostawać w tym mieście.

— Został pan i chyba nie żałuje tego do dziś?

— Pani decyzja była mądra i słuszna — skłonił się dwornie Zawilski.

— Zawsze mam w pamięci ten rower bez opon i dętek. Okropnie to trzaskało i klekotało, gdy pędziła nim pani z muzeum do prezydium — zaśmiał się Felek. — Chyba już zrezygnowała pani z kolarstwa.

— Ty smyku, myślisz, że już całkiem zbabiła? Jeżdżę, tyle że poszłam z postępem. Mam motorower, robię nim dalekie wycieczki w okolice Poznania. We mnie jakoś zabrakło dygnitarskich zapędów, żeby od razu samochód, kierowcę, wielką teczkę ze świńskiej żółtej skóry pod pachą, naburmuszony ton i nos zadarty do góry...

— Olaboga, to wszystko pode mnie? Kapituluję, pani Dzwinarska, z góry kapituluję — pół żartem, pół serio, Ferycki wycofał się czym prędzej w dalszy kąt pokoju, pod osłonę Wlazły, który zaśmiewał się słuchając tego dialogu.

— Za nasze miasto — wzniosła Halina swój kieliszek do góry. — Każdy z nas, niezależnie, gdzie go losy później rzuciły, zostawił tutaj jakąś część siebie. Więc żebyśmy pamiętali i o mieście, i o nas samych.

Spełnili toast z wyraźnym wzruszeniem. Słowa kobiety o tak samo jak niegdyś zadartym nosie i twarzy usianej piegami wzbudziły w nich żywsze odczucia. Miała rację, każdy z nich zostawił tutaj część siebie... I to część, w której najwięcej kryło się pasji, zapału, najserdeczniejszej spontaniczności.

— Musiała myśleć też o Budniaku — szepnął Ferycki do Wlazły. — Czuję się trochę nieswojo, zaskoczyła mnie śmierć Teodora. Jak bym sam w jakimś stopniu był jej winien. Halina już dawno zwracała uwagę, by zająć się sprawą tych najpierwszych i zasłużonych. Dlatego wystąpiliśmy z wnioskami o odznaczenia. Dla Budniaka satysfakcja nadeszła dopiero po śmierci.

384

_ Tak ciężko mu było?

__ Nie chcę wnikać w tamten okres miniony. Z Budnia-kiem postąpiono podle... Ale i później, choćby od chwili, gdy sam mogłem mu wiele dopomóc, nie próbowano tego naprawić. Spokojny, cichy, nie zwrócił się z niczym. A ja — nie pamiętałem, nie wiedziałem o niczym. Tułał się długo bez pracy, był potem jakimś magazynierem, na koniec nocnym stróżem... Na domiar zwały się na niego zmartwienia rodzinne. Nie wytrzymał naporu. Śledztwo nie wykazało co prawda przyczyny

wypadku... W Teodorze nabrzmiewało poczucie krzywdy. Tak się kiedyś chciał uczyć, nic z tego nie wyszło...

— Pamiętam, miałem z nim długą rozmowę. Uczył się, mógł zejść daleko. Nie był najzdolniejszy, ale twardy nad podziw... Zechcieliście zrobić go dostojnikiem, to właśnie go zmarnowało — pokiwał głową Zawilski, który wraz z Li-siewiczem przysunął się bliżej.

— Sam go wypychałem na stanowisko starosty. Pamiętasz, Gienek, przychodziłem się radzić do ciebie — w zadumie wspominał Wlazło. — To była moda, aby wysuwać ludzi ze społecznego awansu...

— Szarża chyba wypije z dawnym sierżantem? — przysuwał się Pędzik z kieliszkiem, noę miał zaczerwieniony, przyszedł bodaj najpierwszy, już tam na boku zaprawili się nieco razem z Przybyłą.

— Do kogo pijesz, stary?

— Do ciebie, Kijanek, choć z tobą można było jeszcze wytrzymać... Ze Stefczykiem nie zawsze sobie radziłem. A i do pułkownika Wlazły... Jedna pocięcha, że wszystkich trzech wypchali nas do cywila. Tyle że wy we władzach, a ja za świeckiego księdza zostałem. Dobrze, że na mój gar-niturek choć złoty krzyż dzisiaj spłynął, będzie się dostojniej wyglądać.

— Szkoda, że na tej posiadzie nie ma awansu, mógłbyś teraz zostać kanonikiem — ucieszył się Ferycki. — Muszę wam opowiedzieć, co Pędzik wyprawiał niedawno z taką "młodziutką parą, pierwsze małżeństwo z dzieci tu narodzonych. Na rękach ich nosił, wywojował, od kogo można, ze

20 Przejaśnia się niebo t. II

385

dwa wagony prezentów, ogrody miejskie ogołocił, zabrakło kwiatów.

— A żebyś wiedział, warto było, zaprosili mnie na ojca chrzestnego.

— Już? Szybko im idzie.

— Im nie, to takie zaprosiny na zapas... Choć niektórzy kiedyś, co prawda, śpieszyli się bardziej...

Jaśka usłyszała, z oddali pogroziła mu palcem.

Bigos, alkohol, nutka wspomnień, sentymenty i zaduma, poszerzał się niewielki pokój Haliny Niestysz, wpływał w jego ściany bez ograniczeń przeszły i dzisiejszy czas, przesuwały się korowody ludzi i spraw, nadbiegały pogłosy dalekiej palby i nawoływania robotników na kolejnej budowie, płonął budynek, matka wołała zrozpaczonym głosem, że wewnątrz pozostał jej synek, a głos jej zmieniał się zaraz na inny, również kobiecy, ogłaszający wyrok na młodego bandytę, mieszały się dostojne słowa uroczystych przemówień z rynsztokową połajanką z knajpy pana Młynarka. Wczoraj przemieszało się z dziś, osiemnaście długich lat stawało się jedną chwilą, by znów potem przeciągać się w nieskończoność. Migały cienie tych, co odpłynęli, mieszając się z sylwetkami gości dzisiejszego spotkania, nie wiadomo, co i kiedy stawało się realniejsze.

Rozbijali się na grupki, snuli coraz to inną nić Wspomnień. Było ciasno i zarazem przestronnie, wiązały się albo rwały dawne serdeczne więzy, i tylko wiosenna, świeża noc za oknem trwała niezmienna, a niebo gwiazdami niedyskretnie zazierało do wnętrza.

— Pokpiwasz z siebie, prowincjusza, jak mówisz, i z nas, na stołecznym stolcu, nie wyglądających, jak mówisz poza swój pępek... Różnią nas chyba tylko te punkty widzenia. Uwierzyłybyś, Gienek, jak bardzo niekiedy tęsknię do was, nie do konkretnych postaci, ale do was jako pewnego symbolu, jakiejś bezpośredniej, dotykanej niemal bliskości spraw i problemów. Widzisz, do ostatka nie byłem pewien, czy mi się uda wyrwać z kieratu, a tak bardzo pragnąłem tutaj wpaść. Trzy lata nie miałem tej szansy... To ma też swoje plusy, za każdym razem inne widzę to miasto, chyba

386

się nie myślę, że również ludzie się w nim zmieniają. Myślę

0 tych nowych, młodych, mniej doświadczonych, ale w niejednym chyba rozsądniej szych od nas starych... Zresztą, nie w tym rzecz. Tutaj, wśród was odnajduję też siebie. Bo tam, w natłoku, w straszliwej gęstwie wielkich, ale

1 bardzo małych niekiedy spraw, zatracą się często zdolność widzenia, a tym bardziej oceny samego siebie. Tu widzę Wlazłę, kapitana, sekretarza, działacza sprzed lat i zarazem eks-pułkownika, dziś dygnitarza. Gdybyś mnie zapytał, który mi bliższy, powiedziałbym: tamten, który był z wami.

— Sentyment, nastrój chwili, stąd ta uprzejmość — zachnął się Lisiewicz.

— Chyba nie tylko. Dla mnie te dwa dni to jakiś sprawdzian, ważna miara sensu całego mojego działania. Zostawmy. Zachmurzyłeś się, zupełnie jak wtedy, gdyśmy wojowali o transporty niemieckie. Uparty byłeś.

— Przekonałeś mnie wtedy. Ale dziś wcale nie jestem pewien, kto naprawdę miał rację, ty czy Stefczyk. Po tym, co widziałem w Republice Federalnej, inaczej trzeba ustawiać proporcje.

— Kochasiu, tylko nie tak zasadniczo i bardzo na serio. Bo się Wlazło gotów rozplakać. Przyniosłam wam wódki, boję się, że to koniec, Halina źle obliczyła możliwości swych gości... Ja, drodzy moi, po kolędzie. Już profesora „zgwaliłam”. Dał mi parę obietnic... Bo my tak cacy, cacy, honorowani goście, bankiet, przyjęcie, oklaski, a potem zawinąć się i cisza do następnej okazji! Jakem Dzwinarska, nie dopuszczę. Musimy im pomóc. Ten Felek, nie zapomnę, gapa, stłukł mi kiedyś w muzeum przepiękną filizankę, ledwie ją potem zlepiłam, miśnieńska... Otóż ten Felek sam nie zwojuje zbyt wiele. Plecy trzeba mieć i przy najchwalebniejszych zamiarach. Zaimponowali mi oni, nawet ten Ponury Lisiewicz... Żebyśmy się wszyscy do czegoś zobowiązali. Każdy w swoim zakresie. Ja tu przyjadę latem, napiszę o tej ziemi niewielką książczynę. Profesor będzie próbował umieścić tu któryś ze zjazdów problemowych.

UJUra w PAN-ie, więc takie głupstwo na pewno załatwi...

2

387

Kijanek też wyskoczył z niezłą koncepcją. Najwięcej wszakże mógłby dopomóc niejaki Wlazło — palcem tknęła go w pierś. — Myślę, że warto by się zatroszczyć. Co, uciekasz, Lisiewicz? Obejdziemy się tymczasem bez ciebie. Postarałbyś się o jaki kieliszek wódki. Mam dziś ochotę napić się z wami...

— Chodźże tu do nas, Gienek, wystraszyła cię, widzę, pani Cecylia? Urocza kobieta... Gwarzymy z Janką, patrząc na was, że niby wszyscyśmy tacy sami, a jednak jakże się w nas wiele zmieniło...

— Na lepsze czy na gorsze? — rad był z zaproszenia Haliny. Pamiętny ostatniej rozmowy, nie szukał żadnych kontaktów z Janiną.

— Nie wiem sama...

— Halinko, daj spokój, chyba nie tę miarę przykładasz. A może krążysz wokół problemu, nie mogąc utrafić w sedno? Twój pomysł z naszym dzisiejszym spotkaniem... Czy też nie wchodzi wstecz, w przeszłość? Spójrz na tamtych, posłuchaj, chyba nie o to ci przecież chodziło?

Pędzik wraz z Przybyłą z braku miejsc do siedzenia usadowili się na podłodze. Czule objęci, kiwając się do taktu, zawodzili na zwariowaną jakąś nutę:

Pionierska krzepka wiara, pionierski twardy los...

— Może i prawda. Niektórzy z nas nazbyt postarzeliby psychicznie. — Obejrzał się, wskazał kiwnięciem głowy. — Na pewno jednak nie Felek: Założyłbym się, że on widzi teraz przed sobą wymarzoną wizję swojego miasta, całej tej ziemi. I on tę wizję realnie potrafi przybliżyć.

Ferycki był sam. Stał w otwartym oknie, wpatrując się w rozgwieżdżoną noc, w linie świateł wyznaczające ciągi miejskich ulic, nasłuchiwał poszumu niosącego się od lasów i wód. Twarz miał skupioną, choć pogodną.

— On już wtedy, w tym pionierskim losie, o którym gdczą ci dwaj, miał pełniejsze od innych wyczucie idącego czasu — dorzucił Lisiewicz. — Pamiętajcie, jak wojował

388

o nazwanie ulicy imieniem Florczaka? PojmowTał, że równolegle z konkretnym działaniem należy budować nową tradycję, by młodzi mogli do niej się odwoływać.

— I czegoś się wtedy, Przybyła, czupurzył? Edek od razu mi się spodobał i ta twoja Ewka, i tak postawili na swoim. Dostałeś tylko po nosie, dobrze ci tak, pionierze... — nad inne wybił się nagle głos byłego sierżanta Pędzika.

3.

W przydomowych ogródkach, w miejscach bardziej osłoniętych od-wiatru i chłodu zakwitły już pierwsze bzy. Tulipany i narcyzy pstrzyły się pośród soczystej trawy. Pocąc się w ciepłej jesionce, wydziwiał w duchu sam na siebie, że znowuż, któryś już raz zapomniał o różnicach temperatur w Olsztyńskim i tutaj, na zachodnim wybrzeżu. Tam, w Kortowie, bzy zaledwie pęczniały pąkami, dopiero przekwitły zawilce i przebiśniegi, nieśmiało przypominały się ostrym zapachem fiołki. Tam chłodne wiatry, tutaj nieledwie upał.

Zaskakiwała go ta chłodna zdolność rozumowania w obliczu ciągle nie znanych faktów, o jakich złowróźnie wieścił tekst telegramu wysłanego przez Różę. Może ta wyostrzona zdolność rejestrowania nieistotnych wszakże w tej chwili szczegółów łączyła się ze stanem doprowadzonego do maksymalnych granic nerwowego napięcia, w jakim żył w ostatnich, wolno jak nigdy nakładających się na siebie godzinach. Krótco po otrzymaniu depechy znalazł się w pociągu, który pomimo dwóch przesiadek najszybciej go dowoził do rodzinnego miasta.

Jakiś gorzki posmak zaczął się nagle w tych słowach. Miasto po raz pierwszy witało go obojętnie, nie umiał odnaleźć w nim nuty serdecznej zażyłości. I ludzie przewalający się ulicami, i domy, szyldy nad fasadami sklepów, coraz większą gęstwą zwisające nad jezdnią lampy jarze-

389

niowe, wszystko to stawało się teraz obce, odległe, jakby zaczajone w niechęci. Nawet intensywne słońce wprowadzało zamiast ukojenia element dodatkowego podrażnienia.

Może kryła się za jego odczuciami osobliwa wizyta w domu, gdzie mały pokój wynajmowała Róża? Pognał tam w pierwszym odruchu, wprost z dworca, nie rozumiejąc słów gadatliwie nastrojonego kierowcy taksówki, napięty oczekiwaniem wyjaśnienia, które zaraz otrzyma z ust siostry. Niewielka, świecąca liszczami opadłego tynku budowla, piętorko, znajome drzwi. Jak zawsze, gospodyni w nieodmiennych papilotach wyzierających spod chustki niedbale narzuconej na głowę.

— Dzień dobry... Jest Róża?

— Nie ma. Już od trzech dni. Pewnie w rybakówce nocuje.

— Ale co się stało, na Boga, pani nic nie wie? Choroba, wypadek?

— Ja tam nie chcę nic wiedzieć. Takie czasy. Ona sama niech panu powie... — naciskane drzwi wyparły go za próg, ostry trzask, znowu jest sam, z pogłębioną niewiedzą.

To wtedy chyba spłynęła ta obcość, nieledwie wrogość miasta. I słońca, i nieba. W nim zaś szelest papieru w kieszeni, olbrzymiejące, ożywione, jak gdyby złowieszcze wciąż nie rozszyfrowane słowa: „Przyjeżdżaj. Z ojciem nieszczęście. Róża”.

Telefonował z jakiegoś sklepu do szpitala. Dyżurna siostra niemiłosiernie długo sprawdzała w rejestrach. Bejna-rowicz? Nie, nie ma u nas takiego.

Odetchnął z ulgą, ale odczucie tej ulgi jednocześnie narosło, omotało się lękiem. Nie choroba, więc co zatem?

Może do Feli? Do Ryśka Matelskiego? Do innych znajomych? Furiacki napływ pasji na siebie. Przecież gospodyni wyraźnie oświadczyła, że Róża jest w domu, w rybakówce, pewnie przy ojcu.

Kierowca niechętnie przyjął kurs. Spadłe przed paru dniami silne deszcze rozmoczyły boczne drogi. Gdyby coś, zakończy jazdę na twardej nawierzchni.

Zdezelowana „warszawa” wysłużona już ponad miarę,

390

dudniąca pracą tłoków, przeraźliwy spokój strzałki na wskaźniku szybkości. Kierowca mrukliwy, z ponurą miną. Po bokach szosy intensywność zieleni, jak zawsze w okresie nasilenia wiosny. Drażniące zapachy, kwiaty, wesołe drgania powietrza, wszystko na przekór, jakaś gryząca ironia w tej pogodzie, w jasności i słońcu, w rozdygotanym wybijaniu życia.

Bezwiednie tarł czoło. Nieład tam pod nim, z jednej strony wrażliwość, wyczulenie na szczegóły, a zarazem niemożność uporządkowania wydarzeń ostatnich godzin. Nagłość, już nie tylko w depeszy, w gwałtownym wyjeździe, ale po prostu w aurze jak gdyby poprzedzających dni. Absolutorium i pierwszy raz w dziejach uczelni przedwczesne przyznanie tytułu magistra. Niemal równoczesne rozpoczęcie doktorskiego przewodu. Profesor, rozradowany jak mały dzieciak, głośno się chwali, jakiego chowa następcę. Uściski dłoni, gratulacje, poczucie odprężenia i świadomość czekających go jeszcze wysiłków. I z nagłą przygwożdżone, pomniejszone w wymiarach to wszystko w obliczu kilku przeraźliwie niepokojących, enigmatycznych słów dziewczyny.

— Nie mógłby pan cokolwiek szybciej ?

— Nie mogę. Za parę dni stawiam wóz na kłódkach, potrzebny już generalny remont. Zdąży pan, nigdy do niczego nie trzeba się śpieszyć...

Ma rację ten ponury kierowca. Nie należy przyśpieszać czasu.

Znajoma droga, jak dobrze znajoma. Od dziecięcych dni, kiedy jeszcze z matką przygodną furką telepał się do miasta po najkonieczniejsze zakupy. Potem dorobili się już własnego konia. Nauka, internat, tęskne wyczekiwanie wakacji, zwariowany bieg do domu, byle prędeej. Przywitać się z rodzicami, wypaść nad jezioro, nad rzekę, zajrzeć, co dzieje się w węgorńi, przyjrzeć się ikrze szczupaczej wirującej w wylęgarnianych stojach, popłoszyć młódkę w stawkach odchodowych, a potem z wędką zaszyć się w trzcinach, podrywać mieniące się karmieniem wzdreği, gwałtownym trzepotem broniące się okonie, zwinne, migające sre-

391

brem ukleje. To były zawsze te pierwsze zachłyśnięcia, największa radość...

Ale tę samą drogę przemierzał nieraz w momentach głębokiej zadumy. Nad matką, nad ojcem. Nad cieniami nie nazwanymi, ba, nie wyczutymi w pełni, które unosiły się nad ich domem. Matka, której warg nigdy nie upiększał uśmiech, zastygła kamieniem bladej twarzy. I tylko tym intensywniej grały oczy, mówiące tak wiele. Wiedziała o tym, zakrywała je powiekami. Suknie nosiła zawsze wysoko zapięte pod szyją, zima czy lato, chłód czy gorączka. Był już sporym wyrostkiem, gdy odkrył przyczynę, szyja ta pocięta była bliznami, śladem jakichś szarpanych ran. Zapytał wręcz, skąd się to wzięło. Zaskoczona była, długo milczała, w oczach jej pojawiły się ostre błyski, zimne, nie chciał sam sobie uwierzyć, były to błyski skrywanej w sobie, może specjalnie pielęgnowanej nienawiści. Zaraz przysłoniła te oczy powiekami, powiedziała jak gdyby od niechcienia :

.— Kiedyś, byłam maleńka, psy mnie wielkie pogryzły...

Skinął głową, takie to wydało się proste i jasne. Tłumaczyło także, czemu matka tak panicznie boi się psów. Zostały wspomnienia z dzieciństwa? Matka wyraźnie zawahała się przy tym słowie...

Z różnych stron lasu wypadali wraz z Różą na tę szosę, którą „warszawa” toczy się teraz tak wolno, jakby rozmyślnie wolno, oddalając o minuty czy może sekundy chwilę, w której dowie się wreszcie wszystkiego... Róża maleńka była, ciekawska okrutnie, czupurna. Lubili się, uczucie silnych powiązań zostało do dziś. W stosunku do obydwojga rodzice byli tak samo serdeczni i czuli, choć inaczej się wyrażały te ich uczucia. W stosunku matki do nich był niby lęk, niekiedy chwytała jego czy Różę w objęcia i tuliła, mocno tuliła, jakby ramionami pragnąc osłonić od zła. Rozpieszczała, zwoziła z miasta zabawki, słodczyce, czy w domu było lepiej czy gorzej, im niczego nigdy nie brakowało. Całowała, przegładzała po główkach. Ale zawsze niemal działało się to bez słów, w milczeniu, w ciszy, tej ciszy, która jak pamiętał, nieodmiennie otulała ich dom... Ojciec był

392

może surowszy, nie znał się na pieśczołach, czasem tylko spoglądał długo, serdecznie, a zimne, surowe jego spojrzenie roztapiało się wtedy w aksamitnej miękkości. Była w tym wzroku i tkliwość, i bezgraniczne oddanie. I zawsze w chwilę później naciskał głęboko na oczy swój kaszkiet, ze wzmożoną energią wracając do pracy. Pracował, zwłaszcza w tych najpierwszych latach, straszliwie. Od świtu po noc, a i wtedy, zdarzało się, tłukł się do późna po obejściu z latarnią w dłoni. Co jakiś czas matka jeździła do miasta, składając pieniądze na książeczki założone na ich imiona, jego i Róży.

Był taki moment, w magazynach rybackich, jak zawsze, pękła jedna butelka i druga. Ojciec pił mało, ale honorowy był, stawiał na równi z pozostałymi. Właśnie otrzymał wypłatę grubo bijącą w swej wysokości inne. Podkpiwali rybacy, po co mu taka forsa, zaharowuje się jak pies, nic nie zostawiając dla siebie. Pokręcił kudłatym łbem, zmarszczył i tak niskie już czoło, wystękał:

— Chciałbym, aby im, tym dzieciakom, lepiej się wiodło. Aby zostali porządnymi ludźmi.

I jakby pragnąc uniknąć dalszych dociekań, wyciągnął banknot na dalsze pół litra.

W tej pracy, w zaharowywaniu kryła się jego miłość do dzieci. Tak jak u matki kryła się w gestach, czułościach, w odruchach tkliwych i bardzo czemuś zarazem smutnych.

Wóz przyhamował, kierowca ostrożnie zjeżdżał na boczną drogę, nieco dalej wślizgującą się w las. Pierwszy most, pierwsza rzeczułka. Tuż za nią zaraz będzie i druga płynąca równolegle. Coś tak jak obok siebie niejako, nie łącząc się razem, płynęły nurty życia matki i ojca. Byli obok, mijali się, prawie zawsze w milczeniu, umieli się obywać bez słów. I nic więcej. Nigdy jakiejś czułości, miłszego słowa. Ponure, milczące twarze, dziwne błyski w matczynych źrenicach, zaraz gaszone przesłoną powiek.

Mocne strugi wody trysnęły spod opon, wóz zakolebał się, zaraz wyrównał, dalej już była żuźłówka. Drugi mostek. Za nim droga w wybojach, zalana wodą na sporych prze-

393

strzeniach. „Warszawa” przystanęła. Kierowca obrócił twarz do pasażera.

— Koniec. Dalej nie jadę. Zresztą już blisko...

Dokładnie przeliczył pieniądze, potem jeszcze raz spojrzął na Pietrka.

— Do rybakówki? Gdzie Bejnarowicz? Ojciec on może?

— Tak... A czemu pan pyta?

— Ot, tak sobie, Nic, nic...

Pietrek czuł na sobie jego uważne, zimne spojrzenie, gdy ruszył czym prędzej drogą do domu. Potem „warszawa” zawarczała nawracając na wąskiej grobli.

Przyspieszał coraz bardziej. Z każdym krokiem od nowa, przedtem jakby chwilowo stłumiony, buchał natężający się niepokój. Róża czy będzie w domu? A ojciec? Co naprawdę stało się z ojcem? Dziwne to wszystko, tajemnicze. Mogła siostra precyzyjniej zredagować telegram, oszczędziłoby mu to nerwów, na pewno okaże się, że nic tak bardzo groźnego. Wcale nie był pewien, te samouspokajania nie odnosiły skutku. Róża była wrażliwa, nerwowa, ale przy tym trudno było odmówić jej rzeczowości. Skoro wysłała depezę, najwidoczniej nie znajdowała innego wyjścia. Znała przecież sytuację w Kortowie, gorączkę tych ostatnich tygodni, szanse, jakie ważyły w związku z jego karierą. A jednak depešzowała...

Odcinek podmokłej łąki, przechodzący w gęste, rozrosłe pasmo zielska, zabiegające potem trzcinami aż w toń jeziorną. Grobla ocieniająca rowy przelotowe, tak konieczne na wiosnę. Już opodał sylwetki topoli, sadzonych przez ojca krótko po przyjeździe, smukłych, rozrostłych. Wierzba płacząca rozsiała jak zamożna gospodyni na przyzbie. I dom, ich dom. Dziwnie pusty, ponury, taflami szyb odbijający światła dnia. Nikogo w obejściu, nikogo na ganku. Biegł ten ostatni odcinek. Zwolnił tuż przed gankiem. Przeraził łąką, ogarniającą go całego, przenikającą mrokiem, odczuciem nagłego chłodu. Powolnym ruchem nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Ani Róży, ani ojca nie ma więc w domu? Cóż się stało, na Boga?

Klucz tkwił jak zawsze nad framugą prawego okna.

394

Wszedł do wnętrza. Ciężkie powietrze, zaduch jakby mocniejszy niżeli zazwyczaj. Nieporządek, więcej, bałagan straszliwy, wszystko porozrzucane, porozsypywane, pomieszane. Ani na ojca, ani tym bardziej to wyglądało na siostrę. Usiadł ciężko, przetarł czoło, mokre, napite jakimś ziębiącym niedobrym potem. Poczł się ogromnie bezradny. W kieszeni ciąży złowrózenna depeša, gnany jej treścią ściągnął tutaj jednym tchem aż z Olsztyna, a na miejscu ciągle nie wie nic więcej. Nic... Rozejrzał się, może Róża zostawiła jakąś wiadomość. Żadnego skrawka papieru, żadnego słowa...

Pozostawało czekanie. Rzecz najtrudniejsza z trudnych. Oglądał się po wielkiej izbie, jak by znalazł się tutaj pierwszy raz w życiu. Ta sama, a inna. Kiedyś opodał płyty zawsze krzątała się matka. Słaba, chorowita, spowita ciszą i zatajonym jak gdyby gdzieś w głębi niej lękiem. Na ławie obok, ciężkim ruchem dłoni zrzucając swój kaszkiet, siadywał niekiedy ojciec. W milczeniu przyglądał się ruchom krzątającej się kobiety. Niby obojętna, coraz to rzucała wszakże na niego uważne wejrzenia. Zwłaszcza na jego ręce, masywne, o krótkich palcach, pokrytych gęsto drobnymi, sztywnymi włoskami. A potem z nągłą przymrużała powieki.

Jak dwie rzeki płynące nie opodał równoległe do siebie, nigdy nie łączące się razem...

Nie potrafił usiedzieć w tej atmosferze. Wszedł na dwór. Cisza dokoła, tylko od strony jeziora łagodny, leciutki podmuch wiatru. Fala pewnie mieni się i drży srebrem w poblaskach słońca, które

dopiero zaczyna się przewalać w stronę zachodu. Intensywna, świeżutka zieleń, napita wodą ostatnich deszczy. Czerwonawe z daleka różgi wikliny. Strzały trzciny, bardziej głębokie w tonie sitowie. Nadbiegający wraz z podmuchami wiatru zapach tataraku, zawsze tak ulubiony, tak bardzo łączący się ze wspomnieniem domu. W pierwszych latach, gdy trudniej było o kontakt z miastem, zdarzało się, matka chleb wypiekała sama, takie duże, ogromne bochny. Piekło się je na liściach dębowych, a jeszcze częściej na tataraku. I przed Zielonymi

395

Świątami cięty na drobne kawałki tatarak zaścielał również izbę, napełniając ją cierpkawym zapachem.

Tuż za stodołą, na nadłamanej topoli bocian od lat siał gniazdo, korzystając z podłożonej mu brony. I teraz bo-cianica kokosiła się już na jajach. Wcześniej wróciły ptaki w tym mroku.

Bliskie było to wszystko, ale z nagłą i obce, oddalone zarazem. Niecierpliwymi krokami przemierzał podwórze tam i na powrót. Od strony, skąd wiodły szyny dla przetaczania wózka z sieciami czy rybą, odgłos jakby czyjegoś człapania. W wylocie wśród trzciny pojawiła się sylwetka mieszkającego na drugim cyplu pół zwariowanego sąsiada. Ujrzał Pietrka, przystanął, na jego wołanie zawrócił z tupotem, uciekał, jak by goniło go coś straszego.

Machnął ręką, nie będzie się uganiał za tym pomyłkцем. Ale co robić? Co robić? Takie niezwykle to wszystko wokoło. Ludzie chyba coś wiedzą. Gospodyni Róży w jej pokoiku w mieście, kierowca taksówki, dziwnie podpytywał o Bejnarowicza, ten sąsiad... Nikt nic nie mówi, wymigują się, dziwnie cofają spojrzenia. Co robić? Czekać tutaj do skutku, czy jeszcze raz udać się do miasta, tam wywiadywać się, szukać... Z ojcem nieszczęście, tak Róża depešowała. A on ciągle nic nie wie. Ani ojca, ani Róży, pustka zaniedbanego, w jakimś popłochu opuszczonego domu, takie to przynajmniej czyniło wrażenie...

Wolno przesuwają się wskazówki zegarka. Odczuł nagle wyrzuty sumienia. On tam, w Kortowie, gra swoją wielką życiową grę, zostawiając tu ojca, siostrę i wszystko na łasce losu. Może powinien tu być, pracować, nigdzie nie wyjeżdżać, powściągnąć rozmach swych marzeń, odpłacać temu ponuremu, mrukliwemu człowiekowi otwartym sercem za wszystko, co dla nich uczynił. Po to, jak wtedy powiedział, by stali się w pełni porządnymi ludźmi, by ich los lepszy był niż los jego, Jana Bejnarowicza... Co myślał przy tych słowach naprawdę, do czego nawiązywał w swym życiu, tak właściwie zupełnie, całkowicie dzieciom jego nie znanym?

Znów przysiadł na starej, zapadającej się ławeczce pod 396

\

wierzbą. Tuż za nim wychylały się z ciemnej zieleni liści pierwsze, nabrzmiewające zapachem, delikatne kwiaty konwalii. W desperackim odruchu potrząsnął głową. Nie, dosyć, nie będzie rozpamiętywał niczego, nie chce dogrze-bywać się w przeszłości żadnych spraw. Czekać teraz, cierpliwie czekać na to, co los przyniesie, może już przyniósł, tylko przed nim jeszcze skrywa jakieś fatalne, niedobre fakty...

— Pietrek, Pietrek, jesteś, jak to dobrze, jak dobrze...

Rzuciła rower na drodze, biegła ku niemu, jakaś drobniejsza jeszcze niżeli zazwyczaj, zmizerowana, z wybladłą twarzą, z podkrążonymi oczyma.

— Jestem... Gdzie byłaś?

— W mieście, musiałam... Straszne rzeczy, takie straszne rzeczy, Pietrek...

Tuliła się w jego objęciach, osłaniała się ramionami, chyliła głowę, jakby szukała w tych gestach ratunku, jakby tu jedynie znajdowała najmniejszą chociażby szansę ocalenia.

— Róża, maleńka siostrzyczko, co się stało, mów, co się stało? Co z ojcem?

— Ojciec... ojciec aresztowany... Straszna sprawa... Nie mogę, Pietrek, nie mogę, sił już nie mam, nie mam odwagi... Ale to nieprawda, powiedz, Pietrek, że nieprawda, że tak nie było, nie mogło być, powiedz...

— Na pewno nieprawda, Różo, na pewno... Ale określ mi bliżej, wyjaśnij, o co chodzi, dlaczego ojciec aresztowany.

Oddychał z ulgą. To na pewno omyłka, wyjaśni się, będzie znów dobrze...

— Nie wiem wszystkiego. Byłam dziś u prokuratora. Okropnie poważny, choć grzeczny, współczujący. A ja bym oczy mu wydrapała za to współczucie, za to, o co posądza ojca... Dopiero go odznaczyli, a teraz takie zarzuty...

— Różo — próbował wrócić ją przytomności.

Opamiętała się. Przytuliła się jeszcze na moment do niego, potem wyprostowała swą drobną figurkę.

— Ojciec to podobno nie Bejnarowicz, to zupełnie ktoś

397

inny... Tamten prawdziwy Bejnarowicz jakoby nie żyje... A ojciec, ojciec jakoby mordował ludzi, wielu ludzi... Pietrek, to potwarz, to jakaś straszna omyłka, prawda? Powiedz, że ojciec niewinny, że tamto jest kłamstwem, ohydnym kłamstwem.

— Tak, Różo, to na pewno kłamstwo. I my ojca oczyścimy z zarzutów... Tylko że ja jeszcze ciągle nic nie rozumiem, nie pojmuję, twoje słowa, Różo, są tak niepojęcie dziwne...

Znów ją objął, trwali tak, sami, straszliwie sami na świecie, który się od nich odgradzał, który nie chciał ich znać, ich, wilczego pomiotu, którym to słowem bluźnięto już Róży.

Byli sami zjednani samotnością, która boli i która przeraża.

Nad rybakówkę, nad trzciny i drzewa zaczynały słać się już dłuższe cienie, słońce powoli chyliło się ku zachodowi, od wody zrywał się podmuchami mocniejszy wiatr. Objęci, miotani i tym wiatrem, i jeszcze mocniejszym, który się zrywał i szalał w nich samych, wolnym krokiem szli ku domowi, który z nagłą od jednego ciosu przestać już być ich domem.

Przesuwając ostrożnie dłonią po blacie stołu, trafiała na nóż. Teraz mogła już usiąść: ziemniaki znajdowały się w koszyczku na prawo od niej, na lewo stał garnek z wodą, przed nią kosz do obierzyn. Samo struganie nie wymagało wzroku, Boże, tyle lat wprawy, najtrudniej zresztą było przemóc się, oswoić ze świadomością, że oczy więcej już nie pomogą...

Nie te drobne prace stanowiły zresztą największe zmartwienie. Najtrudniejsze było przygotowanie uśmiechu, pogodnej twarzy, dobrego nastroju. Wiedziała, jak mu to zawsze było potrzebne, a cóż dopiero obecnie, gdy na młode barki zwały się jeszcze i to nieszczęście. Musiała mu dawać ten uśmiech, wbrew sobie, wbrew ochocie do bolesnego szloch, do uzaleń czy beznadziejnej rezygnacji.

Bo
398

nadal nie mogła się oswoić ze swoim losem. Życie przyzwyczało ją do pracy, do aktywnego działania. I nagle urywa się wszystko jak kiepska taśma stokroć wyświetlanego filmu. Chcąc nie chcąc, wbrew sobie i najzwyczajniejszym nawykom, musi pozostawać beczynna. Na domiar trzeba się jeszcze uśmiechać.

Gdybyż, myślała, mogła się przejrzeć w lustrze, gdy po przemyciu zimną wodą napuchłych od płaczu powiek ćwiczyła mięśnie swej twarzy, składające ją do uśmiechu. Komediantką została na stare lata. Ale to dla Ryśka, dla jedyne go jej dziecka, radości starych, ślepych na domiar lat.

Ta miłość do syna pomogła jej przewyciężyć stopniowo lęk przed poruszaniem się czy wykonaniem najprostszych czynności.

Początkowo przecież bała się zrobić najmniejszy krok, zdawało się jej, poroztrąca i porozbija wszystko, sama się pokaleczy.

Naj zwyczaj niej szy lęk budził w niej pokój znany od lat, stół straszyl ostrymi kantami, wszystkie sprzęty zdawały się zmieniać wymiary i miejsca, niezwykle kruche stały się naczynia, próg wyrósł wysoki jak nigdy.

Róża rzadziej teraz ich odwiedzała, uczyła się, pośród maturzystów zaczynał się szerzyć niepokój przed zbliżającym się egzaminem. Niekiedy wszakże ciskała książki i pędziła do mieszkania Matelskich. Rysiek rzadko bywał w domu, chwytal się kaźdej roboty, ciągle jeszcze wzywano go do centrali nasiennej, pracowała tam spora grupka takich jak on. Kobiety mogły więc do woli gawędzić ze sobą. Dziewczyna starała się dodawać otuchy ociemniałej kobiecie. Prowadziła ją po pokoju, liczyły kroki, by potem pani Matelska mogła sobie radzić bez niczyjej pomocy. Od nowa trzeba też było poznawać topografię wszystkich zakamarków i schowków w mieszkaniu.

Całym sercem wdzięczna była Róży za tę życzliwość i pomoc. Dzięki niej od nowa jak gdyby nawiązywała kontakty z życiem, tym wąskim teraz i ciasnym, ograniczonym do zamkniętej przestrzeni małego mieszkania. Oknem na zewnątrz stawało się tylko radio. Tym bardziej gar-

399

nęła się do chwili spędzanych z Różą, czyniąc sobie zarazem wyrzuty, iż zadręcza dziewczynę, nudzi ją swymi małymi żalami, nawracaniem do tych samych tematów, zawężaniem kręgu wrażeń i odczuć. Pocięszała ją tylko niekiedy-świadomość, że i ona jest potrzebna przyszłej synowej.

Róża, zawsze wrażliwa i chorobliwie nerwowa, z tą wiosną przeżywała okres szczególnie dla siebie trudny. Nie można było zwać wszystkiego na samą maturę, tym bardziej, że dziewczyna uczyła się dobrze i nadchodzący egzamin nie składał się dla niej z samych niewiadomych. Znow ją dręczyły ponure, nieokreślone nastroje, napady smutku i niewiary w swój los.

Ociemniała kobieta wczuwała się w przeżycia dziewczyny, usiłując na wszelki sposób przeciwdziałać jej smutnym przeczuciom. Serdecznie się przywiązała do Róży, życzyła jej najlepiej, była to też i sprawa Ryśka, ich wzajemnej przyszłości. Niepokoił ją stan psychiczny dziewczęcia, zbyt wiele w życiu widziała, by składać wszystko na zaburzenia okresu dojrzewania, na przejście maturą czy złe samopoczucie. Przyczyny musiały tkwić głębiej, może zaważył tu klimat dzieciństwa, szczególnie atmosfera rodzicielskiego domu, może samo życie w odciętej od świata, samotnej rybakówce, gdzie ludzie stawali się rzadkim zjawiskiem. Brat jej, Pietrek, odporniejszy psychicznie, łatwiej się odciął od tej szczególnej nostalgii, dziewczyna, przewrażliwiona od dziecka, nie znalazła w sobie aż tyle odporności, poddała się, nie umiała przejść się innymi, nowymi sprawami. Nawet pierwsze zachłyśnięcie miłością nie wyzwoliło jej od niepokojów wewnętrznych, uczucie swoje też przesączyła jakimś łagodnym smutkiem.

Ten smutek, choć wywodzący się z różnych źródeł, ale przecież im wspólny, zbliżył je jeszcze bardziej do siebie. Mogły być w swych rozmowach najpełniej szczerze, rozsnuwać przed sobą swe własne światy, dzielić się odczuciami i szukać pociechy w strapieniach.

Może dlatego też pani Matelskiej przypadł w dziale los pierwszego i jedyne go powiernika tragedii, która osaczyła dziewczynę. Odruch serca uderzonego z nagłą, jakby w do-

400

powiedzeniu wszystkim dziwnie niepokojącym przeczuciom. Potrzeba zwierzenia, uzyskania zastrzyku nie otuchy już, czy nadziei, te zdawały się przekreślone z miejsca, ale siły, choć odrobinę, by wbrew wszystkiemu spojrzeć w oczy temu niepojętemu, co stało się aż tak przerażająco realne, obecnie w całej swej wstrząsającej prawdzie.

Każdego ranka, jeśli tylko nie lało albo nie było zbyt chłodno, z momentem gdy zostawała sama po wyjściu Ryśka, lubiła przystawać przy otwartym szeroko oknie, wdychając zapachy płynące z maleńkiego ogródka. Przekwi-tały konwalie i fiołki, ale już mocną, delikatną wonią niosły się pierwsze maciejki i rezeda, pachniał bez, wielkimi kłociami rozrosłego drzewka spływający aż ku samemu oknu. Mogła te kłoci ujmować dłonią i przybliżać do twarzy. W takich momentach zapominała na krótko o swojej ślepotce, zdawało się jej, iż jak dawniej, stojąc w oknie, przymyka oczy, aby nie mącić niczym uroku spływających ku niej zapachów.

Od paru dni odczuwała wyraźne odprężenie psychiczne. Pozostawał smutek, ale jakiś łagodny, trwały jak zapach lawendy w starych szafach, nieprzydatny już, ale i nieszkodliwy. Przyjmując swój stan jako sprawę nieodwracalną, po pierwszym załamaniu za wszelką cenę dążyła obecnie do oswojenia się z utratą wzroku. Obok głównego celu, aby możliwie mało sprawiać swoją osobą kłopotu Ryśkowi, a raczej w miarę możliwości starać się mu pomagać, pragnęła szukać zadowolenia w tym ograniczonym świecie doznań, jaki jej obecnie pozostał. Minuty spędzane przy oknie, wśród zapachów kwiatów płynących z ogródka, stawały się tutaj szczególnie przydatne, przekreślające chwilowo granicę, która

stanęła między dawnym czasem, gdy jeszcze widziała, a obecnym, w którym w świecie kształtów i barw polegać już musi wyłącznie na innych.

Jak zawsze o tej porze, gdy wygasło poruszenie wczesnych godzin porannych, na ich spokojnej uliczce rozpościerała się niczym niezakłócana cisza. Dopiero później pojawiali się wozacy, listonosze, zaczęli śpieszyć przechodnie, Wracające ze szkoły dzieci napełniały wszystko rozgwa-

26 Przejaśnia się niebo t. II

401

rem. Teraz było spokojnie, rześkie powietrze ranka wibrowało falami ciepła.

I nagle pękło wszystko. Nic, że cisza stała nadal wokoło, przerywana tylko harmonizującym z nią zaciekłym świergoleniem jakiegoś ptaka, nic że zapach kwiecia jakby zintensywniał jeszcze wdzierając się do pokoju.

Odczuwała szarpiący ból, a wraz z nim nie niepokój już, ale jakby narastającą panikę. Serce biło szybko, dłonie na-wilgły potem, całym systemem nerwowym owładnęło jakieś przerażające oczekiwanie. Zdumiona, poszukiwała oznak zewnętrznych tego, co wewnątrz tak silnie dawało jej znać o sobie. Tymczasem ciągle nic się nie działo, ptak świergolił, z ogródka biły zapachy, narastające ciepło pięknego dnia. Długo, długo później chodnik odbił znajomy tupot drobnych nóg, bardziej wszakże niżeli zazwyczaj nerwowy i niespokojny. Aż nawet przez chwilę nie była pewna, Róża to, czy może ktoś inny? Poznała wszakże, to była ona. I już wiedziała, skąd w niej to przerażenie i panika, skąd trzepot serca i pot zlewający czoło i dłonie. To z Różą stało się coś złego, ona niesie tu jakąś straszliwą nowinę.

Jakby nie pamiętała o swej ślepcie, jakby tak jak niegdyś wzrok ją prowadził, nadspodziewanie szybko znalazła się przy drzwiach, szeroko je otwierając wcześniej, nim dziewczyna zdążyła zadzwonić.

— Mamo!

I nic więcej ponad to słowo. Wtuliły się w siebie, zwały mocno w objęciach. Tak przytulone przesunęły się do pokoju. Już nie jedno, dwa serca biły obok siebie obłąkańczym rytmem, dwa odczucia zlewały się w osaczającej je zewsząd grozie.

— Och, mamo, mamo...

Przeglądziła ją tym dobrym łagodnym ruchem po włosach, przygarnęła raz jeszcze

— Co się stało, dziecińco?

— Ojciec został aresztowany... Przed dwoma dniami, ale dopiero wczoraj dowiedziałam się o tym. Pognałam do ry-bakówki. Pusto, wszystko zamknięte, w domu rzeczy po-

402

rozzucane, podobno była rewizja... Nad ranem wróciłam, pobiegłam do prokuratora... Nie, nie mogę, to straszne, to nieprawdziwe.

— Też myślę tak samo... Jakaś wielka pomyłka.

— Mówią, że ojciec to nie on, ale ktoś inny, zupełnie inny— Nic nie pojmuję. Że mordował, że strasznie wiele ma na sumieniu... To przecież kłamstwo, kłamstwo.

— Na pewno kłamstwo.

Przeglądała jej włosy tak jak i przedtem, wymawiała te słowa proste i tak bardzo przecież banalne. Chciała im sama wierzyć, a nie wierzyła. To przecucie czegoś straszliwie złego nie mogło mylić, ono właśnie, niestety, było prawdziwe, nie pomogą tu nic zaklęcia ani żadne ich najszczerze pragnienia. Ale przecież Róży tego nie powie. Biedna, jakże bardzo biedna.

— Na pewno kłamstwo — powtórzyła mocniej.

Dziewczyna, w bólu swoim i grozie niezrozumienia jakby

zamarła przez moment w jej ramionach, drgnęła teraz, odsunęła się, wyprostowała.

— Tak, kłamstwo. Ale ja jestem taka bezradna, zagubiona, przerażona tym wszystkim. Co mam robić, jak ojca ratować? Dałam znać Pietrkowi... Ale co dalej? Co dalej, mam?

Cóż jej mogła poradzić, co powiedzieć? Nie znała się na tym, nigdy nie miała nic z prawem wspólnego, nic z aresztowaniami, z sądem, z więzieniem. Dała znać bratu, to dobrze, to konieczne. Była u prokuratora, była w rybakówce... To wszystko dobrze, słusznie. Ale co dalej? Co teraz?

— Nie wiem, Rózo, naprawdę nie wiem... To okropne, samo aresztowanie, zarzuty.

— Prokurator niewiele zechciał ujawnić. Miał taką dziwną minę, jakby mi strasznie współczuł. Powiedział, że ojciec stoi przed poważnymi oskarżeniami, że się podszył Pod kogoś, że podobno ludzi mordował, za okupacji, tam, 23 Bugiem... Podał mi jeszcze na koniec rękę, szepnął, bym była mężna...

— Ja ci niewiele, dziecko, pomogę... Żebym choć miała

403

wzrok... Myślę, że Rysiek coś tutaj poradzi, mądry jest, więcej się wyznaje na takich sprawach. Zaczekaj najlepiej na niego.

Wysunęła się z jej objęcia.

— Nie mam... Sama będę sobie radziła, nie chcę płatać w to Ryśka. Nie chcę, nie mogę... To od dawna ciążyło nade mną, teraz pojmuję te nocne majaki, te niepokoje i najgorsze przecucia. Nie powinnam była zezwolić na naszą miłość, jeszcze i Ryśkowi przyniosłam nieszczęście.

— Rózo, co za głupstwa ty gadasz? Kochacie się, to najważniejsze. I złe, i dobre jest wspólne dla was. A w całą historię nie wierzę. Nieporozumienie, kłamstwo, złe czyjeś języki. Okupacja, dawne czasy, blisko dwadzieścia lat, coś się komuś splątało i tyle. Wyjaśni się, zobaczysz, jeszcze będziemy się śmiali z tego, a ty i Rysiek będziecie szczęśliwi... Zaczekaj na niego Rózo.

— Nie, mam, nie potrafiłabym usiedzieć teraz na miejscu... Sama muszę szukać ratunku. Sama.

Nachyliła się ku dłoni pani Matelskiej, a potem tylko stuknęły drzwi i zaraz dobiegł z ulicy nerwowy, śpieszny tupot drobnych jej kroków. Ociemniała kobieta raz jeszcze tego ranka podeszła do okna, gubiąc się w pokoju, ostukując o sprzęty. Już nie docierały do niej zapachy kwiatów, może ich nie czuła, a może słońce zamknęło kielichy wraz ze skrytą w nich wonią. Pozostawało jej teraz oczekiwanie na syna, długie wiecznością każdej mijającej minuty. Jak Rysiek to przyjmie, czy nie ugnie się pod tym ciosem najcięższym chyba wśród jego przeżyć?

Zaczął się teraz dla nich ciąg dni i tygodni pełnych bólu i narastającej udręki. Tym cięższych, im bardziej odsuwała się w niebyt nadzieja jakiejś omyłki czy nieporozumienia. Docierające wieści okazywały się coraz bardziej przerażające, tak okropne, że aż niewiarygodne.

A jeszcze to zachowanie Róży...

Tego samego dnia, kiedy straszna nowina dotarła do nich, Rysiek pobiegł do Róży. Nie było jej w domu, gospodyni wzruszała tylko ramionami, co ją to obchodziło, nie najęła się do stróżowania pannicy. W rekordowym czasie

404

przepedałował nad wieczór drogę do rybakówki. I tam pustka, zamknięte drzwi, i tylko odczucie jakiegoś ponurego, obezwładniającego czadu, zasnuwającego stary dom i najbliższe otoczenie. Postanowił czekać. Róża zjawiła się późno w noc, przemęczona i podenerwowana do granic wytrzymałości.

Nie poznawał jej, stała się zupełnie inna, unikała rozmowy, zdawało się, że pragnie się go pozbyć, więcej, że usiłuje za wszelką cenę przeciąć więzy łączące ich z sobą. Nie pojmował tego, nie mógł zrozumieć, i długo jeszcze miało to trwać, nim wreszcie miał się wywieść, że dziewczynie chodziło o niego, pragnęła go odciąć od sprawy, przejąć wszystko na siebie, tylko na siebie. Ale wtedy był przerażony.

— Rózo, razem będziemy działać, zabiegać, udowodnimy niewinność ojca...

Na moment coś się w niej nadłamało. Wspięła się na palce, przyciągnęła jego głowę do siebie, ucałowała w usta, gorąco, mocno, jak chyba jeszcze nigdy. A później delikatnie odsunęła chłopca od siebie.

— Ryśku, wybacz, ja muszę być sama... Jedź do domu, wracaj, mama tam czeka.

— Jakże tutaj zostaniesz?

— Pietrek przyjedzie, może dziś jeszcze... Nie gniewaj się, kochany, a raczej postaraj się mnie zrozumieć.

Raz się jeszcze zetknęli, jeszcze jedną odbyli rozmowę. Ciężką, zawierającą same niedomówienia. Stało się to na piąty coś dzień od ujawnienia sprawy. Po mieście szeroko rozchodziły się najdziwniejsze słuchy związane z Bejnaro-wiczem, czy jak się on zwał naprawdę. Wiadomo już było, że pomyłka jest wykluczona.

Róża miała suche oczy, twarzyczkę całą ściągniętą, wy-Madłą. Trzymała się na pozór mocno, ale słowa jej brzmiały dziwnie, wypowiedane tonem chropawym, jakby dławione czymś w gardle.

- Ryśku, musisz* zrozumieć... Mnie na to teraz nie stać, -a nie mogę się z tobą widywać.
- Nie kochasz mnie?

405

Westchnęła.

— Gdybyś wiedział, jak bardzo, bardzo mocno cię Kocham. Ale właśnie dlatego uważam, że przynajmniej jakiś czas powinnam być sama. Z Pietrkiem jedynie. We dwójkę musimy dźwigać nasz los.

— To i mój los. Razem go łatwiej zniesiemy, nie patrząc, co by nam nie przynosił.

— Nie wiem, chyba się mylisz... Jest rodzaj spraw, których nikt, choćby najbliższy, nie może na siebie przejmować. Ryśku, nie dręcz siebie i mnie. Pomyśl, wiele ja muszę teraz mieć sił, nie odbieraj mi tej ich resztki, która jeszcze została. I wybac, wybac mi to, co musisz przeze mnie przechodzić...

Próżno potem usiłował jeszcze się z nią zobaczyć. Zerwała naukę, ugrzęzła w rybakówce. Próżno się tam dobijał. Tylko Pietrek wyszedł pewnego rana, wziął go pod ramię, prowadząc do drogi. Związły był, suchy, oczy paliły mu się suchym, bolesnym blaskiem.

— Rysiek, zostaw nas. Nie dokuczaj. Róża cię kocha, ja bardzo cię lubię, ale tym bardziej trudno nam trawić twoją obecność. Jedną chyba zresztą obecnie ludzką przy nas obecność — uśmiechnął się jakoś gorzko. — Musimy być sami. Niechaj o reszcie rozstrzyga czas. Może-on też pomoże ci zobaczyć rzecz głębiej i szerzej. Dzisiaj powodujesz się impulsami. Dlatego nie dostrzegasz pełnej prawdy. Prawdy o tym, kim Róża i ja jesteśmy, czyimi dziećmi...

Urwał. Zapadła cisza. Rysiek nie znajdował w sobie słów odpowiedzi. Nie zgadzał się z Pietrkiem, ale czymże miał replikować?

— Widzisz, wnioski w tym wszystkim są jednoznaczne — skrzywił się Pietrek, nie wiadomo, może to miał być uśmiech. — Fela okazała się mądrzejsza od ciebie. Zrozumiała od razu. Otrzymałem od niej list. Krótki. Dwa zdania. Zerwała ze mną. Słusznie. To było chyba jedyne wyjście. Może też powinno być takie i dla ciebie...

— Pietrek, jak możesz... Ty wiesz, jak ja Różę...

— Dosyć — przerwał mu. — Nie o ciebie teraz chodzi-O Różę. I dlatego nie powinieneś jej widywać. Przynaj-

406

mniej przez jakiś czas. Potem się wiele wyjaśni. Nie miej żalu, byłeś i jesteś nam bliski. Do widzenia, Ryśku.

Gdy obejrzał się, ujrzał w oknie maleńką, szczupłą sylwetkę. Zaraz cofnęła się w głąb domostwa.

Aż nadszedł ten dzień, gdy wpadł do domu jak burza, jakimś strasznym ni to westchnieniem, ni szlochom rzucając się do kolan struchlałej matki.

. — Róża nie żyje...

Zamarła.

— Sama odeszła. Nie wytrzymała tego ciężaru... A ja jej nie dopomogłem, nie potrafiłem ustrzec...

— Widocznie nie było to już możliwe. Tamto musiało się spełnić — szepnęła, a przed nią i za nią wszędzie było ciemno tylko i czarno.

— Mamo, mamo!

4.

Gęste pasmo mgły unosiło się nad płaszczyzną jeziora przesłaniając widoczność. Od pobliskich łąk także wstawały ciężkie opary. Zaczynało się dopiero przejaśniać. Dłonie grabiły od chłodu.

— Teraz skrócić trochę w prawo, wypłyniemy prosto na taki niewielki cypelek. Tam brzeg od razu zapada się głębia, latem sum lubi się trzymać tej wody.

Młody człowiek mocniejszymi uderzeniami lewego wiosła skierował łódź we właściwym kierunku. Próżno się jednak oglądał za siebie, wzrok nie potrafił przebić oparów mgły.

— Pan zawiadowca czuje się tutaj jak na własnym podwórku — zacmokał z podziwem.

— Daj pokój z zawiadowcą, nie jesteśmy na służbie. To jedno. A że znam dobrze to jezioro, a także inne w okolicy? Gdybyś tak na nich bobrował od osiemnastu lat, też na śle-P° trafiłbyś w każdy załomek.

407

— To ja ledwie sześć lat miałem, gdy pan holował tu pierwsze szczupaki.

— Żebyś wiedział, jakie konie tu były. Dziś o takich nie marzyć. I nie tylko szczupaki. Okoń, garbusy, aż serce rosło, trafiał się czasem i sandacz. Wyłowiona dziś ryba to nie to, co dawniej...

Jezierski zapalił papierosa, przysłaniając dłonią płomyk zapalki. Potoczył wokoło spojrzeniem, jakby widział przez mgłę.

— Będzie piękna pogoda. Jak słońce mocno już wzejdzie, spróbujemy na błysk. Może połakomi się jaki szcucu-piec... Wtedy, widzisz, na tej wodzie różnie bywało. Zdarzały się trupy, różne, niemieckie i nasze, diabli wiedzą czyje, nie zawsze po ubraniu rozpoznawał, pływały wzdęte, sine, strach. I nad brzegami bywało straszno. Kto chciał tylko, trzaskał w głowę granatem, czasem kanonada szła, aż drzewa drżały. Spróbowałbyś coś powiedzieć, już by się ciebie w domu nie doczekali. Taki był czas.

Tylko wiosła chlupotały, pchając łódź poprzez mleczną zawiesinę. Mgła osiadała na burtach i na ubraniu, odkładając się ciężko, matowym srebrem połyskujące krople. Nawołując po swojemu, ciężkim lotem przefrunęła nad nimi kania. Od sitowia dobiegało kokoszenie się małych, rdzawych trzciniaków, dzikie gołębie przetaczały gałkami na skraju lasu.

— Pewnie, można by wiele mówić, ja wiem... Ale też przeżywaliście coś wielkiego. Wojna, okupacja, a potem tutaj pionierski czas. Zło i dobro. Nigdy nudy, zastoju. To musiało być pełne życie, nie to, co dzisiaj — powiedział z nutką żalu młody człowiek.

Jeziński uśmiechnął się, kiwając w lekceważeniu głową. Nie odpowiedział, od razu. Zapatrzył się na wschodnią stronę mlecznej zawiesiny. Tarmosił nią zrywający się wiatr, na przebłysk sekundy pogłębiając widzialność. W oddali rysowała się wtedy warstwa trzciny, gdzie zeszcłe ubiegłoroczne łodygi zasłaniała już powoli seledynowa warstwa nowych pędów. I znów mgła zwierzała się, zamykając się ciasnym kręgiem wokoło łodzi. I tylko od strony wscho-

408

dniej mgła ta zaczynała nabierać jakiegoś bardziej intensywnego połysku. Jakby mleko pociągnął kto lśniącem bezbarwnym lakierem. Półblask narastał, intensywniał z chwili na chwilę, dobierał sobie srebra, bieli i rozwodnionej ultramaryny, aż z nagłą, w jednym przebłysku, nasycił się całym różem i złotem, przetkał je czerwienią i żółcią, ożywił lśnieniem i nieustannym migotem. Wschodziło słońce.

Jeziński wolno odwrócił głowę od tego widoku, próbował przebić spojrzeniem warstwę mgły przed nimi, nasłuchiwał natężenia poszumu wiatru i gruchania gołębi.

— Zwolnij, zaraz dobijemy do cypla...

Poprawił się na swojej ławeczce, sięgnął dłonią po wędkę. Rozkręcając powoli żyłkę, zagadał:

— Nie pierwszy mi takie coś mówisz. Może was i rozumiem. Sni się wam bohaterstwo, walka, działanie. Uczą was legendy tamtego czasu, może tak trzeba. Ale przez to nie widzicie tej drugiej strony. Że walka to nie były same zwycięstwa. Że partyzancki los to nie tylko skuteczne zasadzki, biwak w lesie i żwawa piosenka. To brud, i smród, wszy, wilgoć, głód często, w walce zdarzała się i beznadziejna, przegrana, klęska. Śmierć też tylko w piosence jest ładna. Często przyspieszał ją kulą czy butem hitlerowiec, kiedy indziej zagubionego w krzakach rozkładała gangrena, zabijał własny smród gnijącego ciała... To tylko ten wycinek. A więzienia, obozy, komory gazowe i jeszcze bardziej od nich męczące katowanie w gestapo, gdy łamano ci żebra, odbijano wszystko, co masz w środku, gdyś pozbawiony zębów, nawet charcząc już nie mógł zapachnąć, zsiniaconą, skrwawioną gębą... Bohaterstwo było okrasą, szansą nielicznych. Dla reszty było tamto, ponure i najgorsze ze złych. Nie macie czego zazdrościć, nie macie...

— Ja wiem. Słyszałem, czytałem, uczyli nas, jak bywało... A jednak... Tu choćby, u nas? Zwyczajnie, normalnie, aż za codziennie. Wyście zaczynali z niczego, prawda? Parę dziesiątków was było w całym mieście, wokoło Niemcy, rąbali do was i wy do nich. Ani światła, ani wodociągów czy gazu. Pociągi nie chodziły. Zburzone domy, ulice w kształcie pagórów, oglądałem takie zdjęcia, po ogrodach miny i pociski.

409

Życie z dnia na dzień, nic nie wiadomo, czy będzie co zjeść, byle ten jeden raz, i miłość tak samo, i wszystko. Wyście stwarzali nowe życie. A my?

— Głupis — Jeziński z pasją trzepnął niedopałkiem o wodę. Dopiero teraz spostrzegł się, iż mgła zdmuchiwana przez wiatr mocno się przerzedziła, zaczęło się robić cieplej, wokoło mieniła się w

słońcu woda, kładąc się kolistymi zawijasami łagodnej zmarszczki. Zwyraźniały kontury linii brzegowej. — Jedź jeszcze na prawo, aż pod skraj tej zatoki... No tak, głupiś, Krzysiek. Może nie przez to, że nam tego czy owego zazdrościsz, choć nie wiem sam, czy jest czego. Ale coś musiało być w tamtym czasie, że i my starsi, wspominamy go często, nawracamy do tego czy innego zdarzenia. Teraz, gdy nam dali te odznaczenia, zdarzyła się okazja do niejednej wypitki. Dopiero się gadało...

— I o tym pierwszym pociągu, co to pan przywiózł nim repatriantów? Niemcy do was strzelali, szyny miejscami tkwiły na nasypie tylko na słowo honoru...

— Żebyś wiedział, tak właśnie było.. Ale znowu ci mówię: głupiś. Nie kręć łbem, nie chodzi o tamten nasz czas, jaki on by i nie był. Głupiś, bo swojego czasu nie umiesz ocenić. Pleciesz: nuda, zwyczajność, normalność, codzienność. A pewnie, czego byś jeszcze chciał? Znow takiego chaosu jak wtedy, we wszystkim, na każdym kroku? Myśmy do tej normalności tęsknili, o nią się bili, dla niej, jasna cholera, marzli, i dawali się zżerać przez wszy. Ty wszy w ogóle nie widziałeś pewnie na oczy, nie wiesz, co to za zwierz... Czasem myślę, ślepi jesteście, wy młodzi, czy jak? Do czego was rwie? Czemu nie rozumiecie, że ten wasz czas też bynajmniej nie taki spokojny ani znow tak bardzo codzienny.

Zamyślił się, łódź otarła się o trzciny, fala leciuteńko biła o burtę. Rozkręcili wędki, szykowali przynętę. Ruchy Jezierskiego były czemuś jednak zwolnione, czoło marszczył, musiało go coś dręczyć, może słów szukał dla swoich myśli-

— Pewnie, może być różna normalność czy tam codzienność. Pamiętam, po paru pierwszych latach — ledwieśmy zdążyli jako tako uprzętnąć gruzy, oczyścić ulice, wstawić szyby do pustych okien, ruszyć z miejsca z jednym czy dru-

410

gim zakładem, by ziściły się nasze marzenia w stosunku do każdej wioski, każdego miasta, aby stały się nowe, inne, piękniejsze — przyszła codzienność, jak ty chcesz, z różnymi trudnościami. Już nie w tym rzecz, że działy się sprawy złe, krzywda ludzka, że dni ani noce nie były spokojne. Jeszcze w czymś gorszym wyrażał się tutaj u nas, na naszym Zachodzie, tamten czas. W tym, żeśmy stanęli w miejscu. Gruzów nie było, prawda, gdzieś bokami tylko straszły, ale zbyt wolno rosły nowe domy i nowe zakłady. Dlatego ludzie, którzy tutaj osiedlili się, zaczęli uciekać, zmniejszał się zapał. Ta normalność czy ta codzienność była wtedy dla nas, pionierów, straszna. Na naszej stacji trawa zaczęła porastać między bocznicowymi torami, i tylko Królak co raz malował budynek stacyjny, dobierając za każdym razem ja-skrawsze kolory. Byłeś wtedy młodzikiem, uczyłeś się, zaczynały ci babskie fatałaszki w głowie mącić, toś może niejednego nie widział. Ale myśmy widzieli, i było tak ciężko, tak smutno, tak bardzo żal. Jakby cały nasz tamten, z poprzedniego okresu, wysiłek schodził na marne. Nic się nie działo, nic... A spójrz teraz. Narzekasz, boś ślepy, nie umiesz patrzeć. Marzy ci się wojaczka, partyzantka, bohaterstwo. Lepiej niech się nie marzy. Lepiej ty i tacy jak ty oglądajcie się wokoło. Domy rosną, całe dzielnice, fabryki, nowe hale, ludzie lepiej się ubierają, lepiej żyją, o czymś myślą, coś się dźwiga, coś rośnie... Że nie wszystko jeszcze jest tak jak trzeba? Na pewno, ale po to ty jesteś, wy wszyscy, żebyście zmienili raz jeszcze nasz krajobraz. Wyrzucając do reszty to co słabe, chore, niedobre. Nie oglądajcie się ciągle na nas, w wydziwianiach i narzekaniach nie zmarnujcie waszego dnia. Wcale nie taki on nudnie normalny. Głupi, jeżeli tak tylko potrafisz widzieć...

— Panie Jezierski, pan mnie do końca nie zrozumiał. Ja Przecież, nie tylko ja, moi koledzy tak samo, chcemy właśnie, żeby...

Zawiadowca uśmiechnął się, w głosie jego zadrgała cie-Pła nuta.

— Nie tłumacz się, Krzysiek, nie wykręcaj się, nie jesteś w szkole na egzaminie. Pomyśl spokojnie nad tym, co po-

411

wiedziałem. A tymczasem zarzucaj wędkę. Dobra pora na Dłóć, nigdy potem przez cały rok nie żeruje tak jak teraz na Wiosnę. A płoci jest w tej wodzie, trafiają się sztuki nad podziw...

Sam wędkę pierwszy spuścił nad wodę. Brzęknął cichuteńko szaławik, ciężarek pociągnął pod grunt przynętę. Jezierski z zadowoleniem ślepił oczyma za tymi czynnościami, raptem go jednak coś tknęło. Podniósł głowę, patrzył na przeciwległy brzeg jeziora, długo czegoś tam wyszukiwał wśród gęstwy drzew.

— Krzysiek, ty ile masz lat?

— Dwadzieścia cztery, na piąty mi idzie...

— Tamten też chyba gdzieś będzie w tym wieku... — mruknął, dopiero dorzucił głośniejsze: — Gadaliśmy o wojnie,

o okupacji. Dla was to legenda, szukacie w niej piękna, to co złe czy okropne przyjmujecie obojętniej, inaczej, może

1 słusznie, to przecież dla was opowieść z drugiej już ręki. Prawdy o tamtym czasie nie znacie, nie wiecie, straszne zaś, gdy zdarzy się któremuś ją poznać... O Bejnarowiczu słyszałeś?

— Rybaku, co okazał się hitlerowskim mordercą? Tym znad jeziora?

— Tym samym... Na pierwszej mojej rybce na tym jeziorze spotkałem się z nim na wodzie. Kto by pomyślał... Widzisz, chciałem o czymś innym, nie o nim, a o jego dzieciach. Wojna skończyła się, skończyła się okupacja. Prawda. Ale w ludziach tak czy inaczej one jeszcze żyją. W tych, co doświadczali ich na własnej skórze. Żyją pamięcią, wspominkami, snami, marami, co męczą... Może tak musi być. Ale chyba nie powinno być tak, aby mściły się tamte czasy także na tych, co sami ich nie zaznali, nie obejmują własną pamięcią. Jak te dzieci Bejnarowicza. Syna znałem dobrze... W twoich latach. Na niego nagle, dziś, w czasie pokoju spadła okrutnie ta wojna i okupacja. Dziewczyna już nie miała siły, odeszła, skończyła z sobą. On żyje, trwa, przypuszczam tylko, jak strasznie, jak okropnie cierpi... Niektórzy z was marzą czasem o tamtych dniach, miesiącach i latach. Dlatego, że ich nie znają. I zdarzy się, że to marzenie przyplynie

412

do nich jakże odmienionym obrazem. Jak do tego młodego Bejnarowicza.

Umilkł, wpatrywał się w pławik, który drgać zaczął, półszepcetem już dokończył:

— Zdarzać się będą takie sprawy tak długo, aż nie wymrzemy my wszyscy, bezpośredni świadkowie tamtego czasu. Dopiero wtedy nastanie zupełny spokój. A wy? Wy chyba znajdziecie swoją codzienność, czy jak ty chcesz, normalność, taką, w której też będziecie mogli się spalać jak my, gdzie będzie miejsce i na bohaterstwo, tyle że inaczej widziane, w innych wymiarach, gdzie będzie i zachwycenie, i także jakieś pionierstwo... Tymczasem zaś starajmy się wzajemnie rozumieć, umieć żyć razem z sobą.

Podciął zgrabnie, zaraz potem poderwał. Spora płoć zatrzepotała na haczyku. Jezierski wyłuskał ją zręcznie, wrzucił do koszyczka zawieszzonego u burty. Ryba zapluskała, potem zastygła w pełnym zdumienia bezruchu. Na wodę znów osunął się pławik.

Ciepło było, zniknęły bez śladu ranne opary i mgły. Łagodny wiaterek wzruszał delikatnie powierzchnię wody. Oczy starego kolejarza prześliznęły się z uśmiechem po swym zastępcy, a potem obwiodły wokoło wody i lasy, trzciny i poszczególne zatoki tak, jak obejmuje się spojrzeniem coś bardzo, bardzo drogiego.

ROZDZIAŁ IX

1.

Zarżał po swoim, aż zatrzęsło się wszystko w pokoju, nagle jednak śmiech ten się urwał, jakby coś podcięło mu gardło. Zamachał długimi dłońmi.

Przyglądała mu się życzliwie. Nie wiedzieć czemu, przywodził jej przed myśl Julka Zielniaka. Podobnie impulsywny, trochę szczeniacko beztrojski. Jakby zaskoczony tym, co każą mu robić, co robi, co będzie robił. Julek podobnie do ostatka nie mógł się przyzwyczaić do swojej funkcji starosty, ciągle się temu dziwił. Nawet zewnątrz jest w nich coś wspólnego. W żywości ruchów, we włosach osuwających się na czoło, odtrącanych niecierpliwym wstrząsaniem głowy, w nieświadomości, co począc ze zbyt żywymi rękami.

— No więc jak, Zygmunt, na coś się zdecydował?

Bezradna mina. Znów trzepot ramion.

— Trochę to przychodzi za wcześnie. Za dwa tygodnie kończę dopiero trzydziestkę... Żeby tak wstrzymali się z tym jeszcze z rok, dwa, otrząskalbym się bardziej z robotą, nauczył czegoś. A tak, co będzie, jeśli poszkapię? W porównaniu z tamtymi warunkami to u nas sielanka... — Rozzłościł się. — To wszystko przez Przybyłę. Żeby .mnie kiedyś słuchał, nie byłoby hecy z zapaleniem przewodów po awarii turbiny, nie zjeżdżałyby różne komisje, tym samym nie nabrano by tam na górze jakiegoś bzdurnego o mnie wyobrażenia...

— Uprzejmy jesteś dla swoich szefów. Wysforowują cię na potężne stanowisko, okazują zaufanie, a ty im od bzdur.

Spojrzał na nią wyczekująco, w niebieskich oczach prośba o pomoc.

414

— A ty, ty jak widziałabyś to wszystko? Zgadzać się, przyjmować? Wiesz, że mi chodzi o Zośkę...

Jakże by nie wiedziała. O tym myślała przez cały czas. Nie spodziewała się uderzenia od tej strony. Uderzenia? Czy w ogóle można to w ten sposób określić? Każdy miewa w życiu jedną szansę. Zdarza się, że dla jakichś przyczyn ominie ją, zlekceważy, a potem już nie ma odwrotu. Zygmunt Krajewski, śmieszne, i ona, i Zośka są z nim na ty... Sama wprowadziła taki zwyczaj. Paradne byłoby, żeby zaczął jej nagle matkować. Z przyszłym zięciem też można pozostawać w koleżeńskiej zażyłości. Kto wie, może to właśnie najlepsza forma?

Bez myśli o tym, sama okazała się swatką. Poznała Zygmunta znacznie wcześniej niż Zośka, u Feryckiego czy Li-siewicza. Zwrócił jej uwagę swym zwariowanym śmiechem, który budził w nocy pół miasta. Chłopięcy, bezpośredni, tak bardzo realny w działaniu. Ani się obejrzeli, jak psim śwędem kończył już elektryfikację całego powiatu. Na ładnych parę lat przed oficjalnym planem. Bez zaplecza inwestycyjnego, bez materiału, bez funduszy na płace. Podobno przy tym żadna kontrola nie znalazłaby punktów do zaczepienia. Doskonale radził sobie z załogą, zwłaszcza terenowe brygady instalacyjne poszłyby za nim w ogień. Z połową chłopaków był tam na ty, dzień i nocę tłukł się z nimi po biwakach, wysuszał fachowo butelki, opowiadał mocne dowcipy, sam się najgłośniej z nich śmiejąc. I robił. Przyłączał światło wioska po wiosce, oddalone osady i gajówki, tam nawet, gdzie i w perspektywach nie bardzo wierzono w prąd z głównych linii... Tak go wkoło chwalono, że ze zwykłą sobie bezpośredniością przysiadła się zaraz po poznaniu do młodego inżyniera. Zgadali się od pierwszego zdania. Musiało być coś wspólnego pomiędzy nimi, może to pragnienie działania, pulsowanie nagromadzonej energii szukającej dla siebie ujścia.

Zaprosiła go do domu na pogawędkę. Dowolnego wieczora, zawsze się schodzi co nieco przyjaciół, starszych i młodszych, niechże wpadnie i on. Długo nie czekała, następnego dnia Przyparadował z bukietem. Akurat Zośka była w domu tego

415

wieczora. Z miejsca przyłgnęli do siebie. Już wtedy można było przewidywać, co się z tego rozwine. Ano, wyswatała, trzeba gryźć teraz niełatwy orzeszek...

— Więc co, Halina? Zamilkłaś, aż mi dreszcze przechodzą po krzyżach na myśl o tym, co knujesz... Jako sędzia gotowaś znaleźć niedorzeczny jakiś paragraf, ja wiem, może o niepełnoletności czy jeszcze inny, kłapa wtedy, furtki zamknięte.

— Widzę, że ci zaczyna być śpieszno?

— Chyba to proste. Bez Zośki nigdzie nie pojedę. Nie ma mowy. Chcą, bym objął robotę od września. W sam raz się zgadza. Zdążymy przez lato ze ślubem i...

Zaśmiała się, nie mogła się nie zaśmiać. Boże, jakież on bezpośredni i szybki. Dobrze, że nie wyskoczył od razu z chrczinami, na to jednakże nie wyglądało.

Jakże radośnie przyjął ten śmiech. Zawtórował bez zwłoki, a potem podskoczył ku niej i zaczął obcałowywać jej rękę.

— Zostaw, wariacie, cokolwiek dla Zośki. Jeszcze zaczniesz własnej matce zazdrościć.

— Takiej matce? Głupia byłaby. Ja się właściwie rozkochałem w was obu. Trochę na inny sposób, ale równie ciężko i beznadziejnie. Nigdy nie miałem kłopotu z podejmowaniem, jakichkolwiek decyzji.

A ot, teraz płacę się jak ryba w matni, sam nie wiem, czego chcę, co dobre, a co niesłuszne. Więc jak z tym Koninem, Halina? Zośka zaraz przyjdzie i dobrze byłoby postawić dziewczynisko przed zapadłą decyzją.

— Ładnyś! A ona to nic, jej zdanie?

— Gdzie ty Kajus, tam ja Kaja... Tak zdaje się, bo to w humanistyce nigdy nie byłem za mocny.

Boże drogi, myślała, czemu to nawraca tak wspomnieniami. Gdzie ty Kajus, tam ja Kaja... A ona, czyż nie poszłaby za Julkiem wszędzie, w każdy kąt świata? Czy Zośka przejęła to po niej? Zakochana jest bez pamięci w tym zwariowanym chłopcu. A mimo to jakieś miejsce na rozwagę zostaje. Parę dni temu gwarzyły wieczorem o Zygmuncie i o przyszłości młodych. Z decyzją nie mu-

416

siały się długo zastanawiać. Pewnie że tak. Zygmunt powinien jechać, to jego życiowa szansa, dyrektor potężnych zakładów energetycznych, drugiej siłowni w konińskim zagłębiu. Trudna, odpowiedzialna, ale jakże ambitna praca. Mógłby spalać się w niej, gdy tu, w tym mieście pewnego dnia okaże mu się za ciasno. Skończy te swoje elektryfikacyjne roboty, pomoże Przybyłe w rozbudowie zakładów, a potem wlec się zacznie wszystko monotennie i zawsze tak samo, istnieć będzie pewna granica, poza którą nie można się już będzie przesunąć. Ale tam? W zagłębiu konińskim? Praca na lata, ambitna i dalekosiężna, wciąż nowa. Właśnie taka dla niego, z ryzykiem, z pasją, z ambicjami pokonania tysięcznych przeszkód. Jakże się wahać, jak zastanawiać. Tak, najbardziej tak... To jedna strona medalu. Jest i druga, jej, Haliny, łączącego ją z córką uczucia, a obok miłości nutki koleżeńskiej przyjaźni. Zośka nie ma żadnych tajemnic, jest szczerą, w matce znajdując też przyjaciółkę. Zakochana, zarażona jego wi-talnością. Zarazem świadoma goryczy rozstania z matką. Cóż by się ludzić, jakaś nić urwie się, będzie musiała się urwać, wzajemne wizyty nie zasypią wyrw, jakie narastać poczną poprzez odległość i czas. Normalna kolej losu, ale coś zostaje z gorzkiego osadu.

— Zośka zamyślała o studiach. Wtedy też musiałaby wyjechać — zagadnął znienacka, jakby czytając w jej myślach.

— Myślałyśmy... Nie zdaje mi się, by słuszne było poprzestawanie na maturze. Cokolwiek się nie robi, trzeba dziś dużo umieć. Inaczej nie pojmie się rozwirowanego wokoło świata... Tak, są takie zamiary. Po roku, po dwóch... To także teraz się skomplikuje.

— Można by zaocznie, z Konina do Poznania na konsultacje.

— Nie jestem pewna, czy z tym sobie poradzi. Sam wiesz, dom, na pewno niedługo dzieci, ty też jesteś trochę Jak wielkie dziecko...

Chciał się roześmiać, ale zwilgotniałe spojrzenie jej oczu

71 Przejśnia się niebo t. IX

417

pohamowało z miejsca jego wesołość. Podniósł się, znów ucałował jej ręce. Nadstawiła policzek:

— Możesz i tak, po synowsku — uśmiechnęła się.

Ale i w tym uśmiechu był smutek, trudno było go nie zauważyć.

— Ciężkie będzie dla ciebie rozstanie. O tym myślisz?

— O tym, Zygmunt. Nie opieram się, to byłby nonsens, ale nie przychodzi mi łatwo zgoda na tę odmianę.

— Mogłabyś z nami pojechać. Tam również, może bardziej niż tutaj potrzeba sędziów i społeczników. Nowy teren, nowi ludzie, głucha okolica staje się wielkim przemysłowym ośrodkiem, tyle spraw, problemów, rodzące się nie znane gdzie indziej konflikty, ludzie rzucający w inne tempo, inne zupełnie życie. Mogłabyś tam wiele zdziałać, byłabyś z nami razem — zapalił się. — Że też mi to jakoś od razu do głowy nie przyszło. Jest rozwiązanie. Czyż sama nie widzisz takiego wyjścia?

Potrząsnęła przecząco głową. Za oknami ledwie że dostrzegalnie zaczęło zmierzchać, pierwsze pasemka nadciągającego mroku kłóciły się z intensywną ostrością ostatnich poblasków dopiero co zgasłego słońca. Delikatnie szlachetną patyną stały się te cienie i blaski na przyprószonych siwizną włosach kobiety. Zacierała się na jej twarzy mozaika piegów, głębszy cień pomniejszała filuterne nieco zadarcie nosa. Była to jeszcze młoda twarz, tylko oczy zdradzały dojrzałość życiową.

— Ty nie pochodzisz z samej Warszawy?

— Nie, tyle że w niej się wychowałem u wuja, uczyłem się... Pochodzę ze Lwowa... Ojciec zginął we wrześniu pod Modlinem. Matka zagubiła się w kazachstańskich stepach. Ja ocalałem, przypadek, tego dnia byłem właśnie u wuja. Zabrał mnie do Warszawy, tam szczeniak, przeżyłem powstanie, a potem z dnia na dzień obserwowałem odradzanie się powojenne miasta. Dziś właściwie i w Warszawie już nie miałbym zakotwiczenia. Wuj umarł przed trzema laty...

— Jesteś więc w trakcie szukania własnego miejsca... — stwierdziła. — Pytałam, żebyś mógł ci z kolei coś powiedzieć

418

o sobie. Ja sama pochodzę z Łodzi. Ale moje miasto jest tutaj. Związałam się z nim nie tylko przez to moje pionierstwo, ale i przez uczucie. Chcesz, żebym jechała z wami. Mogłoby być i tak. Tylko, widzisz, Zygmusiu, ja o tym mieście marzyłam w snach i na ja\»ie. Przez całe lata niełatwej nauki. Cóż, prosta dziewczyna, wiele musiałam nadrobić, każdy dzień odkrywał mi nowe braki. Studiowałam, odbywałam praktykę, a myślami ciągle tu tkwiłam. Chciałam wrócić, inna, z zasobem wiedzy, pragnęłam w pełniejszy niż kiedyś sposób służyć teraz miastu i jego ludziom... Am-bieje moje tu się zrodziły. Tu mam coś najdroższego. Grób Julka, ojca Zośki, jedyne mojego chłopca... Pojmij dobrze, nie grób w dosłownym pojęciu. Inaczej, może odwrotnie, raczej żywa pamięć jego osoby, wracająca tutaj z każdym załamaniem ulicy, choćby stały tam nowe domy, z każdego uderzenia fali o brzeg jeziora, ze spotkań z ludźmi, którzy tu wtedy byli, jak i z tymi, którzy napłynęli o wiele później. Moja miłość, moje marzenia, tęsknoty i ambicje związały się z tym miastem. Dlatego nie chcę wyjeżdżać, nawet za cenę tęsknoty za wami... Zdarzają się czasem wyjątki, globtroterzy, nieważne, w płaszczyźnie całej ziemi czy tylko swojego kraju, którym obce jest związanie z jakimś miejscem. Wszędzie czują się dobrze. Ale większość z nas poprzez sumę swych przeżyć i wzruszeń wiąże się z

pewnym terenem, z miastem, stają się one czymś im serdecznie bliskim. Ty jeszcze szukasz takiego miejsca. Zośka tylko poprzez moje sentymenty próbuje odnajdywać siebie w tym mieście, jej bliższy jest Poznań, tyle lat, nauka, koleżanki, koledzy, klimat pierwszych zachwyceń i rozczarowań... Będziecie razem szukali. Ja tu zostanę.

Szare tony zaczynały dominować w pokoju. Miękkie, bardzo łagodne. Za oknem dogasały ostatnie poblaski zachodu, wyblakłe przez dzień niebo zaczynało nabierać barwy głębokiego błękitu. Halina Niesłysz obróciła głowę w stronę Zygmunta:

— Parę miesięcy temu wracałam z sądu do domu. Znużona byłam i zniechęcona po jakiejś rozprawie, ciągle nie umiem, nigdy bym zresztą nie chciała mieć obojętnego sto-

419

sunku do spraw, jakie prowadzę... Znasz północną część miasta, jedyną gdzie odnaleźć można jeszcze jakieś ślady minionej wojny, fragmenty ruin, nie uporządkowane gruzowiska... Poszłam tamtędy, trzeba mi było spaceru, odetchnięcia świeżym powietrzem. Ledwie trawa zaczynała zielenieć. - I nagle wśród przysypanych cegieł, koło sterty jakichś kamieni, śladu po czymś, co kiedyś musiało być domem, ujrzałam kilka maleńkich kwiatków. Żółte, ale nie mlecze, nieznane mi z nazwy. Coś mnie złapało za gardło. Myślałam, oto ta nasza miejscina. Pamiętam ją z tych naj-pierwszych dni. Oglądam dzisiaj, mam pełną możliwość porównań... Pewnie, nie wszystko jeszcze cieszy, jest tak wiele spraw małych, drażniących, tyle głupoty i bezduszości. Ale zarazem, pomimo tego czy obok, budzi się mocna pewność, że podobnie jak chmury jeszcze niosące chłód czy śnieg w jakimś momencie zaczynają się z wolna przecierać, tak przejaśnia się też — tu czy gdzie indziej — to polskie niebo... Błękitnieje jak dziś... Coś w tym polskim losie się przełamało. Na rumowiskach i gruzach domów, na pogorzeli ludzkiej doli zielenieje już, zakwitają te pierwsze skromniutkie kwiaty... Zaginęła wtedy we mnie jak ręką uciął niechęć, zapodziało się gdzieś znużenie. Wróciłam pełna werwy, wyciągnęłam Zośkę na spacer. Po tym moim jedynym mieście. Pojmujesz, czemu ci o tym mówię, narażam się, że mnie wykpisz za nazbyt sentymentalną nutkę?

Skinął głową.

— Chodzi ci o to miasto.

— Tak. Nie wszędzie można przeżywać podobne wzruszenia. Są miejsca, gdzie powstaje dla nich specjalny klimat. Jedne dla jednych, inne dla drugich. Ale każdy ma taki swój kącik.

Uśmiechnęła się znowu. Tym razem pod uśmiechem tym nie dostrzegł już smutku.

— Zaraz Zośka powinna się zjawić... Musisz przyjąć tę propozycję. Dasz sobie radę. Cieszę się, że spotkał cię podobny dowód uznania. Zośkę z sobą zabieraj; latem się pobierzecie, jakiś czas jeszcze będziemy razem. A potem.

420

cóż potem, wy odjedziecie, ja zostanę tu ze swoimi. Ludźmi, sprawami...

. — I wspomnieniami — szepnął.

— Jeżeli nie przygaszą widzenia ludzi i spraw, są także potrzebne. Bardzo jałowe i smutne musi być takie życie, w którym zabraknie miejsca dla wspomnień.

2.

Kędrzyk nie znosił tego lokalu, ale Fela snobizowała się bywaniem w nowej, najelegantszej w mieście kawiarni. Mogła przesiadywać tu godzinami.

Skręcali właśnie z chodnika do szerokich, połyskujących chromem drzwi, gdy minęła ich osobliwa para. Szczępły chłopiec z żałobną opaską na rękawie troskliwie prowadził pod ramię niewidomą starszą kobietę. Rozmawiali o czymś, gdy młodzian urwał nagle, jakby w pół słowa. Po długiej dopiero chwili sztywno skłonił się Feli. W oczach jego Kędrzyk wyczytał wyraźną niechęć. Dziewczyna w odpowiedzi pośpiesznie skinęła głową, patrzyła jeszcze przez moment za tą parą, a potem niezwyczajnie gwałtownie jak na siebie szarpnęła towarzysza za rękaw.

— Chodźmy już wreszcie!

Przy stoliku siedziała nadąsana, przygarbiła się, zwisała nad blatem, wydając się przez to jeszcze mniejsza, takie zupełne chucherko. Odpowiadała na jego słowa niechętnie, zdawkowo, aż wreszcie zagadnęła:

— Byłaś tak podniecona i w dobrym humorze. Co cię zgasiło? Kto był ten chłopak z żałobną opaską? A ta kobieta?

— Taki jeden, ze studium. Z matką szedł. Niedawno straciła wzrok.

— To czemuś się tak zdenerwowała?

Milczała, drobne jej paluszki zaczęły wybijać nierówny lakt na blacie stolika. Podniosła potem swe duże oczy.

— Róża, siostra Bejnarowicza, była jego narzeczoną.

421

— Ta samobójczyni? •

— Tak.

— A cóż on ma za pretensje do ciebie? Patrzył wilkiem... — urwał, szepnął po małej chwili: — Ach tak... Rozumiem.

Teraz zareagowała z miejsca i ostro. Nie spodziewał się w niej aż takiej złości. Mówiła półgłosem, szybko, z pasją i rozdrażnieniem:

— Mądrzy się ten Rysiek. Taki wierny, nawet po śmierci Róży... Nie rozmawiałam z nim, nie widujemy się, ale wiem, wiem na pewno, ma do mnie pretensje o Piotra. Że z nim zerwałam. Głupi. Co przysłoby mi z tego, że chodziłabym teraz jak męczennica, wstydząc się patrzeć ludziom w oczy. To nie zwykła sprawa, proces tego mordercy. Okropna rzecz. Świadczenie tak straszne rzeczy opowiadają, aż nie chce się wierzyć. Nie chciałeś ani razu pójść na salę sądową, a szkoda, czegoś

takiego drugi raz w życiu nie uda się słyszeć. Dziś jedna starsza już kobieta mówiła, jak Jakiś mordował małe dzieci żydowskie... Brał je za nóżki i...

— Przestań — syknął. — Nie mogę się nadziwić, że pasjonujesz się tą historią. Makabra, niezdrowa makabra. A teraz jeszcze ten Rysiek, czy jak mu tam... On nie ma prawa wydawać żadnych osądów. Zresztą, znaleźliśmy się jeszcze przed wypływem tej sprawy, spotykaliśmy się, chyba już wtedy choć trochę musiałś mnie lubić... Wasze rozejście się było nieuchronne tak czy inaczej, nie miało nic wspólnego z odkryciem tej ponurej sprawy. Sama powiedz, Fela, mam rację?

Spoglądała spod spuszczonej powiek. Nie mógł dostrzec wyrazu jej oczu. Ze znużeniem skinęła głową:

— Och, tak, tak... — i zaraz strzeliła z pasją. — Idiota ten Rysiek. Dureń!

— Nie myśl już o nim, Fela. Uśmiechnij się, ważne to tylko, co nas dotyczy.

Zdobyła się na uśmiech. Podniosła kieliszek do góry, wypijała do dna. Znowu się uśmiechnęła. Zdawało mu się, że wypogodziła się, zapomniała już o tamtym niemiłym zajściu.

— Mam teraz spokój, z dobry tydzień nie będę wyje'

422

żdzał w teren. Co dnia będziemy się spotykali. Dziś rozmawiałem z kierownikiem finansowym, bąknął o dużej premii, jaka się dla mnie szykuje. Zrobiłem się sknera, ciułam dla nas. Taka premia bardzo się przyda.

— Staszku, zamów jeszcze likier, albo może coś mocniejszego. Mam dziś ochotę na wódkę — przerwała mu obcesowo.

— To może przejdziemy do restauracji. Zjedlibyśmy kolację.

— Nie chcę jeść. Zamów, proszę cię...

Ledwie kelnerka zdążyła postawić kieliszki przed nimi, dziewczyna od razu wypijała, prosząc o nową kolejkę. Kędrzyk przyjrzał się jej bardzo zdziwiony, ale nic nie powiedział. Feli błyszczały oczy. Już nie tkwiła przygięta nad blatem stolika, wyprostowała się, w jej pozie znalazło się teraz coś najwyraźniej wyzywającego.

— Wiesz, dzisiaj zeznawał prawdziwy Bejnarowicz, brat tamtego, pod którego imię podszył się ten oprawca.

— Bejnarowicz?

— Jakiś, nie Bejnarowicz. Ty się ciągle nie wyznajesz, w czym tutaj rzecz.

Zgodził się. Nie ciekawi go to, zbyt smutna historia. Zaprzeczyła. Trzeba inaczej ją widzieć, nie to, że smutna czy jakaś. W gazetach piszą o tym procesie, że to dokument tamtego czasu, najbardziej ponurych spraw okupacyjnych...

— Przerwałeś mi. Chciałam ci opowiedzieć o tym prawdziwym Bejnarowiczu. Głos mu się łamał, gdy opowiadał. Gdzieś tam pod dawną łotewską granicą to wszystko się działo. Brasław już był wolny. I wtedy brat tego świadka wybrał się do swojej zamężnej córki. Oczekiwała dziecka. Już nie wrócił, zginął bez śladu, nie pomogły żadne poszukiwania, tylko plotki szły różne po ludziach... W końcu zaprzestali poszukiwań, jako repatrianci wyjechali do Polski i tylko na mszę dawali za tego zaginionego brata. Dopiero gdy nadeszła rocznica wyzwolenia naszego miasta, przeczytali w gazecie, że wśród innych odznaczonych znalazł się Jan Bejnarowicz. Tak, to ten zaginiony brat... Początkowo sądzili, że to przypadek, w końcu małóż to Bejnaro-

423

wiczów na świecie, potem zaczęło ich korcić, a może to właśnie brat, zawieruszył się, przyjechał do Polski, żyje nie wiedząc nic o nich. Zaczęli się wywiadywać. Rybak więc pojechali do Wałcza, gdzie jest centrala. Okazuje się, wszystko się zgadza. Data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, wszystko... Radość, odnaleźli brata. I tylko przypadkiem ów brat zaczął się podpytywać, jak ten Bejnarowicz wygląda. Tutaj coś mu się zaczęło nie zgadzać. Ten niski, krępy, zarośnięty, a brat był wysoki, szczupły. Przecież nie zmałał... W domu opowiedział żonie, a ta od razu krzyczy, że Jakiś... To był żandarm z takiej ochotniczej policji białoruskiej. Straszliwy człowiek. O Jakisie jakieś słuchy chodziły też w związku z zaginięciem brata Bejnarowicza. Zgłosili się teraz do prokuratora. Tego Bej..., nie, Jakisa, aresztowano. Zabił tamtego niewinnego człowieka, żeby zdobyć jego dokumenty, podsztył się pod niego... Żebyś ty, Staszku, słyszał, jak ten człowiek to opowiadał, jak mu się łamał głos, jak czasem spoglądając na tego zbója, nie mógł powstrzymać się od drżenia...

Patrzył na dziewczynę i nie poznawał jej. W tej chwili, gdy opowiadała mu to z takim szalonym przejęciem, ładna była bardziej może aniżeli zazwyczaj. Zarumienione policzki, połyskujące oczy, wargi rozchylone, przejęcie w całej twarzy, więcej, w całej postaci. Skąd w niej podobna pasja makabry? Czy dlatego ją ta sprawa interesuje, że wiąże się z byłym jej narzeczoną?

Oczy Feli patrzyły w przestrzeń, gdzieś poza niego, jakby odtwarzała sobie jeszcze raz obraz sali sądowej, jakby docierały do niej głosy świadków, widziała spokojną, nieruchomą sylwetkę oskarżonego.

Od tygodnia uczestniczy w procesie. Wzięła w fabi-yce bezpłatny urlop, jakimiś nieznanymi drogami wystarała się o kartę wstępu na rozprawę. Przyznała się wszakże kiedyś, że siedzi na balkonie, nie chce, by ją widział syn oskarżonego, asystujący tokowi przewodu.

Zbudził się w nim niepokój. To chyba jednak z uwagi na tego Piotra. Zerwała z nim, odcięła się, ale nie może się pozbyć z pamięci. Choć w ten sposób pragnie być nie opo-

424

dal niego, współprzeżywać z nim razem tę ponurą historię. yioie to nawet ładnie z jej strony... Tyle że dla niego, Kę-drzyka, żadna z tego pociecha. Chciałby mieć dziewczynę tylko dla siebie, łącznie z wszystkimi jej myślami i uczuciami.

Aż się zdumiał własnemu tonowi, gdy zapytał ją wręcz, jakoś brutalnie:

— Fela, nie możesz go zapomnieć?

Powoli, powoli obróciła ku niemu twarz jakby wracała z bardzo daleka. Odbiło się na niej zdziwienie.

— • Pietrka? Śmieszny jesteś! Co mnie może z nim dzisiaj łączyć? Sam pomyśl, czy można mieć coś wspólnego z kimś, kto ma takiego ojca? Dziwię się, że w ogóle możesz mnie o to pytać. — I zaraz znów wróciła do najbardziej ją teraz pasjonującej sprawy. Jesteś daleko, nic nie wiesz, gazety to mało, gdybyś sam usłyszał, od razu byś mnie zrozumiał... Ten człowiek zabijał ludzi masowo. Likwidował na ochotnika getta żydowskie, starców, dzieci, kobiety i mężczyzn. Świadkowie zwą go wcielonym diabłem, nie bał się nikogo, szykowano na niego różne zasadzki, zawsze wychodził z nich cało. Pod koniec wojny złapali go partyzanci, powiesili na drzewie, wtedy także miał szczęście, właśnie trafił w to miejsce jakiś cofający się oddział Wehrmachtu, odcięli go, odratowali... Staszku, gdybyś sam tego posłuchał, zrozumiałbyś. Matka od razu doradzała mi zerwanie, gdy tylko stało się głośno o sprawie, ja jeszcze wahałam się parę dni, dopiero wysłałam list. Takie skłonności mogą być przecież dziedziczne... — z oczu jej wycierał zwyczajny strach.

To dopiero przywróciło mu równowagę, poczuł napływ współczucia, łagodnie ujął jej rękę i ucałował. W duchu zaś czynił sobie wyrzuty, że dręczy dziewczynę, która i bez tego tak bardzo przeżywa swoje rozczarowanie. Ostatecznie, tamto minęło, za jakiś czas rozwieją się wspomnienia, Pozostają już tylko dla siebie, we dwoje, pobiorą się. Nareszcie trafił na człowieka, z którym będzie mu dobrze, nie pogoni więcej za żadną łatwizną, nie będzie brudził się żadną Sykałową albo jej podobnymi... Ma swoją Felę, wła-

425

sną, oddaną dziewczynę. Że zaś przeżywa ona tę sprawę, że ma własne swe pasje, uwielbia procesy, upaja się atmosferą sądowego przewodu, nie ma w tym nic złego, każdy ma jakąś tam moralność... U Feli nie wyłoniło się to zresztą dopiero ze sprawą Jakisa, opowiadała wszakże o innym procesie, związanym z rabunkowym napadem i strzelaniną...

— Wypijesz jeszcze? Miałaś ochotę — rozczulony zgodziłby się teraz dla niej na wszystko.

— Nie. Minęło mi już.

I jakby dopowiadając swym myślom, rzuciła ni stąd, ni zowąd:

— Ja przecież musiałam tak zrobić. Nie mogłam postąpić inaczej. Gdybyś posłuchał, Staszek, gdybyś posłuchał...

Przygasła, przechyliła się nad stolikiem, palce jej delikatnie przegładzały jego dłoń. Szepnęła:

— Mój Staszku jedyny.

I jeszcze:

— Mój, mój, tylko mój.

Świat cały rozpromieniał dla niego w tej chwili. Cóż go mógł obchodzić czyjś proces, czyjś dramat, czyjaś tragedia. Fela szeptała te słowa tak słodko, tylko dla niego. Jakaż to radość, jakie szczęście mieć taką dziewczynę.

Sądził, wie już wszystko, obraz jest jasny, przeraźliwie jasny, bezsporny, może poza tym jednym, dlaczego, po co mordował?

Męczące, długie, nie kończące się dni przewodu. I z każdym dniem, z każdą właściwie godziną, z twarzami nowych świadków i pytaniami przewodniczącego oraz prokuratora, obrońców, ciągle się okazuje, że jego wiedza jest szczątkowa, zawsze za mała. Dopiero poprzez obraz straszliwych szczegółów pęcznieje prawda, nad którą nie ma już okrutniejszej. Inaczej brzmi, gdy się mówi czy nawet myśli, że ojciec mordował setki ludzi, na zimno, z premedytacją, a zupełnie to odmiennie wygląda w zeznaniach świadków, kobiet i mężczyzn, mówiących zduszonym głosem, który n,e

426

chce wydobywać się z gardła, albo przetykających bolesnymi łzami swe słowa.

Miał prawo nie znajdować się na tej sali. Nikt go nie zmuszał, nikt nie kazał. Ale był. Od pierwszego dnia. I będzie aż po ostatni akt dramatu. Tak postanowił. Niczego nie uronić, nie zaoszczędzić sobie żadnego z doświadczeń, żadnej goryczy, bólu i żalu. Wziąć wszystko na barki, za siebie i za tamtego. Za matkę i za Różę, których już nie ma.

Wypić to wszystko do dna, aż po ostatnią kroplę. Jeżeli tylko sił starczy, jeżeli serce i umysł zniosą...

I patrzeć, patrzeć na niego, na ojca, na Jakisa, bo tak oni naprawdę się zwa. Widzieć niskie czoło, nad nim włosy krótko obcięte, zmierzwione. Krępa, silna sylwetka. Dłonie mocne o grubych, zaczerwienionych palcach. Dziwny bezruch w całej postaci, jakby przyrosłej do ławy oskarżonych. Powieki leniwie do pół zsunięte na oczy. Powolne drgania tego ciała, jakby przeciąganie się kota, gdy go przypieką rozkoszne mocne promienie słońca.

: Słońce, jakie to dziwne, nie ma go tu, choć wpada blaskami- przez okno, rozświetla ponurą salę, pełną zacieków i unoszącego się kurzu. Jest słońce i nie ma go. W zamian pełno oparów krwi, zmaltretowanych ciał, jęków i płaczu. Ciemno, straszliwie ciemno jest na tej sali.

Płyną słowa, setki, dziesiątki tysięcy słów, wymawianych różnymi ustami. Co słowo to zbrodnia, to krew, to uchodzące życie. Dlaczego, po co mu to było potrzebne?

Wszystkie szczegóły uzupełniają się, poza tym jednym nie wyjaśnionym pytaniem, szarada nie ma już żadnych tajemnic. Obraz odradza się pulsujący, przejrzysty. Odżył, jest obecny tamten wojenny, okupacyjny czas...

Bratysławszczyzna, szerokie pasmo od Turmontów i Widz, przez Dryświaty aż po Przedbrodzie i Dzisnę. Nawet dziecięca pamięć wydobywa z zakamarków obraz wielkich bezkresów puszczańskich, przetkanych rozlewiskami wodnymi, zagubionych po borach przepustnych oczek, i kręcących się w niezliczonych meandrach leniwych, torfiastych rzek. Ciąg-n<lce się w nieskończoność pasmo szuwarów i trzciny, Bfielkie połaci turzycowisk, mszary i bagniska, kolebiące

427

się niebezpiecznie zawieszonymi mchu nad czarną topielą. Pośród tego wszystkiego żywot ludzki, równie nieodgadniony jak to otoczę, żywot pełen zrezygnowanego spokoju —. melancholia i normalna, wrodzona niejako bieda. Małe osady, mizerne wioszczyzny, pośród nich jedna, tuż przy

łotewskiej dawnej granicy, chaty strzępione słomianymi dachami, nie nad każdą komin wyrasta, okienka maleńkie jak i mały, zamknięty jest świat, który z nich widać. Nie-odmienność bytowania chyba od wieków, w tym lesie, z toporem w dłoni, pośród kłębow czarnego dymu, sączącego się z przysypanych ziemią stosów rozliczanych później beczkami smoły, zmordowane sylwetki na płaskich łodziach czy zgoła na dusz hubkach, walące bołtami w przejrzystą toń, zimną, zaś kruszyny ciemne na połyskliwej tafli, z jednostajnym pokrzykiwaniem ciągnące niewód. Te same troski i zmartwienia, miłości i nienawiści. Przed wojną, a i w czas wojny, bo wszakże niewiele się zmieniło, tak samo wolno wlecze się czas, częściej może tylko odzywa się warkot maszyn ciągnących ponad chmurami. I w urzędach trudniej niż kiedyś, nawet się ludzkim językiem dogadać nie można. A przecież powoli zaczyna ta wojna się zbliżać. Gdzieś detonacja, żandarmi, znienawidzona białoruska policja najbardziej z nich niebezpieczna, bo wyrosła z tych samych domów, mająca na wylot wszystkie przesmyki i przejścia wśród chaszcz, mająca pośród ludzi przyjaciół i wrogów.

W tej wioszczynie nad dawną granicą chata Jakisa, ani różnego od innych, ani głępszego czy mądrzejszego. Tak samo z siekierą chadzał do lasu, tak samo mordował się przy skrzydłach niewodu, miał żonę, dzieciaka, podpisując się język z wysiłku wywalał na gębę, długo dukał drukowane słowo, ani Polak, ani też Białorusin, po prostu tutejszy, związany z ojcowizną wszystkimi strunami. Co go pogało w szeregi białoruskiej policji, któż mógł wiedzieć, a tym bardziej, co sprawiło, że pośród wściekłych psów stał się tym najbardziej strasznym i znienawidzonym.

W oberwanych portkach chadzał, to prawda, ale przecież chyba nie pociągał go mundur. Na przydługich przednówkach tak jak inni mieszał korę brzożową z resztkami ziar-

428

na, ale chyba nie żarcie koszarowe go pokusiło. Myśleli ludzie: najpewniej władza. Taka władza, gdzie ma się najwyższą szarżę, rządzi się bowiem życiem i śmiercią. Dla widzimisię, czyż trzeba powodów, by kogoś wyprawić na tamten świat? I Jakis wyprawił, z tych wydumanych hitlerowskich powodów, jak to choćby, że jeden był obrzezany drugi zaś nie, ale równie ochoczo i bez powodów. Krwawym psem go zwali w całej okolicy, bo i krwawy był ponad wszelką miarę, no i psy czemuś ukochał. Przedtem z jednym chodził, potem woził się bryczką aż z trzema. Mądre były, uczone, każdego dogonić umiały, przewrócić, zagryźć fachowo, mądrze, z miejsca albo na raty, jeżeli tak pan przykazał. Kochały śmierć tak jak i on, czy tę zadawaną własnymi kłami, czy tę, którą przynosił ich pan: karabinową kulą, zgoła widłami, twardymi buciarami naciskającymi na czyjeś gardło, roztrzaskiwaniem dziecięcych główek o węgiel domu.

Obficie spływała przelewana przez Jakisa krew. Rzekami płynęły łay, chmurami gradowymi zgęszczały się rzucane na jego głowę przekleństwa. Śmiał się tą swoją niezgrabną gębą, z maleńkim czołem i wyrastającymi tuż nad nim krótko strzyżonymi włosami. Śmiał się całą swoją krępą postacią, nawet grubymi dłońmi, o krótkich paluchach. A buty krwią uwalane wycierał starannie przygarścią wyrwanej trawy. Bies nie człowiek, albo z czartem co najmniej w przyjaźni. Jakich na niego nie próbowano sposobów. Kule zniemacka goniły za jego sylwetką, nóż trafiał w ciało śpiącego w nocy, granat wybuchł pod wózkiem, którym jechał, zawsze wychodził cało, wylizywał się z miejsca, a potem mścił się, od nowa mordował. Nic go i nikt nie mógł przyhamować w tym ponurym działaniu.

A do Żydów go Niemcy popychali. Gdy trzeba było getta likwidować w Brasławiu, w Turmontach, a później, na koniec ostatnie, Dryświackie, gdzie przy jakichś robotach wegetowały jeszcze niedobitki

żydowskie. Do tego dnia, gdy Jakiś ze swoimi pojechał tam kończyć robotę. Pamiętali we wsi ludzie ten dzień. Pod wieczór żadnego już Żyda

429

w Dryświatach nie stało, za jednym, co się zdobył na odwagę ucieczki, ganiał jeszcze Jakiś po okolicznych polach, aż postawił wreszcie na swoim, i tego także trafiła litościwa kula. A potem bryczuszką, czy go nawet żandarmi w nagrodę podwieźli, zjawił się w swojej wiosce. Bo w ogóle rzadko w niej bywał, prawdę rzec, rzadko też w niej mordował, parę mu tylko razy, samo głupstwo, to się zdarzyło. Z kompanem był, z psami. Rdza ciemna na sfałdowanych cholewach butów, ubranie we krwi, ta sama krew w oczach. Żona tylko zapłakała, zakrzyczała na jego widok, ręce zaczęła łać. Psy na nią wtedy wypuścił, zwały, gryzły ale tak, by nie zagryźć na śmierć. Całą szyję jej postrzępiły, straszne tam potem blizny zostały. Pili, wreszcie zwalili się do snu, by wstać rychło rano, robota czekała, rzeźnicka, hycła robota. Tamten trzyma z partyzantami, ten znów Żydów przechowuje u siebie, a jeszcze trzeciemu Hitler się nie podobał. Gdy brakło tych ważnych powodów, na pierwszym przechodniu można było wypróbować swe oko i celność strzałów, zmarły nie udowodni, iż nie był wrogiem, że sumienia jego nie obciążało działanie przeciw Rzeszy.

Znał Jakiś jak mało kto moczary i leśne ścieżki, przesmyki jeziorne i chaszczce wśród borów, rozpoznawał nieomylnie leśne, przemyślnie klecone ziemianki. Tropił czasem dniami całymi, by na koniec radosnym strzałem uwieńczyć poszukiwania. Próżno zachodzili ludziska w głowę, po co mu to potrzebne. Bo nie rabował, złota od Żydów nie brał, nie woził do chałupy nakradzonego dobra. Żona z dzieckiem, jednym najpierw a drugim niedługo, bo je pod sercem nosiła, żyła w biedzie jak dawniej, na dodatek wyizolowana od ludzi; pośród nich a sama, jakby zapowietrzona. Żyła, a słuchy do niej szły: tam znów jej mąż mordował, gdzie indziej całą rodzinę wystrzelał, psami zaszczuł jakiegoś małego Żydką. Podobno płakać nawet już nie umiała, widocznie ma człowiek dany sobie zapas łez na całe życie, gdy go przedwcześnie wyczerpie, nie zazna już nawet i takiej ulgi...

Zmieniło się na frontach, coraz bliżej brzmiały nocami działa. Niemcy uciekali, wynosili się jak przerażone szczu-

430

ry. Jeden Jakiś trzymał się do ostatka. Gestapo już zbrakło, żandarmów nie było, rozsypały się posterunki białoruskiej policji, a ten zbior nadal mordował, tłukł się na swoim wózku wraz z psami, jeszcze gorliwiej, z własnej już tylko woli wypełniał nie dawane mu teraz przez nikogo rozkazy. Na pięć przed dwunastą, a ciągle jeszcze szerzył wokoło grozę. Dopadli go partyzanci, na gałąź wciągnęli, też miał sobacze szczęście, odbił go jakiś niemiecki oddział uciekinierów. Ale tym razem już i Jakiś skapitulował. Zniknął, zginął jak kamień w wodę. Gadki szły, że go ktoś ukatrupił, widziano przy szosie poniewierające się w rowie ciało. To znów wisił podobno na rynku w jakimś miasteczku. Proces miał w Rydze, wywieziono tam do cna, co złego popełnił... Któregoś ranka i chatę jego zastano kołami zapartą, zniknęła żona wraz z dziećmi. Nikt się nie martwił, co komu po babie, dobrze, że pewnie szczęła gdzieś razem z tą swoją dwójką dzieciaków, wilczym pomiotem...

Co nowe zeznanie, w dalsze szczegóły uzupełnia się obraz. Nawet dziecięca pamięć wyluskuje jakieś drobiazgi, odnajduje ich prawdziwe znaczenie. Oto czemu matka się bała panicznie psów, oto czemu nosiła zawsze suknie czy bluzki wysoko zapięte pod szyję. Oto czemu niema była, milcząca, bez

uśmiechu jednego na ustach, a w oczach jej, gdy spoglądała na męża, pojawiały się straszliwa nienawiść i nie mniej straszliwy lęk... Oto czemu ojciec krył się w rybakówce⁵ na zupełnym odludziu, długo musiał szukać takiego miejsca, oto czemu obcych nie znosił, wilkiem na nich spoklądał. Skąd się brała ponurość w ich domu, jakaś nerwowość, stale wiszący niepokój.

Ojciec? To jego ojciec, naprawdę ojciec? Z bólem, zdumieniem, niedowierzaniem spoglądał na ławę, gdzie w milicyjnej asyście siedział ten człowiek. Taki sam, krępy, z ogorzałą twarzą, z włosami niemal stykającymi się z brwiami przez niskie czoło, z grubymi dłońmi o czerwonych paluchach. Siedzi spokojnie, jak nieobecny, mruży oczy, gdy słońce zza okien nazbyt mocno dopieka. Słucha,

431

jakby lekko zdziwiony, ani zaprzecza, ani potakuje, zastygły w jakimś niezrozumieniu.

Ojciec? Ten zbrodniarz to jego ojciec? Człowiek, który na ostatek zabił jeszcze jednego niewinnego człowieka aby przejąć na siebie jego nazwisko.

Czy może gdzie indziej jest ojciec? W tym zaharowanym, zapracowanym bez reszty, od świtu po noc człowieku, z największą miłością patrzącym na swoje dzieci, tłumaczącym rybakom, iż po to pracuje, by mogły mieć lepszy los, być porządnymi ludźmi. W tym odludku ciułającym na książeczki oszczędnościowe wystawione na imiona dzieci, jak pies wodzącym za tymi dziećmi jasnymi oczyma.

Kędy biegnie granica, czy w ogóle jest tu granica, skąd tam taka zbrodnia, jej ukochanie, i skąd tutaj taka miłość, nienormalna nieomal, aż chorobliwa.

Nowi świadkowie, przedłużająca się litania nie oskarżeń już, ale rejestru zbrodni. Dziesiątki istnień, przechodzące w setki. Mordował, zabijał, krwawił dłonie po łokcie. A potem pił, jakby dla satysfakcji, dla radości. Też inaczej niż inni jego kompani. Tamci musieli pić, by móc potem mordować. Jakiś na odwrót, mordował na zimno, pił potem.

Gęsto na sali od tej krwi, od słów ciężkich, nabrzmiątych. Duszno od spojrzeń, w których nienawiść, odraza, pogarda, wszystko co najgorsze, najbardziej nieżyczliwe. Nie w stosunku do człowieka, jak mówią świadkowie, ale do zwierza, do strasznej bestii.

Dnie, godziny, minuty. Jaka jest suma ciężaru, którą można na sobie udźwignąć? Nikt mu nie kazał asystować w procesie, adwokaci odradzali, niechaj się szczeni... Głupcy, nie pojmowali, że on musiał tu być, musiał wysłuchać wszystkiego do końca, przejąć tamte winy także na siebie. Jak w ewangelii, trzecie i czwarte pokolenia pokutować będą za winy ojców... Tyle że może trzeciego pokolenia nie będzie w ogóle. Drugie zamknie rachunek odpowiedzialności pokoleń. Drugie przejmie sumę cierpienia za wszystkie inne.

Kończy się korowód świadków o oczach opętanych prze-

432

rażoną pamięcią tego, co kiedyś zaszło, a co z taką wyrazistością odżyło po latach na sądowej sali. Prokurator podlicza to wszystko, o dziwo, mówi nieomalże szeptem, jakby ugiął się pod naporem faktów, jakby unoszący się duch grozy odbierał mu głos. A może mówi cicho, bo nie ma po co

oskarżać, oskarżenie mocniejsze nad słowa dawno zostało wwiedzione na proces korowodem cieni tych, którzy odeszli z ręki Jakisa... Więc tylko procedurze niech stanie się zadość.

Nikt nie wie, czy trafiają do oskarżonego te słowa. Jak przez wszystkie minione dni siedzi nieporuszony, nie zmieniony na zastygłej w jakimś grymasie twarzy. Leniwy, wparty, wrośnięty w ławę. Nieciekaw sali, ludzi na niej zebranych, nieczuły na pomruki gniewu niekiedy się za nim rozlegające. Niskie czoło, nad oczyma do pół zsunięte powieki, grube dłonie spokojnie wsparte w kolana. Dłonie, które umiały mordować... Ale które umiały też tak niezmordowanie pracować... ta odpowiedź dociera uparcie do innej, pozornie również zastygłej postaci. Błodej, wypranej z krwi, z połyskującymi tylko, ciemniejszymi jakby z dnia na dzień oczyma. Nie musi, ale jest na tej sali, tkwi wszystkimi nićmi związany nierozzerwalnie z ojcem, mordercą najgorszym ze złych. Z ojcem, najpracowitszym i najbardziej ofiarnym dla swoich dzieci spośród wszystkich najlepszych ojców.

Drążą zastygłe milczenie słowa prokuratora. Z półszeptu zaczynają narastać gniewem i oburzeniem. Bo tu nie ma żadnych łagodzących okoliczności, nie ma choćby cienia usprawiedliwienia, nic nie odciąża ani usprawiedliwia. Adwokaci kiwają posępnie głowami, na cóż w tym przypadku zdać się mogą ich jakiegokolwiek umiejętności? Wina jest winą, zbrodnia jest zbrodnią, nie ma dla nich żadnej szansy obrony. Żadnej, choćby najmniejszej wiotkiej, niechby wątpliwości.

I wtedy bunt zerwał się w Pietrku. Nieprawda, nieprawda...

Podniósł się z miejsca swojego pośród zastygłych w grozie świadków sądowego przewodu. Wbrew regulaminowi wołać zaczął z ław przeznaczonych dla publiczności:

Przejaśnia się niebo t. II

433

— Nieprawda, nieprawda! Jest takie świadectwo, jest jedna, ważka okoliczność obrony. Ja jestem takim świadectwem, jest nim i siostra moja, która świadczyć nie może, odeszła — gest w stronę żałobnej przepaski. — My jesteśmy świadectwem, że nie tylko zło kryło się w tym człowieku, nie tylko nienawiść i zbrodnia. Było w nim miejsce także na miłość, ofiarność i poświęcenie. Dla nas, dla jego dzieci. Świadczymy na jego obronę tym, czym jesteśmy, czym byliśmy, naszą nauką, uzyskanymi rezultatami, naszym sumieniem. Ona z za grobu, ja na tej sali... To była nie tylko bestia, to nie był wyłącznie zwierz, to był w jakiejś, najdrobniejszej chociażby swej części również i człowiek!

Milknie, słania się, wyprowadzają go lecącego przez ręce, na pół wnoszą z sali. Pośród przytomnych tej scenie żadnego oddechu, żadnego poruszenia, ani słowa czy gestu. Ale oto ze swego miejsca zrywa się nagle oskarżony, pierwszy raz wyrwany ze snu drętwy, stoi, mówi coś, nikt nie rozumie, to nie mowa, to bełkot, wstrząsający, zupełnie niezrozumiały. Bełkot i dłoń wskazująca ku drzwiom, które .. zamknęły się dopiero za opadłym z sił synem.

3.

Pomysł wyszedł od młodzieży pracującej ochotniczo przy porządkowaniu terenu wokół nowej szkoły. Może ktoś jej go zresztą podsunął, może był to refleks po niedawnych spotkaniach ze starymi kombatantami zwierającymi się ze swych wspomnień pierwszego pionierskiego okresu. Dostyc, że wniosek zapoczątkował sprawę, z miejsca znajdując uznanie niektórych i mocne poparcie. Nie brakło

też zacierzewionych przeciwników. Posypały się racje za i przeciw. Historia wlokła się przez kilka miesięcy, aż dni tylko zaczęły dzielić od ostatecznego ukończenia budynku i przekazania go władzom szkolnym. Pierwsza ich „tysiąclatka”, drugą za rok wzniesie się w Małyniszkach.

Młodzież napierała, wysyłając do władz nową petycję.

434

Feryckiemu dziwnie w niej pasowały niektóre słowa do stylu eks-sierżanta Pędzika. I inspektorat, i kuratorium wojewódzkiej stolicy ciągle nie miały wyrobionego o tym zdania, na wszelki wypadek skierowały sprawę do ministerstwa oświaty, niech rozstrzygają najbardziej kompetentne czynniki.

Kołomyjka trwała. Listy krążyły w obie strony. Kto zacz ten człowiek, którego imieniem ma być nazwana szkoła? Ideologiczne jak przedstawiało się jego oblicze? I co właściwie zdziałał dla miasta? Czy rzeczywiście przyczyną jego śmierci był wyrok monieckiego Mehrwolfu, może splotły się tam jakieś prywatne sprawy, różnie przecież w tych pierwszych miesiącach bywało, trzeba by to dokładnie sprawdzić. W ogóle są tendencje, żeby ostrożnie kreować nowych bohaterów narodowych. Mało to do wyboru innych, uznanych nazwisk w dalszej i bliższej historii?

Kuratorium w dyskretnych pouczeniach radziło w ogóle wycofać się z całej imprezy. Mają już przecież w mieście ulicę imienia Walentego Florczaka, po licho im potrzebna jeszcze i szkoła? Może nie przesadzać już tak z budowaniem nowych tradycji?

Trafiła kosa na kamień. Ferycki uparł się, w sukurs szła mu Halina Niesłysz. Pędzik najmniej się temu dziwił, w głosie przypominał dlaczego:

— Waluś podkochał się w Piegulince, tak ją nazywał, co tylko gdzie podłapał dobrego, kawał słoniny, cukierki jakie, bimbru dodatkową butelkę, zaraz pchał to Halince... Ale ona oglądała się za Zielniakiem. Dopiero jak te hycle ukatrupiły chłopca, beczała tak, iż mało potop nie zalał starostwa.

I Trzepnęła go solidnie po łapsku, którym wymachiwał, akcentując swe słowa.

— Waluś podsuwał się z koperczakami, zgoda, ale ja i pamiętam także i innych. Niejakiego choćby milicjanta

Pędzika, też z darami do sekretariatu przychodził, ciągle miał do mnie jakieś sprawy...

— Nie wiedziałem, żeś ty organizowała prywatne magazyny zaopatrzenia. Szkoda, często wtedy bywałem głodny

435

— uśmiechnął się Ferycki. — Wracając do rzeczy. Jedź, Halina, do Warszawy. Wystawimy ci delegację. Dobrze, by zabrał się razem ktoś z młodych. Już tam przez Lisie-wicza wyszukasz kandydata. Przedstawicie w ministerstwie, że ma to dla nas szczególne znaczenie... Nie lansowaliśmy jakiegoś ciemnego typu.

— Zaczekajmy jeszcze z dwa, z trzy dni... — z tajemniczą miną powiedziała Halina. — Włodek obiecuje, że dostarczy argumentów dla poparcia naszych starań.

- Jaki znów Włodek? — zaniepokoił się Pędzik.
- Kraszewicz. Ten od „Miłośników”. Prezes, dyrektor „Lasu”.
- To przecież nie pionier, po co wy obcych płąciecie w nasze sprawy? — obruszył się były sierżant, paradny w swoim zacierzewieniu.

Po dwóch dniach od tej rozmowy wezwano Halinę do aparatu. Dzwonił Ferycki. Głos jego nabrzmiał był złością.

- Halina? Nie można dodzwonić się do was... Jest pismo kuratorium w związku z Florczakiem.

— I co?

— Odmawiają. Motywacja mętnawa. Piszą, iż w końcu każde miasto na naszych ziemiach mogłoby poszczycić się ludźmi równie zasłużonymi, którzy życiem przypieczętowali odradzenie się tutaj polskości. Na domiar o naszym bohaterze zbyt mało wiadomo, nie mogliśmy im dostarczyć danych personalnych wnikających głębiej w biografię. I dalej w tym stylu. Wobec tego wniosek nasz odrzucają i proszą o inną propozycję. Co na to powiesz?

— Dopiero się okazuje, jak źle postępowaliśmy. Próbowaliśmy wprowadzić jakiś ład w mieście, zamiast wypełniać personalne ankiety... Żarty żartami, teraz dopiero ogarnia mnie szewska pasja. Urzędasy i formalności. Ty jak to widzisz? k

— Bez zmian... Będziemy wojować. Co z delegacją?

— Gotowa do wyjazdu. W składzie: Kraszewicz, Pędzik, Maciaszkowa, ja i jeden student ze studium, tutaj już urodzony. Co mówisz? Że nas tak wielu? Chyba słusznie, zresz-

436

tą wyłoniły się dodatkowe racje, Kraszewicz wyszperał. Jeśli nas dzisiaj przyjmiesz, zrelacjonujemy ci wszystko.

Po odłożeniu słuchawki zakłęta mocno, aż protokolant sądowy spojrzał na nią okrągłymi w zdziwieniu oczyma.

Mocno nadepnięte zostały lokalne ambicje. Lisiewicz skomunikował się z Wlazłą, nastawił go przychylnie, zapewniając sobie poparcie. W prezydium przepisywano nowy memoriał do zwierzchników władz w województwie, specjalnym pismem przewodnim opatrywał go przewodniczący Ferycki, angażując cały swój autorytet. Najspokojniej podchodził do sprawy Kraszewicz. Prezes Towarzystwa Miłośników Miasta od dawna miał wyrobiony pogląd na wojewódzkie instancje. Nie zainteresowany bezpośrednio, działał spokojniej. Przed jakimś czasem kazał sobie powtórzyć wszystko, co było wiadome o Walusiu Florczaku. Od razu złapał za najważniejszą nitkę.

— Był w partyzantce? Leżał w szpitalu wojskowym zaraz po wyzwoleniu? Zaraz, zaraz... zostały po nim jakieś papiery?

; — Nic... Kasza. Nosił je w marynarce, po wybuchu zostały z nich strzępy. Okrutnie go hycle poharatali. Musiały zachować się jednak akta procesu przeciwko draniom, może tam się coś znajdzie?

W aktach przechowywanych w sądzie poza wzmianką o partyzantce niewiele znaleźli danych o Walentym Flor-| czaku. Nie były już przy tym tak bardzo konieczne, Kraszewiczowi wystarczył pierwszy punkt zaczepienia i jakieś niejasne wspomnienie Maciaszkowej, że Florczak bąkał niegdyś o odznaczeniu otrzymanym za leśną wojaczkę... K Gdy delegacja zjawiła się w pełnym komplecie u Feryc-kiego, podniecony dyrektor mógł już pochwalić się wynikami swoich zabiegów. Telefonicznie i listownie skomunikował się z przyjaciółmi w Warszawie, zakrzętnęli się w ZBOWiD-zie, odszukali dawnych przywódców lubelskiej partyzantki. Zgadzało się wszystko. Florczak, członek Batalionów Chłopskich, ciężko ranny w potyczkach pod Kampinosem, gdzie się szczególnie zasłużył, odznaczony został

437

Krzyżem Walecznych... Wtedy już nie zdążono dokonać aktu dekoracji, później zaś zabrakło odznaczonego.

— Damy teraz bobu tym z kuratorium.

Delegacja wyjechała najbliższego ranka, po dwóch dniach zabiegów, przywożąc w triumfie specjalne pismo ministerialne. Tysiąclatka będzie nosić imię Florczaka.

Jeszcze tydzień, gorączkowe przygotowania, uroczystość otwarcia szkoły, wielka feta, przedstawiciele z Warszawy, delegat ZBOWiD-u z Batalionów Chopskich. Tylko kuratora zabrakło, zastępował go lokalny inspektor.

— Obrazili się, kurza ich twarz — pddkpiwał Pędzik

Genia Maciaszkowa ryczała jak bóbr. Nawet się z tym

nie kryła.

— Jezu, jak on wyglądał. Na kawałeczki, w tym ogródeczku, cośmy tam dzień przedtem konwalie zbierały. Taki chłop z sercem, ognisty, zaradny, żeby ziemia nie nosiła tych hyclów niemieckich... Waluś, na strzępy...

Lisiewicz towarzyszył Halinie Niesłysz. Widząc przejście kobiety, uśmiechnął się, szepcząc:

— Urzekł cię kombatancki styl... Co teraz wymyślicie z Feryckim?

Nie odpowiedziała, dopiero później wypaliła mu mocno.

— Nie nazwaliśmy szkoły twoim imieniem ani Pędzika czy Felka... To nie kombatanctwo. Zajmujesz się młodzieżą... Ja też, choć z innej nieco płaszczyzny. Nie każmy jej wciąż zaczynać od zerowego punktu. Trzeba wspomagać rodzącą się tradycję tych ziem. Najsmutniejsze dla mnie, że w kuratorium nie potrafili tego zrozumieć. Pedagodzy i wychowawcy od siedmiu boleści, psiakrew.

Uważając sprawę za załatwioną, z zapalem zabrała się do ciastek i kawy.

Coraz częściej nawiedzały go wątpliwości, czy nie nazbyt ambitnie snuje plany rozbudowy powiatu i miasta. Podwójna buchalteria, z jednej strony oficjalne plany rozwoju, liczby, wskazówki, niemal ukończony już plan perspektywiczny, z drugiej od lat z powodzeniem stosowana

438

metoda działania przez zaskoczenie... Czy ich samych nie porwie kołowrót, jakiemu nadali rozmach może nieco nad własne siły?

Skąd w nim nagle podobny sceptycyzm, niewiara w siebie? Dowód starzenia się? Chyba przedwcześnie, braknie mu wszakże co nieco do czterdziestki, podobno zaś dopiero wtedy zaczyna się wiek największych życiowych sukcesów. Jakże wobec tego można było cokolwiek zaczynać przed osiemnastu laty? W chaosie, pod kulami, w zupełnej nieświadomości jutra, bez jakiegokolwiek rutyny. Powierzono mu wtedy, on zaś podjął się bez momentu wahania, szczeniak, żółtodziób, prowadzenia spraw osiedleńczych, najbardziej ważnych, a zarazem chyba i najtrudniejszych. Ani razu nie nawiedzał go wtedy sceptycyzm, kipiał energią i wiarą w siebie. I nie to jest usprawiedliwieniem, że wtedy obowiązywała niejako działalność, skoki od jednej improwizacji do drugiej, decyzje zjawiały się błyskawicznie i od ręki się je rozwiązywało. Przy dobrych chęciach — ustawy i dzisiaj są wystarczająco elastyczne — można i obecnie niejedną ambitną inicjatywę załatwić bardzo szybko.

| Czemu zatem musi przekonać sam siebie, czemu się załamuje przy byle niepowodzeniu? Całe tygodnie mijają mu ostatnio na walce z sobą. Znużenie, piekielne jakieś znużenie, niechęć do wszelkiej roboty, strach przed zwalanymi na biurko stosami listów i pism, przed konferencjami i naradami, przed codzienną koniecznością dodawania bodźców sobie i innym. Nic przecież się nie zmieniło, zawsze w ten sposób pracował, tyle że nigdy nie odczuwał żadnych lęków i wzdragań. Teraz przełamywać się trzeba, by sięgnąć po słuchawkę telefoniczną czy wydawać sekretarce najprostsze zlecenia, cóż dopiero z bardziej skomplikowanymi sprawami, f Trwa to już od miesięcy, gdzieś tak od ubiegłej jesieni. Początkowo okresy depresji bywały krótsze, po nich nadpływała normalna energia. Ostatnio odpływy stały się dłuższe, zaczynają przechodzić w normę.

j* Znużenie? Zbyt wielki wysiłek narzucony samemu sobie? Konieczność wytchnienia?

439

Tej wiosny zbyt wielkim skokiem runęli do przodu, nadali rozpęd zbyt wielu sprawom, by można je było teraz zawierzyć losowi. Najbliższe miesiące zadecydują, czy wygrają jako region swą wielką szansę wypracowaną żmudnym wysiłkiem, czy też zaczną się walić jedno po drugim, grzebiąc rozbudzone nadzieje. Ruszyli z miejsca, ale w każdej sprawie było coś nie dopięte, nie załatwione, brakło formalnych podkładek, oficjalnych zatwierdzeń, ostatecznych decyzji. Jakże więc teraz myśleć mu o urlopie?

Jaśka obserwowała go ze wzrastającym niepokojem¹. Stała się jeszcze czulsza, zawsze zresztą podziwiała w niej tę serdeczność i wrodzoną subtelność. Uparta była, uczyła się, godząc to z domowymi obowiązkami.

— Najwięcej kłopotu mam z tobą, ty jesteś tym najbardziej kapryśnym dzieckiem — przegładzała go po twarzy w tych rzadkich chwilach, gdy mogli znaleźć się sami.

Pogodny wieczór, czyste, spokojne niebo. Rośliny dopiero rozprostowały liście nadwiedłe w niedawnym skwarze, kwiaty rozchyłały kielichy, śląc ku otwartemu oknu mocne zapachy.

Przytulił ją mocniej. Osiemnaście lat trwają obok siebie, od poznania w dymiącym zgorzelinami mieście, wśród ruin i strzelaniny. Mijały dobre, spokojne i te nerwowe, najtrudniejsze lata, a w ich stosunku nie zachodziły żadne zmiany. Tyle, iż obok uczucia narastało przywiązanie, świadomość, iż są sobie bezwzględnie potrzebni. Istniało to intensywne życie na zewnątrz, ambicje i plany, i zawsze był dom, z którego czerpało się otuchę, zasilano przygasającą energię.

Ostrożnie, jak coś niezmiernie cennego, ujął jej rękę i ucałował:

— Gdybym nie miał ciebie i twojej pomocy, nie mógłbym kusić się, by nawet w drobnej części dopiąć tego, co osiągnąłem... Ja wiem, Jaśka, muszę odpocząć, okłapłem ostatnio, ale jeszcze nie zaraz, nie teraz, inaczej zbyt wiele spraw należałoby zaczynać od nowa.

— Nie jesteś niezastąpiony, przez miesiąc miasto nie runie, pod prezydium nie podłoży nikt bomby...

— Na pewno masz rację, nie przesadzam w ocenie siebie.

440

Rzecz w tym, że posiadam trochę rutyny, tyle lat tkwię już w administracji, znam kruczki i chwytły, mam nieco tych znajomości. To ułatwia niejedno. Dopiąć to jeszcze, co trzyma się tylko na słowie honoru, potem będzie można odsapnąć... Gdybyśmy tak pojechali nad morze? Oderwać się od znajomych ludzi i spraw, wyizolować się, zginąć... Kiedyś nie umiałem wypoczywać w ten sposób, widocznie mój zapas sił wtedy był większy. Teraz kusi mię taki właśnie urlop, nie inny... Dzieciaki moglibyśmy podrzucić Wiśniewskim. Rozmawiałem już z nim, przystaje chętnie, choć wolałby gościć nas wszystkich. Jak widzisz to morze?

Westchnęła. Jak ona to widzi? Z pamięci wyłoniły się dwa spotkania z morzem. Pierwsze w rok jakiś od wojny, to jeszcze kapitan Wlazło zaproponował taką wycieczkę, trafiły się dwa dni świąteczne. Pojechali samochodami... Dawna polniemiecka miejscowość wczasowa. Zamieszkałych zaledwie kilkanaście domów, rybacy, trochę obieżyswiatów. Dziesiątki willi pustych, wyszabrowanych, wokół niektórych rysunki trupiej czaszki i groźne napisy, że teren zaminowany. Szabrowników to najwidoczniej nie odstraszało, gruntownie wymietli wszystko. Wlazło chodził i cmokał, co tu można by urządzić w przyszłości. Oni przejęci byli jedynie morzem. Ciepły dzień, od wody nadciągała niewielka fala, wspinając się delikatnie na brzeg, złotawy, o drobnym, przesypującym się w palcach piasku. Kąpała się radośnie jak dziecko, nie mógł jej Felek wyciągnąć z wody. A potem leżeli na wydmie, osłonięci od wiatru, słońce paliło, obok siebie czuła nagrzane ciało męża, zapatrzonego przed siebie, cichego.

Na noc zajęli najmniej zdewastowany dom, zabrali ze sobą jakieś sienniki, Wlazło wystarał się o materace z wojskowego demobilu, dymiła prowizoryczna kuchenka. Długo snuli gawędy. Felek nieodmiennie tkwił przy niej. A potem, gdy tamci zaczęli się już pokładać, oni wyruszyli we dwójkę na spacer wzdłuż brzegu. Piasek ochłódł, ziębił stopy przenikając wilgocią. Jasno było, od wody niosły się migotliwe poblaski, trawy na wydmach szeleściły. Nie wrócili już na miejsce biwaku swej grupy. Ta noc była jedną z naj-

gorętszych ich nocy, świadkiem pełnych namiętności uniesień.

Drugie spotkanie z morzem miało miejsce po długich latach, w których nigdy nie zostawało czasu dla siebie. Praca Pełka, a potem nauka, dzieci, zagubienie w wirze tych wszystkich spraw, które pochłaniały całą uwagę i zapał, nie stwarzały okazji do wyjazdu. Poza tym Felek właściwie nudził się poza miastem, naglił do powrotu. Dlatego i tym drugim razem szczęście było krótkie, musiało się zmieścić w niespełna trzech dniach. W tym samym miejscu gdzie wtedy, już ludniejszym, bez opuszczonych domostw, z tłumem wylegającym na plaży, przewalającym się nabrzeżem do późnych godzin wieczornych. Ten wypad nie dał może okazji do tak gwałtownych namiętności jak wówczas, ale dołączyła się ,nowa nuta, rzadko zaznawana dotychczas. Nuta kompletnego spokoju, nie zamąconej niczym wewnętrznej ciszy. Byli tylko sami, we dwoje, dla siebie. Wiedli ciche rozmowy, o wszystkim i o niczym, rozmowy, po których nic z treści nie pozostaje, z wyjątkiem klimatu, jedynej niepowtarzalnej aury pełnego poczucia wspólnoty. Aż Felek zadziwił się którejś chwili, mocno ją przyciągając ramieniem do siebie:

— Jaśka, pomyśl, gdzie nam nasz los kazał się spotkać... Przypadek, czy też było to nam sądzone? Tak sobie jesteśmy potrzebni, tak bardzo bliscy...

Te słowa zapamiętała. Brakło jej teraz podobnych zwierzeń mężowskich. Felek jakby się ich wstydził, uważał za niemęskie mówienie o miłości, o szczęściu.

Morze. Tyle wspomnień, tyle uroków, tamte noce i dni zupełnie jak bajka. I on pyta, jak ona to widzi?

Przygarnęła się, szukając jego ust ciepłymi wargami.

— Felek, czy ty nic nie pamiętasz?

Pamiętał, dlatego może właśnie teraz, gdy zaczął się niepokoić swym stanem, napadami znużenia, niechęcią do normalnego wysiłku, przyszło mu na myśl morze. I w nim zapadły głęboką pamięcią spędzone tam krótkie dni, z Jaśką przy boku, dziewczyną, w której znalazł oparcie, która mu dodawała otuchy, na którą zawsze mógł liczyć. Jakże nie pamiętać tamtych chwil, w każdej minucie należących wy-

łącznie do nich i tylko do nich. Wyjechać, skoro tylko będzie można, wskrzesić dawny klimat, znaleźć wytchnienie' i zapomnienie o wszystkim.

Felek westchnął, jutrzejszy dzień od rana zaczynał się-wielką batalią, zjeżdżała komisja z Warszawy, by zdecydować o lokalizacji nowego zakładu przemysłowego. Trzy miasta stawały w konkurencyjne szranki. Mieli największe szanse, bazą nowej fabryki stałaby się u nich już pracująca, przestarzała odlewnia, ale przecież i tamte ośrodki szukały argumentów na swoją korzyść. Choćby takich, iż zapóźnione są w inwestycjach, posiadają nadmiar roboczych rąk, gdy oni natomiast są już poważnym przemysłowym ośrodkiem...

Osobliwe uczucie stwierdził, analizując sam siebie. Jeszcze niedawno koncentrował się w obliczu podobnych ba-tali, świadomość ich wagi dodawała mu energii i siły. Teraz osaczył go jakiś lęk przed wysiłkiem, opanowała niewiara w skuteczność starań. Skąd się to bierze? Zmęczenie?

— Nie myśl teraz o niczym, staraj się wypocząć... Przeholowałeś, nie można dźwigać w nieskończoność ciężaru nad siły...

Słowa Jaśki na pół tylko docierały do niego. Pewnie, ma rację, ale tak zupełnie oderwać się od wszystkiego, co stało się treścią życia, również nie sposób. Rzecz w tym, jak znaleźć ten złoty środek, umiejętnie dzielić jedno i drugie. Nigdy tego nie umiał, gdy brał się za jakąś robotę, spalał się w niej, bez wytchnienia, bez jednego swobodnego oddechu. Może dlatego właśnie mógł coś w życiu osiągnąć, dla siebie, co zresztą mniej ważne, ale głównie dla miasta, dla całego ich do niedawna zapomnianego, zagubionego regionu.

Bo teraz wiele się już zmieniło. W wielu punktach kraju wabiły oko kolorowe plakaty, zachęcające do zwiedzania ich ziemi. Krupka psim śwędem wywojował w Warszawie przydział papieru, kończy druk przewodnika i informatora. Wznowili nakład kopert i pocztówek, pół miliona sztuk, z biedą wystarczy na sezon...

Dopiero niedawno oddano do użytku tę nową szkołę, nazwaną imieniem Walusia Florczaka, a już przedwczoraj stanęły baraki hotelu robotniczego dla budowlanych, bo

443

przecież w budowie chłodnia, i nowa hala w fabryce płyt pilśniowych, zakład przetwórci soków i dżemów... Założony został kamień • węgielny pod nowe osiedle. Kędrzyk szarpie się z wykonawstwem przy restauracji pałacu, i tam ruszyło z kopyta...

Gdzie spojrzeć, coś nowego często wywojowane wbrew silnym oporom, tylko dzięki ich własnej inicjatywie. Inaczej beznadziejnie ciągnęłyby się dzień po dniu, zawsze w świadomości braku perspektyw, przy narzekaniach, że ich się nie widzi i nie docenia. Zaimponowali swym zrywem, zaskoczyli niejednych, postawili przed faktami dokonanymi. Młodzież już szykuje się do swoich jesiennych dni, plastycy z Krasze-wiczem snują śmiałe, pełne rozmachu projekty. Pewnie, ryzyko, skok głową w dół na głęboką wodę, z nagłą taka ogólnopolska inicjatywa, ale przecież się uda, musi się udać.

Co za huśtawka. Dopiero biadolił w duchu, teraz czuje nowy przyływ energii. Byle jeszcze raz nie oklapnąć, wytrzymać w dawnym tempie przez jakiś czas, wtedy znajdzie się miejsce na odpoczynek, na ten wyjazd nadmorski, podrzucą Wiśniewskim dzieciaki, będą sami, jak kiedyś, we dwoje, tylko dla siebie.

— Moja ty, Jaśka.

Uśmiechnęła się, nie mogąc skryć zarazem nurtującej ją troski. Przyglądała mu się od dłuższej chwili. Skąd ta szarzysta twarz, skąd cienie kładące się pod oczyma, skąd ten ogólny wyraz znużenia, jakiejś głębokiej apatii? Czasem się tylko ożywia, jak teraz, rumieńcami zakwitają policzki, w oczach coś zaczyna się palić.

Skorzystała z tego nastroju. Powiedziała cicho, cichutko, wiedziała z doświadczeń, że z nim w tych sprawach bardzo niełatwo.

— Felku, mam ogromną prośbę. Taką naprawdę wielką.

— Dobrze, czego bym dla ciebie nie zrobił.

— Obiecuj, że bez zwłoki pójdziesz do lekarza. Doktor Janina już kilka razy nakłaniała cię do tego. I Halina się niepokoi o ciebie...

Rozzłościł się.

— Wiem. Wszyscy nagle stali się czuli, troskliwi aż do

444

znudzenia. Lisiewicz też mnie ciśnie. Nie ma obaw, jestem zdrow, zwykłe zmęczenie, trochę się zaharowałem ostatnio, przejdzie mi...

I — Ale ja bardzo cię proszę. Dla mego spokoju, Felek...

— Dobrze, załatw to z Janiną. Byle nie jutro, muszę przedtem obstawić komisję, nie można dopuścić, by nas minęła podobna okazja. Czteryśta stanowisk roboczych, zginąłby kłopot z nadmiarem rąk... Bo kobiety zatrudni u siebie Kraszewicz. Pojutrze, zgoda?

[., Serdecznie była mu wdzięczna. Aż w pewnej chwili odczuł budzące się w nim wyrzuty. Przecież to on jej powinien dziękować.

Przedtem bagatelizował nalegania Lisiewicza, Haliny i innych. Pędzika, gdy ten mu coś bąknął, sklął z miejsca. Teraz jednak udzielił mu się w jakimś stopniu niepokój Jaśki. Może z nim naprawdę coś niedobrego się dzieje? Zmęczenie? Bywał bardziej zmęczony, dzień, dwa, mijało bez śladu. Inaczej niż teraz.

Niepokój pogłębił się następnego dnia. Posiedzenie było męczące, nerwowe, trudno się było dogadywać z komisją, kilka długich godzin napięcia, przy silnej koncentracji uwagi. Zdenerwował się kilka razy, z trudem zapanował nad sobą. Gdy w pewnej chwili, ocierając spocone czoło, przytknął zarazem chusteczkę do warg, dostrzegł na niej różowe plamki. Sam teraz zapragnął lekarskiej opinii.

Wyrok był jednoznaczny. Doktor Janina trzęsła głową, smutna i bardzo przejęta. Gruźlica, stan zaawansowany, i z miejsca runęło wszystko na łeb, na szyję, unierrealniły się plany. Najmniej trzy, cztery miesiące leczenia w sanatoryjnych warunkach, może i dłużej. Przeholował, przeliczył się z własnymi siłami.

Teraz wszystko stało się jasne. Czym jednak przygłuszyć niepokój, czy nie urwie się wiele z tych spraw jeszcze nie-dociągniętych, nie załatwionych do końca? Czy potrafi wprowadzić zastępców w kulisy tych starań, w drogi najlepiej wiodące do celu?

; Nie święci garnki lepią, na pewno, nie można przeceniać

445

nieodzowności własnej osoby. Trudno jednak pozbyć się niepokoju, bardzo trudno.

A może po prostu nie to, a coś zupełnie prostsze. Jakże on żyć będzie te długie, nudne miesiące poza treścią spraw, które wypełniały mu życie? Poza swym miastem, całym regionem, poza sukcesami i porażkami, poza całą tą pracą, która zapełnia każdą chwilę, stając się największą satysfakcją, celem i w końcu radością życia?

Jakże on będzie tęsknił, jak marzył o dniu powrotu!

4.

Połyksliwie, z lekka jeszcze wilgotne rzędkie druku męczyły wzrok. Podnosząc oczy mrugał zapamiętałe powiekami i znów wracał do tekstu. Z pewnym nabożeństwem spoglądał na długie szpalty, przesłane przez wydawnictwo dla korekty autorskiej.

To było zaskoczeniem, zupełną niespodzianką. Po powrocie z NRF w niejednym poprawił rękopis swych wspomnień, zwłaszcza w uwagach i komentarzach, tak wiele faktów ujrzał przecie w pełniejszym i głębiej odbijającym faktyczny stan światła. Zdumiewał się, jak się te jego notatki rozrosły. Potem zlecił już tylko sekretarce wysłanie, zapomniał zupełnie o dokonanej pracy, zbyt silnie wchodząc od nowa, po długiej przerwie, w tok pulsujących wokoło spraw, nie tak dawno całkowicie prawie nie dostrzeganych.

Gdy nadeszło oficjalne pisemko, nie od razu pojął, o co w nim chodzi. Czemu jego wspomnienia mają być wyłączone i wydane w osobnej książce? Pisząc opowiadał na apel instytutu naukowego, uczuł zrodzoną pod tym impulsem wewnętrzną potrzebę zwierzenia, uporządkowania w samym sobie tamtego, zamkniętego okresu... Przestraszył się teraz. Czy jako osobny druk nie staną się te zapiski zbyt nikłe, zaprawione nader subiektywnym widzeniem?

To wszystko już było, wraz z rozmowami z redakcją, z korespondencją, nieistotnymi przeróbkami i retuszami.

446

A jednak te szpalty rozsypane na biurku od nowa dzisiaj go dziwią i niepokoją. Jakże inaczej wygląda słowo ujęte w kształt druku, pełniejsze staje się w treści, bardziej sugestywne i zarazem głębiej odsłaniające każdą słabość, najmniejszą nawet usterkę. A przy tym, wyłączone spośród szeregu innych, w jakiś sposób pokrewnych wspomnień, opatrzone jego nazwiskiem, słowo to staje się bardziej zobowiązującym, obarcza zwiększoną odpowiedzialnością.

Bał się rzędków czarnego druku, szpalty napawały go szczególnym szacunkiem, a przy tym odczuwał coraz pełniej ogarniającą go radość. Była w niej satysfakcja bardzo już własna, znajdowało się też poczucie zadowolenia, że wysiłki ich wszystkich w tamtych gorących dniach nie zetrą się w niepamięci, zmartwychwstaną z czarnych literek, upamiętniając fragment swojego czasu. Odżywać będą sprawy i ludzie, złożone problemy i naiwne słabostki. Zupełnie tak, jak z nazwaniem szkoły tysiąclecia imieniem Walentego Florczaka. Wojował o sprawę razem z innymi w głębokim przeświadczeniu słuszności, że nie wolno przekreślać zra-dzanych na miejscu tradycji, że objawiony tak silnie na tej ziemi lokalny patriotyzm nie może opierać się wyłącznie -o dostojne, patosem trące słowa akademii i rocznicowych wspominków, ale należy znaleźć dla niego podbudowę w

konkretnych, realnych faktach. Ta książka również stanie się faktem. Sięgną może po nią ci zapalczywi młodzi, nadający nowy ton każdemu dniu wstającemu wraz z brzaskiem.

Od nowa wczytywał się w szpalty. Redaktor książki był młody, bardzo młodziutki. Może dlatego znalazł tu literacką barwę. Gdyby sam mógł być świadkiem tamtych widoków, pojmowałby, jak dalece prozaiczny się staje jego opis w porównaniu z prawdziwym, pełnym cieni i barw obrazem...

| Kocur z jednym okiem, smyrgający pośród gruzowisk Wysokich jak domy, wygłodniała papuga pochrypująca swoje „Heil Hitler”, czarno okutana staruszka bebesząca się pośród zwalisk, rozbite słoje konfitur na progach domów z unoszącymi się nad nimi rojami much. Tych much, które równie zapalczywie krążyły nad wzdętym cielskiem

447

zabitego konia i nad dziesiątkami ludzkich zwłok na ulicach, w ogrodach, w zasypanych piwnicach. Przygięte uważnie myszkujące oczyma, niepewne każdego swojego kroku sylwetki Niemców, jak szczury wyłazących ze skrytek, przywędrowujących do ruin miasta z pobliskich lasów, klątwy i wzdychania do Boga, desperacja i palące pragnienie pomsty... Dwie Niemki nad jego łóżkiem, skondensowana nienawiść w każdym słowie i każdym spojrzeniu młodszej. A jeszcze później panika tej starej, wypychanie chorego, na pół przytomnego człowieka za okno. Strzelanina, znowu strzelanina, jakby to nigdy nie miało się skończyć, łaskawe kobiece dłonie, troska, opieka, kształtne piersi wyzierające spod luźno narzuconego szlafroka, zapach kobiecego ciała...

Zabite cuchnące miasto, a to niby życie, to właściwie wydzielinę dogorywającego kolosa. Ruiny, pogorzela, gruzowiska, osmolone kikuty kominów, zawieszona w powietrzu, postrzępiona, zaszczana kotdra, swoisty sztandar chaosu. Smród i beznadzieja, za którymi nic, zdawałoby się, nie zostaje. A jednak znaleźli się oni, zbieranina, życiowe rozbitki, którzy na przekór logice, na przekór sobie i światu zapragnęli z nagłą wnieść życie w to, co jeśli nie było już martwe, to w każdym razie dogorywało, złożone śmiertelną chorobą.

Mądrze to czynili i głupio, naiwnie, ale z samozaparciem, cynicznie przymrużając oko i zdobywając się zarazem na bohaterstwo. Prości, zwyczajni ludzie, przez los postawieni w obliczu spraw przerastających ich małość. Przez to zdobywający się na nieklamany patos działania.

Zwykli ludzie... Gdy się skończył czas zmartwychprzy-wracania życia miastu i wioskom, gdy wszystko wraz z pociągami Jezierskiego zaczęło się toczyć wyznaczonymi sobie torami, w większości ludzie ci od nowa stali się sobą, redukując do właściwych wymiarów patos swych poprzednich poczynań. Co najwyżej drożdżami miały się stać zaszczepione ambicje i rozbudzone, nie zaznawane dawniej tęsknoty.

Albo może się myli, może czyni tym ludziom, a wśród

448

tych także i sobie, niezasłużoną krzywdę. Łatwo o patos, o bohaterstwo, o wyrastanie nad miarę wtedy, gdy nie ostoi się nikt czy nic zastygłe w normalnych wymiarach. Gdy czas najzwyczajniej żąda tylko innej, wyolbrzymionej miary. Prościej jest pchać coś na tory, trudniej utrzymać to w nieprzerwanym biegu. Na pierwszą defiladę lipcową w ich mieście rzucili pod nogi cywilom i wojsku

znalezione w dawnym budynku miejscowego brązowego fiihrera swastyką opatrzone sztandary. Trzeba było przejść okupację, poznać smak obozów i więzień, wdychać smród krematoryj-nych kominów, być maltretowanym i wciąż, nieustannie prześladowanym, by pojąć, że przy tym uniesieniu, z jakim nogi maszerujących deptały znieawidzone sztandary, można było pchnąć ludzi do najbardziej niewiarygodnych [czynów. Trudniej zjednać ich dla jakiegokolwiek sprawy w czas normalnego oddechu, stabilizacji, spokoju.

Zatem nie przeholować miary. Oddać to, co należne prawdzie, ale wiedzieć, że cenniejsze nad pierwsze zrywy jest to, co mogło wykwitnąć z zabitych miast i spopielonych ^wiosek, co musiało odrodzić zaccadziatę sumienia ludzkie. , Przypadkowy zlepek trzydziestu czy wreszcie stu nie wie-[dzień skąd przybyłych tu ludzi. Bo nawet operacyjna ekipa f — to również wielki przypadek. Kierowano tych, co się | zgłaszali, nikt nie zaglądał nikomu w kieszeń, a co dopiero w duszę. A reszta? Wlokła się z obozów, ze zsyłki niewolniczej u spasionych bauerów, wyłaziła z dziur, w których przeczekiwała najgorsze. Działaniem ich kierował entuzjazm, często pragnienie pomsty, nierzadko bardziej przyziemne, materialne ambicje. Zdarzali się tacy, co wytężoną ofiarną pracą pokrywać chcieli swój lęk przed prawem. Więc kiedy bardziej ich cenić, wtedy czy potem, gdy minęła euforia, ucichły strzały, odmiecione rumowiska odsłoniły normalne przejścia, zabrakło pierwszego, podniecającego impulsu, zapamiętania w robocie? Potem, gdy kolejne miesiące i lata zaczęły się nizać jak identyczne, jednostajnie przesuwane ogniwa łańcuszka?

Z nagłą jego wspomnienia wydały mu się niepełne i połowiczne. Ograniczył się w nich do tamtego pierwszego

29 Przejaśnia się niebo t. II

449

okresu, do paru lat spontanicznego zrywu, zrozumiałego już choćby jako reakcja życia budzącego się z zamroczenia okupacyjnego. Zrywu będącego odwetem za śmierć i upokorzenia. Zrywu stającego się wielką szansą dla wszystkich co bardziej przedsiębiorczych i energicznych. Zrywu, który pochłonał niejednego z najbardziej ofiarnych. Ale jak dopowiedzieć prawdę rozciągniętą na wszystkie powojenne lata, trudną i bardziej może złożoną? Kto o tym napisze, kto wypowie także i tę część mniej efektowną, nie ozdabianą już przez życie w efektowne dramaty, w ogólnym obrachunku bardziej wszakże chyba decydującą?

Ci sami częstokroć ludzie... Wielu z nich odeszło. Czy w tych pierwszych gorących dniach, czy niedługo potem. Nie tylko Florczak i Zielniak, jeszcze dziesiątki osób często zupełnie anonimowych, a nie mniej ofiarnych. Niektórzy dokonali fałszywego wyboru, Władek Wiśniewski, Maciaszek, inni. Wykrzywił się los niektórych, zmarnowały się szlachetne charaktery. Nic już nie wskrzesi Bud-dniaka i jemu podobnych. Twardsi, bardziej uparci, bardziej oblatani życiowo potrafili ominąć mielizny i rafy nowego czasu, postawili na swoim. Nie ugiął się Przybyła, pozostał sobą zapalczywy Pędzik, Jezierski kieruje ruchem pociągów na swojej stacji, z oddaniem leczy chorych doktor Janina. On sam w końcu również wybrnął z depresji. Są inni, jeszcze ambitniejsi czy twardsi, Ferycki, Halina, co pokonując trudności, rwali się wszystkimi siłami do przodu, kończyli studia, zdobywali nowe ostrogi. I są ci najmłodszy, niedorostki czy dzieci zaledwie w tych dniach najbardziej gorących, dojrzewający szybciej niż dojrzewały pokolenia poprzednie, o większej wiedzy i śmielszych, bardziej już wyraźnie ukierunkowanych ambicjach. Wbrew opowieściom starych emerytów przy kawie nie zawsze mają ci

najmłodszy przesadnie już ułatwioną, uitorowaną drogę przed sobą. Często i ich osaczają ostre? konflikty, przykład Schirmera czy Pomykałów może tu być znamieny, tragedią zasępią się dla niektórych i dziś, i jutro, jak w przypadku młodych Bejnarowiczów. na sobie zaznających grozy klątwy idącej przez pokolenia.

450

Nie ma w jego wspomnieniach pełnej prawdy o wszystkich tych ludziach. Gdzieś umownie urywa ich losy nie dokończonym fragmentem, zaledwie wprowadzając w obszerny temat.

Może jednak się myli, te braki nie jego dłońmi winny zostać uzupełnione. Zapiskami swoimi dawał świadectwo czasu, który wbrew wszystkiemu stał się najpiękniejszym okresem jego własnego życia. Później, uwikłany w kompleksy, nie umiejący się z nich wydobyć, zatracił szerszą płaszczyznę widzenia, obserwując jedynie zamknięte, wąskie wycinki. Czy mógłby więc kusić się o ukazanie także tych lat, dalszego ciągu, poczętego z pierwszych dni i miesięcy? Powinni to zrobić i zrobią na pewno inni, młodsi, spoglądający innymi oczyma, ci, na których z kolei spocznie obowiązek przekazania własnych doświadczeń.

Uczuł, jak zachwiany przez moment, powraca poprzedni spokój. Mógł znów tropić wzrokiem za rządkami czarnych literek, ożywiających to, co minęło.

Aż wreszcie odsunął od siebie skończoną korektę, świadomy dokonanego wysiłku. Bezwiednie błędził teraz wzrokiem po ścianach, jakby szukając tam odprężenia. Nie tak dawno zżymał się na surowość i chłód wnętrza tego pokoju, wspominał nutę ciepła, kiedyś wniesioną tu przez Janinę. I znów kobieca dłoń drobnymi pozornie zmianami wyróciła dawny porządek. Zagrały barwry, pomieszczenie nabrało ciepła, emanując zarazem aurę spokoju. Wdzięczny był za to Halinie. Na innej zupełnie zasadzie niż z Janką splotły się teraz ich losy. Zdumiewał się, stosunki z kobietą układając na zasadzie wyłącznie przyjaźni. I jej i jemu było z tym dobrze, ginęła samotność, pojawiała się na jej miejsce serdeczna nuta wzajemnej potrzeby.

Zmroczało, porwał się wicher, pierwszymi kroplami deszczu tłukąc zniecka w szyby. Podszedł do okna, wsparł się o framugę. Nadciągała burza, wezbrana męczącą spiekotą ostatnich dni. Ciemna chmura przykryła niebo, cięte ostro błyskawicami, za którymi nie nadążało dudnienie grzmotów. A potem wszystko przesłoniła gwałtowna ulewa.

23*

451

Lisiewicz uśmiechał się, patrząc na spływające potoki wody. Od dziecka uwielbiał burze. Wnosiły coś nowego, były emocją i zachwytem, rozbijały monotony tok powszedniości.

Stał tak długo, aż ucichły grzmoty, przestały siec pioruny, zacichła ulewa, odpłynęła czerń chmury, wielkimi płatami przejaśniało się niebo.

Wtedy szeroko otworzył okno. Do wnętrza wdarło się rześkie, przesycone wilgocią powietrze.

Pisałem w latach 1963—1965

TEGOŻ AUTORA

TRUD ZIEMI NOWEJ, powieść TRZECIA ZMIANA, powieść

OPOWIEŚĆ O ZWYCIĘSKIEJ STAROŚCI, powieść biograficzna SREBRNA ŁAWICA, powieść, wyd. I, II i III
LODY PĘKAJĄ, powieść, wyd. I i II

KARTKI Z ZIEMI LUBUSKIEJ, opowiadania historyczne NOC JAK DZIEŃ, powieść ZNAKI OGNISTE,
powieść, wyd. I i II ŚPIEWAJĄCA ZIEMIA, powieść

CZAROWNICA Z ZIELONEJ GORY, opowiadania historyczne, wyd. I i II ZATOKA ŻARŁOCZNEGO
SZCZUPAKA, powieść dla młodzieży, wyd.

I, II, III i IV

STRACEŃCY, t. I—II, powieść historyczna, wyd. I i II

OPOWIEŚCI NIECODZIENNE, opowiadania

BUNTOWNICY, t. I, II, powieść historyczna, wyd. I i II

GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC, powieść dla młodzieży, wyd. I,

II, III

POGRANICZE, powieść z historii najnowszej, wyd. I, II, III, IV i V WSZYSTKIE BARWY CODZIENNOŚCI
powieść, wyd. I, II i III ZNAK ŻÓŁWIA, powieść dla młodzieży, wyd. I, II, III WIATROŁOMY, powieść,
wVd. I i II

WARMIA I MAZURY, monografia literacka, wyd. I, II i III SPOWIEDŹ LUCJANA SKOBIELA, powieść, wyd.
I, II, III WRASTANIE, powieść, wyd. I, II

SPOD SZCZĘŚLIWEJ GWIAZDY, opowiadania, wyd. I, II i III PO BURZY JEST POGODA, powieść

ICH TRZECH I DZIEWCZYNA, powieść dla młodzieży, wyd. I, II, III ZŁOTE KORONY KSIĘCIA DARDANÓW,
powieść dla nastolatków,

wyd. I, II i III WICHRY WŚRÓD KOLUMN, impresje greckie MINARETY BEZ CZARCZAFÓW, impresje
tureckie W CIENIU HETYCKIEGO SFINKSA, powieść dla nastolatków MŁODOŚĆ I GWIAZDY, powieść
dla młodzieży, wyd. I, II ZAWSZE Z TEJ ZIEMI, powieść

Nowohucka Biblioteka Publiczna w Krakowie

10274306

Eugeniusz Pauksta (1916-1979) był niezwykle płodnym pisarzem, wydał wiele książek, w tym: powieści współczesne i historyczne, tomy opowiadań oraz powieści dla młodzieży, był publicystą i aktywnym działaczem społecznym, kierował po drugiej wojnie Wydziałem Zaludnienia i Ekonomiki Ziem Odzyskanych w Zarządzie Głównym Polskiego Związku Zachodniego. W jego działalności społecznej i pisarskiej uderza szczególne zafascynowanie sprawami północnych i zachodnich obszarów Polski, poświęcił im całą swoją pasję społecznikowską i talent twórczy, co zjednało mu miano Piewcy Nadodrza. Pisał powieści i opowiadania na temat historii tych ziem (Czarownica z Zielonej Góry) i ich współczesności (Trud ziemi nowej, Lody pękają, Wszystkie barwy codzienności,

Wzrastanie i wiele innych). Urzekła go dynamika i poezja tego czasu, rodzenia się nowego życia, niezwykłość losów ludzkich wielkiego przełomu historycznego tych regionów ojczyzny. Był wielokrotnie nagradzany za wprowadzenie w oryginalnym kształcie artystycznym tematu zachodnich ziem polskich do literatury, otrzymał Nagrodę Literacką Ziemi Lubuskiej (1957), Nagrodę Literacką „Nadodrza” (1964), oraz liczne odznaczenia za zasługi dla Ziemi Lubuskiej, Warmii i Mazur oraz Wybrzeża.